
R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres

# OBRAZ
# LITERATURY POWSZECHNEJ.

II.

ex libris
S. Sobieszczańskiego

# CZASY NOWOŻYTNE.

28275/2

# I. WŁOCHY.

## I. Luigi Pulci.

### Olbrzym Morgant (Il Morgante Maggiore).

Roland (Orland), obrażony na Karlomana (Karola Wielkiego), że dał posłuch oszczerstwom zdrajcy Ganona, porzuca dwór i wyrusza na przygody.

Odjeżdża Roland, rozgniewany srodze,
W pogańskie kraje prosto kroki niesie.
Zafrasowany duma i po drodze
Zdrajcę Ganona wspomina w tym czesie.
Błądzi, koniowi opuściwszy wodze,
Nagle klasztoru dojrzy w gęstym lesie.
W ponurej puszczy stał, w poszytej dziczy,
Gdzie chrześcijaństwo z pogaństwem graniczy.
Chiaramont brzmiało nazwisko przeora,
Między wnukami był Agrantowymi.
Ponad klasztorem wznosiła się góra,
Gdzie trzej nieludzcy mieszkali olbrzymi.
Passamont jedna zwała się potwora,
Druga Alabastr, Morgant trzeci z nimi.
Ci duże głazy wyrzucając z procy,
Szkodzili klasztor i we dnie i w nocy.
Nie śmieli wynijść mnisi niebożęta
Do lasu po drwa ani do cysterny.
Roland do bramy kołace, — zamknięta.
Opat sam otwarł, bo bał się odźwierny.
Wszedłszy, pozdrawia Boga, co go święta
Rodzi Maryja; że jest prawowierny
Człowiek — przysięga — i chrztem świętym chrzczony,
Zaczem tłómaczy, jak zaszedł w te strony.
Powiada przeor: „Gościu, witaj zdrowy,
Z całego serca dajem ci gościnę,
Skoroś chowany w wierze Chrystusowéj.
Żeśmy cię u wrót trzymali, za winę

Nam nie poczytuj, ani bądź surowy,
Bowiem sam uznasz, gdyć powiem przyczynę,
Iż miał brat furtyan czego bać się gości:
My tu strzedz musim ciągle swoich kości.
Gdyśmy osiedli pośród tych bezdroży,
To choć są, jako widzisz, bezsłoneczne,
Jeszcze mieszkało się — powiem — niezgorzéj,
Bo nieruszane były i bezpieczne.
Bywało, jedno dziki zwierz nas trwoży
I często w strachy wprawia niestateczne.
Lecz dzisiaj całą chcąc li unieść głowę,
Musim odpierać zwierzęta domowe.
Pod grozą żywot wiedziem nieszczęśliwy:
Zjawili się tu trzej srodzy olbrzymi,
Nie wiem, z pod jakich słońc i z jakiej niwy,
Ale z siłami na schwał ogromnymi.
Ci przemoc mają i dowcip złośliwy;
Trudno się bronić, nie zrównamy z nimi.
Przerywają nam codzienne pacierze,
Nie wiem, co czynić, gdy Bóg nie ustrzeże.
Święci ojcowie, co na puszczach siedli,
Kiedy ich życie było cne i prawe,
To z łaski bożej byt rozkoszny wiedli
I nie z szarańczy samej mieli strawę;
Lecz wiedz, zsyłaną z nieba mannę jedli.
A my tu widzim obiady plugawe:
Co dnia kamienie, rzucane gdzieś z kąta
Od Alabastra i od Passamonta.
Lecz nadewszystko Morganta się strzeżem.
Ten buki, sosny wyrywa i strzela;
Często padają aż tu pod alkierzem.
Nie zbrzydnież człeku i klasztor i cela?“ —
Gdy na cmentarzu tak stoi z rycerzem,
Leci głaz: mało nie zdusił Rondela [1]),
Ręką olbrzyma posłany po dachu.
Koń przerażony rzucił się ze strachu.
— „Bóg, kawalerze, niech cię ma w swej pieczy!
Zawoła opat — patrz, już manna pada“. —
— „Przykre, mój ojcze, dzieją się tu rzeczy;
Temu coś nie w smak, że mój Rondel śniada.
Może to konia z narowu wyleczy...
Ba, ba! lecz siłacz musi być nielada“. —
Odpowie przeor: — „Kiedyś, pewnie tuszę,
Górę tu zwalą te pogańskie dusze“. —

Roland z błogosławieństwem przeora udaje się na poskromienie olbrzymów; — zabija Passamonta i Alabastra, następnie szuka Morganta.

[1]) Koń Rolanda.

Morgant miał pałac pewien pośród lasu:
Z chróstu i gliny była chata dzika;
Tam po zwyczaju swym zażywa wczasu
I tam spać idąc, na noc się zamyka.
Roland się do drzwi tłucze; od hałasu
Ze snu ciężkiego olbrzym się ocyka,
Idzie otworzyć, jak człowiek pół-żywy;
Tej nocy sen śnił dziwny i straszliwy.
Miał to widzenie, że wąż jadowity
Skoczył nań, a on do Mahomy biada,
Ale Mahoma był mu nieużyty;
Zatem do Chrysta korne ręce składa.
Jego to świętą opieką okryty,
Wychodzi cało; więc wstał i powiada
Bełkotem: „Kto tam do drzwi tak łomota?“
„Dowiesz się — rzecze Roland — otwórz wrota!
Ten ja ci koniec, co twej braci, zrobię;
Uderz się w piersi i żałuj za złości;
Mnisi mię tutaj posyłają k' tobie,
Tak się podoba bożej Opatrzności.
Że im wyrządzasz krzywdy w każdej dobie,
Taki wydano wyrok na twe kości.
Tamtym już żaden nie pomoże plaster:
Martwy Passamont, martwy Alabaster.“
Powiada Morgant: — „Zacny kawalerze,
Przez twego Boga, nie krzywdź mię tą mową,
Lecz imię swoje, proszę, wyznaj szczerze,
Czyś chrześcijanin, powiedz jedno słowo.“
— „Wszystko — rzekł Roland — wyznam ci w tej mierze
I nie zataję. Tak jest, Chrystusową
Wyznaję wiarę; On jest Bóg prawdziwy,
I ty weń uwierz, jeśli chcesz być żywy.“ —
Rzecze Saracen pokorny i zgięty:
— „Dziwne ja miałem widzenie tej nocy:
Oto od srogiej żmii opadnięty
Próżno wzywałem mego boga mocy,
Aż mi twój Chrystus, na krzyżu rozpięty,
Pomógł, kiedym go błagał w mej niemocy,
I wydobył mię bezpiecznym i zdrowym,
Przeto natychmiast ochrzcić się gotow-em.“
Odpowie Roland: — „Pobożny baronie,
Jeżeli dłużej zechcesz wytrwać przy tem,
Dusza twa spocznie u Boga na łonie,
Który ją wiecznym obdarzy zaszczytem.
Skoro już w naszym chcesz zostać zakonie,
Przyjacielem ci będę prawowitym.
Bożkowie wasi są kłamliwe mary,
Jeden jest isty Bóg, Bóg naszej wiary.“

Roland prowadzi Morganta do klasztoru; mnisi, zrazu przerażeni, przyjmują go mile, dowiedziawszy się o nawróceniu. Morgant ochrzczony, zostaje klasztornym pachołkiem.

Wielki brak wody czuli zakonnicy,
Dobry brat Roland zaraz o tem radzi:
— „Morgancie, — mówi — bieżaj do krynicy!“
— „Dobrze — ten rzecze — każ, jak twej czeladzi,
Wiedz, że nie każesz nigdy po próżnicy.“
Zaraz wybiera co największej kadzi
I co najprędzej bieży do potoku,
Który miał źródło swoje u gór stoku.
Ledwie u źródła stanął, z gęstwy mroku
Trzepot się srogi i łomot podniesie;
Morgant wnet strzały dobywa z sajdaku,
Na łuk nałoży i patrzy po lesie.
Stado się dzików zjawiło na szlaku,
Które pędziły w okropnym obcesie,
I dobiegali zwierzowie paskudni,
Właśnie gdy Morgant przystanął u studni.
Wystrzelił Morgant, ledwie dojrzał sierci,
Ugodził dzika prawie podle ucha;
Przepadł grot ostry, na wylot go wierci,
Upadł zwierz martwy, z rany płynie jucha.
Drugi, bracinej chcący pomścić śmierci,
Wprost na olbrzyma godzi, parą bucha
I tak nań bije, prędki i zuchwały,
Że nie mógł Morgant użyć drugiej strzały.
Widząc ten obces dzika jegomości,
Straszną go pięścią uderzył po głowie,
Tak, że mu w czaszce pogruchotał kości.
I tak trup drugi położył w dąbrowie.
Reszta gromady w strachu i żałości,
Umknie czemprędzej i zniknie w parowie.
Morgant wtem wody nabiera do kadzi
I ciężkie brzemię na kark sobie ładzi.
Obładowany wodą i mięsiwem,
Ogromny Morgant stąpa po dolinie,
Daleką drogę mierząc krokiem żywym,
A z kadzi jedna kropla mu nie spłynie.
Ujrzawszy Roland z ogromnym podziwem
Zabite dziki i pełne naczynie,
Wita go mile, radość taką samę
Ukażą mnisi, otwierając bramę.
Cieszą się mnisi na napoje świeże,
Więcej się śmieją owej dzików parze,
Jako się jadłu każde śmieje zwierzę.
Zaczem po kątach rzucają brewiarze;

Każdy się krząta i za złe nie bierze,
Że przeor udźców zasolić nie każe.
Ten, co miał pościć, zgadza się na mięso,
Kto suszył, ten się ratuje dyspensą. *(E. Porębowicz).*

Roland wyrusza na dalsze przygody; Morgant z przywiązania towarzyszy mu pieszo, uzbrojony w serce ogromnego dzwonu, którem się odtąd posługuje, jak maczugą, we wszystkich rozprawach. Przybywają do Hiszpanii i pomagają królowi saraceńskiemu Manfredonio do odniesienia zwycięstwa nad wrogiem. Tu odnajdują ich paladynowie: Rynald, Dodo i Olivier, i namawiają Rolanda do powrotu. Wprzód jednak wszyscy pomagają królowi Manfredonio w walce z królem syryjskim. Przed odjazdem Olivier poznaje Meridianę, córkę Caradora, króla saraceńskiego, pozyskuje jej miłość, namawia do przyjęcia chrztu i, pojąwszy za żonę, zabiera z sobą do Francyi. Tu paladynowie pomagają Karlomanowi do odparcia Saracenów z Danii. Caradoro śle do Francyi olbrzyma Vegurto z żądaniem zwrotu córki. Butny Vegurto oburza na siebie wszystkich i krewki Morgant zabija go w pojedynku. Intrygi zdradnego Ganona sprawiają, że Roland znowu opuszcza dwór, zapędza się aż do Persyi, i tu dostaje się do niewoli, potem razem z Rynaldem oblega Babilon. W pomoc im podąża Morgant, w towarzystwie innego olbrzyma, Margutta, poziomego prostaka, obżartucha i opoja; ale Margutte w drodze umiera ze śmiechu na widok małpy, która przywdziała sobie na nogi jego żółte buty. Morgant, przybywszy pod Babilon, dopomaga dzielnie do zdobycia tego miasta, wywalając w murze ogromną wieżę. Roland zostaje królem babilońskim. Wkrótce potem pośpieszają wszyscy do Francyi, żeby z rąk starej czarownicy uwolnić Ganona. W drodze, na okręt, którym płyną, napada wieloryb; Morgant skacze na jego grzbiet i swoją maczugą gruchocze mu łeb. Gdy już są niedaleko portu, niecierpliwy Morgant postanawia wbród dostać się czemprędzej do brzegu; w tej przeprawie ukąszony w nogę od raka morskiego, umiera wkrótce po wydostaniu się na ląd. Resztę poematu (pieśń XXI—XXVIII) wypełnia opiewanie przygód Rolanda i innych paladynów Karlomana aż do ich zgonu w wąwozie Roncevalskim.

---

## II. Aryost.

### Roland szalony.

Ogromny ten poemat w 46 pieśniach opiewa w sposób żartobliwy niezliczone przygody paladynów Karola Wielkiego na tle walki tego cesarza z niewiernymi, którzy najeżdżają Francyę pod dowództwem Agramanta i Marsila. Polem ich działalności jest nietylko Francya i różne kraje europejskie (Anglia, Szkocya, Irlandya, Hiszpania, Grecya i t. d.), ale i azyatyckie, oraz afrykańskie (Indye, Chiny, Syrya, Egipt, Nubia), a nawet fikcyjne, jak n. p. wyspy czarodziejskie i sfery nadpowietrzne. Główniejszymi bohaterami są: Roland, Rynald, siostra jego Bradamanta, i Astolf. Obok nich występują i różni wojownicy ze strony niewiernych, jak np. Ferrau, Sakrypant, Mandrykard, a szczególniej Rożer (Ruggiero). — Żywioł fantastyczny, odgrywający bardzo ważną rolę, reprezentują dobre i złe wieszczki: Melisa, Alczyna (Alcina), czarodziej Atlas: i różne przedmioty, posiadające cudowne własności. W chaotycznej plątaninie przygód, opiewanych w Rolandzie szalonym, wybitniejsze miejsce zajmują dzieje dwóch par: Rolanda i Angeliki, oraz Rożera i Bradamanty. — *a)* Roland kocha Angelikę, królewnę chińską, i ściga ją zapamiętale, żeby jej miłość swoją narzucić. Współzawodnikiem jego jest Rynald, niemniej natrętny wielbiciel. Ale Angelika niechętna jest obydwom i ciągle wymyka się jednemu albo drugiemu. Nareszcie po różnych dziwnych przygodach znajduje w lesie Medora, umierającego z ran, odniesionych w walce z chrześcijanami. Ujęta pięknością bohatera, zabiera go do poblizkiej chaty pasterskiej, uzdrawia cudownemi ziołami i oddaje mu swoje serce i rękę. Uszczęśliwieni kochankowie wypisują na drzwiach zachwyty miłosnego upojenia i odjeżdżają do Kataju (Chin). — W czas jakiś potem przybywa w te strony Roland, zbłąkany w puszczy, w której skrył się przed nim pokonany Mandrykard.

Właśnie południa senne gorącości
Wabiły słodko w cień i w chłodne zdroje,
Więc Rolandowi zdało się najprościéj,
Że on tu, zdjąwszy hełm i cięższą zbroję,
Dla wypoczynienia mile się rozgości...
Niestety! własnych słów się moich boję!
Tu on szał znalazł zamiast ciszy błogiéj —
I zamiast kwiatów wziął w swe serce głogi!
Toćże, gdzie spojrzał, czyta w żywem drewnie
I w skał omszałych ścianach — słowem wszędzie —
Ryte o jakimś gachu przy królewnie,
Zapałów pełne dwojga dusz orędzie.
O zgrozo! Więcże w miejscach owych pewnie
Ona, w miłosnych szałów swych obłędzie,
Pasterską chatę mając w pobliskości,
Czci swej niepomna, ze swym lubym gości!
„Z Medorem swoim piękna Angelika!“
„Nadobny Medor z Angeliką swoją!“ —
Ile słów, tyle gwoździ mu przenika
Pierś, choć żelazną jest broniona zbroją!
I myśli w głowie tego nieszczęśnika,
To chcą uwierzyć, to się wierzyć boją!
Może to inna Angelika jaka?
Lub tylko nawet pusty żart junaka?
Gdzież? Pismo jest jej ręki! Toćże przecie
On zna je dobrze. Ale znów, być może,
Ona miłostki te, gdy wiedzieć chcecie,
Zmyśliła tylko jemu ku przekorze?
Tak to, sam sobie przecząc, i jak dziecię
Tylcami ostre wykręcając noże,
By go nadzieja nie odparła tkliwa,
Samego siebie chętnie oszukiwa.
Chce w błąd swój wierzyć — a tu zazdrość blada
W otuchę jego dmucha sykiem węży!
Jak nieopatrzny ptak, co w sieci wpada,
Albo na lepie ugrzązł jak najtężéj —
Tem sroższy jest mu lep i oczek zdrada,
Im chyżej skrzydły drga i członki pręży!
Wreszcie szedł Roland tam, gdzie była blizka
Pieczara, z której chłodny zdrój wytryska.
U wejścia do niej, kiedy kto rozchyli
Bluszcz kręty oraz dzikich win pąkowie,
Pozna, jak często w południowej chwili
Tu przebywali tkliwi kochankowie.
Jak zaś rozkosznie błogi czas pędzili,
Z napisów licznych każdy też się dowie,
Gdyż słowa o tem zdobią każdą ścianę,
Węglem, a nawet kredą podpisane....

Czyta i czyta — zdala, zboku, zblizka.
Chce wątpić — nędzni gorszą go szyderce.
Chce wierzyć złemu — strach go pośmiewiska.
Gra i przegrywa w sprzecznych żądz szermierce.
I ileż razy w piersi swej zaciska
Wyziębłą dłonią rozgorzałe serce!
Wzrok wreszcie błędny utkwił w skał granity
I już się zdawał sam jak w granit wryty.
Omało tego nie przypłacił zdrowiem,
Cierpiąc, jak cierpi mało kto z nędzarzy!
Wierzcie mi, gdy wam z doświadczenia powiem,
Że się podobny ból niełatwo zdarzy!
Bezwładną głowę zwiesił w dół, albowiem
Wszelka mu buta pierzchła z bladej twarzy.
Szczęśliwy! komu boleść nazbyt żywa
Łzy z oczu albo z piersi głos dobywa!...

Zrywa się wreszcie, opuszcza grotę i przybywa do chaty pasterza. Ten, chcąc rozerwać smutnego rycerza, opowiada mu o pobycie zakochanej pary. Teraz już nie może łudzić się żadną nadzieją!

I gdy go takie obrzydzenie chwyta
Tych miejsc, głoszących jego hańby dzieje,
Nie dba, że noc jest w całun chmur spowita,
Ni czekać raczy — rychło rozednieje.
Wdział zbroję, konia dosiadł i z kopyta
W bór wpadłszy, pędzi w najciemniejszą knieję
I tam sam na sam z sobą w leśnej dziczy
Zgrzyta i z bólu w niebogłosy ryczy.
Ryczy i wyje, w prochu się przewala,
Bez tchu, bezsenny! — aż się wspomnieć boję.
Od wszelkich siedzib ludzkich będąc zdala,
W chaszczach ma tylko legowisko swoje.
Dziw: skąd w nim jęków tak bezdenna fala
I skąd łez wrzących tak obfite zdroje?
I czasem w przerwie burzy tej gromowéj
Łkając, wyrzeka następnemi słowy....
Tak smutny gadał z puszcz szumiącą jodłą
W noc bezmiesięczną. Wtem, gdy brzask się stanie,
Coś go ku źródłu temu znów przywiodło,
Gdzie Medorowe wszędzie lśni pisanie.
Tu on, jak gdyby w twarz obelgę podłą
Znienacka dostał — tak go niesłychanie
Rozjadł szyderczy widok tej świątyni,
Że miecz chwyciwszy, nie wie już, co czyni.
Jął rąbać wszystko! Z pism tych w pomście dzikiéj
Pod niebo leci gruz i z grzmotem pada.
Nieszczęsna schadzko pięknej Angeliki
Z Medorem twoim — biadaż tobie! biada!

W tobie już ani gniazda swe słowiki,
Ni schroni pasterz w cieniu twym swe stada!
A ten wśród smugu strumień tak przezroczy,
Jakże on mętną odtąd toń zatoczy!
Oto więc mruczy, dąsa się i klębi;
Gdyż kłód, pni, głazów tyle w niego padło,
Że ci niewcześni goście aż do głębi
Zburzyli jasnych niebios w nim zwierciadło!
Aż wtem, wściągnąwszy gniewu pęd jastrzębi,
Roland zdyszany, z twarzą znojem zbladłą,
Z sił wyczerpany, sobą sam pobity,
Padł w znak, wlepiając błędny wzrok w błękity.
Niby oprawcze spełniwszy rzemiosło,
Legł, oniemiałą mową swą zachłysły.
Nad tą zwaloną z nóg postacią wzniosłą,
Potrzykroć z rzędu blaski słońca błysły,
A udręczenie tak w nim dzielnie rosło,
Aż się wyzuwszy z siebie, stracił zmysły —
I gdy czwartego dzionka brzaski dniały,
Począł na sobie zbroję rwać w kawały....
Więc opętany tu i tam się miota,
Grzmiące rozdając ciosy coraz gęściéj.
Żadna rozsądna zdrowych rąk robota
Tak się podobno człeku nie poszczęści!
Siekiera, obuch i rozmachy młota
Są niczem wobec siły jego pięści!
Dał tego dowód, w sposób jak najżwawszy
Z korzeniem sosnę, jakby źdźbło, wyrwawszy.
Wprędce się istność nie ostała żywa
Wśród niesłychanej ciosów tych zamieci.
Pękają dęby w drzazgi i w łuczywa,
Buków i jodeł trzask w powietrze leci.
Jak ptasznik, pole gdy przygotowywa,
By na niem zdradne mógł zakładać sieci —
Tylko, że tamten chwast lub trawkę zetnie,
Ten zaś olbrzymy ścina drzew stuletnie.
Zbiegł pasterz, trzód swych zaniechawszy w lesie,
Lecz drudzy, którym snać się życie przykrzy,
W bór lecą pędem, gdy się wieść rozniesie,
Jak tam ktoś broi w sposób coraz dzikszy....
Ale też widząc wprędce, co się święci,
Poczęli trwożnie pierzchać w szlaki zadnie.
Niestety! w głazów gruz i w łom są wzięci!
Zdrętwieli, ścierpli! dreszcz ich wskroś owładnie.
Wtem Roland na nich wpadł jak najzawzięciéj —
Pierwszego z brzegu schwycił i tak snadnie
Łeb mu urwany w krwi porzucił strugi,
Jakby makówkę z maku zdjął kto drugi.

Poczem kadłubem tym, gdy go za nogę
Ujął, zwycięsko, jak maczugą, włada.
Nią iluż zwalił! czyliż wiedzieć mogę?
Ci żyć i mogli zdrowi być nielada!
Tymczasem insi, mędrszą mając trwogę,
Co tchu pierzchnęli, niby ptaków stada.
Lecz wtem na dalszą pięści swej swawolę
On opętaniec runął z boru w pole.
Tu Boże Wielki! któż mu umknąć zdoła?
Gna poprzed siebie nędzne one gapie,
Ten w dom, ten w stajnię wpadł, ten do kościoła,
A on, gdy kogo dosiągł, w twardej łapie
Mnie, gniecie, miażdży — słowem, wszystko zgoła
Rozbija, tłucze, depcze, kąsa, drapie, —
Ten zaś, którego on już nie dogoni,
Musiałby chyba przed nim gnać w sto koni!
Wtem, wśród popłochu tego i rozpaczy
Ten zgiełk, tę wrzawę w siołach czy słyszycie?
To tak pastuchów, chłopów i oraczy
Woła dźwięk rogów oraz dzwonów bicie!
Więc z gór i dolin rusza lud prostaczy,
W widły i cepy zbrojny należycie,
Rusza i strasznie grozi i wykrzyka,
By zwartą kupą iść na okrutnika.
Jak gdy na morzu nieraz przed oczyma
Dmuchnięty wiatrem z jednej skromnej fali
W coraz się grubsze wały odmęt wzdyma,
Wreszcie w bałwany i w ląd coraz daléj
Prąc się, urasta w końcu w wód olbrzyma,
Który w brzeg stromy coraz grzmotniej wali, —
Tak na Rolanda idąc poskromienie,
Tłuszcza ta zda się wzbierać nieskończenie.
On dziesiątkować począł jak najśmieléj
Czerń tę, niesfornem nań idącą mrowiem,
Tak, że się oni z tego dowiedzieli,
Że jest bezpieczniej mieć się precz, albowiem
Próżno go było zwalczyć chcieć, jeżeli
Nikt mu nic zrobić nie mógł. A ja powiem:
Tę nietykalność dał mu Bóg, ażeby
Mieć go na Świętej Wiary Swej potrzeby....
Odtąd po całym kraju jął o lepsze
Z zwierzęty broić. Żadne go rubieże
Nie straszą, żaden ostęp nie odeprze.
W pędzie najchybsze zdołał chwytać zwierze;
Niedźwiedzie, wilki, oraz dzikie wieprze,
Bywało, nieraz gołą ręką bierze.
Równo mu: mięso, skóra ich, czy kości,
Byle napełnił brzuch swój do sytości.

Gnany szaleństwem Roland zapędza się aż do Hiszpanii. Tu spotyka wracającą do Kataju (Chin) Angelikę z Medorem i rzuca się na nią; ale ona dzięki cudownemu pierścieniowi, który w swą moc dostała, czyni się niewidzialną. Roland chwyta jej konia, dosiada go i w błędnej pogoni zajeżdża na śmierć, wreszcie przepływa Gibraltar. Tymczasem Astolf na swoim hipogryfie (koniu skrzydlatym), którym przypadkowo zawładnął, dostaje się do raju ziemskiego i tu dowiaduje się od św. Jana, że Roland został ukarany obłędem za zaniedbanie sprawy chrześcijan dla miłości ku pogance, i że dla uleczenia go muszą obaj udać się na księżyc. Na nim między innemi przedmiotami, godnemi widzenia, znajdują rozum Rolanda zamknięty w butelce. Astolf zabiera go, zjeżdża na ziemię i gromadzi w Afryce wojsko, żeby iść na pomoc Karolowi. Właśnie do jego obozu przybywa Roland i wyprawia zwykłe szaleństwa. Rycerze rzucają się na niego, pasują się z nim, wiążą wreszcie i Astolf rozum mu przywraca.

*b)* Bradamanta, siostra Rynalda, dziewica rycerskiego animuszu, nie ustępująca w męstwie najprzedniejszym paladynom, dorywczo tylko walczy z niewiernymi, zajęta jest bowiem poszukiwaniem ukochanego Rożera. Ten najdzielniejszy wśród niewiernych rycerz, a w przyszłości — protoplasta rodziny książęcej Estów, tyle okazuje męstwa i odwagi, że jego opiekun, czarnoksiężnik Atlas, obawiając się, aby jego ulubieniec żądzy wojowania nie przypłacił życiem, zamyka go w zaczarowanym pałacu. Bradamanta, przy pomocy czarodziejki Melisy, niszczy pałac Atlasa i uwalnia Rożera. Ale Atlas podsuwa mu zręcznie swojego hipogryfa (skrzydlatego konia), który zwabia go na swój grzbiet i przemocą unosi przez powietrze na wyspę czarodziejki Alcyny.

Jakbądź miał Rożer z duszą zgodne ciało,
Tak, że wzruszenia nikt mu nie zgadł z twarzy,
Trudno uwierzyć, by w nim nie zadrżało
Coś, jak dygocze liść, gdy z wiatrem gwarzy, —
Skoro się spostrzegł, że Europę całą
Zbiegł już wbrew chęci, aż za kres ten wraży,
Który żeglarzom niegdyś w poprzek drogi
Z dwóch stron zawalił Herkul, siłacz srogi.
Gdyż on hipogryf — osobliwsze zwierzę! —
Tak z nim zawrotnie przez powietrze zmiata,
Że nawet ptaków król, co w szpony bierze
Jowisza gromy, mógłby znać w nim brata —
Lecz żaden inny — nawet wyznam szczerze:
Równą mu nie jest żadna moc skrzydlata;
Sądzę, że tylko, niż on biegun, prędzéj
Z obłoków biegnie błysk na padół nędzy.
Gdy jakiś czas już śmigał przez błękity,
Wprost, jakby grotem strzelił ku paiży —
Wreszcie powietrza syt i biegu syty,
Ku pewnej wyspie lot swych skrzydeł zniży.
Na takiej niegdyś sprawą Afrodyty,
Gdy Alfeusza gnał ją pościg chyży,
Uciekająca Aretuza biała
W śmiertelnej trwodze w szklisty zdrój stopniała.
Nie! okolicy tak jak ta uroczéj
Na całej ziemskiej kuli nie znajdziecie.
Rumaka nawet wszędobylskie oczy
Zdumieniem ona razi. Więc też przecie
Coraz szczuplejszy wkoło krąg zatoczy
I wraz, Rożera mając na swym grzbiecie,

Mknie szybkim lotem w dół, by patrzał zblizka
W tych wzgórz i dolin rajskie cudowiska.
Tam laur, mirt, palmy w jedną gąszcz się mącą,
Wśród której szemrząc srebrny zdrój migoce.
Wdychasz migdałów tchy i woń rzeźwiącą
Pomarańcz, strojnych w kwiaty i owoce.
I wszędy chłodne gaje, gdzie w gorąco
Schronić się możesz w gęstych drzew pomroce.
Słowików rzesze wiecznie tam z rozkoszą
Bezpieczny miejsc tych powab w niebo głoszą.
Gdzie z róż i z lilij zwarte kwitną chaszcze,
Bezpiecznie bujał zwierz wszelaki mały.
Górą jeleni lotnych ćmy hulaszcze
Pasły się, albo leżąc przeżuwały.
Wietrzyk łagodny lśniącą sierć im głaszcze —
Ani im sieci grożą, ani strzały.
Więc tam i sarny skaczą i daniele
I innych leśnych zwierząt bardzo wiele.
Gdy koń już niemal w trawie kładł kopyta,
Że mógł się Rożer rozstać z nim bez szkody,
Zejść z siodła chęć go zdjęła niepozbyta —
Więc raźno z niego skoczył on pan młody.
Lecz dziwotwora silnie wprzód przychwyta,
By ten znów nie chciał z wiatrem iść w zawody,
Poczem go znagła, gdy on o tem nie wie,
Przytroczył krótko przy mirtowem drzewie.

Mirtem tym — jak się wprędce okazało — jest Astolf, zwabiony na wyspę przez Alczynę, a później zaklęciem jej przemieniony w drzewo. Sam on opowiada Rożerowi, jak to się stało, i przestrzega go, żeby się miał na ostrożności. Mimo to Rożer, zwabiony do pałacu Alczyny, gdy ujrzał ją kwitnącą wszystkiemi powabami kobiecej urody, zapomniał przestróg, ukochanej Bradamanty i oddał się całkiem nowej miłości. Tymczasem Bradamanta, której z przed oczu uniósł kochanka w powietrze hipogryf,

próżno w owym czasie
W gór, rzek, parowów, czarnych puszcz obłędzie,
Wśród siół, pustelni, grodów — słowem, zda się,
Po ziemi całej, wszerz i wpodłuż, wszędzie
Swej straty ona szuka, która zasię,
Jak wiemy, od niej coraz dalsza będzie —
Wreszcie w obozy saraceńskie zmierza,
Lecz i tu próżno ścigać ślad rycerza!
Codzień uważa, byle tłum gdzie jaki,
Czy jej kto wieścią jaką nie ucieszy.
W gospód, w namiotów wnętrza i w baraki
Wchodzi, słuchając mów bojowej rzeszy.
I bez najmniejszej czyni to poznaki —
Równo jej całkiem: jezdny kto, czy pieszy,

Gdyż, byle pierścień on czarnoksiężnika
Włożyła w usta — wnet z przed oczu znika [1]).
By nie żył Rożer, znać ni chce, ni może.
Bo gdzież?! Zgon przecie tak wielkiego człeka,
Od wód Hidaspu aż gdzie dzienne zorze
Do snu się skłania, byłby grzmiał zdaleka!
Nie wie, co sądzić: gdzie on jest w tej porze:
Czy tu, czy w niebie? Tylko wie: że czeka
I że go znaleść chcąc, do tego dzieła
Łzy i ból srogi w drogę z sobą wzięła.

Na szczęście znowu przybywa jej z pomocą Melisa. Wróżka ta oznajmia jej, gdzie się Rożer znajduje i, wziąwszy od niej pierścień czarodziejski, udaje się na wyspę Alczyny i staje przed zgnuśniałym w rozkoszach rycerzem.

Sam był — tak właśnie wróżka sobie życzy.
W rzeźwe, pachnące świeżą wonią rano
Nad zdrojem dumał, z szmerów się słodyczy
Próżniaczo ciesząc. Bowiem — sroga zmiano!
O! w jakże miękki, w jakże niewolniczy
Strój własny jego męstwa brak przybrano!
To więc Alczyna własnych rąk robotą
Tak go osnuła w bisior, puch i złoto?
Pierś mu się w tęczę klejnotami mieni,
A łańcuch cenny w krąg mu obwiódł szyję,
A otoczenie, skrzące od kamieni,
Jakby kobiece, wkoło rąk się wije.
W przekłutych uszach (czyżto gdzie szaleniéj
Spodlić się mogły męskie uszy czyje?)
Kolce mu iskrzą, zdobne perły dwiema,
Jak większych w Indyach ni w Arabii niema.
Włos utrefiony maściami mu połyska,
Fijołków błogą szerząc woń i róży.
Rozleniwiały wskroś, wyglądał zblizka,
Jak gach, co w służbie zalotnicy służy.
I nic już w sobie nie miał prócz nazwiska
Z dawnego bytu ten mąż ręki dużéj!
Takto go krzywe złej miłości siły
Od stóp do głowy innym uczyniły.

Melisa zbliża się do niego pod postacią Atlasa i wyrzuca mu gnuśność i zdradę względem Bradamanty, a widząc, że się zawstydził, wkłada mu na palec czarodziejski pierścień, wzięty od Bradamanty, i przybrawszy własną postać, oznajmia mu, że przybyła do niego:

Od tej kochanki słodkiej, która prawie
Ginąc bez niego, z żalu umrzeć życzy.
„Dla niej to — mówi — z pęt cię ja wybawię,
W które cię obłęd wplątał czarowniczy.

[1]) Talizman ten, robiący człowieka niewidzialnym, zdobyła Bradamanta na Brunelu, dworzaninie Agramanta.

I stąd w Atlanta przyszłam tu postawie,
Abym pewniejszą była mej zdobyczy.
Lecz gdy z lichemi życzysz zerwać szały,
Słusznie się teraz dowiedz prawdy całéj.
Ta piękna, która jedna godna była
Z twych ust miłości przysiąg słyszeć słowa;
Ta, której sprawą krzywych potęg siła
W Atlanta więzach dłużej cię nie chowa [1]),
Dziś ci cudowny pierścień ten przysyła,
A z nim i serce była dać gotowa,
Gdyby wiedziała, że ten dar z jej łona
Zbawienia twego, tak jak on, dokona."
Dalej mu miłość ona rozpowiada,
Jaką ku niemu płonie panna łzawa;
Jak po jej stronie wierność jest, a zdrada
Po tej, co cudze przywłaszczyła prawa.
Słowem, posłanka owa tak nielada
Chytrze ku zgubie przeciwniczki stawa,
Że wreszcie Rożer, oburzeniem zdjęty,
Do swej Alczyny dziwne uczuł wstręty.
Wstręty! A przecież dotąd ją jedynie
Kochał! Lecz zawsze było tak i wszędzie,
Że gdy czar jaki odczynieniem zginie,
Wnet się ten trzeźwym staje, kto był w błędzie.
Tu się zaś jasnem stało, że w Alczynie
Pięknego niema nic i nic nie będzie,
Owszem — od głowy aż do stóp swych cała
Poczwarą była, choć się cudną stała!
Jak dziecię, które smaczny owoc w krzaki
Schowa na dalsze później uczłowanie,
I zapomniawszy o nim, w czas niejaki
Tamże go szuka i niespodziewanie,
Zamiast miłemi cieszyć się przysmaki,
Skoro ten owoc zgniłym wskroś zastanie,
Głośno złorzecząc zawiedzionej chuci,
Znagła go porwie w garść i precz porzuci, —
Tak Rożer, skoro dobrej wróżki radą
Poszedł Alczynie w oczy spojrzeć, ani
Przewidzieć mogąc, że w ćmę pierzchnie bladą
To, co mu blaskiem piękna wzrok tumani, —
I gdy pierścieniem błysnął — o szkarado!
Cóż wtedy znalazł zamiast pięknej pani?
Oto — że oczy ludzkie nie widziały
Baby tak sprośnej, ani tak zgrzybiałéj!
Łeb miała siwy boska ta Alczyna,
A też w kołtunów licznych zdobny śmiecie,

[1]) Jest to napomknienie o zniszczeniu zaczarowanego pałacu, w którym Atlas więził Rożera.

Twarz zmarszczek pełną, a jej gęba sina
W dół wpadła, bo w niej zębów nie znajdziecie.
Grzbiet się tej lubej w drżący pałąk zgina,
Gdyż równo z Parki jęła żyć na świecie!
Lecz w tem jej była umiejętność cała,
Że się i piękną być i młodą zdała.
Młodą i piękną! Aby, jak Rożera,
Innych sposobną łowić mogła porą!
Szczęściem ów pierścień ten z niej urok zdziera,
Którym z niej mężni lichą zgubę biorą.
Więc czyliż dziwno, że więc ta przechera
Myśl mu przestała łudzić dłużej chorą,
Skoro ją ujrzał taką, jak już zgoła
Zaklęcie żadne pomódz jej nie zdoła? *(Felicyan Faleński).*

Rozczarowawszy się w ten sposób, Rożer ucieka szczęśliwie od Alczyny i na hipogryfie odjeżdża do Europy. W drodze uwalnia z więzów Angelikę, wystawioną przez mieszkańców pewnej wyspy na pożarcie morskiemu potworowi, Proteuszowi, i chce się jej narzucić ze swoją miłością. Ale królewna korzysta z cudownego pierścienia Bradamanty, który dał jej Rożer, żeby się ukryć przed żarłocznym Proteuszem, i znika z oczu natrętnego wybawcy. Tymczasem Atlas zażywa nowych fortelów i zwabia Rożera do zaczarowanego zamku. Bradamanta, nauczona przez Melisę, udaje się na jego wyzwolenie, ale i sama, obałamucona czarami, dostaje się w moc Atlasa. Z tego więzienia wybawia ich oboje Astolf, który posiada księgę ze wskazówkami, jak odczyniać wszelkie czary. Kochankowie poznają się i Bradamanta żąda, żeby Rożer przyjął chrzest i dopiero wtedy ją poślubił. Ale przypadek rozdziela ich znowu i każde zosobna przechodzi różne przygody. Nareszcie po wielu przejściach Rożer przyjmuje chrzest z rąk pewnego pustelnika. Tymczasem ojciec Bradamanty przyrzekł już jej rękę Leonowi, księciu Konstantynopola; ale ten, dowiedziawszy się o wzajemnej miłości Bradamanty i Rożera, wzruszony nadto wspaniałomyślnością współzawodnika, zrzeka się praw swoich. Ojciec Bradamanty przyjmuje Rożera za zięcia, a Bulgarowie, których niedawno pokonał, obwołują go swym księciem. Wieszczka Melisa czyni przygotowania do godów weselnych we wspaniałym namiocie, na którym znajdują się wyobrażone przyszłe dzieje jednego z potomków przyszłej pary — kardynała Hipolita Este (protektora poety).

»Rolanda Szalonego« dwadzieścia pięć pieśni wierszem parzystym przetłómaczył w w. XVII Piotr Kochanowski (2 tomy. Kraków, 1799). W nowszych czasach, z zachowaniem formy oryginału, przełożył kilka ustępów F. Faleński w »Przekładach obcych poetów« (Część II. Kraków, 1892), parę zaś innych językiem archaicznym Edward Porębowicz w »Świecie« (1893 r.)

---

## III. Michał Anioł Buonarotti.

### a) Sonet 2.

Nie ziemską w tobie [1]) ujrzałem istotę,
Gdy po raz pierwszy czułem się oblany
Ócz twych pogodą. Duch mój skołatany
W ich ciszy wieczną chciał zgasić tęsknotę.

[1]) Wiktorya Colonna, margrabina Pescara, której poeta był wielbicielem.

W niebo, skąd przyszedł, zrywa się skrzydlaty,
A choć pogląda na piękności cudne,
Rozkoszne oku, okrutnie ułudne, —
Dąży z prawzorem zlać się poza światy.
Wszystko, co ziemskie, znikome, — jak sądzę, —
Nie zadowolni mędrca, ni zachwyci,
Ni zmienna miłość opląta go w sieci.
Katowie duszy, wyuzdane żądze,
Nie są miłością. Miłość doskonali
Ducha na ziemi, w niebie go krysztali. *(L. Siemiński).*

## b) Sonet 6.

Życie miłości mej — nie serce moje,
Bo miłość moja k'tobie bezserdeczna
Tam wionie, gdzie przed obłędem bezpieczna,
Gdzie przed płochością zamknięte podwoje.
Miłość, duch Boga, za niebios pokoje
Nim wyjdzie; — wzrok mi stali, o słoneczna:
Przez twą cielesność owa światłość wieczna
Przeziera; patrzeć w nią w tęsknocie roję.
Jako od ognia żar, podobnie trudno
Piękno oddzielić od nieśmiertelności;
Toż ja, gdy ludzką z siebie myśl otrzęsę,
W oczach twych raju widząc postać cudną, —
By wrócić, gdzie był pierwszy mej miłości
Wyświt, oczyma śpieszę pod twą rzęsę. *(E. Porębowicz).*

## c) Sonet 31.

Z ziemi w piekielne spuścił się kwatery,
Dwojga więziennych miejsc odwiedził niwy
I po promieniu myśli doszedł żywy
Do Boga i zniósł ogień z nieba szczery.
Meteor, z górnej promieniejąc sfery,
Ślepym przedwieczne rozjaśnił nam dziwy
I miał nagrodę, jaką świat ten krzywy
Karmi powszechnie swoje bohatery.
Nie było tobie, Dante, dziękowania
Od niewdzięcznego, kramarskiego ludu,
Co jedno sprawiedliwym się nie kłania.
Lecz niechaj przyjdzie mnie takiego trudu
Zażyć śród takiej wielkości wygnania,
Świata się zrzekę dla takiego cudu. *(E. Porębowicz).*

## d) Sonet 56.

Na schyłku dni mych, przez burzliwe morze
Zawijam w kruchej łodzi do ostoi

Wspólnej, gdzie każdy z pielgrzymki tu swojéj,
Sprosnej lub dobrej, zda liczbę w pokorze.
Rwany uroczej fantazyi rozpędem,
Bożyszczu sztuki palilem ofiary;
Tuczyłem ducha błędami bez miary:
Bo czyż miłości ziemskie nie są błędem?
Sny wyobraźni! łudzić wam niedługo!
Oto podwójna śmierć ku mnie się zbliża:
Jednej jam pewny, truchleję przed drugą...
Pędzel ni dłuto duszy nie ukoi;
Jedyne wsparcie, Boże, w łasce Twojéj,
W ramionach wyciągniętych do mnie krzyża. *(L. Siemieński).*

### e) Madrygał 59.

Co pospolity gmin cieszy i nęci,
Nierówno bywa na świecie cenione:
I tak, niejeden w wybuchu niechęci,
Co drugim słodkie, powie, że mu słone.
Lecz też i często trzeba ci pozornie
Z surowym tłumem iść sfornie
I z nim się cieszyć, choć dojmują smutki,
Płakać, choć niema pobudki.
Mnie w mych cierpieniach to jedno pociesza,
Że nie wyczyta nikt z mojej twarzy,
Z czego mi serce pęka, o czem marzy —
Bo nikt odemnie mniej sobie nie waży
Bądź czci, bądź pochwał, bądź gniewów tej rzeszy,
Co najwierniejszą bywa dla przewrotnych;
Więc się dróg trzymam dzikich i samotnych. *(L. Siemieński).*

»Poezye« (wybrane) M. A. Buonarottiego przełożył L. Siemieński. (Kraków Cieszyn, 1861).

---

## IV. Torquato Tasso.

### Jerozolima wyzwolona.

Już szósty rok dobiega, jak krzyżowcy wyprawili się na odebranie Ziemi Świętej z rąk niewiernych i po wielu znojach i walkach dotarli do Syryi. Tu znużenie, niesnaski i prywata, powstrzymują ich od dalszego pochodu. Widzi to Bóg z wysokiego nieba i śle do Gotfryda z Buillonu archanioła Gabryela z napomnieniem i zachętą do ukończenia zaczętego dzieła. Gotfryd, który sam jeden nie zapomniał o celu krucyaty, zachęcony obietnicą Boga, zwołuje przedniejszych panów na radę, upomina ich do zgodnego działania; Piotr Pustelnik przemawia do nich o potrzebie ulegania jednemu wodzowi, a Duch Święty przenika ich serca tak, że wszyscy poddają się pod rozkazy Gotfryda. Ten czyni przegląd hufców, którym dowodzą: Robert, książę Normandyi, Baldwin, brat Gotfryda, Gwelf, pan Karyntyi, Tankred, pan normandzki z południowych Włoch, Rajmund, hrabia Tuluzy i t. d. — i wyrusza z niemi pod Jerozolimę. Na wiadomość o tem, Aladyn, władca jerozolimski, sposobi się do obrony.

Czarnoksiężnik Ismen obiecuje mu swą pomoc. Za jego radą Aladyn zabiera z kościoła obraz Matki Boskiej i umieszcza go w meczecie; ale obraz po nocy znika jakimś cudem. Aladyn, podejrzywając w tem robotę chrześcijan, postanawia ich wymordować. Żeby ocalić niewinnych, dziewica Sofronia i jej kochanek Olind, podają się za sprawców kradzieży. Już mają za to ponieść karę śmierci na stosie, gdy w Jerozolimie zjawia się Klorynda, dziewica słynna na Wschodzie ze swych czynów wojennych. — Przybywa ona z Persyi, żeby ofiarować swoje usługi Aladynowi przeciw zbliżającym się chrześcijanom. Na jej wstawienie się Aladyn puszcza wolno skazańców, lecz wypędza ich z granic Palestyny. Tymczasem do obozu krzyżowców przybywają od króla Egiptu posłowie: Halet i Argant, żeby ich skłonić do zaniechania pochodu. Wymowny Halet nie osiąga skutku i wraca do Egiptu, surowy zaś i wojowniczy Argant udaje się do Jerozolimy, żeby walczyć w jej obronie. Wkrótce potem podstępują pod miasto i krzyżowcy. W pierwszej zaraz potyczce Tankred strąca Kloryndzie z głowy hełm i olśniony pięknością jej lica, uczuwa ku niej niestłumioną miłość; w walce zaś z Argantem ginie dzielny Dudon. Całemu temu starciu przygląda się z murów Aladyn, a przy jego boku Erminia, która wskazuje mu i nazywa dzielniejszych rycerzy chrześcijańskich. Poznała ona krzyżowców z Antyochii, którą chrześcijanie wydarli jej ojcu; wzięta tam przez nich do niewoli, została wypuszczona na wolność przez rycerskiego Tankreda i znalazła przytułek u Aladyna, ale sercem pozostała przy szlachetnym rycerzu nieprzyjacielskim i teraz widzi go pod murami Jerozolimy. Noc kładzie koniec utarczce. Nazajutrz odbywa się pogrzeb Dudona, a Gotfryd rozkazuje cieślom budować machiny oblężnicze. Zatrwożone piekło postanawia wszelkimi sposobami demoralizować rycerzy chrześcijańskich. Znajduje ono pożądanego sprzymierzeńca w Armidzie, synowicy króla Damaszku. Piękna ta czarownica, pod pozorem szukania pomocy przeciw własnemu stryjowi, udaje się do obozu krzyżowców i tu zarówno urodą jak zręczną kokieteryą ujmuje sobie wielu przedniejszych rycerzy i zasiewa między nimi rozterki, każdy bowiem chce jej ofiarować swoje usługi, a tymczasem Gotfryd na to się nie zgadza. Za jej to sprawą wszczyna się spór o to, kto ma objąć dowództwo po Dudonie i młodzieńczy Rynald w uniesieniu zabija swojego współzawodnika Gernanda. Gotfryd na wstawienie się Tankreda skazuje go za to tylko na wywołanie z obozu. Wkrótce opuszcza obóz i Armida, uprowadzając z sobą dziesięciu wybranych rycerzy; inni wymykają się za nią nocą, a między nimi Eustachy, brat Gotfryda. W czas jakiś potem Tankred stacza pojedynek z Argantem; noc zmusza ich do odłożenia rozprawy na sześć dni, ponieważ obaj poodnosili ciężkie rany. Erminia, niespokojna o ukochanego Tankreda, postanawia go uzdrowić swoją znajomością sztuki lekarskiej i w tym celu, przebrawszy się w zbroję Kloryndy, wymyka się nocą za mury i śle do Tankreda zaufanego sługę. Gdy tak czeka na jego przybycie, spostrzegają ją czaty chrześcijańskie; spłoszona przez nie, ucieka w trwodze i znajduje przytułek u jakiegoś pustelnika. Tankred, myśląc, że go wzywała Klorynda, puszcza się za uciekającą, ale gubi jej ślad i zapędza się pod zamek, w którym Armida więzi uprowadzonych rycerzy, prócz Rambalda, bo ten wyparł się dla niej wiary świętej i przyobiecał walczyć w sprawie pogaństwa. Otumaniony czarami Tankred wpada w więzienną pułapkę i nie może stawić się w czasie umówionym do rozprawy z Argantem. Ten, nie mogąc się doczekać przeciwnika, urąga nieobecnemu. Zastąpić go w pojedynku podejmuje się sędziwy Rajmund, hrabia Tuluzy. Dosiadłszy swego Akwilina, zwraca się z prośbą do Boga:

„Ty któryś pocisk wątłego mściciela
Na Terebincie utkwił w Goliacie,
Kiedy olbrzyma, postrach Izraela,
Zabił w niemęskiej jeszcze młodzian szacie;
Panie! wznów przykład, co wiernych ośmiela,
Tego bluźniercę mej oddaj zatracie!
Przed słabym starcem niech pycha zbójecka
Legnie, jak legła z rąk starego dziecka!“

Ta ufność w Bogu krzepi męża siły,
A modły, z ziemskich wzniesione padołów,
Najprostszą drogą do nieba się wzbiły,
Jak płomień z wonnych poczęty żywiołów.

Ojciec przedwieczny hołd przyjmuje miły
I znak jednemu z swych daje aniołów,
Żeby rycerza uchronił od klęski
I nad niewiernym laur zjednał zwycięski.
Anioł, któremu dawniej Stwórcy wola
Zleciła baczną Rajmunda strzedz pieczą,
Nim jeszcze męska dlań dośpiała dola
I gdy poczynał pielgrzymkę człowieczą, —
Dziś, nowy rozkaz słysząc niebios króla,
By rycerzowi przybywał z odsieczą —
Zaraz do zamku wyniosłego śpieszy,
Gdzie jest zbrojownia nieśmiertelnej rzeszy.
Tam grot spoczywa, który przebił smoka,
Tam są i strzały, słynne mknieniem skorem,
A zdolne w locie, ukrytym dla oka,
Nieść drżącym ludom choroby z pomorem;
Tam wielki trójząb zwiesza się z wysoka,
Burzyciel grodów, co ziemi otworem
Dosięga świata wzruszonej zasady
I w otchłań piekła dzień przepuszcza blady.
Lecz nadewszystko z dyamentu rznięty
Jaśnieje puklerz śród broni zapasu.
Ten razem lądy z morskiemi odmęty
Mógł od Kaukazu pokryć do Atlasu;
Ten dobrych królów i cnoty szczyt święty
Od klęsk zasłaniać zwykł każdego czasu.
Bierze go anioł i niepostrzeżony
Obok Rajmunda staje do obrony.
Tymczasem tłumne Solimy mieszkańce
Na mur się cisną; król zaś od początku
Wysłał z Kloryndą część jazdy przed szańce,
By nikt nie przerwał dzieł przeważnych wątku.
Krzyżowcy również za obozu szańce
Oddział wojsk swoich ściągnęli w porządku;
A na plac wielki pomiędzy szykami
Dwaj przeciwnicy występują sami.

Po wymianie przechwałek i cierpkich pogróżek obaj zapaśnicy uderzają na siebie. Rajmund, pomimo starości, ma widoczną nad młodym Argantem przewagę, bo czuwa nad nim niewidzialny anioł.

Jak pyszny okręt miotany od fali
Bez steru, masztów, stracony z pozoru,
Przecież potężny więzią krzepkich bali
Śród wzburzonego trzyma się przestworu
I mimo klęski w najstraszniejszej dobie
Jeszcze nie każe rozpaczać o sobie;
Tak ważył Argant życie zapaśnicze,
Gdy Belzebuba zbawia go opieka.

Ten o swe bowiem troskliwy zdobycze,
Z obłoku bałwan ukształcił człowieka,
Dał mu Kloryndy nadobne oblicze,
Zmyślił jej zbroję świecącą zdaleka,
Jej chód, jej mowę, układ jej postawy,
Głos dobrze znany i ruch ciała żwawy.

Namówiony przez tę marę, jeden z łuczników wypuszcza strzałę w Rajmunda i zrywa w ten sposób warunki pojedynku; wszczyna się bitwa ogólna, w której szala zwycięstwa zaczyna się przechylać na stronę chrześcijan.

Gdyby nie inną wyrok nieśmiertelny
Zakreślił dobę w przeznaczenia księdze,
Byłby dnia tego zastęp krzyża dzielny
Uiścił śluby, wierny swej przysiędze.
Lecz w owej walce monarcha piekielny,
Widząc zbliżony kres własnej potędze,
A rad, że niema wyższego zakazu,
Wichry i chmury gromadzi odrazu.
Wnet tarczą słońca noc śród dnia powlekła,
Niebo, w zamroczu pogrążone gęstem,
Przybiera nagle czarną postać piekła,
Które błyskaniem oświetla się częstem.
Grzmi, biją gromy, wre nawałność wściekła,
Zmarzły deszcz niwom powódź niesie z chrzęstem,
Wiatr rwie gałęzie, a szumiąca fala
Nietylko dęby, lecz skały obala.
Kroplista zamieć, burzą pchnięta srogą,
W oczy krzyżowców natarczywie praży;
Zmokłe ich roty wątłą kroczą nogą,
Nagłe wzruszenie strachem serce warzy;
Już nawet dostrzedz znaków swych nie mogą,
Przy których ledwie część zostaje straży. *(L. Kamiński.)*

Wyzyskują tak pomyślną chwilę niewierni i odpierają zwycięsko krzyżowców. Wkrótce potem dochodzi do obozu fałszywa pogłoska, że wygnany Rynald zginął, i wywołuje szemranie przeciw Gotfrydowi, że surowym wyrokiem przyczynił się do śmierci bohatera; ale ten powagą swej władzy tłumi gotujący się rozruch. Gdy więc i ten fortel piekła nie odnosi skutku, Alekto podburza walecznego Solimana, byłego sułtana Nicei, żeby napadł na krzyżowców z hordą Arabów. W zaciętej bitwie biorą udział i mieszkańcy piekła, ale archanioł Michał, wysłany od Boga, nakazuje im wracać do Erebu. Napastnicy pierzchają, gdy w pomoc chrześcijanom przybywa hufiec, złożony z pięćdziesięciu krzyżowców. Są to właśnie rycerze, których uprowadziła Armida; między nimi znajduje się i Tankred. Z ich opowieści okazuje się, że Rynald żyje, gdyż odbił ich straży, która z rozkazu Armidy, odprowadzała ich jako jeńców do Egiptu. Słuchając tego, Piotr Pustelnik, natchniony duchem bożym, wieści przyszłą wielkość jego potomków (Estów) i oznajmia, iż Bóg chce go mieć w liczbie walczących pod Jerozolimą. — Nazajutrz Gotfryd, mając już zbudowane machiny oblężnicze, przypuszcza szturm do miasta; Klorynda rani go strzałą w nogę i zmusza do usunięcia się z placu boju; wprawdzie anioł uzdrawia go sokiem z ziół leczniczych, ale tymczasem zapada zmrok i szturm trzeba odłożyć do dnia następnego. Wysoka wieża, podsunięta ku murom, pozostaje na miejscu pod czujną strażą. Klorynda umawia się z Argantem zrobić nocną wycieczkę i spalić niebezpieczną wieżę. Dowiedziawszy się o tym zamiarze, stary jej sługa chce ją powstrzymać od jego wykonania, bo miał sen,

który wróży blizki zgon Kloryndy; wyjawia jej nawet tajemnicę jej pochodzenia od rodziców chrześcijańskich. Ale napróżno! Klorynda w towarzystwie Arganta uskutecznia wycieczkę i podpala wieżę, ale w odwrocie przed pogonią krzyżowców spóźnia się i zastaje bramę zamkniętą.

A skoro swój gniew i serce zażarte
W chrześcijańskiej krwi w on czas zaprawiła,
Widząc, że bramy i miasto zawarte,
Po wielkiej części o sobie zwątpiła.
Ale nadzieją płochą myśli wsparte
Prędko na nowy fortel obróciła:
Za jednego się z ich wojska udała
I między nie się nieznana wmieszała.
Potem jako wilk, co stado rozbije,
Dopadłszy lasu, prędko z oczu ginie,
Idzie ukradkiem i łatwo się kryje
W nocy i w onej wielkiej mieszaninie.
Lecz Tankredowi przecię się nie skryje;
Ten widział, kiedy w onejże godzinie
Ardeliota przed bramą zabiła,
I pilnował jej, gdzie się obróciła.
Mniema, że to mąż jaki doświadczony,
Nie myśląc, aby białą płcią być miała;
Chce się z nią spatrzyć, a ta z jednej strony
Odbiegłszy, w miasto drugą bramą chciała.
I niż jej Tankred dognał zapędzony,
Na chrzęst się jego zbroje obejrzała.
Co, prawi, niesiesz? On jej na to powie:
I śmierć i wojnę. Ona zaś odpowie:
„Jeśli chcesz śmierci i ta cię nacieszy,
Damci ją wnetże“. Wtem stanęła w kroku.
On, widząc, że był nieprzyjaciel pieszy,
Zarazem z siodła w prędkim wypadł skoku.
Tak zbywszy konia, do niej się pośpieszy,
I oboje szli po miecze do boku
I tak się zwarli, jako srodzy bycy
Przy swej się lubej bodą jałowicy.
Jasnego słońca godne to czynienie
Wasze tam było, o rycerze wzięci:
A ty, o nocy, coś na nie swe cienie
I płaszcz z zawistnej kładła niepamięci,
Dopuść mi, proszę, i daj pozwolenie,
Aby mem piórem byli z niej wyjęci.
Niechaj trwa wiecznie sława ich dzielności
I niech się święci pamięć twej ciemności.
Nie dybią na się, ani się składają,
Nic im szermierskie sztuki nie pomogą:
Pełne li razy, skąpe li być mają,
W cieniu i w gniewie rozeznać nie mogą.

Słyszeć, że miecze straszny dźwięk dawają,
A żaden kroku nie ustąpi nogą:
Ta stoi w miejscu, a ręką pracuje,
Coraz nowy sztych i cięcie znajduje.
Obelżenie gniew do pomsty podwodzi,
Pomsta przydawa potem obelżenia:
Stądże im zawżdy do nowych przychodzi
Przyczyn do cięcia, bojców do kwapienia.
Miesza się bitwa, coraz ciaśniej chodzi,
Już im nie służą miecze do czynienia:
Biją się srodze wzajem głowicami,
Tłuką się hełmy, tłuką się tarczami.
Trzykroć ją ścisnął, trzykroć także ona
Wydarła mu się z węzła tak mocnego,
Którym nie była z miłości ściśniona,
Lecz z nieprzyjaźni i z gniewu wielkiego.
Znowu do mieczów poszli, już raniona
I ona, i on; już i tchu samego
Ledwie im staje. Potem się cofnęli,
Aby po wielkiej pracy odpoczęli.
Tak na mieczowej wsparłszy się głowicy,
Patrzyli na się ta z tej, ów z tej strony,
Kiedy Apollo swojemu woźnicy
Nieść kazał na świat dzień światłem pleciony.
Widzi krwie siła Tankred na dziewicy,
Cieszy się hardy, że mniej obrażony.
O ludzkie myśli! głupie to czynicie,
Że się za lada szczęściem unosicie.
Z czego się cieszysz, o Tankredzie? czemu
Chełpisz się, szczęściem omylnem pijany?
Wrychle zwycięstwu nierad będziesz swemu
I będziesz płakał tej krwie i tej rany.
Chwilę się milcząc on jej, ona jemu
Przypatrywali sobie naprzemiany.
Nakoniec Tankred ozwał się z swą mową,
Pytając: kto był i jako go zową?
„Spólne to — prawi — nieszczęście sprawuje,
Że naszą dzielność pokrywa milczeniem:
A iż nam zły los sławę odejmuje,
Słusznie nabytą tak mężnem czynieniem:
Proszę cię — jeśli gniew prośbę przyjmuje,
Powiedz mi twój stan z twem własnem imieniem;
Niech wiem lub przegram, lub wezmę zwycięstwo,
Kto śmierć ozdobi albo moje męstwo".
Ona mu na to: „Imienia mojego
Nie będziesz wiedział, już cię to omyli;
Dosyć masz na tem, że widzisz jednego
Z tych dwu, co wielką wieżę zapalili".

Harda odpowiedź rycerza zacnego
Tak uraziła bardzo w onej chwili,
Że do niej znowu wielkim pędem skoczył,
Aby się zemścił i miecz w niej omoczył.
Wraca się im gniew w serca zajątrzone,
Choć się każdy z nich bardzo słabym czuje;
Nauka za nic, siły już zemdlone,
A na ich miejsce wściekłość następuje.
O jako wielkie i niewymówione
Rany miecz czyni, gdzie jedno zajmuje:
W zbroi i w ciele, a że żywot jeszcze
Nie wyszedł, gniew mu w sercu czyni miejsce.
Jako ocean, choć wiatry ustały,
Które go z gruntu dopiero wzburzyły,
Długo nadęte trzyma swoje wały,
Niżli swój straszny gniew uspokoiły:
Tak i ci, choć już wszystkie osłabiały,
Choć w nich upadły spracowane siły, —
Swą popędliwość pierwszą zachowują
I wielkim gwałtem na się następują.
Ale już przędzę Parka nieużytą
Kloryndzinego żywota zwijała:
Pchnął ją w zanadrze Tankred i obfitą,
Miecz utopiwszy, krew wytoczył z ciała,
I zmoczył złotem koszulę wyszytą,
Którą panieńskie piersi sznurowała.
Czuje, że ją już nogą ledwie wspiera
I że już mdleje i że już umiera.
Idzie za szczęściem zwycięzca surowy
I sztych śmiertelny pędzi między kości.
Ona, konając, rzekła temi słowy,
Zwykłej na twarzy nie tracąc śmiałości, —
Którą znać, że w niej duch sprawował nowy,
Duch skruchy, wiary i świętej dufności,
Że choć poganką za żywota była,
Umierając się ato nawróciła: —
„Odpuść ci, Boże, ato masz wygraną,
A ty też, proszę, odpuść mojej duszy;
Proś Boga za nię i grzechem spluskaną
Oczyść chrztem świętym i zbroń od pokusy".
Tą żałościwą, tą niespodziewaną
Prośbą jej Tankred zarazem się ruszy
I wewnątrz żalem okrutnym dotkniony,
Umarza gniewy i płacze zmiękczony.
Do przezroczystej pobieżał krynice,
Która z przyległej góry wynikała,
I w hełm porwawszy wody, do dziewice
Wracał się, która już dokonywała.

Kiedy jej dotąd niepoznane lice
Odkrył z szyszaka, ręka mu zadrżała:
Pozna ją zaraz i jako słup stanie,
O nieszczęśliwe, o przykre poznanie!
Nie umarł zaraz, bo wszystkie swe mocy
Zebrane serca pilnować wyprawił;
I dusząc w sobie żal, koło pomocy
Świętej się wszystek na on czas zabawił.
Śmiech wdzięczny piękne wydawały oczy
Skoro chrzest święty ony rycerz odprawił,
I tak się zdało, jakoby mówiła:
Niebom osięgła, niebam dostąpiła.
Mało co pierwszej straciwszy piękności,
Jako lilija białą barwą bladła,
Na jasne niebo, zda się, że z litości,
Gdy w nią patrzało, czarna chmura padła.
A nie mogąc już mówić, życzliwości
Znak zimną rękę na rycerza kładła.
Tak piękna dziewka w on czas umierała,
Że kto nie wiedział, rozumiał, że spała. *(Piotr Kochanowski).*

Zbolały Tankred zapada w rozpaczliwe pognębienie; otrząsa się z niego dopiero wtedy, gdy mu we śnie ukazuje się Klorynda i oznajmia, że dostąpiła zbawienia. Daje się więc leczyć z ran, odniesionych w fatalnym pojedynku, i znowu bierze udział w walce. Właśnie tymczasem Ismen, nie chcąc, ażeby chrześcijanie zbudowali nowe wieże, rzuca czary na las, który dostarczał na nie drzewa. Różne strachy płoszą z niego cieśli i żołnierzy. Tankred spodziewa się przemódz czary, ale i on mięknie i ustępuje wzruszony, gdy ścinane drzewo przemówiło do niego bolejącym głosem Kloryndy. Wówczas to Bóg objawia we śnie Gotfrydowi, żeby odwołał z wygnania Rynalda, bo tylko on jeden przełamie czary i przyczyni się do zdobycia Jerozolimy. Dwaj rycerze — Karol i Hubald, podejmują się odszukać wywołańca; Piotr Pustelnik radzi im udać się do świątobliwego pokutnika w pobliżu Askalonu, a on im powie, gdzie się Rynald znajduje. Ten im oznajmia, że zła Armida, ująwszy go w sieć swoich powabów, uprowadziła na zaczarowaną wyspę, udziela im wskazówek, jak mają się dostać do jej pałacu, a dla rozpędzenia czarów, któremi się otacza, daje im różczkę cudowną, oraz tarczę, w której musi się Rynald przejrzeć, żeby się opamiętał i z gnuśności otrząsnął. Nazajutrz rycerze opuszczają pustelnika i udają się nad morze, gdzie zastają gotową łódź i przewoźniczkę, z nieba zesłaną. Ta przewozi ich na wyspę Armidy, położoną gdzieś za słupami Herkulesa. Wysadzeni na ląd jeszcze przed zachodem słońca, podstępują ku górze, na której stoi pałac czarownicy.

Widzą wierzch góry trudno dostąpiony
Dla nierównych skał i ostrych kamieni,
I że po stronach wszędzie na niej śrony
I śniegi, a wierzch tylko się zieleni;
Przy siwej brodzie z kwiecia upleciony
Włos niesie i lód lilijej nie mieni, —
I róża kwitnie z wielkiem podziwieniem:
Tak czary mają moc nad przyrodzeniem.
Oba pod górą zakryli się w lesie,
Przyszłej jutrzejszej czekając roboty;
Potem ujrzawszy, że już na świat niesie
Z wielkiego morza słońce promień złoty,

Na przykrą górę poszli w onym czesie,
Wzajemnie sobie dodając ochoty.
Ale pod górą zarazem u drogi
Zastąpił im smok straszliwy i srogi.
Łuską nakryty łeb i wielkie czuby
I szyję gniewem nadętą wyciągnął,
A brzuch rozwlokły i ogon zbyt gruby
Tam, gdzie mieli iść, na drodze rozciągnął,
To w się sam wchodził, to wielkie przeguby
Wydawał i sam za sobą się ciągnął.
Tak się wielki smok przeciwko nim stroży,
Darmo się jednak i bez skutku srożył.
Już Karzeł miecza dobywał od boku,
Ale go Ubald uchwycił zarazem:
„Cóż? chcesz zwyciężyć okrutnego smoku
Śmiertelną ręką, śmiertelnem żelazem?“
A sam pomknąwszy śmiele podeń kroku,
Rózgą nań machnął, aż on jednym razem
Uciekając w las, z drogi ustępuje
I wolne w górę przejście zostawuje.
Ale kęs wyżej lew ryczał straszliwy
I wyostrzone ukazował zęby,
Bił się po bokach, wzrok obracał krzywy,
Język wywieszał z rozdziawionej gęby,
Grzbiet najeżony i u wielkiej grzywy
Podnosił straszne i kosmate kłęby.
Lecz i ten, skoro złotą rózgę zoczył,
Do lasa w stronę wylękniony skoczył.
Kończą swą drogę rycerze, lecz nową
Zawadę znowu w pół góry zastają:
Zwierzę drapieżne, które różnie zową,
Różny głos, postać i różny chód mają,
Wszystkie co sroższe, co między Nilową
Wodą i wielkim Atlantem mieszkają
I co się lęgą w Hercynińskim lesie,
Tam się do kupy zbiegły w onym czesie
Ale na ono straszne zgromadzenie
Libijskich zwierzów rycerze nie dbali;
Owszem (jaki cud) na małe machnienie
Srodzy dziwowie zaraz uciekali.
I na samy wierzch przez ostre kamienie
Już bez zawady żadnej wstępowali;
Okrom że ślizkie i nierówne skały
Strudzone nogi czasem hamowały.
A kiedy trudne przebyli przechody
I przez śrzeżogi i śniegi przeleźli,
Zastali lato i piękne pogody
Z wielką równiną, skoro na wierzch wleźli.

Tamże wdzięcznemi i miłemi chłody
Wonno wiejące Zefiry należli
I wiatr przyjemny, który nieprzestany
Zawżdy tam wieje i nie ma odmiany.
Nie tak jako tu, kędy niestateczny
To znój, to zimno, to jasno, to chmury:
Lecz tam dzień zawżdy pogodny, bezpieczny
I nie zna nigdy mgły wierzch pięknej góry.
Cień drzewa zawżdy wydawają wieczny
I zioła zapach i kwiecie purpury.
Pałac nad pięknem jeziorem wysoki
Dalekie wszędzie posyła widoki.
A iż po przykrej i skalistej onej
Górze się byli rycerze strudzili,
Już po równinie wolno szli zielonej
I postawając drogę swą kończyli.
A wtem piękny zdrój, który upragnionej
Żądzy do siebie wabił, obaczyli,
Który z obfitej żyły wody ciskał
I na co bliższe zioła wkoło pryskał.
Potem się wody różnemi ścieżkami
Do głębokiego przykopu schodziły
I idąc chłodem, nakryte cieniami
Z drzew swoich brzegów, wdzięczny dźwięk czyniły,
Tak przezroczyste, że pod kryształami
Swemi kamienia drobnego nie kryły;
Brzegi obadwa trawą się odziały
Między drzewami, które razem stały. *(Piotr Kochanowski).*

Przezwyciężając różne przeszkody i pokusy, rycerze dostają się do Rynalda w chwili, gdy opuściła go Armida. Przejrzawszy się w tarczy cudownej, Rynald otrząsa się z gnuśności i w towarzystwie wysłańców opuszcza pałac. Armida spostrzega jego ucieczkę, dopędza go i tkliwemi prośbami stara się przy sobie zatrzymać. Napróżno! Rynald odpływa, a ona, zapalona żądzą zemsty, pośpiesza do Egiptu, gdzie właśnie zebrane wojska mają wyruszyć na krzyżowców, i przedniejszym ich wodzom oznajmia, że tego z nich uszczęśliwi swą ręką wraz z królestwem Damaszku, kto Rynalda położy trupem. Wszyscy zapalają się do tak ponętnej nagrody. Tymczasem Rynald przybywa do obozu, odbywa spowiedź, udaje się do zaczarowanego lasu i przezwycięża czary. Krzyżowcy budują nowe machiny oblężnicze i przypuszczają szturm do miasta; Rynald pierwszy wdziera się na jego mury; Ismen ginie, uderzony kamieniem z oblężniczej wieży; miasto zostaje zdobyte i niewiernym pozostaje tylko warowny zamek, do którego wszyscy się chronią. Nie ustępuje tylko Argant i stacza śmiertelny pojedynek z Tankredem; ginie nareszcie, ale i Tankred, osłabiony ranami, pada omdlały. Tak go zastaje Wafryn, sługa jego, który był wysłany na zwiady do obozu egipskiego. Tu poznaje go Erminia, udziela mu potrzebnych wiadomości i razem z nim ucieka do obozu chrześcijan. Właśnie gdy w powrocie przechodzą o zmroku przez świeże pobojowisko, natrafiają na Tankreda, przywracają do zmysłów i odnoszą do zdobytego miasta. Nazajutrz rano zdąża odsiecz egipska. Wszczyna się rozpaczliwa walka. Rynald, rozgromiwszy hufiec Armidy, zadaje śmierć mężnemu Solimanowi, a Rajmund z Tuluzy — królowi Jerozolimy. Zrozpaczona Armida, nie mogąc w sobie stłumić miłości ku Rynaldowi, ucieka z placu boju w odludne miejsce i tu śmierć chce sobie zadać; ale dopędza ją Rynald i wynurzeniem swej miłości powstrzymuje od samobójstwa. Wzruszona tem i obietnicą, że ją weźmie za małżonkę, jeżeli chrzest przyjmie, skłania

się do próśb jego. Tymczasem Gotfryd powala Emirena i Altamora, ostatnich wodzów nieprzyjacielskich, rozprasza niedobitków i ze swojemi hufcami udaje się do Grobu Zbawiciela, podziękować za odniesione zwycięstwo.

»Jerozolimę wyzwoloną« na język polski tłómaczyli: Piotr Kochanowski (Kraków, 1618 i kilkakroć później; ostatnio w Wilnie, 1826 i w »Bibliotece polskiej« Turowskiego, Sanok, 1856 str. XXXV, 492.) i Ludwik Kamiński (Warszawa 1846).

## V. Tomasz Campanella.

### Sonet.

Miłością własną ludzie pychę sycą;
Nie mają u nich żywioły ni słońca,
Ni najpiękniejsza gwiazda pałająca
Myśli ni czucia... dla nich krążą, świécą.
Ludy za kraju naszego granicą
To — ludy dzikie i Bóg je odtrąca!...
Wreszcie, nie znając zaślepienia końca,
Już tylko siebie kochaniem zaszczycą.
Ten nieuk — wargi na wiedzę odyma;
Że nie po jego woli świat się kręci,
Twierdzi, że Boga opatrznego niéma;
Ten nazwie chytrość mądrością i w chęci
Władzy śród nowych bóstw, z giestem olbrzyma
Jako wszechstworza autor się wyświęci. *(E. Porębowicz).*

## VI. Aleksander Tassoni.

### Wiadro porwane.

Poemat ten jest osnuty na tle wojen domowych, jakie w wieku XIII toczyły między sobą miasta włoskie, rozdzielone na dwa wrogie obozy: Gwelfów i Gibelinów. W opiewanej tu walce pomiędzy Modeną i Bolonią, król sardyński Enzio, syn cesarza Fryderyka II-go, dostał się w ręce Bolończyków i przesiedział w niewoli aż do śmierci. Według podania, powodem do tej wojny miało być porwanie z Bolonii wiadra przez Modeńczyków w r. 1248.

Chciałbym opiewać gniewy zapalczywe,
Jak poruszyły ludzkie animusze.
Wiadro zwaśniało, wiadro nieszczęśliwe
Z Petroninami Geminaniusze [1]).
Przybądź, Apollo! wzbudzaj myśli żywe,
Gdy boje krwawe śpiewać się pokuszę.
Wiesz, co to bajać: duchy wieszcze zżymaj,
A gdy w zapędach potknę się, zatrzymaj!

[1]) Patronem Bolonii był św. Petroniusz, Modeny zaś — św. Geminian.

Już orzeł rzymski stracił był łożyska,
Łożyska dawne, i szpony stępiały;
Legł, co okropne sprawiał widowiska,
Brytanny, Scyty, Party już nie drżały.
Szczęśliwe włoskich narodów siedliska
Zamiast pomocy, której dodawały,
Zbyt rozbujałe w pożądanej doli,
Jak stada żrebców, bujały do woli.
Adryatyckich wód tylko władczyna,
Wśród zawaśnionych innych sama czuła,
Tam, gdzie się wschodnie państwo rozpoczyna,
Coraz zabory nowe w myślach knuła;
Dokonywała dumnego Greczyna
I zdziercę tego z zdobyczy wyzuła;
Gdy jej sąsiady, nieczułe w przygodzie,
Trwały upornie w zajadłej niezgodzie.
Na dwie się części dzieliły te waśnie:
Jedni z nich Gwelfy, drudzy Gibelini;
Ci za kościołem, ci za Niemcy właśnie
Stojąc, do wspólnej zmierzali ruiny.
Bolończykowie z Modeńcami jaśnie
Dawną nienawiść rozjątrzali czyny:
I wtem się zdarzył ów przypadek srogi,
Co wzbudził wzajem i ludzie i bogi.
Już był przyjemnej zorzy Febus blizki,
Obłoki czarne już blask na się brały,
Śklniła się rosa świetnemi pociski,
Na cichem morzu wiatry spoczywały,
Zefir słodkiemi oddechy, igrzyski,
Bujał po łąkach, trawki się zginały;
Wszczynały pieśni wdzięcznej chwili posły,
W zapale serca śpiewały i osły.
Słodka ta chwila, co wszystko porusza
I świerki budzi po polu skaczące,
A Bolończyków wzniosły animusza,
Chęci kłótliwe i żądze burzące.
Wyrok najwyższy ogłoszon z ratusza:
Wyprawić wojsko, choć w czasy gorące.
Zeszło się w wieczór, wyszło w pole rano —
I zaraz o tem w Modenie wiedziano.
Leży obszerne miasto i wspaniałe,
Tam gdzie się ciągnie rozwlekła dolina,
Wznoszą się wzgórki po stronach niemałe
A gdzie się wzniosłość wydatniej zaczyna,
Nadal widzialne, morzom okazałe,
Odkrywają się góry Apenina.
Tych śnieżnym kręgiem ścieśnion szczyt wysoki
Zda się, iż schyla, dźwigając obłoki.

Od wschodu słońca w kwitnącej uboczy
Panarus wdzięczy rozkoszne nadbrzeże,
Erydan z szumem bystre wody toczy
I zwłok potomka Febowego strzeże [1]).
Seknia dalej zżyma się i tłoczy
Krętemi nurty pod bolońskie wieże,
A rwąc w swym pędzie i pola i laski,
Żyzne doliny zasypuje piaski.
Jak niegdyś w Sparcie, tak w Modenie żyli
Bez twierdz i murów spokojni mieszkańce:
Fosy, któremi miasto otoczyli,
Zasypały się, wklęsły w ziemię szańce.
Wtem na gwałt w nocy stróże uderzyli.
Liczne natychmiast pochodnie, kagańce
Błysnęły razem, porwali się z łóżka
Stary i młody, młoda i staruszka.
Ten obuł nogę, a drugą biegł bosy,
Ta zamiast pończoch wdziała rękawice,
Ów porwał przetak i wsadził na włosy,
Ten tarcz porzucił, a wziął szachownicę;
Mnichy w perukach, w kornetach młokosy,
Jak kto co dostał, tak biegł na ulicę.
Tam chcąc być widzian stanął na ustroniu,
Pan burmistrz Scotti w pantoflach na koniu.
Chorągiew miejską oburącz trzymano
Tuż przy nim; z wiatry wspaniale igrała;
Wojsko tymczasem pod znaki zbierano,
Coraz się bardziej gromada zwiększała.
Rząd Gerardowi natychmiast oddano,
Z władzą chorągiew jemu się dostała.
Szły zatem hufce, niosąc znaki swoje,
Szły, ale zwolna — na mordy i boje.
Wtem się ukazał poczet wieloraki,
Wybór piękności płci wdzięcznej dziewiczy,
Kształtne świetnemi rynsztunki i znaki,
Z dziwem je każdy uważa i liczy.
Piękna Renopia wiodła te orszaki,
Co wszystkie serca trzymała w zdobyczy,
Nadziei słodkich powab i otucha,
Ale — na prawe ucho była głucha.
Zamilkli wszyscy, ta mówić zaczęła:
„Otośmy teraz na placu stanęły;
Słabeśmy wprawdzie, lecz o wielkie dzieła
Idzie; tegośmy ustawnie pragnęły,
Aby ojczyzna i z nas pomoc wzięła,
Strzedz bramy i twierdz gdyśmy przedsięwzięły;

[1]) Faetona.

A choćby przyszło bić się poza bramy,
I temu dziełu mężnie podołamy.
Gdy Barbarosy, chciwego na boje,
Groziła Włochom zemsta zapalczywa,
Dziad mój nieboszczyk pozyskał tę zbroję,
Która mnie w oczach waszych dziś okrywa.
Bronił narzędzia brat, mieniąc za swoje,
Jam mu je wzięła, na gonitwy chciwa.
Dozna Bolończyk w polu, iż płeć nasza,
Jak wdziękiem wabi, tak męstwem zastrasza."
Rzekła; natychmiast młodzież, chciwa wojny,
Bujna rozpustą, próżniactwem wypasła,
Stłumić nie mogąc umysł niespokojny,
Krzykiem ochoczym jednostajnie wrzasła.
Słysząc ten odgłos, pan burmistrz dostojny
Okrzyknął z góry przeraźliwe hasła:
„Ciszej, hałastro, świegotliwe jędze,
Jak się zawinę, kijem was rozpędzę!
Alboż to jarmark! gdy się bić należy,
Bronić ojczyzny — alboż to są fraszki?
Niech każdy raczej na ratunek bieży,
Niech, stojąc w szyku, porzuci igraszki,
Niech się odważnie stawi i najeży
Na miecze, dzidy, nie garnce i flaszki."
Ucichła wrzawa, a Gerard tymczasem
Na Bolończyki wpadł z wielkim hałasem.

*(Wolny przekład I. Krasickiego).*

Bolończycy odparci, cofają się do domu; Modeńczycy, ścigając napastników, wpadają do Bolonii i jako zdobycz zabierają wiadro, znalezione przy studni na rynku, a wróciwszy w tryumfie, umocowują je na łańcuchu przy bramie miejskiej. Bolończycy żądają zwrotu wiadra, lecz otrzymują odmowę. Obie strony gotują się do wojny. Jowisz zwołuje na Olimpie radę bogów. Apollo i Minerwa oświadczają się za uczoną Bolonią, Wenera zaś, Mars i Bachus stają po stronie Modeny. Bachus Niemców, a Wenera skłania króla Enzia do dania pomocy Modenie. Miasta włoskie chwytają za broń, żeby się łączyć z jedną lub drugą zapaśniczką; papież i Florencya niosą pomoc Bolonii. Po różnych utarczkach, przychodzi do stanowczej rozprawy. Podczas bitwy Niemcy opuszczają króla Enzia, żeby napaść na obóz Florentynów, gdzie się spodziewają znaleść bogate łupy. Zawodzi ich nadzieja obłowu, a tymczasem opuszczony Enzio dostaje się do niewoli. Natomiast lewe skrzydło Modeńczyków odnosi zwycięstwo. Bitwa więc zostaje nierozstrzygnięta. Następują układy; ale Modeńczycy za nic nie chcą się zgodzić na wydanie wiadra, Bolończycy zaś — na uwolnienie Enzia. Podczas tych układów Renopia jest przedmiotem miłosnych zabiegów różnych wielbicieli, nawet pojedynków na zaczarowanej wyspie, otoczonej nurtami rzeki Po. Zrywają się wreszcie układy i zanosi się na wznowienie wojny. Ezzelino da Romano gotuje się dać pomoc Modeńczykom. Zatrwożony tem papież posyła swojego legata i ten skłania obie strony do zawarcia pokoju; wiadro pozostaje w posiadaniu Modeńczyków, Enzio — w niewoli u Bolończyków.

# VII. Jan Chrzciciel Marini.

## 1. Adonis (L'Adone).

Jestto ogromny poemat w 20 pieśniach, opiewający w stancach miłość Wenery i Adonisa, przyczem autor wplata mnóstwo epizodycznych podań mitologicznych i rozwija dużo refleksyj. Amor czyli Kupidyn rozgniewany na matkę rani ją swemi strzałami i przejmuje ją miłością do Adonisa, którego burza wyrzuca na wyspę Cypr, gdzie go ujrzała Wenus i z zachwytem przypatrywać mu się zaczęła:

Potem na uśmiech między wargi obie
Do perłowego zamknięty więzienia,
Pogląda czuła i skupiona w sobie
I takie ustom jego śle westchnienia:
„Urno z brylantów, serca mego grobie,
Sama ty, sama błagaj przebaczenia,
Jeżeli zbytnim płomieniem ja gorę.
Duszę, coś wzięła mi, teraz odbiorę.

*(Edward Porębowicz).*

Obudzony pocałunkiem zstępuje wraz z boską kochanką do pałacu Miłości, poczem schodzi do ogrodu Rozkoszy i zwiedza kolejno siedziby pięciu zmysłów: Wzroku, Powonienia, Słuchu, Smaku i Dotyku. Następnie wzlatuje do nieba wraz z Wenerą, Amorem i Merkurym; zwiedza »dom sztuki« i bibliotekę Merkurego, gdzie na globusie odczytuje wojny Francyi, Piemontu i Wenecyi. Wstępuje w sferę Wenery, gdzie ogląda duchy najdostojniejszych kobiet. Ale od tego czasu zaczynają się jego nieszczęścia i klęski z powodu sprzymierzonych ze sobą Marsa i Dyany. Ogłoszony królem Cypru, wyprawia polowanie, na którem odyniec, posłany przez Marsa, rani go śmiertelnie. Bogowie zajmują się jego pogrzebem; Wenera urządza igrzyska jak w Iliadze. Jeden z epizodów tego poematu, w pieśni 4-tej p. t. »La Novelletà« opowiada dzieje Amora i Psychy. Dziewica królewskiego rodu tak była cudnej urody, że okoliczni mieszkańcy cześć jej boską składać zaczęli. Dotknięta tem Wenus szuka Amora, by mu zemstę nad Psychą powierzyć. Amor atoli zachwycony wdziękami Psychy zakochał się w niej i osadził w pałacu obsługiwanym przez duchy, wymagając koniecznie, ażeby Psyche nigdy nie usiłowała go widzieć przy świetle. Zazdrosne siostry, odwiedzając parokrotnie Psychę, potrafiły w nią wmówić, że ów tajemniczy jej oblubieniec to smok czyhający na jej życie. Trwogą i ciekawością powodowana Psyche ukrywa lampę i nóż i gdy Amor usnął, zamierza sprawdzić podstępne domysły sióstr swoich:

Cicho z pościeli powstawszy, zarazem
Do pokoju się po lampę udaje;
Jednak, choć radą zbrojna i żelazem
Trupieje z strachu i z bojaźni taje;
Ale nadzieja, że się za tym razem
Zbawi od smoka, męstwa jej dodaje
I wyrok z nieba i przymus niemiły
Przysparza ręce białogłowskiej siły.

Wchodzi ostrożnie i gwoli przestrodze
Pogląda wszędzie, w progu się stanowi,
Maca przed sobą i nogę po nodze
Stawia, twardemu nie dowierza snowi,
Ucha nadstawia i trwoży się srodze,
Kiedy mąż chrapnie albo tchnienie wznowi.
Na palcach stąpa i jak na zasadzce
Niecałe stopy stawia na posadzce.

Dopieroż, kiedy do łóżka się zbliża,
Nie wie, co czyni, a czyni, co musi;
Nie śmie odetchnąć i, jeżeli chyża
Wymknie się para, w pół-biegu ją dusi.
Strach w niej odwagę zaczętą uniża
A pomsta cała zmocnić się ją kusi:
To chce, to nie chce, porzuci i wszczyna,
Krew jej wre w sercu, a w żyłach się ścina.

Ale kiedy te, co czyniły wstręty
Wolnemu światłu, odemknęła blachy
I pokazał się knot dotąd zamknięty,
Namiot i całe oświecając gmachy;
Dziw ją ogarnął myślą niepojęty,
Żal jej przystąpił, odstąpiły strachy:
Nie wie, czy to sen, bo rzuceniem oka
Śliczne chłopiątko widzi, miasto smoka.

Wstyd jej lekkiego postępku, że zbyła
Wiary, na której jej pociechy stały;
Radaby światło, złego świadka, skryła,
Radaby w sercu ukryła pujnały.
Jakoż skryć całe była umyśliła
Żelazo winne w piersi swych śnieg biały,
Gdyby jej była z ręku nie wypadła
Broń, miecznicznego robota kowadła.

Ogląda potem Kupidowe lubie[1])
I kolczan pełny leżący na stole.
Wtem strzałka, takiej przyuczona chlubie,
Skrycie ją w palec serdeczny zakole.
Ona wskok z rany zdradne żądło skubie,
Ale już niewczas, bo dwojakie bole
Czuje z tej rany i dwojaką mękę,
Przyjemną w sercu i bolesną w rękę.

Patrzy na gładkie chłopię ledwo żywa,
Snu się wdzięcznego przerwać nie ośmieli;
A wtem niewcześnie zazdrosna oliwa,
W której knot lampy spływał jak w kąpieli,
A tak gorący, jak smoła z łuczywa,
Pryśnie z kaganka i kroplę wystrzeli,
Która na gołe chłopcu padła ciało
Tam, gdzie się skrzydło z barkami wiązało.

Porwał się ze snu i zrzucił z posłania
Sparzony bożek; a Psyche go prosi,

[1]) Sajdak.

Żeby zwykłego doczekał zarania.
Trzyma go mocno, z prośbą gwałt przynosi:
Puścić się nie śmie nóg, którym się kłania;
Lecz się on wzbija i onę podnosi
W lot na powietrze, a ta, póki włada
Ręką, dzierży się, nakoniec upada.

Jak przyszła k'sobie i żal się jej wznosił,
Nie płacze; ryczeć i wyć rozpoczęła;
Na co Kupido lot swój zastanowił.
Litość go z gniewem pomieszana zdjęła.
Pomni, że go ten płacz często ułowił,
Że go ta mowa często więźniem jęła.
Spuszcza się i, na cyprysowem drzewie
Siadłszy, te słowa mówi do niej w gniewie:

„Zapamiętała i na złe bezpieczna!
Takież-to twojej przyjaźni pieczęci?
Tak-ci to prędko i miłość stateczna
I me przestrogi wypadły z pamięci?
Gdzież twe przysięgi i gdzie wiara wieczna?
Gdzie i nadgroda za doznane chęci?
Tyś bardziej, niż wiatr i niż woda płocha.
A nie tak ma być, ach! Psycho, kto kocha!

„Ja, pogardziwszy matki mojej wolą,
Która, żebym ją pomstą uweselił,
Chciała, żebym cię ostatnią niedolą
I wszem nieszczęściem nad ludzi oddzielił,
Sam-em się chętnie z oczu twych postrzelił;
Wzgardziwszy niebem, matką urażoną
Jużem cię sobie uczynił był żoną.

„A ty, zmiennico, mało na to dbając,
Żeś mię twych oczu zraniła orężem,
Bronie hartując, pujnał zaostrzając,
Chciałaś mię dobić, jakobym był wężem,
I me zapały i me ognie znając,
Które-ć mię wiernym uczyniły mężem,
Jak salamandrę, która w ogniu żywie,
Chciałaś mię nadto usmażyć w oliwie.

„Tak cię zdradziło ciekawe mniemanie,
Lubo życzliwe miałaś w tem przestrogi.
Ale te twoje zdradne, radne panie
Zapłacą mi to przez swój upad srogi.
Ciebie nie karzę; niechaj na tem stanie,
Że precz od ciebie i serce i nogi

Oddalam. A ta kara będzie twała.
Boże cię żegnaj, o, zapamiętała!“

Z tem leci, a tej wskroś się serce wzdryga
Na to, że leci, nie że sama spadła.
Goni go sercem i okiem go ściga,
Póki go wzrokiem dojrzeć sobie kładła,
I niesłużącą głowę za nim dźwiga;
A gdy go z oczu zgubi, jak trup zbladła,
Albo jak z blechu powrócona chusta.
Na lament tylko zostały jej usta.

„Przepadłam — mówi. — Co cięższa, że głupią
Nie nieszczęśliwą mogą mię zwać słusznie.
Poleciałeś precz! Niechajże się skupią
Wszelkie niesmaki i męczą mię dusznie,
Jednak cię z serca mego nie wykupią.
Pójdę w tem z samem niebem nieposłusznie,
I choć bogowie rozwód nam wymyślą,
W sercu cię chowam, obejmę cię myślą.

„O, jako-ć lekko przyszło do rozbratu!
Jedna cię tylko, ku nieszczęściu memu,
Kropelka ognia rozgniewała! A tu
W tych piersiach, serce ogniu piekielnemu
Oddawszy, męczyć zleciłeś jak katu?
Twemu ramieniu, trochę sparzonemu,
Prędko poradzą cyrulickie maści,
A mój ogień trwa ze mną do upaści...“

Nie mogła dłużej swoich żalów głosić,
Gorzkiego płaczu zaduszona stokiem.
Wstaje nakoniec. Myśli długo dosyć,
Kędy się błędnym obrócić ma krokiem;
Ale że nie chce bólów więcej znosić.
Zdesperowana stawa nad potokiem
I tam, gdzie z gruntu piaski nurt wyrzuca
I gdzie najgłębszy, na głowę się rzuca.

Potok atoli ciało Psychy na drugim składa brzegu. Nieszczęśliwa idąc za radą Satyra, którego spotkała nad rzeką, postanawia modłami przebłagać rozgniewanego bożka, ale tymczasem wywiera zemstę na siostrach, opowiadając im pokolei, że Amor ją wypędził i zlecił zanieść wieść do jednej i drugiej. Poszły siostry i doznały okropnego losu: Starsza, wezwawszy wiatru, żeby ją zawiózł do pałacu Amora —

Poczuła prędko po onej modlitwie
Powiewający wietrzyk z blizkiej chmury
I krzycząc jakby po wygranej bitwie,
Jako na pewną rzuca się z tej góry;
Ale po skałach ostrych, jak po brzytwie,
Tu sztukę ciała, tu palce z pazury

Oddziela krukom, i karcze i drzewa
Skórę z niej szarpią i zazdrosne trzewa.
*(Andrzej Morsztyn).*

Psyche, błąkając się długo, zmęczona i zrozpaczona udaje się do świątyni Wenery i zanosi błagania o litość nad sobą. Bogini oddaje Psychę na męczarnie Smutkowi i Trosce i sama się znęca nad nią; następnie każe jej rozebrać kupę różnorodnego ziarna; za tajemnem zapewne wdaniem się Amora pracy tej dokonywają mrówki. Potem każe jej przynieść wełny z dzikich złotorunych owiec, oraz zeczerpnąć wody stygijskiej; przy pomocy trzciny i orła spełnia Psyche te roboty. Wreszcie posyła Wenus nieszczęśliwą do podziemia, by wyprosiła u Prozerpiny puszkę piększydła. Psyche zrozpaczona idzie do piekła, będąc pewna zguby, gdy wtem wieża przy drodze odzywa się do niej ludzkim głosem i doradza, jak zadanie spełnić. Psyche odbywa podróż pomyślnie, ale niewieścią ciekawością zdjęta otwiera puszkę i natychmiast pada snem zmożona. Skończyły się próby, Amor wyprosił u matki swej przebaczenie dla Psychy, którą wprowadził między bogi.

## II. SONETY.

1.

Karmię frasunkiem miłość i myśleniem,
Myśl zaś pamięcią i pożądliwością,
Żądzę nadzieją karmię i gładkością,
Nadzieję bajką i próżnem błądzeniem.
Napawam serce pychą, omamieniem,
Pychę zmysłowem weselem z śmiałością,
Śmiałość szaleństwem pasę z wyniosłością,
Szaleństwo gniewem i złem zajątrzeniem.
Karmię frasunek płaczem i wzdychaniem,
Wzdychanie ogniem, ogień wiatrem prawie,
Wiatr zasię cieniem, a cień oszukaniem!
Kto kiedy słyszał o takowej sprawie,
Że i z tem o głód cudzy się staraniem
Sam przy tej wszystkiej głód ponoszę strawie.

2.

Leżysz zabity i ja też zabity,
Ty strzałą śmierci, ja strzałą miłości;
Ty krwie, ja w sobie nie mam rumianości,
Ty jawne świece, ja mam płomień skryty;
Tyś na twarz suknem żałobnem nakryty,
Jam zawarł zmysły w okropnej ciemności;
Ty masz związane ręce, ja wolności
Zbywszy, mam rozum łańcuchem powity.
Ty jednak milczysz, a mój język kwili,
Ty nic nie czujesz, ja cierpię ból srodze;
Ty jak lód, a jam w piekielnej śrzeżodze:
Ty się rozsypiesz prochem w małej chwili;
Ja się nie mogę, stawszy się żywiołem
Wiecznym mych ogniów, rozsypać popiołem.

3.

Goreję, Panie: coraz większy wstaje
Ogień palący wnętrzności w perz suchy;
To twoje dzieło bez żadnej otuchy
Kona i z swym się gościem już rozstaje.

Już ośm miesięcy, jako nie ustaje
Płomień czyli mróz na lekarstwa głuchy;
Jako wosk miękki, jako garnek kruchy,
Tak się ta kruszy lepianka i taje.

To samo, które-ć posyłam westchnienie
Rad-nierad w sobie powściągam i duszę,
Czując z nich zbytnie w uściech upalenie.

Ach! jeśli już w tym skwarze skończyć muszę
I śmiercią samą przygasić płomienie,
Ty od wiecznego wybaw ognia duszę.

4.

(Na Boże Narodzenie).

Szczęśliwa nocy, w którą się nam rodzi
Dzień jasny, światło wszystkiemu stworzeniu,
I w której brudach i okropnym cieniu
Słońce jaśniejsze nad codzienne wschodzi.

Szczęśliwe bydło, które, gdy mróz chłodzi,
Grzejecie Pana w ciepłem swojem tchnieniu;
Luboście nieme, w takiem przysłużeniu
Zazdrościć się wam tego szczęścia godzi.

Szczęśliwa stajni, szczęśliwe pieluchy,
Które się boskich członeczków tykają;
Szczęśliwy i żłób, szczęśliwe i siano;
Szczęśliwsze jednak nad wszystko pastuchy;
Sądzę, że naprzód dzieciątko witają,
I do zbawienia powstali tak rano.

*(Andrzej Morsztyn).*

W języku naszym najwięcej przekładów i naśladowań z Mariniego dał Andrzej Morsztyn. »Psychę« głównie wziął z »Adonisa«; z tegoż »Adonisa« przełożył strofę 198 — 207 pieśni XII, przytem wiele utworów lirycznych. Zupełne wydanie »Poezyj« A. Morsztyna wyszło w Warszawie 1883. Wykaz miejsc tłómaczonych lub naśladowanych z Mariniego dali: Władysław Nehring: »Studya literackie« (r. 1884) str. 147—176, oraz Edward Porębowicz: »Andrzej Morsztyn, przedstawiciel baroku w poezyi polskiej« Kraków 1893, str. 95.

## VIII. Franciszek Redi.

### Pochwała wina.

Gdyby winnych jagód soki ponętne
Nie krzepiły śmiertelnych żył w ciele,
Życie nasze zbyt byłoby smętne,
Takie krótkie, a zła w niem tak wiele!
Purpurowa krew — promień, poczęty
Z tego słońca na niebie, co świeci,
Z nieba strzelił i uwiązł zamknięty
W winogradu zasklepionej sieci.
Nuże zatem, w krwi owej po trudzie
Żyły nasze i mięśnie hartujmy.
Na przekorę starości i nudzie
Roślejszemi kielichy się pójmy! *(E. Porębowicz).*

---

## IX. Wincenty Filicaja.

### Italia, Italia!

Italio, o Italio! ty, co z losu ręki
Nieszczęśliwą piękności otrzymałaś dolę,
Z tego wiana złej wróżby nieskończone męki
Boleścią wypisane nosisz na swem czole.
Bogdajś była mniej piękną, ale więcej silną,
By cię wiecej się bali, albo mniej kochali
Ci, co w słońcu twych wdzięków roztapiać się zdali,
A jednak wiedli ciebie na śmierć nieomylną.
Obym już z gór alpejskich uzbrojonych szyków
Nie widział zstępujących! Oby Po zbroczona
Francuskich nie poiła chciwych wojowników!
Obyś nie szła nie swoją zbroją uzbrojona
Staczać walki ramieniem cudzych najezdników,
By służyć czy zwycięska, czyli zwyciężona! *(M. Budzyński).*

---

## X. Franciszek da Lemene.

### Madrygał.

Dzieweczki pokrzywdzonéj [1]),
Płaczącej swego losu,
Jowisz dolą wzruszony
Ptasich jej skrzydeł użyczył i głosu.

[1]) Filomela.

Wzbija się na nich, w rzewnej skarży mowie
I słowikiem się zowie.
Na wzgórz zieleni, zdumion niesłychanie,
Amor usłyszał rozkoszne śpiewanie.
Oczarowany dźwięki
Cudnego śpiewu, nuż dumać i radzić,
Jakby Zeusa przesadzić.
Wysłuchawszy piosenki, co tak słodkim głosem
Śpiewa, tryluje, kwili, —
Zmienił go w dziewczę znów — i to jest Lili. *(E. Porębowicz)*

---

## XI. Piotr Trapassi zwany Metastasio.

### Temistokles.

Do Suzy, stolicy Kserksesa, przybywa z synem prześladowany przez Ateńczyków Temistokles, w nadziei, że znajdzie tu przytułek, i spotyka się niespodzianie ze swą córką Aspazyą, którą przypadek zagnał na dwór królewski. Dowiaduje się od niej, że Kserkses nałożył już zawczasu cenę na jego głowę, a poseł z Aten ma żądać wydania zbiega. Mimo przestróg Aspazyi, Temistokles postanawia przy sposobności dostać się do króla, odkryć mu się i zdać się na jego wspaniałomyślność. Jakoż, gdy Kserkses na publicznem posłuchaniu odprawia z niczem posła ateńskiego, którym się okazuje Lizymach, kochanek Aspazyi, Temistokles spełnia hazardowne postanowienie. Król, tknięty wspaniałomyślnością, udziela mu gościny, a nawet zaczyna wielkie okazywać względy, gdy się dowiaduje, że gość jest ojcem Aspazyi, bo ta ujęła go swojemi wdziękami tak, że dla niej ostyga w swych uczuciach dla Roksany, którą poprzednio zamierzał poślubić. Zagrożona utratą serca królewskiego Roksana sprzymierza się dla zemsty z dworzaninem Sebastesem, który zamyśla o podniesieniu buntu. Tymczasem Lizymach, dowiedziawszy się, że wygnaniec został uprzejmie przyjęty, żąda powtórnej audyencyi, bo chociaż kocha Aspazyę, sumiennie chce spełnić obowiązek względem ojczyzny. Kserkses, żeby go ukarać, udziela mu posłuchania i w jego obecności mianuje Temistoklesa swym wodzem i żąda od niego, żeby prowadził wojska perskie na podbicie Grecyi. Temistokles odmawia mu w tem posłuszeństwa, czem rozgniewany król każe go wtrącić do więzienia. Zmiękczony jednak łzami Aspazyi, która dla ocalenia ojca skłania się nawet oddać swą rękę Kserksesowi, zgadza się do łask go przywrócić, jeżeli poprzysięgnie nienawiść Grekom. Z żądaniem tem udaje się do więźnia Sebastes, któremu znów chodzi o to, żeby król poślubił Aspazyę, bo sam spodziewa się w takim razie pozyskać rękę obrażonej Roksany. Temistokles daje odpowiedź na pozór przychylną — ku wielkiej radości króla.

#### Scena III (aktu V). Kserkses i Roksana.

*Kserkses.* Kędyż jest, proszę, kędy mój bohater?
Króla swojego może już uściskać.
*Roksana.* Kserksesie! ledwo ciebie dognać mogę.
*Kserkses.* Co za spotkanie!...
*Roksana.* Słuchaj mię, o królu!
Już to ostatnie Roksany spotkanie....
*Kserkses.* Wiem, że Roksana gniewa się na króla,
Wiem, że mu zemstą radaby pogrozić....
*Roksana.* To prawda, że chcę zemścić się nad tobą,
Zbyt obrażona; słuchaj, jaka zemsta:

Kserksesie, życiaś i berła niepewien!
Oto w tym liście zbrodnicze zamiary.
Przeczytaj, uprzedź i zachowaj siebie.
Idę...

*Kserkses.* Zaczekaj! Roksano! zaczekaj;
Dozwól, ażebym za serce przyjażne...

*Roksana.* Dosyć mi na tem, jużem się zemściła.
Słodka to zemsta obrażonej duszy:
Ratować tego, który ją znieważył.
Za wszystkie męki ta sercu nagradza.

## Scena IV. Kserkses i Sebastes.

*Kserkses.* List do Sebasta, Orontes [1]) go pisze.
Czytajmy. Nieba! co za czarna zdrada!
Sebastes tedy rozruchów egipskich
Tajnym dowódcą? a przy moim boku
Taką tymczasem gorliwość udaje...
Otóż i on tu. O! jakże śmie zdrajca
Stanąć przedemną?

*Sebastes.* Najjaśniejszy panie!
Za moją wierność i życzliwe trudy
Nagrody prosić przychodzę nakoniec.

*Kserkses.* Wielkie, Sebaście, są twoje zasługi,
Możesz wszystkiego za nie się spodziewać.
Mów, czego żądasz.

*Sebastes.* Wyprawę do Aten
Już dziś na siebie Temistokles przyjął;
Druga, na Egipt, wodza jeszcze nie ma:
Do tej ja moję poświęcam ochotę.

*Kserkses.* Więcej nie żądasz?

*Sebastes.* Dość na tem, o panie!
Dać wam dowody gorliwości mojej.

*Kserkses.* Mam onych dosyć, ten właśnie wart ciebie.
Ale czy tylko dobrze ty znasz Egipt?

*Sebastes.* Góry, doliny, rzeki, puszcze, drogi,
Nawet i skały mógłbym porachować.

*Kserkses.* Nie dosyć na tem: potrzeba znać hersztów
Rozruchu tego.

*Sebastes.* Orontes sam jeden.

*Kserkses.* Ja myślę, że ich jest więcej, w tym liście
Są wymienieni, obacz: może znasz ich?

*Sebastes.* A skąd dostałeś? ach, ja nieszczęśliwy!

*Kserkses.* Cóż to, zmieszanyś? bledniejesz? oniemiał?

*Sebastes.* Zdradzony jestem!

*Kserkses.* Nie drżyj, szkaradniku!

[1]) Zbuntowany satrapa Egiptu.

Późna już bojaźń. Wtedy zadrżeć było,
Kiedy ta zbrodnia na myśli stanęła.
Hola! kajdany! wtrącić do więzienia
Potworę zdrady i tę podłą dumę,
Która mojemi łaskami urosła.

### Scena V. Sebastes i Chór.

*Chór.* Jakto! Sebastes pana swego z tronu
Umyślił zepchnąć? za tyle łask jego
Taką chce jemu wdzięcznością zapłacić,
Sługa ten podły i braci morderca?
Co! i on pragnął we krwi naszej pływać,
A błędne Persów zburzywszy umysły,
Przez ich ruinę, łupiestwa i rzezie
Chciał jeszcze usiąść nad nami tyranem?
O zdrado czarna i dumy potworo!...
Dźwigaj sam teraz, dźwigaj te kajdany,
W których gnić innym okrutnie kazałeś:
Łzy cię niewinnych, łzy sierót pobiły.
Znikają chmury na niebie
I noc przed słońcem ucieka,
Dała w jasności znać siebie
Najwyższa z góry opieka.
Boskie nad nami jest oko:
Mile mu cnoty są dzieła.
Wspina się duma wysoko,
Ażeby ciężej runęła.

### Scena VI. Kserkses, Aspazya, Neokles (syn Tucydydesa).

*Kserkses.* Neoklu! za co na twarzy ten smutek?
Skąd te łzy w oczach, Aspazyo piękna?
Kiedy mi wiarę ma ojciec przysięgać,
Szlochają dzieci? Zgoda może z nami
I moja przyjaźń wam nie są pomyślne?
Mówcie...
*Neokles* i *Aspazya.* O nieba!...

### Scena VII. Ciż sami, Roksana i Lizymach.

*Roksana.* Królu, co mi powiesz?
*Lizymach.* Kserksesie! stawam, czego żądasz po mnie?
*Kserkses.* Chcę, Lizymachu, i ciebie, Roksano,
Mieć obecnemi...
*Lizymach.* Ażebym na nowo
Słyszał krzywdzone przez ciebie Ateny?
*Roksana.* Ażebym znowu cierpiała urazy?...

*Lizymach.* Zmianę niewiernej Aspazyi widzieć?
*Aspazya.* Ach, Lizymachu, nie bądź tak okrutnym
Trapić to serce, jestem ja ta sama!
Do czego jeszcze i ty dręczysz duszę
Już udręczoną.
*Kserkses.* Co! wy się kochacie?
*Aspazya.* Próżno się taić, jużem powiedziała.
*Kserkses.* A ty mnie twoją ofiarujesz rękę?
*Aspazya.* Ach! życie ojca chciało tej ofiary.
*Kserkses (do Lizymacha).* I tyż to możesz prześladować ojca
Kochanki twojej?
*Lizymach.* Chcą tego Ateny!
*Kserkses.* O cnoto! jakże się tobie nie dziwić?
*Roksana.* Owóż i grecki zbliża się bohater.

## Scena VIII. Ciż sami i Temistokles.

*Aspazya.* Co za szlachetność! o cnoty obrazie!
*Neokles.* O żebym i ja miał to mężne czoło!
*Kserkses.* Przecież nakoniec, Temistoklu, moim
Obrałeś zostać, o niechże tu ciebie
Uściska ten król, który cnotę wielbi.
*Temistokles.* Czekaj!
*Kserkses.* Dlaczego?
*Temistokles.* Jeszczem tego nie wart.
Niechaj mię pierwej okaże być godnym
Czyn przedsięwzięty.
*Kserkses.* Jak obrządek każe,
Już jest gotowa na ołtarzu czara.
Idź, uroczystą wypełnij przysięgę,
A w niej rozpocznij ukaranie Greków.
*Temistokles.* *(Lejąc do czary trunek z trucizną).*
Nieba! sprzyjajcie na tę dobrowolną
Wiary, wdzięczności i sławy ofiarę!
*(Wypija i mówi do Kserksesa).*
Wynijdź, o królu! wynijdź z omamienia:
Przyjść obiecałem, ale nie przysięgać.
Zważ, o Kserksesie! Lizymachu, słuchaj:
Słuchajcie, córko! i ty, o mój synu!
Słuchajcie i wy, tu obecni ludzie:
Moje wam serce i umysł odkrywam.
Los mi być kazał niewdzięcznym lub zdrajcą.
Dla uniknienia tej obojej zbrodni,
Innegom nie miał w mej mocy obioru,
Jak skończyć życie, dar wolny od nieba,
Abym nabytą całym wiekiem moim
Ocalił chwałę. Nie widziałem drogi,
Jak drogę śmierci: i tę ja obrałem.

*Lizymach.* Co słyszę?
*Kserkses.* Wieczni bogowie!
*Temistokles.* Ten oto,
Ten bolesnego wygnania towarzysz,
Śmiertelny trunek to dzieło wykonał.
*Lizymach.* O wielki mężu!
*Neokles.* Drętwieję!
*Aspazya.* Umieram!
*Roksana.* O jakież cnoty u tych widzę Greków!
*Kserkses.* O nieba! co za wysoki bohater!...
Z taką wiernością dla niewdzięcznych Aten!
Tu na łask tyle niewdzięczność i zdrada.
*Temistokles.* Ty, Lizymachu! ty, mój przyjacielu,
O mej wierności upewnij ojczyznę,
Ubłagaj łaski dla moich popiołów.
Poruczam tobie i córkę i syna.
Ty, wielki królu! łask twoich nie żałuj:
Świat zadziwiony będzie ich nagrodą.
Bóstwa życzliwe! jeśli dusz niewinnych
Ostatnie prośby mają do was prawo,
Wy Aten waszych chrońcie od upadku;
A świętych ustaw i dobra ich strzegąc,
W serce Kserksesa natchnijcie ku Grekom
Ducha pokoju; ja dla nich umieram.
*Lizymach.* O wielki mężu! o mój przyjacielu,
Wstydzić się będą i płakać Ateny.
Miłość ojczyzny, od swobodnych znana,
Dopóki bóstwem na tej ziemi będzie,
Wzór jej uwieczni twoja cnota wszędzie.
*Chór.* Cnoto! mistrzyni wysoka
Synów ateńskiej wolności!
Jasny oddajesz wdzięk oka —
Niewdziękom ciemnej zazdrości.
Twoja to, twoja moc święta
Męża nad ludzi wznieść umie,
Że go nie ugnie ponęta,
Co służy złotu i dumie!
Wśród ostrych kolców, jej róże,
Miłość ojczyzny czuć zdolna;
Zdradzić tej nigdy nie może
Dusza szlachetna i wolna.
Ach! póki jeszcze, Ateny,
Kwitnąć będziecie i słynąć,
Dopóki cnota tej ceny
Każe żyć dla was i zginąć. *(Fr. D. Kniaźnin).*

# XI. Józef Parini.

## Dzień.

Jest to satyra, a raczej poemat satyryczny, malujący szczegółowo całodzienny tryb życia wielkopańskiego młodzieńca, mającego wyobrażać zniewieściałość obyczajów i płytkość pojęć tej sfery społeczeństwa włoskiego, do której z urodzenia i majątku należy. Radami i wskazówkami służy mu odpowiednio dobrany wychowawca. Dla dosadniejszego uwydatnienia myśli przewodniej poeta kreśli równolegle obrazy z życia pracowitego, lecz ciemnego i ubogiego ludu. Całość dzieli się na cztery części: Poranek, Południe, Wieczór i Noc. Oto parę krótkich ustępów z Poranku.

Z jutrzenką razem budzi się poranek
Jeszcze przed słońcem; aż i ono wschodzi
Na widnokręgu skraj, by rozweselić
Zwierzęta, pola, wody i rośliny.
Z miłego łoża wstaje dobry chłopek
I wdziawszy na się uświęconą odzież,
Którą już znała Pales [1]) i Cerera,
Z powolnym wołem w pole idąc, strząsa
Z krzywych gałęzi wzdłuż ścieżyny wązkiej
Rosistą wilgoć, w której, jakby w perłach,
Rannego słońca łamią się promienie.
Wstaje i kowal i swą hałaśliwą
Otwiera kuźnię, wraca do roboty
Zaczętej wczoraj; lub niespokojnego
Misternym kluczem i sprężyną kutą
Bogacza skrzynie zabezpiecza, albo
Ze srebra, złota stara się wyrobić
Klejnoty i naczynia ku ozdobie
Młodych mężatek lub jadalnych stołów....
Lecz cóż to? Widzę, zgroza cię przejmuje
I na twej głowie, jak u jeżozwierza,
Na dźwięk słów moich włosy się podnoszą?
O! inny, panie, bywa twój poranek.
Tyś nie zasiadał o zachodzie słońca
Przy skąpym stole i o szarym zmroku
Nie ległeś wczoraj spocząć w lichem pierzu,
Jak to udziałem jest podłego gminu.
Dla was, potomstwo niebios, dla was, zborze
Półbogów ziemskich, inną wskazał dolę
Łaskawy Jowisz; innem tedy prawem
Po nowej drodze muszę cię prowadzić....
Już pokojowcy grzeczni słyszą odgłos
Blizkiego kruszcu, który twoja ręka
Zdaleka wprawnym potrąciła ruchem,
I śpieszą światłu wrogie porozsuwać
Zasłony, które ściśle przestrzegały,

[1]) Bogini pasterstwa.

By Febus nie śmiał wkraść się do sypialni
I dręczyć ciebie swemi pociskami.
A teraz nieco wznosisz się, podpierasz
Na tych poduszkach, które plecy twoje,
Piętrząc się zwolna, miękko podtrzymują;
A potem drugim palcem swej prawicy
Leciuchno oczu dotykając swoich,
Usuwasz mgły z nich cymmeryjskiej [1]) resztki,
I ułożywszy usta w drobny łuczek
Zachwycająco, delikatnie ziewasz.

Wystrojony, wyperfumowany, połyskujący pierścieniami, ze szpadą u boku, z laską w ręku, kapeluszem pod pachą, udaje się młody kawaler pełnić służbę *cicisbea* [2]).

A teraz śpiesz, mój panie, do swej damy
I baw ją przy obiedzie. Miły jej ministrze,
Dysponuj jadłem, stanów niewzruszone
Dla czci jej i dla podniebienia prawa.
Lecz nie zapomnij, że wielkiemu panu
Być pospolitym nie wypada w niczem.
Niech gmin ma swe granice; wam zaś dała
Przyroda umysł, serce bez zastrzeżeń.
A więc przy stole albo precz odsuwuj
Z niechęcią jadło i pozyskaj sławę
Wstrzemięźliwego, albo stań się głośnym
Z obżarstwa swego. Żegnaj mi tymczasem,
Pociecho ludzi i twojego rodu,
Ojczyzny twojej chlubo i podporo!
Już ciebie dwoma uniżona poczty
Otacza służba; jedni pośpieszają
Uprzedzić wielki świat, że go obdarzysz
Swą obecnością, drudzy cię troskliwie
Rękami podtrzymują, gdy w złoconą
Karetę siadasz i poważny, niemy,
Wyciągasz się w jej rogu. Hej! na strony
Hołoto! Przejście daj tronowi, który
Mój pan zajmuje. Biada ci, jeżeli
Przez ciebie straci jedną z drogocennych
Chwil swego czasu. *(Edw. Gr.).*

## XII. Wiktor Alfieri.

### Wirginia.

Scena przedstawia Forum w Rzymie. Wirginia ku wielkiej radości dowiaduje się od matki, Numitoryi, że ojciec w liście, pisanym z obozu, zezwala na jej mał-

[1]) Cymmerya, kraj scytyjski, gęstemi nawiedzany mgłami.
[2]) W wieku XVII, a szczególniej w XVIII, panował we Włoszech zwyczaj, że damom z wyższego towarzystwa nadskakiwali t. zw. „cicisbei“ (zalotnicy, gachowie), którzy zresztą pełnili swoje poufałe obowiązki dość dyskretnie.

żeństwo z byłym trybunem Icyliuszem, bo uznaje go godnym jej ręki, jako zasłużonego obrońcę praw ludu i swobód rzymskich. Radość jej przerywa napaść Marka, popleczника decemwira Apiusza. Napaść tę uzasadnia twierdzeniem, że Wirginia należy do niego, jako urodzona z jego niewolnicy, lecz jeszcze dzieckiem mu skradziona i przez Numitoryę podrzucona za córkę mężowi. Na krzyk obu kobiet nadbiega Icyliusz z tłumem ludu i powstrzymuje napastnika. Marek odchodzi z oznajmieniem, że praw swoich dochodzić będzie przed sądem Apiusza, a Wirginia, teraz dopiero dowiedziawszy się, jaki stosunek łączy napastnika z decemwirem, ku ogólnemu zatrwożeniu wyjawia tajemnicę, że Apiusz już różnemi sposoby próbował narzucić jej swoją niecną miłość. Zaniepokojony tem Icyliusz postanawia czemprędzej sprowadzić z obozu Wirginiusza. — W akcie drugim, obie kobiety w towarzystwie Icyliusza i tłumu plebejów, stają przed Apiuszem ze skargą na napaść i potwarz Marka. Apiusz oznajmia, że sprawę osądzi zgodnie z prawem i rzeczywistym stanem rzeczy, nie oglądając się na krzyki i hałasy obecnych. Przybywa właśnie Marek i popiera swoje oskarżenie, obiecując udowodnić je świadkami. Icyliusz, widząc, że Apiusz skłania się do wydania wyroku na korzyść Marka, żąda odroczenia sprawy aż do przybycia Wirginiusza i w uniesieniu oskarża przed ludem samego decemwira o niegodziwe porozumienie się z poplecznikiem i wyrzuca mu różne nadużycia władzy. Apiusz ze swej strony nazywa Icyliusza wyrafinowanym wichrzycielem, grozi mu karą za mącenie porządku, ale widząc jawną niechęć ludu, udaje łaskawość i zgadza się sprawę odroczyć do przybycia ojca; żeby zaś ten nie stanął w terminie oznaczonym, śle tajemnie rozkaz zatrzymania go w obozie. — W akcie trzecim Wirginiusz przybywa do Rzymu — bo rozkaz Apiusza się spóźnił — i dowiaduje się, że wyrok jeszcze nie zapadł. Icyliusz, przewidując, jak tyran sprawę rozstrzygnie, radzi mu zawczasu zjednać sobie poparcie ludu, ale Wirginiusz nie chce dla ocalenia córki wywoływać krwi rozlewu. Prędzejby się zgodził śmierć jej zadać, żeby od hańby uratować. Icyliusz i Wirginia zgadzają się także raczej życie sobie odebrać, niż poddać się wyrokowi tyrana. — W akcie czwartym Apiusz, dowiedziawszy się, że Wirginiusz wbrew jego zakazowi przybył do Rzymu, w rozmowie z nim stara się uśpić jego obawy i obudzić podejrzenie, że Icyliusz chce wywołać zaburzenie, żeby sobie rządy przywłaszczyć; obiecuje mu nawet wyrok przychylny, jeżeli opuści trybuna i córki mu odmówi. Potem próbuje obałamucić i zastraszyć Wirginię; ale jego przedstawienia i groźby nie odnoszą skutku. — W akcie piątym Wirginiusz, przekonawszy się, że Icyliusz nie żywi żadnych ambitnych zamiarów, zgadza się działać z nim wspólnie i poleca mu na sąd sprowadzić kobiety w towarzystwie zjednanego ludu, a sam zostaje na forum, gdzie ma dać odpowiedź Apiuszowi, że propozycyę jego odrzuca.

*Apiusz.* I cóż? postanowienie wziąć na koniec śmiałeś?
*Wirginiusz.* Już oddawna.
*Apiusz.* Jak ojciec?
*Wirginiusz.* Rzymski.
*Apiusz.* Więc zerwałeś
Z Icylim?
*Wirginiusz.* Trzy ogniwa łączą nasze serca.
*Apiusz.* Te są?
*Wirginiusz.* Krew, przyjaźń, cnota.
*Apiusz.* Co za przeniewierca!
Dobrze, więc ja trwalszemi te związki uczynię
I dla ich utrwalenia wkrótce krew popłynie.
*Wirginiusz.* Niech płynie, któż bezkarnie mógł ci się odpierać?
Słyszałem już mój wyrok, gotów-em umierać.
Nie wprzódy wydrzesz córkę, aż wydrzesz mi życie.
Bogi! wy za nas kiedyś może się pomścicie.
*Apiusz.* Widzisz ten zbrojnych hufiec, potężny i srogi,
Którzy mnie otaczają? To moje są bogi!

Wiem, co na mnie gotuje wasza zemsta krwawa,
Wy ufacie w rozruchy, ja w siebie i w prawa;
Za mną miłość porządku, duch niezgód za wami,
Dla mnie i upaść chwałą, was i tryumf splami.
Ale wy zwyciężycie. Oto pełne dumy
Rozhukanego ludu już sypią się tłumy:
To wasz bóg! on stanowi, gdy chce, Rzymu losy.
Widzę twą córkę: płącze, drze szaty, rwie włosy;
Krzyk matki, wrzawa dzikiej rozlega się rzeszy,
Kto wie, z jaką Icyli pomocą wam śpieszy?

Istotnie, przybywają kobiety, otoczone ciżbą i wśród jęków oznajmiają, że Icyliusz ujrzał się zmuszonym do odebrania sobie życia, bo lud, podburzony przez popleczników Apiusza, rzucił się na niego, podejrzewając go, że dąży do tyranii.

*Apiusz.* Icyli znał swe zbrodnie i skarał się za nie,
Własnem on i wspólników swoich padł żelazem;
Sąd ich i sąd sumienia potępił go razem.
Choć nie żył jak Rzymianin, jak Rzymianin zginął,
Zgon, na jaki zasłużył, kilkakroć go minął.
Widząc, z jakim ku niemu byliście zapałem,
Przymuszony go karać, dotąd nie karałem:
Teraz, czem był wistocie, któż się nie przekona?
Zaczął działać Icyli i spada zasłona.
Gdyby go na śmierć skazał był sąd mój surowy,
Mnie tyranem burzliwe nazwałyby głowy.
Dzisiaj go śmierci godnym uznali wspólnicy.

*Wirginiusz.* Kogoż chcesz zwieść? Któż nie wie twojej tajemnicy?
Sprawca tej podłej zemsty komuż jest ukryty?
Przez twoich i dla ciebie Icyli zabyty.
Teraz w zbrodniczej sprawie postąpisz zuchwalej,
Wygrałeś ją w połowie, śmiało kończ ją dalej,
Ogłoś wyrok, lecz na cóż o wyrok się pytać?
Z tych wojsk, z drżącego Rzymu nie możnaż go czytać?

*Apiusz.* Przeniewierco! z łotrami śmiałeś spiski czynić,
A żeś na nich się zawiódł, mnież o to chcesz winić?
Zdrajcy zdradzili zdrajców, i kogoż to dziwi?
Rzymianie! do was mówię, Rzymianie prawdziwi!
Widzicie te wojsk hufce: jam tu je zgromadził.
Najwyższej woli waszej któżby śmiał tu przeczyć?
Nie ja pewnie, lecz chcąc Rzym, chcąc was ubezpieczyć,
Użyję wojsk i garstkę rokoszan ukarzę.
Z Icylim wszyscyż padli zdrajcy i zbrodniarze?
Nie wszyscy; wiem, kto został: niech drży, hej! liktorzy,
Wirginiusza swemi otoczcie topory!
W złym on zamyśle przyszedł. — Niech swą rzecz wywodzi,
Ale pole do gwałtów niech mu się zagrodzi.

*Wirginia.* Ach! ojciec mój! o nieba!

*Numitorya.* I tyż śmiesz, tyranie!
O ludu!

*Wirginiusz.* Prawda, zdrajcą ja jestem, Rzymianie!
Bom ojciec Wirginii; — zdrajcą był Icyli,
Bo jej mąż; i za zdrajców będą uchodzili
Wszyscy, którzy z was tylko będą mieć odwagę
Nie wydawać mu córek i żon na zniewagę.
Jeszcześ jego zbrodniczej nie wierzycie chuci?
Z waszegoż odrętwienia nic was nie ocuci?
Niewinny, niech ja ginę, sam śmiercią niewinnych,
Z Icylim, z Sykcyuszem i z tysiącem innych.
Wasz obrońca niech przy was krwią swą plac ten zleje,
Ale niech córki mojej honor ocaleje;
Nad samą śmierć straszniejsza czeka ją zniewaga,
O nią drży, o nią tylko jej ojciec was błaga,
Za nią te łzy wylewa.

*Numitorya.* I na te łzy nasze
Sucheż są wasze oczy? zimneż serca wasze?
Ojcowie! los nasz widząc, o siebie nie drżycie?...
Wy więc, matki!... w was może głos mój litość wznieci.
Ach! wy same prawdziwie kochacie swe dzieci,
Co w swem łonie poczęte, swą piersią karmicie,
Ach! jakże rzecz okropna dziś im dawać życie!
Gdy ich honor ocalon i wasz być nie może,
Ach, w łonie rodzących się raczej topcie noże!

*Apiusz.* Słyszycie ją, widzicie matki przywiązanie!
Że to nie matka, któryż wątpi z was, Rzymianie?
Poznajcie więc błąd męża i jej podstęp niecny,
Wy chcieliście, i słusznie, by sam był obecny,
Jest. Lecz jegoż przytomność zabronić mi zdoła
Wydać wyrok, o który sprawiedliwość woła?
Osobnom świadka pytał każdego i stronę,
Wszyscy są zgodni, wszystko jasno dowiedzione,
Za Markiem prawo, słuszność, oczywistość mówi,
Przysięgam to na niebo, przysięgam Rzymowi.
Już ta sama kobieta, ta matka nieprawa,
Sumieniem, dowodami, widocznością prawa
Nagięta, zawstydzona, przekonana w duszy,
Szuka tylko, czy buntu za sobą nie wzruszy.
Z oczu biednego starca zdejmować zasłonę,
Co mniema, że swe dziecię traci ulubione,
Żal mi; lecz muszę spełnić tę powinność moję.
Marku! sąd Wirginię ogłasza za twoję,
Grożba ani wzgląd żaden nie mógł na mnie sprawić,
Żebym cię niewolnicy twojej miał pozbawić.

*Numitorya.* Ach! czyż podobny wyrok śmiał wydać kto w świecie.
Rzymianie!... wy mnie nawet i słuchać nie chcecie.

*Wirginia.* Matko! ojciec, orężem strzeżony dokoła,
Nic już dla córki swojej uczynić nie zdoła.

Zaledwie może mówić... niestety! daremnie,
Masz, przyrzekłaś, daj sztylet, lub utop go we mnie.
Padł mąż, jeszcześ i sława będzie mi wydarta?

*Wirginiusz.* O trzodo niewolników, ludźmi być nie warta!
Jeden człowiek wam wszystkim tyleż wraził trwogi?
Nie dbacież już o dzieci, o sławę, o bogi,
O nic zgoła, tak bardzoż wam jest miłe życie?
Słyszę głuche mruczenia... czemuż nie walczycie?
Nie macież duszy w ciele, ni żelaza w ręku,
Rzymianie! nie czujecież Rzymianina jęku?
Niestety! i wam kiedyś ześlą gniewy boże
Równy memu lub gorszy los, jeśli być może.
Wydarłszy wam następnie tyran ośmielony
Majątek, wolność, oręż i dzieci i żony,
Wydrze — już niecenione wówczas od nikogo —
I życie, które dziś was kosztuje tak drogo.

*Apiusz.* Szemrał Rzym, prawda, szemrał przeciw twojej mowie,
Już milczy. Hej! natychmiast wróćcie, liktorowie,
Niewolnicę jej panu, niech matka fałszywa
Bogów i Rzymian krzykiem buntowniczym wzywa.
Wyrwijcie nie jej córkę z łona tej kobiety

*Numitorya.* Zabijcie mnie wprzódy...

*Wirginia.* O matko!

*Kilku z ludu.* Niestety!

*Wirginiusz.* Błagam cię, Apiuszu, każ wstrzymać się chwilę!
Jam ją chował, jak ojciec, jam kochał ją tyle.
Więcej niż siebie! Z żoną ja nie byłem w zmowie,
O zdradzie jam nic wiedział.

*Numitorya.* Co słyszę? Bogowie!
Tyż sam do tego stopnia znieważasz twą żonę?

*Wirginia.* Ojcze! i twojeż serce już dla mnie zmienione,
Sądzisz mnie już nie twoją? ty sam?... nieszczęśliwa!

*Wirginiusz.* Czyjąbądź sądzę, związków to naszych nie zrywa,
Zawsze jak córkę ojciec w mem cię sercu mieszczę,
Zawsze kocham. Pozwól mi, sędzio, ten raz jeszcze,
Ostatni raz do mego przycisnąć ją łona,
Pozwól, nim będzie dla mnie nazawsze stracona.
Opuściła mnie duma wśród cierpień i trwogi,
Czczę w tobie władzę ludu, Rzym, prawa i bogi.
Ale mogęż w momencie znaleść dosyć siły,
Wyzuć się z uczuć, które mię ojcem czyniły,
Które były lat tyle mojem szczęściem całem?

*Apiusz.* Nie sądź, aby me serce było tak stwardniałem!
Jażbym wziąć mógł za zbrodnię dawne przywiązanie!
Pozwalam ci tych uczuć, nawet ich nie ganię,
Wszedłeś w siebie, twój smutek wynurzasz mi skromnie
I tak mówisz, jak mówić powinieneś do mnie.

Równie ci, jak powinien, Apiusz odpowie:
Jesteś wolnym. Na miejsca wróćcie, liktorowie.
*Wirginiusz.* Zbliż się, o córko moja!... Jeszcze z uniesieniem
Raz... jeden raz... tem drogiem zowę cię imieniem,
Odbierz ostatni dowód przywiązania ojca —
Wolność i śmierć.
*Wirginia.* Tyś ojciec mój!
*Apiusz.* Tyś jest zabójca.
Liktorowie!.. niech zaraz...
*Numitorya.* O córko! o nieba!...
*Jeden z ludu.* Rzymianie! jeszczeż więcej wam dowodów trzeba!
*Wirginiusz.* Przez jej krew czystą, przez ten ojca sztylet srogi
Mścić się jej poprzysięgam wam, piekielne bogi!
*Wielu z ludu.* Mścijmy się! krew ta woła głowy Apiusza,
On jest tyran!
*Wirginiusz.* Dopiero was litość porusza!
Wróciż jej życie? wstrzymaż tę krew, która płynie?
*Lud cały.* Tyran Apiusz! tyran! niech ginie! niech ginie!
*Apiusz.* Córkobójca, buntownik głową niech odpowie.
*Wirginiusz.* Lecz nim umrzem, do zemsty mamy czas, mężowie!
*(Wirginiusz i lud gotują się uderzyć na liktorów i stronników Apiusza).*
*Apiusz.* Zanim padnę, wprzód ciebie dotknie ukaranie.
*(Gotuje się ze swoimi uderzyć na lud i Wirginiusza).*
*Wirginiusz.* Apiusz tyran, śmierć mu! *(Zasłona spada).*
*Lud.* Śmierć mu! Giń, tyranie!
*(Słychać hałas i szczęk broni).*

Oprócz tej tragedyi, przełożonej z pewną swobodą przez Aloizego Felińskiego, istnieje w polskim przekładzie Wojciecha Bogusławskiego tragedya »Saul«.

---

## XIII. Ugo Foscolo.

### Groby.

Niewielki ten poemacik, liczący niespełna 300 białych wierszy, ma na celu okazać znaczenie grobów dla patryotycznego odrodzenia Włoch. Poeta mówi w nim najprzód o łączności żywych z umarłymi, dalej przypomina ziomkiom ich sławnych mężów przeszłości — Machiavellego, Michała Anioła, Galileusza, Dantego, Petrarkę, Alfierego, — wreszcie wyraża pragnienie, żeby mógł zostać wskrzesicielem ducha bohaterskiego w narodzie. Całość gęsto jest przeplatana reminiscencyami klasycznemi. — Początek jego jest taki:

W cieniu cyprysów, w żalu łzą zroszonej
Urnie, sen śmierci może mniej jest straszny?
Skoro na ziemi już nie dla mnie słońce
Piękny ten zwierząt ród i traw zapładnia;
I gdy przedemną pląsów nie zawiedzie
Przyszłości godzin splot, w ułudy strojnych;

Ani twych wierszy, druhu [1]), nie posłyszę,
W których tak smętna dźwięczy mi harmonia;
Ani do serca już mi nie przemówi
Duch Muz dziewiczych i Miłości, który
Jedyną duszą był mi w błędnem życiu:
Za dni stracone jakiż znajdę odwet
W tem, jeśli kamień kości me odróżni
Od nieprzebranej masy kości, które
Po ziemi i po morzu śmierć rozsiewa?
O, tak! zaprawdę, Pindemonte, nawet
Od grobów zdala trzyma się Nadzieja,
Ostatnia z bogiń; wszystko chłonie w sobie
Noc zapomnienia, a wciąż czynna siła
Niszczy bez przerwy; ludzi i ich groby,
Ich wizerunki i pozostałości
Ziemi i nieba — wszystko Czas przetwarza.
Lecz czemuż człowiek ma się już przed czasem
Rozstać z złudzeniem, które umarłego
Pokrzepia przecież na wieczności progu?
Czyliż nie żyje on pod ziemią nawet,
Choć już dla niego zmilknie dnia harmonia,
Gdy może niem pobudzić drogie serca
Do słodkich trosk? Niebiańska jest ta zgodność
Miłosnych uczuć; jestto dar niebiański
W duszy śmiertelnych. Przez nie obcujemy
Z umarłym przyjacielem, on zaś z nami,
Gdy bogobojna nasza ziemia, która
Dziecięciem wzięła go i wykarmiła,
Dając ostatni mu w swem macierzyńskiem
Łonie przytułek, broni jego szczątków
Od krzywd ulewy i od poniewierki
Stopy prostaczej, głaz przechowa imię,
A wonne kwieciem przyjacielskie drzewo
Orzeźwi miłym prochy jego cieniem.
Tylko ten mało ulgi dozna w urnie,
Kto nie przekaże uczuć swych w spuściźnie;
I jeśli zmarły zachowuje czucie,
Widzi, jak dusza jego w smutnej rzeszy
Po acheronckim błąka się przybytku,
Albo się garnie pod szerokie skrzydła
Boskiego przebaczenia; ale prochy jego
Kryją pokrzywy w opuszczonej ziemi,
Gdzie ni kochanka się nie modli, ani
Samotny pątnik nie usłyszy westchnień,
Jakie z grobowca ku nam śle Natura. *(Edw. Gr.).*

[1]) Druhem tym jest Hipolit Pindemonte, poeta, do którego Foscolo zwraca się tu kilkakrotnie.

## XIV. Aleksander Manzoni.

### Piąty Maja (1821 r.).

Oda na śmierć Napoleona.

Był — i ostatnie wydał tchnienie —
I oto ziemia pozbawiona
Zasobnych drgnień jednego łona,
Stanęła — zda się, sama kona,
Wsłuchana w taką wieść...
I tajną głębię spraw przenika —
I przeznaczenie swoje waży,
I nie wie, czy się w losach zdarzy,
By kiedy stopa śmiertelnika
Zdołała w blaskach jej ołtarzy
Podobny tuman wznieść.
Mój duch go widział w słońca tronie,
Gdy jako łuna pałająca,
Rósł, gasł, znów rozlał się bez końca,
Aż całkiem zapadł, jak sen, w tonie...
I z płaskim sądem brzmień tysiąca
Mój duch nie łączył brzmień...
Dziś zbrodnią myśli nieskalany:
Pochlebstwem marnem, złością pychy,
Na blasków zgon — ten lot nie lichy:
Zwycięski wznosi hymn świetlany,
Przy tych popiołów urnie cichéj —
Hołd z nieśmiertelnych pień!
Od Renu aż do Manzanaru,
Od Alp w piramid czcze bezdroża,
Wdał — wszerz — od morza aż do [morza,
Do wód Tanais — w kres obszaru,
On szedł, jak z chmur powstały łoża,
Błyskawic złotych splot...
Czy chwała to? Potomność może
W należnym sądzie orzec zdoła;
Nam pozostaje schylić czoła,
I wielbić w gońcu dzieło boże:
Iż zaklął w tego z chmur anioła
Swych potęg twórczych grot.
Samotność serca i tortura,
Płomiennej myśli kołysanie,
Straż woli, która niezachwianie
Do celu dąży, — tron — purpura,
Nagroda, której spodziewanie —
Szaleństwem w sferze snów:
To wszystko było jego działem, —
Po losach pnących się zawile
Wzrastanie w niepodzielnej sile,
Upadek z doli piekłem całem,
Wygnania srom — dwa razy w pyle,
Dwa razy w słońcu znów!
To o nim wyrzec: dwa stulecia
Stanęły z wymierzoną bronią,
Czekając, rychło im wydzwonią
Wyroczne hasła gdzieś z zaświecia...
On wszedł — potężnie skinął dłonią
I zasiadł pośród nich.
I zniknął, twarde dni boleści
Tam na pustynnej łuszcząc skale —
Ten, dla którego okazale
Złorzeczeń bezmiar — bezmiar cześci,
I bałwochwalstwo w pięknym szale,
I nienawiści sztych.
Jak nad topielca biedną głową,
Tak fala czasu, pełna zmazy,
Płynęła nad nim, — ileż razy
Nadzieję budząc w nim na nowo,
Wskrzeszając przeszłych mar obrazy:
Nielitościwa toń!
O! ile razy trud powiekom
Zlecając, z krwi swej i z tęsknicy,
Za myślą zbiegłej błyskawicy —
Chciał zwierzyć siebie ludom, wiekom...
Lecz z pierwszym wątkiem — na stronicy
Zwisała w męce dłoń.
Ach! ile razy, gdy jaskrawszy
Z konającego słońca stokiem
Zrumienił zachód się potokiem,
Na piersiach ręce skrzyżowawszy,
Pod wszystkich myśli stał natłokiem,
Patrzący w krwawą dal...
I znów przed okiem powstawały:
Doliny, góry i namioty,
Błyszczące szyki — zwarte roty,
I grenadyerów rzęd wspaniały,
Pył walki — jazdy szybkie zwroty
I swoich męstwa stal!

O! wtedy, jako nić z przędziwa,
Tak serca rwało mu się tętno
Katuszą wielką i doszczętną...
To też go ręka miłościwa
Przeniosła w ciszę beznamiętną,
W krainę lepszych zórz...
Przez kwietne ścieżki w te rozłogi,
Gdzie życia dola już nie łzawa,
Wiecznością słodką się napawa,
Gdzie snów ze szczęściem prześcig błogi,
Skąd wszystka już doczesna sława —
To marny pył i kurz...

Nieśmiertelności blasku złoty!
Wiaro, święcąca swe rozkwity!
I to pisz w księdze niespożytéj,
Iż nigdy jeszcze do Golgoty
Dumniejszy nie był duch przybity:
To, Wiaro, chlubnie pisz!
Zgładź wszystką skazę! Bóg widomie,
Bóg, który szczęścia splata wiano
I targa próbą na nie słaną,
Z rozbitkiem tym na skalnym złomie
Zostawił Ciebie niezachwianą,
I twierdzę Twoją — krzyż!

*(Józef Jankowski).*

---

## XV. Jakób Leopardi.

### 1) Nieskończoność.

Lubiłem zawsze to samotne wzgórze
I ten drzew szpaler, co nie daje oczom
W widnokręgowym utonąć lazurze.
Kiedy tam siedzę i dumam, duch tworzy
Świat nowy: pustych, milczących przestworzy;
I marzy ową uroczystą ciszę,
Gdzie nic nie wstrząśnie serca. A gdy słyszę
W dole huczący wiatr, tę nieskończoną
Cichość i ten głos, a potem ich sprzeczność
W myśli mej ważę, to czuję w nich wieczność,
Epokę zmarłą i dawno minioną,
I teraźniejszość, w której tętni życie.
Tak w nieskończoność myśli moje toną;
— I słodkie mi jest w morzu tem rozbicie.

### 2) Śpiew koczującego po Azyi pasterza.

Co robisz, cichy na niebie księżycu,
Co robisz, niema gwiazdo?
Wieczornym wstawszy mrokiem,
Płyniesz i w puszczę patrzysz dużem okiem
I znów zapadasz. Jazdą
Ponad górami jeszcze-żeś nie syty?
Jeszcze-ć doliny zielenią spowitéj
Jednostajność nie nudzi?
Podobne twoje życie
Smutkiem pasterza życiu:
Przed wschodem już się budzi,
Wygania trzody na góry o świcie,
Na owce, źródła, trawę
Pogląda, zmierzchem głowę na murawę

Skłania, — więcej nie marzy.
Powiedz: Życie pasterza
Jemu nędzne co waży?
Co twoje waży tobie i gdzie zmierza
Moja pielgrzymka krótka
I twój bieg nieśmiertelny?

Staruszek siwy, drżący,
Bosy, w zdartej odzieży,
Z nielitościwym na plecach ciężarem,
Przez góry i doliny,
Po ostrych skałach, po piaskach i krzakach,
Po burzy, wietrze, raz palony żarem,
Raz chłodem siny,
Pnie się strudzony, bieży,
Po grzązkich brodzi mlakach,
Upada, wstaje i znów śpieszy prędzéj,
Ni raz się nie pokrzepi,
Ni raz nie spocznie; — aż gdy się dobije,
Gdzie ta przemożna męka
Kończyć się zdaje i już piąć się lepiéj, —
U nóg mu się odkryje
Przepaść; w nią wpadłszy, zapomina nędzy.
Taka, miesiącu, czeka
Marność życie człowieka.

Z trudem się człowiek rodzi,
Już urodzeniem często śmierć przywodzi.
Pierwszem, które poznaje,
Uczuciem jest ból; ledwie dojrzał świata,
Jużci matka i ociec
Muszą pocieszać go, że się urodził.
Gdy w starsze wzrośnie lata,
To musi często pot im z czoła pociec;
A czy czynem, czy słowy
Mają ciągle na pieczy
Cieszyć go, stan mu osładzać człowieczy,
Czulszej pieczy dowodu
Zjawić nie zdolni dla własnego płodu.
Więc na co na świat rodzić,
Na co z niebytu wskrzeszać,
Gdy za byt potem potrzeba pocieszać?
Gdy życie jest katusza,
Kto nas je cierpieć zmusza?
Dziewicza gwiazdo, patrz — ot, tak się wlecze
Marne życie człowiecze!

Lecz ty, smutna i wieczna pątnico,
Ty wiedzieć musisz, taka zamyślona,
Żywot ziemski co znaczy?

I czem jest boleść, i czem jest westchnienie,
Czem jest owa śmierć, owo ostateczne
Martwych lic odbarwienie?
To zejście z ziemi, to zniknienie wieczne
Z przyjacielskiego i swojskiego grona?...
Ty rozumiesz, — o! pewnie —
Przyczynę zjawisk; ty widzisz owoce,
Które przynosi dzień, i długie noce
I nieskończony, cichy obieg czasu;
Ty wiedzieć musisz, na co w śmiech miłosny
Śmieją się usta wiosny,
Na co skwar lata, ile ludziom zysku
Z zimy płynie ucisku.
Tysiąc ty rzeczy wiesz, tysiąc odkrywasz
Oczom prostego zakrytych pasterza.
Często, gdy patrzę na cię,
Jak tkwi na niebie w ciszy majestacie
Nad wielką puszczą, co k' niebu przymierza
Tam w dali; lub gdy płynie
Oko twe krok w krok za mną i mą trzodą,
Gdy wzrok ku gwiazdom ślę w niebios głębinie, —
Myśli me takie wiodą
Gwary: — Na co te świeczki?
Na co powietrza bezdeń i ten czysty,
Głęboki lazur i na co w obszarze
Tak wielkim pusto tak?... a ja czem jestem? —
Oto tak z sobą w własnych myślach gwarzę,
Na ten sklep patrzę dumny
I na korowód gwiazd błyszczących tłumny
I myślę: — Na co ten trud i wieczysty
Pęd wszystkich ziemskich i niebieskich tworów?
Na co krążą te bryły,
Kiedy wracają zawsze, skąd ruszyły? —
Ja żadnej nie znajduję
Z ich dróg korzyści; — lecz ty znajdziesz pewno,
Nocy dziewicza, wieczysta królewno!
Ja wiem tylko i czuję,
Że jeśli wieczne ruchy,
Jeżeli byt mój kruchy
Niosą zysk komu, — dla mnie złem jest życie.
Ot, trzoda moja, co w cieniu spoczywa,
Szczęsna, bo nie zna swej — sądzę — niedoli.
Jak ci zazdroszczę, trzodo,
Nie, że cię nic nie boli,
Że się przelotną szkodą
Nie strapisz, wnet zapomnisz bólu, strachu;
Ale że nigdy nie zaznałaś nudy.
Kiedy tam leżysz w cieniu, w ziół zapachu,

Szczęsna jesteś, spokojna,
I całe lato boże
Wesoła będziesz i błoga, jak wprzódy.
Ja także leżę pośród ziół i w cieniu,
A nuda myśl mi porze,
Że się nie czuję sam w tem zniechęceniu
I że nie mogę sobie w duszy znoju
Miejsca znaleść spokoju.
Przecież nie znam, co chuci,
I przyczyn dotąd nie znałem żałobie.
Co tak być może tobie
Ucieszne, — nie wiem; dość, że cię nie smuci.
Ja znów mam uciech mało
I nie na jedno to się tylko skarżę,
Moje jagniątko! Gdybyś ty umiało
Mówić, spytałbym, dlaczego stworzenie,
Gdy mu swobodne dadzą odpocznienie,
Już się bytem zachwyca, —
A mnie, gdy spocznę, porywa tęsknica?
Może, gdybym miał skrzydła
I wzlecieć mógł na chmury
Rachować gwiazdy, co się wiankiem wiodą,
Albo piorunem mógł nawiedzać góry, —
Szczęśliwszy byłbym, o światło ty jasne,
Szczęśliwszy byłbym, luba moja trzodo!
A może iście błądzi
Duch mój, że patrzy w drugich i z nich sądzi.
Może to prawo wszystkim tworom własne,
Że w każdej formie, z kolebki na groby,
Dzień urodzenia ma być dniem żałoby?...

*(E. Porębowicz).*

J. Leopardiego »Wybór pism wierszem i prozą« przełożył E. Porębowicz, (Warszawa, 1887 r.).

---

## XVI. Józef Giusti.

### Toast Girelli,

ofiarowany ś. p. panu Talleyrandowi.

Pan Girella[1]) (inwalid
Wielkich zasług i zalet),
Rzucając przy stole
Dowcipy swe,
Stracił bussolę
I a — b — c.
I, pijąc wino,
Toaścik leje,

[1]) Girella — chorągiewka t. j. człowiek zmiennych przekonań.

A z ust mu płyną —
Własnej kroniki
Zacne pomniki —
Nieprane dzieje!
Niech żyją błazny i arlekiny!
Ojce i syny!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
Spiski i kluby — króle i fary!
Z każdej takiej maszkary
Zacnemi środki
Do swojej łódki —
Przez ład nowy i stary —
Co mogłem — brałem
I życie pchałem.
Kto nie giętki ma tułów,
Kto jest pełny skrupułów —
I nic umie (z tą wadą)
Grać duszą tak jak szpadą —
Nie zna co blaski,
Finansów łaski.
Niech żyją błazny i arlekiny!
Niech żyją cekiny!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
Podatki — stemple i kary.
A oto śród wybryków
I wrzasku buntowników —
Zawszem ja ku obronie
Od burz i sprzeczek,
Nosił na łonie
Z tuzin wstążeczek...
Gdy upadł ksiądz,
Wtedy jam, drwiąc,
Był ateistą,
Grabiąc na czysto
Kościoły niesforne
I władze klasztorne.
Niech żyją błazny i arlekiny!
I Jakóbiny!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
Loreto i Republiki sztandary!
Znikły warkocze;[1])
Więc znów się toczę
Ku panu memu,
Ojcu świętemu.
Wróciłem na pastewniki,
Między dobre katoliki.
A ta suknia przybrana
Nie szkodzi mi u pana,
Bo choć stoję w obronie
Przy kościele i tronie,
Nic nie oddałem,
Co zrabowałem.
Niech żyją błazny i arlekiny! —
Kłamliwe miny —
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
Co biorą, a nie oddają ofiary!
A gdy pisałem,
Toć opiewałem
Wojny — przymierza,
Króla — papieża —
Lud i Marata —
Napoleona —
Wolność z niewolą —
Pitta, Murata,
Króla Nazona[2])
I Fra-Diavolo[3]).
Moskwę — Marengo
Sławiłem tęgo.
Niech żyją błazny i arlekiny!
Niech żyją Welfy i Gibelliny —
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary,
Ten, co wschodzi, i ten, co idzie na mary.
Gdy za dni sto
Powrócił *status quo* —
W nowych zapałach
Festyny urządzałem,
Posągi przemieniałem
Na piedestałach.[4])
I tak powoli
Śród fal swawoli
I skał szeregu, —

---

[1]) Warkocz (?) coda, moda z czasów rewolucyi.
[2]) Król Nazone — t. j. Ferdynand Burbon, król Neapolu.
[3]) Fra Diavolo — (Michał Pezza) — wódz bandytów, przychylny Nazonowi.
[4]) Po upadku rewolucyi zmieniano posągi z jej czasów.

Kiedy okręt się wije,
Krzycząc ciągle: niech żyje!
Dopływałem do brzegu.
Niech żyją błazny i arlekiny!
Ukłony i festyny!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary
Żargon[1]) i ci, co są dlań pełni wiary.
Później piękną ideję
Wprowadzam w dzieje.
Gdy minął dawny wiek,
Na inny płynę brzeg.
Rzecz była taka:
Odebrałem chłopaka[2])
Opiekunom — i wziąłem
Węgiel — a społem
Dla mojego patrona
Zbrojnego w potęgę
Zabłysła korona,
A dla siebie mam wstęgę.
Niech żyją błazny i arlekiny!
Ordery, pergaminy!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
Świeca łojowa[3]) — Kroaty i huzary!
Po trzydziestym na nowo
Sławię burzę trzydniową,
Sławię Modeny
Rzeźnicze sceny;
Czytam dzienniki
Wszelakiej kliki
I płaczę trocha
Nad biedą Włocha.
A gdy świat się odwróci,
Od krwawej rewolucji
I innych szuka léjc —
Nie gadam nic.
Niech żyją błazny i arlekini
I król Chiappini![4])
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary.
Karta — i *crimen laesae* — i lipcowe żary.
Dziś jam staruchem,
Lecz czujnem uchem
Z przyzwyczajenia —
Dla czasu przepędzenia
Słucham, jakie brzmią hasła,
I spokojnie je kradnę,
Łykając jak kęs masła.
A sztuką władnę,
Bom w niej ćwiczony.
Pod osłoną prezydenta
Dziś mi papież uwielbiony
I kościół — matka święta.
Niech żyją błazny i arlekiny
I ludzie z miękkiej gliny!
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary;
I kto słyszy, jak rośnie trawa i szuwary!
Jeden-em z świadków
Wielu upadków!
Ten kredyt traci,
Ten duszę znów;
Ów szyją płaci,
Koroną — ów.
Lecz tylko osły
Łeb oddawali;
Chytrości posły —
My — zawsze cali. —
A każdy zbierać gotów
Zyski cudzych kłopotów.
Niech żyją błazny i arlekiny
I złości syny
Niech żyją maszkary
Wszelakiej miary —
I Brighella[5]), co niesie ci pożywne dary.

*(A. Lange).*

---

[1]) Żargon t. j. język haseł politycznych.

[2]) Zabrałem chłopaka: w roku 1821 Wiktor Emanuel I. zrzekł się tronu i regencyę sprawował Karol Albert, ks. Carignano, później król Piemontu. Karol Albert należał do Carbonarów t. j. stowarzyszenia t. zw. węglarzy; stąd wspomnienie o „węglu".

[3]) Świeca łojowa — jest to alluzya do panowania austryackiego, gdyż niektórzy żołnierze austr., a zwłaszcza Kroaci (według opowieści ludu), nie znając użytku świec, jadali je.

[4]) Chiappini t. j. Ludwik Filip, którego ojciec Filip Egalité miał podobno córkę, wydaną za mąż za niejakiego Chiappini, sierżanta z Modigliany.

[5]) Brighella — maska w dawnym teatrze włoskim komicznym, wyobrażająca franta, który udaje głupiego i zawsze gotów do zdrady.

## XVII. Giovanni Prati.

### Zwierzenia dziewcząt.

Czemu tak strzeżesz tej sukni znoszonéj? —
— Skraj jej mój luby całował w zapale;
Dziś ja z tej samej całuję ją strony
I jestem pewna, że to nie grzech wcale;
Całuję w wieczór, całuję ją rano,
Jak święty obraz, co przy chrzcie mi dano;
Wierz mi, Madonny jam nie całowała
Z większą miłością, kiedym była mała. —
— Milcz! niech się o tem twój spowiednik dowie,
Powie, że szatan, a nie Bóg w twej głowie. —
— Wie, rzekłam mu to... Kto jednego kocha —
Odparł staruszek — winę mniej ma srogą,
Niż kto wciąż w lustrze siedzi — jak ty, płocha —
Śmieje się z każdym, nie kocha nikogo.

*(Z.)*

## XVIII. Bernardino Zendrini.

### Daleki pieśni zgon! (La poesia non muore).

Mówisz, że kona pieśń natchniona,
Że wkrótce grób ją skryje!
Nie, póki jeszcze w głębi łona
Ludzkiego serce bije;
Nie, póki zcicha w niem przebrzmiewa
Wewnętrznej gędźby ton,
Nie, piękna moja czarnobrewa,
Daleki pieśni zgon!

Nie, póki w marzeń mgłę różową
Fantazya stroi skronie,
Póki srebrzyście nam nad głową
Gwiazdkami niebo płonie;
Póki wieczornych zórz purpury
Czerwienią niebios skłon,
A stąd dzwoneczki mają góry, —
Daleki pieśni zgon!

Nie, póki duch w dniach przeszłych
I zwiedza ich świątnice [gości
I wzlata chętnie w mgły przyszłości,
A los ma tajemnice;
Nie, póki żyją święte ślady
W italskich głębi łon,
Które tam wyrył Dante blady, —
Daleki pieśni zgon!

Nie, póki morze w skał urwisko
Uderza z gędźbą szumną;
Póki się miłość nad kołyską
Chyli, a ból nad trumną;
Póki gniazd szczebiot mają drzewa,
A ziemia kwiecia plon,
Póki twój płacz i śmiech przebrzmiewa,—
Daleki pieśni zgon!

*(Miriam).*

# XIX. Piotr Cossa.

## Neron.

Jestto właściwie nie dramat, lecz obraz dramatyczny (w 5 aktach), odsłaniający na tle zdziczałych obyczajów Rzymu moralną fizyognomię Nerona, na którą składają się: wyrafinowane okrucieństwo despoty i rozpusta, tchórzowstwo i maniactwo artystyczne, a wśród tego wszystkiego od czasu do czasu jakiś przebłysk szlachetniejszych porywów duszy, karmionej niegdyś naukami Seneki. Wielką nad nim władzę ma wyzwolenica Aktea, dla której czuje on jakiś respekt mistyczny, że nawet ręki na nią nie podniesie; ale i ona napróżno stara się go skierować do szlachetniejszego trybu życia, do zajęcia się sprawami państwa. Tymczasem z Galii dochodzą wieści o burzeniu się legionów. Przestrasza to Nerona, ale nie przeszkadza bynajmniej zająć się tancerką grecką, Eklogą, którą w swoim pałacu osadza, i oddawać się nocnym pohulankom. Raz w czasie takiej swawoli, ścigając Varonillę, córkę jednego z zamordowanych patrycyuszów, zapędza się w towarzystwie błazna swego Menekratesa aż do podmiejskiej tawerny Mucrona, gdzie właśnie grają w kości aktor Newiusz, gladyator Petroniusz, handlarz niewolników Naso i setnik legionistów Icelus. Ci ujmują się za ściganą dziewicą; powstaje kłótnia i Petroniusz powala Nerona na ziemię.

Scena 6 aktu II. Ciż i Aktea z pretoryanami.

*Aktea* (wpadając). Tu! pretoryanie! ratujcie cesarza.
*Mucro.* To cesarz?
*Inni.* Nero!
*Menekrates* (głęboko odetchnąwszy). Toż w porę się zdarza.
*Nero* (żywo powstaje na nogi; wszyscy odstępują z wrażeniem).
Tak, jam jest Nero... Coście oniemieli!
Niespodzianka niemiła, bo twarz wam się bieli.
Jasne jak słońce, co przyświeca światu,
Żeście tu wszyscy przeciwko mnie wszczęli
Tysiąc zniewag majestatu. (Konsternacya ogólna i milczenie).
Ja zaś, stróż prawa surowy,
Powinienbym liktorom oddać wasze głowy. (milczenie wciąż)
Ale łaskawość ja nad wszystko cenię
I udzielam przebaczenie!

(Na znak Nerona Vinucius i pretoryanie wychodzą z gospody).

*Menekrates.* A podszczuwacze śmią bredzić w szale,
Że Nero nie jest wspaniałym wcale.
*Nero* (do Petroniusa). Tobie, szczęśliwy starcze, w pamięci zostanie
Zwycięskie z cesarzem spotkanie.
Upadku mego tyś był sprawcą i świadkiem...
(Z komiczną zarozumiałością).
Choć się to stało więcej przypadkiem.
*Petroniusz.* Wyznaję szczerze,
Iż, wiedząc, że się z cesarzem mierzę,
Byłbym się zachował biernie.
*Nevius.* Ja zaś zwycięstwu radbym był niezmiernie.
*Nero.* Co cię tak mówić ośmiela?
*Menekrates.* No, posłuchajmy obywatela!

*Nevius* (podchodzi bliżej i śmiało staje przed Neronem).

Ty do pochlebstw służebnych nawykłeś od młodu,
Zepsuli cię sprzedajni nikczemnicy grodu,
Więc słowo moje nie ku twej pochwale
Zabrzmi w uszach twych nowo, zuchwale,
I może błogosławić nie będziesz przygody,
Co cię przywiodła za próg tej gospody.
Ty, siedząc w pysze na wszechwładnym tronie,
Z ludzi i bogów drwisz sobie, Neronie;
Na krzywdy drugich jesteś jak z głazu,
Podobien do tego obrazu,
Co stoi przed twym domem, obojętny, cichy,
W promieniach sztuki i pychy.
Trzeasz, starzec ów świetnej pamięci;
Pamiętasz go? Ofiara twej krwiożerczej chęci...
Gdy doń setnik z wyrokiem senatu wyrusza,
Spokojnie wtedy słuchał mistrza Demetryusza...
Gdy oznajmiono mu ten wyrok dziki,
Krewni, domowi wraz wznieśli okrzyki.
Byłem i ja tam, łzy mi się sączyły;
On jeden milczał i zdał się wesoły,
Uściskał córkę, umarłą na poły,
I potem kazał przeciąć sobie żyły.
Wszyscy śmiertelną cierpieliśmy mękę.
On kilka kropel krwi wziął w drżącą rękę,
Na ziemię rozlał na cześć Jowiszowi
Wybawcy, — i rzekł do nas: „Bądźcie zdrowi!
Ciężkie to czasy; aby było lepiéj,
Niech silny przykład duszę waszą krzepi".
Cóżeś skorzystał z tych słów Trazeasza?
Gdzie są swobody, gdzie jest godność nasza?
Patrycyuszowskich ty rodzin ostatki
Dobijasz; synów boją się mieć matki,
Bo ich los ojców i braci przestrasza;
Śród plebejuszów znów twoi siepacze
Sieją bezkarnie ucisk i rozpacze.
Pomnij, że ucisk nienawiść wyradza,
A w jej uścisku pęka wszelka władza,
Dalekonośne są głosy ofiary
I przywołują dzień kary.

*Nero* (uważnie wysłuchawszy mowy Neviusa, zwraca się do Menekratesa).

To mi artysta z duszy i ciała!
Głos śliczny, dykcya wspaniała. (do Neviusa)
Słuchaj, ja często sam się w domu biedzę,
Otwieram ci go jako koledze,
Bo i ja także jestem artysta;
Więc jeden z drugim, coś się skorzysta.

A przy Sofoklu i przy Homerze
Kto wie, może się i na przyjaźń zbierze.

(Osłupienie wszystkich, a w szczególności Neviusa).

Lecz gdzież to moja piękność spłoszona?
Czemu się kryjesz? Rzuć bojaźń swą.
Jam nie niewolnik; pójdź w me ramiona.
*Varonilla.* Odstąp odemnie! ciebie czuć krwią.
*Menekrates.* Bajka! tożeśmy widzieli,
Jak wyszedł prosto z kąpieli.
*Varonilla.* Krew, co cię plami, wnętrze me porusza:
Ja jestem córką Longina Kasyusza.
*Nero.* Fatalność! Córka?...
*Menekrates* (do siebie). Nero coś wzruszony (do Nerona)
Kto wie, czy jego córka; może tylko żony.
*Nero.* Ja boleść twoją rozumiem i dzielę,
Ale oświadczam ci śmiele,
Biedna dziewico, że w zajściu tem całem
Udziału żadnego nie brałem.
To ojcowie z senatu tak praw moich strzegą.
Gorliwość często sroga, nieodzowna zawsze. (do Neviusa)
Wszak prawda, mój dzielny kolego? (do Varonilli)
Lecz mówiąc z tobą, czuję napady łaskawsze,
Łaskawość nawet we mnie wzmaga się szalenie:
Wracam ci ojcowskie mienie.

W akcie III-cim przestrzega Nerona astrolog Babilius. Wróżby jego przerażają go na razie; rzuciwszy jednak okiem na statuę Eklogi, którą sam wyrzeźbił, zapomina o nich. W tym stanie zastaje go Ekloga.

*Ekloga.* O jedną łaskę chcę prosić cezara.
*Nero* (skwapliwie). Co chcesz, o wszystko cezar się postara.
Chcesz-li prowincyi? wydrę ją światu.
A może wznieść cię do konsulatu?
Myśl doskonała! Od czasów Augusta
Mniej więcej lista konsularna taka:
Mieliśmy głupców mnóstwo, jednego oszusta,
Dwóch bohaterów, jednego rumaka.
Dodamy jeszcze kobietę i będzie.
*Ekloga.* Rządów prowincyi nie mam ja na względzie.
*Nero.* Udział twój lepszy: ty rządzisz Neronem.
*Ekloga.* Tyś mnie obdarzył niewolnic gronem,
A wszystkie ładne i młode...
*Nero.* Więc co?
*Ekloga.* Chciałabym dać im swobodę:
Lecz czy nie jestem zanadto śmiała?
*Nero.* Com dał, to twoje. Jak chcesz, używaj mych darów,
Choćbyś je nawet marnować miała...
*Ekloga.* Oto najmilszy mi z twoich darów.

*Nero.* Więc naszyjnika z drogich kamieni
Pieszczotka moja wcale nie ceni,
Który przysłałem wczoraj?
*Ekloga.* Neronie,
Czyż go nie widzisz na mojem łonie?
*Nero* (dotykając naszyjnika). Dziwny zbieg! kiedyś spodobał się on
Poppei, jednej z mych żon.
*Ekloga.* Którą zabiłeś... Biedna dziewica!
*Nero.* Lecz ją kochałem wiernie cztery doby.
*Ekloga* (zdejmuje pogardliwie naszyjnik i rzuca na ziemię).
Nie chcę po zmarłej ozdoby.
*Nero.* Boisz się, by zazdrośnica
Nie wyciągnęła aż z piekieł dłoni,
By zdjąć, co niegdyś należało do niéj?
*Ekloga.* Nie; lecz to wróżba niemiła.
*Nero.* Odpędź ją tedy i potańcz.
*Ekloga.* Nie mogę.
Wspomnienia twoje znękały Eklogę;
Dziś już nie będę tańczyła.
*Nero.* Niech nic dotyka umarłego świata
Duch, który młode ożywia lata.
Moje uczucie wróżbą niech ci będzie miłą.
*Ekloga.* Tyle go przedtem kobiet dzieliło!
*Nero.* Żadna nie była tak w powab bogata
I nie kochała mnie tak, jak chciałem.
Zaśmiej się, zaśmiej boskiemi oczęty,
Zawróć mi głowę miłosnym szałem! (podchodzi zblizka)
Dobrze, iż zdjęłaś z szyi dyamenty,
Przybyło miejsca: tę białą szyję
Pocałunkami gęściej okryję.
I proszę! jak mi to snadnie
Dać znak — i szyja ta spadnie!
*Ekloga* (odbiegając od niego). Jakiżeś straszny!...
*Nero.* Jakiżem szczery!
*Ekloga* (oddalając się coraz bardziej). Myśl twoja zimna, jak ostrz siekiery
*Nero.* Nie bój się; tego ja nie uczynię:
Za znak mej mocy przyjmij jedynie
Te słowa moje. Słowem czy giestem
Przy tobie ciągle zmuszony jestem
Wspominać sobie, że światem władam,
Ja, co pod spojrzeniem twojem upadam,
Ja, co twą wolę pełniąc jedynie,
Ślepo ulegam słabej dziewczynie...
Gdy wspomnę o tem, zakipi krew
I miłość zmienia w gwałtowny gniew,
Że zaś, by go powściągnąć, sił za mało mam,
To radbym wnętrze twoje rozedrzeć i tam

Poszukać: jaka przyczyna
Jest, że twa piękność do nóg mnie ugina...

*(K. Kaszewski).*

W akcie IV. Aktea, zazdrośna o Nerona, którego kocha pomimo całej jego nicości, truje Eklogę podczas zbytkownej uczty, a wiadomość o wybuchu powstania w samym Rzymie rozprasza biesiadników. Aktea radzi Neronowi, ażeby unikając poniżenia, które go czeka niezawodnie, odebrał sobie życie i ocalił w ten sposób godność cesarza rzymskiego; ale Neron z przerażeniem i wstrętem odpycha podawaną sobie truciznę. W akcie V Neron, zmuszony do ucieczki, znajduje chwilowe schronienie w nędznej chacie wyzwoleńca Faona. Tu, gdy po krótkim, gorączkowym śnie budzi się, dowiaduje się, że jest ścigany. Aktea, która go nie opuszcza nawet teraz, znowu radzi mu umrzeć śmiercią godną Rzymianina i dla zachęty sama się przebija sztyletem. Neron wszakże dopiero wtedy decyduje się na ten krok rozpaczny, gdy pościg otacza już jego schronienie i drżącą ręką przy pomocy Faona przerzyna sobie gardło.

»Nerona« spolszczył K. Kaszewski (Ateneum r. 1878 t. III.).

## XX. Giosuè Carducci.

### 1. Panteizm.

Jam ci nie mówił, wszechwidzące słońce,
Jam się nie zwierzał, czujne gwiazdy, wam:
Imię jej, kwiecie cudne, jaśniejące,
Kryję w swem łonie, bo chcę mieć je sam.

A jednak znana całej gwiazdek straży
W noc cichą, ciemną moja tajemnica;
O niej zachodząc w łunach, słońce gwarzy
Z wschodzącą kulą srebrnego księżyca.

Na jasnych równiach, w gęstwie niedostępnéj
Krzew każdy o niej mówi, każdy kwiat;
Ptaki śpiewają: Poeto posępny,
I na cię słodki sen miłości padł.

Jam nic nie mówił; jednak boskim ruchem
Jej drogie imię brzmi na ziemi, niebie;
Wonnym akacyj sypiąc na mnie puchem,
Szepcze mi wszechświat: Ona kocha ciebie!

### 2. Rozmowa z drzewami.

Co ocieniasz samotne skały i doliny,
Już cię nie kocham, dębie senny, zamyślony,
Boś dał młodych gałązek zielone kończyny
Dla dzikich grodoburców na wieńce, korony.

I za tobą nie tęsknię, nie wielbię cię, płony,
Kłamny, hańbiący laurze, co pośród równiny
Pustej zimą — podnosisz obcy strój zielony,
Lub liśćmi kryjesz rzymskich cezarów łysiny.

Kocham cię, łozo winna, co maisz stok szary
I dojrzewając, uczysz w pogodzie słonecznéj,
Jak troski życia topić w toni zapomnienia.
Ale więcej czczę jodłę: ta na schludne mary
Daje mi cztery deski, w których na sen wieczny
Spoczną burze mych myśli i próżne pragnienia.

## 3. Wspomnienia ze szkoły.

Był koniec czerwca, był czarownie piękny
Dzień messidora żyznego; weselnie
W objęciach słońca rozpłonęła ziemia.
Jak potok ognia lało słońce blaski
Na rozpaloną niebios toń; pod boskim
Jego uśmiechem i morze się śmiało.
Ja się nie śmiałem, dziecko: ksiądz posępny
Chrapliwym głosem bluźnił *amo, amas,*
A w twarzy jego znać było znudzenie.
Tymczasem w okno szkoły zaglądała
Zuchwale wiśnia i koralowemi
Błyskała wabnie w słońcu owocami,
Tajemne baśnie szeleszcząc z wietrzykiem.
Tu, zapomniawszy o księdzu, o długich
Czarnych kolumnach nudnych konjugacyj,
Co wyglądały na zżółkłej stronicy,
Jak sznurki mrówek na glinie siwawej, —
Pełen pragnienia, puściłem za okno
Oczy i myśli na góry, na niebo
I na błyszczącą w dali smugę morza.
Tysiącznych chórów ptasich harmonijne
Głosy mieszały się z światła powodzią.
Z rozśpiewanemi gniazdami ich stróże,
Prastare drzewa i młode krzewiny,
Zdały się gwarzyć, a pszczoły brzęczały,
Kwiaty wzdychały, śniąc o pocałunkach
Motyli; trawa i piasek złocisty
Tysiącem istot żywych się roiły
I drgały lekko pod tchnieniem miłości.
Jasne pagórki, w mgły owite góry,
Zbóż płowe łany, śród gajów i winnic
Płonących złotem sennie falujące,
Bór ciemny w dali, liście żywopłotów,
Bagno zielone, — wszystko w blaskach słońca
Zdało się święcić wieczną młodość swoją.
Nagle — sam nie wiem, w jaki sposób — z owej
Krynicy życia wytrysła mi w sercu
Przerażająca myśl o śmierci, z nią zaś
Myśl o bezkształtnej nadeszła nicości.

I naraz jąłem porównywać owo
Uczucie życia nieskończone z groźną
Martwotą: w czarnej widziałem już ziemi
Swe ciało nieme, zimne, nieruchome,
A tutaj ptaków słyszałem wesołe
Śpiewy, drzew gwary, rzek szumy przeciągłe
I radość żywych istot, które słońce
Boskiemi blaski swemi oblewało; —
I nagłem pojął w całej pełni grozę
Śmierci i strach mnie przejął rzeczywisty.
I jeszcze dzisiaj ta śmieszna dziecięcej
Fantazyi mara stoi mi w pamięci
I zawsze jako strumień lodowatej
Wody na sercu ołowiem mi ciąży.

## 4. Naprzód! naprzód!

I.

Naprzód! hej, naprzód, rumaku poezyi burzliwy!
Niech w siodło ci skoczę, twej szorstkiej chwyciwszy się grzywy
Biegunie dziki ty!
Dla nas — pył gonitw, wzruszenia, bój wichrów w przestrzeni,
Wód szumy gwałtowne a dumne, z rozbitych kamieni
Pod kopytami skry.
Włoskie człapaki włos mają trefiony od młodu,
A miękkie gazony, ozdobne trawniki ogrodu —
Miejscem zapasów ich;
Tam to harcują w obliczu zalotnych kochanek,
W takt grzywa powiewa, w kwiat zdobna, wstąg wianek,
W krąg gędźba, radość, śmiech;
Skoro zdaleka pył biegu naszego spostrzegą,
W łuk karki gną nędzne, stal gryzą munsztuka twardego
I — zda się — rżą nam: Stój!
Klacz, co drożyną się wlecze od kurzu zbielałą,
W czapraku, rzemieniach, kryjących kościste jej ciało,
Krok powstrzymuje swój
I wspominając wiek młody, stadniny tętenty,
Stajenkę swą ciepłą, żłób pełny, karm z łąki nietkniętéj,
Ze zgrozą widzi nas.
A my — za widmem miłości nieznanej — przez słońca,
Przez gwiazdy, etery — rycerze zaklęci — bez końca
Przez przestrzeń gnamy, czas.
Naprzód, hej, naprzód, burzliwy rumaku, mój druhu!
Czy widzisz, paryjską białością na wzgórz tym łańcuchu
Jak stary błyska chram?
Widzisz, jak tam Angeliki zasłona złotawą
Na niebie lśni chmurką? — O, witaj nam, sławo,
Wolności, witaj nam!

II.

W pierwszych mych latach, o sławo, już w serca głębinach mi wzrosła,
W dumnem, wyniosłem milczeniu, i miłość ku tobie wyniosła!
W laurów posępnej ozdobie wspaniały wysokich rząd czół
Z zimnych marmurów rozpalił mi w łonie rażący blask złoty —
I porzuciłem maj wonny i dziewcząt tańczących pustoty
I ich ramiona śnieżyste, po których włos płowy się snuł.
Wszystko, co wtedy tak łatwo młodzieńcze dawały mi lata,
Wszystko oddałem z zapałem za łzawy uragan trosk świata,
Za uściśnienie powietrzne przyszłości niepewnej mdłych mar.
O ty, olbrzymi posągu bronzowy nad skałą spiętrzoną,
Wielcy snać tylko dosięgną stóp twoich, na zimne twe łono
Złożą, znużeni, skroń zimną i życia gorzki im dar.
Dziksze wszak, grzmiące porywy miłości i gniewu ludzkiego
W serca głębinie zażegły mi dwie te ostatnie, co strzegą
Świata, boginie: swoboda i słuszność — płomiennym swym tchem;
Śniłem, żem wieszczem — prorokiem er nowych italskiej krainy,
Strof mych, że w niebo aż grzmocą, jak miecze, płomienne drużyny,
Że uskrzydlone — jak pożar — po wszystkie granice mkną ziem.
Ach, lecz przy muskułach twardych skrzydlate czem mogą być rymy?
Z mieczem żelaznym w prawicy, jak burza, przez wrzawę i dymy
Rzuca się, tygrys szlachetny, w namiętny szał walk Desmoulins:
Gruz wnet z Bastylii! A dalej, tam turze ot ramię Dantona
Śmie, o republiko, tłuszczy narodów, co czeka spragniona,
Nagie okazać, o niepokalana, bez szat łono twe!
Dla nas daremne walk rzuty. Ty padłeś, o drogi Mameli,
Z modrą źrenicą, utkwioną gdzieś w niebios rozwartej topieli,
Padłeś mi, druhu, od hymnów natchnionych w bój biegnąc, jak kwiat.
W duszy ci śmiała się wiara młodzieńcza, gdy piękną swą głowę,
Mrąc, pochyliłeś na piersi w omdleniu, a trójkolorowe
Wiały chorągwie i Rzymu cień gwiezdny na czoło ci padł;
A zanim dusza ci z ciała uciekła, nad zbladłe twe czoło
Święta republika ramię potężne ściągnęła, wokoło
Władzę objąwszy, od słońca zachodu do Romula wzgórz! —
Ja zaś tyrana i raba w krąg widzę, ofiarę i kata,
Czuję, nad głową jak lotnie pierzchliwe uchodzą mi lata:
— Co on tam śpiewa — szept słyszę — posępny ów złudzeń swych stróż?
Śpiewa i do snu kołysze żałosne widziadła swych marzeń,
Nie wie, co wstrząsa dziś światem i nie dba o zmianę wydarzeń.
Słuchaj mię, ludu Italii, coś życiem jest wszystkich mych dum,
Słuchaj mię, stary tytanie z zamarłą już dawnych lat sławą!
Podłość twą w twarz ci rzuciłem — rozgłośnie odkrzyknął mi: „Brawo!“
I w pogrzebowe me wiersze puhary ustroił swe tłum!

III.

Naprzód, hej, naprzód śpiesz, hymnów skrzydlaty rumaku!
W niepamięć los puszczę — na jazdy szalonej twej szlaku —
I dni posępnych ciąg.

Pomnisz, mój piękny biegunie, jak pierwsze twe skoki
Sokoły radośnie witały, wzlatując w obłoki,
Jak bawół ryczał z łąk?
Pomnisz te nagie wybrzeża toskańskich wód toni,
Gdzie ponad zasianą równiną pochmurnie się kłoni
Feudalnej wieży słup?
I ze swym cieniem podłużnym z wyżyny przyległéj
Grobowych snów strzeże miast w gruzach, co legły
W zaroślach u jej stóp?
Duszny sirocco tam dręczy figowce spragnione,
Co z ponad olbrzymich skał złomów wieczyście zielone
Chwieją się w tył i wprzód;
Na te skaliska to kupcy tyrreńscy przed wieki
Drapali się, śledząc fenickich bark żagle w dalekiéj
Przestrzeni modrych wód.
A Populonię, Roselle, a stolb niedostępny
Ów donoratycki — pamiętasz, gdzie hrabia posępny
Ugolin bił do bram,
Gdy pod Melorią straciszy swą tarcz i sztandary,
Zdjął hełm tutaj z czoła, przed którem w otchłani Dant stary
Ze zgrozą zadrżał sam?
Dziś tam (o słodkie wspomnienie!) dąb wielki na straży
Nad mostem zwodzonym coś szemrze, a pod nim znów gwarzy
O hrabi łowiec rad;
W łunach szkarłatnych wieczoru nad wieżą niewierną
Zgłodniałe sokoły latają wciąż z wrzawą niezmierną,
Pies patrzy ku nim w ślad.
Tam ze mną rosłeś, płomienny rumaku mych pieśni,
A głaz pelasgijski, tyrreńska jaskinia w skał cieśni
Ołtarzem były nam;
W ciszę południa skwarnego grobową, tajemną,
Królowie, augurzy odwiecznych praojców mych, ze mną
Rozhowór wiedli tam.
Tameś żył, koniu mój, ziarnem, co w glebę stuleci,
Przez konsulów rzymskich zoraną mieczami, w zamieci
Walk ciągłych, zamiast soch,
Dant rzucił, nowy ów kapłan etruski, by kwiecie
Stąd maja trzeciego wykwitło na dziw w całym świecie,
Jedności święta Włoch!
Pośród walk z Niemcem i psalmów chrześciańskich to ziarno
Przy pracy swobodnej rolnika nad skibą swą czarną
Wzrastało z dnia na dzień,
Kto się niem karmił, mój dzielny biegunie, potężne
Ma muskuły, nerwy i serce wytrwałe a mężne,
Szlachetnych pełne drgnień.
Skaczę więc, koniu Apolla, na grzbiet twój skrzydlaty
I wodze na kark ci porzucam, pędź choćby za światy,
Pędź, dzielne zwierzę, w cwał!

Depcz przewodnikom w tym pędzie i łona i głowy,
Aż zmoczysz kopyta w potworów tych krwi purpurowéj; —
I dla nas wiosny szał,
Wiosny pagórków italskich, i kwiecia, i zboża,
Tej wiosny duchowej, gdy człek znów na uczuć bezdroża,
W myśli się rzuca las!
Lećmy, aż grom nas Jowisza dosięgnie w chmur łonie,
Oczyści i spali, lub potok spieniony pochłonie
Rumaka z jeźdźcem wraz,
Albo aż z siodła gwiezdnego sam zstąpię i, zorzę
Światłości i widzeń unosząc, do snu się położę
W toskańskiej ziemi, w grób.
Wtedy przy brata mogile odpocznij pochmurny,
Skub liść koniczyny, co rośnie z antycznej tam urny
Na słońcu u jej stóp.

*(Miriam).*

# II. HISZPANIA.

## A) Kastylijczycy.

## I. Garcilaso de la Vega.

### Ekloga I. Salicio i Nemoroso.

Ekloga wypowiada skargi miłosne dwóch pasterzy, z których pierwszy — Salicio, wyrzeka na niewiarę kochanki Galatei, drugi — Nemoroso — boleje nad stratą zmarłej Elizy. Przytoczony poniżej wyjątek stanowi kilka zwrotek z żalów Nemorosa.

Strumieniu wartki, jasny, kryształowy,
Gaju, co własne widzisz w nim odbicie;
Łąko cienista, świeża, umajona,
Ptaszęta, które hymn tu zawodzicie,
Bluszczu, co miękkich swych pędów okowy,
Na drzew swobodnych zarzucasz ramiona;
Tu mi serce dziś kona
Pod brzemieniem rozpaczy,
Gdzie wprzód żyłem inaczéj...
Balsam do duszy lało to ustronie,
Tu w snach mi szczęściem uderzyły skronie,
Stąd myśl skrzydlata nieprzepartą siłą
Leciała tam w pogonie,
Gdzie wszystko dla mnie ukochanem było.

Tu, w tej dolinie, gdzie próżen pociechy
Wiję się, miotam w cierpieniach bez końca,
Jam tyle szału... szczęścia przeżył tyle!...
Już nie zapłonie wschód mojego słońca!...

Pomnę... tu niegdyś... gdym spał — srebrne śmiechy
Budzą mnie... Ona!... Prysły szczęścia chwile!...
Eliza dziś w mogile!...
Łzy krwawe w serce płyną...
O, wątła ty dziecino!
Czemuż przedwcześnie, mój kwiatku pieszczony,
Śmierć w bezlitośne porwała cię szpony!
Czemu ty na mym nie płaczesz pogrzebie!...
O! ze mnie głaz wcielony,
Kiedy z myślą o tobie — mogę żyć bez ciebie!

O! gdzie są teraz świetlane jej oczy,
Którym się dusza tak moja poddała,
Jakbym ją w jasne ich wszczepił promienie!...
O! gdzie ta rączka wypieszczona, biała,
Którą gdy szyję, bywało, otoczy,
W dwu sercach jedno drgało nam pragnienie!...
Gdzie włosów jej pierścienie!
Ach! złoto przy ich fali
Ciemniało w barwę stali!
Niema jej piersi białej, utoczonej,
Kibici wiotkiej... czoła do korony
I skroni, które kwiatami wieńczyła.
Jam w koło mąk wpleciony,
Bo, ach! te skarby już kryje mogiła!...

Promień twych włosów, tę pamiątkę drogą,
Dniem i nocami we wstążeczce białéj
Na wiernem tobie sercu mojem pieszczę:
Gdy je rozwijam, czuję rozbolały,
Że one z łez już obeschnąć nie mogą,
Choć żar mych westchnień pałający jeszcze,
Choć mej gorączki dreszcze
Ślad łez obfitych palą
Oddechu mego falą...
O! ta pamiątka ostatnia, jedyna,
Całą mi przeszłość budzi, przypomina,
Szepcze o życiu z Elizą beztroskiem:
Chwilką mi ta godzina,
Kiedy się mogę pieścić każdym włoskiem!...

Elizo boska, gdy już niebios kręgi
Nieśmiertelnemi przebiegasz stopami,
Błogosławione zdobywszy ognisko:
Czemu ten straszny przedział między nami?
Czemu ty boskiej nie weźmiesz potęgi,
Byś z oddalonej stała mi się blizką,
Bym w twoje wszedł siedlisko!

Tam Stwórca nam nie wzbroni
Poszukać znów ustroni.
Tam inne znajdziem góry i strumienie,
Odmienne kwiaty, doliny i cienie;
Tam będę, chłonąc twą postać anioła,
Szczęśliwy nieskończenie,
Że mi już ciebie nikt wydrzeć nie zdoła!

*(J. A. Święcicki).*

## II. Krzysztof Castillejo.

### Lida i Amor.

Śród ogrodu o rozkosznej woni
Lida, dziewczę w całej wdzięków sile,
Za kwiatkami niby motyl goni,
A różyczki, lilie... w białej dłoni
Na wianuszek składają się mile.
Gdy tak szybko rośnie wianek duży,
Niespodzianie w najpiękniejszej róży
Ukrytego spostrzega Amora:
Więc dzieweczka do uniesień skora,
Wiążąc zdrajcę, woła: niech mi służy!...
Ale Amor, w bojach niestrudzony,
Do zapasów ma siły ochocze,
On nie w takie dostawał się szpony!
Więc się żwawo bierze do obrony,
Skrzydełkami ze zgrozą trzepocze...
I by prędzej wyfrunąć z niewoli,
Ze wstążeczką się strasznie mozoli,
Niby dziecię, a z odwagą męża
Wszystkie siły w tej walce wytęża,
Jeszcze chwilka i... już się wyzwoli...
Gdy swoboda tuż... tuż... niedaleko,
Amor, walcząc, spojrzał ku dziewczynie:
Co za buzia!... istnie krew i mleko,
Co za oczy!... niby żarem pieką,
Sama Wenus przy wdziękach jej ginie!...
Na wosk mięknie mu serce ze stali,
Niby z wstążką boryka się daléj,
Lecz obrona idzie mu nie sporo...
Więc do bogów modli się z pokorą,
By mu klęskę, nie tryumf zesłali.
Coś mu w duszy smętno, nie różowo,
Gdy swobody nadchodzi już pora;
Więc do Wenus rzecze: O królowo,
Wymów, błagam, przebaczenia słowo
I nowego poszukaj Amora!...
Czemu gniewem pałają twe skronie?...
Wszak jam uległ po długiej obronie!...
A jeżeli mam kiedy królować,
To mię, matko, do grobu nie prowadź
I na Lidy pozwól zasiąść tronie!

*(J. A. Święcicki).*

## III. Lope de Rueda.

### Oliwki.

Drwal Toruvio powraca późnym wieczorem zgłodniały do domu i natarczywie domaga się wieczerzy, ku wielkiemu zakłopotaniu żony Aguedy i córki Mencigueli.

*Agueda* (do córki). Biegnij, mała, i przyrządź ojcu parę jajek (do męża). Założyłabym się, mój panie, żeś znów zapomniał o zasadzeniu oliwek?!..

*Toruvio.* A na cóżem stracił tyle czasu, jeśli nie na wykonanie twej prośby?

*Agueda.* To dobrze, a gdzieżeś zasadził te oliwki?

*Toruvio.* O dwa kroki od drzew figowych, w tem miejscu, pamiętasz, gdzie to zażądałem od ciebie pocałunku.

*Menciguela.* Ojcze, możesz jeść, wszystko gotowe.

*Agueda.* Czy wiesz, mój mężu, jaka mi myśl przychodzi?... Te oliwki, któreś zasadził, za jakie lat sześć lub siedm dadzą do czterech lub pięciu miar oliwy, a sadząc ciągle już to na prawo, już na lewo, za lat 20 lub 30 będziemy mieli wcale ładny gaj oliwny.

*Toruvio.* Masz słuszność, żono, to będzie gaj piękny!..

*Agueda.* Słuchaj-no, przyjacielu, czy wiesz, o czem myślę. Ja nazbieram oliwek, ty je włożysz na osiołka, a Menciguela będzie je na placu sprzedawała. Tylko pamiętaj, mała, nie oddawać taniej, jak dwa reale za miarkę..

*Toruvio.* Co? dwa reale?... A sumienie!.. a sędzia targowy? toż on nas karą obłoży!... Dość będzie, jeśli zażąda 14 lub 15 cuartos za miarkę!...

*Agueda.* Milcz, mój panie, te oliwki pochodzą z Corduby.

*Toruvio.* Chociażby nawet — nie można żądać więcej, jak powiedziałem.

*Agueda.* Nie zawracaj głowy!... Słuchaj mnie dobrze, mała, ja ci zabraniam sprzedawać taniej, jak dwa reale za miarkę.

*Toruvio.* Co? dwa reale?!.. Przybliż się tu, mała. Ile zażądasz?...

*Menciguela.* Ile chcesz, mój ojcze..

*Toruvio.* Czternaście albo piętnaście cuartos.

*Menciguela.* Tak zrobię, mój ojcze...

*Agueda.* Jakto?... „tak zrobię, mój ojcze?!“.. Pójdź tu, mała. Ile zażądasz?...

*Menciguela.* Jak każesz, moja matko.

*Agueda.* Dwa reale.

*Toruvio.* Ależ nigdy!... Przyrzekam ci, że jeśli nie zrobisz, jak powiedziałem, dostaniesz co najmniej dwieście rózg. No, ile zażądasz?

*Menciguela.* Jak powiedziałeś, mój ojcze.

*Toruvio.* Czternaście albo piętnaście cuartos.

*Menciguela.* Tak zrobię, mój ojcze.

*Agueda.* Co? „tak zrobię, mój ojcze?!“... *(uderzając ją).* Masz... masz.. teraz cię nauczę wypełniać moją wolę.

*Toruvio.* Daj pokój małej!.

*Menciguela.* Ach, moja matko, ach, mój ojcze, zabiją mnie!...

*Aloja* (sąsiad). Co się tam dzieje, sąsiedzi?... Czego wy to dziecko mordujecie..

*Agueda.* Ach, panie, to nędznik, któremu przyszło do głowy sprzedawać rzeczy niżej wartości i pragnie dom mój zrujnować. Oliwki grube, jak orzechy!..

*Toruvio.* Przysięgam na prochy moich ojców, że nie są grubsze od nasienia szyszek.

*Agueda.* Ależ tak!...

*Toruvio.* Ale nie!...

*Aloja.* No dobrze, zobaczymy, kochana moja sąsiadko, pozwólcie mi wejść do siebie, a ja wyjaśnię wszystko.

*Agueda.* Wyjaśnij i rozstrzygnij podług twego zdania.

*Aloja* (wchodząc). Gdzież są te oliwki?... Przynieście je, zakupię wszystkie, choćby ich było miar dwadzieścia.

*Toruvio.* Ależ pan jesteś w błędzie — oliwek nie mamy w domu, lecz w dziedzictwie.

*Aloja.* Więc je przynieście, kupię po cenie sprawiedliwej.

*Menciguela.* Matka chce, żebym je sprzedawała po dwa reale miarkę.

*Aloja.* To za drogo!...

*Toruvio.* Wszak prawda?!...

*Menciguela.* A ojciec po 15 cuartos.

*Aloja.* Pokażcie próbkę.

*Toruvio.* Boże pomagaj! Ależ pan nie chce mnie zrozumieć. Ja dziś zasadziłem oliwki i żona moja powiedziała, że za lat sześć przyniosą około pięciu miar oliwy, a mała sprzedawać je będzie po dwa reale. Ja mówię, że nie; ona, że tak; i stąd kłótnia.

*Aloja.* Wyborna kłótnia! Czy kto widział co podobnego? Ledwie oliwki weszły do ziemi, już dziewczyna myśli o wywożeniu ich na targ.

*Menciguela.* Nie miałam racyi, panie?

*Toruvio.* Obetrzyj łzy, córeczko. To klejnot nie dziecko, szanowny panie! Przyrzekam ci suknię za pierwsze oliwki, które sprzedamy.

*Aloja.* No, sąsiedzie, uspokój się i pogódź ze swoją żoną.

*Toruvio.* Dobrej nocy szanownemu sąsiadowi.

*Aloja.* Zaprawdę dzieją się rzeczy na świecie zadziwiające. Jeszcze oliwki nie zasadzone, a już się o nie ludzie biją.

*(J. A. Święcicki).*

---

## IV. Michał Cervantes de Saavedra.

### Życie i czyny sławnego hidalga Don Kichota z Manczy.

(Don Quixotte de la Mancha).

W tym romansie satyrycznym Cervantes opowiada przygody pewnego szlachcica hiszpańskiego, Don Kichota z prowincyi Manczy (Mancha), który naczytawszy się bałamutnych i niedorzecznych romansów rycerskich, uroił sobie, że żyje w czasach błędnego rycerstwa, i postanowił sam zostać rycerzem błędnym, żeby walcząc w obronie słabych i uciśnionych, oddać usługi społeczeństwu, a dla siebie sławę pozyskać. Przybrany więc w połatane resztki dawnej zbroi, na chudym koniu, któremu nadał miano Rosynanta, wyrusza szukać okazyj do rycerskich czynów, poświęcając je zawczasu ku uczczeniu damy swego serca — Dulcynei z Toboso, prostej dziewuchy wiejskiej, w której podejrzywał jakąś prześladowaną księżniczkę. Pierwsza ta wyprawa Don Kichota trwała niedługo. Sprowadzony do domu przez znajomego chłopka, w czas jakiś potem wyrusza powtórnie, ale już nie sam, tylko w towarzystwie giermka. Jest nim Sancho (Sancho) Panza, prosty chłop na osiołku, człowiek poziomy i ograniczony; tchórz wielki, dał się on namówić do niebezpiecznego zawodu obietnicą otrzymania w zarząd jakiej prowincyi

lub wyspy, gdy Don Kichotowi szczęście posłuży i pozwoli mu zdobyć jakie królestwo. Początkowo Sanczo Panza spełnia swoje obowiązki wielce nieudolnie, ale powoli wciąga się do nich i stopniowo przejmuje się swoją rolą, a potrosze nawet wyobrażeniami swego pana, lubo nie traci zupełnie zdolności trzeźwego widzenia rzeczy. Don Kichot, nie widząc tego, że świat rzeczywisty jest zgoła inny, aniżeli ten, jaki w swojej obałamuconej wyobraźni stworzył, we wszystkich swych postępkach stosuje się do wskazówek, jakie w romansach rycerskich wyczytał; pomimo więc najlepszych chęci nie może osiągnąć tego, czego pragnie, — przeciwnie, widząc rzeczywistość w świetle opacznem, każdym swym czynem ściąga na siebie albo śmieszność, albo nawet bolesne poturbowania, a społeczeństwu wyrządza tylko szkody, trwożąc np. spokojnych podróżnych albo przywracając wolność złodziejom, rabusiom i t. d. Żadne jednak niepowodzenie nie może go z obłędu uleczyć, bo każdą konfuzyę tłómaczy sobie psotami wrogich czarowników albo prostem nieszczęściem. Przyjaciele Don Kichota — ksiądz pleban, balwierz Mikołaj i bakałarz Samson Carasco — używają różnych fortelów, żeby go do domu sprowadzić i zatrzymać. Don Kichot po każdym powrocie wymyka się na nowe przygody, zapędza się w końcu aż do Barcelony. Tu wreszcie Samson Carasco, przebrany za rycerza Białego księżyca, wyzywa go na pojedynek, zwycięża i jako zwyciężonego zobowiązuje, aby na cały rok zaniechał szukania przygód i czas ten spędził bezczynnie w domu — spodziewa się bowiem, że rok czasu wystarczy na jego uleczenie. Nie domyślając się, kto go właściwie zwyciężył, Don Kichot, wierny rycerskiemu słowu, wraca do domu; ale czy to ze smutku, że został zwyciężony, czy też może dlatego, że w niefortunnych przygodach sterał zdrowie, zaraz po powrocie zapada na pleurę i wreszcie umiera, nie odzyskawszy trzeźwości umysłu.

»Don Kichot« był dwukrotnie tłumaczony na język polski: przez Fr. Podoskiego (Warsz. 1786) i W. Zakrzewskiego (Warsz. 1855).

Przygoda w wąwozie Lápice (Część I. rozdział 8).

Puścili się (Don Kichot i Sanczo Panza) w dalszą drogę ku wąwozowi Lápice i dotarli do niego rzeczywiście w trzy godziny po wzejściu słońca.

— Tutaj, bracie Sanczo Panza — rzecze Don Kichot, ujrzawszy wąwóz — możemy po same łokcie unurzać ręce w tem, co się nazywa przygodami. Tylko pamiętaj, że nie wolno ci ująć szpady dla mojej obrony, chociażbyś widził, że się znajduję w największem niebezpieczeństwie; jedynie w takim razie możesz mi przyjść z pomocą, jeżeli zobaczysz, że napastuje mię hołota i pospólstwo. Ale jeżeli to będą rycerze, to prawa rycerskie w żaden sposób nie dopuszczają, ani pozwalają, abyś mi pomagał, dopóki sam nie zostaniesz pasowany na rycerza.

— Zaręczam, dostojny panie, — odparł Sanczo — że w tem będę ci najzupełniej posłuszny, zwłaszcza, że z natury jestem człowiekiem spokojnym i niechętnie wdaję się w kłótnie i zawadyactwa. Ale, co prawda, gdyby mi wypadło bronić własnej osoby, to niewielebym zważał na te tam prawa, bo prawa boskie i ludzkie dozwalają każdemu bronić się, gdyby go chciał kto skrzywdzić.

— Temu nie przeczę — odpowiedział Don Kichot; ale w niesieniu mi pomocy przeciw rycerzom trzymaj w karbach swoją przyrodzoną krewkość.

— To też mówię, że tak postąpię — odrzekł Sanczo — i uszanuję ten zakaz tak dobrze, jak dzień niedzielny.

Kiedy tak rozprawiają, ukazali się na drodze dwaj benedyktyni na dromaderach, a właściwie na mułach, niewiele od nich mniejszych,

w okularach podróżnych i z parasolami. Za nimi szła kareta, otoczona przez czterech czy pięciu jeźdźców, i dwaj piesi mulnicy. W karecie, jak się później pokazało, znajdowała się pewna dama biskajska, jadąca do Sewilli, gdzie przebywał jej mąż, który miał udać się do Indyj na jakieś bardzo zaszczytne stanowisko. Zakonnicy nie należeli do jej orszaku, chociaż jechali tą samą drogą; ale Don Kichot, jak tylko ich spostrzegł, odezwał się do swojego giermka:

— Albo się mylę, albo czeka mię najsławniejsza przygoda, jaką kiedykolwiek widziano, bo te dwie czarne postacie, co się tam ukazują, są to zapewne, a nawet są najniewątpliwiej czarnoksiężnicy, którzy uwożą w tej karecie jakąś księżniczkę. Dla poskromienia tego bezprawia muszę wytężyć wszystkie swe siły.

— Będzie to coś gorszego, niż z wiatrakami — odrzekł Sancho — przypatrz się, panie, że to są dwaj benedyktyni, a owa kareta należy zapewne do jakichś podróżnych. Niech pan zważy, co mówię, i zastanowi się, co czyni, żeby go dyabeł nie wywiódł w pole.

— Jużem ci powiedział, Sancho — odparł Don Kichot — że mało się znasz na istocie przygód, i zaraz się przekonasz, że mam słuszność.

I to mówiąc, wysunął się naprzód, stanął na środku drogi, którą jechali zakonnicy, i gdy się zbliżyli na tyle, iż przypuszczał, że mogą usłyszeć, co powie, zawołał podniesionym głosem: Przeklęte plemię pogańskie! puścić mi natychmiast na wolność dostojne księżniczki, które przemocą uwozicie w tej karecie; inaczej bądźcie gotowi ponieść śmierć na miejscu jako karę za swoje niecne czyny.

Powściągnęli zakonnicy cugli i stanęli zdziwieni zarówno wyglądem Don Kichota, jak i jego przemową.

— Panie rycerzu — odpowiedzieli — nie jesteśmy ani przeklętem, ani pogańskiem plemieniem, tylko benedyktynami i jedziemy w swoją drogę, a czy tam w karecie znajdują się jakie porwane księżniczki, lub nie, nic o tem nie wiemy.

— To nie dla mnie te pochlebne słówka, bo ja was znam, przewrotna zgrajo! — odrzekł Don Kichot.

I nie czekając na odpowiedź, dał ostrogę Rosynantowi i złożywszy kopię, uderzył na pierwszego zakonnika z taką zajadłością i odwagą, że gdyby ten nie był się zsunął z muła, byłby go zwalił na ziemię, a może ciężko zranił, lub nawet położył trupem. Drugi zakonnik, widząc, co spotkało jego towarzysza, wcisnął pięty w słabiznę swojego poczciwego muła i zaczął lżej od samego wiatru uciekać w pole. Sancho Panza, gdy ujrzał zakonnika leżącego na ziemi, zeskoczył żwawo z osła, rzucił się na niego i zaczął ściągać z niego odzież. Zbliżyli się tymczasem mulnicy zakonników i spytali go, dlaczego obdziera ich pana. Sancho odpowiedział, że to mu się słusznie należy jako łup zwycięstwa, które odniósł jego pan, Don Kichot. Mulnicy, którzy nie znali się na żartach i nie wiedzieli nic o łupach ani o zwycięstwach, widząc, że Don Kichot już się był oddalił i rozmawiał z podróżnemi, co jechali w karecie, rzucili się na Sancha, obalili go na ziemię, wyrwali mu brodę aż do ostatniego włosa,

zbili niemiłosiernie i zostawili rozciągniętego na ziemi z zamarłym tchem i bez zmysłów. Mnich, nie tracąc ani chwili czasu, zerwał się na nogi, cały drżący, wystraszony i wybladły, i jak tylko dostał się na swego wierzchowca, poczwałował do swojego towarzysza, który w znacznej odległości oczekiwał na niego i patrzał, na czem się skończy ta napaść. I nie ciekawi przebiegu całej tej awantury, obaj puścili się w dalszą drogę, żegnając się ciągle, jak gdyby dyabła czuli już na karku. A Don Kichot, jak się już powiedziało, rozmawiał z damą w karecie i tak do niej mówił:

— Piękna pani! możesz robić ze swoją osobą, co ci się podoba, ponieważ zuchwalstwo twoich gnębicieli leży już na ziemi, powalone siłą ramienia mojego. Ażebyś się nie trudziła o imię twojego wybawcy, wiedz, że się nazywam Don Kichot z Manczy, jestem błędnym rycerzem i pokornym niewolnikiem pięknej Dulcynei z Toboso. W nagrodę za przysługę, jakiej odemnie doznałaś, nie żądam niczego więcej, tylko żebyś wróciła do Toboso, przedstawiła się odemnie tej damie i powiedziała jej, co uczyniłem dla twojego uwolnienia.

Wszystkiego, co mówił Don Kichot, słuchał jeden z koniuszych, towarzyszących karecie, Biskajczyk. Widząc, że nie chce puścić karety w dalszą drogę, lecz domaga się niezwłocznego powrotu do Toboso, zbliżył się do Don Kichota, pociągnął go za dzidę i rzekł do niego w lichej kastylszczyźnie, a jeszcze gorszej biskajszczyźnie:

— Ruszać sobie rycerzu, precz, bo jak mnie Bóg stworzył, dostaniesz śmierć, kiedy nie puszczasz karety, jak ja jestem Biskajczyk.

Don Kichot zrozumiał go bardzo dobrze i odpowiedział mu z wielką powagą:

— Gdybyś był rycerzem, jak nim nie jesteś, jużbym cię był ukarał za tę głupotę i zuchwalstwo, nędzny służalcze.

Na to uniósł się Biskajczyk:

— Ja nie rycerz? Klnę Boga, kłamiesz jak chrześcianin. Jeżeli rzucisz dzidę a weźmiesz miecz, zaraz zobaczysz, kto z nas prowadzić koty pić. Biskajczyk na lądzie, hidalgo na morzu, hidalgo do dyabła, i łżesz, jeżeli inaczej mówi.

— Zaraz to zobaczysz, powiada Agrages — odrzekł Don Kichot, i rzuciwszy dzidę na ziemię, dobył miecza, nadstawił tarczę i natarł na Biskajczyka z postanowieniem wydrzeć mu życie. Biskajczyk, spostrzegłszy go w gotowości do natarcia, chętnie byłby zsiadł z muła, ponieważ jako najętemu nie ufał, ale nie mógł zrobić nic lepszego, jak dobyć szabli. Przypomniał sobie jednak, że znajdował się tuż przy karecie, więc chwycił z niej poduszkę i użył jej za tarczę. I stanęli naprzeciw siebie obaj, jak gdyby byli śmiertelnymi wrogami. Przytomni temu chcieli ich pogodzić, ale nie mogli, gdyż Biskajczyk oświadczył w swoim łamanym języku, że jeżeli mu nie dadzą dokończyć pojedynku, zabije swoją panią i wszystkich, którzy mu w tem przeszkadzać będą. Dama w karecie, zdziwiona i wystra-

szona tem, czego była świadkiem, kazała woźnicy odjechać nieco dalej i stąd zaczęła się przyglądać srogiej walce. W tej rozprawie Biskajczyk zadał Don Kichotowi przez tarczę cios w ramię tak potężny, że byłby go rozpłatał aż do pasa, gdyby nie zasłona.

Don Kichot, poczuwszy ciężar tego straszliwego uderzenia, zawołał głośno:

— Pani serca mego, Dulcyneo, kwiecie piękności! wesprzyj twojego rycerza, który dla przejednania twej dobroci znajduje się w tej ciężkiej przeprawie.

I z temi słowy w jednej chwili wzniósł miecz, zasłonił się dobrze tarczą i rzucił się na Biskajczyka z postanowieniem całą sprawę zakończyć jednem cięciem. Biskajczyk, widząc go tak godzącego, z męstwa przeciwnika domyślił się jego gniewu i postanowił czynić to samo, co Don Kichot: czekał więc na niego dobrze zasłonięty poduszką, ale muł nie dał się zwrócić ani w jedną ani w drugą stronę, bo zmęczony i do podobnych harców nie przywykły, nie był w stanie zrobić ani kroku. Don Kichot tedy, jak się już powiedziało, z wzniesionym mieczem rzucił się na przezornego, ostrożnego Biskajczyka w zamiarze rozpłatania go na dwoje, a Biskajczyk oczekiwał go podobnież z podniesionym mieczem i zasłonięty poduszką. Obecni zaś w trwodze i niepewności wyglądali skutku tych straszliwych ciosów, jakiemi sobie grozili, a dama w karecie z kobietami swemi ślubowała tysiączne wota i ofiary do obrazów wszystkich świętych i kaplic w Hiszpanii, żeby tylko Bóg ocalił jej koniuszego i je same z tak wielkiego niebezpieczeństwa, w jakiem się znajdowały.

. . . . . [1]).

Gdy tak stali obaj dzielni i rozsrożeni zapaśnicy z dobytemi i wzniesionemi mieczami, zdawało się, że grozili niebu, ziemi i piekłu, takie było ich uniesienie i przybrana postawa. Pierwszym co wymierzył cios, był popędliwy Biskajczyk, a wymierzył go z taką siłą i zajadłością, że gdyby miecz nie był mu się zwinął, jedno to cięcie byłoby wystarczyło do zakończenia tej srogiej walki i wszystkich przygód naszego rycerza. Ale przyjazny los, który zachował go do większych rzeczy, odwrócił miecz przeciwnika w ten sposób, że lubo go ugodził w lewe ramię, nie wyrządził mu innej szkody, tylko rozbroił go z tej strony, zabierając po drodze znaczną cześć hełmu i połowę ucha, co wszystko razem w przerażających szczątkach spadło na ziemię, zostawiając rycerza wielce sponiewieranego. O Boże! I któż byłby w stanie opisać tu wściekłość, jaka owładła sercem naszego Manczanina, gdy się ujrzał tak oporządzonym? Powiedziałby chyba to jedno, że uniósł się znów na strzemionach i, ująwszy miecz w obie ręce, rzucił się na Biskajczyka i ciął go w poduszkę i w głowę z taką siłą, że pomimo zasłony, jak gdyby góra nań

[1]) Opuszczony ustęp (koniec rozdziału 8 i początek 9) zawiera w sobie objaśnienie Cervantesa, że o dalszym przebiegu tej walki dowiedział się dopiero z pewnej książki arabskiej i podług niej dokończenie podaje.

spadła, krew rzuciła mu się nosem, ustami i uszami i zdawało się, że z muła się zwali; i byłby spadł niewątpliwie, gdyby się nie był uchwycił szyi zwierzęcia. Przy tem jednak nogi wymknęły się ze strzemion i ręce zaraz zwisły, a muł, spłoszony straszliwym ciosem, zaczął uciekać w pole i po kilku susach runął ze swym panem na ziemię. Don Kichot patrzał na to z wielkim spokojem, ale gdy zobaczył upadek, zeskoczył z konia, podbiegł żwawo do Biskajczyka i trzymając mu koniec miecza przed oczyma, żądał, żeby się poddał, bo inaczej głowę mu utnie. Biskajczyk był tak ogłuszony, że nie mógł nic odpowiedzieć i byłoby się z nim źle skończyło, bo Don Kichot był zaślepiony, gdyby panie z karety, które dotychczas z wielkim niepokojem przyglądały się walce, nie zbliżyły się do niego i nie poprosiły go najuprzejmiej, żeby im okazał tę łaskę i grzeczność i darował życie ich koniuszemu. Na to odrzekł Don Kichot z wielką wyniosłością i powagą:

— Zaprawdę, piękne panie, rad jestem bardzo, że mogę uczynić zadość waszej prośbie, ale jedynie pod tym warunkiem i obietnicą, że rycerz ten przyrzeknie udać się do wsi Toboso i w mojem imieniu przedstawi się nieporównanej pani Dulcynei, a ona się nim rozporządzi według swojej woli.

Wystraszone i zmartwione kobiety, nie zastanawiając się nad żądaniem Don Kichota, ani pytając, co to była za jedna owa Dulcynea, przyrzekły mu, że ich koniuszy uczyni wszystko, co mu ze swej strony poleci.

— Wierzę temu zaręczeniu i nie zrobię mu nic złego, chociaż na ukaranie zasłużył.

---

### O przyjemnej rozmowie Don Kichota z Sanczo Panzą, jego giermkiem.

(Rozdział 10).

Tymczasem podniósł się z ziemi Sanczo Panza, srodze poturbowany od mulników mniszych, i przyglądał się bitwie swego pana Don Kichota i sercem modlił się do Boga, żeby dał mu zwyciężyć i wygrać jaką wyspę, której zostałby gubernatorem, jak to miał sobie obiecane. Widząc następnie, że walka się już skończyła i że pan jego zabiera się dosiąść Rosynanta, pobiegł podtrzymać mu strzemię i, zanim ten wsiąść zdążył, rzucił się przed nim na kolana i, schwyciwszy go za rękę, ucałował ją i rzekł:

— Panie mój, Don Kichocie, oddajcie mi z łaski swojej w zarząd tę wyspę, którą zdobyliście w tej strasznej bitwie, bo chociażby była nie wiem jak duża, czuję, że potrafię nią rządzić tak samo, jak gubernatorowie innych wysp na świecie.

Na to odpowiedział Don Kichot:

— Wiedz, bracie Sanczo, że w tej przygodzie, jak i w jej podobnych, nie chodzi o żadne wyspy; są to zajścia na rozstajnych drogach, z których się wychodzi z rozbitą głową albo bez ucha. Ale bądź cierpliwy, albowiem nastręczą się przygody, które pozwolą mi zrobić cię nietylko gubernatorem, ale jeszcze czemś więcej.

Sancho dziękował mu bardzo i, ucałowawszy powtórnie jego rękę i kraj pancerza, pomógł mu dosiąść Rosynanta, sam zaś siadł na osła i podążył za swym panem, który, nie pożegnawszy się z damami, będącemi w karecie, ani nawet do nich nie przemówiwszy, wyciągniętym kłusem poczwałował ku poblizkiemu gajowi. Sancho pogonił za nim całym pędem swojego zwierzęcia; ale Rosynant kłusował tak szybko, że widząc, iż zostaje w tyle, musiał wołać na swojego pana, aby na niego zaczekał. Uczynił to Don Kichot, powściągając cugli Rosynantowi, dopóki nie nadjechał jego zmęczony giermek; ten, gdy się zbliżył, przemówił:

— Zdaje mi się, panie, że byłoby roztropnie poszukać schronienia w jakim kościele, bo ten, z którym stoczyłeś bitwę, pozostał tak poturbowany, że niewiele braknie, aby o wypadku dano znać świętej Hermandadzie[1]) i nas uwięziono; a zaprawdę, gdyby tak się stało, musielibyśmy dobrze się napocić, zanimbyśmy wyszli z więzienia.

— Uspokój się — odrzekł Don Kichot. Gdzieżeś to widział albo czytał, żeby błędnego rycerza stawiano przed sądem, chociażby nie wiem ile popełnił h o m i c y d y ó w?

— Ja się tam nie znam na żadnych o m e c i l l a c h — odparł Sancho i przez całe moje życie nigdy się w nie nie wdawałem z nikim; wiem tylko to, że św. Hermandada ma do czynienia z takimi, co rozbijają po drogach, i o nic więcej się nie troszczę.

— Nie obawiaj się niczego, przyjacielu — odpowiedział Don Kichot — wyrwę cię nawet z rąk Chaldejczyków, nietylko świętej Hermandady. Ale powiedz szczerze: czyś widział kiedy na całej ziemi dzielniejszego odemnie rycerza? Czyś czytał gdzie w historyi, żeby kto teraz lub dawniej okazał więcej ognia w natarciu, więcej wytrwałości w dotrzymaniu placu, więcej zręczności w zadawaniu ciosów lub więcej szybkości w obalaniu?

— Co prawda, — odpowiedział Sancho — nie czytałem nigdy żadnej historyi, bo nie umiem ani czytać, ani pisać; mimo to ośmielę się twierdzić, że nigdy w życiu nie służyłem panu odważniejszemu od jegomości, i dałby Bóg, żebyśmy tej odwagi nie odpokutowali tam, gdzie mówiłem. A teraz, proszę pana, trzebaby opatrzyć to ucho, bo dużo krwi z niego upływa, a mam tu w sakwach szarpie i trochę białej maści.

— Wszystko to byłoby zbyteczne — odpowiedział Don Kichot — gdybym był pamiętał zrobić sobie flaszkę balsamu Fierabrasa; jedna jego kropla oszczędza czasu i leków.

— Cóż to za flaszka i co to za balsam? — spytał Sancho.

— Jestto balsam, na który przepis mam w pamięci; posiadając go, niema co bać się śmierci, ani myśleć, że się umrze z jakiejkolwiek rany. Gdy go sobie przyrządzę i dam tobie, to jeżeli kiedy zobaczysz, że mnie kto w spotkaniu rozpłata na dwoje, co się ryce-

---

[1]) Straż bezpieczeństwa.

rzom często zdarza, — nie potrzebujesz robić nic więcej, jak tylko tę połowę ciała, która upadnie na ziemię, podnieść delikatnie i, nim krew upłynie, starannie przyłożyć do tej połowy, która zostanie w siodle, bacząc wszakże, żeby przystały do siebie dokładnie i szczelnie, — i zaraz potem dasz mi do wypicia tylko dwa łyki owego balsamu, a zobaczysz, że będę zdrowszy od jabłka.

— Jeżeli tak — rzekł Panza — to zrzekam się w tej chwili gubernatorstwa na obiecanej wyspie, a w nagrodę za moje liczne i wierne usługi nie żądam od waszej miłości niczego więcej, tylko żebyście mi dali przepis na ten osobliwy trunek; spodziewam się, że wszędzie sprzedam uncyę drożej niż za dwa reale, a dla mnie nie potrzeba więcej, żeby to życie spędzić uczciwie i spokojnie. Tylko muszę jeszcze wiedzieć, czy drogo kosztuje jego przyrządzenie.

— Za niecałe trzy reale można zrobić trzy a z u m b r y [1]) — odpowiedział Don Kichot.

— O, dla Boga! — zawołał Sancho. Dlaczegoż wasza miłość ociąga się go zrobić i mnie nauczyć?

— Poczekaj, przyjacielu — odpowiedział Don Kichot — mam zamiar nauczyć cię jeszcze większych sekretów i większą dać zapłatę; ale teraz trzeba opatrzyć ucho, gdyż boli mię bardziej, niżbym sobie życzył.

Sancho wydobył z torby szarpie i maść; ale gdy Don Kichot zobaczył zblizka swój hełm roztrzaskany, o mało zmysłów nie stracił i, położywszy rękę na mieczu, a oczy wzniósłszy ku niebu, rzekł:

— Przysięgam na Stwórcę wszech rzeczy i na cztery święte Ewangielie, gdziekolwiek są najobszerniej spisane, że będę żył tak, jak żył wielki margrabia mantuański, gdy zaprzysiągł pomścić śmierć swojego bratanka Baldwina, to jest: nie jeść chleba na obrusie, nie popieścić się z żoną i różne inne rzeczy, których wprawdzie nie przypominam sobie, ale je tu za ślubowane uznaję, dopóki nie wywrę całkowitej zemsty na tym, co mię tak sponiewierał.

Usłyszawszy to, rzekł Sancho:

— Niech wasza miłość zważy, panie Don Kichocie, że jeżeli ów rycerz spełnił to, coście mu polecili — żeby udał się przedstawić pani Dulcynei z Toboso, to już uczynił wszystko, do czego był zobowiązany, i nie zasługuje na inną karę, jeżeli nie popełni nowej winy.

— Dobrześ powiedział i słusznie — odrzekł Don Kichot; odwołuję więc śluby, o ile one dotyczą ponownej zemsty; powtarzam je wszakże i stwierdzam raz jeszcze, że będę wiódł życie takie, jak mówiłem, dopóki na jakim rycerzu nie zdobędę przemocą innego hełmu, tak dobrego, jak ten. I nie myśl, Sancho, że mówię to na wiatr: wiem dobrze, za czyim przykładem pójdę w tym razie; to samo bowiem co do joty zdarzyło się z hełmem Mambryna, który tak drogo kosztował Sakrypanta.

---

[1]) A z u m b r e — miara płynów, wynosząca ósmą część a r r o b y.

— Oddajcie dyabłu, miłościwy panie, takie przysięgi, co szkodzą zdrowiu i obciążają sumienie — odparł Sancho. Bo i proszę mi powiedzieć: jeżeli przez kilka dni nie spotkamy przypadkiem zbrojnego człowieka z hełmem, to co zrobimy? Jakże tu dotrzymać przysięgi wbrew takim trudnościom i niewygodom, jak np. sypiać w ubraniu, nie sypiać w gospodzie i umartwiać się na różne inne sposoby, — bo to wszystko obejmowała przysięga tego starego głupca margrabiego mantuańskiego, a wasza miłość chce teraz znów przywrócić. Proszę i to rozważyć, że po wszystkich tych drogach nie chodzą ludzie uzbrojeni, jeno sami mulnicy i furmani, którzy nietylko hełmów nie noszą, ale nawet przez całe życie o nich nie słyszeli.

— Co do tego, to się mylisz — rzekł Don Kichot — bo nie spędzimy nawet dwóch godzin na tych manowcach, a ujrzymy więcej zbrojnych, aniżeli ich przyszło pod Abrakę dla zdobycia Pięknej Angeliki.

— Niechże i tak będzie — rzekł Sancho — i oby Bóg był łaskaw, żeby się nam poszczęściło i żeby już nadszedł czas zdobycia wyspy, co mnie już tyle kosztuje, chociażbym miał zaraz i umrzeć.

— Jużem ci mówił, Sancho, żebyś o tem zgoła nie wątpił, bo jeżeli nam wyspa nie dopisze, to jest królestwo Danii, albo królestwo Sobradisy, które do ciebie przystaną jak pierścień do palca, a że znajdują się na stałym lądzie, powinieneś więc cieszyć się tem bardziej. Ale zostawmy to czasowi, a teraz zobacz, czy nie dźwigasz tam czego w tych sakwach do zjedzenia, bo zaraz udamy się na poszukiwanie jakiego zamku, gdzie przenocujemy i sporządzimy balsam, o którym ci mówiłem, gdyż przysięgam ci na Boga, że ucho bardzo mię boli.

*(Edward Grabowski).*

## V. Lope de Vega.

### Gwiazda Sewilska.

Król Sancho Dzielny, zwiedzając Sewillę, której mieszkańcy podejmują go bardzo uroczyście, spostrzega na jednym balkonie dziewicę rzadkiej urody. Od jednego ze swych dworzan, Ariasa, dowiaduje się, że jest to Estella (po hiszpańsku znaczy gwiazda), siostra Busta Tabery, regidora, członka milicyi miejskiej. Ażeby zbliżyć się do Estelli, Sancho przywołuje jej brata i opiekuna i na pierwszem posłuchaniu zaczyna mu okazywać niezwykłe łaski monarsze.

*Król.* Szlachetny jesteś, Tabero!...
*Busto.* Być takim — Busto gorliwie
Próbuje nie dziś dopiero
Na szczupłej zajęć swych niwie.
*Król.* Rozszerzyć mógłbym ją przecie...
*Busto.* Za Boga i ludzi sprawą
Wszechwładnym król jest na [świecie;
Lecz właśnie to samo prawo
Poddanym surowo broni

Doświadczać łask swego pana.
Taberze chciwość nieznana,
Ma dosyć z monarszej dłoni....
*Król* (na stronie do Ariasa).
Czy słyszysz?
*Arias* (jak wyżej). To dziwak młody!
*Król.* W poważnej przybywasz dobie.
Dzielności zacnej dowody
Król łaską swoją zaszczyca:
Dziś wodza zwierzchniego [w tobie
Bezbronna ujrzy granica!...
*Busto.* Ja, królu?... Ależ jakiemi
Zasłynął czyny Tabera?...
*Król.* Król godnych zawsze wybiera.
Potrafisz bronić tej ziemi
Sumienniej w pokoju porze,
Niż ludzie, którzy swą chwałą
W tych prośbach walczą tak [śmiało.
Przeczytaj!... na twym wyborze
Polegnę.
*Busto* (przeczytawszy prośbę Don Gonzala Ulloa). Jeśli rodzica
Waleczność Gonzal dziedziczy,
Potrzebaż lepszej zdobyczy?...
*Król.* A druga też cię zachwyca?
*Busto* (czyta). Fernando Perez Medina
Przy ojcu jeszcze twym, władco,
Dwadzieścia lat był żołnierzem
I pragnie znów służyć tobie
Ramieniem swojem i szpadą,
Czy w kraju, czy za granicą.
Przez dziesięć lat adalida[1])
Spełniając rycerską służbę
Na harcach wciąż pod Grenadą,
Trzy lata w niej przebył [jeńcem.
W poczuciu zasług tych.... [przytem
Na mieczu swym polegając,
Śmie prosić króla o godność
Dowódcy wojsk w Archidonie.
*Król.* Cóż powiesz?...
*Busto.* A to jedynie,
Że prośba taka z mej strony,
Nie wsparta na żadnym czynie,
Za wybryk głowy szalonéj
Uchodzić mogłaby śmiało.
Dziadowie moi na wojnie
Toczyli krwi swej niemało,
Lecz w zamian byli też hojnie
Za dzielność swą nagradzani.
Więc niema żadnej przyczyny
Mnie darzyć za ojców czyny.
Bo sprawiedliwość człowiecza,
Gdy świat ma polegać na niéj,
Niech wszystkim jednaką będzie;
Swe imię mając na względzie,
Niech prawdę nam zabezpiecza.
Więc w imię łaski tej nieba,
Na jednym włosku wiszącéj,
Jednemu z nich oddać trzeba
Na kresach miecz wakujący.
Tę godność dając mi, panie,
Pokrzywdziłbyś zasług prawo.
Czyż Busto marną choć sławą
Uświetnił twe panowanie?
Jak żołnierz walczył na wojnie,
A dziś ma urząd w Sewilli!...
O! pan mój się nie pomyli,
Oddając, jak król, dostojnie,
Archidon w ręce Mediny,
Starszego wiekiem i czynem.
Gonzalo również się przyda
Na miejscu znów adalida,
Dla zuchów takich... jedynem...
*Król.* Tak będzie!...
*Busto.* Głos mój niedługi,
Bo jeszcze śmiem błagać o to,
Byś z godną króla szczodrotą
Nagradzał podług zasługi!...
*Król.* Dość!... mądre rady twej słowo
Na duszę wstydem mi padło!
*Busto.* W to prawdy mojej zwierciadło
Spojrz, królu.
*Król.* Sercem i głową
Już względy zdobyłeś moje.

---

[1]) Wodza.

Chcę, żebyś jeszcze w tej dobie
W pałacu zajął pokoje.
Żonatyś?

*Busto.* Nie. Mam przy sobie
Swą siostrę, której wesela
Wprzód pragnę, nim się ożenię.

*Król.* Chcę spełnić twoje marzenie.
Jej imię?

*Busto.* Doña Estella.

*Król.* Tak bardzo promieniejące,
Że dla niej pragnąłbym szczerze
Na męża wynaleść słońce!...

*Busto.* Człowieka niech król wybierze,
Boć siostra ziemską jest gwiazdą.

*Król.* Wybrawszy godnego męża,
Chcę miłe stworzyć jej gniazdo.

*Busto.* Tą łaską król mnie zwycięża.

*Król.* Sprawiwszy sam jej wesele
I posag dam przyzwoity.

*Busto.* Żądając mojej wizyty,
Monarcha jakie miał cele?...

*Król.* A!... Sprawom sewilskim gwoli....
Lecz najprzód poznać się [chciałem
Z przekonań twych ideałem...
Do rzeczy przyjdziem powoli,
Już znając się trochę dłużéj...
Boć czas nam pokoju służy!
Od dzisiaj Busto Tabera
W pałacu niech się rozgości
W rycerza dworu godności
I świty mej oficera.

*Busto.* Niech nogi twe ucałuję...

*Król.* W ramiona pójdź, regidorze!

*Busto.* Zadałbym gwałt swej pokorze.
(Na stronie).
Szczególną obawę czuję:
Król ściska, przyjmuje rady...
Na ważne śle stanowisko...
Honorze, tu piorun blizko!...

W podejrzeniu swojem Busto się utwierdza, gdy wkrótce po tej rozmowie, król zjawia się przed jego domem i chce wejść do niego.

*Busto* (wychodząc).
Co widzę, król pan w mej [chacie?...
Ten zaszczyt....

*Król.* Zwiedzam [z zapałem,
Co tylko godnego macie...
Przechodząc tu... usłyszałem,
Że dom ten Tabery Busta.
Fantazya przyszła mi szczera
Zobaczyć, co też zawiera?

*Busto.* Chatynka zwyczajna... pusta...

*Król.* Więc pokaż siedzibę własną.

*Busto.* W podobnym mojemu stanie
Wystarczy takie mieszkanie,
Królowi będzie w niem ciasno!...
Wizyty królewskiej echa
Zasmucą Sewillan srodze...

*Król.* Lecz ja do ciebie przychodzę...

*Busto.* Ten zaszczyt mi się uśmiecha...
Przypuśćmy, że tak jest... ale
Czyż mogę wasal... poddany...
Ów honor, tak niesłychany,
Od władcy przyjąć zuchwale?...
Czczę godnie króla zamiary,
Lecz skoro przybyć chce do [mnie,
Jam winien śmiało.... a [skromnie....
Odmówić takiej ofiary,
Nie mogąc działać inaczéj!...
Dość łaski pan mi okaże,
Jeżeli pozwolić raczy
Bym złożył hołd... w Alkazarze!...
Bo zaszczyt bywa zniewagą,
Gdy rodzi podejrzeń żmiję!...

*Król.* Podejrzeń?... jakiežto?... czyje?...

*Busto.* Więc prawdę wyznać mam [nagą?...
Tłum wnet roztrąbi łaskawie,
Żeś siostrę odwiedził moję.
Podejrzeń takich się boję,
Bo one szkodzą jej sławie.
A honor to jak zwierciadło,
Co jednem tchnieniem się kala!...

*Król.* Przeleci podejrzeń fala!
A skoro tak już wypadło,
Że z tobą pomówić mogę,
To wejdźmy!...

*Busto.* Nieład w mym domu.

Nie radzę wchodzić nikomu,
Pomówim lepiej przez drogę!
*Król* (na stronie do Ariasa). Nie łatwo!
*Don Arias* (jak wyżej). To bagatela!
Niech idzie ten brat kochany,
Ja spełnię sam twoje plany
*Król* (j. w.) Mów cicho! On w słuch się [wciela!...
*Don Arias* (j. w.) Schwycimy go w złota [kleszcze
*Król* (głośno). Nie myślę łamać twej [woli....

Król odjeżdża z niczem, ale usłużny Don Arias przekupuje Matyldę, niewolnicę Estelli, i ta zobowiązuje się wpuścić króla do mieszkania pod nieobecność Busta, który zwykł wracać do domu bardzo późno. Tym razem jednak Busto wraca nadspodziewanie wcześnie i zastaje króla zakradającego się do jego domu. Ponieważ król jest przebrany, może tedy Busto, nie wykraczając przeciw lojalności, udać, że go nie poznaje i dać mu szorstką odprawę. Przekonawszy się następnie, że Estella nie miała żanego udziału w tej intrydze, karze śmiercią niewierną służebnicę i postanawia wydać niezwłocznie siostrę za Sancza Ortiza, swego przyjaciela, który ją kocha i jest nawzajem od niej kochany, i uciec z Sewilli przed gniewem królewskim. Tymczasem król, uniesiony żądzą zemsty, za radą Ariasa, postanawia zgładzić tajemnie Busta. Jako pewnego wykonawcę tych zamiarów wskazują mu Sancza Ortiza. Król każe go przywołać na rozmowę.

*Król.* Masz łaski moje, Roelu,
Żeś umiał zasłużyć na nie,
Zaświadczy to posłuchanie!
A teraz idźmy do celu...
Chcę z tobą przymierza...
*Sanczo.* Ze mną?...
*Król.* Tak... krótko, bo czas ucieka.
Wymagam śmierci człowieka,
A śmierć ta ma być tajemną!...
Tę misyę poruczam tobie.
*Sancz.* Czy winien?
*Król.* Pytasz?...
*Sancz.* I po co
Śmierć jego okrywać nocą?...
Sędziowie mogą w tej dobie
Publiczną wykonać karę!...
Król sądów swych nie ukrywa,
Bo łatwo myśl podejrzliwa
W zabitym... uczci ofiarę!...
Jeżeli tego człowieka
Występek jest lekki, mały,
To przebacz królu wspaniały!..
*Król.* Król zemsty od ciebie czeka,
Nie wrogów swoich obrony.
Tajemnic — królowie strzegą,
Gdy cześć ich wymaga tego!...
Jak sądzić król jest zmuszony,
Gdy winą — tronu zniewaga?...
*Sancz.* O! tacy stosu już godni!...
*Król.* Więc człek ów winien tej [zbrodni!...
*Sancz.* O śmierć dlań — Ortiz cię błaga,
Chociażby moim był bratem,
Przebiję pierś mu bez drżenia!...
*Król.* Daj rękę w znak przyrzeczenia!..
*Sancz.* (podając rękę).
Wraz z sercem, wiarą bogatem!..
*Król.* Spotkawszy go na ustroni,
Zabijesz!
*Sancz.* Więc król zamierza
Namówić swego żołnierza
Do zdrady?... Gdy on bez broni,
Ja mam go napaść nikczemnie?..
Zawiele żądasz odemnie!...
Niech widzą ziomków mych [twarze,
Jak rycerz — wyzwę rycerza!..
Bez walki kto w pierś uderza,
Swej hańby nigdy nie zmaże.
*Król.* Ten papier z królewskiej dłoni
Od kary ciebie zasłoni.
(Podając mu papier).
Przeczytaj!
*Sancz.* (czyta). „Don Sanczo Ortiz!
„Polecam ci w mem imieniu
„I za mnie zabić człowieka,
„W papierze tym wskazanego,
„A wszelką odpowiedzialność
„Od ciebie odwrócę Ja — król.“
Król nie zna jeszcze Roeli,
Gdy chce mu dać te puklerze;
On wziąć ich się nie ośmieli,
Ufając królowi szczerze.
Za kartę pergaminową

Wystarczy królewskie słowo,
Bo ono, wyznam otwarcie,
Mniej znaczy na takiej karcie!..
(Drze papier).
Twój wyrok już jak spełniony;
Lecz niech mi będzie zapłatą
Najmilsza dłoń narzeczonéj.
*Król.* Ochotnie zgadzam się na to.
*Sancz.* Niech Arab, ten wróg nasz stary,
U nóg twych tarza się w pyle;
Na jego niechaj mogile
Królewskie błyszczą sztandary!
*Król.* Nagrody król twój nie zwleka
I Ortiz wnet ją odbierze!...
W tym drugim znajdziesz [papierze
(daje mu papier)
Nazwisko tego człowieka,
Któremu dłoń twa śmierć zada.
Że jego silne jest ramię,
Powszechny głos opowiada;
Lecz twego, wiem, że nie złamie!..
*Sancz.* Ufnością król mię zaszczyca...
*Król.* Pamiętaj, że między nami
Pozostać ma tajemnica!
(Wychodzi).

Na kartce, wręczonej przez króla, Sanczo z przerażeniem wyczytuje nazwisko swojego przyszłego szwagra... Złorzeczy fatalnemu położeniu, w jakie zabrnął, przez chwilę waha się, jak postąpić, wreszcie poczucie lojalności i honoru bierze górę nad względami przyjaźni i miłości: Sanczo postanawia dotrzymać danej królowi obietnicy. I rzeczywiście zaraz potem spotkawszy Busta na ulicy, wszczyna z nim pojedynek i kładzie go trupem. Ale zabójstwo to nie pozostaje w ukryciu. Sanczo schwytany na gorącym uczynku i osadzony w więzieniu, nie chce wyjawić, co go do morderstwa skłoniło. Tymczasem Estella gotuje się do ślubu.

*Estella.* (przy tualecie do służącej Teodory).
Ogarnij mnie teraz całą!
Czy dobrze?... czasu tak mało!..
Zwierciadła!..
*Teodora.* Spójrz pani w siebie,
W głąb duszy zapuść wzrok [śmiały!
Gdzie znaleść takie kryształy,
By w nich się wiernie odbiła
Estelli piękność wspaniała!
*Estella.* Drżę silnie, a twarz mi pała!...
*Teod.* To wstydu i trwogi siła.
Ku licom krew się wytęża,
Gdy szczęściem drga twoje łono.
*Estella.* Zda mi się, że widzę męża,
Jak z twarzą rozpromienioną,
Śród pieszczot lubych tysiąca
Na wieki dłoń mi oddaje,
A fala słów jego drżąca
Brzmieć w sercu mi nie [przestaje!..
Ta radość bezmierna, szczera,
Nie znosząc już tajemnicy,
Z mych oczu gwałtem przeziera!
Szczęśliwam!..
*Teod.* Zgiełk na ulicy!..
O Boże!.. zwierciadło spada!..
Przez zazdrość!.. patrz, co się [stało!
*Estella.* Rozbite?..
*Teod.* Tak!..
*Estella.* Przeczuwało,
Że wkrótce będę już rada
Wzrok topić w innym [krysztale,
W źrenicach mojego pana!...

Wtem wchodzą dwaj alkadowie (sędziowie), Don Pedro i Don Farfan, a za nimi ludzie wnoszą zwłoki Busta.

*Estella.* Co, widzę?!.. Pierś mi zamiera!..
*Pedro.* Dni człeka w zgryzocie płyną,
Bo życie — płaczu doliną...
Nie żyje Busto Tabera!..
*Estella.* O losie ty niezbłagany!
*Pedro.* Śród strasznej losu odmiany
Niech moje krzepi cię słowo,
Że zbójca Ortiz schwytany
Za czyn swój zapłaci głową!..
*Estella.* Zbrodniarzu!... precz stąd, [na Boga!..
W twej mowie straszny jad [piekła.
Więc brata mego krew droga

Za sprawą Sancza pociekła?
Więc takie słowa złowieszcze
Wygłaszać można bezkarnie,
I takie znosząc męczarnie
Wraz z niemi można żyć jeszcze?!..
Ja żyję po takim zgonie?
O, chyba pierś mam z ka-
[mienia!...
Kto rozpacz moją ocenia,
Niech nóż utopi w mem łonie!

Zrozpaczona błaga króla, aby winowajcę oddał na zemstę w jej ręce. Król, powolny jej prośbie, daje jej swój pierścień na znak, że może Sancza zabrać z więzienia. Estella zawoalowana wyprowadza więźnia w pole.

*Estella.* Idź wolny w świata
[przestrzenie,
Niech Bóg twą duszę ukoi,
Pamiętaj, że łasce mojéj
Zawdzięczasz oswobodzenie!
Idź z Bogiem! Wolnyś! Spiesz
[prędzej!...
Powolność zgubi cię taka!...
Służący da ci rumaka,
Na drogę dość ma pieniędzy...
*Sancz.* Do stóp twych gnę się
[señoro...
*Estella.* Jedź!...
*Sancz.* Zbawcy nie znam
[nazwiska...
*Estella.* Kobieta sercem ci blizka,
Uciekaj!...
*Sancz.* Błagam z pokorą,
Oswobódź twarz swą z ukrycia;
Natychmiast udam się w drogę.
*Estella.* W tej chwili, wierz mi, nie
[mogę!...
*Sancz.* Chcę spłacić dług mego życia,
Chcę wiedzieć, jakiej istocie
Mam wdzięcznym być nieskoń-
[czenie,
Bym kiedyś po mym powrocie
Wypłacił to ocalenie...
*Estella.* Pochodzę z wyższego świata
I kocham ciebie nad siły;
A w tobie mam, o mój miły,
Kochanka razem i kata!...
Idź... błagam!...
*Sancz.* Prośba nie wzruszy,
Napróżno wracasz znów do niéj!..
*Estella.* (odsłaniając się).
Patrz!... skoro to cię nakloni!..
*Sancz.* O przebóg!... gwiazda mej
[duszy!..
*Estella.* Tak!... gwiazda!... blasku jej
[siła
Z ratunkiem śpieszy w potrzebie!
Głos zemsty miłość stłumiła!..
Kochając, pragnę dla ciebie
Być zawsze gwiazdą zbawienia!..
Uciekaj!...
*Sancz.* Więc swego wroga
Ta gwiazda szlachetna, droga,
Jasnością swą opromienia?
Jej łaski wyjaw przyczynę?
Mordercę własnego brata
Ocalić pragniesz dla świata?..
On zginął — i ja niech zginę!..
*Estella.* Silniejsze uczucie moje,
Więc ono ciebie ocali!...
*Sancz.* Wolności chcesz mi podwoje
Otworzyć, gdy pierś mą pali
Pragnienie śmierci. Ty, luba,
Czem jesteś — mówią twe czyny;
Więc kolej na mnie...
*Estella.* Jedyny!
Zmarłego wskrzesi-ż twa
[zguba?...
*Sancz.* Lecz ciebie pomści!
*Estella.* A za co?
*Sancz.* Za zdradę moją.
*Estella.* Tyranie!...
*Sancz.* To będzie krzywd ukaranie.
*Estella.* Niewdzięczni dobre złem płacą!
*Sancz.* Tyś gwiazdką na mojem
[niebie!...
*Estella.* Dowiedziesz?
*Sancz.* Śmiercią!..
*Estella.* Stój!... słowo!...
*Sancz.* Dość!
*Estella.* Idziesz?
*Sancz.* Mord spłacić głową!
Bo żyjąc, znieważam ciebie.

*Estella.* Żyj wolny!...
*Sancz.* To być nie może!..
*Estella.* Obwinia cię kto?..
*Sancz.* Twa wzgarda.
*Estella.* Ja kocham!
*Sancz.* Moja pierś harda!...
*Estella.* Tak!... myślisz więc...
*Sancz.* O honorze!...
*Estella.* Szaleńcze! idź i umieraj!..
Ja śmierci twej nie przeżyję!...

*(J. A. Święcicki).*

Sanczo wraca do więzienia, choć wie, że śmierć poniesie, jeżeli król nie zechce wyjawić tajemnicy. Król ze swej strony radby go ocalić, ale zwleka z wyznaniem prawdy, bo spodziewa się go uratować, nie skompromitowawszy się. Ma on mianowicie nadzieję, że wpłynie na sędziów, aby ci nie skazali Sancza na karę śmierci, tylko na wygnanie, a on go wtedy z mocy swej władzy wynagrodzi dowództwem w Archidonie. Ale sędziowie, przejęci godnością swego urzędu, okazują się nieugięci i skazują mordercę na karę śmierci. Teraz dopiero król wyjawia tajemnicę i Sanczo odzyskuje wolność. Na wstawienie się monarchy Estella przebacza narzeczonemu zabójstwo brata, ale kochankowie uznając niemożność zawarcia ślubów małżeńskich, żegnają się i rozchodzą się na zawsze.

»Komedye wybrane« Lope de Vegi (»Kara — nie zemsta«, »Najlepszym sędzią król« i »Gwiazda Sewilska«) przełożył na język polski J. A. Święcicki (Warszawa, 1881).

## VI. Piotr Calderon de la Barca.

### 1. Czarnoksiężnik.

Młody Cypryan, mieszkaniec Antyochii, zagłębiając się w dociekaniach religijnych, znajduje się już na drodze do poznania prawdziwego Boga. Ażeby go z niej sprowadzić, staje przed nim w postaci wędrownego mędrca dyabeł i usiłuje wątpliwości jego uśpić; zwalczony wszakże argumentami Cypryana, postanawia usidlić go miłością, obudzając namiętność do Justyny, dziewicy chrześciańskiej, którą w ten sposób spodziewa się także dostać w swe szpony. Przypadek sprzyja jego zamiarom, bo oto Leliusz i Florus, dwaj wielbiciele Justyny, nieświadomi, który z nich wzajemność jej posiada, proszą Cypryana, żeby się udał do niej i prawdy się dowiedział. Cypryan dla obu otrzymuje odmowę, ale spełniając rolę pośrednika, sam zostaje ujęty wdziękami Justyny. Ciekawi odpowiedzi obaj kochankowie, jeden nie wiedząc o drugim, podkradają się nocną porą pod mieszkanie uwielbianej i obaj spostrzegają jakiegoś mężczyznę, schodzącego z jej balkonu. Jestto właśnie dyabeł, który, ukazując się im w ten sposób, chce obu odstręczyć od Justyny i ją skompromitować. Istotnie Leliusz i Florus odchodzą, podejrzywając się nawzajem o podstęp i unosząc przekonanie o niegodziwości Justyny. Cypryana cieszy to usunięcie się obydwóch rywali. W nadziei, że przychylniejszą dla siebie usłyszy odpowiedź, podąża do jej mieszkania, przybrany w świąteczne stroje. Właśnie przede drzwiami, spotyka się z Justyną, wracającą do domu.

*Cypryan* (do siebie).
Panem być zazdrości mojej,
Ukryć boleść mi wypada,
Zanim rzeczy nie wyjaśnię,
Tak, mą miłość jej wypowiem;
Zazdrość ciąży mi ołowiem
I na ustach słowo gaśnie.
(Do Justyny).
Nie naprożnom wziął te stroje:
Do stóp twoich w nich się chylę.
Okaż mi choć łaski tyle
I przyjm korne służby moje:
W tem pociecha moja cała,
A któż wierniej ci usłuży?
Więc mi nie daj cierpieć dłużéj,
Gdyś mi kochać zakazała.
*Justyna.* Widać, panie, że me słowo
Wpływu na cię mieć nie może,
Kiedy dzisiaj...
*Cypryan.* O, mój Boże!
Pragnie dręczyć mię na nowo.
*Justyna.* A więc jakże mam powiedzieć,

Że to wszystko nadaremnie
Chcieć wzajemność wzbudzić we
[mnie,
U drzwi mych na straży siedzieć?
Choćbyś czekał dni, miesiące,
Choćby lata, całe wieki,
Od nadziei bądź daleki:
Zawsze miłość twą odtrącę,
Bo me serce tak się zbroi,
Tak niezłomne moje zdanie,
Żem cię kochać nie jest w stanie
Aż do samej śmierci twojéj.
(Wchodzi do domu).

*Cypryan* (do odchodzącej Justyny).

Już się dusza ma zachwyca
I radością już jaśnieje:
Wnet się ziszczą me nadzieje,
Niedaleka ich granica:
Bo gdy śmierci mej godzina
Ma rozbudzić duszę twoją,
Pocznij dzielić miłość moją,
Gdyż mój skon już się poczyna.

Zrozpaczony usuwa się na samotne wybrzeże morskie i tu w uniesieniu woła:

Ale rozpacz rzecz niegodna,
Ona hańbą duszy męskiéj.
Zgubą kupię krok zwycięski
I wychylę czarę do dna,
Bo Justynę posiąść muszę:
Twej pomocy, piekło, wzywam!
Twego wsparcia się spodziewam:
Za Justynę oddam duszę!

I oto, na te słowa staje znów przed nim dyabeł w roli rozbitka i zręcznie pozyskawszy jego zaufanie, obiecuje przyjść mu w pomoc swoją wiedzą czarnoksięską.

*Cypryan.* Nawet sztuką czarnoksięską
Nikt tu w świecie nie dokona,
By ma żądza niezmierzona
Mogła skończyć bój zwycięsko:
Kocham i tem siebie trawię.

*Dyabeł.* Czyż nadzieja już stracona?

*Cypryan.* Gdybyś wiedział, czem jest
[ona!

*Dyabeł.* A więc słucham cię ciekawie.

*Cypryan.* Rąbek nieba wśród zarania,
Kiedy słońce wzrok roztwiera
I promieniem łzy ociera
W śnieg i szkarłat się oslania
Wśród powietrznych sfer
[mieszkania;—
Więzy róży szmaragdowe,
Gdy z ich objęć wydobyta
Głosi łąkom, że maj wita,
A powiewy tchną majowe
Łzy zarania na dąbrowę
Co spadają nań uśmiechem; —
Strumyk, kiedy szronem ścięty,
Milczy niemy, żalem zdjęty,
Że nie ozwie się ni echem,
Ni poszeptem, ni oddechem; —
Goździk, gdy się barwą pali,
Jak gwieździsty krzew korali;
Ptaszek, barwny strój gdy
[wdziéwa,
Jako arfę, co przygrywa
Szmerem wiewnej swojej fali
Śpiewom pieśni kryształowéj; —
Skała, słońcu gdy urąga,
Co zeń szatę białą ściąga,
Uroczysty strój majowy,
A nie złamie jej osnowy; —
Laur, gdy śniegiem ustrojony,
Aby narcyz rozpieszczony,
Co, choć stopy w śniegu kryje,
W górze włos zielony wije
I z promieni chce korony:
To zaranie purpurowe,
Słońce, strumień, róża, łany,
Ptaszek, piewca rozkochany,
Te uśmiechu łzy perłowe
I oddechy pól majowe,
Goździk, który kryształ pije,
Skała, co się w niebo wije,
Laur, z promieni wieńca chciwy—
Ach! to wszystko obraz żywy
Cząstki tej, dla której żyję! —
Widać rozum postradałem:
By inaczej się przedstawić,
Nowe-m szaty kazał sprawić,
Zapomnieniu mądrość dałem,
Mowę — w służbę nierozumu,
Sławę mą — na pastwę tłumu,
A łzom moim — uczuć tchnienie,

Wiatrom — wszystkie me [nadzieje
I me światło — na wzgardzenie!
Żyję tylko snem miłości,
Marny sługa namiętności...
Nie, ja chyba oszaleję!
Com powiedział, to powtarzam,
Że już na to się odważam:
Oddać piekłu moją duszę,
Bo Justynę posiąść muszę;
Lecz za cenę taką małą
Czyliż piekło by ją dało?

*Dyabeł.* Ależ pomnij, przyjacielu:
Czyja wola nie wytrwałą,
Kto nie zwalcza przeszkód śmiało,
Ten nie dopnie nigdy celu.
Ileż razy wola męża
Srogą piękność przezwycięża;
Lub przez prośby i błaganie
Łatwo panem jej się stanie;
Więc daj pokój z narzekaniem.
Chcesz, to piękność niewzruszona
Wnet upadnie w twe ramiona...

*Cypryan.* Co to znaczy?

*Dyabeł.* Że ja zdołam
Mądrość dać ci niezbadaną
I na rozkaz twój wywołam
Twoją postać ukochaną:
Tu sprowadzi ją twe słowo;
Lecz piśmienną wprzód umową
Trzeba stwierdzić te układy.

*Dyabeł.* Więc ty zamiast szczerej rady
Jeszcze zwiększasz moje męki;
Ja dać mogę z rąk do ręki,
Lecz ty chciałbyś się układać
O to, czem nie możesz władać,
Bo czar nigdy nie okoli
W swoje pęta wolnej woli.

Dyabeł na dowód potęgi swoich czarów przenosi górę z jednego miejsca na drugie i ukazuje w dali widziadło Justyny. Przekonany tem Cypryan daje dyabłu cyrograf, napisany krwią własną, i dla zdobycia wiedzy czarnoksięskiej zamyka się z nim w samotnej jaskini. Po roku zdobywa ją wreszcie i już gotuje się zużytkować dla dogodzenią swej żądzy. Ale dyabeł wie, że czary może zniweczyć odporność woli; usiłuje więc rozbudzić w Justynie namiętne pragnienia, a gdy te całą mocą niepokoją jej duszę, zjawia się przed nią.

*Dyabeł.* Pójdź! ja drogę ci pokażę.
Tyś pół drogi już zrobiła.

*Justyna.* Kto jesteś, co w me utronie
Wchodzisz, gdy zewsząd [zamknięte?
Czy widziadłem w słów osłonie,
Marą szału? Strachem zdjęte
Serce w dziwny obłęd tonie.

*Dyabeł.* Jam nie marą, co myśl zwiéwa,
Więc się próżnej oprzyj trwodze;
Gdy cię miłość pokonywa,
Ja na pomoc ci przychodzę
Wieść, gdzie Cypryan twój [przebywa.

*Justyna.* Chociaż w przyjaźń się ustroją
Twoje słowa, choć mię drażnią,
Choć pokusy niepokoją
I owładły wyobraźnią:
Nie owładną wolą moją.

*Dyabeł.* Coś w twej myśli utworzyła,
To objawić musisz w czynie.
Woli twojej marna siła,
Grzech już ciebie nie ominie:

*Justyna.* Mnie twa mowa nie przekona,
Choć myśl czynu to początek,
Lecz w czyn jeszcze nie wcielona;
Dłonią przerwę jego wątek,
Bo w niej czynu moc złożona.
Myślą tylko dłoń nie włada.
Zanim wola co dokona,
Pierwej ciału ruchy nada;
Jej potęga niewzruszona,
Bo kto nie chce, nie upada.

*Dyabeł.* Myśli twoje nie zaginą,
Tak, bo sztuka niepojęta
W swoje więzy wnet, Justyno,
Tak przemożnie cię opęta,
Że z nią chęci twe popłyną.

*Justyna.* W wolnej woli ma moc cała;
Ona będzie mą obroną.

*Dyabeł.* Mnieżby oprzeć się zdołała?

*Justyna.* Wolnąż byłabym stworzoną,
Gdybym przemódz ci się dała?

*Dyabeł* (usiłując napróżno ją uprowadzić).

Pójdź, gdzie rozkosz ciebie [wzywa.
*Justyna.* Rozkosz drogo opłacona.
*Dyabeł.* O! tam błogość jest [prawdziwa.
*Justyna.* Przepaść, w której wolność [kona.
*Dyabeł.* Tam jest szczęście.
*Justyna.* Śmierć straszliwa
*Dyabeł.* Próżno walczyć chcesz, zuchwała;
Mknij za mocy mej podnietą.
(Ciągnie ją gwałtem).
*Justyna.* Boże! Tobiem zaufała!
*Dyabeł.* (Puszczając ją).
Zwyciężyłaś mię, kobieto,
Boś zwyciężyć się nie dała.

Omylony w swych rachubach, dyabeł postanawia Cypryana obałamucić złudną marą. I rzeczywiście, gdy Cypryan ucieka się do zaklęć czarnoksięskich, ukazuje mu się osłonięte widziadło Justyny. Uradowany Cypryan zdziera zasłonę z twarzy i spostrzega... szkielet, który, przypomniawszy mu nicość rzeczy ziemskich, znika. Przygnębiony tem i zawiedziony Cypryan żąda od dyabła wyjaśnień i grozi mu zerwaniem umowy.

*Cypryan.* Ty mi przyrzekłeś, że owoc zbiorę
Z ziarna nadziei, com zasiał w porę
W tych dzikich wzgórzach.
*Dyabeł.* Miej na uwadze,
Żem tylko przyrzekł, iż ją sprowadzę.
*Cypryan.* Tyś dać ją przyrzekł.
*Dyabeł.* Czyś jej w ramiona
Nie obejmował?
*Cypryan.* To tylko złuda.
To jej widziadło!
*Dyabeł.* To były cuda!
*Cypryan.* Czyje?
*Dyabeł.* On przyjął ją w swą opiekę.
*Cypryan.* Więc powiedz, czyje?
*Dyabeł.* (Ze drżeniem). Nie chcę, uciekę!
*Cypryan.* Więc na cię sztuki twojej użyję:
Zaklinam ciebie, powiedz mi, czyje?
*Dyabeł.* Boga, co wziął ją w swoją obronę.
*Cypryan.* Wszak bogów tłumy są niezliczone.
*Dyabeł.* On nad innemi wszechmocnie włada.
*Cypryan.* Więc przed nim siła innych upada?
Więc przy nim władztwo ich jest zwodniczem?
*Dyabeł.* Nie wiem o niczem, nie wiem o niczem.
*Cypryan.* Zrywam umowę, wszystko się maże,
I w imię Boga tego ci każę
Powiedzieć, czemu chciał ją ratować?
*Dyabeł.* (Z przymusem). Aby bez zmazy cześć jej zachować.
*Cypryan.* Dobro najwyższe! On nie pozwala
Wyrządzać złego, od krzywd ocala.
Lecz cóż Justyna mogłaby stracić,
Będąc przed ludźmi tutaj ukryta?
*Dyabeł.* Czciąby to swoją mogła przypłacić;
Tłum się wszystkiego chytrze dopyta.
*Cypryan.* Więc wszystko widzi, rządzi wszechwładnie,
Że nawet przyszłą krzywdę odgadnie!

Lecz czyż czar taki silny być może,
Że ten Bóg władzą swą go nie zmoże?
*Dyabeł.* Nie, On wszechmocny!
*Cypryan.* Któż jest tym Bogiem?
Bogiem wszechmocnym i wszechwiedzącym,
Najwyższem dobrem, od krzywd broniącém?
Tylem lat znaleść go nie był w stanie.
*Dyabeł.* Ja nie wiem.
*Cypryan.* Powiedz!
*Dyabeł.* Powiem ze drżeniem:
To Bóg, którego czczą chrześcianie.
*Cypryan.* Czemuż Justynę strzegł swem ramieniem?
*Dyabeł.* Ona chrześcianką.
*Cypryan.* Tak swoich broni!
*Dyabeł.* (Ze wściekłością). Lecz już zapóźno, próżno go wzywać
I z mej niewoli chcesz się wyrywać,
A jemu służyć. On nie osłoni.
*Cypryan.* Jam twój niewolnik?
*Dyabeł.* Mam słowo twoje.
*Cypryan.* Cyrograf dałem ci warunkowo,
Więc go odbieram; precz z tą umową!
*Dyabeł.* Jakto?
*Cypryan.* Natychmiast zwróć pismo moje?
(Dobywa szpady i naciera na dyabła, lecz nie może go ranić).
*Dyabeł.* Próżno się miotasz wściekłości szałem,
Nie zadasz ciosu twojem żelazem!
W rozpacz cię wtrącę jednym wyrazem;
Jeszcze ci tego nie powiedziałem,
Komu ty służysz: czart twoim panem!
*Cypryan.* Co mówisz? powtórz!
*Dyabeł.* Jam jest szatanem!
*Cypryan.* Straszna wiadomość! Ja w służbie czarta,
Co zbrodnią żyje, wiecznie nieprawy?
*Dyabeł.* Tak, tyś jest moim! Nie wygrasz sprawy,
Bo przeciw tobie świadczy ta karta!
(Pokazuje mu cyrograf).
*Cypryan.* Jakim sposobem zmazać mą winę?
Żadnej nadziei! Więc pewno zginę?
*Dyabeł.* Tak jest.
*Cypryan.* Ha! cóż się waham i smucę?
Mam to żelazo! Rozstać się z światem?
Tak, w jednej chwili życie me skrócę,
Samego siebie stanę się katem!...
Ten, co Justynę od krzywdy zbawił,
Mnie bez pomocy czyżby zostawił?
*Dyabeł.* Przeciwko tobie są twoje winy,
On broni cnotę, nie grzeszne czyny.

*Cypryan.* Jeśli wszechmocnym on panem świata,
To w nim nagroda z łaską się brata.
*Dyabeł.* Nagroda z karą!
*Cypryan.* Lecz ja się korzę:
Któż karze, jeśli żałujem szczerze?
*Dyabeł.* Kto moim, Jemu służyć nie może.
*Cypryan.* Idź precz! do Boga ja już należę.
*Dyabeł.* Więc obietnica twa nic nie warta
I krwią twą własną pisana karta?
*Cypryan.* Tak jest: Bóg przez swą wszechmocną wolę,
Gdy zechce, zmoże moją niedolę.
*Dyabeł.* A w jaki sposób?
*Cypryan.* On w swej mądrości
Wie, jak rozwiązać pęta twej złości.
*Dyabeł.* Ja pierwej z ciebie duszę wywlekę. (Walczą).
*Cypryan.* O Boże chrześcian! w Twoją opiekę...
(Wyrywa się z rąk dyabła).
*Dgabeł.* On dał ci życie
*Cypryan.* Obdarzy bardziéj:
Ja go szukałem, więc mną nie wzgardzi. (Odchodzą).

Tymczasem wydaje się, że Justyna jest chrześcianką. Pojmana razem z wielu innymi wyznawcami krzyża na modlitwie w podziemiach, dostaje się w moc wielkorządcy, który jako ojciec Leliusza, tem chętniej na śmierć ją wyda. Gdy z temi nosi się zamiary, staje przed nim Cypryan po zerwaniu współki z czartem.

*Cypryan.* Słuchaj, ziemi tej pretorze,
Namiestniku Cezarowy,
Przyjaciele — Leli, Florze,
Patrycyusze i rycerze,
Wielki ludu! kilku słowy
Dziwne rzeczy wam powierzę.
Jam jest Cypryan; szkół podziwem,
Byłem nauk wszech zaszczytem,
I nie było nic mi skrytem,
Niby mędrzec nad mędrcami.
Jednak, jakże pozór mami!
Ach! to światło me fałszywem!
Bo cóż w końcu tam zdobyłem?
To zwątpienie, co bez przerwy
Ciemną moją myśl pożera;
Wtem Justyna licem miłem
Mnie odrywa od Minerwy,
Panią moją już Wenera;
Lecz Minerwie jeszcze wierny
Toczę z sercem bój niezmierny.
Raz, gdy morza nawałnica
Do stóp moich gościa rzuca —
Strasznie wspomnieć tę godzinę—
Miłość duszę tak zakłóca,
Wdzięcznem licem tak zachwyca,
Żem dał duszę za Justynę;
Bo ten gość mię oczarował,
Bo me serce obietnicą,
Umysł wiedzy błyskawicą
On przemożnie opanował.
I ot, śród tych gór zarośli
W pasmie, które najwyniośléj
Pod obłoki grzbiet swój ściele,
Był mym mistrzem śród podziemi;
I dał wiedzy mi tak wiele,
Że przenosić mogę góry.
Lecz me cuda bezsilnemi,
By tej ziemi pięknej córy
Stać się panem, by ją słowo
Ciągło siłą magnesową.
A przyczynę tego wiecie?
Ot, jest jeden Bóg na świecie,
Który ją od złego strzeże.
Więc ja w Boga tego wierzę
I wszechmocnym go uznaję:
Jedno on ma panowanie,
Jemu tylko cześć oddaję:
Tego Boga czczą chrześcianie!

Choć się piekłu zaprzedałem
Krwią mą własną z duszą,
[z ciałem,
Chociaż rozpacz mię przenika;
Lecz Bóg może nie ukarze,
Może winy krwią mą zmaże:
Ja chcę śmierci męczennika!
(Do wielkorządcy).
Jeśli twoja władza krwawa
Ścigać chrześcian nie ustawa,
To wiedz o tem, żem ich bratem:
Starzec pośród gór sędziwy
Dał mi wiary uświęcenie.
I cóż zwlekasz? Bądź mi katem,
Władco pogan sprawiedliwy,
Niech mię zemsta twa ogarnie!
Każ ściąć głowę; lecz to mgnienie!
Lepiej długie daj męczarnie.
Wszystko przenieść chcę
[cierpliwie,
Nawet srogich mąk tysiące;
Strachem ciszy mej nie zmącę,
Bo Bóg jeden jest prawdziwie,
Bóg, któregom szukał długo.
Człeku nie lśnić swą zasługą,
Wszelka sława ludzka zginie,
Jako marny dym przeminie,
Ludzkie sprawy czczym
[popiołem!
(Upada bezsilny twarzą ku ziemi).

Oburzony wielkorządca skazuje go na ścięcie razem z Justyną.

*Justyna.* Dusza moja się weseli.
Chwilo zgonu pożądana!
Pójdź, Cypryanie, ze spokojem.
*Cypryan.* Wiara, cisza w sercu mojem!
Ono nad tem już nie boli,
Że mam umrzeć: śmierć od piekła
Prześladowań mię wyzwoli.
Gdy się dusza czartu dała,
Mamże Bogu nie dać ciała?
*Justyna.* W śmierci-m kochać cię
[przyrzekła.
Rusztowanie nas zjednoczy,
Gdy kat głowy nasze stoczy;
Dziś dopełnię obietnicy.

*(Bolesław Wiktor).*

Zaledwie jednak oboje straceni zostali, wśród grzmotów i błyskawicy na wężu skrzydlatym ukazuje się dyabeł i z rozkazu Bożego oznajmia przerażonym świadkom męczeństwa swoją porażkę i zbawienie obojga umęczonych.

---

## 2. Lekarz swojego honoru.

Infant Don Henryk zrzucony przez konia na ziemię i potłuczony, znajduje chwilowy przytułek w domu Don Gutierra i w nowo-poślubionej jego żonie poznaje z zadziwieniem Mencyę, której był wielbicielem. Mencya, lubo nie jest dla niego obojętna, pomna na cześć swoją i obowiązki, tłumi głos serca i powstrzymuje Infanta od niewłaściwych wynurzeń. Zrażony tem Don Henryk odjeżdża do poblizkiej Sewilli, a Don Gutierre żegna czule żonę i towarzyszy poturbowanemu księciu do miasta. Tu król Pedro każe Gutierrowi usprawiedliwić się, dlaczego porzucił swoją narzeczoną Leonorę i ożenił się z inną. Dyskretny Gutierre daje do zrozumienia, że zerwał z nią, bo miał powody podejrzywać ją o zdradę. Obecny temu dworzanin Don Arias, mimowolny winowajca niesłusznych podejrzeń, występuje w obronie posądzonej i żąda pojedynku. Podrażnieni przeciwnicy, niepomni na obecność króla, dobywają szpad i za to zostają na jego rozkaz monarszy uwięzieni. Korzysta z tego lekkomyślny Infant i wkrada się wieczorem do ogrodu Gutierra, gdzie w altanie znajduje się właśnie Mencya, i przerażonej jego napaścią zaczyna czynić wyrzuty. Tymczasem najniespodziewaniej przybywa Gutierre, któremu strażnik więzienny pozwolił na słowo wymknąć się na parę godzin do domu. Usłyszawszy głos męża za sceną, Mencya, nie życząc sobie obudzić w nim podejrzeń, zmusza Infanta do ukrycia się w mieszkaniu. Żeby następnie wyprowadzić księcia, po przywitaniu się z mężem udaje się do domu pod pozorem, żeby przyrządzić

wieczerzę, i po chwili wybiega niby wystraszona obecnością jakiegoś zamaskowanego mężczyzny i jednocześnie gasi i upuszcza świecę. Zaniepokojony Gutierre wchodzi do domu jednemi drzwiami, a tymczasem drugiemi służąca wyprowadza Don Henryka. Gutierre nie znajduje więc w mieszkaniu nikogo, tylko jakiś uroniony sztylet, który zabiera i pod płaszczem ukrywa; wróciwszy zaś do ogrodu, uspakaja żonę:

*Gutierre.* Jakie mary, jakie cienie
Fantazyę ci opętały?
Pilnie dom obszedłem cały,
Nie znalazłem w całym gmachu
Ani śladu z twego strachu.
(Na stronie).
Przebóg! z twarzy mojej białéj
Pozna łacno, że jej kłamię,
Bo znalazłem ten puginał,
Co się odtąd będzie wrzynał
W serce me, aż je wylamie.
Na teraz niech milczy ramię.
(Do Mencyi).
Mencyo, droga moja żono,
Już noc swoje chmurne łono
Pod ponury płaszcz ukrywa
I ucieka bojaźliwa
Przed jutrzenką przebudzoną.
Boleję i z żalu ginę,
Że znów samą cię zostawię
I opuszczę w tej obawie:
Lecz na spóźnioną godzinę
Bacz.

*Mencya.* Niech szyję twą obwinę,
Ręce, jak bluszcz, cię oplotą.

*Gutierre.* Luba moja...

*Mencya* (spostrzegając sztylet).
Mężu, co to?
Na mnie wznosisz to żelazo?
Jakąż nieznaną obrazą
Zasłużyłam? Ha! tyś po to
Przyszedł... Łaski!...

*Gutierre.* Co się stało,
Mencyo? Mówisz dziś, jak we śnie.

*Mencya.* Nie wiem.. Coś tknęło boleśnie...
Przeczucie... Już mi się zdało,
Że tu moje blade ciało
We krwi...

*Gutierre.* Wziąłem dla obrony,
Gdybym został zaskoczony.

*Mencya.* Wyobraźnia moja żywa...

*Gutierre* (na stronie),
Jezu! jaka myśl straszliwa!

*Mencya.* Szukając w myśli obrazy...

*Gutierre.* Jakie to dziwne wyrazy! (na str.)
Tylko kiedy się odzywa
Wina, sny takie myśl trwożą.

*Mencya.* Moje smutki, ma tęsknota,
Rozdrażnienie, bezochota
Ciągłe strachy we mnie mnożą.

*Gutierre.* Dziś w nocy z pomocą bożą,
Jeśli stróż puści, przybędę.

*Mencya.* A ja tu smutna zasiędę
Czekać. Idź! (Na stronie).
[O smutne zorze!

*Gutierre* (na stronie).
Ha! mam ja z tobą, honorze,
Treści na długą gawędę (wychodzą).

Tegoż samego dnia na wstawienie się Infanta obaj uwięzieni odzyskują wolność. Gutierre, dziękując za to Henrykowi, spostrzega, że jego szpada jest tej samej roboty, co znaleziony sztylet... To go naprowadza na domysł, że owym zamaskowanym mężczyzną był Infant. Ale czy z wiedzą Mencyi?... Ażeby się o tem przekonać, wraca do domu dopiero wieczorem i niepostrzeżony dostaje się do ogrodu.

*Gutierre.* Śród martwoty milczenia,
Co błogosławię, choć mi noc odmienia
W cmentarz, na nędzną głowę
Kładąc się cieniem, jak niebo grobowe,
Jak złodziej, tu pod płotem
Czając się, wracam do domu z powrotem
W podłem upokorzeniu.
Mencya nic nie wie o mem uwolnieniu.
Chcę ją nieuprzedzoną
Zejść o domysłach, co mi trują łono.

Gdy się lekarzem zowę
Swego honoru, niechże mu surowe
Lekarstwo przyłagodzę.
Pacyenta mego odwiedzić przychodzę
W ten sam czas, co i wczora,
Czy też powtórzy mi cześć moja chora
Ów paroksyzm zazdrości?...
Boleść mi drogę ku prawdzie umości:
Przez ten mur ogrodowy
Przeszedłem, nie chcąc do bramy wchodowéj
Pukać. Mój Boże! co za świat plugawy,
Aby w nim nie śmiał swej obelgi krwawéj
I krzywdy szukać człowiek,
By mu strach wstydu nie zamrużał powiek!
Kto wstydem zwał to — skłamał,
Bo niepodobna, by się nie wyłamał
We łzach ten ból mozolny.
Kto mówi, że czuł zazdrość i był zdolny
Zamilczeć — kłamie, lub jej nie czuł szczerze.
Czuć zazdrość w łonie i milczeć?... nie wierzę!
W owej oto altanie
Zwykle wieczorem siada na dumanie.
Więc zlekka, moja cześci,
Od echa kroków niech liść nie szeleści;
Choć wściekłość ją popycha,
Zazdrość się skrada, niby złodziej, cicha.
(Patrzy na spiącą Mencyę).
Piękna, jak senne mary.
O Mencyo! tak mi dochowujesz wiary?
Nie, nie mogę; — powrócę;
Wszakże mój honor cały; po co kłócę
Spokój tą podłą wojną?
Wszak ją oglądam samą i spokojną.
Lecz dlaczego przy śpiącej, —
Gdy jest z nią zawsze, — nie widzę służącej?
Szpieguje!... Myśli podła,
Już się buntujesz, jużeś mię powiodła
Na nowe podejrzenia!
Stało się; nie chcę ich mieć ani cienia.
Do reszty z nich oczyszczę
Duszę, choćbym w niej pozostawił zgliszcze.
Zagaszę najprzód świecę. (Gasi światło).
Bez światła i bez rozumu w dół lecę,
Ślepiec, ślepiec dwa razy.
By nie poznała, przytłumię wyrazy.
Mencyo! (Budzi ją).

*Mencya.* Ha!

*Gutierre.* Cicho, nie zdradź się szelestem.

*Mencya.* Kto to?
*Gutierre.* Czy nie znasz mię, luba? Ja jestem.
*Mencya.* Poznaję: czyjaż inna
Stopa śmiałaby...
*Gutierre* (na stronie). Oddycham! — niewinna.
*Mencya* (na stronie). Wszedł tutaj pokryjomu. (Głośno).
Wstąpić do tego domu?
Innemu jużbym w mojej czci obronie
I dotąd nieskalanéj
Cnoty ten sztylet utopiła w łonie.
*Gutierre* (na stronie). Dzięki, dzięki! Świt rany
W czeluściach duszy mej zapalił głównie. (Głośno).
Przebacz mi, Mencyo, wszedłem tak gwałtownie.
*Mencya* (na stronie). Serce mi bije; — jakie przelęknienie!...
*Gutierre.* Odwagę twoją i roztropność cenię.
*Mencya.* Czem zawiniłam?...
*Gutierre.* Już niczem!
*Mencya.* Że wasza
Wysokość w mej mię samotni przestrasza?
*Gutierre* (na stronie). Wasza wysokość? więc nie ja? Co słyszę?
Znowu w ciemnościach wiszę.
Męczarnia, piekło, walcie na mnie góry!
*Mencya.* Chcesz mię narazić na śmierć po raz wtóry?
Myślisz, że każdej nocy...
*Gutierre* (na stronie). O wściekłości!
*Mencya.* Zdołasz się ukryć...
*Gutierre.* O niebieskie mocy!
*Mencya.* Zgasiwszy światło...
*Gutierre.* Ha! zabij, zazdrości!
*Mencya.* I wyjść po takiej próbie
Wobec Gutierra?
*Gutierre* (na stronie). Hamulce pogubię!
Jaż-to, ten sam, co byłem?
Jeszcze oddechem swym jej nie zabiłem?
Więc drzwi nie zapewniła,
By nie wszedł; nawet przed nim się nie kryła
I tylko ją przeraża
Niebezpieczeństwo, co znowu zagraża
Tej ukochanej głowie?
Więc tak. Mej krzywdzie zemsta ma odpowie.

Dalszą rozmowę przerywa wejście służącej Hiacynty.

*Mencya.* Co to? Ktoś nadchodzi.
*Gutierre.* Co zrobię?
*Mencya.* Skryć się trzeba.
Nie do mych komnat; tutaj... wielkie nieba!
(Don Gutierre kryje się za drzewo).
Hej!

*Hiacynta.* Pani?...

*Mencya.* Patrzaj, wiatr, co nakształt ducha
W fałdach zielonych tych firanek dmucha,
Podczas kiedy ja zdrzemnęłam się nieco,
Zagasił światło. Każ tu przyjść ze świecą.

*Gutierre* (na stronie). W mym ogniu się zapali
Ta świeca; nie wiem, co mam począć daléj.
Jeżeli tu zostanę,
Dowie się Mencya, że wszystko mi znane,
A tak doznam dwa razy
Hańby; jednej z obrazy,
Drugiej stąd, że ją zdziwię,
Że wiem o wszystkiem, znoszę cierpliwie,
Patrzę i nie zabiję.
Oto, co zrobię, że się nie wykryje:
(Przebiega na drugą stronę i woła głośno swoim głosem).
Hola! czemu się światło tu nie pali?

*Mencya.* To Gutier; nowy cios na mnie się wali!

Odrzuciwszy teraz udawanie, nie mówi wprawdzie żonie, czego się dowiedział, nie może wszakże zapanować nad swojem wzburzeniem i zdradza się różnemi aluzyami.

*Mencya.* W tym sposobie
Mówisz; jesteś nieznośny....
Rzekłabym — że zazdrośny.

*Gutierre* (na stronie). Dość tej męki okropnéj;
Zduszę; — w zazdrości nikt nie był roztropny. (Głośno).
Zazdrośny? Wiesz ty, co to zazdrość? Wiesz ty?
Bo ja — ja nie wiem. — Zwaryuję do reszty!
Bo gdybym się dowiedział,
Gdybym...

*Mencya.* Ach!

*Gutierre.* Spytał siebie i powiedział:
Czuję zazdrość... co zazdrość!
Gdyby zazdrości był atom, cień, mara,
Ot, tyle, ile wydała ust para
Mojego niewolnika: —
To porwałbym nędznika,
Temi rękoma ducha-bym mu zdławił
I serce mu wykrwawił
I ogniem i krwią żądzę mą zabawił,
Podłe ciało rozdeptał,
Serce zębami darł i krew mu chłeptał
I wyrwałbym mu duszę
I — na Bóg żywy — oddał na katusze,
Gdyby czuć mogła dusza tak, jak ciało!...
Jak dziwnie mówię... Ha!.. Co mi się stało?...

*Mencya.* Jak straszny jesteś, mężu! Ja się boję.

*Gutierre.* Com mówił, życie moje?...

Tyś moje dobro, niebo, moja chluba,
Mencyo moja luba,
Przebacz, moje kochanie,
Ten wybuch śmieszny. Myśli wyuzdanie
Stworzyło wyobraźni
Jakiejś gwałtownej uczucie bojaźni.
Przysięgam i powtarzam:
Że cię uwielbiam, kocham i poważam,
Za słowa me się wstydzę.
Jezu! co mi się stało? Sam nie widzę.

*Mencya* (na stronie). Strach, przerażenie wstrząsają mem łonem.
Czuję po ciele dreszcze, jak przed skonem.

*Gutierre* (na stronie). Skoro się zowę honoru lekarzem,
Hańbę mą dzisiaj pokryję cmentarzem.

Przeniósłszy się do mieszkania w Sewilli, Gutierre udaje się do króla ze skargą na Infanta, a na dowód składa mu jego sztylet. Król chcąc go uspokoić, każe mu ukryć się za kotarą i wysłuchać usprawiedliwienia księcia. Na nieszczęście, zeznania Henryka okazują, że spodziewa się on z czasem pozyskać Mencyę. Nie dość na tem: unikając gniewu króla, Infant postanawia opuścić Sewillę i przesyła o tem wiadomość Mencyi z nadmienieniem, że dla niej naraził się na niełaskę monarchy. Mencya obawia się, żeby nagły odjazd Infanta nie dał powodu do uwłaczających jej plotek, postanawia listownie prosić go, aby pozostał w Sewilli. Na pisaniu listu schodzi ją Gutierre i wydziera z rąk papier.

*Mencya.* Boże mój miłościwy! (Mdleje).

*Gutierre.* Zakrzepła z lęku, niby posąg żywy. (Czyta).
„Wasza wysokość“... Ha! wysokość owa
Mój honor w otchłań grobową pochowa.
„Niech nie wyjeżdża“.. — Dosyć!
Czyż nie wystarcza mi, że śmie go prosić?
Kroczę po nieszczęść zbyt stromej drabinie.
Tu zaraz śmierć jej zadam...
Nie. Gdzież roztropność? — Oto, co układam:
Z domu oddalę sługi,
Niedola jeno zostanie, — ja drugi.
A że mimo odkrycie
Straszne, Mencyę mą kochałem nad życie.
Uświęcę to kochanie
I na ostatnie rzewne pożegnanie
W ostatecznym podrzucie
Śmierci, jeszcze jej zjawię me uczucie.
Skoro mię użyć takich leków zmusza,
Ciało niech ginie — lecz niech nie mrze dusza.
(Pisze i wychodzi).

*Mencya* (budząc się). Panie mój! co chcesz czynić?
Nie chciej, nie chciej mię winić!
W niewinność moją samo niebo wierzy.
Twa dłoń okrutna, twe żelazo mierzy
W pierś moją? Łaski, ach, łaski! kobiecie
Niewinnej życia nie chcesz wydrzeć przecie.

Lecz co to? Czy tu w własnej swej postaci
Nie stał Gutierre? W mej imaginacji
Nie oglądam ciała mego w fali
Wykąpanego koloru korali?
Jaki lęk mię ogarnia!
To prób śmiertelnych ostatnia męczarnia.
Złudzenie!... A jam jawą ją sądziła!
List podrę. Na com się też ośmieliła!...
Co to jest? Męża list!... Mój wyrok skonu!
Wyrazy straszne, niby jęki dzwonu. (Czyta).
„Miłość cię wielbi, honor cię nienawidzi; jeden cię zabija, druga ostrzega.
Dwie godziny-ć życia daję; chrześcianka, ocal duszę, bo życie jest niemożebne".
Co czytam! Nieba! Hiacynto, do mnie!
Nie odpowiada? Zginęłam. — Już po mnie!
Gdzie jest służba? — O, święte
Niebiosa; te drzwi — i te drzwi — zamknięte,
Bez echa głos przepada.
Jaka potworność — okrucieństwo — zdrada!
U okien grube i żelazne sztaby,
Próżny jęk... przez mur głos nie przejdzie słaby.
Przez okno wołać? Wychodzi w ogrody.
Kto się zlituje mnie nędznej i młodéj?
Gdzie pójdę? kędy stąpię?
Już chłód śmiertelny członki moje kąpie!

Nocą Gutierre krępuje Mencyę i układa na marach, poczem sprowadza chirurga i, grożąc sztyletem, zmusza go do otworzenia jej żył.

*Gutierre.* Rozważne są plany moje.
Wszak mi trzeba, będąc katem,
Hańby dowód skryć przed światem.
Trucizna? — ta się wykryje;
Niepodobna ukryć rany,
Gdy żelazem cios zadany.
Tak zaś powiem, że umarła
Mimo troskliwe leczenie.
Konieczne było puszczenie
Krwi, a nikt mi nie zaprzeczy, —
Bo to są codzienne rzeczy —
Że w gorączce bandaż zdarła.
Potrzebne też było i to,
Żem go tu przywiódł z zakrytą
Do samego końca twarzą,
Bacząc, że komu tak każą
Krew puszczać zdrowej kobiecie
I gwałtem, — pośpieszy zdradzić.
Teraz w swojej opowieści
Nie zdoła na trop wprowadzić
Tego cmentarza mej cześci;
Ani domu nie odkryje,
Tem bardziej, że go zabiję,
Wywiódlszy w ulicę daléj.

*(Edward Porębowicz).*

Tajemnica wszakże wychodzi na jaw: gdy bowiem z powrotem wyprowadza zamaskowanego chirurga w ulicę, trafia na króla, który w towarzystwie dworzanina obchodzi miasto. Chirurg, przejęty zgrozą, opowiada królowi, do czego był zmuszony. Król radzi Gutierrowi, ażeby po stracie żony szukał pociechy w małżeństwie z pokrzywdzoną Leonorą, a gdy ten wzdraga się z obawy, aby go i ona nie zdradzała, daje mu do zrozumienia, że będzie mógł z nią postąpić tak samo, jak z Mencyą. Gutierre zgadza się, a Leonora bez wahania oddaje mu swą rękę.

W polskim przekładzie mamy następujące dramaty Calderona: »Lekarz swojego honoru« przez J. Kamińskiego (Lwów, 1827), »Książę niezłomny« przez J. Słowackiego

(Paryż, 1844 i Warszawa, 1859), »Kochankowie nieba« przez K. Balińskiego (Poznań, 1858), »Czarnoksiężnik« przez Bolesława Wiktora („Biblioteka Warszawska", 1861), »Alkad z Zalamei« (prozą) przez Chłopickiego (Warszawa, 1873), »Życie snem« przez J. Szujskiego („Przewodnik naukowy", 1882). Dramaty: (Uwielbienie krzyża, Dwoje bram — trudna straż, Lekarz swego honoru, Alkad z Zalamei i Miłość za grobem) przez Edwarda Porębowicza (Warszawa, 1887) i »Tajna krzywda — skryta zemsta« przez tegoż („Przegląd polski", 1889).

## VII. Augustyn Moreto y Cabańa.

### Klin klinem[1]).

Dyana, córka hrabiego Barcelony, zabawiając się erudycyą, powzięła uprzedzenie do miłości i małżeństwa i dlatego ze wzgardą odrzuca zabiegi konkurentów do swej ręki. Wobec tego jeden z nich, Don Carlos, za radą sługi swego Polilli, postanawia udawać obojętnego, a nawet wroga miłości. Podczas gdy dwaj jego współzawodnicy, książę Gaston i Bearn, nie dając jeszcze za wygraną, starają się czułościami pozyskać serce Dyany, Don Carlos traktuje ją ozięble, a nawet jakby z przymusem wypełnia obowiązki grzecznego kawalera i przy każdej sposobności zaznacza, że na sprawy serca i ślubów patrzy tak samo, jak ona. Podrażnia w ten sposób próżność kobiecą Dyany i obudza w niej chęć ujarzmienia go swemi wdziękami, ażeby później rozkochanego z urąganiem odtrącić. Przebiegły Polilla, działając w porozumieniu ze swoim panem, udaje sprzymierzeńca Dyany, pozyskuje jej zaufanie, podsyca jej próżność i obudza nadzieję szybkiego zwycięstwa. Dyana dla dopięcia swego celu ucieka się do kokieteryi i stopniując ją forsownie, doprowadza Don Carlosa do tego, że ten, o mało się nie zdradza z istotnym stanem swego serca; opamiętawszy się jednak w porę, obraca w żart rozpoczęte wynurzenia. Zawiedziona w swych rachubach Dyana chwyta się coraz hazardowniejszych fortelów, nie spostrzegając tego, że sama się miłością zapala. Ażeby oczarować Don Carlosa, umawia się z Polillą, że ten sprowadzi go do parku w porze, gdy Dyana w białym porannym stroju, otoczona swemi damami, znajdować się w nim będzie, pewna niby, że nikt obcy tu jej nie zobaczy.

*Polilla* (wprowadzając Don Carlosa). Pomnij tylko — bez zapałów!
*Don Carlos.* Ach, Polillo! spojrzyj przecie!
W tej bieliźnie, przy księżycu,
Powiedz, wszak to anioł z nieba!
Jaka piękna! jaka piękna!
*Polilla* (na stronie). Jaki głupi! — Ach, jak głupi! (Głośno).
Im mniej sukien, zawsze lepiej.
*Don Carlos.* Po co stroje, po co perły,
Gdy nad lilie bielsza szyja,
Nad brylanty wzrok jaśniejszy?
A nad róże...
*Polilla.* Usta milsze.
*Don Carlos.* Prawda, prawda, mój Polillo!...
*Polilla.* Baczność, — patrzy!
*Don Carlos.* A kto?
*Polilla.* Ona!
*Don Carlos.* Chodźmy kilka kroków naprzód,
Lepiej śpiewy usłyszymy.

[1]) W oryginale komedya ta ma tytuł: El desden con el desden tj. wzgarda za wzgardę.

*Polilla.* Słuchać można, lecz nie patrzeć,
Między nią a tobą — sztylet.
*Cyntya* (do Dyany). Śpiewaj — teraz nas usłyszy.
*Dyana.* O! tej próby nie wytrzyma. (Śpiewa).
Słowik śpiewa, błyszczy wiosna,
Serce pieści kwiatów woń;
W gaju para mknie miłosna,
Oko w oku, w dłoni dłoń.
*Dyana.* Czy tu dąży?
*Laura.* Nie, hrabianko.
*Dyana.* Może śpiewu nie usłyszał?
*Cyntya.* Może, siedzim tak daleko.
*Don Carlos.* Co, Polillo, gdyby w gaju
Tak z Dyaną, ręka w rękę,
Kwiaty zrywać, patrzeć w oczy!...
*Polilla.* Cicho — ona niedaleko,
Mów rozsądnie, ale głośno.
*Don Carlos* (głośno). Wyznać trzeba, park prześliczny!
*Polilla.* Mów tak dalej, dojdziesz celu!
*Dyana.* Niegodziwy! ogród chwali,
Jakby tutaj mnie nie było!
Może chory, lub pijany.
Zaśpiewajmy teraz razem.
O, nie wyjdziesz ptaszku z klatki! (Śpiew).
Burza wyje, huczą grzmoty
I wiosenny pobladł kwiat.
Im się żywot śmieje złoty,
Dla nich zawsze piękny świat!
*Don Carlos.* Spojrzyj, dęby jakie grube!
*Polilla.* O, to prawda, bardzo grube.
*Dyana.* Lecz on chyba serca nie ma!
Drzewa mierzy, gdy ja śpiewam.
*Don Carlos.* I winnica bardzo piękna.
*Polilla.* I Don Carlos bardzo mądry.
*Dyana.* Czyż nie widzi mnie, nie słyszy?
Lauro, idź i ostrzeż zręcznie
Że tu jestem. (Laura powstaje).
*Cyntya.* Aj, przeczuwam,
Że uparta upór straci.
*Laura* (podchodząc do Don Carlosa). Don Carlosie, zważyć proszę,
Że hrabianka jest w ogrodzie.
*Don Carlos.* W mem imieniu oświadcz pani,
Że park pięknie urządzony.
Te wawrzyny i te dęby,
Winogrona, kwiaty, krzewy!
Jedno tylko....
*Dyana* (z uśmiechem, na stronie). Jam niedobra!

*Don Carlos.* Po co między hiacynty
Dużą jabłoń zasadzono?
Psuje widok. (Laura odchodzi).
*Polilla.* Mądry, mądry!
*Dyana* (do Laury). Czy mówiłaś?
*Laura.* Tak jest, pani.
*Dyana.* To niegrzeczność!
*Cyntya.* Grubiaństwo!

(Don Carlos przechodzi koło kobiet; Polilla trzyma sztylet przy jego twarzy, żeby się nie odwrócił.)

*Polilla.* Teraz, panie, zamknij oczy!
*Don Carlos.* Nie wytrzymam, muszę spojrzeć!
*Polilla.* To sztyletem nos ci zranię.
*Don Carlos.* Ach, nie mogę zwalczyć chęci.
*Polilla.* Stracisz oko lub pół nosa.
*Don Carlos.* Słucham.
*Polilla.* Zwróć się.
*Don Carlos.* Czy na prawo?
*Polilla.* Nie, na lewo, jeśli łaska.
*Dyana.* Czyli jeszcze mnie nie spostrzegł?
*Laura.* Nie, bo przeszedł obojętnie.
*Dyana.* A to wstyd, wstyd! — Wstań, Feniksо,
Podejdź... niby tak... z przypadku.
*Feniksa.* Po co?
*Dyana.* Powiedz, że tu jestem. (Feniksa odchodzi).
*Polilla.* Baczność! drugą śle sztafetę.
*Feniksa.* Carlos!
*Don Carlos.* Pani — na usługi.
*Feniksa.* Dyana cię tu zobaczyła.
*Don Carlos.* Podziwiając ogród, stawy,
Zapomniałem o zwyczaju.
Dyana pewno zagniewana,
Żem do parku wszedł zuchwale?
Wnet odchodzę, powiedz, proszę.
*Dyana.* Rzeczywiście do wrót zmierza,
Niepodobna go wypuścić. (Podchodzi).
Hrabio, proszę.
*Don Carlos.* Ach, to pani!
Co rozkażesz?
*Dyana.* Zadziwiona,
Pytam, jakim wszedłeś prawem,
Gdzie ja z dworem odpoczywam?
*Don Carlos.* Przebacz, pani, nie wiedziałem,
Że tu jesteś. Piękność parku
Mnie zajęła najzupełniej.
*Dyana.* Ani śpiewów nie słyszałeś?

*Don Carlos.* Ni pół tonu.
*Dyana.* Czyż podobna?
*Don Carlos.* Jeśli wszedłem niewłaściwie,
To niegrzeczność chcę poprawić
I wychodzę, przepraszając. (Odchodzi).
*Cyntya.* A to kozioł!
*Laura.* Nie, to baran!
*Dyana.* Obojętność mnie oburza!
*Cyntya* (na stronie). Coraz gorzej, coraz gorzej!
Jeśli Carlos jej nie kocha,
Ona kocha Don Carlosa!

Dyana chwyta się ostatecznego środka i chce obudzić w nim zazdrość. Zwierza mu się tedy, że pod wpływem doświadczenia przekonywa się o mylności swych uprzedzeń.

*Don Carlos.* Miłość dla cię jest nieznana,
W niej godności widzisz sprzeczność.
*Dyana.* Tak to było... dziś inaczéj...
*Don Carlos.* Jakto? czyżby twoje sądy...
*Dyana.* Sąd młodości nic nie znaczy!
Filozofia, doświadczenie
Przemieniły me poglądy.
*Don Carlos.* Cóż to, żart? — czy mówisz szczerze?
*Dyana.* Wszak wyrzekłam ci przed chwilą,
Że rozumu drogi mylą,
I com wczoraj odepchnęła,
Dziś podwójnie za to cenię; —
Wczoraj śmiechem-bym parsknęła,
Dzisiaj w szczęście, w miłość wierzę.
*Don Carlos.* Więc się kochasz?
*Dyana.* Kto wie? — może.
Ale wierz mi, świadkiem niebo!
Bez przymusu, mówię głośno:
Miłość serca jest potrzebą.
*Don Carlos.* Więc chorobę masz miłosną? (Oboje milczą).
*Polilla* (na stronie). Gdyby tylko on nie zgłupiał,
Gdyby zazdrość nie odżyła! —
A dziś jeszcze bez ochyby
Panna wpadnie, jak ptak, w potrzask.
*Dyana* (na stronie). Jeśli cierpi, jeśli kocha,
To ukląknie, to zaszlocha!
*Don Carlos* (na stronie). A przebiegła! drażnisz, łudzisz,
Lecz zazdrości nie obudzisz!
*Dyana.* Trzeba brać, co rzeczywiste,
Nie co daje duma, pycha!
Znam dziś, co uczucia czyste!
Dzisiaj upór mój ucicha,
Dziś wyznaję sobie pierwsza,
Że oziębłość dawną gaszę,

I że miłość mi najszczersza,
Jakby jakieś rajskie ptaszę,
Zaśpiewała piosnkę nową:
Choć hrabianka, jam królową
Dłużną pono Barcelonie.
Więc, co sercu się należy
I należy się koronie,
I w co dusza moja wierzy,
I do czego chęcią dążę, —
To... no, zgadnij przecie, książę,
Kto wypełni?

*Don Carlos.* Byle nie ja!

*Polilla* (na stronie). A... odżyła znów nadzieja!

*Dyana.* Zgadnij przecie! (Do Polilli). Pobladł, czy nie?

*Don Carlos.* Niepodobna! Czekam wieści,
Na kogo to szczęście spłynie.

*Dyana.* Któż najwięcej godzien cześci
Z zalotników moich tłumu?

*Don Carlos.* Nie wiem, pani.

*Dyana.* A więc jasno!
I dla rodu i rozumu
I dowcipu i grzeczności,
Męstwa i cnót wielolicznych
Przy Bearnie wszyscy gasną.
Jemu przeto dar miłości
I rząd moich ziem dziedzicznych
Niosę śmiele.

*Don Carlos.* A to pięknie! (Do Polilli).
Trzymaj, bracie, bo upadnę,
Bo mi w piersiach serce pęknie!

*Dyana.* Dziś się cieszę, że mnie zdradne
Powstrzymały chęci śmieszne,
Od wyboru, od małżeństwa, —
I żem biegła bez pamięci
W błędzie moim do szaleństwa! (Na stronie).
Ani zblednie, ni się skrzywi! (Głośno).
No, bo powiedz, przyjacielu,
Kto mnie więcej uszczęśliwi
Z zalotników moich wielu?

*Don Carlos* (do Polilli). Choćby to było udanie,
To już rani mię bez miary.

*Polilla* (do Don Carlosa). Cierpliwości, czuły panie,
Zazdrość zbudzić — zwyczaj stary.

*Dyana.* Ale zanim w mirty strojna
Stanę złożyć ślub w kościele.
To o przyjaźń twą spokojna,
Pytać ciebie się ośmielę:

Czy nie mylę się w wyborze?
Czy właściwie ja go sądzę?
Powiedz, plamy jakieś może,
Może młoda, zakochana,
Co się bardzo często zdarza,
Ja rozkosznie tylko błądzę.
Gdy odejdę od ołtarza —
Bo w nim muszę uznać pana
I posłuszną być na zawsze! —
To chociażby grzechy, wady,
Oszpeciły mego męża,
Choćby rany mnie najkrwawsze
Miały dotknąć, niema rady,
Już zapóźno!

*Polilla* (na stronie). Głosy węża!

*Dyana* (na stronie). A no, to krok był rozumny!
Pobladł Carlos, — to go boli
No, poczekaj, panie dumny,
Cierpże uporowi gwoli.

*Polilla* (do Don Carlosa). Panie, proszę, błagam, klnę cię, —
Chwilkę jeszcze, a wytrwale, —
Chwilkę utrzymaj się przecie!

*Dyana.* Nie odpowiesz mi pan wcale?
Milczysz?... czekam... Czyś zmartwiony?

Don Carlos odzyskuje panowanie nad sobą i oznajmia Dyanie, że wyznanie jej zdziwiło go, bo... i on także w tym samym czasie zmienił swoje przekonania i dał folgę sercu.

*Dyana* (na stronie ucieszona). Ha! zapragnął mej miłości!
(Głośno). I milczałeś tak uparcie?

*Don Carlos.* Bom się lękał, abyś serca
Nie wyśmiała w przykrym żarcie.
A... los dziwny przeniewierca!

*Dyana* (na stronie). Czemuż wyznań raz nie skończy!

*Don Carlos.* Równie szczęśniśmy w wyborze:
Ciebie ślub z Bearnem łączy,
A ja, Dyano, do kościoła
Poprowadzę... (Zatrzymuje się. Dyana słucha uważnie).
Cyntyę.

*Dyana.* Boże!

*Polilla* (na stronie). Cukiereczku mój najsłodszy,
Gdzieś ty uczył się rozumu?

*Dyana* (na stronie). Och! zabiją mnie te wieści!

I zapominając się, potępia wybór Cyntyi, której odmawia urody i wszelkiego wdzięku. Don Carlos odpowiada, że i ona nie lepszego wybrała narzeczonego, i opuszcza ją z oznajmieniem, że pośpiesza do Cyntyi...

*Dyana* (sama). Skąd w tobie, serce, ból ten?.. Czyliż miłość znaczy?
Miłość — więc kochasz, dotąd zimniejsze, niż lody,

I czujesz męki, biedne, i wiesz, co zawody!
Lecz może to nie miłość?... Nazwijmy inaczéj.
Ach, bo jabym cię z piersi wyrwała w rozpaczy,
Kiedy mi życie smęcisz takiemi przeszkody!
Czyliż we łzach przeminąć ma już wiek mój młody?
Czyliż swawoli dziecinnej niebo nie przebaczy?
Niedawno, sama zimna, z serc brałam ofiary,
Śmiech i wzgardę oddając smutnym na podziękę.
Niedawno... lecz już znikły te chwile, jak mary.
Sama jestem! Jak smutno! Jaką czuję mękę!
Ha! kto w chacie sąsiada zechce wszcząć pożary,
Zanim słomę podpali, wpierw sparzy swą rękę!

*(Karol Pieńkowski).*

Na domiar nieszczęścia wpada rozpromieniony Bearn, bo mu Don Karlos powiedział, że go Dyana zamierza uszczęśliwić swoją ręką. Zagrożona w ten sposób niemiłem zamążpójściem i utratą Don Carlosa, którego kokietując, sama pokochała, Dyana, ażeby wybrnąć z zawiłego położenia, nie widzi innego sposobu, jak pójść za głosem serca i oddać się w małżeństwo Don Carlosowi.

Komedyę tę przełożył K. Pieńkowski (»Kłosy«, 1867, tom V).

## VIII. Tomasz de Yriarte.

### Wiewiórka i koń (bajka).

— Co ty czynisz, rosły koniu,
I ja czynię w ślady twoje:
Ty czwałujesz het po błoniu
I ja w miejscu nie dostoję.
Biegam, krążę w prawo, w lewo,
Na dół, w górę, chlust na drzewo. —
Tak wiewiórka rzekła mała,
A koń na to: Milczeć tobie;
Cóżeś dotąd wyskakała?
Ja przynajmniej wiem, co robię.
Niech mi z czoła pot się toczy,
Gdy cel wielki nęci oczy.
Iluż goni dziś za sławą,
Wciąż wyprawia skoki grackie:
W górę, na dół, w lewo, w prawo,
— To wiewiórki literackie.

*(Seweryna Duchińska).*

## IX. Józef (José) de Espronceda.

### Korsarz.

Białe żagle zaszumiały,
Okręt morskie porze wały,
Niby mewa mknie skrzydlata;
Dwa szeregi na nim dział.
Wód powierzchnię lekko zmiata,
On niedarmo „Strasznym“ zwany,
Przez szerokie oceany
Nieraz wartko wiatr go pchał.
Srebrny miesiąc błyszczy w morzu,
Wiatr przebiega po przestworzu;
Koło rudla korsarz młody
W chór z kipiącym szumem wód
Rad opiewa swe przygody.
W prawo Azyi lśnią wybrzeża,
Tu Europa wzrok uderza,
Przed nim Stambuł, pyszny gród!

Płyń, żaglowcze rozpłasany,
Nad głębią mórz;
Czemże tobie uragany?
Ciebie-ż zmoże twarda zima?
Skwarne-ż lato cię powstrzyma
Gromami burz?

Niech zadzwoni
W mojej dłoni
Oręż nagi,
Zadrży wróg!
Owoc trudów,
Setki ludów
Kładło flagi
U mych nóg.

Miła gęśla w takt przygrywa
Mym słodkim snom,

Oto burza dmie straszliwa,
Wicher spiętrzył mórz głębiny,
Rozwiał skrzydła swe hulaszcze;
Okrętowe skrzypią liny
I przez armat moich paszcze
Uderza grom!

Brzęk, szczęk stali,
Wróg się wali,
Wichrem gnany
Pędzi w dal!
Ja w tym gwarze
Słodko marzę,
Kołysany
Szumem fal.

*(S. Duchińska).*

## X. Józef (José) Zorilla.

### Granada.

Pierwsza część tego poematu zawiera opowieść o cudownem założeniu Granady przez króla maurytańskiego Alhamara; druga — dzieje tego miasta od założenia aż do króla Boabdila, a raczej aż do zawojowania Granady przez Hiszpanów. Na początku Zorilla poświęca znaczny ustęp opisowi Andaluzyi; z niego wzięte są przytoczone poniżej zwrotki:

Niech barwny obraz przed wami roztoczę
Ziemi, wydartej nam mieczem Arabów:
Pyszne ogrody, pałace urocze
Ileż cudownych ukryły powabów!
Wspaniałe rodzi tam drzewa i kwiaty
Ziemia, potokiem łez i krwi zżyźniona,
I wątek podań także tam bogaty
Z macierzystego wyrasta jej łona!

Ogrody wiszą tam, jak w Babilonie,
Podparte łuki alabastrowemi;
Podnosi czoło cedr w pysznej koronie,
Wiotkiemi sploty palma sięga ziemi.
Sosna rozziewa balsamy krzepiące,
Powój kielichy po murze rozpina,
Wśród aloesów kwitnie róż tysiące,
Wpośród nepalów połyska cytryna.

Tam lud łan orze i wypasa trzody,
A gdy pobudka bojowa uderza,
Pasterz i oracz śpieszą, jak na gody,
Kto żyw, w bitnego zmienia się rycerza.

Z pancernym Maurem Numidyjczyk dziki
Walczy w turnieju wśród grzmiących oklasków
I z krwi nieściekłe pędzą wojowniki
Patrzeć na walkę rozjuszałych byków.

Tam się leciuchno w powietrzne lazury
Z czoła pałaców wieżyce unoszą;
Barwne kobaltem, konchą tkane mury,
Wszystko do zmysłów przemawia rozkoszą.
I mnie Allaha zaplotła tu sztuka
Z imieniem cudnej haremu bogini,
Żywe świadectwo, kędy wiecznie szuka
Zdroju natchnienia skwarny syn pustyni.

Tam gniazda nocą ścielą ptaków chmary
I kwiat z zielonych rozpęka osłonek;
Orzeł w słoneczne wzbija się obszary,
Z pod miedzy śpiewny ulata skowronek.
Woń pomarańczy wiatr na skrzydłach niesie,
Słodki winograd dojrzewa w winnicy;
Pokłady kruszców leżą w ciemnym lesie,
Złotemi kłosy dzwoni łan pszenicy.

Tam, kędy Arab miał rozkoszny Eden,
Ciepłemi słońca ozłocon połyski,
I dziś tam jeszcze wzrasta kwiat niejeden
Na hożem licu powiewnej huryski.
Któż tym niebiańskim oprze się powabom?
Och! taki urok na świecie nieznany,
Chyba w tej ziemi, którą z rąk Arabom
Wydarły niegdyś waleczne Hiszpany.

*(S. Duchińska).*

---

## 2. Z „Gnomów i kobiet".

Pozwólcie, niech tu siedząc, gdzie burz nie dojdzie chmara,
Piję wiatry, co chłodzą Alhambrę Alhamara.
Pozwólcie, huraganu nim tuman się przetoczy,
Niech pod osłonę drzew tych ucieknę i niech oczy
Ja, starzec, raz obrócę zasię.

Pozwólcie, niechaj westchnę i łzami się zaleję,
Niech nad grobem pomarzę, myślami poszaleję
I niech nareszcie zginę, skoro mi zginąć pora,
Z sumieniem własnem w zgodzie; — tak odkupując wczora,
Płacząc tego, co dzisiaj, i o jutrzejsze drżąc.

Wstańcie mi w duszy znowu, marzenia moje rane,
Jak liście wiatrem wzięte, na morzach zabłąkane;
Wy wszystkie, hen odemnie w dal rozfrunięte rzesze
Sokole! wróćcie razem ku pochylonej strzesze,
Synowie marnotrawni, powróćcie pod swój dach!

*(E. Porębowicz).*

## XI. Don Ramon de Campoamor.

Z cyklu „Dolores y cantares".

### 1. Metempsychozy.

Czytałem ja, młody mól,
Starą księgę, gdzie uczenie
Głosił mędrzec obcych pól,
Że odmieniać przeznaczenie —
Jestto tylko zmieniać ból.

Kwiat.

Sasanka wzrosłam nieznana
I wśród trzcin skończyłam byt,
Żądająca, nieżądana,
Nieznająca, co dnia świt,
Płacząca i niepłakana.

Zwierzę.

Cisy rumak, z gonu w gon
I ze zwycięstw na zwycięstwa
Mknąc, zbierałem trudów plon:
Sobie rany, panu — księstwa,
Panu — chwałę, sobie skon.

Ptak.

Jęki mi udawać wiecznie
I żale przeznaczył Bóg;
Więc tyle i tak serdecznie
Wypłakałem pieśni strug,
Żem śród nich padł ostatecznie.

Kobieta.

Piękna śród ziemianek grona,
Kochanka — łamałam śluby;
Zaznałam niewiary — żona;
Kto mię kochał — był nieluby,
Kochając — byłam wzgardzona.

Mędrzec.

W ciernie szedłem w prawdy ślad,
Pragnąc ujrzeć blask jej lic.
Od najmłodszych życia lat
Celem mym — wszech byt, wszech świat,
A odkryciem było: nic.

Dyktator.

W świecie się Cezarem zwałem,
Za mą wolą szedł wraz czyn:
Przychodziłem, zwyciężałem,
W końcu mi przybrany syn
Spłacił miłość — puginałem.

Człowiek.

Czując, że się już wyczerpie
Wnet fatalnych szereg przemian,
Dziś na wązkim ziemi sierpie
Za przykładem innych ziemian
Żyję, płaczę, wierzę, cierpię.

* * *

Słysząc mędrca, czytelniku,
Rzeczesz pewno: Cóż mi znaczy
Kwiatem, ptakiem-li w gaiku,
Geniuszem los być przeznaczy, —
Gdy ból zawsze mam w wyniku?

*(E. Porębowicz).*

### 2. Gdybym umiała pisać.

„Księże proboszczu, list napisać proszę!“
— „Liścik? Ej, wiem, do kogo...“
— „Boście widzieli...“ — „No, no — nie rozgłoszę;
No, no, nie patrzę srogo“.
— „Darujcie...“ — „Na cóż te minki rozpaczne?
Kochać się — wszak nie bronię.
Noc, okazya... Daj papier, pióro; — tak. Więc zacznę:
*Mój kochany Ramonie*“
— „Kochany?... Ależ... Zresztą już przepadło“.
— „Nie chcesz? Nie nalegamy“.
— „Chcę, chcę...“ — „*Jakże mi smutno*... Czy się zgadło?
*Jakże mi smutno samej.*
*Tęsknota dusi mię, nie wytrwam w męce...*“
— „Skąd wam myśli me znane?“
— „Starzec przez takie serduszko dziewczęce
Przegląda, jak przez szklane.
*Bez ciebie życie płynie mi nieraźnie,*
*Z tobą jak w raju ładnie*“.
— „Księże proboszczu, — a piszcież wyraźnie!
Niech pojmie to dokładnie“.
— „*Ten pocałunek, który na pożegnaniu*
*Dałam ci...*“ — „Skądże wiecie?“
— „Wszak przy rozejściu, czy też powitaniu
Nie obejdzie się przecie...
*Powróć mi, bo się już nie przezwyciężę;*
*Stęsknionam i strapionam...*“
— „Strapionam? Jakto? Nic więcej?... A, księże,
Napiszcie mu, że skonam!“
— „Skonam!... Czy ty wiesz, to boska obraza!“
— „Skonam, skonam!“ — „Milcz, mała!
Mówię, nic z tego!“ — „Ach, człowiek z żelaza.
Gdybym pisać umiała!“.. *(E. Porębowicz).*

---

## XII. Gaspar Nuñez de Arce.

### Z „Gritos de combate“ (Haseł bojowych).

#### Estrofas (Strofy).

Gdyby tej liry, co z Quevedą[1]) leży
W mogile, dostać mogła moja ręka,
To pośród zgrai kłamców i fałszerzy,
Pośród wyziewu hańby, co kraj nęka,
Śród atmosfery dusznej i nieświeżéj
Śród tej duchowej Hiszpanii, co pęka;

[1]) Quevedo poeta satyryczny hiszpański XVII w.

Pośród rosnącej ciągle niepewności,
Co wyczerpuje nam siły potrochu;
Śród huraganu krwi i niepewności
Na zbuntowanych topielach motłochu;
Śród rozkładowej zgnilizny i prochu,
Które nam wchodzą w sumienia i w kości;

Pośród bezeceństw i pośród oprzędu
Głupstwa, co chowa nam dusze w całuny,
Jakby je składał na wieki do truny;
Śród bezmyślnego, bezbożnego błędu,
Który wyludnia niebo, Bogu bluźni,
Świat wykoleja i zawiesza w próżni;

Śród takich szałów, śród wierzeń cmentarza,
Co wstręt zarówno budzi, jak przeraża,
Jakieżby tony ta lira wydała?
Głos oburzenia, gromkiego okrzyku,
Któryby ziemię wstrząsnął aż do szpiku
I w niej leżące od prawieków ciała.

* * *

Ale że wielki satyryk nie żyje,
Na taką hańbę, na praktyki wstrętne
Mamyż obracać oczy obojętne?
W nikimże śmiałe serce nie zabije?
Ma-ż się czuć tylko to, co usta truje,
Nie ma-ż się nigdy mówić, co się czuje?

Wolność, ha, wolność, nie jesteś ty więcéj
Ta w białej szacie przeczysta dziewica,
Którą w snach marzył duch mój pachołęcy;
Bogini, która ciemności rozświéca
I błyszczy, jako w niebie gwiazda złota
Nad przepaściami ciemnemi żywota!

Nie jesteś źródłem nieśmiertelnej chwały,
Co aureole zapala nad czołem
I rozpogadza byt nędzny i mały;
Ani nie jesteś mścicielem aniołem,
Co rozpalonem żelazem na ramię
Tyranów kładzie historyczne znamię.

Nie jesteś duchem, na którego łaskę
Od najrańszego dzieciństwa czekałem
I nie użyłem; ha, dziś cię poznałem:
Nie jesteś wcale wolnością; zdejm maskę!
Kochanko buntu, bezuzdne szaleństwo,
Widzę, czem jesteś, i rzucam przekleństwo!

* * *

Próżno wolności będziecie szukali,
Bo się ideja nie ostoi w zbrodni,
Ziarno nie zejdzie na burzliwej fali.
Wściekłość się sama w pokutę zapłodni
I wyda kata; w jednej parze chodzi
Piorun i tyran: burza obu rodzi.

*(E. Porębowicz).*

## XIII. Luiz Eguilas.

### Grazalema.

Jestto dramat romantyczny, osnuty na podaniu maurytańskiem z w. XI. Muhamed Aben-Abed, emir sewilski, ma córkę cudownej piękności, Tairę, przezwaną Grazalemą, którą kocha nad życie. Niespokojny o jej wątłe zdrowie, za radą lekarzy wysłał ją do uzdrawiających wód w Burgos pod opieką młodego Almorabity Omara. Tu młodzi pokochali się najczulszą miłością, a prócz tego Taira, przebywając w kraju chrześciańskim, stała się w tajemnicy wyznawczynią jego wiary. Tymczasem ojciec, nie domyślając się niczego, obiecuje Tairę w małżeństwo królowi Algarbii; zachowuje to jednak przed nią w tajemnicy nawet po powrocie z Burgos, bo przykro mu pomyśleć o rozłączeniu się z ukochaną córką. Wyręcza go w tem Senza, matka narzeczonego, która przybyła właśnie do Sewilli dla przyśpieszenia małżeństwa. Taira jest w rozpaczy, tem bardziej, że Senza przejęła list jej do Omara... Kochankowie postanawiają wieczorem uciekać. Tymczasem na Sewillę napadają Almorabici, i Muhamed, widząc się w niebezpieczeństwie, składa czasowo władzę w ręce Mexuaru czyli rady mędrców. Mexuar dla ratowania państwa postanawia oddać Tairę w małżeństwo królowi Algarbii. Usłyszawszy to postanowienie, dziewica wobec wszystkich oznajmia, że go nie poślubi, bo jest chrześcianką. Wśród ogólnego oburzenia Muhamed wpada w wściekłość; napróżno jednak grozi i prosi, żeby córka odwołała swoje wyznanie. Mexuar skazuje ją na śmierć i król obowiązany jest wykonać ten wyrok. Zbuntowany lud domaga się śmierci renegatki. Zrozpaczony Muhamed, żeby ratować ukochane dziecię, przywołuje lekarza Alfakiego Aben-Bu i każe mu w tajemnicy uśpić Tairę pozorną śmiercią. Alfaki wypełnia rozkaz i Taira wypija narkotyk w przekonaniu, że wypija truciznę, a zasypiając, żegna się z przybyłym Omarem i skłania go do wiary w Chrystusa. Taira zostaje pochowana w grobowcu królewskim. Przestrzeżony od lekarza, król oczekuje przy grobowcu przebudzenia się córki; nie jest wszakże pewny, czy się przebudzi. Miotany niepewnością, chwilami wybucha gniewem na poddanych swoich, którzy go zmusili do hazardownego kroku. Do grobowca przybywa i Omar. Muhamed każe mu udać się do pałacu i przynieść stamtąd wszystkie skarby. Omar dziwi się takiemu rozkazowi — ale idzie go spełnić.

*Muhamed* (zostaje sam).

Sam... sam jestem... wreszcie sam!
Pierś zbolała lżej oddycha.
(Bierze w rękę klepsydrę, wlepia w nią [chciwie oczy).
Spadaj, piasku... spadaj zcicha:
Prędzej... prędzej... (słucha pilnie).
[Ha! kto tam?
Nie... to złuda... wbrew mej woli
Któżby zakaz złamać śmiał?
(Patrzy w klepsydrę).
Spadaj piasku!... jak powoli!
W sercu trwoga, w myśli szał!
Cierpliwości: — „gdy ta czarka
Pustą będzie, gdy na dno
Spadną wszystkie piasku ziarnka,
Ty odzyskasz twoje dziecię!“
Tak rzekł mędrzec sławny w świecie:
Czemuż boleść miota mną?
Czemu cały mrę z przestrachu?
Spada wolno... ach! tak wolno!
Ty mnie wielki skrzep Allahu!

Dusza wytrwać już niezdolną.
(Przesuwa ręką po czole).
W głowie pożar, w piersi dreszcze,
Co za męka... brak mi tchu!
Tego piasku ileż jeszcze?
Spadaj, spadaj, lećże do dna.
(Z trwogą).
On się zmylił Aben - Bu!
Ludzka mądrość jakże zwodna!
Precz z tą myślą! On lat tyle
Ssał naukę z ksiąg tysiąca,
Mnieżby zwodził mędrzec ten?...
Jemu znana moc durząca
Ziół, co tępią zmysł na chwilę,
Nie... nie śmierć to, ale sen!
Czuję w piersi skonu męki,
Jeszcze kilka... brak mi sił!
(Z uniesieniem).
O Allahu! dzięki... dzięki!
Spadł ostatni piasku pył!

Rzuca klepsydrę, z radością biegnie pod sklepienie grobowca. Tam wydaje krzyk przeraźliwy i w tejże chwili ukazuje się we drzwiach z obliczem zmienionem, posiniałem).

Córka moja!... biada, biada!
Jaka martwa... trupio - blada,
Jaka zimna, pierś nie drgnie!
Jam twój ojciec, otwórz oczy...
Nie, Bóg tego nie chce... nie!
Jedno słówko szepnij zcicha:
O Tairo!... nie oddycha,
Mgła śmiertelna wzrok jej ćmi.
Ach! umarła! biada mi!

Ożywiony nadzieją, że powietrze ułatwi Tairze powrót do życia, wynosi ją z grobowca.

Wietrze nocny, powiej chłodem,
Po tem czole powiej młodem,
Trąć pierścienie kruczych włosów;
Czysta roso, spłyń z niebiosów,
Jej bledziuchne orzeźw lica,
Po promieniu spłyń z księżyca;
Nim ją śmierci ptak obrzydły
Szerokiemi przyćmi skrzydły,
Nim pierś struty spali jad.
Patrz, jak blada, tchu w niej niema,
Twoja siostra Grazalema:
Roso! ochłódź zwiędły kwiat!

(Siada na stopniach, trzymając w objęciu Tairę, patrzy w nią rozpaczliwie).

Przez twą matkę, co w Edenie
Odpoczywa błogim snem,
Na głos ojca rozmruż oczy;
Jedno serca twego drgnienie
Zbudzi rozkosz w sercu mem!...
Ona zimna, skrzepła cała,
Śmierć brzemieniem serce tłoczy;
Cała martwa, skamieniała,
Ból mi w kęsy szarpie duszę,
Tchnieniem piersi lód ten skruszę,
Pod uściskiem mym rozpłonie
Żar zagasły w martwem łonie.

(Ściska ją w objęciach, podnosi martwą jej głowę i opuszcza napowrót).

Jam ją zabił... nie... jam w błędzie
Moje zmysły mąci szał...

Nareszcie Taira zaczyna dawać oznaki życia... Odzyskawszy w zupełności zmysły, ściska uszczęśliwionego ojca i ukazuje mu krzyżyk jako godło jedynego Boga, któremu powrót do życia zawdzięcza. Na to nadchodzi ze skarbami Omar. Po pierwszych uniesieniach radości, Muhamed nakazuje kochankom śpiesznie uciekać do Burgos. Taira nie chce opuścić ojca:

*Taira* (błagalnie).
Grazalemie twojej trzeba,
Jak przeczystej rosy z nieba,
Słyszeć słodkie twoje słowo:
Tobie, ojcze, służyć wiernie,
Czesać siwe twoje włosy,
W kwiat przemieniać twoje ciernie
I całować stóp twych ślady;
A jeżeli z woli nieba
W skrzydła śmierci nad twą [głową
Zaszcześci anioł blady:

Niech ja zamknę twe powieki,
Niech wypłaczę na twym grobie
Żal sierocy i przy tobie
Spocznę cichym snem na wieki.

Gdyby jednak Taira pozostała, wydałoby się oszustwo, a wtenczas zginęłaby i ona, jej ojciec i kochanek, a nawet jeńcy chrześciańscy. Muhamed przyrzeka kochankom, że podąży za niemi do Burgos, jak tylko ocali chrześcian. Ściska więc ojca, wsuwa mu w rękę krucyfiks i odchodzi z Omarem. Muhamed zostaje sam. Z bolesnej zadumy, budzi go wódz Abdalla, który przychodzi po rozkazy. Król każe jeńców wypuścić na wolność, a gdy Abdalla dziwi się takiemu rozkazowi, Muhamed, nie mogąc już panować nad sobą, woła:

*Muhamed.* Patrz, królewska ta korona,
Drogi klejnot, cenion w świecie,
Co tak twardo skroń mi gniecie,
Patrz, Abdallo!... czem jest ona?
Ona kłamstwem!... złudy chwilką!
A te prawa niewzruszone,
Zwane wiecznym państw cementem,
Których młotem wy! morderce,
Rozbiliście moje serce:
Straszne prawa! czemże one?
Ach! Abdallo... kłamstwem tylko!
Hołdy ludów... kłamstw odmętem!
Kłamstwem władza! kłamstwem [siła!
A co prawdą?... czy mogiła?
Jam krwawemi zlał ją łzami!

(Pokazuje ręką grób, śmiejąc się szyderczo).

Ona także oczy mami,
Ona kłamstwem! Obłąkany,
Kto na ziemi prawdy szuka.
Kłamstwem mędrce! kłamstwem sztuka!
Tak, Abdallo!... złud tumany
Tym znikomym rządzą światem,
Obłęd zmysły ćmi człowiecze,
Polot ducha więzi ciało;
Kto chce poznać prawdę całą,
Niechaj z ziemi w grób ucieczе!...

W tej chwili spostrzega przelatującego nad swą głową gołębia — znak umówiony, że ukochani zbiegowie już bezpieczni. Woła więc w uniesieniu:

*Muhamed.* Chcesz-li poznać te odblaski
Nowej zorzy, co przemienia
Życie, cudem bożej łaski,
Którą nieba snać zesłały,
Gdy z uśmiechem w skonu chwili
Rzekła: jutro do widzenia!
Gołąbeczce mojej białéj.
Ach! taż prawda nie omyli!
Ona jedna mi nie skłamie;
Gdy rozpostrze mocne ramię,
Wzręby kłamstwa w proch się [walą,
Ona tuman z ócz nam zmiata.
Chcesz ją poznać? Patrz, Abdallo,
Oto cała mądrość świata!
*(S. Duchińska).*

Przy tych słowach podnosi w górę krzyż i upada na kolana.

»Grazalemę« przełożyła S. Duchińska („Bibl. Warsz.", 1877 i odbitka).

## B) Katalońscy.

# I. Hiacynt Verdaguer.

### Atlantyda.

Młody rozbitek genueński wydostaje się na brzeg Luzytanii i znajduje schronienie w chacie starego pustelnika. Pustelnik opowiada mu mityczno-fantastyczne dzieje zatopienia Atlantydy na tle czynów Herkulesa w Hiszpanii, a głównie walk i zabiegów tego bohatera dla otrzymania ręki Hesperydy, żony zmarłego Atlasa. Rozbitek — a jest

nim Kolumb — natchniony tym opowiadaniem — puszcza się na morze i odkrywa Amerykę, stanowiącą dalszy ciąg zatopionej Atlantydy. Z poematu tego (w 10 pieśniach) przytaczamy dwa wyjątki. Pierwszy wyjęty jest z opisu kraju Atlantydy.

Olbrzymi jeleń rogów potrząsa rosochą,
Którą, jak wielkie drzewo, gwar oblata ptaszy;
Dziki mastodont goni za gazelą płochą,
A korpulentny mamut mastodonty straszy.

Ku ogrodowi idzie[1]) w głąb przez wonne gaje;
Lew czai się, a bawół przed nim mknie z kopyta;
Już nad jego ramiony trzecie słońce wstaje, —
Oczom nagle oaza zieleni zaświta.

Kroczy przez koronkowe mirtowe aleje,
Wiatr mu sycony miodem powonienie pieści;
Niebo płonące, zda się, klejnotami sieje,
Każda gałąź, zdrój każdy łagodnie szeleści.

Rzędami smukłe cedry, ciemne cynamony,
Których gałęziom słodko świeże ciężą kwiaty;
Pary drzew w długi portyk splotły się ramiony,
Zorza mruga różowa przez zielone kraty.

Tysiąc kaskad roztrąca rzeki nurt pienisty
O kryształowe groty, o schody z porfiru;
Białe nimfy, zniesione prądem, powłóczysty
Swój warkocz rozpuszczają na koliska wiru.

Po zieleni wybrzeża deszczem pereł siecze
Rozbawiony rajski ptak; w gęstwinie zacisznéj
Tęskna turkawka jęki zawodzi człowiecze,
Gil wesoły tryluje i gwiżdże kos pyszny.

W drugim ustępie wyspa Delos opowiada swoje powstanie.

Ostrym trójzębem wyrwał mię bóg morza
Z pięknej Sycylii rozdartego biodra;
Wokoło mnie toń modra,
Ja śród lazurów niby gwiazda hoża.
Patrząc zalotne mewy
Na śnieżnej fali u mych skał gonitwy,
Za swoją siostrę bielutką mię brały;
A zaś morskie rybitwy
Za lotusu kwiat biały,
Co między krwawe koralowe trzony
Swoje dziewicze rozchylił osłony.

[1]) Herkules poszukujący Hesperyi.

Achelous taką na rąbku Etolii
Widząc mię w świtu różowej koronie,
Zdaleka brał mię za kielich magnolii,
Rankiem mu w darze ślącej świeże wonie.
Wyspa, co mię dostrzegła
Najpierwsza, wzięła za galjotę zwinną,
Co z ładunkiem pachniдeł
Pełnym lotem swych skrzydeł
Od Epidauru ku Dorydzie biegła.
A zewsząd ku mnie biły muzyk tony:
U moich brzegów Najady, Trytony
Pryskając, rwały srebra wstęgę płynną.

*(E. Porębowicz).*

## II. Angel Guimerà.

Więc cię na wieki tracę — życie moje!
— Przepaść u naszych stóp.
A jednak duszę ból porywa.. roję,
Po skrę nadziei sięgam — aż za grób.

Sam cię powiodłem do kościoła progu,
Widziałem w blasku świéc;
Rzekłem: Polecam twoje szczęście Bogu!
— Serce załkało, lecz nie rzekło nic.

Przyczołgałem się pod twe białe ściany,
W zamknięte patrząc drzwi;
A co ty robisz i co twój kochany,
Światło od okna powiadało mi.

Wszystko wydało bratnie światło one:
Twoje ostatnie tak,
I to, że jutro oczy mieć czerwone
Będziesz, a dla mnie nosić świętej znak...

— Jednak cię kocham i dałbym niemało:
Oddałbym błogi skon,
By wiedzieć, kiedy to światło się zwiało,
Czyś je zgasiła ty sama, czy on?

*(E. Porębowicz).*

### III. Król marynarz.

(Pieśń ludowa).

Na kamieniu ponad morzem siedzi dziewczyna,
Najpiękniejszy kwiat na chustce właśnie wyszywa.
Wyszyła go do połowy, — brakło jedwabiu,
Spojrzy, aż tu płynie żeglarz w dużym korabiu.
— „Żeglarzyku, żeglarzyku, motek mi sprzedaj!“
— „Jedwab mam czerwony, biały, chodź i wybieraj!“
— „Czerwonego mi potrzeba, lepszy czerwony,
Czerwonego mi potrzeba, bo dla królowéj“.
— „Pójdźże, zabierz, ile zechcesz, dziewczyno miła!“ —
Ledwo stanie na pokładzie, żagiel się wzdyma,
Żeglarz śpiewa jej piosneczki coraz to nowe,
Ona słucha i uśpiona pochyla głowę.
Wieje morski wiatr a wieje — smutny noclegu!...
Ocknęła się. „Żeglarzyku, płyńmy do brzegu,
Bo mi już zamącił w głowie morski wiatr chłodny“.
— „Nie wrócę cię, jużeś moja na fali modrej“.
— „Trzy nas siostry: Jedna księżna, druga hrabina,
A ja tylko żeglarzowa — biedna dziewczyna!
Jedna nosi szaty złote, druga jedwabne,
A ja biedna żeglarzowa sukienki zgrzebne.
Jedna łoże ma ze złota, druga ze srebra,
A ja biedna żeglarzowa z mokrego drewna“. —
— „Królowa-ś ty, bo ja jestem z Anglii królewic,
Siedem lat cię szukam pośród zamorskich dziewic“.

*(E. Porębowicz).*

---

### C) Amerykańscy.

## I. Andrzej Bello (Wenezuela — Chile).

Wezwanie do poezyi.

Ty, samotności poważna córo,
Co harmonijne wysnuwasz tony
Z lasów, spowitych odwieczną chmurą,
Wykołysana w grocie zielonéj
Od gór odbitym echa pogwarem;
Porzuć te kraje! Ach! tobie dłużéj
Na zgliszczu wieków nie wytrwać starem! [1])
Chłód cię krępuje, przymus cię nuży;

[1]) Bello pisał ten utwór podczas pobytu w Londynie (1823).

Leć wiecznie młoda i wiecznie żywa,
Gdzie świat Kolumba słodko cię wzywa!
Tam jeszcze szumią stuletnie puszcze,
Tam słońce strząsa powłokę mglistą
I w kwiat rozwija zielone bluszcze
Na bohaterów skroń promienistą!
Tam kręta rzeka czerpie w lazurze
Błękit, co czyste barwi jej łono;
Tam wietrzyk rankiem kołysze róże,
Błyszczące gwiazdy jaśniej tam płoną;
Tam nocy rydwan żartko się toczy.
A gdy król niebios wybieży górą,
Spowity pyszną zorzy purpurą,
Zbudzone ptastwo w leśnej pomroczy
Zgodnie do chóru dzióbki śpiewnemi
Dzwoni hejnały słońcu i ziemi!
Co tobie dadzą, leśna dziewico,
Pańskich pałaców złocone progi?
Sztucznym swym blaskiem tobie-ż zaświécą?
Słać-że ci kwiaty wielkim pod nogi?
Promienistszemi światła odblyski
Z czoła twojego tryskała sława,
Gdyś u dziecięcej ludów kołyski
Królom i ludom głosiła prawa!
Ach! uderz w skrzydła! odleć co prędzéj
Z onej krainy światła i nędzy!
Gdzie filozofy w obłudzie dumy
Patrzą na cnotę przez wiedzy szkiełko,
Gdzie gną przed niemi kolana tłumy,
Gdzie hydra paszczę rozwarła wielką
I wnet zbłąkaną ludzkość pochłonie
W noc barbarzyństwa, gwałtów i zbrodni;
Gdzie świat, pozbawion bożej pochodni,
Zatrute węże karmi w swem łonie!
Zdejm ze spróchniałych dębu konarów,
Słodka dziewico, twą lirę złotą:
Zwiędłe-ż ci kwiaty skronie oplotą?
Z dawnego świata dziecięcych gwarów
Cały wysnułaś wątek pajęczy!
Ach! uderz w skrzydła, dziewico boża!
Leć przez Atlantyk po łuku tęczy,
Ku nowym ludom, w nowe przestworza.
Tam znów obleczesz pierwotne szaty,
Tam cię, żniwiarko, plon złoty czeka;
Rola nieznane sypnie ci kwiaty,
Ledwo sprzężone w jarzmo człowieka!
Tam Ameryka, ziemia swobody,
Nadobna córa błękitnej fali,

Ze słońcem ślubne wyprawia gody:
Ona ci wzniesie grotę z korali,
Ozdobi czoło twe z gwiazd koroną
I na swe żyzne weźmie cię łono!...

*(S. Duchińska).*

## II. Jan Marya Gutierrez (Argentyna).

### Sztandar Majowy[1]).

Niebiosom wydarli ojcowie tytany
Nasz sztandar z lazuru i bieli.
Gdy w sferach zwycięstwa szeleści rozwiany,
Wzrok niebios obrazem weseli. —

Jak orzeł na czatach, w świat patrzy szeroki!
Gdy ludy zawezwą go młode,
Przebiega równiny, gór pasma, potoki:
Za sobą w ślad niesie swobodę.

Daremnie się Andów rwą straszne kondory,
W polocie go rączym nie schwycą;
Nie patrzeć drapieżnym w zwycięskie kolory
Oślepłą od blasku źrenicą.

Podnieśmy go z chlubą, nic barw tych nie zaćmi!
O! niechże rodzinne to hasło
Dwa wrogie stronnictwa uczyni znów braćmi
I miłość w nich zbudzi niezgasłą!

## III. Bartłomiej Mitre.

### Mój koń (pieśń gaucza).

„Konik mój młody
Z wichrem w zawody
Prześciga loty strzał!
Puść mu wędzidła,
Orle go skrzydła
Stepem poniosą w czwał.
W bojową wrzawę,
Gdy włócznie krwawe
Olśnią mu nagle wzrok,
W ziemię zuchwaléj
Kopytem wali,
Postawi dęba w skok.
Niech-no pochwycę
Arkan w prawicę,
Nozdrze mu wzdyma wstręt,
Płoną mu ślepie,
Jak gdy po stepie
Lecim za strusiem w pęd.

[1]) Na uczczenie powstania majowego przeciw rządom hiszpańskim w 1810 r.

„Siwosz mój drogi
Z iskier ma nogi
Miast oczy gwiazdy dwie;
Doń, jak do dziewy,
Mej czarnobrewy,
Serce się żartko rwie“.

Gaucz sławi konia,
Nagle przez błonia
Grzmi dźwięk bojowych trąb;
Schwyci się grzywy,
Pędzi z nim siwy,
Owian w kurzawy kłąb.

## IV. Abigail Lozano (Wenezuela).

### a) Do nocy.

Anioł pokoju wieczorem na łące
Już pocałunkiem ukołysał kwiaty,
Ostatnie z lasu dźwięki słodko brzmiące
Rój trubadurów zasłał mu skrzydlaty.
Ucieka światło, chmara sylfid cicha
Lekko powietrzne przebiega obszary;
Na świat uśpiony z czarnego kielicha
Odurzające rozlewa nektary.
Ucieka światło, anioł nocy kroczy
Po białym rąbku leciuchno ku górze;
Rozbija namiot w eteru przezroczy,
Utkan gwiazdami na ciemnym łazurze.
Aniele nocy! kiedy skrzydła twoje
Otulą ziemię, niby całun czarny,
Ptastwo i drzewa, potoki i zdroje
Z pogwizdem wichrów ślą ci hymn ofiarny.

### b) Ameryka.

Zwieńczona w miękkie powoju warkocze,
Gór szerokiemi objęta ramiony,
W słodkiej rozkoszy pędzi dni urocze
Ziemia prześliczna, raj wiecznie zielony.
Ludzi ją kilku Ameryką zwało,
Jej dziatwa imię przyjęła to z laty;
Nad nią siedzibę usłały wspaniałą:
Sylfida, wróżka i seraf skrzydlaty.
Z lasów stuletnich powiew tajemniczy
Wonie na skrzydłach przynosi jej latem;
Wokoło cichej kolebki dziewiczéj
Bucha jaśminu wonnym aromatem.
Wzniosłe jej czoło dyademem wieńczą
Wysmukłe palmy z rozwianemi włosy;
Córy pustyni, co dobę młodzieńczą
Na spiekłych piaskach przeżyły bez rosy.

Po skał jej złomach w blasku pełnym pychy
Perłami tkane kaskady się toczą;
A ich podnóża wonnemi kielichy
Barwiste kwiatki oplotły uroczo.

Stare jej dęby, co wieki przetrwały
Z czołem ku ziemi sterczącem ponuro,
Obsiadły rojem ptaki — kardynały,
Świetnie tyryjską przybrane purpurą.

Bogowie morza bezdennych odmętów
Zdobią ją w muszle, w konchy i korale;
Jasnemi wstęgi z pereł, z dyamentów
Brzeg jej piaszczysty oplotły wspaniale.

I któż określi te rąbki błyszczące,
Któremi kibić czarodziejka słoni?
Niewinna, strojna w uroków tysiące,
Piękna, niebiańska ziemia snów i woni!

Po jej łagodnym przebiega lazurze
Złoty rój chmurek, purpurą strzępiony;
Noc jej — to namiot rozpostarty w górze,
W gwiazd promienistych utkan miliony.

Oko jej dziewic żarem słońca błyska,
W szał wprawia zmysły i nęci tak mile;
Rzekłbyś, zbłąkane z eteru zjawiska
Stopkami ziemi dotknęły na chwilę.

Ich śniade lica, ich krucze uploty,
Łono tajemną drgające rozkoszą;
Serce twe szarpią płomiennemi groty,
W świat istnych czarów twoją myśl unoszą.

O! niech twe lasy wdzieją strój godowy,
Z skał niech się toczą kaskady przezrocze;
Niech wonny powiew twojej sennej głowy
Palm twych zielone kołysze warkocze!

Niech noc gwiaździsta rozleje swe czary
Na twe powieki, gdy w słodkim śnie toną;
Niech żartkie słońce płomiennemi żary
Do czynu krzepkie rozbudzi twe łono!

Na twoich kwiatów uwiędłe kielichy
Blada jutrzenka niech roni łzy czyste;
Niechaj rozwiesza ze mgły welon cichy
Na twoje łąki, na pola kłosiste!

Niech ci, hurysko, szumią lasy twoje,
Niech cię piosenką zbudzą ptacy leśni;
Niechaj ci gwarzą wód krynicznych zdroje:
Ocknij się ze snu w miłości i pieśni!

Niech na twe łono Bóg zlewa potokiem
Mądrość i spokój, pomyślność i cnotę;
Gwiazda nadziei, skryta chmur pomrokiem,
Niech na twą przyszłość sieje blaski złote!

Niech geniusz wieków po dniach klęsk i burzy
Skrzydła nad tobą roztoczy wspaniałe;
W natchnieniu wieszczem niech on ci wywróży
Wieszczą szczęśliwość, nieśmiertelną chwałę!

*(S. Duchińska).*

# III. PORTUGALIA.

## A) Portugalscy.

## 1. Franciszek Sa de Miranda.

### Zachód słońca.

Słońce wielkie! Śród gajów już milknie ptaszyna,
Pierś po znoju — chłodowi ożywczemu rada.
Ta rosa, która z wyżyn gdzieś dalekich spada,
Nie sen — ale mi troski ciężkie przypomina!...
O! wszystkie sprawy ziemskie — to złudzeń ruina!...
Jakież serce w nich swoje zaufanie składa?!..
Dzień za dniem czas wyrzuca, jak wodę kaskada,
A chwiejne, niby okręt, gdy fale rozcina!
Jam widział dzień i kwiaty na życia mej drodze;
Widziałem wody czyste, łąki i strumienie,
Ptaki, które miłości pieśnią rozbrzmiewały!
Teraz wszędy już głuche zaległo milczenie...
I jam też w głębiach smutku pogrążył się cały!...
Niestety! wszystko wskrześnie — ja się nie odrodzę!...

*(J. A. Święcicki).*

## II. Luiz Camões.

### Luzytańczycy (Os Lusiadas).

Pieśń I.

Boje opiewam i tych mężów chwały,
Co z luzytańskich zachodnich wybrzeży
Na nieznajomych mórz biegli kryształy,
Gdzie się nad fale Taprobana[1]) jeży,
I niebezpieczeństw zwalczali nawały,
Jak na niezłomnych przystało rycerzy;
Aż nowe państwo wznieśli sławnym trudem
Śród obcych ludów męstwa swego cudem[2]).

[1]) Wyspa Ceylon.
[2]) Kolonie portugalskie w Indyach wschodnich.

I owych królów wiekopomnej sławy,
Co rozszerzając swoje panowanie,
Azyi, Afryki podbili dzierżawy,
Niewiernych kłoniąc pod krzyża władanie;
Co rycerskiemi uwieńczeni sprawy
Już nieśmiertelność wzięli w posiadanie.
Pieśń ma ich poda ludom dla nauki,
Gdy ty mię wesprzesz, o geniuszu sztuki!
Przestańmy sławić Trojanów lub Greków
Morskie wyprawy i rycerskie czyny,
Macedończyka, bohatera wieków,
Albo Trajana zwycięskie wawrzyny;
Was sławię, których śród śmiałych zacieków
Wiódł Mars z Neptunem, was — o Luza syny!
Umilknij, Muzo, z pieśnią starożytną
Przed tych wybrańców chwałą bardziej szczytną.

Wezwawszy następnie ku pomocy muzy ojczystego Tagu i wyraziwszy w dedykacyi, że młody król Sebastyan, panując dzielnemu narodowi Portugalczyków, przysporzy mu chwały i potęgi, autor przystępuje do ekspozycyi swojego poematu. Vasco de Gama, opłynąwszy ze swoją flotylą przylądek Dobrej Nadziei, znajduje już na morzu Indyjskiem w pobliżu Madagaskaru, gdy Jowisz zwołuje bogów, ażeby się naradzić, jak się należy zachować wobec śmiałych żeglarzy. Sam Jowisz, Mars, Merkury, a szczególniej Wenera, której Portugalczycy tak żywo przypominają starożytnych Rzymian, oświadczają się na ich korzyść; ale Bachus postanawia stawiać im przeszkody, bo się obawia, że gdy dotrą do Indyj, kult jego w tym kraju upadnie. Powodowany tą obawą, podburza on mieszkańców Mozambiku do zdradnej napaści na Luzytańczyków, ale mężni żeglarze wychodzą z zasadzki zwycięsko, a przychylna Wenera prowadzi ich dalej do Mombazy.

Pieśń II. I tutaj Bachus gotuje na nich zdradę; wszakże czujna Wenera niweczy jego zamiary i prosi Jowisza, żeby życzliwą otoczył opieką jej ulubieńców. Jowisz poleca Marsowi zaprowadzić ich do Melindy. Król Melindy, przychylnie usposobiony dla przybyszów, zawiera przymierze z Vasco de Gamą i prosi go, żeby mu opowiedział dzieje swojej ojczyzny.

Pieśń III. Vasco de Gama, nakreśliwszy geograficzny krajobraz Portugalii na tle krajobrazu całej Europy, szkicuje następnie bohaterskie dzieje starożytnej Luzytanii, poczem szerzej już opowiada czasy średniowieczne, szczególniej walki Portugalczyków z Maurami, przeplatając je tu i owdzie przygodami romantyczno-rycerskiej natury. Doniosłe zwycięstwo nad Maurami pod Urique (1139), z którem się wiąże powstanie niezależnego królestwa portugalskiego, maluje poeta w ten sposób (strofa 43—54):

„Luzyjski książę[1]) nie w sile oręża,
Lecz w Panu ufa, co na niebie włada;
Więc nie drży, chociaż na każdego męża
Chrześciańskiego stu pogan przypada.
Owszem, niepewność wszelką przezwycięża,
Jaką przezorna podsuwała rada;
Wie, iż z pomocą bożą dzielne ramię
Rośnie w olbrzyma, — jeden stu przełamie.
„Na czele Maurów pięciu królów stoi,
Z nich najcelniejszy Ismarem się zowie;

[1]) Alfons I.

Każdy wytrawny, nawykły do zbroi
Śród walk, gdzie sławę zyskują wodzowie.
Z niemi rycerski huf, jak te, co Troi
Pomoc swą niosły, walcząc, jak mężowie,
Pod wodzą pięknej i dzielnej królowéj,
Której ojczyzną brzeg Termodonowy [1]).
„Wionął chłód ranny — weszła jutrznia chyża,
Gwiazdy powoli gasły na błękicie,
Gdy Syn Maryi, przybity do krzyża,
Błysł przed Alfonsem, nowe budząc życie.
Alfons padł na twarz, w prochu się uniża
I płonąc wiarą, tak woła w zachwycie:
— Niewiernym, Panie, cuda Twe przystoją,
Ja — i tak wierzę w istność i moc Twoją. —
„Na wieść o cudzie zapał w wojsku rośnie,
Zapał ogarnia drużynę rycerzy,
Zasługi księcia wynoszą rozgłośnie
I serca swoje święcą mu najszczerzéj:
Wojsko go królem nazywa donośnie
I coraz dalej te okrzyki szerzy
I jedno hasło pod niebiosa bije:
„W bój za Alfonsa! Król Alfons niech żyje!“
„Jak w górach, kiedy myśliwy dostrzeże
Żubra i szczwaniem brytana rozjuszy,
Ten pędzi wściekle na odważne zwierzę,
Które rogami, zda się, wszystko skruszy;
Nie siłą, ale zwinnością pies bierze,
Szarpie za boki żubra, to za uszy,
Aż z przegryzionem gardłem, krwią zbroczony,
Straszliwy olbrzym runie wysilony:
„Tak pierś nowego króla męstwem gore
Ku chwale Boga i narodu razem,
Z zapału wojska chce skorzystać w porę
I wroga dzielnem rozgromić żelazem —
Do dzid, do łuków śpieszą Maury skore,
Król wciąż obecny zachęca rozkazem·
Gwar, grają trąby, rośnie surma dzikiéj
Ogłuszającej wojennej muzyki.
„Jako gdy z iskry w trawę zaronionéj
Ogromny pożar Boreasz rozdmucha
I wiatr go niesie w pole na wsze strony
I morzem ognia goreje gąszcz sucha:
Zrywa się ze snu pasterz przebudzony,
Gdy trzask płomienia doszedł jego ucha,
Zbiera swą trzodę i w żałosnej trosce
Obraca kroki ku poblizkiej wiosce: —

[1]) Amazonki pomagały Trojanom pod dowództwem Pentezylei Kraj Amazonek umieszcza podanie nad rzeką Termodon.

„Tak szyki Maurów mieszają się, chwieją,
W nagłym pośpiechu ledwo za broń chwycą;
Stanęli — jeszcze rumaki nadzieją!
I straszny atak ponieśli konnicą.
Portugalczykom ramiona nie mdleją,
By spotkać wroga, dzidy, jak las, świécą:
Tysiące Maurów na ich ostrzach legły,
Tysiące z krzykiem: „Allah!“ z pola zbiegły.

„Tak było silne, tak śmiałe to starcie,
Iż góry mogłyby ruszyć z podstawy;
Narówni z panem koń walczy zażarcie,
Koń, ów Neptuna dar ziemi łaskawy;
Ze wszech stron ciosy lecą nieprzeparcie,
Na wszystkie strony zakipiał bój krwawy:
Zbroje, kolczugi Luz zwycięsko płata,
Rąbie pancerze, tnie, siecze i zgniata.

„Skaczą po polu odsieczone głowy,
Tam — nie wiesz, czyje martwe członki w kupie,
Owdzie jelita drgają — tam tułowy,
I lica sine, blade, straszne, trupie.
Zasłało wojsko cały plac bojowy,
Potokiem spływa krew, co z trupów chlupie,
I pola barwa pokryła niezwykła,
Pod krwi purpurą ich zieloność znikła.

„Zwycięża Alfons — milkną gwarne szumy,
Wojsko trofea i łupy zdobywa:
Legły rozbite Maurytanów tłumy,
Trzy dni król wielki w polu wypoczywa.
I na swej białej tarczy, pełen dumy,
By pamięć chwały pozostała żywa,
Jak w liczbie pięciu polegli mocarze,
Niebieskich tarczy pięć malować każe.

„Na tarczach znaczą srebrników trzydzieści,
Za które Zbawca świata był sprzedany;
Tak barwny pędzel wysiła się k' cześci
Boga, co łaską swą wsparł Luzytany;
W krzyż ułożono tarcze — każda mieści
Po pięć srebrników; cały zaś oddany
Będzie rachunek, gdy tarczę środkową
Raz przeliczywszy, przeliczysz na nowo.

Mówiąc o panowaniu Alfonsa IV, Vasco de Gama, a raczej poeta, piękny epizod (strofa 120—136) poświęca Inezie de Castro, którą w tajemnicy poślubił podobno infant Don Pedro, a którą siepacze królewscy zamordowali.

„O piękna Inez, cicho i samotnie
Śród uciech biegły słodkie dni twej wiosny,
Śród błogich ułud, co mkną tak przelotnie,
Bo im trwałości skąpi los zazdrosny;

Brzegi Mondego zraszały stokrotnie
Łzy pięknych oczu w tęsknicy miłosnéj,
Uczyłaś góry i każde ustronie
Powtarzać imię wyryte w twem łonie.
„Twojego księcia miłość nie mniej tkliwa,
Zapadł mu w serce twój obraz uroczy;
Przed okiem duszy stoisz mu jak żywa,
Ilekroć zniknieszprzed ziemskiemi oczy:
Nocą w snów złudach przy tobie przebywa,
W dzień każdą myślą z tobą się jednoczy;
Cokolwiek słyszy, gdzie jest, w każdej dobie
Marzy o szczęściu, bo marzy o tobie.
„Odtrąca świetne związki, ślubne łoże,
Wszelkie powaby są dlań obojętne;
Czysta miłości, gdy nas liczko hoże
Podbije — już nam wszystko inne wstrętne.
Niedługo taka miłość skryć się może,
Doszły do ojca szemrania niechętne
Ludu — i stary król potępia srodze
Syna, co puścił namiętności wodze.
„Więc chcąc go wyrwać, zniszczyć ponęt czary,
Na biedną Inez daje wyrok w gniewie,
Sądząc, iż we krwi nieszczęsnej ofiary
Zbyt stałych ogni ugasi zarzewie.
Snać wściekły gniew był — jeśli miecz swój stary,
Co hordy dziczy w najezdczym zalewie
Na ostrzu trzymał, ów miecz sławny w świecie,
Przeciw bezbronnej dał podnieść kobiecie.
„Wnet ją wywlekła oprawcy dłoń dzika
Przed króla — ten się już wzruszać poczyna;
Lecz lud wzburzony przeciw niej wykrzyka,
O śmierć nieszczęsnej w głos się dopomina.
A ona głosem, co w serce przenika,
Skarży się rzewnie i losy przeklina,
Nie zgonem własnym strwożona tak srodze,
Lecz żal kochanka, żal dziatwy niebodze.
„Już ku kopule niebios kryształowéj
Podniosła oczy, łzą bólu zalane,
Oczy — bo ręce twardemi okowy
Przez dzikich katów już były skowane, —
Potem na dziatek zwróciła je głowy,
Na dziatki drobne, a tak ukochane,
Nad ich sieroctwem sercem matki biada
I do srogiego tak przemówi dziada:
— „Jeżeli zwierząt, które w puszcz gęstwinie
Instynkt dzikości z przyrody dziedziczą,
I ptaków, które w powietrznej krainie
Żywią się krwawej łupieży zdobyczą, —

Widziano nieraz litość ku dziecinie:
Jeśli zwierzęta opieki użyczą,
Jak mamy przykład na Ninusa matce,
Jak przyszli Romy świadczą nam zakładce:
— „Ty, coś człowiekiem i z uczuć i z ciała
(Gdy tak zwać można kobiety mordercę,
Której grzech cały, że zniewolić śmiała
Tego, kto ujął i podbił jej serce),
Niech widok piskląt tych na cię podziała,
Życia nieszczęsnych nie miej w poniewierce:
Litości dla nich! niech cię litość wzruszy,
Gdy nie zmiękczyła niewinność mej duszy.
— „Jeśli zwycięsko hord wrogich zapędy
Ogniem i mieczem dłoń twoja zwalczyła,
Umiej okazać niewinności względy,
Bom na tak straszną śmierć nie zasłużyła.
A gdy tak wielkie w oczach twoich błędy,
Skarz mię wygnaniem wiecznem, każ, bym żyła
W Scytyi chłodnej, lub w skwarnej krainie
Libii — niech życie me w łzach wiecznych płynie.
— „Wpośród lwów dzikich, tygrysów okrutnych
Ślij mię, o panie! A może się zbudzi
W zwierzętach litość dla mych losów smutnych,
Jakiej daremnie szukałam u ludzi:
Tam z mą miłością, o dniach niepowrótnych
Marząc, żyć będę, a ból mój ostudzi
Widok tych dziatek, ojca obraz żywy,
Słodka pociecha matce nieszczęśliwéj". —
„Już w sercu króla dobroć górę bierze,
Wzrusza się skargą i tkliwemi słowy;
Lecz opór ludu i los — w jednej mierze
Nieubłagane — żądają jej głowy.
Dobyli z pochew ostrych szpad rycerze,
Króla gniewnemi podniecają mowy.
Hańba wam, hańba, żądni mordu męże,
We krwi piękności hartować oręże!
„Jak gdy skazanej przez Achilla cienie
Królewskiej córze, trojańskiej dzieweczce,
Pirrus zagroził śmiercią Poliksenie,
Zgrzybiałej matki jedynej ucieczce:
Ona zwracała swe jasne spojrzenie
(Podobna kornej, cierpliwej owieczce),
Ku oszalałej z bólu swej macierzy,
Czekając zcicha, nim nóż w pierś uderzy:
„Taką się zdała Inez pod ciosami.
Alabastrowe, prześliczne jej łono,
To dzieło wdzięków, już krwi struga plami,
I skroń, co będzie zwieńczona koroną,

I białe lilie zroszone jej łzami;
I ostre szpady siepaczy w krwi toną,
A oni wściekli, w dzikości nadmiarze,
Nie patrzą w przyszłość, nie pomną o karze[1]).
„O słońce, któreś niegdyś odmówiło
Krwawej Tyesta uczcie twych promieni,
Jakżeś się ciemną chmurą nie okryło
Przy tej posępnej i okropnej scenie?
I wy doliny, w których się odbiło
Jej ust stygnących ostatnie westchnienie,
Imię Dom Pedra w ostatnim wykrzyku
Wyście rozniosły w swych echach bez liku!
„I jako świeża wiosenna stokrotka
Ledwo rozkwitła, pełna barw i woni,
Gdy się z dziewczęciem niecierpliwem spotka,
Które ją uszczknie na wieniec swych skroni,
Wnet więdną listki, ulata woń słodka:
Podobna była zmarła Inez do niéj;
Zbladły lic róże, szkarłat ust korali,
Barwy wraz z życiem zagasły w krwi fali.
„I długo nimfy Mondego płakały
Po pięknej zmarłej w żałości głębokiéj,
Aż zamieniły w źródlane kryształy
K' wiecznej pamięci te łez swych potoki,
A strugę „źródłem miłości“ nazwały:
I dziś wędrowiec, gdy doń zwróci kroki,
Ujrzy, jak rosząc kwiaty po dolinie,
„Źródło miłości“ z łez powstałe płynie.

Pieśń IV. Vasco de Gama opawiada w dalszym ciągu dzieje Portugalii, a doprowadziwszy je do Emanuela Wielkiego, tłómaczy królowi Melindy, co skłoniło tego monarchę do wyprawienia floty do Indyj: oto we śnie zjawiły mu się bóstwa Gangesu i Indu i wezwały go do podbicia pod swe panowanie krajów, które zraszają swemi wody. Emanuel Wielki dowództwo nad flotą oddaje Vasco de Gamie; ten razem z mężną załogą, po wysłuchaniu uroczystej mszy świętej, wypływa w niebezpieczną podróż.

Pieśń V. Vasco de Gama opowiada trudy i przygody floty wzdłuż brzegów Afryki.

„Mamże wyliczać niebezpieczeństw krocie,
Jakich nie znali inni żeglownicy?
Mówić o burzach nagłych, czarnej słocie,
O niebie całem w ogniach błyskawicy?
O ciemnych nocach, o straszliwym grzmocie,
Co wstrząsał światem? gradach, nawałnicy?
Pierś najsilniejsza, ani głos spiżowy
Nie zdoła klęsk tych wygłosić połowy.
„Nieraz prostacza żeglarzy gromada,
Co w doświadczeniu jeno ma mistrzynię,

[1]) Dom Pedro, wstąpiwszy na tron, ukarał śmiercią morderców Inczy, a zwłokom jej, wydobytym z grobu i przyodzianym w szaty królewskie, rozkazał oddać honory, należne królowej.

O różnych cudach z wiarą opowiada,
Sądząc o rzeczy z pozoru jedynie:
I jam je widział, lecz mym sądem włada
Wiedza — z rozumu tylko prawda płynie,
On w tym zawiłym tajni świata tłumie
Prawdę od fałszu sam odróżnić umie.

„Widziałem ognie, których jasność żywa
Nagle wybłyska wpośród ciemnej burzy
I którą świętą marynarz nazywa,
Bo po łzach smutku ona spokój wróży[1]);
I rzecz, co niemniej pewna a straszliwa
I co nas trwogą przejęła w podróży,
Widziałem chmurę, co w trąbę zmieniona,
Ssała słup wody z oceanu łona[2]).

„Widziałem dobrze (jestem przeświadczony,
Że wzrok nie mylił mię), jak para wstała
I, niby obłok wiatrami niesiony,
Krążąc nad falą, wiła się i chwiała.
Z niej pod niebiosa wyrósł słup wzniesiony,
Ale się jeszcze tak przezroczą zdała,
Że kształt jej nie dał się określić okiem,
Że się zdawala z treści swej obłokiem.

„Słup rośnie zwolna, rośnie przed oczyma,
Już grubość masztów przerasta o wiele;
To się zacieśni, to znowu rozdyma,
W miarę jak wodę wciąga w swe gardziele:
Słania się z falą, stopy jej się trzyma,
Nad skronią gęsta chmura mu się ściele,
I coraz ciemniej, coraz szerzej zwisa
A słup wciąż wodę z głębi mórz wysysa.

„I jak krwi chciwa pijawka, co się czepi
Wargi zwierzęcia (gdy które niebacznie
U chłodnej strugi siły swoje krzepi),
Krwią jego gasić swe pragnienie zacznie,
I coraz grubsza, im wpija się lepiéj,
Wciąż się rozdyma, choć już wzdęta znacznie:
Tak ta kolumna wciąż rośnie do góry
Wraz z kapitelem wieńczącej ją chmury.

„Lecz gdy się wody napije do syta,
Odrywa stopy od fal, skąd ją ssała,
Pędzi do góry, czołem niebios chwyta
I w deszcz rzęsisty rozlewa się cała:
Co wzięła, wraca ulewa obfita;
Lecz smak swój słony woda postradała.

---

[1]) Ognie św. Elma, zdaniem marynarzy, przepowiadające spokój na morzu.
[2]) Trąba morska.

Mędrcy, nad księgą spędzający życie,
Ten dziw przyrody wy nam objaśnicie!

*(Adam M-ski).*

W dalszym ciągu swych przygód opowiada Vasco de Gama o spotkaniu z groźnem widziadłem Adamastora u przylądka Dobrej Nadziei, napomyka o rozprawach, jakie miał u wschodnich brzegów Afryki, i kończy swoją opowieść pochwałą wytrwałości i dzielności Portugalczyków.

Pieśń VI. Wypoczęci i pokrzepieni Portugalczycy puszczają się do Indyj, prowadzeni przez sternika, ktorego daje im życzliwy król Melindy. Bachus namawia bóstwa morskie do wywołania straszliwéj burzy. Żeglarzom grozi niechybna zguba; ale Wenera ze swojemi nimfami łagodzi rozhukane wiatry. W oddaleniu ukazują się wybrzeża Indyj.

Pieśń VII. Krajobraz Indyj. Żeglarze zawijają do brzegu i zostają przyjęci gościnnie przez władcę Malabaru. Jeden z jego dygnitarzy zwiedza flotę portugalską, a zauważywszy na jej flagach jakieś obrazy treści bohaterskiej, prosi o ich objaśnienie.

Pieśń VIII. Paweł, brat Vasco de Gamy, objaśnia znaczenie tych obrazów, przedstawiających wybitniejszych królów i bohaterów narodowych. Tymczasem zawzięty Bachus obudza w krajowcach podejrzenie, że przybycie Portugalczyków zagraża ich religii. Maurowie knują więc zdradę i chcą zniszczyć flotę portugalską; ale przezorny Gama nie daje się ująć w zasadzkę.

Pieśń IX. Uprzedzony przez jednego Maura, że na zgubę floty knuje się nowa zasadzka, i uważając, że swoje posłannictwo już spełnił, Vasco de Gama odpływa w powrotną drogę. Wenera, żeby wynagrodzić dzielnych żeglarzy, wiedzie ich na zaczarowaną wyspę, na której nimfy morskie podejmują ich gościnnie.

Pieśń X. Podczas wspaniałej uczty w pałacu Tetydy jedna z nimf w natchnionej pieśni opiewa przyszłe walki i zwycięstwa, jakie w Indyach odnosić będą następcy Vasco de Gamy — Pacheco, Almeida, Albuquerque i t. d., aż do połowy w. XVI. Po skończonej uczcie Tetyda prowadzi Gamę na wysoką górę i tu na cudownym globusie tłómaczy mu ustrój wszechświata i ziemi podług systematu Ptolemeusza. Nareszcie Portugalczycy opuszczają rozkoszną wyspę i odpływają do ojczyzny.

Poemat ten przełożył na język polski Jacek Przybylski p. t. »Luzyada« (Kraków, 1790) i Adam M-ski p. t. »Luzyady« (Warszawa, 1890).

## III. Jan Chrzciciel (João Baptista) Almeida-Garrett.

### Z kwiatów bez owocu.

Białe skrzydła.

Miałem jasnych skrzydeł dwoje,
Sam anioł dał mi te skrzydła;
Wzlatałem na nich ku niebu,
Ilekroć mi ziemia zbrzydła.

Były białe, takie białe!
U anielskich ramion rosły;
Jam był niewinny, jak one,
Przeto mię do nieba niosły.

Przychodziła chciwość ziemska
I wabiła bogactw szałem;
Za pagóry srebra, złota
Skrzydeł moich nie oddałem.

Przyszła próżność i ambicya,
Podbijała pychę we mnie,
Sławę, moc do nóg mi kładła,
Lecz kusiła nadaremnie.

Bo tych jasnych skrzydeł dwoje,
Z anielskiego daru skrzydła,
Unosiły mię ku niebu,
Ilekroć mi ziemia zbrzydła

Ale jednej nocy ciemnej,
Kiedym się zapatrzył w gwiazdy
I byłem, sprzykrzywszy ziemię,
Znów do lubej gotów jazdy,

Nagle z nich odjąwszy oczy,
Popatrzyłem w ziemską stronę;
W szarej mgle ujrzałem gwiazdy
Jeszcze jaśniejsze, niż one.

I odtąd te moje skrzydła,
Te anielskie skrzydła białe
Przestały mię rwać ku niebu,
Leniwe i ociężałe.

Oślepiło mię na wieki
Owych gwiazd oczarowanie,
Czarna chwila, smutna dola
I nieszczęsne to kochanie.

Te anielskie skrzydła białe,
Mój skarb niegdyś pacholęcy,
Uroniły wszystkie pióra,
Nie wzleciały w niebo więcéj!

*(E. Porębowicz).*

## IV. Aleksander Herculano de Carvalho e Araujo.

### Burza.

Gdybym się w burzę mógł zmienić i bujać
Po czarnym chmur zamczysku
I rozdzierane widzieć morskie fale
W piorunów moich błysku;
Jabym okrążył glob i na ląd stały
Wparł oceanu ławę.
Jabym w wulkanów wnętrzu pozapalał
Od wieków martwą lawę;
Silnego dębu i starego buku
Czoła w kabląki zgniótłbym,
Wszystek libijski piasek w jedną górę
Wichrami memi zmiótłbym;
A potem usiadł na bieguna szczycie
Tuż pod gwiazdą polarną,
Patrzał na lody, jak pod czasu dłonią
Nieskończenie się garną;
Tam ja samotny, tam ja, śmierci władca,
Wołałbym huraganem:
Tutaj swoboda i tu państwo moje
I tutaj jestem panem!
Gdybym się dźwignąć mógł, jak dzikie wiry
W oceanu obszarze,
Pędzić w tętentach i hukach gromowych
Po tej płynnej Saharze!...
Lecz w ziemskich skażeń nieszczęsnej obręczy
Myśl omdlewa skrzydlata;
Próżno się w niebo podrywa; strącona
Na padoły znów zlata.
Śmierci, przyjazna śmierci! pośród morza,
Pośród fali cię wspiętéj
Wołam, ach przybądź, przybądź, zarzuć kiry
Na mój żywot wyklęty

Skrusz więzy, w których duszę mą gorącą
Natura trzyma wroga,
Niechaj poleci przez powietrzne sfery
Do niebieskiego proga.

*(E. Porębowicz).*

## V. Jan (João) Penha.

### Sonet.

Gdym na cię patrzał z pod jaśminów cienia,
Z szemrzącej wody trwożnie wychyloną,
Kładącą ręce dwie na kształtne łono,
Z włosem wilgotnym od pereł strumienia
Pokładającą kibić od niechcenia
Z uśmiechem dziecka na trzcinę zieloną, —
Wydałaś mi się do życia zbudzoną
Grecką statuą z białego kamienia.
I kusiła mię jedna chęć zuchwale,
— Nie ta, jaką się paśli wyuzdani
Podpatrujący Zuzannę brzydale, —
Lecz jakiej z uczuć człowieczych obrani
Mają doznawać dzicy kanibale,
Taka żarłoczna chęć... nie bój się, pani!

*(E. Porębowicz).*

## B) Brazylijscy.

## 1. Kazimierz de Abreu.

### Miłość i lęk.

Kiedy cię unikam i dobyć się pragnę
Z pierścienia twych ogniw, co cię w krąg osnuły,
Powiadasz do siebie, wzdychając miłośnie:
„Mój Boże, tak zimny i taki nieczuły!“

O jakże się mylisz! miłość ma to płomień,
Który tajemnemi pragnieniami poję;
Więc jeśli unikam, to żem jest szalony;
Tyś piękna, ja młody,— kochasz, więc się boję.

Gdybym cię obaczył śród upalnej sjesty,
Z rękami drżącemi, jak ptaszek, co kona,
W białej i niedbale narzuconej sukni,
Z włosem rozpuszczonym na białe ramiona;

Gdybym cię obaczył, Magdaleno czysta,
Wpół na aksamitnej kozetce przegiętą
Z temi zmrużonemi rozkosznie oczyma,
Z tą piersią, oddechem przyśpieszonym wzdętą;

Gdybym cię obaczył w prześlicznem omdleniu,
Twe lice, jak róża płonąca, wstydliwe,
Twe usta szepczące zaprzeczenia słowa
I wargi nabrzmiałe, pocałunku chciwe, —

Gdzieby sie podziała twa czystość anielska,
Twoje skrzydła białe, twych rumieńców kwiecie?
Ach, spaliłabyś się, jak po iskrach żaru
Stąpające boso obłąkane dziecię!

Więc mnie nie posądzaj, że mam serce z lodu;
Nie widzisz? Zdradziłem tajemnicę moję:
Jeżeli unikam — to, żeś dla mnie święta...
Tyś piękna, ja młody — kochasz, więc się boję.

*(E. Porębowicz).*

---

## II. Gonçalves Crespo.

### Sjesta.

W hamaku, trącanym rękami murzyna,
Jak z piany kołyska,
Urocza kreolka do snu się rozmarza,
A nad nią mulatka kiściami wachlarza
Piór białych połyska.

Po hamaku prostych, wysmukłych bambusów
Drżą cienie nieśmiałe,
I drzemie kreolka łagodnie uśpiona,
Z śnieżno-białej sieci zwisły jej ramiona
Odkryte i białe.

W tem hamak, co wokół mocnemi zapachy
Powietrze przesyca,
Zatrzymał się nagle, bo murzyn lubieżny
Zagląda do sieci przez rąbek jej śnieżny
Na pani swej lica.

W hamaku zwieszonym z gałęzi, co w górze
Baldachim zaplata,
To westchnie, to znów się uśmiechnie dziewczyna,
Po drzewie swawolna gałęzie ugina
Małpeczka włochata

W hamaku chwilami poruszy się senna
I z ust jej zajękną
Przypomnianej pieśni urywane tony,
Które tam osadnik, za krajem stęskniony,
Zawodzi w noc piękną.

I hamak pomiędzy drzewami znów buja
I piękna znów marzy;
— W oddali, gdzie lasów ponura gęstwina,
Żałośnie jęcząca piosenka murzyna
W powietrzu się waży.

W hamaku pachnącym zasnęła naprawdę
Śród słońca upału;
— Murzynie, wolniejszym rozkołysz sieć ruchem,
Mulatko, powiewaj wachlarzów twych puchem
Pomału, pomału...

*(E. Porębowicz).*

## III. Joachim Serra.

### Ślad krwi.

Wieczorny mrok zapada,
Wiatr lube chłody niesie,
Strumień szumami gada,
Ptak śpi w dziewiczym lesie.
Nagle się bawół jawi
Na stromym góry stoku;
Pragnienie, co go trawi,
Ugasić chce w potoku.
Wtem drgną wzruszone trzciny,
Ozwie się ryk straszliwy, —
Jaguar spadł z gęstwiny,
Czepia się byka grzywy....
Przez suche pędzą trawy,
Posoką bawół broczy,
Wyskoczyć chcą z oprawy
Rozpłomienione oczy.
Wywiesił język, pianę
Zdyszany toczy z pyska;
Zwierzę nieubłagane
Kły ostre w kark mu wciska.
Kędy niósł ich bieg rączy,
Krwawa ślad znaczy struga,
A wciąż z boku się sączy
Ta purpurowa struga.
Wstrzymał się, pędzi znowu
To pustynią, to jarem,
Aż w otchłani parowu
Bawół padł z jaguarem.

*(E. Porębowicz).*

## IV. Castro Alves.

### Immensis orbibus anguis.[1])

Zsuwa się słońca blask stromemi gór ramiony
I nagi grzbiet Indyanki promieniem złotym pisze;

[1]) T. j. wąż o kręgach niezmiernych.

W zaroślach skrzydeł brzękiem owad gra zielony,
W kielichu ljany siedząc, kolibryk się kołysze.

Tam słońca żar okrutny, śmierć w parnej atmosferze,
Tu cień i wody szum i chłód i spokój dziczy;
Nieukojonem drżeniem bambusów drżące pierze,
Tysiąca ptaków śpiew, samotność, las dziewiczy.

Chwila to owa, gdy z upałów Esplanady
Chroniąc się w las, Indyanka, matrona puszcz wspaniała,
Wiąże swój hamak pstry u palmy do kaskady,
By go łagodna dłoń wiatru kołysała.

Sama na jego ust gorące całowania
Podaje śliczny tors i toczono kolano,
I mrużąc wieka ócz, dla dziecka pierś odsłania,
Błyszczącą metalicznie, okrągłą pierś miedzianą.

Wtem z pod kokosów liści, między orzechów grona,
Które zieloną szarfą pierś ustroiły w górze,
Ześlizga się powoli gadzina przyczajona,
Zawisła głową w dół na liany gibkim sznurze.

I sunie, sunie niżej, do sieci... jeszcze chwila...
Ku warkoczom Indyanki swój długi ogon zwleka...
Ha! straszny gad do piersi odkrytej się nachyla,
Ha! potwór czuje głód, wąż zapragnął mleka.

*(E. Porębowicz).*

# IV. FRANCYA.

## a) Poeci francuscy.

## I. Klemens Marot.

### 1. Do Anny.

Jak jasny słońca promień złoty
Rozprasza cień, co noc nam zsyła,
Tak twa obecność, Anno miła,
Rozprasza wszystkie me tęsknoty.

Gdy cię nie widzę — smutno, nudno!
Gdy się ukażesz — och, inaczéj!
Skąd tak? Samemu zgadnąć trudno,
Chyba, że kocham cię, to znaczy.

### 2. Ja i ona.

Gdy przez dzień jeden nie widzi mnie ona,
Mówi, że ze trzy dni żyła tęsknotą;

Gdy dwa dni zbiegą, mówi zasmucona,
Że tydzień czeka.... i sprzecza się o to.
Ku niejbym, zda się, wciąż śpieszył z ochotą.
Lecz mię jej widok rani coraz więcej,
Że skonam chyba, kiedy ją zobaczę —
Ona zaś, jeślim zdala od niej, płacze!
Rozsądźcie, proszę, kto kocha goręcej.

*(Czesław).*

### 3. Contre celle qui fut s'amye.

Gdy kochankę raz — jedynie
O niestałość obwiniałem,
Ona, nie tracąc na minie,
Odwetowym godzi strzałem.

Spotkawszy się z klerykałem,
Mówiąc, z jakiej zbrodni słynę,
Kończy skargę swą z zapałem:
„Weź go, bo on jadł słoninę".

Sześciu drabom wnet kazano
Pochwycić mię w swoje szpony
I dla większej hańby — rano
Zabrać pod klucz bez obrony.

Więc wpadają te dragony:
Jeden, świętą robiąc minę,
Woła, choć sam łotr skończony:
„Bierzcie go — on jadł słoninę!"...

*(J. A. Święcicki).*

## II. Gui du Faur de Pibrac.

### Quatrin.

Człowieku, swoje uczcij pochodzenie,
Dumny i hardy ziemskim gardź padołem:
Twoja ojczyzna wyżej nieskończenie!...
Jako kwiat boski masz z Stwórcą żyć społem.

Szczęśliw, kto w Bogu ma ufność głęboką
I częściej jeszcze śród życia rozkoszy,
Niż w łzach, ku Niemu zwracając swe oko,
Własną się pychą hardo nie panoszy!...

Honor niech będzie nam nad wszystko miły,
Lecz w jego imię musim być gotowi
Swój obowiązek spełnić wedle siły
Bogu, ojczyźnie, prawom i królowi!...

*(J. A. Święcicki).*

## III. Agrypa d'Aubigné.

### Tragiques.

Jestto obszerny poemat liryczno-satyryczny, malujący w jaskrawych barwach klęski Francyi podczas walk religijnych z hugonotami. D'Aubigné jako zagorzały stronnik kalwinizmu, oświetla wypadki i szczegóły tej walki z protestanckiego stanowiska. Całość, składającą się z szeregu ponurych scen i żółciowych wyrzekań, zamyka obraz sądu ostatecznego, na którym Bóg tak między innemi przemawia do grzeszników:

Wy, coście moim członkom nędznie marznąć dali,
Pogrążając mię w krzywdach i udręczeń fali;
Coście wargom spieczonym i pustkom wnętrzności
Dawali żółć za napój, za kęs chleba — kości,
Idźcie w otchłań, przeklęci, by zgrzytać zębami
W przepaściach, odwiecznemi strasznych ciemnościami!...
Niech czoła, z których niegdyś taka radość biła,
Szpeci odtąd śmierć, groza i przestrachu siła!...

Gdy wam dusza strasznemi zgryzotami wzbierze,
Znikąd słowa pociechy... tylko druh, w ofierze,
Miast języka — w ruch puści zęby zgrzytające...
I nigdy wam nadziei nie zaświta słońce!...
O! dla was, potępieńcy, rozpaczą znękani,
Niema śmierci, ostatniej rozbitków przystani!...

### Z „Petites oeuvres mélées".

Co od dymu skorzej leci?
Chyba płomień, który świeci,
A od światła co?... wiatr przecie....

Wiatr... zwycięzcę ma w kobiecie,
Ona szybsza nieskończenie,
Niż dym, wichry i płomienie.

*(J. A. Święcicki).*

## IV. Piotr Ronsard.

### 1. Pieśń.

Pójdź zobaczyć, moje życie,
Czy tej róży, co o świcie
W szkarłat się do słońca stroi,
Już pod wieczór w fałdach szaty
Nie pobladły barw szkarłaty
I krasa podobna twojéj!

Ujrzysz, moje ty kochanie,
Co się z różą przez dzień stanie:
Jak przemija wdzięków pora!

O naturo!... tyś nie matka,
Gdy takiego życie kwiatka
Trwa od rana do wieczora!...

A więc zawierz mi, jedyna,
Gdy twój rozkwit już zaczyna
Szerzyć wkoło blask uroczy,
Czerp z miłości swej źródliska,
Bo jak róży — starość blizka
Twoich wdzięków blask zamroczy!...

*(J. A. Święcicki).*

2) Z elegii „Contre les bucherons de la forest de Gastine.

Wstrzymaj dłoń, drwalu, usłysz prawdę szczerą:
Nie drzewa — swoją obalasz siekierą.
Czy ty nie widzisz, jak bujnie krew tryska
Z Nimf, co pod korą miały swe siedliska?
Morderco! jeśli złodziej w więzów grobie,
Cierpi, choć marną rzecz przywłaszczył sobie,
Czyż cię żelazo, ogień i zgon minie,
Żeś nasze, nędzny, uśmiercił boginie!
Bądź zdrów, igraszko zefirów, o lesie,
Gdzie mi Apollo pierwsze strzały niesie,
Serce rozkosznym przenikając dreszczem...
Tu po raz pierwszy w zachwyceniu wieszczem
Serce me pięknej Kaliopie służy,
Gdy mi na czoło rzuca kwieciem róży!
Tu mnie Euterpa swem mlekiem karmiła.

*(J. A. Święcicki).*

## V. Remy Belleau.

Z poemaciku „Avril".

Cudów dłoń twa pieszczona
Dokona,
Bo z natury wyłoni
Strój dla ziemi bogaty
W liść, w kwiaty...
Dla powietrza moc woni!

Miłość wnet się odzywa
Szczęśliwa,
Gdy twe czary tchnień falą
Ogień w żyłach zgaszony
Przez szrony,
W nowy płomień rozpalą!

Gdy się blask twój wyłania
Z wygnania,
Słychać świergot radosny...
To jaskólczej głos rzeszy,
Co śpieszy,
By zwiastować dzień wiosny!

*(J. A. Święcicki).*

## VI. Franciszek de Malherbe.

Oda do Henryka IV z powodu upokorzenia Marsylii.

Przepełniły lata czaszę,
I dziś oto szczęsna pora,
W której wszystkie nędze nasze
Mają swego już doktora.
Długo niemi — już bogowie
Piorunami grzmią w swej mowie,
By pyszałkom w pamięć wryły,
Że szaleństwa wszystkie ziemi
Szałem.... słomkami drobnemi
Wobec gniewu nieba siły!

Ludy, które w walk odmęcie
Piały ślubów hymn grobowy,
W jakież kwiaty przy tem święcie
Będą swoje wieńczyć głowy?
Z jakich ofiar dość obficie
Swą daninę dziś złożycie?
Jakie głębie morza strzegą
Perły, której blasków siła
Dziśby nam odzwierciedliła
Wierny symbol dnia takiego?

Buntowników wódz zażarty,
Cazaux, kolos nad kolosy,
Do otchłani wpadł otwartéj,
Wykopanej dlań przez losy...
Z nim skonała walk ohyda,
Bo już Alcyd, syn Alcyda,
W którym dzisiaj stale gości
Geniusz Francyi niezwalczony,
Już tyrańskie jego szpony
Na proch mieczem starł wolności.

Różnobarwne losy świata
Podlegają prawu zmiany:
Ono ludzi tak przygniata,
Jak i morskich wód bałwany!
Życie piekłem raz — znów rajem,
Z dobrem zło się ściga wzajem,
Wszystko tak przychodzi w porze,
Jak mknie po jesieni zima;
A choć całość wciąż się trzyma,
Wiecznie przetrwać nic nie może.

Pięć lat Marsylia, skradziona
Prawemu posiadaczowi,
W szponach ciemięzcy już kona,
Już walk, zda się, nie odnowi.
Nagle zmienna losów siła
Miastu wolność przywróciła.
Dziś jej żywot się nie dłuży,
Drży po troskach — w szczęściu cała,
Że, co wielbić wprzód musiała,
Podeptane dziś w kałuży.

Na wieść cudu Maurów plemię
Wystraszone drży w pokorze;
Echo świetnych walk nie drzemie,
Lecz rozbrzmiewa po Bosforze.
Wciąż powtarza je brat bratu
Z ponad Indu do Eufratu!
Choć się trwoga na nic przyda,
Memfis o swe drży siedlisko,
Jakby przy nim stał już blizko
Wskrzeszonego cień Gotfryda!

*(J. A. Święcicki).*

## VII. Piotr Corneille.

### Horacyusz.

Albańczyk Kuryacyusz ma zaślubić Rzymiankę Kamillę, siostrę swojego szwagra Horacyusza, gdy właśnie wybucha wojna między Albą i Rzymem, co zadaje wielką boleść nietylko kochankom, ale i Sabinie, żonie Horacego a siostrze Kuryacyusza, bo wszystkim im trudno pogodzić obowiązki obywatelskie z miłością. Biadające kobiety uspakaja przybycie narzeczonego, Kuryacyusza, który im oznajmia, że oba narody, gdy już miały stoczyć stanowczą bitwę, wzdrygnęły się na myśl o przelewie krwi bratniej i postanowiły rozstrzygnąć sprawę pojedynkiem trzech Rzymian i trzech Albańczyków. Właśnie w tej chwili odbywa się wybór wojowników. Wkrótce staje się wiadomem, że Rzymianie wybrali Horacyusza i dwóch jego braci. Wybór ten przejmuje Horacego dumą i obudza w nim surowy, bezwzględny heroizm. Nie takie wrażenie sprawia na Kuryacyuszu wiadomość, że i on z braćmi swymi został wybrany do obrony Alby. (Akt II, scena 3).

*Kuryacyusz.* Niech teraz gromy spadną, niech zajadłość wściekła
Wzruszy przeciw nam ziemię i nieba i piekła!
Niech się złączą, niech straszne przygotują ciosy

Razem ludzie i bogi i piekła i losy!
Ja w stanie tym nieszczęścia i smutku bez granic
Ludzi, losy i piekła i bogi mam za nic.
Cokolwiek okropnego i srogiego mają,
Mniej znaczy, niż ten honor, który nam dziś dają.

*Horacyusz.* Los, co się do naszego przywiązał dziś rodu,
Wielki stawia nam widok sławnego zawodu.
Niebo w nas nadzwyczajne umysły ocenia
I nadzwyczajne mężnym niesie przeznaczenia.
Walczyć z nieprzyjacielem za całość ojczyzny
I szlachetne odbierać z rąk nieznanych blizny.
Na to się prosta cnota łatwo usposobi,
Już to tysiąc zrobiło, tysiąc jeszcze zrobi.
Śmierć dla miłego kraju tyle ma słodyczy,
Że tłum ludzi tak pięknie umrzeć sobie życzy.
Ale tam się potykać, gdzie z przeciwnej strony
Obrońcą jest kochanek siostry a brat żony;
Zerwać te wszystkie związki i plac zbrojno stawić
Przeciw krwi, którą chciałbyś własnem życiem zbawić;
Wierzaj mi, taka cnota nam samym właściwa:
Do blasku jej w niewielu zazdrość się odzywa.
Mało ludzi zna dobrze święte jej ustawy,
Ażeby śmieli wzdychać do tak wielkiej sławy.

*Kuryacyusz.* Prawda, imiona nasze będą wiecznie słynąć:
Zawód ten pełen chwały, nie można go minąć,
Za wzór nas wezmą wieki i odległe kraje...
Ależ ta twoja cnota zbyt dziką się zdaje,
I mało nawet wielkich serc, któreby śmiały
Tą drogą nieśmiertelnej dobijać się chwały.
Niech kto, jaką chce, świetność w tym postrzega dymie,
Lepsze ukrycie, niżli tak rozgłośne imię.
Co do mnie, sam widziałeś i ja mówię śmiało,
Że mię nic w powinności mojej nie wstrzymało:
Krew, przyjaźń, miłość, związki strzeżone tak ściśle,
Nie mogły zachwiać męstwa w statecznym umyśle.
Ponieważ moja Alba w tej świetnej ozdobie
Tyle mi czci wyrządza, ile twój Rzym tobie;
Jak ty, wypełnię wszystko, czego naród czeka:
Żołnierz jestem... lecz przecie mam serce człowieka.
Wiem, że twój honor każe krwią moją się zbroczyć,
A mój równie mi każe krew twoją wytoczyć;
Mając zaślubić siostrę, z bratem walczyć trzeba!
Dla kraju tak mi smutny los zrządziły nieba!...
Tak świetnej powinności nie unika cnota,
Serce we mnie dziczeje, okropność mną miota;
Lituję się nad sobą, zazdroszczę tym skrycie,
Którzy szlachetnie w boju zakończyli życie.
Lecz nigdy Alby moje nie zawiedzie ramię,

Wzrusza mię dziki honor, ale mnie nie łamie.
Czuję to, co mi dają, czuję, co postradam...
A jeśli Rzym chce więcej, dzięki niebu składam,
Że mi się Rzymianinem urodzić nie dało,
By przecież coś ludzkiego w mej duszy zostało.

*Horacyusz.* Jeśliś nie Rzymianinem, zasłuż nim być godnie,
I jeżeliś mi równy, okaż to dowodnie.
Gruntowna cnota, z której Horacy się chlubi,
Towarzystwa słabości z rycerstwem nie lubi.
Źle ten sobie otwiera do honoru drogę,
Kto nie męską na pierwszym wstępie cofa nogę.
Widzę, jak się nieszczęście całą siłą sroży,
Widzę całą moc jego... lecz mnie nic nie trwoży.
Przeciw komu mnie wzywa kraj, o to nie pytam,
Lecz się ślepo tej chwały i z radością chwytam.
On wszystkich obcych względów godzien jest wyzucia,
Jego rozkaz powinien wszystkie stłumić czucia.
Kto, chcąc służyć krajowi, na bok rzuca okiem,
Podłym do powinności przystępuje krokiem.
Święta wola ojczyzny wszystkie związki zrywa:
Tak, na nic nie mam względu, kiedy mię Rzym wzywa.
Czuję zupełną radość; z tą pociechą zatem,
Z którąm zaślubiał siostrę, będę walczył z bratem.
I żeby skrócić próżne uwagi i żale,
Gdyś od Alby wybrany, nie znam cię już wcale.

*Kuryacyusz.* A ja ciebie znam jeszcze i to mnie przenika...
Lecz mi nieznana była ta cnota tak dzika:
Chce się ona o wyższość z nieszczęściem mocować,
Pozwól, niech się jej dziwię, nie każ naśladować.

*Horacyusz.* Nie, nie umiem znać cnoty, co się sławy wzbrania:
A ponieważ ci milsze łzy i narzekania,
Niechaj się tą rozkoszą twój umysł nacieszy.
Oto w sam czas w te miejsca siostra moja śpieszy;
Ja zaś pójdę do twojej; niech trwogę pokona,
Niech wie, czem być powinna Horacego żona,
Niechaj cię kocha, nawet gdy z ręki twej zginę,
Niech rzymskie serce wspiera w nieszczęściu Sabinę.

Scena 4. Horacyusz, Kuryacyusz i Kamilla.

*Horacyusz.* Wiesz, jak twego kochanka cała Alba ceni?
Wieszże, siostro?

*Kamilla.* Nieszczęście! jak się mój los mieni.

*Horacyusz.* Tak, uzbrój się stałością i bądź siostrą moją.
Jeśli wróci do ciebie z tryumfalną zbroją,
Niech w nim zabójcy brata twe serce nie wini,
Przyjm, jak rycerza, który swą powinność czyni,
Umie służyć krajowi i w pięknej potrzebie
Dał poznać męstwem swojem, że jest godnym ciebie.

Jakby za życia mego, wiecznie się złączycie...
Lecz jeśli to żelazo odbierze mu życie,
Nie wzdrygaj się na widok zwycięskiego wieńca,
Ani chciej mi wyrzucać śmierci oblubieńca..
Teraz przeklinaj losy i ziemię i nieba,
Lecz po bitwie o zmarłym już myśleć nie trzeba.
Zostań tu z nim na chwilę; ale czas upływa,
Wnet wrócę, pójdziem razem, gdzie nas honor wzywa.

Kamilla, zostawiona sam na sam z narzeczonym, usiłuje prośbami i łzami skłonić go do usunięcia się od bratobójczego pojedynku.

*Kuryacyusz.* Ja ścierpię, żeby cudze zasługi odniosły
Te nieśmiertelne laury, które dla mnie wzrosły?
Lub żeby mi kraj cały wyrzucał niemęstwo:
Że gdybym ja był walczył, onby miał zwycięstwo?
I miłość tak zatłumi bohaterską cnotę,
Bym tyle dzieł przez taką zakończył sromotę?
Albo! twego wyboru nie zdradzę nikczemnie,
Zwyciężyć, zginąć możesz, lecz zawsze przezemnie!
Losów twoich przez moją nie zawiodę winę,
Lub żyć będę bez zmazy, lub chwalebnie zginę.
*Kamilla.* Nie wzdryga się twe męstwo, kiedy miłość zdradza?
*Kuryacyusz.* Pierwsza nademną kraju, niżli twoja władza.
*Kamilla.* Więc twój oręż dla kraju krwią brata się zmaże,
A siostrze męża wydrze?
*Kuryacyusz.* Tak srogi los każe.
Zrywa związki: tak chcecie, i Albo i Rzymie,
Że zniknąć musi słodkie siostry, brata imię.
*Kamilla.* Przyjdziesz więc, okrutniku, z zwycięskim orężem
I zechcesz moim zostać, bratobójco, mężem?
*Kuryacyusz.* Ach! zapomnijmy o tem, w tej losów kolei
Mogę cię tylko kochać bez żadnej nadziei...
Cóż to? płaczesz, Kamillo?
*Kamilla.* Mamże łzy ocierać,
Kiedy mi każe srogi kochanek umierać?
Wtenczas, kiedy mi wiarę miał przysiądz wzajemną,
Zdradza ją i grób razem otwiera przedemną?
Zawzięty na mą zgubę, mówi, że mi sprzyja,
Kocha mię, dzikie serce! kiedy mię zabija.
*Kuryacyusz.* O! jakże płacz kochanki głęboko przenika!
Najmocniejszego dotąd nie znałem języka.
Jak ten widok rozrzewnia, jak siły odbiera!
Niechętnie się mój umysł stałością opiera.
Nie łam cnoty rycerskiej przez zbyteczne żale
I nad łzami, Kamillo! daj zwycięstwo chwale.
Mamże podle ustąpić przed nieprzyjacielem
I więcej być kochankiem, niż obywatelem?

Pokonaniem przyjaźni dusza osłabiona
Jakże razem i miłość i litość pokona?

Przybycie Horacyusza z Sabiną jeszcze bardziej zatrważa Kuryacyusza: lęka się on, aby łzy narzeczonej i siostry nie sprowadziły go z drogi obowiązku i honoru. Ale Sabina nie wymaga tej ofiary ani od niego, ani od męża.

*Sabina.* Nie, bracie! zbyt niewczesna niech trwoga ustanie.
Przyjmij ostatnie czułej siostry pożegnanie.
Krew twoja tak szlachetna, że jej nic nie skazi,
Nic stałości waszego męstwa nie obrazi:
I kogo z was to świetne nieszczęście zwycięża,
Nie chcę go znać za brata, nie chcę znać za męża!

Błaga tylko obydwóch, aby którykolwiek z nich, zanim do walki wystąpią, ją wprzód życia pozbawił.

Umrę wprzód... Ale cóż to? żadnego nie wzruszę!
Okrutni! milczą... dobrze: sama was przymuszę:
Bo skoro tylko krwawe zaczniecie spotkanie,
Siostra wasza śród mieczów podniesionych stanie.
Wtenczas gdy was szalone uniosą zapędy,
Musicie, okrutnicy, przebijać się tędy.
*Horacyusz.* Ach, żono!
*Kuryacyusz.* Siostro moja...
*Kamilla.* Wzruszają się przecie.
*Sabina.* Cóż więc, skąd to zdumienie? wzdychacie, bledniecie?
Jaki strach was ogarnął? ciż to są rycerze,
Których i Rzym i Alba za obrońców bierze?
*Horacyusz.* Jaki mój stan! jak trudne utrzymanie męstwa!
Jeżeliś żoną moją, ustąp mi zwycięstwa.
Odejdź, niechaj wygrana nie będzie wątpliwa,
A sama walka o nią wstydem mię okrywa.
Pozwól, niechaj dni moich nie kończę z ohydą.
*Sabina.* Nie lękaj się, nie lękaj, na pomoc ci idą.

Scena 7. Stary Horacyusz, Horacyusz, Kuryacyusz, Sabina, Kamilla.

*Stary Horac.* Cóż to, dzieci? miłości was bawią podniety
I czas wam zabierają tak drogi kobiety?
Tu do walki iść trzeba, a was łzy trzymają:
Ustąpcie, niechaj one same narzekają.
Ich płacz nadto jest czułym, nadto niebezpiecznym,
Mógłby słabości mężom udzielić walecznym,
Ucieczką tylko można uniknąć tych grotów.
*Sabina.* Nie bój się, godni ciebie: każdy walczyć gotów,
Nic ich wstrzymać nie zdoła; stali w przedsięwzięciu,
Uczynią, czego żądasz po synu i zięciu.
A jeśli słabość nasza zachwiała ich cnotę,
Ciebie tu zostawimy, zagrzej w nich ochotę.
Pójdźmy stąd, siostro, jęki nasze niedołężne:
Czemże są łzy niewieście na serca tak mężne?

Walczcie, srodzy! nam jedna nadzieja w rozpaczy;
Rzym dzisiaj waszą bitwę i nasz zgon zobaczy. *(Odchodzi).*

Scena 8. Stary Horacyusz, Horacyusz i Kuryacyusz.

*Horacyusz.* Wstrzymaj, ojcze, kobiety i miej je pod strażą,
Niech się w pole za nami wychodzić nie ważą.
Ich miłość, ich łzy, rozpacz i żałosne krzyki
Mogłyby wpośród bitwy wstrzymać wojowniki.
Znając je, mówionoby pomiędzy wojskami,
Żeśmy takie podejście ułożyli sami.
Zaszczyt wyboru w drogiej przyszedłby nam cenie,
Gdyby go splamić miało takie podejrzenie.
*Stary Horac.* Będę o tem pamiętał, lecz idźcie do braci.
Każdy niech dług powinny swej ojczyznie płaci.
*Kuryacyusz.* A ja jak cię pożegnam przed srogiem rozstaniem?
*Stary Horac.* Ach! nie rozrzewniaj serca smutnem pożegnaniem!
Chcę ci odwagi dodać, na słowach mi zbywa;
Nie wiem, czego się trzymać, myśl moja wątpliwa...
Sam łez wstrzymać nie mogę, ale czas zbyt drogi...
Pełnij swoją powinność, resztę zdaj na bogi.

Ale oto sprawa zwraca się na pomyślniejsze tory: kobiety dowiadują się, że gdy zapaśnicy stanęli przeciw sobie, zarówno Albańczycy jak Rzymianie, znając łączące ich węzły, wzdragają się i nie chcą dopuścić do bratobójczej walki; postanowiono zbadać wolę bogów. Ale nadzieja trwa niedługo. Stary Horacyusz przybywa z wiadomością, że bogowie pochwalili wybór i Horacyusze walczą już z Kuryacyuszami. Wtem, gdy je pociesza i upomina, aby nie zapominały, że są Rzymiankami, przybywa Julia, przyjaciółka kobiet, z wiadomością, że Horacyusz, straciwszy w bitwie dwóch braci, pierzcha przed Kuryacyuszami. (Akt III, scena 6).

*Stary Horac.* I żołnierze zdrajcy nie dobili?
Zdradzone wojsko w szykach schronienie mu dało?
*Julia.* Po tej porażce, nie wiem, co się dalej stało?
*Kamilla.* Bracia moi!
*Stary Horac.* Nie wszyscy godni tej żałości,
Dwaj w wiecznej żyją chwale, ojciec im zazdrości;
Groby ich najpiękniejsze niech ozdobią kwiaty...
Chwała tak pięknej śmierci nagrodą ich straty.
Niezłamanego męstwa tę zapłatę mieli,
Że póki żyli, póty Rzym wolny widzieli,
Własnego mieli króla, nie znali poddaństwa,
Nie doczekali jarzma sąsiedzkiego państwa!
Płaczcie nad trzecim, płaczcie niezatartej plamy,
Którą po zdradzie jego wszyscy nosić mamy!
Płaczcie całego rodu mego pohańbienia,
Płaczcie wiecznej sromoty Horacych imienia!
*Julia.* Cóż miał przeciw trzem czynić?
*Stary Horac.* Umrzeć!... lub w rozpaczy
Dać poznać przeciwnikom, co rzymska broń znaczy.
Gdyby był jedną chwilę utarczkę przedłużył,

Przynajmniejby Rzym Albie nieco później służył!
Niechajby był zostawił przy czci mój wiek stary,
Niechby umarł. Wszak ojciec godzien tej ofiary!
Obywatel ojczyznie krwią powinność płaci;
Ile jej kto oszczędza, tyle sławy traci:
Każda chwila od czasu sromotnego czynu
Głębiej piętnuje hańbę na ojcu i synu...
Razem ze krwią zbrodniarza wieczny wstyd zagładzę.
Wszakże nad niecnym synem mam ojcowską władzę.
Wykonam na nim zemstę sprawiedliwą, krwawą,
Pozna świat, jak się brzydzę tak niegodną sprawą!

Zrozpaczonego ojca pociesza obywatel Waleryusz, przysłany od króla z wiadomością, że Horacyusz zwyciężył wszystkich trzech Kuryacyuszów, dla pokonania których użył ucieczki jako fortelu. Uradowany starzec musi teraz pocieszać swą córkę Kamillę, rozpaczającą nad utratą kochanka. Ale Kamilla nie daje się uspokoić. Zostawszy sama, woła w uniesieniu (Akt IV, scena 4):

Tak! dowiodę, gdy stanie przed mojem obliczem,
Że kto prawdziwie kocha, u tego śmierć niczem...
Naganiasz moją boleść, występną mianujesz,
Tem milsza mi, im więcej goryczy w niej czujesz.
Ujrzysz, nieludzki ojcze! jak umysł niewieści
Z okrucieństwem wyroków porówna boleści.
Niestety!... któryż kiedy los nieubłagany
W jednej chwili tak nagle przybierał odmiany?...
Już radości, już smutku cios na mnie wymierzył,
Aż nareszcie śmiertelnym pociskiem uderzył.
Nie dość na tem, że stratę i łzy za nic ważą,
Jeszcze w dniu tak okropnym cieszyć mi się każą!
Po tak wielkiem nieszczęściu, po tak wielkiej stracie
Łzy sromotą, westchnienie zbrodnią nazywacie!
Okrutni! każą szczęście wynosić pod nieba
I żeby być wspaniałym, dzikim być potrzeba.
Nie znam twoich cnót, ojcze! stanę się wyrodną.
Powiedz, szlachetny bracie, żem siostrą niegodną.
Gdzie za cnotę uchodzi mieć serce ze skały,
Tam moja słabość prawo daje mi do chwały.
Jaż to mam tłumić boleść! precz obawa próżna,
Utraciwszy już wszystko, czegoż się bać można?
Na nic już względu nie mam, niczem się nie strwożę,
Nie zadrżę, stanę przed nim i żal mój nasrożę.
Kląć będę to zwycięstwo, które w Rzymie głoszą,
Obrazić go, rozgniewać — będzie mą rozkoszą.
*(L. Osiński).*

Istotnie, gdy przybywa Horacy, upojony zwycięstwem i chwałą, Kamilla ostro wyrzuca mu śmierć narzeczonego i złorzeczy samemu nawet Rzymowi... Uniesiony Horacyusz rzuca się na nią z dobytym mieczem, dogania ją za sceną i przebija. Ojciec ubolewa nad tem jego uniesieniem, nie potępia go jednak bezwzględnie i radby go od kary zasłonić, a król Tuliusz, przed którego sprawa ostatecznie się wytacza, zważywszy zasługi bratobójcy dla państwa, wydaje wyrok zgodny z pragnieniem ojca.

W przekładzie polskim istnieją: »Cynna« przez Fr. Godlewskiego (Wilno, 1807), »Polieukt« przez S. Laskowicza (Wilno, 1836) oraz »Cyd«, »Horacy« (ku końcowi skrócony i zmodyfikowany) i »Cynna« — wszystkie trzy przez L. Osińskiego, wydane w I. tomie zbiorowej edycyi pism jego (Warszawa, 1861).

## VIII. Jan Poquelin Molière.

### a) Mizantrop.

Bohaterem tej komedyi jest Alcest, człowiek prawy i aż do szorstkości szczery, wróg wszelkiej obłudy, nawet w zdawkowych frazesach stosunków towarzyskich. Napróżno jego przyjaciel Filint usiłuje go przekonać, że chcąc żyć z ludźmi, trzeba z niemi politykować. (Akt I, scena 1).

*Alcest.* A ja nie mogę ścierpieć tej twojej metody,
Którą przybrali wszyscy zwolennicy mody,
I przyznam się, że budzą wstręt najwyższy we mnie
Tacy, co się starają uśmiechać przyjemnie,
Co, sypiąc próżne słowa w bezrozumnej gwarze,
Ciągle pocałunkami obśliniają twarze
I równają, swą grzeczność wysilając cała,
Statecznego człowieka z lada świszczypałą.
I cóż za korzyść mają ci światowcy wasi,
Że się każdy przymila i liże i łasi
I pochlebia i chwali i soli i pieprzy,
Kiedy to ma od niego blazen pierwszy lepszy?
Wierzaj mi, prawy umysł i dusza podniosła
Nie potrafi się chwycić takiego rzemiosła
I żadne nas nie mogą rozczulić pochwały,
Jeżeli je wraz z nami posiada świat cały.
Szacunek wypowiadać nie da się tą drogą:
Kto ceni równo wszystkich, nie ceni nikogo...
*Filint.* Ale trudno, mój drogi; świat nie jest pustynią,
I chcąc żyć z ludźmi, czyńmy to, co inni czynią.
*Alcest.* Otóż nie: mnie to wszystko i męczy i drażni;
Wszystkie te udawania kłamanej przyjaźni
Nużą mnie. Jabym pragnął, aby w dobrej wierze
Każdy, co ma na sercu, wypowiadał szczerze,
A nie krył pod obłudą krzywdzącą a płaską
Rzeczywistego chłodu komplimentów maską...
*Filint.* Więcbyś ty Emilii powiedział, że sztuka
Malowania nikogo już w niej nie oszuka
I że pod blanszem zmarszczki widać?
*Alcest.* Bezwątpienia.
*Filint.* Przestrzegłbyś Dorylasa, że jego zachcenia
Rycerskie i puszenie się zasługą cudzą
Wszystkich już w końcu gorszą i śmieszą i nudzą?

*Alcest.* Ani chybi...
*Filint.* Żartujesz!
*Alcest.* O, nie! mówię szczerze
I nie myślę nikogo oszczędzać w tej mierze;
Bo cała ta pochlebców i oszustów zgraja
Tylko żółć burzy we mnie i nerwy rozstraja.
Humor się mój wciąż jątrzy i natura wzdryga,
Kiedy widzę, że wszędzie fałsz, podła intryga,
Obrzydliwe pochlebstwo, nieprzydatne na nic,
Niesprawiedliwość, zdrada, nikczemność bez granic;
To mnie wścieka; wolałbym obelgi najkrwawsze
I chciałbym z rodem ludzkim zerwać raz na zawsze...
*Filint.* Lecz tę pewność, którą chcesz tak wszędzie stosować,
Tę prawość, którą wstępnym przeprowadzasz bojem,
Czyliż zdołasz odnaleść choćby w sercu swojem?
I czyliż własnym błędom nie będziesz życzliwszy,
Gdy się z rodzajem ludzkim na śmierć pokłóciwszy,
Mimo tej nienawiści, wyszukałeś przecie
Przedmiot uczuć miłosnych w tym zepsutym świecie?
A co na pierwszym względzie tu jeszcze położę,
To wybór twej kochanki, najdziwniejszy może.
Chociaż szczera Elianta ku tobie się skłania,
Choć Arsynoe także warta jest kochania,
Mimo tej surowości, która u niej w cenie,
Tyś jawnie serce twoje oddał Celimenie,
W której chęć kokieteryi i złośliwość razem
Obyczajów dzisiejszych najlepszym obrazem.
Dlaczegoż więc w potępień ogólnych zapale
Ją sądzisz tak łagodnie i wyrozumiale?
Zechciej więc szczerze twoje wyjawić tu zdanie:
Czyliż wad jej nie widzisz, lub nie zważasz na nie?
*Alcest.* Rzeczywiście, ja kocham Celimenę, ale
Wierzaj mi, że mnie miłość nie zaślepia wcale;
Pierwszy widzę jej wszystkie wady i na słowo
Możesz mi ufać, że je potępiam surowo,
Wiem, wiem, że jest kokietką i trochę obłudną,
Lecz dziwną jakąś słabość mam do niej, to trudno.
Chociaż tych wad ją trapi litania cała,
Ona mi się do serca wkraść jednak umiała.
Ma wdzięk jakiś uroczy, a ufać w to mogę,
Że ta miłość na dobrą sprowadzi ją drogę.
*Filint.* Będzie to dziw niemały, przyznam ci się szczerze...
I wierzysz w Celimeny wzajemność?
*Alcest.* Tak, wierzę...
*Filint.* A dla mnie ta jej miłość byłaby mniej pewną.
Wolałbym szczerze kochać Eliantę, jej krewną.
U niej dusza szlachetna, serce jak na dłoni,
I rozsądniejbyś zrobił, skłaniając się do niéj.

*Alcest.* Tak, tej miłości nieraz rozsądek mój przeczy;
Lecz miłość a rozsądek — to dwie sprzeczne rzeczy.

Istotnie, Celimena, lubo przyrzekła swe serce Alcestowi, przychylnem okiem patrzy na Oronta, Klitandra i Akasta w ten sposób, że każdy z nich może do jej względów rościć niejakie prawo. Gdy właśnie z tego powodu czyni jej Alcest ostre wymówki (Akt II. scena 1), Celimena odpowiada:

Czyż jestem winna temu, że moja osoba
Takiemu lub owemu czasem się podoba?
A gdy się chęć miłości zbudzi w sercu czyjem,
Mamże go za to karcić i odpędzać kijem?
*Alcest.* Tu nie kija potrzeba, lecz rozwagi nieco,
By nie zachęcać wszystkich, którzy na lep lecą;
Wiem, że zrobić się brzydką nie jest w twojej sile,
Ale twych wielbicieli przyjmujesz tak mile,
Że się co chwila tworzy nowy zastęp cały,
Rozmowa twa przyciąga, gdy wdzięki zjednały.
A ty każdego darząc zwodniczą nadzieją,
Wszystkich ich uszczęśliwiać potrafisz koleją...
*Celimena.* Pan o świat cały już być zazdrosnym zaczyna.
*Alcest.* Bo świat cały cię kocha, czy to moja wina?
*Celimena.* Ale czyliż nie lepiej, wyznaj mi pan szczerze,
Że przyjmuje to wszystkie hołdy w równej mierze;
I słuszniejszaby była wycieczka ta cała,
Gdybym jednego z pośród wielu wyróżniała.

Dalszą rozmowę przerywa przybycie kilku osób, pomiędzy któremi są i dwaj wielbiciele Celimeny. Pomiędzy nią i niemi wszczyna się żywy dyskurs, obracający się około obmowy wspólnych znajomych. Alcest słucha tego jakiś czas cierpliwie; nareszcie wybucha:

Brawo! pozwólcie sobie, szanowni panowie!
Widzę, że tutaj każdy ulega obmowie;
Lecz ci, którym dobrego słowa dać nie warto,
Niech się jeno ukażą, to z dłonią otwartą
Każdy do nich pośpieszy i z wielkiem weselem
Serdecznym się ich będzie mienić przyjacielem.
*Klitander.* Lecz jeżeli ta mowa prawość pańską rani,
To zechciej przedewszystkiem zwrócić się do pani.
*Alcest.* Owszem, do panów mówię. Ta pani, jeżeli
Obmawia, to dlatego, by się goście śmieli.
Humor jej satyryczny jest zbyt wybujały,
Bo zachętą dla niego są panów pochwały,
I w swoich złośliwościach nie szłaby wciąż daléj,
Gdybyście jej panowie nie przyklaskiwali.
Bo przyczyny wad naszych niech każdy w tem szuka;
Jeżeli one wzrastają, to pochlebców sztuka.
*Filint.* Lecz po co te wymówki, wszakże się zastanów,
Czy nie surowiej jeszcze sam sądzisz tych panów?

*Celimena.* Humor pana Alcesta stale go nakłania,
By był ciągle od innych przeciwnego zdania.
To jest jego zasadą, a zawsze i wszędzie
Ten w nim duch sprzeciwieństwa na jaw się dobędzie.
Nigdy na cudze zdanie zgodzić się nie raczy,
Pan mówisz tak, pan Alcest odpowie inaczéj...
To już się pokazuje w najdrobniejszej rzeczy;
Nieraz, byle zaprzeczyć, sam sobie zaprzeczy,
I gotów to, co wyrzekł, w każdem cofnąć słowie,
Jeśli kto inny zdanie podobne wypowie.
*Alcest.* Możesz pani bezpiecznie mówić na mnie daléj,
Bo ci panowie będą twą stronę trzymali...
*Celimena.* Ależ...
*Alcest.* Nie, wierz mi pani, że ja na tę drogę
Zabawy cudzym kosztem wejść nigdy nie mogę,
Zachowanie tych panów samo się ocenia:
Chwalą w tobie to, co jest godnem potępienia.
*Klitander.* A ja w pani dotychczas, może się i mylę,
Nie dopatrzyłem dotąd wad straszliwych tyle.
*Akast.* Ja widzę w pani wdzięków i dowcipu wiele,
– Ale wad nie dostrzegłem, przyznaję to śmiele.
*Alcest.* Ja zaś widzę je dobrze nie dopiero teraz,
Wypowiadałem pani już to bowiem nieraz.
Kto kocha, ten nie schlebia, według mego zdania,
I szczerość prawdziwego jest miarą kochania.
Gdybym zaś był kobietą, pogardzałbym zgrają
Tych wszystkich, co mi tylko pochlebiają,
I co, chcąc coś skorzystać na miłości szali,
Wciąż kadzą moim wadom, chociażby je znali.
*Celimena.* Więc, według pana zdania, miłości zasada
W tem leży, by dręczyć tę, której się hołd składa?
I tem się jéj dowodzi uznania i cześci,
Jeśli jéj się wymyśla ciągle, co się zmieści?

Ale Alcest musi opuścić towarzystwo, bo jest wezwany przed sąd marszałkowski w sprawie z wpływowym Orontem, którego wiersze otwarcie zganił.

*Alcest.* Jak można na tym punkcie pogodzić nas obu?
Czyż pomimo powagi marszałkowskiej caléj
Mam chwalić wiersze, co mi się nie podobały?
Jeszcze raz do tej strasznej przyznam się tu zbrodni,
To są liche wierszydła.
*Filint.* Sądź trochę łagodniéj.
*Alcest.* Trudno, co złe, na dobre już się nie przemienia.
*Filint.* Ale miejże troszeczkę choć wyrozumienia,
Pójdź ze mną.
*Alcest.* Dobrze, pójdę, gdy chcesz tego, ale
Tych głupich wierszy za nic w świecie nie pochwalę.

*Filint.* Więc pójdźmy.
*Alcest.* Chyba rozkaz da mi król wszechwładny,
Żebym pochwalił wiersze bez wartości żadnéj;
Inaczej, a tem zdaniem przy wszystkich się szczycę,
Skazałbym ich autora wprost na szubienicę
(Do Klitandra i Akasta, którzy się śmieją).
A znów nie wiem, z czego się panowie śmiejecie,
Bo to wcale nie śmieszne.
*Celimena* (do Alcesta). Idźże już pan przecie.
*Alcest.* Idę więc, niechaj panią bawią swą rozmową;
Ale wrócę i dyskurs rozpocznę na nowo.

Ale Celimena ma współzawodniczkę. Jest nią Arsynoe, która chętnie oddałaby swą rękę Alcestowi. Powodowana tem wyrachowaniem i zazdrością, przestrzega ona Alcesta, że Celimena go zdradza; na potwierdzenie słów swoich składa mu w ręce piśmienne dowody. Alcest nie posiada się z oburzenia na zdradę i obłudę kochanki. (Akt IV, scena 3).

*Celimena.* W taki się dziwny sposób pan odzywasz do mnie,
Jak gdybyś już naprawdę mówił nieprzytomnie,
*Alcest.* Tak jest, rozum i spokój już odemnie stronią,
Odkąd truciznę wlałaś mi powabną dłonią
I odkąd zaślepiony w tobie sercem całem,
Na nieszczęście twe zdradne wdzięki ukochałem.
*Celimena.* Lecz dajże się rozejrzeć w tym dziwnym słów tłumie.
Gdzież zdrada?
*Alcest.* Jakże serce twe udawać umie!
Ale wnet się wykryje twa niewiara cała.
Patrz, przed tobą list oto, coś sama pisała.
Sama treść tego pisma obwinia cię zdrożna.
Jestto świadek, którego wyprzeć się nie można.
*Celimena.* Więc ten list jest powodem twego oburzenia?
*Alcest.* Czyliż możesz nań patrzeć bez zarumienienia?
*Celimena.* Jeszcze tu do rumieńców nie widzę przyczyny!
*Alcest.* A więc zdradliwie własnej wypierasz się winy,
Wypierasz się swojego pisma i pieczęci?
*Celimena.* Wcale nie; wypierać się żadnej nie mam chęci.
To ja ten list pisałam.
*Alcest.* A więc oczywiście
Zdradziłaś mnie. Wszak tego dowody są w liście!
*Celimena.* Doprawdy dziwny sposób masz rozumowania.
*Alcest.* A więc i to do szczerych wyznań cię nie skłania?
Wszak ten list do Oronta? A osnowa cała
Dowodzi, żeś mnie ciągle dla niego zdradzała.
*Celimena.* Do Oronta? Któż ci rzekł, że ten list do niego?
*Alcest.* Tacy, co mnie od zdrady i zawodów strzegą.
Lecz choćby do innego ten list był pisany,
Czyliż mniej krwawe zada sercu memu rany,
A ty czyż niewinniejszą stać się możesz przeto?

*Celimena.* A może ta osoba właśnie jest kobietą.
Więc pocóż takie skargi i ów gniew zawzięty?
*Alcest.* A! tego już zanadto! Znów nowe wykręty.
Nie mogłem się spodziewać takiej nowej zmiany
I teraz już zupełnie jestem przekonany.
Powiedz, jak śmiesz na takie ważyć się podstępy?
Czyliż sądzisz, iż umysł mój tak bardzo tępy,
Że przyjmie najpochopniej tę wymówkę nową
I widocznemu kłamstwu uwierzy na słowo?
Powiedz sama, jak można i pomyśleć o tem,
Że tych wszystkich czułości kobieta przedmiotem?
I na dowód, że słusznie na ciebie się żalę,
Chciej posłuchać...
*Celimena.* A mnie się nie podoba wcale
Słuchać, bo twoja mowa szorstka i zuchwała
Wszelką już cierpliwości mej miarę przebrała.
*Alcest.* Unosić się tu niema powodu, lecz raczej
Chciej mi, pani, wyjaśnić to wszystko inaczej.
*Celimena.* O! nie; postanowiłam już milczeć niezłomnie
I nic mnie nie obchodzi, co pan myślisz o mnie.
*Alcest.* Rzeknij słowo, choć słówko jedyne, niestety!
Powiedz, wszakże pisałaś ten list do kobiety?
Wszak tak?
*Celimena.* Nie; do Oronta ten list napisałam.
Ja dla niego uczuciem niezłamanem pałam.
Miły mi wielce jego rozum i osoba;
Szaleję za nim, gdy się to panu podoba,
I co chcesz, o tej sprawie już sobie prorokuj,
Lecz odczep się odemnie i daj mi raz pokój.
*Alcest* (na stronie). I jakże tu postąpić w tym razie, mój Boże?
Czyż być upokorzenie równe memu może?
Mam dowód, że z jej strony oczywista zdrada;
Chcę się użalić, ona wraz na mnie napada;
Rozjątrza moją boleść, puszy się tym chłystkiem,
Każe we wszystko wierzyć i chwali się wszystkiem.
A serce me tak słabe, że jeszcze nikczemnie
Kładę głowę pod jarzmo, chociaż krew wre we mnie;
Napowrót się w niewolę pragnę zaprządz twardą
I ot, nie zdołam niewiary odepchnąć pogardą... (do Celimeny).
Jakże umiesz, powabów okrywszy się zbroją,
Na swoją korzyść słabość wyzyskiwać moją
I sprawiać, aby rosła w coraz nowe siły
Ta miłość, którą oczy twoje zapaliły!
Przez litość! chciej taktykę przecież przybrać inną
I próbuj udowodnić, że nie jesteś winną!...

Ale Celimena daje wymijającą odpowiedź, a tymczasem zjawia się służący Alcesta z przestrogą, aby ratował się ucieczką, bo ma być uwięziony. Okazuje się, że wrogowie, których sobie narobił, przypisują mu autorstwo jakiejś karygodnej książki. Alcest po-

stanawia zerwać z ludźmi, pełnymi fałszu i zdrady, chce tylko wprzód wyjaśnić sprawę z Celimeną i, poślubiwszy ją, usunąć się od świata. Ale właśnie w tej chwili zjawia się i Oront, który także zamierza rozmówić się z Celimeną. Gdy tak obaj żądają od niej stanowczego wyroku, zjawiają się inni jej wielbiciele. (Akt V, scena 4).

*Akast* (do Celimeny). Przychodzim obaj prosić panią, byś łaskawie
Dała nam posłuchanie w pewnej drobnej sprawie.
*Klitander* (do Alcesta i Oronta). Dobrze, że nam tu panów zastać się udało,
Bo ta sprawa ich także dotyczy niemało.
*Arsynoe* (do Celimeny). Niechaj panią nie dziwi, że tutaj przychodzę.
Ci panowie wstąpili zabrać mnie po drodze;
Pragną tu bowiem z panią rozprawić się szczerze
O krzywdę, w którą wierzyć nie chcę i nie wierzę.
Znam bowiem twoje serce, należnie je cenię
I wiem, jak pod tym względem czyste masz sumienie.
Więc, choć mi dowodzili, że zdradzasz bez miary,
Ja oczom nawet własnym nie chiałam dać wiary
I przybyłam tu z niemi z otwartością całą,
Bo wiem, że się z potwarzy zmyjesz, jak przystało.
*Akast.* Tak, przybywamy tutaj sądzić najłagodniéj,
Jak pani nam niewinność swoją udowodni. (Pokazując list).
Wszakże to do Klitandra ten list oczywiście?
*Klitander* (pokazując także list). A tu znowuż Akasta adres na tym liście!
*Akast* (do Oronta i Alcesta).
Chciejcie spojrzeć! Zapewne jej grzeczność wspaniała
Każdego z panów listem już obdarowała,
A więc macie w pamięci cechę niezatartą
Jej pisma. Lecz te listy przeczytać nam warto. (Czyta).

„Dziwny z pana człowiek. Potępiasz moje wesołe usposobienie, twierdząc, że najweselszą jestem właśnie wtedy, kiedy ciebie niema przy mnie. To najniesprawiedliwszy zarzut, i jeżeli pan nie przyjdziesz jak najśpieszniej mnie przeprosić za tę krzywdę mi uczynioną, nigdy panu już nie przebaczę. — Nasz głupowaty wicehrabia..."

Szkoda, że go tu niema!

„Nasz głupowaty wicehrabia, który najbardziej panu jest solą w oku, nie może mi się podobać. Odkąd widziałam go przez trzy kwadranse plującego do studni, ażeby robić kółka na wodzie, odtąd zgubiony on jest zupełnie w opinii mojej. — Co się tyczy małego markiza..."

To, bez zarozumiałości, ja sam, proszę panów.

„Co się tyczy małego markiza, który tak długo ściskał mnie za rękę, to wiedz pan o tem, że dla mnie nie ma on najmniejszego znaczenia i ani z miny ani z czupryny mi się nie podoba. — Ów poważny człeczek o zielonych wstążkach..." *(do Alcesta).*

To się do pana odnosi.

„Ów poważny człeczek o zielonych wstążkach, co tak gdera ciągle, rozwesela mnie czasem tem swojem sarkaniem na wszystko

i na wszystkich i szorstkiemi wybuchami gniewu. Ale bywają chwile, w których przebiera się już miarka i staje mi się natrętnym. — Jegomość zaś w krótkim...“ *(do Oronta).*

Masz tu i pan za swoje.

„Jegomość zaś w krótkim kabaciku, któremu się przyśniło, że ma talent, i który, wbrew zdaniu wszystkich, chce być autorem, nudzi mnie swojemi frazesami; jego proza jest równie nużąca, jak wiersze. — Niechajże pan zechce zrozumieć nareszcie, że niezawsze mogę się bawić, jak się to panu zdaje, że nieraz wśród tych rozrywek, które oni dla mnie wynajdują, tęskno mi za panem, i że obecność ludzi, których kochamy, jest najpożądańszą okrasą wszystkich naszych przyjemności“.

*Klitander.* A to znowu dla mnie cukierek.

„Ten Klitander, o którym i pan mówisz, słodkawy aż do mdłości, nigdy nie potrafiłby sobie zjednać mojego serca. Nie wiem, skąd mu się mogło przywidzieć, że ja go kocham, tak jak panu znowuż, że jestem dla ciebie obojętną. Zechciejże pan zrobić z nim zamianę pod względem wyobrażeń, jakie macie o mnie, i odwiedzaj mnie pan jak najczęściej, ażeby mi jego obecność zbytnio nie ciężyła“.

Widocznie szczerość nie jest tych listów przymiotem;
A pani wie zapewne, jak świat sądzi o tem.
To dość. Żegnamy panią i pójdziemy daléj
Obznajmiać dobrych ludzi z tem, cośmy czytali.

Klitander, Akast i Oront opuszczają Celimenę, a wkrótce potem i Arsynoe, przekonawszy się, że nawet teraz nie przyciągnie ku sobie zdradzonego Alcesta.

*Alcest.* Widzi pani, milczałem, chociaż gniew mnie pali,
I pozwoliłem innym, by się wygadali.
A teraz, gdy się wszystko już naurągało
Ze mnie, mogę-ż powiedzieć...
*Celimena.* Tak, możesz pan śmiało
Wymawiać mi i wszelkiej zrzekam się obrony.
Skargi twoje są słuszne, gniew uzasadniony.
Zgrzeszyłam, najotwarciej wyznanie to robię,
Ale zgrzeszyłam głównie tylko przeciw tobie.
Gdy się tamci obeszli ze mną tak niegodnie,
Gardziłam tem; lecz tobie wyznaję tę zbrodnię.
Czuję, jakie masz słuszne do gniewu przyczyny,
Czuję, jak ciężkie moje przeciw tobie winy;
Wiem, że już w twoich oczach nic mnie nie oczyści.
I że stanę się celem twojej nienawiści;
Więc zgadzam się na wszystko...
*Alcest.* Tak, wszystko cię wini
I w głębi duszy ciebie potępiam, zdrajczyni;
Lecz choć się uniewinnić już nie możesz zgoła,
Czyliż cię serce moje nienawidzić zdoła? (do Elianty i Filinta).

Widzicie, jak ją kocham? Bądźcież teraz sami
Tej już nieuleczonej słabości świadkami,
I chociaż ona mojej miłości niegodna,
Chcę ustępstwa me dla niej wyczerpać aż do dna.
Próżno rozum nad wolą pragnie trzymać straże:
Serce kruche i zawsze ustępować każe. (do Celimeny)
Tak jest, postępowanie twoje wiarołomne.
Znam je, lecz ci przebaczę i wszystko zapomnę.
Mianem słabości pragnę pokryć twoją zdradę
I na karb twej młodości wszystkie winy kładę.
Lecz chcę, by twoje serce nakłonić się dało
Do celu, co mą duszę ukoi zbolałą.
Ten świat, ohydny dla mnie, słusznie ciebie wini.
A więc zdala od ludzi, na jakiej pustyni
Zamieszkamy oboje. To środek jedyny,
By mnie pokój przywrócić, a zmazać twe winy.
Tam, stroniąc od głupstw ludzkich i nie bacząc na nie,
Niech tobie za świat cały moja miłość stanie.

*Celimena.* A więc mnie takim szczęścia chcesz zjednać obrazem,
Bym z tobą na pustyni zamknęła się razem?

*Alcest.* Jeżeli chcesz serc prawych postępować drogą,
Cóż ciebie świat i ludzie obchodzić już mogą?
Czyż za to wszystko miłość nie wystarczy tobie?

*Celimena.* Nie chcę w dwudziestu leciech zagrzebać się w grobie
I nie znajduję w sobie dosyć siły na to,
By spłacić szczęście złudzeń światowych utratą.
W taki się sposób rany sercowe nie goją.
Lecz jeśli jeszcze rękę chcesz otrzymać moją,
To chętnie....

*Alcest.* Nie! już dosyć mam twojej niewiary!
I w tej chwili ostatniej dopełniłaś miary.
Gdy nie zgadzasz się na to, ażebym wzajemnie
Mógł widzieć wszystko w tobie, jak ty wszystko we mnie,
To niech się ten niegodny węzeł raz już skruszy
I nienawiść mi tylko pozostaje w duszy!

Alcest zwraca się teraz do Elianty (scena 8) w nadziei, że znajdzie w niej pocieszycielkę; ale Elianta uprzedza go, że już serce swe oddała Filintowi.

*Alcest.* Niechajże się wam wszystko, jak żądacie, stanie!
Użyjcie szczęścia, boście zasłużyli na nie.
Mnie zaś wszystko tu tylko odstręcza i rani;
Więc chciałbym się najśpieszniej wyrwać z tej otchłani
I samotność dla siebie wynalazłszy błogą,
Żyć, gdzie honor i prawda skryć się jeszcze mogą.

*Filint.* Podążmy za nim, pani; razem połączeni
Może sprawimy, że ten zamiar swój odmieni.

*(Wacław Szymanowski).*

## 2. Małżeństwo przymuszone.

Starzec Sganarelle zamierza poślubić młodą Dorymenę, córkę Alkantora. Jego przyjaciel Géronimo napróżno usiłuje przekonać go o niestosowności tego małżeństwa; ale po rozmowie z narzeczoną Sganarelle spostrzega, że Dorymena oddaje mu swą rękę, żeby uwolnić się z pod opieki surowego ojca i prowadzić życie wesołe i swobodne. Zaniepokojony tem wyznaniem, postanawia poradzić się uczonych filozofów. Właśnie zjawia się jeden z nich, Pankracy, zarozumiały i gadatliwy pedant, arystotelik; Sganarelle nie może się z nim porozumieć, bo mu filozof nie daje nawet przyjść do słowa. Po jego odejściu zjawia się sceptyk Marfury. (Scena 8).

*Sganarelle.* Mój panie filozofie, w naglącej potrzebie
Mam śmiałość udawać się po radę do ciebie
I dlategom tu przyszedł... (na stronie). Znać z jego spojrzenia,
Że słucha.
*Marfury* (poważnie). Odmień, panie, ten sposób mówienia.
Filozofia nasza nakazuje ściśle
Nic zgoła stanowczego nie mieć w swym umyśle,
O każdej rzeczy mówić z pewnością zabrania,
Lecz wstrzymać sąd, nie dając stanowczego zdania.
Nie mów więc: ja przyszedłem, gdyż to mylne zdanie,
Lecz: zdaje mi się, żem przyszedł.
*Sganarelle.* Zdaje się?
*Marfury.* Tak, panie.
*Sganarelle.* Jakże mi się ma zdawać? wszak to rzecz prawdziwa!
*Marfury.* Kto wie? może się zdawać rzecz nawet fałszywa.
*Sganarelle.* Co? toż fałsz, że tu jestem? któż temu zaprzeczy?
*Marfury.* To niepewna; o każdej wątpić trzeba rzeczy.
*Sganarelle.* Jakto? jaż tu nie jestem? Pan nie mówisz do mnie?
*Marfury.* Jeśli to masz za prawdę, mylisz się ogromnie:
Zdaje mi się, że jesteś tu swoją osobą,
I jeszcze mi się zdaje, że rozmawiam z tobą,
Lecz ja nie jestem pewny, czy tak jest istotnie.
*Sganarelle.* Co u kata? Pan bierzesz każdą rzecz odwrotnie!
Ale, filozofie, powiadam ci szczerze
Że w twoje: zdaje mi się bynajmniej nie wierzę.
Przystąpmy już do rzeczy: na bok owe baje.
Ja się myślę ożenić: jak to ci się zdaje?
*Marfury.* Ja nie wiem.
*Sganarelle.* Ja ci mówię.
*Marfury.* Wszystko to być może.
*Sganarelle.* Kocham pewną panienkę.
*Marfury.* Czy pewna?
*Sganarelle.* Mój Boże!
Chcę na starość osłodzić życie smutne, długie;
Czy ożenić się czy nie?
*Marfury.* Jedno albo drugie.
*Sganarelle.* Panienka młoda, piękna.
*Marfury.* Być może.
*Sganarelle.* Cóż robić?

*Marfury.* Co chcesz.
*Sganarelle.* Otóż i drugi! Czy ty mnie chcesz dobić?
Pytam się, czy to dobrze, że się myślę żenić?
*Marfury.* Ja nie wiem.
*Sganarelle.* Czy nie lepiej zamiar ten odmienić?
*Marfury.* Jak uważasz.
*Sganarelle.* Może źle?
*Marfury.* Być może.
*Sganarelle.* O nieba!
Zmiłuj się, filozofie, gadaj mi, jak trzeba.
*Marfury.* Ja dobrze mówię.
*Sganarelle.* Kocham, jakem ci już wyrzekł.
*Marfury.* Nic nie jest niepodobnem.
*Sganarelle.* Ojciec mi już przyrzekł.
*Marfury.* Być mogło.
*Sganarelle.* Ja się boję, bym nie płakał potem.
*Marfury.* Wszystko to stać się może.
*Sganarelle.* A cóż myślisz o tem?
*Marfury.* Czy ja wiem?
*Sganarelle.* Słuchaj, proszę, niech ci się wynurzę:
Cóżbyś robił, naprzykład, gdybyś był w mej skórze?
*Marfury.* Nie wiem.
*Sganarelle.* Cóż ja mam robić?
*Marfury.* Co ci się podoba.
*Sganarelle* (na stronie). Czy waryat? (Głośno). To bardzo miła jest osoba.
*Marfury.* Być może, co być może.
*Sganarelle.* Ja mam czułą duszę.
*Marfury.* Może być.
*Sganarelle* (w gniewie). Bodajś przepadł! aż gniewać się muszę.
Marfury, złość mnie bierze.
*Marfury.* Ja umywam ręce.
*Sganarelle.* Nuż!
*Marfury.* Co będzie, to będzie.
*Sganarelle.* Ja ci łeb ukręcę!
Poczekajże, lepszego figla ci wystroję,
Zagadasz ty inaczej. (Bije go kijem). Oto masz za swoje!
*Marfury.* Aj! aj! aj! cóż to? jakto? co to za zuchwałość?
Człowieka uczonego znieważać masz śmiałość?
Mędrca, co w kraju nauk tyle ma znaczenia?
*Sganarelle* (poważnie). O! popraw z łaski swojej ten sposób mówienia:
Filozofia twoja nakazuje ściśle
Nic a nic stanowczego nie mieć w swym umyśle;
O każdej rzeczy mówić z pewnością zabrania,
Trzeba wątpić o wszystkiem i nie dawać zdania.
Nie waż się przeto twierdzić, że m cię wybił, ale:
Zdaje się, że m cię wybił.
*Marfury.* Cóż to? tak zuchwale
Targnąć się na mnie? wszystko na odwet poświęcę

I wnet idę do sądu.

*Sganarelle.* Ja umywam ręce.

*Marfury.* Patrz, mam znaki!

*Sganarelle.* Być może.

*Marfury.* Śmiałeś mnie uderzyć!

*Sganarelle.* Niczemu, filozofie, nie należy wierzyć.

*Marfury.* Ja cię pozwę!

*Sganarelle.* Ja nie wiem.

*Marfury.* Przywiodę tu straże.

*Sganarelle.* Być może, co być może.

*Marfury.* Ja ci tu pokażę!

*Sganarelle.* Nic nie jest niepodobnem.

*Marfury.* Pamiętajże sobie...

*Sganarelle.* Wszystko to stać się może.

*Marfury.* Ja cię wnet poskrobię! (Odchodzi).

Sganarelle postanawia wreszcie cofnąć się od zamierzonego małżeństwa, bo mu wróżki (Egipcyanki) dwuznaczne przepowiadają szczęście, a przypadek sprawia, że Dorymena, nie widząc narzeczonego, uspakaja Likasta, swojego kochanka, aby nie wątpił o jej niezmiennej miłości, bo odda swoją rękę tylko dla bogactwa starcowi, który zapewne nie długo żyć będzie. Sganarelle wywołuje Alkantora, ojca Dorymeny (scena 14); próbuje go przekonać, że byłby dla jego córki nieodpowiednim mężem.

*Sganarelle.* Panie Alkantorze,
Prawda, żem twoją córkę żądał mieć za żonę,
Lecz włosy me starością, widzisz, ubielone...

*Alkantor.* Nic z tego; córka moja dziewczyna nie płocha,
Uczyni cię szczęśliwym, bo cię szczerze kocha.

*Sganarelle.* Lecz ja jestem czasami nieznośnym człowiekiem,
Mam swe własne dziwactwa, które rosną z wiekiem,
Wiele zawsze przykrości ucierpi odemnie,
Wierz mi, że to nie bardzo będzie jej przyjemnie.

*Alkantor.* Moja córka jest grzeczna, i o cóż ci chodzi?
Ręczę, że ona z tobą we wszystkiem się zgodzi.

*Sganarelle.* Jestem słaby na ciele i to ją zniechęci.

*Alkantor.* Nie; uczciwa kobieta zawsze ma w pamięci,
By męża nie obrzydzić; tyś się dla niej przydał.

*Sganarelle.* Ale ja ci nie życzę, byś ją za mnie wydał,
Mówię szczerze.

*Alkantor.* Żartujesz; wolę raczej zginąć,
Niżeliby me słowo miało cię ominąć.

*Sganarelle.* Mój Boże! uwalniam cię od tego.

*Alkantor.* Nie, wcale;
Przyrzekłem ci jej rękę: dzisiaj więc wspaniale
Naprzekór twym rywalom ty się z nią ożenisz,
Czegoż się do zawarcia tego związku lenisz?

*Sganarelle* (na stronie). A to kaduk!

*Alkantor.* Więc widzisz, sprzyjam twej osobie.
Mam szacunek i przyjaźń szczególną ku tobie.

Tak; nic mnie nie poruszy w mojem przedsięwzięciu,
Obiecanej ci córki nie dałbym książęciu.
*Sganarelle.* Z tego, panie, honoru cieszę się niezmiernie,
Lecz, że się żenić nie chcę, wyznaję ci wiernie.

Oburzony Alkantor odchodzi do domu, a na jego miejscu zjawia się syn jego Alcydas. (Scena 16).

*Alcydas* (przez całą scenę z nadzwyczajną grzecznością).
Najniższy sługa Pana, mego Dobrodzieja.
*Sganarelle.* Ach, ja z całego serca jestem twoim, Panie.
*Alcydas.* Ojciec mój w tej mi chwili doniósł niespodzianie,
Że pan cofasz swe słowo, chcesz zamiar odmienić
I już się z moją siostrą nie raczysz ożenić?
*Sganarelle.* Tak jest, z żalem to czynię; nie mogę inaczéj.
*Alcydas.* O! panie dobrodzieju, wszak to nic nie znaczy.
*Sganarelle.* Żal mi, wierzaj; i chciałbym w łagodnym sposobie...
*Alcydas.* To nic! (pokazując mu dwie szpady). Bądźże pan łaskaw, zechciej
Jedną z tych oto dwóch szpad, która ci się zdaje. [wybrać sobie,
*Sganarelle.* Jedną z tych dwóch szpad?
*Alcydas.* Tak jest, do woli oddaję.
*Sganarelle.* Do czegoż to?
*Alcydas.* Mój panie! trzeba wiedzieć o tem,
Że kto dał słowo, musi dotrzymać go potem;
A żeś pan wprzód obiecał żenić się z mą siostrą,
A dziś nie chcesz, więc mile, łagodnie, nie ostro,
Raczysz ten mój maleńki przyjąć komplimencik
I wyjść ze mną za miasto na jeden momencik.
*Sganarelle.* Jakto?
*Alcydas.* Drudzyby pana napadli tu z krzykiem
I honor jego śmiałym szarpali językiem;
Lecz my, ludzie spokojni, bez tej przykrej wrzawy,
Zawsze z grzecznością wszystkie odbywamy sprawy.
Więc nie będziesz miał za złe, że ci mówię grzecznie,
Byś się ze mną na szpady rozprawił koniecznie.
*Sganarelle.* Dość niezgrabny kompliment!
*Alcydas.* A więc pan wybieraj.
*Sganarelle.* Najniższy sługa pański! gdy chcesz, sam umieraj,
A ja chcę żyć i czaszki nie mam do rozbicia.
A to dziwne żądanie! zbawić kogoś życia!
*Alcydas.* Ale musisz się rąbać.
*Sganarelle.* O fraszkę! funt kłaków!
Schowaj pan te grzeczności dla innych junaków.
*Alcydas.* No, nie nudźże mnie, panie, czas drogi ucieka,
A mnie jeszcze za chwilę pewna sprawa czeka.
*Sganarelle.* Lecz ja nie chcę!
*Alcydas.* Rąbać się?
*Sganarelle.* Jestto niecna droga...
*Alcydas.* Doprawdy?

*Sganarelle.* A doprawdy!
*Alcydas* (bijąc go). A zatem...
*Sganarelle.* Dla Boga!
*Alcydas.* Więc w tym względzie o raptus pan mnie nie obwini,
Bo widzisz, że się wszystko metodycznie czyni.
Uchybił pan nam w słowie, ja za ten uczynek
Chcę się bić; lecz pan nie chce wyjść na pojedynek.
Ja się biorę do kija: widzisz pan dobrodziéj,
Że czynię metodycznie i tak, jak się godzi.
A zatem, jako jesteś człowiek najuczciwszy,
Pochwalisz mój postępek, dobrze go zważywszy.
*Sganarelle* (na stronie). Czy licho mi nadało?...
*Alcydas* (pokazując mu znowu szpady). Niech ci która służy,
Czyń, jak człowiek honoru, niech nie proszę dłużéj.
Dość już próżnej gawędy, przyśpieszmy spotkanie.
*Sganarelle.* Czy jeszcze?...
*Alcydas.* Nie przymuszam nikogo, mój panie,
Ale trzeba, byś ze mną zmierzyć się nie lenił,
Albo się z moją siostrą natychmiast ożenił.
*Sganarelle.* Ni tego ni owego, mój panie łaskawy,
Ja się w takie, powiadam, nie chcę wdawać sprawy.
*Alcydas.* I to pewna?
*Sganarelle.* O! pewna.
*Alcydas* (bijąc go znowu kijem). Więc za pozwoleniem...
*Sganarelle.* Aj! aj! aj!
*Alcydas.* Z wielkiem wprawdzie w duszy umartwieniem
Muszę tak postępować z panem dobrodziejem;
Nie przestanę, aż wspólnie krew sobie wylejem,
Lub że weźmiesz mą siostrę (podnosi kij).
*Sganarelle* (uchylając się). Proszę uniżenie!
Stój! stój! już się ożenię! ożenię! ożenię!
*Alcydas.* Cieszę się, żem chimerę wybił panu z głowy,
Żem mu zmysły powrócił i rozsądek zdrowy,
Że mi się z nim tak zgodnie rzecz skończyć udało.
Gdyż nakoniec przed całym światem wyznam śmiało,
Że go mocno szacuję. Byłbym więc w rozpaczy.
Gdybym musiał w tym razie postąpić inaczéj.
Niechże się więc twa, panie, nadzieja pokrzepi,
Powiem ojcu, że wszystko poszło jak najlepiéj!

(Do Alkantora, który wchodzi z Dorymeną).

Jegomość, uczciwości trzymając się toru,
Skończył, ojcze, rzecz całą, jak człowiek honoru:
Możesz mu już swą córkę poślubić bezpiecznie.
*Alkantor* (do Sganarelle'a). Oto jej ręka, panie, kochajcież się wiecznie
Wśród słodyczy małżeństwa, tego niebios daru.
Chwała Bogu! już wolny jestem od ciężaru.

Już mieć o niej staranie twoim obowiązkiem.
Idźmyż i tak szczęśliwym weselmy się związkiem.

*(Fr. Kowalski* [1]*).*

Wszystkie »Dzieła Jana Chrzciciela Poquelina Molière'a«, przetłómaczył a raczej spolszczył Fr. Kowalski (6 tomów, Wilno, 1842 — 1850); w niektórych poprzestał na drobnych zmianach nazwisk, w innych znacznie większej dopuścił się dowolności, przystosowując je do stosunków polskich. W podobny sposób spolszczył: Fr. Sal. Dmochowski »Sganarelle ou Cocu imaginaire« p. t. »Urojona niewierność« (Warszawa 1821) i »Natręty« (Warszawa, 1821); Fr. Zabłocki »Amfitrio« (Wilno, 1818), F. Chotomski »Górno-uczone kobiety« (Lwów, 1822), L. Borowski »Kobiety filozofki« (Wilno, 1826), Witowski »Szkoła kobiet« (Warszawa, 1819). W nowszych czasach zostały przełożone: »Szkoła kobiet« i »Świętoszek« przez K. Zalewskiego (Warszawa, 1875), »Świętoszek« przez A. Urbańskiego (w Bibliotece Mrówki) »Mizantrop« przez W. Szymanowskiego (Warszawa, 1882) i »Jerzy Dandin« przez Z. Sarneckiego (Warszawa, 1882).

## IX. Jan Racine.

### Mitrydat.

Na wiadomość, że w walce z Rzymianami Mitrydat został zwyciężony i zginął, obaj jego synowie — Farnas i Xyfar, opuszczają swoje stanowiska, wskazane przez ojca, i pośpieszają do Nimfei. Sprowadza ich tutaj nietylko wyrachowanie polityczne — gdyż każdy z nich rości prawa do tego miasta —, ale i nadzieja poślubienia Monimy, Greczynki z Efezu, którą poległy król zamierzał poślubić, a którą obaj w skrytości kochają. W chwili, kiedy królewicze wynurzają przed nią swe uczucia, odsłaniając jednocześnie swoje odmienne widzenie rzeczy — bo Farnas skłania się ku Rzymianom i wiele się od ich przyjaźni spodziewa, Xyfar zaś pragnie iść drogą przez ojca wskazaną —, przeraża ich i miesza niespodziana wiadomość, że Mitrydat wrócił już do Nimfei. Fałszywą pogłoskę o swej śmierci on sam rozpuścił, ażeby w ten sposób uśpić na chwilę czujność wrogów i zyskać czas na przygotowanie się do dalszej walki. Mitrydat dziwi się, że synów zastaje w Nimfei, a chociaż ci usprawiedliwiają swe przybycie pogłoską o śmierci ojca, podejrzliwy król niezupełnie wierzy ich tłómaczeniu i postanawia użyć jakiegokolwiek fortelu, żeby sprawdzić ich zeznanie. Na jego żądanie Arbat, komendant Nimfei, zeznaje (akt II, scena 3), że Farnas, jak tylko przybył,

Zaraz odkrył królowej przedsięwzięcie swoje
I zaraz ślubny związek, przez niego naglony,
Miał jej potwierdzić wzięcie z twoich rąk korony.
*Mitrydat.* Zdrajca! i śmiał natrętnym dla niej być w tej dobie,
Kiedy miała wylewać łzy na moim grobie...
A jego brat?
*Arbat.* Jego brat w tem, co dotąd działał,
Nie dał powodu wnosić, że miłością pałał,
I zawsze z chęcią, twemu synowi przystojną,
Oddychał samą tylko zemstą, samą wojną.
*Mitrydat.* Ale po co tu przybył prawie wraz z Farnasem?
*Arbat.* Sądzę, że to ci, panie, wyjaśni się z czasem.
*Mitrydat.* Mów zaraz... ja ci każę — o wszystkiem chcę wiedzieć.
*Arbat.* Com dotąd wyrozumiał, panie, śmiem powiedzieć.

[1]) Komedyę niniejszą napisał Molière prozą; dla większej wierności, ponieważ tłómacz nazwiska dowolnie pozmieniał, zostały tu one przywrócone zgodnie z oryginałem.

Książę ten po rozsianej o twym zgonie wieści
Sądził, że Bosfor w rzędzie swoich państw umieści
I na samem swem męstwie polegając stale,
Orężem się utrzymać chciał przy swym podziale.
*Mitrydat.* Ach! nie taką dla niego przeznaczam nagrodę,
Jeśli zamiary moje do skutku przywiodę.
Już spokojnie pierś moja oddychać zaczyna...
Bałem się i o siebie i o tego syna,
W którym byłbym i pomoc tracił z ciężkim żalem
I z takim, jak on, musiał spierać się rywalem.
Niechaj mię zdradza Farnas... o! to już mniej boli!
On nawykł wszystko czynić przeciw mojej woli;
Zawsze mu podziwienia celem są Rzymianie,
Przymusza się, ilekroć przeciw nim powstanie;
I jeśli jednomyślnie z nim sądzi Monima,
Że jej miłość, mnie winną, kto inny otrzyma...
Zginie, kto mi wydarcie jej śmie sobie wróżyć!
Ktoby mię śmiał obrazić, a nie śmiał mi służyć.
Kocha-ż go ona?
*Arbat.* Widzę królowej przybycie.
*Mitrydat.* Nieba! co moją miłość i mój gniew widzicie,
Zlitujcie się mych nieszczęść i chciejcie przeszkodzić
Abym nie doszedł tego, czego chcę dochodzić...
Arbacie! z nią mam teraz mówić... z tobą potem.

Scena 4. Mitrydat, Monima.

*Mitrydat.* Pani! widzę, że z moim do ciebie powrotem
Niebo dla mnie cokolwiek gniew swój już uśmierza;
Dziś mię blask wdzięków twoich najmocniej uderza.
Nie sądziłem, nawet mi w myśli nie postało,
By zaślubienie nasze tak spóźnić się miało:
Lub, abym się zbliżając do twego schronienia,
Zamiast miłości znalazł same udręczenia.
Jednak moc tej miłości wskazała mi drogę
Tylko w to jedno miejsce, gdzie cię ujrzeć mogę,
I nieszczęścia największe znośneby mi były,
Gdyby tobie, o pani! mój powrót był miły.
Dość na tem — wiesz, do czego moją zmierzam mową:
Dzień dzisiejszy dla ciebie nie jest rzeczą nową;
Zawsze ci mojej wiary zakład, ta korona,
Przypomina, że jesteś dla mnie przeznaczona.
Idźmy przysięgą miłość zaręczyć wzajemną,
Potem w odległe kraje udasz się wraz ze mną.
Bez uronienia chwili w szlachetnym zamiarze
Odjedziem, skoro ślub nasz potwierdzą ołtarze.
*Monima.* Panie! ja obowiązku mojego nie zdradzę;
Zupełną ci nademną mój ojciec zdał władzę

I gdy użyjesz prawa, które masz nadane,
W milczeniu przyjmę wyrok, posłuszną zostanę.
*Mitrydat.* Więc poddając się jarzmu, które los ci zdarza,
Jak ofiara nieszczęsna, pójdziesz do ołtarza?
A ja... tyran! niechętnem sercem twojem władać,
Ja mimo twojej woli miałbym cię posiadać?
Ach, pani! jak mię ciężko ranią te wyrazy!
Sądzisz, że odtąd pewnym będąc twej odrazy,
W dręczeniu ciebie ulgę pragnę mieć jedyną?
Może nieszczęścia moje twej wzgardy przyczyną?
Ach! gdybym do otwarcia jeszcze bojów nowych
Nie miał w mych ręku środków pewnych i gotowych;
Gdybym w przepaść nierównie większą pogrążony
Został bez państw, bez związków, bez wojsk, bez obrony
I błąkał się, jak tułacz, po okręgu świata,
Mając za całe dobro imię Mitrydata...
Wiedz, że świetną takiego imienia ozdobą
Oczy całego świata zwracałbym za sobą,
Że niema królów, jeśli są godni być niemi,
Którzyby może gardząc tronami swojemi,
Nie zazdrościli wiecznej w tym upadku chwały,
Nad którym lat czterdzieści i Rzym pracowały.
Pani! może i twoim oczom byłbym miły,
Gdyby te sławne Greki w twej duszy odżyły!
I jeżeli już mamy z sobą wchodzić w śluby,
Nie chcesz-że godnej ciebie stąd dostąpić chluby,
Że z obowiązkiem twoim własną wolę zgodzisz?..
Cnotami swemi losu przykrość mi osłodzisz
I dodasz serca tyle, ażeby w niem znikła
Nieufność, co nieszczęściu towarzyszyć zwykła...
Pani! cóż się to znaczy? nic nie odpowiadasz?
Ty się na moje słowa mieszasz... w smutek wpadasz?..
Twoje milczenie dla mnie wróżbą nienawistną...
I widzę, że ci gwałtem łzy z oczu się cisną.
*Monima.* Nie, panie!... już ja dłużej na mój los nie płaczę;
Posłuszeństwem się z mego milczenia tłómaczę...
Nie dosyć-że?
*Mitrydat.* Nie dosyć — na tem nie przestaję;
Zrozumiałem cię więcej, niżli ci się zdaje;
Rzetelnie mi mówiono... zawiść sprawiedliwa
O prawdzie z twoich własnych słów się przekonywa.
Wiem, że syn zdrajca twemi wdziękami się łudził,
Wyznał ci swoją miłość i w tobie ją wzbudził.
Ale natychmiast jego losem cię zatrwożę
I ten twój płacz zdradliwy nic mu nie pomoże.
Me serce na jęk głuche, kiedy gniewem pała...
Masz korzyść — już go odtąd nie będziesz widziała...

Niech się tu stawi Xyfar.

*Monima.* Ach! co czynisz, panie!
Twój Xyfar...

*Mitrydat.* O Xyfarze mam inne mniemanie —
Ale ten zdrajca, który zawsze mię obrażał,
Który przy zuchwałości żadnej cnoty nié ma...
Słowem Farnas... on moje miejsce, on otrzyma?
I jeszcze ty go kochasz, a mnie nienawidzisz!

Scena 5. Xyfar, Mitrydat, Monima.

*Mitrydat.* Pójdź, synu, mój! pójdź... ojca zdradzonego widzisz!
Zuchwały syn zamiary podle rozpościera,
Szydzi ze mnie!... krzywdzi mię, życie mi wydziera!..
Królowę do miłości skłonił wiarołomnie...
Wyrwał mi serce, które należało do mnie!
Szczęściem przynajmniej tyle ulgi mi zostaje,
Że Farnas, że nie Xyfar ten cios mi zadaje! — —
Synu mój! w tobie jednym składam ufność całą;
Ciebie jednego dawno me serce obrało
Towarzyszem do wielkich zamiarów spełnienia,
Dziedzicem berła mego, a nawet imienia.
Nie sam Farnas, nie sama miłość nieszczęśliwa
Zbłąkaną w przykrym razie moją myśl porywa;
Cestem ważnym i nagłym wyjazdem zajęty,
Muszę mieć do wyprawy gotowe okręty,
Zwiedzić wojsko, ożywić w niem męstwa niezłomność;
Razem wszędzie potrzebna jest moja przytomność...
Ty więc, którego tyle doświadczyłem wiary,
Czuwaj tu... zniszcz zuchwałe rywala zamiary.
Bądź przy niej — niech ją twoje łagodne wyrazy
Nakłonią do zmniejszenia ku mnie swej odrazy.

Zdumiony tem Xyfar, po odejściu ojca, zwraca się (scena 6) o wyjaśnienia do Monimy, którą posądza o sprzyjanie Farnasowi.

*Monima.* Taką ci niespokojność ten domysł ma sprawiać?
Gdy przemocą niesłuszną zagrożonam była,
Komużem na Farnasa wówczas się żaliła?
Czyich wzywałam względów i politowania?
Czyjej miłości chętnie słuchałam wyznania?

*Xyfar.* O, nieba! ja na moich życzeń dopełnienie,
Ja miałbym twe przychylne pozyskać wejrzenie?
I te drogie łzy twoje dla Xyfara płyną?

*Monima.* Tak, książę, nie czas taić, co mych łez przyczyną.
Ciężki gwałt w tem milczeniu cierpi moja dusza;
Obowiązek surowy milczeć mię przymusza!
Jednak trzeba pomimo jego nieużytość
Raz pierwszy i ostatni wyjawić tę skrytość...

Ty kochasz mię oddawna, równa czułość we mnie
Dla ciebie się oddawna zajęła tajemnie...

Ale po tem wyznaniu Monima żąda, aby Xyfar już jej widzieć się nie starał.

Nie dla ciebie... dla twego ojca moja ręka;
Sam mię w tem przedsięwzięciu, ile możesz, wspieraj,
Z tego słabego serca sam mi się wydzieraj!
Znając twą dobroć, mogę tej ofiary żądać,
Abyś mię raczył odtąd nigdy nie oglądać;
Moje wyznanie szczere niechaj cię przekona,
Że cię do tego skłonić byłam przymuszona;
Ale odtąd, jeżeli ta dusza wspaniała
Dla nieszczęsnej prawdziwą miłością pałała,
Monima oświadczeniu twemu wierzyć będzie
Tyle, ile się zmusisz unikać jej wszędzie.

*Xyfar.* O nieba! o miłości nasza opłakana!
Co za okropna szczęścia z nieszczęściem przemiana!
O! z jakiegożto szczytu i szczęścia i chluby
Wtrącasz mię w tak straszliwą przepaść mojej zguby!
Ja, najdroższe swe chęci dla ciebie skłoniwszy,
Mam widzieć, że kto inny, odemnie szczęśliwszy,
Posiędzie serce, pełne dla mnie przywiązania?
Ojcze srogi!... nie... godzien on politowania!
Pani! więc mi twój wyrok oddalić się każe
Wtenczas, gdy mi przy tobie król powierzył straże?
Cóż on powie?

*Monima.* W to nie wchodź — spełnij me żądanie...
Króla niechaj uwodzi omylne mniemanie;
Z największym gwałtem musisz uledz tej potrzebie;
Niech twe serce dla ulgi zdradza samo siebie,
Niech w niem miłość do takich rozrywek chęć wzbudza,
Jakiemi tylko gminnych kochanków ułudza.
Co do mnie... życiem mojem tę słabość przepłacę,
Do której pokonania ufność w sobie tracę!
Wiem, że mi na twój widok dotkliwe wspomnienie
Może wycisnąć w serca niegodne westchnienie,
Że dusza moja skrycie dręczona, zbolała,
Do straconego dobra będzie się zwracała;
Lecz wiem i to, że jeśli, nie mogąc się zmienić,
To zyskasz, aby twoją pamięć drogo cenić...
Wtenczas nieznośna mego honoru obraza
Przeciw występnej myśli użyje żelaza! — —
Żegnam cię... unikaj mię — znoś przeciwność srogą...
Bądź godnym tego, że mię kosztujesz tak drogo. (Wychodzi).

*Xyfar* (sam). Ach, pani!... już jej niema... napróżno się skarzę...
Cóż teraz masz przedsięwziąć, nieszczęsny Xyfarze?...
Kocha cię i oddala... nie możesz jej winić;
To czyni, co ty równie winieneś uczynić.

Idź prędką śmiercią swoje zakończyć cierpienia!...
Lecz jeszcze chwilę czekaj jej losu spełnienia...
Miałby mi rywal wydrzeć to dobro jedyne?
Samemu ją królowi odstąpię... i zginę.

Tymczasem Mitrydat układa plan dalszej walki z Rzymianami, plan, który jednocześnie musi być próbierzem uczuć Farnasa. Oznajmia on synom, że będzie szukał wroga w jego własnej siedzibie, a Farnas dla zyskania sprzymierzeńca w królu Partów, uda się do niego natychmiast i ożeni się z jego córką. Szlachetny Xyfar, pragnący tylko śmierci, oświadcza gotowość towarzyszenia ojcu, Farnas natomiast radzi upokorzyć się wobec Rzymu i oznajmia stanowczo, że nieznanej księżniczki nie poślubi. W tej odmowie Mitrydat widzi dowód miłości Farnasa ku Monimie i w uniesieniu gniewu każe go uwięzić. Ale Farnas, przyznając się do winy, oskarża jednocześnie i Xyfara, że kocha Monimę i jest od niej kochany. W Mitrydacie budzą się nowe podejrzenia i ażeby wyjść z niepewności, oznajmia Monimie (akt III, scena 5), że po namyśle odstępuje jej rękę, ale nie Farnasowi, którego kocha, tylko Xyfarowi.

*Monima.* Xyfar?.. on.. panie?
*Mitrydat.* On sam, pani!.. co za zmiana?
Skąd na wspomnienie o nim jesteś tak zmieszana?
Skąd na wybór tak słuszny wstrętem przerażona?
Nic-że tej wzgardy w twojem sercu nie pokona?
Powtarzam, ten odemnie w niczem nieodrodny,
Ten syn mię kochający i kochania godny,
Ten nieprzyjaciel Rzymu, w którym, mam nadzieję,
Że i tron mój i moje imię zajaśnieje...
Chociaż się to sprzeciwia zamiarowi twemu,
Mem życzeniem jest rękę twoją oddać jemu.
*Monima.* Co mówisz?.. nieba! może skutek waszej woli!..
Za co mię, panie, za co doświadczasz w niedoli?..
Przestań już, przestań moje powiększać cierpienia!
Wiem, że tobie mię oddał wyrok przeznaczenia,
Że już ślubu naszego chwila niedaleka,
Że ofiara w świątyni na nas tylko czeka...
Pójdź...
*Mitrydat.* Więc do mojej woli nie mogę cię skłonić?
Pani! ty dla Farnasa pragniesz się ochronić?..
Zawsze ja twej niesłusznej wzgardy tak doznaję,
Że się nawet mój Xyfar jej ofiarą staje?..
*Monima.* Ja nim gardzę.
*Mitrydat.* Już dłużej o tem nie mów ze mną...
Czyń, co chcesz, zaślepiaj się miłością nikczemną!
Kiedy z dziedzicem mego imienia i tronu
Szukam na brzegu świata chwalebnego zgonu,
Ty właśnie wtenczas z jego bratem tu zostawaj...
Służ i krew jego ojca Rzymianom sprzedawaj!
Za twą wzgardę nie innej sobie zemsty życzę,
Tylko cię oddać w jego ręce służebnicze!
Do czuwania o honor twój nic mię nie wzruszy...
Chcę nawet pamięć twoją zatrzeć w mojej duszy!

Pójdź — stało się... wasz związek sam pragnę przyśpieszyć.
*Monima.* Ach! wolisz mi okrutnym razem serce przeszyć.
*Mitrydat.* Próżny twój opór... próżnych wybiegów używa.
*Monima.* W jakiej ostateczności jestem, nieszczęśliwa!
Ale nakoniec, panie! zupełnie ci wierzę,
Że bez obłudy mówisz, rzetelnie i szczerze...
Niebo świadkiem, że twemu powolna życzeniu
Spokojnie-m się oddała memu przeznaczeniu;
Lecz jeślim mogła jakiej słabości podpadać,
Jeśli z nią walcząc, sercu musiałam gwałt zadać,
Nie sądź, panie, ażeby Farnas mię zajmował,
Ażeby on mię kiedy jedną łzę kosztował...
Ten syn wierny, którego wspominasz tak mile,
Ten twój obraz, nad którym rozczulasz się tyle,
Ten nieprzyjaciel Rzymu, twoja ufność cała,
Słowem Xyfar, którego chcesz, abym kochała..
*Mitrydat.* Kochasz go?
*Monima.* Gdybym tobie nie była ręczoną
Za szczęściebym to miała być Xyfara żoną;
Przed włożeniem na moje skronie tej korony
Kochaliśmy się... panie! jesteś tak zmieniony?...
*Mitrydat.* Nie dość na tem... on wkrótce pośpieszy w twe progi.
Odejdź... ważnej potrzebie poświęcę czas drogi;
Widzę, że z wolą moją twe serce się zgadza...
Przestanę na tem.
*Monima* (wychodząc). Nieba! czy on mię nie zdradza...

Mitrydat, dobadawszy się prawdy, cofa swoją obietnicę i żąda, żeby Monima oddała mu swą rękę. Monima, oburzona podstępem, wręcz mu odmawia, a na jego pogróżki odpowiada (akt IV, scena 4):

Nie, panie, ty mię niczem zatrwożyć nie zdołasz...
Znam cię — i co mię czeka, to wiem doskonale!
Wiem ja, ile na moją głowę nieszczęść zwalę;
Ale nic mną nie może zachwiać — już się stało!
Sądź, jak chcesz — gdy mówiłam do ciebie tak śmiało,
Że mogłam nawet przeciw skromności przewinić,
Czegom się dotąd nigdy nie ważyła czynić,
Nieszczęsną dłonią moją na toś się uzbroił,
Ażebyś swego syna krwią swój miecz napoił!
Niewinnego niewinna potępiła zdrada!...
Panie! on zginie, skoro twe serce postrada;
Lecz tych podstępów, co go o zgubę przywiodą,
Ta ręka i to serce nie będą nagrodą...
Masz wyznanie — sądź przeciw tobie zbuntowaną!
Uzbrój się prawem, które do niej ci nadano;
Ja spokojnie wyroku mojego wyglądam...

*(Wincenty Kopystyński).*

Król waha się, czy ukarać Xyfara, czy też wyrzec się dla niego Monimy, gdy wtem dochodzi go wiadomość, że Farnas, przekupiwszy straże, uszedł z więzienia i połączywszy się z Rzymianami, przypuszcza szturm do Nimfei. Gdy Mitrydat potyka się z buntownikami, Monima niespokojna o los Xyfara, obawia się dostać w ręce Farnasa. Wtem poseł od króla przynosi jej truciznę, którą przysyła jej Mitrydat, widząc przewagę wroga. Monima chętnie ją chce zażyć, gdy nowy poseł wstrzymuje ją od tego; donosi on, że w ostatniej chwili, gdy zrozpaczony Mitrydat, nie chcąc się dostać w ręce zwycięzców, zadał już sobie cios śmiertelny, na pomoc upadającemu przybył Xyfar i wrogów rozproszył. Wzruszony tem Mitrydat wysłał go, żeby powstrzymał Monimę od przyjęcia trucizny. Lecz oto przybywa i sam król w towarzystwie Xyfara. Dumny z syna, któremu zawdzięcza ostatnie nad wrogami zwycięstwo, oddaje mu rękę Monimy i umiera z rany, którą sobie był zadał.

Następujące tragedye Rasyna istnieją w polskiem tłómaczeniu: »Ifigenia« przez A. Rzyszczewskiego (Warszawa, 1801); »Athalia« przez J. U. Niemcewicza (»Pisma rozmaite« Warszawa 1805); »Tebaida« przez F. Godlewskiego (Wilno, 1807); »Berenika« przez J. Molla (Wilno, 1807); »Brytanik« przez W. Zembrzyckiego (Wilno, 1809); »Fedra« przez Ks. Chomińskiego (Warszawa, 1818); »Andromacha« przez F. S. Dmochowskiego (w »Pismach wierszem i prozą« Warszawa 1827) i »Tragedye« (Andromacha, Brytanik, Berenika, Mitrydat, Ifigenia, Fedra i Athalia) przez W. Kopystyńskiego (Lwów, 1859). Komedyę »Pieniactwo« tłómaczył M. B. Tomaszewski (Warszawa, 1820) i J. Brykczyński (Warszawa, 1820).

## X. Mikołaj Boileau-Despréaux.

### List VII do Racine'a (nieco skrócony).

Rasynie! Jakże dzielnie z pomocą aktora
Wzruszasz, dziwisz, porywasz serce spektatora.
Tyle łez nie wylali na śmierć Ifigenji
Z wszystkich stron do Aulidy Grecy zgromadzeni,
Ile ich z oczu widzów w teatralnem dziele
Wycisnęła jej rolę grająca Champmeslé[1]).
Lecz nie sądź, byś czarując wszystkich dzieły twemi,
Miał ich równie dla siebie wszystkich przychylnemi.
Skoro tylko geniusz, natchniony od Feba,
Drogą, gminnym nieznaną, wznosi się pod nieba,
W stu miejscach przeciw niemu knują się spiknienia,
Zgraja podłych szampierzy wkoło go ocienia;
A nocny jego światła blask rażący oczy
Przyjaźń nawet w zazdrosną niechęć przeistoczy.
Kloto tylko, gdy przetnie życia jego przędzę,
Zdoła te nieprzyjazne uspokoić jędze,
A ważąc pisma jego na rozumu szali,
Da im prawdziwą cenę i one ustali.
Nim grobowej garść ziemi, wyżebrana łzami,
Zakryła Moliera na wieki przed nami[2]),
Tysiąc z tych górnych myśli, które dziś chwalimy,
Zdały się, na com patrzał, głupcom poziomymi.

[1]) Słynna aktorka ówczesna.

[2]) Arcybiskup paryski nie chciał zezwolić, aby zwłoki Moliera były pochowane na cmentarzu.

Błąd z ciemnotą, zwiedzając weny jego proby,
Strojni w suknie markizów i hrabianek roby
Na rzecz istotnie wielką, zajmującą, nową
I w miejscach najpiękniejszych potrząsali głową[1]).
Komandorowi w żadnej scenie nie dogodził,
Wicehrabia skwaszony, wśród aktu odchodził:
Gorliwy wyszydzonych świętoszków obrońca
Stosem mu groził, żartów nie czekając końca;
A hrabia, gdy rys prawdy za zniewagę bierze,
Przysiągł zemstę za dworzan, wyśmianych w parterze[2]).
Ale skoro go tylko sroga i zuchwała
Ręka Parki z żyjących księgi wymazała,
W całym się wzniosła blasku Muza jego ćmiona,
Rozkoszna komedya wraz z nim obalona...
Ty więc, co się wznosząc na scenę tragiczną,
Wstępujesz w ślad Sofokla i sam z pośród wiela
Pocieszasz smutny Paryż z starości Corneille'a,
Nie dziwuj się, jeżeli zawiść jadowita,
Co każdy talent szarpie, ciebie kłem swym chwyta
I czasem na twe imię czarną potwarz wkłada.
W tem, jak we wszystkiem, Istność, która światem włada,
Daje widzieć głęboką swą mądrość, Rasynie.
Zasługa bez ostrogi drzemie i mniej słynie;
Lecz gdy ją zazdrość ostrym swym bodźcem zakole,
Geniusz wyżej wzlata i świetną gra rolę;
Im go bardziej ćmią, z blaskiem tym większym się wyda.
Cynna winien swój zaszczyt prześladowcom Cyda[3]):
A pewnie i twe pióro krytykom Pirrusa
Winno te cudne rysy w obrazie Burrusa[4]).
Ja sam, którego sława niczyjej nie mroczy,
Ani bladej zawiści nie może kłuć w oczy,
Ale któremu dworność i humor wesoły
Dogodne w dobrą porę dał nieprzyjacioły,
Przyznać muszę, żem więcej winien ich gniewowi,
Niż, z którego mię Francya chwali, talentowi.
Żądło, z którem mię wszędzie ich zajadłość goni,
Czyniąc mię ostrożniejszym, od usterek broni;
W każdym pióra pociągu Muza na to baczy,
Że pracuję pod okiem ostrych postrzegaczy.
Na ich przestrogi umiem poprawiać me błędy
I na mą korzyść zwracam ich mściwe zapędy.
Chcą-li wytknięciem wady moją szczypać sławę,
Za odpowiedź zobaczą winnego poprawę.

---

[1]) Stosuje to Boileau do niechęci, z jaką wielu przyjęło Moliera „Szkołę kobiet".
[2]) Na parterze zajmowała miejsca drugorzędna publiczność.
[3]) Krytyka, potępiając tragedyę Corneille'a „Cyd", była dla jej autora bodźcem do staranniejszego opracowania „Cynny".
[4]) Pirrus jest bohaterem tragedyi „Andromacha", napisanej przez Rasyna w początkach zawodu poetyckiego; Burrus występuje w jednej z późniejszych jego tragedyj „Brytanik".

A gdy z zmyślonych zbrodni sklecą mą naganę,
Pomszczę się, lecz jak? Oto cnotliwszym się stanę.
Pójdź za moim przykładem...
Mniejsza o to, że tłuszcza głupców łaje, krzyczy
I w słodycz rymów twoich przylewa goryczy.
Przyda-ż co dziełom naszym, że je Perrin chwali?
Że się na nie czczy autor „Jonasza“ nie żali?
Szkodzi-ż, że Linière jad swój na nie miota
Albo je gani suchy tłómacz Amyota?[1])
Byle tylko wartości ich luba ponęta
Wabiła do czytania lud, miasta, książęta;
Byleby im król drogiej nie ubliżył chwili,
Condému się zdołały podobać w Chantilly,
Zabawiły Enghiena, Colberta, Vivonne'a...
Takim ja czytelnikom poświęcam me dzieła:
Lecz ćma żaków, co ciemność w swym podziale wzięła,
Co tylko brednie chwali i w nich sobie słodzi,
Niech idzie, gdzie w blizkości Brioché[2]) rej wodzi,
Bez względu na poety i weny znamiona
Uwielbiać i dziwić się mądrości Pradona[3]).

*(J. Gorczyczewski).*

»Satyry i listy« przełożył ks. Jan Gorczyczewski (2 tomy, Warszawa, 1802; 2 wyd. 1818); satyry wszystkie przystosował tłómacz do stosunków polskich. »Sztukę rymotwórczą« przełożył Maciuński (Warszawa, 1826) a przerobił F. Ks. Dmochowski (1788, 3-cie wyd. 1826).

## XI. Jan de La Fontaine.

### Lampart i małpa.

Raz na kiermasz przywieziono
Lamparta z małpą uczoną;
W osobnych budach mieli zamieszkanie.
Lampart wołał: „Prosimy, panowie i panie!
Jest miejsce, kasa otwarta;
Nikt dotąd nie widział w świecie
Takiego, jak ja, lamparta!
Patrzcie, jak piękne futro mam na grzbiecie,
Jaki włos miękki, lśniący, giętki,
Upstrzony w pręgi i cętki“.

[1]) Perrin, Jakób de Coras (autor „Jonasza“), Linière i Tallemand (tłómacz Amyota), są to poeci i literaci ówcześni.

[2]) Kuglarz, który zabawiał pospólstwo maryonetkami.

[3]) Poeta, autor „Fedry“, tragedyi małej wartości.

Gawiedź pstrociznę nadewszystko ceni;
Więc tą przemową zwabieni
Ludzie się zbiegli, weszli, oglądali,
A spojrzawszy poszli daléj.
Małpa zaś tak wołała: „Proszę wejść łaskawie,
Sąsiad tylko postacią, ja dowcipem bawię.
Rozgłos mych zalet w świecie rozbiegł się szeroko,
Mój teść jest to ów sławny brazylijski Żoko;
U niego chlubnie skończywszy nauki,
Umiem rozmaite sztuki:
Tańczę na linie, skaczę przez obręcze,
A kto się znudzi na sztuce,
Temu pieniądze powrócę;
Słowem małpy za to ręczę!“
Dobrze małpa mówiła; bowiem u świata
Więcej popłaca rozum, niż wytworna szata;
Ten się nigdy nie sprzykrzy, ta po chwili znudzi.
Ale, że nikt półgłówka w mędrca nie przerobi,
Więc nigdy nie brak nam lampartów — ludzi,
Których tylko suknia zdobi.

*(Wł. Noskowski).*

»Sto bajek« pióra różnych tłómaczów wydał J. N. Bobrowicz (Lipsk, 1838; nowe wydanie 1840). Ilustrowane wydanie »Bajek« podług Lafontaine'a pod redakcyą Wł. Noskowskiego wydano w Warszawie 1876 r. Poszczególne bajki przekładali: A. Naruszewicz, Ig. Krasicki, St. Trembecki, Ad. Mickiewicz i wielu innych.

## XII. Voltaire (Wolter),

### właściwie FRANCISZEK AROUET.

### a) Zaira.

Rzecz dzieje się w haremie sułtana jerozolimskiego Orozmana. Przebywa w nim od dzieciństwa niewolnica Zaira, snadź chrześciańskiego pochodzenia, na co zdaje się wskazywać krzyżyk, przez nią zachowany. Ta poszlaka sprawiła, że Nerestan, jeden z krzyżowców, wziętych do niewoli, gdy przed dwoma laty został przez Orozmana wypuszczony na wolność, odjeżdżając do Francyi, obiecał Zairze powrócić i wykupić ją razem z innemi jeńcami. Długo Zaira cieszyła się tą nadzieją, ale obecnie nie pragnie już opuszczenia dworu sułtańskiego, bo pokochała Orozmana, który kocha ją nawzajem i zamierza poślubić. W tym właśnie czasie przybywa Nerestan i przywozi okup. Wspaniałomyślny sułtan wypuszcza na wolność wszystkich jeńców, zatrzymuje tylko Zairę, którą ma właśnie pojąć za żonę, i Luzyniana, ostatniego chrześciańskiego króla Palestyny, bo obawia się, żeby ten nie odnowił swoich pretensyj do Jerozolimy. Zasmuconego tem Nerestana pociesza na pożegnaniu Zaira obietnicą opiekowania się chrześcianami i wiadomością, że na jej prośbę Orozman puszcza na wolność Luzyniana. Jakoż na scenę przybywa Luzynian w towarzystwie wiernego Chatillona i zastępu uwolnionych jeńców. Złamany wiekiem i niewolą, przypomina on sobie ostatnią swą klęskę w Cezarei i utratę dwóch synów, a zwracając się do ich cieniów, woła (akt II, scena 3):

Czuwajcie, drogie dzieci, z górnego Syonu
Nad dwojgiem drugich dzieci, jeśli uszły zgonu!
Mego syna i córkę w tej okropnej doli,
Oddanych wiecznej wzgardzie i wiecznej niewoli,
Wydarli barbarzyńcy ojcu nieszczęsnemu
I w kajdanach do tego powiedli haremu.

*Chatillon.* Tak, wśród powszechnej rzezi, pośród matek jęku,
Niemowlę, córkę twoją, trzymałem na ręku:
Nie mogąc przed niewiernych ukryć jej zapędem,
Chciałem ją zabezpieczyć świętym chrztu obrzędem:
Gdy na mnie krwią zbroczeni mordercy natarli
I nieszczęsną ofiarę z moich rąk wydarli.
Twój syn, który zaledwie liczył cztery lata,
Już zdolny czuć, jak wielka spotkała go strata,
Do Solimy był z siostrą powiedziony razem.

*Nerestan.* Jak strasznym serce moje udręczasz obrazem!
W tym wieku z Cezarei cały krwią zbroczony,
Pomnę, że z chrześcijany przyszedłem w te strony.

*Luzynian.* Ty, panie? w temże miejscu, w tejże samej chwili...
(Spogląda na Zairę i Nerestana).
Możeście z dziećmi memi młodość przepędzili?...
One dziś w waszym wieku byłyby i może...
(Patrząc na krzyż, zawieszony na piersiach Zairy).
Pani! jakaż ozdoba obca tu... o Boże!
Jak dawno ją masz?...

*Zaira.* Z pierwszej życia chwili. Panie,
Cóż znaczą te westchnienia i to pomieszanie?

*Luzynian.* Ach! powierz starca rękom tę oznakę świętą!

*Zaira.* Jakąż czuję w mem sercu trwogę niepojętą!
Co czynisz?

*Luzynian.* Opatrzności! powracasz mi życie!
Oczy moje, czyż trwożnych przeczuć nie zwodzicie?
Ach! czyliż to być może?... ach, tak, to jest ona,
To dar, który odemnie otrzymała żona,
Co zdobił dzieci moje w tej szczęśliwej chwili,
Kiedyśmy ich urodzin święto obchodzili:
Oglądam ją, nie zniosę szczęścia uniesienia!

*Zaira.* Przebóg! jakież wzrastają we mnie podejrzenia?
Ach, Panie!

*Luzynian.* Tej nadziei utracić się boję,
Nie opuszczaj mię, Boże! Ty widzisz łzy moje,
Ty, coś za nas w tem miejscu świętą poniósł mękę.
Mów, dokończ! o mój Boże, uczuwam Twą rękę!
Co, pani? ten krzyż zakład najsłodszej nadziei,
Co, razem uwięzieni, i to w Cezarei?

*Zaira.* Tak jest.

*Nerestan.* Możeż być?

*Luzynian.* Głosem i twarzy wyrazem

Są w istocie swej matki żyjącym obrazem.
Tego chcesz, wielki Boże! Ty mię uszczęśliwiasz,
Ty szczęścia znieść niezdolne to serce ożywiasz.
Zairo! Nerestanie! jeśli tem imieniem
Zwać cię jeszcze winieniem, pytam cię ze drżeniem,
Czyli tę szczęsną bliznę masz na twojem łonie,
Którą przy mnie żelazem uzbrojone dłonie...

*Nerestan.* Mam ją.

*Luzynian.* Boże! spełnione rozrządzenia twoje!

*Nerestan* (padając na kolana). Ach, książę! ach, Zairo!

*Luzynian.* Pójdźcie, dzieci moje

*Nerestan.* Ojcze!

*Zaira.* Panie!

*Luzynian.* Uczuciom serca się poddajcie...
Moja córko, mój synu, ojca uściskajcie...

*Chatillon.* Jakaż radość ten widok w sercu mojem mieci!

*Luzynian.* Nie mogę się oderwać od was, moje dzieci!
Nieszczęśliwa rodzino, złączyłem się z tobą. (Do Nerestana).
Będziesz imienia mego i rodu ozdobą!
Ty, niestety! ty, córko! jakież podejrzenia?...
Jakaż trwoga to szczęście w męczarnie zamienia?
Boże! co moje nędze i cierpienia skracasz,
Gdy mi powracasz córkę, czy wierną powracasz?
Co? płaczesz, nieszczęśliwa! ach, jakże się trwożę!
Ty milczysz? rumienisz się? o zbrodnio! o Boże!

*Zaira.* Nie chcę cię zwodzić, będąc sułtana poddanką,
Panie! ukarz twą córkę, byłam muzułmanką.

*Luzynian.* Czemuż mię grom natychmiast w prochu nie zagrzebie!
Tegobym, o mój synu, nie przeżył bez ciebie.
Boże! po długich walkach me oczy widziały
Upadek twej świątyni, zagładę twej chwały.
Przez lat dwadzieścia żywo zagrzebany w grobie
Łzami nieszczęsne dzieci polecałem tobie;
Dziś, gdy je odzyskując, twoją łaskę czuję,
Kiedy znajduję córkę, niewierną znajduję!
O Boże! czyż na taką zasłużyłem karę?
Ja to, ja mem więzieniem wydarłem ci wiarę.
Córko! ty mię w ostatniej zasmucasz godzinie.
Ach! pomnij, pomnij na krew, co w twych żyłach płynie...

I przypomniawszy jej zasługi swoje i przodków w obronie Ziemi Świętej, tak kończy:

Ach! na tych świętych miejscach, za każdym twym krokiem
Pamiątki Boga twego staną ci przed okiem.
A jeśli tu chcesz zostać, pierwej ci potrzeba
Wyrzec się głosu ojca, honoru i nieba.
Ty na mem łonie bledniesz i drżysz, córko droga,
Żal zbawienny w twe serce zstępuje od Boga,

Święta prawda oświeca twój umysł i przecie
Znajduję, szczęsny ojcze, utracone dziecię;
Wróci się moje dawne i szczęście i sława,
Gdy krew moją wydarłem z pod niewiernych prawa.

*Nerestan.* Oglądam moją siostrę, jej dusza niewinna...

*Zaira.* Ach, ojcze! ojcze! powiedz, com czynić powinna?

*Luzynian.* To, co mię od boleści i hańby zachowa:
Powiedz, żeś chrześcijanką.

*Zaira.* Jestem nią!

*Luzynian.* Te słowa,
O Boże! chciej twojemi uświęcić wyroki.

Tymczasem Orozman, zaniepokojony wiadomością o nowej krucyacie (Ludwika IX-go), każe uwolnionych nanowo wtrącić do więzienia. Luzynian, rozstając się z córką, wymaga na niej przysięgę, że wszystko zachowa w tajemnicy. Zaira wyprasza znów uwolnienie jeńców i widzenie się z Nerestanem, żeby się lepiej oświecić w wierze i wyrozumieć, czy nie mogłaby z jej wymaganiami pogodzić wymagań serca (akt III, scena 4).

*Nerestan.* Przecież mi z tobą wolno mówić, siostro droga.
Ach! w jakiejże nas chwili złączył wyrok Boga,
Już cię ojciec do swego nie przyciśnie łona...

*Zaira.* O Boże! Luzynian?..

*Nerestan.* Luzynian kona.
Radość, że mu stracone dzieci się wróciły,
Zwątliła do ostatka jego wątłe siły.
Lecz na domiar nieszczęścia w swej ostatniej dobie
Nie wie, czy prawe czucia jeszcze trwają w tobie,
I nawpół już grobowym otoczony cieniem,
Czy jesteś chrześcijanką, pyta z utęskieniem.

*Zaira.* Nie jestżem twoją siostrą, skądże ta obawa,
Jażbym się wyrzec miała moich ojców prawa?

*Nerestan.* Ach, siostro, temu prawu jeszcze nie uległaś
I pierwszy promień wiary dopiero postrzegłaś.
Jeszcześ nie otrzymała świętego znamienia.
Przysiąż, siostro, na klęski twej całej rodziny,
Na przodków, co męczeńskie odnieśli wawrzyny,
Że dziś ojca i moje uiścisz zamiary
I łączące cię z Bogiem przyjmiesz piętno wiary.

*Zaira.* Tak, przysięgam na Boga, co w mem sercu czyta,
Na wiarę, która jeszcze przedemną ukryta,
Że odtąd jej przepisów dochowam niezłomnie.
Lecz, niestety, ta wiara czego żąda po mnie?

Nerestan odpowiada, że w tym względzie lepiej ją oświeci ksiądz, który wkrótce przybędzie tu skrycie, ubolewa tylko, że pozostanie ona w mocy sułtana ku hańbie swego rodu.

*Zaira.* Dokończ, okrutny bracie! nieznane ci wcale
Moje skrytości, winy, życzenia i żale.

Ach! obłąkanej siostrze niechaj brat przebaczy,
Która kocha, łzy leje i kona z rozpaczy.
Tak, jestem chrześcijanką, czekam z utęsknieniem
Obrzędu, który mojem ma stać się zbawieniem.
Nie, nie będę od brata mojego odrodną,
Przodków moich, mnie samej, ojca chcę być godną.
Błagam ciebie, chciej wszystko opowiedzieć szczerze:
Mów, jakie są przepisy w chrześcijańskiej wierze,
Odkryj mi, co za kara nieszczęśliwą czeka,
Którąby, jęcząc w więzach, od krewnych daleka,
Na wsparcie dobroczynne barbarzyńca tkliwa,
Wzruszyła go i w ślubne weszła z nim ogniwa?

*Nerestan.* Boże! niech na cios taki męstwem się uzbroję.
Śmierć sama...

*Zaira.* Dosyć, uderz, uprzedź hańbę twoję.

*Nerestan.* Ach! co słyszę, niestety!

*Zaira.* Wszystko ci wyznałam.
Tak, Orozman mię kocha, zaślubić go miałam.

*Nerestan.* Tyś go miała zaślubić? ty jego kochanka?
Ty, z krwi królów, ty, moja siostra, chrześcijanka?

*Zaira.* Uderz, kocham go.

Nerestan spodziewa się, że chrzest przytłumi miłość w sercu Zairy, żąda więc od niej przyrzeczenia, że nie wprzód poślubi Orozmana, aż zostanie ochrzczona. Zaledwie jednak Nerestan, otrzymawszy żądaną obietnicę, odszedł po księdza, przybywa Orozman z oznajmieniem, że do ślubu wszystko już przygotowane. Zaira skrępowana obietnicą, wymawia się, nie dając bliższych wyjaśnień. Nieświadomy rzeczy Orozman zaczyna ją podejrzewać o zmianę uczucia na korzyść Nerestana i postanawia ją opuścić, ale jednocześnie utrudnić widzenie się z rywalem. Zaira dostrzega zmianę w zachowaniu się sułtana i rozpacza, że wiara jej przodków wymaga po niej tak wielkiej ofiary (akt IV, scena 1).

Boże! nędzna wołam!
Zgaś miłość w mojem sercu, a wierną być zdołam;
Niech dla ciebie tchnę tylko, prawa chrześcijanka.
Lecz w tejże chwili obraz mojego kochanka
Bez przerwy mi przytomny w tem nieszczęściu srogiem
Powstaje w duszy mojej między mną i Bogiem.
Królowie, me naddziady! i wy, chrześcijanie,
Matko, ojcze, ty, Boże, losów moich panie!
Wy, którzy mię z kochankiem na zawsze dzielicie,
Gdy nie mam żyć dla niego, odbierzcie mi życie!...
Ach! czemuż ten Bóg nie jest Bogiem Orozmana?
Czy jak zemsty ofiarą może się nim brzydzić,
Miałżeby to szlachetne serce nienawidzić?
To serce sprawiedliwe, ludzkie, dobroczynne!
Czyliż chrześcijan wiara da mu cnoty inne?...
Nie wiem, ale nadziei utracić nie mogę,
Że Bóg, którego tyle mienicie łaskawym,
Związek mój z Orozmanem uzna związkiem prawym.

Że, może na tajemnej poprzestając cześci,
Przebaczy walkom serca i ciężkiej boleści;
Może ulży przezemnie chrześcijan niedoli
I na syryjskim tronie zasiąść mi pozwoli.

Zaczyna nawet żałować, że przed Orozmanem nie wyznała całej prawdy. Mimo to, gdy staje przed nią ukochany (akt IV, scena 2), żeby się z nią ostatecznie rozmówić, Zaira lubo wzruszeniem świadczy o swej miłości, tajemnicy zdradzić nie ma siły.

*Zaira.* Rozpacz mię ogarnia!
Kocham cię, a ta miłość, granic nieznająca,
Nieszczęśliwą kochankę w otchłań cierpień wtrąca.
*Orozman.* Ach, nie trwóż się, objaw mi, co cię dręczyć może?
*Zaira* (na stronie). Czemuż bronisz przemówić, przodków moich Boże?
*Orozman.* Cóż mi taisz, Zairo? Co znaczą te słowa?
Czyli podłych chrześcijan zagraża mi zmowa?
*Zaira.* Któżby cię zdradzał, Panie? Od zabójczej broni
Zaira cię ofiarą dni własnych zasłoni.
Nie, nic ci nie zagraża, oddal tę myśl zwodną,
Jam tylko jest nieszczęsną, ja litości godną.
*Orozman.* Co? ty godną litości?
*Zaira.* Dozwól, bym, nieśmiała,
U nóg twoich o jedną łaskę cię błagała.
*Orozman.* O łaskę? ja za ciebie wszystką krew przeleję.
*Zaira.* Oby się mogły nasze uiścić nadzieje!
Orozmanie mój!... Panie, dozwól, bym w tej dobie
Zdala od ciebie, sama zostawiona sobie,
W mym smutku rozmyślając nad losy mojemi,
Przestała cię zatrudniać skargi natrętnemi,
Wszystkie me tajemnice jutro ci wyjawię.
*Orozman.* W jak strasznej mnie, o nieba, zostawiasz obawie!
*Zaira.* Jeśli jeszcze masz jakie do mnie przywiązanie,
Ostatniej mojej prośby nie odrzucaj, panie.
*Orozman.* Tego żądasz, Zairo, na wszystko przystanę,
Lecz nie wiesz, jak bolesną zadajesz mi ranę.

*(Fr. Sal. Dmochowski).*

Tymczasem Nerestan, nie mogąc osobiście porozumieć się z Zairą, wysyła do niej list z wezwaniem na tajemną schadzkę; list ten przejmują straże i oddają sułtanowi. Orozman utwierdza się w podejrzeniu. Powodowany namiętną zazdrością i żądzą zemsty, dopuszcza do schadzki, lecz sam, przybywszy na wskazane miejsce przed mniemanym rywalem, zadaje Zairze cios śmiertelny. Przybycie Nerestana wyjaśnia zagadkę, ale już zapóźno... Zrozpaczony Orozman każe puścić na wolność wszystkich chrześcian i przebija się sztyletem.

## 2) HENRYADA.

Treścią tego poematu epickiego w 10 pieśniach są walki religijne we Francyi, upoetyzowane w smaku pseudo-klasycznym, głównie za pomocą uosobionych pojęć takich, jak np. polityka, wiara, niezgoda, fanatyzm, prawda i t. d., mających zastępować bóstwa Olimpu. — Henryk III, nie mogąc zdobyć Paryża, w którym broni się Liga z Gwizyuszami (Mayencyuszem) na czele, posyła swego sprzymierzeńca Henryka Burbona do Anglii z prośbą o pomoc. Burbon w drodze zostaje przez burzę wyrzucony na pewną wyspę, gdzie bogobojny pustelnik przepowiada mu powrót na łono kościoła katolickiego i koronę francuską. Wkrótce wichry się uciszają i Burbon zawija do Anglii, podziwia jej stan kwitnący i mądre ustawy polityczne. Na żądanie Elżbiety opowiada on dzieje walk religijnych od samego początku, rozszerza się nad rzezią w noc św. Bartłomieja i zamyka swoje sprawozdanie przedstawieniem obecnego stanu rzeczy. Uzyskawszy pomoc, wraca Burbon pod Paryż w chwili, gdy d'Aumale bliskim już był opanowania obozu Henryka III, i zadaje mu porażkę. Wówczas niezgoda pośpiesza do Rzymu, gdzie panuje Sykstus V, a sprzymierzywszy się z polityką, wraca z nią do Paryża, przeciąga na swoją stronę Sorbonę i wywołuje w stolicy wielkie zamieszanie i rzeź stronników królewskich; wreszcie, gdy natarczywość oblegających wzmaga się, dobrawszy sobie do pomocy fanatyzm, pobudza Jakóba Clement do zamordowania króla. Ale wojsko oblegające obwołuje królem Burbona jako Henryka IV. Nowy król przypuszcza szturm do Paryża, ale bezskutecznie. Za nadejściem nocy, gdy wszyscy już posnęli, Ludwik Święty unosi ducha Henryka IV do nieba i do piekła i pokazuje mu w pałacu przeznaczenia sławę jego następców i wielkich ludzi, którzy wsławią Francyę. Liga otrzymuje pomoc od Hiszpanii i stacza z Burbonem bitwę pod Ivry, ale ponosi klęskę. Teraz niezgoda, żeby unicestwić owoce zwycięstwa króla, wikła go w sieci miłości: ale z objęć pięknej Gabryeli d'Estrée wydziera Burbona surowy Mornay. Henryk wznawia oblężenie Paryża, a gdy ludność głód dziesiątkuje, dostarcza zgłodniałym żywności. Wówczas Ludwik Święty, zachwycony cnotami Henryka, błaga Wszechmocnego, aby go raczył oświecić i prawda wyprowadza go na drogę prawdziwej wiary. Paryż otwiera królowi bramy, buntownicy otrzymują przebaczenie, kraj odzyskuje spokój i potęgę.

### a) Opis Anglii i jej rządów. (Pieśń I).

Burbon, pełen nadziei i światła i tronu,
Wznosi żagle i leci w kraje Albionu.
Widząc Anglię, dziwi się wielkiej odmianie,
Co w kwitnącym to państwo postawiła stanie,
Gdzie długo nadużycie praw, zbyt wychwalanych,
Było przyczyną nieszczęść królów i poddanych.
Na tym krwawym teatrze, na tym ślizkim tronie,
Gdzie tylu królów głowy straciło w koronie,
Niewiasta, przeznaczeniu wtenczas dając prawo,
Zadziwiała świat swoją mądrością i sławą.
Elżbieta, co przez rozum i moc panowania
Europy na swą stronę przechyliła zdania,
Zrobiła miłem jarzmo temu narodowi,
Co nie umiał żyć wolnym, ni służyć królowi.
Pod jej rządem nagrodził Angielczyk swe szkody,
Ich żyzne pola płodne okrywają trzody.
Kwitnie rolnictwo, handel i przemysł górują,
Boją się ich na lądzie, na morzu panują.
Ich floty oceanów zajmują równiny
I z obu krańców świata przynoszą daniny.

Londyn, wprzód barbarzyński, dzisiaj sztuk stolica,
Magazyn Europy i Marsa świątnica;
W murach Westminster widać było połączone
Trzy władze, same związkiem swoim zadziwione:
Król, panowie i z ludu osoby wybrane,
Rozdzielne interesem, prawem pojednane, —
Trzy członki, składające ogromność tej rady,
Groźnej dla siebie samej, trwożącej sąsiady.
Szczęśliwy lud, gdy święcąc praw swoich obrazy,
Szanuje, ile winien, zwierzchności rozkazy!
Szczęśliwy, gdy król mądry, dobry i łaskawy,
Szanuje, ile winien narodu ustawy!
„Ach! krzyknął Henryk, kiedyż Francuzów narody
W pokoju równej będą używać swobody!
Jaki to dla was przykład, możne świata trony!
Jedna niewiasta kościół zamknęła Bellony,
A odsyłając do was śmierć i spustoszenia,
Została ludu swego celem uwielbienia!“

b) Zamordowanie Coligny'ego. (Pieśń II).

Tymczasem się fatalna godzina zbliżyła,
Którą Medicis do tej sceny przeznaczyła.
Znak dany bez hałasu w największym sekrecie,
Noc głucha panowała na uśpionym świecie
I księżyc, nie chcąc widzieć okropności tyle,
Zdawał się drżące światło zakrywać na chwilę.
Coligny odpoczywał, wolny podejrzenia;
Sen lał na jego zmysły balsam pocieszenia
I przyjemnem marzeniem duszę jego łudził,
Gdy go nagle straszliwych krzyków zgiełk przebudził.
Wstaje, patrzy dokoła, widzi z każdej strony
Pałac swój gromadami zbójców otoczony.
Huczące wszędy ognie, dach jego w płomieniu,
Oręże błyskające i lud w poburzeniu.
Widzi swych domowników w dymie uduszonych,
Widzi tysiące zbrodniów łupem zapalonych,
Co krzyczeli: „Niechaj krwi leją się potoki!
Te są Boga, Medicis i króla wyroki“.
Imię Coligny w krzykach zdrajców się rozlega.
Zdaleka on młodego Teligny spostrzega.
Teligny, ten małżonek bohatera córy,
Nadzieja jego strony i domu podpory,
Co przeszyty razami, lejąc krew obficie,
Próżno wołał o zemstę i zakończył życie.
Widzi rycerz, że z toni tej trudno wypłynąć,
Widzi, że trzeba zginąć i bez zemsty zginąć.
Niedostępny bojaźni, przytomny i śmiały
Chciał umrzeć z całym blaskiem wielkości i chwały.

Już tłum zbójców, któremi zapał powodował,
Szedł łamać drzwi pokoju, gdzie się on znajdował,
Lecz on sam im otwiera, stając przed ich kołem
Z tą szanowną postacią, z tem pogodnem czołem,
Z którem wśród bitwy dzielny i przytomny wszędy
Przyśpieszał lub wstrzymywał żołnierza zapędy.
Wzruszeni tą postawą, tem spokojnem okiem
Zbójcy, uszanowaniem przejęci głębokiem,
Stanęli... Bóstwo jakieś wściekłość im odjęło.
„Kamraci, rzecze do nich, kończcie wasze dzieło
I krwią moją wpółskrzepłą zbroczcie siwe włosy,
Co lat czterdzieści wojen szanowały losy;
Uderzcie!... Coligny chętnie wam przebaczy,
Oddaje wam to życie, które mało znaczy,
I tę krew, co, was broniąc, byłaby wylana“...
Na te słowa tygrysy padną na kolana:
Serca ich, pełne złości, strach przenika srogi,
Rzucają broń, ściskają bohatera nogi...
I Coligny w straszliwem swych zabójców gronie
Zdawał się być monarchą, siedzącym na tronie.
Besme[1]), który chciwie w Luwrze ofiary swej czekał,
Zdziwiony, że się długo występek odwlekał,
Przybiega, chcąc przyśpieszyć skutek gniewu swego:
Widzi zbójców, którzy drżą u nóg Coligny'ego.
Ten tkliwy widok najmniej zbrodnia nie porusza,
Jego tylko litości nieprzystępna dusza;
Służąc Medicis, zrzekł się ludzkości i cnoty
I w dzikiem sercu zgłuszył sumienia zgryzoty...
Pcha się, drżących zabójców zatrudniony tłokiem,
A Coligny go czekał z niezmienionem okiem.
Wtenczas nikczemnik zjadły do niego przyskoczy
I zanurza miecz w sercu, odwracając oczy:
Gdyż inaczej wejrzeniem owa twarz wspaniała
Byłaby wściekłość jego duszy odebrała.
Największego z Francuzów taki był los smutny.
Po śmierci zwłoki jego krzywdzi lud okrutny.
Ciało jego pokłute i niepogrzebione
Na pastwę dzikim ptakom było wystawione.
Besme tymczasem uciętą bohatera głowę,
Zdobycz, zgrożną pamięci, zaniósł przed królowę.

**c) Fanatyzm pobudza Jakóba Clement do zamordowania Henryka III.** (Pieśń V).

Zawsze, by łatwowierność uwodzić pozorem,
Ukrywał się pod świętym kapłanów ubiorem;

[1]) Niemiec na służbie Gwizyuszów.

Lecz teraz, aby nowe wykonać zamiary,
Nową bierze postawę i nowe maszkary.
Zuchwałość, przemysł, sztuka sprężyn swych porusza
I daje tej potworze postać Gwizyusza[1]),
Owego Gwizyusza, Francyi tyrana,
Naczelnika spiskowych, króla swego pana,
Który po śmierci nawet możny, niespokojny,
Nurzał całą Francyę w okropnościach wojny.
Straszliwym hełmem okrył wyniosłą swą głowę,
Żelazo trzymał w ręku do mordów gotowe;
W piersiach jego widoczne były owe rany,
Któremi niegdyś w Blois był zamordowany,
A krew, która się z onych potokami lała,
Zemsty na Walezego wzywać się zdawała.
W tymto smutnym ubiorze wymierza swe kroki
I wśród ciszy, którą sen sprawuje głęboki,
Przychodzi do Clementa pustyni odludnéj.
Zabobon, uprzedzenie tudzież fałsz obłudny,
Dzika gorliwość, co swój zapał rozpościera,
Czuwała u drzwi jego i one otwiera.
Wchodzi i głosem pełnym powagi i groźby:
Bóg, rzecze mu, wysłuchał twe gorące prośby;
Lecz czyż od gorliwości twej i przywiązania
Otrzyma tylko skargi i próżne wołania?
Bogu, co wspiera Ligę, innych ofiar trzeba;
Od ciebie to zależy, o co prosisz nieba.
Gdyby niegdyś ta Judyt, co kraj swój zbawiła,
Łzy tylko swoje była Bogu poświęciła;
Gdyby się życia swego straty obawiała,
Byłaby Betulię w popiołach widziała.
Oto jest święty przykład do naśladowania,
Oto ofiara godna twego powołania.
Ale widzę twarz twoją wstydem zrumienioną;
Spiesz się, biegnij i ręką we krwi poświęconą,
Wywracając tron, który zbrodnie zbudowały,
Mścij się za Rzym, za Paryż, za mnie i świat cały.
Walezyusz zabójstwem zbył się mnie niegodnie,
Karzmy tymże sposobem króla tego zbrodnie.
Lecz stając się zabójcą w kościoła potrzebie,
Co jest zbrodnią dla niego, zasługą dla ciebie.
W sprawie Boga krok każdy staje się godziwy,
Zdrada wtedy chwalebna i mord sprawiedliwy.
Co mówię? niebo każe zabić tę poczwarę
I twym rękom tę świętą powierza ofiarę:

---

[1]) Henryka Gwizyusza, zwanego Kresowatym (Balafré), zamordowanego w Blois z woli Henryka III.

Szczęśliwy! gdybyś zdołał za jednym zamachem
Połączyć Nawarczyka i wstrząść całym gmachem...
By Francya, pozbywszy się tyranów plemienia,
Mogła... ale nie ten jest wyrok przeznaczenia!
Burbon jeszcze żyć będzie, różnych odmian świadek;
Bóg innym rękom jego polecił upadek.
Ty zaś dopełń rozkazy świata Stworzyciela
I przyjm ten upominek, który ci udziela".
Potwora na te słowa zabłysnęła mieczem,
Który zawiść skropiła piekielnym rozcieczem,
I złożywszy w Clementa ręce dar śmiertelny,
Zniknęła i w nocy się pogrzebła piekielnéj.

*(Euzebiusz Słowacki).*

Z Woltera na język polski tłómaczyli: »Zairę« K. Wolski (Warszawa, 1801) i Fr. S. Dmochowski w „Pismach wierszem i prozą" (Warszawa, 1827), »Meropę« J. Drozdowski (Warszawa, 1803), »Henryadę« J. K. Chodani (Kraków, 1803), E. Słowacki (Warszawa, 1803) i J. Dębowski (Warszawa, 1805), »Sierotę chińskiego« St. Trembecki (»Poezye«) i J. Radowicki (Warszawa, 1806); »Rzym wyzwolony« J. Stawiarski (Warszawa, 1807) i P. Czajkowski (Kraków, 1818), »Śmierć Cezara« A. Wybranowski (Lublin, 1815), »Semiramis« Ch. (Warszawa, 1830), »Katylinę« S. Laskowicz (Wilno, 1836), »Alzyrę« L. Osiński („Pisma", Warszawa, 1861, tom I) i A. Jankowski (Warszawa, 1853).

## XIII. Jan Jakób Rousseau.

### I. Nowa Heloiza.

Jest to romans w listach na 6 części podzielony. Julia, córka uczciwych rodziców, młoda, niedoświadczona, obłąkana namiętnością, daje się uwieść młodzieńcowi niższego od siebie stanu, nazwiskiem Saint-Preux, na połączenie się z którym rodzice Julii nigdyby się nie zgodzili. Dziewczyna czuje swe poniżenie; młodzieniec wie, że jest podłym domowym uwodzicielem; oboje tracą spokój i przechodzą cierpką szkołę cierpienia i udręczeń, które powiększają jeszcze wyrzuty sumienia i poczucie własnej winy. Julia, rozłączona z ukochanym, ale nie z miłością, staje w krytycznej dobie dla swego szczęścia. Po jednej stronie — cnota, obowiązek, przywiązanie dziecięce do rodziców albo raczej do ojca (gdyż matka najwinniejsza upadku córki odumiera ją w tej stanowczej chwili), po drugiej stronie — kochanek nieszczęśliwy a wierny i miłość ze wszystkiemi swemi ułudami. Lord Edward, przyjaciel ukochanego Julii, proponuje jej wykradzenie się, dając jej bezpieczne i rozkoszne schronienie. Ale Julia nie chce opuścić ojca i odrzuca tę propozycyę. Ojciec wymaga od niej, by wyszła za znacznie starszego i niekochanego Wolmara; serce się jej wzdryga, a jednak wypełnia wolę rodzica, uważając tę ofiarę za słuszne wynagrodzenie ze strony złej córki... Lecz właśnie to, co za śmierć poczytywali, staje się dla niej nowem życiem; w atmosferze cnoty, przywiązania ojca, szacunku męża i swojego własnego, czuje się podniesioną z poniżenia, odradza się. Odtąd życie Julii jest strumieniem przejrzystym, który się wydostał niepowrotnie z mętnego źródła. Jako żona cnotliwa, przyznaje się mężowi do błędów młodości i zyskuje ufność jego bez umniejszenia przywiązania. Czuła i rozsądna matka, najtkliwsza córka, najlepsza przyjaciółka, kobieta zakochana w życiu domowem i cichem, ziemianka, umiejąca czuć wszystkie przyjemności życia wiejskiego, przykładna i religijna, pędzi życie bez cienia winy; a śmierć jej jest ofiarą miłości macierzyńskiej, przyczem nakłania męża do porzucenia wyznawanej przez siebie błędnej filozofii i zwrócenia się do religii.

Przytaczamy tu dwa wyjątki; list młodzieńca po otrzymaniu wyznania Julii, że go kocha; oraz wyjątek z listu, malujący krajobraz szwajcarski i uczucia obojga po latach dziesięciu.

Saint-Preux do Julii (początek części I).

Potęgi niebieskie! miałem dotychczas jedną duszę dla cierpienia, dajcie mi drugą dla szczęścia. Miłości, życie duszy, przybądź podtrzymać moją blizką omdlenia. Niewypowiedziany wdzięku cnoty, niezwalczona siło głosu tego, co się kocha, szczęście, radości, uniesienia, jakże ciosy wasze są dojmujące! któż może wytrzymać ich nacisk? O, jakże wydołać strumieniowi rozkosznemu, co zalał me serce? jak odpokutować za niepokoje trwożliwej kochanki? Julia... nie; moja Julia na klęczkach, moja Julia łzy wylewa!... Ta, której wszechświat hołdy składać-by winien, błaga człowieka uwielbiającego ją, by sam się nie bezcześcił. Gdybym mógł gniewać się na ciebie, zrobiłbym to, za twoje obawy, co nas upadlają. Osądź lepiej, piękności czysta i niebiańska, naturę twej władzy. Ach, jeśli uwielbiam wdzięki osoby twojej, to czyż nie przedewszystkiem za to znamię duszy niepokalanej, jakie ją ożywia, a której wszystkie rysy noszą boską tę cechę? Lękasz się, byś nie uległa moim zabiegom; lecz jakichże zabiegów obawiać się może ta, co powleka szacunkiem i uczciwością wszystkie uczucia, jakie wzbudza? Czyż jest na ziemi jaki człowiek dość podły, by się ośmielił uzuchwalić względem ciebie?

Pozwól, pozwól, niech się rozsmakuję w niespodzianem szczęściu, że jestem kochany... kochany przez tę... Tronie świata, o ileż niżej od siebie cię widzę! Niech odczytam po tysiąc razy ten list cudowny, w którym miłość twoja i twoje uczucia wyrażone są ognistemi głoskami, z którego pomimo całego uniesienia serca wzburzonego widzę z przejęciem, jak dalece w duszy uczciwej najżywsze nawet namiętności zachowują przecież święty charakter cnoty! Jakiż potwór, przeczytawszy ten list wzruszający, mógłby korzystać z twego stanu i czynem najdosadniejszym zaświadczyć swoją głęboką pogardę dla siebie samego? Nie, droga kochanko, miej ufność w wiernym przyjacielu, który niezdolnym jest oszukiwać ciebie. Chociaż rozum utraciłem na zawsze, chociaż zamęt zmysłów moich rośnie z każdą chwilą, osoba twoja jest odtąd dla mnie najbardziej uroczym, ale i najświętszym skarbem, jakim śmiertelnik był kiedykolwiek uczczony. Płomień mój i jego przedmiot zachowają razem czystość nienaruszoną. Przed targnięciem się na twoje wdzięki dziewicze wzdrygnąłbym się bardziej niż przed podłym gwałtem, nie więcej miałabyś niezłomnego bezpieczeństwa ze swoim ojcem, jak ze swoim kochankiem. O! jeśliby ten szczęśliwy kochanek zapomniał się na chwilę wobec ciebie... Kochanek Julii miałby duszę wstrętną! Nie, kiedy przestanę kochać cnotę, już cię kochać nie będę; za pierwszą moją nikczemnością nie chcę, żebyś mię dłużej kochała.

Nabierz więc pewności, zaklinam cię w imię tej czułej i czystej miłości, jaka nas łączy; ona powinna ci zaręczyć za moją wstrzemięźliwość i za mój szacunek; ona ci powinna odpowiadać za samą siebie. I dlaczegoż obawy twoje miałyby iść dalej niż moje pra-

gnienia? Za jakiemże innem szczęściem miałbym wzdychać, jeśli całe serce moje zaledwie wystarcza temu, jakiego doznaje? Młodziśmy oboje, to prawda; kochamy po raz pierwszy i jedyny w życiu i nie mamy doświadczenia żadnego w sprawie namiętności; ale honor, który nas prowadzi, czyż jest przewodnikiem zwodniczym? czyż on potrzebuje podejrzanego doświadczenia, które się zdobywa jedynie przez występki! Nie wiem, czy się nie łudzę, ale zdaje mi się, że uczucia prawe są wszystkie w głębi mego serca. Nie jestem wcale podłym uwodzicielem, jak mię nazywasz w swej rozpaczy, ale człowiekiem prostym i uczuciowym, który łatwo okazuje to, co uczuwa, a nie uczuwa nic takiego, za coby się mógł rumienić. Mieszcząc wszystko w jednem słowie, nienawidzę występku bardziej jeszcze niż kocham Julię. Nie wiem, nie, nie wiem nawet, czy miłość, którą wzbudzasz, da się pogodzić z zapomnieniem o cnocie, i czy jaka inna dusza prócz uczciwej może uczuć dostatecznie wszystkie twoje powaby. Co do mnie, im bardziej się przejmuję niemi, tem wyżej uczucia moje się wznoszą. Jakiegoż dobra, którcgobym nie zrobił dla niego samego, nie zrobiłbym teraz, by się stać godnym ciebie! Ach, racz się powierzyć ogniom, które we mnie wzniecasz i które umiesz tak dobrze oczyszczać; wiesz, iż wystarcza moje uwielbienie dla ciebie, by na zawsze szanować ten skarb cenny, jakim mnie obdarzyłaś. O! jakież to serce mam posiadać! Prawdziwe szczęście, chwała tego, co się kocha, tryumf miłości, która się szanuje, ileż ty więcej ważysz niż wszystkie jej rozkosze!

### Z listu Saint-Preux do lorda Edwarda (koniec części IV).

(Mamy tu opis schronienia, w którem przebywał czas jakiś Saint-Preux po opuszczeniu domu rodziców Julii, a które po latach dziesięciu zwiedza wraz z Julią, już wtedy mężatką i matką. Wioska Meillerie leży nad jeziorem genewskiem, które przebywają łódką).

Rozkosz sobie sprawiałem, mając pokazać dawne pamiątki namiętności tak stałej i tak nieszczęśliwej.

Dostaliśmy się tam po godzinie pochodu ścieżkami krętemi i wilgotnemi, które wznosząc się nieznacznie między drzewami a skałami, to miały w sobie najniedogodniejszego, że się bardzo długo ciągnęły. Zbliżając się do mych dawnych świadków i poznając ich, blizki byłem omdlenia, ale się przezwyciężyłem, ukryłem zmieszanie — przybyliśmy. Ta samotnia tworzyła zabytek dziki i pusty, ale pełny tego rodzaju piękności, które się podobają jedynie duszom czułym, gdy innym wydają się okropnemi. Strumyk utworzony przez topnienie śniegów, toczył o dwadzieścia kroków od nas wodę błotnistą i unosił z łoskotem muł, piasek i kamienie. Po za nami łańcuch skał niedostępnych oddzielał polankę, na której się znajdowaliśmy od tej części Alp, które nazywają Lodowcowemi (*les Glacières*), ponieważ olbrzymie kupy lodów nieustannie wzrastające pokrywają je od początku świata. Bory czarnych jodeł po prawej stronie smutnie nas ocieniały. Wielki las dębowy ciągnął się na

lewo po drugim brzegu strumyka; a pod nami ta olbrzymia płaszczyzna wodna, jaką tworzy jezioro w łonie Alp, oddzielała nas od bogatych wybrzeży kraju Vaud, w którym wierzchołkiem majestatycznej Jury uwieńczał się ten obraz.

Wśród tych wielkich i wspaniałych przedmiotów, mały kawałek gruntu, na którym byliśmy, roztaczał powaby zacisza wesołego i wiejskiego; kilka strumyków spływało poprzez skały i rozlewało się po zieleni kryształowemi sznurkami; kilka dzikich drzew owocowych schylało swe głowy nad naszemi; ziemia wilgotna i chłodna, pokryta była ziołami i kwiatami. Porównywając ten tak miły zakątek z otaczającemi go przedmiotami, zdawało się, że miejsce to puste powinnoby być schronieniem dwojga kochanków, którzy sami jedni uszli przed wstrząśnieniem przyrody.

Kiedyśmy się dostali do tego zacisza i kiedym czas jakiś mu się przypatrywał, rzekłem do Julii, patrząc na nią okiem zwilżonem:

— Jakto! serce twoje nic ci tutaj nie mówi i nie czujesz jakiego tajemnego wzruszenia na widok miejsca tak pełnego ciebie?

A potem, nie czekając jej odpowiedzi, poprowadziłem ją ku skale i pokazałem imię jej wyryte w tysiącznych miejscach i mnóstwo wierszy Petrarki i Tassa, stosownych do położenia, w jakiem się znajdowałem, kreśląc je tutaj. Przypatrując się im po tylu latach, przekonałem się, jak obecność przedmiotów może potężnie wskrzesić namiętne uczucia, jakiemi byliśmy wobec nich miotani. Rzekłem do niej z niejaką gwałtownością:

— O, Julio, wieczny powabie serca mego! oto miejsca, gdzie wzdychał niegdyś za tobą najwierniejszy w świecie kochanek; oto schronienie, gdzie twój drogi obraz stanowił jego szczęście i przygotowywał to, jakie otrzymał nakoniec od ciebie. Wtedy nie było tutaj ani tych owoców, ani tych cieni; zieleń i kwiaty nie wyścielały tych siedzib, bieg tych strumyków nie dokonywał podziału tychże; te ptaki nie popisywały się ze swoim śpiewem; żarłoczny krogulec, ponury kruk i straszny orzeł alpejski same tylko napełniały te jaskinie wrzaskami; niezmierne bryły lodu wisiały na tych wszystkich skałach! festony śnieżne były jedyną ozdobą tych drzew: wszystko dyszało tutaj grozą zimy i okropnością śrzeżogi; ognie tylko serca mojego znośnem mi czyniły to miejsce, a dni całe schodziły mi na myśleniu o tobie. Oto kamień, na którym siadywałem, by patrzeć zdala na szczęśliwe miejsce twego pobytu; na tym pisałem list, który wzruszył twe serce; te ostre krzemienie służyły mi za rylec do wyrzynania imienia twojego; tutaj przechodziłem zamarznięty potok, by pochwycić jeden z twych listów, unoszony wichrem; tam poszedłem, by odczytać i tysiąckrotnie ucałować ostatni list do mnie napisany przez ciebie; oto brzeg, skąd okiem chciwem a ponurem mierzyłem głąb tych przepaści; nakoniec tutaj to przed moim smutnym odjazdem przyszedłem opłakiwać ciebie umierającą i przysiądz, że cię nie przeżyję. Kobieto zbyt stale kochana, o ty, dla której ja się zrodziłem, czyż trzeba było, bym się

wraz z tobą znalazł w tych samych miejscach i żałował tego czasu, jaki tu przepędziłem, jęcząc nad twoją nieobecnością!..

Chciałem mówić dalej; Julia atoli, która widząc, że się zbliżam do brzegu, przestraszyła się i chwyciła mię za rękę, ścisnęła ją nie mówiąc ani słowa, lecz patrząc na mnie czule i powstrzymując z trudnością westchnienie; potem nagle odwracając oczy i ciągnąc mię za ramię, rzekła głosem wzruszonym:

— Odejdźmy, mój drogi, powietrze tego miejsca nie służy mi.

Odszedłem wraz z nią, jęcząc, lecz nic nie odpowiadając i opuściłem na zawsze to smutne schronisko, jak gdybym opuszczał samą Julię.

Wróciwszy zwolna do przystani, po kilku obrotach rozłączyliśmy się. Ona chciała być samą, a ja przechadzałem się w dalszym ciągu, nie wiedząc naprawdę, dokąd idę. Gdym powrócił, ponieważ łódź nie była jeszcze gotową, a woda spokojną, spożyliśmy wieczerzę smutno, z oczyma spuszczonemi, z nastrojem marzycielskim, jedząc mało a mówiąc mniej jeszcze. Po wieczerzy usiedliśmy na piaszczystem wybrzeżu, oczekując chwili odpłynięcia. Nieznacznie wszedł księżyc, woda się uspokoiła, a Julia zaproponowała odjazd. Podałem jej rękę, by wejść do łódki, a siadając obok niej, nie myślałem o puszczeniu ręki. Zachowywaliśmy głębokie milczenie. Równe i miarowe uderzenia wioseł pobudzały mię do marzeń. Dosyć wesoły głos krzyków, odtwarzając mi rozkosze innego wieku, zamiast mię rozweselić, smutkiem mię przejmował. Powoli uczułem wzrost melancholii, którą byłem przygnębiony. Niebo pogodne, świeżość powietrza, łagodne promienie księżyca, srebrzyste drgania, jakiemi woda wkoło nas błyszczała, napływ wrażeń najprzyjemniejszych, nawet obecność osoby ukochanej, nic nie mogło oddalić z mego serca tysiąca uwag bolesnych.

Rozpocząłem od przypomnienia sobie przechadzki, podobnież odbytej niegdyś wraz z nią w czasie uroku pierwszych objawów miłości. Wszystkie rozkoszne uczucia, jakie wtedy napełniały mą duszę, wskrzesły teraz, by ją zasmucić; wszystkie wypadki młodości naszej, nasze nauki, nasze rozmowy, nasze listy, nasze schadzki, nasze zabawy

*E tanta fede, e si dolce memorie*
*E si lungo costume;* [1])

te tłumy drobiazgów, co mi odtworzyły obraz minionego szczęścia; wszystko powracało, by zwiększyć nędzę obecną i zająć miejsce w mojej pamięci.

— Skończyło się — mówiłem sam do siebie — te czasy, te czasy szczęśliwe już minęły, już znikły na zawsze. Niestety! już nie wrócą; a przecież żyjemy, a przecież jesteśmy razem i serca nasze są wciąż zjednoczone!

Zdawało mi się, że cierpliwiej zniósłbym jej śmierć lub nieobecność i żem mniej się dręczył przez cały ten czas, kiedym był

[1]) „I ta wiara tak czysta i te słodkie wspomnienia i ta długa zażyłość“ (Metastazyusz).

zdala od niej. Kiedym jęczał w oddaleniu, nadzieja zobaczenia jej znowu krzepiła mi serce; wmawiałem w siebie, że jedna chwila jej obecności zatrze wszystkie me bóle; poczytywałem przynajmniej za rzecz możliwą stan mniej okropny od mojego; lecz znajdować się przy niej, lecz ją widzieć, dotykać jej, mówić do niej, kochać ją, uwielbiać, i prawie posiadając ją jeszcze, czuć ją straconą na zawsze dla mnie: to wywoływało we mnie przystępy wściekłości i szaleństwa, które wzburzały mię stopniowo aż do rozpaczy. Niebawem zacząłem obracać w swej myśli zamiary straszliwe i w uniesieniu, na które zadrżałem myśląc o niem, chwytała mię gwałtowna pokusa, pociągnąć ją wraz z sobą w głębie i w jej objęciach zakończyć swe życie i swe długie katusze. Ta okropna pokusa stała się w końcu tak silną, żem był zmuszony puścić nagle jej rękę i przejść na przód łódki.

Tam namiętne moje wzburzenie zaczęło innym biedz torem; łagodniejsze uczucie zwolna przedostawało się do mej duszy; rozczulenie przemogło rozpacz, zacząłem wylewać strumienie łez, a stan ten w porównaniu z dopiero co minionym, miał w sobie rozkosz niejaką; płakałem silnie, długo i doznałem ulgi. Kiedym się już znacznie uspokoił, wróciłem do Julii, wziąłem ją znowu za rękę. Trzymała chusteczkę, uczułem, że była bardzo zwilżona.

— Ach, — rzekłem do niej pocichu — widzę, że serca nasze nigdy nie przestały się rozumieć.

— To prawda — odpowiedziała głosem zmienionym; — ale niech to będzie po raz ostatni, że przemówiły tym tonem.

Zaczęliśmy wtedy rozmawiać spokojnie, a po godzinie żeglugi przybiliśmy do brzegu bez innego wypadku. Kiedyśmy weszli do domu, spostrzegłem przy świetle, że miała oczy czerwone i mocno nabrzmiałe. I ona zapewne nie znalazła mnie w lepszym stanie. Po zmęczeniu dnia tego, ona potrzebowała spoczynku; oddaliła się, a ja poszedłem spać.

Oto, mój przyjacielu, szczegóły z jednego dnia życia mojego, w którym odczułem bez wyjątku najżywsze wzruszenia. Mam nadzieję, że one stanowić będą przesilenie, które mię całkowicie uczyni panem siebie. Zresztą powiem ci, że ta przygoda więcej niż wszelkie rozumowania przekonała mię o wolności człowieka i o wartości cnoty. Ileż to ludzi doznaje słabych pokus a ulega! Co do Julii, oczy moje to widziały i serce moje odczuło, stoczyła ona w dniu tym największą walkę, jaką dusza ludzka stoczyć może, a jednak zwyciężyła. Ale cóż ja zrobiłem, żem pozostał tak daleko od niej! O, Edwardzie, kiedyś ty pociągnięty przez kochankę, umiał zapanować nad jej żądzą i nad swoją, czyż byłeś tylko człowiekiem? Bez ciebie zginąłbym może. Sto razy w tym dniu niebezpiecznym wspomnienie twojej cnoty wróciło mi moją.

*(P. Chm.).*

## 2. Pigmalion (scena liryczna).

Rzeźbiarz Pigmalion, wykończywszy posąg nimfy Galatei, którą pod względem piękności zrównał z Wenerą, czuje przygnębienie straszne, boleje nad upadkiem swego talentu, do niczego bowiem nowego zabrać się nie może. Nie pojmuje własnego stanu:

Ani skry geniuszu we mnie nie zostaje!
Młody.. przeżyłem siebie, straciłem me siły...
Lecz co za ogień wkradł się w moje żyły?
Że się cały gorzeć zdaję...
Jakże w oziębłej myśli, w dowcipie stępionym
Czują się te poruszenia?
Te namiętności nagłe uderzenia?
Podlegaż człek tak szybko odmianom szalonym?
Ta niespokojność okrutna,
Która duszę moją trawi...
I ta nadzieja smutna,
Której umysł przyczyny sobie nie wystawi...
Bałem się, by w podziwieniu
Własnego mojego dzieła
Rozpacz mię jaka nie wzięła
O innych robót dalszem powodzeniu:
Schowałem je pod zasłonę
I ręce moje śmiały
Zakryć swój zaszczyt cały
I tę wdzięczną pamiątkę odłożyć na stronę?
Nic mi to nie pomogło przejrzenie subtelne,
Smutniejszy odtąd jestem, lecz nie mniej leniwy.

Lecz jak mi drogie jesteś dzieło nieśmiertelne,
Jak-em z tobą jest szczęśliwy!
Gdy mój dowcip darmo się będzie sposobił,
By co mnie godnego zrobił;
Wtenczas się pokażę światu,
I rzeknę: nieszczęście mi sławy nie odjęło,
Bo oto jest dawne dzieło
Pigmaliona warsztatu.

Ach, Galateo! kiedy smutną próbą
Nic wcale dla mnie nie będzie na świecie,
Ty mi zostaniesz przecie
I będę się cieszył tobą.

Przybliża się do zasłoniętego posągu, chce zdjąć zasłonę, zrazu cofa się z przestrachem, ale nabrawszy śmiałości, staje przed statuą, wypowiadając swoje dla niej uwielbienie. Pragnąłby coś w posągu poprawić, ale za pierwszem uderzeniem dłuta, doznaje wrażenia, jakby godził w ciało żywe. Tak ciało piękne, ale brak mu duszy. Gotów własną oddać, byleby Galatea żyła; ale nie... wtenczas nie mógłby odczuć, czem dzieło jego zostało. Modli się więc do Najwyższej Istoty, by jak wszystko do bytu powołała, tak i ten marmur iskrą życia natchnęła.

Ogniu niebieski! Dzielności wszechmocna!
Którym się wszystko żywo, wszystko utrzymywa,
Twa moc dziś jest bezowocna,
Twa waga niesprawiedliwa.
W czuciu, którego doznaję,
Krzywda się czyni naturze,
W mem sercu wszystek ogień zostaje,
A śmierć zimna na marmurze.
(Żywiej). Ten mię zbytek życia dusi,
Na którym mu dotąd zbywa...
Ale się Pigmalion cudu nie spodziéwa.
Już cud jest... i przestać musi...
To porządku przewrócenie
Zbyt znieważa przyrodzenie...
Niech twoja dzielność łaskawa
Powróci mu dawne prawa;
Do zupełności na świecie
Na dwóch istotach mu schodzi.
Między dwa serca podziel ogień przecie,
Co nie żywi jednego, a drugiemu szkodzi...
Tyś kierowała ruszeniem mej ręki,
Kiedym te formował wdzięki.
Dzisiaj im zbywa na duszy,
Ja im życia mojego połowy nie skąpię,
Bierz ją, a jeśli to ich jeszcze nie poruszy,
I całego im ustąpię...

[redacted] przychodzi do siebie, ogarnia go jakaś radość nieokreślona; zdaje mu [redacted] ę. A jakkolwiek nadzieja cudu go opuszcza, nie rozpacza już jak przedtem [redacted] nie śmie spojrzeć na posąg, gdyż ilekroć rzuci nań oczy, serce mu drży a bojaźń zawraca głowę. Dodaje sobie odwagi, by spojrzeć na »kamień nieżywy«. Ale właśnie wówczas spostrzega, że kamień ten ożył:

Bogowie! cóżem widział? lub co mi się zdało?
Żywość w oczach, ruszenie, zrumienione ciało...
Nie dosyć, że się cudów spodziewałem,
Na spełnienie mej nędzy... oto je widziałem.
Jużem zginął... Nieszczęśliwy!
Szaleństwo rozum wygania...
Lecz się nie skarżę na ten los nielitościwy.
Strata jego od hańby przecie mię zasłania...
Jestto łaska przyrodzenia.

Widząc ruszającą się i zstępującą Galateę, klęka, wznosi ręce i oczy ku niebu. Galatea wymawia słowo: Ja i Pigmalion rozpłomieniony powtarza je jak echo, a potem dodaje:

.... Ty, co łudzisz me uszy szczęśliwie,
Śliczna obłudo! zostań na wieki w mej głowie.

*Galatea* (dotykając marmuru). Już to nie ja...

Pigmalion pomieszany zważa na każdy ruch ożywionego posągu. Galatea zbliża się ku niemu, a on wyciąga ręce do niej, poglądając na nią z zachwytem. Galatea dotyka się go; on pełen radości, bierze jej rękę, przyciska ją do serca i żywo ją całuje.

*Galatea* (z westchnieniem): Ja jeszcze...
*Pigmalion*. .... Tyś jest moje życie,
Ty mych rąk, mego serca, bogów pierwsze dzieło.
Tobiem me poświęcił bycie,
Bo dla ciebie istność wzięło.
*(Tomasz Kajetan Węgierski).*

## XIV. August Beaumarchais.

### Małżeństwo Figara.

Rzecz dzieje się w zamku hrabiego Almawiwy, który po trzech latach małżeństwa z Rozyną, czuje się trochę znudzony jednostajną miłością i poszukuje przygód. Zuzanna, pokojówka jego żony, wpada mu w oko. Ma ona wyjść za Figara, który niegdyś dopomógł Almawiwie do wydostania Rozyny z pod ciężkiej i przykrej opieki doktora Bartolo. Właśnie w dzień ślubu hrabia pragnie mieć schadzkę z Zuzanną, która uwiadamia o tem swą panią. Ta w jej sukni idzie na umówione miejsce, a ponieważ i inne osoby z różnych powodów tam się znalazły po ciemku, następuje dużo scen wesołych z powodu nieporozumień, a zaprawionych sarkazmem przeciw możnym, którym wszystko wolno. Almawiwa upokorzony, błaga żonę na klęczkach o przebaczenie, a Figaro żeni się z Zuzanną. Przebiegłość, spryt, złośliwość Figara wydatnieją tu w całej sile. Z tego też powodu przytaczamy dwie sceny, w których charakter jego ukazuje

Akt III, scena V.

*Hrabia*. Lokaje tutaj dłużej się ubierają niż pa[illegible]
*Figaro*. Bo nie mają służących, coby im w tem p[illegible]
*Hrabia*. Chciałem... tak jest chciałem cię wziąć z[illegible] do Londynu, jako kuryera do depesz... ale po bliższem zastanowieniu...
*Figaro*. Jaśnie wielmożny pan zmienił zdanie?
*Hrabia*. Przedewszystkiem nie umiesz po angielsku.
*Figaro*. Umiem: *Goddam*.
*Hrabia*. Nie rozumiem.
*Figaro*. Powiadam, że umiem: *Goddam*.
*Hrabia*. Więc?
*Figaro*. Do kaduka! toż to piękny język ten angielski; mało go potrzeba, aby zajść daleko. Z *Goddam* w Anglii można dostać wszystkiego. — Chcesz posmakować tłustego kurczaka? wejdź do oberży i zrób tylko ten giest przed posługaczem *(naśladuje obracanie rożna)*. *Goddam!* Przynoszą ci wędzonkę bez chleba. Cudowne! Pragniesz się napić haust wybornego burgunda lub klaretu? dość tego jeno *(niby otwiera butelkę)*. *Goddam!* dają ci garnek piwa, piękny cynowy, z pianką po brzegach. Co za przyjemność! Spotkasz którą z tych ładnych kobietek, co to chodzą drobnym kroczkiem, z oczyma spuszczonemi, z łokciami w tył i troszkę się firtając? Połóż no z uśmieszkiem wszystkie palce razem na swych ustach.

A, *Goddam!* przylepi ci taki policzek jak tragarz — dowód, że rozumie. Co prawda, Anglicy dodają tu i owdzie parę innych wyrazów w rozmowie; ale łatwo zauważyć, że *Goddam* jest gruntem języka; i jeżeli jaśnie pan nie ma innego powodu do pozostawienia mnie w Hiszpanii..

*Hrabia.* ...Niegdyś, mówiłeś mi wszystko.

*Figaro.* A teraz nie ukrywam nic przed panem.

*Hrabia.* Dlaczego we wszystkiem, co robisz, jest coś mętnego.

*Figaro.* Bo kiedy koniecznie doszukujemy się winy, znajdujemy ją wszędzie.

*Hrabia.* Przeklęta reputacya!

*Figaro.* A jeżelim ja wart więcej od niej? Czyż dużo znajdzie się wielkich panów, coby to samo powiedzieć mogli?

*Hrabia.* Sto razy widziałem cię pędzącego za majątkiem, aleś nie szedł prosto

*Figaro.* Jakże pan chcesz? Toż tam tłumno; każdy chce biedz, śpieszą się, popychają, biją łokciami, przewracają; a przybywa, kto może, inni — zgnieceni... Tak to jest; co do mnie, wyrzekam się tego.

*Hrabia.* Mienia?... *(na stronie)*, a to coś nowego.

*Figaro (na stronie).* Na mnie teraz kolej. *(Głośno).* Jaśnie wielmożny pan raczył mi powierzyć murgrabstwo zamku; to los bardzo ładny; co prawda, nie będę uprzywilejowanym kuryerem zajmujących nowin; ale za to szczęśliwy wraz z żoną w głębi Andaluzyi.

*Hrabia.* Któżby ci bronił zabrać ją z sobą do Anglii.

*Figaro.* Trzebaby ją tak często opuszczać, że niebawem miałbożek dobrobytu małżeństwa powyżej głowy.

tam zapowró- Przy charakterze i rozumie mógłbyś kiedyś awansopozostawiając d

drogi, *Figaro.* Rozum do awansu?... Jaśnie pan kpi z mojego. Być miernym i czołgać się — a dojdzie się do wszystkiego

*Hrabia.* ..Trzebaby tylko wystudyować trochę polityki przy mnie.

*Figaro.* Ja ją znam.

*Hrabia.* Jak w angielskim, grunt języka!

*Figaro.* Tak jest, gdyby tu było czem się chlubić. Ale udawać niewiadomość tego, co się wie, a wiedzieć to wszystko, czego się nie zna; rozumieć to, czego się nie pojmuje, nie słyszeć tego, czego się słucha; przedewszystkiem módz ponad siły, mieć często do skrywania tajemnicę, kiedy wcale tajemnicy nie ma; zamykać się dla temperowania piór i wydawać się głębokim, kiedy się, jak to mówią, ma pusto w głowie; odgrywać źle czy dobrze jakąś wielką osobę; rozpuszczać szpiegów i opłacać zdrajców; zdejmować z lekka pieczęcie, przejmować listy i starać się uszlachetnić ubóstwo środków ważnością celu: — oto cała polityka, albo niech zginę.

*Hrabia.* Ba! ty określasz intrygę?

*Figaro.* Polityka, intryga, mniejsza z tem; ale ponieważ je uważam za siostry rodzone, niech się niemi zajmuje kto inny...

Akt V, scena III.

(Figaro sam, w przypuszczeniu, że jego Zuzanna zgodziła się na schadzkę z Hrabią, ponuro usposobiony, przechadza się w ogrodzie wśród ciemności).

O, kobieto, kobieto, kobieto! istoto słaba i zwodnicza! Żadne stworzenie nie może postępować wbrew instynktowi swemu; czyż twoim jest oszukiwanie! W chwili, kiedy daje mi słowo, wśród samejże uroczystości... Śmiał się czytając, przewrotny! a ja jak głupiec!... Nie, panie hrabio, nie dostaniesz jej, nie dostaniesz. Że jesteś wielkim panem, to się już uważasz za geniusz!.. Szlachectwo, majątek, tytuł, urzędy — to wszystko robi tak dumnym! I cóżeś zrobił za dóbr tyle? Raczyłeś się urodzić i nic więcej; boś zresztą człek dosyć zwykły! Tymczasem ja, do djaska, niknąc wśród ciemnego tłumu, musiałem rozwinąć więcej umiejętności i rachuby, aby tylko istnienie utrzymać, niż ich użyto od lat stu do zarządu wszystkich krajów hiszpańskich; a pan chcesz iść w zapasy... Ktoś idzie... to ona.. nie, niema nikogo.. Noc czarna jak szatan, a oto ja pełnię głupie rzemiosło męża, choć jestem nim do połowy tylko! *(Siada na ławce).* Czyż jest coś dziwaczniejszego nad moje losy! Syn nie wiadomo czyj, skradziony przez bandytów, wychowany w ich obyczajach, obrzydzam je sobie i chcę iść drogą uczciwą — wszędzie mię odpychają! Uczę się chemii, aptekarstwa, chirurgii, a cały wpływ wielkiego pana zdołał mi zaledwie włożyć do ręki lancet weterynarski! — Mając dosyć zasmucania chorych zwierząt i chcąc wprost przeciwne uprawiać rzemiosło, rzucam się bez wzglądu [illegible] nic do teatru: lepiej było uwiązać sobie kamień u szyi [illegible] komedyę na tle obyczajów seraju; jako autor hiszpan[illegible] się, że mogę tu bez skrupułów wydrwić Mahometa; [illegible] nie wiem skąd, skarży się, że w wierszach moich ob[illegible] Portę, Persyę, część Półwyspu Indyjskiego, cały Egi[illegible] król[illegible] Barki, Trypolisu, Tunisu, Algieru i Maroka; i oto komedya moja spalona dla przypodobania się władcom mahometańskim, z których żaden, jak sądzę, nie umie czytać, a którzy kaleczą nam łopatki, mówiąc: p s y c h r z e ś c i j a ń s k i e! — Nie mogąc upodlić umysłu, mszczą się, chłoszcząc go. — Policzki mi wpadły, termin mój upłynął; widziałem z daleka, jak nadchodzi straszny woźny, z piórem zatkniętem w peruce; drżąc robię nadzwyczajne wysiłki. Powstaje kwestya o naturze bogactw; a ponieważ nie jest rzeczą konieczną trzymać coś w ręku, aby o tem rozumować, — nie mając ani solda, piszę o wartości srebra i o jego produkcyi czystej; natychmiast widzę z głębi dorożki, jak dla mnie spuszcza się most twierdzy, do której wchodząc straciłem nadzieję i wolność. *(Wstaje).* Jakżebym ja się chciał dobrać do jednego z tych czterodniowych potentatów, tak lekko nakazujących karę, kiedy jakaś tęga niełaska wytrawiła jego dumę! powiedziałbym mu, że głupstwa drukowane tam tylko nabierają znaczenia, gdzie im tamują obieg, że bez swobody nagany nie ma pochlebnej pochwały, i że tylko mali ludzie obawiają się małych pisemek. — *(Siada znowu).* Znużeni żywieniem

nieznanego pensyonarza, wypuszczają mię razu pewnego na ulicę; ponieważ potrzeba jeść, chociaż się już nie jest w więzieniu, temperuję pióro znowu i wypytuję każdego, o czem teraz mówią; powiadają mi, że podczas mojej ekonomicznej samotności ustalił się w Madrycie system wolnościowy co do sprzedaży wyrobów, rozciągający się nawet do wyrobów prasy, i że bylebym w pismach swoich nie mówił ani o autorytecie, ani o kulcie, ani o polityce, ani o moralności, ani o ludziach na urzędzie, ani o dobrze notowanych korporacyach, ani o operze, ani o innych widowiskach, ani o nikim, co ma jakiekolwiek znaczenie, mogę zresztą wszystko drukować swobodnie, pod nadzorem dwu albo trzech jegomościów. Chcąc skorzystać z tej słodkiej wolności, zapowiadam pismo peryodyczne, a sądząc, że nikomu w drogę nie wejdę, nazywym go „Dziennikiem nieużytecznym“. Pf! Widzę, jak powstają przeciwko mnie tysiące małych dziennikarzy; zawieszają moje pismo — i oto znów jestem bez zajęcia: — rozpacz mię ogarniała; pomyślano o jakiemś miejscu dla mnie; ale na nieszczęście byłem na nie odpowiedni; potrzeba było rachmistrza — zajął je tancerz. Zostawało mi chyba kraść; staję się bankierem faraonowym; a wtedy, moi kochani, wieczerzam w mieście, a osoby nazywane *comme il faut* otwierają mi uprzejmie swój dom, zatrzymując dla siebie trzy czwarte zysku. Mógłbym był niewątpliwie pójść w górę; zaczynałem nawet pojmować, że dla zyskania majątku, umiejętna robota więcej warta, niż samo umienie. Ale ponieważ każdy wkoło mnie rabował, wymagając, bym ja był uczciwym, musiałem zginąć i teraz. Natychmiast opuściłem wielki świat, i jużem się miał przedzielić od niego na dobre, gdy jakiś bożek dobroczynny powołał mię do mego pierwszego zajęcia. Chwytam zapowrót swój futerał balwierski i pasek angielski; a potem pozostawiając dym głupcom, co się nim żywią, wstyd zaś na środku drogi, jako zbyt ciężki dla piechura, przechodzę z miasta do miasta goląc i żyję nakoniec bez troski. Wielki jeden pan przechodzi przez Sewillę, poznaje mię, ja go żenię, a w nagrodę, że przez moje starania otrzymał swoją żonę, chce mi przejąć moją! Intryga, burza z tego powodu. Mając już wpaść w otchłań, w chwili gdym miał zaślubić swą matkę, zjawiają się moi rodzice. *(Wstaje, gorączkując się).* Powstaje spór, to pan, to on, to ja, to ty, nie, to nie my; ba, a któż? *(Siada ra tem).* O, dziwaczne następstwo zdarzeń! Jak ja w to wlazłem! Dlaczego takie sprawy a nie inne? Kto je zawiesił nad moją głową? Zmuszony do przebywania drogi, na którą wszedłem bez wiedzy, jak ją opuszczę bez chęci, posypałem ją tylu kwiatami, na ile mi pozwoliła moja wesołość; mówię: *moja* wesołość, nie wiedząc, czy ona do mnie należy tak jak wszystko inne, ani nawet, co to jest za ja, którem się zajmuję; bezkształtny zbiór nieznanych cząstek, potem drobna niedołężna istota, stworzonko trochę szalone, młodzieniec spragniony rozkoszy, mający wszelkie skłonności do używania życia, uprawiający wszystkie rzemiosła dla utrzymania się; to pan, to lokaj, stosownie do tego, jak się podoba losowi! ambitny przez próżność, pracowity z potrzeby, lecz leniwy.

z rozkoszą! mówca w razie niebezpieczeństwa, poeta dla rozrywki, muzyk z okazyi, zakochany od czasu do czasu w przystępie szaleństwa; wszystko widziałem, wszystko robiłem, wszystko zużyłem. Potem złudzenie znikło—przejrzałem aż nadto... Przejrzałem!... Zuziu! Zuziu! Zuziu! ileż ty mi sprawiasz katuszy!...

*(P. Chm.).*

W języku polskim mamy następne przekłady utworów Beaumarchais'go: »Cyrulik sewilski czyli ostrożność niepożyteczna« (tłómaczona przez Wichlińskiego. Warszawa, rok. 1780); »Eugenia« dramat w 5 aktach. Warszawa, 1778; »Dzień pusty albo wesele Figara« (tłómaczona przez Mikołaja Wolskiego) Warszawa, 1786; »Matka występna czyli domowe troski familii Almaviva«, Wilno 1827.

## XV. Jakób Delille.

### 1. Ogrody.

W czterech pieśniach przedstawia poeta, jak należy wybierać miejscowość do zakładania ogrodów, jak do niej stosować całe ich urządzenie pod względem drzew, kwiatów, strumieni, ścieżek, budynków, pomników. Jest on wielbicielem natury w przeciwstawieniu do wymuszonych reguł sztuki. Z tego względu powiada: »Niechże teraz w pysznych swoich ogrodach sztuka z prac moich natrząsa się; w szczęśliwym ogrodzie moim wszystko weselem i wolnością oddycha. Dałem na wolę murawie uśmiechającej się, ażeby jak chce rosła, lasy nie znając poddaństwa, wznoszą gałęzie swoje, kwiaty z węgielnicy, a drzewa z nożyc żartują; woda przy brzegach własnych i ziemia przy swej została się ozdobie; a wszystko będąc prostem, pięknem i wspaniałem, jest razem sztuką natury«. Przytaczamy dwa wyjątki: jeden wyrażający spółczucie dla wieśniaków, drugi malujący ruiny Italii starożytnej (z pieśni IV-tej).

Jeślić kogo grobowcem poczcić ci się zdało,
Patrz! oto pod te drzewa przynoszą tych ciało,
Co dla ciebie niewdzięczny zagon uprawiają,
Na łonie niedostatku pogrzebu czekają.
Czyliż się będziesz wstydził ozdobić ich groby?
Pisać tam co o wielkich dziełach nie byłoby,
To prawda, bo od zorzy, kiedy kogut ranny
Obudził ich, dając znak pracy nieustannéj,
Aż do nocy, gdzie dzieci i matka troskliwa
Otoczą wkoło garnek nędznego warzywa,
W pracy równej dni swoje pędzą niespokojne,
Których ni przez sojusze, ni znaczą przez wojnę.
Rodzić się, cierpieć, umrzeć — to im tylko dano;
Ale chcieliby przecie, by ich pamiętano.
Któryż człowiek, kiedy się już nad grobem chwieje,
Nie zwraca smutnych oczu na jakąś nadzieję,
Że będzie żałowany? Komuż więc nie miła
Łza, którą przyjacielska powieka zroniła?
Dla pociechy ich życia, szanuj ich mogiły.
Ten, co losy zawstydził, że go poniżyły,
Służył Bogu, królowi, krajowi, rodzinie,
Co wstydu uczył córki, którym we wsi słynie.

Kamieniem gładziej rżniętym grób jego naznaczę,
Gdzie wypiszę i cnoty i sąsiadów płacze,
Gdzie go taki nagrobek pochwali przed gminem:
„Tu leży, co był dobrym mężem, ojcem, synem“.
Trafi się, że przypadkiem ściągniony w te strony,
Na te święte zagrody spojrzysz poruszony.
Muzo! co tak pod drzewy śpiewasz grobowemi,
Niżeli je porzucisz, niech rękami twemi
Na ich gałęziach wieńce będą zawieszone,
Znaki twojej czułości... Niech kto upiększone
Twarze wierszem opiewa, niech rozkoszy syty
Chodząc, nosi na głowie wieniec z mirtu wity,
Niechaj swe pieśni samą radością napawa,
Na czele cieszących się w świetnej sukni stawa;
Ty pieśń pocieszającą śpiewaj nad grobami
I pierwszy ofiarnemi uwieńcz ją kwiatami.

* * *

O, wdzięczne pola włoskie! Rzymu okolice!
W pośrodku waszej leży szczęśliwej ziemice
Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!
Tam zwaliska wsławione wielkiemi imiony,
Pełne ważnych pamiątek, wysokiej nauki,
Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.
Patrz, jako z każdej strony zbiegłszy wieki mnogie
Podarły, rozproszyły rozwaliny drogie.
Miecąc groby na groby i gmachy kościelne,
Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.
Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte
Chowają jeszcze Rzymian dzieła znakomite,
Ich grubość niezwątlona mocuje się z czasem.
Tym niegdyś po powietrzu rzeka szła nawiasem;
Tą bramą wprowadzano łup zdartego świata.
Wszędzie wiek zamieszane z popiołem pomiata
Łaźnie, pałace, groby cezarów potężnych!
Wtenczas kiedy moc większa niby niedołężnych
Horacego, Owida i Wirgila wierszy
Pokazuje nam ślady i przepych ich pierwszy.
Szczęśliwy! po sto razy ogrodnik szczęśliwy,
Co te blizko mieć może starożytne dziwy.
Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,
Już natura prawami swemi dokazuje
Nad ogromną wielkością zeszłych panów ziemi!
W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgnębionemi
Chlubił się z taką pychą, jak w Ewandra czasie,
Pasterski flet i trąba tylko odzywa się,
Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,
Kozy nad zwaliskami pasą zawieszone.

Pyszny niegdyś obelisk leży między zioły,
Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoły;
Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,
Które się albo wznoszą lub schylają w stronę,
Które na rozwalinach lekkie wiatry siały!
Figa, drzewo oliwne bliżej się przybrały,
I kiedy się do gruzów ich korzeń przypina,
Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.
Tak, giętkie winogrady, gałęziste bluszcze,
Nakoło tych ułomków w ciemną rosną puszczę,
I gdy się w różne kształty przy nich naginają,
Albo zdobią ich starość, albo zakrywają.

*(Franciszek Karpiński).*

---

## 2. Ziemianin.

W poemacie tym, również z 4 pieśni złożonym, opisuje Delille powaby wsi i szczęście mieszkającego w niej mędrca; wystawia go, jak roztacza wokoło siebie dobrodziejstwa udoskonalonego rolnictwa i cuda przemysłu, jak uczy się, dla uprzyjemnienia swojej samotności, wszystkiego, co w dziejach natury jest najciekawsze, najmilsze i najwspanialsze, i jak czasami bierze do ręki lutnię, by sławić wdzięczne i wielkie widoki, któremi jest otoczony. Przytaczamy ustęp malujący polowanie na jelenia (z pieśni I-szej).

Lecz już donośnym głosem trąba się odzywa;
Rwie się ognisty rumak do boju ochoczy,
Kopie nogą, stal żuje, białe piany toczy.
Na te krzyki rycerzów, na ten odgłos wojny
Drży, dziwi się i waha jeleń niespokojny,
Czy swoim szybkim biegiem łowców ma unikać?
Czy dostać i walecznie z nimi się potykać?
Bezpieczniej-li zdać życie wśród naglącej trwogi
Na uzbrojone czoło lub na lekkie nogi?
Raz go zdejmuje bojaźń, drugi raz — odwaga;
Chwieje się długo; bojaźń nakoniec przemaga.
Zrywa się, rusza, śpieszy i lekkim poskokiem
Przebiega w chwili przestwór nieścigniony okiem;
Las, psy i trąba za nim daleko zostały.
Wolny wreszcie wypada w pole rumak śmiały,
Rozgania się, wypręża i piersiami swemi
Porze świszczące wiatry zniżony ku ziemi.
Na nim pędzi myśliwiec jak wicher burzliwy,
Przygięty, twarzą niemal dotyka się grzywy,
Drze się przez gęste krzaki, przelatuje łany,
A za nim czarne kurzu toczą się tumany.
Jeleń tymczasem leci. Za nim psy po lesie
Biegną w ślad cząstek lekkich, które wiatr im niesie,
A gdzie piętna stóp ujrzą na piasku utkwione,
Przykładają swe do nich nozdrza rozognione.

Drży jeleń i uchodząc przeklina zdumiały
Zdradną wonią i tropy, które go wydały.
A gdy go nieprzyjaciół osacza gromada,
Ostatnią w przyjaciołach nadzieję pokłada.
Ów niegdyś władca borów, postrzegłszy na łące
Jelenie ponad wodą swobodnie błądzące,
Śpieszy, czoło schylając, ich pomocy wzywać,
Poruczać im swe życie i wstyd swój ukrywać.
Ale każdy od zbiega natrętnego stroni
I smutnych jego losów zarazy się chroni:
Opuszczają go wszyscy: tak pochlebców tłuszcza
Króla i najlepszego w nieszczęściu opuszcza.
Nędzny tułacz rzuca się z żalem w inne strony:
Przebiega ten las czarny, ten las ulubiony,
Gdzie niegdyś pędząc młodość bezpieczną i śmiałą,
Sto razy się napawał rozkoszą i chwałą,
Gdzie okoliczne drzewa, jaskinie i skały
Głos wojny i miłości jego powtarzały...
Cześć, miłość, panowanie, wszystko dzisiaj traci!
Próżno niosąc szlachetną pomoc jeden z braci,
Młody, który śmie wszystko i na nic nie zważa,
Wyskakuje i sam się za niego naraża;
Doświadczone ogary podstępu dostrzegły.
Wtem go uderza znowu trąby głos odległy;
Pędzi, bieży i w biegu, zdawna świadom zdrady,
W bok nagle uskakując swe przerywa ślady,
A zdaleka od ścieżek, w kącie utajony
Czuwa i wodzi drżący wzrok na wszystkie strony;
Wraca, krzyżuje, miesza drogę. Czasem stawa,
Rozgląda się i słucha; już myśliwych wrzawa,
Trąby i psów okropny głos, którym brzmią gaje,
Mocniej coraz i bliżej słyszeć mu się daje.
Bieży jeszcze, na zdrady jeszcze się zdobywa,
Lecz trwoga już w nim drżące żyły wskroś przeszywa;
Każdy szmer wznieca rozpacz w sercu zalęknionem,
Drzewo mu każde wrogiem, każdy wróg jest zgonem:
Naówczas daremnemi zmęczony zawody
Z lądu przeniewierczego rzuca się do wody;
Lecz odmieniwszy żywioł, nie odmienia losu.
Napełniając las dźwiękiem wrzaskliwego głosu,
Z iskrzącemi oczyma za nim tuż przypada
Łaknąca barbarzyńskiej uczty psów gromada,
Okryta kurzem, potu ociekła strumieniem,
Zapalona wściekłością, ziejąca pragnieniem;
Spiekłym ich paszczom woda ledwo starczyć zdoła;
Ale gdzieindziej zapęd okrutny ich woła:
Krwi pragną i krwią tylko nasycić się mogą.
Bez wsparcia, jeden... zgrają otoczony srogą

Jeleń, gdy nieuchronnej śmierci wyrok czyta,
Słabość jego szalonej rozpaczy się chwyta.
Za cóż, próżno, niestety! pierwsze jego siły
Trwoga i niedołężne wybiegi zwątliły?
Czemuż wprzód, jak mu radził jego umysł męski
Szlachetną walką swojej nie uświetnił klęski?
Po płonnych wreszcie skokach, podstępach i znoju
Ożywia się... i staje, straszliwy, do boju.
Odpiera tysiąc szturmów, a w gniewie wspaniały
Z najmężniejszymi tylko szuka w bitwie chwały.
Uderzają nań hurmem wszystkie przeciwniki,
Mieszają się ich ciosy, ich wściekłość, ich krzyki:
On dobywa ostatnich sił w ostatniej toni,
Mdlejący walczy jeszcze i jeszcze się broni;
Nadaremnie, niestety! Na cóż mu się zdała
Ta kibić tak wysmukła, ta postać wspaniała?
Cóż pomogły te pyszne, te potężne rogi
I te, co po ziół wierzchach migały się, nogi?
Chwieje się, pada, kona: a łez dwa strumienie
Wzbudzają i w zabójcach samych rozrzewnienie.

*(Alojzy Feliński).*

»Ogrody« Delille'a tłómaczył więcej prozą niż wierszami Franciszek Karpiński (r. 1783); »Ziemianina« albo inaczej: »Człowieka wiejskiego« Antoni Chomiński (Wilno, 1817), Aloizy Feliński (Kraków, 1823), częściowo zaś Fr. Ks. Dmochowski (»Pisma rozmaite« Warszawa, 1826); »Wiersz o nieśmiertelności duszy« Klemens Małecki (Warszawa, 1818); »Hymn do piękności« Konstanty Tymieniecki (»Pisma«, Warszawa, 1817); z poematu »O imaginacyi« początek pieśni V-tej, Euzebiusz Słowacki (1815 w »Dzienniku wileńskim«) oraz całą pieśń V-tą, Tadeusz Matuszewicz (w »Pamiętniku Warszawskim« 1815 i 1816).

## XVI. Andrzej Chénier.

### 1. Młoda Lokryjka.

Nie wydaj mię! Uciekaj! On cię zastać może.
Wstań, bądź zdrów, odejdź z domu przed jego powrotem;
Stałoby się nieszczęście, moja zguba, potem;
Masz, spójrz, bywaj zdrów, odejdź, patrzaj, błyszczą zorze.

Te cztery wiersze z autentycznej greckiej pieśni śpiewa przy uczcie młoda dziewczyna; ekspozycya następuje dalej, zwięźle i plastycznie:

Bawiła nas, naiwna taka i wesoła;
Gdy wtem italski mędrzec podniósł się od stoła:
Zamyślony, wybladły, chudy i milczący,
Bosy i czarnobrody, wielbiciel gorący
Niemego z Samos, co jest w Metaponcie głośny[1]).

[1]) Pitagoras, starożytny mędrzec grecki, zalecający uczniom milczenie.

„Nie wstyd wam, Lokryjczycy, takiej rzeczy sprośnéj,
Wam, coście dawniej świętej hołdowali cnocie?
Dziś wasze dziewki strojne w purpurze i złocie
Otwierają swe usta na śpiew wielce zdrożny.
A cóżeście zrobili z nauki pobożnéj
Święconego pasterza, który przez Atenę
Kształcony, prawom waszym taką nadał cenę?“
To rzekł i wyszedł. Na niej znać było zmieszanie,
Łzami jej czarne oczy zaszły niespodzianie.
Myśmy ją pocieszali, zaczem uśmiech miły
I pieśni i wesołość prędko jej wróciły.
A gdy się już z naszego oddalała grona,
Poszedł za nią Turyjczyk, dorodny jak ona;
Myślę, że poszli razem i że zapomnieli
Srogiego Pitagora i jego czcicieli.

## 2. Z Jambów.

Poeta z powodu przywrócenia czci Boga w Paryżu, dzięki Robespierrowi, mówi z ironią:

Naszemu senatowi dzięki odzyskało
Niebo swoich mieszkańców;...
W urzędzie swoim zawieszony
Bóg... — — — —
Zasiadł znowu na wieczystym tronie.

Następuje notatka prozą: »Trzeba się spodziewać, że po kilkomiesięcznem wygnaniu będzie się sprawował lepiej«. Poczem wynurza się krwawa wymówka, że najwyższa sprawiedliwość i rozum pozwalają istnieć takim jak Robespierre potworom.

Żyją jednak, a tylu mordowanych ofiar
Krzyk do Ciebie nie leci?
Któż to? Biedny poeta, o Boże stuleci,
Sam niewolny i wnet już żegnający ziemię,
Do pieśni swoich wiążąc skrzydła rozognione
Piorunu, który drzemie,
W obronie uciśnionej cnoty stając śmiały,
Przed piekieł trybunały
Wnosi skargę na sędziów tych bez czci i wiary,
Co na bóstw swych ołtarze
Setkami zabijają niewinne ofiary.
Pozwól mi żyć, a pozna ten motłoch nikczemny,
Co mogę, gdy się zżymam;
I nie skryją się w swej podłości ciemnéj.

*(E. Porębowicz).*

# XVII. Antoni Wincenty Arnault.

## Liść.

Oderwany od pnia swego,
Biedny listku, żółty, mały,
Dokąd dążysz? Nie wiem tego.
Burze drzewo połamały;
Drzewo było mi podporą;
Spadłem, dziś mię zmienne tchnienia

Wiatrów na swe skrzydła biorą;
Droga moja wciąż się zmienia:
Z lasu pędzi mię wiatr w pola,
Z góry znosi na dolinę;
Gdzie on płynie, tam ja płynę,
Moja dola — wspólna dola;
Ze mną niesie tchnienie burzy
Resztki wieńców z wielkich głowy,
Z czarnych włosów listki róży
I liść wieszczów laurowy!

*(Władysław Ordon).*

## XVIII. Franciszek August de Chateaubriand.

### René.

Jestto obraz młodzieńca, znużonego przedwcześnie nadmiarem życia, pełnego żądz niespokojnych, których zadowolnić nie może. Przy jego urodzeniu matka mu umarła; ojciec, kochając najstarszego syna, oddał Renégo na wychowanie w obce ręce Temperament jego był gwałtowny, charakter — niesforny. To wesoły i wrzaskliwy, to ponury i milczący, zbierał nieraz wokoło siebie młodych towarzyszy, a potem porzucając ich nagle, uciekał, siadał na ustroniu, by przyglądać się mknącym obłokom lub przysłuchiwać się kroplom deszczu szeleszczącym po liściach. Co jesień przyjeżdżał do domu ojcowskiego; wobec ojca czuł się zawsze nieśmiałym i bojaźliwym, swobodę i zadowolenie odzyskiwał tylko przy siostrze swej Amelii, z którą łączyła go zgodność charakterów i upodobań pełnych poezyi. W szesnastym roku życia tworzył René wiersze »płynące z natchnienia, widokiem przyrody rozbudzonego«. Wrażenia religijne silnie nań oddziaływały. Oboje mieli serca skłonne do smutku, więc bardziej niż kto inny napawali się myślami tkliwemi i poważnemi. Po śmierci ojca, która na Renégo oddziałała bardzo silnie, budząc w nim zarazem mocne poczucie nieśmiertelności duszy, opuścił wraz z Amelią dach rodzinny i przeniósł się do starych krewnych. Chwilowo pod wpływem rozmów z Amelią chciał wstąpić do klasztoru, niebawem wszakże odmienił zamiar i puścił się w podróż. Siostra żegnała go z widoczną radością, której powodu René wówczas się nie domyślał. Podróże atoli po Grecyi, Anglii, Szkocyi, Włoszech, gdzie poszukiwał głównie znajomości z malarzami i poetami, nie przyniosły uspokojenia; nie znalazłszy »nic pewnego u starożytnych, nic pięknego u nowożytnych«, powrócił do kraju bardziej rozstrojony, niż kiedykolwiek. A swoje ówczesne usposobienie maluje w słowach następnych:

Byłem i na wierzchołku Etny, góry ogniem ziejącej w pośrodku wyspy. Widziałem wschodzące na bezgranicznym widnokręgu słońce pod stopami memi, Sycylią w drobny zebraną punkcik i przestwory morza w oddali. W tym obrazie u stóp mych poziomo leżącym, rzeki wydawały mi się cienkiemi liniami na karcie geograficznej; a gdy z jednej strony oko przyglądało się tym przedmiotom, z drugiej wzrok mój zagłębiał się w czeluście ziejącej Etny, przerażającej płomienistemi wnętrznościami, przez czarne kłęby dymu przeglądającemi.

Młodzieniec siedzący na krawędzi wulkanu, pełen namiętności w łonie i łez nad losem śmiertelnych, których siedziby zaledwie dostrzedz mógł wzrokiem, w oczach waszych, czcigodni starcy, czemże być może więcej, jak istotą godną serdecznej litości? Nie wchodząc w to, jakie możecie utworzyć sobie pojęcie o biednym Reném, powiadam wam, że obraz ten daje najlepsze wyobrażenie o charakterze i istocie jego: tak to przez cały ciąg życia mego miałem przed oczyma widok stworzenia całego, w granicach swych niezmiernego, niedojrzałego — i przepaść obok siebie....

Ujrzałem się wkrótce w ojczyźnie mojej bardziej samotnym i opuszczonym, niż byłem w obcych krajach. Chciałem się przez

chwilę rzucić w świat, który do mnie niczem nie przemawiał i który mnie nie rozumiał. Dusza moja, jeszcze żadną namiętnością nie zużyta, szukała przedmiotu, któryby ją mógł przywiązać; ale spostrzegłem się, że dawałem więcej, niżem odbierał. Nie żądano odemnie ani mowy wzniosłej, ani uczuć głębokich. Wszystką usilność skierowałem do zhartowania duszy mojej, aby ją na równi z towarzystwem otaczającem postawić. Nazywany wszędzie romantycznym, roli, którą grałem wstydząc się i coraz więcej czując wstrętu do ludzi i do wszystkiego, postanowiłem wynieść się na przedmieście i żyć tam w zupełnem ukryciu.

Z początku było mi dość przyjemne to życie samotne i niezawisłe. Nieznany, mieszałem się w tłumy.— w te pustynie ludzi!

Często siedząc w mało uczęszczanym kościele, spędzałem godziny całe na rozmyślaniu. Widziałem, jak biedne niewiasty przychodziły korzyć się przed Najwyższą Istotą, jak rybacy przychodzili na klęczkach zmywać swe grzechy u trybunału pokuty. Każdy z miejsc tych wychodził z twarzą pogodniejszą, a głuche szmery, dolatujące tu z zewnątrz, wydawały się jakby falami namiętności i burz świata rozbijających się u stóp świątyni Pana. Wielki Boże! coś widział tajne łzy moje w tych świętych przybytkach, Ty wiesz, ilekroć padałem do stóp Twoich, błagając Cię, abyś zrzucił ze mnie to brzemię istnienia lub też dawnego we mnie przemienił człowieka! O, któż nie uznał kiedy potrzeby odrodzenia się, odmłodzenia się w wodach czystego potoku, odświeżenia duszy swojej w Krynicy życia? Któż nie uczuwa się niekiedy przywalonym pod brzemieniem własnego zepsucia i niezdolnym do niczego wielkiego, szlachetnego, sprawiedliwego?...

Życie to, zrazu tak dla mnie miłe, niezadługo stało mi się nieznośnem. Męczyło mię powtarzanie się ciągłe tych samych scen i tych samych myśli. Zacząłem wybadywać serce moje, wypytywać się samego siebie, czego chcę. Nie mogłem sobie odpowiedzieć, nie wiedziałem; ale nagle zdało mi się, że lasy dadzą mi rozkosz największą. I otóż w jednej chwili postanowiłem dokończyć na dzikiem wygnaniu życie zaledwie rozpoczęte, a w którem pochłonąłem już wieki.

Chwyciłem się tej myśli z zapałem, z jakim zawsze biorę się do moich zamiarów; wyjechałem co najśpieszniej, żeby się zagrzebać w chatce, tak jak dawniej ruszyłem niespodzianie na wędrówkę po świecie.

Oskarżają mię, że mam upodobania zmienne, że nigdy długo nie mogę się zająć jednem przywidzeniem, że padam ofiarą imaginacyi zbyt śpiesznie sięgającej do dna przyjemności, jak gdyby jej ciężyła ich trwałość; oskarżają mię, że mijam zawsze cel, który mógłbym osiągnąć: niestety! a ja szukam tylko niewiadomego dobra, którego instynkt ciągle mię ściga. Mojaż to wina, że wszędzie znajduję granice, że to, co znikome i skończone, nie ma dla mnie żadnej wartości? A jednak czuję, że kocham monotonię uczuć życia i że gdybym jeszcze głupio mógł wierzyć w szczęście, to szukałbym go w nawyknieniu.

Zupełna samotność, widok natury pogrążyły mię wkrótce w stan niepodobny prawie do opisania. Bez krewnych, bez przyjaciół na ziemi, nie kochając dotąd nigdy, padałem pod nadmiarem życia. Czasami krew mi biła nagle do twarzy i czułem w sercu jak gdyby strumienie lawy palącej; czasami mimowolne wydawałem krzyki, a noce przepędzałem śród strasznych niepokojów, czy to we śnie, czy na jawie. Brakowało mi czegoś do uzupełnienia otchłani mego istnienia: zbiegałem w dolinę, pędziłem na góry, przyzywając całą siłą żądz moich idealny przedmiot przyszłych płomieni; całowałem go w powietrzu, zdawało mi się, że go słyszę w jękach rzeki; wszystko zamieniało mi się w tę ułudną marę: i gwiazdy na niebie i nawet zasada życia we wszechświecie.

Stan ten spokoju i burzy, nędzy i bogactwa nie był jednak bez pewnych powabów: raz bawiłem się zrywaniem listków z gałązki wierzbiny nad strumykiem i do każdego listka prądem niesionego przywiązywałem myśl jakąś. Król, drżący o swą koronę śród nagłych zaburzeń, nie może doznawać tyle utrapienia, ile ja go doznawałem za każdą przygodą, grożącą marnym szczątkom mojej gałązki. O, biedoto ludzka! O, błahości serca ludzkiego, co nigdy się nie starzeje! Do jakiegoż to dzieciństwa pyszny nasz rozum zejść może! A jednakże, ileż to ludzi naprawdę los swój wiąże do rzeczy tak samo lichych, jak moje listki wierzbowe.

Ale jakże wyrazić ten nawał przelotnych wrażeń i uczuć, których doznawałem śród przechadzek moich? Dźwięki namiętności w próżni serca samotnego podobne są do pomruku wiatrów i wód w ciszy pustyni; doznaje się ich, ale odmalować ich nie można.

Jesień nadeszła śród tych moich niepewności; z rozkoszą powitałem porę burz.

Przez dzień błądziłem po gęstych zaroślach, pod lasami rosnących. Jakże niewiele trzeba było moim marzeniom! Dość było jednego uschłego listka wiatrem przedemną gnanego, dymu z chatki nagie drzew wierzchołki prześcigającego, mchu na dębie pod północnym drżącego powiewem, skały samotnej, jeziora ustronnego, na którem szemrały przewiędłe sitowia! Samotna dzwonnica, wznosząca się w dali na dolinie, często wzrok mój ku sobie zwracała; często śledziłem okiem lot ptaków wędrownych, ciągnących mi ponad głową. Malowały mi się w wyobraźni nieznane wybrzeża, dalekie strefy, w które dążyły; jakżebym pragnął usiąść na ich skrzydła! Tajemny instynkt niepokoił mię ciągle, czułem, że i ja tylko wędrowcem na tej ziemi; ale głos z nieba jakby mówił do mnie: „Człowieku, czas twojej wędrówki jeszcze nie nadszedł; zaczekaj, aż wiatr śmierci się podniesie; wtedy rozwiniesz lot twój ku tym krainom nieznanym, do których serce twe tęskni.

„Powstańcież, powstańcież prędko, burze pożądane, które unieść macie Renégo w przestrzenie innego życia“. Powtarzając te słowa, biegłem wielkimi krokami, z twarzą rozpaloną, włosem na wiatr rozpuszczonym, nie czując ni deszczu, ni mrozu, niepokojony ustawicznie, jakby opętany przez szatana serca mego.

W nocy, kiedy wiatr potrząsał chatką, kiedy nawałnica lała się na dach mój, kiedy przez okienko widziałem księżyc śród chmur czarnych kłębów, jak okręt szybujący po falach, zdawało mi się, że życia mi przybywa w sercu, że będę miał siłę stwarzać światy. O, gdybym wtedy był mógł z kim drugim podzielać doznawane rozkosze! O, Boże, gdybyś mi był dał kobietę wedle serca mego; gdybyś mi był, jak pierwszemu ojcu naszemu, przyprowadził za rękę Ewę wydobytą ze mnie samego!.. Niebiańska piękności! byłbym padł na kolana przed tobą; a chwytając cię w objęcia, byłbym błagał Przedwiecznego, żeby ci oddał resztę życia mojego!

Ale niestety! byłem sam, sam jeden na ziemi! Tajemna niemoc ciało moje owładnęła. Ów wstręt do życia, który od dzieciństwa uczuwałem, wrócił znów z większą jeszcze siłą. Niezadługo serce przestało dostarczać żywiołów myśli i głębokie jedynie uczucie znudzenia dawało mi znać, że żyję.

Walczyłem czas jakiś przeciw tej chorobie, ale obojętnie, bez silnego postanowienia, aby ją zwyciężyć. Nie mogąc nareszcie znaleźć lekarstwa na tę dziwną ranę serca, co nigdzie nie była i wszędzie była, postanowiłem pożegnać się z życiem.

*(W. Zakrzewski).*

Odwiodła go od samobójstwa siostra. Ona, która poprzednio unikała widzenia się z bratem, teraz domyśliwszy się z listu, co zrobić zamierza, przyjechała do niego natychmiast, otoczyła go najserdeczniejszą opieką, wymogła przyrzeczenie, iż na życie się swoje nie targnie, ale sama traciła spokój duszy i raz niespodzianie opuściła dom brata, zapowiadając w liście, iż nieodwołalnie wstępuje do klasztoru a majątek swój zapisuje Renému. Niczem od tego postanowienia odwieść się nie dała; lecz powodu nie wyjawiła. Dopiero podczas obłóczyn, na których brat zastępował siostrze ojca, dosłyszał René te słowa z pod całuna, którym była przykryta: »Miłosierny Boże! spraw, bym nigdy nie powstała z tego grobowego posłania i zlej łaski Twe na brata, który nie podzielał zbrodniczej namiętności mojej«. René, poznawszy tajemnicę, pada na całun śmiertelny, ściska siostrę i woła: »Przeczysta oblubienico Jezusa Chrystusa! przyjm ostatni pocałunek mój po przez śmiertelną powłokę i przez głębie wieczności, które cię już dzielą od brata twego«. Poczem traci przytomność. Odtąd na prośbę siostry już się z nią nie widział; a cierpiąc już nie tylko przez imaginacyę, ale wskutek wcale nieurojonego nieszczęścia i nie mogąc odebrać sobie życia z powodu przyrzeczenia danego siostrze, wyjeżdża r. 1725 do Ameryki, do Luizyany, i osiada wśród dzikich Naczezów. Tu wedle obyczaju Indyan bierze małżonkę, ale z nią nie żyje, błądząc po kniejach pełen smutku i przygnębienia. Trzech miał tu tylko znajomych: napółukształconego Szaktasa, ślepego Saszema i misyonarza Suela. Im to po śmierci siostry dzieje serca swego opowiedział i wkrótce potem zginął w czasie rzezi Francuzów i Naczezów w Luizyanie.

Z utworów Chateaubrianda wyliczamy następujące przekłady: »Atala« tłómacz. Paweł Czajkowski, Kraków, 1817, potem Hip. Skimborowicz, z illustracyami, Warszawa, 1853; »René« tłómaczył W. Zakrzewski, z illustracyami, Warszawa, 1853; »Ostatni z Abenseragów« tłómaczył S. S., Warszawa 1828, potem W. Zakrzewski, Warszawa, 1853; »Duch wiary chrześcijańskiej« tłómaczył Ksawery Giżycki w skróceniu 2 tomy, Wrocław 1816.

# XIX. Alfons de Lamartine.

## A) Z „Dumań".

### 1. Wielki tydzień.

Ostatni odgłos świata w tej ostoi kona.
Wpłynąwszy tu, żeglarzu, szczęście sobie rokuj!
Tu się topi w pokoju dusza utrudzona,
A śmiercią nie jest ten pokój.

Burza tu lub nawałność obcem jest zjawieniem,
Nigdy chmura pogodnych dni nie zasępiła,
Żywe słońce, którego to słońce jest cieniem,
Ze szczytu Niebios je zsyła.

Zbliżcie się, czułe serca, kochać jeszcze zdolne!
Tu na ołtarzu czysta miłość się zażega —
To, co w niej jest boskiego, od zniszczenia wolne,
Reszta zniszczeniu ulega.

Modlitwa, co to święte napełnia mieszkanie,
Ogłasza nam zarannej jutrzenki przybycie,
A unosząc godziny w pobożnym rydwanie,
Wymierza i spaja życie.

Brzmią dzwony, skoro błyśnie słońca promień złoty:
Mieszają szmer zefiru z naszemi modłami,
A powietrze, wzruszane dźwięki̇wemi młoty,
Zdaje się wzdychać wraz z nami.

W grocie z sterczących głazów, którą dąb ocienia,
Wzniesiono skromny ołtarz, spełnia się ofiara,
Tam, skłoniony miłością, Twórca przyrodzenia
Zstępuje — widzi go wiara.

Krzyż święty przed mem okiem nowy świat otwiera,
Niechaj rozum umilknie, niech serce przemawia.
Mogęż wątpić o Bogu, co za mnie umiera?
Nie, miłość miłość objawia.

Te czoła pochylone, te wonie, westchnienia,
Ta skrucha bolejąca, ta pobożna trwoga,
Te gwałtowne uczucia, te łzy rozrzewnienia —
Wszystko mi obwieszcza Boga.

Jak nędzarz, co o wsparcie u drzwi możnych woła,
Wy, niebios ulubieńcy! niechaj pieniem mojem
Uwielbiam razem z wami przed bramą kościoła
Boga, co darzy pokojem.

Niech i moje z waszemi połączę westchnienia,
Z waszemi pochwałami i moje pochwały,
Wszak się niegdyś śmiertelnych nieudolne pienia
Z pieniem aniołów zgadzały.

Żegnam się co poranek z tym pobytem ziemnym;
Utrudzonemu życiem, boleścią, troskami,
Raczcie miejsce przeznaczyć w tym przybytku ciemnym,
Tu, między zmarłych grobami.

Jak tych świętych pochodni jasność obumarła,
Niech czuwam, niech goreję nad trumną nieznaną —
Śmierć mi wszystko powróci, bo wszystko wydarła,
Czekam, aż zmarli powstaną.

Obym mógł, polubiwszy to święte ukrycie,
W cieniu pańskich ołtarzy, w miejscu poświęconem,
Przy tych grobach, samotny tęskne kończyć życie
Między nadzieją a zgonem.

*(Dom. Lisiecki).*

## 2. Jezioro.

A więc zawsze w nieznane zdążając krainy,
W mrok porwani bez końca, czyż będziemy w stanie
Zarzucić gdzie kotwicę w życia oceanie,
Chociażby na dzień jedyny?

O jezioro! rok przeszedł za czasu rozkazem...
Ona znowu powitać powinna twe fale...
Patrz! samotny zasiadam na nadbrzeżnej skale,
Kędy siadaliśmy razem.

Z dzikim rykiem twe fale tłukły się o skały,
Niosąc zdala srebrzystą swoich toni pianę,
Którą wściekle pod stopy drogie, ubóstwiane,
Ciskał wicher rozszalały.

Raz wieczorem... czyż tkwi to jeszcze w twej pamięci,
Przebudzając z uśpienia szemrające fale,
Płynęliśmy w milczeniu po wód twych kryształe,
Sobą jedynie zajęci.

Nagle dotąd nieznane na tej ziemi tony
Czarem swoim nadbrzeżne echa zachwyciły...
Fale szemrać przestały... Śpiew dla mnie tak miły
Wypłynął z piersi natchnionéj...

„O czasie! przerwij lot swój... i wy, szczęścia chwile,
Powstrzymajcie skrzydła swoje!
Rozkoszą, której teraz doznajemy tyle,
Niechaj wiecznie z nim się poję.

„Wszak dosyć nieszczęśliwych błaga was na ziemi!
Dziś ich życia coraz łzawsze;
Niechaj mkną jaknajszybciej wraz z troskami swemi...
Nas zapomnijcie na zawsze!

„Lecz próżno!... o chwil parę błagałam daremnie...
Przebrzmiały prośby mej słowa...
Czas uchodzi tak szybko... i już nocy ciemnie
Rozprasza jutrznia różowa.

„Więc kochajmy! kochajmy! w miłości krainie
Spędźmy tę chwilę wspaniale!
Człowiek nie zna przystani... bez końca czas płynie...
My przechodzim... i czasu mkną fale“.

O czasie! czyżby owe chwile upojenia,
W których miłość rozkosze strumieniami roni,
Miały zniknąć tak szybko w zapomnienia toni,
Jak dni niedoli... cierpienia?

Gdyby chociaż w pamięci mogły utkwić stale,
Czyż i ślad ich najmniejszy zatracony będzie...
Ten czas, co niegdyś dał je... dziś chwyta w swym pędzie...
Nie powróci już ich wcale?

Wieczność! Nicość! Przeszłości posępne otchłanie!
Co czynicie z wiekami, któreście uniosły...
Mówcie, czy zachwycenia szał szczytny i wzniosły
Wrócić nam będziecie w stanie?

O jezioro! jaskinie i wy nieme skały,
Które czas wciąż odmładza... smętne lasu cienie!...
Błagam was, byście nocy pamiętnej wspomnienie
W głębi swojej przechowały.

O jezioro! niech ono tkwi w twoich jedlinach...
Niechaj będzie w twej ciszy... niech będzie w twych burzach,
Niechaj tkwi w twych wesoło uśmiechniętych wzgórzach
I w skał dzikich rozpadlinach.

Niechaj będzie w zefirze, który drży i znika,
I w fal twoich szemrzącem, lazurowem łonie,
I w gwieździe z jasnem czołem, co srebrzy twe tonie
Światłem swojego promyka.

Niech wiatr, co szerzy skargi, — trzcina, co się żali...
Niech powietrza twojego woń lekka i cicha...
Niechaj szepce to wszystko, co żyje, oddycha:
„Oni się niegdyś kochali!“

*(Władysław Nawrocki).*

## 3. Krucyfiks.

Krzyżu, który-m od ust jej wziął, w chwili agonji,
Z ostatniem pożegnaniem jej u śmierci bram,
Symbolu dwakroć święty: darze mrącej dłoni,
Obrazie Boga sam!
Ileż łez na twych stopach wielbionych zakrzepło,
Zanim, z rąk męczennika w święty śmierci dzień,
W drżącą dłoń mą przeszedłeś, niosąc jeszcze ciepło
Ostatnich już jej tchnień!
Święte pochodnie — blasków rzucały ostatki,
Z ust księdza płynął słodki modłów śmierci ton,
Podobny smętnym pieśniom, jakie nucą matki
Dzieciom swym u łon.
Twarz jej nadziei zbożnej zachowała ślady;
W rysach, gdzie czaru piękna nie starł z śmiercią bój,
Ból przelotny — wdzięk jeden jeszcze wyrył blady,
A śmierć majestat swój.
Wiatr, co pieścił jej włosów rozpuszczonych burzę,
Odkrywał, to zasłaniał oczom mym jej twarz;
Tak błędne cienie kładzie na białym marmurze
Cyprysów czarnych straż.
Jedna z rąk jej zwisała z śmiertelnej pościeli,
Druga, na piersiach, jasna, jako lilji pąk,
Zdała się jeszcze trzymać, cisnąć do warg bieli
Znak świętych Zbawcy mąk.
Usta, wciąż wpółotwarte, jak do całowania,
Ale duch jej pierzchł w boskim pocałunku tym,
Podobny lekkiej woni, którą żar pochłania,
Nim ognia tknie ją dym.
Teraz zimne te usta śpią już, śpią na wieki,
Oddech w piersi stężałej na wieki już ścichł,
Na oczy bez spojrzenia spuszczone powieki
Zakryły martwość ich.
A ja stałem w bojaźni jakiejś niewymownéj
Nie śmiałem się przybliżyć do wielbionych zwłok,
Jakby już skrył je zgonu majestat bezsłowny
W swój święty, wielki mrok.
Nie śmiałem!... lecz ksiądz pojął, co się we mnie dzieje,
I zimnemi palcami krzyż mi włożył w dłoń:
„Tu masz, synu, wspomnienie — i razem nadzieję:
W żywota weź je toń!“
Tak, ty zostaniesz ze mną, dziedzictwo żałobne!
Siedmkroć drzewo, co cień swój jej mogile śle
Bezimiennej, stanęło nowym liściem zdobne;
Tyś nie opuścił mnie.

Zawieszony na sercu, w którem czas surowy
Ściera wszystko, tyś wiernie jej wspomnienia strzegł,
I ślady swe na zmiękłej twej kości słoniowéj
Łez moich wyrył bieg.
Powierniku ostatni duszy, co odlata,
Pójdź, zostań przy mem sercu i mów mi, o, mów!
Co ona ci mówiła, gdy dla reszty świata
Już zamarł dźwięk jej słów!
Mów! w niepewnej tej chwili, gdy dusza skupiona,
Głucha na pożegnania, żale, zdroje łez,
Cofa się, gdzie nam gęsta skrywa ją zasłona,
Za zmysłów naszych kres;
Gdy u ciemnego śmierci z życiem rozgranicza
Zawieszona, jak owoc, co wnet sam spaść ma,
Drży i chwieje się, czując, jak ją tajemnicza
Ochłania grobu mgła;
Gdy zmieszanej harmonji śpiewów, jęków, łkania
Nie słyszy już w sen wieczny grążący się duch,
Ty, przyciskany do ust w godzinie konania
Jak najwierniejszy druh:
By rozświecić straszliwe przejścia tego bramy,
Aby konającego wzrok ku Bogu wznieść,
Boski pocieszycielu, w którego ufamy,
Jaką mu szepczesz wieść?
Ty znasz, znasz sam konanie! wszak łez twych strumienie
Owej nocy straszliwej, gdyś łkał próżno już,
Świętych drzewin oliwnych rosiły korzenie
Od zmroku aż do zórz.
Z krzyża, gdzieś tajń tę zgłębił oczyma własnemi,
Widziałeś matkę w bólu zamienioną słup;
Tak jak my zostawiłeś przyjaciół na ziemi,
A ciało dałeś w grób!
W imię twojego zgonu, ufność moja roi,
Że mi na swojem łonie ducha oddać dasz;
Gdy ma godzina przyjdzie, pamiętaj o swojéj
O, ty, co śmierć sam znasz!
Poszukam usty miejsca, gdzie jej usta mrące
Ostatni raz dotknęły wielbionych twych nóg,
I duch jej duszę moją powiedzie, gdzie słońce
To samo, ten sam Bóg.
Ach! gdybyż nad mem, wówczas śmiertelnem posłaniem
Stanęła postać w czerni, z srebrną w oku łzą,
I odjęła od ust mych, z cichem bólu łkaniem
Dziedzictwo święte to!
Podtrzymuj ją znów, skonać jej znowu daj słodziéj,
Uświęcony nadziei i miłości znak,
Na tego, co zostaje, z tego, co odchodzi,
Z kolei przechodź tak!

Aż do dnia, gdy, wstrząsając grobowców sklepieniem
I po siedmkroć wołając śród olbrzymich cisz,
Głos z nieba zbudzi wszystkich, których pod swym cieniem
Przytula wieczny krzyż!

*(Miriam).*

## B) Jocelyn.

Jestto poemat sielski w formie pamiętnika: — Jocelyn, młodzieniec uczuciowy i światowy, ażeby zapewnić siostrze większy posag, zrzeka się swojej schedy i obiera sobie zawód kapłański. Ale przed otrzymaniem ostatnich święceń rozruchy rewolucyi zmuszają go do opuszczenia seminaryum i schronienia się w górach. W grocie, którą zamieszkał, szuka przytułku i młodzieńczy Laurencyusz. Po niejakim czasie wydaje się, że Laurencyusz jest przebraną dziewicą. Gorąca miłość łączy oboje wygnańców i Jocelyn godzi się z myślą poślubienia ukochanej. Wtem do Grenobli przywołuje go w tajemnicy biskup, skazany przez rewolucyonistów na stracenie za wiarę, i żąda od alumna, ażeby natychmiast z rąk jego przyjął święcenia i jako kapłan dysponował go na śmierć męczeńską. Jocelyn nie ma siły oprzeć się temu żądaniu i zostaje księdzem. Śluby kapłańskie zmuszają go do wyrzeczenia się Laury. Z gorzką rezygnacyą poddaje się swojemu losowi i po uciszeniu się burzy rewolucyjnej zostaje pasterzem dusz w ubogiej górskiej parafii sabaudzkiej Valneige. Raz, odwiedzając siostrę w Paryżu, widzi przypadkiem Laurę, otoczoną rojem przelotnych wielbicieli, i dowiaduje się, że zna ją stolica jako kobietę płochą. Wzburzony do głębi i zbolały upadkiem ubóstwianej, wraca do swej parafii, żeby pełnić dalej obowiązki chrześciańskiego kapłana. W czas pewien potem zostaje wezwany do jakiejś umierającej podróżnej. Pośpiesza do chorej i poznaje w niej Laurę... Zapanowawszy nad wzruszeniem, słucha jej ostatniej spowiedzi i przekonywa się, że jeżeli Laura była płocha, to tylko o tyle, że w hołdach wielbicieli szukała zapomnienia pierwszej swojej miłości, — ale napróżno. Umarłą grzebie w grocie, w której niegdyś mieszkali, a gdy wreszcie po wielu latach umiera, zostaje obok niej pochowany.

### a) 26 Marca 1796. Dom przytułku duchowieństwa w Grenobli. Jocelyn w gorączce.

Opuściłem raj, w którym dusza żyć nawykła,
Gdzie Ewa mego serca błysła mi i znikła,
Jak pierwszy człowiek rzucił Eden, w którym gościł.
Ale równając losy — jabym mu zazdrościł!
Kroki znane szły za nim od bramy zamkniętej,
Łkania tłumił na ustach swojej ulubionej,
A w ich złamanych sercach gorzka wspólność doli
Dwa ich nieszczęścia w rozkosz zmieniła powoli.
A ja sam aż do śmierci, wszystkim obojętny,
Jedynej ukochanej, którą-m zabił — wstrętny,
Zmuszony tłumić skargi, którym nikt nie wtórzy,
Topić serce, aż we łzach własnych się zanurzy,
Zmuszony wyrwać z duszy nawet myśli o niéj...
Sprawiedliwości wieczna, com ja ci zawinił,
By tak młodo zasłużyć na takie cierpienia!
Czym ja sercu z miłości zasadzkę uczynił?
Czybym to dziewczę spotkał bez Twego zrządzenia?
Z nieznanych niebezpieczeństw z krwią młodą, ognistą
Uchodząc — czuwań, postów przyjąłem tortury,

By serce strzedz niewinnem, a źrenicę czystą,
Oddzieliłem od świata klasztornemi mury?
Czym ja sprawił, że mur ten runął nad mą głową?
Gdy w gnieździe burz schronienia szukając w potrzebie,
Skryłem się w tę jaskinię, jak w otchłań grobową,
Kogom ja szukał, Panie, powiedz: jej czy Ciebie?
Czym ja tu przyprowadził to nieznane dziecko?
I uniósł i wraz ze mną zamknął, jak w obłoku
I pod dziwnem przebraniem kryjąc memu oku,
Tworzył podwójnych uczuć zasadzkę zdradziecką?
Czym ja niecił skry w sercu w ten przeciąg dwuletni,
Stapiając tak dwie dusze w całość kryształową,
By, gdy dłoń bezlitosna słodkie więzy przetnie,
Każdy z nich odszedł z bratniej istoty połową?
Gdyś Ty to sprawił, Panie, za cóż mnie — pokuta?
Czyż w oczach Twych niewinni płacą za wyklętych?
Czy w nieścigłych wyrokach Twoich myśl osnuta,
Że jeśli wpośród ludzi wybierasz twych świętych,
Nim w nich wypalisz ludzkość wzniosłym ogniem wiary,
Muszą ledz na ołtarzu, jak pierwsze ofiary?

b) Z listów Jocelyna do siostry. Valneige 3 Maja, 1798.

Przed domem mam dziedziniec, parkan go otacza,
Wrota się wyplatane bez zamków zahacza;
Kury, stado gołębi, dwie kozy, pies wierny,
Zawsze otwartych progów jedyny odźwierny,
Który nigdy nie szczeka, ni zębem nie chwyta,
Lecz wietrzy ubogiego i radośnie wita;
Stadko swarliwych wróbli nad dachem się wije,
Jaskółka muska wodę, z której łabędź pije;
Rodzina pustelnika — wszyscy chętni, zgodni,
Wdzięczni gościnnym progom żyją tu swobodni.
Jedne, szukając cienia, legły na murawę;
Te grzeją się oparte o mur słońcem zgrzany;
Inne, spragnione soli, liżą murów ściany,
Inne grzebią się w słomie albo dzióbią trawę;
Trzy ule pod daszkami stoją na południe,
Północny róg dziedzińca pod drzewem ma studnię;
Rdzawy łańcuch wygładził cembrowiny łono,
Winorośl ją objęła majową zasłoną;
To wszystko; do przedsieni wiedzie siedem stopni,
Rozchwiane od starości skrzypią najokropniéj.
Wystawka je osłania od śniegów i słoty,
A stary bluszcz opiekun — oplótł swemi sploty.
U powały na gwoździu zawieszona klatka,
Skąd mię śpiewem weselą swojskich ptasząt stadka.
Dotąd, dzięki przyrodzie, niebu, miejscowości,
Twój wzrok słodki z uśmiechem nad obrazkiem gości.

O! jeśli twe złudzenie, jeśli obraz błogi
Chcesz zachować — siostrzyczko, nie przechodź za progi!...
Lecz dla was nie mam tajni, cofam słowo prędzéj,
Czyliż się mam przed wami rumienić mej nędzy?
Ubóstwo niech nie będzie do żalu powodem;
Wejdźcie — te nagie ściany nie tchną przecież chłodem.

*(Adam M—ski).*

Z utworów Lamartine'a mamy tłómaczone i wydane osobno: »Dumania poety« przez D. Lisieckiego (Warszawa, 1822) i »Jocelyn« przez Adama M—skiego (Kraków, 1891). W czasopismach i zbiorach dzieł znajdują się także przekłady poszczególnych jego pieśni.

## XX. Jan Piotr Béranger.

### 1. Stary kapral.

Naprzód! naprzód! marsz, rębacze!
Broń na ramię! wszak nabita!
Dajcie fajkę! precz te płacze!
Pożegnajcie mię i kwita!
Osiwiłem w służbie włosy;
Czym źle zrobił — trudno dociec:
Lecz na mustrach, ej, młokosy!
Byłem dla was jako ociec.
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

Obraziłem porucznika:
Bo młodziczek zbyt pozwala;
Ot i z rzeczy rzecz wynika, —
Ostry nabój dla kaprala!
Tak potrzeba na przestrogę....
Zawiniłem — prawda szczera;
Lecz obelgi znieść nie mogę:
Jam był w służbie bohatera.
Naprzód, wiara i t. d.

Bądźcie mężni, o kamraci!
Nieście w służbie krew i zdrowie:
Choć się noga, ręka straci,
Krzyż ozdobi honorowie.
Jam go zyskał w dobrej sprawie...
Ej, bywało, bracia mili,
Ja wam stare boje prawię,
Wy gorzałkę-ście płacili.
Naprzód, wiara i t. d.

Robert! chłopcze z naszej wioski,
Wracaj do niej paść swe trzody.
Patrz, jak piękne klony, brzozki!
Teraz na wsi kwiecień młody!
Ja, bywało, o tej porze
Wdziękiem sioła oczy pieszczę...
O mój Boże! o mój Boże!
Moja matka żyje jeszcze!
Naprzód, wiara i t. d.

Kto tam szlocha? znam po jęku: —
Żona trębacza husarzy;
Niosłem syna jej na ręku,
Idąc z Moskwy przedniej straży;
Jejby przyszło w dzikim stepie
Zginąć w śnieżnej zawierusze, —
Dziś niewiasta pacierz trzepie,
Niech się modli za mą duszę!
Naprzód, wiara i t. d.

Tam do licha! fajka zgasła...
O nie! jeszcze... Już my w kole.
Do szeregu! czekać hasła!
Oczu wiązać nie pozwolę!
Ej, kamraci! ej, najszczersi!
Wara płakać!.. broń gotowa;
Strzelać celno w same piersi...
I niech Pan Bóg was zachowa!
Naprzód, wiara!
Iść przytomnie,
Tylko wara
Płakać po mnie!

*(Wł. Syrokomla).*

## 2. Wspomnienie ludu.

Pod wiejską strzechą na długie lata
Będzie rozmowy o Jego[1]) chwale,
Przez lat pięćdziesiąt uboga chata
Inszych powieści nie zazna wcale.
Nieraz się do niej zejdą wieśniacy
I będą prosić tych czasów świadka:
— Babko, by milej spocząć po pracy,
Wspomnijcie dla nas dawniejsze latka.
On, powiadają, czynił nam szkody,
My jednak za nim pamięcią gonim,
Gonim w zawody.
Mówcie, babuniu, mówcie nam o Nim,
Mówcie nam o Nim.

— Moje wy ptaszki, przez tę zagrodę
On szedł, a przy Nim mocarzów siła.
Było to dawno, w me lata młode,
Jeszczem się w chacie krzątać uczyła.
Żeby go ujrzeć, ja pędem strzały
Biegnę ku wzgórzu na pozapłocie.
Widziałam Jego kapelusz mały,
Ja Go widziałam w szarej kapocie.
Kiedy się zbliżył, jam się zmieszała;
On mi „dzień dobry“ rzecze układnie,
„Dzień dobry, mała!“
— On was, babuniu, witał tak ładnie!
Witał tak ładnie!

— W rok potem idę aż do stolicy;
Tam dla mnie biednej widok był rzadki!
Przed Nim i za Nim dwór, urzędnicy,
Szli do kościoła Najświętszej Matki.
U wszystkich serca radośnie biły,
Głos uwielbienia rozbrzmiewał szczerze;
Wszyscy wołali: co za czas miły!
Niebios opieka zawsze Go strzeże!
Na Jego ustach słodkie uśmiechy:
Za łaską bożą doczekał syna,
Z syna pociechy.
— Toż wam, babuniu, piękna godzina!
Piękna godzina!

— Kiedy zaś biedna Szampania nasza
Stała się krwawą zdobyczą wroga;
Kiedy zła wróżba wszystkich przestrasza,
Jego jednego nie zmogła trwoga.
W wieczór, jak dzisiaj, tętni na dworze,
Potem ktoś w moje drzwiczki uderzy;
Otwieram — On! On! łaskawy Boże!
To On z orszakiem kilku żołnierzy!
Siadł oto tutaj, gdzie mnie widzicie:
„Och! co za wojna! — smutnie powiedział,
„Och! co za życie!“
— Tutaj, babuniu, On tutaj siedział!
On tutaj siedział!

— „Chcę jeść“, powiada; ja uniżenie
Służę złem winem i strawą kmiecą.
Potem przy ogniu suszył odzienie,
Przy tym kominku podrzemał nieco.
Gdy się obudził, łzy widząc moje,
Rzekł: „Dobrze tuszę! Bóg mi pozwoli,
Dojdę Paryża, tam się uzbroję,
Aby się pomścić kraju niedoli“.
Odkąd opuścił ubogie ściany,
Kubek, co trzymał, to skarb w mej chacie,
Kubek drewniany.
— Ach! wy babuniu, dotąd go macie!
Dotąd go macie!

— Patrzcie, pozostał; lecz On porwany,—
Zła była dola dla bohatera!
On, przez papieża koronowany,
On gdzieś na pustej wyspie umiera!
Długo nikt temu nie dawał wiary,
Długo mówiono w wieczór i zrana:
On wnet przebędzie morskie obszary,
Wróg znów obaczy swojego pana.
Kiedy nadzieję pewność rozwiała,
Boleść mię gniecie, serce mi krwawi
Boleść niemała...
— Niech was, babuniu, Bóg błogosławi,
Bóg błogosławi!

*(Wincenty Korotyński).*

---

[1]) Napoleona I.

## 3. Mundur dworski.

A teraz mi się kłaniajcie!
Wyjdę na wielkiego pana.
Hej! tandeciarze, dawajcie
Mi mundur szambelana.
Do dygnitarza jasnego
Mam protekcye, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Idę zaraz do hrabiego,
Kupuję mundur, panowie!

Trochę dumy nie zawadza,
Do pańskich idąc salonów;
I już mi mundur doradza
Uczyć się nizkich pokłonów.
Dosyć życia ślimaczego,
Chcę być wielkim, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Idę stać u drzwi hrabiego,
Przywdziewam mundur, panowie!

Nie mając jeszcze karety,
Idę piechotą; — wtem, panie,
Moi znajomi, niestety,
Ofiarują mi śniadanie.
Jakże im odmówić tego?
Lecz śpieszmy się, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Pilno mi widzieć hrabiego,
Szanujcie mundur, panowie!

Posiliwszy się, wychodzę...
Gdy dwaj starzy przyjaciele,
Stając mi nagle na drodze,
Zapraszają na wesele.
Tam śród grona serdecznego
Hulam, piję, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Ach! miałem być u hrabiego,
Jestem w mundurze, panowie!

Nareszcie mimo szampana,
Chwiejąc się, zdążam do celu;
I u wrót jasnego pana
Jestem z innymi już wielu.
Wtem — Józię, anioła mego,
Widzę śliczną, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Józia, milsza od hrabiego,
Wyśmiewa mundur, panowie!

Moja najdroższa kochanka
Precz mnie od wszelkich jasności
Wiedzie do swego mieszkanka,
Cichego raju miłości.
Tutaj, przyznam się do tego,
Mundur cięży, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Nie chcę nawet znać hrabiego,
Zdejmuję mundur, panowie!

Tak więc głupiej pychy mara
Szczęśliwie mnie opuściła;
I znów ukochana, stara
Suknia moja przystroiła.
Nie chcę zaszczytu żadnego,
Chcę być wolnym, co się zowie.
Ot, co mi w głowie!
Hej! kto idzie do hrabiego,
Daruję mundur, panowie!

*(M. Rodoć)*

## 4. Gdyby ze mnie ptaszek mały.

Mnie, co nawet przy dziewoi
Chciałbym gościć, jak przechodzień,
Mnie się lekkie ptaszę roi,
Żwawe piórka śnią się codzień.
Ileż świata ponad glebą!
Dla ptaszyny losy dały
Słodki powiew, czyste niebo.
Jabym latał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

Za słowikiem, co mi wpaja
Nieuczone lube dźwięki,
Pastereczce u ruczaja
Tożbym wtórzył do piosenki!
Jabym cieszył pustelnika,
Co oddając zasób cały,
Płaszczem okrył nieszczęśnika.
Jabym latał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

Siadłbym w gaju, gdzie pod cieniem
Lud po trudach dzbany chyli;
Roztkliwieni mojem pieniem
Piękne zdrowie-by wznosili.
Komu wzięto chwałę, mienie,
Moje trele-by szeptały:
Niech polubi wioski cienie.
Jabym latał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

Na wieżycy u więzienia,
Sam ukryty poza mury,
Jabym nucąc rzewne pienia,
Skracał więźnia czas ponury.
On z uśmiechem śniłby żywo, —
I barłogi-by się zdały
Macierzystą jego niwą.
Jabym latał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

Gdzie możnego nuda suszy,
Obojętność ducha więzi,
Lejąc tkliwość mu do duszy,
Jabym śpiewał na gałęzi.
Potem, lecąc za kordony,
Dla wygnańca, co zbolały,
Niósłbym listek z jego strony.
Jabym latał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

Potem, gdzie się jutrznia rodzi,
Lecieć od was, łez niesyci!
Jeśli drogi nie zagrodzi,
Jeśli miłość nie pochwyci...
Zręczny ptasznik niech przyleci,
Na wzruszonej piersi białéj
Niech rozepnie swoje sieci:
Tambym leciał pędem strzały,
Gdyby ze mnie ptaszek mały!

*(Wincenty Korotyński).*

## XXI. Wiktor Hugo.

### A) Z Poezyj wschodnich *(Les Orientales)*.

#### 1. Chłopiec.

Turcy tam przeszli. Wszystko w gruzach i żałobie!
Chio! — wyspa z win sławna, już tylko w tej dobie
Jest dziką, bezludną skałą.
Chio — której pałace, nadbrzeża i bory
Odbijały się w morzu, gdy w ciepłe wieczory
Młodzieży grono skakało.

Wszystko pustynią. Lecz nie! Gdzie sterczą zwaliska,
Stoi chłopczyk. Z błękitnych oczu łza mu błyska,
Głowa jego pochylona.
Greckie-to było dziecię. Przy niem tylko stała
Jedyna towarzyszka jego — róża biała,
W pustoszeniu pominiona.

O, biedne dziecię! Stopę nagą krew mu broczy,
Niestety! By osuszyć z łez twe piękne oczy,
Które mają błękit nieba;
Żeby ten zachmurzony błękit rozweselić,
Żeby mu błyskawicy radości udzielić,
Powiedz, chłopcze, co ci trzeba?

Żeby to czoło, które przygniotło cierpienie,
Podnieść, żeby w wesołe ułożyć pierścienie
Dotąd żelazem zuchwale
Nietknięte jasne włosy, które dziś niechcący
Po białej twojej szyi spadają niedbale,
Jak liść na wierzbie płaczącéj,—

Cóż chcesz? Czemże rozproszę twój smutek ponury?
Chcesz-że, bym ci czarowny zerwał kwiatek, który
Rośnie nad studnią w Iranie?
Czy chcesz owocu tuby[1]), tego drzew olbrzyma,
Który pod swoim cieniem taką przestrzeń trzyma,
Że koń, rok lecąc, ledwie z niej się wydostanie?

Może ten leśny ptaszek, którego śpiewanie
Milsze jest niż oboje, niżli lutni granie?
Może on zmiękczy twój ból?
Cóż ci dać? kwiatek, owoc, czy cudnego ptaka?
„Bracie! — była odpowiedź greckiego chłopaka —
Daj mi prochu! daj mi kul!“

## 2. Pełnia.

Księżyc świecił pogodnie, igrając po fali;
Okno przecież otwarte miły chłód przyjmuje;
Patrzy sułtanka — morze łamiące się w dali
Czarne wysepki brzeżkiem srebrzystym haftuje.

Z sułtanki ręki brzmiąca wypada gitara;
Słucha pilnie, dźwięk głuchy odbija się głucho,
Tureckiej-że to nawy szum uderza ucho?
Grecki-ż to archipelag porze łódź Tatara?

Może kormoran nurka daje o tej porze,
A woda, jak perłami, z skrzydeł mu ocieka,
Może to straszą diwy[2]) złowieszcze z daleka
I z nadmorskiej wież baszty obalają w morze?

Cóż to zakłóca głębię pod samym serajem?
Nie kormoran to czarny, nie zbujała fala,
Nie kamień, który z wieży w wodę się obala,
Ani wiosła takt biją żeglarzy zwyczajem.

To ciężkie worki spadły. W nich jęk słychać w dali;
Ktoby za niemi nurty zwiedzić był ciekawy,
Ruszające się ludzkie dostrzegłby postawy...
Księżyc świecił pogodnie, igrając po fali.

*(Bruno Kiciński).*

[1]) Drzewo w raju mahometańskim; pisze o nim Koran.
[2]) Diwy — duchy złe w mitologii mahometańskiej.

### B) Z liści jesiennych *(Les feuilles d'automne).*

1.

Co ci, serce, z narodzin królów? co ci z chwały
Zwycięstw, których rozgłosem pękają w kawały
Dział bronzy i dzwonów śpiże?
Co z tych hymnów wśród świątyń, które światłem gorą —
Poczem z miast rozbudzonych lecą nocną porą
Gwiazd snopy ku niebu chyże?

Indziej patrz. Tam ku Bogu tylko wznoś twe loty!
Doczesna marność z lichej puszy się pozłoty —
Czczy dym jest chwała wszelaka!
Korony, mitry lśniące, błyszcząc krótkotrwale,
Czyż są warte źdźbła trawy, którą Bóg w swej chwale
Stworzył na gniazdo dla ptaka?

Ach! Dalszą jest nicości słabość, niż potęga.
Pocisk, co gołębnika lichego nie sięga,
W obelisk wali znienacka!
Zawsze w śmierci się imię Bóg do królów zbliża —
Szczyt ich koron zrobiony jest ze znaku krzyża —
Z ich grobów świątyń posadzka!

Jakże? blask naszych gmachów — co? wież naszych czoła?
Napoleon, Perykles, Cezar — wszystko zgoła
Pada i w pyle się ściele?
Któż cię zbada, otchłani niema, jak opoka!
O trzy stopy pod ziemią cisza tak głęboka,
A z wierzchu wrzawy tak wiele!

*(F. Faleński).*

### 2. Do kobiety.

Dziecię, gdybym był królem, dałbym niezmierzone
Państwo me, tron mój, berło, zgiętych ludów roje,
Moje wanny z porfiru, złotą mą koronę,
Statki me, którym morza nie starczą wzburzone,
Za jedno spojrzenie twoje!

Gdybym był Bogiem — ziemię, powietrze, wód tonie,
Hołd aniołów, szatanów straszliwy szacunek,
Chaos, co przyszłe światy kryje w swojem łonie,
Niebo, przestrzeń i wieczność, w której wszystko tonie,
Za jeden twój pocałunek.

*(Aksel).*

### C) Z pieśni o zmroku *(Les chants du crépuscule).*

1) Nowa piosnka na starą nutę.

Jeśli jest ten kwiat złoty,
Co jaśni nocy mrok;
Którego od burz, sloty
Anioła strzeże wzrok;
O! niechże jej kochanek
Uplecie z niego wianek
I rzuca go co ranek,
Gdzie pierwszy stawia krok!

Jeśli jest ta pierś cnoty
Gdzie wieje niebios woń;
Od której nieszczęść groty
Odbija boska dłoń.
Gdy błysną nocne zorze,
O! spraw tak, wielki Boże!
Niechże ją tam położę,
Gdzie swoją kładzie skroń.

Jeśli są snu pieszczoty,
Co łączą dusze dwie;
I tylko aniołów loty
Szeleszczą po tym śnie.
O! blada ranna gwiazdo,
Wstrzymaj się z swoją jazdą,
Niech z nich uplotę gniazdo
Tam, gdzie jej serce lgnie!

*(Kornel Ujejski).*

2) Inna piosnka.

Nie otwierasz? — Świta już.
Piękna moja! rzuć sny, rzuć,
Już sen odbiegł białych róż,
Róże wstają; zbudź się, zbudź!
O, piękna moja,
Wysłuchaj mnie,
Płaczem i śpiewem
Przyzywam cię!
Wszystko stuka w twoją sień,
Zorza mówi: jam jest dzień;
Ptak: jam dźwięk, co w duszy gra;
Serce moje: miłość — ja!
O, piękna moja itd.
Jak anioła ja cię czczę,
Jak kobietę — kocham cię,
Bóg mnie z tobą tworząc wraz,
Chciał dopełnić wzajem nas.
O, piękna moja itd.
Dla twej duszy stworzył On
W duszy mojej bliźni ton,
A gdy stwarzał wdzięki twe,
I mnie dał źrenice dwie.
O, piękna moja,
Wysłuchaj mnie,
Płaczem i śmiechem
Przyzywam cię.

*(Władysław Ordon).*

### D) Z „Rozmyślań" *(Les Contemplations).*

#### Przenośnia.

Zmierzch zapadał — wieczorem cichym, uroczystym;
Herman rzekł do mnie: Jakie wyznanie twej wiary?
Jaka zasada godłem twéj duszy wieczystém?
Mów, czyliś sam dla siebie — olbrzymem twej miary?
Jeśli twe pieśni nie są pianą świata marną,
Jeśli twe strofy nie są mgłą wyziewu parną,
Co na śmiecisku nicości
Wstaje i spada w ciemności;
Jeżeliś nie jest duszą zwątpieniem schłoniętą,
Jakiż jest znak widomy wiary, co ci świętą?...
Rozmyślaczu, co wiedziesz postępu drogami,
Przecz się Bogu nie modlisz w kościele?

Lasami

Szliśmy obaj przy sobie, taką nocną ciszą,
W której słowa szmer listków — listki szmer słów słyszą.
Rzekłem mu: modlę się. — W jakiej modlisz się świątyni? —
Spytał Herman — gdy jasną masz w twej duszy wiarę,
Jaki kapłan tam świętą modlitwy ofiarę
I przy jakim ołtarzu, gdy się modlisz, czyni?...
— Kościół?... błękitów sklepienie!
A kapłan — wtem niebios przestrzenie
Srebrnym buchnęły blaskiem, księżyc w pełni krasnej,
Jak wielka hostya, wzniósł się na przestrzeni jasnej,
A w ciszy wszystko drżało — zwierz, drzewa, natura —
Rzekłem, wskazując niebo, co srebrzyła chmura:
Patrz! — błękit kościołem,
Bezbrzeżne jego sklepienie...
A dziś ofiary sam Bóg apostołem...
Czołem!..
Oto podniesienie!...

(*Władysław Tarnowski*).

### E) Z „Legendy wieków" (*La légende des siècles*).

## Zim-Zizimi.

Padyszach Zim-Zizimi, panujący nad Afryką, z mnogich zwycięstw dumny, drwiący z Koranu, ucztuje w najpyszniejszym gmachu, jaki zbudowali władcy Egiptu. Ucztuje samotny — i nudzi się, bo wyczerpał wszelkie możliwe rozkosze. Tron jego wznosi się na dziesięciu sfinksach, którym znudzony Padyszach, nienawidzący całe ludzkie plemię, rozkazuje zanucić hymn niepożytej sławy. Sfinksy zabierają głos po kolei, lecz zamiast schlebiać dumie władcy, przedstawiają w dziejach jego poprzedników marność wszelkiej ziemskiej potęgi. Rozgoryczony tem Zim-Zizimi, zwraca się jeszcze do czary i do lampy, by mu weselsze powiedziały słowa: lecz i tu spotyka go zawód. Oto końcowa część tej legendy:

„Przechodniu! Chcesz zobaczyć Kleopatry łoże?
Alkowa smutna, światło tam nie wejdzie boże;
Złożona w niej na wieczność nadziemska ta siła
Uroków, co to niegdyś świat cały olśniła...
Ów płomień, co ócz wszystkich ognie zabrał w siebie.
Gdy zmarła, świat na bóstwa osłupiał pogrzebie.
Zęby — perły, ust woni — ambra pozazdrości;
Króle u drzwi tej pani konali z miłości;
Efrakteusz dał Atlas; czuły na jej groty,
Sapor Ozymandyasa pierścień porwał złoty.
Mamylos — dla tej pani, pyszne mury Suzy,
Tentyros i Palmirę starł, zgruchotał w gruzy.
Antoniusz, kiedy losy wybierać mu każą —
Pomiędzy nią a światem, klął przed cudną twarzą.
Gasła przed jej nadziemskiem Junona obliczem;
Okowy złote miała w spojrzeniu zwodniczem...
O! serce ludzkie! Jeśliś drgnęło szczęścia chwilką;
To chyba od jej spojrzeń, w ramionach jej tylko...

Imię jej upajało... Kreśląc jego głoski,
Strofus drżał... Ziemi słońcem był uśmiech jej boski,
Błyskawic uzbrojony i promieni siłą.
Ciało jej — jak z lazurów i karminu było;
Wenus zazdrosna, przed nią w mgłach bywało tonie;
Egipt jej tchnień różanych napełniały wonie;
Bez osłon, wzrok śmiertelnych paliła jak słońce;
W różach zazdrość budziły paluszków jej końce!...
Śmiertelni! Spójrzcie w grobie dziś na piękność ową!
Była bóstwem, raczyła dumna być królową;
Ust jej wabnych na łuczek Miłość pożyczała;
Serca, zmysły szalały, gdzie przeszła wspaniała;
Wdzięk jej był okrutniejszy, niż lew puszczy srogi...
Lecz... zatknij nos, przechodniu, wchodząc dziś w jej progi!"

* * *

Sułtan, blady, słuchał sfinksów mowy.
„Ha, złowrogie bajania! — rzekł. Rozkażę w szczęty
Jutro zburzyć na wieki pałac ten przeklęty,
Kędy, zamiast aniołów, czarci mówią z nami!"
Pięścią pogroził sfinksom z dziwnemi oczami.

* * *

I spostrzegł czarę. Wino w naczyniu bogatem
Skrzy się, — szałwii, gożdzików nęcąc aromatem.
„A, ty jedna rozpędzasz nudę z mego czoła!
Pójdź do mnie, śmiej się, czaro! Mów, a bądź wesoła!
Wygnaj z myśli mych widma, straszące żałobą!
Jam potęga, ty — nektar, więc pomówny z sobą".
I czara, roziskrzona, pyszna, woniejąca,
Rzekła doń: „W Aleksandryi Fur był bratem słońca;
Hełm jego po nad morskie wystrzelał kotliny;
A lud jego waleczny, natenczas jedyny
W Afryce po Kartadze, a po Romie w świecie,
Więcej mu słał żołnierzy, niż wam, gdy zaśniecie,
Sen roziskrzy mar złotych w przezroczu łudzącem.
Lecz pocóż na tej ziemi być człowiekiem — słońcem?
I cóż na blasku chwili nicość wygra naga?
Co znaczy tron kalifa, złudna wielkość maga?
Co znaczy faraonem być, dumnym sułtanem,
Który w wieczność bezmierną, w mgnieniu tu mu danem,
Śmie ciskać blask próżny znikomej swej mitry?
Czem Arzesy, Daryusze, czem są Armamitry?
Setos i Asser-Addon i Nabonasary?
Cyaksary i Dercylasy, Artakserksy?.. Mary!
Co tłum, zahartowany w boju, nam pomaga?
Masz imię Chozroesa, Sylli, Astyaga,
Cezara, lub Omara, Annibala?.. Po co?...
Po co być Achillesem? Blask się kończy nocą!

Na chwilę byli głośni, — a w wiek oniemieli!..
Żyjący! Gdy śmierć do was w trupiej zajrzy bieli,
Każdy ją z drżeniem wita; lecz król ziemi po to
Wznosi się, by najniżej padł z koroną złotą.
Dla wielkich krwi szafarzy — sroższy sędzia w górze!
Gdy dusza z nich ulata, trup — w marnej purpurze
Układa się — i czuje, gdy śmierć innych cicha,
Jego trumnę pień drzewa, lub skała rozpycha;
I sęp od grobów takich — drżący, siada zdala...
Czem sułtan jest po śmierci? — Kret proch tego kala,
Kto państwo tu posiadał, piął się na szczyt chwały;
W szkielecie, co tu rządził, świat deptał — zuchwały,
Pantera swój przyplodek hoduje złowrogi!"

Zim — wściekły, cisnął czarą o marmur podłogi.
Lecz, by salę oświetlić, właśnie przyniesiono
Na stół bogatą lampę, misternie rzeźbioną
Na Sumatrze, w złotników przesławnych krainie.
I oto — blask słoneczny po sali z niej płynie.
Zim woła: „Otóż — światło przynajmniej jest z nami!
Te sfinksy są Erebu i nocy synami!
Ta czara, ciągle pijąc, w szał wpadła powoli.
Ty, lampo, ty, co w świetnej żyjesz aureoli,
Uśmiechem rozweselasz uczty woniejące,
A gdzie wejdziesz, tam naraz wschodzi jasne słońce,
Głos twój brzmi pewno, jako pieśni jutrzni wieszcze!
Zanuć mi coś takiego, czego nie znam jeszcze.
O, przemów, lampo rajska, wlej radość mi w łono!
Tę czarę i te sfinksy — piekła niech pochłoną!
Gdyż w oczach sfinksów — kłamy, w winie czary — zdrada".

Lampa, na rozkaz króla, w te słowa zagada:
„Gdy losy Tyr, Babilon i Ilion mu dały,
Tezejowi skradł Delfy, lwom Atos wspaniały;
Gdy Ganges niósł mu haracz, Teby skroń schyliły,
Ninus, ów bratobójca — schodzi do mogiły.
Złożono go, tamecznym zwyczajem, głęboko,
W bezdni czarnej, gdzie nic już, nic nie dojrzy oko.
Gdzie? Nikt nie wie. Głąb czarna, bez dna ziemi łono.
I człowiek — stał się widmem. Gdyby w bezdeń oną
Mógł śmiertelnik żyjący zajrzeć choć zdaleka,
Obaczyć grób samotny owego człowieka,
Co tu był tem, czem w burzy zygzag piorunowy,
To znalazłby, na miejscu tej monarszej głowy,
Nieco prochu i kości szczyptę spopielałą.
Adamowi — Kainem widmoby się zdało.
Jaszczurka drży, gdy czasem zbliży się, zaśmiała,
Tam, gdzie leży obrzydła ta zgnilizna ciała.
Tak śpi pogromca Ninus. Czeka na coś może...
I śmierć tu wchodzi czasem, schyla się nad łoże,

Złożywszy chleb, dzban z wodą na wilgotnej ziemi,
I potrąca monarchę stopy zuchwałemi,
I mówi: — „Oto jestem, Ninus czy nie wstanie?
Oto masz nieco chleba, nieco wody w dzbanie!
Bierz to, być musisz głodny!“ — „Nie mam rąk!“ Śmierć pusta.
— „Jedz — zawoła — pij, królu!“ — „Gdzież są moje usta?“
Śmierć chleb mu pokazuje. — „Patrzaj, co to?“ woła.
A Ninus: — „Nie mam oczu, nic nie widzę zgoła!“

* * *

I Zim powstał straszliwy — i o marmur głuchy,
Na którym pozostały bankietu okruchy,
Cisnął, jak przedtem czarą, lampą ową złotą.
Lampa — strzaskana, zgasła.
Zim patrzy — i oto —
Noc weszła... I Zim został sam, z mrokiem... Olbrzymie
Słupy sali zginęły, jak w olbrzymim dymie...
Zim zadrżał... sam, bez straży... Wkoło — głucho, ciemno...
Noc, za dłoń go ująwszy, rzekła: — „Dość! Pójdź ze mną!“

(*Klemens Podwysocki*).

---

**F) Z „Piosnek ulic i lasów“** (*Chansons des bois et des rues*).

Już nie ma wiśni — jagody zjedzone;
Nagle się ona z zamyślenia budzi;
„Wolę cukierki, niż łąki zielone“;
Tupnęła nóżką: — „To Saint-Cloud mię nudzi“.

„Chcę pić“. — Mój Boże, wnet na to żądanie
Niosę jagody, z prostotą bezkarną;
Nic... nie chce słuchać. „O, ślicznie, mój panie,
Błękitne palce a buzię mam czarną“.

Dwie łzy oczęta zaćmiły jej duże;
Wreszcie obiła mię gałązką z drzewa.
O, czerwcu wonny! o, światła! o, róże!
Cień milczy niemy, a lazur wciąż śpiewa.

Uciekam. Rajska willa moja pusta
Niechaj rozpaczne pośle za mną skargi.
Zostawiam, zanim śmiech skrzywi mi wargi,
Jej rączkę z kwiatem i z całusem usta.

(*Władysław Ordon*).

---

### G) Z „Liry siedmiostrunnej“ (*Toute la lyre*).

(Księga III, ustęp 9).

Mrok cichy i głęboki na dolinę pada.
Usiądźmy, córko moja. Tam, pod mostem, blada
Łuna zachodu jak cień miga złoty...
Z kościoła: „anioł pański“, z kuźni słychać młoty.

Robotnik na kowadle, a Stwórca na dzwonie
Toż samo kują dzieło: gdy gwiazda zapłonie
Tam w górze, tu na ziemi ognisko blask sieje.

I oto, widzisz, całe ludzkości koleje
W tych dwóch światłach, dwóch głosach, co radzą surowo
I wśród życia zagadek w nich prawdy jest słowo!
Wskażą, gdzie cel, gdzie przystań obierać wypadło:
Bo dzwony mówią: „módl się!“ a „pracuj“ — kowadło.

(*Teresa Prażmowska*).

### H) Hernani.

Juan, książę aragoński, którego ojciec z rozkazu króla hiszpańskiego został zamordowany, tworzy pod nazwiskiem Hernaniego bandę, by pomścić się tej śmierci na synu królewskim Don Karlosie, który tymczasem tron osiągnął. Spotykają się przypadkiem w zamku Ruy Gomeza, który ma zamiar poślubić piękną swą synowicę Donę Sol. Dona Sol kocha Hernaniego i jest przezeń kochaną. Don Karlos dowiaduje się o tej tajemnicy i postanawia schwytać Hernaniego, gdy ten na schadzkę przyjdzie. Zamiar jego jednakże udaremniony został przytomnością umysłu i dzielnością szlachetnego bandyty. Mógł Hernani pozbawić życia Don Karlosa, lecz poczucie honoru każe mu go puścić wolno. Niebawem Hernani znowu się znajduje w zamku Ruy Gomeza, gdy Don Karlos tam właśnie zmierza, by go schwytać. Teraz Ruy Gomez ukrywa Hernaniego, lubo się dowiedział, że go kocha Dona Sol; Hernani bić się ze starym nie chce, lecz daje mu życie swe do rozporządzenia. W ciągu tej akcyi, Don Karlos zajęty miłością dla Dony Sol i ściganiem Hernaniego, ubiega się o koronę cesarską; Hernani zaś należąc do spiskowców, wyciąga los jako jego morderca. Don Karlos zostawszy cesarzem, jako Karol V-ty przebacza spiskowym i Hernaniemu, dając mu Donę Sol w małżeństwo. Odbywa się uczta weselna; młoda para marzy o szczęściu niezmąconem, gdy wtem odzywa się dźwięk trąbki, którą Hernani dał Ruy Gomezowi z przyrzeczeniem, że kiedykolwiek i gdziekolwiek dźwięk jej posłyszy, będzie gotów oddać swe życie. Hernani stara się odwrócić uwagę swej młodej małżonki od tego złowieszczego brzmienia, wysyła ją po szkatułkę, w której znajdował się kordyał jedynie uśmierzający boleści ran jego dawnych; a gdy żona się oddaliła, pojawia się Ruy Gomez zamaskowany, żądając spełnienia przysięgi, wymawiając Hernaniemu, że pomimo kilkakrotnego dźwięku trąbki, dotąd jeszcze żyje; daje mu do wyboru żelazo lub truciznę. Wtem wraca Dona Sol i rozgrywa się scena ostatnia pomiędzy trzema osobami. Ruy Gomez jest nieubłagany, Hernani zażywa truciznę, małżonka umiera w obłąkaniu, a stryj jej przebija się sztyletem. Przytaczamy tu monolog Don Karlosa w grobowcu Karola Wielkiego, oraz końcowe sceny w skróceniu:

Akt IV, scena 2. Karlos u grobowca Karola Wielkiego.

Wielki Karolu, przebacz! Sklepień tych pustkowie
Winno tylko poważnej dźwięczność dawać mowie.
Jakiż musi wstręt w tobie budzić zgiełk ten lichy,
Którym przy twym grobowcu brzęczą nasze pychy!

Wielki Karol tu leży. — Jakże? ciemni głucha,
Czyliż cię nie rozsadza ogrom jego ducha?
Więc ty tu, wielkoludzie światotwórczej chwały!
I podobnaż: w tym grobie byś się zmieścił cały?
Ach! cóż za widok zdolny myśl uskrzydlić w łonie,
Ta Europa, przez jego urobiona dłonie!
Gmach władzy i dwóch wodzów tam na szczycie, którzy
Wybrani są, a wszelki król im z rodu służy.
Mocarstwa, władztwa, państwa, drobnych księstw drużyna,
Aż tam, w dół — wszystkie idą z ojca wprost na syna;
Lecz lud papieża swego miewa i cesarza
Z rąk trafu, z którym w drodze lepszy ład się zdarza.
Stąd równowaga płuży i porządku zdrowie.
Wyborcy w złocie, w szatach z krwi kardynałowie,
Dwa święte zbory, z których blask się wypromienia,
Stanowią tylko orszak według niebios chcenia.
Niech kędyś myśl, wykluta z potrzeb dziejów świata,
Wzrost ma, lot ma, we wszystko swą ożywczość wplata,
Człekiem się stawa, chwyta serca, rznie szlak nowy —
Niejeden król ją zdeptał lub jej wzbronił mowy.
Lecz gdy na sejmie ona lub w konklawe siędzie,
To wnet, w myśl tę więzioną patrząc krzywi sędzie
Z pod jej stopy, co w dół im dumne czoła kłoni,
Glob w jej ręce lub ujrzą tyarę na jej skroni.
Papież i cesarz wszystkiem są! i nic nie bywa,
Jak z nich i przez nich! Byt ich — tajemnica żywa!
To niebo, do którego jedni mają prawo,
Wielką z ludów i z władców służy im zastawą.
Więc pod chmurą, gdzie mruczy błyskawica skrawa,
We dwóch siedzą u stołu — Bóg im świat podawa. —
Sam na sam tną lub sadzą pędy, istnieć chcące,
Smug równając, jak czyni kosiarz na swej łące;
Czyn wszelki z nich ma źródło. Króle zbitą zgrają
U drzwi stoją i tylko potraw woń wdychają,
W szyby patrząc, ciekawi, trwożni i jak dziecię
Na palcach się wspinając, by coś ujrzeć przecie.
Pod niemi ludzkość w piętrach w miarę swej zasługi.
Tworzą i niszczą. Jeden rozwiązuje — drugi
Rozcina. Jeden Prawdą jest, a drugi Siłą.
Są, bo są — gdyż rozumnie trzeba, by tak było.
Gdy w równi z sobą, każdy z swych przybytków sunie
Jeden w szkarłacie, drugi w śnieżnym swym całunie.
Świat olśniony ogląda, choć go drętwi trwoga,
Papieża i cesarza — dwie połowy Boga.
Cesarz! cesarz! — cesarzem być! — i, o wściekłości!
Nie być nim, czując męstwo, co w tem sercu gości!
Jak był szczęśliwym ten, co pod tą śpi mogiłą!
Jak wielkim! — W jego oczach jeszcze piękniej było.

Papież, cesarz — nie ludzie dwaj, jak dziś widzimy —
Lecz Piotr i Cezar, sobą dwa kojarząc Rzymy
Tak, że oba w tem stadle być płodnemi muszą —
Ród ludzki świeży, świeżą ożywiając duszą —
Ryczałtem przetapiając ludy i tułowy
Królestw, by z tego wyszedł kształt Europy nowy —
I mnąc w dłoniach na wrzący odlew przyszłej chwały
Bronz, z rzymskiego starego świata pozostały.
O, cóż za ogrom! — Jednak — jego tu mogiła...
Więc wszystko kres ma — niemal jakby rzecz niebyła!
Jakże? Być razem: księciem, królem i cesarzem,
Być prawem oraz mieczem, którym krnąbrnych karzem,
Na Germanii opierać stopy swe olbrzymie,
Nosić godność cesarza, Karol mieć na imię,
Być większym, niż niejeden z tych, co trzęśli światem,
Być tak wielkim, jak wielki świat — i skończyć na tem!
Ach! Ty chciwcze cesarstwa, spójrz w garść, gdzie się zmieści
Proch cesarza! Świat cały niechaj drga od wieści
Twych tryumfalnych zgiełków. Chciej być w pierwszym rzędzie
Z twem nadwładztwem i nie mów nigdy: dość już będzie. —
Z brył olbrzymich strasznego gmachu czyń ciosanie —
O szaleńcze! czy wiesz ty, z tego co zostanie?
Ten głaz oto. A z imion twych, półboskich prawie,
Kilka głosek, bąkanych gdzieś na szkolnej ławie!
Jakbądźbyś w górę sięgnął — pod tą prochu warstwą,
Tu, w dole, kres twej żądzy...
Jednak — ach! Cesarstwo!
Nie. Mieć je chcę i muszę. — „Będziesz bez pochyby
Mieć je“ — tak mi coś mówi. Mieć je będę. Gdyby
Mieć już!... Być tym, co wszelkie rozpoczyna życie —
Stać, jak posąg na krętej piramidy szczycie —
Być kluczem nad spiętrzoną z rzeszy państw arkadą —
Widzieć: jak władcy rzędem pod twe stopy kładą
Swe głowy, byś obuwia proch ocierał o nie —
Widzieć pod niemi innych tłum na lennym tronie:
Margrabiów, kardynałów, dożów, książąt w złocie —
Dalej: opactwa, wodze klanów, szlachty krocie —
Dalej urząd i wojsko — aż gdzieś całkiem nizko,
W cieniach, na dnie otchłani — ludu rojowisko!
Lud — to znaczy: czerń, odmęt, co jak morze ryczy —
Wykrzyki, jęki, czasem śmiech wśród łez goryczy —
Skarga, co budząc tłumy nędzne niesłychanie,
Dosyła nam w oddźwięku turniejowe granie..
Lud — miasta, grody, których liczby znać nie mogę —
Dzwonnice świątyń — na to, by z nich bito trwogę! —
Podkład, który w pochodzie na swych barkach niesie
Ten gmach niezmierny, wsparty na biegunów kresie —
Odmęt, jak płyn niestały — który, gdy chce, zmienia

Drgający wiekuiście środek sił ciążenia
I wszystko z miejsc swych rusza i w ów gmach spiętrzony
Godząc pięścią, jak zwykłe stołki, wstrząsa trony —
Tak, że wnet zaprzestawszy zwady swej junaczej,
Królowie w niebo patrzą — w dół spojrzyjcie raczej!...
Ach lud! Ocean — wiecznie zmienne wód kryształy —
W które cobądź kto wrzuci, on wnet zadrga cały.
Wał, który, tron zmiażdżywszy, z grobem go kojarzy —
Zwierciadło, w którem rzadko król jest rad z swej twarzy!
Ach! ktoby wzrok zagrążył w bełt ów tajemniczy,
Ujrzałby w głębi szczęty, jakich nikt nie zliczy,
Rozbitych naw państwowych, które on w swym gniewie
Zgniótł, bo mu zawadzały — i już o nich nie wie.
Tem wszystkiem rządzić? Być tam, na tem tak dalekiem
Piętrze — tam wstąpić, wiedząc, żeś jest tylko człekiem —
I mieć otchłań pod sobą!... Byłem w chwili owéj,
Spojrzawszy w nią, nie uczuł, iż mam zawrót głowy...
O! gmachu z władz i z władców! ty — tak chwiejny srodze —
Twój szczyt jakże jest szczupły! Biada trwożnej nodze!
Och! a gdybym tam osłabł? — Gdzież mi wsparcie czyje,
Gdy uczuję, jak świat mi żywem tętnem bije
Tuż pod stopą, szumiący głucho, zwarty w sobie! —
Potem glob ten już mając w ręku — cóż z nim zrobię?
Mamże siły, choćbym go w dłonie wziął obiedwie,
Być cesarzem? — gdym królem zdołał być zaledwie!
Tak. Człowiek powołany tylko — przyznać muszę —
Zdoła do miary szczęścia swą rozszerzyć duszę —
Lecz ja — któż mi wzrok zwiększy? Kto mi w walk tych polu
Wodzem będzie? (Padając na kolana przy grobowcu). Ty jeden, Wielki ty
O! skoro Bóg, przed którym przeszkód drżą bezprawia, [Karolu!
Wielkości nasze obie twarzą w twarz zestawia,
Ty mi wlej w serce z głębi twego tu pomnika
Coś wielkiego, szczytnego, co się z pięknem styka.
Rzecz każdą daj mi widzieć zewsząd w prawdzie nagiéj.
Pokaż mi świat ten małym, bo mi brak odwagi —
Tknąć go. Wskaż mi: że wśród tej wężownicy kręga,
Co aż ku Cezarowi od pastucha sięga,
Każdy jest na swym szczeblu z siebie rad, w sąsiada
Przez ramię patrząc z śmiechem, którym ledwie włada.
I mów mi grzmiącym głosem groźnych spraw siłacza,
Że jest wielkim, kto karze, nie zaś kto przebacza.
Nie prawdaż? — Ach! jeżeli w ciszy tej się zdarza,
Że zbudzony niesforną wrzawą cień mocarza
Dźwiga się i grobowiec pięścią swą przetworzy,
By w świat z niego wystrzelił błysk gromowej zorzy —
Jeśli to prawda — niechbyś rzekł mi słowo wieszcze:
Co po Karolu Wielkim zrobić można jeszcze?
Mów — choćby tchnienie twoje, godząc w moją głowę,

W skroń mi nawet wbić miało odrzwia te bronzowe.
Lub raczej w twój przybytek daj mi wejść, jak życzę —
Bym tam w pośmiertne twoje spojrzeć mógł oblicze...
Nie zdmuchnij mię potężnym tchem — lecz w noc tę ciemną,
Na kamiennem wezgłowiu wsparłszy się, mów ze mną...
Tak... Choćby nawet z ust twych wyszły niepowszednie
Słowa, od których wzrok się ćmi i czoło blednie,
Mów — tylko niech od świętej nie oślepnę trwogi —
Gdyż twój grób musi pełnym być światłości błogiéj.
Lub jeśli milczeć będziesz — zdarz, bym ku twej cześci
Choć twą głowę rozglądał — w której świat się mieści...
Pozwól, bym cię mógł zmierzyć w całym twym przestworze —
Gdyż tu nad twe nicestwo większem cóż być może?!
Niech, gdy cień wionął, proch mi rady swej udzieli.
(Zbliża klucz do zamku).
Dalej! (Cofając się). Ach! Ależ, jeśli ozwie się? Jeżeli
Ujrzę go i od kroków jego będą drżały
Głazy? — i gdybym stamtąd wrócił osiwiały?...
Nic to! Wejść mam i wejdę! (Nasłuchując). Czyjeś kroki słyszę.
Któż się prócz mnie ośmiela mącić świętą ciszę
Podobnego schronienia? — Ach! to ci są przecie,
Co się ku mnie skradają z dłonią na sztylecie.
(Znika poza drzwiami grobowca). *(F. Faleński).*

Akt V, scena 3. — Hernani i Dona Sol.

*Dona Sol.* Nareszcie się rozeszli. Już późna godzina?
*Hernani.* Kiedyż może być wczesna, by z tobą, jedyna,
Być w dwojgu, w samotności.
*Dona Sol.* Prawda; drogi panie,
Że ten hałas balowy, zda się szczęście rani.
*Hernani.* Tak jest: szczęście, ma luba, o! poważnie płynie,
I przenikając serce, chce mieć w niem świątynię.
Wesołość je przeraża, sypiąc nań kwiatami,
Uśmiech jego mniej śmiechem, a więcej jest łzami.
*Dona Sol.* Ten uśmiech w twoich oczach jest niebo.
(Hernani stara się ją uprowadzić). O, chwilę!..
*Hernani.* Wszak ja twym niewolnikiem, winienem ci tyle.
Zostańmy, kiedy żądasz. Nie mam własnych chęci:
Co zrobisz, będzie dobrem; wszak nie błądzą święci!
We mnie ogień; lecz śmiać się będę na skinienie.
O! rozkaż wulkanowi, niech zgasi płomienie,
To i wulkan swe ognie zamknie wnet w kraterze,
Osłoni się zielenią i w kwiaty ubierze.
*Dona Sol.* O! jaki jesteś dobry dla biednej kobiety.
Hernani mego serca.
*Hernani.* To imię, niestety!
Litości! Niech nie słyszę już tego imienia!
Ono wydziera szczęście, budzi z zapomnienia!

Wiem, że istniał tu kiedyś, tych miejsc nawet blizki
Hernani, a wzrok jego miał miecza odbłyski!
Człowiek gór, człowiek nocy, przeklęty, banita!
Na jego czole zemsta czerniała wyryta!
I wlókł za sobą wszędzie śmierć, postrach, pożogę;
Lecz ja go wcale nie znam! Bo czyż go znać mogę?
Ja, lubiący zabawy, i ja, grand Hiszpanji,
Don Żuan arragoński, małżonek twój, pani,
Ja, szczęśliwy!

*Dona Sol.* Ja także!

*Hernani.* To pamięci zbytek!
Pomnieć to, com porzucił, wchodząc w ten przybytek!
Wracam w ten dom żałoby: u progu, kobiéta,
Anioł raczej niebiański, wędrownika wita.
Wchodzę, oczyszczam sale moje spustoszone,
Zapalam zgasłe ognie, kolumny zwalone
Podnoszę i przyjaciół spraszam w dzień radości;
I jestem cały w szczęściu, w zachwycie, w miłości;
Niech mi oddadzą zamki, wasalów gromady,
Mój hełm i moje miejsce śród kastylskiej rady;
Niech ma Dona Sol przyjdzie, anielskie widzenie,
Niech nas samych zostawią, reszta — zapomnienie:
Ścieram wszystko, co było! I nie mam przyszłości:
Czy to szczytem szaleństwa, czy szczytem wielkości,
Nie wiem! lecz kocham ciebie. (Chce ją uprowadzić).

*Dona Sol.* Jeszcze jedną chwilę...
Widzisz, płaczę; bo w sercu szczęścia tyle, tyle...
(Zbliża się do balustrady).
Chodź, popatrz: jak tu pięknie! Jedno mgnienie oka
Odetchniemy i spojrzym, jak ta noc głęboka!
Zgasły światła, głos uczty ciszy nie przerywa;
Tylko my jedni, z nocą! Ach! jakżem szczęśliwa!
Powiedz: czy wierzysz temu, gdy tutaj my sami?
Natura, pół-uśpiona, lecz czuwa nad nami?
Ani chmurki na niebie; wszystko w śnie spokojnym;
Przyjdź tu, odetchnąć ze mną tem powietrzem wonném!
Patrz: ni światła, ni szmeru. Cisza naokoło.
Gdy ty do mnie mówiłeś, księżyc wznosił czoło:
Głosu twego dźwięk luby i promienie drżące
Wpadały w moje serce gwałtownie bijące,
I tak mi było lubo i błogo, żem chciała,
Aby mię śmierć z tem szczęściem do nieba zabrała!

*Hernani.* Na głos twój trza się rozstać z myślami gorzkiemi:
Bo słowa twe są śpiewem, ale nie tej ziemi!

*Dona Sol.* Te ciemności mnie smucą, ta cisza mnie ziębi!
Prawda, dobrze byłoby: jedna gwiazdka w głębi?
Gdyby nuta piosenki czarowna i rzewna,
Wzniosła się, tam, z tej ciszy.

*Hernani* (uśmiechając się). Pani moja zmienna!
Tylko cośmy nie chcieli ni światła, ni śpiewu.
*Dona Sol.* Balowych. Ale żeby wśród nocy powiewu
Jaki słowik zaśpiewał ukryty w gęstwinie,
Lub flet, tylko zdaleka. Bo muzyka płynie
W duszę, i tam gra echem; akordy jej drżące
Obudzą śpiących w sercu harmonij tysiące.
O, to byłoby cudnie. (Słychać w oddaleniu dźwięk trąbki).
To Bóg mię wysłuchał.
*Hernani* (na stronie). Nieszczęsna!
*Dona Sol.* Anioł z nieba myśl moją podsłuchał.
Twój anioł.
*Hernani* (z goryczą). Tak! mój anioł, od wieczności progu.
(Znowu dźwięk trąbki).
*Dona Sol* (z radością). Don Żuanie! Poznałam, to głos twego rogu.
*Hernani.* Tak, luba!
*Dona Sol.* O! ty pewno należysz w połowie
I do tej przyjemności.
*Hernani.* Ja z grającym w zmowie.
*Dona Sol.* Wszystkie bale na świecie za ten dźwiękbym dała!
Twa trąbka: jakbym głos twój z oddali słyszała!
(Znowu granie trąbki).
*Hernani* (na stronie). Tygrys swojej ofiary wymaga z wściekłością.

Akt V, scena 6. — Hernani, Ruj Gomez i Dona Sol.

*Dona Sol.* Nie mogłam znaleźć nigdzie.
*Hernani* (na stronie). Ach! ona. O Boże!
W tej chwili!
*Dona Sol.* On zbladł strasznie i głos mój go trwoży:
Jakie straszne cierpienia sprawia mu ta blizna.
— Lecz cóż to? Co masz w ręku? O mów!...

(Domino zdejmuje maskę, Dona Sol wydaje okropny krzyk, poznawszy Ruj Gomeza).

To trucizna!
*Hernani.* O nieba!
*Dona Sol* (do Hernaniego). Tyś okropnym ogarniony szałem.
Więc mnie oszukiwałeś?
*Hernani.* Ach! milczeć musiałem!
Przyrzekłem księciu umrzeć; on dług przypomina.
Arragon dziś zapłaci; wybiła godzina!
*Dona Sol.* Ty mą własnością jesteś! Tyś moim, mój miły:
Nie oddam cię nikomu! (Do Ruj Gomeza).
Miłość da mi siły
Bronić go przeciw tobie.
*Ruj Gomez.* A gdzież te potęgi,
Coby go obroniły od własnej przysięgi?
*Dona Sol.* Przysięgi!
*Hernani.* Ja przysiągłem.

*Dona Sol.* Nie, nie! czy to można
Dawać taką przysięgę: to zbrodnia bezbożna!
*Ruj Gomez.* No, książę!
*Hernani* (zbliża truciznę do ust, Dona Sol go zatrzymuje; do Dony Sol)
Pozwól, droga! Me słowo ma książę!
Mój ojciec patrzy z nieba, nic mnie nie rozwiąże.
*Dona Sol* (do Ruj Gomeza).
Łatwiej ci od tygrysów, w puszczy, bez oręża
Wydrzeć dzieci, niżeli wydrzeć u mnie męża.
Czy ty wiesz — kto ja jestem? O! kiedyś, z litości
Dla twych lat sześćdziesięciu i dla twej starości
Byłam dziewczę pokorne, drżąca i nieśmiała:
Widzisz dzisiaj, me oko jak wściekłą łzą pała. (Dobywa sztyletu).
Widzisz sztylet w mej dłoni, poczwaro z cmentarza!
Gdy oko moje grozi, to strzeż się żelaza.
O! strzeż się, Ruj Gomezie! W nas jedna krew płynie:
Choćbyś był moim ojcem — to śmierć cię nie minie,
Gdy na mego kochanka zechcesz podnieść rękę!
(Rzuca sztylet i pada do nóg Ruj Gomezowi).
Miłosierdzia! Mój stryju, patrz na moją mękę!
Niestety! ja kobieta! I w mej słabej duszy
Boleść wnet siły złamie i wolę pokruszy.
Nie hańb szkaradną zbrodnią świętej swej starości!
U nóg twoich się czołgam: litości! litości!
*Ruj Gomez.* Pani!
*Dona Sol.* O, przebacz! przebacz! Ty wiesz, żem Hiszpanka,
I gniew był w moich słowach: broniłam kochanka!
Ja nieraz twego serca doznałam dobrego;
Stryju! Ty mnie zabijesz, jeśli dotkniesz jego!
Litości! Ja go kocham...
*Ruj Gomez.* Przypominam sobie!...
*Hernani* (do Dony Sol). Ty płaczesz?
*Dona Sol* (do Hernaniego). Nie! ja nie chcę widzieć ciebie w grobie!
Nie — nie chcę!
(Do Ruj Gomeza). Daruj życie! A miłością szczerą
I ciebie kochać będę.
*Ruj Gomez.* A! po nim dopiero! (Do Hernaniego).
Cóż więc? (Hernani zbliża truciznę do ust. Dona Sol chwyta go za rękę).
*Dona Sol.* Czyż jednej chwili wyprosić nie mogę?
*Ruj Gomez.* Mogiła jest otwarta, a godziny drogie.
*Dona Sol.* Książę! O jedną chwilę! Don Żuanie! błagam.
Nieczuli! Czyż tak wielkiej rzeczy ja wymagam?
Chwilę jedną nic więcej! Nic nie żądam przecie!
Ach, pozwólcie przynajmniej nieszczęsnej kobiecie
Powiedzieć, co ma w sercu! O! mój Don Żuanie!
*Ruj Gomez.* Ja czekam... czas ucieka...
*Dona Sol.* Przerażasz mię, Panie!
Cóż ja ci zawiniłam?

*Hernani* (na stronie). Głos jej dręczy duszę!
*Dona Sol* (trzymając Hernaniego w objęciach).
Widzisz, mam z tobą mówić, powiedzieć ci muszę.
*Ruj Gomez* (Do Hernaniego). Umrzeć trzeba — nie zwlekaj.
*Dona Sol.* Kiedy się dowiecie...
Muszę rzecz ważną odkryć — książę!
(Wyrywa Hernaniemu flaszeczkę z rąk). Mam ją przecie!
(Podnosi w górę flaszeczkę przed zdziwionemi Ruj Gomezem i Hernanim).
*Ruj Gomez.* Ponieważ tu kobiety rządzą mężczyznami,
Muszę szukać czci męskiej pomiędzy duszami.
Opowiem twemu ojcu, jako tu, na świecie
Dotrzymuje swych przysiąg jego zacne dziecię!
— Żegnam was!
*Hernani* (zatrzymując księcia). Książę! chwilę! (Do Dony Sol). O! na miłość Boga!
Chcesżże widzieć mnie zdrajcą, fałszerzem, ma droga?
Chcesz, żebym na mem czole nosił jak zgniliznę,
Złamaną wiarę moją? O! daj tę truciznę!
Wróć mi ją! niech się wola przeznaczenia stanie.
*Dona Sol* (ponuro). Chcesz jej? (Pije truciznę).
Więc masz ją teraz.
*Ruj Gomez.* Ach! to było dla niej!
*Dona Sol* (oddaje Hernaniemu flaszeczkę wpół wypróżnioną).
Bierz, mówię ci.
*Hernani* (do Ruj Gomeza). Nędzniku! Widzisz, co się stało!
*Dona Sol.* O! nie miej, drogi, żalu! Połowę zostało. (Hernani bierze flaszeczkę).
Tybyś był nie zostawił nic dla swej kochanki!
Ty nie masz w sobie duszy żony i chrześcianki!
Nie wiesz, co to jest miłość, co to serce moje?
Ale ja piłam pierwsza, teraz się nie boję...
Pij resztę!
*Hernani.* Cóż zrobiłaś? Luba, nieszczęśliwa!
*Dona Sol.* Sam chciałeś tego, drogi.
*Hernani.* O! to śmierć straszliwa!
*Dona Sol.* Dlaczegoż ma być straszną?
*Hernani* (do nieba wznosząc oczy). Karzesz mię o, ojcze!
Za to, żem cię zapomniał! (Chce pić truciznę, Dona Sol chwyta go za rękę).
Boleści zabójcze!
Odrzuć zdala ten napój! Ból w piersi się wije,
Jak wąż! Mój Don Żuanie! Ta trucizna żyje
I rzuci w twoje serce hydrę rozjuszoną,
Co na tysiączne części poszarpie twe łono!
Nie wiedziałam, że można uczuć ból tak srogi!
To ogień i nóż razem! O! nie pij, mój drogi!
Zanadto cierpieć będziesz.
*Hernani* (do Ruj Gomeza). Nie mogłeś, szatanie,
Mniej bolesnej trucizny przygotować dla niej?
(Wypija truciznę i rzuca flaszeczkę).
*Dona Sol.* Co robisz?

*Hernani.* Ty wypiłaś!
*Dona Sol.* Chwil mamy niewiele,
O! chodź w moje objęcia! Cierpisz?
*Hernani.* Nie, aniele!
*Dona Sol.* Oto ślubna noc nasza nad nami zapada!
Prawda, na narzeczoną nadto jestem blada?
*Hernani.* Ach!
*Ruj Gomez.* Los straszny się spełnia.
*Hernani.* Okropne katusze!
Boleści! Ona patrzy, i ja patrzeć muszę!
*Dona Sol.* Uspokój się! mnie lepiej! O! bez skargi ginmy!
W jasności — razem, luby, skrzydła swe rozwińmy!
Do lepszego nas świata unosi męczeństwo!
Ach! jeden pocałunek — o! jeden...
(Hernani i Dona Sol we wzajemnem uściśnieniu).
*Ruj Gomez.* Przekleństwo!
*Hernani* (słabym głosem). O! mój Boże! za życie burzą skołatane,
Przepaściami otoczone, przez widma ścigane,
Dzięki ci! bo pozwalasz, po tej długiej męce,
Skonać, złożywszy usta na jej świętej ręce.
*Ruj Gomez.* Oni jeszcze szczęśliwi!
*Hernani* (konającym głosem). Droga! tu w uśpieniu...
Bardzo cierpisz.
*Dona Sol* (słabym głosem). Nie, luby.
*Hernani.* Widzisz... ognie w cieniu?
*Dona Sol.* Nie jeszcze.
*Hernani* (z westchnieniem). Koniec...
*Ruj Gomez* (podnosząc mu głowę). Umarł!...
*Dona Sol* (obłąkana, coraz słabszym głosem). Umarł! nie! my mamy
Tyle szczęścia... ach! tyle... bo... tak się kochamy!
On śpi — mój anioł z nieba, mój mąż, me kochanie!
O! proszę go nie budzić, mój szlachetny panie.
(Obraca głowę Hernaniego twarzą do siebie).
Obróć twe lica do mnie! Urok... niepojęty...
Bliżej... ach! bliżej... jeszcze... (Upada i kona).
*Ruj Gomez.* O! jestem przeklęty! (Przebija się sztyletem).

*(A. Korzeniowski).*

Mamy następne przekłady utworów poetyckich Wiktora Hugo wydane oddzielnie: »Hernani czyli Honor kastylijski« tłóm. prozą S. B., Puławy, 1830, toż wierszem Apollo Korzeniowski, Warszawa, 1861, toż wierszem Ig. Barankiewicz, 1862, toż wierszem w dodatku do »Świata«, Kraków, 1895; »Marya Delorme« tłóm. Apollo Korzeniowski, Warszawa, 1863, toż Wacław Szymanowski (w »Poezyach i dramatach«, Warszawa, 1884); »Marya Tudor«, tłóm. J. Gurowicz, Wilno 1846; toż Felicyan Faleński, Warszawa, 1864; »Burgrafowie« tłóm. Kazimierz Kaszewski, Warszawa, 1861; »Król się bawi«, dramat tłóm. Wł. Sabowski, Lwów, 1865; »Angelo« dramat tłóm. Władysław Dobkiewicz, Warszawa, 1867; »Wybór poezyj pomniejszych«, przekład Brunona hr. Kicińskiego, Warszawa, 1840; »Legenda wieków« tłóm. Adam Pług i Apollo Korzeniowski, Żytomierz, 1860; »Rok straszny« przełożył Klemens Podwysocki (w »Tygodniku ilustrowanym«) 1872 i 1871. Prócz tego w czasopismach, a zwłaszcza w »Tygodniku ilustrowanym«, »Kłosach«, »Życiu« znajduje się bardzo wiele przekładów poezyj drobniejszych.

# XXII. Alfred de Vigny.

## 1. „Eloa albo Siostra Aniołów“.

Treścią poematu tego w 3 pieśniach jest zakochanie się Eloi, urodzonej z łzy Chrystusowej, w upadłym aniele, dla którego uczuła miłość niezgłębioną. Chrystus pośpiesza do domu Łazarza.

Jezus puścił się w drogę pod nocy przykryciem
W dom, kędy w niebezpieczeństw dniach miewał gospodę,
A za nim umarłego szły dwie siostry młode.
Były to Marta z Maryą, tą, co za rozlane
Na stopy Pańskie wonie ściągnęła naganę.
Smucono się; napróżno Mistrz mówił: „Uśpiony“.
On sam nawet, gdy ujrzał śmiertelne zasłony,
Zapłakał. — O, łzo boska przyjaźni święcona,
Tyś nie była na wiatru podmuchy rzucona!
Niewidzialni śmiertelnym, schyleni z pokorą,
W dyamentową urnę cheruby cię biorą
I jak cud, co zdumiewa nawet Niebo — niosą
Pod stopy Przedwiecznego, o promienna roso!
Tam — z wiecznie otwartego oka promień łaski
Wstrząsł ów dar niewymowny i wzniecił w nim blaski;
A Duch Święty, moc swoją zlewając obficie,
Tchnął duszę w płyn ów boski i zbudził w nim życie.
Jak kadzidło przy blaskach słonecznych płonące
Zmienia się w płomię czyste, różowe, błyszczące,
Tak ujrzano naówczas, jak się postać biała
Z olśniewającej urny wzniosła, wybujała
I głos zabrzmiał: „Eloa!“ — a na to wołanie
Ukazując się Anioł odrzekł: „Otom, Panie!“
W obliczu nieb — w czar strojna szła ona do Boga,
Niby oblubienica do świątyni proga;
Skroń pogodną i czystą jak śliczna lilija
Lazurowa zasłona fałdami owija;
Jak gdyby płowe snopy — złotych włosów zwoje
Topią we mgle powietrznej miękkie fale swoje,
Tak kometa, błądząca po niebios przestrzeni,
Roztapia w mrokach nocy blask świetnych promieni;
Róża przy blaskach jutrzni jakże bladą zda się
Przy świeżości jej lica i dziewiczej krasie;
A księżyc, kiedy puszczom swych blasków użyczy,
Nie dorówna jej spojrzeń łagodnej słodyczy.
Skrzydła srebrne; z pod mglistych szat — to się wychyli
Nóżka biała — to znowu kryje się po chwili,
A łono falujące, lecz ledwo widoczne,
Wznosi tkanki niebieskiej zarysy obłoczne.

Bo to niewieścia postać w kształtach cherubina;
Gdyż ten lud duchów, pełna miłości rodzina,
Co w modłach wiecznie czuwa przy nas, huf ochrończy,
W świętej miłości czyste swe istoty łączy. —
Ongi Anioł Rafael pod drzewy rajskiemi
Tę słodką tajemnicę odkrył dzieciom ziemi.
Lecz z żadnej z sióstr stworzonych ku radości bratniej
Nie była radość w Niebie jako z tej ostatniej.

Niebianie przestrzegają Eloę, aby się miała na baczności, gdyż i aniołowie upadają; radzą jej, by nie odwiedzała ostatniego z trzech kręgów nieba. Eloa tam właśnie zaszła i spotkała cudnie piękną, lecz omgloną postać anioła ciemności, który ją ujął opowiadaniem o sobie.

„Jam jest ten, co obudza miłość sam nieznany.
Na człowieku-m wsparł państwo me, co żarem bucha,
Na pożądaniach serca, na snach jego ducha,
Żądzach ciała, pociągów tajemniczych mocy,
Na skarbach krwi, na spojrzeń potędze. — Ja w nocy
Wywołuję namiętny szept sennej małżonki;
Dziewczę uczy się szczęsne snuć błogich kłamstw mrzonki;
Ja po dniu je pocieszam czarem nocy ciemnych,
Jam jest król tajemniczy miłości tajemnych.
Ja łączę serca, twarde rozrywam łańcuchy,
Jak motyl z upylonem skrzydłem, co na puchy
Traw wzruszonych rozsiewa kwiatów mirjady,
Niosąc miłość bezpieczną, bez łez, cierpień, zdrady.
Jam z rąk Stwórcy twór słaby wydrzeć się ośmielił;
Wbrew jego woli — jam z nim przyrodę podzielił:
Niech on dumny różowym dniem i jego wrzaskiem
Kryje złociste gwiazdy pod słonecznym blaskiem;
Dla mnie cień niemy, — ziemi ja z mojej skarbnicy
Daję rozkosz wieczorów, dobro tajemnicy. —
Możeś z Anioły z Nieba zleciała jasnego
Podziwiać, jak rozkosznie moje noce biegą?
Znaszże ich skarby, cuda, co śród tych padołów
Towarzyszą czuwaniom ciemności Aniołów?
Ledwie na widnokręgu w przestrzeni bladawéj
Chwiejąc się krasne słońce opuści murawy,
My, duchy niezliczone, lecimy śród cieni,
Strząsając ciemne włosy w powietrznej przestrzeni:
Wówczas to wonna rosa spada aż do ranku
Na kwiaty pomarańczy, i bzu i tymianku.
Przyroda — na me prawa baczna — w nocnej ciszy
Przyjmuje mię z miłością, słucha mię, mną dyszy:
Znów staję się jej duszą, — i, by słodkie plany
Spełniać — z głębi żywiołów zrywam lud poddany.
Zwykłych spółuczestników mej nocnej biesiady
Z piosenką się na ucztę gotują gromady.

Dumny swojemi loty — w gwiazdziste lazury
Pierwszy wylata słowik, ten pieszczoch natury;
Jego głos fali, ziemi, chmurom — uroczyście
Zapowiada najmilszej mi godziny przyjście;
On bladym jarzębinom me przybycie wróży,
On o tem szepce rosą zlanym krzakom róży;
Dźwięczny herold — me imię wszędzie głosi pieniem;
Ptak w cieniu otwarł oczy iskrzące płomieniem;
Robak błyszczy; jak zorze śród Niebios bławatów,
On djamentowem czołem jest zorzą śród kwiatów
I walczy swą jasnością z jasnym meteorem,
Który, jak blada jutrznia, krąży nad jeziorem.
Rozpętana mą ręką ta gwiazda bagniska
Spada i przez powietrze świetlną linią błyska".

Eloa pociągnięta czarem anioła ciemności, jest przeświadczona, że on dobry, nie umie tylko wytłómaczyć sobie boleści strasznej na jego czole. Spółczucie okazane Szatanowi zwraca myśl jego ku przeszłości świetlanej.

„Gdzieście wy, dni niebiańskie, spokojnych dni biegu?
Gdym śród skromnych Aniołów szedł pierwszy w szeregu,
By na klęczkach nieść modły praw powadze staréj,
I myślą nie wykraczał za granice wiary!
Wieczność stała przedemną, niby upojenie;
Kwiaty miałem w mych dłoniach, nad czołem promienie,
Uśmiechałem się, byłem... Może znałbym miłość!"
Sam kusiciel wpadł prawie w tych marzeń zawiłość;
Zapomniał swej ofiary, swej sztuki, — swobodniéj
Serce jego na chwilę wytchnęło od zbrodni.
I tuląc czoło w dłonie sercem swojem całem,
Szeptał: „O, wy, łzy ludzkie, czemuż was nie znałem!"
Gdyby go wówczas mogła słyszeć dziewa święta,
Gdyby jej dłoń niebiańska śmiało wyciągnięta
Skruszonego, zmiękłego wzniosła do błękitu...
Kto wie? Czy dla zła wówczas nie byłby kres bytu?
Lecz ta — na zadumanem gdy ujrzała czole
Odbite konwulsyjne srogie serca bole,
Zdumiona wzniosła w Niebo źrenice ze drżeniem,
Zda się silniejszą, wsparta Niebios przypomnieniem,
Dwakroć wstrząsnęła skrzydły i cichemi skargi
Jęcząc, zaczarowane swe otwiera wargi;
Tak dziecię tonąc — trzciny chwyta się i kusi
Wydawać słabe krzyki, które fala dusi.
On widzi ją, iż blizka ujść mu w światła kraje.
Jak tygrys zbudzon z prochu skok szalony daje,
On odnajduje w sobie wzmożoną zaciętość,
Wiekuistą swojego ducha nieugiętość,
Ducha złego, któremu niewinność w ohydzie,
I płonie, że o mocy swej wątpił — o wstydzie!

Znów w spokój skroń promienną obleka i lice,
Nagła zuchwałość jego zapala źrenice,
Długo w milczeniu topi wzrok, co mu się żarzy
W ofierze nieb wybranej dla swoich ołtarzy,
Jak gdyby chciał jej wskazać, iż walczyć nie zdoła,
Albo się sam zatwardzić w wejrzeniu Anioła.
Bez miłości w zastygłem sercu, bez zgryzoty
Obmyśla miejsca, aby wycelować groty,
Jak rycerz, co udając spokój, zda się mierzyć
I szukać wad pancerza, by tam w pierś uderzyć,
On układa swe rysy według jej życzenia;
Wyraz twarzy, głos, ruchy, cały układ zmienia;
I nie z serca idące, nie szczere, jak wprzódy,
Łzy błysły mu u powiek, ale łzy obłudy.
Nieznająca łez w Niebie strwożona dziewica
Przystanęła; westchnieniem on jej lęk podsyca.
On płacze gorzkim płaczem człowieka tułacza
Lub wdowy, co nad synem zabitym rozpacza;
Włos mu opadł w nieładzie; wstrząsa skroń schyloną
Niepowstrzymane łkanie, co mu szarpie łono.
Ona się zbliża we łzach; mówili w te słowa:
„Co ci? Com zawiniła? Jam słuchać gotowa".
— „Chcesz ujść, może na zawsze? czuję to z obawą.
Za to, żem się dał poznać, karzesz mię tak krwawo!"
— „Wolałabym pozostać, ale Pan mię wzywa.
Będę błagać za tobą, on k'nam łaskaw bywa".
— „Nie ku mnie, — On w mych losach nic zmienić nie zdoła:
Tyś Bóstwo, ty masz jedna moc zbawić Anioła".
— „Cóż mam czynić? Niestety! Mów, czy zostać trzeba?"
— „Tak, znijdź ku mnie, bo ja się nie wzbiję w twe Nieba".
— „Daru żądasz?" — „Nas samych, — więc najpiękniejszego.
Pójdź!" — „Na wygnanie z Niebios?" — „Kochasz — więc cóż [z tego?
Pójdź, dotknij mojej ręki. — Wkrótce jednakowo
Pogardzisz tem, co dobrem i tem, co złem zową.
Nie rozumiałaś czaru, czem jest łono swoje
Podać — aby ktoś na niem mógł ukryć łez zdroje.
Ja-ć jeden nowe szczęścia ukażę koleje.
Pójdź! Otwórz mi swą duszę, ja ci je w nią zleję.
Jak na Zachodzie księżyc i świt złotowłosy
Mieszają swe promienie, albo jako rosy
W jedną perłę zlewają swych łez dyamenty,
By wchłonąć wonny balsam z kwiatów wyzionięty,
Jak podwójna pochodnia łączy dwa płomienie,
My nie mniej ściśle złączym naszych dusz istnienie".
— „Kocham cię i zstępuję. — Lecz cóż w Niebie rzeką?"
W tejże chwili w powietrzu, od ich ócz daleko,
Przeleciał chór anielski — i wśród hymnów chwały
Oto jakie z niebiańskich pień słowa zabrzmiały

„Chwała na wieki wieków na ziemi i w Niebie
Temu, kto dla zbawienia innych oddał siebie!“
Ten głos zdawał się z Niebios. Ten głos ją zwycięża.
Jeszcze wznosi niewierne powieki, wytęża
Dwukrotnie wzrok niepewny i z trwogą daremną
Szuka swych Niebios — próżno! Przed nią było ciemno.
Czerpać światy z Chaosu leciały Anioły.
Z trwogą mijając jego bezdenne rozdoły,
Wszyscy, podczas gdy pełnią polecenia boże,
Widzieli, jak ognisty obłok spadł w przestworze.
Skargi bólu z okrutnych odpowiedzi słowy
I szum skrzydeł słyszano z tej chmury ogniowéj.
— „Dokąd, piękny Aniele, wiedziesz mię?“ — „Idź ze mną!“
— „Jakże głos twój jest smutny a mowa twa ciemną!
Czyż nie Eloa dźwiga żelaza twych oków?
Sądziłam, że cię zbawiam“. — „Nie! Ja cię w świat mroków
Porywam“. — „Gdyśmy razem — o miejsce nie stoję!
Powiedz mi jeszcze: siostro! — powiedz: bóstwo moje!
Niewolnicą, ofiarą — nie gwiazdą przewodnią!“
— „Zdawałeś się tak dobrym! Czemże czyn mój?“ — „Zbrodnią“
— „Czyś przynajmniej szczęśliwszy? więcej z losem zbratan?“
— „Smutniejszym niźli kiedy“.
„Któżeś ty?“
„Jam Szatan!“

*(Adam M—ski).*

## 2. MOJŻESZ.

Słońce rzucało jeszcze na namiotów szczyty
Długie skośne promienie, płomieniste świty,
Szerokie smugi złota, jak to zawsze czyni,
Nim do snu się ułoży śród piasków pustyni.
Kraj zdawał się roztapiać w złoto i purpurę.
Wstępując na jałową, smutną Nebo górę,
Mojżesz, ów człowiek boży, staje i bez pychy
Po wielkich widnokręgach wzrok przesuwa cichy.
I widzi naprzód Fasga w figowców koronie;
Potem, po za górami, oko jego tonie
W żyznych ziemicach Galaad, Efraim, Manasse,
Co swą na prawo odeń rozpostarły krasę;
Na południe, do toni mórz zachodnich płowéj
Legł wielką piasków ławą kraj Judy jałowy;
Dalej jeszcze, w dolinie, skrytej w zmroku fali,
W wieńcu gajów oliwnych spostrzega Neftali;
Na równinie wspaniałych drzew kwieciem porosłéj
Widać białe Jerycho, gród to palm wyniosły;
A dalej, jak wzrok sięgnie, od płaszczyzn Belfegor,
Gęste lasy lentyszków ciągną się do Segor.

On widzi ten Chanaan, ziemię obiecaną,
Gdzie jego prochom — wie to — ledz nie będzie dano.
Widzi; dłoń nad swym ludem wyciąga potężną,
I dalej znów pod górę stąpa niebosiężną.

Tymczasem, równie Moab okrywszy szeroko,
Cisnąc się pod stóp góry rozległą opoką,
Synowie Izraela burzyli się w dole,
Jak burzy się pod wichrem zboża gęste pole.
Od godziny, gdy rosa wilży złoto piasków
I na szczytach krzew wiesza perły pełne blasków,
Wódz, prorok ów stuletni, czczony, uwielbiany,
Mójżesz — odszedł, by z Panem rozmawiać nad Pany.
Śledzono okiem blaski, lśniące mu nad czołem,
A kiedy go ujrzano nad góry wierzchołem,
Gdy skroń jego przebiła chmury bożej łono,
Co wieńczyła szczyt góry błyskawic koroną,
Kadzidło zapłonęło na ołtarzach świętych,
I sześćkroć sto tysięcy Hebreów w proch zgiętych,
W ozłoconych przez słońce kłębach woni dymnéj,
Śpiewano jednym głosem ubłagalne hymny,
A Lewici, górując ponad ludu morzem,
Jak smukłych las cyprysów nad piasków bezdrożem,
I wtórując na harfach głosów ludzkich fali.
Ku niebu Króla królów pieśni kierowali.

A Mojżesz stał przed Bogiem, powstrzymawszy kroku,
I twarz w twarz z nim rozmawiał w piorunnym obłoku.
I mówił tak do Pana: „Nie będę-ż miał końca?
Gdzież chcesz, by jeszcze noga poniosła mię rwąca?
Czyż wiecznie tak żyć będę, samotny, choć silny?
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnéj!
Co-m ci uczynił, Panie, by być twym wybrańcem?
Wiodłem lud twój, gdzie chciałeś, i byłem mu szańcem.
Oto już stopa jego Chanaanu tyka.
Innego wybierz sobie i im pośrednika,
Niech kto inny rumaki kiełzna Izraela;
Przekażę mu swą księgę i rózgę mściciela.

„Czemuż ci trzeba było zniszczyć me nadzieje,
Czemu-ś mi wziął człowieka ciemnego koleje,
Czemu od góry Horeb aż do góry Nebo
Nie mogłem znaleść grobu, co mi już potrzebą?
Niestety! wyniosłeś mię nad wszech mędrców ziemi!
Ma dłoń krokami ludu rządziła błędnemi.
Rzucałem deszcze ognia na króle i trony;
Potomność na kolanach uczci me zakony;
Z mogił ludzkich otwieram najstarsze mogiły,

I prochy, gdy chcę, wstają, by mi proroczyły;
Jestem wielki, pod stopą mam ludów mrowiska,
Dłoń moja pokolenia stwarza i w grób ciska.
Niestety! jestem, Panie, samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnéj!

„Niestety! Znam też wszystkie niebios tajemnice,
Napełniłeś potęgą swych łez mą źrenicę;
Na rozkaz mój noc mroków swych zdziera zawoje;
Me usta według imion gwiazd zliczyły roje.
I skoro na firmament przyzwę którą giestem
Każda śpieszy pokornie, mówiąc: „oto jestem!“
Kładę obie me dłonie na chmur czarne czoła
I wysuszam w ich łonach źródła burz dokoła;
Skinę — i grody całe chłoną piasków fale;
Skrzydłami uraganów gór olbrzymy walę;
Ma noga nad przestrzenie silniejsza jest w drodze;
Wody rzek murem stają, kiedy ja przechodzę,
I olbrzymi głos morza milknie przed mym głosem.
Gdy lud praw potrzebuje, lub gnie się pod ciosem,
Wznoszę oczy ku niebu, duch twój mnie owiewa;
Ziemia drży cała wówczas, słońce się zaćmiewa.
Anieli mi zazdroszczą, lecz gną się przed żywym,
A jednak ja, o Panie, nie jestem szczęśliwym;
Z twej woli-m się zestarzał, samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnéj!

„Od owej, gdy w pasterza duch twój wstąpił, chwili
Ludzie: „On nam jest obcy“, pocichu gwarzyli
I spuszczali źrenice przed ogniem mych oczu,
Coś więcej, niż mą duszę, widząc w ich przezroczu.
Widziałem, jak schły źródła miłości, przyjaźni;
Dziewy kryły oblicza, lękając się kaźni.
Owinąwszy się wtedy w obłok niedostępny,
Szedłem przed ludem, smutny, sam w sławie posępnéj,
I mówiłem do siebie! „Czegoż chcieć mi jeszcze?“
By śnić u łon — zbyt ciężkie czoło moje wieszcze,
Dłoń ma przeraża dłonie, których się dotyka,
Pioruny na mych ustach, w głosie burza dzika;
To też, zamiast mię kochać, lud z trwogą tajemną,
Gdy otwieram ramiona, w proch pada przede mną.
Panie! żyłem dość długo, samotny, choć silny,
O, dozwól mi już zasnąć snem ciszy mogilnéj!

A lud czekał — i w trwodze, że kaźń spadnie sroga,
Nie śmiał patrzeć na górę zazdrosnego Boga;
Bo, gdy tylko wzniósł oczy, skraje czarne chmury
Drgały wnet — i zdwajał się grzmotów huk ponury,

I węże piorunowe, oślepiając oczy,
W krąg czół, nakształt ognistych wiły się warkoczy.
Wkrótce szczyt góry wyjrzał, ale bez Mojżesza.
Płakano go. — Ku ziemi obiecanej rzesza
Szła, a przed nią Jozue, blady, zadumany,
Bo już mężem wybranym był Pana nad Pany.

*(Miriam).*

---

## XXIII. Alfred de Musset.

### 1. Rolla.

Poemacik cały składa się z wylewów liryczno-refleksyjnych, pełnych goryczy. Bohater Jakób Rolla, paniczykowato wychowany młodzian, w zbytkach i rozpuście żyje trzy lata, a gdy wyczerpał wszystkie zasoby, postanawia się zabić, czego też dokonywa, odczuwszy na chwilę, co jest miłość prawdziwa. Przytaczamy tu sam wstęp.

Czy żal wam owych czasów, gdy na świat niebiosy
Zstępując, oddychały przez lud bogów wielki?
Kiedy Wenus Astarte, córka gorzkiej fali,
Otrząsała, dziewica, łzy swej rodzicielki
I światy użyźniała, — wyżymając włosy?
Czy żal wam owych czasów, gdy Nimfy namiętne,
Falujące, na słońcu, między wód kwiatami,
Drażniły lubieżnego śmiechu wybuchami
Faunów na trzcin pościeli tłumy obojętne?
Gdy źródła od Nareyza pocałunków drżały?
Gdy, z południa na północ, nad całem stworzeniem
Wieczystą sprawiedliwość niósł Alcyd wspaniały
Pod krwawiącem się, ze lwa krojonem odzieniem?
Gdy Sylwany, szyderce, w mszystej dębów korze,
Z gałęźmi się kołysząc za wiatrem, — schwytane,
Gwizdały w echu piosnki nuty zabłąkane?
Gdzie, aż do bólów ludzkich, wszystko było boże,
Gdzie ubóstwiał świat, co dziś zabija, zajadły,
Jeden tysiącom bogów nie bluźnił ateusz,
Kiedy był nieszczęśliwy tylko Prometeusz,
Ten brat starszy szatana, tak jak on upadły?
I kiedy dawne niebo, człowiek, ziemia — giną,
Gdy się kolebka świata stała wiekiem truny,
Gdy uragan północy nad Romy ruiną
Swej ponurej lawiny rozciągnął całuny.
Czy nie żal wam tych czasów, kiedy się urodził
Z barbarzyńskiego złoty wiek, obfitszy, nowy?
Kiedy Łazarz i stary wiek z grobu wychodził
I z głowy odmłodzonej strząsł kamień grobowy?

Czy nie żal wam tych czasów, kiedy romans stary
Wylatał złotem skrzydłem w czarodziejskie światy?
Kiedy wszystkie pomniki — wszystkie nasze wiary,
Nie zbyły jeszcze białej dziewiczości szaty?
Gdy wszystko odradzała dłoń Chrystusa Pana?
Kiedy księcia pałace i domek kapłana,
Ten sam krzyż czoła swego wznosząc do błękitu,
Spoglądały ku niebu z gór wysokich szczytu?
Gdy Kolonia i Strassburg, Notre Dame i sklepienia
Świętego Piotra, klęcząc w draperyach z kamienia
Na organie wszechziemskich ludów, padłych w pyły,
Wielkiem hosanna wieków młodych się modliły?
Czasów, gdzie było wszystko, co historya wieści,
Gdzie na świętych ołtarzach, krzyż, co światy mieści,
Wznosił ramiona mleczne, — niby śniegu wełna,
Gdzie życie było młode — śmierć nadziei pełna...
O Chryste! jam nie z tych jest, których ci przywodzą
Modlitwy, drżącym krokiem, pod twych świątyń nawę,
Anim z tych jest, co na szczyt Twej Kalwaryi wchodzą,
W piersi bijąc się, stopy twe całować krwawe.
I nie klękam pod twoich portyków cieniami,
Kiedy lud twój pokorny pod łuki czarnemi
Gnie się, szemrząc, za hymnów nabożnych tchnieniami,
Jak lud trzcin, wiatru dłonią zginany ku ziemi.
Ja nie daję, o Chryste! słowu twemu wiary,
Bom przybył nazbyt późno — na ten świat zbyt stary;
A z wieku bez nadziei wiek urósł bez trwogi
I niebo wyludniły ziemi naszych bogi.
Teraz przypadek wiedzie, we mroków krainie,
Ze złudzeń uporczywych — rozbudzone mózgi;
A duch ubiegłych czasów, błądząc po ruinie
Miota w wieczystą otchłań twych aniołów druzgi.
Golgoty ćwieki służyć odmawiają Panu.
Ziejąca ziemia woła, twej, Chryste, mogiły;
Umarła chwała; — u nas na krzyżach z hebanu,
Twoje zwłoki niebieskie w proch się obróciły!
A jednak daj zcałować usty gorącemi
Proch ten, dziecięciu wieku, co twą wiarę grzebie,
I płakać, o Chrystusie! nad losem tej ziemi,
Co żyła przez śmierć twoją, a umrze bez ciebie!
O! kto jej dziś, mój Boże, kto da zmartwychwstanie?
Krwią twoją odmłodziłeś ją, najczystszą, Panie;
Dziś następca Twój, Jezu, godny nie przychodzi,
Nas, starców, dzieci wczoraj, i któż nas odmłodzi?
Myśmy starce, o starsi, jak ci za dni twoich
I tyleśmy czekali, a więcej stracili,
I bledszy, bardziej zimny, raz drugi, w tej chwili,
W niezmiernym Łazarz grobie czeka cudów twoich.

Gdzież więc Zbawca, co nasze otworzy mogiły?
Gdzież stary, święty Paweł, gromiący Rzymiany?
Wiążący lud swojemi boskiemi łachmany?
Gdzież cenaclum i gdzie się katakumby skryły?
Przed jakim słup, ognisty, ludem idzie mnogim?
Na czyje stopy płyną Magdaleny wonie?
Gdzież w powietrzu głos więcej jak ludzki, grzmi, płonie?
I któż z nas, kto z pomiędzy nas, ma zostać bogiem?
I ziemia takąż starą, takąż zwyrodnioną,
Tak samo dzisiaj trzęsie głową zrozpaczoną,
Jak wtedy, gdy dla piasków, Jan porzucił miasta,
I kiedy mrąca ziemia na Janowe słowo,
Wstrząsnąwszy się, jakoby ciężarna niewiasta,
Czuła skaczącą w sobie rzekę życia nową.
Klaudyusza czas wrócił, Tyberyusza lata,
Jak wtedy wszystko z czasem umarło dla świata,
I Saturn u krwi dzieci swoich już ostatka,
I nadzieja ludzkości, ta zbyt płodna matka,
Cofa łono skrwawione przez karmionych tyle,
I bezpłodna, zażywa odpoczynku chwilę.

*(Władysław Ordon).*

---

## 2. ŁUCYA.

Gdy umrę kiedyś, o towarzysze,
Zasadźcie wierzbę na mej mogile...
W jej bladych liściach uroku tyle,
Gdy wiatr ich zwoje nocą kołysze,
I pod jej cieniem w wieczorną ciszę
Spać mi tak będzie lekko i mile.

Byliśmy w wieczór sami... siadłem tuż koło niéj,
A ona w upojeniu główkę swoją kłoni
I pozwala paluszkom biedz po fortepianie...
Płynie smętna melodya... to było szemranie...
Niby zefir powiewny ślizga się po trzcinie,
Obawiając się zbudzić ptaszyny w gęstwinie...
Nocy melancholijnej czar wabny i cichy
Rozlewały dokoła kwiatowe kielichy...
W parku dęby odwieczne i stare kasztany
Pieszczotliwie kołyszą spłakane konary...
Przez okno uchylone śle wiosna swe czary...
Już dokoła nas zapach owiewa wiośniany...
Wyludniona równina leżała przed nami...
Wiatry zmilkły... byliśmy z Łucyą tylko sami,
W upojeniu wciąż marzeń złotych snując roje,
A po wiosen piętnaście mieliśmy oboje.

Ja spojrzałem na Łucyę... twarz miała tak bladą...
Fale włosów złocistą spadały kaskadą...
O nigdy chyba para nadobniejszych oczu
Nie odbiła się w czystszem lazurów przezroczu
I nigdy nie tonęła w błękitów głębinie...
O, ją tylko na ziemi kochałem jedynie,
Lecz kochałem, jak siostrę, bo skromność dziewicza
Tchnęła z cudnego mojej kochanki oblicza;
Długom w nie się wpatrywał... snuła marzeń roje...
W dłoniach moich złożyła białe rączki swoje...
Z poruszeniem jej każdem czułem w głębi duszy,
Jak kojącym balsamem w życiowej katuszy
Spokojności i szczęścia bliźnięce znamiona
Młodość twarzy z młodością duszy połączona.
Wtem się księżyc ukazał na pogodnem niebie...
Padła na nas znienacka siatka srebrno-biała...
Wtedy ona ujrzała w moich oczach siebie...
Uśmiech błysnął anielski... po chwili śpiewała...
....O harmonio, harmonio, ty córo cierpienia...
Tobą geniusz wyrazy miłości zamienia...
Zawitałaś ty do nas z Italii uroczéj...
Do Italii tyś z nieba lazurów zesłana...
W tobie może myśl gościć czysta, nieskalana,
Niby dziewczę trwożliwe, co ją i cień mroczy;
Kto wie, co dziecię słyszeć i wyśpiewać może
W boskich twoich westchnieniach, co płyną w przestworze,
Smętnych, jak jego serce, tęsknych, jak głos jego...
Widać tylko spojrzenie... łzy, co z oczu biegą —
Reszta jest tajemnicą nieznaną dla tłumu,
Jak szmer fali, mrok nocy pośród lasów szumu.
Byliśmy z Łucyą sami, smętni, zadumani...
Tęskne moje spojrzenie znów spoczęło na niéj
Smętne śpiewu jej echo między nami drżało...
Oparła na mnie główkę swoją ociężałą...
Czyż żale Desdemony w sercu twojem drżały,
Biedne dziecię! płakałaś... w milczeniu, bez skargi
Pozwoliłaś do ust swych przycisnąć me wargi —
Twe cierpienia mój pierwszy całus odebrały.
Taką ciebie tuliłem drżącą, osłabioną...
. . . . . .
Taką wkrótce też ciebie do grobu złożono,
Taką, kwiatku niewinny, w dni twoich rozkwicie
Miała skruszyć cię siła nieznana, złowroga —
Śmierć twa była uśmiechem tak słodkim, jak życie,
I znów do swej kolebki wróciłaś... do Boga.

O! słodka tajemnico siedliska anioła...
Pieśni, śmiechy, miłości śnie złoty, skrzydlaty...

Twoim czarom na ziemi któż oprzeć się zdoła!..
Tyś Fausta niegdyś wstrzymał w progu Małgorzaty...
Dni młodości mej szczęsnej, co się z wami stało!..
Wieczny pokój i pamięć twej duszy dziecięcej!
Żegnaj... po fortepianie swoją rączką białą
W letnie noce nie będziesz bujała już więcej.

Gdy umrę kiedyś, o towarzysze,
Zasadźcie wierzbę na mej mogile...
W jej bladych liściach uroku tyle,
Gdy wiatr ich zwoje nocą kołysze
I pod jej cieniem w wieczorną ciszę
Spać mi tak będzie lekko i mile.

*(Władysław Naurocki).*

---

## 3. Ballada do księżyca.

To księżyc z poza obłoku
Dzwonnicę złoci o zmroku
I lśni
Jako ta kropka nad *i*..
Księżycu, jakież złe duchy
Kierują w cieniu twe ruchy,
Że masz
Tak blady profil i twarz?
Czyś okiem nieba, księżycu?
Któryż-to lotr-cherub na licu
Twem chce
Nas lornetować przez mgłę?
A może glob twój się błąka,
Jak tłusty tułów pająka,
Jak krąg
Nóg pozbawiony i rąk?
. . . . . .
Może to robak cię toczy,
Gdy się twa tarcza tak mroczy
I gdy
Wąziutki cofasz się w mgły?
Któż wczoraj wykłuł ci oko,
Gdyś w noc wypłynął głęboką?
Czy krzew
Wysadził kolce, wśród drzew?
Byłeś tak blady okrutnie;
Z za szyb widziałem, jak smutnie
Mkniesz w dal.
Doprawdy, aż mi cię żal!
. . . . . .
Księżycu! w naszej pamięci
Iluż kochanków się kręci!
Ach to
Wypięknia ciebie za mgłą.
I wieczna młodość cię sławi;
Kto przejdzie, ten błogosławi,
Czyś sierp,
Czy świecisz w pełni, bez szczerb.
Kocha cię pastuch ten stary,
Co gdy szczekają ogary
Wśród błoń,
W twą jasną patrzy się toń.
Kocha cię w morza odmęcie
I sternik, co na okręcie
Mknie w dal,
Widząc czerwony błysk fal.
Tobą dzieweczka się cieszy,
Gdy przez leszczynę tak śpieszy
Jak cień,
Nucąc piosneczkę, by w dzień.
Ocean pieni się, wzdyma
I niby niedźwiedź się zżyma,
Gdy w mrok
Zatapia w fali swój wzrok.
A chociaż pruszy śnieg może,
Czy też wieczorem na dworze
Wiatr dmie,
Czemuż ja siedzieć tu chcę?

Chcę księżyc widzieć o zmroku,
Gdy nad dzwonnicą w obłoku
Tak lśni,
Jako ta kropka nad *i*.

*(Bolesław Londyński).*

## 4. Gwiazda wieczorna.

Gwiazdo wieczorna, posłannico zdali,
Na niebios toniach posępna i blada,
Gdzie płyniesz wolno, wśród błękitu [fali?
Gdy mgła pomroką na tę ziemię spada,
A burza cichnie i milczące bory
Łzawemi perły oblewają wrzosy;
Gdy tylko motyl przelatuje skory
Po wonnej łące, pijąc krople rosy?
Czego ty szukasz na uśpionej błoni?
Ale już widzę, jak twój promień biały,
Smętna królowo nocnych cisz i woni,
Z uśmiechem żalu zapuszczasz za skały.
Gwiazdo, co błądzisz po cichej dolinie,
Smętna łzo srebrna z ciemności zasłony,
Za tobą tęskny wzrok pasterza płynie,
Gdy swoją trzodę wiedzie zamyślony.
Gwiazdo, gdzie pędzisz tak szybkiemi [loty?
Czy szukasz brzegu, by usłać twe łoże?
Pośród bezmiernej tej nocnej tęsknoty,
Czemu tak piękna zapuszczasz się [w morze?
Jeśli twą jasność przy dalekim brzegu
W bezdenne tonie zanurzyć ci trzeba,
Gwiazdo miłości! powstrzymaj się [w biegu —
I choć przez chwilę nie opuszczaj nieba

*(Marya Ilnicka).*

## 5. Pamiętaj.

Pamiętaj! kiedy jutrznia bojaźliwa
Otwiera słońcu pałac promienisty....
Pamiętaj! kiedy w rozmarzeniu spływa
Noc zadumana w zasłonie srebrzystéj....
Gdy drży na luby głos rozkoszy łono twoje....
Gdy cię o zmroku nęcą słodkich marzeń roje —
Słuchaj, jak w puszcz głębinie
Głos cichy szemrząc płynie....
Pamiętaj!

Pamiętaj! gdy wyroki z poza świata
Rozdzielą nas w przeznaczeń poniewierce,
Kiedy cierpienie i rozłąki lata
Spopielą zrozpaczone moje serce...
Śnij o miłości mojej, śnij o rozstania chwili...
Ni czas, ni oddalenie miłości nie przesili —
Póki sił sercu stanie,
Nie zmilknie to szeptanie...
Pamiętaj!

Pamiętaj, kiedy w chłodnem ziemi łonie
Na zawsze moje serce się ukoi....

Pamiętaj, gdy samotny kwiat zapłonie
Łagodnym blaskiem na mogile mojéj....
Już mnie nie ujrzysz nigdy, ale z tobą wszędzie
Mój nieśmiertelny duch, jak brat twój wierny będzie...
Posłuchaj, jak się żali
Głos cichy w mroku fali...
Pamiętaj!

*(Władysław Nawrocki).*

## 6. Noc sierpniowa.

*Poeta.* Dziś wieczorem gdy po łące
Szedłem w ścieżki ślad,
Zwieszał listki zwiędłe, drżące
Polnej róży kwiat.
A tuż przy nim wśród zieleni
Pączek zdobił krzak,
On najmłodszy kwiat wypleni,
W najpiękniejszy się więc zmieni:
Człowiek zmienny tak.

*Muza.* Niestety, zawsze człowiek! zawsze łzy i jęki!
Wciąż nogi zakurzone, czoło potem zlane!
Nic, tylko straszne walki, krwawej broni szczęki,
Niech sobie serce kłamie, gdy w głębi ma ranę.
Niestety! we wszech krajach jedno tylko życie:
Dłoń wyciągać, zazdrościć, brać, pożądać skrycie.
Komedya i aktorzy wciąż jedni dokoła
I cokolwiek wynaleźć fałsz człowieka zdoła,
Prawdziwemi zostają jedynie szkielety!
Kochanku, tyś poetą przestał być, niestety!
Nic twej liry milczącej do życia nie zbudzi.
W jakiejś mrzonce dziwacznej serce ci się studzi,
A jednak nie wiesz o tem, że miłość kobiety
W łzy zamienia, marnując, skarby twojej duszy,
I że Bóg więcej płaczu niźli krwi osuszy!

*Poeta.* Raz gdy szedłem przez dolinę,
W gniazdku śpiewał ptak;
Choć pisklęta mu pomarły,
Choć czuł dziatwy brak.
Muzo, ptaszek raźno śpiewał,
Nie płacz więc, ja sam
Wszystkom stracił, ale Boga
I nadzieję mam.

*Muza.* Ale cóż znajdziesz wówczas, kiedy, wynędzniony,
Sam przybędziesz z powrotem w twoich ojców strony,
Gdy drżąc, zaczniesz pył ścierać wśród biednej siedziby,
O której w życia matni zapomniałeś niby?
Z jakiem czołem ty wkroczysz do własnego domu,
By zażywać spokoju, ciszy, gościnności?
W każdej porze zapyta cię głos, pełen sromu:
Coś zrobił z swego życia, coś zrobił z wolności?
Czy sądzisz, że w pamięci wszystko się pogrzebie?
Sądzisz, że gdy poszukasz, odnajdziesz sam siebie?
Tyś poetą, czy serce? Któż się o tem dowie?
Serce chyba, a serce wszak ci nie odpowie!

Miłość je zmiażdży; pośród żądz rozpanoszenia
Pójdzie na łup złośliwych to serce z kamienia,
I pewnie twoje oko w niem tylko odkryje
Wstrętne szczątki, drgające, jak pocięte żmije.
Ach, któż ci dopomoże? Co stanie się ze mną,
Skoro sam Bóg mą miłość uczyni daremną?
Skoro me złote skrzydła zawisną na niebie,
Drżące i wbrew mej woli dalekie od ciebie?
O, biedny! Miłość nasza była w całej mocy,
Kiedy w lasach autelskich[1]), twej rozrywce gwoli,
Wśród zielonych kasztanów lub białych topoli,
Zatopiona w twych myślach szalałam po nocy!
Byłam młodą naówczas i nimfą. Dryady[2])
Brzóz korę, by mnie ujrzeć, zlekka uchylały,
A łzy, któreś ty ronił wśród spacerów, blady,
Czyste, jak szczere złoto, ciekły w wód kryształy.
Cóżeś zrobił, najdroższy, z twej młodości dniami?
Kto mi z drzewa zachwytów zerwał owoc biały?
Niestety! swych policzków porwałeś różami
Boginię, co w swem sercu moc i zdrowie trzyma.
Twarz ci zbladła, boś płakał tęsknemi oczyma;
Jako piękność twa znikła, tak stracisz i siły.
A ja, cobym kochała cię wiecznie, mój miły,
Gdy zagładzą twój geniusz zgniewani bogowie,
Cóż mi, gdy spadnę z nieba, kochanek mój powie?

*Poeta.* Skoro śpiewać i skakać ptaszek leśny może,
Choć z gniazda mu jajeczka psotnik wybrał skrycie;
Skoro kwiat polny, ranne powitawszy zorze,
Razem z nocą upada, chyląc się w pokorze,
Gdy na trawce kwiat nowy rozpoczyna życie;

Skoro wśród lasów głębi, pod dachem zieleni,
Umarłe drzewa trzeszczą, łamią się z korzeni;
Gdy natura potężna, niewładna nic wstrzymać,
Coby trwało, a ludzie wiecznie są zmuszeni
Biedz naprzód i w tym biegu wiecznie zapominać;

Skoro się wszystko, nawet skała na proch ściera;
Skoro, by odżyć jutro, dziś wszystko umiera;
Skoro za mierzwę służą zabójstwo lub wojna;
Skoro ponad grobami z pośród traw wyziera
I ta, co chleb nam daje, trawa kłosem strojna:

Muzo! i cóż obchodzi mię śmierć albo życie?
Ja kocham i chcę tęsknić i cierpieć namiętnie,
Ja kocham i za uścisk dam duszę w zachwycie,

[1]) Auteil, miejscowość pod Paryżem.
[2]) Dryady, boginki leśne według mitologii greckiej.

Ja kocham i po twarzy mojej bladej smętnie,
Pragnę czuć łzy płynące jawnie i obficie.

O, kocham! duch mój pełen woni, dźwięków, słońca,
Pragnie śpiewać hymn wzniosły marzeń i radości
I dzieje wrzących uczuć powtarzać bez końca,
Bo ja, co poprzysiągłem snuć dni w samotności,
Dziś pragnę żyć z miłością i skonać z miłości.

Lecz wpierw, serce, goryczą strute piołunową,
Stłum uśmiechy ironii i skargi złowieszcze,
Kochaj, chcąc się odrodzić, i wierz w słowa wieszcze,
Że przecierpiawszy wszystko, cierpi się nanowo,
Że kochając nad siły, trzeba kochać jeszcze.

*(B. Londyński — Miron).*

## 7. Z płonnych marzeń.

Śpiewaj ciągle, poeto — to twoje rzemiosło,
Choć pieśni nie słuchają, choć się z natchnień śmieją,
Choć tłum w szale bezmyślnym gardzi sztuką wzniosłą,
Śpiewaj ciągle, poeto! z wiarą i nadzieją.

„Bogowie nie odeszli z tego świata jeszcze“,
Muzy jaśnieją czarem słonecznej piękności.
Wierzaj! oprócz dusz ślepych żyją dusze wieszcze,
Co wołają wciąż: światła dla ciemnej ludzkości!

Śpiewaj ciągle, poeto, choć z tłuszczą wyjącą,
Co chce twą arfę strzaskać, jesteś w ciągłej wojnie.
Dla ciebie jest nagroda... pod wierzbą płaczącą
Zimny dół, w którym zaśniesz na wieki spokojnie.

*(Miron).*

## 8. Co to jest poezya?

Wygnać wszelkie wspomnienia, myśli wstrzymać loty,
Rozbujać ją na jakiej pięknej osi złotéj,
Niepewną, niespokojną, jednak niewzruszoną;
Uwiecznić może jaką chwileczkę wyśnioną,
Kochać prawdę i piękno, ze sobą je godzić,
Ech geniuszu własnego w sercu swem dochodzić;
Śpiewać, śmiać się samotnie, z byle drgnienia twarzy
Wykonać coś przedniego, co lśni czarem, trwogą
Łzę w perlę zamienić drogą —
To ambicya poety, to jego pragnienie,
To cel, to jego życie, jego przeznaczenie.

*(B. Londyński).*

Z przekładów poezyj Musseta osobno wydanych, wymieniamy: »Kaprys« komedya w 1 akcie (w »Przekładach i studyach« Wacława Przybylskiego, Wilno 1857); »Nie można przewidzieć wszystkiego«, przysłowie dramatyczne w 1 akcie, przekład Zofii Mellerowej, Warszawa, 1872; »Co się podoba dziewczętom«, kaprys dramatyczny, przekład Wiktora Gomulickiego, Warszawa, 1874; »Karmozyna«, dramat w 3 aktach, Warszawa, 1879; »Andrea del Sarto«, dramat w 3 aktach, Warszawa, 1880; »Spowiedź dziecięcia wieku«, przekład L. Kaczyńskiej, Warszawa, 1880; »Ludwisia«, komedya w 2 aksach, Warszawa, 1881; »Lizetta«, komedya w 2 aktach (w »Poezyach i dramatach Wacława Szymanowskiego«, Warszawa, 1884, tom V-ty). »Poezye z ostatnich wydań wybrał i przełożył B. L.«, Warszawa, 1891. W czasopismach jest dużo rozproszonych tłómaczeń.

## XXIV. Teofil Gautier.

### 1. Sztuka.

Tak, dzieło więcej jest wytworne,
Gdy bierzesz [illegible] dłoniom twym
Oporne —
Emalię, marmur-li czy rym.
Fałszywe, muzo, rzuć wymogi,
Lecz by nie chwiejnym krok był twój,
Na nogi
Obcisły koturn lekko wzuj!

Precz rytm wygodny, jak zbyt duży
Trep, co go każdy wziąćby mógł,
Co służy
Do rozmaitej miary nóg.
Rzeźbiarzu! zniszcz, jak pleśń zakalców,
Gips, któy gnie bezwiedny ruch
Twych palców,
Gdy inną stroną płynie duch.

Karrary twardy głaz marmurów
I rzadki Paros zwalczać masz:
Konturów
Nieskazitelnych jestto straż.
Weź z Syrakuzy bronz jej trwały,
Jego potęgi tajnie ziszcz:
W nich śmiały
Dumę i wdzięki wyrył mistrz.

Subtelny dotyk twojej dłoni
Niechaj, agatu śledząc nić,
Wyłoni
Apolinowych blaski lic.

Malarzu! dość farb wodnych, martwych!
Chcesz w nieśmiertelny płynąć strop:
Moc barw twych
U szmelcownika w ogniu stop.

Błękitnych syren twórz legiony
I stu sposoby kręć im w sierp
Ogony,
By wielkich grodów zdobić herb.
Niech błyszczy nimby potrójnemi
Najświętsza Panna z dzieckiem swem,
Glob ziemi
Niech dźwiga krzyż pod niebios tłem.

Przemija wszystko w wieków ciągu,
Jedyna sztuka wiecznie trwa:
W posągu
Zamarłych stolic życie drga.
Surowy medal nieforemny,
Co znalazł oracz w piersi brózd
Podziemnéj —
Odkrywa nam Cezara biust!

Tak umrą nawet i bogowie,
Lecz jest moc wyższa ponad czas
W osnowie
Pieśni, co przetrwa śpiżu głaz.
Cyzeluj, gładź więc tarcz emalji
I niech się wszystko to, co śnisz,
Utrwali
W niepokonany rym czy śpiż.

*(A. Lange).*

## 2. Życie w śmierci.

Dzień był-to zaduszny, jak zwykle, w jesieni,
Po niebie, wystygłem z słonecznych promieni,
Leniwie ciągnęły się chmury;
Wiatr świszczał północny, z półnagiej krzewiny
Ostatnie jej liście, dni ciepłych dzieciny,
Pożółkłe unosił do góry.

Lud śpieszył na cmentarz, ot, zwyczaj tak każe,
Co roku tam idą bogaci, nędzarze,
Nad swoich uklęknąć grobami,
Pomodlić się nieco, zapłakać, kto czuły,
I wianki uwiędłe, co w proch się rozsuły,
Świeżemi zastąpić wiankami.

Ja, który-m szczęśliwy nie chował nikogo
Pod chłodnym kamieniem: ni dziewy, co drogą,
Ni ojca, ni matki, ni brata;
Poszedłem więc sobie, jak czyni to wielu,
Popatrzyć, pomarzyć, pobłądzić bez celu, —
Mój żywot z tych włóczęg się splata...

I kiedym tam stanął pomiędzy grobami
I ujrzał ich dużo zarosłych chwastami
I pleśnią, tą mogił pieczęcią;
To żal mię zdjął jakiś, żal ciężki, markotny,
Nad tymi, co idąc na sen ten samotny,
Z swych blizkich zerwali pamięcią.

Myśl o nich w mej duszy, co szpera po grobach,
Co we łzach się kocha, lubuje w żałobach,
Straszliwe zrodziła pytanie.
Raz jeden tam w głębi, pod darnią, pod głazem,
Czyż wszystko dla trupa przerywa się razem,
Na wieczne-ż on pada drzemanie?

Czyż same zewnętrzne, widome oznaki,
Czyż tętno li serca, puls taki lub taki
Jedynym żywota są świadkiem?
Czyż brak ich jest wszystkiem? Czyż bez nich, mój Boże!
Iskierka uczucia tleć jeszcze nie może
Gdzieś w głębiach piersiowych — przypadkiem?

Kto powie, pytamy, czy grób jest przystanią,
Gdzie z życia troskami, co serce tu ranią,
Nazawsze się zrywa już zgoła?

Kto powie, kto zgadnie, tak jest czy inaczéj?
I jaki nam mędrzec punkt zgonu oznaczy?
„Tu koniec!“ na pewno zawoła?!

Kto zgadnie, czy w trupie, co znika pod ziemią,
Pierwiastki żywotne ukryte nie drzemią,
By wskrzesnąć za chwilkę, ot potem?
I słyszeć, mój Boże! — myśl sama przeraża —
Jak piasek na trumnę, z motyki grabarza
Z straszliwym upada łoskotem?

I sercem, co może śni jeszcze, co marzy
O jakiejś za grobem przedrogiej mu twarzy,
Rodziców, dziecięcia lub żony;
I sercem, co ku nim miłośnie się zrywa,
Jak grudka za grudką do kopca przybywa —
Przez kiru przeczuwać opony?

*(J. S. Chamiec).*

## XXV. Teodor de Banville.

### 1. Z „Od linoskoczych“.

**Skok z trampoliny.**

Cudowny klown, wierzajcie mi,
Ja ufam sam, że przyszłe dni,
Których wciąż drgają widnokręgi,
Z tą raną w boku ujrzą go —
Miał ulubione twarzy tło
W żółte, zielone, krwawe pręgi.

Po Madagaskar gdzieś aż het
Dobiegło imię jego wnet,
Bo według zasad (to nie bajki!)
Po coraz mniejszych próbie kół,
Jakby trudności żądzę czuł,
Przez okrąg wreszcie skakał fajki.

Ciężkości praw nie musiał znać,
Nie wiedząc sam, wleźć mógłby snadź,
Na Jakóbowej szczyt drabiny.
Gdy światła nań padł złoty słup,
Purpurą błyskał jego czub
Jak żar przez pieca lśni szczeliny.

Do wysokości wzlatał tych,
Że innych skoczków witał śmiéch.
Gdy próżno wciąż prężyli siły.
Zniechęcał ich, tracili hart,
Mruczeli gniewnie: „Chyba czart!
Żywem mu srebrem drgają żyły“.

Lud cały mu oklaski bił,
Lecz on, dobywszy nowych sił,
Do skoku sprężył się w połowie,
I — komu? co? któż wiedzieć mógł? —
Ten linoskoków król i bóg
Cóś cicho szeptał w obcej mowie.

On trampolinie mówił swej:
„O sceno ma, dziś dać mi chciej
Swą inspiracyę fantastyczną!
Przyrządzie, co wzruszeniem drżysz,
Gdy rozpęd biorę, mocniej wzwyż
Pchnij mię potęgą elastyczną!

„Jam zwinny dziś, jak dziki kot,
O, daj mi skok! o, daj mi wzlot,
Ty desko wątła a sprężysta,
Wysoko tak, by oczom znikł
Cały ten fraków czarnych szyk,
Gdzie handlarz ten, ten — biuralista!

„Przez niepojęty jakiś cud,
Jeżeli możesz, daj mi rzut
Aż do wyżyny niewidomej,
Kędy swobodnie — plącząc, rwąc
Złociste włosy planet, słońc —
Orły mijają się i gromy.

„Aż do eteru gwarnych sfer,
Gdzie wycieńczone tchnienia w szmer
Bezsilny łącząc, w czarne noce,
Wichry, pijane złością swą,
Stargane, wściekłe, ciężko śpią
Na bladem łonie chmur w pomroce.

„Wciąż w górę, w dal, pod niebios sklep!
Aż w te lazury, których step
Ruchomej turmy naszej dachem!
Aż po tych wschodów krwawych próg,
Skąd płomienisty wstaje bóg,
Szalony gniewem i przestrachem.

„Wyżej, wciąż wyżej! jeszcze stąd
Giełdziarzy w złocie widzę rząd,
Krytyków, panny — żądne sideł —
I realistów świat napłask.
Powietrza! światła! w błękit! w blask!
Ach, skrzydeł! skrzydeł! skrzydeł!
[skrzydeł!“

I z giętkiej deski swej, jak ptak,
Klown wzbił się w lot szalenie tak,
Że śród powietrznej przebił jazdy
— Przy wrzawie trąb — płócienny dach
I w pragnień swych wciąż tonąc snach,
Potoczył się pomiędzy gwiazdy.

### 2. Ze „Stalaktytów“.

Pójdź. Słomiany kapelusz włóż na czarne włosy.
Zanim wrzawa się zbudzi, zabrzmią pracy głosy,
Pójdźmy zobaczyć ranek, jak na górach wstaje,
I z ulubionych kwiatów obrać łąki, gaje.
Nad brzegami źródełka zmarszczonego lekko
Nenufary złocistą mrugają powieką;
W pól głębokiem milczeniu, w cichej sadów głuszy
Zostało coś, jak echo piosenki pastuszéj,
A wietrzyki poranne, błędni bracia gońce,
Strzepując jakby dla nas swe skrzydła pachnące,
Rzucają już na ciebie, uśmiechnięte dziecię,
Wonie brzoskwiń różowych i jabłonek w kwiecie.

*(Miriam).*

Jednoaktową komedyę Banville'a p. t. »Pocałunek« przetłómaczył A. Lange, Warszawa, 1888; jest także przekład dramaciku »Piotr Gringoire«, grywanego na scenach.

## XXVI. Leconte de Lisle.

### 1. Umarłemu poecie.

Ty, coś błądzącem okiem szukał wciąż słonecznych
Świateł, barw nieśmiertelnych, i boskich konturów,
I żywych ciał o blasku promiennym lazurów,
Śpij cichy, w mrokach nocy pogrążony wiecznych.

Widzieć, czuć i rozumieć? Wiatr, pył, dym, czcze mary.
Kochać? Trucizna leży na dnie czary w winie.
Niby bóg, co znudzony porzuca świątynię,
Idź i rozlej swą istność w wszechświatów bezmiary.
Czy nad twym niemym grobem i kością spróchniałą
Ktoś łzę uroni zimną, czy jej nie uroni,
Czy twój wiek cię zapomni, czy otoczy chwałą:
Ja zazdroszczę ci w trumnie twych zamkniętych powiek,
Że swobodny od życia straszliwej agonji,
Nie znasz hańby myślenia i zgrozy, żeś człowiek.

*(A. Lange).*

---

## 2. Sen Kondora.

Ponad stromą wyżyną skalnych Kordylierów,
Nad mgłami, gdzie się ledwie orzeł zbłąka wzbity,
Wyżej nad pożłobione lejkowato szczyty,
Gdzie wrą law krwawe wary śród złowrogich szmerów,
Ze skrzydłami zwisłemi, które krew mu plami,
Ptak olbrzymi, zapadłszy w chmurne odrętwienie,
Milcząc na Amerykę patrzy, na przestrzenie
I na słońce, co smętnie mrze mu przed oczami.
Noc napływa od Wschodu, gdzie dzikie pampasy
U stóp gór wypiętrzonych bezkreśnie się szerzą;
Sieje senność na Chili, miasta, brzegi, lasy,
Na Pacyfik[1]), widnokrąg z purpury rubieżą;
Zawładnęła już całym niemym kontynentem,
Piaski wzgórz, gór wąwozy przyodziała w kiry,
Teraz ze szczytu na szczyt, rosnącemi wiry,
Stąpa ciężkim przypływu ciemności odmętem.
On — jak widmo — samotne na cypla koronie,
Skąpan w blaskach, któremi śniegi krwawią zorze,
Czeka na to złowieszczo wzbierające morze:
Ono zbliża się, wzdyma, w fali swej go chłonie.
Gdzieś w otchłaniach bezdennych, na niebieskim sklepie
Krzyż Południa zapala gwiaździstą latarnię.
On zachrapał z rozkoszy, piór swych lasem trzepie,
Nagą, wygiętą szyję pręży muskularnie,
Zrywa się, chłoszcząc Andów śnieżyste opoki,
Z krzykiem głuchym się wzbija, gdzie wiatr nie dochodzi.
Zdala od czarnej kuli, od żywych powodzi,
Na rozpostartych skrzydłach, śni w ciszy głębokiéj.

*(Miriam).*

---

[1]) T. j.: Ocean Spokojny.

## 3. Kain.

Potomkowie Enocha znieprawili ziemię swą pychą i niewiarą; zbudowali oni miasto z żelaza i miedzi, twierdzę niezdobytą, która się przed nikim nie ugięła. Na tem samem miejscu przed tysiącem lat złożono Kaina w grobie. Tu leżał on twarzą zwrócony ku niebu, by z wiecznym wyrzutem spoglądać na siedzibę Jehowy i wiecznie słyszeć, co cierpią synowie Adama. Była noc i tylko od czasu do czasu rozlegało się wokół chrapanie ludzi i zwierząt:

Lecz oto, z łona mroków rozdartych, od dzikiéj
Granicy puszcz, co huczą wrzawliwym cyklonem,
Jakiś jeździec straszliwy na rumaku wronym
Z zaciśniętemi pięściami, z grobowemi krzyki,
Biegł przez góry i doły w galopie szalonym.
A jego jasne włosy, w wiatrach, jak rzemienie
Ulatywały z szumem, a koń biegł z tętentem,
A za nimi z chrapliwym i długim lamentem
Biegło tłumem olbrzymim rozliczne stworzenie,
Które żyje na ziemi i nad firmamentem:
Orły i lwy drapieżne, psy i gadzin mrowie,
Głodne sępy, niedźwiedzie, wilki i wilczyce
I behemoty[1]) grube, jako twierdz wieżyce,
Biegły i przeklinały w swej ryczącej mowie,
Enochu, twą ponurą i straszną stolicę.
Ale syny aniołów spały w ciszy głuchéj,
A wielki rycerz wołał stanąwszy na murze:
Biada tobie, Enochio, biada-ć, pychy wzgórze!
Grodzie tego, co bunty knował od pieluchy
I którego przed czasy przeklął Bóg w lazurze.

Rycerz ten, strażnik Gehenny (piekła), wysłaniec zazdrosnego Jehowy, zapowiada dzień pomsty Boga za nieprawość, gwałty, bratobójstwa i pychę rodu ludzkiego — i potop czuć już w powietrzu:

Wówczas pod ciemnym szczytem twierdzy buntowniczéj
Podnosząc tułów, piersi i czoło i ramię,
Pośród przekleństw i obelg zwolna wstał w swej jamie
Olbrzym, co go zrodziła na ten świat goryczy
Ta, przez którą zginęły syny twe, Adamie!
Stanął wyprostowany w pościeli granitnej,
Gdzie minęły już nad nim sześciowieczne lata,
Jak usnął, by się nigdy nie zbudzić do świata,
I spojrzał w gęste mroki puszczy starożytnej
I na piersiach spoczęła jego pięść kosmata.
Lice było zakryte brodą osiwiałą;
Lecz pod gęstemi brwiami błyszczało mu oko,
Jedną marą zajęte, otwarte szeroko,
I w horyzont od wieku w wiek na wstecz patrzało,
Stając duchem przed świata młodzieńczą epoką!

[1]) Hipopotamy.

Potomkowie Enocha, przebudzeni, zebrali się na murach i wieżach, ciekawi, co im powie ich dziad zmartwychwstały. Kain przedstawia zebranym wszystkie cuda i rozkosze utraconego raju, dokąd powrócić było zawsze jego marzeniem, które potomkom swoim przekazał. W raju byłby on bóstwem, które znając słowo miłości, mogłoby, jak Jehowa, tworzyć światy nowe, może lepsze od tego, co istnieje. Ale Jehowa przeklął go przed wiekami i kazał mu się urodzić na wygnaniu. Jakaż była jego wina? Czemu Bóg nie wyrwał mu serca, zanim w mężu zahuczy krwi potok gorętszy? Czyż to on, duch płaczący nad bezowocnością swych pragnień, jest twórcą ziemi i drzewa życia, zła i grzechu pierworodnego?

Czym ja utwierdził otchłań, czym zapalił słońca?
Czym ja ożywił prochy z ich ciszy samotnej?
Czym ja był tym, co ciszę wiecznych snów roztrąca?
Czym powiedział bezwładnej, nieruchomej glinie:
Cierp i płacz! Czylim dał jej zakaz z żądzą razem,
Nieuchwytną tęsknotę za szczęścia obrazem,
Marę nieśmiertelności w nicości godzinie?
Czym kazał chcieć i karał, że szła za rozkazem?
O, nędzo! Czym ci mówił, bezlitośny władco...
Życie jest dobre! chcę się urodzić! Lecz na co
Mi życie za tę cenę, jakiej ty wymagasz?

Nieustannie gryzie Kaina tęsknota. Na błękitach zjawia się Cherub i wzywa go, by się ugiął, ale ten z pogardą odpycha taką radę, dręczony żądzą sprawiedliwości i zgnębiony wspomnieniem bratobójstwa; więc woła:

Nie budź mnie! Ja obwołam zgrozę mego bólu
Przed tym, któremu cisnę w twarz wszystkie me gniewy!
Syny aniołów, dumo Kaina, ty plemię,
W którem płyną krwi mojej potoki niesforne,
I wy potomki Seta, klęczące i korne,
Słuchajcie mnie! Olbrzymy — pyły, słuchajcie mię!
Słuchajcie mroki czasów bez granic wieczorne!
Słuchaj mię, Elohimie![1]) Oto jest mściciela
Proroctwo....
Boże groźny, zazdrosny, kryjący oblicze!
Boże, coś kłamał, zowiąc dobrem swe stworzenie!
Ożywicielu prochów! kiedyś moje tchnienie
W twojej glinie ofiarnej wstanie buntownicze;
Ty powiesz jej: ubóstwiaj! — ona odpowie: nie!

Oporność ducha ludzkiego rosnąć będzie bezustannie, aż nadejdzie chwila, gdy sklepienie niebios się zwali, a kto tam zechce szukać Jehowy, nie znajdzie go wcale. Kain woła:

I dzień ten będzie mego zwycięstwa zwiastunem,
I w dzień ten w odzyskanym, wyśnionym Edenie,
Słońce ujrzy w mem sercu Abla odrodzenie,
A ty umrzesz, śmiertelnym okryty całunem,
I padniesz bezprzytomny w wiekuiste cienie!

---

[1]) Nazwa Boga u Hebrajczyków.

Kain zamilkł; znikły mury Enochii, znikł rycerz Gehenny, ale niebawem zaczął padać deszcz straszliwy; rozpoczął się potop; twory ginęły:

I w końcu, kiedy słońce niby puste oko,
Które nie widząc patrzy w rozdarte otchłanie,
Ostatnie pogrążyło pary w oceanie:
Kiedy świat pod ostatnią potu nieb osoką
Zamienił się w powszechne cmentarne posłanie,
I kiedy szczyt najwyższy wód zalały piany,
Togorma[1]) zbladł i zatrząsł się od stóp do głowy,
Widząc, jak mściciel Kain, wieczny wróg Jehowy,
Szedł z podniesioną ręką przez mroczne tumany
Ku potwornej zbawienia arce potopowéj.

*(Antoni Lange).*

Studyum o »Leconte de Lisle«, wraz z przekładem dość licznych wyjątków podał Antoni Lange w »Ateneum« r. 1890 t. IV. Dramat starożytniczy tegoż poety p. t. »Erynnie« przełożył pięknym wierszem Miriam i zamieścił go w »Swiecie« krakowskim roku 1891.

## XXVII. Emil Augier.

### Gabryela.

W sposób świeży i pełen podniosłości moralnej przedstawia autor w tej 5-cio aktowej komedyi wierszem kwestyę miłości mężatki. Nie udawanie, kłamstwo i oszukaństwo, lecz jawne i otwarte wyznanie swych uczuć powinno być hasłem przewodniem w tych nieszczęśliwych wypadkach, gdy pierwotne usposobienie względem małżonka uległo zmianie. Bohaterki jednak swojej nie doprowadza Augier do tego ostatecznego kroku; chroni ją rozumne i szlachetne postępowanie męża. Ten przyjmuje przyjaźnie w domu swoim młodego sekretarza Stefana, nie domyślając się, że on pokochał jego żonę, która po długiej walce z sobą wyznaje mu swą miłość. Gdy się o tem dowiedział, nie wybucha, lecz jeszcze większą serdecznością i zaufaniem darzy Stefana, licząc na to, że młodzieniec zacny nie zechce go zawieść i oszukiwać. Istotnie i Stefan i Gabryela równocześnie formułują zamiar otwartego działania; mają opuścić dom Prospera, (w oryginale Juliana Chabrière), lecz ten serdeczną przemową umie ich przekonać, że ulegając chwilowej żądzy, gotują sami sobie najboleśniejszą przyszłość, zwłaszcza że Gabryela ma córeczkę. Jest tu i druga para małżonków; siostra Gabryeli przyrodnia Aniela, znajdując się w podobnej jak ona sytuacyi, upadła i stanowiło to najdolegliwszą stronę jej życia; opowiedzeniem swojej bolesnej przygody i ona wpływa częściowo na opamiętanie się siostry. Mąż Anieli, Tamponel, żarłok, udający zamiłowanie piękna przyrody i poezyj, ażeby się przypodobać żonie, stanowi swoją podejrzliwością i swojem smakoszostwem żywioł komiczny utworu. Podajemy 2 sceny znamienne, kreślące najlepiej charakter Gabryeli i Prospera.

Akt I, scena VII. — Gabryela, Aniela.

*Gabryela.* Szczególny człowiek!
*Aniela.* Prawda.

[1]) Wieszcz, któremu całe owo widzenie ukazało się we śnie, gdy spoczął znużony pracą przy młynie.

*Gabryela.* O tak!
*Aniela.* Moja miła!
Jużem ja się z dziwactwy jego oswoiła.
Przywykłam — i dziś rzadko we mnie się odzywa
Myśl, że dola ma przy nim nie bardzo szczęśliwa.
Od wszystkich jego manii ja odwracam głowę,
Cierpliwie znoszę jego tyranie domowe,
I może już nie raziłby mnie z żadnej strony,
Gdyby nie zazdrość, w której jest nieuleczony.
*Gabryela.* Zazdrość?.. dziś jeszcze?..
*Aniela.* Ona nigdy się nie zmniejszy.
Owszem im jestem starsza, tem on zazdrośniejszy!
Prosper nie jest zazdrosny?
*Gabryela.* To żelazna dusza!
On się, wierz mi, Anielo, byle czem nie wzrusza.
On nadto jest poważny, aby taka mała
Drobnostka, jak ja, umysł jego zaprzątała;
I byle interesa nie szły mu zbyt twardo,
Na resztę z pobłażliwą spogląda pogardą;
I nie zapyta nawet czy jestem szczęśliwa,
Albo czy jaki smutek duszę mą rozrywa.
*Aniela.* Smutek? Milszem od twego czyż jest życie czyje?...
*Gabryela.* Gdybyś wiedziała, w jakiej ja tu próżni żyję!
Gdybyś czuła nademną te nicości cienie!...
Wszystko mnie opuściło, nawet nawyknienie,
To łzawe szczęście, niby rezygnacyi zbroja,
Pod którą już zaczęła rdzewieć dusza moja.
Ach! pocóżem wybiegła z miejskiego ukrycia
Na wieś, gdzie hymn natury i mnie rwie do życia?..
Gdzie wonie pól i lata słoneczne promyki
Rozniecily w mej duszy dzielność, czy jad dziki.
Jakiś szał życia wpadł mi do serca, do głowy,
Upaja mnie i szepcze: zerwij te okowy!...
— Precz martwota i smutek! Dla mnie życie, radość!
Ja chcę... czego, nie umiem wypowiedzieć słowy;
Ale to wszystko, co mam, nie czyni mi zadość.
Te powszednie zajęcia mdlą mnie niesłychanie,
Płaczę... wszystko mnie męczy, nudzi mnie czytanie;
Nic mnie nie wzrusza, nawet, wstyd to jest kobiecie
Wyznać, ale wyznaję; nawet własne dziecię!
*Aniela.* Bo już przestałaś kochać męża.
*Gabryela.* Co to znaczy?
*Aniela.* Tak, gdybyś go kochała, byłoby inaczéj.
*Gabryela.* Jednak....
*Aniela.* Otwórz mi serce, Gabryelo, do dna;
Jam ci siostra i matka, ufności twéj godna:
Może me oczy dla cię ratunek dostrzegą.
Ty nie kochasz Prospera!...

*Gabryela.* Nikogo innego.
*Aniela.* Biedny Prosper!... On ciebie kocha nie na żarty,
On wiedzie cię spokojnie, po drodze utartéj,
W mięciuchnej, aksamitem wysłanej karecie,
I czegóż ty się skarżysz, fantastyczne dziecię?
*Gabryela.* Prawda, że na spokoju przy nim mi nie zbywa:
On się stara, bym była legalnie szczęśliwa.
Jest to człowiek rozumny, wspaniale oszczędny,
Prawy i pracowity, czasem troszkę zrzędny;
Dobry, nigdy nie zaklnie, nie przemówi ostro:
Ja byłabym szczęśliwa, będąc jego siostrą.
Lecz co mi po dostatku i po takiej ciszy,
Jeśli entuzyazm serca jej nie towarzyszy?
Jakieś płaskie rachuby i płaskie prawidła,
O które zawadzają marzeń moich skrzydła,
Powszedniości mieszczańskie, regestra domowe,
Zastąpiły przedślubną, rozkoszną rozmowę!
On w szachownicę życie poliniował swoje,
Gdzie na jednym z kwadratów i ja także stoję;
Jestem sprzętem domowym, czemś więcej niż zerem:
Znaczę dlań tyle, że już nie jest kawalerem.
Gdzież są te obietnice miłości bez końca,
Świętych serca uniesień?... Ta przyszłość drgająca
Uśmiechem, którą myśmy marzyli we dwoje?
Z jej wspomnień pozostały tylko te łzy moje! (ociera łzy).
*Aniela.* Nie obwiniaj Prospera, i niechaj ci raczéj
Krótkość ułud życiowych tę zmianę tłómaczy.
Czemuż nie możem wszystkie wiedzieć o tem wcześniéj,
Że się nam bezpowrotnie złoty nasz sen prześni!
Czemuż nie ma kto ostrzedz nas w ranniejszej porze,
Iż miłość obiecuje więcej, niż dać może!
Nie marnowałybyśmy na ułudne cele
Cząstki szczęścia, która nam przypadła w podziele.
Żarliwa wiara w miłość pierś naszą rozsadza,
Tymczasem nie kochanek, lecz ona nas zdradza.
Zawiedzione, szukamy innego, azali
Ten ideałów duszy naszej nie ocali?
Lecz miłość udręczona szały daremnemi
Znowu nas pozostawia z garścią pełną ziemi;
Wtedy wreszcie poznajem, gdy nas droga znuży,
Iż cel nasz był w początku tej wielkiej podróży.
*Gabryela.* Anielo! Takaż tylko pozostaje rada
Dla pocieszenia serca, co się z bólu pada?
Jakto!... Całą miłością — życzliwość Prospera?
Żadnaż mi się nadzieja zatem nie otwiera?
Poddać się wraz, gdy zawód zastąpił mi drogę?
O! nie... ja ci nie wierzę, wierzyć ci nie mogę!

Ciemne szkło może stłumić blaski gorejące,
Ale ja wierzę w miłość, tak jak wierzę w słońce!

Akt V, scena V. — Stefan, Prosper, Gabryela.

*Stefan.* Gdyby to moja tylko była tajemnica,
Przysięgam...
*Prosper.* Ha! miłostka jakaś w tem prześwieca:
Byłem pewien.
*Stefan.* Więc czemu pyta mnie pan o to?
*Prosper.* Bo cię chcę, niewdzięczniku, bronić przed sromotą.
*Stefan.* Daremne upomnienia! Pan wiesz o przyczynie:
Miłość moja wraz ze krwią w żyłach moich płynie.
*Prosper.* Nie myślę jej dobywać, niech sobie tam będzie;
Lecz co ci ona może przeszkadzać w urzędzie?
Czyż ci kochanka cały czas zabiera?
*Stefan.* Panie!
Kochając, ona czystą jest i pozostanie.
*Prosper.* Czemuż więc?...
*Stefan* (zakłopotany). Ja odjeżdżam, bo taka jej wola.
*Prosper.* Ej, przedtem nieraz jeszcze siew uprzątną z pola.
*Stefan.* Jutro.
*Prosper.* Istotnie?
*Stefan.* Słowo.
*Prosper.* A!...
*Gabryela* (na stronie). Co za tortury!
*Prosper.* Wiem, że jesteś młodzieńcem szlachetnej natury;
Lecz i ona... jakkolwiek świat tę rzecz ocenia...
Za taki czyn jest dla mnie godną uwielbienia.
*Gabryela* (cicho do Stefana).
Dręczy mnie jego chwalba. Powiedz mu w tej chwili
Wszystko, Stefanie, wszystko!
*Stefan.* Ależ pan się myli:
Nie sam odjeżdżam.
*Prosper* (na stronie). Boże!.. Precz te szału dreszcze...
Cicho!.. do krwi rozlewu dosyć czasu jeszcze.
*Gabryela.* Pogardzasz tą kobietą?
*Prosper.* Nie. Jeśli nie może
Powstrzymać serca, które idzie na bezdroże,
Zawsze to serce wyższe, gdy zgubić się woli,
Niżeli kalać kłamstwem w bezpiecznej swawoli.
I wreszcie ten występek, zdaniem mem jest zbrodnią
Ohydną, jeśli grozy nie błyśnie pochodnią;
I jak potok błotnisty, w kałużę się zmienia,
Gdy wszystkiego nie porwie w odmęty zniszczenia.
*Stefan.* Więc pan usprawiedliwiasz... tę kobietę!...
*Prosper.* Prawie;
Jeżelić już nie może dotrwać w dobrej sławie.

— A czy ona ma dzieci?

*Stefan* (wahająco). Ma.

*Prosper.* To nieszczęśliwa!
Żal za nią, za sieroty, duszę mi przeszywa!

*Stefan.* Może zabrać...

*Prosper* (silnie). A ojciec!...

(spokojnie). Jakiś niedołęga,
Który uczuciem swojem daleko nie sięga....
Bo gdyby kochał dzieci, byłby miłym żonie!
Ja też wcale nie jego żałuję i bronię;
Lecz tej biednej kobiety i ciebie, mój drogi,
Was, co się narażacie na gniew świata srogi;
Choć ni ona, ni ty się nie domyślasz, bracie,
Z jak ciernistego drzewa krzyż swój wyrzynacie,
I jaka to samotność straszna, nieprzebyta,
W łono waszej występnej miłości zawita!

*Stefan.* Lecz samotność we dwoje...

*Prosper.* Gorszą jest o wiele:
To loch, w którym zamknięci dwaj nieprzyjaciele.
Boć znana rzecz, że związek ten, niepoświęcany,
Zaczasem się zamienia w sromotne kajdany,
W których zakute serca, po przebytym szale,
Zcicha wzajemne sobie wyrzucają żale.

*Stefan.* Moje serce nic nigdy wyrzucać nie będzie.

*Prosper.* Być może. Ale ona będzież, po tym błędzie,
Na ostatnią chłopiankę patrzeć bez łzy w oku,
Co idzie śmiało, dumnie, przy mężowskim boku?
Gdziekolwiek wiarołomne skryjesz z nią pożycie,
Wszędzie ona wzrok spuści i zapłacze skrycie;
Widząc, że dobry człowiek każdy od niej stroni
I nie odkryje głowy, przechodząc koło niéj.
Biednaż ona!... Jej oko, błądząc po błękicie,
Za straconym pokojem ustawicznie goni
I ustawicznie zwraca się w tę stronę świata,
Gdzie jej własna, poczciwa, dymi bez niej chata;
Gdzie weszła jako panna czysta i pobożna...
A teraz czeka na nią komora przydrożna,
Gdzie w oczach towarzysza czyta wyrzut srogi
Za to, że mu się stała ciężarem u nogi.

*Stefan.* Nie! To kochanek, który daje tej kobiecie
To, czego szuka łzawe oko jej po świecie.

*Prosper* (do Gabryeli). Czy myślisz, że kochanka ona uszczęśliwi?..
Nie, on tem nieszczęśliwszy jest, im kocha żywiéj;
Im więcej czci prawdziwej w uczucie swe złoży,
Tem go zazdrosna pamięć dręczyć będzie srożéj;
Bo niechaj co chce będzie, przeszłość się nie zmienia,
Ona dzieliła przedtem cudze uniesienia!

Może mu oddać piękność, cześć, życie; bez granic
Ofiary nieść: czystości nie odda mu za nic.
Próżno wspomnienie męża kochanek oddala,
Wszędy go ścigać będzie to widmo rywala,
Którego pieszczotami kochanka skalana... (poruszenie Gabryeli).
Jeśli wątpisz, to spojrzyj na bladość Stefana.

*Stefan.* Będę ja umiał strząsnąć to smutne wspomnienie,
Więcej ja wreszcie przyszłość, niżli przeszłość cenię.

*Prosper.* Nie masz szczęścia, jak tylko śród utartej drogi:
Kto się rzuca w przepaście, pewnie złamie nogi.
Przeszłość drażni, obecność, och!... w tej nie wytrwacie;
Przyszłość utracasz również, biedny waryacie!

*Stefan.* Tem lepiej. Przyszłość, której złudne nęcą blaski,
Posiada spokój wody drzemiącej i płaskiéj.
Wolę ja pełne morze z jego uragany,
Z tym szałem, który sprawia wicher rozhukany;
Z tą burzą, co z obłoków zagłębia w odmęty
I z toni ku niebiosom unosi okręty.
Bierne szczęście być może właściwem dla tchórza,
Lecz ja nie chcę bierności, mym żywiołem burza.

*Prosper.* Piękna to jest poezya, żywa, ani słowa;
Znam ja jednakże inną, co jest silna, zdrowa,
Pożywniej karmi serce, bo w każdej godzinie
Niezmąconym nektarem zadowoleń płynie.
Jest to spełnienie świętych obowiązków, cicha
Praca, którą dzień cały, część nocy oddycha;
Gdy cały dom uśpiony w milczeniu głębokiem,
Gdy ją orzeźwia dziecię, co śpi pod jej bokiem.
Przystoi samolubom i pustakom butnym
Szaleć w tym nieporządku, w gruncie czczym i smutnym,
Tworzyć tę miłość, która w bezbożności swojéj
Na równi z jakąś klęską płodną być się boi;
Lecz my bądźmy ojcami, to znaczy, Stefanie,
Prowadźmy w domy nasze to czyste kochanie,
Jakie wnosi kobieta w zacności wytrwała,
Z której duszy ma wynijść synów naszych chwała.
A pewni być możemy, że z wiernego łona,
Co wyjdzie, będzie wiernem i zacnem, jak ona!...
Oto godność miłości, to cel życia prawy!
Reszta są to przegrywki lub płoche zabawy.
Na takiej drodze rozkosz wyrasta prawdziwa,
Która człowieka nigdy nie odczarowywa!
I ty masz ją pod ręką. Zmiłuj, się Stefanie,
Niedoli i występku nie zamieniaj za nię!
Rozważ.

*Stefan.* Minęła pora.

*Prosper.* Wcale nie minęła.
Pora nigdy nie mija do dobrego dzieła.

Ale wymowniejszemi w tem są nasze panie: (do Gabryeli).
Gabryelo! Ty poprzyj zdrowe rady moje,
Pomóż mi uratować tych szaleńców dwoje.
Zostawiam was na chwilę. Pora wczasu blizka;
Muszę jeszcze ułożyć gdzieś te papierzyska.
(Podchodzi do stołu i zabiera papiery. Na stronie).
Zrobiłem dla niej więcej, niźli człowiek może;
A resztę w Twoje ręce składam, wielki Boże!
Miłosierdzia!... jeżeli nie dla mnie, to dla niéj.
(Wychodzi na prawo).

Akt V, scena VI. — Stefan, Gabryela.

*Gabryela* (po chwili milczenia i nie podnosząc oczu).
Żegnam pana na zawsze, na zawsze.
*Stefan* (podobnież). Tak, pani.
(Wychodzi wolno z głową spuszczoną).

Akt V, scena VII. — Gabryela.

*Gabryela* (sama). Cóż to za jasność głowę moją rozwesela!
To ja dałam się uwieść?... To ja, Gabryela?...
Nad taką straszną przepaść?.. Gdzieżbym ja już była
Gdyby nie słów Prospera dobroczynna siła!
O! jakiż to szlachetny, wielki mąż w rodzinie!
A jaki on potężny... przy tamtej dziecinie!

Akt V, scena VIII. — Prosper, Gabryela.

*Prosper.* Gdzie Stefan?
*Gabryela.* Nie wiem.
*Prosper.* Jakto?
*Gabryela.* Odszedł, Bogu chwała!
Odszedł, mężu, dlatego, żem ja go kochała.
Tą kobietą ja jestem. Mężu mój i panie,
Sprawiedliwości twojej niech się zadość stanie!
(Pada na kolana).
*Prosper.* Powstań, córko! Mogęż ja mieć prawo i serce
Stawać tu jako sędzia dumny i surowy,
Gdy sam pytam się właśnie, kto z nas w tej rozterce
Więcej odpowiedzialnym za twój szał chwilowy:
Czy ty, żeś dozwoliła unieść się tym szałem,
Czy ja, że nad mym skarbem nie dosyć czuwałem?
Tak, ja, co bez wytchnienia w pracy zagłębiony,
Sądząc, że tego dosyć jest dla szczęścia żony,
Nie spostrzegłem, jak codzień potrosze roniłem
To, co pożycie czyni uprzejmem i miłem;
Aż mnie ta jednostajność niewyrozumiała
Uczyniła kimś innym, niż ten, kogoś znała!
Więc przebaczenia kiedy ty żądasz odemnie,
Ja ci na to powiadam: przebaczmy wzajemnie.

*Gabryela.* Jesteś łaskawym, jak Bóg!
*Prosper.* Jak ojciec, kochanie;
Lecz odzyskam twą miłość, na to sił mi stanie...
*Gabryela.* A czy wrócisz mi swoję? (Prosper chwyta ją w objęcia).

*(Kazimierz Kaszewski).*

Komedyj Augier'a mamy następne przekłady: „Filiberta“ tłóm. Wł. Sabowski (1860 w „Kronice“), toż Kazimierz Kaszewski, Warszawa, 1869; „Pani Caverlet“ tłóm. Zygmunt Rouppert, Warszawa, 1876; „Gabryela“ tłóm. Kazimierz Kaszewski („Biblioteka Warsz.“, 1876, t. IV); „Flecista“ tłóm. Wacław Szymanowski (w „Poezyach i dramatach“, Warszawa, 1884); „Cykuta“ w przekładzie K. Szlagiera w „Kłosach“ 1868. Prócz tego tłómaczone są i grywane w teatrze, ale nie ogłoszone drukiem: „Zięć pana Poirier“, „Biedne lwice“, „Bezczelni“, „Syn Giboyera“, „Rodzina Fourchambault“.

## XXVIII. Karol Baudelaire.

### 1. Przedmowa.

Głupota, grzechy, błędy, lubieżność i chciwość
Duch i ciało nam gryzą, niby ząb zatruty,
A my karmim te nasze rozkoszne wyrzuty
Tak, jak żebracy karmią swych szat robaczywość.

Upór jest w naszych grzechach, strach jest w naszych żalach,
Za skruchę i pokutę płacim sobie drogo
I wesoło znów kroczym naszą błotną drogą,
Wierząc, że zmyjem winy — w łez mizernych falach.

Djabeł to trzyma nici, co kierują nami!
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznem okiem —
Codzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami.

Niby rój glist, co mrowiem gęstem się przewala,
W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem,
A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
Spływa z głuchemi skargi, jak podziemna fala.

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i szylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnéj, niemiłéj,
To dlatego, że brak nam odwagi — niestety!

Ale pośród szakalów, śród panter i smoków,
Pośród małp i skorpionów, żmij i nietoperzy,
Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
W ohydnej menażeryi naszych grzesznych skoków, —

Jest potwór — potworniejszy nad to bydląt plemię,
Nuda, co chociaż krzykiem nie utrudza gardła,
Chętnieby całą ziemię na proch miałki starła,
Aby jednem ziewnięciem połknąć całą ziemię.

Łza mimowolna błyska w oczu jej pryzmacie,
Ona marzy szafoty, dymiąc swe haszysze;
Ty znasz tego potwora, co jak sen kołysze —
Hipokryto, słuchaczu, mój bliźni, mój bracie!

*(Antoni Lange).*

## 2. Moesta et errabunda (Smutna i błąkająca się).

Mów, dziewczę, czy twe serce niekiedy ulata
Z czarnego oceanu zepsutej stolicy
Na inny, który świetność obleka bogata?
Modry, jasny, głęboki, podobny dziewicy?
Mów, dziewczę, czy twe serce niekiedy ulata?

Morze, szerokie morze, ukój nasze znoje!
Jaki szatan, chrapliwa śpiewaczko otchłani,
Której jak organ wtórzą gniewnych wichrów roje,
Dał ci tę wzniosłą rolę kołyszącej niani?
Morze, rozległe morze, ukój nasze znoje!

Ach, unieś mię, wagonie! porwij mię, fregato!
W dal! w dal! Tutaj z łez naszych tworzą się bagniska,
A serce, smutne nieraz — nieprawdaż, Agato?
Szepcze: precz ztąd, gdzie wyrzut, zbrodnia, gdzie ból ściska!
Ach, unieś mię, wagonie! porwij mię, fregato!

Jak wy daleko, raje wonne i pogodne,
Gdzie radość, miłość kwitną pod jasnym błękitem,
Gdzie wszystko, co się kocha, jest kochania godne,
Gdzie w czystą rozkosz serce nurza się z zachwytem!
Jak wy daleko raje wonne i pogodne!

O! miłości dziecinnych raju umajony!
Skoki, śpiewy, całunki i kwiecia równianki,
I tętniące z za wzgórzy dźwięczne skrzypiec tony,
I wieczorne po gajach wesołe hulanki —
Ty, miłości dziecinnych raju umajony!

Pełny uciech przelotnych, czysty raju wiosny,
Czyś ty już dalszy od nas, niż Indye i Chiny?
Czy może cię przywołać jeszcze krzyk żałosny?
Czy mógłby cię ożywić srebrny głos dziewczyny —
Niewinny, pełny uciech raju naszej wiosny?

*(Adam M—ski).*

## 3. Spleen.

Jam jest niby król państwa dżdżu i niepogody,
Bogaty, lecz niemocny; stary, chociaż młody,
Który, gardząc pochlebną dworzan swych pokorą,
Nudzi się z swemi końmi i psów gończych sforą.
Nic go nie rozwesela: sokół ani łowy,
Ani lud, co umiera u bramy zamkowéj.
Próżno mu śpiewa błazen śmieszne swe ballady;
Nic nie zdoła rozchmurzyć jego skroni bladéj,
Kwiatowe jego łoże ma dlań woń mogiły;
Damy zaś, którym każdy książę bywa miły,
Nie umieją w dość nagiej błysnąć toalecie,
Aby uśmiech wywołać w tym młodym szkielecie.
Mędrzec, co mu wytapia z gliny kruszec złoty,
Nie wypalił zgnilizny z ran jego istoty.
I nawet w krwawych łaźniach tych rzymskich cesarzy,
O których w dniach starości każdy władca marzy,
Nie budzi się w tym trupie dusza znieczulona,
Gdzie miast krwi — woda Lety toczy się zielona.

*(Antoni Lange).*

## 4. Zaproszenie do podróży.

Siostrzyczko, pieszczotko,
Ach, pomyśl, jak słodko
Daleko odlecieć nam razem!
Pierś czuciom otwierać
I żyć i umierać
W tym kraju, co twym jest obrazem!
Ach, słońca tam mgliste,
Ach, nieba tam dżdżyste
Mój umysł czarują niezmiernie
Potęgą zdradziecką
Twych oczu, o dziecko!
Błyszczących z za łez tak promiennie.

Tam zawsze ład, piękno, przepychy —
I rozkosz i spokój trwa cichy.

Sprzęt lśniący, pieszczony,
Lat ręką gładzony
Ozdabiałby nasze ustronie,
A z ambry wyziewy
Najrzadsze nam krzewy
Mieszałyby lube swe wonie.
Sklepienia tam cenne,
Zwierciadła bezdenne
Wraz z Wschodu świetnością godową —
Do duszy przez życie
Szeptałyby skrycie
Jej znaną, rodzoną jej mową.

Tam zawsze ład, piękno, przepychy —
I rozkosz i spokój trwa cichy.

Pójdź, patrz na kanale
Śpią statki niedbale,
Włóczęgi wód toni rozległéj;
Dziś na twe skinienie,
By każde życzenie
Twe spełnić — z mórz krańców się zbiegły.
Gdy słońce ucieka,
To zaraz obleka

Fioletem i złotem błyszczącem
Gród, pola, kanały;
I oto świat cały
Usypia w tem świetle gorącem.

Tam zawsze ład, piękno, przepychy.
I rozkosz i spokój trwa cichy.

*(Adam M—ski).*

### 5. Śmierć nędzarzy.

Śmierć jest jedynym blaskiem w mrokach życia kiru:
To jedyny cel życia, nadzieja, podpora,
Pociecha i wzmocnienie, — czara eliksyru,
Która nam daje siłę iść aż do wieczora.

To słońce, co przez burze — i śniegi — i nędze
Na czarnym widnokręgu promieniście świta;
J[illegible]o sławna gospoda, zapisana w księdze,
[illegible]dzie wszyscy będą jedli i pili do syta.

To anioł, który trzyma w dłoniach magnetycznych
Potęgę snu i dary widzeń ekstatycznych
I który ściele łoża obdartym żebrakom —

Chwała bogów, śpiżarnia mistyczna, słoneczna
Sakwa nędzarza, jego ojczyzna odwieczna
I wrota ku nieznanym cichych niebios szlakom.

*(Antoni Lange).*

Prócz tłómaczeń pomieszczonych w czasopismach mamy wybór poezyj Baudelaira, wydany p. t. „Kwiaty grzechu", z portretem i życiorysem autora, przełożyli z francuskiego Adam M—ski i A. Lange, Warszawa, 1894.

## XXIX. Sully Prudhomme.

### 1. Sen.

Rolnik mówił mi we śnie: Dość na moim chlebie
Żyłeś. Sam siej, sam ziemię órz w brózdy garbate!
Tkacz mi mówił: Sam odzież odtąd rób dla siebie!
A mularz rzekł: Weź kielnię sam i buduj chatę!
I sam, przez wszystkich ludzi porzucon tak wrogo,
Szedłem wszędy z tą klątwą ich niemiłosierną,
I gdym o litość błagał niebo, — nade drogą
Moją — ujrzałem głodnych lwów parę krwiożerną!

Budzę się, prawdziwości zorzy nieświadomy;
Patrzę: mularz, jak dawniej, buduje nam domy,
Błyszczą zasiane pola, szumi trud warsztatni!
Poznałem moje szczęście: Kto zamieszkał ziemię,
Ten obejść się nie może bez pomocy bratniéj,
I odtąd ukochałem całe ludzkie plemię.

## 2. Ideał.

Księżyc lśni w pełni, lazur gwiaździsty,
Oświeca ziemi blade miraże:
W powietrzni płynie duch świata czysty,
A ja o gwieździe najwyższej marzę.

Marzę o gwieździe tej niewidzialnej,
Która w oddali nieznanej świeci
I zejdzie do nas z sfery swej dalnej,
By olśnić oczy przyszłych stuleci!

Więc gdy swem światłem błyśnie wspaniałem
Ta gwiazda piękna, jasna, daleka:
Wy jej powiedzcie, że ją kochałem,
O wy, ostatnie syny człowieka!

*(A. Lange).*

## 3. Dokąd idą?

Nie idzie w niebo, kto z miłości ginie,
Bo brak tam zmierzchu, co rozkosz osłania,
A boska słodycz w wieczystej dziedzinie
Mniej słodka ustom, niż miód całowania.

Nie płonie także w piekielnej głębinie,
Bo już się spalił płomieniem kochania,
A ból i wzgarda w zwątpienia godzinie
Nad szpon szatana pierś krwawiej rozrania.

Dokąd więc idą i jakie katusze,
Jakie rozkosze czuć mogą te dusze,
Co przeszły mękę i rozkosz miłości?

Niebo i piekło poznały na ziemi,
I wieczność moc swą straciła nad niemi,
Więc z ciałem giną rozwiane w nicości.

*(M. K.)*

### 4. Wazon rozbity.

Wazon, w którym oto kwiat usycha;
Ktoś wachlarzem potrącił niebacznie;
Drobną rysą wazon pękł nieznacznie,
Dłoń go zlekka dotknęła i zcicha.

Woda uszła zwolna zeń, a potem
Wszystek z kwiatu wysechł sok obfity;
Wazon pękł i nikt nie wiedział o tem,
Nie tykajcie go — on już rozbity.

Lecz to lekkie, ciche uderzenie
Gdy raz w kruche trąciło kryształy,
Skaza rosła wciąż niepostrzeżenie,
Aż obiegła wkoło wazon cały.

Tak czasami ukochana ręka
Nagle serce zrani nieoględnie —
I bez skargi serce z bólu pęka
I miłości kwiat w niem schnie i więdnie.

Zda się, żadnej niema w niem odmiany,
Serce z bólu i żalu nie jękło,
Tylko łzy i krew wciąż płyną z rany:
Nie tykajcie go — to serce pękło.

*(Czesław).*

---

## XXX. Franciszek Coppée.

### 1. Horoskop.

Przed starą wróżbiarką, co brudnych kart kłodę
Cisnąwszy na stolik, o jutrze z nich czyta,
Chcąc wiedzieć, czem dla nich to jutro zaświta:
Dwie siostry, dziewice, stanęły raz młode.

Jedna z nich brunetka — jak leśnej czernicy
Jagody wygrzane słoneczkiem jesieni;
A druga z oczyma koloru przestrzeni,
Blondynka, jak kłosek złocistej pszenicy.

— Twój żywot — do pierwszej wróżbiarka powiada —
Klęsk ciągłych, niestety, obwieszczam ci strugą!
— „Czy będę kochaną?“ — Tak, wiernie i długo!
— „Więc mniejsza o resztę!“ — odkrzyknie ta rada.

— Biedniejszej — z kolei nad drugą znów wzdycha —
Los srogi tej nawet odmówi radości!...
— „Czy będę kochała?“ — Tak, pełnią miłości!
„Więc mniejsza o resztę!“ — odszepnie ta zcicha.

*(J. S. Chamiec).*

---

## 2. Ojciec.

Codzień po szynkach wyprawiał hulankę,
Wracał pijany i bił swą kochankę!
Losów ich stuła nie związała księdza:
Skuły je razem — rozpusta i nędza.
I strach pomyśleć: dzieliła z nim łoże
Tylko z obawy, by nie spać na dworze!
Wściekła, rozżarta tak jak kundys dziada,
Tak ona gacha, bywało, opada,
Gdy wracał do dom... Wtedy bezlitośnie
Katował człek ów tę dziewkę i sprośnie
Kipiała izba ich bójką i swarem —
I byli nocnym sąsiadów zegarem.
A potem zgiełk ten w straszną tonął ciszę:
Rzekłbyś, że słychać, jak tam zbrodnia dysze.
Aż dnia pewnego, w onem gnieździe zgrozy,
Hańby i nędzy, gdy grudniowe mrozy
Srożej ścisnęły ich doli kajdany,
Zrodził się syn im — gość niepożądany!
Skroń pocałunkiem cierpkim powitana,
Ach, a tak jasna i niepokalana!...
Mężczyzna wrócił znów do domu spity;
Lecz zatrzymawszy się w progu jak wryty,
Szklanem się okiem zapatrzył w tę, która
Kolebkę dziecka huśtała ponura,
Jakieś żałosne śpiewając piosenki: —
I na tę matkę już nie podniósł ręki.
Wtedy ta jędza, widząc, że on stoi
U drzwi pokorny, jak ten, co się boi
I chce coś począć a niby się waha;
Wzrok pełen jadu zwróciwszy na gacha;
I z ust zsiniałych gniewne mieląc słowa:
— „No — wrzaśnie — tatku! bijże, jam gotowa!
I czego czekasz? Czy ciebie kto trzyma?
Czy chleb już staniał! Czy mniej sroga zima?
Czyżem mniej głodna, zziębnięta i chora?
A ty mniej spity dziś może niż wczora?“
Pijak nieczuły tak jak drewna kawał,
Obelg tych nawet słyszeć się nie zdawał,
I wzrok wlepiwszy w kolebkę dziecięcia,
Wzrok czuły, głupią czułością bydlęcia;
A potem zwolna zwróciwszy się do niéj,
Trwożliwy prawie, jak ten, co się broni,
Kiedy mu ciężkie zarzucają winy:
— „Cyt! — szepnie — nie chcę obudzić dzieciny!“

(*Włodzimierz Zagórski*).

## 3. Klejnoty wyzwolenia.

(Z czasów wojny r. 1870—71).

Wykwintny buduar rzęsiście oświetlony. Przed zwierciadłem siedzi młoda kobieta w balowej toalecie, wygorsowana i przybrana w kosztowne klejnoty.

Bal! Więc znów na bal idę jak dawniej... Mój Boże!
Toć przecie wiecznotrwałą wojna być nie może.
Marznąć, głód znosić, strzelać z fortecznego rowu
Przejé się... Może grzeszę, mówiąc to?... gdzież znowu?
Wszak spełniłam w tej klęsce i w tej nędzy wielkiéj
Obowiązek Francuzki i obywatelki.
W szpitalu nad rannymi pośród nocnej ciszy
Czuwałam, a przywykłe tylko do klawiszy
Ręce, bez rękawiczek, na dworze w mróz biały
Przyspasabiały szarpie lub krew tamowały.
Przetrwałam oblężenie i szłam na wycieczki
Jak żołnierz... Nie zaszkodzi więc dziś choć troszeczki
Użyć zabawy i ot potańcować sobie.
Wszakże to nie uwłacza ojczyzny żałobie?
To kobieta, a więc wie, że bal rzecz niezdrożna,
Że dwie zimy bez balu obejść się nie można,
Że rok już wymazawszy z mego życia karty,
Skonfiskowałam stroje, uśmiechy i żarty,
Czułam się bez klejnotów zgnębioną i chorą,
Jak dziecko, gdy za karę cacko mu zabiorą.
(Spogląda w zwierciadło).
Jak piękny ten naszyjnik i te zausznice!
Nigdy z nich nie tryskały takie błyskawice
Światła, w jednej jasności połączone fali...
Ten pierścionek na palcu jak płomień się pali!
Ciało się pod perłami swobodniej promieni,
Miły mu ciężar złota i drogich kamieni,
Co wkoło mnie świetlanym połyskują deszczem,
I których chłód rozkosznym przenika mię dreszczem.
Dziewiąta... jam gotowa; wcześniej się ubrałam
Dzisiaj. Tak, już oddawna dziwną żądzą pałam,
Żeby przybrać nanowo te balowe stroje,
Żem chciała wcześniej włożyć wszystkie skarby moje,
I tu, w tej samotności, której nic nie płoszy,
Użyć sobie jak dziecko niewinnej rozkoszy.
Czyż to grzech, że jak dzieci czasem się bawimy?...
Lecz jeszcze wcześnie — trzeba czekać... (Chwila milczenia).
Przeszłej zimy...
Czemuż o to wspomnienie myśl moja potrąca?...
Tak jest, tego samego było to miesiąca
I dnia — czuwałam nocą przy łożu rannego.
Rok już temu, rok cały... jak szybko dni biegą!...

Był to chłop, żołnierz prosty, jedna z ofiar wojny...
Pomnę bladą twarz jego i ów wzrok spokojny,
Kiedy w oczach doktora, w chrześćjańskiej pokorze
Wyczytał wyrok śmierci... a gdy po doktorze
Zjawił się kapłan — widząc, że się Chrystus zbliża,
On salutował ręką boży sztandar krzyża,
Z czcią i skruchą przyjmując słodki pokarm duszy.
Ów bohater, co świeżo prosty kij pastuszy
Rzucił — konał... ja przy nim czuwałam noc całą...
Mówił do mnie, iż jedno go tylko bolało
Wspomnienie, że tam na wschód, w Szampanii, w oddali
Rodzice jego sami w chacie pozostali,
Pełniąc rozkazy Niemców i zawodząc sobie,
Że żołdak się rozgościł w tej wiejskiej chudobie...
I długo tam zostaną ci kraju wydzierce...
Widzę go, kiedy ręką chwyta się za serce
I miota słowa pomsty usty spieczonemi,
Ściśniętą pięścią grożąc wrogom naszej ziemi.
— „Tam — mówił — łzy i boleść, tam krew i niedola,
Poniszczone zasiewy, wyplenione pola,
A ludność w ciągłej trwodze, dni licząc żebracze,
Coraz to nowe wrogom opłaca haracze..
Każdy się kryje w trwodze, że go zbóje schwycą.
Słychać tętent — to hułan przebiega ulicą
I zagląda przez okno w każde pomieszkanie,
Szukając, gdzie wygodniej na kwaterze stanie.
Toż dopiero dzień sądny wówczas się zaczyna!
Trzeba mu dawać chleba i mięsa i wina,
Bo on wszystko z kryjówki wydobędzie gracko —
I straszno, gdy śpiewając piosenkę żołdacką,
Przysiądzie się przybylec do rodzinnej ławy
I czyści sobie pałasz krwią francuską rdzawy...“
Smutno, smutno roztaczał swe prostacze żale!
Ów biedak, który liter nawet nie znał wcale,
Był wymowny — tryskały mu z oczu promienie...
Bo przez to gorączkowe on widział marzenie,
Jak w chacie przed posążkiem małego kaprala
Grono opasłych Niemców z męstwa się przechwala,
I pobrzękując chrzęstem złowieszczym pałaszy,
Urąga się zwycięstwom wielkiej armii naszéj.
Przed nimi postać starca wiekiem pochylona...
To dziadek — stary jeszcze żołnierz Napoleona;
Twarz jego trupio blada, z oczu łzy mu płyną
I drżącemi rękami rozlewa im wino...
O! wspomnienie tych srogich konania katuszy
Nigdy jeszcze tak strasznie nie drgało w mej duszy!
Tak; ten człowiek miał słuszność... w tej złowieszczej dobie
On mówił prawdę — tak jest — bo pomyśleć sobie,

Że oni tam są jeszcze i zostaną póty,
Aż póki kraj nie spłaci swej złotej pokuty!...
Złota! trzeba go tyle!...
(Podnosi oczy do zwierciadła i mówi ze zdziwieniem):
Jakżem dzisiaj strojna!...
A! prawda, zapomniałam, skończyła się wojna,
Dziś bal... (z goryczą)
Bal! trzeba przecie użyć nam pokoju.
A może gdy ja właśnie w tym kosztownym stroju,
Ściskając świeży bukiet w wypieszczonej dłoni,
Zasiądę wśród jedwabiów, koronek i woni
W salonie, kędy światła jasną płyną rzeką —
Może właśnie w tej chwili — ot tam, gdzieś daleko,
Patrol pruskich hułanów na wieczornych czatach
Zagląda, czy się światło nie pali po chatach,
I dzikim chrzęstem szabli biednym przypomina,
Że jeszcze wyzwolenia nie przyszła godzina.
Zostanę... — Ale czyż to już ostatnie słowo?
Czyliż tę słabość moją sądzę zbyt surowo?
O, nie!... owo wspomnienie zmarłego złowieszcze
Pyta: czy pozostali Niemcy w Francyi jeszcze?
Ten żołnierz, rany swoje rozdzierając krwawe,
Chce wiedzieć, czy Francuzka, jadąc na zabawę,
Wypełniła dla kraju obowiązek święty?
Chce wiedzieć, jak to złoto, perły, dyamenty
Mogą się godzić z skrzepłą bratniej krwi kałużą,
Co one robią na niej i do czego służą?
Tak... to głos obowiązku... tak... to głos sumienia...
(Zdejmuje klejnoty i kładzie je do pudełka).
A więc znów do waszego powróćcie schronienia,
Z wami razem i boleść tajoną ugaszę...
Białe perły, osuszcie łzy siostrzyne wasze;
Wy, tęczowe opale, ogniste beryle,
Skróćcie oczekiwania czas chociaż na chwilę!
Do czegoż służyć może ta obrączka złota?
Ten topaz, co słoneczne blaski z siebie miota,
Może pocieszyć serce, co zdawna zbolało;
A ten dyament — to okup jest za wioskę całą...
Tak, to są rady mego dobrego anioła...
A teraz pójdę na bal wolna i wesoła.
Tak jak Francya i ja dziś strój przywdziewam wdowi.
Jak ona własnym wdziękiem pragnę być bogatą.
A gdy kto mnie zapyta, odpowiem mu na to:
„Kraj żądał złota — złoto oddałam krajowi!“

*(Wacław Szymanowski).*

Przekłady utworów Coppée'go są następne: „Przechodzień“ tłóm. K. Kaszewski, Warszawa, 1869; „Dwie boleści“ tłóm. F. Szober, tamże 1876, „Ewa“, „Sennacheryb“,

„Dwa grobowce“, „Głowa sułtanki“, „Jesień“, „Bezrobocie kowali“, „Klejnoty wyzwolenia“, tłóm. W. Szymanowski (w „Poezyach i dramatach“, Warszawa, 1884); „Romans Joanny“ tłóm. S. M. Rzętkowski w „Życiu“ 1787, „Ojcze nasz“ tłóm. Wł. Zagórski (w „Poezyach“ Warszawa. 1894).

## XXXI. Edmund Haraucourt.

**Z cyklu „Naga dusza“.**

### 1. Stary Chrystus.

W dali, pod stromych urwisk głębokiemi mury
Krzyk dzikich kaczek niosąc, wiatr wieczorny wieje;
Na płowym brzegu drzemią gliniaste koleje,
Zachód gdzieniegdzie na nie rzuca szmat purpury.
Sam, pod niebem pobladłem, kędy zimne chmury
Wloką nudnie posępne opon swych zawieje,
W rzadkiej trawie, o mszystych skał wsparty wierzeje,
Wychudły Chrystus ręce wyciąga do góry.
Popękany krzyż jego wrósł w szczelinę wzgórza;
A on, chyląc znużone modlitwami skronie,
Jakby chciał znaleźć druha, w ciche patrzy tonie:
Lecz fala, w której tajniach wzrok jego się nurza,
Odbija tylko jego twarz wyschłą, mizerną,
A na niej boleść duchów samotnych niezmierną.

*(Miriam).*

### 2. Nad kołyską.

O, dziecię, co różane wychylasz rączyny,
Jak dwa zimowe kwiaty na powicia śnieżne,
Istoto, co się śmiejesz, płaczesz bez przyczyny,
Nie wiesz jeszcze, jak życie cierpieniem bezbrzeżne.

O, bolesne i długie jest życie człowiecze,
A od jutra sam pójdziesz w świat, gdy zalśni zorza,
By przed wieczorem rzekę przepłynąć, co ciecze
Od fałdów twej kołyski do grobu rozdroża.

Wstań! dzień nadszedł. Przed tobą droga leży długa —
W oddali skrzy się żarem złoty promień słońca.
Idź, godzina wybiła. Ot miecz i kolczuga,
A pomnij bez upadku, z mocą iść do końca.

Kłamne cnoty, bezprawne prawa i te brudne
Zwyczaje — niech twe serce precz z swych żył wygrzebie.
Prawdy patrz tam, gdzie milczą kodeksy obłudne,
Wierz w Boga, jeśli możesz; jeśliś wart, wierz w siebie.

Kochaj morze, wieczystą, wielką łez potęgę,
Co zawodne pragnienia i tęsknoty goi.
Natura błogosławi tym, którzy jej księgę
Czytają. W ciszy lasów burza serc się koi.

Bój się ludzi, czcij duszę swą i gardź potwarzą;
Bądź pokorny przed sobą, dumny wobec świata;
Dobra czy zła — broń wiary; druhów — gdy się zdarzą;
Przebacz winy zbrodniarzom i szanuj waryata.

Pozwól każdemu działać według sił pragnienia,
A nie krwaw nigdy dłoni swej w ginących ciele,
Bo wszyscy są ci równi w prawie do istnienia,
A wśród zhańbionych często dzielnych duchów wiele.

Bądź wierny swoim słowom — cierpiącym pobłażaj —
Śmiej się niedużo, bądź na nienawiść za dumny;
Lecz strzeż się: nigdy sądów swoich nie wyrażaj,
Bo niemasz nic pewnego, prócz pewności trumny.

*(Antoni Lange).*

---

## XXXII. Józef Maria de Heredia.

### 1. Antoniusz i Kleopatra.

Oboje spoglądali z tarasu wyżyny
Na Egipt w śnie tonący, w noc duszną i parną,
I na rzekę, co deltę przecinając czarną,
Ku Bubastis lub Sais toczy swe głębiny.
I Rzymianin, wódz — więzień, piastun snów dzieciny
Czuł pod stalną zbroicą bojami ciężarną,
Jak na pierś mu zwycięską, mdlejąc, gną się, garną
Leżące mu w uścisku gibkich członków trzciny.
Zwracając blade lice z ciemnych włosów toni
Ku pijanemu tchnieniem nieodpartych woni,
Podawała mu usta i ócz jasność złotą;
A pochylony nad nią imperator w szale
Ujrzał w wielkich źrenicach, gdzie lśnią gwiazd opale,
Całe morze olbrzymie z pierzchającą flotą.

### 2. Zapomnienie.

Świątynia w gruzach leży na przylądka czole,
Śmierć pomieszała tutaj, w płowej brzegu glinie,
Bohaterów ze śpiżu, z marmuru boginie,
Gąszcz traw samotnych kryje sławną ongi dolę.

Niekiedy jeno, stado wiodąc pić bawole
I pełniąc spokój niebios i dal mórz w głębinie
Dźwiękiem muszli, skąd echo starożytne płynie,
Czarno mignie w lazurze pasterskie pacholę.
Ziemia — matka, i stare tkliwie pieszcząc bogi
Rozzielenia co wiosnę, z daremną wymową,
Nowy akant nad prysłą kapitelu głową;
Ale człowiek, oziębły na sen przodków błogi,
Nie drgnie, słysząc w pogodnych nocy majestacie
Płacz morza, co się żali po syren swych stracie.

### 3. Na posąg strzaskany.

Mchy zbożne oczy wreszcie przymknęły mu smętne;
Bo w tej puszczy zapadłej szukałby napróżno
Dziew, co z mlek, win ofiarę lały ongi dłużną
Na ziemię, której znaczył granice pamiętne.
Dziś chmielów, bluszczów, kalin gałęzie pokrętne
Gęstwą złomek ów boski oplatają drużną;
Nie wiedząc, Pan, czy Faun to, z ochotą usłużną
W rogi skroń potrzaskaną stroją mu odświętne.
Patrz. Skośny promień słońca, pieszcząc go łagodnie,
W twarz spłaszczoną ócz złote wstawił mu pochodnie,
Dzikie wino się śmieje krasą ust czerwoną:
I — czarodziejstwo ruchu! — szmer wiatru, dreszcz liści,
Cienie błędne, skry słońca, co drgają i płoną;
Wszystko — Boga żywego w złomie głazu iści.

*(Miriam).*

---

## XXXIII. Stefan Mallarmé.

### Kwiaty.

Ze złoto-śnieżnych chmur, któremi w pierwszy dzień
Stworzenia lazur lśnił, i z bieli gwiazd wieczyste
Utkałeś, Boże mój, kielichy wonnych tchnień
Dla nieznającej klęsk ziemi dziewiczo-czystej.

Kosaćce żółte niw z łabędzich wdziękiem szyj
I boski wawrzyn ów przez świat wygnanych duchów,
Różany jako dłoń serafa w bieli swéj,
Gdy ją zrumieni blask porannych złotych puchów.

Hiacynty słodkich barw, śnieżysty mirtu czar
I różę, równą płci kobiecych ciał przezroczéj
Tę Herodyadę — kwiat, lejącą w ogród żar,
Którą codziennie krew promieniejąca broczy!

Tyś stworzył lilii biel, łkań pełną, smutku, łez,
Która kołysząc się na smętnem westchnień morzu,
Przez lazurowe mgły, nad widnokręgów kres
Ku księżycowi mknie, co roni łzy w przestworzu.

Hozanna! Ojcze nasz, z kadzielnic, z dźwięków lir
Za cudny ogród ten na naszych nędz padole!
Hozanna! — echem brzmi mistyczny nocy kir,
Namiętny zachwyt ócz i światłość w nimbów kole!

Lecz, Ojcze, większy dźwięk, żeś twórczym swoim tchem
Dał ziemi kielich ów czarodziejskiego kwiatu,
Co balsamiczną woń ukrywa w łonie swem
Dla wieszczów, których już znużyło służyć światu.

(*Miriam*).

## XXXIV. Paweł Verlaine.

### Psalm (Z „Sagesse“).

Tyś mię, o Panie, ranił swą miłością,
I dotąd jeszcze rana ma się krwawi —
Tyś mię, o Panie, ranił swą miłością!

O Panie, bojaźń twa mię uderzyła
I dotąd jeszcze ogień jej mię pali,
O Panie, bojaźń twa mię uderzyła...

Roztop mą duszę w falach twego wina,
Zlej moje życie w chlebie twego stołu,
Roztop mą duszę w falach twego wina!

Oto krew moja, której nie wylałem,
Oto me ciało niegodne boleści,
Oto krew moja, której nie wylałem!

Oto me czoło od wstydu czerwone,
Na ubóstwionych twoich nóg podnóże,
Oto me czoło od wstydu czerwone....

Oto me dłonie, co nie pracowały
Na wonną mirrę, na gorący węgiel,
Oto me dłonie, co nie pracowały!

Oto me serce, co napróżno biło,
Aby u cierni boleć kalwaryjskich,
Oto me serce, co napróżno biło!

Oto me stopy, zbłąkane wędrowce,
Co na wezwanie łaski twojej śpieszą,
Oto me stopy, zbłąkane wędrowce!

O Boże grozy, o świętości Boże,
Biada! tę czarną otchłań mojej zbrodni,
O Boże grozy, o świętości Boże!

Boże pokoju, szczęścia i wesela,
Wszystką mą bojaźń, niewiadomość wszystką,
Boże pokoju, szczęścia i wesela!

Wszystko to, wszystko znasz ty, Panie Boże,
I żem ze wszystkich ludzi najbiedniejszy,
Wszystko to, wszystko znasz ty, Panie Boże....

Lecz to, co mam, o Panie, to ci daję...

*(A. Lange).*

---

## B) Poeci prowansalscy.

## 1. Jakób Jasmin.

### Ślepa dziewczyna.

Piękna Małgosia, córka starego żołnierza z Castel-Cuillé, zaręczona z dorodn. Baptystą, traci wzrok wskutek choroby. Baptysta na żądanie ojca opuszcza na rok wieś rodzinną, a po powrocie zamiast pośpieszyć do Małgosi, która z utęsknieniem oczekuje powrotu kochanka, zaręcza się z urodziwą Anielą. Dowiaduje się o tem zdradzona dopiero w wilią ślubu, który ma się odbyć w poblizkim kościółku; zrozpaczona, nazajutrz z ukrytym sztyletem w ręce, każe się małemu braciszkowi zaprowadzić do świątyni Pańskiej...

Nareszcie dzwony
Głośnemi tony
Dzwonią do ślubu na wszystkie strony...
Dźwięk się po dołach echem rozcieka;
A dzień już pełny to słońcem błyśnie,
To lunie deszczem, wiatrem poświśnie...
Już ślubny orszak przyjścia nie zwleka,
A za nim całe sioło się ciśnie.
Iście, nikt zdradą szczęścia nie skorzysta...
Patrzcie, w dzień ślubu jak smutny Baptysta!...
Aniela o swym pięknym krzyżu marzy:
Być panną młodą to szczęścia świat cały!
Serce jej rośnie, gdy tłum o niej gwarzy
I szepcząc, wdzięków jej sypie pochwały:
„O! jaka piękna! Jak jej w tem do twarzy!“

Lecz płochą główkę przecie raz ukoi,
Bo już mszy świętej obrzędy skończono,
Kapłan u ołtarza stoi,
Obrączkę świętym błogosławi znakiem:
Baptysta przyjął pobłogosławioną, —
Nim ją na palec wsunie pannie młodéj,
Choć jedno słówko musi wyrzec wprzódy...
Już wyrzeczone...
Za ślubnym orszakiem
„To on!“ znajomy głos nagle wykrzyka!
Gdy oddech tłumi weselna drużyna,
Konfesyonał się odmyka,
Wypada ślepa dziewczyna:
„Baptysto! rzekła, gdyś mej śmierci chciał,
Z krwi mej święconą wodę będziesz miał!“
I już spokojnie w górę wznosi nóż,
Ale w tej chwili snadź że Anioł Stróż
Jej nie opuścił!
Bo ból tak dobrze dzieła dokonywa,
Że nim jeszcze cios śmiertelny spuścił,
Padła nieżywa.
Wieczorem zamiast weselnych pieśni
Śpiew *de profundis* brzmi na obszary:
Proste kwiatami ubrane mary
Niosą na cmentarz, w grobowe cieśni,
Wiejskie dziewczęta w śnieżnych sukienkach —
Idą i płaczą, twarz tuląc w rękach.
Nikt w tym dniu nie miał pogodnej twarzy,
Niby w tych słowach każdy się skarży:
„Hej! drogi dziś z żalu niech staną się puszczą!
„Tak piękne dziś zwłoki swój domek opuszczą!
„I płaczem żałoby niech luną obłoki!
„Tak piękne dziś tędy przesuną się zwłoki!

*(A. Pajgert).*

»Ślepą dziewczynę« przetłómaczył Adam Pajgert w »Przekładach poetów obcych« (Lwów, 1876).

## II. Józef Roumanille (Roumaniho).

### Królewicz i pasterka.

Z pałaców swych zstąpiwszy raz —
A był to maj, cudo pogody —
Królewicz dróżką zaszedł w las,
Gdy wtem usłyszał nie ptasząt śpiew
Pośród drzew,
Śpiew pastereczki młodéj.

Tak oczarował go śpiew ony,
Że już miłością ogarniony
Rzekł: pastereczko moja mała,
Gdybyś do zamku ze mną chciała!
Co każesz, zrobię,
Uzłocę los,

Lecz muszę, muszę mieć przy sobie,
Dzień i noc słyszeć twój luby głos.

Ot, jeśli każesz, to ci się sam
Za męża dam.
Będziesz królową, wyprawim gody,
Koroną błyśniesz na głowie młodéj;
Maleńkie ręce
Skuję w pierścieńce
I będą lśnić tak brylantowo,
Jak świętojanki w noc czerwcową
Lśnią przez ogrody.

— I tak się stało: na drugie rano
Pasterce miejsce w pałacu dano;
W królewskie szaty pięknie przybrano.

Pasterką ową kto? — Muza nasza,
Której dziś tak się lubi śpiewanie,
Że ją królewicz na tron zaprasza.
Kto królewiczem?... Pono wy, panie.

(*Edw. Porębowicz*).

## III. Teodor Aubanel.

### Z „La Miougrano“ (Otwarty granat).

Powiedz mojej złotéj
Że ginę z tęsknoty.
(*Gauc. Faidit*).

Gdyby me serce skrzydła miało,
Na twoje ramię, szyję białą,
Jak ogień spadłszy żywy,
Do ucha tobie, o dziewczyno,
Dziwyby powiadało ino,
Miłości cudne dziwy.

Gdyby me serce skrzydła miało,
Twoichby bladych ust szukało
Z tęsknoty szalejące;
Pocałunkami i szczebiotem
Pieściło, ażby zmilkło potem
Na bladych ustach śpiące.

Ach! moje serce skrzydeł niéma,
Lodem je mrozi wieczna zima;
Wszak ty popieścisz czuléj?...
Weź je, weź w dłonie twe różane:
Patrz, jako jagnię rozpłakane,
Me serce w nich się tuli.

(*E. Porębowicz*).

## IV. Fryderyk Mistral.

### 1. Hrabianka (w skróceniu).

Znałem ja hrabiankę w świecie,
Z pod królewskich wyszła hal,
Czarodziejskie, dumne dziecię,
Wysławiane wszerz i wdal;
Dziś jej modrych oczu kwiecie
Zwarzył smutek, — patrzeć żal!
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!

Miała sto obronnych grodów,
A z dwudziestu portów w świat
Słała owoc swych ogrodów;
Przed oknami oliw sad
Wiał jej wachlarzami chłodów,
Dań zapachów składał kwiat.
Gdyby słuchać mię umieli,
Gdyby za mną chodzić chcieli!

Życie jej płynęło wśród dostatków, wesela i poezyi; dziś ona smutna, zapomniana.

Bo zła siostra[1]) dla zaboru
Ojcowizny na swą właść,
Zamknęła ją do klasztoru,
Gdzie jej tylko kiry kłaść,
Gdzie w czarnego murach dworu
Przyjdzie jej z tęsknicy paść.
Gdyby słuchać mię umieli i t. d.

Złoty kłosie ty pszeniczny,
Zakrzywionych strzeż się kos!
Pięknej dziewce kanoniczny
Do obłóczyn śpiewa głos
I nożyce z głowy ślicznéj
Ucinają jasny włos.
Gdyby słuchać mię umieli i t. d.

A zła siostra, co dziedziny
Zagarnęła jej i tron,
Potrzaskała tamburyny
W złości na ich dźwięczny ton
I otrzęsła z grusz drzewiny,
Z jagód krzew, winnicę z gron.

Rozgłosiła wreszcie, że umarła; śpiewacy jej zamilkli, oczy jej tylko pozostały, żeby płakać. Następuje wezwanie poety:

Ci, co noszą serce w łonie,
Co hrabiankę znali wprzód;
Ci, co z chaty po wygonie
Mistralowy[2]) słyszą chód;
Co dla czci wznieść radzi bronie
I ci, którzy wodzą lud...
Gdyby słuchać mię umieli i t. d.

Krzycząc: „Z drogi, ciemne chmary!“
Zapleceni z druhem druh,
Cała rzesza dzielnej wiary
Szlibyśmy, jak burzy duch,
I rozwitemi w lot sztandary,
Czarny klasztor rozbić w puch.
Gdyby słuchać mię umieli i t. d.

*(E. Porębowicz).*

## 2. Na cześć Jasmina[3]).

Wielka uderza dla nas godzina,
Tryumfem naszym tryumf Jasmina!
W imię oraczy, co wiodą pług
Po naszej starej prowanckiej ziemi
I przyśpiewują dźwięki swojskiemi,
Trubadurowi niech spłacę dług.
Witajcie najprzód, bracia Gaskony!
Z wyciągniętemi ku wam ramiony
Od wód Rodanu przychodzi brat!
Próżno w was biła powódź szalona,
Tchnieniem waszego wykarmion łona,
Mowy ojczystej nie uwiądł kwiat!
Dziękiż ci, dzięki, waleczne plemię!
Gdy nam posucha paliła ziemię,
„Ratujcie! krzyczym, dopóki czas!“
I oto pieśni strumień uroczy
Od waszych krynic ku nam się toczy,
Blaskiem słonecznym oświeca nas.

Pieśń Jasminowa prosta i szczera
Łzy nam wyciska, serca otwiera,
Karmi nas, pieści!.. Skądże ten cud?
Bo jak on Pindar, Tebańczyk boski,
Jasmin opiewał rodzinne wioski,
Swe góry, rzeki, swój kraj, swój lud!
Gdy szkolny pedant rzecze doń sucho[4]):
Twój gwar gaskoński razi nam ucho,
Poeto, nowych poszukaj dróg!“
„Nigdy, ach nigdy! śpiewak zawoła,
Strzedz mi dzwonnicy mego kościoła,
Tu mię na czatach postawił Bóg!“
Jak stary pątnik rozdaje słodko
Ziarna różańca, zwrotkę za zwrotką
Rzuca dla braci: słucha go tłum
I swobodniejszą piersią oddycha
I pije chwałę z jego kielicha,
Karmi się dźwiękiem rodzimych dum.

---

[1]) Hrabianka uosabia Prowancyę, a zła siostra Francyę.
[2]) Mistral — chłodny wiatr północny.
[3]) Wiersz ten został wygłoszony przez Mistrala podczas uroczystego odsłonięcia pomnika Jasmina w rodzinnem jego mieście Agen (w Gaskonii) 1870 r.
[4]) Pierwsze próbki odrodzenia poezyi prowansalskiej w XIX wieku krytyka francuska przyjęła niechętnie i radziła jej przedstawicielom posługiwać się językiem francuskim.

Z tych pirenejskich oto krawędzi,
Gdzie wzrok dosięże, gdzie myśl popędzi,
Mrowisko ludu nadciąga w krąg;
Chwałą śpiewaka naród dziś dumny,
Wnet u spiżowej onej kolumny
Sypną się wieńce z tysiąca rąk!

Słuszne te hołdy, te wieńce chwały,
Przez ciebie język nasz zmartwychwstały
Błyszczy z wiekowych otarty skaz;
W takt mu Atlantyk wtórzy wspaniale
I wód śródziemnych wtórzą mu fale:
Wielki Jasminie! tyś pomścił nas!

(*S. Duchińska*).

## 3. Wodociąg w Arles.

W Arlezyi przed laty
Żyła cudna królewna,
Kwiat uroczy nad kwiaty,
Jak lilijka powiewna.

Cesarz rzymski rzekł do niéj:
„Patrz, ja cierpię i płaczę!
Weź koronę z mej dłoni!“
Na to ona: „Zobaczę“.

„O gwiazdeczko ty biała!
Duszę oddam ci własną
Za ten płomień, co pała
Z twego czoła tak jasno!

Rozkaż, wszystko uczynię,
Dam, co człowiek dać może;
Gdy nadzieja mnie minie,
Chyba w grób się położę!“

„Zadość tobie niech będzie,
Dam ci rękę z tym krajem;
Lecz miej, panie na względzie,
O co proszę nawzajem.

Przez opoki Trebonu
Przez Kraony pustynie
Niech do mego tu tronu
Zdrój Wokluzy dopłynie“.

Rzymski cesarz rad w duszy,
Nie żałować mu trudu;
Sam w te pędy wyruszy,
Sto tysięcy gna ludu.

Jedni schwycą łopaty,
Drudzy dalej do młota;
Pan nie szczędzi zapłaty:
Żwawo idzie robota.

Dnie i noce w niej płyną,
Mozół ludzki wytrwały
Równa góry z doliną,
Zmiata z drogi zawały.

Łamie twarde opoki,
Suszy stęchłe bagniska;
Gdzie las szumiał głęboki,
Już słoneczko połyska.

Przez zielone Alpille,
Przysłonięte mgłą ciemną
Rów przekopan; za chwilę
Już nim wody popłyną.

Nie żal srebra ni złota,
Ni mozołu ni trudów;
Dokonana robota:
Oj! będzież-to cud cudów!

Otóż w jasny poranek
W arlezyjskie tam mury
Przez królewny krużganek
Zdrój potoczy się z góry.

Lud wesoło przypada,
Chmarą pędzi tak liczną;
Niby owiec gromada
Pije wodę kryniczną.

Cesarz głowę pokłoni
Przed królewną swą piękną:
„Bądźże moją! rzekł do niéj,
Zwarte rygle niech pękną!

O! gwiazdeczko ty biała!
Rozsiej blaski urocze;
Gdy Wokluza zbyt mała,
Wnet Erydan przytoczę“.

„Nie dla ciebie te gody,
Rzecze piękna z krużganku;
Arlezyjczyk tu młody
Wodę nosi mi w dzbanku.

„Ja orzeźwiam nią lica,
Nią w pragnieniu się poję;
Milsza własna krynica,
Niżli obce twe zdroje!“

Umarł cesarz, pan świata,
Wyschły wody Wokluzy;
Wiotki powój oplata
Wodospadu dziś gruzy.

Zmienne serce kobiety,
Strzeż się pięknych uroku,
Bo ich miłość, niestety!
Przetrwa ledwie do roku.

(*S. Duchińska*).

## 4. Dobosz z pod Arcole[1]).

Drobny ten poemacik składa się z trzech części. W części pierwszej »Prologu« zawiera się wezwanie do jedności dla wyparcia za Ren napastniczych Niemców. Część druga »Bitwa« opiewa młodego dobosza z Prowancyi, którego męstwu zawdzięczał Napoleon zdobycie mostu pod Arcole i zwycięstwo nad Austryakami. Pierwsze ataki nie udają się.

Lecz wódz serce ma zażarte,
W dzielnym ręku błyska szpada;
„Naprzód! — woła Bonaparte —
Most nam szturmem wziąć wypada!

Za mną wierne grenadyery!“
Cóż to... niktże się nie ruszy?
Widać postrach z bladej cery,
Skra zapału zgasła w duszy!

Biedna Francyo! twymże synom
Wobec wroga zbiedz przed bojem?
Nie zakwitnąć-że wawrzynom
Na steranem czole twojem?

Patrzmy... dobosz!.. biedne chłopię!
Ciężki bęben czyż dotrzyma?
Czy przez ciżbę się przekopie?
Wodza ściga wciąż oczyma.

Duch w nim dzielny, acz mdłe ciało,
Drze się naprzód... daléj!.. daléj!..
Dopadł wodza, stanie śmiało,
Pałeczkami w bęben wali.

Młode pisklę, puch na twarzy,
Słabe, wątłe to nieboże;
Ale bęben straszno gwarzy
O wolności, o honorze!

Gwarzy bęben szałem wściekły,
Ogień pryska w każdem słowie;
Brzmi o bojach, o krwi ściekłéj,
Powstał wszystkim włos na głowie.

I tchórzliwe te młodziany,
Co żaliły się z przekąsem,
I zalękłe weterany,
Co mamroczą coś pod wąsem, —

Kiedy bęben brzmi do szarży,
Nagle płomień z lic im bucha;
Głos się żaden nie poskarży:
Pędzą, istna zawierucha.

A na moście z obu brzegów
W rząd ogniste biją działa;
O! nie wstrzymać tych szeregów:
Wali hurmem ciżba cała!

We krwi pada trup za trupem,
Wrzawa, zamęt, wir szalony;
Poza grubym dymu słupem
Śmierć obfite kosi plony.

Marsylianka brzmi rozgłośnie,
Dobosz w bęben wali z siłą;
A walecznym serce rośnie:
Dzielne wojsko most zdobyło.

Część trzecia »Panteon« przedstawia dobosza już starcem zniedołężniałym i opuszczonym, błądzącym po ulicach Paryża i rozpamiętywającym głośne czyny lat młodych.

---

[1]) Wieś we Włoszech północnych, pamiętna zwycięstwem Napoleona nad Austryakami w roku 1796.

Dobosz utonął w przeszłości cały,
Liczy sokole one pisklęta,
Co je popędził do szczytu chwały;
On po imieniu wszystkich pamięta.
Był tam Massena, mąż niezwalczony,
I Lannes, Gaskończyk od wód
[Garony!
Był Jan Bernadotte, co zwalczać
Siłą ramienia losy uparte; [umie
Był tam król Murat, co wyrósł w tłumie,
Był olbrzym wieków, był Bonaparte!
A biedny dobosz?... starość go gniecie;
Umrze doboszem!... tak to na świecie!
Cóż mu przypadło? na ciele rany
I głębsza rana pod sercem na dnie;
I cóż go czeka? grób zapomniany!
Łza nań gorąca nigdy nie spadnie!
Chwała — sen marny... czcza bańka
[z mydła,
A po niej męty, piana obrzydła!...

I łza na zwiędłe upadła lice,
Z dręczącą myślą starzec się biedzi;
Pomija kręte miasta ulice,
Nie słyszy nawet gwaru gawiedzi:
Z duszą zbolałą, z czołem schylonem
Stanął kaleka przed Panteonem...
I widzi żołnierz na tle błękitu
Kształty kopuły odbite jasno.
Cóż to? wśród mężów, kutych
[z granitu,
Kogo zobaczył?... postać swą własną!
Pod okiem wodza, z dumą na czole,
W bęben do szarży bije pacholę!
Pijany szałem, widzi tam w górze
Siebie w słonecznym blasku promieni;
Wyżej nad gromy, wyżej nad burze!
Oblicze starca nagle się mieni,
Na wątłe siły zbyt ciężkie brzemię:
Martwy bohater upadł na ziemię!

*S. Duchińska.*

## C) Poeci belgijscy.

# I. Maurycy Maeterlinck.

### 1. Roślinność serca.

Pod kryształowym modrym dzwonem
Mej melancholii i znużenia
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sercu mem znieruchomionem.

Symbolów samych to roślinność,
Rozkoszy smętne nenufary,
Palmy, żądz moich blade mary,
Mchów chłód, omdlała lian bezczynność.

I tylko lilia wznosi w górę,
Blada, surowa, wątła, cicha,
Nieruchomego kształt kielicha
Ponad rośliny te ponure.

A w blaskach, które wokół sieje,
Jak miesiąc pełny, — ku kryształom
Błękitnym, marą lekką, białą,
Mistyczna jej modlitwa wieje.

*(Miriam).*

### 2. Gość nieproszony.

Rzecz dzieje się wśród rodziny. Matka nie ukazująca się na scenie leży chora; dziecię wątłe zachowuje się spokojnie, ani razu od urodzenia nie krzyknęło. Chorej obiecał lekarz polepszenie; ale dziadek (to jest ojciec chorej) ociemniały, doznaje nieokreślonych trwożnych przeczuć, któremi niepokoi swe otoczenie: ojca, wuja i trzy niezamężne córki. Obecni rozsądnemi uwagami napróżno starają się zażegnać trwogę; każdy szelest, każdy szmer, głośna rozmowa czy milczenie, budzi w dziadku nowe dreszcze jakiegoś przygnębiającego oczekiwania. Oto scena końcowa.

*Dziadek.* Tak dawno już nie widziałem mej córki!... Wziąłem ją za ręce wczoraj wieczór — i nie widziałem jej!... Nie wiem już, co się z nią dzieje... Nie wiem już, jak ona wygląda... Nie znam już jej twarzy.. Musiała się już zmienić w ciągu ostatnich tygodni?... Czułem pod rękami drobniutkie kostki jej policzków... Ciemności już tylko między nią i mną, mną i wami wszystkimi!... To już nie jest życie.. to nie życie — takie istnienie!... Stoicie tu przedemną wszyscy, z oczyma otwartemi, patrząc na me oczy zamarłe, i żadne z was nie ma litości!... Nie wiem, co mi jest... nie mówi się nigdy tego, coby należało powiedzieć... a gdy się rozmyśla, wszystko jest przerażającem... Ale dlaczego teraz mów nie mówicie?

*Wuj.* Cóż ojciec chce, abyśmy mówili, skoro ojciec nie chce nam wierzyć?

*Dziadek.* Boicie się, żeby się nie zdradzić!

*Ojciec.* Ależ niech ojciec raz wreszcie będzie rozsądnym!

*Dziadek.* Oddawna już wszyscy kryją tu coś przedemną!... Coś zaszło tutaj w domu... Ale zaczynam pojmować teraz... Zbyt długo mię oszukiwano! Więc wy myślicie, że nigdy niczego się nie dowiem? Są chwile, w których jestem mniej ślepym od was, rozumiecie?... Czyliż od tylu, tylu dni nie słyszę ciągłych waszych szeptów, jakgdybyście się znajdowali w domu powieszonego? Nie śmiem powiedzieć tego, co wiem, dziś wieczór... Ale ja dowiem się prawdy!... Będę czekał, aż mi powiecie prawdę; ale oddawna już znam ją, pomimo ukrywań waszych! I teraz czuję, że wszyscy jesteście bledsi od umarłych.

*Trzy córki.* Dziadziu! dziadziu! Co ci jest, dziadziu?

*Dziadek.* Nie o was mówię, moje córki, nie, nie o was to mówię... Wiem dobrze, iż wy powiedziałybyście mi prawdę, gdyby ich nie było koło was!... A zresztą, jestem pewny, że oni i was także zwodzą... Zobaczycie, moje córki, zobaczycie!... Czyliż nie słyszę, jak wszystkie trzy szlochacie?

*Wuj.* Ja nie zostanę tutaj.

*Ojciec.* Czyżby, istotnie, żona moja tak źle się miała?..

*Dziadek.* Nie próbujcie mię dłużej oszukiwać; zapóźno teraz; wiem prawdę lepiej, niż wy!...

*Wuj.* Ależ, nareszcie, i my przecież nie jesteśmy ślepi!

*Ojciec.* Czy ojciec chce wejść do pokoju swej córki? Zachodzi tu jakieś nieporozumienie, jakaś omyłka, której wreszcie kres położyć należy. Chce ojciec?

*Dziadek.* Nie, nie; nie teraz... nie jeszcze..

*Wuj.* Widzi ojciec zatem, że ojciec jest nierozsądny.

*Dziadek.* Nie można wiedzieć nigdy wszystkiego, czego człowiek nie zdołał wypowiedzieć w ciągu życia!.. Któż to robi ten szmer?

*Najmłodsza córka.* To lampa drga tak, dziadziu.

*Dziadek.* Zdaje mi się, że jest bardzo niespokojna... bardzo niespokojna...

*Córka.* To przebieg zimna tak jej dokucza... to przebieg zimna tak jej dokucza...

*Wuj.* Niema przeciągu zimna, okna są zamknięte.

*Córka.* Myślę, że zgaśnie.

*Ojciec.* Nie ma już oliwy.

Istotnie lampa gaśnie, nie przynoszą nowej, powiadając, że lubią rozmawiać w ciemności; ale rozmowa się nie wiąże, często zapada przykre milczenie. Dziadek niepokoi się, prosi o otwarcie okna; na dworze panuje cisza najzupełniejsza. Wtem posłyszał jakiś szmer.

*Dziadek.* Co to słychać, Urszulo?

*Córka.* Nic, dziadziu, to liście spadające; — tak, to liście spadające na taras.

*Dziadek.* Zamknij okno, Urszulo.

*Córka.* Dobrze dziadziu. *(Zamyka okno).*

*Dziadek.* Zimno mi. *(Milczenie. Trzy siostry całują się).* Cóż to słychać teraz?

*Ojciec.* To trzy siostry całują się.

*Wuj.* Zdaje mi się, że wszystkie trzy są bardzo blade dziś wieczór. *(Milczenie).*

*Dziadek.* Cóż to słyszę teraz, Urszulo?

*Córka.* Nic, dziadziu; to ja splotłam ręce. *(Milczenie).*

*Dziadek.* Cóż to słyszę, cóż to słyszę, Urszulo?

*Córka.* Nie wiem, dziadziu; może to moje siostry drżą nieco!

*Dziadek.* Boję się, moje córki.

(Promień księżyca wpada ukośnie przez kolorowe szyby i rozsiewa tu i owdzie po pokoju przyćmione, dziwaczne blaski. Północ bije, a z ostatniem jej uderzeniem niektórym zdaje się, iż słychać jakiś niejasny szmer, jakby kogoś zrywającego się z krzesła z wielkim pośpiechem).

*Dziadek (wzdrygnąwszy się z niezwykłem przerażeniem).* Kto to wstał?

*Wuj.* Nikt nie wstał.

*Ojciec.* Ja nie wstałem.

*Trzy siostry.* I ja nie! — I ja nie! — I ja nie!

*Dziadek.* Ktoś wstał z za stoła!

*Wuj.* Zapalić światło!

(W tej chwili daje się słyszeć nagłe trwożne kwilenie z pokoju dziecięcia po prawej stronie; kwilenie to trwa dalej, przechodząc wszystkie stopnie przerażenia, aż do końca sceny).

*Ojciec.* Słyszycie! dziecko!

*Wuj.* Nie płakało nigdy!

*Ojciec.* Idźmy zobaczyć!

*Wuj.* Światła, światła!

(W tej chwili dają się słyszeć głuche, przyśpieszone kroki, jak gdyby kogoś biegnącego ku pokojowi ku lewej stronie. Potem — milczenie śmiertelne. Wszyscy nadsłuchują w niemem przerażeniu, aż wreszcie drzwi tego pokoju otwierają się zwolna;

światło z sąsiedniej komnaty wpada do sali, na progu zjawia się siostra miłosierdzia, w czarnej sukni i chyli się, robiąc znak krzyża, aby zwiastować śmierć chorej. Wszyscy pojmują i po chwili niepewności i przestrachu, wchodzą do pokoju pogrzebnego, podczas czego wuj usuwa się grzecznie u progu, aby zostawić przejście trzem dziewczętom. Ślepiec, zostawszy sam, podnosi się i niespokojnie porusza poomacku dokoła stołu w ciemnościach).

*Dziadek.* Dokąd idziecie? — Dokąd idziecie? — Zostawiły mię samego, samego, samego!

*(Miriam).*

Mamy w naszym języku »Wybór pism dramatycznych« M. Maeterlincka, przełożony i obszernym wstępem krytycznym poprzedzony przez Zenona Przesmyckiego (Miriama). Warszawa, 1894.

## II. Emil van Arenbergh.

### 1. Zawsze.

Podczas gdy ty, chwilowe zagoiwszy rany,
Wesoło pędzić będziesz dni jasne, łaskawsze,
Ja pójdę sam, unosząc w duszy skołatanéj
Pierwszej mojej miłości zwłoki coraz krwawsze.

Lecz jako ów rozbitek, miotan przez orkany,
Rzuca krzyk w niebo głuche, od gromów jaskrawsze,
Zanim zniknie w pomroce nocy niezbadanéj, —
Gdy ty mówisz mi: nigdy! jeszcze wołam: zawsze!

Ja tak kocham, i chociaż odchodzę bez żali,
Choć nic już z mego serca w twego nie drga fali,
Nie zgasi w mej świątyni ognia burza sroga:

Zwieje popiół, a płomień roznieci znów jasny!
— Ponieważ mi stworzyłaś duszę w duszy własnéj,
Usta nasze na ustach spotkają się Boga.

### 2. Sonet listopadowy.

Zmrok jesienny ma ciszę solenną kościoła;
Tuż pod księżycem, Wenus, we mgle kadzidelnéj,
Błyska, jak przed monstrancyą płomyk nieśmiertelny;
Coś wielkiego, słodkiego coś kona dokoła.

Drzewa, podobne mnichom u zwłok czuwającym,
Mrąc same, rzężą psalmy ledwie dosłyszalne;
Chude ich pnie się wznoszą, jak ręce błagalne,
Liście bez szmeru lecą, jak łzy, deszczem drżącym.

Podczas gdy z widnokręgu, szerząc swe zasłony,
Noc wstaje i otula bezgraniczе śpiące,
Niby całun trumienny, gwiazdami łzawiony,

Tam w dali, niebo, tracąc duszę swoją, słońce,
Jak trup świetlny, powoli zlewa się, rozkłada...
— I już nad barwnem ciałem krążą kruków stada.

### 3. Rozbitek.

Dziś, gdy, zdala od szczęsnych zatonąwszy lądów,
Jestem już tylko trupem, wleczonym przez fale,
Unoszę swe milczenie przez grzmiące ich żale,
Swój mir wieczny — śród wiecznych uraganu prądów.

Cóż z tego, że port żaden nie czeka mię w gości
Za raf murem, za gorzkiej bezdni tajemnicą!
Śmiech nicości wykrzywia martwe moje lico —
I wnet się już rozpłynę w mórz nieskończoności.

A podczas gdy nademną chmurne wód roztocze
Zwarły swych płynnych mroków zwoje nieprzezrocze,
— Tam w górze, na powierzchni, gdzie dnia blask się śmieje,

Korabie rącze biegną, skrzydlone w marzenia,
I, ku skarbom wybrzeży dążąc bez wytchnienia,
Pod wszystkiemi niebiosy ścigają nadzieję.

*Miriam.*

## V. RUMUNIA.

### I. Cezar Bolliac.

#### Pogrzeb żebraka.

Hej! z drogi, z drogi, tłumy! Tu pielgrzym się przybliża!
Nie słyszysz-że litanii, nie widzisz gromnic, krzyża?
Ubodzy trumnę niosą, pobitą z desek całą,
W tej trumnie łachmanami przykryte nędzne ciało.
Łez, ni współczucia wokół nie dojrzysz nawet chwilką,
Na klęczki, ludu, padaj — choć to był żebrak tylko!
Hej! z drogi wy, bogacze! To pielgrzym w grób swój kroczy!
Głód, nędza mu zawarła te ślepe jego oczy.
Na wieży dzwon wybija: „Kres życia osiągnięty!

„Cierpienie już skończone! On lekki, uśmiechnięty“
Czy króla czy żebraka, grób wszystkich nas pogodzi.
Więc cicho, wy w koronie! To żebrak tu przechodzi!
Hej! z drogi, z drogi, wielcy! — Pielgrzymie wloką kości
I jedno więcej życie już w urnie jest wieczności.
Robakom będzie strawą i rozkład go pochłonie,
Wszak los ten przeznaczony i tym, co są w koronie.
Kolejno śmierć bogatym czy biednym też urąga,
Ustąpić z drogi, dumni! — to żebrak tu przeciąga!
Hej! z drogi, z drogi, możni! Pielgrzym się wyprowadza
Na cichy łan do Boga, gdzie śmierci ciemna władza.
Pochylcie głowy! krzepcie na sądu dzień już ducha,
Bo wiekuisty sędzia i skarg żebraczych słucha.
Wstrzymajcie wasze drwiny — pokuta będzie sroga!
Hej! z drogi, władcy! Żebrak wstępuje już do Boga!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## II. Bazyli Alecsandri.

### Penesz Kurcsak.

Z Vaslui dziewięciu wyszło nas,
(Dziesiąty sierżant) w drogę;
Przy pożegnaniu nie drżał nikt,
Ni w sercu uczuł trwogę.
Jak sokół, który wzbija się
Nad skały hen! z pagórka,
My skrzydła mieliśmy u nóg,
Na czołach nieśli piórka.

Bo „dorobańcem“ każdy był
Z dawnych Rumunów duchem,
Sandały, kitle — to nasz strój,
Futrzana czapka z uchem.
„Indyków“ miano dał nam świat,
Bo niegdyś ludzie drwili!
Dziś ono chlubą — odkąd my
Z Bałkanów powrócili.

Latem porzucił każdy z nas
Swój dom, swój pług na roli,
Od Turków jarzma bronić szedł
Ten drogi kraj w niewoli.
Tak Matruguna sierżant rzekł,
Prostemi uczył słowy.
A my, gdzie tylko każe Bóg,
Iść każdy był gotowy.

Widziano nas, gdy pełna pieśń
W powietrzu rozbrzmiewała.
I z dumą patrzał ten i ów,
Z radością wioska cała.
A gdy spytano, czy na ślub
Prowadzą nasze szlaki,
Drwiąca odpowiedź brzmiała: „W bój
Lecimy, jako ptaki“.

„Więc niech wam szczęście bieży w ślad,
„Wracajcie zdrowi w strzechy!“
Padały słowa z kobiet ust,
Z ust starca, dziewki, klechy.
A wtedy sierżant rzucił w dal:
„Nie drżyjcie bez powodu!
„Wszak siedmiorakie życie wziął
„Śpiżowe, Rumun z młodu!“

Ach! komu wtedy poprzez myśl
Przelecieć mogło strzałą,
Że z dumnej naszej garstki tej
Powróci w dom tak mało!
Z dziewięciu zuchów — (sierżant nasz
W szeregu był dziesiąty),
Jam jeden — krew mi ścina mróz —
W rodzinne wrócił kąty.

Boli, gdy topór w dumny dąb
Uderza z hukiem w lesie,
Smutno, gdy siekier ostrych zgrzyt
W przestworza echo niesie.
Lecz biada tej najgorszej z gwiazd,
Co ziemię kirem kryje
I bezlitośnie w ludzki las
Toporem śmierci bije.

Dzieci! podajcie wody kruż
Z pod skały, gdzie jej źródło,
Chcę, by w tym trunku świeżym znów
Cierpienie me ochłódło.
Mam pełno iskier w oku mem,
Mózg żal i rozpacz gniecie,
Gdy wspomnę drogą moją brać
Poległą w życia kwiecie!

Kobuz — pastuszek dął w swój flet,
A my u Kalafatu,
Na trawie „hory“ wiedli pląs
Wśród bomby i granatu!
Nagle kartacza odłam wpadł,
(Do piekła taką sprawę!)
Z rozbitą czaszką Kobuz legł
I popsuł nam zabawę.

Przez srogi Dunaj we trzy dni
Przeszliśmy w drugą stronę,
Gdzie pod przeklętą Plewną tam
Namioty rozłożone.
Przed nami wprost reduty wał,
Grywicy groźne mury,
Co patrzą na nas, niby smok,
Gdy chowa w tył pazury.

Lecz chytrzy, jako dziki zwierz,
Zasadzki znamy snadnie,
Więc naprzód, chyłkiem, myśląc wciąż,
Jak w szpony nam popadnie.
I my i Turczyn ołów śle,
Powietrze drży przed prochem,
Jak gdy gołębie pełna dłoń
Obrzuca zdala grochem.

Wyje i trzeszczy tysiąc paszcz
I ryje ziemię z hukiem,
Jak wicher, bomby niosą wtór
Ponurym swym pomrukiem.

Turczyn, jak niedźwiedź, ukrył się,
Nie wylazł ze swej jamy!
On w żywe ciało sypał strzał,
Gdy my na mur strzelamy.

Cintesz, co artyleryę znał,
To chłopak był przebiegły,
Gdy strzelił do tych mrówczych gniazd,
Już Turków głowy legły.
Wtem z fortu pędzi jedna z kul,
Mała — jak groch się zdało!
Trafiła! — Trupem Cintesz legł,
W uścisku trzymał działo.

Gdy czarna noc pokryła świat,
Dan z Bradem stał na warcie;
Jak w piekle jasno było w krąg,
Szrapnele grzmią zażarcie.
Znaleźli ich, gdy nastał świt,
Ściętych od jataganów;
Lecz wkoło trupów cały stos
Poległych muzułmanów.

Biedni! stoczyli dzielny bój
Z przeważną pogan chmarą,
A nawet śmierć nie mogła ich
Rozłączyć z bronią starą.
Ha! cóż? Zmalała naszych garść
I wielkie w niej upusty,
Nas tylko pięciu zuchów już
I sierżant — ten jest szósty.

I przyszedł szturmu srogi dzień,
Co krwawą zemstę strzyma,
Zdawać się mogło — każdy człek
Urasta dziś w olbrzyma.
A wtedy sierżant, smoczy syn,
„O! dzieci“ — ku nam woła,
„Dopóki pięciu, oprócz mnie,
„Marsz! naprzód! w górę czoła!“

Więc po trzy krzyże każdy wzbił,
Amen! Bóg wspiera butę
I w pełnym biegu każdy szedł
Tę Turków brać redutę.
Hura! ach jakże naprzód wciąż
Waleczne dążą syny!
Gdzie fosy i gdzie groźny wał,
Tam nasze są drabiny.

Jesteśmy! hura! jeszcze krok,
Niech każdy ima szczebli,
Lecz w tejże chwili, ileż ust
Śmierć naszym zuchom knebli!
Z wnętrza reduty nakształt fal
Straszliwy ogień prąży,
Gdy jeden szereg trupem legł,
Już drugi jest na straży.

Zuguj, choć konał, jeszcze w łeb
Pogański gromko bije,
Na szańcu woła Szoim nasz:
„Mołdawa niechaj żyje!“
Jaszanie, bracia, w własnej krwi
Pocięci się tarzali.
Waleczni! oni życie swe
Bez jęku oddawali.

Waleczny rotmistrz, choć mu skroń
Pokryły krwi potoki,
Woła: „Kto indyk, sępem bądź,
Uderzaj w gór opoki!“
Sztandaru nie wypuścił z rąk
I tak się piął na mury,
A ja z sierżantem w jego ślad
Dążyliśmy do góry.

Nie straszny ogień, szabla, dym,
Bagnety, ni kul bicie,
Kroczymy naprzód — oto już
Jesteśmy tam, na szczycie!
Allah! tysiączna wrzeszczy pierś,
Kłębią się miecze, lance;
Rumuński sztandar, niby strach,
Zatknięty jest na szańce!

Hura! Z sztandarem igra wiatr
I słychać szum zdaleka,
Leżymy we krwi, pełni ran,
A życie z nas ucieka.
Wyśmiewa Turków sierżant zuch
W przedśmiertnej swej agonji,
Nasz rotmistrz śmiechem wita zgon
Wśród chrzęstu naszej broni.

Nim me powieki skleił sen,
Gdy dłoń ma broń ściskała,
Krzyknąłem: „Teraz umrzeć chcę,
„Ten dzień to nasza chwała!
Nocą, zbudzony widzę tu
Przed sobą szczęścia czary,
Na moich ranach błyszczy krzyż
*Virtuti militari.*

O Panie! Spraw, niech chorą dłoń
I ranną pierś znów wskrzeszę
I niechaj, rześki, świeży znów
Na boju plac pośpieszę,
Bo piękniejszego nie ma nic
Na wszystkich ziem obszarze,
Jak bohaterem módz się zwać
I chrobrą śmierć mieć w darze.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## III. T. Serbanescu (Szerbanesku).

### 1. Wykrzyk.

W mojem wnętrzu piekło wzbiera
I zabójcze czuję męki,
Rozkładowy ból mnie zżera,
Znikąd zbawczej dla mnie ręki.

Hardy, jak pogańskie plemię,
Rzucić teraz byłbym w stanie,
Tę pustynną, nagą ziemię
Przeciw tobie — Boże! Panie!

### 2. Pocałunek.

Ach! raz tylko tak namiętny
Z twoich ust jam całus brał,
Księżyc wtedy, czarem zdjęty,
Patrząc na nas, w miejscu stał.

Lecz gdym drżąc odrywał wargi
I twych ustek rzucał czar,
Wzeszło słońce już na niebo,
W krzewach ptasząt szumiał gwar.

Jednak nie wiem do tej pory,
Czy gorący całus ten
Tak się bosko-długo palił,
Aż nas schwycił jasny dzień,

Czy też taki żar ogromny
Z mej miłości w górę wiał,
Że aż księżyc się rozpalił
I słoneczne blaski siał!

*(Wł. Trąmpczyński)*

## IV. Jakób Negruzzi.

### Sonet.

Murawa sadu we śnie cichym tonie,
Nie śpiewa ptaszę, drzew puste konary,
A dusza moja wsysa błogie czary,
Z umilkłych kwiatów spływające wonie.

Myśl moja wraca w czas przeszłości stary,
Mamidła wskrzesza w zapomnienia stronie,
Ożyły, zda się — moja myśl je chłonie,
Te w walce życia pogubione mary.

Więc liczę te godziny, słodkie nocy wdzięki
I dni czarne, ran pełne i bólu i męki
I portret własny snuje się przed moje oczy;

Uśmiecham się, młodzieńcze czując we śnie drżenie,
Lecz nagle znów nademną przeszły czarne cienie
I znów mnie swym ciężarem zmienność świata tłoczy.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## V. Carmen Sylva (Elżbieta, królowa rumuńska).

### Na koncercie.

Płakałam nie ja!
Łzy lałam nie ja!
Nie — to tylko płakała
Ta piękna, wspaniała —
Pieśń smutna, jak łzy,
Jak duch, co ze świata
Strudzony odlata,
Żegnając swe sny.

Łzy lałam nie ja!
Płakałam nie ja!
Nie — to tylko boleśniéj
Jam odczuła czar pieśni,
Płynące łzy tam;
I łzy te czcić muszę,
Bo padły mi w duszę
I w oczach je mam.

Płakałam nie ja!
Łzy lałam nie ja!
Nie — to dźwięczy i śpiewa
Tych tonów ulewa,
Wspaniała pieśń ta!
Mam w głębi ją łona —
To pieśń rozżalona
Tak smutnych, jak ja.

*(Czesław).*

# VI. ANGLIA i STANY ZJEDNOCZONE.

## A) Poeci angielscy.

### I. Tomasz Wyatt.

#### Łaski śmierci (elegia).

Im dłuższe życie, tem się gęściej snują winy,
Im więcej win, tem więcej grozi kar za czyny;
Im więcej kar, tem słabsza nadzieja obrony,
Z nadzieją cały urok życia — już stracony
I przyszłość naszą długi czarny mrok osłania:
Więc przyjdź, o! śmierci, przyśpiesz godzinę skonania.

Im krótsze życie, tem mniej obciąża dłużnika,
A krótsze obliczenie prędzej się zamyka;
Po obliczeniu rażniej wije się dni przędza,
A wijąc się po duszy, czarną myśl rozpędza.
Zaprawdę, krótkie życie chmurę trosk odgania:
Więc przyjdź, o! śmierci, przyśpiesz godzinę skonania.

O! przybądź! Ja tu ciebie powitam życzliwie,
Szlachetna śmierci, przybądź ty, cierpień odpływie!
Niech wśród przypływu raz już skończy się ta długa
Rozkoszy i boleści, łez i walk żegluga;
Ta jedna żądza całą duszę mą pochłania:
Więc przyjdź, o! śmierci, przyśpiesz godzinę skonania.

*(Feliks Jezierski).*

## II. Filip Sidney.

### Do księżyca (sonet).

Jak smutno mi się wspinasz do gwiazd oceanu!
A jak milcząco, z jaką bladością na licach!
Podobna-ż, aby nawet w niebieskich dzielnicach
Bezsenny Łucznik[1]) miotał pociski z kołczanu?
Tak! jeśli tym, co długo, co kochali czule,
Wyrzekać wolno — i ty znasz kochania męki;
Spojrzenia twe to mówią, mdlejące twe wdzięki;
Ja sam cierpiałem, przeto zgaduję twe bóle.
Więc, bracie w bólu, powiedz mi usty bratniemi,
Czy i tam Piękność jest tak dumną jak na ziemi?
Czy stałość i tam brakiem rozumu zowiecie?
I tam pragną miłości kochanków, a przecie
Z kochanków szydzą? Powiedz kręgu srebrno-złoty,
Niewdzięczność czyż i w niebie nosi imię cnoty?

*(Feliks Jezierski).*

## III. Bezimienny.

### Duch Wiliama (ballada).

Do drzwi Margrety przyszedł duch
I wzdycha, jęczy, biada,
I wciąż kołacze do zasuwki;
Lecz ta nie odpowiada.
— „A kto? czy Filip, ojciec mój?
Czy mój braciszek Dżon?
Czy drogi, wierny Wiluś mój
Czy z Szkocyi wraca on?“
— „Oj, to nie Filip, ojciec twój,
Oj, nie braciszek Dżon;
To Wiluś, wierny Wiluś twój,
Ze Szkocyi wraca on.
„Margreto luba, o! Margreto,
Ty przemów, ty się wzrusz;
Kochania, wiary słowo daj,
Jak ja ci dałem już“.
— „Nie będzie słowa pierw, aż tu
Pod daszek wejdziesz nasz,
Aż pocałujesz, Wilu mój,
W podbródek ten i w twarz“.
— „Ja wejść tu mam pod daszek wasz,
Nie człowiek, jeno cień?
W różową pocałować twarz,
Gdy już tak blizko dzień?“
„Margreto, droga mi Margreto!
Ty przemów, ty się wzrusz,
Kochania, wiary słowo daj,
Jak ja ci dałem już“.
— „Nie będzie słowa pierw, aż sam
Na cmentarz czułą rączką
Zabierzesz mię i poświęcaną
Zaręczysz się obrączką“.

[1]) Eros czyli Amor, bożek miłości, przedstawiany zawsze z kołczanem na barkach.

— „Hen, tam za morzem kości me
Próchnieją po pogrzebie;
I tylko duch mój, śliczna ty,
Odzywa się do ciebie".
Więc wyciągnęła białą dłoń:
— „Masz słowo, boś stateczny,
Kochałeś; Bóg niech duszy twej
Da odpoczynek wieczny".
I tuż zielony strój podpięła,
Bo mrok poprószał gradem,
Zimowy mrok, a za nią wciąż
Duch Wila snuł się śladem...
— „Na główkę twą, kochanku mój,
Czy jest tam kącik gdzie?
Czy jest na stopy i na bok,
Na przytulenie mnie?".
— „Oj, ni na główkę, oj, ni na stopy,
Na boki — jedna schrona,
Dla dwojga nas, skarbeczku mój:
To trumna ma przestrona".
Ot tak! Wtem zapiał siwy kur,
A i czerwony wraz;
— „Margreto moja, słyszysz ty?
Już czas mi w drogę, czas!"
I ciężko jęknął, lecz wyrazu
Nie rzeknął już, niestety!
W obłocznej mgle roztopił się
I zniknął z ócz Margrety.
— „Ach, wstrzymaj się, skarbeczku mój!"
A dreszcz padł wskroś jej ciała;
Pobladła twarz — zwarła oczęta,
Skośniała... już skonała.

*(Feliks Jezierski).*

## IV. Edmund Spenser.

### a) Z Hymnów o piękności.

Czy białości rumieńca taka jest potęga,
Że urok ich przez oczy aż serca dosięga
I nieraz tyle szału, tyle burz wywoła,
Że nic ich oprócz śmierci zgasić tam nie zdoła?
Czy strojność rysów tak jest ponętną dla duszy,
Że wstrząsa ją, że czarem miłości oprzęga,
Aż czucie z niej wykradnie, a rozum zagłuszy?

O, jeśli tak, to czemuż ów kwiatek na łące,
Z przepychem wschodu w barwy odziany jarzące,
Od których woń subtelna wskroś zmysły przenika,
Nie budzi równych wzruszeń w sercu podróżnika?
Lub czemu tak głęboko w ducha się nie wraża
Prześliczny obraz, w którym na hasło malarza
Twór sztuki nad natury krańce się wymyka?

Ach, wierzcie, jest coś więcej, jest tajemna siła,
Co sprawia takie cuda w jestestwie człowieka:
Ja czuję, bo mię własna przeszłość nauczyła,
(I każdy, kto przed taką próbą nie ucieka,
Przeświadczył się i takiej wiary się doczeka),
Że Pięknem nie jest, jak to ślepy gmin powiada,
Zewnętrzny wdzięk, co tylko pod oczy podpada.

Gdyż barwy te, białością lśniące i czerwienią
W prześlicznej twarzy, zblednąć i zniknąć tam muszą,
Gdyż liście róży, co się i błyszczą i mienią
Na ustach, zwiędną kiedyś i w to się rozprószą,
Czem były — o, niestety! w gliny kłąb zepsuty,
A włos, acz i gwiezdnemi wyrzeźbiony dłuty,
Zapadnie w prochy, z boskiej światłości wyzuty.

Lecz owej lampy, której promyczek niebieski
Zaświtał raz, miłości wzniecony podmuchem,
Nie może zgasić nawet pleśń grobowej deski,
Nie może, bo sierota, gdy dech już wyzionie,
Wzlatuje, aby spocząć na rodzinnem łonie
Planety swej — nie ziemska, nie umiera duchem,
Bo najczystszego nieba jest świętym okruchem.

*(Feliks Jezierski).*

---

## b) Królowa wieszczek.

W obszernym tym poemacie, niewykończonym zresztą w całości, przedstawia autor cały szereg dzieł bohaterskich, jakich się podjęli rycerze dworu Gloryany (która prócz allegorycznego swego znaczenia: »sławy« ma zarazem być wcieleniem królowej angielskiej Elżbiety) na jej życzenie. Były to przygody takież, o jakich mówią romanse rycerskie wieków średnich: walki ze smokami, czarownikami, furyami, wdzierania się do jaskiń, w których demony więżą pochwyconą przez siebie dziewicę — a to wszystko ku czci lub obronie piękności, ubóstwianej przez bohatera. Z licznych tych przygód wybieramy jedną z księgi I.

Rycerz Czerwonego Krzyża (królewicz Artur, potomek królów saksońskich, ale po urodzeniu zamieniony przez elfa i uprowadzony do kraju wieszczek), poznaje na dworze królowej wieszczek, Gloryany (»Sławy«), damę, nazwiskiem Una (»Prawda«), córę królewską, która go prosi, aby od potwornego smoka (»Grzechu«) wybawił jej rodziców. Otrzymawszy w tym celu od Gloryany zbroję, odpowiednią dla chrześciańskiego rycerza, udaje się w towarzystwie Uny na ową wyprawę:

Szlachetny rycerz pomyka po błoni,
Z srebrnym puklerzem i w pancerz odziany,
Na którym ślady wojennych pogoni,
Niby głębokie pozostały rany —
Lecz on w tę zbroję pierwszy raz ubrany.
Rumak wędzidło gryzie niecierpliwie,
Jakby go ciężkie więziły kajdany.
Rycerz to piękny, stworzony prawdziwie,
By z wrogiem się spotykać na najkrwawszej niwie.

Na piersiach, w pamięć onej śmierci świętéj
Naszego Zbawcy, krzyż mu się czerwieni:
Nosi to godło, czcią k'Niemu przejęty —
W czci dla spraw jego nigdy się nie leni.
I na puklerzu takiż znak się mieni,

Bo w Jego pomoc przednią ma nadzieję.
Z czynem i słowem zawsze prawdę żeni,
Surowa godność w twarzy mu widnieje.
Drżą przed nim, on przed niczem w świecie nie truchleje.

Na wielką śpieszy on wyprawę ninie
Dla Glorjany: wszystko spełni dla niéj,
Dla tej królowej we wieszczek krainie;
Z tego, co tylko świat nam niesie w dani,
Najpożądańsze mu względy tej pani;
Jedzie, a żądzy powstrzymać nie może,
Aby spróbować sił swych jak najraniéj —
W potężnym boju, w jak najprędszej porze —
Na wrogu jej, na smoku, straszliwym potworze.

Przy nim niewiasta słodka a nadobna;
Oślica pod nią niby śnieżek biały,
A nawet bielsza. Ją samą żałobna
Kryje zasłona i z postaci całéj
Czarnej się sukni fałdy pozwieszały.
Na swem zwierzęciu siedzi, jak w żałobie
Jakiej najcięższej, widać, że niemały
Trapi ją smutek i troska w tej dobie.
Na sznurku mleczne jagnię prowadzi przy sobie.

Dziewka, jak jagnię, czysta i niewinna
W każdym żywota swojego zawodzie,
A z pochodzenia swego wielce słynna,
Bo miała królów i królowe w rodzie,
Co na Zachodzie władli i na Wschodzie,
Co wszystek świat ten w mocy posiadali,
Aż ich gnieżdżący się na piekieł spodzie
Czarci z ich własnych dzierżaw nie wygnali;
By pomścić ich, rycerza tego wiedzie z dali.

A w tyle karzeł po za nimi kroczy
Zwolna: snać pośpiech nigdy mu nie służy,
Lub może tłumok zbyt mu plecy tłoczy:
Dźwiga przybory, niezbędne w podróży.
Jadą — wtem naraz niebo się zachmurzy
I Jowisz deszczu wyleje strumienie
Na łono swojej kochanki. W tej burzy
Pragnie się ukryć wszelakie stworzenie:
I piękna para rada znaleść gdzie schronienie.

Gdy się na wszystkie rozglądają strony,
Dokądby uciec w nawałnicy czasie,
Ujrzą w pobliżu gęsty las zielony,

Którego drzewa, lśniące w lata krasie,
Tak rozłożyste i zbite, że, zda się,
Człek tu się z niebios promieniem nie spotka.
Mnóstwo szerokich alei w tej masie
Drzew oraz krzewów prowadzi do środka:
Zwabiła podróżników ta ustroń przesłodka.

Śpieszą, a rozkosz coraz większa rośnie
W sercu, wsłuchanem w dźwięczne ptasząt chóry,
Co, przed szarugą bezpieczne, rozgłośnie
Zdają się szydzić z nieb, odzianych w chmury,
Lub wielbią drzewa, pnące się do góry:
Świerk, na maszt zdatny, wiąz, winem opięty,
Topól nieschnącą i cyprys ponury
I króla lasów, ten dąb nieugięty,
I smukły cedr i gibkie osikowe pręty;

Wawrzyn, tak piękny, gdy poetów skronie
I bohaterskich zwycięzców okoli;
Wierzbę, co we łzach po kochanku tonie;
Cis, co lucznika poddaje się woli,
Mirrę kojącą, kiedy rana boli,
Jesion i jawor, owoc oliwkowy,
Więzożołd, sosnę, pełną melancholji,
I buk postaci jak gdyby bojowéj,
Brzezinę i klon, rzadko w swojem wnętrzu zdrowy.

Jadąc przez las, spostrzegają olbrzymią skałę, a w niej jaskinię, gniazdo smoka (»Grzechu«). Towarzyszka rycerza, przestraszona, nie pozwala mu się zbliżać do niebezpiecznej groty — lecz,

pełen ognia i odwagi chyżéj,
Na miejscu rycerz młody nie ustoi,
A ku jaskini czarnej się przybliży
I do jej wnętrza zajrzeć się nie boi.
Wnet też zobaczy przy błysku swéj zbroi
Rozsiadłe kształty potwornego dziwa:
W jednej podobna do wężowych zwoi,
W drugiej połowie snać kobieta żywa —
Postać była cuchnąca, wstrętna, obrzydliwa.

Kiedy tak gnuśnie spoczywa na ziemi,
Długi jej ogon plącze się i wije
W rozliczne kłęby i splotami swemi —
Zakończon żądłem — całą jamę kryje,
Jej płód tysiączny u jej piersi pije
Ciecz jadowitą; każde z tych jej dzieci
Inak wygląda, lecz wszystko, co żyje,
Ohydne z kształtu; a gdy loch rozświeci
Blask tarczy, tak wraz wszystko do jej paszczy wleci.

Ruszy się mać ich, czując przerażenie,
I nad łbem wstrętnym zwinie w krąg swój smoczy
Potworny ogon, potem te pierścienie
Już przed jaskinią straszliwie roztoczy.
Ale zbrojnego rycerza gdy zoczy,
Chce się na nowo schronić w swojej norze,
Albowiem światła nie znoszą jej oczy:
W pustych, samotnych ciemnościach ma łoże —
Tam żyje, bo tam nikt jej zobaczyć nie może.

Zaledwie ujrzy mężny Elf potwora,
Tak się na niego bez namysłu rzuci,
Jak lew na zdobycz, co w ucieczce skora;
Zajdzie mu drogę, od jamy zawróci:
Że ten, przerażon, ciszę rykiem skłóci,
Ku walecznemu swój ogon wymierzy,
By weń zatopić żądło, pełne truci,
Lecz ostrym mieczem ten pierwszy z rycerzy,
Aż łeb w ramiona skryje, tak smoka uderzy.

Potwór od razu jakby stracił zmysły,
Tak go oślepi cios ten i oniemi,
Lecz wnet zeń iskry wściekłości znów trysły:
Zwierzęce cielsko podniesie ze ziemi,
Wypręży w górę siły zdwojonemi,
Ku jego tarczy gniewnie się wypuszy
I ciało ujmie sploty wężowemi,
Że rycerz nogą ni ręką nie ruszy:
Pomagaj, Boże, grzechem opętanej duszy.

„Pokaż, czem jesteś! wiarę w tej potrzebie
Miej w swoje siły, nie ustępuj zgoła!
Zduś go, inaczej on udusi ciebie!“
Tak na rycerza pani jego woła,
Widząc, jak potwór oplótł go dokoła
I żółć w nim kipi i w walce nie spocznie
I jedną rękę oswobodzić zdoła,
Schwyci za gardziel i tak gnieść ją pocznie,
Że smok z zabójczych objęć puści go niezwłocznie.

A wraz z obrzydłych rzygnie on wnętrzności
Potokiem brudnej jadowitej wody,
Pełnej odpadków ścierwa oraz kości,
A tak cuchnącej, że aż rycerz młody
Dech wstrzymał w sobie na te straszne smrody.
Księgi-ś tam widział, papieru kawały,
Oślepłe żaby i ropuchy — płody,
Co się po zielskach rozpełzły: oblały
Naokół całe miejsce tych wymiocin kały.

Tak to, gdy ojciec Nil, w swych porach zmienny,
Zaczyna rosnąć, niczem nie wstrzymany,
Z fal jego tłustych muł powstaje plenny
I na egipskie rozlewa się łany.
A gdy opadać zaczną wód bałwany,
Szlam brzeg zaściela i płód z siebie rodzi —
Samców, samice — tysiączny, nieznany,
Ohydnych płazów lęg, że w tej powodzi
Nie zgadnie nikt, skąd tłum tych kreatur pochodzi.

Dech rycerzowi stłumił zaduch zgniły —
Osłabł, snać strasznej nie przemoże zmory,
Tak go już wszystkie opuszczają siły.
To też smok, widząc, że mu te odory
Zabrały męstwo, wykrztusi tej pory
Ze swego wnętrza kloaki przeklętéj
Rój drobnych wężów: obmierzłe potwory,
Oślizłe, czarne jak inkaustu męty,
U nóg się jego wiją i chcą kąsać w pięty.

Lecz jako pasterz, w podwieczornym czasie,
Gdy Feb czerwony na zachodzie pada,
Spogląda z wzgórza, jak się stado pasie,
Jak smacznie swoją wieczerzę zajada,
A wtem go obłok komarów obsiada,
By nikłem żądłem nie szczędzić mu męki —
Więc on, by pierzchła natrętów gromada,
Niszczy im skrzydła machnięciem swej ręki
Z igraszki i tak stłumia ich nieznośne brzęki:

Tak on odtrąca roje żmij... I raczéj
Z wstydu, niż trwogi, rzuci się, jak w szale,
Na swego wroga: na to w duchu baczy,
Ażeby zginąć w sromocie lub w chwale
Wielkiej zwyciężyć, a nie spocząć wcale!
Z nadludzką siłą ugodzi więc smoka,
Tak, że od cielska skąpanego w kale
Grzechu, odetnie wstrętny łeb; posoka,
By węgiel czarna, trysła, jak rzeka szeroka

Rozpierzchłe gady, rodne smocze plemię,
Skoro zobaczą rodzicielkę swoją
Upadającą śród stęku na ziemię,
Wnet się naokół jej cielska zaroją,
Albowiem sądzą, że się uspokoją
Z strachu w jej paszczy, znajdą w niej ukrycie.
Lecz dziś daremnie! Więc się krwią jej poją,
Raną swej matki karmią się obficie,
Z jej straty zyski mają, a z jej śmierci życie!

Widok ten wzbudzi wstręt w rycerzu wielki:
Oto przez Boga przeklęte stworzenia
Żrą własną macierz! Lecz gdy karmicielki
Krwią napełniły toń swego pragnienia,
Pękły im brzuchy, wzdęte z przesycenia,
Aż im wnętrzności wyszły! Koniec, godny
Tych, co się żywią własnego plemienia
Życiem... Rycerza mozół już bezpłodny;
Sam sobie śmierć zgotował wrogów płód wyrodny.

Zbliży się k'niemu pani, co z oddali
Na bój patrzała, i powie: „Szczęśliwa
Snać ci się gwiazda, mój rycerzu, pali!
Wart jesteś zbroi, która cię okrywa,
Jakoś nie spoczął, aż odwaga żywa
Przemogła wroga. Wielką-ś zdobył sławę!
To pierwsza walka; lecz niejedna-ć wzywa
Jeszcze przygoda, trudy równie krwawe:
Zwycięstwem bodajś każdą zakończył wyprawę!"

Odniósłszy to pierwsze zwycięstwo, jedzie rycerz z towarzyszką swoją w dalszą drogę. W lesie spotykają pustelnika, który ich zaprasza do swojej siedziby:

Stoi maleńka pustelnika chata
Na skraju lasu, w cichutkiej dolinie,
Zdala od zgiełku i od wrzasku świata,
Który śród wiru walk i trudów ginie.
Jest i kapliczka święta przy chacinie:
Tutaj pustelnik szepce swe pacierze
Codzień — w poranku i zmroku godzinie:
Obok strumyczek, co swe wody bierze
Z źródełka ukrytego, w słodkim ciecze szmerze.

Przybywszy tutaj, ledwie się zmieścili
W ciasnej izdebce; żadna też biesiada
Nie czeka na nich, spoczynek w tej chwili
Ucztą najsłodszą. Przyjemnie nielada
Zeszedł im wieczór: dusza słuchać rada
Dawnych powieści, które, jak szkło gładki
Mający język, mnich im opowiada,
Z życia papieży i świętych wypadki
Modłami przeplatając do Najświętszej Matki.

Atoli pobożny pustelnik okazuje się strasznym czarnoksiężnikiem (Archimagus), czyhającym na nieskalany honor chrześciańskiego rycerza. Rozmaitemi zaklęciami spowodowuje Archimagus króla sennych mar, Morfeusza, panującego w nieprzebytych mrokach, że tenże wysyła do śpiącego rycerza swoje duchy (sny, mary), ażeby go kusić. Słudzy Morfeusza

do dzieła co tchu się zabiorą:
I jedna z mar tych u głowy mu stanie

I sen mu podda tą spoczynku porą:
Rycerz śni rajskie, urocze kochanie —
Wydaje mu się, że widzi swą panię —
Nie stopią-ż serca te grzeszne mamidła?! —
Jako się przy nim kładzie na posłanie
Z skargą, że owo chłopię, strojne w skrzydła,
Jej czyste zmusza serce pójść w Rozkoszy sidła.

Wydaje mu się, że piękności hoża
Władczyni, Wenus, sama mu to dziecię
Przyprowadziła tej chwili do łoża —
Tę towarzyszkę, którą miał za kwiecie
Najniewinniejsze z wszystkich ziół na świecie,
Tę córę króla, dziś sługę niecnoty,
W występnych uciech zawikłaną siecie;
Że Gracye nucą, śród tańca ochoty,
„*Jo hymen!*“ a zaś Flora z bluszczu wije sploty.

Czy to z niezwykłej rozkoszy czy z trwogi,
Jaką spełnianie grzechu ludzi darzy,
Zrywa się rycerz: posądza ten błogi
Widok, że w sobie kryje podstęp wraży.
Hej! jego pani schyla się ku twarzy,
A wędkę chowa w ciemnej sukni zwoje;
Chce go całować, lico jej się żarzy,
Z oczu miłosne, słodkie biją zdroje,
Jak u tej, co kochanka rwie w objęcia swoje.

Niezwykły widok wszystką krew w nim skłóci;
Na ten jej bezwstyd wielkim gniewem spłonie
I jak szalony snać się na nią rzuci,
Aby ją zabić, ale w jej obronie
Stanie cierpliwość i wstrzyma mu dłonie.
I rycerz bada swe zmysły, czy sprośny
Sen to czy jawa? Wtem ona w łzach tonie,
Prosi i błaga, aby był litośny
Dla krwi jej przeszlachetnej i dla lat jej wiosny.

A tak mu powie: „Władco mój i panie!
Czyż mi oskarżać wrogie przeznaczenie
I przyczyn w niebie potężnych władanie,
Czy też ślepego bożka, że to wrzenie
Zamiast miłości, złość i potępienie
Ściąga dziś na mnie? Lecz tak czynić muszę,
Albo też umrę! W tobie me zbawienie!
W twych ręku śmierć ma lub życie! Niech wzruszę
Mą prośbą twoje serce: ukój me katusze!

„Dla ciebiem ojca królestwo rzuciła...“
Tutaj zamilknie, strugą łez zdławiona.
W wezbraniu serca snać mowę straciła.
Ale niebawem znów rozpocznie ona:
„Przed kaźnią losów w tobie jest obrona
Moich lat młodych... O niech mi nie ginie
Dusza w tęsknocie, niech w tych łzach nie kona!
A on jej powie: „Cóż cię trapi ninie?
Wszak zawsześ mnie krzepiła w utrapień godzinie?“

„Miłość ku tobie sypiać mi nie daje“ —
Rzecze mu na to — „gdy ja nieszczęśliwa
Z tęsknej boleści, co mi serce kraje,
Ty śpisz spokojnie; noc tobie upływa
Bez żadnej troski“...

Rycerz jednak stawia mężny opór tej »Pokusie« i ponownie odniósłszy zwycięstwo, ratuje swój nieskalany honor.

*(Jan Kasprowicz).*

## V. Krzysztof Marlowe.

### Tragiczna historya życia i śmierci doktora Fausta.

Doktór Jan Faust, przeniknięty na wskroś myślą o potędze nad światem, jaką mu dać może »metafizyka czarnoksięstwa«, wyrzeka się biblii w tem przekonaniu, że »grzeszyć jest nieuniknioną koniecznością natury ludzkiej« a skutkiem grzechu jest śmierć wieczna. Zabiera się natomiast do ksiąg czarnej magii. Z dwu stron przeciwnych nadlatują dwa duchy: dobry i zły, jeden ostrzega, drugi podnieca Fausta. Przyjaciele jego, Waldes i Korneliusz, przepowiadają jemu i sobie świetną przyszłość:

„Natychmiast rozum i księgi wiedzy i postępy w sztuce uczynią nas świętymi całej ziemi, a słowom naszym, jak indyjscy murzyni władcom hiszpańskim, najsłużebniej posłuszne będą duchy wszech żywiołów, jak lwy sprawować będą straż wokoło nas i biedz będą jak olbrzymowie Laponii; ponętne kibicie dziewic i kobiet zabłyszczą przed nami cudniejszym urokiem, niż łabędzia pierś bogini piękności, napędzą do nas flotę z wód Wenecyi i złożą nam u stóp złote runo z ziem amerykańskich, które co rok napływa do skarbów Filipa[1])... O! jak przed wiekami wyrocznię delficką, tak nas nawiedzi sztuka tajemnicza, a duchy morza osuszać nam będą i znosić skarby od ostatnich krańców świata“.

Z taką otuchą oddala się Faust z towarzyszami na naukę czarnoksięstwa. Dla przeświadczenia się o skuteczności magii, wyzywa Mefistofelisa; ten zjawia się, a zapytany, dlaczego opuścił piekło, odpowiada, że wstępując na ziemię, bynajmniej nie opuścił piekła i że tu na ziemi jest u siebie. Następuje układ, na mocy którego Faust za cenę duszy swojej będzie miał za towarzysza na lat 24 ducha, który mu za-

[1]) Głośnego w dziejach króla hiszpańskiego.

pewni nieograniczone rozkosze zmysłowe. Zanim Mefistofelis przyniósł potwierdzenie układu od Lucypera, Faust doznaje dreszczów trwogi. Znikają one pod działaniem nasuniętych przez ducha rozrywek, poczem obaj odbywają drogą powietrzną wycieczki od bieguna do bieguna, niewidzialni dla oka ludzkiego. Sławny, podziwiany przez świat »cudowny doktór« przybywa na dwór cesarza niemieckiego i zachwyca go czarodziejskiem wyprowadzeniem na scenę Aleksandra W. i Daryusza. Podobne cuda magii wypełniają znaczną część dramatu. Między innemi, na usilną prośbę Fausta Mefistofelis przywołuje postać »niebiańsko pięknej« Heleny, o którą toczono niegdyś wojnę trojańską. Na jej widok uszczęśliwiony Faust wydaje okrzyk uwielbienia:

Więc jej to widok popędził na morze
Tysiączną flotę i zwalił podniebne
Wieże Pergamu? O, Heleno, jednym
Unieśmiertelnij ty mię pocałunkiem...
Twe usta duszę ze mnie wysysają;
Czy widzisz, widzisz, jak ta mię odbiega?
Pójdź, ma Heleno, i powróć mi duszę.
Niech tu zawisnę; w tych ustach jest niebo,
A wszystko prochem, co nie jest Heleną.
Jam jest twój Parys; dla miłości twojej
Niech zamiast Troi pali się Witenberg.
Ja razem z twoją Spartą walczyć będę,
Na moim hełmie nosić twoją barwę,
Ja utkwię strzałę w pięcie Achillesa,
A potem wrócę do ciebie, do twoich
Ust, o! piękniejsza nad wieczorną gwiazdę,
Świetniejsza, niźli blask płomieni Zeusa...
Ty i ty jedna będziesz mą miłością!

Gdy zbliżał się naznaczony kres życia, uczniowie Fausta spostrzegają smutną zmianę w swoim mistrzu, który na ich nalegania odkrywa im bolesną ranę zwątpienia i rozpaczy. Uczniowie starają się wmówić weń, że to tylko wynik »przeładowania żołądka«. Faust im odpowiada:

„O! nie; to jest przeładowanie grzechami śmiertelnymi. Grzechy Fausta nigdy przebaczone być nie mogą. Wąż, który uwiódł Ewę, może być ocalony, ale Faust nigdy. O, bodajbym był nigdy nie widział Witenberga, nie czytał ani jednej książki! Dla tych wszystkich cudów, które uczyniłem, o których mówią Niemcy i cały świat, Faust utracił niebo, tron Boga, przybytek błogosławieństwa, królestwo radości — a teraz musi pozostawać w piekle. Piekło, o! piekło na wieki... Bywajcie zdrowi; jeżeli dożyję do jutra, odwiedźcie mię; jeżeli nie, tedy Faust zapadł do piekła. Jeżeli usłyszycie szmer w mej celi, nie wchodźcie, bo nic ocalić mnie już nie może“.

Zjawia się Mefistofelis, ciesząc się z rozpaczy Fausta i pobudzając go do niej. Wśród dźwięków muzyki spuszcza się na ziemię tron niebieski, a dobry anioł, wskazując Faustowi jego wspaniałości, przedstawia mędrcowi, co utracił. Otwiera się piekło. Nadlatujący duch zły wylicza poczet mąk, czekających Fausta.

Noc. Dzwon uderza 11-tą.

O, Fauście!
Godzinę tylko życia masz przed sobą,

A potem — wieczne, wieczne potępienie.
Ach, stańcie w biegu, wy sfery niebieskie,
Niech czas ustanie, północ nie powraca!
Natury piękne oko! powstań, urodź
Dzień wieczny, lub niech godzina ta będzie
Rokiem, miesiącem, tygodniem, dniem jednym,
By Faust mógł poczuć żal i zbawić duszę,
*O lente, lente currite, noctis equi.* [1])
Lecz gwiazdy biegną... wnet uderzy zegar,
Czart przyjdzie, a Faust będzie potępiony...
Do Boga wzbiję się! — Któż to mię spycha?
Patrz! tam w podniebiu płynie krew Chrystusa.
Tej jedna kropla zbawiłaby duszę,
Pół kropli. — Chryste mój drogi, nie szarpaj
Mej duszy za to, żem wyrzekł Twe imię.
A jednak wezwę je. O! Lucyperze,
Na chwilę odstąp... Gdzież jest widmo? — Znikło,
I oto Bóg swe ramiona roztwiera,
Odwraca gniewną skroń. Góry i wzgórza,
O! pójdźcie, pójdźcie, przywalcie nędzarza,
Przed strasznym gniewem Boga go ukryjcie. —
Nie, nie! Więc spadnę na głowę do ziemi.
Ty, ziemio, roztwórz się. — Nie, nie! i ona
Przytułku nie da! Wy, gwiazdy niebieskie,
Co dzień urodzin mych wplotłyście w losy,
A dla mnie śmierć i piekło przeznaczyły,
Porwijcie Fausta, jak mglistą pomrokę,
Do owych szarych wnętrzności obłoku,
By społem z niemi, gdy je wyzioniecie
W powietrze, z waszych dymnych ust wzleciały
I moje członki w przestworza, a dusza
W niebo wstąpiła. *(Dzwon bije pół do 12-tej).*
Pół godziny przeszło...
O, Boże! jeśli już nad moją duszą
Litości nie masz, to w imię Chrystusa,
Którego święta krew mię odkupiła,
Tym nieustannym męczarniom kres połóż.
Niech Faust lat tysiąc żyje na dnie piekła,
Niech sto tysięcy lat, a potem wreszcie
Zbawionym będzie... Niestety! niestety!
Tam niema końca dla dusz potępionych...
Więc czemuś nie był stworzeniem bez duszy,
Lub czemuż dusza ta jest nieśmiertelna?...
O, ty wędrówko dusz Pitagorejska,
Gdyby twe słowa zawierały prawdę,

[1]) O, zwolna, zwolna biegnijcie, konie nocy!

Ta dusza ze mnie uciec-by powinna,
A ja przemienić się w dzikiego zwierza.
Wszak każdy zwierz jest szczęśliwym, albowiem
Gdy umrze, dusza wnet się rozwiązuje
Na elementa... a moja żyć jeszcze
Musi na męki piekła wiekuiste.
Przekleństwo matce, która mię zrodziła!...
Nie, Fauście, siebie przeklinaj, przeklinaj
Ty Lucypera, który cię pozbawił
Rozkoszy nieba... *(Dzwon bije północ).*
Wybiło! — Ciało! obróć się w powietrze,
Bo wnet szatani porwą cię do piekła. *(Grzmot i błyskawica).*
O, duszo! przemień się w kropelki wodne
I spuść w ocean, na wieczną zatratę.
*(Uderza piorun; wchodzą dyabły).*
Litości, niebo! nie patrz tak straszliwie!
Pozwólcie wytchnąć, żmije i padalce,
Nie rozwierajcie się piekła okręgi,
Precz, Lucyferze — ja spalę swe księgi.
*(Dyabły rozszarpują go i znikają; — wchodzą uczniowie).*

*1-szy uczeń.* Panowie, pójdźmy odwiedzić doktora,
Bo tak okropnej nocy nie widziano,
Odkąd poczęło się stworzenie świata,
Tak strasznych krzyków nigdy nie słyszano;
Bodajby doktór uniknął zaguby!

*2-gi uczeń.* O, niebo! racz się zmiłować nad nami.
Widzicie — oto leżą członki Fausta
W bezładzie, ręką śmierci rozszarpane.

*3-ci uczeń.* Zły duch, któremu Faust oddał się w służbę,
Rozszarpał mistrza, bo, jak mi się zdaje,
Tej nocy między dwunastą a pierwszą
Słyszałem jego jęki i wołanie
O pomoc, w tejże chwili zdało mi się,
Że dom objęły płomienie przy strasznym
Okrzyku owych czarnych potępieńców.

*2-gi uczeń.* Panowie! choć zgon Fausta był tak straszny,
Że na myśl samą rozżala się każde
Chrześcijańskie serce; jednak, że był mistrzem,
Wielbionym niedyś za przedziwną mądrość
W niemieckich szkołach naszych; więc te szczątki
Winniśmy uczcić należnym pogrzebem;
Przywdziani w czarną żałobę uczniowie
Niech na ten smutny obrzęd się zgromadzą.
Więc legł ów konar, co mógł wyrość górnie,
Spłonęła gałąź lauru Apollina,
Co niegdyś rosła w tym uczonym mężu.
Już niema Fausta...

*(Feliks Jezierski).*

# VI. Szekspir.

## 1. Zapomnij. (Sonet 31).

Po mem skonaniu nie płacz ty dłużej nademną
Nad chwilę, gdy usłyszysz jęk posępny dzwonu
I dowiesz się, żem rzucił ziemię tę nikczemną,
By dzielić z robakami łoże mego zgonu.
I nawet teraz, gdy ma dłoń te wiersze kréśli,
Zapomnij ją, zapomnij! Ja tak kocham ciebie,
Że wolę, byś mą pamięć zatarła w swej myśli,
Niż miała się rozżalać po moim pogrzebie.
Ach, tak; jeśli twe oko spocznie na tym rymie,
A ja może już zmieszam się z cmentarną gliną,
Niech z ust twych nie wychodzi biedne moje imię,
A sny miłości razem z mem życiem zaginą.
Bo mądry świat, ujrzawszy, że więdniesz w żałobie,
Wyszydzi nas oboje, gdy będę już w grobie.

*(Feliks Jezierski).*

---

## 2. Romeo i Julia.

Na tle nienawiści dwu rodów: Montekich i Kapuletów rozwija się uczucie miłości między Romeem Monteki i Julią Kapulet. Romeo kochał się bez wzajemności w pięknej Rozalinie, gdy nagle na balu u Kapuletów, dokąd w przebraniu i masce się udał, poznaje czternastoletnie dziewczę, Julię, i po krótkiej rozmowie płonie miłością ku niej; w sercu Julii budzi się również dla niego niezwalczone uczucie. Wiedząc, że o małżeństwie z zezwoleniem rodziców panny nie może być mowy, Romeo obmyśla środek uskutecznienia zamiaru, środek, który wskutek zbiegu okoliczności okazuje się fatalnym. Ksiądz Laurenty daje im ślub tajemny, a gdy ojciec Julii przymusza córkę do poślubienia Parysa, krewnego księcia Werony, ks. Laurenty dostarcza Julii napoju usypiającego, by ją uważając za umarłą, pochowano w grobach rodziny Kapuletów; do Romea zaś, który z powodu zabicia w pojedynku krewnego Julii, Tybalta, musi opuścić miasto, wysyła list, by w czasie oznaczonym, gdy siła napoju miała ustać, przybył »z pożyczonego wydobyć ją grobu«. Listu tego Romeo nie odebrał, a przybywszy do grobu i znalazłszy Julię pozornie umarłą, zabija Parysa, który tam również się znalazł, a potem zażywa truciznę. Julia, przebudziwszy się i spostrzegłszy czarę w ręku dopiero co zmarłego męża, całuje go, a potem pomimo przełożeń ojca Laurentego, sztyletem życie sobie odbiera. U grobu kochanków przedstawiciele nienawistnych rodów podają sobie rękę zgody.

Przytaczamy tu scenę z aktu II, w której kochankowie miłość sobie wyznają.

*Romeo.* Drwi z blizn, kto nigdy nie doświadczył rany.
(Julia ukazuje się w oknie).
Lecz cicho! Co za blask strzelił tam z okna!
Ona jest wschodem, a Julia jest słońcem!
Wnijdź cudne słońce, zgładź zazdrosną Lunę[1]),

[1]) t. j. księżyc.

Która aż zbladła z gniewu, że ty jesteś
Od niej piękniejszą; ukarz ją zaćmieniem
Za tę [illegible]zdrość; zetrzyj ją do reszty!
To m[illegible]ani, to moja kochanka!
O! gdyby mogła wiedzieć, czem jest dla mnie!
Przemawia, chociaż nic nie mówi; cóż stąd?
Jej oczy mówią, oczom więc odpowiem.
Za śmiały jestem; mówią, lecz nie do mnie.
Ptaki ocknęłyby się i śpiewały,
Myśląc, że to już nie noc, lecz dzień biały,
Patrz, jak na dłoni smutnie wsparła liczko!
O! gdybym mógł być tylko rękawiczką,
Co tę dłoń kryje!

*Julia.* Ach!

*Romeo.* Cicho! coś mówi.
O! mów, mów dalej, uroczy aniele;
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale świecisz,
Dwie najjaśniejsze, najpiękniejsze gwiazdy
Z całego nieba, gdzieindziej zajęte,
Prosiły oczu jej, aby zastępczo
Stały w ich sferach, dopóki nie wrócą.
Lecz choćby oczy jej były na niebie,
A owe gwiazdy w oprawie jej oczu:
Blask jej oblicza zawstydziłby gwiazdy,
Jak zorza lampę; gdyby zaś jej oczy
Wśród eterycznej zabłysły przezroczy,
Jak lotny goniec niebios rozwartemu
Od podziwienia oku śmiertelników,
Które się wlepia w niego, aby patrzeć,
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwa,
I po powietrznej żegluje przestrzeni.

*Julia.* Romeo! czemuż ty jesteś Romeo!
Wyrzecz się swego rodu, rzuć tę nazwę!
Lub, jeśli tego nie możesz uczynić,
To przysiąż wiernym być mojej miłości
A ja przestanę być z krwi Kapuletów.

*Romeo.* Mamże przemówić, czy też słuchać dalej?

*Julia.* Nazwa twa tylko jest mi nieprzyjazną,
Boś ty w istocie nie Montekim dla mnie.
Jestże Monteki choćby tylko ręką,
Ramieniem, twarzą, zgoła jakąkolwiek
Częścią człowieka? O! weź inną nazwę!
Czemże jest nazwa? To, co zowiem różą,
Pod inną nazwą równieby pachniało;
Tak i Romeo, bez nazwy Romea
Przecieżby całą swą wartość zatrzymał.
Romeo! porzuć tę nazwę, a w zamian

Za to, co nawet cząstką ciebie nie jest,
Weź mię, ach! całą!

*Romeo.* Biorę cię za słowo:
Zwij mię kochankiem, a krzyżmo chrztu tę
Sprawi, że odtąd nie będę Romeem.

*Julia.* Ktoś ty jest, co się nocą osłaniając,
Podchodzisz moją samotność?

*Romeo.* Z nazwiska
Nie mógłbym tobie powiedzieć, kto jestem;
Nazwisko moje jest mi nienawistnem,
Bo jest, o! święta, nieprzyjaznem tobie:
Zdarłbym je, gdybym miał je napisane.

*Julia.* Jeszcze me ucho stu słów nie wypiło
Z tych ust, a przecież dźwięk już ich mi znany.
Jestżeś Romeo, mów? jestżeś Monteki?

*Romeo.* Nie jestem ani jednym, ani drugim,
Jednoli z dwojga jest niemiłem tobie.

*Julia.* Jakżeś tu przyszedł, powiedz, i dlaczego?
Mur jest wysoki i trudny do przejścia,
A miejsce zgubne; gdyby cię kto z moich
Krewnych tu zastał...

*Romeo.* Na skrzydłach miłości
Lekko, bezpiecznie mur ten przesadziłem,
Bo miłość nie zna żadnych tam i granic;
A co potrafi, na to się i waży;
Krewni więc twoi nie trwożą mię wcale.

*Julia.* Zabiliby cię, gdyby cię ujrzeli.

*Romeo.* Ach! więcej groźby leży w oczach twoich,
Niż w ich dwudziestu mieczach; patrz łaskawie,
A będę silny przeciw ich gniewowi.

*Julia.* Na Boga! niech cię oni tu nie ujrzą!

*Romeo.* Ciemny płaszcz nocy skryje mię przed nimi.
Lecz niech mię znajdą, jeśli ty mię kochasz,
Lepszy kres życia skutkiem ich niechęci,
Niż przedłużony zgon w braku twych uczuć.

*Julia.* Kto ci dopomógł znaleść to ustronie?

*Romeo.* Miłość, co mi go doradziła szukać;
Ona mi instynkt, ja jej oczy dałem.
Nie jestem sternik, gdybyś jednak była
Równie daleko, jak ów brzeg, którego
Morze najdalsze podmywa krawędzie,
Śmiało po taki klejnotbym popłynął.

*Julia.* Gdyby nie ciemność, co mi twarz maskuje,
Widziałbyś na niej rozlany rumieniec
Po tem, co z ust mych słyszałeś tej nocy.
Radabym form się trzymać, rada cofnąć
To, co wyrzekłam; ale precz udanie!
Czy mię ty kochasz? Wiem, że powiesz: — tak jest;

I jać uwierzę; mimo przysiąg jednak
Możesz mię zawieść. Z wiarołomstwa mężczyzn
Śmieje się, mówią, Jowisz. O! Romeo!
Jeśli mię kochasz, wyrzecz to rzetelnie;
Lecz jeśli masz mię za podbój zbyt łatwy,
To zmarszczę czoło i przewrotną będę
I na miłosne twoje oświadczenia
Powiem: — nie, w innym razie za nic w świecie.
Za czułą może jestem, o! Monteki,
Stąd możesz sądzić me obejście płochem;
Ufaj mi jednak, będę ja wierniejszą
Od tych, co bieglej umieją się drożyć.
Byłabym ja się była, prawdę mówiąc,
Także drożyła, gdybyś był tajnego
Głosu miłości mojej nie podchwycił.
Nie wiń mię przeto, ani też przypisuj
Płochości tego wylania mych uczuć,
Które zdradziła noc ciemna.

*Romeo.* O! Julio,
Przysięgam na ten księżyc, co wspaniale
Powleka srebrem tamtych drzew wierzchołki...

*Julia.* O! nie przysięgaj na księżyc, bo księżyc
Co tydzień zmienia kształt swej pięknej tarczy;
I miłość twoja po takiej przysiędze
Mogłaby również zmienną się okazać.

*Romeo.* Na cóż mam przysiądz?

*Julia.* Nie przysięgaj wcale;
Lub wreszcie przysiąż na samego siebie:
Na ten uroczy przedmiot mych uwielbień,
To ci uwierzę.

*Romeo.* Jeśli szczera miłość
Mojego serca...

*Julia.* Daj pokój przysięgom.
Lubo się cieszę z twojej obecności,
Te nocne śluby nie cieszą mnie jakoś;
Za nagłe one są, za nierozważne,
Podobne niby do blasku, co znika.
Nim człowiek zdąży powiedzieć: — błysnęło,
Dobranoc, luby! Oby nam ten wonny
Miłości pączek przyniósł kwiat niepłonny!
Bądź zdrów! i zaśnij z tak błogim spokojem,
Jaki, z twej łaski, czuję w sercu mojem.

*Romeo.* Także mam odejść niezaspokojony?

*Julia.* Jakiegoż więcej chcesz zaspokojenia?

*Romeo.* Zamiany twoich zapewnień za moje.

*Julia.* Jużem ci dała je, nimeś zażądał;
Radabym jednak one mieć napowrót.

*Romeo.* Chciałażbyś cofnąć je? Dlaczego? luba!

*Julia.* Ażebym mogła oddać ci je znowu.
A przecież, jestto żądanie zbyteczne;
Bo moja miłość równie jest głęboką
Jak morze, równie jak ono bez końca;
Im więcej ci jej udzielam, tem więcej
Czuję jej w sercu.
(Słychać w pokojach głos Marty).
Wołają mię. — Zaraz.
Bądź zdrów kochanku drogi! — Zaraz, zaraz.
— Najmilszy, pomnij być stałym! — Zaczekaj,
Zaczekaj trochę, powrócę za chwilę. (Wychodzi).
*Romeo.* Błogosławiona, o! błogosławiona
Podwakroć nocy! Ale czy to wszystko,
Dziejąc się w nocy, nie jest marą tylko?
Coś tak lubego możeż być istotnem?
*Julia* (ukazując się znowu).
Jeszcze słów parę a potem dobranoc.
Drogi Romeo! jeśli twoja skłonność
Jest prawą, twoim zamiarem małżeństwo:
To mię uwiadom jutro przez osobę,
Którą do ciebie przyślę, gdzie i kiedy
Zechcesz dopełnić obrzędu; a wtedy
Całą mą przyszłość u nóg twoich złożę
I w świat za tobą pójdę w imię boże.
*Marta* (za sceną). Panienko!
*Julia.* Idę. — Lecz jeśli mię zwodzisz,
To cię zaklinam...
*Marta* (za sceną). Julciu!
*Julia.* Zaraz idę.
— Jeśli mię zwodzisz, o! to cię zaklinam,
Skończ te zabiegi i zostaw mię żalom.
— Jutro więc przyślę.
*Romeo.* Jak pragnę zbawienia...
*Julia.* Po tysiąc razy dobranoc. (Odchodzi).
*Romeo.* Po tysiąc
Razy nie dobra tam, gdzie ty nie świecisz.
Jak żak, gdy rzuca książkę, tak kochanek
Do celu swego pośpiesza wesoły;
A gdy nadejdzie z kochanką rozstanek,
Wlecze się smutnie, jak ów żak do szkoły. (Odchodzi).
*Julia* (ukazuje się znowu).
Pst! pst! Romeo! O, gdybym mieć mogła,
Głos sokolnika, by tego sokoła
Nazad przywołać! Przymus jest ochrypły,
Nie może głośno mówić; gdyby nie to,
Wstrzęsłabym góry, gdzie się echo kryje,
I głos-bym jego zrobiła chrapliwszym,
Niż mój, od rozbrzmień imienia Romeo!

*Romeo.* Moja to dusza dzwoni imię moje,
Jak srebrny dźwięk ma nocą głos kochanki!
I jestże słodsza muzyka na świecie?
*Julia.* Romeo!
*Romeo.* Luba!
*Julia.* O której godzinie
Jutro mam przysłać?
*Romeo.* O dziewiątej.
*Julia.* Dobrze.
Dwudziestoletni to termin. Nie pomnę,
Pocom tu ciebie znowu przywołała.
*Romeo.* Pozwól mi czekać, aż sobie przypomnisz.
*Julia.* Zapomnę znowu, po co czekasz, pomnąc
O twojej tylko lubej obecności.
*Romeo.* A ja wciąż czekać będę, abyś ciągle
Zapominała, sam zapominając,
Że mam gdzie inny dom jak tutaj.
*Julia.* Wkrótce
Dnieć będzie: radabym, żebyś już odszedł;
Nie dalej jednak, jak ów biedny ptaszek,
Co go swawolne dziecko z rąk wypuszcza,
I wnet zazdroszcząc mu krótkiej wolności,
Jak niewolnika trzymanego w więzach,
Jedwabnym sznurkiem przyciąga na powrót.
*Romeo.* Chciałbym być biednym ptaszkiem w twoim ręku.
*Julia.* O! jabym zbytkiem pieszczot cię zabiła.
Dobranoc, luby! jeszcze raz dobranoc!
Takam w życzeniach niepohamowana,
Żebym dobranoc wołała do rana. (Odchodzi).
*Romeo.* Sen na twe oczy, pokój w pierś niech spłynie;
Obym był niemi w tej błogiej godzinie!
Śpieszę do Ojca Laurentego celi,
On mi pomocy i rady udzieli. (Wychodzi).

*(Józef Paszkowski).*

## 3. Hamlet.

Hamlet, królewicz duński, marzyciel, fantasta, sceptyk, mężny przez uczucie honoru, ale nie z temperamentu, ma do spełnienia ciężkie zadanie. Ojciec jego został otruty przez brata, który po jego zgonie ożenił się z jego żoną i objął królestwo. Duch ojca nakazuje Hamletowi zemstę, ale Hamlet nie dowierza, dopóki udając obłąkanego, nie dowiedział się o prawdzie oskarżenia przez naumyślnie urządzoną scenę, odegraną przez aktorów, przedstawiającą zbrodnię podobną do tej, jakiej stryj się dopuścił. Teraz nie ma już żadnych wątpliwości, ale mimo to nie zmierza wprost do czynu, lecz dowcipkuje, opuszcza Ofelię, córkę kanclerza Poloniusza, przebija go ukrytego za tapetą w komnacie królowej i tym sposobem ściąga na siebie nienawiść syna Poloniuszowego Laertesa. Król, podejrzewając Hamleta o wrogie względem siebie zamiary, stara się podstępnie zgładzić go, wysyła do Anglii z tajnem zleceniem, żeby go stracono, co Hamlet udaremnia. W końcu osiąga król cel zamierzony, pogodziwszy pozornie Laertesa z Hamletem, wywołuje popis fechtunkowy; szpada Laertesa jest zatruta, a przytem puhar, którym w danym razie miał się Hamlet orzeźwić, zawierał także truciznę. Kró-

lowa wypija puhar przygotowany dla Hamleta, a ten przed zgonem zdobywa się na objaw energii i zabija króla. Ponieważ główną cechą Hamleta jest sceptycyzm i choroba woli, podajemy tu słynny jego monolog i rozmowę z Ofelią (akt III, scena 1).

*Hamlet.* Być albo nie być — oto jest pytanie.
Czy dla umysłu szlachetniej jest cierpieć
Ciosy i strzały zawistnej fortuny,
Niż broń uchwycić przeciw cierpień morzu,
Skończyć je walką? Umrzeć — spać — nic więcej!
Powiedzieć, żeśmy snem mogli zakończyć
Boleści serca, tysiączne wstrząśnienia,
Których dziedzicem ciało! O ten koniec
Któżby nie błagał pobożnie? Umrzeć — spać,
Spać! może marzyć? Ha, tu cała trudność!
Bo we śnie śmierci co marzyć możemy,
Kiedy się z ziemskich kłopotów otrząśniem?
To nas wstrzymuje i ta myśl jedyna
Klęski żywota naszego przeciąga.
Bo któżby chłosty, wzgardę świata znosił,
Krzywdy ciemiężców i dumnych szyderstwa,
Boleść miłości wzgardzonej, praw zwłokę,
Urzędów butę i pogardę, z którą
Ściga niegodny cierpliwą zasługę,
Gdyby mógł każdy wszystkiego się pozbyć
Stali kawałkiem? Któżby dźwigał ciężar,
Pocił się, jęczał pod życia brzemieniem,
Gdyby nie czegoś po śmierci obawa,
Ziemi nieznanej, z której granic dotąd
Nikt nie powrócił, woli nie wątliła
I nie radziła znane dźwigać męki
Raczej, niż szukać ucieczką nieznanych?
Tak więc sumienie przemienia nas w tchórzów;
Postanowienia rumiane oblicze
Myśl chorowita bladością powleka;
Zamiary ducha olbrzymie i ważne
Na myśl tę z drogi swej się obracają
I tracą czynu nazwisko. Lecz cicho! (Spostrzega Ofelię).
Piękna Ofelia? Nimfo, w twych modlitwach
Pamiętaj o mych grzechach.

*Ofelia.* Dobry książę,
Jakież twe zdrowie w ciągu dni tych kilku?

*Hamlet.* Dziękuję szczerze, dobre, dobre, dobre.

*Ofelia.* Książę, pamiątki, dane mi przez ciebie,
Pragnęłam dawno wrócić w twoje ręce;
Odbierz je proszę.

*Hamlet.* Ja? Uchowaj, Boże!
Nigdy ci żadnych pamiątek nie dałem.

*Ofelia.* Dobrze wiesz, książę, że mi je dawałeś,
A z niemi słowa, których słodkie dźwięki

Dar bogaciły. Kiedy woń słów przeszła,
Odbierz podarki: dla szlachetnej duszy
Oziębłość dawcy na proch skarby kruszy.

*Hamlet.* Ha, Ha! Jest-żeś cnotliwą?

*Ofelia.* Książę?

*Hamlet.* Jest-żeś piękną?

*Ofelia.* Co znaczą pytania te, książę?

*Hamlet.* Znaczą to, że jeśli jesteś cnotliwą i piękną, uczciwość twoja nie powinna mieć nic do czynienia z twoją pięknością.

*Ofelia.* Czy może piękność lepsze znaleść towarzystwo jak cnotę?

*Hamlet.* O, zapewne! bo piękności potęga prędzej zmieni cnotę na rajfurkę, niż siła cnoty przekształci piękność na swoje podobieństwo; niegdyś było to paradoksem, ale w dzisiejszych czasach doświadczenie zmieniło to na pewnik. Kochałem cię niegdyś.

*Ofelia.* Przynajmniej wierzyłam temu, książę.

*Hamlet.* Nie powinnaś mi była wierzyć, bo choć w nasz pień cnota wszczepioną będzie, pozostaną zawsze ślady starych grzechów. Nie kochałem cię.

*Ofelia.* Tem okrutniej zostałam zawiedzioną.

*Hamlet.* Idź do klasztoru! Dlaczegoż chciałabyś zostać matką grzeszników? Ja sam, choć jestem niby cnotliwy, mógłbym przecie o takie grzechy się oskarżyć, że lepiej byłoby, gdyby mnie matka na świat nie wydała. Jestem zbyt dumny, mściwy, ambitny, więcej mam wad na rozkaz, niż myśli do ich ocenienia, wyobraźni do dania im formy, lub czasu do ich wykonania. Na co przydać się mogą podobni do mnie ludzie, wałęsający się między niebem a ziemią? Wszyscy jesteśmy wierutni hultaje, żadnemu z nas nie wierz. Idź do klasztoru! Gdzie twój ojciec?

*Ofelia.* W domu, książę.

*Hamlet.* Niechże go tam na klucz zamkną, żeby nie odgrywał roli błazna gdzieindziej tylko we własnym swoim domu. Bądź zdrowa!

*Ofelia.* O przyjdź mu na pomoc, miłosierny Boże!

*Hamlet.* Jeśli za mąż pójdziesz, dam ci tę gorzką przestrogę w posagu; bądź czystą jak lód, jak śnieg niepokalaną, nie ujdziesz potwarzy. Idź do klasztoru, idź! Bądź zdrowa! Albo, jeśli chcesz gwałtem pójść za mąż, idź za jakiego głupca, bo mądrzy wiedzą dobrze, w jakie zmieniacie ich potwory. Do klasztoru! idź, a co prędzej! Bądź zdrowa!

*Ofelia.* Niebieskie potęgi, powróćcie mu rozum!

*Hamlet.* Słyszałem także niemało o waszem różowaniu się. Bóg wam dał twarz jedną, a same dajecie sobie drugą. Podrygujecie, skaczecie, świegoczecie, przekręcacie bożych stworzeń nazwiska i swawolę płaszczem naiwności pokrywacie. Idź z Bogiem. Nie chcę dłużej o tem mówić; to mnie szalonym zrobiło. Powtarzam, nie będziemy mieli nadal małżeństw. Ci, którzy już się pożenili, wszyscy prócz jednego żyć będą, reszta zostanie, jak jest. Do klasztoru! idź! *(Wychodzi).*

*Ofelia.* O, jak szlachetny duch tutaj w ruinie!
Szabla żołnierza, dworaka spojrzenie,
Wymowa mędrca, kwiat, nadzieja państwa,
Zwierciadło mody i wzór wszelkiej formy,
Przedmiot rozwagi rozważnych zgubiony!
Ach! z wszystkich dziewic jam jest najbiedniejszą,
Com ssała miody słodkich jego przysiąg!
Dziś widzę rozum szlachetny, wszechwładny,
Jak dzwon pęknięty, bez tonu, ochrypły;
Nadziemską piękność i młodości kwiaty
Szałem zwarzone. Jak cierpię, gdy pomnę,
Com wprzód widziała, a co dziś przytomne!

*(Leon Ulrich).*

---

## 4. Koryolan.

Dramat rozpoczyna się wzburzeniem ludu, który winę głodu i nędzy swej przypisuje patrycyuszom a najmocniej rozjątrzony jest przeciwko wyniosłemu i pogardliwie traktującemu motłoch Kajusowi Marcyuszowi, wnukowi króla Ankusa. Wśród wrzasków rynku i pogróżek pospólstwa, zjawiają się senatorowie dla uspokojenia wzburzonych umysłów. Meneniusz Agryppa prawi ludowi znaną bajkę o żołądku (senacie) i innych członkach ciała ludzkiego. Kajus Marcyusz, nadszedłszy, zamiast głaskać tłum rozjadły, łaje go i lekceważeniem wyzywa. Wtem wieść o niebezpieczeństwie, grożącem Rzymowi ze strony sąsiednich Wolsków, budząc trwogę wśród ludu, sprowadza jego uspokojenie. Kajus idzie pod wodzą konsula Kominiusza przeciw Wolskom na Koryole, dokazuje cudów męstwa i zdobywa sobie przydomek Koryolana. Za powrotem senat, w nagrodę świetnych jego czynów, chce go okrzyknąć konsulem, lecz na to potrzeba zezwolenia ludu, a stary obyczaj wymaga, aby kandydat prosił lud o głosy za sobą, pokazując mu blizny po ranach. Dla Koryolana zalecanie się takie jest wstrętnem, na prośby jednak przyjaciół, czyni pozornie przynajmniej zadość zwyczajowi, tylko słowa szydercze i lekceważące wciąż mu z ust wylatują. Lud, olśniony jego zwycięstwami, nie zważa zrazu na formę zalecania się Koryolana i przyrzeka mu swe głosy. Ale trybunowie ludu, Brutus i Sycyniusz, lękając się przewagi znakomitego wojownika a wyniosłego patrycyusza, nastrajają znowu niechętnie tłumy, które cofają swe głosy. Przyjaciele radzą ukorzyć się Koryolanowi, ale ten dopiero na błaganie matki swej Wolumnii, którą czci i kocha nad wszystko, pokonywa w sobie oburzenie i obiecuje łagodnie do ludu przemówić. Porywczy atoli temperament zwycięża, nie może znieść, gdy go trybunowie o zdradę oskarżyć pragną. Oto scena tego tragicznego ważenia się losów bohatera.

*Koryolan.* O głos upraszam.
*Dwaj trybunowie.* Masz głos; więc słuchamy.
*Koryolan.* Czy się obecnie skończy cała sprawa
I czy stanowczy dziś zapadnie wyrok?
*Sycyniusz.* Odpowiedz najprzód, czyli się poddajesz
Woli narodu, uznajesz trybunów?
Czy jesteś gotów z posłuszeństwem przyjąć
Karę prawami ludu stanowioną
Przeciw występkom, których ci dowiedziem?
*Koryolan.* Jestem gotowy!
*Meneniusz.* Słyszycie? gotowy!
Zważcie zasługi, które w wojnie oddał,

Myślcie o ranach, co na jego ciele
Są jakby groby na świętym cmentarzu.
*Koryolan.* Draśnięcie ciernia — śmiechem mówić o nich.
*Meneniusz* Rozważcie potem, że to stary żołnierz,
Obywatelskiej wymowy nie świadom;
Gdy mu się jakie szorstkie wymknie słowo,
Nie bierzcie tego za znak nienawiści,
Ale za skutek żołnierskiej natury.
*Kominiusz.* Dość tego, skończmy!
*Koryolan.* Dla jakich powodów,
Gdyście mi dali konsulowską godność,
W godzinę później chcecie mnie zbezcześcić
I odbieracie, coście sami dali?
*Sycyniusz.* Odpowiedz wprzódy na nasze pytanie!
*Koryolan.* Prawda, to moja powinność, więc słucham!
*Sycyniusz.* Więc cię oskarżam, że myślą twą było
Obalić wszystkie prawne Rzymu władze,
A zostać miasta naszego tyranem.
Za to cię zdrajcą ludu ogłaszamy.
*Koryolan.* Zdrajcą?
*Meneniusz.* Pamiętaj, coś przyrzekł, łagodnie!
*Koryolan.* Ja zdrajcą ludu? Z samego dna piekła
Niech wszystkie ognie lud ten dziś owioną!
Zdrajcą mnie zowiesz? Pyszałku trybunie,
Gdyby w twych oczach tysiąc było śmierci,
W twych pokurczonych rękach sto tysięcy,
A w twym kłamliwym języku miliony,
I wtedy jeszcze powiedziałbym: kłamiesz! —
Głosem tak śmiałym, jak kiedy się modlę.
*Sycyniusz.* Czy słyszysz, ludu?
*Obywatele.* Na skałę! na skałę![1])
Precz z nim na skałę!
*Sycyniusz.* Cicho! nie potrzeba
Nowych zaskarżeń przyrzucać do starych,
Bo to, co zrobił, i to, co powiedział,
Bo te obelgi naszym urzędnikom,
Te na was samych miotane przekleństwa
I opór prawu, harde się stawienie
W obliczu sądu wszechwładnego ludu —
Wszystkie te zbrodnie, wielkie, niezliczone
Śmierci są godne.
*Brutus.* Zważając jednakże
Na dawne jego dla Rzymu zasługi —
*Koryolan.* Co o zasługach paplesz?
*Brutus.* Co wiem, mówię.

[1]) tj. na skałę tarpejską w Rzymie, skąd strącano zdrajców w przepaść.

*Koryolan.* Ty?
*Meneniusz.* Tak-że słowo, dane matce, chowasz?
*Kominiusz.* Zważ tylko proszę —
*Koryolan.* Na nic już nie zważam!
Niechaj mię skażą na tarpejską skałę,
Odarcie skóry, powolną śmierć głodną,
Niech się jak wygnaniec wałęsam po ziemi,
Do tego stopnia nie spodlę się nigdy,
Bym jednem słowem żebrał o ich łaskę.
Nigdy, za wszystko, co dać w ich jest mocy,
Nigdy przed nimi duszy nie ukorzę,
Choćbym miał tylko powiedzieć: dzień dobry!
*Sycyniusz.* Zważywszy zatem, że, ile był w stanie,
Przeciw ludowi zgubne spiski knował,
Wydrzeć mu pragnął władzę posiadaną;
Że dziś nakoniec wściekłość swą wyzionął
Nie tylko w sędziów swoich obecności,
Lecz przeciw świętej sędziów tych osobie:
W imieniu ludu, my, jego trybuni,
Na wywołanie skazujem go z miasta.
A gdy się kiedy skazany banita
Przekroczyć bramy zuchwale odważy,
Z tarpejskiej skały niech będzie strącony.
W imieniu ludu niechaj tak więc będzie!
*Obywatele.* Niechaj tak będzie! Precz z nim! Precz z banitą!
Jest wywołany, i niechaj tak będzie!
*Kominiusz.* Moi panowie, moi przyjaciele...
*Sycyniusz.* Wyrok już zapadł — nie ma posłuchania.
*Kominiusz.* Słuchajcie chwilę. I jam był konsulem,
Noszę na sobie znaki szabli wrogów
I ja ojczyzny mojej szczęście kocham
Z głębszem uczuciem i świętszą miłością,
Niż moje życie, żony mej i dzieci;
Jeśli więc mówisz —
*Sycyniusz.* Wiemy, co chcesz mówić.
*Brutus.* Nie pora mówić; już jest wywołany,
Jak nieprzyjaciel ludu i ojczyzny.
Niech więc tak będzie!
*Obywatele.* Tak, tak, niech tak będzie!
*Koryolan.* Ha, sforo kundli, której mi oddechy
Tak nienawistne, jak bagien wyziewy!
O waszą miłość mniej dbam, niż o ścierwo,
Co swą zgnilizną zatruwa powietrze.
Nie wy mnie, ja was teraz banituję;
Zostańcie tutaj w waszej nieprawości!
Drżyjcie jak listek na każdą wieść głuchą!
Na każdy powiew piór nieprzyjacielskich
Blednijcie z strachu! Zachowajcie władzę

Banitowania tych, co was bronili,
Aż głupstwo wasze, zdolne to pojmować
Tylko, co czuje, w waszem odurzeniu,
Przeciw wam samym wściekłość swą obróci,
Na łup was wyda, nędznych niewolników,
Sąsiadom, co was bez wojny pobiją!
Z pogardy dla was opuszczam to miasto.
Jest świat gdzieindziej...

Koryolan udaje się do wodza Wolsków Aufidyusza i łatwo skłania go do wyprawy na Rzym. Zwycięski był jego pochód; trwoga straszna zapanowała w rodzinnem jego mieście. Napróżno przyjaciele jego Kominiusz i Meneniusz błagali go o powstrzymanie napadu. Wreszcie matka wraz z żoną Koryolana Wirgilią i jego synkiem oraz poważaną przezeń matroną Waleryą udają się do obozu Wolsków, ażeby ubłagać obrażonego w swej dumie bohatera. W duszy Koryolana zachodzi straszna walka pomiędzy czcią i miłością dla matki, a pragnieniem zemsty i obowiązkiem dotrzymania obietnicy danej Aufidyuszowi.

*Koryolan.* Lecz precz uczucie! Precz z mojego serca
Wszystkie natury i prawa i względy!
Zakamieniałość niechaj cnotą będzie!
Próżne pokłony; — te gołębie oczy *(żony Wirgilii)*,
Których spojrzenie bogów nawet samych
Zdolneby skłonić do krzywoprzysięstwa!
Mięknie mi serce — nie z twardszej ja gliny,
Niż inni ludzie byłem ulepiony.
Ach, matka moja chyli się przede mną,
Jakby się Olimp kłaniał kretowisku,
Z pokorną prośbą, i synek mój mały
Tak błagające ku mnie zwraca oko,
Że mi natura woła: „nie odmawiaj!“
Nie, niech na gruzach Rzymu Wolski orzą,
Italię zryją; nie będę gąsięciem,
Nie będę słuchał rozkazów natury,
Będę, jak gdybym sam stwórcą był moim,
Nie znał rodzeństwa.

*Wirgilia.* Panie mój i mężu!

*Koryolan.* Inne to oczy niż te, com znał w Rzymie.

*Wirgilia.* Tak myślisz, bo tak wielkie w nas przemiany
Smutek porobił.

*Koryolan.* Na me zawstydzenie,
Jak głupi aktor roli-m swej zapomniał.
O, droga! przebacz memu okrucieństwu,
Nie mów mi tylko: „ty przebacz Rzymowi!“
O, daj mi, daj mi pocałunek długi,
Jak me wygnanie, słodki jak ma zemsta!
Świadkiem mi niebios zazdrosna królowa *(Junona)*,
Że to całunek, którym z sobą zabrał
I na mych ustach dziewiczo zachował.
Lecz, ach, szczebiocząc z tobą, zapominam,
Żem nie pozdrowił najgodniejszej matki! (Klęka).

Kolano moje, wryj się teraz w ziemię,
Poszanowania głębsze zostaw ślady,
Niżli kolano pospolitych synów.

*Wolumnia.* Wstań! Ja na twardym krzemiennym klęczniku
Klęknę przed tobą, objawię pokorę,
Przemienię rolę matki na dziecięcia. (Klęka).

*Koryolan.* Przed zawstydzonym, matko, klękasz synem?
A więc kamyki na piaszczystych brzegach
Gwiazdom niech grożą! Niech zuchwałe wiatry
Cedry ciskają na słońce ogniste!
Niepodobieństwo niechaj zamordują,
Co być nie może, łatwem niechaj zrobią!

*Wolumnia.* Tyś mym żołnierzem, bo ja ci pomogłam
Zostać, czem jesteś. Czy znasz tę matronę?
(Wskazuje Waleryę).

*Koryolan.* To jest szlachetna Publikoli siostra,
To księżyc Rzymu, tak czysta, jak lodu
Kryształy ścięte z najczystszego śniegu,
A na świątyni Dyany wiszące.
Droga Waleryo!

*Wolumnia.* Syn, żona twoja, ja i ta matrona
Zanosim prośbę...

*Koryolan.* Nie kończ, matko moja;
Albo nim skończysz, pomyśl wprzódy o tem,
Że co odrzucam, związany przysięgą,
To wam nie może wydać się odmową.
Nie żądaj, bym mych rozpuścił żołnierzy,
Z czeladzią rzymską chciał kapitulować.
Nie mów, że jestem twym synem wyrodnym,
Nie chciej łagodzić zemsty mej i gniewu
Rozumowaniem zimnem.

*Wolumnia.* Dosyć tego!
Choćbym milczała, ubiór nasz i postać
Jasno ci mówią, jak bolesne życie
Wiodłyśmy w Rzymie od twego wygnania.
Pomyśl, jak nasze cierpienie prześciga
Wszystkich żyjących niewiast los nieszczęsny,
Gdy na twój widok, miast błyszczeć weselem,
Źrenice nasze gorzką łzą zachodzą,
A serca, zamiast bić w piersiach radośnie,
Drżą nam z bojaźni, smutku i rozpaczy,
Bo matka, żona, dziecię twoje widzą,
Że syn, małżonek, ojciec własną ręką
Szarpie okrutnie wnętrzności ojczyzny.
Nieprzyjaźń twoja dla nas najsmutniejsza,
Bo ty nam bronisz modlić się do nieba,
Co jest pociechą wszystkich nieszczęśliwych.
Jakże, niestety, zanieśćbyśmy mogły

Modlitwy nasze za naszą ojczyznę
(Co jednak naszą świętą powinnością)
A razem modły za twoje zwycięstwo
(Co równie świętą powinnością naszą)?
Albo musimy ojczyznę utracić,
Tę karmicielkę drogą, albo ciebie,
Jedyną naszą w ojczyźnie pociechę.
Którebądź z naszych życzeń się wypełni,
Z którejbądź strony wypadnie zwycięstwo,
Cierpienie tylko będzie naszą dolą,
Bo, lub ty, synu, jak wróg przeniewierczy
W więzach po naszych przeciągniesz ulicach,
Lub jak zwycięsca nasz gruz będziesz deptał,
Odbierzesz palmę za to, żeś odważnie
Przelał krew żony twojej i twych dzieci.
Co do mnie, synu, nie jest moją myślą
Czekać, aż wojnę rozstrzygnie fortuna.
Gdy mimo próśb mych nie chcesz obu stronom
Równie szlachetnej wyświadczyć usługi,
Lecz wolisz jednej sprowadzić ruinę, —
Wiedz, żo do naszych nie zbliżysz się murów,
Nie depcząc wprzódy po matki twej łonie,
Z któregoś wyszedł do światła i życia.

*Wirgilia.* Po mojem także, które ci wydało
Twojego syna, aby twoje imię
W najdalsze wieki u ludzi przechował.

*Syn.* Po mnie nie będzie deptał, bo ucieknę,
Lecz bić się będę, gdy w męża urosnę.

*Koryolan.* Kto się rozrzewnić nie chce, jak niewiasta,
Niech nie spogląda na dziecko i żonę.
Zbyt długo-m słuchał (wstaje).

*Wolumnia.* O, nie! zostań jeszcze.
Gdybyśmy chciały, żebyś Rzym ratował
Ofiarą Wolsków, którym dzisiaj służysz,
Mógłbyś się skarżyć, że honor twój krzywdzim;
Lecz my błagamy o wzajemną zgodę,
Żeby i Wolskom wolno było mówić:
„Takie mieliśmy dla nich miłosierdzie“ —
I z Rzymian każdy aby mógł powtórzyć:
„Jak wróg nasz z nami postąpił szlachetnie!“ —
I żeby wszyscy wykrzyknęli społem:
„Niechaj ci bogi za to błogosławią,
Żeś między nami pokój ten ułożył!“
Wiesz, synu, wojny niepewne wypadki,
Ale to pewna, że gdy Rzym podbijesz,
Jedynym zyskiem twoim będzie imię
Wszędzie i wszystkich ścigane przekleństwem.
Dzieje powiedzą: „Mąż to był szlachetny,

Ale tym czynem szlachetność swą zmazał,
Ojczyznę zabił i na wieków wieki
Ludzkich pokoleń będzie obrzydzeniem".
Nieprawdaż, synu, zawsześ miał na myśli
Szlachetną żądzę honoru i sławy;
Wielkością duszy bogom chciałeś zrównać,
Powietrzne sklepy rozdzierać piorunem,
Lecz strzałą jego dęby tylko trzaskać.
I czemuż milczysz? Alboż ci się zdaje,
Że to jest godne wielkiego człowieka
Tleć wieczną zemstą za doznaną krzywdę?
Przemów doń, córko; on z łez twych się śmieje.
Mów i ty, chłopcze, może twe dzieciństwo
Silniej nim wstrząśnie, niż nasze rozumy.
Nikt więcej matce od ciebie nie winien,
Pozwalasz przecie, jakby skrępowany,
Bym żebrząc długie zanosiła prośby.
Nie, nigdyś dobrym dla matki twej nie był,
Gdy ona przecie, niby biedna kwoka,
O żadne inne nie troszcząc się pisklę,
W bój cię gdakaniem wiodła, a po bitwie
Przywoływała z tryumfem do domu.
Powiedz, że prośba ma niesprawiedliwą,
Odpędź mię; ale jeżeli tak nie jest,
Występnym jesteś i Bóg cię ukarze,
Żeś nie miał względów matce przynależnych.
Odwraca oczy. Klęknijcie, niewiasty,
Niechaj go nasze kolana zawstydzą!
Więcej w nim dumy budzi jego nazwa
Koryolana, niż błagania nasze
Budzą litości w skamieniałem sercu.
Więc na kolana! Po raz to ostatni.
Potem do Rzymu wrócimy, by razem
Na śmierć z naszymi czekać sąsiadami.
O spojrz, spojrz na nas! Czy widzisz? To chłopię,
O co chce błagać, powiedzieć nie zdolne,
Lecz z nami płacze i podnosi ręce
I z większą siłą prośbę swą popiera,
Niż ty jej znajdziesz, by prośbę odrzucić.
Idźmy! Ten człowiek miał Wolskę za matkę·
Przypadkiem dziecko do niego podobne,
Bo żona jego w Koryolach mieszka.
Odpraw nas, czas już! Zachowam milczenie,
Póki nie będzie w ogniu miasto nasze,
A wtedy jeszcze słów przemówię kilka.

*Koryolan.* O, matko, matko! (trzyma ją za rękę w milczeniu).
Matko! co zrobiłaś?
Spojrz, niebo stoi otworem, a bogi

Z tej sceny przeciw naturze się śmieją.
O, matko! Wielkie odniosłaś zwycięstwo,
Szczęsne dla Rzymu, lecz dla twego syna,
Wierz mi, o wierz mi, zwycięstwo to smutne,
Jeśli nie będzie dla niego śmiertelne.
Lecz mniejsza o to.
Niewiasty, za wasze usługi
Rzym wam zbudować powinien świątynię.
Italii całej miecze sprzymierzone
Takich warunków zyskaćby nie mogły.

*(Leon Ulrich).*

Koryolan odstępuje od Rzymu; Aufidyusz zaś, zazdrosny o sławę wojenną, jaką on zdobył, pozyskawszy sobie stronników, oskarża wobec senatu Wolsków Koryolana o zdradę, a uprzedzając wyrok, przeszywa go mieczem.

Tłomaczeń dramatów Szekspira mamy sporo. Oprócz dawniejszych J. Kefalińskiego czyli Hołowińskiego i Placyda Jankowskiego (3 tomy, Wilno 1840 — 1847), Komierowskiego (3 tomy, Warszawa 1857 — 1860), Stanisława Koźmiana (2 tomy, Poznań 1866 — 1869), jest zbiorowe wydanie illustrowane pod redakcyą J. I. Kraszewskiego (3 tomy, Warszawy 1875 — 1876), dalej przekład Leona Ulricha w 12 tomach, Kraków 1895 i przekład różnych, wydany pod redakcyą H. Biegeleisena w 10 tomach (Lwów 1895).

## VII. Ben Jonson.

### Pamięci mojego ukochanego mistrza, Williama Szekspira.

(W skróceniu).

Szekspirze! nie z zazdrości ku mistrza potędze
Tak górne składam hołdy twej sławie i księdze...
To głos wszystkich. Nie! nie tą drogą uwielbienia
Ja uczcić chcę majestat twojego imienia.
Zaprawdę, splamiłbym się tym głupoty grzechem,
Co grzmiąc najgłośniej, tylko cudzych słów jest echem,
Lub ślepem zachwyceniem, co prawdy przed oczy
Nie stawia, nie posuwa, lecz omackiem kroczy;
Lub z złością i podstępem, co pod maską chwały
Rzekomo czcząc, podkopać i zgubić-by chciały:
Nie! ty stoisz bezpieczny, wyższy nad grę losów,
Nad zazdrość, a pochlebnych nie trzeba ci głosów.
Więc tak zacznę: Ty duszo wieku, i do zgonu
I po zgonie, ty cudzie sceny Albijonu,
O, powstań, mój Szekspirze! Za dźwięki twe wieszcze,
Ja ciebie przy Chaucera boku nie umieszczę,
Ni przy Beaumoncie[1]), ale przy wielkim Spenserze,

[1]) Franciszek Beaumont, dramaturg angielski, zmarł 1616 r.

Lub żeby posunęli swe śmiertelne leże
Dla ciebie, o to prosić nie będę ich obu:
Wszak ty jesteś sam sobie pomnikiem, bez grobu,
I żyjesz jeszcze, póki twa księga żyć będzie,
Czarując duchy w wiecznym ku pięknu popędzie...
Więc cześć ci, cześć, Brytanio, tyś zrodziła syna,
Przed którym dziś Europa kolano ugina,
Jak ugiąłby je zmarły świat Rzymian i Greków...
Tyś był nie mężem wieku, tyś mężem wszechwieków:
O, jeszcze snem wiosennym drzemało muz plemię,
Gdyś ty, jak bóg Apollo, zstąpił na tę ziemię,
Byś nam, jak ten, ogrzewał słuch grzmiącemi chóry,
Czarował urokami sztuki, jak Merkury —
Natura sama, dumna z jego arcytworów,
Tak sobie podobała w przepychu kolorów
Tych szat, w które ubrały ją twoje piosenki,
Że odtąd już nie zechce mieć innej sukienki..
Szekspirze! tyś był wzorem takiego pieśniarza
I oto, jak się w dzieciach twarz ojca powtarza,
I żyje po swym zgonie, tak duszy twej znamię
Tyś odbił w twoich pieniach, wielki Wiliamie!
...O, gdybyś, ty łąbędziu słodki z nad Avonu,[1])
O, gdybyś nad Tamizą, budząc się ze zgonu,
Rozwinął jeszcze skrzydła z tym czarem poety,
Nad którym się zdumiewał duch naszej Elżbiety!...
Lecz próżne to marzenie, próżne to zaklęcie:
Jak gwiazda, dziś ty świecisz tam na firmamencie.
Świeć, świeć, gwiazdo poetów, niech twoje promienie
Wskrzeszają ducha w naszej walącej się scenie:
Zaćmiłaby się ona, gdyby na jej lica
Nie promieniała życiem twoich dzieł skarbnica.

*(Feliks Jezierski).*

## VIII. Jan Milton.

### Raj utracony.

Bóg zrodził swego syna jednorodzonego, powołuje więc aniołów, aby zgięli przed nim kolano i cześć mu jako panu swemu złożyli. Aniołowie głośno radość swą wyrażają. Jeden tylko książę niebieski oburza się na rozkaz Pana, nie chcąc młodszemu podlegać. Wraz z przyjaciołmi swymi i sługami, stanowiącymi trzecią część wszystkich zastępów niebieskich, wyrusza potajemnie, aby się w odległem swem państwie przygotować do otwartego buntu. Bóg nie gardzi walką z przeciwnikiem; wielkość jego potęgi powinna się ukazać oczom wszystkich. Wojska niebieskie, z Michałem i Gabryelem na czele, szykują się do boju; z drugiej zaś strony zbierają się buntownicy pod dowódz-

[1]) Stradford, miejsce urodzenia Szekspira, leży nad Avonem.

twem Szatana, stojącego na wozie jasnym jak słońce, ciągnionym przez płomienistych Cherubów. Następują bitwy po bitwach. Zapadłoby się całe niebo, gdyby sam Bóg nie nakazał dzikich mordów zaprzestać. Na trzeci dzień atoli Syn Boży wyrusza do walki. Po jego prawicy bóstwo zwycięstwa z orlemi skrzydłami, na nim wisi łuk i sajdak, w orszaku jego są miliony świętych, a obok jedzie 20 tysięcy wozów wojennych. Wznosi się okrzyk powszechnej radości. Niebo pozbywa się swego spustoszenia, świeże kwiaty wyrastają nanowo. Już Szatan ze zwolennikami swymi chce rozpocząć morderczą walkę nawet z tym poświęconym Synem Boga, gdy on wypuszcza 10 tysięcy błyskawic przeciw opornym. Ich miecze opadają bezsilne ku ziemi; jak trzoda kóz, burzą zaskoczona, rozbiegają się w różne strony; przerażenie i bojaźń napełniają ich dusze. Niebo się rozwiera, głąb nieprzejrzaną paszczę im swoją nadstawia, głową nadół wpadają w przepaść. Pickło się trzęsie pod ich ciężarem. Królestwo Boże odnosi tryumf. Bóg atoli jest miłością; rozdziela światło od ciemności; z ponurego chaosu stwarza świat nowy, a dla świata tego stwarza pierwszych ludzi.

To wszystko opowiada poeta w ciągu swego utworu, który rozpoczyna się od obrazu Szatana, strąconego w przepaść piekielną:

Odtąd, kiedy chciał z tronu Najwyższego zwalić,
Nie przestawał go płomień czarnej zemsty palić:
Kiedy pychą nadęty, dumny, niespokojny,
Wzniecił w niebie zuchwalec srogi pożar wojny,
I hardo zaufany w sile swego męstwa,
Odważył się dać walki plac Bogu zwycięstwa.
Próżno się miotał: z góry wszechmocnego mściwą
Prawicą został w przepaść wtrącony straszliwą.
Smutny upadek, cierpi zasłużoną mękę,
Że śmiał podnieść zuchwałą przeciw Bogu rękę.
Na wieczne skazan w więzach niezłomnych pożary,
Należytę odbiera za zuchwalstwo kary.
Przez dni dziewięć i nocy, jak na ziemi liczą,
Nurzał się w ognia wałach z kupą buntowniczą.
A chociaż nieśmiertelny, utraciwszy czucie,
Cierpiał na czas niebieskiej natury wyzucie.
Na większe go nieszczęścia gniew niebios wystawia,
I sama nieśmiertelność sroższy los mu sprawia.
Tu kiedy i co stracił, i co wziął, obaczy,
Przeszłość go dręczy, przyszłość pogrąża w rozpaczy.
Naokoło rozciąga zasępione oko,
Widać, jak go żal ściska na sercu głęboko,
Lecz razem złość go pali i duma bezbożna.
Patrzy i, jak anielskim wzrokiem sięgnąć można,
Widzi miejsca przeklęte, puste, obelżywe,
Ze sklepień wybuchają pożary straszliwe:
Srogie więzienie, ogień ustawny w niem pała!
Przecież w grubych ciemnościach ta jaskinia cała
Słabe tylko światełko i ciemne wydaje,
Żeby przy niem te smutku widać było kraje.
Bólu państwo! okropna przed oczyma nędza
Precz spoczynek, precz pokój żądany odpędza,
Nawet nadziei, która znajduje się wszędzie,
Niemasz tam żadnej, niemasz, i nigdy nie będzie.

Tam bez końca męczarnie, tam w ciągłym potopie
Niestrawną nigdy siarkę, ogień na karm żłopie.
Tak buntowniki wieczna sprawiedliwość karze
I w takim ich na zawsze zalała pożarze.
Przepaść ta trzykroć dalej od szczęścia świątnicy,
Niż oś najwyższa świata od swojej średnicy.

Szatan, ocknąwszy się, widzi wspólników swoich pogrążonych w ognistym potoku, a między nimi najpierwszego po sobie w mocy i w zbrodni Belzebuba; wchodzi z nim w rozmowę i stara się w nim zażedz płomień nienawiści wiecznej ku Bogu i rozbudzić nadzieję, że znajdzie się jeszcze sposobność wyjścia z niewoli piekielnej i dokuczenia »tyranowi«. Puszcza się na wędrówkę po krainie ciemności.

Głowę podniósł zuchwałą nad wały ogniste,
Na których leży jego ciało rozłożyste:
A ogromna postawa członkami strasznymi,
Tyle miejsca zajmuje, jak owi olbrzymi,
Ziemi ród i Tytanów srogich dumne syny,
Głośne w wojnie z Jowiszem zuchwałymi czyny,
Lub ile miejsca większy nad największe zwierzę,
Lewiatan, mieszkaniec Oceanu bierze.
Tego majtek, wieczorem zaskoczony w łodzi,
Lękając się i nocy i morza powodzi,
Gdy na norweskich brzegach śpiącego nadybie,
Mniemając, że na wyspie kotwę topi w rybie,
Ta, gdy się w łuskę wporze, już próżen kłopotu,
Oczekuje bezpiecznie jutrzenki powrotu.
Tak był wielki herszt czartów, tak miejsce obszerne
Olbrzymich członków brzemię zaległo niezmierne.
Cały w więzy okuty, przez wyrok surowy,
Bez woli Najwyższego nie mógł podnieść głowy:
Lecz miał tę wolność, srogie by chuci wywierał,
A tak zbrodnie do zbrodni, kary do kar zbierał
I sam się w potępienia przepaści pogrążył.
Bo człowiek, na którego zgubę zdrajca dążył,
Łaskę niebios pozyska i dobroć bez miary
Szczodrą dłonią największe wyleje nań dary.
Tak się w czarnych zamysłach zawiedzie szkaradnie,
A na niegoż potrójny wstyd, zemsta, gniew padnie.
Dźwiga się, wał siarczysty siłą garnie dłonią,
A za sobą bezdenną zostawuje tonią:
Nakoniec wzmaga skrzydła gwałtownym obrotem,
Gęste zmiata powietrze ociężałym lotem
I gniecie je niezmiernym swych członków ciężarem.
Staje na tęgiej ziemi: lecz i ta pożarem
Nieustannym się pali, więc równie boleje,
Tam wrzała ogniem woda, tu nim ląd goreje.
Kolor jego się zdaje nakształt skały ciemny,
Którą z dymnej Pelory wiatr ciska podziemny:

Ani różny od owych bałwanów siarczystych,
Które Etna z wnętrzności wyrzuca ognistych,
Wiatr je miota po ziemi, wzrusza nawałnice,
Czarnym dymem okrywa całe okolice,
A podgórze, na które ten szpetny klej ścieka,
Przykrym nader zapachem węch razi zdaleka.
Taki był grunt i takie tam wrzały pożogi,
Gdzie arcynieprzyjaciel wsparł przeklęte nogi,
Wierny za nim towarzysz Belzebub się śpieszy.
Kontent Szatan niezmiernie; Belzebub się cieszy,
Że przecież się z przepaści wydźwignęli smutnej,
Bogami się być sądzą, jakby z tej okrutnej
Otchłani wyszli mocą swojego ramienia:
Nie chcąc znać, że to było z Stwórcy dopuszczenia.

Na zwołanej radzie czartów, Belzebub, pochwyciwszy myśl napomkniętą przez Szatana o stworzeniu nowego świata i ludzi, tak ją rozwija:

„Stało się, zguba nasza już nienagrodzona;
Pokoju żadna nie chce, i nie szuka strona:
Jakiż dla niewolnika pokój pan dać może,
Jeżeli nie więzienie, męczarnię, obroże?
A my na jaki pokój możemy się zgodzić,
Tylko dawać mu odpór, napastować, szkodzić?...
Zemstą płacić za zemstę, pałać nienawiścią,
Nie dać mu odniesioną cieszyć się korzyścią?
Choć nas tak poniżonych, tak zhańbionych widzi,
Niech spokojnie z naszego nieszczęścia nie szydzi.
Nie braknie nam sposobów: ani tu potrzeba
Niebezpieczną wyprawą napastować nieba,
Które dla wież ogromnych i murów warownych,
Nie boi się ni zdrady, ni szturmów gwałtownych.
Lecz jakież przedsięwzięcie jest mniej niebezpieczne?
Jeżeli mię nie myli proroctwo odwieczne,
Jest miejsce, jest świat inny, szczęśliwa osada:
Nowe ją plemię, zwane człowiekiem, posiada;
W tym czasie utworzone, z nami porównane,
Mniej zacne, ale więcej od Boga kochane.
Tak on rzekł i poprzysiągł; a na jego słowa
Okrągłych niebios cała wstrzęsła się budowa.
Do tego miejsca nasze skierujmy obroty,
Doświadczmy, w czem te mocne, w czem słabe istoty:
I to jeszcze w głębokiem namyśleniu zważym,
Czy więcej gwałtem, czyli podstępem dokażem.
Niebo dla nas zamknięte, próżna rada nasza,
Niczem się jego możny władca nie zastrasza.
Ta osada od państwa górnego daleka,
Może nie ma obrońców innych, prócz człowieka;

Tam czegoś dokażemy, możem ją spustoszyć,
Możem słabych mieszkańców wypędzić, rozproszyć,
Możem, jako mocniejsi, w nasze ująć szpony,
Albo uwieść, do swojej przemówić ich strony.
Gniewny, że układ jego poszedł tak opacznie,
Bóg własne swoje dzieło prześladować zacznie.
Zemsta nasza nie będzie zemstą pospolitą,
Zmieszamy jego radość, klęsk naszych niesytą;
Jego zmartwienie jaką w nas pociechę wznieci,
Kiedy to nowe dzieło, gdy te lube dzieci,
Wśród nas wygnane, będą kląć swoją istotę
I początek, i dawcy nieszczęsną szczodrotę.
Weźcież więc na uwagę, czy lepiej to sprawić,
Czyli w piekle osiadłszy, nowe państwo stawić?“

Szatan pośpiesza zamiar uskutecznić. Grzech otwiera mu bramy piekielne. Przez kraj zamętu podąża Szatan, pokonywając tysiączne trudności, do świata nowo-stworzonego. Utorowaną przezeń drogą, która przemieniła się w gościniec długi i szeroki, pójdą kiedyś dusze grzeszników.

Idzie Szatan, na końcu zbliża się do raju,
Piękna równina wpośród zielonego gaju
Pysznej góry zajęła wierzchołek wyniosły;
Na spadzistościach dzikie gęstwiny wyrosły,
Które do niej przystępu zabraniają wcale.
Wśród krzewin różne drzewa wznoszą się wspaniale:
Sosny, palmy i buki i cedry i klony,
Przyjacielskiemi z sobą złączone ramiony,
Wystawują dla oka widowisko śliczne;
A podnosząc stopniami wierzchy niebotyczne,
I nowe cienie z góry rzucając na cienie,
Czynią amfiteatru wspaniałe wejrzenie.
Najwyższy rząd tam wierzchy swoje wyprowadza,
Gdzie płot zielony, nakształt muru, raj ogradza.
Lecz się w górę nienadto podnosi wysoko,
Żeby ojca naszego, kiedy zechce, oko
Mogło widzieć wygodnie bez żadnej przeszkody
I blizkie okolice i dalsze zagrody.
W środku drzewa, płodami dziwnemi ładowne,
Razem noszą owoce i kwiaty szmelcowne.
W nich słońce chętniej swoje wyobraża wzory,
Aniżeli w obłoku w pogodne wieczory,
Albo w łuku wilgotnym, kiedy ziemia mdleje,
A Bóg ją względny rosą niebieską poleje.
Takieto miejsce, takie na niem drzewa rosną.
Woń powietrza równa się z balsamiczną wiosną:
Oddech jego słodyczą niewymowną poi,
Obudza w sercu radość, smutek i żal koi;

Najboleśniejsze czucia zdolny jest złagodzić,
Wiecznej tylko rozpaczy nie może osłodzić.
Miłe Zefiry, lekkie rozciągnąwszy skrzydła,
Wokoło przyrodzone roznoszą kadzidła,
A mruczeniem przyjemnem, dysząc w każdej stronie,
Powiadają, skąd wzięły tak szacowne wonie.
Jak ci, których do Indów bogactw chęć uniosła,
Minąwszy ląd Nadziei, zatrzymują wiosła;
Poczuwszy słodkie wiatru wschodniego powiewy,
Ciągną balsamicznego powietrza wyziewy.
Zdaleka odbierając tak przyjemne dary,
Uśmiecha się i pije woń Ocean stary;
Takiego z woni rajskiej doznawał uczucia
Szatan, który jedynie szedł dla jej zatrucia.

Przypatruje się pięknościom raju z pod drzewa żywota, przewyższającego wszystkie cz nie daje mu uczuć wdzięków, jakie na każdym widzi kroku.

Postrzega dwie istoty, piękniejsze nad inne;
Dało im skład szlachetny niebo dobroczynne.
Podniesione do góry czoło, wzrost wspaniały,
Władnących światem panów jawnie oznaczały.
Wyższość ich uznawało nad sobą stworzenie:
Samą tylko niewinność miały za odzienie.
W oczach jaśniała bóstwa cecha oczywista:
Prawda i mądrość, świętość surowa i czysta,
Ale surowość, którą przyjemność osładza:
A tak jest szacowniejszą ich królewska władza.
Jednak nie są w zupełnej równości oboje,
I każde z nich właściwe ma zalety swoje.
Jedno, zda się, stworzone do myśli i siły:
Drugiemu się zaś dostał wdzięk słodki i miły
I dobroć, która serca najtwardsze zwycięża:
Mąż dla Boga, niewiasta dla Boga i męża.
Wzrok poważny, rozlana wspaniałość na czele,
Wskazywały, że wyższość mąż dostał w podziele.
Jacyntowego kwiatu mające kolory,
Włosy jego się wiły w poważne kędziory:
Głowa niemi przystojnie była ozdobiona,
Lecz dzieląc się na czole, nie szły za ramiona.
Włos drugiej rozpuszczony, lekkim ruchem pływa,
Jak zasłona, wysmukłą postać jej okrywa;
Wije się po jej ciele złotemi zawiązki,
Nakształt winnej około topoli gałązki.
Tak więc na głowie nosi podległości cechę,
W mężu znajduje razem wsparcie i pociechę.
Umie pozyskać, pełniąc Twórcy rozkazanie,
Poddaniem się szacunek, skromnością kochanie,

Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,
Co tem więcej pociąga, że nieco odpycha.

Jakieś tajemnicze współczucie budzi się w sercu Szatana, gdy się przypatrywał pierwszym ludziom, na czole których żywo świecący obraz boski dojrzał; ale nienawiść do Boga, chęć rozpostarcia granic swego państwa zmusza go do stłumienia tej iskry sympatyi i do pragnienia zguby ludzi. Przysłuchuje się bacznie rozmowie Adama i Ewy:

„Ty, która dzielisz ze mną natury szczodroty,
A dla mnieś szacowniejsza nad wszystkie istoty:
Bóg, który nas utworzył i ten świat obszerny,
Musi być tak w dobroci, jak w mocy niezmierny.
Dał nam bytność z niczego, z prochu wyprowadził,
Niezasłużonych w miejscu rozkoszy osadził.
A my, cóż mu dać możem, choć pragniem dać szczerze?
On wszystko ma sam w sobie, daje, lecz nie bierze.
Chce tylko posłuszeństwa, i to poddał próbie:
Mógł-że ofiarę lżejszą z nas warować sobie?
Wszystko, rzekł, jeść możecie, co ten ogród rodzi,
Drzewa umiejętności tykać się nie godzi;
Umrze ten, kto się z niego skosztować pokusi.
Cóż to jest śmierć? zapewne rzecz straszna być musi;
Zagroził nią nam Stwórca, jeżeli przewinim.
Ach! małżonko, my tego nigdy nie uczynim.
Jakże on lekko naszej chce doświadczyć wiary!
Alboż niedość obfite wylał na nas dary?
Dał nam władzę nad światem, dał nam wszystkie płody,
Które liczy powietrze i ziemia i wody.
Uwielbiajmy więc jego dobroć doskonałą,
Słuchajmy: posłuszeństwo będzie naszą chwałą,
Pracujmy, wybujałe ścinając gałązki,
Wilgocią kwiatów młodych wzmagajmy zawiązki.
Zabawą jest, nie pracą, to czułe staranie:
Praca nawet przy tobie rozkoszą się stanie“.
Ewa na to: „Dla ciebie i z ciebiem została
Stworzona, wszakże jestem ciałem z twego ciała,
Bez ciebie bytność moja nie miałaby celu.
O mężu! o przewódco! o mój przyjacielu!
Głos prawdy w ustach twoich. Nieśmy uwielbienia
Twórcy, tak łaskawemu na swoje stworzenia.
Składajmy u stóp tronu nieskończone dzięki,
Ja szczególniej, że ciebie dzierżę z jego ręki.
Ach! mojego uczucia głos nie wytłómaczy;
Nad ciebie nic nie widzi świat i nie obaczy!
W tej społeczności moje jest uszczęśliwienie.
Zawsze ten dzień pamiętam, gdy światła promienie
Zdziwione oczy moje pierwszy raz otwarły.
Na darni, gdzie cień miły drzewa rozpostarły,

Leżałam niewiedząca, skąd, gdzie i czem jestem;
Blizko strumyk z przyjemnym wytryskał szelestem,
Aż w nim odbite nieba sklepienie postrzegłam:
Nie mając doświadczenia, natychmiast pobiegłam
I na brzegu schylona, wpatruję się w wody.
Wtem widzę jakąś postać przedziwnej urody,
Równie schyloną do mnie: patrzę, patrzy ona,
Oddalam się i postać razem oddalona.
Nowy mnie ku niej pociąg, ją wiódł ku mnie, obie
Czułyśmy jakąś skłonność nawzajem ku sobie.
Możeby był i dłużej ten widok mię łudził,
Kiedy mnie z zachwycenia głos mocny obudził:
Siebie samą oglądasz w tej płynnej równinie,
Z tobą ten obraz piękny zjawia się i ginie.
Pójdź, ja cię poprowadzę: nie cień, lecz człowieka
Godnego ciebie ujrzysz; na twe przyjście czeka.
Ten cię sercem przyzywa, któregoś obrazem,
Z nim w nierozdzielnym związku będziesz czuła razem.
Dasz mu podobne tobie niezliczone dziatki,
Skąd chlubne imię nosić masz żyjących matki.
Nie oparłam się, skrytem wiedziona natchnieniem.
Widziałam w tobie piękność, wspaniałość i godność,
Cień jednak w wodzie większy miał wdzięk i łagodność.
Cofam się, twój mię widok miesza i zdumiewa,
Tyś wstał i rzekł: wstrzymaj się, wstrzymaj, piękna Ewo.
Cóż-to! nie będziesz żyła w mojej społeczności?
Tyś ciałem z mego ciała, kością z moich kości.
Dałem najbliższe serca żebro z mego boku,
Przy nim jest miejsce twoje ze Stwórcy wyroku.
Nie odstąpię cię, ty mnie towarzyszysz wszędzie,
Twoja społeczność życia mego szczęściem będzie.
W tobie istoty mojej połowę oglądam,
Więc od ciebie połowy drugiej słusznie żądam.
Ścisnąłeś mię za rękę, a jam się poddała.
Widzę, że mądrość prawa, mądrość doskonała,
Sama piękna, i żadna piękność jej nie zrówna".

*(Franciszek Ksawery Dmochowski).*

Szatan grzesznemi snami usidla serce Ewy tak, że poczuwa ona chętkę nigdy przedtem niedoznawaną, do samotnej przechadzki po raju bez towarzystwa Adama. Napróżno ostrzega ją Rafael, chętnie wśród ludzi bawiący anioł; chytrze mu odpowiada Ewa: czyż bylibyśmy szczęśliwi, gdybyśmy w ciągłej żyli obawie? Coś ją ciągnie nieprzeparcie do drzewa zakazanego. Zbliża się do niej wąż, promieniejący pięknością i posiadający mądrość nieskończoną; Ewa pyta go zdziwiona, skąd ma taką piękność i mądrość? A wąż wskazuje drzewo wiadomości i słowy zwodniczemi wychwala przyjemność zakazanych owoców, które Bóg dlatego ludziom jeść zabronił, że ci poznawszy dobre i złe, staliby się jemu równymi. Ewa zrywa owoc i zjada go; napełnia ją zachwyt niewypowiedziany. Szybko śpieszy do ukochanego, by się z nim nowem szczęściem podzielić. Zgroza przejmuje Adama; a jednak nie może się rozstać z Ewą; śmierć raczej zniesie, niż życie wiekuiste bez niej. Nie rozumem, lecz miłością zwyciężony, pożywa

owoc. Szalone upojenie napełnia oboje; niewinna dawniej rozkosz czułego uścisku po raz pierwszy zmienia się dla nich w grzeszną rozkosz zmysłową. Wstyd ich ogarnia; budzą się wszystkie złe chuci; szczęście i spokój znikły na zawsze. Drżąc oczekują wyroku niebios; ale Bóg jest łaskawy i litościwy; anioł ukazuje im klęski, jakie wskutek kary za grzechy spadną na przyszłe pokolenia, a od których ludzie oswobodzeni zostaną kiedyś dopiero przez dobrowolną śmierć Chrystusa, siedzącego teraz po prawicy Ojca; im samym zaś zapowiada, że obecnie przyjdą na nich cierpienia i męczarnie ziemskie. Zjawiają się straszliwe płomienie i poczwary ogniste; przepływają one przez Eden, niegdyś tak wdzięczny. Adam i Ewa odchodzą pustą drożyną.

Cały poemat Miltona przełożył wierszem na nasz język Jacek Przybylski (Kraków 1791), ale słabo; niektóre wyjątki przetłómaczył Franciszek Ksawery Dmochowski (wyd. 1803 Warszawa, oraz w I-szym tomie »Pism rozmaitych« (1826 Warszawa), »Allegro« i »Penseroso« przełożył J. U. Niemcewicz (»Bajki i powieści« 1820, t. II, 203—213).

## IX. Jan Dryden.

### Potęga muzyki (Na dzień św. Cecylii).

„Oto królewska biesiada...
Filipa chrobry syn
Spełnił zwycięski czyn:
Persya zdobyta — wysoko zasiada
Na tronie cesarskim półbóg młodzieńczy;
Niżej hetmani w dokolnem gronie,
Mirty i róże wieńczą im skronie,
(Tak nieraz pustynię pęk liści uwieńczy).
U boku władcy, przeurodziwa,
Tais wdzięków kwiatem, młodości krwią błyska,
Istna wschodu odaliska.
Szczęśliwa to para, szczęśliwa!
Nikt a nikt — tylko dzielny mąż,
Nikt a nikt — tylko dzielny mąż,
Nikt inny wdzięków tych nie pozyska.
W chórze Tymoteus staje na czele,
Uderzył w lutnię... drżąca, przenajczystsza
W niebo wstępuje pieśń pod dłonią mistrza,
A w serca tchnie święte wesele.
Hołdem Zeusowi brzmią pierwsze tony,
Od chóru pobrzmiewa wtór:
„Wszak on opuścił błogosławiony
Swój olimpijski dwór,
(Miłość, najstarsza z niebieskich có'r
Wsze duchy swą siecią oplata)
I larwa smoka ognisto-skrzydlata
Skłamała boga: jej zwojem obłysnął
Piękną Olimpię, w promieniach zawisnął,
Chwycił w objęcia — i odcisnął
Obraz samego siebie, władcy świata!!“

Wzruszenie, zachwyt w szał się przemienia;
„Tu bóstwo jest“ grzmi okrzyk zdumienia;
„Bóstwo!“ odgrzmiały górne sklepienia,
A w tłumie, ponad bohaterami
Góruje zwycięzca i słucha;
Powstał i pełną piersią w swego ducha
Wdycha to bóstwo: jak bóstwo, brwiami
Zdawał się dawać skinienia,
Zdawał się wstrząsać sferami.
Pod pieśnią w pychę wzbija się król,
Marzy o chwałach wśród krwawych pól,
Trzy razy prze wrogów strzałami przeszytych,
Trzy razy zabija zabitych.
I widzi mistrz, że wzmaga się szał,
Że twarz rumieńcem, wzrok ogniem drgał...
„Dość, dość: wyzwałem ziemie i nieba,
Teraz ten płomień uśmierzyć potrzeba“.
Więc muzę żałobną wybiera,
By wzbudzić litość w duszy bohatera,
Zaśpiewał o Daryuszu: „on panował światu,
Był wielkim, dobrym, dziś... biada, o! biada!
Daryusz upada, upada, upada
Z wysokiego majestatu,
I oto ciało mocarza,
W broczącej krwi się tarza;
Ów tłum, co niegdyś ochoczy
Sycił się jego łaskami szczodremi,
Odstąpił leżącego w marnym prochu ziemi,
I niema, ktoby zamknął konające oczy!“
Smutek ogarnia Marsowego syna,
Spuszcza oczy... i była zadumy godzina,
Zadumy nad Przeznaczeń blaskiem i upadkiem;
Naprzód westchnienia budzą się ukradkiem,
A w końcu łza płynąć zaczyna.

Z kolei poeta śpiewa o rozkoszach kochania, a tak rzewnie, tak czarująco, że zwycięzca, zwyciężony, upada na pierś Taidy... Po miłości, współczuciu i łzach pozostaje do potrącenia struna ostatniej potęgi: hasło zemsty).

„O złota lutnio, uderz na nowo,
W głośniejszą nutę, w drażniące słowo.
Zrzuć pęta snu z jego prawicy,
Wzbudź hukiem grzmotu, błyskiem błyskawicy.
Słuchajcie! oto głos straszliwy
Wstrząsnął jego głową;
Zrywa się, jakby zmartwychwstał... o! dziwy!
Wzrok osłupiały błądzi dokoła...
„Ha! zemsta, zemsta“ śpiewak zawoła:
„Czy widzisz, jak tam piekielną zgrają
Furye się zrywają,

Jak wykarmione piersią każdej jędzy,
Z pod starganej włosa przędzy
Gadziny syczą, jak tam krwawemi oczyma
Wypuszcza iskry trupie to grono,
A każda śmierci pochodnię trzyma...
To duchy Greków, których uśmiercono
Wśród mężobójczej rozprawy —
Tam bez zadatku potomnej sławy,
Bez łez zepchnięci na śmierci łono,
Zalegli pokotem równinę.
Wznieś miecz karzący nad Persów zbrodniami.
Pomścij waleczną drużynę.
To duchy Greków trzęsą pochodniami;
Martwą dłonią wskazują na Persów stolice.
Na wrogich bogów ich złote świątnice!"
I oklask szalony był końcem biesiady;
Król chwyta pochodnię pod hasłem zagłady:
„Na boje, na boje"...
W pochodzie piękna Tais przewodniczy,
Oświeca drogę do przyszłych zdobyczy,
I — jak druga Helena, pali drugą Troję.

. . . . . .

Tak to pra-dawno, nim ciężki miech
Wyzionął pierwszy szeroki dech,
Organy jeszcze były niememi,
Ów mistrz nad mistrzów helleńskiej ziemi
Przez dyszące piersi fletu,
Przez melodyjny lutni dźwięk
Wyzywał z duszy boleści jęk,
Miłość i wściekłą żądzę odwetu.
Aż oto weszła w progi świątyni
Głosowych form wynalazczyni,
Ta marzycielka arcy-święta,
Cecylia — cenne rozwarła skarbnice,
Stargała dawnej muzyki pęta,
Rozwarła ciasne harmonii granice.
Więc hołd jej, hołd wiekuisty!
Ona w ton nikły, acz uroczysty
Wcieliła nowy nerw:
Ciągłość — a wszystko to sprawiła
Matki natury wszechtwórcza siła
I cuda sztuki, nieznane pierw..
Wieszczu przedwieczny, odstąp jej tryumfy swoje,
Lub się koroną podzielcie oboje.
On wzniósł ku niebu śmiertelnych plemię,
Ona anioła zwabiła na ziemię. *(F. Jezierski).*

Odę tę p. t. »Uczta Aleksandra albo Władza muzyki« przełożył w całości J. U. Niemcewicz, zob. »Bajki i powieści«, Warszawa, 1820, t. II, str. 138—146.

## X. Jonatan Swift.

### Medytacye nad starą miotłą.

Tę miotłę, co w tym kąciku
Niedbale widzisz rzuconą,
Niedawno w naszym gaiku
Pełną soków i zieloną
Widziałem na własne oczy,
A dziś robactwo ją toczy!
Napróżno człowiek, choć przeczy natura,
Chce ją naprawić, pychą się zaślepia,
I do starego kostura
Ten brudny wiecheć przyczepia;
Niestety! miotła zwiędniała
Nie będzie, czem wprzód bywała,
I owszem całkiem zmieniła figurę:
Wierzch jej na ziemi, korzeń sterczy w górę.
Cała usługa, cała jej zaleta,
Że nią czerwone dziewczysko
Pokoje, nieraz ognisko
Lub sień zbłoconą zamiata.
A zamiatając i mrucząc pod nosem
Nie wie, stworzenie ubogie,
Że niezbędnym jest jej losem,
Gdy pełni posługę nudną,
Czego się dotknie, to robić chędogie,
A samej wiecznie być brudną.
Ale już pono i do tej usługi
Nie będzie miotła braną przez czas długi;
Dobrze zszarzana pójdzie na wierzch śmieci,
Albo nią kucharz ognisko podnieci...
Tak, długo w miotłę mając wryte oko,
Przejęty żałością tkliwą,
Rzekłem westchnąwszy głęboko:
„Zaprawdę, człowiek jest miotłą prawdziwą“.
Przychodzi na świat zielony,
Ale dobrze ukształcony,
Ma włosy, jak ma liście gałązka brzeziny,
Gdyż liście są włosami rozsadnej krzewiny.
Ale wkrótce je traci przez zbytki, mozoły,
A gdy łysy, kiedy leb jak dynia już goły,
Do pomocy wzywa sztukę
I jak ów kostur wiecheć, on bierze perukę,
Kładzie puder, pomadę na tupet wyniosły,
Choć na nim nigdy nie rosły!

Pytam dzisiaj bezstronnego,
Gdyby miotła z wiechcia swego
Tak się chlubiła, jak człowiek z peruki,
Jakby się śmiano z tak niezgrabnej sztuki!
Ale już słyszę, ktoś mi z boku powie:
Miotła jest tylko drzewem, co stoi na głowie.
Lecz i my ludzie czyż tak nie stoimy,
Czyliż na głowach często nie chodzimy?
Czyż niejeden przed władzą w koperczakach zwinny
Nie ma tam głowy, kędy pięty być powinny?
Z tylą jednak słabości, chociaż nieraz chybi,
Do czegoż się człek nie wścibi?
Wszystko poprawia, wszystko wiedzieć żąda
I w każdy kątek natury zagląda.
A stamtąd wymiatając rozmaite brudy,
Kiedy w mniemaniu, że wynalazł cudy,
Dumny przed światem odkrycia swe głosi,
Jak miotła, tuman kurzawy podnosi!
Jeśli ten kostur, wiecheć zaszargany
Jest przez dziewkę tak szarzany,
Ach, w każdej kobiety ręku,
A często nawet bez wdzięku,
Cóżże jest człowiek? Ach, co z nim wyrabia
Płocha lekkość lub złość babia!...
Nie mówmy dalej: obu meta niedaleka
I ten sam koniec miotły, co człowieka.
Gdy mało szczęścia, wiele doma złego;
Gdy się przez chwilę pośmieje, posmuci,
W starości — już niezdatnego
Ktoś, jak ten wiecheć, na śmiecie wyrzuci.

*(J. U. Niemcewicz).*

## XI. Aleksander Pope.

### 1. Heloiza do Abelarda.

Heloiza w walce namiętności z głosem sumienia religijnego, wyraża swą zazdrość względem spokoju nieskażonej westalki i przeciwstawia mu swoje udręczenia.

Jak ona jest szczęśliwą! O świętej kobiecie
Świat na wieki zapomniał i ona o świecie,
Światło słońca wciąż czystą myśl jej opromienia,
Jej modły są przyjęte, milczą jej pragnienia;
Tam na płacz i czuwanie sny są posłusznemi,
Koją boleść i błahe wrażenia tej ziemi;

Trud, spokój biegną społem; tam łzy są rozkoszą,
Tam przeczyste westchnienia do nieba się wznoszą,
W zorzach Łaski, jaśniejszych nad światłości dzienne,
Aniołowie wszeptują złote mary senne.
Edeńska róża kwieciem niewiędnącem płonie,
Skrzydła serafów boskie rozlewają wonie,
Sam On sprawia jej pierścień na ślub nieśmiertelny,
A chóry białych dziewic nucą hymn weselny.
Aż z dźwiękiem arf niebieskich rzuci świat i kona,
W kraj widzeń wiekuistej Zorzy ulotniona.
Ach, inne sny się snują w mojej duszy zdrożnej,
Inne, inne zachwyty rozkoszy — bezbożnej!
Kiedy na schyłku dziennej doby rozszalała
To wskrzeszam wyobraźnią, co zemsta rozwiała,
Natura głos podnosi, sumienie śpi w grobie,
A dusza cała wolna zrywa się ku tobie.
W każdym psalmie twój luby głos w sercu mi dzwoni,
Z każdym paciorkiem cichą łzę źrenica roni;
Gdy z trybularza wonne falują kadzidła,
Gdy dźwięk organów chwyta ducha na swe skrzydła,
To na jedną o tobie myśl wszystko to znika:
Kościoły, psalmy, świece, groźby spowiednika;
Duch mój, jak w morzu, tonie w płomiennej topieli.
Kiedy ołtarze płoną, w zgrozie drżą anieli...

*(F. Jezierski).*

## 2. Wiersz o człowieku.

Poemat ten składa się z 4 listów; w 1-szym jest mowa o przyrodzeniu i stanie człowieka w stosunku do wszechświata, w 2-gim o stosunku człowieka do samego siebie, w 3-cim o stosunku do społeczeństwa, w 4-tym o stosunku człowieka do szczęścia. Podajemy wyjątek z początku listu 2-go.

Poznaj siebie! Niech Boga myśl twą nie docieka,
Sam człowiek jest właściwą nauką człowieka.
On, zająwszy w stworzeniu ten stan pośredniczy,
Wielkość dziwaczną z światłem przyćmionem dziedziczy;
Na sceptyka zanadto ufa w swym rozumie,
Za wątły, by w stoików utrzymał się dumie;
Wątpiąc, jeśli spoczynek lub czynność obierze,
Nie wie, czy się już uznał za Boga lub zwierzę,
Czy swej duszy czy ciału pierwszeństwo przysądził;
Rodzi się, aby umarł, rozprawia, by błądził.
Zawsze ciemny, gdyż taki ma rozum w udziele,
Czy to zgłębia za mało, czyli też zawiele.
W nim myśl z namiętnościami ciągły zamęt wznieca,
On sam się zawsze zwodzi i sam się oświeca,
Każde w nim uniesienie jest upadku blizkiem,
Pan możny wszystkich rzeczy, sam wszystkich igrzyskiem;

Jedyny sędzia prawdy, błądzi do ostatka,
Świata tego ozdoba, igraszka, zagadka.
Wznoś się, dziwne stworzenie, w nauki przestworza,
Mierz ziemię, waż powietrze, śledź w odmianach morza,
Wskaż planetom, przez jakie mają koła dążyć,
Popraw czas zestarzały, naucz słońce krążyć;
Niech się wzbije z Platonem do nieba myśl płodna,
Gdzie piękność, doskonałość, dobroć pierworodna;
Lub zbłądziwszy wraz z jego naśladowców mnóstwem,
Sądź, że tracąc rozsądek, porównasz się z bóstwem;
Jak ów bramin na Wschodzie kręci się dokoła,
Tusząc, że tak bieg słońca naśladować zdoła.
Idź, popraw Najwyższego rząd świata tajemny,
Potem spojrzyj na siebie, patrz, jak jesteś ciemny...
Niestety, gdy człowieka wyższa natchnie władza,
Nic jej postępom w licznych sztukach nie przeszkadza;
Lecz gdy badać sam siebie jaką chęć okaże,
Co rozum przysposobi, to namiętność zmaże.

*(Ludwik Kamiński).*

»List Helo[illegible]ło Abelarda« swobodnie przetłómaczył K. Piotrowski (Warszawa, 1820), »[illegible]or p[illegible]« Pope'a dał Ludwik Kamiński (Warszawa, 1822), »Wiersz o krytyce« tłóczeć włosy plu[illegible] Przybylski (Kraków, 1790) i K. J. Marcinkowski (Berdyczów, 1816), »O gwiazdo! a[illegible]przełożył J. U. Niemcewicz, który przetłómaczył także »Odę do muzyki« [illegible] »Wiersz o człowieku« przekładali prócz Kamińskiego, A. Cyankiewicz [illegible] Franciszek Podoski (»Poemata moralne i krytyczne«, Warszaw[illegible]17[illegible]lne utwory tłómaczyli także J. Gorczyczewski, Jan Kruszyński, Fr. Wiśnio[illegible]

wie[illegible]
zł[illegible]

## XII. Edward Young.

### Noce.

Kiedy ciało pod własnem znużeniem ulegnie,
Dusza, bez wsparcia zmysłów, górnym lotem biegnie:
To po murawach stąpa, wonne kwiaty zrywa,
To znowu czarne puszcze samotna przebywa;
Tor ludzki wśród manowców dzikich znaleść żąda,
A nigdzie ją cieszących śladów nie ogląda:
To znowu z góry zlata, i zlękła, wybladła,
Tocząc się po przepaściach, w jezioro upadła:
Jużci płynie do brzegu przez pieniste wały
I z ciężkością się wdziera na wierzchołek skały:
Ileż razy na skrzydle bystrych wiatrów leci,
Wśród dzikich marzeń, lekkich wyobraźni dzieci!
Ale, czy w nich przejęta bólem, czy rozkoszą,
Te nawet zwodne kłamstwa oczywiście głoszą:

Że wyższa nad proch, który wznosi się pod stopy,
Że granic jej szlachetne nie mają pochopy;
Wolno buja nad ciałem, które na dół ciąży,
I do swego początku, lecąc w górę, dąży.
Tak wieczność duszy głucha noc wskazuje jaśnie,
W ciemnościach dzień objawia, co nigdy nie zgaśnie;
Sen oświeca mój rozum, gdy zmysły przygniata,
I przy mnie z marzeń tłumem nie napróżno lata.
Sny nocy pożyteczne: ale te sny szkodzą,
Które się w przebudzonej głowie człeka rodzą.
Ile razy łączyłem sprzeczne myśli — zbiory
Dziwaczniejsze nad wszystkie snów płochych utwory:
Wiązałem z sobą siebie nie cierpiące rzeczy,
Dając im bytność, której natura im przeczy.
Nierozsądny marzyłem szczęście doskonałe,
Chciałem na zmiennym świecie mieć rozkosze trwałe,
Dni wesołe, wśród życia dręczeń rozmaitych,
Spokojność, wpośród wałów ciągłym szturmem bitych.
Młodość moja we wszystkie świat przybrała skarby,
Wszystkie przedmioty w cudne ustroiła farby:
Same miłe obrazy, widoki, uśmiechy,
Pasmem jedne po drugich idące uciechy.
Tak gdym w różne ozdoby nocy dom ubiera topieli
Z radością-m się przechodził i z chlubą prze
Jak robak, który w własną obwija się prz*(F. Jezierski*
Z mar uwiłem zasłonę, w nią skryłem mą nę
Corazem grubsze sobie sam zasłony wkładał,
Zupełniem widok nieba i prawdy postradał;
Łańcuchem mej niewoli stokroć otoczony,
Błędom, należne Bóstwu, dawałem ukłony:
Ścisłemi serce z światem powiązawszy węzły,
Tam sobie wróżył szczęście. W tych głupstwach zagrzęzły,
Słyszę dźwięk przeraźliwy, co tysiące ludzi
Wiedzie przed ołtarz śmierci; dzwon mię nagle budzi.
Patrzę... już wszystkie z oczu zasłony się zdarły,
Patrzę, i widzę z drżeniem, żem napół umarły.
Gdzież słodkie omamienia? gdzie pyszne mieszkanie?
Gdzie skarby? gdzie szerokie moje panowanie?
Gdzie są? i co się z tego dla mnie dziś ocali?
Krucha lepianka z gliny, a i ta się wali.
Słabsze są jeszcze węzły od mdłej pajęczyny,
Co do szczęścia i życia wiążą ludzkie syny:
W momencie je rozniosą lekkie wiatru dmuchy.

*(F. Ks. Dmochowski).*

»Sąd Ostateczny« Younga przetłómaczył wierszem Franciszek Ks. Dmochowski (1785); drugie poprawione wydanie z dodatkiem 1-szej »Nocy« (1803, w Warszawie), trzecie wydanie w »Pismach rozmaitych« (Warszawa, 1826). Tragedyę »Mściwość« prozą przełożył i wydał bezimienny ok. 1770.

# XIII. Jakób Macpherson.

## 1. Ossyana Pienia Selmskie.

Księżycu! nocy ty jesteś ozdobą,
Świetne obłoki rzucając za sobą,
Gdy krok twój pyszny po niebiosach płynie,
Czego się nizkiej przyzierasz dolinie?
Już wicher dzienny ucicha,
Już daleki potok spycha
Ostatki szumu; a fale
Poddają się wrytej skale.
Wieczorne muszek przelotne roje
Sieją po cichym powietrzu gry swoje.
O gwiazdo w jasnej nad niemi krainie!
Czego się nizkiej przyzierasz dolinie?
Ale ty zapłomieniona,
Uśmiechając się ku ziemi,
Zstępując w morze znużona:
Uradowana promieńmi twojemi,
Fale tam ciebie witają,
I złoteć włosy płukają.
Spocznij, o gwiazdo! a kiedy noc głucha,
Mego niech ogień zajaśnieje ducha:
Dawne sił jego czułem ja wzruszenie.
Przyjaciół mych przestrzegam cienie!
Widzę, o Loro, nad twemi mgłami
Fingala między bohatyrami,
Przy nim bardowie, wy moja drużyna,
Widzę ja ciebie, szanowny Ullinie,
I ciebie, słodki śpiewaku, Alpinie!
Widzę Minonę i pięknego Ryna,
O zacne grono, przyjaciele moi!
Jak od tych czasów wyście się zmienili,
Czasów, co tylko wspomnienie zostało;
Gdyśmy na Selmie, bywało,
Pod święte u nas wieczory,
O pienia wdzięcznie wiedli z sobą spory,
Równi zefirom na wiosnę,
Co głaszczą wzgórki radosne,
I kołysają wschodzące
Zioła po łące.

## 2. Kolma.

Noc; a ja na tej wierzchołku góry,
Dokąd się czarne zbierają chmury,
Gdzież moja będzie uchrona!
Biją wiatry, huczą fale
I strumień ryczy po skale,
A ja sama i znużona!....
Powstań, księżycu! wynijdź z gór łona,
Ukażcie się, gwiazdy nocne!
Żadneć mi światło pomocne
Nie odkryje tej uchrony,
Kędy mój Salgar, polem utrudzony,
Pewnie pod dębem spoczywa?
Obok jego łuk spuszczony,
I psy ziają, straż życzliwa!
Więc ja tu sama zostanę noc całą,
Między strachem i nawałą.
Rośnie burza, huczy, szumi,
I głos mój tłumi.
Cóż zatrzymało Salgara?
Oto jawór, zdrój i skała:
I jam słowa dotrzymała.
Ach, Salgar, kędyż? gdzie wiara?
Bratam dla cię zaniechała,
Od ojca zbiegłam za tobą,
Dwa domy nasze przed sobą
Nieprzyjacielskie zamykają bramy:
Ale my, Salgar, my sobie sprzyjamy.
Cicho, cicho, wiatry płoche!
Wody bystre, ciszej trochę,
Bym na niego zawołała,
Salgar, Salgar! duszo moja!
Salgar! tu jawor, tu skała,
Tu Kolma twoja —
Ach! otóż wstaje i księżyc młody,
Po dolinach błyszczą wody,
Siwe z cienów góry wstają —
Ale nie widać na nich mojego,
Nie widać mówię, psów jego,
Co to mi o nim znać dają,
Kiedy pana poprzedzają...
A więc tu samej zostać mi potrzeba?
Ale jakież to młodziany

Chróst osłania wiatrem chwiany?
Przebóg! co widzę? o nieba!
Umarli... oto dwa miecze,
I krew jeszcze świeża ciecze.
Ach! sercu memu sroga utrata!...
Bracie! Salgara, Salgarze! brata
Za co zabiłeś? wy dla mnie byli
Obydwa mili!...
Kwiat podgórza ty w pokoju,
A ty byłeś piorun w boju.
Przemówcie! milczą na wieki!
Brat i kochanek nie żyją;
Duch ich odemnie daleki,
I pod tą dłonią serca nie biją:
Odzówcie się, cienie lube!
Ze skał waszych przez mgły grube
Wy moi oba jedyni!...
Gdzieżeście poszli spoczywać?
W której was znajdę jaskini?
Z wami tam będę razem przebywać.
Huczą wiatry, morze szumi:
Próżno wołać, próżno wzdychać;
I choć się burza utłumi,
Odezwy waszej nie słychać!...
I mnie żyć po was niewiele.
O, umarłych przyjaciele!
Sypcie grób im; ale razem
Złóżcie i Kolmę pod jednym głazem.
Na cóżby po nich została?
Oto, gdzie ta stoi skała,
Przy szumiącym ja z niej zdroju
Legnę z miłemi w pokoju,
Kiedy noc szara na wzgórku siędzie.
Lotami wiatrów przybędzie
Cień Kolmy na ten grobowiec,
Nad przyjaciołmi płakać swojemi,
W nizkiej chacie śpiący łowiec
Podniesie ucho od ziemi:
Jęk żalów moich, jak jęk zefirów,
Przebudzi jego, ujmie, rozkwili;
Bo będę płakać dwóch bohatérów,
Dwóch bohatérów, co byli
Sercu mojemu tak mili.

*(F. D. Kniaźnin).*

Przekładów »Pieśni Ossyana« mamy sporo. W XVIII w. tłómaczyli je Ignacy Krasicki i Franciszek Dyonizy Kniaźnin, w XIX Konstanty Tymieniecki, K. Brodziński, Wład. hr. Ostrowski, Sew. Goszczyński, Konstanty Gaszyński, Marya Ilnicka, Teofil Żebrawski.

## XIV. Robert Burns.

1. * * *

Dwojga serc, co kiedyś wzajem się kochały,
Nic już na tej ziemi nie może rozłączyć:
Może się ich miłość, może szczęście skończyć,
Może ich rozdzielić ze sobą świat cały:
Rzuć środkiem nich przepaść jako chcesz ogromną,
Już się te dwa serca nigdy nie zapomną.

Gdybyśmy się byli nigdy nie spotkali!
Gdybyśmy się byli nigdy nie kochali!
Nigdy nie kochali, nigdy nie rozstali,
Dziś-byśmy nie byli rąk tak załamali.

Od ziemi do nieba drabiny potrzeba:
Że tylko ją może dać miłość — wiesz, Boże!

*(Marya Ilnicka).*

## 2. Zima.

Zimowa słota wichrem się miota,
To deszcz rzęsisty poleje,
To w czarnej chmurze zaryczą burze,
To tuman śniegu powieje,
A wody szumią, w rozdół się tłumią,
I szerzą łoskot okrutny,
A ptak i zwierzę na swoje leże
Spieszą przepędzić dzień smutny.

Dzikie burz głosy, ciemne niebiosy,
Dni bezucieszne, zimowe,
Dla innych srogie, bardziej mi drogie,
Niż wszystkie blaski majowe.

Och! zawierucha krzepi mi ducha,
Bo memu wtórzy smutkowi,
Lasów żałoba mnie się podoba,
Bo memu równa losowi.

Wszechmocny Boże! tobie się korzę,
Znoszę pociski złej doli
Spokojną duszą; dobrem być muszą,
Bo one z twojej są woli.
Jedno mam, Panie, tylko błaganie,
Twej łaski nie racz odwlekać,
Gdy mi śród życia przeczysz użycia,
Pomóż mi mężnie się zrzekać.

## 3. Me serce jest w górach.

Me serce jest w górach, me serce nie tu!
Tam pnie się za sarną po skałach, po mchu!
Za sarną, jeleniem tam tropi mój wzrok,
Me serce jest w górach, gdziebądź niosę krok!
Żegnajcie mi, góry! mój kraju! bądź zdrów!
Ojczyzno walecznych! kolebko mych snów!
Gdziekolwiek po świecie zapędzi los mnie,
Me serce ku górom, ku górom się rwie!

O, żegnam was, góry! i wieczny wasz śnieg,
I wasze doliny zielone wzdłuż rzek,
I żegnam sosnowy, szumiący wasz bór,
I waszych strumieni ryczący im wtór.
Me serce jest w górach, me serce nie tu!
Tam pnie się za sarną po skałach, po mchu!
Za sarną, jeleniem tam tropi mój wzrok,
Me serce jest w górach, gdziekolwiek mój krok!

## 4. Nic nikomu.

Mam, nikomu to nie wadzi,
Własną żonkę w domu,
Nikt mi rogów nie nasadzi,
Ani ja nikomu.
Na grosz sobie zapracuję,
Sam bez łaski cudzej,
Nic ja drugim nie borguję,
Ani mnie nic drudzy.

Ja niczyim panem właśnie,
Ani komu służę,
Mam szablicę, kto mnie draśnie,
Dostanie po skórze.
Zawsze u mnie myśl wesoła,
Idę swoją drogą,
Gdy nikt o mnie nie dba zgoła,
Nie dbam o nikogo.

## 5. Moja lubka, jak róża.

O moja lubka, to jak ta róża,
Róża różowa, a wiotka,
Co się o wiośnie z krzaku wynurza,
Lub jak melodya słodka.
Jak tyś, o luba, piękną niezmiernie,
Tak też ja kocham cię z duszy,
I będę wiecznie kochał cię wiernie,
Aże się morze wysuszy.

Aże się do dna wysuszy morze,
Skały stopnieją od słońca,
Będę cię kochał, dziewczę ty hoże,
Kochał do dni moich końca.
Bądź zdrowa, dłużej zostać nie mogę,
Na krótko, luba, bądź zdrowa!
Wrócę ja, choćbym przebyć miał drogę
Dziesięć tysięcy-milową.

## 6. Gdybyś w ustroniu była samotnem.

Gdybyś w ustroniu była samotném,
Gdzie burza wre, gdzie burza wre,
Moimbym płaszczem przed wichrem
[słotnym
Osłaniał cię, osłaniał cię.
A jeśli nieszczęść gromy zawarczą
Nad czołem twem, nad czołem
[twém,
Pierś moja tobie byłaby tarczą
Przed losem złym, przed losem
[złym.

A gdybym puszczę zamieszkał ciemną
Wśród nagich skał, wśród nagich
[skał,
Gdybyś, o luba, ty była ze mną,
Raj-bym tam miał, raj-bym tam
[miał!
Gdybym był królem, niech świata berło
W mym ręku tkwi, w mym ręku
[tkwi!
Mojej korony najdroższą perłą
Byłabyś ty, byłabyś ty!

## 7. Wbrew wszystkiemu.

Choć z ubóstwem człowiek walczy,
W górę czoła, wbrew niedoli!
Miłmy zdala tłum służalczy;
Lepsza nędza od niedoli.
A wbrew temu i owemu,
Choć się trudzim w stanie nizkim,
Ranga tylko jest odciskiem,
A mąż złotem, wbrew wszystkiemu!

Nam stół skąpy w czoła pocie,
Nam płótnianki i drelichy!
Głupcom jedwab i łakocie
I zamorskich win kielichy!
A wbrew temu i owemu,
Mimo włości i pieniędzy
Człek uczciwy, chociaż w nędzy,
Wart za króla, wbrew wszystkiemu!

Patrzcie, jak ten panicz dmie się,
Jak się nosi hardo, butnie;
Choć sto głupców przed nim gnie się,
Lecz trutniami zawsze trutnie.

A wbrew temu i owemu,
Mimo gwiazdek, wstążek, naszek,
Mąż jest mężem, i z tych fraszek
W głos się śmieje, wbrew wszystkiemu.

Król nadaje herb na tarczy,
Może hrabstwem, księstwem zdobić,
Lecz i króla nie wystarczy,
Prawym mężem kogo zrobić.
A wbrew temu i owemu,
Lśni tytułów chwała jasna,
Lecz sens w głowie, wartość własna,
Wyżej stoją, wbrew wszystkiemu.

Więc się módlmy: niech już będzie
To, co przecie raz się ziści;
Żeby rozum z cnotą wszędzie
Dank odniosły, wbrew zawiści.
A wbrew temu i owemu,
Światła próżny blask nie zaćmi,
Kiedyś sobie będą braćmi
Wszyscy ludzie, wbrew wszystkiemu!

### 8. Moja Basia.

Mężu, porzuć kłótnię zgubną
Z swarów nawałnicą,
Jestem żoną twoją ślubną,
Lecz nie niewolnicą.
„Słuchać musi jedno z dwojga,
„Mąż, lub żona, Basiu!
„Powiedz sama, któż z obojga?
Moja Basiu!“
Zawsze tylko rozkaz pana,
Wola jegomości!
Więc porzucę dom tyrana,
Kwita z uległości!
„Choć opuścisz mnie w żałobie,
„Basiu, Basiu!
„Dam ja jakoś radę sobie,
Moja Basiu!“

Już mi z bólu serce pęka,
Blizki kres mój smutny,
Czy, gdy w grób mnie pchnie twa ręka,
Zniesiesz cios okrutny?
„Ufam, że mi łaska nieba,
„Basiu, Basiu!
„Sił da na to, ile trzeba,
„Moja Basiu!“
Więc porzucę grobu łoże,
Przyjdę ciebie ścigać
O północnej duchów porze,
W snach się będziesz wzdrygać.
„A więc z drugą się ożenię,
„Taką, jak ty, Basiu,
„Całe piekło to odżenie,
„Moja Basiu!“

*(Adam Pajgert).*

## XV. Wilhelm Wordsworth.

### Jest nas siedmioro.

[illegible]zyjacielu m[illegible]ałe proste dziećię,
[illegible]eze, trosków nie znało,
[illegible] żyłce nowe czuje życie,
[illegible]o śmie[illegible]i wiedziało?

[illegible] spotkał pod tej lipy cieniem
[illegible]ce, co siedem lat miało,
Włosy jej, gęstym kręcąc się pierścieniem,
Spadały na szyję białą.

Coś w niej dzikiego, lecz ruszenie snadne,
Ubogą odzież nosiła,
Oczy jej ładne, ale bardzo ładne,
I twarzyczka dziwnie miła.

Powiedz mi, pytam stojącej z pokorą,
Ile masz i sióstr i braci?
A ona w swojej niewinnej postaci,
„Jest nas, odpowie, siedmioro“.

I gdzież są? pytam: „Są, rzecze nieśmiele,
Jest nas siedem, niech pan wierzy,
Dwoje z nas mieszka w tem poblizkiem
A dwóch wzięto do żołnierzy.

„Dwoje nas na tym cmentarzu leży,
Brat i siostra, dzieci mamy,
A przy cmentarzu w bok kościelnej wieży
Ja z moją matką mieszkamy“.

Mówisz, że w siele tem mieszka was dwoje,
A dwóch do żołnierzy wzięto,
A jest was siedem, zważaj dziecię moje,
Że to rzeczą niepojętą.

„Jest nas siedmioro, dziewczynka powtarza,
I sióstr i braci pospołem,
Dwoje nas leży na rogu cmentarza,
Pod drzewem, za tym kościołem“.

Cóż ci się dzieje, gadaj jak należy,
Jesteś zdrową, biegasz skoro,
Jeśli was dwoje na cmentarzu leży,
To jest was tylko pięcioro.

„Groby ich, rzecze dziewczę, są zielone,
Porosły czasem niedługim,
Od domu kilka kroków oddalone,
Widać je, jeden przy drugim.

„Tam ja pończochy dla matki mej robię
Prętkami ot tak długiemi,
I tam na ziemi nieraz siądę sobie,
I siedząc śpiewam nad niemi.

„Ma siostra Basia umarła najpierwéj,
Blada i rączki jej drżały,
Biedna na łóżku płakała bez przerwy,
Aż ją Bóg wziął do swej chwały.

„Gdy ją przykryli deskami z stron obu,
Gdy ją ziemią przysypali,
Ja z bratem Jasiem wokoło jej grobu,
Całeśmy lato igrali.

„Lecz kiedy wiatry dąć zaczęły ostro,
I świat cały śnieg przykrywa,
I Jaś mój biedny pójść musiał za siostrą
I tuż obok niej spoczywa".

Rzekłem: do nieba gdy poszło was dwoje,
Ileż na świecie zostanie?
Dziewczynka, zawsze odpowiada swoje,
„Siedmioro, dobry mój panie".

Lecz ci, co zmarli? — Musieli umierać,
Lecz duch ich poszedł do nieba".
Zamilkłem, widząc, że próżno się spierać,
I że dziecku uledz trzeba,

Gdy to z uporem ciągle powtarzało,
Że ich siedmioro zostało.

*(J. U. Niemcewicz).*

## XVI. Walter Scott.

### 1. Pieśń ostatniego minstrela.

Głównym celem tego poematu jest odmalowanie zwyczajów i obyczajów p[ano]
jących niegdyś na pograniczu między Anglią i Szkocyą. Dzieje mieszkańców tych
którzy prowadzili życie wpół pasterskie, wpół wojenne i obok ustawicznyc[h]
napaści i wzajemnych łupieży, zachowywali święcie ustawy i obrzędy ryce[rskie]
pobożność z zabobonnością, dają poecie dużo powabnego materyału. Wędr[ując] fraszek,
minstrel przybywa do zamku Scottów na pograniczu z Anglią i przyjęty
opowiada dzieje dwóch rodów szkockich: Scottów, panów Branksomu nad
i Karrów z Cessfordu. Krewniak Karrów lord Kranston pokochał piękną An[nę] wszystkiemu.
somu, a ponieważ jej matka wolałaby widzieć córkę na marach, niż zar[ękę] -
rym z Karrów, widywali się więc potajemnie. Lady Branksom, wywodząc[a] się z rodu,
z którego pochodził sławny czarnoksiężnik Michał Scott, pochowany w opactwie Mel-
rose, pragnąc mieć za sobą siły nadziemskie, posyła dzielnego rycerza Deloraina do
opactwa, aby z grobu Scotta wydobył księgę czarnoksięską. Rycerz wywiązuje się z po-
selstwa, lecz wracając spotyka się z lordem Kranstonem, któremu towarzyszył tajemniczy,
demoniczny karzeł. Zawrzała walka, w której Deloraine szwank poniósł. Karzeł, krzą-
tając się około niego, znalazł księgę i nauczył się z niej sztuk tajnych, które zwrócił
przeciwko mieszkańcom Branksomu. Uprowadził mianowicie młodego Branksoma, który
się następnie dostał w moc Anglików. Ci urządzają napad na zamek, ale gdy się do-
wiedzieli, że Scottom na pomoc ciągną znaczne posiłki, zgodzili się na załatwienie
sprawy pojedynkiem Deloraina z Musgrawem, jednym z pokrzywdzonych. Wskutek
czarów, przez karła wywołanych, lord Kranston jako Deloraine stanął do walki, prze-
ciwnika pokonał i młodego Branksoma matce zwrócił. Tem ją ujął za serce tak, że na
małżeństwo z Anną zezwoliła. Odbywa się wesele; a z jego opisu podajemy tu wyjątek:

Jest-że gdzie człowiek, są-ż gdzie samoluby,
Co nigdy w sercu, nigdy w myślach swoich
Nie rzekli z czuciem miłości i chluby:
„To jest ojczyzna, to kraj ojców moich".

Którychby łzami nie zaszły powieki,
Gdy wspomną o nim w pielgrzymce dalekiéj?
Którychby serce nie wrzało płomieniem,
Gdy go znów własnem obaczą spojrzeniem? —
O! gdy na świecie jest gdzie taki który,
Patrzcie nań, jakby na potwór natury!
I niechby błyszczał choć w mitrze książęcéj,
Niechby miał w skrzyniach tysiące tysięcy:
Mimo tych blasków, tytułów i złota,
Dział jego będzie: wzgarda za żywota,
I śmierć podwójna — gdy z ciałem pospołu
I pamięć jego zarzucą do dołu,
Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych,
Na przykład kaźni do niego podobnych!

O, Kaledonio! posępna i dzika,
Piastunko marzeń wieszcza — samotnika!
Ziemio skał mrocznych i lasów zielonych,
Przejrzystych jezior i rzek zapienionych,
Ziemio mych ojców! — jakażby potęga
Zerwać zdołała łańcuch, co nas sprzęga,
Dziś, gdy odwieczne twe drzewa i skały
Jedne już tylko na ziemi zostały,
W których mi jeszcze żyje przeszłość wspólna,
Gdym ja szczęśliwy, a tyś była wolna!
I których moją nie znudzę żałobą,
Nie zdziwię łzami, — nad sobą i tobą?
O! wy, Yarrowu lesiste rozłogi!
Choćby nikt przez was nie wskazał mi drogi;
O! wy, Ettriku rozłożyste gaje!
Choć już w was dzisiaj nikt mnie nie poznaje;
O! Tewiocie! choć na twoim brzegu
Darń jest mi tylko łożem do noclegu;
Nie pójdę od was cudzej żebrać strzechy,
Cudzej pomocy, ni cudzej pociechy!
Choćbym zbłąkany zaginąć miał z głodu,
Choćby krew skrzepła od nocnego chłodu:
Znajdą się przecież, co rękami swemi
Rzucą na oczy garść rodzinnej ziemi,
W której odpocznę z przyjaciółmi memi! —

Nie tak wzgardzeni, jak dziś ja, minstrele,
Przybyli zewsząd na Anny wesele;
Z blizka i z dala przybyli wezwani,
Wojny i biesiad weseli kapłani! —
Żadne się bez nich nie działy obchody:
Z godów na bitwy i z bitew na gody
Szli po kolei, i zmieniając nutę,
Krzepili męstwo, rzeźwili ochotę.

Przed chwilą jeszcze na czele swych klanów,
Jątrzyli każdy gniew swych współziemianów;
A oto wspólnie wobec pary młodéj
Sławią wdzięk cichej miłości i zgody.
Jedni na kobzach, ci na arfach grają,
Młodsi tańcują, sędziwsi śpiewają,
Aż się ich echem mury rozlegają.

Długoby było wyliczać wam z rzędu
Wszystkie przepychy ślubnego obrzędu:
Jak się w zamkowej zebrali kaplicy
Damy, rycerze, Szkoci i Anglicy;
Jakie na szatach drogie aksamity,
Atłasy, hafty, lub złotogłów lity;
Jakie na głowach pióra albo kity
Ze strusich, czaplich, albo rajskich skrzydeł
Pływały w górze, w mgle dymu kadzideł;
Jak po ciosowych kamieniach podłogi
Brzęczały miecze i złote ostrogi,
Gdy, czyniąc miejsce przechodzącej parze,
Każdy w ślad za nią chciał biedz przed ołtarze;
Lub jak Lord Kranston płomienne źrenice
Zatapiał z dumą w narzeczonej lice;
Lub jak jej uśmiech, rumieniec lub bladość
Zdradzały w kolej: wstyd, bojaźń i radość! —

Byli, co potem głosili, że lady,
Zajęta wrzkomo przyborem biesiady,
W rzeczy zaś nie śmiąc stanąć przed ołtarze,
Nie była razem; — to fałsz i potwarze!
Lady się wcale nie miała powodów
Obawiać świętych ni miejsc, ni obchodów.
Bo nie przez zgubną moc magii czarnej,
Lecz przez rachubę liczby planetarnej, [1])
Wiedziała tylko sposoby, przez które
Mogła zniewalać Duchy i Naturę.
Mówię, co prawda, choć zgoła nie chwalę,
Że się w te rzeczy wdawała zuchwale.
Lecz że w kaplicy była — ręczę za to.
Okryta czarną aksamitną szatą,
Na głowie miała ze strusiemi pióry
Tok aksamitny jaskrawej purpury,
Szyty rzędami pereł, a u krajów
Obramowany pasem gronostajów.
Na pięści sokół w szkarłatnym kapturku
Siedział, trzymany na jedwabnym sznurku [2]).

[1]) Tj. przez czarnoksięstwo, poddające złe duchy woli ludzi.
[2]) Damy wysokiego rodu jako też baronowie i rycerze podczas pokoju przy wszelkich uroczystych obrzędach mieli zwykle na pięści sokoła.

* * *

Obrzęd skończony: — gromada wesoła
Parami nazad wracała z kościoła.
W sali podłużnej, sklepionej w arkady,
Stał zastawiony stół świetnej biesiady.
Marszałek podług wieku i godności
Laską swą miejsca wskazywał dla gości;
Młodzi paziowie z nożami ze stali
Na znak krajania po rogach czekali.
Nad czaplą, głuszcem, bażantem, żórawiem
I w samym środku wznoszącym się pawiem,
Z złoconym dziobem i odzianym w pióra[1]),
I nad łabędziem z Maryi jeziora[2]),
Nad głową dzika z kaledońskich borów,
Śród chorągiewek różnych barw i wzorów,
Nad żubrem, sarną i inną zwierzyną
Ksiądz błogosławił krzyżem i łaciną. —
Wtenczas to z gwarem i wrzawą u stołu
Zgiełk, hałas, łoskot zabrzmiały pospołu,
Zewnątrz i wewnątrz, i z góry i z dołu!
Bo tuż przy oknach, na zewnętrznym ganku,
Trąby i kotły grzmią wciąż bezustanku;
Starzy wojacy, na przekór ich echu,
Podnoszą coraz ton głosu i śmiechu;
Młodzi tem śmielsi, że nikt ich nie słucha,
Młodym dziewicom szeptają do ucha.
Sokoły w górze, pod sklepieniem gmachu,
Słysząc tę wrzawę i krzacząc z przestrachu,
Brzęczą dzwonkami i skrzydłami biją,
Wtórując chartom, co skomlą i wyją.
Tymczasem reńskie i burgundzkie wino
Z flasz w roztruchany potokami płyną;
Jeden drugiemu ochoty dodawa:
Wszędzie śmiech, żarty, pijatyka, wrzawa.

*(A. E. Odyniec).*

## 2. Pielgrzym (ballada).

„Puśćcie mnie, puśćcie w podwórzec zamkowy,
Pysznych podwojów odsuńcie wrzeciądze,
Śnieg zimny bije, świszczy grad grudniowy,
Zmokły, przeziębły — i błądzę i błądzę,

[1]) Pawia upieczonego ubierano w pióra i do pozłoconego dzioba kładziono gąbkę napojoną palącym się wyskokiem winnym. W chwili gdy go podawano na stół, rycerze zwykle czynili publiczne śluby dopełnienia jakiego czynu rycerstwa „w obliczu Pawia i Dam“.

[2]) Na jeziorze św. Maryi, blizko źródła rzeki Yarrow, dają się widzieć dotąd stada dzikich łabędzi.

„Nie jestem wcale natrętny podróżny,
Wszystko mam z sobą, nie pragnę jałmużny;
Wszakże ktokolwiek, w tak okropnej nocy
Ma prawo ludzkiej zażądać pomocy.

„Śniegiem zawiana znikła z oczu droga,
Tu pokutnika zaskoczyła zima,
Puśćcie mię, puśćcie, zaklinam na Boga!
Błogosławieństwo odbierzcie pielgrzyma.

„Wędruję z Rzymu, spólnej naszej matki,
Niosę odpusty i świętych ostatki,
Niechaj was o tem anieli ostrzegą;
Puśćcie mię, puśćcie przez miłość bliźniego.

„Przelękły zając kryje się do nory,
Jeleń przy łani ucieka przez błonie,
Ja, biedny starzec, zwątlony i chory,
Gdzież się, ach, gdzież się przed burzą uchronię!

„Z rozgłośnym hukiem wre rzeka burzliwa,
Gniewna, wezbrana, w falach się rozpływa;
Popłynę przez nią, choć zimno i ciemno,
Gdybym litości nie wzbudził nademną.

„Pukam i darmo — żelazne podwoje,
Lecz twardsza od nich pana zamku dusza,
Gdy go bliźniego los, ni lata moje,
Ni prośba w imię Boga nie porusza.

„Żegnam cię! niechaj Pan ziemi i nieba
Przedłuża w łasce i szczęściu twe lata,
I oby nigdy nie było ci trzeba
Żebrać na starość litości u świata".

O mury starca rozbiły się słowa;
Ale pan zamku nie będzie miał ciszy: —
Ilekroć burza zaszumi grudniowa,
W poświstach wiatru znowu je usłyszy.

Bo gdy po nocy — z jutrzenką rumianą,
Mgły z ponad wody podniosły się rano,
Falą rzucone pomiędzy opoki
Zimne pielgrzyma znaleziono zwłoki.

*(J. B. Zaleski).*

## XVII. Jan Keats.

### 1. Hiperyon.

Ród Tytanów, zwalczony przez Jowisza, spoczywa w głębokiej pieczarze skalnej pod ziemią.

Była pieczara, kędy bolesny blask światła
Na łzy ich nie upadał; kędy własne jęki
Czuli, lecz nie słyszeli przy mruku chrapliwych
Potoków, przy ponurym gwarze wodospadu,
Co się grzmiąco wśród mroku staczał do otchłani.
Głazy na głazach, skały sterczały na skałach,
Jakby właśnie w tej chwili ze snu obudzone,
I stykając się, czoło w czoło, potężnemi
Szczytami, fantastycznie, olbrzymio tworzyły
Nad tem gniazdem boleści ochronne sklepienie.
Zamiast tronów zasiedli na bryłach krzemienia,
Na skale i na twardym kamieniu łupkowym,
Przegryzionym od miedzi...
A wszystkie ich członki
Wyglądały, jak żyły metalu, skurczone;
Bez poruszenia, tylko olbrzymie ich serca
Konwulsyjnem prężyły się drganiem, gorącem,
Krwawem tętnem...

Odbywa się narada, a stary Saturn kończy mowę swoją:

Oto tu jesteście,
Zwalczeni, wyszydzeni, pobici Tytani!
Kiedy mówię: powstańcie! — wy jęczycie. Kiedy
Mówię: ukorzcie się! — jęczycie. Jakto?
O, niebo, nigdy niewidziany ojcze! Cóż ja
Zdołam? Wy wszyscy, bracia bogowie, rzeknieciе:
„Jakże możemy walczyć, jak gniew nasz nasycać?“

Wtedy podnosi się najprzód Ocean, myślący bóg morza, potrząsa swojemi suchemi teraz kędziorami i zaczyna dziecięcem szczebiotaniem, którem język jego naśladuje szemranie chłostanego falami piasku, i radzi towarzyszom, miotanym namiętnością, szukać pociechy w tej myśli, że upadają z prawa natury, nie skutkiem potęgi Jowisza.

O, wielki Saturnie!
Wprawdzie wszechświat atomów ty nawskroś przejrzałeś,
Ale przeto, że jesteś ty królem i ślepym
Z samego wszechzwierzchnictwa; więc przed twojem okiem
W kraje nocy wiodąca droga jest ukrytą,
Którą po wiekuistej Prawdzie ja kroczyłem.
A jak najpierwszą z potęg nie byłeś, tak również
Nie jesteś ty ostatnią z nich i być nie możesz.
Ty nie jesteś początkiem i końcem nie jesteś.
Z chaosu i ciemności łona wytrysnęło
Światło, walki wewnętrznej ten owoc najpierwszy,
Owoc mrocznego wrzenia, co do wielkich celów
Dojrzewało. Nadeszła chwila dojrzałości,
Z nią światło, które znowu, płodząc, na własnego
Wpłynęło stworzyciela i wraz powołało
Do życia całą olbrzymią materyę.

W owym-to wieku wieków zjawiła się światu
Para rodziców naszych, niebiosa i ziemia;
Wtedy zapanowałeś ty sam pierworodny
I my, olbrzymów plemię, nad wszechświatem. Teraz
Nadchodzi boleść prawdy, komu jest boleścią.
O, szaleństwo! wszak szczytem wielkości jest nagą
Prawdę i losy wyroczne z spokojną
Znieść przytomnością. Bowiem uważcie, o ileż,
O ileż-to piękniejszą jest ziemia i niebo,
Niż ciemności i chaos, co niegdyś władały,
I jak my poza niemi na ziemię i niebo,
Silni, majestatyczni postacią, patrzymy
Z wolą w czynach swobodną, pospólnie z tysiącem
Znaków czystszego życia; tak za naszym śladem
Wstępuje teraz nowa, lepsza i piękniejsza,
Z nas poczęta potęga, co ma nas pokonać,
Jak myśmy niegdyś starą ciemność pokonali;
Jakto! czyż ciężka ziemia gniewa się na dumny
Ten las, który żywiła i żywi go jeszcze,
Od niej samej piękniejszy; czyliż panowania
Zielonemu gajowi nie odstąpi chętnie?
Czyliż drzewo zazdrościć będzie gołębiowi,
Kiedy grucha i skrzydły powiewa śnieżnemi,
Na których po powietrzu szybuje wesoło?
Myśmy te drzewa lasów; cudna gałąź nasza
Wykarmiła nie blade samotne gołębie,
Lecz orły złotopióre, co w piętra eteru
Pną się nad nami w chwale piękności, a przeto
Muszą panować; jestto bowiem wieczne prawo,
Że pierwszy mocą winien być pierwszym z piękności.
Na tem prawie inna może rasa znów wypędzi
Naszych zwycięzców, aby, jak dziś my, biadali.
Widzieliście młodego boga mórz, co z tronu
Wyzuł mnie? czyście jego widzieli oblicze?
Złotoskrzydłe rumaki, przez niego stworzone?
Ja go widziałem, kiedy po uśpionej toni
Szybował z takim ogniem piękności w swych oczach,
Że musiałem na zawsze pożegnać się z moją
Wszechwładzą — smutne było pożegnanie.

Gdy po tej przemowie Oceanu strąceni bogowie milczeli, wstała bogini Klimena, na którą nikt nie zwracał uwagi, i zabrała bojaźliwie zeschłemi usty a z łagodnem oczu spojrzeniem głos wpośród zgromadzenia miotanego gniewem:

O, ojcze! ja w pośrodku was jestem najmniejszą
I wiem to tylko, że już skończyła się radość
I w serca nasze smutne wciska się uczucie,
Które, lękam się, ojcze, utkwi tam nazawsze.

Nie chciałabym ja wróżyć nieszczęścia... lecz pozwól,
Abym przed tobą smutek mój wypowiedziała,
Pozwól mi opowiedzieć to, com ja słyszała,
Co wywołało ciężki płacz mój i przeczucie,
Że już wszelka nadzieja dla nas jest stracona.
Oto stałam na brzegu, na rozkosznym brzegu,
Na który wiatr pieściwy zawiewał od lądu
Tchnieniem ciszy, wonności od krzewin i kwiatów;
Tam była pełnia szczęścia; we mnie — pełnia gniewu.
Nazbyt tam było wdzięku, ponęt i radości
Tak, że aż w mem sercu wzbudziła się żądza
Złorzeczenia, skarżenia się na tę samotność
Pieśniami nędzy naszej, muzyką cierpienia:
Więc usiadłam, chwyciłam muszlę krzywoustą,
Szepnęłam w nią i z muszli wybiegła melodya —
O, to już nie melodya! kiedym śpiewała
I ubogą mą piersią puszczałam na wietrzyk
Ciężkie echo tej muszli, wtem z drugiego brzegu
Z głębi zarośli — była to morska wysepka —
Z pędem wiatru zaleciał mnie dźwięk czarodziejski,
Który słuch mój odurzył i otrzeźwił razem;
I odrzuciłam muszlę na piasek pobrzeża,
A muszlę napełniła fala, jak me zmysły
Napełniła ta złota, przedziwna melodya.
Żywa śmierć była w każdej kropelce tych dźwięków.
Cała rodzina tonów czarujących, które
Upadały, to jeden po drugim, to razem,
Jak perły, co się nagle z nitki rozsypały.
A potem jeszcze piosnka, jeszcze nowa piosnka,
A każda, jak gołąb spadający z gałązki oliwnej,
Oskrzydlony muzyką; zamiast piór milczących
Krążyły mi nad głową, tak że omdlewałam
Z radości i z boleści. Lecz boleść przemogła,
I zatykałam moje odurzone uszy,
Kiedy, przy całym drżących rąk moich oporze,
Zabrzmiał głos słodszy, słodszy niźli wszystkie głosy
I wołał: Apollinie! młody Apollinie!
Zorzany Apollinie! młody Apollinie!

*(F. Jezierski).*

## 2. Konik polny i świerszcz.

Sonet.

Poezya ziemi nigdy nie zaginie:
Gdy ptakom blasków słonecznych ulewa
Każe się schronić w lubym cieniu drzewa,
Śród żywopłotów pieśń z pokosu płynie:

To konik polny wodzi rej w drużynie
Piewców!... bez końca w śpiewie tym rozbrzmiewa
Rozkosz i radość; nawet gdy omdlewa
Z uciech — spoczynek trawa da jedynie.
O tak! Poezya ziemi nie ma końca:
W mroźny, zimowy wieczór, w martwą ciszę,
Kiedy wśród pustki z poza pieca dzwoni
Pieśń świerszcza, w cieple coraz głośniej brzmiąca,
I w niej konika polnego pieśń słyszę,
Na poły sennie płynącą śród błoni.

*(Władysław Nawrocki).*

## XVIII. Jerzy Byron.

### 1. Wędrówki rycerza Harolda.

Z pieśni IV, str. XVII.

Gdybyś wspanialszych uroszczeń nie miała,
Zapomnianoby, Wenecyo, twe dzieła:
Ta cześć, co w tobie ku bardowi pała,
Ta miłość Tassa bodajby rozcięła
Te pęta, któreś od tyranów wzięła;
Los twój jest wstydem narodów! — Albionie,
Najbardziej twoim! Bodajeś pojęła,
Królowo morza, że w Wenecyi zgonie
I twój jest, choć cię morskie ochraniają tonie!

XVIII.

Jam ją ukochał, gdym był jeszcze młody:
Dziecku, jak w baśni rusałek siedlisko,
Był gród, wyrosły fal słupami z wody,
Przybytek uciech, bogactw zbiorowisko.
W pierś mi jej obraz wryli i nazwisko
Otway i Radcliff, Szyller, Szekspir stary; [1])
Dziś ją znalazłem jakby na igrzysko,
Ale jej boleść większe budzi żary,
Niż gdy jej czci składano i dziwu ofiary. —

XIX.

Dzisiaj przeszłością zaludnić ją mogę;
I teraźniejszość dosyć myśl zagrzeje,
Ducha powiedzie na rozmyślań drogę —
A nawet bardziej, niż miałem nadzieję.

[1]) Wenecya wyzwolona; Tajemnice Udolfa; Czarnoksiężnik lub Armeńczyk („der Geisterseher"); Kupiec wenecki; Otello — dzieła wymienionych w tekście poetów.

I jeśli mi się jaka chwila śmieje,
Wpleciona w życie, to swych blasków zdroje
Cudna Wenecya dzisiaj na nią leje....
Dla pewnych uczuć bolu się nie boję
Ni czasu, bo wszak dziśby zmartwiały już moje!

XX.

Najwyżej rośnie świerk z swojej natury [1])
Gdzieś tam na graniach zaledwie widzialnych;
Z korzeniem w głazach, pnie się on do góry,
Choć nie ochrania go od wiatrów halnych
Ziemia u dołu; szydzi z burz nawalnych,
Kryje się w zieleń, aż kształtem i szczytem
Będzie podobien do wierzchołków skalnych,
Aż, skiełkowawszy pomiędzy granitem,
Przemieni się w olbrzyma; tak i z ducha bytem.

XXI.

My jarzmo życia wszak unieść możemy:
Ból w opuszczonych piersiach ma korzenie
Najgłębiej wrosłe; wielbłąd dźwiga niemy
Najcięższe juki; wilka, gdy ma tchnienie
Wydać ostatnie, opuszcza milczenie?
Nie! i w tem przykład niech będzie: gdy brzemię
Cierpień znieść umie to nizkie stworzenie,
I my się uczmy, szlachetniejsze plemię,
Wytrzymać: wszak dzień jeden a opuścim ziemię.

XXII.

Boleść zabija lub zabitą bywa
Przez bolejących — więc swój kres znajduje: —
Jeden, nadzieją wzmocnion, do przędziwa
Wraca dawnego, nić tę samą snuje;
Inny, złamany, wcześnie zwiędłość czuje,
Blaknie, siwieje i wraz z trzciną ginie,
Której się chwycił; inny znów bojuje,
Ulg szuka w dobrym lub zbrodniczym czynie —
Jak dusza jego skłonna: w dół czy ku wyżynie.

XXIII.

Ale gdy ciągłe trapią nas boleści,
To coś, jak gdyby żądło skorpiona,
Ledwie widzialne, ale gorzkiej treści,
Znów nam do serca sprowadza brzemiona.

---

[1]) Gatunek szczególniejszego świerku alpejskiego, udającego się tylko na regionach najbardziej skalistych, gdzie dla swego wyżywienia znajduje jak najmniej ziemi. W tych miejscach wyrasta on do większej wysokości, aniżeli wszelkie inne drzewa górskie.

Które już chciały pójść na zawsze z łona;
Dźwiękiem lub wiewem jest owa katusza,
Latem lub wiosną lub kwiatkiem — i ona
Znów elektrycznym łańcuchem porusza.
Którego ogniwami skrępowana dusza.

XXIV.

Jak i dlaczego, któż zgadnie? Człek marny
Dotrze-ż do chmury, skąd grom w niego bije?
Cios znów uczuwa, ale sadzy czarnéj,
Którą zostawił mu piorun, nie zmyje...
Znowu z drobnostek wstaje, znów się wije
Ciżba upiorów, znów się przed nim ściele —
A czy je spłoszą egzorcyzmy czyje? —
Postaci zimne, zmienne, przyjaciele:
Żalu po nich tak wiele, przecież jak niewiele!...

XXV.

Lecz moja dusza się błąka; niech wróci,
Niech nad upadkiem poduma, niech stanie,
Sama ruina, śród ruin; niech rzuci
Wzrok na tę wielkość umarłą — na łanie
Ziemi, co ongi nad światem władanie
Miała i dzisiaj najmilsza, Przyrody
Jest arcydziełem — niechaj spojrzy na nie!
Woje zeń wyszli i męże swobody,
Waleczni, piękni, władce i lądu i wody...

XXVI.

Lud Rzymu! królów — ona rzeczpospolita! —
I dziś, Italio, w jakiej lśnisz ozdobie!
Ogrodzie świata, w co sztuka obfita
Oraz Przyroda, to wszystko jest w tobie!
Któż ci wyrówna, choć jesteś jak w grobie?
Twe chwasty nawet są piękne, ugory
Twe są bogatsze niż na ziemskim globie
Przeurodzajne zagony, a wiory
Twej chwały i twe gruzy cudne do tej pory!

XXVII.

Księżyc już zeszedł, choć noc nie zapadła;
Zachodnie słońce z nim się niebem dzieli;
Morza promieni wspaniałe zwierciadła
Kryją Fryulskie szczyty w swej topieli;
Niebo, bez plamy, snać wszystkie zestrzeli
Blaski w zachodu tęczę niezmierzoną,
Dzień na wieczności idzie ledz pościeli

Jak wyspę szczęsnych, drugą znowu stroną
Łazurów fale grzebień wdzięcznej Djany chłoną[1]).

XXVIII.

Jedyna gwiazda przy boku miesiąca
Włada z nim razem nad niebem bez chmury;
Świateł słonecznych toń promieniejąca
Nad retyckiemi jeszcze zwisa góry,
Jakby dzień walczył z nocą, aż Natury
Rozkaz ich waśnie uśmierzy; tu Brenty
Toczą się ciemne błękity: purpury
Przewonnej róży, świeżo rozwiniętéj,
Płyną razem z kryształów lśniącemi odmęty.

XXIX.

To niebo schodzi zdala i oblicze
Kąpie w tej głębi i ogniem ją zlewa:
Słońce wraz z gwiazdą swoje tajemnicze,
Przemnogie barwy naokół rozsiewa...
A teraz zmiana: bledszy zmrok odziewa
Góry swym płaszczem; i dzień już zamiera,
Jako ów delfin, co, gdy go owiewa
Śmierć, coraz inne kolory przybiera —
Ostatni zgasł i wszystko ciemna noc zaciera.

XXX.

Tutaj grób w Arkwie do góry wystrzela;
Sarkofag, wsparty na kolumnach, mieści
Popioły Laury kochanka[2]); czciciela
Jego geniuszu i jego boleści
Ujrzycie tu niejednego. Do cześci
Podniósł on język rodzinny, kraj zbawił
Od jarzma wrogów — oto jakiej treści
Był jego żywot!... Melodyami łzawił
Drzewo imienia lubej i sam siebie wsławił.

XXXI.

W Arkwie, gdzie umarł, spoczął też w mogile —
W tej górskiej wiosce, gdzie mu w lat dolinę
Ostatnie życia popłynęły chwile.
Słuszna ogarnia duma tę wioszczynę,
Że-ć może wskazać pieśniarza dziedzinę,
Dom i grób jego: poważnej prostoty
Jeden i drugi, pomniki — jedyne,

[1]) Opis powyższy może się wydać fantastycznym i przesadnym tym ludziom, którzy nigdy nie widzieli wschodniego lub włoskiego nieba; w rzeczywistości atoli jest on tylko wiernym i może nawet niedostatecznym obrazem jednego z tych sierpniowych wieczorów, jakie widziałem podczas częstych przejażdżek konnych nad brzegami Brenty, w pobliżu La Mira. (Przyp. Byrona).

[2]) Petrarki.

By odpowiedzieć jego lutni złotéj,
Godniejsze od piramid olbrzymiej roboty.

XXXII.

I to ustronie, gdzie on wiódł swe życie,
Jakby stworzone było dla tych, którzy,
Śmiertelność swoją uczuwszy sowicie,
Pragną, gdy los im wsze nadzieje zburzy,
Znaleść schronisko śród zielonych wzgórzy:
Stąd widok rojnych miast się rozprzestrzenia,
Lecz pustelnikom urok ich nie służy;
Tu słońce siłą swojego promienia
Dzień każdy w dostateczną uroczystość zmienia:

XXXIII.

Odsłania góry, lasy i ogrody,
Leje swe światło na szumne ruczaje;
Wraz z niemi płyną, czyste, jak te wody,
Ospałe chwile; lenistwem się zdaje
Taka bezczynność, lecz tutaj powstaje
Morał: jak mamy żyć, uczą nas roje
Ludzi, jak umrzeć — samotności kraje;
Tutaj czyż próżność ma pochlebce swoje?
Tu z bóstwem człek samotny musi staczać boje,

XXXIV.

Lub też, być może, ze swemi demony,
Co, gdy się z wnętrza lepsza myśl wyłania,
Łamią jej władzę, zdobyczy w strapionéj
Szukając piersi, w ludziach, od zarania
Lubiących strachu i mroku mieszkania,
Albowiem sądzą, że przeznaczeń siłą
Odstąpić od nich los się wiecznie wzbrania:
Krwią dla nich słońce, a ziemia mogiłą,
Grób piekłem, co w straszniejszy jeszcze zmrok się skryło.

*(Jan Kasprowicz).*

## 2. Korsarz.

Konrad, zdradzony niegdyś i zelżony, znienawidziwszy ludzi, został wodzem rozbójników morskich, którzy do tajemniczej jego osoby całą duszą są przywiązani. Oto jego charakterystyka:

Któż jest tym wodzem? Od brzega do brzega
Imię się jego jak piorun rozlega;
To dość — o resztę nie troszczy się rzesza.
W bitwach on tylko z ich tłumem się miesza;
Zresztą sam zawsze; — krótkie jego słowa,
Lecz wnet, co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.

Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem
Nie zasiadł wesół za biesiady stołem;
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili;
Lecz mężny — męstwu hardość wybaczyli.
Próżno go kolej pełnego kielicha
Wabi w przechodzie; on z wzgardą odpycha...
A jego uczta! — najlichsi z czeladzi
Wzajemby z wzgardą odepchnąć ją radzi.
Jadło — chleb suchy; napój — czysta woda.
Zbytkiem nieczęstym — owoc lub jagoda;
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,
Jakby związany ślubem pokutnika.
Ale im żądze zmysłów trzyma srożéj,
Rośnie w nim dusza i siła się mnoży.
„Płyń tam!“ — wnet płyną; „rób to!“ — wnet zaczęto:
„Za mną i naprzód!“ — poszli i łup wzięto.
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka:
Każdy drżąc słucha, lecz pytać się lęka.
Szyderczy uśmiech, wzrok i twarz surowa
Karcą zuchwalca za niewczesne słowa.

. . . . . .

Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia
Nikt z nich nie słyszał, którego zdaleka
Sam widok twarz ich bladością powleka,
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.
Cóż to za urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?—
Potęga myśli, duszy czarnoksięstwo!
One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja;
Tem on ich wolę pod rząd swój podbija;
Walczy ich ręką, sam jak mistrz sprężyny:
Gmin dziełem jego własne mniema czyny.
Jest, było, będzie — to bieg świata tego —
Wielu pracować musi dla jednego.
Lecz niech nieszczęśnik, co w trudach umiera,
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera!
Niechby znał ciężar, co wielkość nań zwala —
O, jakże lżejsza niższych cierpień szala!
Nie na wzór świata dawnego mocarzy,
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,
Konrad nic w sobie nie ma nad człowieka.
Blask czarnych oczu ćmi smutna powieka,
Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
Włos kruczy bujnie pierścieniami spada,

Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,
Ani się wzrostem wyniósł nad innymi.
We wszystkiem jednak biegły wzrok badacza
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła:
Znać dumę, której poskromić nie zdoła.
Głos jego dźwięczny, serce jednak zięby:
Więcej niż mówi, znać, że tai w głębi.
Szybka gra rysów nagle się mieniących
Wabi ciekawość, lecz miesza patrzących,
Jakby w tym duszy posępnym pomroku
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku. —
Tak o nim sądzą, prawdy nieświadomi.
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma?
Umie on sztukę — gdy ciekawość skryta
Mniema, że z twarzy myśl jego wyczyta —
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,
Aż zadrżeć musi, by go wzrok Konrada
Nie przejrzał całkiem, niż on coś w nim zbada.
W szyderczym jego, chociaż głośnym śmiechu,
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu,
Jest coś, co w sercu słyszących go ludzi
I gniew i trwogę i nienawiść budzi.
Wzrok jego gniewny zabija Nadzieję,
Przed groźbą jego, Miłosierdzie mdleje...
Patrz! gdy wódz w nocy, z rozognionem czołem,
Załamał ręce, szybkiem chodzi kołem
I nagle stanie, i zadrży — czy w ciszy
Śledzącej zdrady kroków nie dosłyszy?
Patrz, jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!
Iskrzy, mgli, krzepnie i znów ogniem bucha.
Patrz — jeśli zniesiesz widok tej katuszy —
Jaki los jego! jaki pokój duszy!
Jak cel zawiści gminu, śród ukrycia
Pożywa owoc występnego życia!
Patrz! tam go poznasz; — lecz któż tak z badaczy
Przejrzy człowieka? — kto ducha obaczy?

. . . . . .

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogiego wodza zbójeckiej gromadzie.
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.

Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec,
By drżeć, zbyt mocny; by uledz, zbyt hardy;
Za chęć być dobrym — cel szyderstw lub wzgardy:
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło.
Z urągowiskiem wbrew stając obłudzie,
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie,
Dla których lepiej darów swych używszy,
Znalazłby szczęście i stał się cnotliwszy.
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie za swój cel na ziemi —
Za winy kilku mścić się nad wszystkiemi.
Czuł się występnym, lecz dumny, rozumiał,
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie
Czyni to skrycie, co mężny na jawie.
Nienawidzony, wiedział, że u ludzi
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi.
Przestawał na tem; — zimny, dziki, hardy,
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.
Stronić, drżeć przed nim, potępiać go, skarżyć,
Kląć może każdy — lecz nikt lekceważyć...

. . . . . .

Nikt nie zły całkiem: — i w duszy Konrada
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.
Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci
Namiętność godna szaleńców lub dzieci;
Sam próżno rozum przeciw niej wytęża —
W nim nawet miłość wolę przezwycięża.
Tak! jest to miłość wzajemna, płomienna,
Jedyna dotąd i niczem niezmienna!...
Tłum się mu branek na oczy nawija;
On ich ni stroni, ni szuka, lecz mija.
Niejedną piękność w mocy swojej trzyma,
Żadnej słodszemi nie uczcił oczyma,
Tak! jest to miłość! — jeżeli myśl tkliwa
Stateczna w próbach, w każdej chwili żywa,
Której samotność, świat, szyderstwo ludzi,
Ani, co większa, sam czas nie ostudzi;
Której ni zmienne fortuny igrzysko
Nie zaćmi smutkiem — póki Ona blizko;
Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,
Cierpkiego na Nią słowa nie dozwoli,
I bez pociechy woli znieść katusze,
Niż ich podziałem zasmucić Jej duszę;

Jeśli myśl taka, niezmienna, niepłocha,
Jest tem, co zowią kochaniem — on kocha!
Występny, zbrodzień, z każdej cnoty zboczył,
Przeciw tej jednej w niczem nie wykroczył:
Ona gdy wszystkie zgasły po kolei,
Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

. . . . . .

Serce w nim było tkliwe; lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu; czucia były czyste,
Lecz jako rosy krople przezroczyste
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły, skamieniały w końcu.

*(A. E. Odyniec).*

Jedynem uczuciem tkliwszem w sercu Konrada była jego miłość do Medory, która mu się odwzajemniała najżywszą miłością. Uwiadomiony o wyprawie baszy Seida na jego zamek, położony na jednej z Cyklad, postanawia uprzedzić napad i dokonywa zamiaru szczęśliwie, bo rozprasza siły wroga. Ale jego cześć dla kobiet staje się przyczyną nieszczęścia. Ratując harem Seida, korsarze zostali otoczeni i pobici, a Konrad, który ocalił życie Gulnarze, najukochańszej Seida, niewolą czyn ten szlachetny przypłacił; ale zyskał uwielbienie Gulnary, która zdołała odwlec karę śmierci, a w końcu zabiwszy Seida, uwolniła Konrada i z nim razem popłynęła do jego zamku. Tu znalazł Konrad Medorę już zmarłą z rozpaczy, porzucił korsarzy i z Gulnarą zniknął bez wieści.

## 3. DON JUAN (z pieśni IV-tej).

Niema trudniejszej rzeczy dla poety,
Jak jest wiersz pierwszy — i może ostatni.
Często, gdy Pegaz dolatuje mety,
Wywichnie skrzydło, i wieszcz orłom bratni
Niby Lucyper, gdy anielskie czety
Z nieb go strąciły — spada; i już z matni
Piekła nie wyjdzie, bo grzech jego — pycha,
Co się piąć każe, choć go niemoc spycha.

Więc czas, co wszystko równą miarą mierzy
I nieugiętą przeciwność przekona
Ludzi, — a może i czart w to uwierzy,
Że strefa ducha jest ograniczona.
Młodość nie pojmie tego, gdy krew bieży
Prędko, żarliwym zapałem wzburzona.
Aż gdy w powolne ujścia wpływa łoże,
Szerokość nurtów człek ocenić może.

Dzieckiem, miałem się za geniusz promienny,
Pragnąc, by wszyscy mieli takież zdanie.
Młodzieńcem wszedłem na porządek dzienny,
Przyznano myśli mojej panowanie.

Dziś wyobraźnia zeschła, jak jesienny
Liść; pióro moje za szczyptę nie stanie
Tabaki. Dawnym ideałom dzisia
Prawda dodaje krzywą twarz trefnisia.

A gdy się śmieję z życia krotofili,
To — że nie mogę płakać; a gdy płaczę,
To — że cielesność z uczuciem się sili,
Nim zbezwładnieje; gdy do serca skacze
Sęp wspomnień, trzeba, byśmy je skropili
Letejską wodą — nie puści inaczej.
Tetys w styksowej wodzie syna myła,
Ziemianka-by go letejską skropiła.

Skarżą mię, iżem pisarz nierzetelny,
Wiarę i cnotę moich ziomków psuję
Rzekomo przez ten mój poemat strzelny.
Ależ ja przyznam, że sam nie pojmuję
Siebie, kiedy chcę nazbyt być subtelny:
Nic nie układam naprzód, nie szkicuję,
Chyba, że chcę się trochę rozełzawić:
Słowo, którego nie pochwali gawiédź.

Dla czytelnika strefy niegorącéj
Takie pisanie zda się egzotyczne.
Pulci wynalazł ten wiersz smętno-drwiący,
Kiedy rycerstwo bardziej kichotyczne
Było; tym wierszem zwiódł przed świat drzemiący
Rycerstwo, damy, berła despotyczne.
Prócz ostatniego, wszystko dziś spróchniało,
Więc przedmiot świeższy wybrać mi się zdało.

Nie wiem, czy się z nim obszedłem łagodnie;
Czy tak łagodnie, jak ci, co zohydzić
Mię chcieli, ciężkie zarzucając zbrodnie,
Których nie widzą, a chcieliby widzieć.
Niechże tak będzie, gdy im z tem wygodnie.
Dziś liberalny wiek — myśli się wstydzić
Nie potrzebuję. — Tu Apollo szczutka
Dał w ucho; jest to do biegu pobudka.

Juan i luba, serca jego pani,
Serca swe wspólnym szeptom zostawili,
A ten czas, który bez litości rani,
Oszczędzał parę piękną i w tej chwili
Wzdychał, chociaż wróg miłości, że dla niéj
Nie może wstrzymać się. Nie zasłużyli
Na starość. Umrzeć im było śród wiosny
Życia — nim zniknie czar i żar miłosny.

Lic nie powinny zmarszczki im naruszyć,
Serc zastanowić, krwi zamrozić w biegu,
Ni czarnych włosów siwizną przyprószyć.
Oni jak klimat bez lodu, bez śniegu,
Latem wciąż byli. Piorun mógł ich skruszyć
I zetrzeć na proch — ale w lat szeregu
Ślimaczem życiem, jak ludzie codzienni
Żyć — to nie dla nich; byli zbyt płomienni.

Taka samotność była im obrazem
Edenu, bo w niej rozkosz nieprzebrana.
Nudy nie znali, chyba, gdy nie razem. —
Ani tak gałąź od pnia odrąbana,
Z górskim się potok rozstający głazem,
Dziecina matce wzięta, rozpłakana,
Nie rozboleją jak ci — zdala siebie.
Niema jak instynkt serc, które są w niebie,

Serc, które mogą pęknąć. O, szczęśliwi,
Trzykroć szczęśliwi z kruchej porcelany
Ciało mający, słabi, na ból tkliwi,
Pod pierwszym ciosem padną. Im nieznany
Los, co to szydząc, ciągle się przeciwi,
Żal, co to boli, dumnie niewydany...
Czemuż pierwiastek życia nicią silną
Z temi się wiąże, którym umrzeć pilno.

„Pieszczochy bogów umierają młodzi",
A śmierć od wielu nieszczęść ich ochrania:
Śmierci przyjaciół — a co więcej szkodzi —
Śmierci przyjaźni, młodości, kochania.
Musi czas nadejść przecie, że ugodzi
W tych nawet, którym długo umrzeć wzbrania.
Więc może lepiej, gdy człek młody skona:
Skon — to najlepsza przeciw złu obrona.

Im jednak śmierci strach duszy nie przeszył:
Słońce i księżyc patrzyły z uśmiechem,
Czas tyle krzywdy czynił, że się śpieszył.
Nie czuli, czy to, co robią, jest grzechem.
Dziwem się zdali sobie; oczy cieszył
Wzajemny szczęścia odblask. Niby echem
Takiej radości i rozkoszy wnętrznéj
Był każdy wyraz luby, śpiewny, dźwięczny.

Lekkie ściśnienie, rozkoszne dotknięcia,
Błysk ócz wyraźniej mówiący niż słowa,
A nigdy zadość; coś — niby ptaszęcia
Szczebiot — tak dobry, jako ludzka mowa.

Im tylko znany i dla ich pojęcia
Wystarczający, i ta sielankowa
Naiwność, z której ludzie - by się śmiali,
Co jej nie znają albo znać przestali.

Dla nich świat cały, bo to były dzieci;
Dziećmi im było zostać do ostatka.
Nie już to w dusznej społecznej zamieci
Wypełniać sceny realnego światka;
Lecz jak istoty dwie, żyjące w kwieci
Puchu, sylfida z kochankiem, co z kwiatka
Lecą na kwiatek — było żyć przez wieczność,
Nie znając, co to smutków jest konieczność.

Księżyc się zmieniał, a oni ci sami
Wiecznie czerpali słodycz z życia kruży,
Nigdy gorzkiemi niezaprawną łzami...
A nie była to rozkosz, która nuży,
Bo mieli bujne dusze i zmysłami
Nieskrępowane. Użycie, co burzy
Miłość tak skoro, im się przemieniło
W nektar, podwójną wzmacniający siłą.

*(Edward Porębowicz).*

## 4. MANFRED.

Manfred to istota silna, nieugięta, pan i władca, który rządząc innymi, zapanować potrafi i nad sobą. Ukuty ze śpiżu, pada dopiero pod ciosem namiętnej miłości. Kochał zbyt silnie, a ona umarła; żal też, rozpacz i wyrzuty sumienia łamią mu duszę, wyższą przedtem nad wszelkie ziemskie troski. Błaga więc o śmierć, o szaleństwo, o zapomnienie, lecz te nie przychodzą. Ujrzeć ją raz jeszcze — oto jedyna już na świecie żądza jego. Przy pomocy demonów, duch jej ukazuje się, ale nie odpowiada. Wtedy Manfred błaga ją i zaklina, modli się do niej okrzykami największej boleści, najstraszniejszego uniesienia. I przemówiła — po to jedynie, by konwulsye wstrząsnęły jego ciałem, konwulsye, siłą woli powstrzymane natychmiast. Opanowany przez złe duchy, ginie; konając jednak, jeszcze je odpycha. Podajemy wyjątek z aktu III.

*Manfred* (sam). Gwiazdy w całej świetności. Księżyc nad szczytami
Gór śnieżno-jasnych. O, jak pięknie! Dotąd jeszcze
Tak mi błogo z naturą. Mnie znajomszem było
Ciemne nocy oblicze, niżli twarz człowieka,
Jam w jej cieniu gwiaździstym, w jej mrocznej, samotnej
Swobodzie wyuczył się tajemniczej mowy
Świata innego. Pomnę, jak w młodości latach,
Kiedym był na podróżach — w takiej właśnie nocy
Stałem wpośród potężnych Kolizeum murów,
Celnych, świętych ostatków wszechmocnego Rzymu.
Drzewa, co wzdłuż złamanych rozrosły się łuków,
Ciemno się kołysały w błękitnej północy:
Przez szczeliny rozwalin przeglądały gwiazdy.
Strzegący pies zdaleka z poza Tybru szczekał.

Bliżej, z gmachów cezara, słychać było długie
Sów krzyki i czasami pieśń odległej czaty
Ozwała się i w wiatru skonała powiewie.
Kilka cyprysów poza staremi rozłomy,
Chociaż na strzał odległych — zdało się widnokrąg
Oczu mych ograniczać. Gdzie niegdyś cezary
Przebywały, a teraz nocne huczą ptaki,
Wyrósł gaj wśród rozwalin tych upadłych gmachów
I w gruzach się cesarskich rozkorzenił ognisk,
Stoi dotąd skrwawiony cyrk gladyatora,
Stoi ten szczyt szlachetny — arcydzieło ruin,
Gdy komnaty Cezara, Augusta podwoje
Zaledwie już widziałnym gruzem ścielą ziemię.
Ty, ciągle się toczący księżycu, tyś wszystko
Oświecał, a rozległy i smętny blask lejąc,
Łagodził twardą dzikość strasznego zniszczenia
I na nowo-ś zapełniał, jakbyś odbudował
Potężne wieków wyrwy. Tyś wszystko zostawił,
Co pięknem jeszcze było, a co niem nie było,
Podniosłeś do piękności — aż wszystko nabrało
Świętości religijnej, a z serca się lała
Cicha cześć dla wielkości mężów starożytnych,
Zmarłych, lecz berłowładców, którzy i z urn swoich
Panują duchom naszym. — Taką noc ta była.
Dziwna rzecz, że w tej chwili przyszła mi na pamięć:
Lecz stokroć doświadczałem, że właśnie w tej dobie
Dzikim pędem myśl nasza ucieka w dalekość,
Gdy w porządek rozwagi szykować je chcemy. (Wchodzi Opat).

*Opat.* Hrabio, przebacz laskawie powtórnemu przyjściu,
Niech cię swojem natręctwem pokorna gorliwość
Nie pobudza do gniewu. Jeśli na złe wyjdzie,
Niech to złe spadnie na mnie; dobry tylko skutek
Niech spłynie na twą głowę — rzecbym wolał: serce.
O, gdybym ja mógł wzruszyć słowy lub modłami,
Szlachetną ocaliłbym duszę — obłąkaną,
Lecz nie zgubioną jeszcze.

*Manfred.* Nie, nie znasz mnie, ojcze.
Dni moje policzone, zapisane czyny,
Precz! lub niebezpieczeństwo czeka cię tutaj. Precz!

*Opat.* Nie chcesz mi przecie grozić.

*Manfred.* Nie, uprzedzam tylko,
Że blizkim jesteś zguby — i chcę cię ratować.

*Opat.* I cóż przez to rozumiesz?

*Manfred.* Spojrzyj tu. Cóż widzisz?

*Opat.* Nic.

*Manfred.* Patrz tylko. Wytęż wzrok. Teraz mów, co widzisz.

*Opat.* To, co mrozem przestrachu wstrząsnąćby powinno,
A przecież mnie nie wstrząśnie. Widzę jakąś postać

Ciemną, groźną, okropną, wychodzącą z ziemi,
Podobną bogu piekła; twarz swą płaszczem słoni,
Cała jak gdyby groźną obwiniona chmurą,
Stoi tu między nami — nie lękam się przecie.

*Manfred.* Nie masz się czego lękać, nic ci nie uczyni.
Sam jej widok jednakże mógłby lodem śmierci
Ściąć twoje stare członki. Radzę ci więc, uchodź.

*Opat.* Nigdy, dopóki tego nie przewalczę ducha.
Po cóż on tu przybywa?

*Manfred.* Tak jest; po co przybył?
Nie posłałem po niego — przybył nie wezwany.

*Opat.* Zgubiony śmiertelniku! na cóż ci się wdawać
Z podobnemi istoty? Drżę o ciebie. Czemuż
Tak na siebie patrzycie? Ach, twarz swą odsłania,
Całe czoło gromami piorunów zorane,
W oczach jego goreje nieśmiertelność piekła.
Precz ztąd!

*Manfred.* Mów, pocoś przybył?

*Duch.* Pójdź! pójdź!

*Opat.* Któż ty jesteś,
Nieznana istoto? Mów.

*Duch.* Jestem geniuszem
Jego. Pójdź! czas twój przyszedł.

*Manfred.* Na wszystko-m jest gotów,
Ale przeczę tej władzy, która mnie przyzywa.
Któż cię przysłał?

*Duch.* Dowiesz się o tem wkrótce. Pójdź! pójdź!

*Manfred.* Rządziłem istotami wznioślejszej natury
Niż twoja. Z pany twemi walczyłem. A więc precz!

*Duch.* Śmiertelniku! Przyszedł czas twój. Dalej więc ze mną!

*Manfred.* Wiedziałem ja, że moja dobija godzina,
Lecz nie na to, bym takim, jak ty, oddał duszę.
Precz! jakim żyłem, takim i umrę — samotnym.

*Duch.* A więc braci mych przyzwę. Powstańcie! (Duchy się ukazują).

*Opat.* Precz! precz stąd!
Duchy piekła! Precz! mówię. Tam, gdzie kościół włada,
Wy jesteście bez mocy. Zarzekam was w Imię...

*Duch.* Starcze! Znamy moc naszą i rozkaz nam dany;
Wiem, żeś kapłan. Nie trwoń świętych słów daremnie —
Nic one nie pomogą. Człowiek ten zgubiony;
Raz jeszcze wzywam — pójdź, pójdź!

*Manfred.* Wszystkim wam zaprzeczam
Władzy nademną, a choć czuję, że się dusza
Już oddziela od ciała, zaprzeczam jej przecie;
Nie ustąpię, dopóki tyle mam oddechu,
Abym mógł na was moją wyzionąć nienawiść,
A tyle ziemskiej siły, by z duchy walczyła.
O każdy z moich członków łamać się będziemy.

*Duch.* Nieprzeparta istoto! tenże to jest z ciebie
Czarnoksiężnik, co przez świat niewidzialny krocząc,
Chciał się z nami porównać? Któżby to był mniemał,
Że ty życie tak kochasz, ty, to samo życie,
Źródło twoich niedoli!

*Manfred.* Kłamiesz, zdradna jędzo!
Wiem, że życia ostatnią już żyję godzinę,
I nie chciałbym o jedną przedłużyć je chwilę.
Nie przeciw śmierci walczę, ale przeciw tobie
I tym duchom tu wkoło. Nie w skutku układów
Z tłuszczą twoją nabyłem tej potężnej władzy,
Lecz przez wyższą naukę, łamanie się z ciałem,
Śmiałość, nocne czuwania, moc duszy, zgłębianie
Mądrości dawnych mężów (kiedy na tej ziemi
Ludzie i duchy jeszcze przebywały razem,
A wyście bez przewagi były). — Ja na własnej
Stoję tu mocy. Przeczę więc waszej. Szydzę z was.
Odtrącam. Gardzę wami.

*Duch.* Twoje mnogie zbrodnie
Uczyniły cię moim.

*Manfred.* A tobie co do nich?
Więc do zbrodni karania innych trzeba zbrodni,
Zbrodni większych zbrodniarzy? Precz do twego piekła!
Czuję w duszy, — nademną żadnej nie masz władzy,
I zbyt dobrze wiem o tem, że mnie nie posiędziesz.
Com spełnił, to spełnione. Noszę ja tu w sobie
Męczarnię, której twoje zwiększyćby nie mogły.
Duch, jako nieśmiertelny, sam sobie odpłatą
Tak złych, jak dobrych myśli — sam źródłem, sam końcem
Złego, sam sobie miejscem, sam czasem. Jego zmysł
Wewnętrzny, z śmiertelności wyzwolon, nie wciąga
W siebie barwy znikomych i zewnętrznych rzeczy.
Dręczą ducha męczarnie lub też radość poi,
Podług wnętrznej wartości, jaką uzna w sobie.
Nie! nigdyś mnie nie kusił i skusić nie mogłeś!
Nie byłem twą igraszką i łupem nie będę.
Sam własnym burzycielem byłem tu dotychczas,
Sam nim będę na wieczność. — Precz, pobite duchy!
Jest na mnie ręka śmierci, lecz nie wasza ręka. (Demony nikną).

*Opat.* Niestety, jakżeś blady — usta twe zbielały,
Pierś się wznosi i oddech tak ciężko pracuje.
Głos twój w gardle chrzypiący. Podnieś myśl do Boga,
Módl się choćby i w myśli — lecz tak nie umieraj.

*Manfred.* Przeszło. Wzrok mój ociemniony już cię nie rozezna
I wszystko zda się płynnem okrążać mię kołem.
Ziemia rośnie podemną. Bądź zdrów. Daj mi rękę.

*Opat.* Zimno, zimno, niestety, już serca dosięga.
Jedną tylko modlitwę! — Jakże ci jest, powiedz!

*Manfred.* Widzisz, starcze, że nie tak trudno jest umierać.
*Opat.* Stało się. Skończył. Dusza jego uleciała.
Dokąd? — nie śmiem pomyśleć — ale już po wszystkiem.
*(Fr. Morawski).*

## 5. Ciemność.

Miałem dziwny sen, może i niecałkiem senny...
Zdało mi się, że nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy, w nieskończoność biorąc lot niezwykły,
Zbłąkawszy się, olśnąwszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło.
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga:
O światło...

Wszystko płonie. I wspaniałe gmachy
Panów koronowanych, i wieśniacze dachy.
Domy świata całego jako lampy płoną,
Miasto nakształt ogromnych stosów zapalono
I tłum ludzi dokoła pożaru się tłoczy:
Chcą jeszcze raz ostatni zajrzeć sobie w oczy.
O, jak zazdrości godni ci, co się przywlekli
Przed oblicze ognistej Etny albo Hekli!
Jak błogosławią wieczne wulkanów pożogi
Wszyscy, z jednem uczuciem nadziei i trwogi!
Rzucono ogień w puszcze i doczesnym blaskiem
Puszcze gorą, ciemnieją i walą się z trzaskiem:
Zaryły się w popiele drzew strawione czoła
I zagasły na wieki.

Znowu noc dokoła;
I twarz ludzi z rozpaczy nie po ludzku błyska,
Odbijając ostatnie promyki ogniska.
Jedni padli i oczy schowawszy, łzy leją,
Drudzy na chudych łokciach podparłszy się, śmieją.
Ten biega tu i owdzie, suche żagwie zbiera,
Karmi niknącą iskrę i w niebo poziera;
Nieporuszone widzi czarnych chmur zasłony,
Jak kir nad nieboszczykiem światem rozciągniony.
Znowu pada, i bluźni, i w piasku się ryje,
Targa włos, zgrzyta zębem, ręce gryzie — wyje.
Dzikie ptastwo strwożone, skrzydły obwisłemi
Mocując się daremnie, czołga się po ziemi.

Drapieżny zwierz, co w lasach i pustyniach żyje,
Jak swojski ciągnie w miasto. Gadziny i żmije
Pełzną ludziom pod nogi i żądłami syczą;
Nie kaleczą — i głodnym stają się zdobyczą.

Wojna nieco ustała, wybuchnęła znowu,
Głodni, żelazem sobie szukali obłowu
I z zakrwawionym kąskiem na stronie usiedli,
I w milczeniu rozpaczy samotni go jedli.
Nie została miłości iskra w ludzkiem łonie,
Jedna była na całej ziemi myśl — o zgonie
Niechybnym i niesławnym. Ząb głodu pożerał
Wszystkich i narodami świat cały wymierał.
Nikt nie myślał o kości i o ciał pogrzebie;
Chudy karmił się, jedząc chudszego od siebie,
Psy darły swoich panów. Jeden pies zachował
Wierność panu swojemu: żywego pilnował,
Teraz się umarłego wyżywieniem trudzi.
Znosi zdechłe lub słabe bydło, ptastwo, ludzi;
Sam nie dotknął pokarmu, z żałośnemi jęki
Lizał twarz pana swego, głaskał się u ręki,
Co go już nie głaskała — i zdechł. I nareszcie
Wszyscy ludzie wymarli.

W pewnem ludnem mieście
Zostali dwaj ostatni — dwaj nieprzyjaciele.
Zeszli się przy ołtarzu, gdzie jeszcze w popiele
Dogasało ognisko i kościelne sprzęty
Święte czekały w stosach na ogień nieświęty.
Jak szkielety, chudemi rękami pospołu
Grzebiąc, dostali kilka iskierek z popiołu
I pracując piersiami słabemi, ognisko
Wydobyli na chwilę — jak na pośmiewisko.
Zwrócili oczy, gdzie się płomień żywiej pali,
Ujrzeli się, wzdrygnęli, padli i skonali.
Zgrozą widoku swego zabili się społem;
Nie poznali się z twarzy, lecz głód nad ich czołem
Wyrył: n i e p r z y j a c i e l e.

Świat cały był stepem:
Z ludnego i pięknego, milczącym i ślepym.
Bez pór roku, bez roślin, bez ludzi, bez czucia,
Trup, chaos powolnego żywiołów zepsucia,
Stoją gładkie rzek, jezior, oceanu tonie
I nic się nie poruszy w ich milczącem łonie.
Okręty bez żeglarzów pośród morza tkwiły;
Maszty ich kawałami padały i gniły
I tonęły na wieki w spokojnych wód bryle.
Burze usnęły, fale spoczęły w mogile,

Bo nie było księżyca, coby je podźwignął.
Wicher w stęchłem powietrzu uwiązł i zastygnął,
Znikły chmury; to dawne ciemności narzędzie
Stało się niepotrzebnem: ciemność była wszędzie.

*(A. Mickiewicz).*

## 6. Z „Melodyj hebrajskich".

### I. Idzie w piękności.

Idzie w piękności swej jak noc
Gwiaździstych sfer południa ziem,
I blask i mrok, ich czar i moc
Łącząc w postaci w oku swem,
Śród lubych, bladych nocy lśnień,
Jakich świetniejszy nie zna dzień.

Skrą więcej, jednym cieniem mniej
Mogłoby cudny wdzięk wpół ścmić,
Co płynie z kruczych włosów jej
I z lic łagodnych zda się lśnić,
Gdzie myśl pogodą świadczy swą,
Jak błogiem jej mieszkanie to.

I taki spokój rysów tych,
Z lic tak wymowna słodycz lśni
Uśmiechem, grą rumieńców swych,
Iż widzisz ciąg cnotliwych dni,
Duszę, co zgodą wita nas,
Serce, gdzie miłość jest bez skaz!

### IX. Posępny duch mój.

1.

Posępny duch mój.... O, niech twoja ręka
O struny harfy potrącić pośpieszy;
Niech z pod pieszczonych palców twych piosenka
Łagodnym szmerem ucho me ucieszy.
Jeśli w mem sercu tli choć skierka mała
Drogich nadziei — ten dźwięk ją dobędzie:
Jeśli łza jedna w tem oku została —
Spłynie — i mózgu palić już nie będzie....

2.

Lecz graj pieśń dziką, głęboką, co wzrusza,
Niech pierwszy akord weselem nie brzęknie:
Pomnij, minstrelu, łez żądna ma dusza;
Gdy łzy nie trysną — serce moje pęknie....
Ach, bo to serce zdawna bólu syte,
Bezsenne, milcząc znosiło swą nędzę;
Dziś czas już skończyć — niech pęknie rozbite,
Albo niech pieśni ulegnie potędze.

*(A. M—ski).*

## 7. PROMETEUSZ.

Tytanie! dla którego hardéj
Źrenicy nie był ból ludzkości
W posępnej swej rzeczywistości
Czemś, jak dla bogów, godnem wzgardy,
Jakąś za litość miał podziękę?
Niemą, a więc zdwojoną mękę...
Opokę, sępa i łańcuchy...
Wszystko, co pyszne nęka duchy...

Straszne poczucie nędzy swojéj...
Agonią, której jęk nie koi,
Gdyż w samotności łka jedynie,
Strzegąc się szpiega z nieb sklepienia
I nie wydaje wprzód westchnienia,
Nim odgłos gromu nie zaginie.

Tytanie! twojem przeznaczeniem
Był ten wolności bój z cierpieniem,
Co znęka, jeśli nie zdruzgoce...
Nieubłagane Nieba moce,
Tyranią przeznaczenia głucha
I władza Nienawiści ducha,
Dla swej uciechy stwarzająca
Jestestwa, które w nicość strąca,
Nawet ci śmierć odjęły, którą
Wieczność zmieniła swą torturą...
I ty dźwigałeś ją wytrwale, —
Tylko ci gromowładca z duszy
Groźbę wydobył, co weń w szale
Miotała ogrom twych katuszy;
Nie chcąc mu ulgą być w cierpieniu,
Tyś skrył, coś czytał w przeznaczeniu;
Jego był wyrok w twem milczeniu...
I nadaremne czuł on żale,
A z licho tajonego lęku
Drżały mu błyskawice w ręku.

Nam dobrodziejstwem był twój śmiały,
Boskim podobny czyn... tyś całéj
Ludzkości wskazał, jak z niedolą
Ma walczyć, krzepiąc siły wolą;
Choć Niebios moce cię skruszyły,
Lecz twa odwaga i wytrwanie,
Hart twego ducha niedosiężny,
Którego zgiąć nie były w stanie
Nieba i ziemi wspólne siły,
Przykład podały nam potężny...
Dla ludzi symbol tyś pamiętny
Losu z przemocy hasłem wrogiem...
Jak ty — i człowiek jest półbogiem.
— Z krynicy czystej — potok mętny —
A człowiek może przez mgły cienie
Przewidzieć w części przeznaczenie
I własny upór i los smętny
I beznadziejne swe istnienie,
Którym się oprze jego wolne
„Ja“, wszystkim nędzom sprostać zdolne,
Hart woli i niezłomne męstwo,
Które go nawet śród cierpienia
Wewnętrznym blaskiem opromienia
I każdy upór w tryumf zmienia,
A nawet samą śmierć — w zwy-
[cięstwo.

*(Władysław Nawrocki).*

## XIX. Percy Bysshe Shelley.

### 1. Prometeusz rozpętany.

Według podania greckiego Prometeusz za dobrodziejstwo, ludziom wyświadczone przez wykradzenie świętego ognia z nieba, został przez Zeusa ukarany srogo; przybito go do skały Kaukazu. Znał on jednak tajemnicę, która o losie Zeusa rozstrzygała; według Greków Prometeusz wyjawił ją, żeby się od mąk uwolnić. Shelley nie chciał pójść za tem podaniem, lecz wystawiwszy w Prometeuszu męczennika dobrowolnego dla dobra ukochanej przezeń ludzkości, wyolbrzymia go i wyszlachetnia za pośrednictwem cierpień. Nie uniża się on przed Zeusem, przez co upadek jego rządów tyrańskich sprowadza; lecz nadto stawiając miłość jako najwyższą zasadę życia wszechświata, cofa dawniejsze swoje przekleństwa, pragnie bowiem, ażeby żadna istota żywa nie znała cierpienia. Oto scena, w której wywołane Widmo Zeusa powtarza dawniejsze słowa Prometeusza, poczem następuje odpowiedź męczennika na poselstwo Hermesa, który z polecenia Zeusa pragnie wydobyć od Tytana ową tajemnicę wyroczną.

*Widmo Zeusa.* „Wrogu, wyzywam cię! — Nieulękniony,
W ciebie odpieram wszystkie twoje groty:
Bogów i ludzi ciemięzco szalony,
O! jednej tylko nie zmożesz istoty!

Wybuchnij na mnie wszech plag twoich deszczem,
Trupią niemocą, obłąkania dreszczem;
Niech mróz, niech ogień, twej pomsty narzędzie,
Wgryza się we mnie, gniew niech gradem będzie,
Gromem; niech orkan, z wędzideł spuszczony,
Wpędzą na mnie krwawiących furyj legiony!

„Brnij w złem. Poddałem ci pod dłoń wszechwładną
Wszystko — prócz ciebie i prócz mojej woli —
Więc z eterycznej wieży twej niech spadną
Na ludzkość czarne zastępy niedoli.
Ozioń w mroku piekłem całem
Ród ten, który ukochałem:
Moją — i wszech braci duszę
Poświęcam ci na katusze.
Ta krnąbrna głowa męczarń się nie wzbrania,
Aż po kres niepochybny twego królowania.

„A tobie — bytów pogromcy i panu —
Co ten świat płaczu napełniasz swą duszą.
Któremu wszystkie twory oceanu,
Nieba i ziemi hołd trwogi nieść muszą —
Przekleństwo, Zeusie! Niech jęk męczennika
Wyrzutów jadem krew twoją przenika,
Wieczność twa niech będzie cała
Szatą, jadem napuszczoną,
A wszechmoc twoja męczeńską koroną,
Aby, jak złoto w ogniu, wraz z mózgiem stopniała.

„Pod tem przekleństwem mnóż *z ł e* w tysiąckrotność,
Dręcz się widokiem *d o b r e g o* na ziemi:
Bo te, jak wszechświat, są nieskończonemi,
Jak ty i twoja trawiąca samotność.
Groźna larwo! acz od skroni
Ciszy świecisz majestatem,
Przyjdzie chwila, co przed światem
Wnętrzną istność twą odsłoni,
Kiedy po zbrodniach, po fałszu i zdradzie,
Czas i przestrzeń rozniosą wieść o twej zagładzie".

*Prometeusz.* Moje-ż to słowa, matko?
*Ziemia.* Twoje, synu!
*Prometeusz.* Rodzico! żal mi i słów mych i czynu,
Bo słowa — marne to, przelotne tony;
A gniew zaślepia. Byłem zaślepiony.
Bodaj nie znała cierpień żadna istność żywa.
*Ziemia.* O! nieszczęśliwa ja, nieszczęśliwa!
Zwycięży ciebie ten Zeus, wyklęty.
Zapłaczcie lądy i wód odmęty,

Rozdarta Ziemi pierś wam odpowie:
Zapłaczcie, żywych i zmarłych Duchowie,
Wasza tarcz, wasza schrona leży zwyciężona.
*1. Echo.* Leży zwyciężona.
*2. Echo.* Leży zwyciężona.
*Jona.* Nie drżyj — to krótkie, spazmowe dreszcze,
Tytan — zwycięzcy nie uległ jeszcze.,.
*Hermes.* Wielki męczenniku!
Do niechętnego i najniechętniejszy
Schodzę tu z woli wielkiego Rodzica,
Aby wykonać wyrok nowej kaźni.
Ach! żal mi — sam ja siebie nienawidzę,
Żem więcej zdziałać nie zdolen. Gdy żegnam
Spojrzenie twoje, to długo mi, długo
Piekłem się zdaje niebo, wciąż mię ściga
Uśmiechem skargi znędzniała twa postać.
Tyś stały, mądry i dobry. Lecz próżno!
Sam jeden chciałbyś upierać się w walce
Z wszechmocą, którą uznały od wielu
Lat i uznawać będą owe światła,
Co mierzą, dzieląc, powolny prąd czasów,
Przed którym niema ucieczki. Dziś właśnie
Twój wróg uzbraja potworne potęgi,
Co w piekle srogie wymyślają męki,
I mnie poleca spędzić je, a z niemi
Wszech dzikich, jeszcze chytrzejszych demonów,
Co śpią w otchłani. Oby tak nie było!
Jest tajemnica, li tobie wiadoma,
Prócz ciebie — żadnej z żyjących istności,
Która mu berło z rąk wytrącić może;
Ta myśl zatrważa Piorunującego.
Odziej ją w słowa, niech natchnie tron jego
Orędownictwem. Skłoń duszę do modłów,
Jak błagalnica w wspaniałej świątyni,
Niech wola w dumnem sercu twem uklęknie.
Przysługa bowiem z pokorą — najdzikszych
I najsilniejszych ugłaszcze.
*Prometeusz.* Złe dusze
I dobro nagną do swojej natury.
Ja-m dał mu wszystko, co ma; on mię zato
Przez lata, wieki, więzi dniem i nocą,
Gdzie słońce spiekłą skórę mi rozdziera,
Gdzie w noc miesięczną śnieg szklanemi skrzydły
W mój włos się wkleja, kiedy ukochane
Me plemię leży zdeptane przez srogich
Siepaczy, jego myśli wykonawców.
Tak, tak nagradza wielki Zeus! I słusznie.
Kto złym jest, dobra przyjąć ci nie może.

Świat mu podaruj, strać dlań przyjaciela, —
To gniew poczuje, wstyd, bojaźń — nie wdzięczność.
On mści się na mnie za własne swe zbrodnie;
Dla niego dobroć — to wyrzut, co gorzkiem
Przerywa żądłem wpółczujny sen Zemsty.
Sam wiesz — na korność ważyć się nie mogę;
Bo jakąż inną korność onby przyjął,
A ja-m udzielić mógł, jeśli nie owo
Wyroczne słowo, tę śmiertelną pieczęć
Niewoli rodu ludzkiego, drgającą
Nad jego skronią, jak niegdyś na włosku
Miecz sycylijski. Nie, tego nie spełnię!
Niech inni kadzą zbrodni, co zasiadła
Na krótką wszechmoc — oni są bezpieczni,
Bo Sprawiedliwość, zwycięska, nie kary,
Lecz współboleści łzami płakać będzie
Nad krzywdą swoją, aż nadto pomszczoną
Na tych, co krzywdzą. Więc czekam wytrwale
Na dzień odpłaty, co z biegiem słów moich
Wciąż się przybliża.

*(F. Jezierski).*

## 2. Epipsychidion.

Jestto panteistyczny poemat miłości, poświęcony nieszczęśliwej Emilii Viviani, zamkniętej w klasztorze. Przytaczamy z niego ustęp końcowy.

. . . . . Oboje
Tymczasem będziem kroczyli, gdzie zdroje
Błyszczą pod niebios ionskich sklepiskiem,
Brnęli śród trawy, pięli się po mszyskiem
Porosłych górach, gdzie w tchnieniu przecichem
Strop wargi swoje łączy z ust kielichem
Ziemi-kochanki; potem u wybrzeży
Spoczniem krzemiennych, w których czerstwy, świeży
Całunek morza takie budzi życie,
Że drżą i skrzą się, jak gdyby w zachwycie.
Tu będziem władać owładnięci razem
Bujnym przecichej rozkoszy obrazem,
Złączeni z sobą i oddani sobie,
Aż życie w miłość się zmieni; a w dobie
Południa w szarej ukryjem się grocie,
Która snadź jeszcze w księżycowem złocie
Wczorajszej nocy się kąpie, gdzie słońca
Snadź nie dociera źrenica gorąca —
W grocie, co nocy nas zmrokiem otoczy.
Tu sen niech zmorzy niewinne ci oczy,
Sen — świeża rosa miłości spragnionéj,
Sen — deszcz, co kroplą gasi rozpalony

Żar pocałunków, aż znowu zapłoną —
Gwarzyć będziemy, póki naszym tonom
Taka melodya myśli nie wypłynie,
Której nie oddać językiem; co ginie,
Zamiera w słowie, lecz znów życiem błyska
W takich spojrzeniach, których strzała wciska
W serce się nieme i w pieśń je nastraja,
W pieśń choć bez dźwięku. Niech nasz duch się spaja.
Niech się ze sobą nasza pieśń połączy:
Usta — wymowa choć bez słów z nich sączy —
Niech przyćmią duszę, co wśród nich się pali;
Ten oto strumień tajemniczej fali,
Co z ducha krynic najskrytszych wytryska —
Z najgłębszych głębin żywota — niech błyska
Przeczystej żądzy pozłotą, jak w zorzy
Górskie potoki... I w jedno się złoży
To nasze życie; pod dwóch ciał odzieniem —
Czemu dwóch? — jednym my duchem, pragnieniem
Będziemy jednem w dwóch sercach, co zmienne
Rosły i rosną, aż jako płomienne
Dwa meteory, tak długo krążące,
Póki nie zleją się — dwa serca drżące
Zetkną się z sobą, złączą i przemienią,
I, wiecznie płonąc, nigdy się płomieniom
Strawić nie dadzą. I w duszy my własnéj
Znajdziemy pokarm, jak ten płomień jasny
Zbyt nieskalanych, nazbyt świętych zniczy,
By czerpać strawę ze zwykłej zdobyczy —
Zniczy, co w górę k' niebieskim krainom
Blaskiem strzelają, lecz nigdy nie giną.
W dwóch wolach jednem będziemy dążeniem,
I jedną wolą, otuloną cieniem
Dwóch dusz, i jednym będziemy żywotem
I jednem piekłem, jednem niebem złotem,
Unicestwieniem jednem, o! i jedną
Nieśmiertelnością!....

*Jan Kasprowicz.*

## 3. Chmura.

I.

Świeże ulewy
Na spragnione krzewy
Przynoszę z morza lub rzeki;
Dostarczam cieniu
Listkom, co w znużeniu
Wśród dziennej spoczęły spieki.

Na skrzydłach niosę
I otrząsam rosę,
Budząc tłum pączków uroczy, —
Śpiące gromadki
Na piersiach swej matki,
Co wkoło słońca się toczy.

Gradami zionę:
I łąki zielone
Pokrywam białym całunem;

Śniegiem zawieję
Gór lesiste knieje,
Aż sosny gną się i dyszą,
I na noc całą
Mam poduszkę białą,
Gdy wichry śpiącą kołyszą.

A w górze, u szczytu
Mej wieży z błękitu,
Tam błyskawica ster trzyma!
W otchłani, w dole,
Grom, wzięty w niewolę
Z swych więzów rwie się i zżyma.

Gdy w krwawej zorzy
Wschód oczy otworzy,
Zgasiwszy gwiazdy już senne...
Wskakuje nagle
Na me wzdęte żagle,
Roztacza pióra płomienne, —

Jak orzeł, który
Gdzieś na zrębie góry,
Co nad przepaścią się chwieje,
Zawisłszy w locie,
Przez kilka chwil w złocie
Otwartych skrzydeł jaśnieje.

Ta srebrzysto-lica
Błękitów dziewica
Zwana księżycem na ziemi,
Połyskując, sunie
Po mem wiotkiem runie,
Wzdętem powiewy nocnemi.

A gdzie w mym namiocie
W cichym stóp swych locie,
Co słyszą tylko anioły,

W deszcz je przemienię
I mknąc już w przestrzenie,
Znów się uśmiechnę piorunem.

II.

Z lądów na morza
Wiedzie mnie w przestworza
Ten mój przewodnik ognisty,
Co rozkochany
W duchach mgły i piany,
Ściga je w toni falistéj.

Wszędzie on z niemi
Na niebie i ziemi
Brata się jawnie lub skrycie,
Śląc im z przestrzeni
Swój całus z płomieni,
Gdy ja się grzeję w błękicie.

III.

A gdy z nad morza
Tchnie zachodu zorza
Ciszą, miłością, rozkoszą;
Gdy płaszcz z purpury
Pada na dół z góry,
A z dołu cienie się wznoszą:

Ja skrzydła złożę
W błękitów przestworze,
Piór szarych pochowam rąbki,
I w gniazdko mroczne
Uleciawszy, spocznę
Nakształt drzemiącej gołąbki.

IV.

Przerwie tkankę cienką, —
Zaraz przez okienko
Tłum gwiazd przegląda wesoły.

Ja widząc, jak chyże
Przelatują w wirze
Niby złocistych pszczół roje,
Z uśmiechem rozwinę
Namiotu szczelinę —
Aż morza, jeziora, zdroje

Jak strzępki błękitu
Strącone ze szczytu,
W księżyc i gwiazdy przystroję.

Ja owijam słońce
W wstęgi gorejące,
Księżyc — w przepaski tęcz sine;
Wulkany się mroczą,
Gwiazdy drżą, migoczą,
Gdy ja swój sztandar rozwinę.

Z lądu na ląd śmiele
Pomostem się ścielę
Przez mórz wzburzone obszary;
Nie puszczam promieni
Przez mój dach w przestrzeni
Oparty o gór filary.

Duchy wód i ziemi
Rodzicami memi,
Piastunką — przestrzeń powietrzna;
Przenikam w obiegu
Tkań morza i brzegu,
Wciąż zmienna, a jednak wieczna.

Choć z deszczową rosą
Wiatry mnie rozniosą
I w górze istnieć przestanę; —

V.

Tryumfalna brama,
Co powstaje sama
Na me zwycięskie przybycie,
Gdy z burzą i gromem
Kroczę nad poziomem —
To tęczy barwne odbicie.

Słońca glob ognisty
Tka jej wzór przejrzysty
I łuk świetlany napina,
Podczas gdy zroszona,
Łzy strząsając z łona,
Śmiać się znów ziemia poczyna.

VI.

Choć słońca promienie
Błękitów sklepienie
Bez skaz utkają świetlane:

Ja z swego pogrzebu
Wzlatuję ku niebu
Z jaskini deszczów skrytej;
Jak duch z grobu łona,
Nowonarodzona
Przesłaniam znowu błękity.

## 4. Ozymandyas.

Podróżnik, wracający z starożytnej ziemi,
Rzekł do mnie: Nóg olbrzymich z głazu dwoje sterczy
Wśród puszczy bez tułowia. W pobliżu za niemi
Tonie w piasku strzaskana twarz. Jej wzrok szyderczy.
Zacięte usta, wyraz zimnego rozkazu
Świadczą: iż rzeźbiarz dobrze na tej bryle głazu
Odtworzył skryte żądze, co choć w poniewierce
Przetrwały rękę mistrza i mocarza serce.
A na podstawie napis dochował się cało:
„Ja jestem Ozymandyas, król królów. Mocarze!
„Patrzcie na moje dzieła i przed moją chwałą
„Gińcie z rozpaczy!“ Więcej nic już nie zostało...
Gdzie stąpić, gruz bezkształtny oczom się ukaże
I piaski, bielejące w pustyni obszarze.

*(A. Asnyk)*

## 5. Zmienność.

Jesteśmy, jako chmury, co owiną
Miesięczne blaski.... błyszczą, drżą i pędzą,

Mrok srebrząc w swej pogoni.... i wnet giną
Na zawsze już — zasnute nocy przędzą.

Lub jako struny lutni rozstrojonéj,
Co z każdem tchnieniem wiatru różnie brzęczą,
A których drugie powtarzane tony
Z pierwszymi zgodnie nigdy nie zadźwięczą.

Sen — mogą mary zatruć nam najkrwawsze,
Na jawie — błędna myśl dzień zwarzyć może;
Śmiech, płacz, uczucie, myśl — są jedne zawsze,
Lśnią-li nam szczęścia, czy niedoli zorze.

Są jedne... zawsze jedne — zmiany pora
Jest w smutku, czy w radości jedną chwilką:—
Jutro nie może takiem być, jak wczora,
I jedna zmienność jest niezmienną tylko.

### 6. Tułacze świata.

Powiedz mi, gwiazdo złota, w biegu
Swym — do jakiego zdążasz brzegu,
W jakiej pieczarze do noclegu
Swe skrzydła złożysz już?
Blada księżycu, ty błękitu
Siwy pielgrzymie, z brzaskiem świtu
U jakich urwisk spoczniesz szczytu,
Śród jakich dolin, wzgórz?
Wichrze strudzony, co, jak dziecię
Bezdomne, tułasz się po świecie,
Masz-li gdzie gniazdo na skał grzbiecie,
Śród drzew, czy w głębi mórz?

(*Władysław Nawrocki.*)

Cenci, tragedyę Shelleya, przełożył Jan Kasprowicz (Warszawa, 1887), jak niemniej »Epipsychidion« (w »Świecie«, Kraków, 1889), »Mimozę« Władysław Nawrocki (»Ateneum«, 1894, tom I.), który w temże piśmie pomieścił wybór liryków Shelleya (1894, tom IV).

## XX. Tomasz Moore.

### 1. Z poematu „Lalla-Rookh".

#### Raj i Peri[1]).

Wygnana z raju Peri wtedy dopiero miała tam wrócić, gdy przyniesie dar najwyżej w niebie ceniony. Peri przynosi naprzód krew bohatera, co życie swoje w obronie kraju położył, potem poświęcenie narzeczonej, która umierającemu narzeczonemu niesie

[1]) Peri są to duchy dobre, stopniem niższe od aniołów, ale równej piękności, według wyobrażeń mahometańskich; żyją wonią kwiatów i rosą.

pociechę, a w końcu własne życie w ofierze; ale te dary, jakkolwiek cenne, nie otwierają jeszcze bram raju, dopiero gdy Peri przyniosła łzę skruchy modlitwą dziecka nawróconego zbrodniarza, została dopuszczoną do przybytku błogosławionych. Ten ostatni epizod w skróceniu tu podajemy:

Teraz nad Syryą, bogatą w róże,
Kraśnieje wieczór w złotej purpurze;
Tkwi nad Libanem ogromne słońce;
A szczyt Libanu we wiecznej zimie,
Śnieg mu ubiela skronie olbrzymie,
A u stóp jego na kwietnej łące,
Lato w różanych pieluchach drzémie.
Jakże musiało pięknem być dla niéj
*[tj. dla Peri]*
Która patrzała z błękitów bani
Na tych okolic cudne przestrzenie,
Życie, co z dołu tryska ochoczo!
W pięknych ogrodach jasne strumienie
Pośród melonów złotych się toczą;
Brzeg się zieleni, kwitnie pagórek;
A gdzie świątynia w gruz się rozpada,
Przy słońca blasku pięknych jaszczurek
Wesoło, tłumnie tańczy gromada;
I piękniej jeszcze gołębi stada
Kołyszą skrzydła swe niespokojne;
A przy czerwonej zachodu prędze
Tak się migocą blaskiem swych piórek,
Jakby w stubarwne klejnoty strojne,
Albo jak tęczy promienne przędze
Na Peristanu niebie bez chmurek.
Fletnia pasterza uroczym dźwiękiem
Z pszczół palestyńskich zmieszana
[brzękiem
Ponad Jordanu brzegiem przepływa —
I las milionem słowików śpiéwa.
. . . . . .
A teraz leżał mąż ów nieprawy,
Jakgdyby wieczór, płonący kraśnie,
Występnej duszy złagodził waśnie,
I na dziecięcia patrzył zabawy;
Lecz gdy się jego źrenica dzika
Z jasnym chłopięcia wzrokiem spotyka,
To jak tych bladych promień pochodni,
Co do bezbożnej biesiady zbrodni
Całą noc swoim świeciły blaskiem,
Gdy z pierwszym ranka spotka się
[brzaskiem.
. . . . . .
Och, ta dziecina — och, te niebiosy
I tej modlitwy dalekie głosy
Taki czarowny wdzięk rozpostarły,
Żeby westchnienie żalu wydarły
Nawet Eblisa[1]) dumie szatańskiéj,
Że stracił cnoty spokój niebiański.
A ów nieszczęsny leżąc na błoni
Z twarzą zmarszczoną, wybladłą, żółtą,
Och, jakże w piersi głęboko czuł to!
Gdy w owej chwili pamięcią goni
Po tylu latach zbrodni, niesnaski
I pośród czarnej życia powodzi
Nigdzie słonecznych miejsc nie
[znachodzi,
Nie wraca z żadną gałązką łaski!
„Niegdyś — zawołał z żalem —
[o, dziécię!
I ja też miałem podobne życie,
I jam dziecięciem modlił się nieráz,
Jak ty niewinny, czysty... a teraz!“
I zwiesił głowę; a w ową chwilę
Wszystkie nadzieje, cele wznioślejsze,
Pierwsze uczucia jakieś czyściejsze,
W piersi od młodu śpiące lat tyle,
Nagle zbudzone zawrzały rojem —
I łez gorących zalał się zdrojem!
O, wy łzy święte głębokiej skruchy,
W których występne myją się duchy!
Waszym strumieniem w serce grzesznika
Pierwsza niegrzeszna radość przenika.
Patrz — do modlitwy klęknął
[z pokorą
I głos swój z głosem miesza dziecinnym.
Te same blaski zachodu gorą
I nad występnym i nad niewinnym;
A po niebiosach radośne pienia
W tryumfie głoszą hymn przebaczenia!
Już się od chwili słońce układło,
Gdy oba w modłach jeszcze klęczeli;
Wtedy to światło tak cudne padło
Jaśniej i czyściej, piękniej, weseléj,

[1]) Eblis — szatan u mahometan.

Niżli od słońca, gwiazd, lub księżyca
Na łzę, co skrapia pokutne lica.
Śmiertelne oko widzieć w tem może
Meteor albo polarną zorzę;
Lecz nie ma granic Peri uciecha,
Widząc, że to się anioł uśmiecha,
Od bram światłości, ku łezce świętéj,
Co jej otwiera Eden zamknięty!
Radość na zawsze! Na zawsze radość!
Tym darem niebu stało się zadość!

*(A. Pajgert).*

## 2. Melodye irlandzkie.

1.

Ach! nie gańcie poety, gdy pod lipy cieniem,
Szydząc z chwały, w objęcia rozkoszy się chyli!
O! znał on wyższe cele i w szczęśliwszej chwili
Duch jego czystszym, świętszym mógł gorzeć płomieniem.

Struna, co dziś na lutni zwisła osłabiona,
Mogła zgiąć łuk i cisnąć zeń śmiertelnym grotem,
A usta, co dziś dźwięczą miłosnym szczebiotem,
Święty zapał wlewały w patryotów łona.

Lecz ach! jego ojczyzna sławą już nie świeci,
Duch, co się ugiąć nie dał, dziś złamany kona!
Żal swój w głębi podziemia kryć muszą jej dzieci,
Bo zdradą dziś jej miłość, śmiercią jej obrona.

Synom jej dzisiaj chwały nie ma bez spodlenia;
Nie wzniesie się, kto wiarę swoich ojców wyzna;
Zginie w mroku, kto drogi swej nie opromienia
Żagwią, wziętą ze stosu, gdzie kona ojczyzna.

Więc nie gańcie poety, gdy w marzeń uroku
Chce zapomnieć o bólu, co mu truje życie!
Wróćcie tylko nadzieję! niech śród tego mroku
Choć jeden promyk błyśnie, a wtedy ujrzycie....

Jak w ogień, co z ołtarza ojczyzny zapłonie,
Rzuci wszystkie swe żądze i swą radość całą,
Gdy mirtem, co namiętne dziś mu wieńczy skronie,
Jak Harmodyusz przepasze miecz promienny chwałą!

Lecz choć sława minęła, nadzieja stracona,
W jego pieśniach, Erynie[1]), imię twe nie skona,
I choć się najweselszą uciechą upoi,
Nie zapomni on ciebie, ani krzywdy twojéj.

Obce ludy on przejmie twej skargi rozpaczą,
W jękach arfy ją wyśle za morskie odmęty,
Aż wrogi, co srogiemi okuły nas pęty,
Na głos pieśni swych jeńców zadrżą i zapłaczą!

[1]) Eryn — Irlandya.

2.

Płaczcie, ach płaczcie, bo już minął czas!
Znikły bez śladu świetne chwały sny!
Ciężki, sromotny łańcuch spętał was!
Ach, już nie męże, niewolnicy wy!

Darmo głos mądrych na przestrogę brzmiał?
Ach, darmo spadło tyle dzielnych głów!
Płomień wolności, gdy go wicher zwiał,
Przez długie lata nie zaświeci znów!

Płaczcie, a może przyjdą kiedyś chwile,
Gdy miłość wasze imiona uświęci,
Gdy za nią w ludzkiej zbudzą się pamięci
Czyny, zdeptane dziś w pogardy pyle.

I gdy stanąwszy na cmentarnej ziemi,
Gdzie obok ofiar swych spocznie morderca,
Z dziwem zapyta ktoś: „Jak takie serca
Zwalczyć się dały rękoma takiemi?!“

I rzecze smutnie: „Los to wasz był srogi,
Śród bratniej waśni wić dla siebie pęta...
Nienawiść mogła złączyć wasze wrogi,
A was nie mogła złączyć miłość święta!

„Bo człek rozprzęga, co kojarzyć trzeba,
I poniewiera wszelkie boże dary,
Gdzie przeklinają jedni te ofiary,
Przy których drudzy modlą się do Nieba!“

*(A. Plug).*

## 3. Zlew wód.

(The meeting of the waters).

Czyż jest na całym świecie taki miłe ustronie,
Jak dolina, gdzie jasne zlewają się zdroje? .
Dolino, będą w sercu błyszczeć kwiaty twoje,
Póki w duszy ostatni promyk życia płonie!

Nie dlatego o tobie tak wspominać miło,
Że cię szmaragd odziewa i kryształ oblewa,
Że masz żywe strumienie, urodziwe drzewa:
Ach, w tobie coś droższego, coś milszego było!

Tu byli ukochani przyjaciele moi;
Oni rozlali lubość w lubej okolicy,
Oni czuli, że piękność, która ziemię stroi,
Milszą jest, kiedy w miłej odbita źrenicy.

Daj Boże, abym wrócił w to ciche ustronie
I obok mych przyjaciół spoczął na twem łonie,
Kiedy przeminą wszystkie życia niepogody
I zmieszają się serca, jako twoje wody.

*(A. Mickiewicz).*

### 4. Poległym.

Pokój tym, co posnęli!
We krwi legli na błoni,
Ich oponą niebiosa,
Nikt im łzy nie uroni,
Chyba deszcze i rosa.
Pokój tym, co posnęli!

Nadaremne ich męstwo!
Tam, gdzie runął, tam leży
Stary dąb w poprzek rzeki,
Skrzepłe serca rycerzy
Już nam ścichły na wieki.
Nadaremne ich męstwo!

Biada tobie, zdobywco!
Niech, jak oni polężem —
Te pobite olbrzymy —
Lecz się zrośniem z orężem,
Aż dług zemsty spłacimy.
Biada tobie, zdobywco!

*A. Pajgert.*

### 5. Spotkanie — rozstanie.

Kiedy płyniemy przez ogromne morze,
A toń samotna słone fale porze,
Mając przed sobą od świtu do świtu,
Puste przestwory wodnego błękitu,
Jakaż nas wtedy tęsknota ogarnia!
Jakaż jest ciężka w tem sercu
[męczarnia,
Gdy się pragnienie jedno wciąż w nas
[skarzy:
By przecież spotkać gdzieś — innych
[żeglarzy!...

* * *

Jak się też wtedy zrywamy weseli,
Gdy w mgłach oddali żagiel nam
[zabieli.
— Bywaj! — wołamy, wyciągając
[dłonie,
A gdy nam wietrzyk odpowiedź
[przywionie,
Gdy obcy statek coraz, coraz bliżéj...
Zdaje się ku nam lecieć, jak ptak
[chyży,
Aż się już widzim, witamy już razem,
Jednej radości stajem się obrazem,
Jedną rozkoszą serca drżą wśród łona:
Chwilę. — U steru gdzieś się ruch
[wykona
I rozdział — ciężki... gorzki... Po
[głębinie
Znowu samotnie każdy statek płynie.

*(Marya Ilnicka).*

»Lalla-Rookh« jest u nas w tłómaczeniu prozą Wandy Maleckiej (Warszawa, 1826, dwa tomy). Część tego utworu, mianowicie »Raj i Peri« wierszem przekładali: A. E. Odyniec (1843, nowe wydanie 1874), Aleks. Rypiński (1852, Londyn), A. Pajgert (1860, Warszawa). »Czcicieli ognia« przełożył A. E. Odyniec. »Zakwefiony prorok Korasanu« jest w tłómaczeniu Aleksandra Rypińskiego (1857, Londyn). »Melodye irlandzkie« przekładali Mickiewicz, Julian Korsak, Adam Pług, M. Ilnicka i inni.

## XXI. Tomasz Hood.

### Pieśń o koszuli.

Z utrudzonymi palcami,
Z źrenicą mętną, zastygłą,
Siedziała kobieta w mizernych
[łachmanach,
Przy pracy, zgięta nad igłą —
Chyżo za ściegiem ścieg rośnie!
Zmęczona, głodna, zbolała,
Wszelako znękanym swym głosem
[żałośnie
„Pieśń o koszuli“ śpiewała.

„Szyj! szyj! szyj!
Gdy w dali koguty pieją!
I szyj! szyj! szyj!
Gdy gwiazdy przez dach jaśnieją!
O dołoż moja! ty raczéj
W turecki mnie jassyr prowadź!...
Tam przecie kobieta na duszę nie [baczy....
Niż mam u chrześcian pracować!

„Szyj! szyj! szyj!
Póki się mózg nie zamroczy;
Szyj! szyj! szyj!
Póki nie zaćmią się oczy;
Kliniki, szlaki, wiązadła,
Wiązadła, szlaki, kliniki,
Aż sen mnie pod koniec już zmorzy [i wtedy
We śnie przyszyję guziki.

„Mężczyźni, co się istnieniem
Sióstr, żon i matek cieszycie!
Nie z płótna samego są wasze koszule,
W nich istot ludzkich tkwi życie!
Chyżo za ściegiem ścieg rośnie!
Zmęczona, głodna, zbolała,
Jam nitką podwójną zarazem z koszulą
Dla siebie całun zszywała.

„Lecz czemuż mówię o śmierci,
O tym ohydnym szkielecie...
Wszelako przed straszną tą marą nie [zadrżę,
Do mnie podobna jest przecie;
Do mnie podobna jest przecie;
Wszak codzień poszczę... O Panie!
Dlaczegoż tak drogi jest chleb na tym [świecie,
A krew i ciało — tak tanie!

„Szyj! szyj! szyj!
Spoczynek nie jest mi znany;
A jakąż mam za to zapłatę? Ten barłóg,
Chleb suchy, nędzne łachmany,
Dach zapadnięty nad głową,
Ten stół, ten stołek złamany —
Ach! już mi weselej z mym cieniem, jeżeli
Na puste upadnie ściany.

„Szyj! szyj! szyj!
Od świtu do snu godziny,
Szyj! szyj! szyj!
Jak więzień za ciężkie winy!
Wiązadła, szlaki, kliniki,
Kliniki, szlaki, wiązadła,
Aż serce omdleje, aż móg odrętwieje,
Jak ręka z trudu opadła.

„Szyj! szyj! szyj!
W posępnym grudniowym mroku,
I szyj! szyj! szyj!
W światła i ciepła potoku —
Podczas, kiedy pod strzechą
Jaskółki w gniazdku radośnie
Świegocą i w blaskach się kąpią [słonecznych,
Jakby mi mówiąc o wiośnie.

„Dajcie odetchnąć na chwilę
Pierwiosnków wonią, tak błogą —
Nad głową mieć nieba pogodne błękity,
A traw kobierzec pod nogą
I czuć pozwólcie przez chwilę,
Jak wolno było czuć w porze,
Gdym, nędzy nie znając, nie śniła, że spacer
Obiadu zastąpić nie może.

„O! jedną tylko jedyną
Dajcie mi chwilę wytchnienia!
O, nie dla Miłości, o, nie dla Nadziei,
Ja łaknę jej dla Cierpienia!
Ulżyłby płacz mej boleści,
Lecz łzy zostańcie w ukryciu!...
Choć boleść tak wielka, wszak każda [kropelka
Przeszkadzać będzie przy szyciu!“

Z utrudzonymi palcami, —
Z źrenicą mętną, zastygłą,
Siedziała kobieta w mizernych łachma- [nach,
Przy pracy, zajęta nad igłą — [Chyżo za ściegiem ścieg rośnie!
Zmęczona, głodna, zbolała,
Wszelako znękanym swym głosem [żałośnie
— Bogaczom niech dźwięczy ta nuta roz- [głośnie,
„Pieśń o koszuli śpiewała!

*(Władysław Nawrocki).*

# XXII. Alfred Tennyson.

## 1. Ginewra.

Ginewra, zawiniwszy wobec małżonka, słynnego w podaniach średniowiecznych króla Artura, nie uciekła z Lancelotem do jego zamku, lecz postanowiwszy nigdy go już nie widzieć, schroniła się do klasztoru i żyła tam nieznana. Młoda zakonnica mimowoli zadawała jej mękę, rozwodząc się nad winą królowej, która występkiem swoim stała się przyczyną wojny domowej. Lancelot wprawdzie nie stawał do walki, ale usunął się do swego zamku, a tymczasem chytry Modred, siostrzeniec Artura, podniósł bunt, pragnąc zagarnąć koronę dla siebie. Artur przybywa do klasztoru, gdzie się znajdowała jego żona, i wyraziwszy swój żal głęboki z powodu jej winy, oświadcza, że chociaż nie przestał kochać, nie zabierze jej jednak na dwór swój; przebacza jej i odchodzi. Upokorzona, lecz zarazem rozrzewniona Ginewra szuka w skrusze i pokucie ukojenia, zostaje zakonnicą i w tym stanie życia przykładnego dokonywa. Przytaczamy wyjątek z przemowy Artura i ze słów Ginewry wyrzeczonych do zakonnic.

„Nie myśl, że grzech twój chcę ci wypominać,
Anim, Ginewro, przyszedł cię przeklinać;
Lecz serce wielką litością się żali,
Widząc u stóp mych twoją głowę złotą,
Co była w lepszych latach mą pieszczotą.
Gniew, co rozgorzał we mnie siłą piekła,
I wyrok śmierci na zdradę wydany,
Gdym się dowiedział, żeś tutaj uciekła,
Już przeminęły; i ból przepłakany,
Com czuł, gdym serce twe porównał z mojem,
Co nie umiało zdrady przeczuć w twojem:
Lecz i tej część już minęła katuszy.
Co już się stało, nie będzie inaczéj.
Ja ci przebaczam, niech tak Bóg przebaczy!
Resztę już sama czyń dla twojej duszy.
Lecz jakże z wszystkiém, com kochał, się rozstać?
Złote, com pieścić tak lubił, warkocze,
Nie wiedząc!... kształty królewskie, urocze!
Któraż wam równą z niewiast miała postać?
Ażeście zgubę na kraj mój zwaliły!
Nie dotknę ust twych! nie moje ich wdzięki,
Lecz Lancelota! — i nigdy nie były,
Nigdy mojemi! Nie dotknę twej ręki,
I na niej złożył grzech ciała swe piętno!...
Ciału mojemu, Ginewro, tyś wstrętną!
Jednak, wiedz o tem, ja w mem życiu całem
Innej prócz ciebie miłości nie znałem!
Z nią tak się cały zrosłem jaknajściśléj,
Że dotąd jeszcze ja kochać cię muszę.
Niechaj nikt o mnie inaczej nie myśli,
Lecz że cię kocham! I niech tak twą duszę

Oczyści Chrystus najmiłosierniejszy,
By tam, gdzie każden czysty i bezwinny,
Kiedy w obliczu się spotkamy Boga,
Tyś ku mnie z niebios poskoczyła proga.
Bom ja twym mężem! nie żaden duch mniejszy,
Ani Lancelot, ani żaden inny!
Ty tę ostatnią zostaw mi nadzieję.
Ja muszę odejść już, wśród nocy głuchéj
Odgłosem trąby wzywają mię druhy,
Królewski sztandar na ich czele wieje,
Za mną na zachód pociągną w bój ostry,
Przeciw synowi wiodę ich mej siostry,
Na białokonne Saksończyków hordy
I sprzysiężone buntownicze lordy;
Lub jego krwawym tam powalę trupem,
Lub sam przeznaczeń tajnych padnę łupem.
Ty tu się dowiesz, jak wypadł bój srogi;
Ja sam już nigdy nie wstąpię w te progi,
Już nie obaczę cię nigdy! Bądź zdrowa!"
I zdało jej się, gdy jej zwisła głowa
Bliżej mu do nóg przypełzła, że czuje,
Jak się ponad nią oddech króla snuje,
I że dostrzegła, wzrok w ciemności pławiąc,
Jak nad nią rękę wznosił, błogosławiąc.
. . . . . .
I gdy do góry wzniosła wzrok i lice,
Wszystkie płaczące widzi zakonnice:
Więc otworzyła się w niej serca tama,
I tak mówiła, płacząc z niemi sama:
„Więc mnie już znacie! znacię tę nędznicę,
Co wielkie króla zniweczyła cele!
Otoczcie murem mnie, lube dziewice!
Dajcie w klasztorze jak najcichszą celę,
Gdzie nigdy głosów wrzawa nie przenika,
Co moją hańbę po świecie wykrzyka.
Jam sobą gardzić nie powinna raczej,
Bo on mnie jeszcze kocha! Nikt inaczej
Niechaj nie myśli, lecz że kocha jeszcze!
Więc jeśli wy mnie w pogardzie nie macie,
Jeśli się siostrą zwać mnie nie wzdrygacie,
Pozwólcie, niech tu z wami się umieszczę!
Niech jak wy w czarny habit owinięta,
Post z wami poszczę, z wami święcę święta;
Niech smutno waszym smutkiem się podzielę,
A obcem wasze będzie mi wesele.
Niech w waszych świętych obrzędach się ćwiczę,
A wy się za mną módlcie, siostry drogie!
Niech obowiązki spełniam służebnicze,

Niech leczę chorych i wspieram ubogie,
Co są bogatsze i czystsze o wiele
Przed Zbawicielem ode mnie, grzesznicy.
Gojąc ich rany, niechaj swoje leczę!
W modłach, jałmużnach żywot pokutniczy
Niechaj się chmurnym wieczorem dowlecze,
Na odkupienie rozkosznemu dniowi,
Co przyniósł zgubę mojemu królowi!“

*A. Pajgert.*

## 2. Enoch Arden.

Jestto obrazek z życia mieszkańców wioski nadmorskiej, obfitujący w liczne piękności sielankowe, ale mający także i miejsca pełne tragiki wewnętrznej, nie uzewnętrzniającej się w słowach patetycznych. Jasny, pogodny koloryt nawet w przedstawianiu smutków i cierpień, szczerość, serdeczność, wytrwałość w pracy, zdolność do cichego poświęcenia, a przytem ładne opisy natury czynią nader miłym ten poemacik, pozostawiając po sobie wrażenie rzewne, ale nerwów nie targające. Bohater tytułowy zyskuje sobie najżywsze współczucie, ostatnim mianowicie czynem swoim, kiedy nie chcąc zakłócić szczęścia swej niegdyś żony, która, poczytując go za zmarłego, wyszła po raz drugi za mąż, ukradkiem tylko się przypatruje jej i dzieciom swoim, i umiera, nie dawszy się poznać tym, którychby to dotknąć mogło boleśnie. Tę scenę, kiedy Enoch zwierza się ze swej tajemnicy kobiecie, u której mieszkał dotychczas nieznany, tu przytaczamy:

Wtedy on, utopiwszy tęskny wzrok w niewieście,
Rzekł: „Czyś znała Enocha Ardena w tem mieście?“
— „Jabym go i dziś, rzekła, o sto mil poznała.
„Pomnę, gdy szedł ulicą, śliczna postać cała,
„Głowa zawsze do góry, nie bał się nikogo“.
A Enoch na to smutnie: „Odcierpiał on srogo,
„Dziś jego głowa nizko, i nikt nań nie baczy,
„Za trzy dni biedak skończy swój zawód tułaczy;
„Jam Enoch Arden“. — Wdowa krzyknęła strwożona:
„Co? Ty Enoch? nie wierzę, nic mię nie przekona,
„On był o stopę wyższy od ciebie... Nie lada
„Był to człowiek“. — A Enoch znowu odpowiada:
„Niewiasto! tak to ręka zniżyła mię boska,
„Złamały mię do szczętu samotność i troska.
„Lecz spojrz mi dobrze w oczy, przypatrz mi się blizko:
„Jam pojął tę... co dwakroć zmieniła nazwisko,
„I poszła za Filipa. Siądź, i słuchaj bacznie“.
I wtedy on jej wszystko opowiadać zacznie:
Podróż, rozbicie, długi swój żywot sierocy,
Powrót, jak ujrzał Ancię z jej ogródka w nocy,
I jaki powziął zamiar, i jak się cierpliwie
Utrzymał w nim do końca. — Słuchając w podziwie,
Wdowa łez potokami zalewa swe oczy,
Wzdycha, a przytem ledwie z skóry nie wyskoczy,
By po całutkiem mieście, w swych znajomych kole,

Rozpowiedzieć wraz wszystkie Enocha niedole,
Że żyje, że jest u niej. Ale ją powaga
Przysięgi zatrzymuje. Więc tylko go błaga:
„Zobacz dzieci przed śmiercią, ja ci je przywiodę".
I biorąc nikły uśmiech Enocha za zgodę,
Zaraz po jego dzieci pobiegnąć gotowa,
Wstaje, ale on do niej w te ozwie się słowa:

„Nie mieszaj mi pokoju w ostatniej godzinie,
„Niech mój zamiar bezpiecznie do portu dopłynie.
„Siądź, słuchaj i wykonaj, co ci tu powierzę:
„Gdy ujrzysz Ancię, przyświadcz, żem w chwili skonania
„Szczerze za nią się modlił, błogosławił szczerze,
„Kochając ją, o ile uczciwość nie wzbrania
„Kochać żonę już cudzą, — kochając tak tkliwie,
„Jak ją kochałem w pierwszym miłości porywie.
„I mej córce, co taka podobna do matki,
„Powiedz, żem mego tchnienia poświęcił ostatki,
„Aby jej błogosławić. I upewnij syna,
„Że i jemu, gdy przyszła ostatnia godzina,
„Jam z serca błogosławił w tej ciężkiej przeprawie;
„I Filipowi powiedz, że go błogosławię,
„Bo on zawsze nam sprzyjał... O resztę nie stoję...
„I jeśli dzieci, które nie znały mię prawie,
„Chcą mnie widzieć po śmierci, niech przyjdą oboje,
„Jam ich ojciec.... Lecz matki niech z sobą nie biorą...
„Gdyż dla niej twarz ma trupia mogłaby się zmorą
„Stać na resztę żywota.. Mam ja przecież dziecię,
„Mam jedno, co na tamtym powita mię świecie.
„Oto które ucięła i dała mi włoski;
„Jam je nosił przez wszystkie te lata i troski,
„I myślał, że je z sobą zaniosę do grobu,
„Lecz wszak teraz wnet wieczność połączy nas obu.
„Widzę... już mi się stamtąd me dziecię uśmiecha!
„Więc daj to matce... dla niej będzie to pociecha,
„I dowód, żem ja Enoch"....
I zamilkł, a wdowa
Zaręczając, że wszystkich przyrzeczeń dochowa,
Tyle próżnych słów trwoni, plącze się i zmienia,
Że on wzrok w nią utkwiwszy, wszystkie swe życzenia
Stanowczo jej powtarza raz jeszcze, a ona
Znów przysięga, że wszystko najświęciej wykona.

I wreszcie trzeciej nocy od owej narady,
Gdy Enoch spał bez ruchu i śmiertelnie blady,
A Miriam czuwa nad nim, drzemiąc na przemiany,
Rozległ się huk od morza tak straszny, że ściany
Wszystkich domostw w zatoce wstrzęsły się z posady.

Enoch zerwał się, powstał, wytężył ramiona
Ku morzu, i nadludzką zaryknąwszy mową:
„Żagiel! Żagiel!... Jam zbawion... ma nędza skończona!“
Padł... To było ostatnie nieszczęsnego słowo.

Tak duch ten bohaterski uleciał ku niebu...
I nigdy tam większego nie było pogrzebu.

*(Stanisław Koźmian).*

## 3. Z poematu lirycznego „In memoriam“.

1.

Ja wierzę w harfy dźwięcznej wieść,
Która na różne tony śpiewa,
Że ludzie mogą, jak z pni — drzewa,
Nad swe znikome „ja“ się wznieść.

Lecz kto tak przejrzy czasu mgły,
Że znajdzie korzyść na dnie straty?
Lub sięgnie przez lat sieć po kwiaty,
Które wykwitną kiedyś z łzy?

Niech miłość koi ból, lub mrok
Oboje ćmi, niech giną w grobie;
Ach! lepiej tarzać się w żałobie,
Śmierć wzywać w tan, nieść błędny krok,

Niż żeby miał urągać czas
Miłości i ze wzgardą biadał:
„To mąż, co kochał i postradał,
I stał się jak bezduszny głaz“.

2.

Ja wcale nie zazdroszczę, nie,
Więźniowi, w którym bunt nie tleje,
Ni ptakom, którym obce knicje,
Gdy zrodzą się na klatki dnie —

I nie pociąga mnie też los
Tych zwierząt, co nie znając zbrodni,
Po świecie chodzą najswobodniéj,
Bo w nich sumienia milczy głos;

Ni serc tych, które, szczęściem zwąc,
Że nigdy nie ślubują wiary,
W gnuśności chwastach tęchną szaréj;
Ni spokój miły mi bez żądz.

Ja wierzę — mniejsza, co ma być —
I czuję, choć mam bólem płacić,
Że lepiej kochać i utracić,
Niż bez miłości wiecznie żyć.

*(Aksel).*

## 4. Uspokojony.

Im człowiek dalej idzie życia drogą,
Tem mniej uskarża się na trud podróży,
Lecz nie dlatego, że pochód mniej nuży
Że się bezpieczniej stąpa wprawną nogą,
Ale wie teraz, że już blizko końca:
Że się położy o zachodzie słońca.

Przecież za siebie w tył obraca głowę
I w dal przebytą pogląda z tęsknotą.
Widzi tam blaski jutrzenki różowe
I wschodzącego słońca łunę złotą,
Jak malowała krajobrazy życia
Przez świateł swoich zarówne odbicia.

Już-by nie wrócił tam natręt za cenę
Tego wszystkiego, co tu legło w pyle:

Na tę przeżytej przeszłości arenę,
Gdzie tyle tracił, gdzie przecierpiał tyle;
A przecież kocha nawet te zawody
Młodej miłości i nadziei młodéj.

Kocha.... jak skarby unosi wspomnienie
Tego, co ogniem przenikało łono;
Jak niegdyś ludziom na wieczności mienie
Mały pieniążek do grobu kładziono,
Chciałby wziąć z sobą to, czem serce biło —
Co tam zapałem młodych wierzeń było.

### 5. Chcę zostać sam.

Gdy legnę w zimny grób
Nad mą mogiłą wstrzymaj łez twych prąd
I odejdź, płocha! Niech śpi cicho trup,
Niech proch spokojnie tleje. Ty idź stąd!
Niech wicher gwiżdże, czajka krzyczy tam;
Chcę zostać sam!
Czy to był grzech twój, czy uczucia błąd,
Ja się nie pytam — cóż mi z tego, cóż?
Innego sobie weź, lecz odejdź stąd,
Mnie boli życie już!
Idź, słabe serce! idź z cmentarza bram;
Chcę zostać sam!

(Z.).

Przekłady z Tennysona znajdują się w artykule Władysława Chomętowskiego p. t. »Alfred Tennyson i jego dzieła« (»Biblioteka Warszawska« 1860, t. IV). Między innemi jest tu całkowite tłómaczenie jednej z idyll królewskich »Helena«. A. Pajgert przełożył »Ginewrę«, Stanisław Koźmian »Enocha Ardena«; »Zamek Locksley« (Locksley Hall) — Aksel (w »Życiu« 1887), »Oenonę« i »Godivę« Jan Kasprowicz (w »Ateneum« 1892 i 1894), »Tithonus'a« Adam Asnyk.

## XXIII. Karol Algernon Swinburne.

### 1. Zwątpienie.

Znikły dni błogie, gdyśmy opiewali
Miłość i tylko miłość, rozkochani, —
Dni promieniste, nakształt srebrnej fali,
Gdy słońce skrzy się, wietrzyk buja na niéj.

Ach i te noce, w których sny, marzenia
Nas unosiły z ponad smutnej ziemi
W kraj czarodziejsko-piękny omamienia,
Pierzchły daleko skrzydłami czarnemi.

Dziś miłość wierna i szczera dla matki,
Dziś czoła troska trwoga o los brata;
To wyraz dziwny wpośród nas i rzadki, —
Piosnka ptaszęca z ubiegłego lata.

Dziś wszelkie dobro, które nas spotyka,
To woń różana po minionej wiośnie,
Ostatni odblask dziennego promyka,
Co go oczyma żegnamy żałośnie.

Dziś i poranek nie wzbija się z chwałą,
Jak Bóg, zwycięzca śmierci, na niebiosa,
Tylko wzlatuje, jak ptaszę, nieśmiało,
Gdy mu mdłe skrzydła drętwi zimna rosa.

Nadzieja nasza, w gonitwie omdlała;
Pochodnię oną, co nam drogę znaczy,
I palmę, którą ku nam powiewała,
Oddaje dziecku swojemu — rozpaczy!

## 2. Czas i pieśń.

Niesłusznie ludzie mówią, że się z czasem zmienia
Stara miłość, że stare wietrzeją wspomnienia,
Że wiek stary do grobu chyli starą głowę:
Wszak ciągle stara rosa rzeźwi młode kwiaty;
Stare słońce chwil młodych wiedzie raj skrzydlaty;
Stara wiosna rozwija róże coraz nowe.

Czyżby królewska wieszcza miała spłowieć szata,
Zwiędnąć wieniec wawrzynu, co mu skroń oplata,
Że tamta dawno tkana, ten dawno spleciony —
Jak płowieją i więdną barwnych kwiatów liście,
Co nie dają owoców trwałych wiekuiście,
Co je niszczy skwar letni, lub zimowe szrony?

O nie! takiej zacności, pamięci i chwale
Najdłuższe lat koleje nie zagrożą wcale;
Bo nie zważa na spieki i srogie zamiecie,
Ani się za ochroną nie ogląda żadną,
Czy z nieba ostre wichry, czy-to gromy spadną,
Nieustraszone niczem, nieśmiertelne kwiecie.

Stare pragnienia, stare myśli, stare cnoty,
Dłużej trwają niż ludzi i ludów żywoty, —
Umarłych, gdyby nie to, co z nimi nie ginie;
Nieskazitelne, droższe ponad wszelką miarę,
Dobra, piękna i prawdy święte skarby stare
Żyją po za tem życiem w świetlanej dziedzinie

*(Adam Pług).*

### 3. Tryady.

I.

Co mówi lazurom słońc zorza,
Co wiatr mówi morskim rozdołom,
Co mówi księżyca blask mrokom,
Któż o tem wie?
Przecz lubą motylom jest róża,
Przecz lubą jest góra sokołom,
Przecz lubą jest tęcza obłokom,
Któż powie mnie?
Co śpiewa łzom rosy łan zboża,
Co śpiewa lipowy liść pszczołom,
Co śpiewa głąb wyżyn mrokom,
Któż pojmie je?

II.

To, co kwiecień odsyła do maja,
To, co maj zaś oddaje czerwcowi,
A co czerwiec lipcowi przesyła, —
Niby urodzin dar:
Czem się zorza w dnia czarach upaja,
Czem się uśmiecha dzień południowi,
Czem piosnka westchnieniu jest miła,
To łamie życia gwar.
Ach, nikt nie wie, co przeszłość zataja,
Jak kosztowną miesięcznych jest nowi,
Jak bolesną jest przemian ich siła,
A każdy chce znać ich czar!

III.

Czem jest miłość życia fal do brzegu,
Miłość brzegu do fal mrących toni,
Czem jest miłość do skier błyskawicy
Złoto-purpurowéj —
Nie poznamy, choć włos będzie w śniegu,
Po kres życia, co się we łzach trwoni
I, ach, w dziwnej trawi się tęsknicy
Do deski grobowéj.
Do tej tajni, gdzie kres tajń szeregu,
Tego mroku, w którym słońce płonie
I zagasa w wieczorów ciemnicy,
Lub w świt błyska nowy!

(*A. Lange*).

## XXI. Robert Browning.

### 1. Paracelsus.

Jest to dramat pięciu dni duszy filozoficznej. Dzień pierwszy jest okresem entuzyazmu. Paracelsus mówi przyjaciołom swoim, że postanowił objechać ziemię, by zdobyć wszechwiedzę. W akcie II po latach 9, poznaje, że absolut jest poza granicami wiedzy człowieka. Wpada w rozpacz i dopiero umierający poeta Aprilis naucza go, że prócz wiedzy jest na ziemi szczęście w miłości. Ale Paracelsus kochać nie może. Jego rozczarowanie miłosne jest treścią aktu III. W akcie IV, w Bazylei, opanowuje go próżność, a wraz z nią żądza bogactw. Jest profesorem uniwersytetu, pragnie błyszczeć, otaczać się hołdownikami, co go popycha do szarlataństw. Ścigany przez nieprzyjaciół, uchodzi z Bazylei, a w akcie V znajduje się w Salzburgu, w szpitalu, blizki śmierci; ma wtedy jasnowidzenie przeznaczeń ludzkich i podnosi się do wyżyn myślenia. Oto urywek z zakończenia:

Miłość w mem sercu nie była dość wielką,
By śledzić słaby jej zaczątek w duszy,
Nienawiść uznać za miłości maskę,
W złem widzieć dobre, w rozpaczy nadzieję,
Współczuć niedoli mych bliźnich, być dumnym
Z ich połowicznych prawd, z ich słabych dążeń,
Z ich walk o prawdę, z ich ubogich złudzeń
I z ich przesądów, strachów, trosk i zwątpień...
Bo wszystko to ma w duszy pewną zacność —
Pomimo błędu — i mimo słabości
Dąży ku górze, jako te podziemne
Rośliny, które nie widziały słońca,
Lecz marzą o niem, zgadują, gdzie świeci,
I jak umieją, tak się pną ku niemu!
Wszystkiego tego jam nie znał — a przeto
Upadłem....

(*A. Lange*).

### 2. Fragment z poematu „Fifina na jarmarku".

Rozkosz, jaką dają mi te tłumy,
Porównywam z rozkoszą chemika,
Gdy nowego ciała ślad pochwycił:
Idzie za nim, bada jego prawo:
Gdy rozpuszcza je, lub składa znowu,
Gdy z objawów dochodzi przyczyny,
Gdy upojon tryumfem, rokuje,
Że z prostego ciała stworzy całość!
Gdy zwierzęta, rośliny i kruszce
Do pierwotnych sprowadza żywiołów.
Tak mnie dręczy głód zbadania siebie!
Bo wszak żądza bytu, w ślad za sobą
Ciągnie żądzę poznania, kto jestem!
Gdy zdobędę kiedyś pełną wiedzę
O przedmiotach zewnątrz mnie leżących,
Ujrzę siebie sam u źródła prawdy;
Poznam duszę przez powłokę ciała:
Zbadam wtedy, jak ona oblekła
Ten czczy pozór i ten płaszcz zwodniczy!

(*S. Duchińska*).

## XXII. Dante Gabryel Rosseti.

### Śmierć w miłości.

W orszaku Życia postać mi się ukazała:
Miała skrzydła Miłości, jej chorągiew niosła.
Na materyi, cudownej szlachectwem rzemiosła,
Lśnił się, o! twarzy bez ducha, kształt twojego ciała.

Szumy, jak szumy pierwszych dni wiosny, tajemne
Drżały w fałdach. Bez śladu, szybko ta istota
Przeszła przez moje serce, jak ów dzień, gdy wrota
Narodzin na świat nowy zazgrzytały ciemne.

Lecz za nią szła niewiasta w kwefie. Owinęła
Chorągiew wokół drzewca. A potem ją spięła
Srebrnem piórem, wyjętem ze skrzydła husarza,

I u warg swoich bladych nieruchomo trzyma
I mówi do mnie: Spojrzyj, wiatru nigdzie niema,
Ja Śmierć! Ta Miłość ze mną jedną całość stwarza.

(*A. Lange*).

## XXIII. Felicya Hemans.

### Śpiewaj mi, matko!

Śpiewaj mi, matko, niech zasnę!
Jak w tych dniach błogich, co [pierzchły,
Matko! me gwiazdy zamierzchły,
Twej córki życie nie jasne.

Skroń kwiatki schylają krasne,
Zmrok trudy wędrowca koi,
Tul mię do piersi, do swojéj;
Śpiewaj mi, matko, niech zasnę!

Przyjm ptaszka na gniazdko własne,
Zwichniętež życie to, biada!
Tak boli miłości zdrada!
Śpiewaj mi, matko, niech zasnę!

(*A. Pajgert*).

## B) Poeci Stanów Zjednoczonych.

## I. Shakburg.

### Yankee[1]) doodle.

Jankes chłopiec chwacki, miły
Smukły jak topola,
W tańcu zwinny, pełen siły,
Bystrość to sokoła.
Jankes kraju wiernie strzeże
Choć go zwą gamoniem[2]),
Z gróźb, przechwałek drwi on szczerze,
Bo Jankes nicponiem.
Do pracy się żwawo bierze,
Czynny przez wybory,
Porasta też szybko w pierze,
Gdyż do handlu skory.
Jankes kraju wiernie strzeże itd.
Drzwi gościnnie ma otwarte,
Ciast w szafach do syta.
Jabłeczniki dużo warte,
Gościa mile wita.
Jankes kraju wiernie strzeże itd.
Dom własny, skromny z pozoru,
Zasad nic nie wzruszy.
Tron dla prawdy i honoru
W czystej wznosi duszy.
Jankes kraju wiernie strzeże itd.
Ojczyzna dlań dumą, Bogiem,
Wiernie jej też broni,
A kiedy z jej walczy wrogiem
I gdy w kielich dzwoni,
Woła: Jankes kraju strzeże,
Choć go zwą gamoniem.
Z gróźb, przechwałek drwi on szczerze,
Bo Jankes nicponiem.

(*Natalia Krzyżanowska*).

[1]) Jestto nazwa ludności ze Stanów Zjednoczonych, przetworzona po indyjsku z *English*.
[2]) Doodle — gamoń.

## II. Wilhelm Cullen Bryant.

### 1. Mogiła.

A kiedy ja umrę — niech moi druhowie
Nie płaczą nademną cmentarnie;
Ja nie chcę kamieni za grobu wezgłowie,
Lecz wioski mej kocham ja darnie.
Więc niech mnie położą śród gaju — za łąką,
Niech kwiaty zasadzą i zioła.
Niech kurban ubiorą zieleni obsłonką!
Ja spałbym czuwając: świeciłoby słonko
I kwiatem złociłoby czoła.

Przez długie, przez długie godziny tam w lecie
Słonecznie promienie-by lśniły,
A trawa zielona, i krzewy, i kwiecie
W przecudnych-by farbach wschodziły.
Ptaszęta gniazdeczka tam wiłyby sobie,
Miłosną śpiewałyby pieśń na mym grobie
I motyl-by fruwał wesoły:
I słychać-by było o rannej tam dobie
Kolibry — dyamenty i pszczoły!

W południa gorące radosne okrzyki
Od wioski płynęłyby echem:
Wieczorem dziewczęta przy dźwiękach muzyki
Śpiewałyby pieśni ze śmiechem.
W północy, przy blasku miesięcznych promieni,
Ująwszy swe dłonie, młodzi narzeczeni
Kroczyliby nad mą mogiłą!
I gdyby się spełnił mój sen — u przedsieni
Mej trumny-by smutków nie było!

Ach, wiem ja, że niebym nie widział w swej trumnie
Z tych cudów, co budzi żar lata:
Że blask jego nieba nie spływałby ku mnie,
Ni jego muzyka skrzydlata.
Lecz jeśliby przyszli na senne me kiry
Druhowie, by płakać zagasłej mej liry —
Nie wrócą do domu z pośpiechem.
Bo kwiaty — a pieśni, promienie — zefiry
Wstrzymają ich słodkim oddechem.

Bo wszystko to, wszystko w wzruszonem ich łonie
Obudzi myśl o tem, co było,
I o tym, co dzielić nie może po zgonie
Radości — pod własną mogiłą,

Którego dział wszystek przepychów korony,
Słonecznie zdobiącej te niwy,
Jest tylko to jedno: że grób ma zielony!
I raz jeszcze chcieliby pieśni mej tony
I głos jeszcze słyszeć mój żywy.

(*A Lange*).

## 2. Rok 1776.

Z lesistych stron szedł wojów szyk.
Kraj zbudził się, przez las i błoń
Wolności przebiegł głośny krzyk,
I wszelki strach i popłoch znikł,
Chwyciła miecz rolnika dłoń.

Od wsi do wsi ten odzew biegł,
Od gór do ciemnych morza fal,
Nad nieznajomych brzegi rzek,
Aż po dziewiczych borów brzeg
Brzmiał odzew ten w bezmierną dal.

I szli od gór skalistych stóp,
Od brzegów, kędy morze grzmi,
Z kraju, gdzie lśni Niagary słup,
Z dolin milczących jako grób
Szeregiem długim mężni szli.

I zdało się, że w blasku zórz
Błysł świt stworzenia nowych dni,
Że z łąk i borów, z ziem i mórz,
Spragnieni bojów, walk i burz
Wstawali męże jako lwy.

Gromady matek z dziećmi, żon,
Siwych rodziców, młodych dziew,
Biegły ze wszystkich kraju stron
Ujrzeć ten przyszłej śmierci plon; —
Nie płakał nikt; był w każdym lew!

I zawrzał bój, straszliwy bój!
Na równach Zgody ziemia drży,
Orzeźwił traw stepowych znój
I odział je w szkarłatny strój
Bój leksyngtoński[1]) morzem krwi.

Tak był nam dzień wolności dan;
Niewoli znak, śród swojskich niw,
Omyto krwią z żołnierskich ran,
I odtąd żaden obcy pan
W krainy nasze nie wszedł żyw.

(*Miriam*).

---

# III. Jan Whittier.

## Telegraf atlantycki.

Zatoko Trójcy, cicha ty,
O, pusty brzegu mórz!
Głos Boga — słuchaj — z dali grzmi,
Chyl skroń i pokłon złóż!

Ze świata w świat nieb poseł mknie,
Myśl niosąc głębią wód,
Z lazurów Bóg aniołów śle
Na śpiący w morzu drut.

I mówi ich promienny chór:
Przez tajny związan prąd,
Zapomni świat dwu lądów spór,
Bo jeden będzie ląd.

Serc jedno bicie, jedna krew
Zjednoczy ludzki ród,
Dłoń ściśnie dłoń, a bratni śpiew
Przez głębie zabrzmi wód.

---

[1]) Lexington, miasteczko w stanie Massachusets, sławne zwycięstwem osadników nad Anglikami w roku 1775.

Przez piaski puszcz, Kaszmiru sad
Potężna pomknie skra,
I świeże życie — jeden świat
Zmęczonym innym da.

Magicznem pasmem z brzegiem brzeg
Połączą siecie lin,
Dziś nowy ogień zdobył człek,
Prometeusza syn.

O, burzo, grzmij! o, gromie, lśnij!
Przeniknij każdy ląd,
Zejdź w ludzką pierś i zapłoń w niéj.
Spal ogniem więzów trud!

Straszliwa mocy z niebios tła,
Przez oceanu wir,
Jako spokojna, cicha skra
Nieś wielkie słowo: mir!

Wrzeciono Boga, kręć się wdal,
Prządź miru wieczną nić
I tkaj z niej całun w głębi fal,
By szczątki wojny skryć.

Patrz! oceanu mur już padł,
Zwyciężon czas już dziś,
Wszechmyśl przebiega dzisiaj świat,
Jak twoja własna myśl!

Z biegunem biegun już się zbiegł,
Odwieczny milknie spór,
Jako gdy Chrystus „pokój!“ rzekł
Do strasznych wodnych gór!

(*Miriam*).

## IV. Henryk Longfellow.

### 1. Złota legenda.

Na tle znanej już czytelnikom legendy o biednym Henryku[1]) rozwija autor szereg scen, malujących nam życie średniowieczne. Książę Hohenek, chory fizycznie i moralnie, pełen zwątpienia i rozpaczy, wchodzi w stosunki z Lucyferem, za co zostaje wyklęty przez kościół. Pozbawiony schronienia, udaje się do Odenwaldu i tu nieznany dzierżawca, Gotlieb, przyjmuje go do swego domu. Córka jego, Elsya, postanawia ofiarować życie dla szczęścia i zdrowia księcia. Henryk, który obawia się śmierci, po stoczeniu walki z sobą, przyjmuje to poświęcenie i wyrusza z Elsyą w drogę do Salerno. W podróży wstępuje do pewnego miasta, gdzie trafiają na uroczysty obchód dnia wielkanocnego. Spotykamy tu najrozmaitsze sceny, misterya, kazanie mnicha Kutberta, przybijanie tez przez scholastyka, wreszcie opowiadanie zakonnicy Irmingardy. Książę Henryk znajduję po drodze swego przyjaciela i poetę Waltera z Vogelweide, z którym dalej wspólnie podróż odbywają, aż do Salerno, gdzie ofiary ma dokonać Lucyfer w postaci ojca Antonia. W ostatniej chwili wszakże książę spostrzega cały ogrom poświęcenia Elsyi i postanawia odrzucić jej ofiarę. W sam czas przychodzi jej na pomoc i oswabadza z rąk szatana. Henryk odzyskuje utraconą wiarę i wraz z nią chęć do życia. Uzdrowiony fizycznie i moralnie, żeni się z Elsyą i pędzi odtąd życie szczęśliwie. Przytaczamy opowiadanie Irmingardy.

Jak noc spokojna, jak wiater zamiera,
Jak księżyc lubo z za lasów wyziera
I ponad klasztor, ogrody i góry
Już na spoczynek przeciągnęły chmury,
Znikły bez śladu i widać tron cały
Króla wszechświateł; — tak świecą promienie

[1]) Zob. tom I, str. 450.

Błogości, żalu, natchnienia i chwały
W tej duszy, co znalazła przebaczenie.
Jam tą grzesznicą! Duszy mej głębina
Była zaćmiona i żądzą skalana;
Lecz dziś na zawsze zaleczona rana.
Uleciał smutek i przeczucie zguby,
Bo przez tę ziemską puszczę łez i próby,
Gdziem po palących piaskach iść musiała,
Od nieba wiatry wionęły rzeźwiące,
Nagle się wzruszył i wstrząsł byt mój cały,
Jak liście drzewa, lub zioła na łące.
Uczułam zdrowia i pokoju przyście,
Bo mię rozwiały ewangelii liście.
Elsyo, gdy ciebie mam przy moim boku,
Gdy księżyc blaskiem włosy twe oblewa
I ciemność widzę tylko w twojem oku,
Jakaś moc duszę pociąga ku tobie
Tak mocno, dziwnie, jakby w dawnej dobie
Już ciebie znała i pierwej kochała.
Tak mi jest krewnym duch każdej dziewicy,
Żyjącej w świętych sferach tajemnicy!
Jestem Irmingarda, bogatego rodu
I przodków świetnych z imienia i czynów;
I bard niejeden, wędrując za młodu
Po stromych ścieżkach i cierniach zawodu,
Przezemnie wstąpił na pole wawrzynów:
Świetneż to były dnie i pełne szału!
Płynęły szybko, a za dniami nocy,
Pędzone w walce siły i niemocy.
Ta miłość, która od młodej dziewicy
Żąda całego serca bez podziału,
Która jest dla niej tem z natury prawa,
Czem dla młodzieńca jest duma i sława!
Jej tchem, jej życiem, jej światem i słońcem,
Która nie ścierpi zawodu aż w trumnie: —
Ta miłość wyszła na spotkanie ku mnie,
Gdym w świat z klasztornej wypuszczona celi
Słuchała piosnek natchnionych minstreli.
Piękny postawą, wyobraźnią świetny,
W rysach znaczący i w czynach szlachetny,
Nad resztą świata był Walter Vogelweid,
I już o całym zapomniawszy świecie,
Z dumą marzyłam o młodym poecie.
Bo też śpiew jego był lata obrazem:
W nim wszech muzyka ptaków grała razem
Rozkoszą świateł, falami obłoku,
Wonnością kwiatów i gwarem potoku.
Słuchałam pieśni, pełna świętej trwogi!

Jak ptak spłoszony żeglując nad światem.
W prądach eteru, winnice, rozłogi
Snuły się w dołach i zboża pod kwiatem;
To po chwilowem błądzeniu w chmur łonie
Znów się puszczałam nad świecące błonie,
W jakąś nieznaną, nieskończoną drogę,
Czując, że losu powstrzymać nie mogę.
I tak samotna zdaleka od ludu,
Raczej wypadkiem niżeli z wyboru
Słuchałam dźwięków natchnienia i cudu,
Aż w ducha mego najskrytsze głębiny
Ten śpiew przeniknął. Raz w chwili wieczoru,
Już cień majowy padał na krzewiny,
Słucham, gdzie ptaszki po zaroślach skaczą,
Zwilżony rosą, liść na liściu drzemie:
To Walter, Walter wymówił me imię;
Czemuż wymówił z jękiem i rozpaczą?
Ten głos mię owiał przestrachem dokoła,
Jak w strasznym sądzie trąba archanioła,
Której dźwięk grobów otwiera otchłanie:
I duch mój poczuł jakby zmartwychwstanie,
I tem był dla mnie ubiegły byt niemy,
Czem kiedyś będą owe męki zgonu,
Gdy po nicestwie u wieczności tronu,
Powstawszy z prochu, wielki dzień ujrzymy.
Niestety! był to tylko sen nietrwały,
Który w noc jedną dwie dusze owionął
I zwiądł w noc jedną i rozpierzchł się cały.
Srogi gniew ojca na tę miłość zionął,
Jak nieraz wicher na popioły zionie
I zamiast stłumić wznieci żar na trzonie.
„Nie! woła, żadne kochające bardy
Nie wezmą ręki mojej Irmingardy,
Na którą książę Hohenek już czeka,
Posły i listy śląc do mnie zdaleka".
„Nie, ojcze, rzekłam z dumą, lecz w pokorze;
Książę pomyśli o innym wyborze;
Nigdy z uczuciem dłoń twego dziecięcia
Nie spocznie w dłoni zacnego książęcia".
Tak powiedziałam dla ciebie, Walterze,
Bo reszty serca nie śmiałam otwierać.
O! gdyby wolno było mi wybierać!
Po chwili ojciec znów przerwał milczenie
I rzekł tym zimnym, nieugiętym tonem,
Który słuchaczów obraca w kamienie
I już się zdaje czynem poleconym:
„To, lub w klasztorze wieczna służba niebu".
Tyle słów wyrzekł: z czołem pochyloném

Jam je słyszała jak hasło pogrzebu,
Duch żegnał ciało i serce konało. —
Tej samej nocy od zamku, w milczeniu
Wolnym, niepewnym i kradzionym krokiem,
Dwa cienie jadą na dwóch koniach w cieniu.
Ten mały orszak wązką ścieżką jedzie,
Która z wąwozu w głęboki las wiedzie;
A że twarz, barwę i postawę traci
W tem morzu liści, w ciemności sklepieniu
Rzekłbyś, że płyną duchy bez postaci,
Że cień czarniejszy snuje się po cieniu,
I zgadnąć trudno, czy płyną lub stoją:
To był wieszcz Walter z Irmingardą swoją.
Szumiący strumień ze szmerem swawolnym,
Jak pies za strzelcem biegnął w nasze ślady
I pryskał w górę, to w szczelinach ginął
I szumieć przestał; to z szumem wypłynął,
Jakby się lękał i udzielał rady,
Że tętent koni w biegu zbyt powolnym
Wpędzi nas w sidła zaczajonej zdrady.
Gdyśmy z parowu wjechali na błonie,
Na chwilę cuglem wstrzymaliśmy konie,
By ujrzeć jeszcze zamek opuszczony.
Patrzymy: w zamku gęste światło płonie,
To światło mury i okna zaległo.
We mnie przestało bić serce od trwogi,
Strumień przelękły wił się nam pod nogi,
Straszne przeczucie po duszy przebiegło;
Gdy krzyk się rozległ od zamkowej strony
I konie rżały i trąbiono w rogi,
Strwożone nasze parskały rumaki,
Gnały na oślep przez zielone szlaki
Tuż obok siebie, w tak ścieśnionym rzędzie,
Że się zdawały jednym koniem w pędzie;
Za niemi w pogoń biegł cień po murawie,
Za cieniem w dali ścigał koń zdyszany,
Jak obłok siłą wiatru popychany.
Dziś jeszcze widzę, jak pędzimy, prawie
Lotem, po bagnach w letniej nocy blasku;
Pod nami droga wiła się po piasku.
I wstecz płynęła, jak rzeka w padole,
Biorąc za sobą płoty i topole.
Tymczasem w górze, daleko, nad głową,
Bledszy odemnie ze smutku i trwogi,
Księżyc koleją płynął lazurową
I nam w ucieczce dotrzymywał drogi:
Wszystko to jasno pamięć mi rozświeca;
Reszty nie pomnę, lecz w wrażeń odmęcie

Zostało jedno, jakiś skok na skręcie,
Skok rozpaczliwy — niby w głąb wieczności,
A potem.... potem noc i tajemnica.
Kiedym się później ocknęła ze mdłości,
Po krótkiej śmierci wracając do świata,
Świeciło słońce, księżyc już nie świecił.
Jakby sam, gasnąc, słońcu mię polecił;
Tylko na ścianie czarny krzyż się splata,
W nim się odbija długich okien krata.
Do tego krzyża składam blade ręce,
Jak zwykłam czynić w me lata dziecięce,
Pierwszą myśl ze snu poświęcając Bogu,
Bo znów się widzę na ojcowskim progu:
I składam dzięki wśród dreszczu i skruchy,
Że już zniknęły owe nocne duchy,
I róg już nie grzmi potępienia głosem,
I że się kończy moja walka z losem.
Dawno już przyszłość te zdarzenia chowa!
Jam ustąpiła z rodzinnego grona,
Jak Katarzyna na męki gotowa,
Bom to mękami zwała.... zaślepiona!
A kiedy za mną na wieki klasztoru
Drzwi zatrzaśnięto, mgły duszę obległy,
Uczułam, jakby spadnięcie toporu,
I dreszcze śmierci po członkach przebiegły,
Tutaj na ducha bólem oblanego
Padł zgniły wyziew mej klasztornej sali,
Jak cierpka rosa, gdy dotknie rannego
I srogim ogniem bliznę jego pali,
Wreszcie uczułam, że cisza nastanie.
Czułam, jak wolno ustaje konanie
I na spienione uczucia odmęty
Skinienie boże zsyła pokój święty.
Tak! był to pokój, lecz nie pokój głazu,
Co myśl przygniata stanem bez wyrazu,
Co w życie wwiewa śmierci obojętność:
Była to dawna, ta sama namiętność,
Która przyrosła do tej ziemi łona,
Dziś całą pełnią do nieba zwrócona.
Ach! świat ten pełen przepaścistych toni!
Nieraz ta ścieżka po różanej błoni
Słonecznym gajem, niwą kwiatorodną
Chytrze wywiedzie w pustynię bezpłodną:
W wysokim rodzie i pod strzechą sioła
Mdła wola parciu żądzy nie podoła.
Któż się nie zachwiał w tej płaczu dolinie,
Gdzie w rosie prawdy kropla fałszu płynie,
Gdzie ginie w oczach niejednej istoty

Ciemna granica cnoty i niecnoty?
Lecz tu, pod tarczą zakonnego domu,
Bóg nas od ciosów morderczych zasłania,
Którym na świecie trudno stawić czoło:
Nie słychać burzy, błyskawicy, gromu,
Ni prądów deszczu, ni fal kołysania;
Taka tu cisza rozesłana wkoło.
Jak siedm dziewic pod skrzydłem klasztoru,
Przy blasku wiary pędzimy dni czarne
Dla Oblubieńca niebieskiego dworu!
Bo serca nasze jak lampy ofiarne
Przed niewidzialnym majestatem płoną:
I płonąć będą, aż do dnia pogrzebu
Jasnością świętą, nigdy niezamgloną
I zawsze równo zwróconą ku niebu.

*F. Jezierski.*

### 2. Z cyklu „Poemata niewolnictwa».

## I. Zbieg.

Wśród Dismalskich moczar trzęsawiska,
Leży Murzyn ścigany i dyszy;
Widzi — płomień gdzieś z koczowisk błyska,
Tętent koni gdzieś lecących słyszy;
W cieniach nocy fala pluszcze blizka,
I szakali wycia płyną w ciszy.

Po sitowiach, paprociach, dokoła,
Świetlikowe migają się muchy·
Jodły wznoszą mchem obrosłe czoła,
Szumią z wiatru chłodnemi podmuchy;
Rosną cedry, jak węże z padoła,
Jadowitych win pną się łańcuchy.

Tam, gdzie ludzki krok nigdy nie mierzy,
Myśl się ledwo posunąć ośmieli,
Gdzie las dziki ostrych traw się jeży,
Drżąca zieleń na drżącej topieli,
Tam zbieg Murzyn, jak zwierz w swojej leży,
Na szuwarów twardej legł pościeli.

A wychudły, blady jest i stary,
Straszne jakieś skurczyły go bole;
Wypalone ognistemi żary
Piętno hańby na smutnem ma czole,
Zgrzebna szata podłej płachty szaréj,
Nędznych członków pokrywa niedolę.

Przecież wszystko, co w krąg niego żyje,
Po bożemu piękne i swobodne:
Jaszczureczka, co się w bagnach kryje,
Mieszkające w trzcinach ptactwo wodne,
Z pierwszym brzaskiem w błękity się wzbije,
Pod niebiosa ulecí pogodne.

Tylko jedna ta Murzyna głowa,
Kainowe wzięła potępienie,
Pierwsza życia jutrzenka różowa
Wiecznej męki niosła przeznaczenie,
Od którego chyba go uchowa
Matka-ziemia, biorąc w grobu cienie...

## 2. Sen niewolnika.

Na niedożętym ryżu zagonie,
Murzyn położył się senny;
Nagie miał piersi, odkryte skronie,
Oblewał znojem skwar dzienny;
Lecz myśl ku lubej ojczyzny stronie
Uniósł snów anioł promienny.

I widzi Nigru błyszczące fale, —
Brzeg wdzięcznie trzciną zarosły;
On, król pustyni, leży wspaniale
Pod cieniem palmy wyniosłéj,
Pieśń karawany w brzmiącym hejnale
Poranne wiatry mu niosły!

Wtem czarnolica jego królowa
Stąpa ku niemu powoli;
W uszach rodzinna zabrzmiała mowa,
Synek u łona swawoli,
Z pod czarnej rzęsy łezka perłowa
Spadła na ziemię niewoli.

Ale flamingo piór swych szkarłatem
W zwierciadle marzeń połyska,
W gaju tamarynd okrytych kwiatem,
Gdzie zdrój szemrzący wytryska;
Tam za klejnotem lasów skrzydlatym
Murzyn strzał oczu swych ciska.

I przez strumienie, doliny, góry,
W szybkiej go ściga pogoni;
Ptak swobodnemi szybuje pióry,
Słodką wolności pieśń dzwoni;
Słońce w prześwietnym płaszczu purpury
Ognistą głowę w dół kłoni.

Aż tu Ocean fale swe toczy,
Kafryjskie widać już chaty,
Dzika hyena wyje z uboczy,
Ryczy lew pustyń kudłaty;
Wspaniały łowiec wyniośle kroczy,
Sennym tryumfem bogaty.

Wtem buchnął tuman piasku siwego,
Wiatr szumem zahuczał dzikim,
Zaśmiał się Murzyn, jakby na niego
Znanym ktoś wołał językiem:
Witając piosnkę druha starego,
Rodzinnym ozwał się krzykiem.

Już go plag dawnych nie bolą blizny,
Słońca nie palą upały,
I na niewoli ziemi nieżyznéj,
Trup tylko został stężały:
Wolny duch wrócił już do ojczyzny,
Anioł go śmierci niósł biały.

*Marya Ilnicka*.

## 3. Chwast morski.

Gdy nad ciemnym Atlantykiem
Z groźnym rykiem
Wiatr jesienny zagrzmi w szał,
Rozwścieklony jakby jędza
Na brzeg spędza
Fale, pełne chwastu skał.

Od Bermudów, od Bahamy,
Zielsk odłamy
Od Azorskich niesie stref,
Z San Salwador posrebrzaną
Wichrzy pianą,
Zmiata fale jego wiew.

Od Orknejskich wysep rzeszy
Z szumem śpieszy,
Od Hebrydów pędzi w dal,
I rozbitych gdzieś okrętów
Śród zamętów
Niesie szczątki po tle fal.

Coraz, dalej, dalej, daléj!
Z szumem wali!
Miota niemi tam i sam,
Aż spędzone na wybrzeże
Znajdą leże
Na mieliznach, w głębiach jam.

Tak gdy uczuć wicher wzruszy
Wieszczej duszy
Oceanem — po jej tle,
Z głębi każdej twierdzy skalnéj
Prąd nawalny
Jakiejś pieśni kawał rwie.

Od zaklętych wysp, gdzie zawdy
Owoc prawdy
Zdala złoty sieje blask,
Z tropikowych stref, gdzie złuda
Stroi w cuda
Młodociany życia brzask,

Z męskiej woli, z przedsięwzięcia,
Bez spoczęcia
Losu falą bitych wciąż,
Z potrzaskanych naw nadziei
Śród zawiei
Rozproszonych owdzie w krąż:

Coraz dalej, dalej, daléj!
Z ziemi wali
Serca falą siła burz,
Aż się wreszcie w księgi wryją,
W pamięć wpiją,
W prawych sercach spoczną już.

*(A. Pajgert).*

3. Z cyklu »Wędrowne ptastwo".

## 1. Excelsior.

Noc roztaczała cień swój wokoło,
Gdy przez alpejskie przechodził sioło
Młodzian, niosący w śnieżne zawieje
Sztandar, co dziwnym godłem jaśnieje:
Excelsior!

Czoło miał blade, wzrok jego świeci
Jak miecz, gdy z pochwy błyskiem
[wyleci,
A głos, jak srebrnej trąby fanfary,
Z tych ust nieznanych grzmi na obszary:
Excelsior!

Obaczył światło w chatach górali,
Przed nim ognisko ciepłe się pali,
Nad sobą puszczę widzi lodową,
I z ust się jękiem wydziera słowo:
Excelsior!

Ostrzega starzec: „Nie próbuj drogi!
„Tam grom nad głową huczy złowrogi,
„Bezdenny strumień ryczy w parowie"...
Lecz dźwiękiem trąby głos się ozowie:
Excelsior!

Wabi dziewczyna: „Wstrzymaj się,
[wstrzymaj!
„Tu na mem łonie słodko zadrzémaj!"
A łza po twarzy młodzieńca spada,
Głęboko westchnął i odpowiada:
Excelsior!

„Strzeż się gałęzi zeschłej krzewiny,
„Strzeż się huczącej groźnie lawiny!"
Tak na dobranoc wieśniak ostrzega,
A z górnej dali głos się rozlega:
Excelsior!

Przed wschodem słońca, kiedy w niebiosy
Mnichów Bernarda pobożne głosy
Ślą zwykłe pieśni rannych pacierzy,
Głośny w powietrze okrzyk uderzy:
Excelsior!

Wierny pies znalazł śród gór manowca
Zasypanego śniegiem wędrowca,
Na lód zakrzepła dłoń jeszcze ściska
Sztandar, co dziwnem godłem połyska
Excelsior!

O szarym, zimnym, porannym brzasku,
Leżał bez życia, lecz pełen blasku,
A głos z dalekich powietrznych
[szczytów
Spadał, jak spada gwiazda z błękitów:
Excelsior!

## 2. Wędrowne ptaki.

Czarno, szeroko
Cienie się wloką
Z lip, co ku niebu sterczą wysoko,
Jak ciemne, olbrzymie ściany.

Czernieją klony
A z ich korony,
Ciemności fala na wszystkie strony
Płynie przez pola i łany.

Lecz noc pogodna,
Ciepła, łagodna,
I jakaś cisza w powietrzu zwodna
Dalekie przybliża głosy.

Jesienną nocą
Gwiazdy się złocą,
Wędrowne ptaki skrzydłem trzepocą,
Przez ciche szumią niebiosy.

Słyszę te loty
Skrzydlatej floty,
Co płynie z kraju śniegu i słoty,
Na brzegi cieplejsze, błogie.

I w nocną ciszę
Krzyk ptaków słyszę,
Ich głos się w górze z wiatrem kołysze,
Ich kształtów widzieć nie mogę.

Nie! to złudzenie!
Tych dźwięków drżenie,
Ten szmer radości, bólu jęczenie,
Nie ptasich skrzydeł to szumy!

To pieśni rzesza
Górą się wiesza,
Dźwięki radości i żalu miesza,
To słów skrzydlatych brzmią tłumy.

To duchów chóry
Wołają z góry,
To lepszych światów chyżemi pióry
Szuka chór wieszczów-pielgrzymów.

Za bożą gwiazdą
Goni swą jazdą,
I w ten świat nocy, w dawne swe gniazdo,
Rzuca szemrzący dźwięk rymów.

*(A. Pajgert).*

## 3. Strzała i pieśń.

Raz wypuściłem strzałę w powietrze:
Szparko świsnęła w porannym wietrze,
Lecz wzrok mój bystry próżno ją goni:
Któż kiedy strzałę doścignął w pogoni?

Raz zanuciłem zwrotkę piosenki...
W świat popłynęły słodkie jej dźwięki,
Daremnie słucham, bo któż dosłyszy
Echo piosenki przebrzmiałe w ciszy?

Wiele lat przeszło od tej godziny,
Strzałę odkryłem w korze dębiny,
A w przyjaciela piersi gorącéj,
Znalazłem piosnkę moją niechcący!

## 4. Śpiewacy.

Trzech wieszczy zesłał Bóg pospołu,
Na tę wygnania biedną ziemię
By za ich pieśnią ludzkie plemię
Wzrok gdzieś podniosło z nad padołu.

Jeden, młodzieniec z jasnem okiem,
Na lirę struny napiął złote:
W zielonym gaju, nad potokiem,
Opiewał rajskich snów tęsknotę.

Drugi — mąż blady, smętnej dumy,
Stawał śród ulic miejskich cieśni,
Potężnym dźwiękiem brzmiącej pieśni
Jak piorun cicho wstrząsał tłumy.

Trzeci był starzec siwowłosy,
W świątyni Pańskiej pieśń swą śpiewał,
Kiedy natchnienia święte głosy
Organ ze złotych ust wylewał.

Aż raz rozpoczął się sąd ludzi:
W którym z nich święta iskra płonie,
Gdy dźwięk ich pieśni w ludu łonie
Niezgodnych uczuć echo budzi?

Ale mistrz wielki rzekł: „Sędziowie!
Wszystkich trzech braci ja posłałem,
Ku objawieniu ducha w słowie
Każdemu inny udział dałem:

Zachwycić, wzruszyć, wznieść ku górze,
Oto potęgi trzy są tony!
Czyj słuch ku prawdzie nastrojony,
Harmonią znajdzie w takim chórze“.

*(Marya Ilnicka).*

### 4. Wiejski kowal.

Pod rozłożystym stoi kasztanem
Kuźnia wśród wiejskiej ustroni;
Silny, barczysty kowal w niej panem,
O grubej, żylastej dłoni —
A jego ramion mięśnie stalowe
Potrafią złamać podkowę.

Włos kędzierzawy, czarny i długi,
Twarz jego jak dębu kora;
Po czole potu spływają strugi
Od rana aż do wieczora —
Lecz patrzy dumnie z swojego domu,
Bo nic nie winien nikomu.

Przez cały tydzień z pod jego strzechy
Słychać gwar dzielnej roboty,
Słychać sapiące powietrzem miechy
I spadające w takt młoty,
Które tak dźwięczą czysto i śmiele,
Jak dzwony w blizkim kościele.

Powracająca dziatwa ze szkoły
Przez drzwi zagląda z rozkoszą:
Bawi ją widok ognia wesoły
I miechów, co się podnoszą,
I pryskających na wszystkie strony
Iskier ze sztaby czerwonéj.

W niedzielę za to w skupieniu ducha
Czeladce on towarzyszy,
Świątecznych modłów i kazań słucha,
A kiedy śpiewy posłyszy,
Głos córki w świętem poznając pieniu,
W głębokiem duma wzruszeniu.

Ten sam, co matka, głos ma dziewczyna.
A matka w aniołów gronie...
Więc z rozrzewnieniem o tej wspomina,
Co w grobu spoczywa łonie,
I szorstką dłonią ociera oczy,
Skąd łza po twarzy się toczy.

Tak w trudzie, smutku, w cichem weselu,
Przez życie idzie swym torem:
Rano zadanie świeże na celu,
Koniec roboty wieczorem;
A każdodzienne zebrane żniwo
Daje noc marzeń szczęśliwą.

O, przyjacielu! Przyjm dziękczynienie
Za tę naukę nam daną:
Tak w kuźni życia, pośród płomienia
Do pracy wstawać trza rano
I każdy zamiar, każdy czyn potem
Pod twardym urabiać młotem.

*(A. Asnyk).*

## V. Ryszard Henryk Stoddard.

### 1. Miłość.

Dla dwóch serc, co się kochają,
Grzech lub wina — próżny dźwięk,
Przed potwarców wściekłą zgrają
Broni ich miłości wdzięk.

Prawem dla nich tylko one,
Obowiązki dla nich — szych;
Ziemskie prawo urojone
Nie przeraża wcale ich.

Więc nie mówcie: Miłość chyli
Przed potęgą dumy skroń;
Bo kochanka błąd — po chwili
Gładzi już miłości dłoń.

### 2. W haremie.

Płonący sandał leje w krąg
Upajającą woń;
Gorętsza krew mi w żyłach drga
I szałem tętni skroń.

Przyciśnij usta do mych ust
I całuj, całuj mnie,
Dopóki cała słodycz twa
Nie przejdzie w serce me!

Pobrzmiewa ogród brzękiem strun,
Miesiąca błyszczy krąg,
A my jak gwiazdy toniem w mgle
Miłości słodkich mąk.

### 3. Ptaszek.

Pod mem oknem ptaszek śpiewa
Najcudniejszą piosnkę swą;
Codzień klatkę mu wywieszam,
Lecz ptak nie chce wlecieć w nią.

Tak i w mózgu moim śpiewa
Harmonijna myśl dzień w dzień;
Ale w klatkę pieśni nie chce
Wejść ptaszyna pełna drżeń.

*(Miriam).*

## VI. Edgar Allan Poe.

### 1. Kruk.

Raz w północnej, głuchej dobie, gdym znużony siedział sobie
Nad księgami dawnej wiedzy, którą wieków okrył kurz, —
Gdym się drzemiąc chylił na nie, usłyszałem niespodzianie
Lekkie, ciche kołatanie, jakby u drzwi moich tuż.
„To gość jakiś“, wyszeptałem, „puka snać przy drzwiach mych tuż,
Nic innego chyba już“.

Ach, pamiętam jakby wczora, była przykra grudnia pora,
Głownie gasnąc cień rzucały, to blask jakichś krwawych zórz,
Tęskno-m czekał, by świt biały błysł, — bo księgi nie sprawiały
Ulgi w mej boleści stałéj, odkąd znikł mój anioł-stróż,
Ma Lenora słodka, dziś ją zowie tak jej anioł-stróż — —
Tu bez nazwy ona już!

Strach zdejmował mnie nieznany, pełny grozy niezbadanéj,
Kiedy u drzwi zaszeleścił purpurowy kotar plusz;
By ukoić serca trwogę, rzekłem sobie: „Pojąć mogę,
To podróżny — zgubił drogę — zbłąkał się śród śnieżnych wzgórz,
W drzwi me puka, zabłądziwszy pośród białych śnieżnych wzgórz —
Tak — nikt inny chyba już!“

Tak nabrawszy męstwa, wstałem, z ugrzecznieniem mówiąc całem:
„Panie albo pani, błagam, nie obrażaj się, ni chmurz,
Bo zasnąłem ze zmęczenia, a twe lekkie uderzenia
W drzwi mojego tu schronienia, nie zbudziły mnie; więc cóż
W tem dziwnego, żem nie słyszał“. Tu otwarłem drzwi — i cóż?
Ciemność wkrąg — i cisza już.

Patrząc w mrok ten na wsze strony, stałem trwożny i zdumiony,
Rojąc mary, jakich dotąd głąb nie znała ludzkich dusz.
Lecz milczenie głuche trwało, ciszy nic nie przerywało,
Tylko lekki szept nieśmiało drgnął: „Lenora?“ gdzieś tuż-tuż,
Tom ja szepnął — i: „Lenora!“ wyszemrało echo tuż,
Tylko to — — i ścichło już.

Powróciwszy do pokoju, w niesłychanym już rozstroju,
Posłyszałem znów stukanie jakby gdzieś przy ścianie wzdłuż.
„Pewnie“, rzekłem, „coś kołacze w okno, wiatry snać tułacze,
Zaraz, co to jest, zobaczę, nie bij, serce, ni się trwóż,
Wnet wyjaśnię tę zagadkę, serce, nie bój się, ni trwóż,
Tak, to wiatr — rozumiem już“.

Otworzyłem okno zatem; — szumiąc skrzydły, z majestatem
Wleciał ciężko kruk wspaniały, jakby czarny piekieł stróż.
Nie pozdrowił mnie ukłonem, okiem powiódł wkrąg zamglonem
I siadł z pańskim jakimś tonem pośród dwóch kamiennych kruż,
Na Pallady biuście przy drzwiach, pośród dwóch kamiennych kruż,
Usiadł sobie tam — i już!

Ptak ten sprawił, że przy całem rozsmętnieniu swem musiałem
Rozśmiać się z poważnej śmieszności jego miny. „Tyś nie tchórz —
Widać — stary, chmurny ptaku, co — choć piór już ani znaku
Na twym czubie — szukasz szlaku śród posępnych nocy mórz?
Mów, jak zwą cię na plutońskim brzegu czarnych nocy mórz?“
Rzekł kruk na to: „Nigdy już!“

Zadziwiłem się nielada, że ptak tak wyraźnie gada,
Choć-em jego odpowiedzi nie mógł pojąć ani rusz,
Boć to przyzna nawet dziecię, że nikt z ludzi dotąd w świecie
Nie oglądał chyba przecie ptaka przy drzwiach izby tuż,
Ptaka, coby przed nim usiadł na popiersiu przy drzwiach tuż,
Z takiem mianem: „Nigdy już“.

Ale kruk ten z łysą głową wyrzekł jedno tylko słowo,
Jak ci, którzy w jeden wyraz całą głąb' wlewają dusz.
Potem milczał znów nieśmiele, pióro mu nie drgnęło w ciele,
Aż gdym szepnął: „Przyjaciele opuścili mię śród burz,
I on też ze dniem mię rzuci, jak nadzieja pośród burz“ —
Ptak mi odrzekł: „Nigdy już!“

Zadziwiony niewymownie odpowiedzią tak stosownie
Wyrzeczoną: „Widać“ — rzekłem — „umie tylko to. A nuż
Dar to pana, co w niewoli poznał tylko to, co boli,
I w swe pieśni jął powoli echa kłaść przeżytych burz,
Aż pieśń każda cichła w zwrotce, smętnej jako echo burz:
„Nigdy, nigdy, nigdy już!“

Lecz że w rozsmętnieniu całem, wciąż się z kruka śmiać musiałem,
Przysunąłem miękki fotel naprost ptaka, do drzwi tuż,
I, zasiadłszy w nim, co żywo jąłem myśli snuć przędziwo,
Co — to stare, chmurne dziwo, czarne, jakby piekieł stróż,
Co — ten dawny ptak wróżbiarski, czarny, jakby piekieł stróż,
Myślał krzacząc: „Nigdy już!“

W dumach, czego to oznaka, nie mówiłem nic do ptaka,
Który swe płonące oczy w serce wbijał mi jak nóż.
Tak siedziałem, wsparłszy głowę o poręcze fioletowe,
A blask lampy światło płowe lał na ich matowy plusz;
Ach, niestety, ona o ten fioletowy, miękki plusz
Skroni swej nie oprze już!

Wtem powietrze się zamgliło, jakby wkoło się dymiło
Sto anielskich trybularzy, tchnących słodką wonią róż.
„Bóg na bóle, co trapiły serce, lek ci zsyła miły“,
Zawołałem, „zbierz swe siły i wspomnienia ciężkie zgłusz!“
Wdychaj lek ten i wspomnienia o Lenory stracie zgłusz!“
Kruk zakrakał: „Nigdy już!“

„Zły wróżbiarzu“, rzekłem, „ptaku, czy czarciego sługo znaku,
Czy cię Szatan przysłał tutaj, czy pęd wściekły zagnał burz
Na brzeg smutku i boleści, gdzie żal tylko pustka mieści,
Gdzie noc każda zgrozę wieści? Powiedz, błagam, wzrusz się, wzrusz,
Jest-że, jest-że balsam w Gilead? — powiedz, powiedz, wzrusz się, wzrusz!“
Rzekł kruk na to: „Nigdy już!“

„Zły wróżbiarzu“, rzekłem, „ptaku, czy czarciego sługo znaku!
Przez to niebo, co nad nami, i przez Pana ziemi, mórz,
Powiedz duszy mej zbolałéj, czy w Edenie szczęścia, chwały
Znajdzie dziewczę, które biały zwie Lenorą anioł-stróż,
Ten kształt święty, który słodko zwie Lenorą anioł-stróż?“
Kruk mi odrzekł: „Nigdy już!“

„Precz stąd z tem pochmurnem czołem, ptaku-dyable!“ wykrzyknąłem,
„Precz na burzę, na plutońskie brzegi czarnych nocy mórz!
Niech mi żadne czarne pióro nie przypomni, jak ponuro
Umiesz kłamać. No, ptaszuro! Rusz-że się z popiersia, rusz!
Precz! Dziób wyjmij z mego serca — i rusz się z nade drzwi, rusz!“
Kruk mi odrzekł: „Nigdy już!“

I kruk wcale nie odlata, jakby myślał siedzieć lata
Na Pallady biuście przy drzwiach, pośród dwóch kamiennych kruż;
Krwawo lśni mu wzrok ponury, jak u dyabła, z pod rzęs chmury,
Światło lampy rzuca z góry jego cień na pokój wzdłuż,
A ma dusza z tego cienia, co komnatę zaległ wzdłuż,
Nie powstanie nigdy już!

*(Miriam).*

## 2. Dzwony.

Hej, u sanek dzwonią dzwony,
Srebrne dzwony!
Jakiż świat zadowolenia wróżą nam ich
[miłe tony!

Jakże dźwięczą, jakże brzęczą,
Brzęczą, dźwięczą potrząśnięte
Pośród nocy uśnieżonéj,
Co lodową drzemie ciszą!

A te złotych gwiazd miliony,
Po niebiosach rozpryśnięte,
Złociej lśnią się i kołyszą
Od rozkoszy krystalicznéj.
I mrugają w takt muzyczny,
Niby w zgodny hymn runiczny
Z kołysaniem i śpiewaniem tej melodyi
[wypieszczonéj,
Którą dźwięczą, dźwięczą dzwony,
Dzwony, dzwony, dzwony,
Dzwony,
Te dźwięczące, śpiewające, ach! te
[srebrne dzwony.

Hej, do ślubu dzwonią dzwony,
Złote dzwony!
Jakiż świat uszczęśliwienia wróżą nam
[ich słodkie tony!
W balsamicznej ciszy nocy,
Jakże drgają z słodkiej mocy,
Gdy powietrze pierś ich trąca!
Dźwięczą płynne złote dźwięki
W jeden ton,
W jeden lotny ton piosenki,
Jak turkawki pieśń, co tęskni, patrząc
[w bladą twarz miesiąca,
Do niebiańskich stron.
Z rozdźwięczonych twych gardzieli,
Tryska jakaś melodyjna pieśń w weselnej
[dziewic bieli!
Jakże drga,
Jakże trwa
Na przyszłości dni!
Jakże śpiewa o porwaniu,
O porwaniu, całowaniu
Dzwonią, dzwonią dzwony,
Dzwony,
Całujące, zgodnie brzmiące, ach, te
[złote dzwony!

Hej, na trwogę dzwonią dzwony,
Śpiżowe dzwony!
Jakiż świat trosk i trwóg wróży nam ich
[jęk wzburzony!
Śród groźnego nocy cienia
Jakże wyją z przerażenia!
Od tej grozy słów im brak;
One mogą tylko tak
Wyć, jak wicher rozstrojony,
W swojem gromkiem przyzywaniu na ten
[krwawy blask pożaru,
I w szalonem rozhukaniu na ten głuchy
[szał pożaru,
Który w dymie, który w skrach
Pośród gwaru i rozgwaru,
Płynie w górę, w górę, w górę,
Jakby żądze swe ponure
Chciał w niebiosa słać i w chmurę,
I w piekielnych swoich snach,
Jakby dziś lub nigdy już,
Chciał rakietą krwawych róż
Na miesięcznych zasiąść mgłach!
Ach, te dzwony, dzwony, dzwony —
Jak nam dźwięk ich rozstrojony
Śpiewa hymn rozpaczy!
Jakże wyją, a skowyczą,
Jakże syczą, huczą, ryczą
By grom armat i kartaczy!
Jaka dzika groza płonie
W rozhukanem, rozdyszanem, powie-
[trznianem łonie!
Ale ucho czuje już
Z tego jęku,
Z tego szczęku,
Że ucicha klęska już;
Ale ucho słyszy już
Z tego blasku,
Z tego wrzasku,
Że omdlewa klęska już,
Bo zemdlone, uciszone, rozgniewane
[dzwonią dzwony
Dzwony, dzwony —
Dzwony, dzwony, dzwony, dzwony,
Dzwony!
Te huczące, te wyjące, te śpiżowe
[dzwony!

Hej, na pogrzeb dzwonią dzwony,
Żelazne dzwony!
Jakąż pieśń nam uroczystą ich poważne
[wróżą tony! —
Śród nocnego, śród milczenia,
Jakże drżymy z przerażenia...
Ach, bo każdy, każdy dźwięk,
Który drży,
Śród ich rdzy —

To śmiertelny jęk!
A ci wszyscy śmiertelnicy,
Co mieszkają w tej dzwonnicy;
Samotnicy, samotnicy —
Kiedy dzwonią straszne dzwony
W monotonii zakwefionéj —
Czują gloryą, co na czoła
Im nakłada biała, święta
Wniebowzięta dłoń anioła!
To nie męże, ni kobiety —
To nie ludzie, ni zwierzęta —
To są duchy, to szkielety....
A ich królem któż jest?... On
Ten, co bije, bije w dzwon —
Zgon!
Ach! jak jego pierś wesoła,
Gdy peanem brzmią mu dzwony,
Jak on tańczy, jak on woła,
Jak on trzyma takt muzyczny,
Niby wielki hymn runiczny,
Gdy peanem brzmią mu dzwony —
Dzwony, dzwony, dzwony!
Jak on trzyma takt muzyczny,
Niby wielki hymn runiczny,
Gdy drgające drgają dzwony,
Dzwony, dzwony, dzwony!
Gdy łkające łkają dzwony,
Dzwony, dzwony, dzwony!
Jak on trzyma takt muzyczny,
Gdy wydzwania zgony, zgony,
Niby wielki hymn runiczny,
Gdy wyjące wyją dzwony,
Dzwony, dzwony, dzwony;
Gdy jęczące jęczą dzwony
Dzwony, dzwony, dzwony,
Dzwony
Te płaczące, grobem tchnące, te żelazne
[dzwony!

(*Antoni Lange*).

# VII. NIEMCY.

## I. Hans Sachs.

### 1. Różne dzieci Ewy.

Gdy Bóg dał Ewie już niejedno dziecię,
Czy rozumiecie,
Chciał ją razu pewnego odwiedzić na świecie;
A więc też matka z konsolacyi swojéj
Wybiera najpiękniejsze... myje, czesze, stroi
I zdobi w kwiecie,
By na nie patrzał łaskawiéj.
A inne dzieci ubogie w urodę,
Stare i młode,
Między siano i słomę ukrywa w zagrodę;
W piec także cząstkę chowa swej gromadki,
Albowiem krwawi
Lęk serce matki,
Że zamiast dostać nagrodę,
Na śmiech je tylko wystawi.
Gdy więc Ewa odwiedzin dostąpiła chwały,
Przyjął Boga dzieciątek pięknych szereg cały...:

Przed Nim się popisywały,
Jak je matka nauczyła....
Podobała się Panu ta gromadka miła
I wszystkie je błogosławi.

Jednemu dał królestwo na ziemskim obszarze;
Drugiemu, co tuż stał w parze —
Księstwo; znów trzeci dostał hrabstwo w darze;
Czwartego mianem rycerza zaszczyca,
Piąty wziął godność szlachcica,
Szóstemu mieszczaninem każe
Zostać w podziale stanów.
Ewa, słysząc, jak hojnie boża łaska spływa,
Bieży szczęśliwa
I resztę swych dzieciątek z ukrycia dobywa;
I oto staje przed Panem
Plugawa zgraja, okryta łachmanem,
Brudna, płaczliwa,
Podobna do cyganów.
A Pan się pocznie śmiać i każde darzy....
Wieśniaków, rzemieślników czyni z nich, kramarzy,
Młynarzy i piekarzy...
Szewców, tkaczów, drwali,
Garbarzy i leśników, zdunów i kowali,
Rybaków i furmanów.

„Czemu, o, Panie!“ — ze strachu blada
Ewa powiada —
„Twoje błogosławieństwo tak nierówno pada?
Odemnie i od męża mojego wszak przecie
Pochodzi bez różnicy żądnej każde dziecię...
A więc wypada,
By każde równą część dostało!“
A Bóg odpowie: „Mam na to władzę,
Tak sobie radzę,
Każdy stan bowiem ludźmi obsadzę;
I do każdego — przedni czy pośledni —
Pomiędzy ludźmi czynię wybór odpowiedni,
By w równowadze
Tworzyły całość zgodną, trwałą“.
Z tej zatem miarkujcie baśni,
Że stan każdy ma ludzi znajdywać bez waśni;
Z niej też widzicie najjaśniéj,
Jak Bóg przedziwnie rozkazuje
I jak kieruje
Mądrze, przezornie ziemią całą.

*(Władysław Nawrocki).*

## 2. Dyabeł i stara baba.

Ustęp z mięsopustnego obrazu scenicznego, z czterema działającemi osobami.

*Dyabeł* wchodzi i mówi:

Jam jest ów duch, co czyni swary,
Co kłóci wciąż małżeńskie pary,
Więc i tu lat trzydzieści prawie
Podszepty czynię, w śnie, na jawie,
Tę parę drażnię, co się zmieści,
Krętactwa różnej czynię treści,
Aż mi się wstrętnem to już stało.
Poróżnić na nic się nie zdało,
Nie przerwie kłótnia ich miłości,
Chory już jestem z wielkiej złości
I tak mnie trapi ten ambaras,
Że tego, coby sposób znalazł,
Nagroda czeka — i niemała.

*Stara baba* wchodzi, podsłuchuje i mówi:

Jam jest ta, która to zdziała!
Podstępnie zrobię a z chytrością,
Że małżonkowie buchną złością,
Dziś jeszcze, nim się słońce skryje,
Z żoną się w domu mąż pobije,
Choćby największa była zgoda.

*Dyabeł* mówi:

Gdy zrobisz, twoja jest nagroda.

*Baba* mówi:

Jaka?

*Dyabeł* mówi:

Będziemy przyjaciele!

*Baba* mówi:

To już jesteśmy, to niewiele!
Więc powiedz, co otrzymam ninie?

*Dyabeł* mówi:

Piękna nagroda cię nie minie,
Dla której warto popróbować,
Nowe trzewiki chcęć darować!
Użyj chytrości i podejścia;
Ja zmykam, życzę tobie szczęścia.
(Dyabeł ucieka).

Baba opowiada nadchodzącej właśnie żonie, że mąż ma się ku młodej dziewczynie, rej dał 7 talarów za milczenie; po odejściu żony ostrzega męża, ażeby się pilnował, bowiem chce go otruć; poczem mówi:

Nie
Ja

No! teraz ogień podpalony,
Podarek z butów zarobiony!

*Dyabeł* wchodzi i mówi:

Zaiste! znasz ty swoje sztuki!
Słyszę niewiasty już pomruki,
Po tysiąc razy zbiegą schody,
Myszkuje, węszy na zawody
I drzwiami z trzaskiem wielkim miota.
Tęga tu będzie dziś robota,
Bo twardo wezmą się za czuby,
Gdy w dom małżonek wkroczy luby.
Widziałem go, biegł niby gnany,
Blady, a usta pełne piany.

Chcę bójkę tę obejrzeć zblizka.
(Biegnie).

*Baba* krzyczy za nim:

Hola! Nie widzę! Gdzie buciska?
Chcesz się wykręcić, uciec zgoła!
Mam sposób, który cię przywoła!
(Zakreśla koło i mówi):
Nie wiem, jak się waść mianuje,
Zły duchu! — ja ci rozkazuję,
Byś piekieł klątwą nie był struty,
Przynieś tu zarobione buty!
Po pierwsze, drugie i po trzecie,
Wypłaćże mi nagrodę przecie!

Dyabeł nadchodzi, dźwiga na ostruganym drągu trzewiki i mówi:

Mój dobry humor, że aż miło,
Zepsułaś, stara mi kobyło!
Ci małżonkowie tak się gonią,
Drą, rwą i gryzą, biją, bronią,
To on, to ona znów jest górą,
W powietrzu włosy pędzą chmurą.

Już go jej ręce podrapały,
Jakby go koty fryzowały,
Zapuszcza w niego swoje szpony,
Ucha ma kawał odgryziony!
A broda jakże roztargana!
Ot! teraz na nią wziął polana,

Bije, że aż niebiesko-sina!
On jej nie puści, ona trzyma,
Z niego i z niej już krew się leje!
Więc kiedym ujrzał, co się dzieje,
Gdy słyszę ławek już łamanie,
Stołów i krzeseł upadanie,
Gdy tak zawzięty bój się wszczyna,
Że domu drży aż podwalina,
Sąsiedzi zbiegli się co żywo
Obejrzeć to nieznane dziwo;
Przez drzwi wglądają do pokoju.
By nikt nie przerwał tego boju,
By nikt pomiędzy nich nie wchodził!
I tych zwaśnionych nie pogodził,
Zamknąłem skrycie drzwi na rygiel,
A gdy w najlepsze trwa ten figiel,
Wzywasz mnie k'sobie! Pozwól przeto,
Oglądać koniec, ma kobieto!
Powrócę, gdy się skończą krzyki.

*Baba* mówi:

Połóż tu naprzód te trzewiki,
A potem leć na szubienicę!

*Dyabeł* mówi:

Za bary z tobą się nie schwycę,
Zbyt cierpką jesteś i złą w sobie;
Dlatego tutaj koniec zrobię,
Lecz zostań teraz w swojem kole,
Ja ci tam buty podać wolę,
Ten drąg dosięgnie cię drewniany,
Co dziś jest świeżo ostrugany,
On mnie przed tobą zabezpieczy!

*Baba* mówi:

Dla mnieś go strugał, w samej rzeczy?

*Dyabeł* mówi:

Gdy taki drąg się już oskrobie,
Tom pewny, że nie przyjdzie tobie
Ochota między korą, drzewem
Prześlizgnąć się i napaść z gniewem,
Związać, jak tego brata-dyabła,
Co go to trójca bab nagabła!
Drżę przed chytrości twej zawodem,
Gorszaś niż ja, com z piekła rodem.
I wyżli spryt się w tobie mieści;
Com ja nie zrobił w lat trzydzieści,
Toś ty przez jeden dzień zdziałała.
Skłóciłaś parę tę pobożna,
Kłamstwem, podstępem, mową
[zdrożną.
Ty wiedźmo stara, czarownico!
Ognie piekielne cię pochwycą!
Ale cię jeszcze potrzebuję,
Więc buty tobie ofiaruję.
Lecz wiedz, że już za lat niewiele
Czekają w piekle cię kąpiele,
Prażyć się będziesz z plotkarkami,
Których zły język bliźnich plami,
Z plotkary, które podjudzają
I poza plecy się chowają.

*(Wł. Trampczyński).*

## II. Fryderyk Spee.

### Na cześć lata.

Hej! hej! niech wielbi Boga świat!
Wstańcie wy zioła, krzaki!
Niechaj Go wielbi wszelki kwiat,
Wszak z Niego ciągnie smaki!
Swą mocą ziele chwali Go,
Tej prawdzie któż uwłacza?
Oliwa, wino nawet to,
Którem nas krzew uracza.

Hej! hej! niech wielbi Boga świat!
On żąda dziękczynienia,
Więc niesie łąka, pole, sad
I góra chwalby pienia,
I każde drzewo, cały bór,
Zielenią ustrojony,
Zbył się hardości i do chmur
Wyciąga swe korony.

*(Wł. Trampczyński).*

## III. Marcin Opitz.

### Z „Pieśni“.

1.

Pójdźmy się przejść po niwie,
Posłuchać w cieniu drzewa.
Jak wszędzie pieszczotliwie
Ptaszęcy śpiew rozbrzmiewa.

Szczęsny — co wolny nuci,
Jak my, pieśniarze leśni...
Niech jego gędźba wróci
Do tej, co źródłem pieśni.

Choć śpiewam bez wytchnienia,
Nikt pieśni nie wysłucha...
Ta, co uczyła pienia,
Sama jest na nie głucha.

Szczęśliwszy ten, co wolny
Bez trosk, bez trwogi żywie,
Jak ty, śpiewaku polny,
Bezpiecznie, nietęskliwie.

Tyś człowiekowi miły....
Więc też na ciebie czyha...
Mnie pęta usidliły
Tej, która mnie odpycha.

By pierzchnąć na świat boży,
Dla cieble nie brak środka;
Mnie spętać musi srożéj,
Nim mnie zbawienie spotka.

*(Władysław Nawrocki).*

2.

Wpośród rzeszy pastuszéj
Ty nad Renem, nikt pono
Nie zna serca katuszy,
Jakie mnie znieść sądzono!
Choć kto kocha bez granic,
On przedemną się zegnie,
Uzna miłość swą za nic,
Mojej męce ulegnie.

Rok upłynął bez mała,
Odkąd znoszę swą dolę,
Odkąd Filis zabrała
Mnie w miłości niewolę,
Odkąd wzięła myśl wszelką,
Męstwo, spokój zabrany,
Odkąd miłość znam wielką,
Odkąd jestem kochany.

Niby błędny kroczyłem,
Choć mi znana ta łąka;
Moje owce zgubiłem,
Moje stado się błąka!
Więc pustelnię wybrałem,
Tam szczęśliwy się czuję,
Nienawidzić musiałem,
Co ród ludzki raduje.

Nie znam w śpiewie już miary,
Bo jej słodycz oblicza
Nawet strunom gitary
Cudnych tonów użycza.
Jak zaś bardzo kochałem,
Jak mnie nęcą jej krasy,
To tu wszystko spisałem,
Na tych drzewach, gdzie lasy.

Ni się krzepię jedzeniem,
Ni mnie nęci dzban wcale!
Ot! usiędę z cierpieniem
I wywiodę swe żale.
Każdej troski mej źródło
Łączę z twoją osobą,
I me stado wychudło,
I nie jestem już sobą.

Ona zaś się odwraca,
I mnie nie chce uparta:
Posiąść próżna ją praca,
Czyż ma miłość nic warta?
Wszakże pieśni mej tony
Echo w Brytów kraj niesie,
Niesie w wszystkie je strony,
Aż po Czeskim brzmią lesie!

Mam coś także, wiesz przecie,
Co moc wielką posiada,
Czego za wsze na świecie
Nie odstąpiłbym stada:
U Nekaru tam brzegu
Wśród zieleni traw wzrasta
Sława, która w swym biegu
Przez wsie dąży i miasta.

Jednak nie dbam ja o to,
Bo mi o nic nie idzie!
Jeno chciałbym z ochotą
Śpiewać mojej Filidzie.
Wszystkie bez niej radości
Już mi na nic się zdały,
Gdy jej doznam miłości,
Moim nazwę świat cały.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## IV. Fryderyk Logau.

* * *

Kamień młyński, serce ludzkie w ciągłym ruchu zawsze trwają,
Gdy nic mają nic do mlenia, same w sobie się ścierają.

* * *

Jak sałata przyrządzona, być powinna wszelka kara:
Niech w nią mało wchodzi octu, a oliwy co niemiara.

* * *

Prawda jest jako suknia, co na siebie wzięta
Stroi pięknie — ni słowa, ale tylko w święta.

* * *

Bóg dobrze tworzy — lecz my złe czynimy,
On nam wino daje — my piwo warzymy.

* * *

Luter, Papież, Kalwin tworzą trzy religie, jak przystało,
Jedno tylko zaciekawia, gdzie chrześciaństwo się podziało?

* * *

Rzeczą ludzką grzeszyć stale,
Dyablą — w grzechy brnąć wytrwale,
Chrześcian — grzechów obrzydzenie,
Boską — grzechu odpuszczenie.

* * *

Matka dziecię swe nosi w łonie trzy kwartały,
Matka skarb ten swój dźwiga na ręku, gdy mały,
Matka dzieci swe w sercu nosi żywot cały.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## V. Paweł Gerhardt.

### 1. Śpiew na cześć lata.

Wzbił się skowronek w przestwór siny,
Rzuca gołąbek rozpadliny
I leci tam, gdzie lasy;
Słowik pochwalnym swoim śpiewem
Pieści się z górą, polem, drzewem,
Śle echo te hałasy.

Kwoka za sobą szereg wodzi,
Bocian buduje, dom obchodzi,
Jaskółka karmi dziatki;
I zwinny jeleń, sarna żwawa
W podskokach pędzi, gdzie murawa,
Gdzie smacznych traw dostatki.

Strumyki szemrzą pośród piasku
I dają obraz pełen blasku,
Gdy mirtów cień w nie pada;
Tuż obok łąka wzdłuż się ściele,
Pastusze na niej brzmi wesele
I krążą owiec stada.

Pszczół niestrudzonych brzęczą roje,
Szukają kędy kwiatów zwoje
Urobić dadzą miody,
W słodkich winnicach codzień świeże
Sok z krzewu moce swoje bierze
I większe wciąż jagody.

Rośnie potężnie wkrąg pszenica,
Co wszystkich cieszy i zachwyca,
Więc wszyscy też gotowi
Uwielbiać Tego, co bez miary
Jest hojny i tak piękne dary
Ludzkiemu śle rodowi.

### 2. Pieśń wieczorna.

Spocznij już, wątłe ciało,
Spocznij — toż ci przystało;
Łoże tak upragnione;
Przyjdą godziny, chwile,
A wtedy ci w mogile
Łóżeczko uścielone.

Gdzie dusza, ciało będzie,
Gdy sen nademną siędzie,
O stróżu Izraela?
Gdy śmierć mi sklei oczy
Niech łaska Twa otoczy,
Dać niebios chciej wesela!

Daj radość mi na wieki,
Pod skrzydła Twej opieki
Niech pisklę będzie wzięte,
Gdy szatan paszczę zwróci
Niech chór aniołków nuci:
„Me dziecię bądź nietknięte!“

*(Wł. Trąmpczyński).*

## VI. Paweł Flemming.

### 1. Wierne serce.

Wierne serce obok siebie
To największa z ludzkich chwał.
Ten szczęśliwy, ten jest w niebie,
Komu los to serce dał.
Błogo w smutku, poniewierce,
Bo znam jedno wierne serce.

Czasem szczęście cię ominie
Nie tak, jakbyś chciał i mógł,
Wierne serce da jedynie
Sił, byś walczył z tym, co wróg.
Błogo w smutku itd.

Cała radość w tem się mieści,
Że tak wierne serce to
Będzie boleć twej boleści
I nie rzuci w chwilę złą.
Błogo w smutku itd.

Łaska idzie z szczęściem w parze
I do złota pociąg ma,
Piękność krótko mamy w darze,
Ale wierne serce trwa!
Błogo w smutku itd.

Wszystko jedno, gdzie będziecie,
Wiernych serc nie dzieli dal,
One zawsze szczęsne w świecie,
Nieugięte jako stal!
Błogo w smutku itd.

Dwoje wiernych serc gdy bije
W jeden ton, to słodki znak!
Tem też dzisiaj tylko żyję,
Że i ona mówi: „Tak“.
Błogo w smutku, poniewierce,
Bo znam jedno wierne serce.

### 2. Nowe postanowienie.

Świecie, dobranoc! Z jestestw twojemi miliony
Miałem ciebie aż nadto! Zło się tylko rodzi,
Gdzie ty jesteś! Więc gniew twój nic mnie nie obchodzi,
Jam szczęśliwy, bom przebrnął, bo mój byt skończony.
Bogu chwała i dzięki! Jestem uleczony,
Pełno w sobie mam nieba! Ono nie zawodzi!
Zaś ty czy dobro czynisz? Zmuszasz, że nadchodzi
Szczotka z niebios, co zetrze proch twój na wsze strony.
Świecie! Ty paro! Odtąd wyższym ja się czuję,
Odtąd wolny nad tobą i sobą szybuję
I nad wszystkiem, co wielkie, a co zwie się twoje!
Teraz dobro Najwyższe nawskroś mnie przejmuje,
Teraz wielkość, bogactwo przedemną się snuje!
Nie jestem sobą! Wara zwracać życie moje!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## VII. Angelus Silesius (Jan Scheffler).

* * *

Sam człowiek jest wiecznością, kiedy na świat zdąży
I Boga w sobie, a sam w Bogu się pogrąży.

* * *

Niebo samo nie spadnie, trzeba je osiągnąć;
I Pan Bóg sam nie zstąpi, potrzeba Go ściągnąć.

* * *

Niepokój jest zegarem, on czas ludziom stwarza:
Kto umorzył niepokój, wnet i czas umarza.

* * *

Zaiste, miłe Bogu jest aniołów pienie:
Ale daleko milsze człowieka milczenie.

* * *

Czy wiecie, żeśmy dłużej niżeli Bóg żyli?
Bóg jest wieczny, a przecież nie żył ani chwili.

* * *

Bóg jest dobrem, więc wszystko, na co duch narzeka:
Zło, śmierć i potępienie pochodzą z człowieka.

* * *

Do nieba patrzysz w górę, a nie spojrzysz w siebie;
Nie znajdzie Boga, kto go szuka tylko w niebie.

* * *

Niech się twa dusza jako dolina położy,
A wnet po niej jak rzeka popłynie duch boży.

*(A. Mickiewicz).*

Jam jako Bóg jest wielki — On jak ja maleńki,
Ani nad Nim być mogę — ni czuć Jego ręki.

* * *

I świat mi jest za wązki — i w niebie za ciasno,
Gdzież przeto się podzieję z moją duszą własną?

* * *

Nic niema prócz nas dwojga — gdyby nas nie było,
I Boga-by zabrakło i niebo się rozbiło.

* * *

Dwoje oczu ma dusza — jednem czasy mierzy,
Drugiem zasię w wieczność ustawicznie bieży.

* * *

Bóg kocha mnie nad siebie — bym w miłości sprostał,
Oddałbym tyle Bogu, ilem odeń dostał.

* * *

Pytasz się, jak to długo ten nasz Bóg istnieje?
Milcz lepiej! On sam nie wie! To tak dawne dzieje!

* * *

Zanim sobą się stałem — był Bóg w mej osobie,
Więc mogę Nim być jeszcze — kiedy legnę w grobie.

* * *

Wiara ima się Boga — dla prawdy On nadzieja cała;
Miłość czule Go pieści — pobożność aż zjeść-by Go chciała.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## VIII. Fryderyk Hagedorn.

### Nadzieja i Bojaźń (bajka).

Kiedy myśl zdatna, kiedy ostrożna,
Jak powiadają, i zmyślać można;
Mogą to drudzy — i ja też mogę.
W jedną szły drogę
Nie wiem, czy razem, czyli koleją,
Bojaźń z Nadzieją.
Dziwne się rzeczy naówczas działy;
Bo skoro tylko gdzie zawitały,
Nagle, dziwacznie,
Wszystkie się rzeczy działy opacznie.
Ubóstwo, że ma wszystko, mniemało,
Bogactwo, że nic nie ma, płakało.
Skądże przyczyna błędu takiego?
Oto dlatego:
Nadziei przychód był uroczysty
Do alchemisty;
A Bojaźń, skąpych strzegąc zbiór czule,
Była w szkatule.

*(I. Krasicki).*

## IX. Gottlob Wilhelm Rabener.

### O zaszczytach powierzchowności (satyra w skróceniu).

Poprawił dawne błędy starego wiek świeży.
Przedtem mało co dbano o zaszczyt odzieży,
Teraz przeciwnem zdaniem od dawnego wieka,
Nie człowiek czyni suknię, lecz suknia człowieka.
Ten wyrok znamienity i droższy od złota
Objawił światu Sanszo, sługa Donkiszota.
Godni politowania prostacy zuchwali,
Którzy dotąd na cnocie szczęście zasadzali
I miłość kraju godną sławy czynić chcieli;
Nie znali się na sukniach, albo ich nie mieli.
W nich wszystko, a czy w starych, czyli też w młodzieży
Wartość, wziętość zawisła od dobrej odzieży.
Niemasz cnoty w gałganach, a kiedy prawdziwa,
Lśni się na aksamicie, w złocie połyskiwa
I odbiera ukłony, które jej są winne.
Prace, pisma, odkrycia zdatne i uczynne

Mogą człeka zalecić. Ale cóż mu po tém,
Jeżeli się galonem nie nadstawi złotym?
Jeśli krój nowej sukni do oczu nie błyśnie,
Do drzwi się mecenasa nawet nie dociśnie;
A choćby się i przedarł i wszedł z głodną tłuszczą,
I pisarza odepchną i Muzy nie puszczą.
Niechże się suknia zjawi, a kształtna i modna,
Natychmiast drzwi otworem; a co zgraja głodna
Nie zdołała otrzymać, kształtnemu się godzi —
Czeladź wita, otwiera, jegomość wychodzi...
Albo gdy pałka w ręku, kark chustką puchasty,
Łeb zjeżony, pęk strzępków, a trzewik śpiczasty;
Więc pałka, frak i strzępki mają rozum, zdatność.
Płci pięknej w rozsądzeniu bystra delikatność
Umie nawskroś przenikać to, co bije w oczy...
Gdy więc to, co odziewa, w działaniu dowodne,
A to, co przyodziane, szacunku niegodne;
Trzeba mówić, kunsztowne gdy widzim okrycie:
Kłaniam ci się, atłasie, kłaniam, aksamicie!
A gdy suknia galowa zalśni w wspaniałości:
Upadam do nóg waszej haftowanej mości.
Wszystko w świecie do jednej dążyć musi mety;
Co są ludziom cmentarze, to sukniom — tandety.
Jak ziemia raz oddane zwłoki ludzkie strzeże,
Tak i tam kształtne niegdyś widzimy odzieże...
Wisi na pańskim płaszczu opończa służebna,
Obok niegdyś koronek leży płachta zgrzebna.
A patrzący, gdy zwłaszcza nie ma za co kupić,
Wpada w myśli pobożne, jak czas może złupić,
Jak odrzeć z ozdób, wszystko gdy psuje, zatraca;
Wzdycha — i jak był przyszedł, tak też i powraca.

*(I. Krasicki).*

## X. Krystyn Gellert.

### Kapelusz.

Jestto żartobliwe przedstawienie odmian mody tyczących się kapelusza. Przedstawiwszy 8 form, jakie przybierało w dziedzictwie zostawione nakrycie głowy, tak autor zmierza do końca.

Dziedzic chciał coś wymyślić, choć miał pustą głowę;
Przeto też po swojemu wymyślił odnowę:
Taśmę i woskowane płótno z niego zrywa,
A spłaszczywszy, kitajką zupełnie okrywa.
Nie bierze go na głowę, lecz pod pachy kładzie
I tak się pokazuje sąsiedzkiej gromadzie.

Ta z widowiska tego w zadumieniu stanie,
Tak nowej kapelusza dziwiąc się odmianie.
Jeden ją chwali, drugi za dziwaczną głosi,
Że wynalazca głowę pod pachami nosi;
Przecież pewny cel mają różne strojów mody:
Jedne są dla ozdoby, drugie dla wygody.
Lecz któż taką pochwali? Komuż się spodoba?
Na cóż to nieść pod pachą, co głowy ozdoba?
Ów półgłówek przy śmierci swojej najbliższemu
Ten kapelusz spłaszczony zostawił krewnemu.
Już dwa wieki pamiętał ten kapelusz stary,
Już czarność z niego spełzła i wcale był szary;
Kształtu żadnego nie miał; długie czasu biegi
Zepsuły dawną postać i podarły brzegi.
Gdy w takowym się dostał potomkowi stanie,
Ten również myśleć począł o nowej odmianie.
Próżno nowem odkryciem swój rozum wysusza,
Musiał pierwszą postawę wznowić kapelusza.
Kładzie wierzch na prawidło i kraje obrzyna
Rozpadłe, a żelazem nieco je wygina.
Na dno, długiem noszeniem w nagięciu zepsute,
Daje szerokie wstęgi i kokardy sute.
Żeby zaś te ozdoby lepszy pozór miały,
Przypina na bok lewy z piór bukiet wspaniały.
Taką mu dawszy kształtność, kładzie go na głowę
Gdy w mieście tak poważną obaczą osnowę,
Wszyscy ją chwalą, wszystkim dziwnie się podoba.
Każdy mówi: jak śliczna, jak cudna ozdoba!
Boć okrągły kapelusz, przystojny i modny,
Stroi człeka i w słońca upale wygodny.
Takiej był wcale formy najpierwszy kapelusz;
Z niego następca przejął niniejszy modelusz.
Tym sposobem do starej wracamy się mody,
Naśladując, skąd wyszły, spływające wody.
Kapelusz został, odmian chociaż miał niemało;
Tak się z nim, jak z nauką filozofów, stało.

*(I. Krasicki).*

## XI. Fryderyk Bogumił Klopstock.

### Messyada.

**Z pieśni I-szej.**

Anioł Gabryel, który służył Chrystusowi na ziemi, wraca do nieba z jego modłami, zanoszonemi na Górze Oliwnej. Wprowadza go do przybytku Boga Ojca największy z serafów, Eloa.

Bóg go nazywa wybrańcem, niebo — Eloą. Nad innych,
Których Bóg stworzył, jest większy, najbliższy Niestworzonego.
Jakże jest piękną myśl bożego wybrańca Eloi,
Piękną jak cała człowieka dusza, Bogu stworzona,
Kiedy nieśmiertelności godna zatapia się w myślach.
Wkoloględny wzrok jego piękniejszy nad ranek wiosenny,
Milszy od gwiazd, gdy się przemkną przed Stworzyciela obliczem
W krasie młodzieńczej i światła pełności, z urokiem dni swoich.
Bóg go stworzył najpierwej. Udziałał mu ciało żareczne
Z zorzy porannej. Gdy się stał, obłoczyste niebiosa
Opłynęły go wkoło. Z otwartemi ramiony
Bóg go wychylił z obłoków i rzekł błogosławiąc: „Stworzeńcze,
Otom jest!“ I ujrzał przed sobą Stwórcę Eloa,
Patrzał nań z zachwyceniem i stał w natchnień wylewie,
Patrzał znowu i zachwiał się, gubiąc się w boskiem spojrzeniu.
Wreszcie przemówił, powiedział Przedwiecznemu swe myśli;
Wszystkie myśli i wszystkie nowe, wzniosłe uczucia,
Co przenikały jego wielkie serce. Wprzód światy
Wszystkie przeminą, wprzód z swego nanowo wynurzą się prochu,
Wprzód jeszcze mnogie stulecia w bezmierną zapadną się wieczność
Nim najwznioślejszy z chrześcijan uczuć domierzy wielkości.
Na świeżowstałych promieniach, w całym piękności swej blasku
Spuścił się teraz Eloa do posłanniczego anioła,
Aby go zawieść przed ołtarz Jednawcy..
Rączo z otwarciem ramion strzelistem, serdecznem spojrzeniem
Pośpieszyli do siebie. Drżenie ich zdjęło z radości,
Gdy uścisnęli się oba. Takie ogarnia dwóch braci,
Co cnotliwi śmierci za ojczyznę pragnęli,
Gdy bohaterskiej krwi pełni po czynach się ujrzą wieczystych
I w objęcia się rzucą przed ojcem większym od siebie...
Stanął przed Gabryela obliczem
Ołtarz Jednawcy. Widzi go, idzie w uroczej piękności
I z kapłana godnością, niesie dwie czary ze złota
Pełne świętego kadzidła i przed nim stawa zdumiały.
Przy nim stanął Eloa i boskich lał dźwięków strumienie
Z arfy, by seraf ofiarny do górnej zagrzał się modły.
On go słucha, więc arfa, pani serc wielowładna,
Wznosi duch jego płomienniej. Rozgrzany wre jak wszechmorze.
Kiedy w burzy zwieszczony po niem głos Pański przechodzi.
W Boga patrząc Gabryel, śpiewał głosem przemożnym.
Teraz słyszy Ojciec Przedwieczny, słyszą niebiosa,
Twą, Pośredniku[1]), modlitwę. Sam Bóg zapalił ofiarę
W sposób cudowny; a święty dym z modlitwą pospołu
Wzniósł się i coraz się wznosił i w kłębach wił się do Boga,
Jako kiedy z gór ziemnych całe niebo zakrywa.
Dotąd zwrócone ku ziemi miał Jehowa oblicze;

[1]) Pośrednik — Chrystus.

Bo aż dotąd jeszcze Syn z głębokości swej duszy
Z ojcem prowadził rozmowy, rozkrywającej los treści,
Święte, straszliwe, wzniosłe, niespodziewanych rozstrzygnień,
Samym bezśmiertnym ciemne, rozmowy o rzeczach, co miały
W oczach wszystkich stworzonych boży okup uwielbić.
Teraz wzrok Przedwiecznego nanowo niebiosa napełnił.
Z uświęceniem, w cichości każdy ten boży wzrok spotkał.

*(Józef Karol Jaślikowski).*

### Z pieśni IV-tej.

Kaifasz, najwyższy kapłan, mając w nocy sen od złego ducha zesłany, zwołuje radę starszyzny żydowskiej dla wydania ostatecznego wyroku na Jezusa. Opowiada swój sen, który uznaje za boskie natchnienie. Opiera mu się co do tego mniemania Filon faryzeusz, lecz z większą jeszcze niż on gwałtownością domaga się śmierci Jezusa. Łagodny Gamaliel radzi osądzenie Jezusa pozostawić Bogu samemu. Nikodem pochwala tę myśl; Filon zaś, pobudzony przez szatana, miota przekleństwa na obudwu i potępia Jezusa, którego oni za Mesyasza uznają. Wyjątki z mowy Nikodema i Filona podajemy.

Nie dopuścił do serca Nikodem potwarzy;
Niebo jaśniało w duszy, pogoda na twarzy;
Górniejsze z Mesyaszem myśli go unoszą,
Jak się przejął mądrością, napawał rozkoszą,
Jak sam na sam z Jezusem, tej pamiętnej nocy
Kosztował prawd przedwiecznych dzielności i mocy,
Jak dźwięk głosu zachwyca, wzrok pełen słodyczy,
Dobroci i wielkości bóstwa przewodniczy.
Mimowolnie na niego wzrok wszyscy zwrócili,
Takie w tej nakazywał poważanie chwili.
„Do pełnienia obietnic, co Zakon ogłasza,
Niegodny, doczekałem w przyjściu Mesyasza!
Przybywasz obiecany miłosierdzia cudem
W błogosławieństwie z swoim połączyć się ludem!
Ciebie, co tajemnice ogłaszają wieszcze,
Nietylko nie uznają, — oskarżają jeszcze!
Jakby mogła niegodna poniżyć obłuda,
Tego, co przepowiednie zwiastowały cuda!...
Odpowiedzcie wy wszyscy, odpowiedz, Filonie,
Gdy wyrzekł wobec ludu i w starszyzny gronie,
Niech wystąpi, kto na mnie cień wynajdzie winy,
Czemużeś oskarżenia nie znalazł przyczyny?
Czemu ci, co milczeli, dziś czernią niegodnie,
Zaocznie o mniemane obwiniając zbrodnie?
Umilkli zawstydzeni, aż lud powstał cały,
Kupy się uzdrowionych z wdzięcznością zebrały,
Zabrzmiał Syon, zabrzmiały góry okoliczne...
O, sądzie ostateczny! pociecho jedyna,
Gdzie ujrzę w majestacie człowieczego syna!
Ty mnie pokrzepiającą umacniaj nadzieją,
Jeżeli krew Mesyasza bezbożni przeleją!

W czystych serca uczuciach i sumieniu czystém,
Niech się stawię przed tobą w tym dniu uroczystym!“

*(Jan Tarnowski).*

Filon rzekł, wzniósłszy w niebo oczy zaiskrzone:
„Podnieś twe ciężkie ramię, Boże sprawiedliwy,
Wypuść na Nikodema grot zniszczenia mściwy,
Dokończ przekleństw, com czynił na twe uwielbienie,
Strąć i Gamaliela w podziemne sklepienie,
Gdzie śmierć mieszka! Niech czuje, że znieważył Pana
I że przed Nazarejcem uginał kolana.
Ale straszniejszym gniewem wśród gromów odziany,
Przed którym zadrżą góry i piekielne ściany,
Uzbrój twą rękę ciosem, twą rękę wszechwładną,
I uderz największego grzesznika w pierś zdradną!
Byłem młody, dziś włosy moje posiwiały,
Czciłem cię, jak zwyczaje ojców mi kazały;
Lecz jeśli mi dopuścisz widzieć to zdarzenie,
Że buntownik swych zwycięstw słyszeć będzie pienie....
Wyrzekam się, w obliczu całej ludzkiej ziemi,
Praw twoich i żyć będę bez twojej opieki,
Bez ciebie śmierć litosna zamknie me powieki.
Bo gdy z oblicza ziemi nie zgładzisz grzesznika,
Więc zjawienie twe było jak mara, co znika,
I Mojżesz cię nie widział w gorejącym krzaku,
I cudów na Synai nie dałeś nam znaku,
Ani się góra trzęsła, ani trąby brzmiały,
Nie błyskało się niebo, pioruny milczały:
Niema dla synów naszych ni dla nas wesela,
Niema prawa, tyś nie jest Bogiem Izraela!“

*(Michał Kołpaczkiewicz).*

### Z pieśni X-tej.

Przebóg! co ci, Łazarzu? — Lebbeusz zawoła —
Tyś zachwycon! Ach, pewnoś twarz ujrzał anioła.
A on mu na to głos swój tłumiąc, wpółtajemno
Rzecze: „Ktoś z nieśmiertelnych przeleciał przedemną.
A mknął bystro, jak bystro przelata nam w duszy
Chwila, gdy błoga radość do głębi ją wzruszy.
Pewno z rozkazem Stwórcy śpieszył ten posłaniec.
O, spokojny-m już teraz Boski pomazaniec,
Co go Marya powiła przy aniołów pieniu,
Nie, śmiertelnemu uledz nie może zniszczeniu“.
Rzekł i w czułych uściskach najświętszej przyjaźni
Lebbeuszowi domysł daje w wyobraźni
Owej zachwytu chwili, co skreślić sposobu
Braknie śmiertelnych mowie... On ze słońca globu

Wracał — i ledwo stopy oparł na padole,
Skrzydła zwinął i, stojąc w patryarchów kole,
Woła: „Oczy uzbrójcie w moc! bo wnet postrzegą
Ducha, z duchów niosących śmierć, najgroźniejszego!
Dąży ku nam. Widziałem, jak nieraz lot wstrzyma
I wzrok rzuca wokoło, jak gdyby oczyma
Chłodu chwilkę wybłagać chciał u wszechstworzenia
Na płonący żar czoła i spiekły ziew tchnienia.
Próżno! Usnęły wiatry, na przestrzeni całéj
Zmilkł ruch, bieg ustał światów i oddech wstrzymały
Gwiazdy. Przed nim i za nim, gdzie pędzi po drodze,
Lecą tuż jak zwiastuny zniszczenia i wodze,
Pożerające gniewu bożego płomienie.
W szumie lotu najlżejsze skrzydeł jego mgnienie
Grzmi jak burza, gdy z morzem zaryczą oboje.
Spokój z Ciszą — te niebios dziatek miłych dwoje —
Pierzchły przed nim. Wzrok jego, odwiecznie ponury,
Dziś tak srogi ma wyraz, tak dzikiej natury,
Że mniej przerażał niegdyś, gdy mu oceany
Zgasnąć i wylać kazał Bóg na świat skalany.
— Patrzcie! oto się zbliża — gniew z czoła mu strzela —
Drżyjcie! ten anioł niesie — śmierć dla Zbawiciela!

*(W. T. Ramming o).*

Całkowitego tłómaczenia »Mesyady« nie posiadamy; znaczną część pieśni IV-tej przełożyli Michał Kołpaczkiewicz (»Dziennik Wileński« 1816, t. II) i Jan hr. Tarnowski (»Pielgrzym« 1845, tom III), ale jak się zdaje, z przeróbek francuskich. Z oryginału całą pieśń pierwszą przetłómaczył Józef Karol Jaślikowski w »Bibliotece warszawskiej« 1847, t. I, ale przekład swój zeszpecił mnóstwem dziwacznych neologizmów. Wreszcie dwa urywki, jeden z pieśni I, drugi z pieśni X — »opowiedział« W. T. Ramm ingo w »Kronice Rodzinnej« z r. 1875.

## XII. Salomon Gessner.

### Pacierz staruszka (w skróceniu).

Gończe złotego słońca, różana jutrzenko!
Jużeś to w chatki mojej zajrzała okienko?
O, jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistéj!
I ty, coś tu pod belką zlepiła gniazdeczko,
Nucąc sobie, świat biały witasz, jaskółeczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
Wzbiwszy się lekkiem skrzydłem na powietrzne kraje.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa;
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa.

Każdy się kwiat rozwija i kształt bierze żywy.
I mnie się zdaje, że mój włos odmłodniał siwy.
Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,
Prowadź mię; już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę
I łąkom się zielonym przypatrywać będę...
Długoż, ach, długoż jeszcze, Twórco mój łaskawy,
Patrzeć będę na dziwne boskiej ręki sprawy
I świadkiem twej dobroci? Już dziewiąty schodzi
Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
Po białej zimie wiosna; a gdy myśl skrzydlata,
Patrząc na czar upłynny, ściga zbiegłe lata
I plac ów dwoma kresy otoczony mierzy,
Co się między mym grobem i kolebką szerzy, —
Cała ta niezmierzona perspektywa okiem
Dni jasnych, dni fortunnych upływa potokiem...
Ile dni, tyle pociech; a lubo je która
Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,
Były to owe tylko krótkie drzewołomy,
Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
Po małej chwili nikną, a swemi przechody
W cudniejszy kształt obleką pola i ogrody...
A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła!...
Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
Około chatki mojej we dwa rzędy sadził.
Teraz, gdy roztoczyły szerokie ramiony,
Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
Tyś samą, ty trosk moich, ty żalów jedyną
Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną!
Tyś bieg radości trwałych, niestety, przerwała,
Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
Pomnę, ach, pomnę, kiedy przy ostatnim skonie
Złożyłaś napół-martwą głowę na mem łonie,
Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawierał
I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
Lecz wkrótce dzień wesoły, dzień przyjdzie fortunny,
Co me kości położy obok twojej trunny,
A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie...
Zbiorę me dziatki, wnuczki z prawnucząt orszakiem,
I te, co są w pieluchach i co pełzną rakiem.
Oddam dobroczynnemu hołd powinny Bogu,
Zbuduję z darni ołtarz u mej chatki progu,
Otoczę różnofarbnym wieńcem siwe skronie,
A drżącą ręką brzękać będę na bardonie.

Wszyscy staniem wokoło, a na dziękczynienie
Za wzięte dary słodkie uczynimy pienie,
Potem stół posypawszy kwieciem, jeść ofiarę
Upieczoną będziemy i pić wino stare...

*(A. Naruszewicz).*

Prócz Naruszewicza, który kilka sielanek Gessnera przełożył, mamy cały ich tom w tłómaczeniu Chodaniego (Warszawa, 1800), oraz »Śmierć Abla« w 5 pieśniach przełożona przez Jacka Przybylskiego (Kraków, 1797, 1800), »Pierwszy żeglarz« w przekł. Kajetana Kwiatkowskiego (Warszawa, 1809).

## XIII. Krzysztof Marcin Wieland.

### Oberon.

Jestto poëmat zlekka żartobliwy w 12 pieśniach, pisany oktawami, a opiewający przygody rycerza Huona z czasów Karola Wielkiego. Huon zabił przypadkiem syna cesarskiego; za to ma wedrzeć się na dwór Kalifa Bagdadu, ściąć głowę temu, kto siedzieć będzie po lewicy gospodarza, trzykrotnie ucałować wobec wszystkich córkę Kalifa, wyrwać temuż cztery zęby i garść włosów z siwej jego brody. Huon, przybywszy do Azyi, w grocie pewnej spotyka dawnego sługę ojca swego, Szerazmina, który pomimo starości postanawia mu towarzyszyć w jego niebezpiecznej wyprawie. Wtem śpieszy im z pomocą bożek elfów Oberon, który poróżniwszy się z żoną swoją Tytanią, zaprzysiągł, iż póty się z nią nie pogodzi, póki nie znajdzie zakochanej pary, któraby wolała śmierć nad rozłąkę. Przewidując on taką parę w Huonie i córce Kalifa, daje rycerzowi róg cudowny, którego słabe dźwięki zmuszają wszystkich do tańca, a mocne przyzywają Oberona, gdziekolwiekby się znajdował. Huon i córka Kalifa Recya zapłonęli ku sobie miłością w sennem widzeniu. Gdy rycerz dostał się do komnat władcy saraceńskiego, na lewicy jego siedział nienawistny Recyi jej narzeczony, który też śmiercią przypłacił swoje pretensye; kiedy rozgniewani Saraceni chcieli się rzucić na Huona, dźwięk jego rogu zmusił ich do pomimowolnych tańców. Oberon wziął na siebie troskę o zęby i garść włosów z brody Kalifa; on też dostarczył Huonowi i Recyi czarodziejskiego powozu, którym odjeżdżają z Bagdadu; on też odprowadził ich na okręt. Na morzu doświadczają wielu nieszczęść: burza wyrzuca ich na wyspę bezludną, gdzie Recya wydaje na świat syna; chwytają ją rozbójnicy morscy i wywożą do Tunisu, do haremu Almansora; przybywa tam i Huon, ażeby odzyskać żonę; a gdy małżonkowie po przejściu wielu bolesnych przygód wolą śmierć na stosie niż rozłąkę, Oberon godzi się z Tytanią i ocala kochającą się parę w chwili największego niebezpieczeństwa. Wreszcie Huon z żoną przybywają na dwór Karola Wielkiego.

. . . . . Padyszach się złości.
Darmo na wszystkie boki Huon stalą błyska,
Wszystko wre na rozkazy jego wysokości;
Biedną sułtankę napadają mdłości.
Ach! czemże ją ratować? stąd i stąd śmierć blizka!
Tylko róg pozostaje ze słoniowej kości!
Huon czemprędzej weźmie go do dłoni,
I w róg leciuchnem tchnieniem donośnie zadzwoni.

Na to hasło z rąk wszystkim wypadły kindżały,
Razem pięty o pięty w takt hołupca dały.

Już młokos starowinę, pohaniec pohańca
Mimowolnie spotyka, i porwie do tańca.
Każdy lekki, aż miło; wesół i ochoczy,
Bachanckim wirem cały dwór się toczy:
Jedna tylko sułtanka nadzwyczaj zdziwiona
Na te hopki spogląda przy boku Huona.

Baszowie w takt cmokają, a w parach do tanu
W lot się puścili członkowie dywanu.
Wtem przewielebny Iman dopadł niewolnika,
I jak na kołowrotku puścił się walczyka!...
Tu już porwał sułtana tańcowania zapał.
Wezyr mu się nawinął, za brodę go złapał,
Już wpół się wzięli otyli brodacze;
Jak cap w zalotach, rządca wiernych skacze.

Stąd i stąd same otwarły się wrota,
Wstęp czyniąc wolny zgrai żon sułtana;
Na dwie strony do sali trzoda zadyszana
Wali się prosto, kędy wre ochota.
Z niemi sługi, służebne, ba! nawet i straże!
Chętka ich łechce, wszystkim hasać każe:
Biorą pary po woli — żonki na wolności!
Sposobnej chwili żadna nie przepości.

Już nareszcie zwolniała czarodziejska władza,
I na wszystkich zemdlenie i niemoc sprowadza,
Wrząca krew coraz wolniej obiegała w żyłach;
Zakręciły się głowy, zachwiały kolana.
Plączą się nogi opadłe na siłach,
Aż kołująca zgraja, znojami zalana,
Zmordowana rozrywką, gorszą od katuszy,
Do spoczynku na sofy zewsząd się rozprószy.

Tu i owdzie kupami, bez ładu, różnicy,
Zalegli każde miękkich sof wezgłowie,
Zwaleni wirem, balu tanecznicy,
Odaliski, rzezańce, karły, emirowie.
Tu sam padyszach przy służebnej pannie
W potach runął bezsilny, jak po suchej wannie;
Tam kochanka sułtana upadła jak długa
A z nią plackiem na sofę padł stajenny sługa.

Wszystko dycha i sapie pod uciskiem nuży,
Huonowi tymczasem dobra chwila służy;
A więc Szerazminowi powierzył sułtankę,
Kazał mu najsurowiej być na ostrożności,

Dał zakrzywiony rożek ze słoniowej kości,
O zażyciu onegoż uczyniwszy wzmiankę;
I tam się udał, gdzie słońca braciszek
Spoczywa po sułtańsku śród nimf towarzyszek.

Cisza sofy zaległa, rozpostarła skrzydła, —
Z Huona zamiarami przypadła do miary.
A rajskie czarodziejki, seraju pieścidła,
I otyli brodacze, dywanu filary,
W tę stronę podniesione odwracają oczy,
Gdzie bezbronny bohater męską stopą kroczy
Prosto do padyszacha, przed zdumioną zgrają:
„Cóż to jest?“ między sobą pocichu pytają.

Z pokorą i powagą Huon zgiął kolana,
Spojrzał śmiało, odchrząknął i rzekł do sułtana:
„Cesarz Karol, pan lenny, w Babilońskie grody
Posłał mię z pozdrowieniem na weselne gody.
Dowiodłem, żem posłuszny; dowiodę, żem szczéry,
Gdy mimo twe warownie, bułaty i zbiry,
Proszę ciebie otwarcie o garść twojej brody,
I o trzonowych zębów w dodatku ze cztéry“.

Skończył i z cierpliwością czeka odpowiedzi,
A padyszacha ruchów najdrobniejszych śledzi.
Ale jakże tu skreślić wściekłość padyszacha!
Jak wodzi źrenicami! jak rękami macha!
Jak wrzasnął całem gardłem! jak na taki zakał
Bronił się mężnie, w przedsięwzięciach stały!
Jak z bolu — z bolu serca — na poduszkach skakał!
Jak mu gwałtownem żyły ogniem zakipiały!

Zerwał się mówić, srogim gniewem zdjęty;
Ale słowa nim wyszły, w ustach się słaniały:
„Przysięgam, że ten człowiek stąd nie wyjdzie cały!
Nuż wyrwijcie mu serce, wybatożcie pięty!
Nuż ogólcie mu głowę! szyję na postronek,
Na osobne męczarnie weźcie każden członek!
Jawić takie zachcenia! no proszę — i komu?
Mnie-to! mnie! sułtanowi! w moim własnym domu!“

„I któż to jest ten Karol? i cóż go ośmiela
Przybierać tak zuchwale postać zwodziciela?
Czemu sam tu nie przyszedł, by z brody i gęby
Wyrwał mi własną ręką me włosy i zęby?“
„A! to jakiś jegomość niespełna rozumu!“
Odezwał się nawiasem jakiś chan śród tłumu,
„Ot, lękałby się blasku naszych półmiesięcy
Lub sam walczył na czele trzechkroćstutysięcy!“

„Dumny szachu!“ rzekł Huon „władco Babilonu!
Przybrałem obowiązek u podnóża tronu
I dałem obietnicę wypełnić go święcie;
Przysięgą potwierdzone wielkie przedsięwzięcie!
Każ więc głuchnąć hałasom i cofnij twe straże,
Wyrok dla ciebie pada prosto z nieba!
Lecz co ziemski majestat tymczasem rozkaże,
To czynić trzeba, co przecierpieć trzeba!“

„Następco Mahometa! dasz mi wtedy wiarę,
Gdy wobec twego gniewu, wobec twoich grotów,
Zniosę odważnie jaknajsroższą karę?
Podać ci inny wniosek jestem jednak gotów,
Wielkiego poświęcenia dopełniając miarę:
Przyjm wiarę Chrystusową — z twojej zrób ofiarę;
Pierwszy przykład twym ludom dając w twej osobie,
Zrób więcej, niż sam Karol wymaga po tobie!“

„Skłoń się do ostatniego, a pierwsze żądanie
Cofnę natychmiast, miłościwy panie!
Przysięgi mojej przed nikim nie złamię.
Choć twe uniewinnienie na siebie dziś biorę,
Dla wielmożności winienem pokorę;
Wiedz jednak, że w potrzebie wszechmogące ramię
Zbrodniczy zamach odemnie odeprze!
Masz wolny wybór; wybieraj, co lepsze!“

Gdy pośród niebezpieczeństw nasz bohater młody,
Piękny i dzielny, jak posłaniec boski,
Hardą stałością wspierając swe wnioski,
Wielkiego serca dał jasne dowody;
Odwraca się ku niemu szyjką i obliczem
Oblubienica w dali, nie wiedząc o niczem,
Rumieńcem dopełniając blasku swej urody
I drżąc o rozwiązanie tak dziwnej przygody.

W puchu monarcha kręci się i wierci,
To czerwony, jak ogień, to bledszy od śmierci,
Wrzeszczy, nogami rzuca, z przystojności zbacza;
Zły duch opętał Kalifa brodacza.
Na ten widok piorunem skoczyli pogany,
I podnieśli kindżały, dzidy, atagany:
Raz przecie niezliczona zgraja się ośmiela
Natrzeć ryczałtem na nieprzyjaciela.

W zapale o pierwszeństwo pohańce się tłuką;
Paladynowi chodzi o wygranę.
Któremuś wydarł dzidę, i krzyżową sztuką
Odcinając się mężnie, cofnął się pod ścianę

Huon rąbie i kole, a półmisek duży
Od biesiady porwany za tarczę mu służy.
Rycerz wyplenia niedowiarków plemię;
Najmężniejszych wywrócił i trząsnął o ziemię.

Szerazmina tymczasem wdzięczny widok łudzi,
Zdaje się staruszkowi, że na polu chwały
Ujrzał dawnego pana. Najszczęśliwszy z ludzi!
Wszystkie za jednym razem żyły mu zadrżały,
Ale zaraz go ocknął nagły krzyk księżniczki,
A krwawy przewidując koniec tej potyczki,
Opamiętał się rychło, i jak sam półbożek,
Pełna piersią uderzył w czarodziejski rożek.

Na dźwięk rogu z niebiosów blask i łoskot runie,
Jak błysk po błysku, piorun po piorunie;
Zamku przestworze czarna noc zalała. —
Rój duchów nad głowami w błyskawicach pała;
Zajaśniały sklepienia w czerwonawej łunie,
Już wali się złamana pohańska nawała;
Barbarzyńce jak pjani, wzrok i słuch zawarli,
Zatoczyli się, padli, leżą jak umarli.

Głuchy jęk sułtanowi ciężka pierś wyparła:
Dusza odbiedz gotowa najjaśniejsze ciało!
Sam jęk skonania skonał mu śród gardła!
Tętno zaledwo bije — wreszcie bić przestało.
A wtem burza ucichła na przybycie karła,
Liliowa po sali woń się rozpostarła,
I jak archanioł u ludzi w gościnie,
Sam Oberon na chmurce pod sklepieniem płynie.

* * *

Już na niebie wieczorne zapala się zorze,
U nóg ich świat się mroczy, mgła doliny ciemi;
Już księżyc się przegląda w niejednem jeziorze,
Coraz ciszej i ciszej w powietrza przestworze;
Zaprzężne ptaki z wozem, skrzydły znużonemi
Zniżając się nieznacznie, usiadły na ziemi —
Wtem podróżni spostrzegą gmach, co z pod chmury
Pnie się, błyskając w dali lśniącemi się mury.

Pałac ten opasany ogrodem różanym,
Migocąc się jakoby promieńmi jutrzenki,
Rubinowym odblaskiem dokoła rozlanym,
Nadawał okolicy czarodziejskie wdzięki.
„Pono tu niegdyś....“ rzekł na widok dziwa
Paladyn, tonąc w myślach, — lecz wnet głos urywa,
Gdy zarazem pałacu bramy otworzono,
I zeń w dziesięciu parach wyszło dziewic grono.

W kwiatach jak dni wiośniane, w lekkich, białych szatach,
Tocząc pląs pełen miękkich, harmonijnych ruchów,
Szły dziewy na spotkanie tych, co czci król duchów,
Wielbiły cnót tryumfy w niebiańskich zapłatach.
Z ich ust brzmiały piosenki, z ich rąk lutni brzęki;
Głosiły we czci ziemskiej serce wierne, stałe,
I tak do młodej pary śpiewały w jej chwałę:
„Czeka ciebie nagroda, czeka z boskiej ręki!“

Wezwanie nimf niewinnych wiedzie naszych gości,
Śród podwójnego rzędu dziewiczych piękności.
Aż pod zaklęty pałac. Idą śród ogrodu....
Wtem król Elfów tak piękny, jak słońce u wschodu,
Wita ich — ale nie dał im w błędzie pozostać:
Zrzucając z siebie kłamną dziecka postać,
Stał się ślicznym młodzieńcem, z wieńcem gwiazd na skroni,
W nieskazitelnej krasie, z pierścieniem na dłoni.

W księżycowym zaś blasku, w swym mirtowym wianku,
Stoi Tytania przy boskim kochanku.
Każde ma w ręku koronę mirtową;
I tak się ozwą przyjazną już mową:
„Weźcie, weźcie z rąk naszych, znamiona zwycięstwa,
Ten dar, w nagrodę cnoty, wierności i męstwa:
Póki ten upominek szczerze czcić będziecie,
Nie odstąpi was szczęście na tym ziemskim świecie“.

Zarazem z nieba ponad widzów głowy
Zbliżył się aż do ziemi obłoczek różowy,
A zeń wysiadły przy bardonów dźwięku
Trzy siostrzyczki Sylfidy z lilijami w ręku.
Jedna z nich trzymająca chłopczyka w objęciu
Uklękła przed Tytanią. Króla Elfów żona.
Dawszy serdeczny całunek dziecięciu,
Oddała synka Amandzie w ramiona.

Idąc między podwójnym panieńskim szeregiem,
Co śpiewając siał kwiaty pod przechodniów stopy,
Goście szczęśliwi, pod złotemi stropy
Pałacu Oberona stanęli noclegiem.
Co widzieli, słyszeli — w snu miejscu, w tej chwili —
Nazajutrz kochankowie o tem nie mówili;
Ale wzrok we łzach szczęścia tęskniący do nieba
Żalił się, że na ziemi pozostać im trzeba!

Majowym rankiem nazajutrz zbudzeni,
Wznosząc źrenicę ku pochodni dniowej,
Widzą się niespodzianie na ławie darniowej,
Jak gdyby w drodze. Opodal w drzew cieni

Stoją w bogatych rzędach cztery pyszne konie,
Na ziemi leżą rozmaite bronie:
Szaty rycerskie, polerowne zbroje,
Dywdyki końskie i kobiece stroje.

*(Wiktor Baworowski).*

„Oberon", poemat romantyczny w 12 pieśniach, przekład Wiktora z Baworowa, (Lwów, 1853); „Agaton", romans historyczny, przełożył J. Wakomski (Wilno, 1844), „Posąg i salamandra", powieść, naśladowała Anna z ks. Radziwiłłów Mostowska (Wilno, 1807); kilka innych pism Wielanda mamy także w przekładzie.

## XIV. Gotthold Efraim Lessing.

### Emilia Galotti.

Jeden z książąt włoskich na Guastalli, znudzony swoją wykształconą faworytą Orsiną, zakochał się w Emilii i zrazu wszystkoby dla niej oddał, lecz dowiedziawszy się, że ona wychodzi za mąż za hrabiego Appianiego, pomimo szlachetnego gruntu duszy, podrażniony w swych despotycznych zachciankach, znajduje w nikczemnym dworaku Marinellim przewrotne narzędzie swej woli. Appiani zostaje zamordowany, a Emilia porwana i pod pozorem przeprowadzenia śledztwa zatrzymana w zamku książęcym. Ojciec jej, Odoardo, oświadomiony o całym przebiegu sprawy, z początku chce zabić księcia, lecz następnie, ustępując naleganiom córki, ją samą zabija. Przytoczone sceny dadzą poznać główne charaktery.

*Orsina (po krótkiem milczeniu, podczas którego patrzy na Odoarda ze współczuciem, on zaś na nią z niejaką ciekawością).* Co on (Marinelli) panu powiedział, nieszczęśliwy człowieku?

*Odoardo (pół do siebie, pół do niej).* Nieszczęśliwy?...

*Orsina.* Prawdy nie mówił z pewnością.... a z największą pewnością nie powiedział żadnej z tych prawd, które tu na pana czekają.

*Odoardo.* Na mnie czekają? Czyż nie dosyć już wiem? Pani!.. Mówże pani! Mówże pani!

*Orsina.* Nie wiesz pan nic.

*Odoardo.* Nic?

*Orsina.* Dobry, kochany ojcze!... Co jabym dała, gdybyś pan także był moim ojcem! Wybacz pan! Nieszczęśliwi tak łatwo łączą się z sobą... Chciałabym rzetelnie boleść i oburzenie z panem podzielić.

*Odoardo.* Boleść i oburzenie?.... Pani!.... Zapominam jednak.... Chciej pani mówić dalej.

*Orsina.* Gdyby to nawet była pańska jedyna córka, pańskie jedyne dziecko!... Wszystko jedno, czy jedyne czy nie... Nieszczęśliwe dziecko jest zawsze jedyne.

*Odoardo.* Nieszczęśliwe?... Pani!... Czegoż ja chcę od niej?... Jednakże, na Boga, tak nie przemawiają obłąkane.

*Orsina.* Obłąkane?... A więc on to panu o mnie powiedział?. No, no, być może, iż to nie było jednem z grubszych jego kłamstw... Czuję coś takiego... I wierz mi pan, wierz mi pan, kto w pewnych okolicznościach nie utraci rozumu, ten go nie miał do stracenia!

*Odoardo.* Co ja mam myśleć o tem?

*Orsina.* Że nie powinieneś mną pogardzać! Bo ty także masz rozum, dobry starcze, masz także. Poznaję to z twojej miny stanowczej, nakazującej szacunek. I pan także masz rozum, a potrzebuję tylko wyrzec słowo... i nie będziesz go miał.

*Odoardo.* Pani! Pani!... Stracę go wprzód, nim mi powiesz to słowo, jeśli mi go zaraz nie powiesz!... Powiedz mi je! powiedz mi je! Albo nieprawdą jest... nieprawdą jest, że należysz do tego dobrego, na litość naszą, na szacunek nasz zasługującego rodzaju obłąkanych; jesteś pospolitą waryatką! Nie masz tego, czegoś nigdy nie miała.

*Orsina.* A więc uważaj pan! Cóż powiesz, kiedy sądzisz, że wiesz już wszystko? że Appiani jest raniony? tylko raniony?... Appiani jest zabity!

*Odoardo.* Zabity? zabity?.. Ha, kobieto! to jest przeciw umowie... Miałaś zniweczyć mój rozum, a rozdzierasz mi serce.

*Orsina.* To w dodatku!... Teraz dalej... Narzeczony jest zabity, a narzeczona, twoja córka, gorzej niż zabita.

*Odoardo.* Gorzej? gorzej niż zabita? Ale także zabita... Znam bowiem tylko jedno gorsze...

*Orsina.* Nie zabita. Nie, dobry ojcze, nie! Żyje, żyje! Dopiero teraz zacznie żyć, życiem rozkosznem, najpiękniejszem, najweselszem, próżniaczem życiem... dopóki ono trwać będzie.

*Odoardo.* Słowo, pani, jedyne słowo, które mnie ma pozbawić rozumu! Powiedz je!... Nie cedź trucizny po kropelce! Jedno słowo! prędko!

*Orsina.* A więc przesylabizuj je sobie! Dziś rano książę na mszy rozmawiał z twoją córką... dziś wieczór ma ją na letniej swej rezydencyi... na rezydencyi!

*Odoardo.* Rozmawiał na mszy? książę z moją córką?

*Orsina.* Z jaką poufałością! z jakim zapałem!... Mieli dużo z sobą do obgadania. I bardzo dobrze, że się z sobą umówili, bardzo dobrze, jeżeli twoja córka dobrowolnie się tu schroniła. Widzisz pan, w takim razie nie jest to gwałtowne porwanie, tylko poprostu małe... skrytobójstwo.

*Odoardo.* Potwarz! bezbożna potwarz! Ja znam moją córkę. Jeżeli to było skrytobójstwo, to było także porwanie. *(Spogląda dziko dokoła siebie, tupie nogą i wybucha).* Cóż, Klaudyo, coż, mateczko? Czy nie doczekaliśmy się radości? O! doczekaliśmy! Dostojnego księcia! Nader szczególnego zaszczytu!

*Orsina.* Cóż, starcze? działa? działa?

*Odoardo.* Otóż jestem przed jaskinią rozbójnika. *(Rozpina suknię i spostrzega, że nie ma broni).* To cud, że w pośpiechu i rąk nie zostawiłem. *(Maca się po kieszeniach, jakby czegoś szukał).*

*Orsina.* Ha! rozumiem!... Na to mogę zaradzić. Przywiozłam z sobą. *(Dobywa sztylet).* Weź pan to, weź pan prędko, nim nas kto zobaczy! Miałam także coś jeszcze — truciznę. Ale trucizna jest

tylko dla kobiet, nie dla mężczyzn. Weź go pan! *(Oddając mu sztylet).* Weź go!

*Odoardo.* Dziękuję... dziękuję... Drogie dziecię, jeżeli ktokolwiek jeszcze powie, że jesteś waryatką, będzie miał ze mną do czynienia.

*Orsina.* Ukryj pan przy boku! szybko przy boku! Ja nie będę miała sposobności użycia go. Panu jej nie zabraknie, a skorzystasz z pierwszej lepszej, jeżeli jesteś mężczyzną Ja jestem tylko kobietą, alem jednak tu przyszła ze stanowczem postanowieniem. My, starcze, my możemy sobie wszystko powierzyć, bo oboje jesteśmy znieważeni przez tego samego uwodziciela... Ach, gdybyś pan wiedział, jak niewypowiedzianie, jak niezmiernie i nad wszelkie pojęcie on mnie znieważył i jeszcze znieważa, tobyś mógł zapomnieć, tobyś zapomniał przytem o swojej własnej obrazie. Czy znasz mnie? Jestem Orsina, oszukana, porzucona Orsina... Porzucona wprawdzie może dla twojej córki. Ale cóż twoja córka temu winna? Wkrótce i ona będzie porzuconą. A potem znowu inna! I znowu inna! *(Jakby w zachwycie).* Co za cudna fantazya!.. Gdybyśmy kiedyś wszystkie my, cała gromada porzuconych, poprzemieniane w bachantki i furye, dostały go pomiędzy siebie i mogły go rozszarpać, potargać, przetrząść jego wnętrzności, aby w nich znaleść to serce, które każdej przyrzekał, a którego żadnej z nas nie dał! Ha! toby był taniec! toby był taniec!

## Akt V, scena 7 i 8.

*Emilia.* Co? tyś tutaj ojcze? I tylko ty?... A moja matka? Niema jej tu?... A hrabia?... Niema go tu?... I takiś niespokojny, mój ojcze?

*Odoardo.* A ty, takaś spokojna, moja córko?

*Emilia.* Czemuż nie, mój ojcze?... Albo nic nie jest stracone, albo wszystko. Módz a musieć być spokojnym, czyż to nie jedno?

*Odoardo* A w jakiemże położeniu sądzisz, że jesteś?

*Emilia* Sądzę, że wszystko jest stracone i że musimy być spokojni, mój ojcze.

*Odoardo.* I ty musiałabyś być spokojną dlatego, że to konieczność? Kto ty jesteś? Dziewczyna, moja córka.. A więc mężczyzna i ojciec musi się wstydzić przed tobą?... Ale powiedz mi, co nazywasz stratą wszystkiego? czy to, że hrabia zabity?

*Emilia.* I to, za co zabity! za co!... Ha, więc to prawda, mój ojcze? Więc prawdą jest ta cała straszna historya, którą z wilgotnych i dziko spoglądających oczu matki mej wyczytałam?... Gdzie jest moja matka? Gdzie ona jest, ojcze?

*Odoardo* Pojechała naprzód... jeżeli za nią pojedziemy.

*Emilia.* Im prędzej, tem lepiej... Bo jeżeli hrabia zabity, jeżeli dlatego zabity.. dlatego!... czegoż czekamy tu jeszcze? Uciekajmy, mój ojcze.

*Odoardo.* Uciekać?... Jakaż potrzeba?... Jesteś, zostajesz w ręku tego, który cię porwał.

*Emilia.* Zostanę w jego ręku?

*Odoardo.* I do tego sama, bez matki, beze mnie.

*Emilia.* Sama w jego ręku? Nigdy, mój ojcze... Albo nie jesteś moim ojcem... Ja sama w jego ręku?... Dobrze, pozostaw mię więc, pozostaw mię.... Chciałabym zobaczyć, kto mnie zatrzyma? Kto mnie zmusi?... Kto jest ten człowiek, który drugiego człowieka zmusić może?

*Odoardo.* Sądziłem, że jesteś spokojną, moje dziecko.

*Emilia.* Jestem spokojną. Ale co nazywasz spokojem? Czy włożyć ręce do kieszeni? Cierpieć, kiedy się nie powinno! Znosić to, czego znosić nie należy.

*Odoardo.* Ha! jeżeli tak myślisz!.. Chodź niech cię uściskam, moja córko!.. Mówiłem zawsze, że kobietę przyroda chciała uczynić swem arcydziełem — lecz omyliła się co do gliny i wybrała za delikatną. Zresztą wszystko jest lepsze w was niż w nas.. Ha! jeżeli to jest spokój, to i ja swój odzyskuję. Chodź, niech cię uściskam, moja córko!... Wyobraź sobie: pod pozorem sądowego śledztwa... o! co za piekielny wymysł!.. wyrywa cię z moich objęć i odwozi do Grimaldich...

*Emilia.* Wyrywa mię? odwozi mię?... Chce mię wyrwać, chce mię odwieść... chce... chce!... Tak jakbyśmy oboje nie mieli także woli, mój ojcze!

*Odoardo.* To też byłem tak wściekły, że już chwytałem za sztylet *(ujmując go)*, aby jednemu z nich dwóch... dwóch!... serce nim przeszyć!

*Emilia.* W imię nieba, nie, mój ojcze!... Życie jest wszystkiem, co posiadają występni... Mnie, mnie, mój ojcze, oddaj ten sztylet.

*Odoardo.* Dziecko, to nie szpilka do włosów.

*Emilia.* A więc szpilka do włosów będzie sztyletem. Wszystko jedno.

*Odoardo.* Co? aż do tego miałoby przyjść?... O, nie! nie!.. Zastanów się.. I ty masz także tylko jedno życie do stracenia.

*Emilia.* I tylko jedną niewinność.

*Odoardo.* Która jest wyższą nad wszelką przemoc.

*Emilia.* Lecz nie nad wszelkie uwodzenia... Przemoc! przemoc! Któż nie jest w stanie oprzeć się przemocy?... Co jest przemocą, jest niczem! Prawdziwą przemocą jest uwiedzenie!.. Ja mam krew, ojcze, tak młodą, gorącą krew, jak każda inna. Nie odpowiadam za nic. Nie ręczę za nic Znam dom Grimaldich. To dom rozkoszy. Jedna godzina, którą tam przepędziłam pod okiem mojej matki, tyle zamętu sprawiła w mojej duszy, że najsurowsze ćwiczenia religijne ledwie po kilku tygodniach uspokoić mię zdołały!... Religii i jakiej religii... której tysiące wyznawców, aby czegoś gorszego uniknąć, rzucali się w płomienie i są świętymi!... Daj mi, ojcze, daj mi ten sztylet.

*Odoardo.* Gdybyś ty go znała, ten sztylet.

*Emilia.* Chociaż go nie znam!... Nieznajomy przyjaciel jest także przyjacielem... Daj mi go, ojcze, daj mi go!

*Odoardo.* A gdybym ci go dał?... Masz *(oddaje).*

*Emilia.* A więc.. *(chce się przebić; ojciec wydziera jej sztylet z ręki).*

*Odoardo.* Och, jak szybko!.. Nie, to nie na twoją rękę.

*Emilia.* To prawda, szpilką do włosów powinnam... *(szuka we włosach i wyjmuje z nich różę).* Jeszcześ tutaj!... Precz!... Nie powinnaś zdobić włosów takiej... jaką mój ojciec chce, żebym została!

*Odoardo.* O, moja córko!

*Emilia.* O, mój ojcze, jeżelim cię odgadła!... Ale nie; nie masz tego zamiaru.. pocóżbyś zwlekał? *(Z goryczą, obrywając listki róży).* Był niegdyś ojciec, który swojej córce, ażeby ją ocalić od hańby, pierwszem lepszem żelazem przeszył łono.. i drugi raz dał jej życie. Ale takie czyny są dawne! Takich ojców już niema dzisiaj!

*Odoardo.* Są, moja córko, są! *(Przebija ją).* Boże! cóż uczyniłem? *(Emilia chwieje się, ojciec bierze ją w objęcia).*

*Emilia.* Złamałeś różę, nim burza oberwała jej liście... Daj ucałować tę ojcowską rękę. *(Wchodzą: Książę i Marinelli).*

*Książę.* Co to jest? Czy Emilii niedobrze?...

*Odoardo.* Dobrze, bardzo dobrze!

*Książę.* Co ja widzę?... Okropność!

*Marinelli.* Biada mi!

*Książę.* Okrutny ojcze! co zrobiłeś?

*Odoardo.* Złamałem różę, nim burza oberwała jej liście... Czy prawda, moja córko?

*Emilia.* Nie ty, mój ojcze!.. Ja sama, ja sama...

*Odoardo.* Nie ty, moja córko.. nie ty... Nie schodź z nieprawdą ze świata... Nie ty, moja córko! Twój ojciec, twój nieszczęśliwy ojciec!

*Emilia.* Ach, mój ojcze... *(Umiera).*

*Odoardo (składając jej ciało na podłodze).* Spoczywaj!... No cóż, książę? Czy podoba ci się jeszcze?... Czy podnieca jeszcze twe żądze?... Teraz w tej krwi, która woła o pomstę? *(Po chwili).* Czekacie jednak, na czem się to skończy?... Czekacie może, iżbym to żelazo zwrócił przeciwko sobie, aby mój czyn zakończyć, jak jaką płytką tragedyę?... Mylicie się... Tu *(rzuca Księciu sztylet pod nogi).* tu leży krwawy świadek mojej zbrodni! Pójdę i oddam się sam do więzienia. Pójdę i czekać będę ciebie, jako sędziego... a później... oczekiwać ciebie będę przed wspólnym naszym sędzią.

*Książę (po chwili milczenia, podczas którego wpatruje się w ciało Emilii, z przerażeniem i rozpaczą do Marinellego).* Tutaj! podnieś go!... Co? Namyślasz się?... Nędzny!... *(Wyrywa mu sztylet z ręki).* Nie, twoja krew mieszać się z tą krwią nie powinna!... Idź! ukryj się na wieki! Idź! mówię!... Boże, Boże! Niedość nieszczęścia, że władcy są ludźmi, trzeba jeszcze, żeby szatani udawali się za ich przyjaciół!..

*(Władysław Sabowski).*

Z dramatów Lessinga mamy przekład Emilii Galotti przez Wojciecha Bogusławskiego (druk. w jego „Dziełach"), oraz Władysława Sabowskiego (Warszawa, 1878); „Natan Mędrzec" był tłómaczony przez Zygmunta Komarnickiego (1866), Saulsonową (Lipsk, 1867), Kwiryna Anastazego (Warszawa, 1877), Zygmunta Bromberga (Złoczów, 1893).

## XV. Jan Gottfryd Herder.

### 1. Rodzeństwo (legenda).

Był gaj, śród gaju łąka zielona,
Śród łąki stała kaplica,
W niej, Zbawiciela tuląc u łona,
W obrazie Bogarodzica.

Tam z blizkiej wioski matka siedziała,
A przy niej dziatek jej dwoje:
Brat i siostrzyczka; ta kwiatki rwała,
A ten z kwiatkami wiódł boje.

Ona, z radością patrząc na dziatki,
Lała w nie nauki duszne:
Jak Jezus dobrym był dla swej matki,
Jak kochał dzieci posłuszne.

— „A mnie czy kocha? — spytał syn — [mamo?"
— Kocha, gdyś dobre, me dziecię.
— „A mnie czy kocha?" — Obu tak samo,
Jeśli mnie słuchać będziecie.

— „Gdyby Pan Jezus chciał kiedy z nami
Poigrać!" — rzekł syn do matki,
„Radbym mu oddał koszyk z jabłkami".
— „A jabym wszystkie me kwiatki".

Zgromiła matka dzieci surowo
Za myśl i mowę tak śmiałą;
Lecz w serce wpadło dziecinne słowo,
A w nocy tak się jej zdało:

Na łące Jezus igrał z dziatkami
Obok najświętszej swej matki,
Synek mu oddał koszyk z jabłkami,
Córeczka wszystkie swe kwiatki.

Pan Jezus, wziąwszy chłopca za rączkę,
Łagodnym rzecze wyrazem:
„Wkrótce cię wezmę na inną łączkę,
Gdzie będziem igrali razem.

„Tam zawsze słońce śmieje się wiosną,
Wiatr tkliwe piosnki rozwiewa,
Na niej i kwiatki piękniejsze rosną
I słodszy owoc dojrzewa.

„A ty, dziewczynko, gdy cię mło- [dzieniec
Przed me postawi ołtarze,
Z rajskich kwiateczków uplotę wieniec,
I tym cię wieńcem obdarzę.

„I życie twoje ustroję w kwiatki,
Otoczę cię gronem dziatek,
Posłusznych tobie, jak ty dla matki,
Wzór dzieci, jak ty wzór matek".

Tak się śni matce; trwogą przejęta
Klęka i woła: „O, Panie!
Zostaw mi syna! lub niechaj święta
Wola się twoja z nim stanie!

„Lecz gdyby można, ach, gdyby, było!
Zostaw go!"... Lecz próżne jęki;
Bo co się śniło, wkrótce spełniło:
Umarł synaczek maleńki.

Ale nim skonał, mówił do matki,
Że mu Pan Jezus u łóżka,
Bawiąc go, piękne wskazywał kwiatki
I słodkie dawał jabłuszka.

A gdy dziewczyna obok młodzieńca
Miłość stwierdzała przysięgą,
Zdało się, jakby rajskiego wieńca
Jezus opasał ją wstęgą.

Wszystko tam róże, lilije białe,
Ciemniejszych kwiatków zbyt mało.
A na wzór wieńca życie jej całe
Z chwil się wesołych splatało.

*(A. E. Odyniec).*

## 2. Człowiek i cień.

*Człowiek.* Toś ty za mną, to przedemną!
Chcesz mię ciągle prześladować
I twą postacią nikczemną
Niby mój obraz malować.

*Cień.* O, nie gardź twoim obrazem;
On jest tobie napomnieniem;
Gdybym nie szedł z światłem razem,
To ty wkoło byłbyś cieniem.

Jeśli słońce jest przed tobą,
Wtedy ja w tyle zostanę;
Lecz zostaw słońce za sobą,
Ja, twój cień, przed tobą stanę.

*(K. Brodziński).*

---

# XVI. Gottfryd August Bürger.

## Lenora.

Lenora po okropnym śnie
Zerwała się w poranku:
„Czyś zdradził mnie? czyś poległ gdzie?
Wilhelmie! mój kochanku.
Na bój pod Pragę ruszył on
Za Fryderyka walczyć tron
I odtąd nie dał mowy,
Czy zginął, czy jest zdrowy.

Już z cesarzową[1]) pruski król,
Znużeni długim bojem,
W narodów swoich wchodząc ból,
Skończyli go pokojem.
A każde z wojsk zwycięski dźwięk
I szerząc kotłów szczęk i brzęk,
I wieńcząc się w choiny,
Wracało do rodziny.

Rozbiegł się lud i wszerz i wzdłuż
Po drogach i po ścieżkach,
Z radością wojska witał już
Wrócone po zamieszkach;
I żony z dziećmi Bogu cześć
I narzeczone śpieszą nieść,
Lecz tylko dla Leosi
Na ślub się nie zanosi.

Każdego pułku pyta się,
Co serce jej chce wiedzieć;
Kto wrócił w kraj, kto poległ gdzie,
Nie może nic wyśledzić.

Gdy przeszło wojsko, z żalu drze
Na głowie krucze włosy swe
I tarza się po ziemi
I bluźni słowy złemi.

W tym stanie matka widząc ją,
Z boleścią do niej śpieszy:
„O, lube dziecię! cóż ci to?“
I smutna smutną cieszy.
— „O, matko! matko! po mnie już!
Ach, lepiej mnie do grobu złóż,
Bóg o mnie zapomina!
Ach, biednaż ja dziewczyna!“

„Zaufaj Bogu, wesprze Bóg,
Zmów Ojcze-nasz i Wierzę,
Bóg łaskaw jest dla wiernych sług,
Pomaga wszystkim szczerze“.
—„O, matko! matko! czczy to szał!
I w czemże Bóg mi pomoc dał?
Błagałam próżno nieba,
Już dziś mi nic nie trzeba“...

„Pomoże Bóg! Kto ojca zna,
Ten wie, że wspiera dzieci.
Pociechę tobie spowiedź da
I rozpacz twa odleci“.
— „O, matko! żal, co we mnie wre,
Nie zgasi żadna spowiedź, nie!
Bo niema już sposobu
Umarłych wskrzesić z grobu“.

[1]) Marya Teresa, cesarzowa austryacka, w czasie wojny 7-letniej.

„Posłuchaj, córko! Gdyby on,
Ten Wilhelm, tak ci luby,
Którego opłakujesz zgon,
Wszedł na Węgrzech w inne śluby;
Mniej ludziom, więcej Bogu wierz
I duszy twej jak oka strzeż;
Przy zgonie, tych, co warci,
Bóg za niewiarę skarci“.

— „O, matko! matko! po mnie już!
Straciłam go, straciłam,
Ach, lepiej mnie do grobu złóż.
O, czemuż się rodziłam!
Na wieki zgasł dni moich blask,
Nicości chcę, nie bóstwa łask.
Bóg o mnie zapomina,
O, biednaż ja dziewczyna!“

„O, Boże, nie wchodź z grzeszną w sąd
Twych dzieci nie karz w gniewie,
Na rozpacz jej, miej, ojcze, wzgląd;
Co mówi, sama nie wie.
Zapomnij, córko, ziemskich strat,
Nie tu się dla nas kończy świat;
Zbawienia święty wieniec
Da hoski oblubieniec“.

—„Ach, nie mów o zbawieniu tém,
Zbawienie me uciekło;
Zbawienie miałam tylko w nim
A bez Wilhelma — piekło!
Na wieki zgasł dni moich blask,
Nicości chcę, nie bóstwa łask;
Kochanku! ja bez ciebie
Zbawienia nie chcę w niebie!“

Tak zawrzał w niej rozpaczy szał
Po mózgu i po żyłach
I proch, wbrew Opatrzności, śmiał
Zaufać w własnych siłach;
Rozwodzi wciąż przekleństwa swe,
I w pierś się tłukąc, włosy drze,
Aż kres słonecznej jazdy
Wskazały świetne gwiazdy.

Na dworze słychać: tent, tent, tent,
Jakby kopyta koni,
I jeździec z konia zsiada wpęd
I ostrogami dzwoni.

Stanąwszy przed drzwiami, gdzie sień,
Pociągnął dzwonek: dzeń, dzeń, dzeń
I przez zamkniętą bramę
Rzekł słowa ot te same:

„Hej, hej, kochanko! otwórz drzwi!
To ja, to twój cię woła;
Śpisz-że, czy czuwasz, wierna mi,
Czy płaczesz, czyś wesoła?“
— „Wilhelmie, tyżeś w późną noc!
Czuwałam długo i łez moc
Wylałam ja po tobie...
I skądżeś o tej dobie?“

„Z daleka, z Czech przybywam dziś.
Jeździmy nocną dobą;
Późnom się wybrał; z łóżka zléż,
Bo muszę wziąć cię z sobą“.
— „Wilhelmie! wprzód uściśnij mię,
Bo zimny wiatr po cierniach dmie;
Tyś zziąbł, niech twa kochanka
Rozgrzeje cię do ranka“.

—„Niech sobie wiatr po cierniach dmie.
Ty, dziewczę, porzuć trwogę;
Mój rumak rży, czekają mnie,
Zabawić tu nie mogę.
Czemprędzej więc gotową bądź
I na karego za mną siądź;
Sto mil mam jechać jeszcze,
Nim w domu cię popieszczę“.

— „Co? dziś ujechać chcesz sto mil?
Ach! stój, jeślim ci miła.
Wszak już minęło kilka chwil,
Jak jedenasta biła“.
„Patrz, patrz! jak świetnie księżyc wszedł,
My i umarli lecim wnet;
Zawierz mej obietnicy,
Dziś staniem u łożnicy.

— „Twa chatka i łóżeczko twe
Sąż dobre i wygodne?“
„Sześć desek i deseczki dwie,
Spokojne, szczupłe, chłodne.
Dość nam. Gotowa prędko bądź
I na karego za mną siądź,
Bo już nas przy łożnicy
Czekają weselnicy“.

Ubrała się i wnet na koń
Skoczyła, acz nieśmiało;
Lubego jeźdźca ściska dłoń
Swą ręką, jak śnieg, białą.
Z kopyta zaraz drał, drał, drał,
Jak szumny wicher, pędzą w cwał,
A z jeźdźcem koń się pieni
I lecą skry z kamieni.

Już obustronnie znika kraj,
A ich gościniec prosty,
Umyka rola, błonie, gaj
I wszędzie dudnią mosty.
„Czy strach ci, luba? Księżyc wszedł,
Hejż-ha! umarli lecą wnet,
Czy strach ci jechać do nich?“
— „Nie, jednak zamilcz o nich“.

I cóż tam brzmi za głos i dźwięk?
Co kruki tak krakają?
Czem jest ten śpiew i dzwonów brzęk,
To kogoś grzebać mają.
Karawan wiezie pyszny cug,
Przy trumnie w czerni mnóstwo sług,
Ich śpiew się równa prawie
Kwakaniu żab na stawie.

„Te zwłoki, bracia, złóżcie w grób,
Jak północ już uderzy,
Dziś chcę z kochanką odbyć ślub,
Więc za mną śpiesz, młodzieży.
Kantorze! zabierz z sobą chór,
Do ślubnej pieśni zanuć wtór,
Błogosław nam, pastorze,
Nim wejdziem w ślubne łoże“.

Zmilkł śpiew i dźwięk, karawan znikł,
Posłuszni, jakby dzieci,
Zbierają się w porządny szyk
I tłum za jeźdźcem leci.
I dalej, dalej, drał, drał, drał,
Jak szumny wicher pędzą w cwał
Pod jeźdźcem koń się pieni,
Pryskają skry z kamieni.

I z tej i z tamtej, z obu stron
Mijają wzgórza, wody
I z tamtej i z tej, z obu stron
Wsi, miasta i zagrody.

Nie bój się, luba, księżyc wszedł,
Hejż-ha! umarli lecą wnet,
Czy strach ci jechać do nich?“
— „Ej, nie! lecz nie mów o nich“.

Ot, szubienica w oczach nam,
A z niej na wszystkie strony,
Jak wiatr powieje, tu lub tam,
Tańcuje powieszony.
„Hej, bratku! jak się kolwiek zwiesz,
Zstąp zaraz i za nami śpiesz,
Na ślub się okaż hożym,
Tańcz, nim się spać położym“.

I zaraz łotr pośpiesza zniść
I leci w trop za niemi,
Jak wir, co suchy pędzi liść
Porwany w gaju z ziemi,
I dalej, dalej, hop, hop, hop,
Jak wicher, pędzą wciąż w galop,
Pod jeźdźcem koń się pieni,
Pryskają skry z kamieni.

Tak wszystko mija obok nich
I wszystko ponad niemi,
Mijają gwiazdy, mija ich
I niebo i krąg ziemi.
„Nie bój się, luba, księżyc wszedł,
Hejż-ha! umarli lecą wnet,
Czy strach ci jechać do nich?“
— „Ej, przestań, nie mów o nich!“

„Podobno pierwszy zapiał kur,
W klepsydrze spada piasek,
Już ranku tchnienie wietrzą z gór,
Hej, kary! suń przez lasek.
Kres naszej drogi już jest tam
I chatkę wnet otworzą nam,
Umarłych wicher niesie,
Stajemy już przy kresie.

Pod bramę zbitą z lanych krat
Zuchwały jeździec ruszy,
Gdy śmiało mieczem na nią wpadł,
Cios rygle z zamkiem kruszy.
Roztwarły się na rozcież drzwi,
On śmiało po mogiłach grzmi,
A wkoło blask księżyca
Nagrobki im oświeca.

I stała się cudowna rzecz:
Okropne to widziadło,
Ubranie jeźdźca, zbroja, miecz,
Jak próchno się rozpadło,
Gdzie była piękna jeźdźca twarz,
Tam trupią główkę tylko masz,
Szkielet z czapką bezwłosą
Klepsydrę trzyma z kosą.

I wspiął się koń i dziko rżał
I parskał skry ogniste.
Zapadło miejsce, kędy stał,
W otchłanie przepaściste.

W powietrzu wzniósł się płacz i krzyk,
W otchłaniach rozległ jęk i ryk,
Lenora z serca biciem
Bój śmierci czuje z życiem.

Księżyca blask rozganiał mrok
I błysnął obraz nowy,
Bo wszczął się dziwny duchów skok.
Wyjących temi słowy:
„Choć serce twoje pękać chce,
Człowieku, w żalu nie bluźń, nie:
Gdy ciało się rozprószy,
Niech Bóg przebaczy duszy".

(*Bruno Kiciński*).

## XVII. Jan Henryk Voss.

### Mała szwaczka.

Patrz! jeszcze jest nici garstka,
A palec mnie boli,
Niech mi siostrzyczka naparstka
Pozwoli.
Bo przyjdzie mama i spyta,
Czy już koszulka uszyta.

Ciągle mi Adaś zuchwalec
Sprzeciwiał się tylko,
Za to ukłułam go w palec
Tą szpilką.
A ten wietrznik, nic dobrego,
Naparł się naparstka mego.

Broniłam się od swawoli,
On porwał, jak swoje,
Kol! kol! — mówił — niech tam boli,
Już moje.
Jeszcze na boże skaranie
Porwał mi pocałowanie.

Siostro! Tyś wyższa dwa cale
I starsza to samo,
Jak tu wykręcić się wcale
Przed mamą?
Nie wiem, czy zwiodę tak mamę,
Że mysz porwała go w jamę...

(*Bruno Kiciński*).

## XVIII. Jan Wolfgang Goethe.

### 1. Werther.

Młodzieniec głęboko uczuciowy, do melancholijnej zadumy skłonny, wciągający w sferę swych rozpamiętywań cierpienia istot wogóle (*Weltschmerz*), kocha się nieszczęśliwie w żonie człowieka, którego szanować musi. Walka wewnętrzna, jaką stacza sam w sobie, coraz bardziej pogłębia ból doznawany, i w końcu doprowadza młodzieńca do myśli o samobójstwie, myśli, którą niebawem uskutecznia. Pożegnanie i ostatni przedzgonny list do Lottchen (Karoliny) da poznać siłę uczucia i szlachetność bohatera.

Strumień łez, który z oczu Karoliny wytrysnął i ulżył uciśnionemu jej sercu, przerwał Werterowi czytanie. Rzucił papier i wziął ją za rękę i płakał rzewnemi łzami. Karolina wsparta na drugiej, oczy chustką zakryła. Okropne było ich wzruszenie. — W losie tych nieszczęśliwych, własny czytali, czuli to razem, a ich łzy połączyły się. Usta i oczy Wertera utkwiły na jej ramieniu; przestrach ją objął, chciała się oddalić, boleść i udział ciężyły na niej. Chciała odetchnąć i zapłakana, prosiła go, aby dalej czytał; Werter drżał, serce mu biło, podniósł papier i czytał, płaczem przerywając:

„Po co mię budzisz, wietrze wiosenny? Ty mówisz: Ja cię roszę łzami nieba! Ale mój czas się zbliża i zwiędnę, blizka już burza, co moje liście rozwieje. Jutro przyjdzie wędrowiec, wędrowiec, który mię widział w piękności mojej, wkoło mię będzie okiem upatrywał po polu i nie znajdzie mię“.

Cała moc tych słów uderzyła nieszczęśliwego. W największej rozpaczy, rzucił się przed Karoliną, uchwycił jej ręce, cisnął je na swe oczy, na czoło i zdawało jej się, że w tej chwili przeszyło jej serce okropne przeczucie jego zamiaru. Ich zmysły obłąkały się, ściskała jego ręce, cisnęła je do swych piersi, z bolesnem wzruszeniem schyliła się ku niemu i usta ich dotknęły się wzajem. Świat zginął im przed oczyma. Objął ją rękoma, cisnął do serca, a drżące i milczące jej usta gorącemi okrywał pocałunki. Werterze! zawołała przytłumionym głosem, odsuwając się, Werterze! zawołała tonem pewnym z uczuciem szlachetnem. Nie opierał się, puścił ją i bez zmysłów rzucił się przed nią. Zerwała się w tęsknem roztargnieniu, drżąc między miłością i gniewem, rzekła: to już raz ostatni, Werterze! więcej mię widzieć nie będziesz. Z spojrzeniem najmilszej miłości pośpieszyła do drugiego pokoju i zamknęła się. Werter wyciągał ręce za nią, nie odważył się jej zatrzymać. Leżał na ziemi głową na kanapie, w tej postawie był przez pół godziny, aż ktoś nadchodzący do przytomności go przywrócił. Była to służąca, która chciała stół nakryć. Przechodził się i widząc się znowu samym, poszedł do drzwi i wołał cichym głosem: Karolino! jedno tylko słowo, tylko pożegnanie! — Milczała. Czekał, prosił i czekał; potem zerwał się i zawołał: Bądź zdrowa, Karolino! na wieki bądź zdrowa!

. . . . . .

„Ostatni więc raz, ostatni, otwieram te oczy. Już one słońca nie zobaczą; smutny, mglisty dzień je okryje. Smuć się, naturo! twój syn, twój przyjaciel, kochanek zbliża się do swego słońca. Karolino! to uczucie nie ma równego, a jednak najpodobniej to jest do snu, powiedzieć sobie: To jest ostatni poranek. Ostatni, Karolino! nie mam głosu na to słowo: ostatni! Czyliż tu nie stoję w całej sile? a jutro leżeć będę wyciągnięty i martwy na ziemi. Umrzeć, cóż to znaczy? Patrz! my śnimy sobie, mówiąc o śmierci. Widziałem wiele umierających, ale ludzie tak są ograniczeni, że do pojęcia swojej bytności, początku i końca, nie mają zmysłów. Teraz jeszcze jestem moim, twoim, twoim, kochanko! A za chwilę, odłączony może na wieki. Nie, Karolino, nie! — Jak ja mogę zaginąć, jak ty możesz

zaginąć? Przecież jesteśmy! Zniknąć, to znowu słowo! czcze, próżne słowo, bez czucia dla mego serca. — Umrzeć, Karolino! być zagrzebanym w zimnej ziemi w tak ciasnym, tak ciemnym grobie! Miałem przyjaciółkę, która była wszystkiem dla mojej słabej jeszcze młodości; umarła, odprowadzałem jej ciało, stałem nad grobem, jak trumnę spuszczali, jak pod nią linę na dół toczyli i w górę wyciągali, jak potem pierwszą garść ziemi puszczono, jak smutne wieko głuchy odgłos wydało, głuchy, cichszy i coraz cichszy, aż się nakoniec wszystko zakryło. — Rzuciłem się obok grobu, wstrząśniony, cierpiący, bolejący aż w głębi serca, ale nie wiedziałem, co mi się działo, co się ze mną dziać będzie. Umrzeć, grób — nie rozumiem tych słów!

O daruj mi, daruj! wczoraj miała to być ostatnia chwila życia mojego. O aniele! po raz pierwszy, tak, po raz pierwszy, przejęło mię w głębi to najgorętsze uczucie: kocha mię, kocha! Jeszcze żarzy się na moich ustach ten święty ogień, nowa, gorąca rozkosz jest w mojem sercu. — Daruj mi, daruj!

Ach! ja wiedziałem, że ty mnie kochasz, widziałem to w pierwszem, pełnem duszy spojrzeniu, przy pierwszym uścisku ręki; a przecież, gdym odszedł, gdy Alberta przy tobie widziałem, znowu mię rozpacz i wątpliwość szarpała.

Przypominasz sobie te kwiatki, któreś mi posłała, gdyś mi w tem nieszczęsnem towarzystwie ani słowa powiedzić, ani ręki podać nie mogła. O, ja pół nocy przed niemi klęczałem, one mi były oznaką twojej miłości. Ale te wrażenia przeszły, jako uczucie łaski Boga powoli znowu z duszy wiernego ustępuje, która mu z całą niebieską dobrocią w znakach widzialnych podaną była.

Wszystko to przemija, ale żadna wieczność nie zgasi tego pełnego życia, które wczoraj z ust twoich ssałem, które w sobie czuję; ona mię kocha! Ta ręka ją objęła, te usta drżały na jej ustach. Ona jest moją; moją jesteś, tak, Karolino, na wieki!...

I cóż to ma być, że Albert jest twoim mężem? Mężem! — Toby więc było na tym świecie grzechem, że cię kocham, że cię chciałem z rąk jego do moich wyrwać? To jest grzechem? Dobrze, sam się ukarzę; ach! czułem całą rozkosz tego grzechu; wyssałem siłę i życie do mojego serca; od tej chwili moją jesteś, tak, moją, Karolino. Idę naprzód do mojego ojca, do twego ojca. Przed nim się użalę, on mię pocieszy, aż ty przyjdziesz, wylecę naprzeciw ciebie, obejmę cię, zostanę przy tobie, przed obliczem Nieskończonego w wiecznem uściśnieniu.

Ja cię nie zwodzę, nie marzę: Im bliżej grobu, tem jaśniej widzę. Będziemy żyć, będziemy się widzieć. Będę widział twą matkę, będę jej szukał, znajdę ją, ach i przed nią całe serce wywnętrzę. Przed twoją matką, twoim obrazem".

*(Kazimierz Brodziński).*

## 2. FAUST.

Goethe w utworze tym wziąwszy postać podaniową czarnoksiężnika, przetworzył ją na przedstawiciela pragnień, cierpień, wahań i wysiłków człowieka w dążeniu do rozwiązania najwyższych zagadnień życia. Mefistofeles jest wcieleniem ducha przeczenia, wykrzywiania i wyszydzania najszlachetniejszych dążności ze stanowiska suchego racyonalizmu. Małgosia — to uosobienie miłości, poddającej się bez zastrzeżeń czarowi męskiej osobistości i cierpiącej z tego powodu niewymownie. Faust po przejściu różnych prób, znajduje nakoniec w działaniu, w czynie hasło życia, a miłość Małgosi zjednywa mu przebaczenie w niebie.

### Noc.

W wysoko sklepionej, wązkiej komnacie gotyckiej Faust siedzi niespokojny na krześle przed pulpitem.

*Faust.* Więc filozofii dziedziny,
Więc prawa i medycyny
I teologii, niestety!
Przemęczyłem fakultety:
A choć to wszystko w mózgu mym się skupia,
Głowa jak była, tak została głupia.
Jestem magistrem, co więcej, doktorem
I wodzę tu z dziesiątek lat
Mych uczniów za nos, krętym torem,
W mniemanej wiedzy błędny świat.
Choć widzę, że to próżna męka.
Już z bólu mało serce mi nie pęka.
Prawda, żem mędrszy od wielu kpów,
Nawet od klechów, doktorów i księży;
Mnie żaden skrupuł głowy nie mitręży,
Ni czart, ni piekło nie trapią mych snów —
Lecz za to wszelką odjęto mi radość.
Wiem, że niedużo sam rozumiem,
Że celom swym nie czynię zadość,
Że nawet innych nauczać nie umiem.
Nie pozyskałem pieniędzy, ni mienia,
Honorów ziemskich, władzy, ni świetności,
Pies się na dolę moją nie pomienia!
To też do magii teraz się przykładam;
Może duch jaki w murach tych zagości
I przy nim wielu rzeczy się dobadam,
Bym odtąd w krwawym pocie czoła
Nie musiał prawić, czego nie wiem zgoła;
Bym zbadał wszystko, co świata budowę
Wnętrznemi spaja okowy,
Bym poznał twórczość i rzeczy osnowę,
A czczemi nie walczył słowy.
O gdybyś ty, księżycu, raz ostatni
Mógł widzieć nieme udręczenia moje!
Ty, któryś nieraz na nocne me znoje
Przy tym pulpicie zsyłał promień bratni!

Ponad księgami i pismami wielu
Tyś mi się zjawiał, smutny przyjacielu!
Ach, gdybym mógł na szczytach gór
W łagodnem świetle twojem śnić
I tam, gdzie duchów władnie chór,
Zatęchłej wiedzy zerwać nić,
Po łąkach w mroku twoim stąpać
I w srebrnej rosie twej się skąpać!
Niestety! ciągle w mem więzieniu tkwię!
Przeklęta ta ponura jama,
Śród której nawet jasność sama
Przez szybki barwne darmo się tu rwie!
Te ksiąg zbutwiałych wielkie kupy,
Co pył je kryje, mole gryzą,
Aż pod sklepienie samo lézą,
Jak okopcone dymem słupy.
Szklanice, sloje, bańki wszędy,
Narzędzia ustawione w rzędy,
A w nich niejeden stary ojców grat —
Ot taki świat mój — to się zowie świat!

I co tu pytać, czemu serce moje
Tak tęskno się w zbolałej piersi łamie?
Dlaczego dziwne jakieś niepokoje
Tamują we mnie każde życia znamię?
Toć zamiast cudnych przyrodzenia pieśni.
Co Bóg je ludziom dał w podziele,
Dokoła widzę pośród pleśni
Szkielety tylko i piszczele.

. . . . . .

Że też w tych głowach nadzieja się snuje
I wierzą w głupstwa oczywiste.
Ich dłoń się skarbów chciwie doszukuje.
A radzi, jeśli znajdą glistę.
Ma-ż brzmieć tu ludzki głos, tak cichy, mały,
Gdzie mnie tajniki duchów otaczały?
Lecz ci na ten raz dzięki gorącemi
Odpłacam, synu najnędzniejszy ziemi.
Przez ciebie, gdy mną zwątpienie owładło,
Ja się z rozpaczy uścisku wydarłem.
Ach! tak olbrzymie było to widziadło,
Że sam się przy niem czułem karłem.

Ja, obraz bóstwa, któremu się zdało,
Że już jest blizkim prawdy, zdroju łaski,
Co już w niebiańskie wzlatywałem blaski,
Rozzuwszy z szaty ziemskiej ciało;

Ja, wolen więzów, wyższy od Cheruba,
Com się rozpłynął już w przyrody tętnie,
By, wzorem bogów, tworzyć umiejętnie —
Gdzież teraz duma, gdzie jest moja chluba?
Gromowy wyrok wszystko strącił w noc.
Nie, ja nie jestem równy tobie!
Przyciągnąć ciebie miałem moc,
Lecz cię zatrzymać zbrakło siły.
W błogosławionej owej dobie,
Gdy rajskie sny mnie upowiły,
To wielki czułem się, to mały.
Tyś strącił polot mój zuchwały
W niepewny człowieczeństwa los;
Lecz czyj mną pokieruje głos?
Czy mam posłuchać owej chęci,
Co wiecznie mnie ku sobie nęci?
Niestety! czyny nasze i cierpienia
Tamują pochód ziemskiego istnienia.
I najwznioślejsze nawet ducha tchnienie
Z przymieszką obcą spotyka się wszędzie;
Kto dobrą sobie w życiu rzecz zdobędzie,
Ten lepszą potem uzna za złudzenie.
Wspaniałe czucia, podnoszące duszę,
Drętwieją w ziemskich pragnień zawierusze.
Gdy się fantazya dawniej wzlotem duszy,
Nadziei pełna, w wieczność rozszerzała,
Dziś jej wystarcza przestrzeń mała.
Gdy cios za ciosem szczęście ci rozkruszy,
Zagnieżdża się już troska w piersi twojéj
I tajne wznieca w niéj cierpienia:
Niepokój w grozę się zamienia
I w coraz inną maskę twarz ci stroi:
Czy o domostwo, czy o żonę, dzieci,
O wodę, ogień trwogę w tobie nieci;
O rzecz chybioną czujesz niepokoje.
A opłakujesz stale dobro swoje.
Nie jestem bogiem, ja to czuję codnia!
Jam jest robakiem, co się w prochu wije
I w pyle swoim pod stopą przechodnia
Umiera nędznie, tak jak nędznie żyje.

Toż pyłem jest i ta wysoka ściana.
Co w setkach półek mieści śmiecie;
Tandeta, w płatki pstre przybrana,
Otacza mnie w tym mólów świecie;
I tu mam znaleźć, czego dusza łaknie?
Lub mamże czytać w księgach dziwy,

Że ludziom wszędzie czegoś braknie.
A na tysiące jeden był szczęśliwy?

Co się wyszczerzasz na mnie, czaszko pusta?
Toż mózg twój był zgmatwany, tak jak mój;
Szukałaś dnia w pomroce: próżny znój,
Bo czary prawdy nie dotknęły usta.
I wy, narzędzia, próżny z wami trud!
Te kółka wasze, zęby, walce, skręty,
To miał być klucz, gdym stał u wiedzy wrót,
Owiany dumą, choć zwątpieniem zjęty.
Zasłaby on na siłę tych wrzeciądzy....
Przyćmiona w jasny nawet dzień,
Przyroda mojej nie ukoi żądzy,
Bo tajnie swoje w mroczny nurza cień.
A czego z własnej nie objawi woli,
Już tego śrubą dźwignąć nie pozwoli.
Wy, graty stare, czego tu stoicie?
Ubiegłych czasów chybaście pomnikiem:
Ty, zwitku, ciebie lampka ta obficie
Kopcącym codzień zaczernia płomykiem.
Wolałbym stracić ma chudobę całą,
Niż z jej resztkami tutaj osiąść.
Co ci po ojcach w spadku pozostało,
To staraj się nietylko mieć, lecz posiąść.
Bezużyteczność staje się ciężarem,
Użycie jest sposobnej chwili darem....
Lecz czemuż oko moje w górę bieży?
Czy ta flaszeczka magnesem dla wzroku?
Dlaczego błoga jasność tu się szerzy,
Jak gdyby księżyc wszedł śród lasów mroku?

O witaj, kruche ty naczynie,
Po które sięgam teraz! Zbawczy płynie!
Czczę w tobie ludzką sztukę, rozum bratni.
Ty zbiorze sennych sił, uroków,
Wyciągu wszech zabójczych soków,
Mistrzowi swemu posłuż raz ostatni!
Sam widok twój łagodzi me cierpienie;
Gdy ujmę cię, przemija udręczenie
I duch mój sprzecznych się pozbywa chceń.
Po pełnem morzu życia łódź przepłynie,
Gdzie w zwierciadlanych falach oko ginie.
Ku nowym brzegom nowy wabi dzień.
Śród lekkich chmurek wóz ognisty
Napływa ku mnie! Jam gotowy
Ziemskiego życia zgnieść okowy,
Do sfer jasności zdążyć czystéj.

Czyż na to życie rozkoszy bez końca
Zasłużyć mogłeś, marny ty robaku?
O tak, zaiste! Lecz od kręgu słońca
Twarz odwróć i po innym biegnij szlaku!
Odważnie roztwórz owe wrota,
Co każdy stroni od ich progów;
Czas dowieść czynem, że mężczyzny godność
Nie ustępuje dostojeństwu bogów;
Żeś poznał cierpień różnorodność
I nie truchlejesz wobec mrocznych cieni
Siedliska mąk, utworu wyobraźni;
Że w czeluść jego, śród płomieni
Piekielnych, wkraczasz bez bojaźni:
Że umiesz śmiało w nią się rzucić,
Chociażby przyszło w nicość się obrócić.

Więc wynijdź z swego futerału,
Ty czaro czystsza od kryształu!
Nie tknąłem ciebie od lat wielu,
Krążyłaś nieraz w innym celu:
Rozweselałaś zgromadzonych gości,
Gdy śród biesiady w kolej szłaś swobodna,
Te liczne rzeźby twoje, te pierścienie,
Co opiewano wierszem ich znaczenie,
A potem ciebie wychylano do dna —
Wskrzeszają noc niejedną w mej młodości.
Już ja w hulaszczej cię nie ujmę wrzawie,
Dowcipu na twych scenach nie zaprawię.
Ten płyn brunatny prędko mnie upoi,
Niech więc zakipi w twojem wnętrzu białem!
Ostatnim trunkiem, co go sam wybrałem,
Cześć spełniam ranka z całej duszy mojéj!
(Przykłada czarę do ust).
(Rozlega się odgłos dzwonów i śpiew chóralny).

Pracownia. *(L. Jenike).*

*Mefistofeles.* Będziem, jak myślę, zgodnie sobie radzić.
Przychodzę kwaśny humorek rozsadzić.
Spójrz, czym nie junkier przybrany wspaniale.
Czy ten płaszczyk mój jedwabny,
Pons kaftana, nie powabny
Przez samę tę złotą lamę?
Czy mi źle w tym kapeluszu
O kogucim pióropuszu?
Czy do gustu nie przypada
Ta ostrokończasta szpada?
Radzę i tobie: krótko, węzłowato,
Bierz strój podobny, a ręczę ci za to,

Że w wyzwolonym, w odrodzonym bycie
Poczujesz, co to jest życie.

*Faust.* W każdym stroju żywota ziemskiego te kleszcze
Będą mię, jak gniotły, gnieść jeszcze;
Jużem zbyt stary, aby żyć samą pustotą,
Na beznamiętność — dziś jeszczem zbyt młody.
Bo cóż mi świat ten rokować jest w stanie?
„Obywanie się, zrzekanie“,
Odwieczną piosnkę, która nad uszyma
Brzęczy każdemu; każda mię godzina
Głosem ochrypłym po sercu zacina
Całe to życie człowieka-pielgrzyma;
Boleść, łza gorzka budzi mię co ranku,
Trwoga, niosąca wróżbę bez ustanku,
Że ot, dzień przejdzie, światła w nim pobledną,
A czy on spełnił myśl moją choć jedną?
On, który samych marzeń o rozkoszy
Skneroczo żałuje mi zawsze i wszędy,
On, który piersi mej twórcze zapędy
Tysiącami barw życia krępuje i płoszy?
Nawet, gdy noc już opada na ziemię,
W trwodze na łożu kładnę ciała brzemię,
I wtedy nie mam spokoju — i wtedy
Dzikich widziadeł straszą mię czeredy;
Ów Bóg, co w toniach istoty mej gości,
Przed którym moją wszechsiłą się korzę,
Tam — mocen wstrząsnąć skrytością skrytości,
Ale tu zewnątrz nic wstrząsnąć nie może.
Tak istnieć — brzemię to dla mnie, straszydło;
Śmierci ja pragnę, życie mi obrzydło.

*Mefistofeles.* Śmierć — gość niepożądany, nieochronne skrzydło.

*Faust.* Ach! szczęśliwy ten, komu ona w bojowisku
Naokół skroni laur krwawy naniże,
Kogo, po tańca szalejącym wirze,
Zejdzie w namiętnym dziewczęcia uścisku.
Przecz, pod wielkiego Ducha siłą niezgłębioną,
Jam w zachwycie, bez duszy, nie zapadł w jej łono?

*Mefistofeles.* A przecież był tu taki, co w nocnym pomroku
Nie śmiał wychylić czary brunatnego soku.

*Faust.* Toś ty szpieg i, jak widzę, w środkach niewybredny.

*Mefistofeles.* I wielowiedny, chociaż nie wszechwiedny.

*Faust.* Jeżeli hymn znany słodyczy swej tonem
Z krańca otchłani czarnej mię nawrócił,
Echem lat błogich w sercu zrozpaczonem
Szczątki dziecięcej rzewności ocucił;
To go przeklinam... Co tylko człowieka
Duszę złudzeniem, gusłami urzeka,

Pochlebstwem spycha do piekła tej ziemi;
Dziś to przeklinam przekleństwy wszystkiemi.
Owa myśl marna, co chełpliwie pryska
Z ducha źrenicy, a sidła mu przędzie,
I ta błyskotna zawodność zjawiska,
Co w zmysł się wkrada, przeklętą niech będzie.
Ów sen, co nas podstępną złudziwszy postawą,
Nieśmiertelnością odurza i sławą,
Zyskiem pod maską stulicej ponęty:
Pól, sług, żon, dzieci — niech będzie przeklęty.
I ty, mamono, co w skarby ujęta,
Czyny zuchwałe lęgniesz w naszym duchu,
Lub gnuśne łoże wyścielasz mu z puchu,
I ty, wszechbożku złota — bądź przeklęty:
I ty, jagódko, co ściekasz do kości
Życia balsamem... i wam, nieba czary,
Wam przekleństwo: miłości, nadzieje i wiary.
A ponad wszystko tobie, cierpliwości!

*Chór duchów* (niewidzialny).

O! biada ci, biada!
Zburzyłeś piękny świat,
Pod grzmotem pogromczej pięści.
Wstrząsł się, rozpada,
Rumowiskami chrzęści.
Pół-boga ramię go rozdarło!
W chaos, w nicestwa zakątki,
Przenosimy po nim
Gruzy i szczątki!
A co my łez naronim
Nad pięknością, nad umarłą!
O! najmężniejszy
Z synów tej ziemi,
Najpotężniejszy!
Pod pierśmi własnemi
Odbuduj świat.
Niech się przezroczną
Myślą rozpoczną
Nowe tory, nowe pienia
Odrodzenia.

*Mefistofeles.* Słyszysz, rozpaczy synu:
Jak ma dziatwa wesoła
Do czynu,
Do uciech woła?
Jak z tej pieczary,
Gdzie w tobie zastygły soki,
Gdzie zmysły
W zdrętwieniu obwisły,
Wabi na świat szeroki.

Przestań się pieścić bólem — on zawichrza.
To sęp, co twoją syci się wątrobą;
Wśród społeczności (niech będzie najlichsza):
Z ludźmi — poczujesz się człowiekiem, sobą.
Ależ bo... nie idzie za tem,
Abyś się brudem motłochu miał smolić.
Nie jestem ja potentatem;
Ale chciej tylko ze mną się zespolić.
I w zespoleniu biedz po życia glebie,
A poznasz, jak on ofiarny dla ciebie.
Ot, z kopyta, jak tu stoim,
Jestem poplecznikiem twoim;
A nadam się? to niedługo —
Niewolnikiem twym i sługą.

*Faust.* A jaką-ż mam ci odsłużyć zapłatą?
*Mefistofeles.* Dość masz jeszcze czasu na to.
*Faust.* Nie — znam ja się z waszą dziatwą;
Dyabli są to egoiści,
I — za Bóg zapłać, nie zrobią tak łatwo
K' woli cudzemu dobru a korzyści.
Waść niech tu jasno warunki wypowié,
Bo taki sługa, to groza domowi.
*Mefistofeles.* Więc, podejmuję się czynnie i słownie
Tu służyć panu bez przerwy, a szparko,
Lecz skoro tam się spotkamy ponownie,
Pan mi odmierzysz taką samą miarką.
*Faust.* Tamtejszością ja sobie nie zaprzątam głowy;
Kiedy świat zwalisz od szczytu do głębi,
Niech się po nim dźwignie nowy;
Tu rozkosz moja, na ziemskim padole,
Tutejsze słońce oświeca me dole;
Skoro się od nich wyzwolę,
Niech świat się potem w co zechce obróci,
To mię nie strwoży, ani mię zasmuci,
Ani się pytam, czy jeszcze potomnie
Żyć będzie miłość i nienawiść po mnie,
Czy i tamtych sfer jestestwa
Mają swoje padoły i górne królestwa...
*Mefistofeles.* Z takiem pojęciem, staw-że krok ochoczy,
Związmy się. Wkrótce, jeśli zechcieć raczysz,
W tych dniach, z rozkoszą taki harc zobaczysz,
Jakiego ludzkie nie widziały oczy.
*Faust.* Czem ty mnie olśnisz? czem? nędzny dyabełku!
Któryż z was duszę człowieka we zgiełku
Dążeń zrozumiał? o wiem, ty, szatanku,
Masz przysmak, co to nie karmi, a nęci,
Złoto czerwone, co się bez ustanku
W rękach rozpływa i toczy nakształt rtęci,
Grę, w której nikt ci wygranej nie zyska,
Dziewczę, co przy mnie niby przy kochanku,
Moje piersi gorące chwyciwszy,
Już oczętami z sąsiadem się ściska,
Masz sławę, bogów urok najpjeściwszy,
Meteor, co się mignie i rozprasza,
Daj owoców, co gniją przed zdjęciem, a drzewa,
Co się z dnia na dzień w nową zieloność odziewa.
*Mefistofeles.* O! mnie i taki nakaz nie zastrasza,
Ma takie skarby, ma, skarbnica nasza;
Lecz w końcu musi nadejść ta chwila niezłomna,
Gdziebyśmy i z sytości wypocząć pragnęli.
*Faust.* Jeśli kiedy syt legnę w próżniaczej pościeli,
Wtedy zawołam: „stało się — już po mnie“

Jeśli w pochlebstwach zwabione do matni
Prośbę o spokój wyszepczą me usta;
Jeśli krew moją zagasi rozpusta:
Będzie to mój dzień ostatni;
Masz zakład.

*(Feliks Jezierski).*

(Przedmurze. We framudze obraz Matki Boskiej Bolesnej, przed nim dzbanki z kwiatami).

*Małgorzata* (wkłada świeże kwiaty do dzbanków).

Ach, zwróć spojrzenie
Na me cierpienie,
Orędowniczko jedyna!

Z mieczem utkwionym
W sercu skrwawioném,
Patrzysz na śmierć Swego Syna.

Wzrok Twój się wznosi
I Ojca prosi
Westchnieniem pierś Twa matczyna.

Ach, któż wypowié,
Ach, któż wysłowi,
Wszystko, co ja cierpię biedna?
Co się w mojem sercu dzieje,
Co niem miota, czem boleje?
Ty tylko wiesz to, Ty jedna!

Gdziebądź me kroki obrócę,
Smucę się, smucę, smucę,
Okrutna boleść mnie nęka!
Ledwie się sama obaczę,
Płaczę i płaczę i płaczę
Z żałości serce mi pęka.

Doniczki na oknie mojem
Zrosiłam gorzkich łez zdrojem,
Kiedym o rannej dziś dobie
Te kwiatki zrywała Tobie.

Wcześnie dziś jutrzenka biała
Do izby mojej zajrzała,
Ach! mnie ciężar mojej biedy
Dawno już był zbudził wtedy.
O! przez najświętszą mękę Twego Syna!
Zwróć Twe spojrzenie
Na me cierpienie,
Orędowniczko jedyna!

*(Józef Paszkowski).*

(Kościół. — Nabożeństwo żałobne, organy, śpiew. — Małgorzata śród tłumu, za nią Zły duch).

*Zły duch.*

Małgorzato! inaczej to bywało,
Kiedyś przy tym ołtarzu
Stawała jeszcze niewinna,
Ze starej książeczki
Modlitwy szeptała,
Jedną połową duszy w igraszkach,
Drugą — w Bogu zamarzona.
Ach! Małgorzato!
Gdzie teraz głowa twoja?
W sercu twojem
Jakaż zbrodnia?
Czy się modlisz za duszę matki,
Która przez ciebie na długie,
Długie męki zasnęła?
Czyja-to krew na progu twoim?
Czy pod sercem w tobie
Już nie drgnęło nowe życie,
Strasząc ciebie z siebie,
Złowróżebną obecnością.

*Małgorzata.*

O! ja nieszczęśliwa!
Bodajbym się opędzić mogła
Z tych myśli, co zewsząd
Napierają na mnie.

*Chór.*

Dies irae, dies illa [1])
Solvet saeculum in favilla. (Organy)

*Zły duch.*

Ha! zgroza cię zdejmuje,

[1]) Przekład polski tego hymnu łacińskiego jest w t. I, str. 329.

Trąby brzmią,
Wstrząsają się groby,
A serce twoje
Z popiołów śmierci zmartwychwstaje
Na męki ogniste.

*Małgorzata.*

Po com ja tu przyszła?
Zdaje mi się, że te organy
Zdławiły mi oddech;
Że od śpiewu — do dna samego
Rozstąpiło się serce we mnie.

*Chór.*

Judex ergo quum sedebit
Quidquid latet, apparebit,
Nil inultum remanebit.

*Małgorzata.*

Jak mi tu ciasno,
Jak mię duszą
Te kolumny!
Jak te sklepienia
Tłoczą mię — ach!.... powietrza!

*Zły duch.*

Skryj się — ale hańba,
Ale grzech się nie skryje.
Powietrza? światła? Małgorzato,
Biada tobie!

*Chór.*

Quid sum miser tum dicturus?
Quem patronum rogaturus,
Quum sit justus vix securus?

*Zły duch.*

Wybrani oblicza swe
Odwracają od ciebie;
Prawi, w struchleniu,
Ręki podać ci nie śmieją.
Biada!

*Chór.*

Quid sum miser tum dicturus?

*(F. Jezierski).*

## 3. Ifigenia w Taurydzie.

Ifigenia, ocalona przez boginię Artemidę, jest jej kapłanką na Taurydzie, gdzie król panujący Toas pragnie ją pojąć za żonę, chociaż poznał nieszczęśliwe dzieje jej rodziny. Ifigenia odmawia, gdyż nie straciła nadziei powrotu do swoich. Przybywa właśnie brat jej Orestes, ścigany przez furye za zabójstwo matki, ażeby stosownie do źle zrozumianej wyroczni zabrać posąg Artemidy i w ten sposób uwolnić się od jędz piekielnych. Wraz z przyjacielem swym, Piladesem, nie dają się zrazu poznać Ifigenii. Wtem Toas, na ponowioną prośbę o rękę kapłanki otrzymawszy odpowiedź odmowną, rozkazuje, żeby, według dawnego zwyczaju na Taurydzie, dwaj cudzoziemcy zostali zabici na cześć Artemidy. Ifigenia nie chce tego rozkazu usłuchać, zwłaszcza gdy poznaje brata. Postanawiają więc uciec, zabrawszy posąg bogini. Wszystko już jest przygotowane do ucieczki, ale Ifigenia, pomnąc na gościnność, jakiej doznała od Toasa, nie chce odpłacać mu niewdzięcznością i podstępem; postanawia więc odwołać się do szlachetności króla, uzyskać od niego zezwolenie na zabranie posągu Artemidy i odjechanie wraz z bratem do Grecyi. Po usunięciu powikłania, jakie sprowadziło potajemne przygotowanie do ucieczki i harda postawa Orestesa, Toas rozstaje się z żalem wprawdzie, ale i z uczuciem przyjaźni z Ifigenią. — Ostatnią scenę przytaczamy.

*Ifigenia.* Weźcie mi troskę, nim poczniecie mówić.
Nieszczęśliwego lękam się zatargu,
Jeśli, o królu, nie posłuchasz głosu
Sprawiedliwości, a ty zaś, mój bracie,
Jeśli młodzieńczych nie okiełznasz żarów.
*Toas.* Gniew, jak przystało starszemu, powstrzymam.
Daj mi odpowiedź, czemże udowodnisz,
Agamemnona żeś ty właśnie synem,
A tej — tu bratem?

*Orestes.* Oto miecz w mym ręku,
Którym on pobił waleczne pod Trują!
Jego mordercy-m go zabrał, błagając
Bogów niebieskich, ażeby mi dali
Wielkiego króla odwagę i ramię
I jego szczęście. Wybierz ze szlachetnych
Twojego wojska i z nich najlepszego
Staw mi naprzeciw! Jak ziemia szeroka,
Żywiąca dzielne bohaterów syny,
Nie odmówiono dotychczas nikomu
Z pomiędzy obcych podobnego szczęścia.
*Toas.* Stary obyczaj przywileju tego
Żadnemu z obcych tutaj nie użyczył.
*Orestes.* A więc od siebie i odemnie pocznij
Nowy obyczaj! Naśladując, każdy
Lud zwykł przemieniać prawo i uświęcać
Szlachetne czyny swych władców. A niechaj
Nie walczę tylko za naszą tu wolność;
Pozwól, niech obcy biją się za obcych!
Jeżeli padnę, wtedy to ich wyrok
Zapadł wraz z moim; lecz jeżeli szczęście
Da mi zwycięstwo, niechaj tych wybrzeży
Żaden już odtąd nie przestąpi człowiek,
By go nie miało co prędzej przywitać
Pomocne oko miłości, niech każdy
Z tego tu miejsca odchodzi pocieszon.
*Toas.* Wydajesz mi się, o młodzieńcze, godnym
Tych wielkich przodków, którymi się chlubisz.
Mnogą jest liczba tych walecznych mężów
I tych szlachetnych, co mi towarzyszą.
Lecz ja w mym wieku sam stawać przywykłem
Naprzeciw wroga, sam ja gotów jestem
Spróbować z tobą szczęścia swojej broni.
*Ifigenia.* O nigdy! nigdy! tutaj nie potrzeba
Krwawych, o królu, dowodów. Odejmcie
Ręce od mieczów! O, pomyślcie o mnie
I o mej doli. Chyży bój uwiecznia
Męża: niech padnie, a wnet pieśń go sławi.
Lecz łez bezmiernych, łez tych, co zostali,
Łez opuszczonej kobiety nie zliczy
Żadna potomność, i pieśniarze milczą
O tych tysiącach przepłakanych nocy
I dni, co we łzach ubiegły, gdzie dusza,
Próżno się trapiąc, ażeby przywołać
Utraconego druha, co tak prędko
Z nią się rozłączył, sama się pożera...
I mnie od razu upomniała troska,
By mnie oszustwo i podstęp grabieżcy

Nie oderwały od pewnej przystani
I nie oddały w zdradziecką niewolę.
O wszystko-m skrzętnie ich się wypytała,
Pragnęłam zbadać każdą okoliczność,
Żądałam znaków i serce me pewne.
Widzisz tę skazę na jego prawicy,
Jak od trzech gwiazdek: w dniu jego urodzin
Już ją widziano, a kapłan ją ciężkim
Tłómaczył czynem, który miała kiedyś
Pięść jego spełnić. Potem mnie podwójnie
Ten rys przekonał, co nad brwią się znaczy.
Gdy był dziecięciem, Elektra, porywcza
I nieostrożna, z rąk go upuściła
Upadł na trójnóg... On to, on... Czyż jeszcze
Mam podobieństwo z ojcem, mam tę radość
Mojego wnętrza przywołać na świadki?

*Toas.* Choćby twe słowa usunęły wszelką
We mnie wątpliwość, choćbym gniew przytłumił,
Miecze-by jednak musiały rozstrzygnąć
Pomiędzy nami; pokoju nie widzę.
Przyszli aż tutaj, sama to przyznajesz,
By święty obraz bogini stąd uwieźć.
Myślisz, że na to patrzeć mam spokojnie?
Greczyn zbyt często oko pożądliwe
Zwraca ku skarbom barbarzyńców dzikich,
Ku złotym runom, koniom, pięknym córom,
Lecz ich z zdobyczą nie zawsze szczęśliwie
Podstęp i przemoc zawiodły do domu.

*Orestes.* Obraz, o królu, niechaj nas nie waśni.
Teraz poznaję błąd ten, który bóg nam,
Jak przędzę jaką, owinął wokoło
Naszego czoła, każąc iść w te strony.
Jam go o radę prosił, jam go błagał,
By mnie od furyj wyswobodził świty.
A on mi rzecze: „Gdy do ziemi Greków
Napowrót siostrę przywiedziesz, zamkniętą
Wbrew własnej woli nad Taurydy brzegiem
W świętym przybytku, spadnie klątwa z ciebie".
My Apollina mniemaliśmy siostrę,
A on tak mówił o tobie. Surowe
Węzły zerwane i tyś znów, o święta,
Oddana swoim. Dotknąwszy się ciebie,
Jestem uzdrowion; w twojem to objęciu
Po raz ostatni zło mnie pochwyciło
Wszystkiemi szpony swojemi, straszliwie
Mną aż do szpiku wstrząsając, a potem
Jak wąż się kryło w swe piekła. Na nowo
Dzisiaj przez ciebie używam do syta

Światła dziennego. Piękną i wspaniałą
Objawia mi się ta rada bogini.
Jak obraz święty, do którego losy
Miasta na wieki tajemnicze bóstwa
Przykuło słowo, tak nam ona ciebie,
Naszego domu opiekunkę wzięła,
By cię w tej boskiej zachowała ciszy,
Na szczęście bratu, na zbawienie twoim.
Kiedy nie było na dalekim świecie
Snać już żadnego ratunku, ty znowu
Wszystko nam dajesz. Niech się do spokoju
Zwróci twa dusza, o królu, i nie broń,
Aby spełniła oczyszczenie domu,
By w poświęcone wwiodła mnie przybytki,
Na głowę wcisła znów dyadem stary!
Zapłać to szczęście, które ci przyniosła.
Daj, niech bliższego ja używam prawa!
Siłę i podstęp, tę największą chwałę
Mężów, zawstydzi prawda tej niewinnej,
Podniosłej duszy, a czysta, dziecięca
Ufność do męża szlachetnego swoją
Odbierze dzisiaj nagrodę.

*Ifigenia.* O, pomnij
Na twoje słowo, i niech cię poruszy
Potok z tej szczerej, niekłamiącej wargi!
O spojrzyj na nas! Niezawsze takiego
Czynu zacnego zdarza się sposobność.
Odmówić trudno: spełnij zaraz.

*Toas.* Idźcie!

*Ifigenia.* Nie tak, mój królu! bez błogosławieństwa
I wśród niechęci nie pożegnam ciebie.
Nie chciej wyganiać. Niechaj gościnności
Uprzejme prawo z ciebie na nas spłynie:
Wówczas my blizcy, chociaż oddaleni.
Drogim tyś dla mnie tak, jak był mi ojciec,
I to uczucie zostanie w mej duszy.
Jeśli najniższy z twego ludu uszom
Przyniesie moim kiedy dźwięk tej mowy,
Którą przywykłam słyszeć między wami,
Na najuboższym gdy wasz strój zobaczę,
Wtedy go przyjmę tak, jak bóstwo jakie.
I przygotuję posłanie mu sama,
Sama przy ogniu na krześle posadzę,
Pytając tylko o ciebie i los twój.
Bodajby tobie bogowie za czyny
I za łagodność twoją zasłużoną
Dali nagrodę! Żegnaj! Zwróć się ku nam
I pożegnania rzuć uprzejme słowo!

Wtedy łagodniej wiatr rozedmie żagle
I łzy popłyną kojące z źrenicy
Odchodzącego. O, żegnaj i na znak
Starej przyjaźni podaj mi prawicę!
*Toas.* Żegnajcie!

*(Jan Kasprowicz).*

## 4. Herman i Dorota.

Na tle burzliwych wypadków rewolucyi francuskiej umieszcza poeta obraz sielankowy spokojnego pożycia w miasteczku niemieckiem. Herman, syn właściciela oberży, wysłany przez ojca z odzieżą i jadłem dla biednych tułaczów, spotyka Dorotę, która odrazu pozyskuje jego serce. Otrzymawszy zezwolenie rodziców, Herman sprowadza do domu Dorotę niby jako służącą; a gdy wszystkim przypadła do serca, ofiaruje jej swą rękę.

Jako wędrowiec, co długo wpatrywał się w tarczę słoneczną,
Zanim znikła na niebie, dostrzega wszędzie przed wzrokiem
Widmo słońca promienne, czy spojrzy w krzewy cieniste,
Czy na skałę, — jaśnieje mu ono w blasku jaskrawym:
Tak przed wzrokiem Hermana nadobne kształty dziewicy
Żywo i wdzięcznie — stawały, jak gdyby szła miedzą przez pole.
Ale młodzian się otrząsł z widziadeł marnych i zwrócił
Oczy prosto ku wsi, by zdumieć się wkrótce nanowo,
Bo i tutaj zobaczył wyniosłą postać dziewczyny,
Silnie wpatrzył się w nią: nie była to żadna ułuda,
Lecz Dorota wistocie. Kroczyła, niosąc dwa dzbany,
I zmierzała do zdroju. Więc młodzian zastąpił jej drogę,
Ośmieliwszy się wnet, i tak do zdziwionej przemówił:
— Znów was tedy spotykam, panienko, gdy ludziom strapionym
Pomoc nieść pośpieszacie. Lecz czemuż wy jedna po wodę
Aż do zdroju idziecie, gdy inne ją czerpią ze studzien?
Prawda, że przewyborna i pewno niesiecie ją chorej.

Mile witała młodzieńca dziewczyna i rzekła uprzejmie:
— Już nagrodził mi Bóg tę drogę daleką do zdroju,
Gdy zacnego szafarza rozlicznych darów spotykam.
Pójdźcie sami zobaczyć, co litość wasza zdziałała,
I odbierzcie podziękę od tych, co ulgi doznali.
Ale żebyście też świadomi byli, dlaczego
Tu zaczerpnąć przychodzę w naczynie wody krynicznej,
Powiem wam: w naszej wsi ludziska nam wodę zmącili
Nierozważnem pławieniem i koni i bydła przy zdroju,
Który wody dostarcza mieszkańcom; również zbrudzone
Wszystkie we wsi koryta, bo tam znów piorą i płuczą.
Każdy tylko o sobie i o potrzebie najbliższej
Dziś rozmyśla, a nikt nie patrzy następstw późniejszych.

Tak mówiła dziewczyna i zeszła po schodach szerokich
Wraz z towarzyszem; oboje usiedli na zdroju cembrzynie.

Ona z jednym się dzbanem schyliła po wodę, on z drugim.
I ujrzeli swe lica odbite w żwierciedle krynicy.

— Dajcie mi napić się, wesoło rzekł młodzian dziewczynie. —
Ona podała mu dzban. I razem siedząc, poufnie
O tem i owem gwarzyli, aż ona się wreszcie ozwała:
— Skąd-że tędy wam droga wypadła, bez koni, kolasy
I opodal od miejsca, gdziem was po raz pierwszy ujrzała?
Zadumany spoglądał ku ziemi Herman, a potem
Podniósł wzrok i namiętnie nim objął swą towarzyszkę;
Ale nie śmiał jej prawić miłosnych słów, bo jej oko
Tak rozumnie patrzało, że mówić kazało rozumnie.
Więc opamiętał się szybko i rzekł poufale, a cicho:
— Powiem wręcz, bo i na cóż ukrywać? że tu przybyłem,
Aby z sobą was zabrać do domu moich rodziców.
Ja-m jedynak, i skrzętnie w zarządzie im mienia pomagam:
Do mnie pola należą, do ojca dom, a mateczka
Gospodarstwo wewnętrzne ochoczo i z ładem prowadzi.
Ale wiecie zapewne, jak często wiejska czeladka
Zwykła grzeszyć niedbalstwem, jak często zmieniać ją trzeba.
Dawno też matka już pragnęła mieć przy swym boku
Kogoś, coby ją mógł wyręczyć, jak córka rodzona,
Pomagając nietylko ramieniem, lecz myślą i sercem.
Otóż kiedym was dziś na drodze ujrzał tak żwawą,
Kiedym słowa z ust waszych usłyszał rozumne i zacne,
Tom obojgu rodzicom zachwalił was według zasługi
I przychodzę zaprosić... wybaczcie mowę jąkliwą.
— Nie wstrzymujcie się, rzekła dziewczyna, mówcie mi wszystko,
Nie obrażę się wcale, i owszem — wdzięczna wam jestem.
Więc rodzice mię wasi do służby zgodzić-by radzi,
Licząc na to, żem jest zabiegła i niezbyt prostacza.
Krótkie to bardzo żądanie i krótka też moja odpowiedź.
Chętnie pójdę za wami, gdzie głos przeznaczenia mnie woła,
Bom zrobiła już swoje; przywiozłam chorą do wioski,
Gdzie znalazła rodzinę. I inni już się zebrali,
Marząc o rychłym powrocie, jak zwykle biedni wygnańcy.
Lecz co do mnie, zaprawdę, nie łudzę się taką nadzieją,
Wiem, że po smutnych dniach smutniejsze jeszcze nastąpią;
Bo rozprzęgły się więzy społeczeństw i nic ich nie spoi,
Chyba wspólna i ciężka niedola, która nas czeka.
Jeśli w domu poczciwym dziś znaleść mogę przytułek,
Pod kierunkiem szanownej niewiasty, przyjmę go rada;
Zawszeć dziewczę tułacze, samotne, wątpliwej jest sławy.
A więc idę za wami; pozwólcie tylko te dzbany
Odnieść do wsi i tam pożegnać moich przyjaciół.
Zobaczycie ich także; niech oni mnie wam oddadzą.

Młodzian słuchał z radością roztropnej mowy dziewczęcia,
Sam nie wiedząc, czy wyznać jej wszystko, czy też zamilczeć.

Ale uznał za lepsze zostawić ją w błędzie chwilowo,
Póki w domu rodziców miłości jej nie pozyska.
Zresztą trwożyła go także obrączka na palcu dziewczyny:
Więc nic nie rzekł i tylko skwapliwie słowa jej chwytał.

. . . . . .

Lecz gdy pleban na rękę dziewczyny obrączkę chciał włożyć,
Ujrzał na palcu tę samą, którą z frasunkiem
Herman dostrzegł przy studni, i rzekł półżartem te słowa:
— Jakto, więc po raz wtóry zaręczasz się? Byle ten pierwszy
Nie wystąpił z protestem, gdy staniesz przy ślubnym ołtarzu.

Na to rzecze dziewczyna: Pozwólcie mi, niech tej pamiątce
Chwilkę jednę poświęcę! Zasłużył na to zaiste
Ten, co ów pierścień mi dał i nie powrócił z obczyzny.
On przewidział to wszystko, gdy miłość go wrząca swobody
I pragnienie udziału w dążnościach nowych i czynach
Do Paryża powiodły, gdzie śmierć go spotkała przedwczesna.
„Bądź szczęśliwą, rzekł wtedy. Ja idę, bo wszystko na ziemi
Teraz się burzy i wre i wszystko dąży do zmiany.
Starych państw podwaliny oddawna w posadach wstrząśnione,
Z właścicielem się własność, rodzice z dziećmi, brat z bratem,
Z przyjacielem przyjaciel, kochanek z kochanką rozstają.
Więc i ciebie żegnam, a kiedy i gdzie się spotkamy,
Któż przewidzi? Rozmowa to może ostatnia już z tobą.
Słusznie mówią, że człowiek jest tylko pielgrzymem na świecie,
A w tej chwili jest obcym u siebie nawet. Ta ziemia
Nie należy już do nas, ni mienie nasze rodzinne;
Grzmi dokoła i huczy, jak gdyby świat się z chaosu
Miał wyłonić nanowo i w inne oblec się kształty.
Ty zachowaj mi serce, i obyśmy kiedyś się zeszli,
Odnowieni duchowo, pod swobód zdobytych sztandarem.
Lecz gdy Bóg da inaczej, to obraz mój piastuj w pamięci,
Abyś dobre i złe zarówno znosiła z odwagą.
Jeśli nowy cię los i nowy związek pociągnie,
Przyjm go wdzięcznie, pokochaj, co godne czystej miłości
Ale z lekka już tylko, ostrożnie stopą dotykaj
Gruntu, bo co posiędziesz, utracić możesz powtórnie".
Tak mi mówił z rozwagą, i już nie ujrzałam go potem.
Wszystko-m później straciła i tysiąckrotnie myślałam
O życzliwej przestrodze. I teraz, kiedy tak błogo
Świt miłości przedemną jaśnieje jutrzenką nadziei,
Słowa te tkwią mi w pamięci. O, daruj, luby, że nawet
Dłoń twą w dłoni trzymając, drżę jeszcze. Tak rozbitkowi
Ląd się stały pod nogą niepewnym i chwiejnym wydaje.
Tak prawiła dziewczyna, obrączkę na palec wkładając,
Ale z męską jej na to czułością rzekł narzeczony:
— Tem silniejszym niech będzie nasz związek. Śród wstrząśnień ogólnych
Stójmy mężnie przy sobie i przy tem wszystkiem, co nasze;

Bo kto w czasach niepewnych niepewno myśli i działa.
Ten pomnaża złą dolę i szerzej ją tylko roznosi;
Lecz kto stałą się wolą kieruje, ten świat sobie tworzy.
Nie przystoi nam dziś na fale przewrotu się ważyć;
To, co nasze, trzymajmy, bo chwała narodom, co dzielnie
Bronią Boga i prawa, rodziców, żon swych i dzieci.
Tyś jest moją; więc pragnę posiadać teraz, co moje,
Bez frasunku i trosk. A jeśli dziś, albo kiedyś
Wróg napadnie nasz kraj, to sama podasz mi oręż.
Wiedząc, że pieczą troskliwą otaczasz dom i rodziców,
Chętnie piersi nadstawię w obronie świętej nam sprawy.
Gdyby każdy tak myślał, to siła odparłaby siłę
I cieszyłyby nas owoce błogiego pokoju.

*(Ludwik Jenike).*

## 5. Uczeń czarnoksiężnika.

Poszedł przecie mistrz mój stary...
Dawno miałem już ochotę,
Żeby zrobić jakie czary,
Jego duchom dać robotę.
Znam ja jego cuda,
Słowa i zwyczaje,
Przeto mi się zdaje,
Że i mnie się uda.
Dalej! dalej!
Żywo, skoro!
Wody sporo!
Kąpiel nalej.
Do zamiaru w tej godzinie
Niech mi tutaj woda spłynie.
Teraz z kąta, mój ożogu,
Odziej mi się tym susfałem,
Dawno służysz przy tym progu,
Teraz panem ja zostałem;
Słuchaj, co chce pan!
Miej dwie nogi zdrowe,
A na wierzchu głowę,
A na głowie dzban.
Dalej! dalej!
Żywo, skoro,
Wody sporo!
Kąpiel nalej.
Do zamiaru, w tej godzinie!
Niech mi tutaj woda spłynie.

Otóż jużci jest u brzegu,
Jako strzała w rzekę wpada,
Jako piorun szybki w biegu,
Przyniósł wody dzban nie lada.
Raz drugi i trzeci
Odwrócił się tuż!
Odleci, przyleci,
Pełno wody już
Ale dosyć,
Dosyć tego!
I do czego
Tyle nosić?
Otóż znowu? co za głowa!
Wszak ja zapomniałem słowa.

On posłuszny temu słowu,
Czem był dawniej, ma być znowu!
Znowu niesie, znowu leje...
Co tu począć? Oszaleję!
Co chwila przybywa;
Tu już wody stek,
I zewsząd napływa
Jakby ze stu rzek.
Dłużej czekać
Nic nie nada,
Trzeba siekać,
To jest zdrada.
Coraz więcej strach mię tłoczy,
Co za mina, co za oczy!
O przeklęty, dyable stary!
Wszak ja jestem jak w powodzi,
Niema temu końca, miary,
Woda progi już przechodzi!

Drągu niegodziwy!
Pójdziesz przecie stąd?
Słuchaj, pókiś żywy,
Wróć mi zaraz w kąt!
Będzież tedy
Koniec kiedy?
Jak cię schwytam
I przywitam,
Hajdamako! w sztuki setne,
Jako wiecheć szablą zetnę,
Otóż znowu! już się wlecze,
I z usługą swoją djablą,
Czas już po łbie zmierzyć szablą,
Niech mu z wodą jucha ciecze,
Tęgo! wyśmienicie!
Otóż z niego dwóch!
Teraz czuję życie,
Wstąpił we mnie duch.
Boże drogi!
Co ja robię?
Części obie
Mają nogi,
Co za wielkie, straszne gbury,
Rosną i rosną do góry!
Więc nowego draby kształtu
Coraz więcej niosą wody;
Już zalane ganki, schody,
Panie mistrzu! ratuj! gwałtu!
Przyszedł. — Jak się bałem!
Pomóż łaską twą!
Duchy wywołałem,
Ani odejść chcą.
— Hej, ożogu,
W dawną postać
Przy tym progu
W kącie zostać,
Aże znowu w swej potrzebie,
Mistrz twój stary wezwie ciebie.

*(K. Brodziński).*

## 6. Zmienność.

W kąpieli tu do mnie jak wdzięcznie tam zdala
Wyciąga ramiona srebrząca się fala,
I igra koło mnie błyszcząca jak tęcza;
Lecz wiatr ją popycha, nurt rzeki porywa.
Ucieka ode mnie — lecz druga nadpływa...
Tak mija i wraca serc rozkosz młodzieńcza.

A jednak marnujesz, niebaczny, żałosny.
Pierzchliwe godziny promiennej twej wiosny.
Że płocho cię rzuci kochana wietrznica;
Poczekaj! szczęśliwe nadpłyną znów chwile,
Poigra się z drugą tak słodko i mile,
Jakgdyby to pierwsza dopiero dziewica.

*(J. B. Zaleski).*

Z tłómaczeń utworów Goethego wymieniamy najważniejsze: »Cierpienia młodego Werthera« przez K. Brodzińskiego (1822, drugie wyd. 1880); »Powinowactwa z wyboru« przez M. Ilnicką (1866); »Wilhelm Meister« przez P. Chmielowskiego (1893); »Faust« tłómaczony był pięciokrotnie już to jako całość, już to jako część I-sza: oto nazwiska tłómaczy: Alfons Walicki (1844), Aleksander Krajewski (1857), Feliks Jezierski (1881), Józef Paszkowski (1881), Ludwik Jenike (1887); prócz tego liczne są przekłady poszczególnych cząstek. »Hermana i Dorotę« przełożyli: Antoni Czajkowski (1845), Ludwik Jenike (1872); »Ifigenię w Taurydzie« tłómaczyli: L. Jenike (1863), Marya z Neyów Kurtzmanowa (1880), Jan Kasprowicz (1894); »Pieśni i ballady« dał w tłómaczeniu Adam Gorczyński (1851); »Poezye wybrane« Hugo Zathey (1879); wreszcie »Wybór poezyj« (liryki, ballady, Hermana i Dorotę, Reineke-Lisa, Ifigenię, Egmonta, Torquata Tassa) ogłosił L. Jenike (1891).

# XIX. Fryderyk Schiller.

## 1. Marya Stuart.

Na tle stosunków politycznych Anglii i Szkocyi rozwija poeta dzieje zawiści Elżbiety, królowej angielskiej, srogiej i obłudnej, względem Maryi, królowej szkockiej, mającej prawo do tronu angielskiego, pięknej, młodej, pełnej uroku, który rzuca w dramacie na Leicestera (Lestera) i Mortimera. Ale ta właśnie miłość zacieśnia tylko bardziej więzy, w których się znajduje Marya i przyśpiesza tragiczne rozwiązanie. Punktem zwrotnym w rozwoju akcyi jest spotkanie się Maryi i Elżbiety. Marya łudziła się, że tylko źli ludzie obmówili ją przed siostrą, i że prośbą, ukorzeniem się potrafi sobie miłość jej zaskarbić. Myli się w tym względzie okropnie. — Dotknięta do żywego bezlitośnem szyderstwem dumnej Elżbiety, wybucha i Marya gwałtownem oburzeniem. Co miało pomódz do wybawienia, staje się rozstrzygnięciem zguby Maryi. Wtedy królowa szkocka, przekonawszy się o nieuchronności swej śmierci, otrząsa się z wszelkich słabostek ludzkich i dobrowolnie prawie przyjmuje zgon, jako karę nie za to, o co ją obwinia Elżbieta (tj. spisek katolicki przeciw Anglii), lecz za swe grzechy poprzednie; idzie na śmierć podniesiona duchowo w takie wyżyny, na których cześć ją tylko spotkać może. Elżbieta do końca gra rolę obłudną sprawiedliwej królowej, której wolę zbyt gorliwi urzędnicy wypaczają. Karą jej w dramacie jest oddalenie się ukochanego przez nią Leicestera do Francyi. Sceny, które przytaczamy, malują uszlachetnienie i uduchowienie bohaterki.

### Akt IV, scena 6.

Marya w białej galowej sukni, na szyi nosi na łańcuchu z drobnych kulek Agnus Dei. Różaniec przy przepasce, krzyż w ręku, we włosach dyadem, zasłona czarna na ramię zarzucona. Za jej wejściem obecni ustępują i po dwóch stronach stają w bliskości najwyższej. Melwil mimowolnie pada na kolana.

*Marya* (z godnością, spokojnie spoglądając wokoło).

Po co te żale, po co wasze płacze?
Cieszcie się ze mną, że wkrótce zobaczę
Koniec mych cierpień, że kajdany złożę,
Że wrota mego więzienia otworzę;
Że duch radosny na skrzydłach anioła
Wzleci do wiecznej wolności kościoła!
Gdy mię w moc moją dostał wróg niezłomny,
Gdy cierpieniami dręczył moje ciało
Na wielką, wolną królowę niepomny:
Wówczas nademną płakać należało.
Dziś przyjaciółka przyjdzie niekłamliwa,
Śmierć dobroczynna, los gojąca sprzeczny.
Czarnem swem skrzydłem obelgi zakrywa;
Nizko spadłego człowieka odziéwa
W nową szlachetność przez kres ostateczny.

(O kilka kroków naprzód posuwając się).

Ty tu, Melwilu? Wstań, nie zniżaj głowy!
Przychodzisz widzieć tryumf twej królowéj,
A nie wylewać na pogrzebie żale.
Mnie los szczęśliwy dostał się w udziale
I przeszedł wszelkie moje spodziewanie:
Teraz pozgonna sława nie zostanie
Wyłącznym moich nieprzyjaciół spadkiem:
Przyjaciel wierny, wyznawca mej wiary.

W ostatniej chwili będzie moim świadkiem.
— Jakież cię losy spotkały, rycerzu,
Na tem niewdzięcznem złowrogiem wybrzeżu
Od smutnej chwili naszego rozdziału?
Mnie los twój, panie, bolał nie pomału!

*Melwil.* Nic mi nie brakło, lecz ból musiał krwawić,
Żeś ty cierpiała — jam cię nie mógł zbawić.

*Marya.* Gdzie stary sługa mój Didier przebywa?
Ale on pewnie snem wiecznym spoczywa,
Starość podeszła musiała go strawić.

*Melwil.* Tej łaski, pani, Bóg mu nie zgotował —
Żyje, ażeby młodość twą pochował.

*Marya.* O, gdyby szczęście mogło mi zabłysnąć
Przed śmiercią, krewnych, kochanych uścisnąć!
Lecz ja umierać muszę w obcym świecie,
Wy tylko jedni nademną płaczecie!
Melwil, ostatnie słowa z tego świata
Dla moich — wiernej piersi twej zostawię.
Chrześcijańskiego króla, mego brata,
I dom królewski Francyi błogosławię,
I błogosławię kardynała Giza
I szlachetnego krewnego Henryka.
Błogosławieństwo moje dla papieża,
Bożego tu na ziemi namiestnika,
Który mi wzajem przysyła znak krzyża.
Katolickiego króla błogosławię,
Jego, co raczył tak szlachetnie, święcie
Powstać jak mściciel, zbawca w mojej sprawie.
Oni są wszyscy w moim testamencie —
I mam nadzieję — że chociaż ubogi
Dar mego serca — dla nich będzie drogi.
(Obracając się do sług swoich):
Was, wierni, bratu mojemu polecę,
Francyi królowi; on w swojej opiece,
Ulży nieszczęścia przetrwane tak długo,
Na swojej ziemi da ojczyznę drugą.
A jeśli drogi wam głos mojej woli:
Opuśćcie Anglię w jak najprędszym czasie,
Niech nad widokiem groźny waszej doli
Brytańczyk serca dumnego nie pasie;
Niech nie obaczy w prochu ani chwili
Tych, co mi wiernie do grobu służyli,
Na krzyż ten pański złóżcie mi przysięgę:
Że opłakaną ziemię opuścicie,
Skoro z mem ciałem rozstanie się życie!

*Melwil* (dotykając krzyża).
W imieniu wszystkich składam ci przysięgę.

*Marya.* Biedna złupiona, to bogactw niewiele,

Nad którem prawo zostawić mi muszą —
Całą tę własność między was rozdzielę.
Sądzę, że woli mojej nie naruszą.
I te, co dzisiaj zdobią mię, pokrycia
Do was należą. Pozwólcie królowéj!
Niech ją odzieje jeszcze blask światowy
Dziś na jej drodze do wiecznego życia.
(Do panien służebnych).
Wam niechaj perły i suknie me służą;
W waszej młodości stroje są zabawą.
Ty, Małgorzato, masz najbliższe prawo
Do moich darów, bo między wszystkiemi
Najnieszczęśliwszą rzucam cię na ziemi.
Że w tobie winy małżonka nie karzę,
To moja wola ostatnia pokaże.
Ty, wierna Anno — u ciebie nic w cenie,
Ni drogie złoto, ni świetne kamienie.
U ciebie zawsze była — wiem ja o tem —
Moja pamiątka najwyższym klejnotem.
Ty weźmiesz chustkę — w smutnych chwil żałobie
Tę chustkę sama obszywałam tobie
I między rąbki łzy wplatałam rzewne.
Tą chustką dzisiaj zawiążesz mi oczy,
Jak tylko chwila śmierci mnie zaskoczy —
Niech mojej Annie będę winna dzięki
Za tę ostatnią posługę z jej ręki.

*Kennedy.* Melwilu, takiej nie przeniosę męki!

*Marya.* Chodźcie tu wszyscy! przybliżcie się do mnie.
Przyjmcie ostatnie moje pożegnanie.

(Podaje rękę swoją. Wszyscy jeden po drugim padają do nóg i całują rękę wśród głośnego płaczu).

Żyj, Małgorzato, Alicyo, wiek długi!
Dzięki, Burgoynie, za wierne usługi!
Twoje, Gertrudo, usta ogień pali —
Wiele od ludzi miałam nienawiści
Ale i wiele ludzie mię kochali.
Niech twoje szczęście mąż szlachetny ziści!
Bo to gorące serce w twojem łonie
Godne jest jaśnieć w miłości koronie.
Twoja zaś, Berto, zbawienniejsza droga;
Chcesz zostać czystą, narzeczoną Boga.
O, śpiesz co prędzej, wykonaj ślub święty;
Zwodne są świata ziemskiego ponęty;
Patrz, jaki dotknął los twoją królowę!
Nie więcej teraz! Bywajcie mi zdrowe,
Bywajcie zdrowi, żegnam was na wieki!

(Odwraca się szybko od nich, wszyscy odchodzą prócz Melwila).

Scena siódma. — Marya, Melwil.

*Marya.* Już na tej ziemi nic mi nie zostaje,
Przynajmniej dłużną nie jestem nikomu.
Jedno mię ciśnie i duszy nie daje
Wznieść się radośnie do wieczności domu.
*Melwil.* Powiedz, niech twoje serce się uśmierzy,
Przyjacielowi ciężar swój powierzy!
*Marya.* Oto, Melwilu, zstępuję do grobu;
Wkrótce mię sędzia najwyższy powoła,
A nie mam Boga przeblagać sposobu,
Nie mam kapłana mojego Kościoła.
Ciała pańskiego w świętym sakramencie
Przyjąć z rąk księży fałszywych nie mogę.
Wiary mych ojców chcę dochować święcie,
Bo ona jedna ma zbawienia drogę.
*Melwil.* Uspokój serce! Bóg zarówno ceni
Chęci pobożne, jak czyn dokonany.
Tyran ci ręce może kuć w kajdany,
Pobożność serca k'niemu się promieni
Słowo jest martwe, wiara się nie zmieni.
*Marya.* Melwilu, serce nie wystarcza sobie:
Ziemska rękojmia wyższej żąda wiary;
Bóg się ukazał w człowieczej osobie
I niewidome, boże swoje dary
Zamknął tajemnie w widomym sposobie.
Kościół sam jeden święty, niezrównany,
Nam grzesznym szczeble buduje do nieba;
Kościół powszechny katolickim zwany,
Bo wiary wszystkich wierzącemu trzeba.
Gdzie tysiąc ludzi korne niesie modły,
Tam iskra w płomień jasny się zamienia;
Duch uskrzydlony leci w kraj zbawienia.
O, jak szczęśliwi, których zbiera zgodnie
Wspólna modlitwa do pańskiej świątnicy!
Stroi się ołtarz, błyszczą się pochodnie,
Dzwon bije, wonie płyną z kadzielnicy;
Biskup w ornacie staje nieskalanym,
Podnosi kielich i krzyżem prawicy
Cud przemienienia ogłasza zebranym.
Przed obecnością niebieskiego pana
Lud wierny korne ugina kolana.
Mnie tylka samą, ach mnie tylko samą
Szczęście wybranych nawiedzić nie może!
Do mnie nieszczęsnej tą więzienia bramą
Błogosławieństwo nie wciśnie się boże.
*Melwil.* Wciśnie się, wciśnie! ufaj Wszechmocnemu!
W wierzącej ręce sucha laska drzewa
Puszcza latorośl, liściami powiewa.

Ten, co mógł źródło ze skały wytoczyć,
Może na ołtarz przemienić więzienie —
Tego kielicha ziemskie pożywienie
Nagle w niebiański pokarm przeistoczyć.
(Porywa kielich stojący na stole).

*Marya.* Czy cię rozumiem? Tak, rozumiem Ciebie,
Nie ma kapłana, nie ma tu kościoła;
Ale powiedział Zbawiciel tam w niebie:
Że gdy dwóch w imię moje się powoła,
Ja wtenczas trzeci wejdę do ich koła;
Bo czyste serce nieskalane chęci
Sprawiają księdza boże posłannictwo.
Choć nieświęcony, zastąp mi kapłana.
Bądź posłem bożym, zwiastunem pociechy!
Ja ci ostatnie wyspowiadam grzechy,
Ty przebaczenie przyniesiesz od Pana.

*Melwil.* Gdy tak potężnie serce twoje woła,
Wiedz, że cud sprawi jedno boże słowo!
Niema kapłana, niema tu kościoła,
Ciała Pańskiego — powiadasz, królowo?
Mylisz się, mylisz! Kapłan jest przed tobą
I Bóg obecny troistą osobą.

(Obnaża głowę na te słowa, a zarazem pokazuje jej hostyę w złoconym kielichu).

Jestem kapłanem! wysłuchać twe grzechy,
W godzinie śmierci nieść słowo pociechy:
Wziąłem na głowę siedm namaszczeń krzyża —
I w tem naczyniu do więziennej strzechy
Niosę święconą hostyę od papieża.

*Marya.* Ach, maż mię nowem szczęściem Pan niebieski
Darzyć na wchodzie do grobowej deski!
W złotym obłoczku skrzydłami jasnemi
Duch nieśmiertelny przyleciał do ziemi,
Jak niegdyś ręka Pańskiego anioła
Zerwała twarde więzy apostoła.
W jego pochodzie nie stawiały tamy
Ni rygle więzień, ni zbrojni strażnicy —
Przeszedł potężny przez zamknięte bramy
I stanął jasny, promienny w ciemnicy —
Tak dziś mię z nieba posłannik ocenił,
Gdy ziemski zbawca zawiódł i porzucił.
A ty, mój sługo, dzisiaj jesteś Pana
Wyższego sługą i jego osobą —
Jakeś przedemną giął niegdyś kolana,
Tak ja dziś w prochu upadam przed tobą.
(Klęka przed nim).

*Melwil* (robiąc nad nią znak krzyża).
W imię Ojca i Syna i Świętego Ducha!

Powiedz, Maryo królowo, czy w sercu twem skrucha?
Czy przyrzekasz, przysięgasz przed Boga obliczem
Szczerej twojej spowiedzi nie zatajać w niczem?
*Marya.* Serce moje otwarte przed Nim i przed tobą.
*Melwil.* Na jakąż winę grzeszna zawiodła cię droga,
Odkąd po raz ostatni przebłagałaś Boga?
*Marya.* W zazdrosnej nienawiści śmiałam serce chować,
Mściwej złości w mem łonie grzmiała nawałnica.
Boskiego zmiłowania czekałam grzesznica,
Mojej nieprzyjaciółce nie mogłam darować.
*Melwil.* Czy żałujesz za grzechy, czy masz dosyć siły
Pojednana z tym światem wstąpić do mogiły?
*Marya.* Jak pragnę, by mi niebo dało przebaczenie!
*Melwil.* O jakąż jeszcze winę skarży cię sumienie?
*Marya.* Ach! nie sama nienawiść — miłość jeszcze płocha
Do przyszłej szczęśliwości ciężką tamę kładnie.
Próżne serce — człowieka śmiertelnego kocha,
Człowieka, co mię rzucił i oszukał zdradnie.
*Melwil.* Czy żałujesz za winę, od bożyszcza ziemi
Czyś się wzniosła do Boga myślami wszystkiemi?
*Marya.* Najzaciętsza to walka, co cisnęła duszę —
Ale oto ostatni węzeł ziemski kruszę.
*Melwil.* Jakimże jeszcze grzechem obraziłaś Pana?
*Marya.* Młodości krwawa wina, dawno spowiadana,
Budzi się w łonie nowym przestrachem odziana —
I w chwili, gdy ostatni rachunek zdać trzeba,
Czarnym kirem przed bramą roztacza się nieba.
Na króla męża mego wysłałam morderce,
Zwodzicielowi rękę oddałam i serce —
Odprawiłam surowe pokuty kościoła,
Ale węża w mej piersi nie uśpić nie zdoła.
*Melwil.* Nie ciężą na twem sercu inne przewinienia,
Za które nie odbyłaś spowiedzi i kary?
*Marya.* Poznałeś cały ciężar mojego sumienia.
*Melwil.* Pomnij na Boga, który zna wszystkie zamiary,
Na wyroki surowe świętego ołtarza,
Co piekłem świętokradzkiej spowiedzi zagraża!
Podobna wina śmierci wiekuistej wola,
Bo ona wbrew przeciwna duchowi kościoła.
*Marya.* Tak mi, Boże, daj tryumf ostatniej godziny,
Jak ja ci dobrowolnie nie zakryłam winy.
*Melwil.* Przed Bogiem twoim zbrodnię zatajasz zuchwale,
Za którą ludzkich sądów ulegniesz dziś karze?
Nic mi o twoim krwawym nie mówisz udziale
W Babingtona, Purrego występnym zamiarze?
Za ten czyn zniesiesz śmierci doczesnej katusze,
Chceszże jeszcze śmierć wieczną ściągnąć na swą duszę?
*Marya.* Gotowa jestem wstąpić do wieczności łona.

Nim skazówka minutna obiegnie dokoła,
Już mię sędzia niebieski przed tron swój powoła;
Ale powtarzam, spowiedź moja dopełniona.

*Melwil.* Rozważ dobrze, oszustem jest serce człowieka,
Może chytra dwuznaczność dotykalne słowa,
Co winę mogły znaczyć, obiegła zdaleka,
A w chęci twej leżała zbrodnia już gotowa?
Znaj dobrze, że kuglarstwo nigdy nie ułudzi
Oka, co swem płomieniem patrzy w serca ludzi.

*Marya.* Wzywałam wszystkich królów panujących głowy,
Żeby moje niegodne stargali okowy;
Ale nigdy zamysłem, albo czynem skrycie
Na mej nieprzyjaciółki nie godziłam życie.

*Melwil.* Więc przez twoich pisarzów oszukani sędzie?

*Marya.* Jak mówiłam, tak było, Bóg ich sądzić będzie.

*Melwil.* Więc w duszy niewinności mając przekonanie,
Musisz dzisiaj na śmierci wstąpić rusztowanie?

*Marya.* Śmiercią niezasłużoną Bóg mi łaskę zsyła,
Żebym lat młodocianych winy okupiła.

*Melwil* (błogosławiąc ją krzyżem).
Niech więc śmierć za dawniejsze winy będzie karą!
Upadnij na ołtarzu, pokorna ofiaro.
Krew wylana odkupi krwi grzesznej zapędy,
Bo w słabości kobiecej były twoje błędy.
Ułomność w ciele naszem śmiertelnem i kruchem,
W jasny kraj odkupienia nie pójdzie za duchem.
Ja z mocy użyczonej od rąk Namiestnika,
Co związać i rozwiązać może czyn grzesznika,
Oznajmiam tobie wszystkich grzechów odpuszczenie,
Jak wierzysz, takiej wiary otrzymasz spełnienie.
(Podaje jej hostyę).
Pożywaj, oto ciało za ciebie oddane!

(Bierze kielich, poświęca go cichą modlitwą, potem go królowej podaje. Ta się waha i ręką chce go oddalić).

Pożywaj! to krwi krople za ciebie wylane!
Pożywaj! Ojciec święty w łaskawym swym darze
Na progu śmierci, królów najwyższego prawa,
Prawa świętych kapłanów używać ci każe.
(Marya pije z kielicha wino).
Jak teraz w ziemskiem ciele z łaski Zbawiciela
Łączysz się z twoim Bogiem w sposób tajemniczy,
Tak i potem w krainie wiecznego wesela —
Gdzie już grzechów nie będzie, ani łez goryczy —
Czysty anioł w promienie uwieńczony złote,
Na wieki wieków z Bogiem zlejesz twą istotę!

(Stawia kielich. Na szmer usłyszany nakrywa głowę i idzie do drzwi. Marya w cichej pobożności zostaje na kolanach. Melwil wracając mówi dalej):

Masz jeszcze ciężką walkę do przebycia —
Czyli zwyciężysz poruszenia twoje,
Wszelką nienawiść, wszelką gorycz życia?

*Marya.* Już się żadnego upadku nie boję,
Bogu oddałam na win przebłaganie
Moją nienawiść i moje kochanie.

*Melwil.* Więc się przygotuj przyjąć — bo w tej chwili
Lester i Burlej do ciebie przybyli.

Pożegnawszy się z obecnymi i kazawszy zanieść siostrzane pozdrowienie Elżbiecie, za przybyciem szeryfa z białą laską w ręku, mającego prowadzić ją na śmierć, ma wyjść, gdy jej oko spotyka się z okiem Lestera. Marya drży, chwieje się i ma upaść, gdy wtem Lester chwyta ją w swoje ramiona. Królowa długo nań patrzy w milczeniu; on nie może wzroku jej wytrzymać; wreszcie Marya mówi:

Dopełniasz, hrabio, twego przyrzeczenia —
Miałeś mię wywieść ręką swą z więzienia,
I oto rękę podajesz usłużną!

Zatrzymuje się, jakby siły straciła, potem mówi dalej głosem łagodnym:

Tak jest, Lesterze, nie tylko ja tobie
Za samą wolność chciałam zostać dłużną.
Miałeś uczynić jeszcze mej osobie
Tę wolność droższą. Dłonią twą wiedziona,
Twoją miłością ja uszczęśliwiona,
Nowego życia miałam zacząć drogę.
Dzisiaj tak blizka mojego pogrzebu,
Gdy świat opuszczam, nadzieję mieć mogę
Jak duch wybrany unieść się ku niebu;
Duch, co się ziemskiej skłonności nie boi —
Dzisiaj mi wolno bez zarumienienia
Mówić, Lesterze, o miłości mojéj —
Bądź zdrów — a jeśli możesz — bądź szczęśliwym!
Mogłeś królowych dwóch serca posiadać,
Wzgardziłeś sercem kochającem, tkliwem,
Zdradziłeś nawet, żeby dumnem władać.
Idź, hrabio! do nóg upadnij Elżbiecie;
Bogdaj nagroda karą ci nie była...
Bywajcie zdrowi — jużem na tym świecie
Wszystko skończyła.

Odchodzi. Szeryf ją poprzedza; przy jej boku Melwil i piastunka. Za nią oddalają się Burlej i Paulet. Inni z płaczem poglądają za nią, póki zupełnie nie znika — potem odchodzą przez inne drzwi).

*(Michał Budzyński).*

## 2. Graf Habsburg.

W Akwisgranie, w zamkowych komnatach
Namaszczalna cesarska biesiada.
Cesarz Rudolf, w obrzędnych swych szatach,
Tron wzniesiony u stołu zasiada.
Falcgraf reński na złocie mu kraje,
Puhar z winem król czeski podaje;
Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,
Jak wkrąg słońca chód planet niebieskich,
W złotych mitrach, w purpurach królewskich,
Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedzińców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk, jak grom nieprzerwany,
Okrzyk tłumów skupionych na placu
Bije echem o okna i ściany:
Bo przeminął czas klęsk i swawoli,
Pychy możnych, a ludu niewoli,
Pan i sędzia jest znowu na ziemi.
Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny,
Nie drży słaby, zaufał spokojny,
Że jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puhar do góry wzniósł złoty,
I powłócząc wkrąg okiem radości:
„Nic tu nie brak do naszej ochoty,
Wpośród takich i uczty i gości.
Lecz nie widzę śpiewaka, minstrela;
Pieśń natchniona jest duszą wesela,
I duch wyższy na serce z niej wionie:
Cześć mą dla niej wyssałem już z mlekiem,
A com czuł, będąc prostym człowiekiem,
Czuć i uczcić potrafię na tronie!“

Ledwie skończył, z za tłumu rycerzy
Wyszedł mąż, z białym włosem na skroni,
W długiej, nakształt zakonnej odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
„W strunach arfy jest cały świat ducha,
W miarę tego, kto śpiewa, kto słucha,
Jak pieśń wieszczą pojmuje, lub stwarza:
Wiem, co duszę podnosi i krzepi,
Lecz ty, panie, sam powiedz najlepiéj,
Co jest godne słuchacza — cesarza?“

Na to cesarz z łagodnem wejrzeniem:
„O, na taką się pychę nie ważę!
Wyższy pan rządzi wieszcza natchnieniem,
Co mu samo i cel swój pokaże.

Bo jak wicher na morskim rozlewie,
Skąd i dokąd ma zawiać, nikt nie wie,
Jako woda z swych źródeł podziemnych:
Tak pieśń wieszcza wynika mu z duszy,
Aż ją porwie za sobą i wzruszy
Czucia śpiące w jej głębiach tajemnych".

Z oczu starca jak światło wypadło
I strun dźwięki zmieszały się z słowy:
„Przez szwajcarską dolinę zapadłą
Możny graf jechał konno na łowy.
Dzielny koń niecierpliwym poskokiem
Sadził wczwał ponad wzdętym potokiem
Na dźwięk trąbki już grzmiącej śród boru.
Wtem głos dzwonka się rozlał rozłogiem:
Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,
Poprzedzany przez chłopię od chóru.

Rycerz z wiarą i czcią chrześciańską
Skoczył z konia i ugiął kolano,
Wielbiąc ciało i świętą krew Pańską,
Dla zbawienia naszego wylaną.
Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia
Zrzucał obuw' i wierzchnie odzienia,
By wbród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi.
Bo most woda zerwała przed dobą,
A tam grzesznik, złożony chorobą,
Czekał jego ostatniej posługi.

A wtem rycerz postąpił ku niemu
Sam mu konia za cugle prowadzi,
Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
A sam pieszo zapuszcza się daléj.
Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali,
Błogosławiąc rycerza po drodze.
I nazajutrz o wschodzie jutrzenki
Do bram zamku z winnemi podzięki
Odwiódł konia, trzymając za wodze.

Ale rycerz powitał go słowy:
„Strzeż mię, Boże! bym kiedy dla siebie
Użył konia na boje lub łowy,
Co niósł Zbawcę i Pana na niebie.
Gdy być twoją własnością nie może,
Niech zostanie przy waszym klasztorze
Na pobożne zakonu posługi.
Bogu memu w ofierze go składam,
Bo od niego, co tylko posiadam,
Dzierżę z łaski, nie z własnej zasługi".

„Niechże Pan, który widzi w skrytości,
Dar twój tobie odpłaci w swej porze!
Niech cię sławi i tu i w wieczności,
Jakeś-ty mi hołd oddał w pokorze.
Tyś graf możny w szwajcarskiej krainie,
Dom twój z cnót i z hojności w niej słynie,
Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych.
Niechże każda — rzekł kapłan w natchnieniu —
Wniesie berło twojemu plemieniu,
Ród twój wsławi u wieków potomnych".

Cesarz słuchał i dumał głęboko,
Jakby dawne obudzał wspomnienie,
Wtem na starca iskrzące wzniósł oko
I z ócz jego słów pojął znaczenie.
Był to kapłan, spotkany przed laty...
Cesarz krajem obrzędnej swej szaty
Zakrył śpiesznie łez swoich potoki.
Lecz pojęto w orszaku cesarskim,
Że to on był tym grafem szwajcarskim, —
I niebieskie wielbiono wyroki.

*(A. E. Odyniec).*

## 3. Rezygnacya.

I jam w Arkadyi począł życie swoje,
I mnie natura przez uścisk miłosny
Przysięgła w kolebce czystych rozkosz zdroje;
I jam w Arkadyi począł życie swoje,
A przeciem łzami spłacił chwile wiosny!

Raz się tylko życie wdziękiem kwiatu stroi;
Mój kwiat już wionął, już mnie nie okrasi,
Bóg milczących grobów — płaczcie bracia moi! —
Bóg milczących grobów przy mym boku stoi,
Dnia pochodnię gasi!

Na twym czarnym progu, otoczon ciemnotą,
Staję przed tobą, straszliwa wieczności!
Odbierz zapis szczęścia, odbierz pieczęć złotą
Nietkniętą; jak widzisz, powracam z ochotą,
Nie znam szczęśliwości!

Przed tron twój niosę swoje ciężkie żale,
Bądź moim sędzią, niezgięta królowo!
Na owej gwieździe, mówią ku twej chwale,
Niezachwianą mając w ręku szalę,
Tu płacisz wiernie i karzesz surowo.

Tutaj na zbrodniarza padnie blada trwoga,
Cnota pozna radość niepojętą zmysły;
Tu ciemne wyroki zjaśni gwiazda błoga,
Do tajników serca rozwinie się droga,
Tu z cierpiącym będzie obrachunek ścisły.

Tutaj pielgrzym weźmie rozbrat ze strapieniem,
Wygnaniec znajdzie przytułek ojczysty.
Piękna córa bogów (Prawda jej imieniem),
Której wielu nie zna i unika z drżeniem,
Lot życia mego powściągła strzelisty.

„W drugiem cię życiu nie minie zapłata,
Daj mi swą młodość, daj wszystkie jej wdzięki,
Oto masz kartę za swe młode lata".
Przyjąłem zapis do drugiego świata
I dałem młodość na ten znak poręki.

„Daj mi swą Laurę, ten klejnot niewieści,
Którąś pokochał z najczystszym zapałem:
Za grobem stokroć spłacę twe boleści!"
Jam z serca wydarł ten klejnot niewieści,
Ciężkom zapłakał i z rozpaczą dałem!

„Zapis w kraj zmarłych? o złudo haniebna!"
Wykrzyk szyderczy odezwał się wszędzie:
„Kłamem cię zwiodła ciemiężców służebna,
Przez nich wspierana, bo dla nich potrzebna;
Przyjdzie wypłata, ciebie już nie będzie".

Jaszczurcza rzesza krzyczała zuchwale:
„Przedawnień masy mogąż trwożyć ciebie?
Cóż są twe bogi głoszone wspaniale?
Te zbawce świata, wymyślone w szale
Ludzkim dowcipem ku ludzkiej potrzebie?

„I cóż jest przyszłość grobami zamkniona?
Co wieczność owa wielkiego znaczenia?
Oto marna tylko nicości osłona,
Straszydło z własnego wywabione łona,
W wklęsłem zwierciedle odbite sumienia.

„Żywych kształtów obraz w kłamliwym sposobie;
Mumia czasu, balsamem nadziei
Ku ciemnych przybytków znikomej ozdobie
Przemyślnie w milczącym przechowana grobie:
Stąd twe szaleństwo nieśmiertelność klei?

„Za nadzieje, którym zaprzecza zniszczenie,
Lekce oddałeś pewne dobro swoje?
Sześćdziesiąt wieków znała śmierć milczenie;

Któryż trup, złamawszy grobowe sklepienie,
Wydał, co wieczne zamknęły podwoje?“ —

Czas ulatał chyżo do twojego brzegu,
Za nim śmierć blada, niesyta połowu,
Kwitnącą przyrodę w trup zmieniała w biegu,
Żaden trup nie wstał z wiecznego noclegu;
Jam mocną wiarę dał boskiemu słowu.

Jam ci z mych rozkosz dał krwawą ofiarę,
Teraz u stopni stoję twego tronu;
Mężnie spełniłem gorzką szyderstw czarę,
W sobiem jedynie miał niezłomną wiarę,
Nagród królowo! żądam cierpień plonu.

„Równe mym dzieciom wymierzam kochanie“
Głos geniusza odpowiedział skrycie,
„Dwa kwiaty tylko, słuchajcie ziemianie!
Rosną dla tego, kto ma baczność na nie;
Jeden nadzieja, a drugi użycie.

„Kto jeden uszczknął, drugiego się zrzeka:
Tych kwiatów nigdy czas razem nie splata;
Przykłady wieków mówią do człowieka:
Zawsze od wiary użycie ucieka;
A dzieje świata są wyrokiem świata!

„W twojej nadziei miałeś plon zasługi,
W statecznej wierze i szczęścia stateczność;
Mógł cię nauczyć mędrców szereg długi:
Coś raz odrzucił, nie wróci czas drugi,
Nie wróci wieczność!“

*J. N. Kamiński.*

## 4. Do radości.

O, radości, iskro bogów,
Elizejskich błoń dziewico,
Wchodzim do twych świętych progów
Z pełną ogniów twych źrenicą.
Co czas rozprzągł i zwyczaje,
Czarodziejstwo twoje sprzęga;
Braćmi cały świat się staje,
Kędy błogi lot twój sięga.

*Chór.*

Obramieńcie się miliony!
Pocałunek całej ziemi!
Bracia, za gwiazdami temi
Ojciec mieszka uwielbiony.

Kto otrzymał z losu ręki
Skarb najdroższy, przyjaciela,
Kto anioła posiadł wdzięki,
Z nami radość niech podziela!
Choćby tylko jedno łono,
Jak świat wielki, nazwał swojem!
Kto nie zdołał, nasze grono
Niechaj łez pożegna zdrojem.

*Chór.*

Kto zamieszkał sfer ogromy,
Niech współczuciu hołdy głosi:
Ono w gwiazdy nas unosi,
Gdzie króluje Nieznajomy.

U przyrody wisząc łona
Rozkosz piją wszystkie twory;
Złość i dobroć upojona
W jej kwieciste pędzą tory.
Pocałunek dała z winem,
W kleskach wierność przyjaciela,
I w rozkoszy — cherubinem
Czerw radosny w niebo strzela.

*Chór.*

Upadacie miliony?
Świecie, k' Stwórcy rwiesz się lotem?
Szukaj go za gwiazd namiotem!
Tam być muszą jego trony.

Radość dźwignią jest i duchem
W przyrodzenia wiecznym szyku,
Radość toczy koła ruchem
W wielkim świata godzinniku.
Wywołuje z ziarna kwiaty,
W głębiach nieba słońca budzi,
Po przestrzeniach pędzi światy
Niedościgłe szklami ludzi.

*Chór.*

Jak przez nieba pyszne koło
Pędzą różne światów wiry,
Jak do zwycięstw bohatéry,
Bracia! drogą w lot wysoko.

Z płomiennego prawd ogniska
Rzuca mędrcom uśmiech błogi
I na strome cnót urwiska
Cierpiącego wiedzie drogi.
Na słonecznej górze wiary
Święta jej chorągiew wionie,
Przez rozpękłych grobów szpary
Widać ją w aniołów gronie.

*Chór.*

Na świat lepszy cierpcie młodzi!
Znoście trudy, miliony!
Tam nad gwiazdy wyniesiony
Wielki Bóg was wynagrodzi.

Czem ci się odwdzięczyć, bóstwo?
Pięknie jest się równać z bogi.
Pójdź więc, smutku i ubóstwo,
Z wesołymi dziel czas błogi!
Zawiść, zemsta niech przepadną,
Wrogom mir i przebaczenie!
Niech się łzą nie dręczą żadną,
Z zgryzot wytchnie ich sumienie.

*(K. Brzozowski).*

## 5. Ideały.

Ty mnie odbiegasz, wieku złoty,
Z drużyną fantazyjnych mar?
Wesela moje i tęsknoty,
Niby rozwiewny nikną gwar!
Zdradziecko tak, nieubłaganie,
Mkniesz, wieku młody, kędyś w dal....
Och! na bezbrzeżnym oceanie
Mkniesz tam, za prądem wiecznych fal.

Pogodne owe słońca zmierzchły,
Co ozłacały drogę w świat;
A ideały się rozpierzchły,
Którem hodował tyle lat.
W nic się rozwiewa ufność miła
W lube rojenia mego snu,
Och! rzeczywistość zniweczyła,
Co pięknem, boskiem było tu.

Jako w objęciu tam namiętnem,
Snycerz płonącą wtulił skroń
W posągu swym, aż głośnem tętnem
Lodowy marmur odbrzmiał doń:
Z takiem uczuciem Pigmaliona,
Piastując w łonie wieszczy szał,
Objąłem ongi świat w ramiona
A tchnął — i z martwych do mnie wstał.

I dzieląc, dzieląc pełnię życia,
Niemowa on zaszeptał w słuch,
Zrozumiał serca mego bicia,
Odcałowywał jako druh,
Aż pieśń powstała w niebogłosy!
Drzewo tam, kwiecie, strumień z gór,
Bezduszných nawet głazów stosy,
Odwtórowały raźno w chór.

I ciasne łono w cudzie drgnęło,
Jakoby wszechświat pod niem stękł:
I stań się! wcielać się poczęło
O! w czyn i w słowo, w kształt i w dźwięk!

Póki w pąkowiu świat się płonił,
O jakże wielki oczom lśnił!
Jak zmalał, kiedy się wyłonił
Odłam nijaki z górnych brył.

I młodzian, duszą, sercem całem,
Ukochał krótki życia nów,
Rozgrzany wnętrznych ogniów szałem,
Skrzydlaty złudą wieszczych snów.
Aż pod słoneczne tam kolisko
Do gwiazd niebieskich zmierza lot;
Wszystko za nisko dlań, za blisko,
Nieskończoności dotrze wrot.

Jakże jaśniało dumnie czoło!
Bez troski, bo na znój i bój
Wiódł on pod ręce, wiódł wesoło,
Cały korowód wietrzny swój;
Promienne szczęściem wiódł na ziemię:
Miłość, nie skąpą słodkich łask,
Chwałę, w gwiaździstym dyademie,
Prawdę, odzianą w słońca blask.

Lecz ach! już na połowie drogi,
Źrenicę zaćmił rąbek z łez;
Zdradnie — bo orszak wiatronogi,
Chwilę po chwili z oczu czezł,
Szczęście odbiegło i na zawdy;
Nie nasyciła wiedza chceń:
Słonecznej ach! oblicze prawdy
Zwątpienia owiał mroczny cień.

I wieńce chwały w poniewierce,
Patrzaj, na czyich czołach lśnią?
Osierociałoż wcześnie serce,
Po wiośnie krótkiej — zwiędło z nią.
I ciszej wciąż, i wciąż od tedy,
Smutniej, samotniej z każdym dniem:
Ledwie nadzieja kiedyś-kiedy
W ciemni światełkiem mrugnie mdłem.

Któż po hałaśnej onej wiośnie,
Podzieli ze mną kolej prób?
Kto obok stanie tu miłośnie
I złoży kędyś w ciemny grób?
Ty! co koiłaś wszystkie bole,
Przyjaźni słodka, drugie ja:
Ty mi na ziemskim tu padole
Wytrwaj, do schyłku wytrwaj dnia.

I ty! co z tamtą ręka w ręce
Umilasz wspólny zawód nasz,
Praco! ty zrosisz czoło w męce,
Lecz nie odbierasz już, co dasz,
I pod wieczności gdzieś podwoje
Pyłeczki wprawdzie z życia dróg:
Chwile, dni, lata niesiesz swoje
Aż się umorzy czasów dług.

*(J. B. Zaleski).*

## 6. Poeci starożytni.

Powiedz! kędy się owi śpiewacy zadziali,
Co skłonny lud ożywczym śpiewem zachwycali?
Co bogów z nieba, ludzi w niebo wiedli pieniem,
I duszę ich na skrzydłach nieśli z zachwyceniem?
Ach! żyją oni jeszcze, lecz lutnia już głucha,
Brak czynów, by ją wzbudzić, brak czułego ucha.
Szczęsny szczęśliwych wieków śpiewaku! twe pienia
Z ust do ust, z pokolenia szły do pokolenia.
Jak przed bóstwem natedy lud przed tem się korzył,
Co mu pędzlem lub dłutem geniusz utworzył,
Czucie ludu zagrzało pieśni śpiewakowe,
I pienie z czucia ludu ognie brało nowe;
W słuchaczach śpiewak żywił i czyścił zapały:
Ich serca ogniem jego pieśni oddychały,
Ludom się zewnątrz bóstwo niebieskie zjawiało,
Które dziś w sercu nawet pojmujemy mało.

*(K. Brodziński).*

Z licznych przekładów dzieł Schillera wymieniamy tylko zbiorowe wydania. Dramata przełożył Michał Budzyński (Lipsk, 1843/4, cztery tomy); »Ballady i pieśni« J. N. Kamiński (Lwów, 1820); »Ballady i poezye« A. Gorczyński (Bochnia, 1844), »Pienia liryczne« A. Bielowski (Lwów, 1841, nowe wyd. 1866); »Wybór poezyj lirycznych« A. Krajewski, Warszawa, 1888; »Dzieła poetyckie«, zbiór tłómaczeń różnych pod redakcyą A. Zippera (2 tomy ilustrowane, Lwów, 1881).

## XX. Franciszek Grillparzer.

### 1. Safo.

Treścią tego V-aktowego dramatu jest miłość poetki Safony, uwieńczonej na igrzyskach olimpijskich, do Faona, który chwilowo uległ czarowi, jaki jej piękność i sława roztaczały wkoło siebie; później atoli przeniósł nad blask ten tkliwsze uczucie niewolnicy Melity, ukochanej przez Safonę. Poetka zrazu zapłonęła gniewem, lecz potem wzniosła się ponad pospolitość natury ludzkiej i, życząc szczęścia młodej parze, sama rzuciła się w morze.

*Faon.* Czyliż uczuciom moim starczyć może mowa!
Z nizkiego ojców stanu, stojący u celu,
Do którego możniejszych dążyło tak wielu
Ginę w tym zbytku szczęścia. — Widzę, jak zdaleka
Las, brzegi, nizkie chaty i grono ucieka,
A gdy to wszystko stoi, nie pomnę zdumiały,
Że mnie tylko jednego niosą szczęścia wały.
*Safo.* Słodko pochlebiasz, ale pochlebiasz, Faonie!
*Faon.* Tyżeś to jest istotnie, tejże ściskam dłonie?
Którą od wysp Pelopsa aż tam, gdzie daleki
Trak się łączy górami z swobodnemi Greki,
Wszędzie kędy odległe od ludów i krajów,
Kronion[1]) wywiódł wyspy nad morze Danajów,
Ta[illegible] gdzie brzegi azyjskie jasny Feb ogrzewa,
G[illegible] boską mową grecki lud po grecku śpiewa:
Którą wszystko pod słońcem wielbić się jednoczy;
Jeżeli ty to jesteś? Jakże twoje oczy
Zniżyłaś na młodziana, który bez znaczenia,
Bez sławy własnych czynów, bez przodków imienia,
Nie ma innej zalety, jak tej lutni struna,
Którą wielbią, że twoją ręką jest dotkniona?
*Safo.* Źle strojna, kiedy własnej pani brzęczy chwałą.
*Faon.* Ach! w owych jeszcze czasach, gdy ręce nieśmiałe
Głos trwożliwy z niepewnej wywabiały struny,
Twój obraz stał przedemną, kiedy otoczony
Gronem rodzinnem żyłem na ojców siedlisku,
Gdy Teana, ma siostra, przy ognia połysku
Czarne zwitki przyniosła, by czytać twe pienie,
Jakże groźnych młodzianów ujęło milczenie,
Jak się wtedy od robót dziewice skupiły,
Aby żadnego ziarnka złota nie straciły

[1]) Zeus, Jowisz.

A gdy czytać zaczęła o pięknym młodzianie,
O żalach na samotne nocy przeczuwanie,
O bogini miłości, o grach Andromedy,
O zabawach Atysa... — o, jakże to wtedy
Każdy czuwał milczący, skarżył swoje tchnienia,
Że uczuciom wzmocnione piersi podnoszenia
Za głośno przeszkadzały. — A wtedy Teana,
Na poręczy swojego krzesła zadumana,
Patrząc się w ciemną izbę, jak też (rzecze) ona
Przed oczyma mojemi stoi ubóstwiona?
Zda mi się, że ją widzę: gdyby nawet stała
W gronie tysiąca niewiast, jabym ją poznała.
Wnet każdy niecierpliwym zdjął ustom okowy,
Udręczał wyobraźnią, ażeby wdzięk nowy
Twojej nadał postaci. Ten Pallady oczy,
Ten knidejskiej bogini przyznał pas uroczy,
Ja sam tylko milczący, zasmucony wstaję,
W samotne świętej nocy idę ciche kraje,
Tam zabłąkany ręce wyciągam do ciebie,
Gdy światło z wozem Luny krążące po niebie,
Gdy głośne wiatrów tchnienia, gór i dolin wonie.
Wtenczas byłaś ty moją, stałaś przy mym boku,
Obraz Safony krążył na innym obłoku.

*Safo.* Ach! ty mię tylko własnem bogactwem odziałeś,
Biada mi! gdybyś kiedy odebrał, co dałeś...

*Faon.* Do igrzysk olimpijskich od ojca wysłany,
Kiedy po drodze słyszę rozgłos powtarzany,
Że tam lutnia Safony o wieniec za pienia
Będzie walczyć, zwyciężać — jakże bez wytchnienia
Utęskniony pędziłem! Konie popadały,
Zanim wież olimpijskich me oczy dojrzały.
Przybyłem: ani wozów warczących gonitwy,
Ni kręgów gra wesoła, ni szermierzów bitwy,
Nie zwabiły mych oczu. Zwycięstw nie patrzałem,
Choć jedno z najświetniejszych moim było działem,
Ją bowiem chciałem widzieć, ją, niewiast koronę —
Nareszcie dni nadeszły pieśniom naznaczone:
Próżno nucą Alceje i Anakreony.
Nagle gwar powstał, lud się dzieli rozkupiony,
Wtem przez tłumy zdumione z złotą lutnią w ręku,
Postępuje niewiasta. Z ramion pełnych wdzięku
Oznaka niewinności, szata śnieżno-biała,
Na zabronione światłu członki upływała.
Strumień-to był, co wzgórki przepływał majowe,
Brzegi w laury ozdobne i liście laurowe,
Mir z sławą oznaczając, piękną myśl wywodzą,
Że ich pragnie poeta, one go nagrodzą.
Jak słońce otaczają różane obłoki,

Tak onę płaszcz purpury opłynął szeroki,
A z nocy czarnych włosów korona wspaniała,
Jak księżyc, znak dalekiej władzy rozświecała.
Wtenczas, że ty to byłaś, serce mi mówiło;
Wnet ludu uniesienie mój domysł stwierdziło:
Jako potem śpiewałaś, jak wieńcem zdobiona,
Z rąk lutnię upuściłaś wstydem zrumieniona;
Jako potem trafiony twych oczu postrzałem,
Zawstydzony młodzieniec i bez duszy stałem,
To wiesz lepiej, ja dotąd nie zgaduję prawie,
Co z tego we śnie tylko, co było na jawie.

*Safo.* Wiem, jak skromny, milczący stałeś przy mym boku,
Jak całe życie w twojem tkwić się zdało oku,
Które, chociaż od ziemi wzniesione nieśmiało,
Przecież iskrę z ukrytych płomieni zdradzało.

*Faon.* Któżby sądził, że pierwsza z greckiego imienia
Na ostatniego z Greków obróci spojrzenia.

*Safo.* Nie krzywdź siebie i losów! Szanuj bogów dary,
Które narodzonemu, z przepełnionej czary,
Na czoło i na usta i na serce leją,
By pełne życie niosło tą ziemską koleją.
Piękny dar piękność ciała! Śmiałość i odwaga
Zdobi tę podróż życia i losy przemaga.
Ale życia najwyższym celem jest użycie.
Napróżno zimnym laurem Muzy się wieńczycie!
Bez owoców, bez woni, ciśnie skroń człowieka,
I nagrodę za wiele ofiar mu przyrzeka.
Tęskno jest być na szczycie; — wciąż uboga sztuka,
(Wyciągając ręce do Faona).
Żebrząc, u pełni życia pocieszenia szuka.

*Kazimierz Brodziński.*

## 2. Idę sam.

Struna mej liry jak słodko brzmi!
Z nią naprzód idę sam;
Mało do życia potrzeba mi,
Gdy mojem to, co mam!

Miłość czatuje w gaiku róż,
Uśmiechem wabi tam;
Baw się ty z dziećmi, znam ja cię już!
Niech zcicha przejdę sam!

Szczęście mi z pełnych dobywa skrzyń
Cały klejnotów kram;
Tylu cię wzywa, na tamtych skiń!
Leć ty — ja pójdę sam!

Sława cudowny roztacza blask
Z przyszłości jasnych bram;
Niech drudzy czerpią z zdroju twych łask,
Ja im przyklasnę sam!

Tych złud ponętnych potrzebaż mi?
Dość, gdy sam siebie mam...
Dopóki struna mej lutni brzmi —
Z nią naprzód, idę sam!

*Seweryna Duchińska.*

Z dramatów Grillparzera mamy przeróbkę »Ahnfrau« p. n. »Matka rodu Dobratyńskich« przez Stanisława Starzyńskiego, przedstawioną w Warszawie 1822 (druk. 1850, nowe wyd. 1893), oraz »Safo«, przełożony prozą przez Kazimierza Brodzińskiego i grany w Warszawie 1819 (druk. w »Pismach« K. Br. t. II, gdzie też mieści się urywek Safony przetłómaczony wierszem), wreszcie »Gra uczuć i fal morskich« tłómaczyła p. H. Wiślańska (Tarnów, 1885). Mamy także przekład powiastki »Klasztor pod Sandomierzem« dokonany przez A. Ujejskiego (Złoczów, 1892).

## XXI. Teodor Körner.

### Chrystus i Magdalena.

W świątynię, gdzie Chrystusa liczna słucha rzesza,
Jawnogrzesznicę wlecze faryzejów ród,
Jak ma być ukaraną — pyta cały lud —
Gdy śmierć jej nakazana wedle praw Mojżesza?...

Chrystus ku pytającym głowę zwolna zwróci...
Kreśli słowa po ziemi, duma jakiś czas....
W końcu rzecze spokojnie: „Kto bez grzechu z was,
Niechaj na tę grzesznicę pierwszy kamień rzuci!“...

Spojrzeli wnet po sobie jej oskarżyciele
I zawstydzeni, cicho odeszli z świątyni,
Szat brzegami zmiatając z płyt kamiennych kurz....

Do grzesznicy rzekł Chrystus: „Wstań i odejdź śmiele,
Gdy oni przebaczyli dziś winowajczyni,
I ja jej nie potępię. Idź i nie grzesz już!...“

*(Izydor K.)*

## XXII. Albert Chamisso.

### Epilog do pieśni.

Jak teraz drzewo w pojesiennem zimnie,
Sterczy bezsilne, tak dziś smutno i mnie:
Żadna pieśń w duszy mej się nie odzywa,
Bezczynna ręka na lutni spoczywa.
Och! czyliż we mnie to zdziałała jesień?
Czy mnie znów wiosna wróci do uniesień?
Może! — ja nie wiem! Lecz jeśli mi w duszy
Już do dna źródło pieśni czas wysuszy,
Ty serce zdołasz i ten ból pokonać,
Ciebie już życie nauczyło konać.

O przyjaciółko moja! lutni brzmiąca!
Tu nad ogniskiem spoczywaj wisząca,
Ja cię tymczasem oplotę w powoje,
Na pożegnanie w barwinek ustroję,

Wszak i ty kwiatów znosiłaś mi zadość,
Tyś każdą moją upiększała radość,
Tyś łagodziła krzyk bólu od śpiewu
I w blask zmieniała żary mego gniewu,
Z ócz skromnych kobiet nieraz pieśni moje
Wilgotnych pereł dobywały zdroje,
Ich dźwięk niejedna męska pierś powtarza,
Młódź zna i kocha starego pieśniarza,
Nie zamrze jego imię w zapomnieniu
W tem, co się dzisiaj rodzi, pokoleniu.
Wiem to i mówię śmiało, nie z próżności,
Ani z czczej dumy, lecz pełen wdzięczności,
Dziękuję tobie, ojczysty narodzie!
Tyś mi w poważnych czasów niepogodzie
Nadspodziewanie i serca i ucha
Udzielał chętnie, i rozkosze ducha,
Rozkosze pieśni w sercu wrących rojnie,
Tyś mi współczuciem wynagradzał hojnie,
Hojnie do zbytku! Dzięki tobie, dzięki!
Jam jak ptak tylko nucił me piosenki.

Wy młodzi pieśni dziedzice! tu społem
Zejdźcie się wszyscy, otoczcie mnie kołem,
Oto już z życiem obrachunek kończę,
Z pełnego serca niechaj wam wysączę
Mój głos ostatni! Słuchajcie mnie, młodzi!
Wieszcza i piewcy dary czcić się godzi,
Bo są od Boga i święte. Wy złóżcie
Cześć Bogu, który w was mieszka; nie służcie
Temu, co świeckie, nigdy tem, co święte,
Ani szermierzcie lutnią za zachętę
Lichych wawrzynów, lub lichszego złota;
Niech się z was żaden zuchwale nie miota
Przeciw swym czasom lub ojczyźnie swojéj,
Za to, że może, jako mu się roi,
Jego zasłudze złoży czci nie dosyć;
Niech się nie waży gorzkich skarg zanosić
Na świat spółczesny przed światem potomnym,
Gór łona echem brzemienne ogromnym,
I wielkie echo drzemie w sercach ludzi,
Komu Bóg na to dał moc, ten je zbudzi,
I to nagroda piewcy. Druhu młody,
Chcesz więcej? chcesz-li proroków nagrody?

Wolno pieśń z piersi dobywa się wolnéj,
Żaden jej mocarz wywołać niezdolny,
Jak ptak swobodny w pieśń poeta dzwoni,
I tak bezpieczny jak ptak, jego chroni

Ten Bóg, któremu on jest ulubieńcem;
On się chwał ziemskich nie zbogaci wieńcem,
Dźwięk własnych piersi jego wynagradza,
Niech śpiewa, komu dana pieśni władza.
W gaju poetów, niech się nigdy wzniosła
Pieśń do podłego nie zniża rzemiosła.
Niechaj was praca wyżywia uczciwa,
Niech w pocie czoła człowiek chleb spożywa.
Dniowi trud dzienny niechaj los wydzieli;
Rąbcie drwa, wożcie kamienie! jeżeli
Tego się od was domaga potrzeba.
Lecz w chwilę zmierzchu świąteczną, gdy nieba
Gwiazd milionowe światło rozpromieni,
Otrząście wasze troski, poświęceni!
Podnieście w górę czoła! niechaj cicha
Święta noc pieśni waszemi oddycha,
Budźcie sny w śpiących, których trud przygniata,
Sny żyjącego w waszych piersiach świata.
W państwie poezyi prawdy panowanie,
Otwórzcie kościół! Niech się światło stanie!

*A. Pajgert.*

## XXIII. Ludwik Uhland.

### 1. Klątwa pieśniarza (ballada).

Stał niegdyś wielki zamek, wspaniały, pyszny gród,
Stem wież nad krajem świecił do sinych morza wód,
A wkoło wonnych sadów barwisty wieniec kwitł,
W kaskadach chłodnych zdrojów tęczowy igrał świt.

Pan dumny w zamku siedział, zdobywca mnogich ziem,
Lecz blady i posępny nad państwem władał swem,
Bo jego myśl — to groza, spojrzenie — wściekły gniew,
Rzekł słowo — bat już świszcze, podpisał — płynie krew.

Raz szło do zamku tego szlachetnych piewców dwóch,
W kędziorach złotych jeden, a siwy — jego druh;
Starzec miał harfę w ręku, ognisty niósł go koń,
Kwitnący młodzian obok wesoło biegł przez błoń.

Rzekł starzec do młodzieńca: „Mój synu, gotów bądź!
Najtkliwsze dobądź pieśni, najgłębsze tony trąć,
Zbierz wszystkie siły swoje, ból i wesela tan,
By wzruszył się nareszcie twardego serca pan“.

Już piewcy stoją w sali, gdzie kolumn rzędy mkną,
Na złotym tronie zasiadł z małżonką rycerz swą;
On — groźny, jako zorzy północnej krwawy żar,
Ona znów — słodka, cicha, jak srebrnej pełni czar.

Uderzył starzec w struny, przedziwny dobył ton,
Akordy dźwięków, zda się, ze wszystkich płyną stron.
I rozbrzmiał głos młodzieńca, jak śpiew niebiańskich sfer,
Głos starca wtórzył głucho, jak cichy elfów szmer.

Śpiewali o miłości, o wiośnie młodych dni,
Wierności, dumie męskiej, za wolność lanej krwi,
O wszystkiem tem najsłodszem, co w sercu ludzkiem drga,
O wszystkiem tem najwyższem, co wstrząsa pierś jak skra.

W dworaków tłumie cichnie szyderczych echo słów,
Zuchwałych wojowników chyli się kornie huf,
A pani zamku, rzewne a słodkie lejąc łzy,
Śpiewakom wonną różę od piersi rzuca swéj.

„Wieść lud mój na manowce, małżonkę nęcić mą?“ —
Wściekle się rycerz zrywa, zbladłe mu usta drżą.
Miecz ciska, ten jak piorun już w piersi chłopca tkwi,
I, zamiast słodkich pieśni, wzwyż tryska struga krwi!

W popłochu, zgrozą zdjęty, rozpierzchł się dworzan rój,
W objęciach mistrza młodzian ze śmiercią skończył bój.
W płaszcz starzec go owinął, na konia złożył grzbiet
I precz, z brzemieniem drogiem, z krwawego zamku szedł.

Lecz, opuściwszy gród już, zatrzymał się u wrót.
Pochwycił harfę swoją, śród harf prawdziwy cud;
O słup ją marmurowy roztrzaskał jeden cios,
A w zamku jak grzmot rozbrzmiał pieśniarza groźny głos:

„Biada wam, dumne sale! Niech nigdy słodki dźwięk
Nie zabrzmi tutaj pieśni, ni strun harfianych brzęk,
Niech jęki tylko, łkania, szczęk kajdan chwyta słuch,
Aż w gruzów stos was zmieni wieczystej zemsty duch!

„Biada wam, wonne sady w majowych blasku zórz!
Na tego trupa patrzcie — jak śmierć go zmienia już...
O, zginie zato marnie! Niech każde źródło schnie,
Niech was w skalistą puszczę przyszłości zmienią dnie!

„Biada ci, niecny zbójco, śpiewaczych klątwo harf!
Niech płonną będzie żądza twa krwawej sławy szarf;
Twe imię — niepamięci niech wieczny schłonie cień,
Rozwiej się, zgiń bez śladu, nakształt powietrznych tchnień“.

Tak wołał stary pieśniarz. Wysłuchał starca Bóg,
W zwaliskach legły mury, chwast porósł zamku próg.

Kolumna jedna świadczy o sławy dawnej dniach,
Lecz i ta pękła — padnie... jak padł już cały gmach.

Gdzie wonne kwitły sady, pustynny dzisiaj step,
Wysuszył drzewa, zdroje płomienny niebios sklep;
Nieznane pana imię księgom, ni wieszczym snom,
Przepadło zapomniane! — pieśniarza klątwy grom!

*(Miriam).*

## 2. Skon bohaterów.

Oręż Duńczyków szwedzkie wparł szyki
Na mórz brzeg dziki;
W dali kół turkot i stal przyświéca
W blasku księżyca;
Na polu bitwy kona na piasku
Ulf stary i Swen w dni młodych blasku.

*Swen.* Ojcze! tak młodo Norna[1]) straszliwa
Z świata mnie wzywa!
O, matko! Kiedy ty mój włos złoty
Zwiniesz w uploty!
O, próżno z wieży wzrok narzeczonéj
Szukać mnie będzie na wszystkie strony!

*Ulf.* Płakać nas będą — i w nocy cieniu
Widzieć w marzeniu;
Lecz wnet, mój synu, bólu katusze
Złamią ich duszę!
Złotokędziora kochanka wina
Puhar ci poda w ucztę Odyna!

*Swen.* Zacząłem nucić z siłą ognistą
Pieśń uroczystą
O dawnych królów, rycerzy znojach
Miłości bojach...
Na ścianie w moją wiszącą lutnię
Wiatry trącają i dźwięczą smutnie.

*Ulf.* W górze Wszech-Ojca świątynia lśniąca
Płonie od słońca;
Wichrów się pod nią przechodzą świsty,
Gwiazd rój ognisty:
Z dziady tam siądziem, rzuciwszy znoje,
Tam, synu, zabrzmij, skończ pieśni twoje.

*Swen.* Ojcze! tak wcześnie Norna straszliwa
Z świata mię zrywa:
Wielkiego czynu jeszcze nie stroi
Blask tarczy mojéj;

[1]) Bogini śmierci u Skandynawów.

Strasznych dwunastu sędziów tam rządzi,
Mnie od rycerskiej uczty odsądzi.
*Ulf.* Jeden czyn — czynów przeważa mnóstwo,
O, zna to bóstwo:
Niebieskie bramy otwiera
Śmierć bohatera.
Patrzaj! pierzchają zastępy wroga....
Patrz!.. niebo płonie... tam nasza droga...

*(Karol Brzozowski).*

Wiele przekładów z Uhlanda mieści się w »Pismach Józefa hr. Dunina Borkowskiego« (Lwów, 1856).

## XXIV. Fryderyk Rückert.

### 1. Anteusz.

Tytan, rodzony syn ziemi,
Co, skoro dotknie jej pól,
Z siły powstaje nowemi —
Ten straszny olbrzym: to ból!
Chcesz, Herkulesie, go zmódz?
Darmo o ziemię nim tłuc!

Od matki porwij go biodra
W górę, gdzie niknie jej pył,
Skąd siła spływa ci szczodra,
Gdzie on opada ze sił.
Z tkwiącemi w niebo oczyma
W powietrzu zgnieciesz olbrzyma.

*(A. Pajgert).*

### 2. Wiersze gnomiczne.

I.

Gdy gardzisz poprzedników myślami wszystkiemi,
Jak chcesz, by myśl twą potem uczczono na ziemi?

Nawet nie możesz wiary mieć we własne zdania,
Kiedy do ludzkiej myśli nie masz zaufania.

II.

Poezya będzie dzieci chorobą w przyszłości,
A filozofia tylko znakiem dojrzałości.

Każdy dzieckiem odrobi melodram poety,
Mężem — bez wzruszeń serca będzie szedł do mety....

Wtenczas ludzkość w największą powagę się wzbije:
Lecz mnie cieszy, że owych czasów nie dożyję.

III.

Wędrowiec wśród pustyni spotkał łączkę małą,
Gdzie na murawie piękne drzewo wyrastało.

A pod stopami drzewa zdrój wytryskał cichy,
I kwiat nad czyste fale zwieszał swe kielichy.

Na drzewie ptaszek głośnym odzywał się śpiewem...
Wędrowiec wypoczywał z rozkoszą pod drzewem.

I rzekł: „Próżno ptak śpiewa i rozkwita kwiecie
W tej pustce, gdzie się niemi nikt nie cieszy przecie“.

Wtem bóstwo mieszkające w drzewie rzekło zlekka:
„Wędrowcze, któryś do mnie przybył tu zdaleka!

Nie próżną piękność kwiatu, pieśń ptaka, gdy obie
Mnie służą; — gdyś spoczął przy mnie — więc i tobie“.

IV.

Najszlachetniejszy kamień jest ten, który kraje
Wszystkie inne, a siebie zrysować nie daje....
Najszlachetniejsze serce jest to, które właśnie
Raczej da się skaleczyć, niż samo zadraśnie.

V.

Gdy znajdziesz cierń w miłości, kochaj jeszcze wierniéj...
Że masz przy sobie różę — poznajesz to z cierni.

*(A. Asnyk).*

## XXV. Henryk Heine.

### 1. Pobojowisko pod Hastings.

Opata z Waltham okrutny żal
Na wieść straszliwą ogarnie;
Nieszczęsny Harold, waleczny król,
Pod Hastings zginął — tak marnie!...

Ailryka tedy z Asgodem śle
(Dwu mnichów, w posłudze biegłych),
Harolda iżby szukali zwłok
Pod Hastings, pośród poległych.

Pośpieszą w smutku wysłańce dwaj
I w smutku wrócą z podróży:
„Wielebny ojcze, wstrętny nam świat
I szczęście nam już nie służy...

„Pogromcą — łotrzyk. Nieprawy płód
Prawego usiekł nam męża.
Herbowne drabstwo szarpie nam kraj,
Wzdy wolnych kat uciemięża!...

„Szubrawiec lada — oto dziś lord!
Normandzkie puszą się wrogi;
Spotkałem jeźdźca: krawiec z Bayeux,
A w złote dzwonił ostrogi...

„O, biada temu, kto rodem Sas!...
Saksońscy strzeżcie się święci
W niebiesiech!.. równy grozi wam srom,
Gdyż waszej lżą już pamięci.

„Wiadomo tedy, co wieścił ów
Kometa zeszłej jesieni;
Czerwony, nocą bieżał na Wschód
Na miotle z krwawych płomieni...

„Pod Hastings klęski ziścił się znak;
Spełnione niebios wyroki...
Dwu nas grzebało, gdzie szalał bój
I kędy piętrzą się zwłoki —

„Dwu nas grzebało i wszerz i wzdłuż;
Nadziei mara malała
I spełzła... króla zatarty ślad;
Harolda niemasz tam ciała!...“

Tak mnisi. Opat milczy jak głaz,
Oniemion w bólu nadmiarze...
Ocknie się, jęknie i przetrze skroń —
Z powrotem śpieszyć im każe:

„Tam, w Grendenfield, gdzie gęsty bór
Skalisko bardów wymija,
Tam szatra stoi — a mieszka w niej
Edyta łabędzioszyja.

„Łabędzioszyją mienił ją dwór,
Gdyż łono miała łabędzie;
Kochał ją ongi, pieścił ją król...
Lat temu sporo już będzie.

„Król pieścił dziewkę, cackał ją król,
A w końcu zapomniał o niéj...
Szesnaście temu będzie już lat,
A czas — ach, szparko czas goni!...

„Pośpieszcież, bracia, gdzie boru głąb;
Niewiastę z sobą tę weźcie;
Harolda drogich niech śledzi zwłok;
Jej oko — oko niewieście.

„Tu chrześcijański czeka go grób;
W opactwie spocznie bezpieczny;
Tu dusza ulgę znajduje w mszach,
A ciało spokój ma wieczny“.

Północ. W głąb boru wysłańcy dwaj
Dotarli do progów nędzy.
„Łabędzioszyja! Edyto, wstań!
Pójdź z nami; pośpiesz co prędzéj!

„Brytanię zgromił Normandów wódz
I kwiat nam wysiekł rycerzy.
Pod Haslings stosy piętrzą się zwłok,
Pod Hastings trupem król leży!

„Wśród zwartych kłębów tysięcy ciał
Harolda kryje się łoże...
Pójdź, w poświęcony złożym go grób —
Niech śpi spokojnie w klasztorze“.

Łabędzioszyja nie traci słów,
Zarzuci łachman co żywo
I bieży — — Dziko potrząsa wichr
Jej włosem... dziewka już siwą...

Boso biedaczka bieży przez bór,
Przez chaszcze, bagna noc całą.
Widzisz opoki kredowy smug?
To Hastings pola... Świtało.

Całuny białe pierzchają mgieł,
Pobojowisko już widne;
Kruków wzlatują chmary i wron
I ptactwo kracze ohydne...

Pokotem leży przy trupie trup,
Jak w srogiej padły pogoni,
Odarte, nagie, zbryzgane krwią...
Przy jeźdźcach — ścierwa ich koni.

Łabędzioszyja boso, wśród ciał,
W zastygłej brodzi posoce;
Z orbit badawczo wystrzela wzrok,
A szklane białko migoce...

I śledzi bacznie i wszerz i wzdłuż,
A wśród mozoły tej cichéj
Kraczącą spłasza, żarłoczną czerń!...
Zdyszane wloką się mnichy.

Całutki błądzi po trupach dzień;
Wieczorny zmierzch już majaczy,
Wtem... z biednej piersi wydrze się krzyk,
Okropny wykrzyk rozpaczy...

Łabędzioszyja znalazła go,
Martwego pana i króla...
Nie rzekła słówka, nie roni łez,
Lecz sine zwłoki otula —

Usta całuje — całuje skroń —
Do piersi piersią przylepła...
Ranę nad sercem ciśnie do ust —
Krew w ranie czarna i skrzepła.

Trzy drobne ciśnie blizny do ust
Na króla szyi, tak bladéj...
Ach, to rozkosznych pamiątka chwil,
Jej białych ząbków to ślady!...

Tymczasem mnichy z drzew uschłych pni
Zerwane spoją konary,
Wyścielą wrzosem, wyścielą mchem
I ciało złożą na mary.

W drogę, ku Waltham! — Tam spocznie
Wiatr nie rozwlecze tych kości..
Łabędzioszyja zdąża krok w krok
Za trupem swojej miłości.

Żałobną głucho zawodzi pieśń,
W dziecięcej nuci ją wierze.
Okropna nuta!... Dokoła noc — —
A mnichy szepcą pacierze...

*(Aureli Urbański).*

## 2. Z „Atta Troll".

Jestto fantastyczna satyra na filisterstwo Niemców wogóle, a w szczególności poetów »szwabskich«, którzy bez wielkiego zazwyczaj talentu, moralizowanie narodu uważali za główne swe zadanie. Bohaterem jest niedźwiedź, sztuki różne pokazujący po jarmarkach, lub w jaskini wśród rodziny patryarchalne pędzący życie. On - to nazywa się Atta Troll. W ustępie, który przytaczamy, autor sam kreśli charakterystykę swego utworu:

Letniej nocy sen!... Kapryśna,
Bezcelowa jest pieśń moja,
Tak jak miłość, tak jak życie,
Tak jak stwórca i stworzenie...
Własnej tylko patrząc woli,
Pędzi ziemią, wichrem leci
I w krainę cudów wpada
Mój Pegazus ulubiony.
Nie jest on cnotliwą szkapą,
Co mieszczańskie ciągnie wozy,
Ni podjezdkiem obozowym,
Co rży wzniośle w duchu partyi.
Z złota kute ma podkowy
Koń mój biały i skrzydlaty;
Sznury pereł ma za uzdę,
Którą wolno mu opuszczam.
Nieś mię, koniu, gdzie ci wola!
Na powietrzne, górskie szlaki,
Gdzie kaskady, szemrząc trwożnie,
Od przepaści stopy strzegą.
Na doliny nieś mię ciche
Tam, gdzie szumią dęby stare,
Z pod korzeni sącząc krętych
Słodkie źródło starych baśni!
Tam mi pić daj! tam mi obmyj
Oczy senne... Ach, już piję
Żywą wodę, która czyni
Wszechwidzącym, wszechwiedzącym
I ślepotę każdą spędza...
Ach, już wzrok mój bystry dostrzegł
Atta Trolla skalną jamę,
Już rozumiem jego mowę!
Dziwna, jak mi swojsko w uchu
Brzmi ten język niedźwiedziowy!
Miałżebym w ojczyźnie drogiej
Słyszeć niegdyś już te dźwięki?...

*(Marya Konopnicka).*

## 3. Księżniczka Ilza.

Księżniczka jestem Ilza,
Dom w Ilzensteinie mam,
Pójdź ze mną do mego zamku,
Szczęśliwi będziem tam.
Ochłodzę głowę twoją
Najczystszą z moich fal,
Zapomnisz o swoich bólach,
Ukoisz dawny żal.
W ramionach moich białych,
Na białem łonie mem,
Tam będziesz leżał i marzył
Rozkoszy dawnej snem.
Upieszczę, ucałuję
Jak ongi dawnych lat
Miłego cesarza Henryka,
Co już pożegnał świat.
Kto umarł, niech śpi w grobie,
Niech żyje, kto żyć ma...
Jam piękna i kwitnąca,
A w sercu śmiech mi drga.
A kiedy drga mi serce,
Dwór szklany dźwięczy mój,
I tańczą rycerze i damy
I pląsa paziów rój.

Jedwabiów słychać chrzęsty
I ostróg brzęk u nóg,
A karły bębnią i trąbią,
I grają i dmą w róg.

A ciebie, jak Henryka,
W objęciu będę mieć;
Na uszach mu kładłam rączki,
Gdy trąba miała grzmieć.

*(Marya Konopnicka).*

## 4. Z „Księgi pieśni".

1.

Brylant się z perłą jednoczy,
W przepych się strojąc książęcy,
I najpiękniejsze masz oczy;
O, luba! czegóż chcesz więcéj?

I wielbi piękne twe oczy
Mych pieśni kilka tysięcy,

Co się we wieczność potoczy;
O, luba! czegoż chcesz więcéj?

Mą zgubą piękne twe oczy!
Na twój to tryumf dziewczęcy
Zniszczył mię blask ich uroczy;
O, luba! czegoż chcesz więcéj?

2.

Na górę wdarłem się siną,
Sentymentalnie omdlewam.
„Gdybym był drobną ptaszyną!"
Sto razy wzdycham i śpiewam.

Gdybym to ja był jaskółką!
Leciałbym do ciebie, dziécię,
Pod oknem twem krążyć w kółko,
Wić gniazdko na dachu szczycie.

Gdybym to ja był słowikiem!
Leciałbym do ciebie, dziécię,
Pod twoimbym pokoikiem
Śpiewał o zmroku i świcie.

Gdybym był dudkiem! na twoje
Serce zleciałbym obcesem,
Wszak miłe ci dudków roje; —
Dudka nie gardzisz karesem...

*(A. Pajgert).*

3.

Czego chce ta łza samotna
Tylko wzrok mi mgłą owiała:
Z mej przeszłości, co niezwrotna,
Ona jedna mi została.

Jej promiennych siostrzyc tyle,
W błyskach burzy, w nocy cieniach,
Przepłynęło w szczęścia chwile
Przepłynęło w udręczeniach.

I jak mgła już się rozwiały
Górnych świateł tych promienie,
Co w mem sercu oświecały
Każdą rozkosz i cierpienie!

Ach, i miłość ma na wieki
Przeszła już, jak tchnienie lotna;
Spłyń-że i ty z mej powieki,
Dawna moja łzo samotna!

4.

Drzemiąca sosna samotnie
Na wzgórzach północy stoi,
Śnieg i mgła szronu wilgotna
W białą osłonę się stroi.

I drzemiąc o palmie marzy,
Co tam na Wschodzie, daleko,
Samotna cicho się skarzy,
Na skale pod słońca spieką.

*(Jan Prusinowski).*

Skąd bladość róży czerwonéj,
Powiedz, moja miła?
Fijołek skąd tak schylony,
Że go trawka skryła?

Tak smutnie czemu skowronki
Śród powietrza pieją?
Pachnące kwiatki śród łąki
Woń grobową wieją?

Czyż ma bladość nie odsłania,
Mej miłości nie tłómaczy?
Więc koniecznie chcesz wyznania,
Z ust moich prośby żebraczéj?

Gdy nadszedł cudny miesiąc maj
I pękły pączków obsłony,
Wtedy w mem sercu zakwitł kwiat
Miłością kwiat umajony...

Mieszczuchy w pięknem ubraniu
Ciągną przez pola i góry,
Skaczą jak młode baranki
I sławią wdzięki natury...

Oczy ich płoną zdumieniem,
Że w świecie tak romantycznie,
I nadstawiają swe uszy,
Gdy ptaszków chór śpiewa ślicznie...

Jaki spokój w mgle słonecznej
Niby lustro błyszczy morze,
Statek bruzdą szmaragdową
Wyzłacane fale porze.

Sternik usnął, zapomniawszy
O mieliznach tego świata;
Koło masztu siedzi chłopiec
I ziewając, żagiel łata.

5.

I jasność słońca się chmurą
Szarą przysłoniła?
I ziemia czemu ponurą,
Niemą jak mogiła?

Ma dusza czemu złamana?
Powiedz, moja miła;
Ach, powiedz mi, ukochana,
Czemuś mną wzgardziła?

6.

O, zbyt dumne są me usta,
W nich uścisk i żart się mieści;
Gdy z nich tryska mowa pusta,
O, wtedy ja mrę z boleści!...

*(Stanisław Budziński).*

7.

Gdy nadszedł cudny miesiąc maj,
I ptaszęt rozbrzmiały pienia,
Wtedy wyznałem przed lubą mą
Tęsknoty me i pragnienia.

8.

Ja jeden okno zasłaniam
Czarną, żałobną zasłoną,
Bo we dnie nawet mię dręczy
Widziadeł przeszłości grono...

I dawna miłość powstaje
Z smutnego serca cmentarza,
Przysiada do mnie i płacze
I serce moje rozżarza...

*(Al. Kraushar).*

9.

Krew rumieni mu policzki
Czarną sadzą zasmolone
Jego oczy duże, modre
W tę i ową błądzą stronę.

Nagle zjawia się kapitan,
Człek, co lubi głośne sprzeczki;
„A, hultaju! — woła z gniewem —
Znów mi śledzia skradłeś z beczki!“

Jaki spokój! Na powierzchnię
Wypłynęła rybka lśniąca
I przy słońcu grzeje główkę
I ogonkiem falę trąca.

A pod niebem mewa krąży
I przyczaja się zdaleka...
Ot, już rybkę trzyma w szponach
I w błękity z nią ucieka...

*(Wiktor Gomulicki).*

10.

Zmarłaś, a nie wiesz o tej tajemnicy;
Zagasło światło ocząt twych źrenicy:
Trupio pobladły kraśne usta twoje —
I zmarłoś, martwe dzieciąteczko moje.

Pod borem ciemnym orszak ciągnął cały,
Litaniom echa boru wtórowały,
W żałobne płaszcze zakutane jodły
Pomrukiwały za umarłych modły.

Przerażającej, letniej nocy pewnéj
Ja sam odniosłem ciebie do mogiły;
Słowiki, płacząc, tren podniosły rzewny,
Gwiazdy w pochodzie nam towarzyszyły.

Jezioro mijał pogrzeb w tym pochodzie,
Elfy pląsały tam po cichej wodzie;
Nagle się w hożym wstrzymawszy podskoku,
Spojrzały na nas ze współczuciem w oku.

A gdyśmy wreszcie donieśli trumienki,
Księżyc zszedł z niebios po szafirów fali
I począł mowę. Buchły łkania, jęki
I dzwonów bicie gdzieś w głębokiej dali.

*(Władysław Ordon).*

## 5. Z „Nowej wiosny".

1.

„Znowuś błąkał się noc całą!
Patrz, co się z kwiatami stało.
Fijołki biedne w rozpaczy,
Róże dziwnie pomieszane,
Lilje zlękłe, zapłakane!
Co też to wszystko znaczy?" —

Mój księżycu, mówiąc szczerze,
Ja nie bardzo kwiatkom wierzę —
Udają, że są... trusiami!
Po co też podsłuchiwały,
Gdy z miłości płonąc cały,
Jam rozmawiał z gwiazdami?...

2.

Z wystygłem sercem, smutny, zniechęcony,
Widz obojętny błąkam się wśród świata,
Jesień otula ziemię w mgły welony,
Z drzew resztę liści wicher chłodny zmiata.

Wiatr purpurowe liście strząsa z drzewa
I jęczy, nagie kołysząc konary,
Z łąk mgły wilgotne wstają nakształt pary —
Nie koniec na tem — oto i ulewa...

*(Czesław).*

3.

Dwoje nas małych dziatek
Lubiało pusto żyć;
Gdzie siana był dostatek,
Tam biegliśmy się kryć.
W kurniku, skryci w siano,
Nuż piać, co sił kto miał;
Ku-ku-ry-ku! — myślano,
Że istny kogut piał.
W dziedzińcu skrzynia dała
Schronienie naszym grom;
Tam para nas mieszkała,
Prowadząc wielki dom.
I tam wizyty kotki
Przyjmować zwyczaj był:
Nuż komplimenta, plotki,
Nuż w chichy z całych sił.

Pytaliśmy się mile
O zdrowie!... Ale cóż?
To rzekłem po tę chwilę
Niejednej kotce już!
To znów jak ludzie starzy
Gawędzim inny raz;
I każde z nas się skarzy,
Że lepszy dawny czas...
Że wiara już ustawa
I miłość już nie w smak,
Że podrożała kawa
I że pieniędzy brak...
Igraszek pierzchła mara
I wszystko mija wraz:
Pieniądze — miłość — wiara
Inny — i świat — i czas!

*(Aureli Urbański).*

Oprócz wielu przekładów, rozproszonych po czasopismach, mamy »Wybór pism H. Heinego« w 3 tomach, dokonany zbiorowo. (Warszawa, 1889—1895).

## XXVI. Emanuel Geibel.

### 1. Głos z za morza.

Gdzie nad wielką wodą sierpy w wybujałej trzcinie brzęczą,
Gdzie liść klonu cukrowego igra z piór papuzich tęczą,
Tam kobieta z czarnem licem, z szyją, co szkiełkami błyska,
Trzyma dziecię, śpiewa nad niem, a śpiew z serca się wyciska:

„Śpij, ach, śpij, mój czarny chłopcze, ty przez matkę opłakany!
Co, nim jeszcze żyć począłeś, już twój żywot był sprzedany;
Śpij, dopóki-ć mgła przyszłości tai srogość białych ludzi,
Póki śnionej twej swobody gniewny pana głos nie zbudzi.

„To, ku czemu drgają piersi, tego pierś twa nie uczuje,
Tam, o, tam-by żyć potrzeba, gdzie nurt Nigru piaski pruje!
Nigdy łowów tygrysowych nie nauczą-ć umiejętni,
Nigdy-ć do rodzinnych pląsów brzmienna błona nie zatętni.

„Ty po całych dniach masz płakać, wzdychać masz po nocach całych.
Milcząc, jak ten sprzężaj rolny, giąć się masz pod jarzmem białych;
Biali drwa ci każą rąbać, trzcinę ci żąć każą biali,
Aby z krwi twej ssali słodycz, aby w pot się twój ubrali.

„Ludzie biali mają rozum; morza okręt ich przepływa,
Skra błyskawic, grzmot piorunu w chytrej strzelbie ich spoczywa;
Mają młyny parą pchane — takich tysiąc rąk nie ruszy;
Ależ na co ten ich rozum, gdy litości niema w duszy?

„Ileż się to razy dumni przechwalali przed swojemi,
Jak odważnie te wybrzeża oderwali nam od ziemi,
Ale szlachetnego męża, co był wyrzekł w owej chwili,
Że i czarny jest człowiekiem — tego oni potępili!

„Słodko-brzmiennem ich kazanie, jak Bóg dla nich zniósł cierpienie,
Jak z miłości nieprzebranej zmarł na świata odkupienie;
Ale jak tu wierzyć słowom, jeśli serca nie poręczą?
Toż miłością zwie się u nich, że na śmierć nas codzień męczą?

„Wielki Duchu! czem synowie tych tu plemion zawinili?
Kiedyż się to do ostatka czara karań twych przechyli?
Powiedz, kiedy wzrok twój słodki przez te chmury nam zaświeci?
Powiedz, czy odetchną kiedy twoje biedne czarne dzieci?

„Stanie się to, ale wprzódy Mississipi wstecz popłynie,
Wprzód bawełna granatowa pozakwita na drzewinie,
Alligator z bawolęciem zaśnie wprzód na jednym łanie —
Wtedy biały plantatorem, ludźmi będą chrześcijanie".

*(J. D. Minasowicz).*

## 2. Przez niebios, ziem...

Przez niebios, ziem przestrzenie
Przebiega ciche brzmienie,
Jak słodki harfy ton,
I każdej rzeczy wieści,
Gdzie źródło jest jej treści,
Jaki jej będzie skon.
Do orła mówi: „W złoty
Blask słońca leć, aż loty
Burza ci strzaska zła!" —
Chmurze: — „Spuść deszczu rosy, —
Zwilżywszy kwiaty, kłosy,
Giń w jasnych zorzach dni. !" —
Łabędziom: — „W dal po fali,
Aż pośród śpiewnych żali
Zstąpicie w grobu mgły!" —
Gwoździkom w barw koronie:
„Schnijcie, lecz szerzcie wonie!"
Kobiecie: — „Kochaj, mrzyj!"

## 3. W lesie.

Najgłębszy lasu kąt to był;
U twoich nóg na mchu jam śnił;
Na ziemię spokój z niebios padł:
Tak cicho w krąg, daleko świat!

A wtedy z cudnej twarzy twéj
Świt niebios trysł w zwątpienia mgły;
W twych oczu toni zalśnił blask
Miłości świętej, pełnej łask.

Błogosławiłem niebios dar
I ziemskich mąk ścichł we mnie war,
Wsłuchany w uczuć pieśń bez słów,
Znów młody byłem, czysty znów.

Pieczęć na usta legła mc,
Byłaś mi świętą w niebios tle;
Co najwyższego człowiek ma,
Poznała wówczas dusza twa.

Przeczucie w łonie drgnęło mi
Wieczności nieskończonych dni,
W których godzina trwa ciąg lat,
A w mgnieniu życie masz i świat.

Długośmy byli? — nie wiem sam,
Lecz duch stał u światłości bram;
Ty — mnie, ja tobie byłem dan,
Z dobrocią na nas patrzał Pan.

*(Miriam).*

### 4. O świcie.

O dni wiosennych świcie,
W różanych blaskach zorzy,
Nie ukazuje życie
Swych zawad i bezdroży,
I wszystkie jego drogi
Do piękna wiodą raju;
Wyżyny i rozłogi
W zielonym stoją maju.
Z jutrzenek łuną złotą
Zda się niebo otwiera;
Rozkoszą i tęsknotą
Łono młodzieńca wzbiera.
Dźwięk jakiś tajemniczy
W sercu mu się odzywa;
W upojeniu słodyczy
Tkliwą piosenkę śpiéwa....
I ze mną tak się działo
O życia mego wiośnie:
Coś w piersi mojej grało
I tęskno i miłośnie...
Śpiewałem upojony,
O ziemi mej i niebie.
Rodzinnych dźwięków tony,
Jak echo brałem w siebie,
I sam już nie wiedziałem,
Co szło z mej duszy własnéj...
Tęskniłem i kochałem,
Blask mnie okalał jasny.
Nie rachowałem czasu,
Czar mnie upajał miękki,
A cień padał od lasu,
Wietrzyk kradł mi piosenki. —
Rozniósł na cztery strony
I ścigać je — daremnie!...
Jam został rozżalony,
Że uszły tak odemnie....

*(W. Nawrocki).*

Z tłómaczeń poezyj E. Geibla mamy osobno wydane »Głosy czasu powtórzył po swojemu F. Y. Z.« t. j. Józef Dyonizy Minasowicz. Poznań, 1845.

## XXVII. August hr. Platen.

### 1. Chór majtków (fragment z dramatu).

Dłonie do góry!
Rozwiążcie sznury!
Minął czas nudów, ciszy ponuréj;
Znowu paradne
Fale te zdradne
Wiosłem owładnę,
Rozwińmy żagle, rozwiążmy sznury!

Naga jak żmija
Kotwicy szyja
Patrzcie! jak w ziemi łono się wpija
Zęby ostremi!
Rwijmyż ją z ziemi
Dłońmi silnemi!
Wraz nam sto wioseł takt niech wybija.

Gdy bożej łaski
Świecą nam blaski,
Śpieszmy, gdzie Jordan modre przepaski
Zlał po zieloném
Błoniu, wsławioném
Bogiem męczonym.
Mieszajmyż z fali szumem oklaski!

Sami anieli
Z drogi nam zdjęli
Skały ukryte w morza topieli;
Gwiazdy nam błyszczą;
To już nic zniszczą,
Wichry, co świszczą,
Żagli, gdzie krzyża znak świeci w bieli!

*(A. Pajgert).*

## XXVIII. Józef Krystyn Zedlitz.

### Przegląd nocny.

Pod północ dobosz się zrywa
I z grobu wychodzi sam,
Rond z tarabanem odbywa,
Bębniąc to tu raz, to tam.

I skośniałemi rękoma
Pałkami tłucze co sił
Na werbel i na pobudkę,
A w końcu na capstrzyk bił.

Dźwięk dziwny z bębna się szerzy
I silny wydaje ton,
Aż tłumy zmarłych żołnierzy
Z mogiły ocuca on.

Ci, których w lodach północy
Mróz zgnębił, zasypał śnieg,
I którzy w skwarach południa
Skończyli dni swoich bieg.

I ci, co stali nad Nilem,
Lub morską zmierzyli toń,
I z piasków arabskich wstają
I biorą na ramię broń.

I trębacz w północ się zrywa
I z grobu wychodzi sam,
Brzmi jego trąba chrapliwa
I jeździ to tu, to tam.

Wnet na powietrznych rumakach
Konnica pędzi co tchu,
W skrwawionych barwach i znakach
Rotami schodzą się tu.

I biała czaszka im sterczy
Z pod hełmu, i rży ich koń,
I długi oręż morderczy
Skośniała podnosi dłoń.

Pod północ i wódz się zrywa
I nagle porzuca grób,
Szeregi zwolna przebywa,
Sztab za nim także już trup.

Kapotą szarą odziany,
Założył ręce na krzyż,
Szedł cicho i zadumany,
Lub patrzał na grzmiący spiż.

Światełko złote księżyca
Oświeca tej musztry błoń,
Szeregi broń prezentują
I biorą na ramię broń.

Za zmarłem tem wojskiem starém
Przeciąga muzyka wciąż,
A zwolna w surducie szarym
Poważny patrzy się mąż.

Marszałków i jenerałów
Tłum wkoło wodza się zbiegł,
A wódz najbliższemu słowo
Pocichu do ucha rzekł.

Szło hasło w kolej, bo wszyscy
Wojenny odbyli chrzest,
„Francya“ to jest ich hasło,
Odzewem „Helena“ jest.

Ten przegląd dzieje się codzień
Tam śród elizejskich pól;
Pod północ go tak odbywa —
Umarły cesarz i król.

*(Br. Kiciński).*

## XXIX. Mikołaj Lenau.

### 1. Wspomnienie przechadzki.

Po długiej drodze pod słoneczną spieką,
Jakże nas wdzięcznie chłód lasu owiewa!

Jak słodko szemrzą te wyniosłe drzewa,
Które nas darzą łagodną opieką...
Gdy zostawimy poza sobą w tyle
Pola, gorącym polewane znojem,
Gdzie tyle trudów i cierpień jest tyle,
Że się duch ludzki truje niepokojem,
Jakże nam dobrze poza wrzawą świata
Być tu we dwoje wśród wdzięcznej zieleni....
Przez usta myśl się wyrywa skrzydlata,
A my, piękności hołdem połączeni,
Widzim poezyę wśród wdzięków przyrody,
Która nam rajskie otwiera ogrody.

## 2. Primula Veris. (Pierwiosnek).

Już się rozwijasz,
Pierwiosnku biały!
Najlżej ze wszystkich
Kwiatki twe spały:
Więc się zbudziłeś
Pierwszy na łące,
Rozchylasz listki
I witasz słońce.
Pierwszy ty słyszysz
Poszepty wiosny,
*Primula Veris*,
Kwiatku miłosny!

I mnie tak było
W serca ogrodzie:
Kwiat się rozwinął
Jeszcze o chłodzie!
*Primula Veris*
Kwiecie wierzące!
Wzrusza je pierwsze
Tchnienie gorące.
Wierzy, że wiosna
Zstępuje z nieba,
Że jej woń swoją
Wydać potrzeba.

Więc pierś otwiera
Na jej przyjęcie,
I marzy słodko
O wielkiem święcie,
A może chmurne
Będą niebiosa?...
Przyjdzie wiatr mroźny
I zimna rosa?...
Lecz niech kwiat więdnie
W chłodu godzinie:
Wierząca jego
Dusza nie zginie!

*(Marya Ilnicka).*

## 3. Niagara.

Jak młodości sen uroczy,
Jako blaski zórz pogodne,
Niagara prąd swój toczy
Między bory pierworodne.

Tak spokojnie cieką fale,
Że w zwierciedle czystych wód,
Las odbija się wspaniale
I gwiaździstych nocy cud.

Tak spokojnie fale cieką,
Że wędrowiec śród tej ciszy
O mil wiele gdzieś daleko
Wodospadu szumy słyszy

Lecz gdy bliżej się przysuwa
Do spiętrzonych progu skał,
Rzeka spad już swój przeczuwa,
Już ją dziki chwyta szał.

O wdzięk ziemi już nie pyta,
O blask niebios nie dba wcale,
Piękność kształtów ich rozbita
Już w stłuczonym wód kryształe.

Tak się rzeka rwie i miota,
Za fal kłębem goni kłąb,
Jakby rwała ją tęsknota
Prędzej w straszną runąć głąb.

Tak się dziko w bezdeń ciska,
Że zdaleka wprzód słyszany
Szum jej prądów głuchnie zblizka,
Bo zbyt głośno brzmią bałwany.

Tak kto do upadku kroczy,
Słuch wytęża darmo już,
Ale z dala duch proroczy
Gromy przyszłych słyszał burz.

*(A. Pajgert).*

## 4. Pieśni w sitowiu.

I.

Gdzieś za górą znikło słońce,
Usnął już zmęczony dzień;
Rzędy wierzb się chylą śpiące;
Po nad stawem — cisza, cień.

Ach jam musiał — to okrutnie
Rzucić lubą... Płyńcie łzy!

Wierzb szeregi szemrzą smutnie,
Wiatr w sitowiu lekko drży.

Oddalona, świecisz przecie
W bólu mego cichą głąb' —
Jak nad trzcin splątanych siecie,
Błyszczy gwiazda przez chmur kłąb.

II.

Mętne niebo, chmury pędzą,
Deszcz posępny, w dali grzmi,
Zimne wiatry głośno zrzędzą:
„Stawie, gdzie świt gwiazdy twéj?“

I szukają zgasłych blasków
Na jeziora ciemnem dnie...
Twej miłości jasnych brzasków
Nie zobaczy ból mój, nie!

III.

Ścieżką leśną, pełen drżenia,
Biegnę chętnie w nocnej mgle,
Gdzie sitowie staw ocienia,
Dziewczę me, wspominam cię!

Gdy wiatr zmarszczy wierzby fali,
Tajemniczo drży trzcin las;

Coś tam szepce, coś się żali,
A ja płaczę długi czas.

Bo zda mi się — słyszę lekki,
Srebrny głosu twego dźwięk,
Jak rozpływa się w dalekiéj
Gdzieś przestrzeni w śpiewny jęk.

IV.

Zaszedł słońca krąg,
Ciągną pasy chmur:
Jakie wonie z łąk,
Jaki wietrzyk z gór!

Już błyskawic skry
Rzucił chmur tych kłąb,
Ich odbiciem lśni...
Ciemna stawu głąb.

Śród ognistych fal,
Zda się, widzę cię,
I wiejące w dal
Długie włosy twe.

V.

Na jezioro ociemniałe
Leje księżyc srebrny świt,
Wplata swoje róże białe
W każdej kępy wodnej szczyt.

Sarny błądzą w leśnej głuszy,
Patrzą w ciemną dal śród drzew;

Czasem ptak się w trzcinie ruszy,
Strzepnie skrzydłem, zadrży krzew.

Płaczę, we łzach toną oczy!
Z najtajniejszych serca stron
Płynie obraz twój uroczy,
Jak wieczornych modlitw ton.

*(Miriam).*

## XXX. Justyn Kerner.

### Wędrowiec przy tartaku.

Tam za tartakiem nizko
Usiadłszy w miły chłód,
Widziałem kół igrzysko,
I ciągły spadek wód.

A widząc, jak szła piła,
Marzyłem, jakby w noc,
Bo ścieżki swe robiła
Wciąż przez sosnowy kloc.

Kloc zdawał się być żywy
Wszystkiemi żyłki drgał,
I smętne nucąc śpiewy,
Te słowa słyszeć dał:

„W sam czas jak zawołany
Przybywasz w miejsce to,
Dla ciebie znoszę rany,
Bo serce moje tną.

Po krótkiej twej podróży
Gdy skończysz z śmiercią bój,
To drzewo ci posłuży
Na szczupły domek twój“. —

Wtem cztery deski spadły
Z pod piły prosto w dół,
Coś chciałem mówić zbladły,
Lecz ustał łoskot kół.

*(Br. Kiciński).*

## XXXI. Jerzy Herwegh.

### 1. Śmierć trębacza.

Do stu piorunów! śmiertelny cios!
Ha! jakże lance już nasze,
Jak innej trąbki powiedzie głos
W bojowy taniec pałasze?

Częstoż ja stałem, stałem jak głaz
Na słocie, burzy i wietrze,
Bom się spodziewał, że przecie raz
We wolne zagrzmię powietrze.

Jam się spodziewał, kiedy bój wrzał,
Kul gradem hufce wytłukał,
Spodziewał, hukiem ogrzmiany dział,
Alem się w końcu oszukał.

Teraz, by ciała rzucając cieśń,
Dusza ma lżejszy lot wzięła,
Na mojej trąbce grajcie mi pieśń:
„Jeszcze wolność nie zginęła!“

Grajcież mi pieśń tę! nic prócz tych [brzmień!
Z niemi niech wzlecę do nieba,
A trąbkę zwróćcie mnie w sądu dzień,
Znów będzie trąbki potrzeba.

Bo kiedy zechce Bóg przed swój [tron
Wymarłe zawezwać ludy,
Toż przecie z grobów obudzić on
Musi trębaczów najprzódy.

Hej! co za radość będzie w tym [dniu:
Z cieśni się grobu wyrąbię,
Wszystkim narodom, co starczy tchu,
Przeciwko wrogom zatrąbię.

*(Adam Pajgert).*

### 2. Zdaleka.

Chciałbym ja skonać jak wieczorne zorze,
Jak dzień w ostatnim odblasku purpury;
O, słodka śmierci! tak pragnąłbym, Boże!
Krwią się rozpłynąć na łonie natury.

Chciałbym ja skonać jako gwiazda złota,
Siejąca żywą jasność brylantową;
Cicho, bez bólu i w pełni żywota,
Zapadnąć w głębię nieba lazurową.

Chciałbym ja skonać jako woń majowych
Kwiatów, z rozkosznych kielichów rozlana,
Która na lekkich skrzydłach eterowych
Kadzidłem płynie na ołtarze Pana.

Chciałbym ja skonać jak trwożliwa nuta,
Co z teorbanu struny się wydziera,
Ledwie z ziemskiego metalu rozkuta,
Na piersiach stwórcy harmonią umiera.

Chciałbym ja skonać jak rosa na łące,
Gdy na nią ognia żar poranny bije;
O, niechaj Bóg tak, jako rosę słońca,
Duszę mą życiem znękaną wypije. —

O! ty nie skonasz jak wieczorne zorze,
Ty jako gwiazda cicho nie zagaśniesz;
Duszy twej słońce nie wypije boże,
Łagodną śmiercią kwiatów ty nie zaśniesz.

Skonasz, zaprawdę! ty skonasz bez wieści,
Lecz wprzódy nędza siły twoje znęka;
Tylko w naturze mrze się bez boleści —
Serce człowieka kawałami pęka!...

*(Karol Brzozowski).*

---

## XXXII. Anastazy Grün (Auersperg).

### Łzy mężczyzny.

Ty, coś mnie płaczącego niedawno widziała,
Pomnij, o, dziewczę, że niewieście łzy
Są jak niebieskiej rosy kropla lśniąca, mała,
Co śród kielicha liliowego drży.

Czy to ją zimne wiatry chmurnej nocy zniosą,
Czy ją poranku jasna strąci dłoń:
Zawsze kwiat pokrzepiony tą rzeźwiącą rosą
Wznosi ku słońcu odmłodzoną skroń!

Ale łza, którą oko mężczyzny wylewa,
To balsam drogi, wschodnich krajów łup,
Który tajnie zamknięty gdzieś aż w głębi drzewa,
Spływa, lecz rzadko, u cedrowych stóp.

O, musisz wierzchnią korę przecinać umyślnie,
Sięgać żelazem w samą wnętrza rdzeń —
A wtenczas sok szlachetny kroplami wytryśnie,
Czysty jak złoto i jasny jak dzień!

Wkrótce zdrój ten wysycha — a drzewo rozkwita
I w sile życia długo może trwać —
Niejedną wiosnę liściem zielonym powita,
Lecz cięcie, ranę wiecznie na niem znać!

O! pomyśl czasem, dziewczę, o tej drzewa bliźnie,
O rannym cedrze śród Libanu skał;
O! pomyśl, pomyśl, dziewczę, i o tym mężczyźnie,
Który przed tobą świeżo we łzach stał.

*(Konstanty Gaszyński).*

## XXXIII. Ferdynand Freiligrath.

### Lew jeźdzcem.

Lew jest królem na pustyni, chce on państwo swe obiegnąć,
Wtedy kroczy do laguny, by w wysokiej trzcinie legnąć.
Gdzie gazelle i żyrafy wodę piją co wieczora,
Tam się czai, — drżącym liściem szumi nad nim sykomora.

Późnym zmrokiem, kiedy światło z Hotentotów chat wybłyska,
Gdy na szczytach gór zachodnich słońca przygasną ogniska,
Kiedy drzewa pochowają w sobie cienie swe olbrzymie,
Kiedy w krzakach antylopa, a przy zdroju gnu zadrzémie: —

Patrz! jak wtedy przez pustynię stąpa żyrafa wspaniale,
By ją z kurzu oplókały mętne trzęsawiska fale,
A pragnąca gdy przebiegnie nagie Karaów obszary,
Klęcząc wciąga długą szyją męty z napełnionej czary.

Nagle drgnęło coś w sitowiu, — z dzikim rykiem lew-czatowiec,
Na jej ślizki grzbiet wyskoczył; patrzcie! — co to za wierzchowiec!
Czy z was który w życiu całem posiadł piękniejsze czapraki,
Nad tę lśniącą sierść żyrafy, którą dosiadł jeździec taki?

Po olbrzymim onym koniu grzywa jeźdźca się przewija,
W muszkuły długiego karku jeździec chciwe zęby wpija,
A żyrafa z głuchym wrzaskiem nim z przestrachu zmysły zbierze,
Pierzcha — z lotu do wielbłąda, z sierści podobna panterze.

Patrz! jak sadzi przez równinę, blaskiem zbielona księżyca,
Z głębi głowy nieruchoma wystąpiła jej źrenica,
Po jej szyi centkowanej czarna krew kroplami zbiega,
A biednego serca bicie w cichej puszczy się rozlega.

I podobny do obłoku, co wiódł blaskiem Izraela,
Lub do ducha wielkiej puszczy, gdy się pląsem uwesela,
Podobny do onej trąby z morskiej wstającej przezroczy,
Taki słup żółtego piasku wirem się za niemi toczy.

Ciężkiem skrzydłem sęp chrypiący ich biegowi towarzyszy,
Śladem ich hyena bieży, gwałcicielka grobów ciszy,
I pantera, co wyniszcza kaffrowskie trzody rozbojem,
Śpieszy drogą swego króla, co znaczona krwią i znojem.

Na żłęknionych patrzy mocarz siedzący na żywym tronie,
Czerwienieją mu pazury, ząb połyska, oko płonie!
A żyrafa nieść go musi, póki tchu i siły stanie;
O, przeciw takiemu jeźdźcu próżne wierzgi i skakanie!

Daleko na krańcu puszczy, charcząc żyrafa upada,
Przed trupem własnego konia, jeździec do uczty zasiada.
A wschód nad Madagaskarem jutrzenką spowija słońce...
Tak conocnie władca zwierząt zbiega swego państwa końce.

*(K. Ujejski).*

## XXXIV. Fryderyk Bodenstedt.

### Zulejkha (z Pieśni Mirzy-Schaffy).

Ani anioły w błękitów toni,
Ani te róże na wonnej błoni,
Ani się słońca wiecznego zorze
Z Zulejkhą moją porównać może!

Anioł-miłości skry nie ma w łonie,
Róża ma cierniem w krąg wite skronie,
Noc trawi słońca wspaniałe zorze...
Nic się z Zulejkhą równać nie może!

Jak się daleko wszechświat roztoczy,
Nic jej równego nie znajdą oczy...
Piękna... miłości blasków w niej morze...
Z tobą jedynie równać się może!

*(Zdzisław Dębicki).*

## XXXV. Józef Wiktor Scheffel.

### Historya proroka Jonasza.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
(Z biblii tę powieść wziąłem)
Pił pewien prorok przez dni trzy,
Aż strąbion legł pod stołem.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Rzekł szynkarz: „Niech go kaci!
Ten prorok pije tak jak szewc,
A kto wie, czy zapłaci?“

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Rzekł szynkarz do kielnerek:
„Azaliż jaki ma ten mąż
Pakunek lub kuferek?“

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Starsza kielnerka powie:
„Zaprawdę mąż ten gołym jest,
Jak wszyscy prorokowie!“

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Rzekł szynkarz do rzezańca:
„Hej, spisać mi rachunek dla
Bożego pomazańca!“

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Rzezaniec w rzeczach biegły,
W lot kliny rylcem żłobić jął,
Cztery zapisał cegły.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Śle szynkarz dwa murzyny:
„Nieście do wieszcza cegły te,
Niech w lot te czyta kliny!“

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Skoro wieszcz cegły zoczy,
Klinem mu kliny wlazły w łeb,
Zawstydzon spuścił oczy.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Tak wyznał prorok z żalem:
„Wzdy jam ostatni przepił sykl[1])
U Mortka w Jeruzalem“.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Wpadł szynkarz w gniew w tej chwili
I rozkaz dał murzynom, by
Proroka wyrzucili.

Pod „Wielorybem“ w Joppie — hen!
Nic wieszczów nie szanują,
I płacić musi, kto chce pić,
Nikomu nie borgują!

*(Włodzimierz Zagórski).*

## XXXVI. Robert Hamerling.

### Ahasverus.

Na tle rządów Nerona maluje poeta obraz obyczajów Rzymian-pogan, pierwociny gminy chrześciańskiej oraz postać żyda wiecznego tułacza, który między innemi zjawia się i wśród chrześcian i swoje posłannictwo wyjaśnia w następnych słowach:

Tu skończył starzec — patrzy weń, jak wryta
Chrześcijan gmina — a kapłan go spyta:
„Ktoś jest?“ Kędziorów dzikich wstrząśnie nawał
Z lic nieznajomy — i z wspaniałym giestem
Odpowiedź daje: Ahaswerus jestem! —

[1]) Starożytna moneta hebrajska.

. . . . . .

Pierworodnym synem
Ja — niezrodzonych, stworzonych, — jam pierwszą
Jest latoroślą pierwszej pary w świecie.
Pierwsze na ziemi ludzkie jestem dziecię
I pierwszym byłem tu rokoszaninem.
Mną dzieje świata zostały otwarte,
Krwawo ich pierwszą zapisałem kartę.
Mnie to wprowadzić na świat było dano
Śmierć w nim nieznaną, ani przeczuwaną:
Wybiłem bramę jej przez serce brata...
Wpadła — i odtąd grasuje, jak jędza;
Jej niewolnikiem, co żywe wśród świata,
Mnie tylko — żem ją wwiódł na świat — oszczędza,
Na dank, na karę; nieraz jej wołałem
Z rozpacznym krzykiem, ze skruchą gorącą,
I zjawiała się, z twarzą chichoczącą,
Potwór, jakiego słowem nie wystawię....
A gdym ją błagał, by mnie wzięła z ziemi,
Odrzekła, szydząc: „Nie! — ciebie zostawię!
W ogólnej zmianie — ty pozostań trwałym,
Bądź nieśmiertelnym — między śmiertelnemi!
Azbestem w ogniu, korkiem w nurcie rwistym,
Skrzydłem w powietrzu, w ziemi dyamentem,
I wpośród ludzi pielgrzymem wieczystym!
Wysoko, w górze, nad wieków kurzawą,
Stąpaj po sznurze żywota napiętym,
Z czeluścią śmierci na lewo i prawo
I nie rań — chociaż cię zawrót ogarnie!“
Tutaj zniknęła. — I patrz — tę męczarnię
Ludzkości, — która napół nieświadomie,
Za niejasnego popędem pragnienia,
Przez wieki dąży do mety wytchnienia —
Wtłoczono na mnie, w jej całym ogromie,
Abym przez wieki dźwigał ją świadomie!
Cóż się na ziemski byt tu nie zacieka?
Wściekłość żywiołów godzi na człowieka,
Zwierzę go kąsa — żuk i robak toczy,
Kwiat nawet jadem poi go uroczy:
Mnie tylko szczędzi wszystko, — mnie jedynie!
Czas — jad powolny — od którego ginie
Twór wszelki — mnie się jednego nie czepi!

. . . . . .

„W ogólnej zmianie — ty pozostań trwałym,
Bądź nieśmiertelnym, między śmiertelnemi!“
Wyrzekła do mnie Śmierć w przekleństwie swojem.
I ulgą była mi w nieszczęściu mojem —
Ta pycha, z którą się naigrawałem

Z niedostatku rzeczy stworzonych na ziemi,
Przemijających przy mnie w ciągłej zmianie,
Żem się przed Bogiem ugiąć nie był w stanie,
Któż mi za winę ciężką to osądzi —
Powstają Bogi nowe nieprzerwanie
I nikną — wiecznie Ahaswerus błądzi.
Czem Neron chciał być w pysze rozhukanéj,
Neron — syn prochu i śmierci poddany —
Ja tylko jestem. On, z zarozumieniem
Nędznem, chciał wydąć do nieskończoności
Swój byt doczesny woli swojej tchnieniem,
I głupio zgrzeszył — przeciwko boskości! —
Co przywilejem ludzkości udzielnym
I moim, jako jej odzwierciadlenia,
To chciał mieć: chciał być boskim, nieśmiertelnym!
. . . . . .
Jak długo jeszcze tlić będzie wśród cienia
Ludzkiego ducha, to nieugaszone,
Ciche, w tajemnic spowite zasłonę,
Pragnienie śmierci, — będące tem iście,
Co i najwyższe życia upragnienie;
Przebijające się nawskroś wieczyście
Przez wszystkie bytu ludzkości przemiany,
Nie znajdujące tu zadowolenia,
Wiecznie do mety ostatniej nieznanéj
Dążące? O tak, każdemu stworzeniu
W wiecznej tęsknocie tutaj żyć kazano
Do ukojenia, — jakiekolwiek miano
Nadaje mu w swem gorącem westchnieniu:
Doskonałością czy je zwie, czy Bogiem,
Niebem, czy szczęściem! I do celu tego,
Do ukojenia celu ostatniego,
Duch ludzki dąży z ciągłym niepokojem.
Jednostka może znaleść ostatecznie
To ukojenie — w łonie śmierci błogiem,
Lecz ludzkość musi żyć i dążyć wiecznie
I walczyć! — Tej zaś męczarni ludzkości, —
Która wśród wszystkich zmian swego istnienia
Wiecznej tęsknoty nie może uciszyć,
Znaleść spoczynku, ni zadowolenia, —
Przez lat tysiące długich towarzyszyć,
To jest okropnem przeznaczeniem mojem!
Bywają wieki mętne, gdy o kształty
Nowe byt walczy, kiedy się domaga
Nowych form dla się i przeobrażenia;
Wtedy bezsenna ta żądza wytchnienia
W dziką męczarnię w mej piersi się wzmaga,
I prze do czynu potężnemi gwałty.

Wówczas się rzucam w wrzące życia fale,
Budzę, podniecam, — co się chwieje, walę,
Na koło czasu całą cisnę siłą,
Aby się prędzej naprzód potoczyło!
Ja to — by zamęt nie trwał nazbyt długo,
Skrzydła przypinam rozwiązania chwili —
Bo kiedy czas ten szkaradny przeminie,
I ludzkość znajdzie, za moją posługą,
W nowej postaci bytu — ukojenie:
To się i do mnie uprzejmie przymili
Chociaż chwilowo, choć krótkie wytchnienie,
W którem tęsknoty mej prawie zapomnę.
W ustronną wtedy kryję się jaskinię
I w sen zapadam rozkoszny, głęboki:
Aż gdy tak wieków przepłyną potoki,
Budzę się znowu — i czem jestem, wspomnę,
Wspomnę o moim nieśmiertelnym bycie,
I gotów w drogę, znów wychylam głowę
Z ciemnej jaskini tej, na światło dniowe:
By ujrzeć, spytać, czy to ziemskie życie
Jeszcze zmian wiecznych sobie nie sprzykrzyło,
I czyli jeszcze — jak od wieków było, —
Niewiasty ciągle rodzą niemowlęta?
I dziś nadzieja słodko uśmiechnięta
Takiej spoczynku chwili krótkiej, małéj —
Choć zdala jeszcze, — zda mi się migotać!
Bo straszne czasy znowu przeszalały
I pomagałem Tytana zdruzgotać,
Który wykarmił w sobie ducha wieku
W demona, w potwór, na swej pychy mleku;
I na ludzkości postawił się szczycie
Jak posąg bóstwa — pokąd stał zuchwały
A dziś w upadku olbrzymio wysoki
Pomnik grobowy strasznej swej epoki!

*(Wł. Ordon).*

## XXXVII. Rudolf Baumbach.

### 1. Po siedmiu latach.

Jabłoni stara, jeszcze trwasz?
Czas nie dał się we znaki?
Ów domek wśród gałęzi masz?
A są w nim jeszcze szpaki?

— „Ej — rzekła — domek jest ten sam
Lecz zmian w nim znajdziesz nieco...
Tak zawsze — wróble rządzą tam,
Skąd szpaki w świat odlecą!“

Sąsiadko, witaj!... Co mi świat!...
Włóczęga już odbyta...
O!... zostawiłem w pączku kwiat,
A róża dziś mię wita!

„Patrz — rzekła — już obrączkę mam“...
Ha! tom się spóźnił nieco.
Tak zawsze — wróble rządzą tam,
Skąd szpaki w świat odlecą.

## 2. Kurz.

Największym wrogiem w życiu jej był kurz.
Oto spoczywa w mogile —
I dziw, że na jej grobie zamiast róż
Miotełnie sterczą badyle.

Z brzaskiem ująwszy w dłoń miotełki pręt,
Jak dom szeroki, dzień długi,
Pędzała kurze ze sprzętu na sprzęt
I z jednej izby do drugiéj.

Dwóch zmarło mężów okurzanych wciąż,
Tkniętych chorobą piersiową.
Zemknął szczęśliwie w porze trzeci mąż
Ze zdrową płuc choć połową.

A gdy dobiegła wreszcie kresu lat,
Z ludzkiego gwaru i tłoku
Duch jej uleciał kędyś w lepszy świat
W szarej kurzawy obłoku.

Oto ją przyjął do swej chwały Bóg.
Świat ją obchodzi niewiele:
Kurz codzień zrana zmiata z „mlecznych dróg“,
Gwiazdy okurza — w niedzielę.

*(Czesław).*

# XXXVIII. Juliusz Wolff.

## Trzy dziewoje.

W młodzieńczej krasy miłosną sieć
Dziewcząt wraz wpadło troje...
Chłopca dla siebie każda chce mieć,
Serce mu oddać swoje.

„Biada! jak kolc ten wdzięczny kwiat,
Tak miłość twa ból skrywa...
Szukaj innego... szeroki świat...
I z innym bądź szczęśliwa!“

Rankiem przychodzi doń pierwsza z dziew
I różę niesie w dani...
Ledwie ją ujął — już tryska krew —
Boleśnie cierń go rani.

W południe druga przychodzi doń
I pierścień w darze składa....
Zaledwie jednak ujął go w dłoń
Dar w szczątki się rozpada.

„Wszak wartość złota nie wszystko ma
Co świeci — tak jest złudną
Twa wierność, jako pierścień ze szkła...
Trudno w nią wierzyć... trudno!“

Trzecia po zajściu wieczornych zórz
Nadeszła, szepcząc skrycie:
„Nic nie mam, jednak na zawsze już
I serce dam i życie!“

W gasnących blaskach dwie widział łzy...
Widział, jak twarz jej bladła...
Izdebkę mroku zasnuły mgły....
Czuł, jak na pierś mu padła.

Wziął ją w ramiona i w uścisk wlał
Wszystkie swej duszy siły...
Do piersi tulił — ach, długo trwał
Ten uścisk... aż do mogiły!

*Władysław Naurocki.*

# VIII. HOLANDYA.

## I. Jost van den Vondel.

### Ustęp z poematu „Nurty Renu“.

Renie czcigodny! w mój sen upowity,
Jakąż cię pieśnią wielbić się ośmielę?
Renie! twe źródła Alp widziały szczyty,
Rodzinne miasto u twych stóp się ściele [1].
Europy sercem tobie być sądzono!
Brata straciłeś u progu istnienia,
Bo ledwo matki wydało was łono,
Już Dunaj bieg swój ku wschodowi zmienia —
I tak z lodowej wyrwanych pościeli
Los was rozerwał i ziemia was dzieli!

Germanów ziemię mrok nocy pokrywa
A duch ciemności ponad nimi krąży.
Nagle Germania do lotu się zrywa,
W karnych zastępach już do światła dąży.
Tyś wtedy, Renie, odważył się szczerze
Potężnym ciosem aż na Rzym uderzyć,
Kiedy Konstantyn i dzielni rycerze
Tybru potęgę i twą chcieli zmierzyć,
Wtedy też wydarł odwiecznemu państwu
Odwieczną sławę, wydarł ją pogaństwu.

Radości wtedy brzmiały pieśni wkoło,
Gdy odbierały wody twe chrzest święty,
A nawet Jordan chylił swoje czoło,
Gdy pod Chrystusa jarzmem stałeś zgięty.

[1] Kolonia, gdzie Vondel się urodził.

Lecz nie tak twardy był krzyż Chrystusowy,
Jako ten ciężar, któryś wtedy dźwigał,
Gdy wielki Cezar swój zastęp bojowy
Rzucił na ciebie, wszędy śmiercią ścigał.
Pięćdziesiąt zamków, co Druzus budował,
Twój brzeg pochwycił, twój piasek pochował.

Jak swojej wiary ty dotrzymasz! Oto
Los cię miał wkrótce wystawić na próbę;
Lecz ty wyszedłeś tak czysty, jak złoto,
Kiedy Attyla dziki szerzył zgubę.
Gdy krwią przelaną wezbrały twe fale,
Gdy w twem łożysku z trupów wał wyrasta,
Gdy pychą pijany on stąpa zuchwale,
Łupi i grabi popalone miasta,
Z pochodnią w ręku gdy toruje drogę,
Siejąc wokoło mordy i pożogę.

Zdławiony tylko krzyk twa pierś wydała,
Na pomoc wzywasz niebo płomieniste,
A nie napróżno prośba twa wzlatała,
Bo nadszedł Karol — i znów brzegi czyste.
On wygnał dzikie, obce szumowiny,
Wznowił, co niegdyś Konstantyn utworzył,
Wolne już teraz twoje są głębiny,
Zakwitło wszystko i kraj cały ożył,
A w reńskiej twojej okolicy możnéj
Obrał stolicę ten rycerz pobożny.

Renie! przez ciebie młyńskie koła warczą,
Tyś budowniczym, spławu gospodarzem,
Państwa granicą i obronną tarczą,
Miłego wina ty jesteś szafarzem!
Spraw, niechaj młyny dadzą mi papiery,
Bym mógł twą sławę opiewać na wieki!
Wody twe budzą taki zapał szczery.
Tak moje zmysły pędzą w kraj daleki,
Że na twej fali jestem jak łabędzie,
Które liść winny nęci k'sobie wszędzie.

*(W. Trąmpczyński).*

## II. Wilhelm Bilderdijk Tijm.

### W samotności wieczorem.

Oto już mi zniknąłeś, dniu, pełen radości,
Próżnobym cię przywołać chciał tęsknoty siłą!
Z tobą zniknęło razem szczęście mej miłości,
Jak słońce twoje jasne, co w morzu się skryło.

W ciemności teraz oko pola nie dostrzega
Zimowej, smutnej nocy surowa bogini
Sprawia, że ból miłości bardziej ci dolega
I że serce cierpiące nieszczęśliwszem czyni.
O, straszliwa ty nocy! Gwiazdy to mamidła!
A wzrok mój tylko z gniewem wielkim ku nim bieży.
Czemuż ty, nocy, wieszasz fałszywe świecidła
Przy ponurej tej swojej żałobnej odzieży?
Ja ich nie pragnę wcale, tych gwiazd, co wysoko
Puste i czcze i zimne błyszczą na twem niebie,
Bo życia mego gwiazda — to Melindy oko
Jesteś błogosławiony, gdy spojrzy na ciebie!
Tak! szczęsny, komu gwiazdy miłosnych promieni
Ani chmura nie zaćmi, ani mgła nie skryje,
Komu blask jej męczarnie w rozkosze zamieni
I komu w bólach nocy jeszcze łuną bije.
O, serce gorejące! Czemuś ty lękliwe,
Kiedy noc swoim kirem tę ziemię powleka?
Dlaczegoż ty się żalisz później, nieszczęśliwe,
Że dzień jest taki krótki, tak szybko ucieka?
A jednak to był słodki dzień, gdy w swojej dłoni
Dłoń jej lubą trzymałeś i gdyś tulił drogą,
Gdy tak słodkich całusów ona ci nie broni,
Że aż sam nie wiedziałeś, iż tak palić mogą.
Blask, co jej oczy siały, był ci życia treścią,
Widzisz w nich los swój cały, w nich szukasz zbawienia,
Wtedy tyś ją nakłonił zmiękczoną boleścią
Do współczucia wielkiego dla twego cierpienia.
Więc raczej teraz hamuj nad rozłąką żale,
Nad tą długą rozłąką, co trwa aż do zorzy,
Długie nocy godziny przebolej wytrwale,
A nowe światło wkrótce radość ci otworzy.
Zmiłowanie ci niesie ten dzień, który świta
I który twe cierpienia z serca ci wypłoszy,
Poranek cię znów w lubej objęciach powita
I męczarnię twą zmieni na morze rozkoszy.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## III. Mikołaj Beets.

### Gdy dzieci podrosną.

Gdy dzieci już podrosną o! drogi przyjacielu,
Ty będziesz miał spoczynek po troskach życia wielu.
I chociaż włos zbieleje, twarz zmarszczką się pokryje,
To i cóż w tem jest złego, gdy młode serce bije!

Trzech chłopców, cztery dziewczyn — to ładna jest gromadka,
Najstarszy lat piętnaście, najmłodsze karmi matka,
A nieustanna piecza jesienią czy to wiosną
Jest stale twym udziałem! Lecz dzieci te podrosną!

Zamknięty dla przyjaciół, bo czas twój ci pożera
Ten kłopot o swe dzieci i o nie troska szczera;
Paleta w kąt i książka, ni czytasz ni malujesz,
Niech tylko dzieci wzrosną, to wszystko powetujesz!

Poślubna moja podróż nie była długą zgoła,
Ot! z domu do parafii, a potem do kościoła,
I po dziś dzień nie znamy, co są te w świat podróże,
Lecz kiedyś.... Bóg dozwoli — gdy dzieci będą duże.

Do obcych dążąc krajów, pół szczęścia doznawałem,
Bo myślą mą i sercem przy żonie zostawałem,
Wróciłem wnet do ciebie i do tej małej rzeszy,
Gdy dzieci nam podrosną — wycieczką Bóg pocieszy!

Com znalazł w świecie, wskażę — piękności tych szeregi,
Nad Ren cię poprowadzę i nad Mozeli brzegi,
Zobaczysz Szkocyę, Francyę, wszystko, co dusza marzy,
Przepychy świata ujrzysz, gdy już będziemy starzy.

Gdy dzieci będą duże! Nie! nie patrz tak się zblizka
Masz taki uśmiech, droga, że z niego łza przebłyska.
Gdy dzieci będą duże!... Toć kres nastąpi przecie,
A wtedy, ukochana, zakwitnie raj na świecie!

I większa, coraz większa ta dziatwa wyrastała
Lecz zanim jedna wzrosła, już druga przybywała.
Witam cię, czwarty synku, przybywasz w porę w gości
I ty urośniesz dużym w spokoju, szczęśliwości.

Z radością matka wita, więc bądźże ty bez lęku,
Wszak tylu wychowała już ona na swych ręku!
O Boże! Nagle życia przerwały się ogniwa!
Dzieci wzrosły, lecz matka już w grobie spoczywa.

*Wł. Trąmpczyński.*

## IV. Henryk Jan Schimmel.

### Swoboda.

„Główka w skrzydłach? Tak rzewnie? „Główka w skrzydłach! Masz przecie
„Taka żałość rozlana? „Pożywienie obfite!
„Czy chorujesz, lub tęsknisz, „Tak wspaniałą masz klatkę,
„Ty, ptaszyno kochana? „Miękkie gniazdko uwite!“

— „Ach! w dalekich przestworach
„Śpiew rozgłośny tu słyszę,
„Widzę, jak się hen! w chmurach
„Nasze ptaszę kołysze!
„Gdybym mogła wraz z niemi
„W tym radosnym szeregu
„Pędzić z krzewu na krzewy
„I nie wstrzymać już biegu,
„Gdybym mogła wraz z niemi
„Spaść w daleką dolinę!
„Wtedy pieśń mą wyśpiewam
„I skrzydełka rozwinę!“

—„Główka w skrzydłach! — tak rzewnie!
„Taka boleść rozlana!
„Ty chorujesz — ty tęsknisz,
„Ma ptaszyno kochana!“

*Wł. Trąmpczyński.*

## V. G. J. A. M. Schaepman.

### Vondel.

Dumny, piękny Amsterdamie,
Przesuń się przed okiem mem,
Ty, coś niegdyś w siebie chłonął
Wszystkie skarby wszystkich ziem!
Wstań, północy ty Wenecyo,
Zmierzchłych wieków odchyl grób,
Mgłę przeszłości w dziennym blasku
Zerwij, ułóż u twych stóp.

Ukaż nam się pełna siły,
Dawnych wieków przepych wdziej,
Niechaj wstaną twe mieszczany,
Dumni tak z potęgi swej;
Bo choć życie wre dziś w tobie
I nieprędki zimy wjazd,
Przecież nad młodości dniami
Najpiękniejsza świeci z gwiazd.

Twe drzemiące obudź syny,
Niderlandów dumę, skarb,
Tych, co Rembrandt ich uwiecznił
Czarodziejstwem swoich farb.
Wszystkim, którzy ci koroną,
Wdzięczna uchyl twoich bram
I przywołaj twego piewcę,
Jeszcze Vondla zwołaj nam.

Vondel! Wieszcz to niezrównany,
Dusza pełna pieśni, barw,
Jakby echo dziękczynienia,
Co z eolskich płynie harf;
Wieszcz, co zakuł w ziemskie kształty
Ideału wieczny szczyt
I pobożnie uznał niebo
Za jedyny prawdy świt.

Tylko wieszczom prawdę badać,
Ideały mędrców znać,
Bez mgieł wszelkich, bez obsłony
Najjaśniejszy promień brać!
Tylko wieszcze mierzą ziemię,
Co nam skryte — widne im!
I szybują na przestworza,
Gdzie nie kazi ziemski dym.

Prawdę poznać, wiecznie piękną,
Jej koroną zdobić skroń,
Płomieniami ją otoczyć,
Jakie niebios chowa toń,
Prawdę poznać i rozbudzić
Zagrobowy życia brzask —
To geniusza dar jest wzniosły,
Najpiękniejsza z boskich łask.

Dumny, piękny Amsterdamie,
Przesuń się przed okiem mem,
Wstań ty, perło, zdobna w laury
Niderlandów sławy ziem!
Ukaż mi się — niech powiewa
Mgła przeszłości u twych stóp,
Ukaż dawne twe mieszczany!
Otwórz Vondla zimny grób!

Wtedy zabrzmią wokół dźwięki,
Tego wieszcza, — niby dzwon,
I uderzą ci z przeszłości
Z obecnymi w jeden ton;
Bo choć śmierć nad światy rządzi
I nad wszystkiem władzę ma,
Jeden geniusz nie umiera,
Wieszcz prawdziwy wiecznie trwa!

*Wł. Trąmpczyński.*

## VI. W. L. Welter.

### Cichy ból.

Na puszczę w zbitych płatach
Opada ciężki śnieg,
A ołowiane chmury
Wichr w dziki wprawia bieg.
Na niezmierzonej puszczy
Jedyna chatka tam,
Staruszka — matka modły
Śle aż do niebios bram.
We Francyi obcych krajach
Taż sama burzy moc,
Kostniejąc z zimna żołnierz
Sprawuje wartę w noc.
O domku myśli cichym,
Co w puszczy jeden stał.
Też-same gęste chmury
Wichr w jego strony gnał.
Staruszko śnieżnobiała,
Przecz księga w ręku drży?
Co znaczy łza w twem oku?
. . . . . .
Czyż już bezdzietną ty?

*(Wł. Trąmpczyński).*

## VII. Soera Rana (Terburgh).

### Trzy klejnoty.

Wykute na ogniu, misternej roboty,
Miał kupiec na składzie trzy złote klejnoty.

Z nich pierwszy wpadł panu młodemu do ręki;
Ten włożył go lubej na palec maleńki.

Łez wiele płynęło z ust matki niebogi,
Gdy w drugi ów klejnot wkładała włos drogi.

A trzeci, co w krzyża przybrany był znamię,
Ozdobą jest żony, co wiarę swą kłamie.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## VIII. Laurillard.

### Kościołek.

Uroczyście i spokojnie
Ten kościołek się tu wznosi.
Rzekłbyś, że tu psalm skamieniał
I modlitwę niebu głosi.

Wieża w niebo milcząc strzela
I ku niebu nas kieruje;
Jest, jak wzrok nasz, gdy przed sobą
Promień światła nagle czuje.

I zrozumie łatwo człowiek,
Co oznacza ta przestroga:
Z góry płynie łaska wszelka,
A do światła — ta jest droga!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## IX. Ludwika Stratenus.

### Pieśń ludowa.

Kędy brzeg morskie fale trąca,
Rozerwać pęta wciąż się sili,
Gdzie w morze ryje się głęboko,
By poskromionym być w tej chwili,
Gdzie nimfa cicho pieśń swą nuci,
Gdzie morskie piękne jest wybrzeże,
Tam Niderlandów ległeś skarbie,
A twej potęgi morze strzeże!

I choć ubogi, bez Alp szczytów,
Bez wodospadów i otchłani,
Choć wulkan żaden z swym kraterem
Nie przypadł tobie nigdy w dani,
Ty w wnętrzu swojem lawę kryjesz
I taki ogień z ciebie zionie,
Że twoje syny zawsze kącik
Znajdą dla ciebie w swojem łonie.

I czy na lądzie czy na morzu
Twój syn wysoko sztandar nosi,
Czem są i będą Niderlandy
On śmiało przed Europą głosi.
Nie znają trudów, ni obawy,
U stóp twych kładli morze, ziemię,
A z hołdem legło już przed tobą
Pobitych ludów często plemię.

My zaś, współczesny lud ci wierny,
Gdy obce wojny już wawrzyny,
Wiecznej trwałości w znak przymierza
Dłoń ci dajemy, twoje syny,
Ufni w twą siłę i potęgę;
Dłoń wyciągają wszystkie stany
I płaszcz królewski Niderlandów
Ślubują nosić nieskalany!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## X. Albert Verwey.

### Misterya gwiazd (z „Persephony“).

Niezrozumiałą, cudną pieśń
Śpiewają gwiazd miliony,
Lecz jakiś magik, w polu śpiąc,
Uchwycił raz te tony.

Kołyskę on nad Tybrem miał
I śniąc swe sny urocze,
Widział, jak gwiazdy płyną doń
I chylą swe warkocze.

Samotny ujrzał w cichą noc
Mruganie gwiazd w eterze,
Więc spisał pieśni cudny ton
Znakami na papierze.

Gdy rankiem ciemność złamał świt
I wzeszło słońce rano,
Przed sobą próżny spostrzegł trud,
Zagadkę niezbadaną.

I odtąd szukał magik wciąż
Tych znaków, ach! zaklęcia,
I szukał nocą, szukał w dzień,
Ha! próżne przedsięwzięcia!

A gdy umierał, cicho rzekł
Słów kilka gwiazdom w niebie;
Wtedy to on czarowną pieśń
Usłyszał wokół siebie.

Lecz odtąd wiecznie ludzka myśl,
Gdy gwiazdy ciągną blade,
Chce poznać dziwną znaków treść
I śpiew ów, tę szaradę.

Płynący z góry lekki wiatr
Ma cudne tony w szumie,
Słyszy je każdy, ale nikt
Ich treści nie zrozumie.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## XI. G. Jonckbloet.

### Przy śmierci matki.

Ścisnąłem jej rękę i ciche śląc skargi,
Jam czekał na ostatnie już śmierci przybycie.
Widziałem, że modlitwę szepcą blade wargi,
Że modły to ostatnie, że uchodzi życie.

Ach! wszystkie jej kłopoty były mi w pamięci,
I to wtedy wspomniałem, że za troskę całą,
Za trudy i za dobroć, za najlepsze chęci
Nie płaciłem wdzięcznością, jak to należało.

O! niezgłębionych cierpień pokutne przędziwo!
Gdy ty żegnałaś, matko! powłokę cielesną,
Ja w wiernem mojem sercu czując miłość tkliwą,
Bezsilny stać musiałem z mą skargą bolesną.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## XII. K. M. Pol De Mont.

### Dopókiż.

Panie!
Czy przymusu długie trwanie?
Długoż jeszcze ludzkość cała
Będzie ducha uginała
Niewolniczo?
Zewsząd krzyczą
W głos strumienie krwi ohydne,
Wszystkim widne,
I po nocy nas dolata
Krzyk rozpaczy, Abla brata!
Zemstą wionie świat w wsze strony,
Rozpacz dławi matki, żony,
Łzą sierocie, starcom nędzą
Głosy zemsty przez las pędzą;
Z wschodu aż ku zachodowi
Ucho zemsty okrzyk łowi.
Grody spalone,
Sioła zburzone.
Każdy gotów kąpać chciwie
Ręce swoje w zemsty żniwie!
W tej wielkiej męce
Ku Tobie ręce
Wznoszą się z bólem, skargą i płaczem,
A głos zamiera, tylko cichaczem
Z tej marnej ziemi płynie wołanie:
Daj sprawiedliwość, daj zmiłowanie!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## XIII. Helena Swart.

### Rada.

Nie całuj wargi, która ci się broni,
I nie ucz serca, gdzie żądze śpią z cicha,
Bić w takt nadziei, nie obudzaj licha,
Ni wzrokiem sięgaj do modrych ócz toni;

Nie przyciskaj tak ciepło tej dziewczęcej dłoni,
Nie otulaj ramieniem, kiedy ona wzdycha,
Choć oko jej powabne na spojrzenia czyha.
Życie daje — gdy myśl twa za zabawką goni.
Więc nie wzbudzaj miłości, gdy jej w tobie niéma,
Ręka jej drży, ucieka, choć ją w twojej trzyma.
Podobna jest do ptaków, co w strachu przysiadły.
Nie wywołuj rumieńca, gdy usta pobladły.
Weź inne drzewo, z niego zerwij sobie liście,
Jej pozwól białość lilij donosić wieczyście.

*(Wł. Trąmpczyński).*

# IX. SKANDYNAWIA.

## A) Szwecya.

## I. Olof Dalin.

Kiedy już wszystko utonie w ciszy,
Dążę, gdzie strumyk srebrny się żłobi,
Rozmawiam z sobą — nikt mnie nie słyszy,
Ani użytku z mych słów nie robi.
Promienie rzuca w krąg księżyc blady,
Modrzą się wzgórza, pola, rozłogi,
Mnie w woni lasów wiodą dróg ślady
Nie tam, gdzie dworskie wspaniałe progi.

Zdala od zgiełku, od ułud świata,
Który w swem wnętrzu nienawiść chowa,
Błądzę, gdzie ludzka złość nie dolata,
Gdzie szum drzew szepce przyjaźni słowa.
Więc moją radość cóż może psować
I co zatruwać jeszcze me serce?
Ach! jedno tylko. Wciąż tak wędrować
Chciałbym ja przy niej, przy mej pasterce!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## II. Izajasz Tegner.

### 1. Gwiazdy.

Na pustyni mej drogi gwiazd liczne orszaki
Srebrzystym swym uśmiechem witają me oczy;

Czemuż ja nie mam skrzydeł, jako lotne ptaki,
Żeby swobodnie wznieść się aż w ten świat uroczy!
Na obłoku złocistym, co przepływa w cieni,
Anioł mi się ukazał: trzyma arfę w dłoni,
Nachyla się, już spływa do ziemskich przestrzeni;
Boskie jego spojrzenie, a święty blask skroni.
Ujął arfę i śpiewa i w jej struny trąca,
Szmer wiatru pienia jego cudnie rozprzestrzenia;
Ach! teraz cię poznaję, pieśni czarująca,
Nieraz słyszałem ciebie w krainie marzenia.
Pamiętam, kiedyś tego widziałem anioła,
I z gwiazd tych bracia jego do mnie się ozwali,
A dzisiaj jam samotny, tęsknota dokoła
Ściga mię w tłumie ludzi i od niego wdali.
A te anielskie śpiewy, te stropy gwieździste
Obudzają w mej duszy przeszłości pamiątki.
Ach! w te kraje harmonii i w te sfery czyste
Pozwólcie mi, anieli, unieść ducha szczątki.

*(Stanisław Budziński).*

## 2. Frytjof, saga skandynawska.

Dzielny Frytjof, syn wolnego kmiecia Torstena z Framnasu, ma sobie obiecaną przez króla Bela jego córkę Ingeborgę w małżeństwo. Ale po śmierci króla, synowie jego, Helge i Halfdan, odmawiają Frytjofowi ręki siostry. Zasmuceni tą odmową kochankowie, widują się w świątyni Baldera, co Helge uważa za zniewagę tego boga i za karę rozkazuje Frytjofowi udać się do Angantyra, władcy wysp Orkadzkich, i wymódz na nim uiszczenie zaległego haraczu. Śmiały Frytjof wyrusza na niebezpieczną wyprawę, a tymczasem Helge zaklęciami wywołuje burzę na morzu. (Śpiew X).

Pociemniały niebios kręgi,
Grzmot się z trzaskiem w górze rwie,
Siwej piany szumią pręgi,
Czarny odmęt dziko wre.
Drą pioruny chmurne zwoje,
Krwawych węży błyska prąd,
Morskich ptaków trwożne roje,
Krocząc, pędzą z wód na ląd.
„Bracia! źle się dzieje,
Okręt idzie wstecz,
Skrzydło burzy wieje,
Ale z strachem precz!
Inborg! żyj bez trwogi
I w gaju i w snach, —
Pięknaś jako bogi,
Pięknaś w srebrnych łzach!“
Pędzą mary dwie,
Zmódz Ellidę[1]) chcą:
Mroźna Wieja, z nią
Śnieżna Zaspa rwie.
Wtem rozwinął loty swoje
Dziki wicher, w czarnem dnie
Wrąc, wyrzucił modre zwoje
I w strop niebios bryzgnął je.
Na bałwanich kłębach wspięty
Szyk straszydeł pędzi wcwał,
W szumną pianę owinięty
Z bezdennego grobu wstał.
„Piękniej morze lśniło
Po miesiącu nam,
Piękniej jechać było
Do Baldera bram[2]),

[1]) Ellida — nazwisko łodzi Frytjofa.
[2]) Dla widzenia się z Ingeborgą.

Bielsza niż te piany
Pierś Inborgi mej,
Cieplej w czas różany
Tam, przy sercu jej.

Solundara[1]) już
Wstaje z morskich pian,
Tam szalonych burz
Port wszechwładny pan.
Ale Witing gromi fale,
O dębowe wsparty dno,
Steru ima się zuchwale, —
Wycie wichrów bawi go.
Żagle skiełznał, w karne dłonie
Ujął cugle lnianych uzd,
I na Zachód mknąc przez tonie,
Kraje morze w pasy brózd.
„W udry iść z burzami
Frytjof serce ma!
Norman z piorunami
Jedne piosnki gra.
Inborg-by skraśniała,
Gdyby burza stąd
Trwożnego zegnała
Orła jej na ląd".

Ale rośnie wał,
Kipi otchłań wód.
Wicher liny rwał, —
Trzeszczy wręgów spód.
Niech wściekają się bałwany,
Niech się góry piętrzą z fal,
Bok Ellidy zhartowany
Mimo wichrów pomknie wdal.
Chyżo morzem się przemyka,
Jak na niebie gwiazdy rzut,
Jak po skałach koza dzika
Skacze z głębin na szczyt wód.
„Słodszy całus ukochanej
Śród Baldera był gontyny,
Niż tu z śniegiem pomieszanej
Piany słonej szumowiny.
Lepiej, słodziej twarz przy twarzy
Objąć smukła cię, królewno,
Niż u steru stać na straży,
Cisnąć gwałtem zimne drewno".

Lecz wciąż wicher wył,
Śnieg zaczernił świat,
Tarcze, pomost skrył
Napiętrzony grad.
Cały okręt noc okryła,
Szczyty masztów giną w ćmie,
Wkrąg rozległa się mogiła
Straszna, jak przy zmarłych śnie.
Z fal straszydła niezbłagane
Okręt w przepaść wtrącić chcą.
Osypany w pyrzyn pianę
Grób roztwiera paszczę swą.
„Modre ściele łoże
Rana[2]) w czarnem dnie,
Lecz mnie wabi hoże,
Inborg, łono twe!
Wiara! w dłonie wiosła,
Wzmódz Ellidę czas!
Ona bogi niosła,
Toż ocali nas.

Wpadł spieniony wał
Przez okrętu tył,
Co napotkał, rwał,
Pomost czysto zmył.
Frytjof ściągnął kolc z ramienia,
Co trzy marki złota miał,
Lśnił, jak ranny błysk promienia
(Bel w nagrodę mu go dał);
I tnie szybko na połowę
Mieczem, dziełem karlich rąk,
I bojany okrętowe
Po kawale dzieli wkrąg.
„Kto ślub zawrzeć pragnie,
Niech ma hojny dar;
Modrą Ranę nagnie
Łatwo złota żar.
Uścisk jej to kleszcze,
Całus — istny lód;
Lecz blask złota zyszcze
Nam dziewicę wód".

W nowej wściekłej grze
Wicher groźbą jękł,
Wnętrzne grodzie rwie, —
Maszt na dwoje pękł.

---

[1]) Jedna z wysp Hebrydzkich u brzegów Norwegii.
[2]) Żona Egira, boga mórz.

Czoło statku już zalane,
Mknie potopem nowy wał,
Skrzypią pompy spracowane,
Lecz mocniejszy wirów szał.
Frytjof nawet już struchlały
Śmierć z pokładu widzi tuż;
Lecz nad wichry, wściekłe wały
Głośniej ryknął gromem burz:
„Bjernie! tu, do wiosła,
Schwyć oburącz je,
Burza ta nie wzrosła
Z woli bogów, nie!
Czarów to mamidła,
Pewnie nędznik nam
Zaklął Helg straszydła —
Chcę obaczyć sam“.

Niby kuna, w skok
Wszedł na masztu drąg
I z chmur rzuca wzrok
Po obszarze wkrąg.
„Przed Ellidą widzę w dali
Wieloryba groźny kłąb,
I dwie mary mkną na fali,
Piana pryska z strasznych gąb.
Jedna Zaspa w kudłach z śniegu,
Zda się, biały niedźwiedź mknie, —
Przy niej Wieja w wściekłym biegu.
Niby orzeł skrzydłem tnie.
„Czas, Ellido, pono
Znak niezłomny dać,
Czy dębowe łono
Na odwagę stać.
Słuchaj głosu pana:
Z bogów wiedziesz ród,
Niech twa pierś miedziana
Zgromi dziwo wód!“

I na pana głos
Wspięta, jako dąb.
Straszny mierzy cios
W wieloryba kłąb.
Krwawy strumień tryska z rany,
Krąg zatacza w niebios tle,
Głucho ryczące dziw zalany
Śpieszy konać w morskiem dnie.
Z bohaterskich rąk dziryty
Dwa rzucone świsły tuż:
Biały Niedźwiedź w pierś przeszyty.
W serce Czarny Orzeł burz.
„Niech Ellida żyje!
Z twego-m ciosu rad,
Niech w dnie krwawem gnije
Helga straszny gad.
Zaspa z Wieją razem
Niech się liżą z ran,
Niestrawnem żelazem
Paść się — cierpki stan“.

Frytjof pomyślnie wywiązuje się z zadania, ale gdy wraca z wyprawy, zastaje swoją siedzibę zniszczoną, a Ingeborgę wydaną za sędziwego króla Rynga. Uniesiony żądzą zemsty, napada na Helga w świątyni Baldera i niechcący podpala ją Za tę zbrodnię zostaje skazany na wygnanie. Czując się winnym względem boga, poddaje się surowemu wyrokowi.

Po trzech latach korsarskiego żywota Frytjof uczuwa nieprzepartą chęć zobaczenia Ingeborgi; przebrany zjawia się na dworze króla Rynga. Ten poznaje go, ale gościnnie zaprasza do stołu.

„Królowo! z win najlepsze w ten puhar hojnie lej,
Śmiem wróżyć, że gość zimę w krainie spędzi mej.
Królowa róg ze stołu ujęła w śliczną dłoń
(Przecudny był to klejnot, zerwany z turzych skroń,
Z toczonych nóg srebrzystych obręcze złote lśnią,
Z nich dziwy przedświatowe w runicznych znakach skrzą).
Wręczając puhar z winem, schyliła wstydną skroń,
A puhar drżał w jej ręku i oblał nieco dłoń;
Jak łuna zórz wieczornych odbita z lilii tła,
Tak z ręki jej śnieżystej purpura w kroplach drga.

Wesoło gość róg przyjął, dziękczynny czyniąc ruch,
Dziś róg ten byłby straszny dla mężów nawet dwóch;
Lecz on go na uciechę gosposi jednym tchem
Wypróżnił i na stole postawił z suchem dnem.
Skald, siedząc podle króla, śród harfy dźwięcznych brzmień
Pieśń zawiódł o miłości przesławnej po dziś dzień,
Jak Hagbart kochał Signę, cud-dziewę śnieżnych stron, —
Roztaił piersi bojan serdeczny jego ton.
Raj śpiewał zmarłym w boju, o bogach ciągnął rzecz,
Na lądach i na morzach wysławiał ojców miecz;
Zabrzękły wkrąg oręże, na lica wybiegł żar,
A puhar płynie kołem i mnoży szczęsny gwar.

Frytjof gości u Rynga całą zimę, nie domyślając się, że został od niego poznany. Nareszcie Ryng, wypróbowawszy szlachetność gościa, powiada mu otwarcie, kim jest. Frytjof postanawia opuścić dwór Rynga. (Śpiew XX).

Na to król rzekł te słowa:
„Źle, gdy snuje mąż żale
I kwili w płaczliwej dziewoi ton.
Mnie już pieśnia grobowa
Dzwoni w uchu wspaniale,
Boć wszystko, co żyje, pochłania zgon.

Norny matnią zdradliwą
Tu nikogo nie miną,
Daremnie więc biadać lub zwodzić bój!
Ot, z Inborgą szczęśliwą
Władaj po mnie krainą,
Chroń syna, nim wzbuja szczep [drogi mój.

„Niegdyś w błogim pokoju
Tu-m spoczywał z drużyną,
Dokoła plon szczęścia złotego siał;
Jednak, czylim wśród boju
Nie grał w tarcze doliną?
Morzami czym w tarcze nie mężnie grał?

„Teraz niech mi otworzy
Łono dziryt śmiertelny,
Nie cierpi na słomie mrzeć Norman-król.
Wprawdzie-m żywot wiódł hoży,
Lecz i skończę weselny,
Bój z śmiercią rozstrzyga zbyt [krótki bój“.

I z ochotą pierś siecze
Niby Odyn przed laty, —
Skrzą rany śmiertelne, jak szpary skał;
Ciepły strumień z nich ciecze
Na podłogę i szaty,
Włos srebrny na piersiach purpurą drgał.

„Hej, podajcie róg z miodem!
Cześć wam, bracia Normany!
Przesławna Północy! cześć tobie, cześć!
Jam mądrości zarodem
Lud mój darzył kochany,
Pod niebo-m chciał kłosy pokoju [wznieść...

Witaj moście tęczowy!
Niech się święci Walhala!
Już niknie krąg ziemski... Z niebie-
Róg zadzwonił godowy [skich błoń
Stróża raju Heimdala[1]),
Hełm szczęścia spromienia już gościa [skroń“.

Frytjof jednak nie korzysta z wspaniałomyślności Rynga, bo czuje na sobie jeszcze nieprzebłagany gniew Baldera; doprowadza do skutku wybór synka Ryngowego na króla, a sam udaje się na mogiłę ojca i błaga go, żeby mu wskazał sposób przejednania boga. Tu ukazuje mu się cudowne widzenie.

[1]) Heimdal w wyobrażeniach starożytnych Skandynawów był stróżem nieba na moście tęczowym (Bifrost), wiodącym do Walhali. Uderzał on w róg, gdy nowy bohater wstępował do przybytku dzielnych. Kto chciał uzyskać wstęp do Walhali, musiał umrzeć śmiercią wojownika; dlatego też zniecierpliwieni Skandynawowie dobrowolnie zadawali sobie śmiertelne ciosy orężem.

„Jak gród Bredjablik[1]) srebrnemi blaszkami
Wystrzela w niebo ze spadzistych gór.
Z błękitnej stali połyska słupami,
Z brylantów ołtarz jaśni w cudny wzór.
Jak obłok śnieżny usiany gwiazdami,
Świątynię wspiera czystych duchów chór;
W niej błyszczą w wieńcach złocistych na głowie
Opięci w lazur Walhali bogowie....

Ha! już rozumiem dziewy z fal Mimera[2]),
Tyś, bohaterski ojcze, znak mi dał:
Tu mam wznieść nową świątynię Baldera
Nad modrą falą, na tym tronie z skał.
Tem się osądzi moja skrucha szczera
Za czyn mój hardy, za młodości szał.
Wyklęta pierś się znów wolną poczuje,
Bóg biały, słodki, wszystkiemu daruje".

*(J. Grajnert).*

Jakoż stawia Frytjof wspaniałą świątynię Baldera. Podczas uroczystości arcykapłan przemawia do wzruszonego winowajcy i nakłania go do puszczenia w niepamięć uraz i zawziętości. Wtem przybywa i król Halfdan (Helge bowiem w tym czasie już zginął). Frytjof odrzuca miecz i podaje Halfdanowi rękę do zgody. Arcykapłan zdejmuje z niego klątwę, a Halfdan oddaje mu Ingeborgę w małżeństwo.

»Frytjof-sagę« tłómaczył Józef Grajnert (Warszawa, 1859), Jan Wiernikowski (Petersburg, 1861) i Ludwik Jagielski (Poznań, 1856). Powieść historyczną »Axel« przekładali J. Wiernikowski (Wilno, 1842), Wawrzyniec hr Engeström (Poznań, 1877); »Pierwszą komunię« mamy w tłómaczeniu Ignacego Kułakowskiego (1853 w »Bibliot. Warsz.«); W. hr. Engeström (Poznań, 1886).

## III. Eryk Jan Stagnelius.

### Niebo.

W niebo wzrok nigdy nie biegł bez nagrody,
Ani westchnienie było bez zapłaty,
Z nieba zbawienie szło, życia osłody,
Niebo napełnia Bogiem wszelkie światy.
Patrz! Niechaj słońce wejdzie w znak Barana,
Twarda opona wód mięknie — złamana!
Patrz! Barwne kwiaty w każdej widne stronie,
Gdy słodki zefir z nieba ku nam wionie.

Radością niebios brzmią skowronka tryle,
Gdy w mgle schowany, w głębokiej dolinie
Ujrzał, jak słońce całuje się mile
Z wierzchołkiem góry; wtedy w przestwór płynie!

[1]) Gród Baldera w Walhali.
[2]) Norny; wyskoczyły one ze źródła Mimera, boga mądrości.

Nad cichą głębią, gdzie nimfy bełkocą,
Wieczorna gwiazda, co błyska przed nocą,
Słowikom w krzewach udziela natchnienia,
Więc ślą weselne, niby rajskie, pienia.

Niebiańska radość wzmacnia orłom skrzydła,
W niej nawet komar czerpie swoje siły,
By nad kobiercem w kwiatów malowidła
Mógł z braćmi taniec swój zawodzić miły.
Jakaż łza smutek lilii rozchmurzy?
Jakiż uciszy całus żądze róży?
Wszak tylko nieba całusy kropliste,
Bo te w miłości mają źródło czyste!

Więc czyżby dusza, którą burza gnała
Błędną wśród świata tej zgiełkliwej rzeszy,
Czyżby ta dusza nieba nie zaznała,
Owego nieba, które wszystkich cieszy?
Czyżby nie dla niej te czyste lazury?
Jej inne słońca, inne gwiazd natury?
Lub może kłamał głos, co w piersiach gości,
Mówiąc o szczęściu wiecznem i radości?

*Wł. Trąmpczyński.*

## IV. Eryk Sjöberg (Vitalis).

### Rezygnacya.

Jakżebym cierpień nie znosił z ochotą?
Wszak ból — to anioł, którego Bóg zsyła!
Czyż mam dobrego ojca pytać o to,
Dlaczego moja boleść jest mu miła?
Jak się do matki młode pisklę garnie,
Tak i ja swoją mam w Bogu ostoję,
Nawet gdy śmierci schwycą mnie męczarnie,
Zawołam: „Wiara — to zwycięstwo moje!“
Tam, gdzie gwiazd namiot na górze rozpięty,
W gołębim locie wznoszę swe pacierze,
Bo tam mój ojciec. Jemu uśmiechnięty
Wiarę mą wyznam pokornie a szczerze:
„Weź tę ofiarę, Ty znasz moje męki,
W Tobie szukałem mego życia treści,
Szczęsny, ten kielich z Twojej biorę ręki,
Bo i w nim także Twa miłość się mieści“.

*Wł. Trąmpczyński.*

## V. Karol Wilhelm Strandberg.

### Wyjaśnienie.

Przed nami pełne szklanki, przy mie starzec siwy;
Żarty sypie z rękawa, wesoło się śmieje,
Wspomina dawne czasy, dawne wskrzesza dzieje.
O postaciach z przeszłości opowiada dziwy:

„Tam stałem wśród dział huku i byłem szczęśliwy,
„Tutaj straciłem wszelką już życia nadzieję,
„Tu znów wielkim strumieniem moja krew się leje,—
„Mów, czy i ty zraszałeś krwią ojczyste niwy?“

Oko moje nie kryło się przed jego wzrokiem
I chociaż skromne bardzo były moje słowa,
Zanim skończył, odrzekłem: „Myśmy nie rówieśni.

„Pytasz, gdzie krew swą lałem za mój kraj potokiem?
„Tak! ziemia ta purpury mojej krwi nie chowa,
„Lecz krew moja serdeczna — to są moje pieśni!“

*(Wł. Trampczyński).*

---

## VI. Karol XV-ty.

### 1. Dwoje oczu.

Nad światem wkoło panują cienie,
Niby w chaosu pierwotne czasy;
Więziona ziemia i wód przestrzenie,
Wysokie skały, zielone lasy.
Daremnie słońce promień rozsyła
Wokoło świata! nie widać świtu.
Daremnie gwiazda się zapaliła:
Nie widzi oko niebios błękitu.

Tylko myśl ciężka, dzika, stargana,
Wspinając skrzydła w marzenia chmurze,
Daremnie wzlata! siła złamana
Nie znajdzie punktu oparcia w górze.
I tak ciążąca w serca głębinie
Myśl zasępiona obrazy snuje,
Rozpaczą, bólem leniwo płynie:
Świat mi się cały czarno maluje.

Wtem dwojga oczu ciepłe spojrzenie
Potęgą blasku tak mnie oblało,
Że w smutnej piersi opadły cienie,
Myśl się ocknęła i światło wstało!
Wstępuje we mnie nowe już życie,
A dawne tylko jakby się śniło,
I puls za pulsem falami skrycie
Kołysze serce, by szczęściem biło.

Czy to wyższego światła promienie?
Nie ziemskich prochów blaski gorące?
Czy to w zwierciedle nieba widzenie
Własnego serca marzeniem lśniące?
Powiedzcie, pięknych wy oczu dwoje,
Czy wy na innym zrodzone świecie?
I czy już wiecznie, o gwiazdy moje,
I poza grobem świecić będziecie?

### 2. Głosy wieczora.

Cicho, cicho, leśne gwary,
Zielonego gaju śpiewie!
Przycichnijcie wodne swary
W kołysanych fal powiewie.
Luli! kwiatki małe, luli!
Złóżcie główki, kiedy pora,
I szemranie niech utuli
Pszczółka koło swego dwora.
Gór i dolin ciche łany,
Oddychajcie w tym pokoju,
Co tak słodko kołysany
Z niebieskiego płynie zdroju.

*W. Engelström.*

Wybór poezyi Karola XV przełożył Wawrzyniec hr. Engelström w »Bibliotece Warszawskiej« (1873, tom I).

## VII. Wiktor Hugo Wickström (Christer Swahn).

### Puszek śnieżny.

Pada na dół lekko, cicho,
Jak serdeczna łza kochanki,
Wijąc wokół gór milczących
Brylantowe srebrne wianki;
Stroi biało tę szeroką,
Tę północną ziemi stronę,
Do snu tuląc pocałunkiem,
Niby smutną narzeczonę...
I ten śnieżny, lekki puszek,
Który z nieba cicho zlata,
Swym welonem białym kryje
Mrok i smutki tego świata:
I pojawia się błyszczący,
Jako dzień świetlany, biały,
Który daje myślom skrzydła,
By znów one w dal leciały...
I tym dzieciom szwedzkiej ziemi
Rozwesela życia noce,
I otula ciepłem puchu,
Te chatyny, te sieroce;
Posypuje brylantami
Niepodzielnie i bezmiernie,
Jednakowo — złote włosy,
Jak okwitłe, nagie ciernie.
I tak miło patrzeć na świat,
Strojny szatą niewinności,
Że się zdaje, iż w tem życiu,
Tylko jedno dobro gości;
Znika smutek — z gór i dolin,
Znika nawet z ludzkiej duszy,
Gdy ten śnieżny, brylantowy,
Niby puch gwiazd — z nieba pruszy.
Leci, spada lekko, cicho,
Jak serdeczna łza kochanki,
Wijąc wokół gór wyniosłych,
Brylantowe, srebrne wianki;
Stroi biało tę szeroką,
Tę rodzinną, drogą stronę,
Tuląc do snu pocałunkiem
Niby smutną narzeczonę.

*Józef Waśniewski.*

## B) Dania.

## I. Ludwik Holberg.

### Konwisarz polityk.

Hermann, mieszczanin hamburski, z profesyi konwisarz, ulegając powszechnej modzie politykomanii, zaniedbuje swoje rzemiosło, oddaje się polityce, a nawet z kilku innymi rzemieślnikami zawiązuje »Collegium politicum«, którego członkowie na wieczornych posiedzeniach nicują i przekształcają najniedorzeczniej nietylko porządki Hamburga, ale i całej Europy. Hermann nawet córki swojej Anielki (Engelke) nie chce

oddać w małżeństwo stelmachowi Antoniemu, ponieważ ten nie chce nic wiedzieć o polityce. Politykomania Hermana staje się wreszcie głośną i nastręcza złośliwym sposobność do mistyfikacyi: kilku mieszczan przybywa do niego w roli rajców i oznajmiają mu, że został wybrany na burmistrza. Nietylko Hermann, ale i Geske, żona jego, bierze to za prawdę; oboje radziby jak najprędzej zapomnieć o konwisarstwie i przejąć maniery ludzi wyższego towarzystwa. Hermann daje swej małżonce wskazówki. (Akt III, scena 4).

Obawiam się, moje serce, żebyś nie palnęła jakiego bąka, zanim się oswoisz ze stanowiskiem, jakie ci się dostało. Henryku![1]) skocz-no po stolik do herbaty i kilka filiżanek, a dziewczyna niech kupi kawy za cztery szelągi, więcej można kupić w każdej chwili. Na przyszłość, serce moje, miej to sobie za zasadę nie mówić wiele, dopóki się nie nauczysz prowadzić szlachetnego dyskursu. Nie bądź jednak zbyt uniżoną, ale bacz na swoją godność i pracuj przedewszystkiem nad tem, ażeby wymieść z głowy dawne konwisarstwo; powinnaś sobie wyobrazić, że już od wielu lat jesteś panią burmistrzową. Dla gości, co przychodzą rano, niech stoi nakryty stół do herbaty; dla poobiednich — stół do kawy i gra w karty. Istnieje pewna gra, zwana à l'hombre; chętnie dałbym sto talarów, gdybyś ją umiała ty i nasza córka, panna Anielka. Ale żeby się jej nauczyć, uważajcie tylko dobrze, gdy inni grać będą. Rano powinnaś leżeć w łóżku do dziewiątej, albo pół do dziewiątej; bo tylko pospólstwo wstaje latem razem ze słońcem. W niedzielę jednak musisz wstawać nieco wcześniej, bo w tym dniu zamierzam oddawać się trochę doktorowaniu. Musisz też sprawić sobie ładną tabakierkę i kłaść ją przy sobie na stole, gdy będziesz grała w karty. Jeżeli kto będzie pił twoje zdrowie, powinnaś odpowiedzieć: *mon très humble serviteur*, dziękuję, a jeżeli będziesz chciała ziewnąć, nie zatykaj sobie ręką gęby, to już nie w modzie w lepszem towarzystwie. Wreszcie, kiedy znajdziesz się w gronie męskiem, nie bądź zbyt skromną i odsuń przystojność nieco na stronę.... Ale! słuchaj; zapomniałem jeszcze coś: musisz mieć także pieska - faworyta, którego będziesz kochała, jak własną córkę: jest to także w dobrym tonie. Nasza sąsiadka Arianke ma pięknego psa; może ci go pożyczyć, zanim sobie jakiego kupimy....

Żona spełnia skrupulatnie instrukcye Hermanna, ale tak nieumiejętnie, że co chwila naraża się na śmieszność. Hermann zaś wprędce się przekonywa, że stanowisko burmistrza ma swoje przykre strony: musi on załatwiać różne zawiłe sprawy, słuchać długich skarg, poskramiać zaburzenia uliczne, rozczytywać się w stosach papierów urzędowych — a do tego wszystkiego nie ma głowy, ani taktu, pomimo studyowania »Sztokfisza politycznego«, »Deseru politycznego« i »Herculiscusa«. Stają np. przed nim dwaj adwokaci. (Akt IV, scena 2).

*Pierwszy adwokat.* Nasi klienci są sąsiadami, a ich posiadłości rozgranicza płynąca woda. Otóż przed trzema laty tak się zdarzyło, że owa woda zabrała spory szmat gruntu mojemu klientowi i przyłączyła go do posiadłości przeciwnika. Maż on go zatrzymać? Gdzież więc zasada: *Nemo alterius damno debet locupletari?*[2]) A tu właśnie jego klient chce się zbogacić kosztem mojego klienta, co *aperte*[3]) sprzeciwia się *aequitati naturali;*[4]) czyż nie tak, panie burmistrzu?

[1]) Jest to czeladnik Hermana.
[2]) Nikt nie powinien bogacić się cudzą krzywdą.
[3]) Widocznie.
[4]) Równości przyrodzonej.

*Hermann.* Tak, jest to niesprawiedliwość, której nikt nie może żądać. Masz słuszność, monsieur.

*Drugi adwokat.* Jednakże Justynian powiada wyraźnie: *libro secundo Institutionum, titulo primo, de alluvione....*[1])

*Hermann.* A cóż tam do kata może mnie obchodzić, co mówi Justynian albo Aleksander Wielki? Żyli oni może na parę tysięcy lat przed założeniem Hamburga, jakże więc mogli wyrokować o rzeczach, które za ich czasów nie istniały?

*Drugi adwokat.* Miałżebym przypuszczać, że Wasza Miłość odrzuca prawa, które całe Niemcy uznają?

*Hermann.* Nie, ja tak nie myślałem, pan mnie źle zrozumiał; chciałem tylko powiedzieć.... *(cisza).* Ale bądź pan łaskaw ciągnąć dalej swoją sprawę.

*Drugi adwokat.* Justynian pisze wyraźnie: *Quod per alluvionem agro tuo flumen adjecit, jure gentium tibi adquiritur.*[2])

*Hermann.* Panie adwokacie, mówisz nieznośnie prędko; powiedz mi to wyraźniej.

*Drugi adwokat (powtarza to samo powolnie).*

*Hermann.* Eh! Monsieur, masz w łacinie jakąś piekielnie złą wymowę; zwróć się do swojego języka ojczystego, to ci będzie łatwiej. Mówię to nie dla tego, żebym miał zostawać w nieporozumieniu z łaciną; rozmawiam w niej niekiedy całemi godzinami ze swoim służącym. Nieprawdaż, Henryku?

*Henryk.* O! to dopiero jest czego słuchać, gdy mój pan po łacinie mówi; dalibóg, łzy mi się cisną do oczu, gdy sobie to przypomnę. Akurat, jak gdyby kto groch w garnku gotował, tak szybko wypadają mu z ust wyrazy. Sam czart chyba wie, jak może człowiek tak prędko mówić. Ale czegoż to nie dokaże długa wprawa!

*Drugi adwokat.* Justynian, wielmożny panie burmistrzu, powiada temi słowy: Co rzeka oderwała od czyjego pola i przyłączyła do twojego, to należy do ciebie.

*Hermann.* Tak, o tyle ma racyę Justynian. Był to dzielny mąż i zbyt wiele mam dla niego poważania, iżbym chciał jego zdanie obalać.

*Pierwszy adwokat.* Ale, panie burmistrzu, mój przeciwnik czyta prawo, jak dyabeł biblię; zapomina on, że zaraz potem następuje: *per alluvionem autem videtur id adjici, quod ita paulatim adjicitur, ut intelligi non possit, quantum quoquo temporis momento adjicitur.*[3])

*Hermann.* Messieurs, wybaczcie, ale śpieszę do ratusza, bo zaraz bije pół do piątej. — Henryku, patrz, żebyś tę ich sprawę załatwił na schodach.

*Pierwszy adwokat.* Ach! panie burmistrzu, proszę nam powiedzieć swoje zdanie przynajmniej w jednem słowie!

---

[1]) W księdze drugiej Instytucyj, tytuł pierwszy, o namuleniach.

[2]) Co rzeka namuleniem do twego pola naniesie, dostaje się tobie prawem przyrodzonem.

[3]) Przez namulenie zaś należy rozumieć taki przyrost, który zwiększa się powoli, tak że nie można oznaczyć, w jakim czasie się zwiększa.

*Hermann.* Messieurs, obaj macie słuszność, każdy na swój sposób.

*Drugi adwokat.* Ależ jak to być może, abyśmy obaj mieli słuszność? Sądziłbym, że jeżeli ja mam słuszność, to mój przeciwnik jej nie ma; orzeczenie Justyniana przemawia stanowczo za mną.

*Hermann.* Proszę wybaczyć, muszę biedz do ratusza.

*Pierwszy adwokat (zatrzymując Hermanna).* Dowiodłem przecież, że orzeczenie Justyniana jest za mną.

*Hermann.* Tak jest, wistocie, Justynian przemawia za panem i za panem także; czemuż więc u dyabła, nie porozumiecie się w tej sprawie. Znam Justyniana lepiej od was; jeżeli nosi on płaszcz na obu ramionach, to znaczy tyle, jak gdyby chciał powiedzieć: Wynoście się, hultaje, na złamanie karku i załagodźcie sprawę.

*Drugi adwokat.* Panie burmistrzu, ażeby myśl prawodawcy dokładnie zrozumieć, trzeba jeden artykuł porównać z drugim: czyż w następnym paragrafie nie stoi: *Quod si vis fluminis de tuo praedio*[1]).

*Hermann.* Eh! dajcież mi pokój, panowie kauzyperdy! Słyszycie przecież, że muszę do ratusza!

*Pierwszy adwokat* Chwileczkę, panie burmistrzu! Proszę tylko wysłuchać, co mówi Hugo Grocyusz.

*Hermann.* Niech was obu szatan porwie razem z waszym Hugonem Grocyuszem; cóż mię obchodzi Hugo Grocyusz? To był Arminianim, a cóż nam do praw, które tworzy ktoś, dyabeł wie, gdzie w Armenii? [2])

Najbardziej wszakże niepokoi Hermanna to, że uchybia jakiemuś zagranicznemu rezydentowi, nie udzielając mu posłuchania. Gdy w końcu zgnębiony wszystkiemi kłopotami, wpada w rozpacz i o mało się nie wiesza, przybywa Antoni i oznajmia mu, że znajdując się w gospodzie, słyszał przypadkiem rozmawiające grono mieszczan, którzy bawili się kosztem Hermanna, wmówiszy w niego, że został wybrany na burmistrza. Rad, że tak łatwo pozbywa się kłopotów, Hermann bierze wieczny rozbrat z polityką i wraca do rzemiosła, a Antoniemu oddaje córkę w małżeństwo.

*(E. Gr.)*

## II. Jan Ewald.

### Bohaterowie Danii.

Gdzie maszt się pnie, król Chrystyan [stał
Wśród walki znoju[3])
I siekł swą szpadą w wrogów wał,
Na czaszki Gotów razy siał;

Więc wrogów rój, choć dzielnie stał
Padł w walki znoju!
„Uciekać! — krzykną — kto z was chce
Z Chrystyanem duńskim zmierzyć się
W tym boju?“

[1]) Jeżeli prąd rzeki z twojej posiadłości.

[2]) Arminianie sekta kalwińska, prześladowana w Holandyi. Hermann przez nieświadomość rzeczy miesza jej nazwę z nazwą kraju Armenii.

[3]) Mowa tu o zwycięstwie Chrystyana IV nad Szwedami, odniesionem w bitwie morskiej pod Fehmarn (1644).

Niels Juel[1]) szturm przenika w lot:
„Uderzyć pora!“
Wieje chorągiew — on, jak młot,
Spadł — i uderzeń słychać grzmot,
Aż wróg zdeptany krzyczy w lot:
„Uciekać pora!“
Uciekać choć do piekieł bram!
Walczyć, gdy Juel przeciw nam,
Nie pora!“

O morze me! Dziedzinę twą
W błyskawic biegu
Tordenskjold pruł[2]). Ze strachu mrą
Twe wrogi! Ty nasiąkasz krwią!
By piorun, mąci głębię twą
W błyskawic biegu!
Jak chmura, tak on z Danii gnał.
Gdzie mąż, coby się ostać śmiał
W szeregu!

Dla sławy Danii perłą mórz
Północne morze.
Do snu wiecznego głowę złóż
Tego, co z trudów drwił i burz,
Hardy, jak ty, o perło mórz,
Północne morze.
I mnie ściel grób za trud, za bój,
Za śpiew, za grę, za życia znój,
O morze!

*Wł. Trapczyński.*

## III. Adam Oehlenschlaeger.

### Hagbart i Sygna.

Dzielny Hagbart, młody król Drontheimu, przybywa z drużyną do Zelandyi i obyczajem skandynawskim wyzywa na pojedynek królewiczów duńskich, Alfa i Algera; jednocześnie wszakże poznaje piękną ich siostrę Sygnę — i oboje młodzi odrazu uczuwają ku sobie gorącą miłość. Alf ginie w pojedynku, a rozżalona tem Bera, matka poległego, poprzysięga zemstę zabójcy syna. Hagbart, żeby ujrzeć ukochaną, przybywa ponownie do Zelandyi i upewniwszy się, że go Sygna kocha, namawia ją, żeby oddała mu rękę i uciekła z nim do Norwegii. Sygna nie chce opuścić osieroconej matki, obiecuje wszakże uczynić to, jeżeli do roku Bera zawziętości z serca nie złoży. Tymczasem wypada z lasu zasadzka i chwyta Hagbarta. Bera zamierza go ukarać śmiercią przy pomocy Algera, który jej w tem powolność był zaprzysiągł. Teraz jednak, dowiedziawszy się o uczuciach kochanków, żałuje swej przysięgi, ale jej złamać nie może; pozwala jeno siostrze widzieć się z uwięzionym, który jutro rano ma zginąć. Sygna pośpiesza nazbierać kwiatów, a tymczasem Hagbarta wyprowadzono z wieży. Będąc pewnym, że ma w Algerze zaciętego wroga, więzień zachowuje się wobec niego dumnie i pogardliwie.

*Alger.* Wszakżeś się z siostrą moją nie pożegnał?...
Tak cię schwycili i związali nagle...
Więc jeśli Sygna...
*Hagbart.* Alboś przyszedł z piekła
Nękać to serce wyszukaną męką,
Albo cię może w mroku czarnej nocy
Sylf dobroczynny natchnął, abyś przyniósł,
Rozrzucił promyk niebieskiego światła?
*Alger.* Nie, mój Hagbarcie! daj mi tylko rękę,
Że stąd nie wyjdziesz, a ja cię opuszczę
I dam ci tutaj mówić z ulubioną.

[1]) Admirał duński, który w r. 1677 pobił flotę szwedzką w zatoce Kjöger.
[2]) Jeden z marynarzy duńskich XVII w.

*Hagbart.* Nie! nie! w twych oczach perlą się łzy srebrne...
Ty nie żartujesz...
*Alger.* Daj rękę, Hagbarcie!
*Hagbart.* Na miłość Sygny, na wiarę Hagbarta,
Przysięgam zostać i ponieść śmierć tutaj.
*Alger* (ze współczuciem). A czy darujesz młodemu, że młody?
Czy mu darujesz, że ci wezmą życie?
*Hagbart* (z uczuciem). To los tak zrządził!
*Alger.* Ale czas tak drogi!
Idź tam, Hagbarcie, Sygna ciebie czeka.
*Hagbart* (ściskając go). O! tyś brat siostry! Alfa tam zobaczę
W kraju Odyna; razem z nim w Walhalli
Będziem walczyli, razem z nim zaczniemy
Wychylać rogi złocistego wina
I codzień pójdziem Sygnę ukochaną
W komnatach Frei nawiedzać, dwaj bracia.

Alger usuwa się, żeby nie przeszkadzać ostatniej rozmowie kochanków. Sygna staje przed Hagbartem z bukietem róż w ręku i żółtemi kwiatami na piersiach.

*Hagbart.* O, bogów szczęście! umierać za Sygnę!
*Sygna.* Śmierć! śmierć tak blisko! posłuchaj, mój drogi...
*Hagbart.* Tam wieki szczęścia nieprzebrane!
*Sygna.* Pewno!
*Hagbart.* O, Sygno! Sygno! powiedz, czy mnie kochasz?
*Sygna.* Ach! sercem całem!
*Hagbart.* Myśl mnie przecież trwoży,
Że z żalu może, z litości iskierkę
Twego uczucia poświęcasz biednemu?
*Sygna.* Litość dla tego, kto obudził zazdrość
I podziwienie?
*Hagbart.* O! jeśli tak, będzie
Śmierć dla mnie fraszką: czekam cię u Frei;
Znam twoją wierność.
*Sygna.* Niedługo poczekasz!
*Hagbart.* O! żyj! żyj długo, złota Sygno moja,
I mnie pamiętaj! Jeśli w lato kiedy
Wyjdziesz się błąkać pomiędzy te drzewa,
Kiedy czeremcha zapach swój rozleje,
A na gałązkach ptaszki zaszczebiocą,
Promień księżyca gdy listki przebije,
Wtenczas, o! wtenczas wspomnij o rozkoszach
Krótkiej miłości... dzień jeden, noc jedna!
Tu życie całe w jednym dniu i nocy!
Nie! nie pogardzaj miłością, że krótka!
Jakże z rozkoszą, całem długiem życiem
Chciałbym ci dowieść to, czego nie mogę
Dowieść ci teraz: — wieczność mej miłości!
Lecz, droga Sygno, dwie dusze pokrewne

Dlatego tutaj zbliżą się do siebie,
Żeby żyć potem wiecznie już w komnatach
Kochanej Frei. Co chwila tu złączy,
Tego i wieczność rozerwać nie może!

*Sygna.* Weź-że te róże, Hagbarcie! Niestety!
Pierwszy, ostatni dar miłości mojej!
Wszystkie-m te kwiaty z krzaka pozrywała,
Na wiosnę znowu wyrosną tam róże,
A Bera wspomni o tem nikłem szczęściu,
Które złamała i, płacząc, różami
Moją i twoją ozdobi mogiłę.

*Hagbart.* . . . . . .
Ale co widzę? Jakież brzydkie kwiaty
Nosisz na piersiach, Sygno?

*Sygna.* Cóż dziwnego?

*Hagbart.* Jakto? nie dziwne? przecież to cykuta!

*Sygna.* Tak, to cykuta... Nie gardź tą rośliną...
To bardzo wierny, dobry mój przyjaciel:
Sok jego czasem bywa dobroczynny....

*Hagbart* (przerażony). Frejo!

*Sygna* (stanowczo). Niedawno prosiłeś, Hagbarcie,
Bym szła za tobą i matkę rzuciła;
Wtenczas nie mogłam na to się odważyć,
Miałam powinność; teraz już jej niema.
Gdy srogiej matki łzy moje nie wzruszą,
Gdy prośby moje mało znaczą u niej,
Idę za tobą, bom tak ślubowała,
A ślub wypełnię.

*Hagbart.* O Sygno, aniele!

*Sygna* (w uniesieniu).
Kiedy, mój drogi, płaszcz twój z tej czeremchy
Wiatr będzie zrywał, wypiję truciznę
I własny spalę dworzec. Dwa płomienie
Dwie dusze nasze poniosą na skrzydłach
Tam do Seswarny[1]).

*Hagbart.* Ty umrzeć chcesz, Sygno!
Sygno! co robisz? żyj, żyj! wiecznie! wiecznie!

*Sygna.* Byłoby życie dla mnie śmiercią długą.
O, nie! nie skłonię głowy, jak te lilie,
Co więdną zwolna. Nie mogę tak więdnąć
Bez łez i żalu, bez kropli współczucia.
O, nie! śmierć nasza musi ich zaboleć!
O, nie! my umrzem dlatego, by ludzie
Brali z nas przykład, co miłość prawdziwa.

---

[1]) Mieszkanie Frei.

*Hagbart.* Niechże tak będzie, więc się nie rozstaniem
Nigdzie i nigdy!
*Sygna.* Na wieki, mój drogi!

*(Jul. Bartoszewicz).*

Tymczasem Bera, zatrwożona złowieszczem widzeniem, pogróżkami córki i przygnębieniem syna, powściąga swoją nienawiść i postanawia darować Hagbartowi życie, ale dopiero gdy miecz zemsty zawiśnie nad jego głową. Straż prowadzi więc Hagbarta na stracenie. Na ten widok Sygna wychyla truciznę i oddala się, by podpalić pałac. Hagbart, uwolniony z więzów na miejscu kaźni, przebija się mieczem wprzód, nim przybywa Bera, żeby go ułaskawić.

Dramat ten przełożył J. Bartoszewicz (»Bibl. Warsz.« 1856); dramat »Corregio« przełożył Bolesław Wiktor (tamże, 1855).

## IV. Hans Chrystyan Andersen.

### 1. Dziecię umierające.

O matko! jam zmęczony, a dzień już przy skonie,
Pozwól mi teraz zasnąć na twem drogiem łonie;
Lecz ukryj te łzy rzewne i te niepokoje,
Bo smutne twe spojrzenie, palące łzy twoje.
Jakże zimno! o patrzaj, jak czarno wokoło!
A gdy zasypiam, anioł staje przed mym wzrokiem,
Co nademną świetliste wznosi swoje czoło,
I widzę, jak promienie złote mkną potokiem.
Matko! słyszysz tych śpiewów harmonijne tony?
Ach! takiem pieniem w niebo będę uniesiony.
On już przy nas; czy słyszysz? do siebie mię woła
I uśmiecha się do mnie. Patrz na ten blask czoła!
Patrz! wokoło z cudownych barw tęcza się plecie,
Anioł z złotemi skrzydły rzuca na mnie kwiaty;
Mamo! czy takie skrzydła będę miał w tym świecie?
Lub umrzeć, by jak anioł ten stać się skrzydlatym?
Co tak mnie obejmujesz smutnie w twe ramiona?
Powiedz, czemu jęk cichy rwie się z twego łona?
I czemu ta łza rzewna po twem licu płynie?
Bo gdy cierpisz i płaczesz, ja cierpię tak samo;
Słabnę, a ból ciężarem me powieki mruży,
Żegnaj! anioł mnie objął, żegnaj, biedna mamo!

*(St. Budziński).*

### 2. Fiołek marcowy.

Sklepienie niebios jasne dziś i czyste,
Mróz okna stroi w kwiaty cudne, szkliste.
Przy pewnem oknie, zdobnem w te festony,
Przystanął młodzian i patrzy zdumiony,

Bo tam, gdzie kwiatów lodowych lśnią zwoje,
On ujrzał fiołek i ócz ujrzał dwoje,
Fiołek kwitnie, para ócz się śmieje!
Ha! kwiatek zwiędnie, gaza się rozwieje
I lód roztaje przy podmuchu wiosny;
Lecz młodzieńcowi, Boże, bądź litosny!

*(Wł. Trąmpczyński).*

### 3. Koszałki — opałki.

Przy stole z herbatą rój pięknych dam,
Nie zmilkną na chwilę usteczka tam
Koszałki!
Więc pierwsza jedwabie i wstęg chwali krąg,
Więc druga białością swych szczyci się rąk,
Znów trzecia w poezyi przybiera się kwiat,
Gdzie wyższe regiony, tam cały jej świat!
Opałki!
O balach najdłużej rozmowa tam wre,
Ba! politykę też wciąga się w grę!
Koszałki!
I nawet młodzieniec, co zdala gdzieś stał,
Dziś tkliwie i z szeptem w tem udział swój brał,
A sypiąc mądrości i wymowy miód,
Wciąż słyszy, że „piękny ten męski jest ród".
Opałki!
Przez chwilę na ustach był teatr znów
I trochę docinków, złośliwych słów.
Koszałki!
Nareszcie do domu, bo noc ściele cień.
Eh! jeszcze gawędką napełnia się sień.
Więc rozmów przerwanych tok w kątach się snuł,
Że niczem jest turkot i trzask młyńskich kół!
Koszałki — opałki!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## V. Chrystyan Arentzen.

### Baśń i prawda.

Pamiętasz o rycerzu baśń, rycerzu dawnych lat?
Królewny on małżonkiem był, ślicznej jak wiosny kwiat.
W świerkowy, wonny chadzał bór, gdzie chłodny szemrze zdrój,
A obok matki igrał wciąż wesoły dziatek rój.

Ach, śmierć wydarła mu ten skarb... Wdowiec czuł srogi żal
I z ciężkim w sercu smutkiem szedł pod strop zamkowych sal.

Ale grobu teraz wiał chłód z pustych komnaty ścian!
Więc sierotom maleńkim wnet drugą matkę dał pan.

Ta z sercem jak marmuru głaz istną macochą jest:
Przez nią rzewnych sierocych łez dzieciny wzięły chrzest.
Głodzi, na słomie każe spać, gardzi jak prochem stóp;
Aż uderzywszy w głośny płacz, na matki biegną grób.

Poklękły na mogile w rząd, żałobny wiodą tren...
Z oczu im zdroje płyną łez... przerwały zmarłej sen!
Porzuca ciemną grobu głąb, na biały wstaje dzień
I biednej dziatwy tuli jęk... stroskany blady cień!

Wszak znany tobie ów mąż jest, ów rycerz dawnych lat,
Co królewnę za żonę miał, śliczną jak wiosny kwiat?
Nie tyżeś to w młodości czas, gdy ogniem krąży krew,
Po najpiękniejszą sięgnąć śmiał z pośród królewskich dziew?

Nie tobież w kwiat tęczowych snów dumną stroiła skroń
Czystej oblubienicy twej — Fantazyi młodej — dłoń?
Nie ciebież to otaczał tak złudzeń... nadziei... mar
Wdzięcznych królewiąt twoich ród? — Krótko trwał szczęścia czar!

Nie tyś-że na dumanie siadł — smutny, blady jak trup!
Nie tyżeś to tak prędko legł u innej pani stóp?
A myśli kraj — królestwo snów — kto wydał jej za żer?
W Rozsądku zimną, twardą dłoń kto życia złożył ster?

*(Teresa Prażmowska).*

## C) Norwegia.

### 1. Jan Nordahl-Brun.

#### Górą Norwegia.

Ten pierwszy puhar spełniam za kraj,
Za bohaterskich Normanów!
Sen o wolności słodki mi daj,
Sen miły wśród pełnych dzbanów.
Gdy sen ten zniknie, to silna dłoń
Zerwie łańcuchy, schwyci za broń!
Więc pierwszy puhar spełniam za kraj,
Za bohaterskich Normanów!

Za przyjaźń drugą szklanicę staw,
Za krasę dziewic północy!
Gdyś posiadł taką, swe szczęście sław,
Pij zdrowie jej z całej mocy!
Tego niechybnie dotknie mój gniew,
Komu wróg wino, dziewa i śpiew!
Więc tę szklanicę za przyjaźń staw,
Za krasę dziewic północy!

Za jodłę smukłą, za śnieg, skał mur
Kielichy ujmijmy w ręce!
Słyszysz! Śle echo z Doore nam wtór
I śle życzenia w podzięce!
Trzykrotnie dzięki wszerz brzmią i wzdłuż
Z tych skał, co groźnie sterczą śród mórz!
Więc za tę jodłę, za skał naszych mur
Kielichy ujmijmy w ręce!

*(Wł. Trąmpczyński).*

## II. Björnstjerne Björnson.

### 1. Piosnka.

Chodzi pastuszek, chodzi po lesie
I w dzień i w noc.
Wiatr mu do ucha niesie a niesie
Piosenek moc.
Chłopiec fujarkę struga wierzbową,
Ach, cudnież śni!
Czy też podoła piosenkę nową
Wyśpiewać z niéj?
I głos się ozwie pomiędzy trzciną:
Patrz! jestem tu!
Ale wietrznica zbiegła doliną,
Został bez tchu.
Niekiedy we śnie słodko nań woła,
Piersi mu wrą.
Jasnym płomykiem dotknie mu czoła,
Przeleci skrą.

Budzi się nagle, pełen otuchy
Wytęży wzrok,
A ona krąży wśród nocy głuchéj
Owiana w mrok.
— Panie! przy tobie ja spocząć muszę,
— Ach! zabierz mnie!
Bo głos uroczy porwał mi duszę,
Czary w nią tchnie!
A Pan odrzecze: „Słuchaj, co powiem
I czoło schyl,
Szczęśliw, nad czyjem głos brzmi wez-
Choć kilka chwil!“ [głowiem
— Znam ja niejednej piosenki tony,
Siłaż ich znam;
Lecz za tą jedną gonię stęskniony
I tu i tam!

*(S. z Z. Duchińska).*

### 2. Nils Fian.

Nils Fian z zagrody wybieży śmiały,
Nagle się pod nim stopy zachwiały:
Pilnuj się, chłopcze — krzyknęli w chór
Z czarnej otchłani strażnicy gór.

Nils Fian na śniegu postawił nogi,
— Precz mi z przed oczu, Gnomie złowrogi!
Ja tobie w drogę nie wchodzę wcale!
I Nils po śniegu pomknął zuchwale.
Ha! ha! ha! zagrzmiał w otchłani chór,
Odbrzmiały echem wierzchołki gór.

Niels mierzy drągiem w lewo i w prawo
I śnieg od ziemi wzbił się kurzawą,
I oto nagle z pieczary ciemnéj
Podnosi głowę duch gór tajemny.
Hitlihu! wrzasnął straszliwy chór,
Aż się zatrzęsły opoki gór.

I oto łyżwa utkwiła w śniegu,
Nils Fian w szalonym wstrzymał się biegu,
W lot ją pochwyci: biadaż mu, biada!
Nogą pośliznął — na wznak upada.
Masz oto łyżwę! — krzyknęli w chór
Z czarnej otchłani strażnicy gór.

Brnie cały w śniegu, nogami tupie,
„A toż to ze mnie pacholę głupie!“
Wkopał się cały, śnieg wskroś go ziębi,
A czar go ciągnie głębiej a głębiéj.
Już nam nie ujdziesz! — wołają w chór
Z czarnej otchłani strażnicy gór.

Brzózki zawiodły taniec radosny,
Zatrzęsły brodą zielone sosny,
A Niels brnie w śniegu dalej a daléj.
Nad pacholęciem kto się pożali?
Widzisz go! — krzykną strażnicy gór;
Głosy otchłani odbrzmiewa bór.

I skała szydzi w leśnej pomroczy:
Poczekaj! śniegiem sypnę ci w oczy —
Nils ścisnął pięści, zdjęły go dreszcze,
Lecz ufa jeszcze i walczy jeszcze.
Daremna walka! — zakrzykną w chór
W czarnej otchłani strażnicy gór.

Zadrżała ziemia... po skał krawędzi
Z hukiem lodozwał pędzi a pędzi,
Nils Fian z boleścią załamał dłonie:
„Grób mój otwarty, wnet mnie pochłonie!“
Czas ci już! — duchy krzyknęły w chór,
Lodozwał w straszny odbrzmiał im wtór.

Na morzu śnieżnem skąd te u brzegu
Dwie drobne plamki czernieją w śniegu?
To łyżwy!... Nilsa dobytek cały,
A nad nim cisza i całun biały,
Tylko z otchłani strażnicy gór:
Gdzieżeś ty, Nilsie? zawodzą w chór.

*(S. z Ż. Duchińska).*

## 3. Nowożeńcy (komedya w 2 aktach).

Aksel żeni się z młodą i wypieszczoną jedynaczką bogatych państwa Halberstadt, ale zaraz po ślubie spostrzega, że Laura oddała mu tylko rękę, nie serce, bo to, jak dotychczas zajęte wyłącznie miłością dla rodziców, nie umie ani odczuć, ani uwzględnić innych uczuć. Starzy Halberstadtowie, rozmiłowani w córce i samolubnie pieszczący się, nie chcą także zrozumieć praw Aksela; sądzą, że przyjmując go do swej rodziny i otaczając dostatkami, dali mu wszystko, czego może pragnąć, i że mają prawo wymagać od niego, aby im wszystkim trojgu wypłacał się ciągłem nadskakiwaniem. Żeby uratować swoją przyszłość, Aksel wydziera żonę z dotychczasowego otoczenia i przenosi się do miasta, gdzie stara się ją otoczyć wygodami i dostatkiem. Krokiem tym jednak na razie ściąga na siebie niechęć teściów, a jeszcze większą Laury. Na szczęście w pomoc mu przychodzi przyjaciółka Laury Matylda. Ta, działając na własną rękę, umie powoli obudzić w Laurze zazdrość i obawę, że mąż zrażony obojętnością, może oddać swe serce innej. Tak stoją rzeczy, gdy za sprawą Matyldy zjeżdżają Halberstadtowie. Laura, nie chcąc zasmucać rodziców, postanawia grać rolę zadowolonej. Halberstadtowie, widząc dom zięcia urządzony zupełnie tak jak ich, podziwiają jego czułość. (Akt II, scena 6).

*Matka.* Moja Lolu, nie mogę wyjść z podziwienia, żeś mi o tem wszystkiem nie wspomniała jednem choćby słówkiem.

*Halberstadt.* Ani słówkiem nie wspomniała!

*Matka.* Czyżeś tego nie zauważył?

*Halberstadt.* Co się ma codziennie przed oczyma, o tem, zdaje się nam, że wszyscy wiedzą — nieprawdaż, moja serdeńko?

*Matka.* A wszystko to sprawił ci mąż kosztem własnej pracy! Musisz być z tego dumną!

*Halberstadt (głaszcząc po twarzy Laurę).* Naturalnie, że jest dumną; wiesz jednak, że ona nie lubi wyjawiać swych uczuć, chociaż tego rodzaju postępowanie...

*Matka (z uśmiechem).* Listy jej z ostatnich czasów przepełnione były uwagami nad miłością.

*Laura.* Mamo!

*Matka (pocichu).* Nic, nic nie wygadam; lecz, co prawda, masz bardzo dobrego męża.

*Laura.* Mameczko?

*Matka (pocichu).* Pewnieś mu też odwdzięczyła się jakimś maleńkim upominkiem... albo może...

*Halberstadt (wsuwając głowę między obie).* Coś mu to wyhaftowała? ha?

*Aksel (gdy Matylda nalewa wino w kieliszki).* Lampkę wina na powitanie. Xeres, ulubione wino pana Halberstadt.

*Matka.* I o tem pamięta! *(Biorą za kieliszki).*

*Aksel.* Pozwólcie, że Laura i ja przywitamy was toastem w naszym domu. Obyście wszystko znaleźli tutaj *(wzruszony)* tak, jakeście sobie życzyli — ja przyczynię się do tego, ile mogę.... a i Laura zapewne.

*Matka.* Naturalnie — no, trąć się z nami! *(Aksel trąca się z Laurą, ręka jej drży tak, że się wylewa wino).* Za dużoś nalała, moje dziecko! *(wszyscy piją)....*

*Halberstadt (nalawszy znowu).* Żona moja i ja... dziękujemy wam za to przyjęcie. Nie mogliśmy przecie wybrać się w podróż *(tj. do Włoch)*, nie odwiedziwszy naszego dziecka... naszych dzieci. Dobra wasza przyjaciółka *(patrzy na Matyldę)* poradziła nam przybyć niespodzianie. Zrazu ociągaliśmy się, lecz teraz cieszy nas, żeśmy jej posłuchali... ponieważ teraz widzimy na własne oczy, że listy Laury zawierały prawdę... Wiedzie wam się dobrze... więc i nam starym wieść się dobrze powinno, i niechaj będzie wszystko zapomniane... co... co się zwróciło ku dobremu... i dlatego też było nam tak trudno rozłączyć się z naszem dziecięciem. Lecz teraz rozłączymy się spokojnie, bo ci ufamy, bo ci wierzymy, mój zięciu, mój synu!... Niech ci Bóg błogosławi! *(ściskają się za ręce).*

*Matka.* Wiecie, czego teraz pragnę?

*Wszyscy.* Nie.

*Matka.* Żeby nam Aksel opowiedział, w jaki sposób pogodził się z Lolą.

*Laura.* Mameczko!

*Matka.* Czego się tak wstydzisz? — dlaczegoś nigdy opowiedzieć tego nie chciała? Miły Boże, czyż dla nas, waszych rodziców, może być radość większa nad tę pewność, że dzieci ich są szczęśliwe?

*Halberstadt.* Pomysł mamy doskonały! Usiądźmy i słuchajmy! *(Siadają. Laura chce odejść).* Siądź, Lolu, przy mamie — wszakże musimy patrzeć na ciebie, kiedy mąż twój opowiadać będzie.

*Matka.* Lecz nic nie opuszczaj, synu! Zacznij od pierwszej oznaki miłości, od jej uśmiechu dla ciebie...

*Aksel.* Opowiem wszystko sumiennie, tak jak było rzeczywiście.

*Laura (zrywając się).* Ależ mężu!...

*Aksel.* Bo opowieść moja będzie dalszym ciągiem listów twoich, Lauro.

*Matka.* Które ci zaszczyt przynoszą, moje dziecię! Siadajże więc spokojnie i poprawiaj go, gdyby o czem zapomniał.

*Aksel.* Wiecie, dobrzy rodzice, że z początku nie było bardzo dobrze....

*Halberstadt.* No, no — pomiń początek.

*Aksel.* Skoro Laura tu już przybyła, zrozumiałem odrazu, jak dalece byłem dla niej niesprawiedliwy. Drżała, gdym się do niej zbliżył, później zaś nie drżała już wcale, była obojętną. Zrazu spokorniałem, jak każdy, który jest pewien swej siły po odniesionem zwycięstwie — lecz potem przeląkłem się, bo okazałem za dużo siły. Więc jąłem się Jakóbowego trudu, pragnąc w siedmiu leciech odzyskać to, co utraciłem w jednej chwilce. Ten dom oto urządziłem dla niej — to, co w nim się znajduje, dla niej być miało. Pracując po nocach, wysilając się nad miarę, zdobyłem te sprzęty sztuka po sztuce, bo nie chciałem, iżby jej tu było obco, smutno, chłodno, ale miło, lubo i znajomo. Zrozumiała mnie i wnet wiosenne ptaszki zaczęły świergotać około mego domu, a jakkolwiek uciekała jeszcze, gdym się do niej zbliżał, jednak czułem już jej obecność w moim pokoju, przy mojej pracowni, wszędzie i z tysiąca drobiazgów.

*Laura (zawstydzona).* Nie — tak nie było!

*Aksel.* Nie wierzcie jej! Laura obdarzona kochającem sercem... z bojaźni onieśmielała, lecz dobrym swym skłonnościom i mej pokornej miłości oprzeć się nie mogła. Kiedym czuwał w swoim pokoju, pracując dla niej, ona czuwała u siebie — przynajmniej często kroki jej słyszałem; a kiedym z utrudzającej podróży późno w noc wracał, biegła naprzeciw mnie... nie dlatego, żeby nie poczuwała się do wdzięczności, lecz że nie chciała na jasnym dniu okazywać mi swego przebaczenia. *(Laura powstaje).*

*Halberstadt.* Albożeście się nie pogodzili zaraz?

*Aksel.* Nie odrazu.

*Matka (pocichu).* O tem Laura zamilczała.

*Aksel.* Bo kochając was, nie chciała zasmucać. Lecz milczenie jej wskazało już, że na mnie czeka. Wkrótce przekonała się, że nie byłem tak zły, przeciwnie widziała, że jeżelim zgrzeszył, to z miłości, a ponieważ sama jest jej pełna, zbliżała się więc do mnie zwolna, ale z tajoną radością — z tęsknotą... Było to popołudniu...

tak jak dzisiaj. Czytaliśmy każde zosobna pewną książkę, która treścią swoją zdawała się grozić naszej przyszłości. Wzajemna też obawa przyśpieszyła połączenie. A w tem rozwarły się nagle drzwi i okna — wasz list nadszedł — rozkoszne lato przedarło się ciepłemi swemi promieniami do naszego ogniska — i wtedy wyczytałem w jej oczach, że już kwiaty otwarły dla mnie swe kielichy. Ukląkłem przed nią — tak jak teraz — i rzekłem: Połączmy się dla pociechy naszych rodziców, dla mnie, iżbym dłużej męki nie znosił, dla ciebie, iżbyś znów odżyć mogła twojem dobrem i szlachetnem sercem... A Laura odrzekła... *(Laura rzuca się w jego objęcia, wszyscy powstają).*

*Matka.* Piękniescie uczynili, dzieci!

*Halberstadt.* Równie pięknie, jak my, gdyśmy byli młodzi... A jak on opowiada!

*Matka.* Tak, jakbyśmy byli przy tem.

*Halberstadt.* Nieprawdaż?

*Matka (pocichu).* Z niego będzie jeszcze wielki człowiek.

*Halberstadt.* Wielki w naszej rodzinie.

*Aksel (odprowadziwszy Laurę w głąb).* Więc tak mi odpowiedziałaś, Lauro?

*Laura.* Zapomniałeś jeszcze o jednem.

*Matka.* Mów, mów!

*Laura.* Odpowiedziałam, że długo... długo coś mnie powstrzymywało. Widziałam, że się mną cieszysz, ale lękałam się, czy się mną nie cieszysz, jak dzieckiem. Nie jestem bowiem tak mądrą, jak inne... ale i dzieckiem już nie jestem, bo teraz kocham cię.

*(E. Lubowski).*

Björnstjerne-Björnsona mamy w przekładzie E. Lubowskiego dwa utwory dramatyczne: »Bankructwo« (Warszawa, 1876) i »Nowożeńcy« (tamże, 1877).

## III. Henryk Ibsen.

### 1. Ptak i ptasznik.

Gdym był dzieckiem, jam z jedliny
Strugał potrzask na ptaszyny
I radośnie w głos wykrzykał,
Gdy się ptaszek weń zamykał.

Bez litości łup skrzydlaty
Do ojcowskiej niosłem chaty,
Śmiechem, krzykiem wśród swawoli
Zagrażałem ptaszka doli.

Gdym igraszek przebrał miarę,
Gdym wymęczył swą ofiarę,
Podnosiłem klatki zwory
Ku swobodzie na przestwory.

Ha! jak ptaszek stał się rączy,
Gdy niewoli czas się kończy!
Jak do światła lot rozwija!
Lecz — o szybę się rozbija...

Ptaszku! jesteś dziś pomszczony:
Chłopiec w klatce uwięziony,
Wie już dawno, jak to boli
O przestworach śnić w niewoli.

Tu na niego też się czają,
Srogie oczy wytrzeszczają
Przejmującem widmem stoją
I morderczym strachem poją.

Kiedy okno chcę otworzyć,
I wolności światłem ożyć,
Okiem pobiedz aż za światy —
Pierś roztrąca się o kraty...

*(Wawrzyniec Engeström).*

## 2. Terje Wigen.

Terje Wigen, majtek norweski, w czasie wojny z Anglią, wiezie cichaczem nędzny posiłek dla zgłodniałej żony i dzieci. Ścigają go blokujący zatokę Anglicy.

Rzucony w morze, oddał się Bogu,
Wiosłem uderzył ze wszystkich sił,
I do Flandstrandu dobił się progu,
Gdzie dlań ładunek gotowy był.
Trzy tylko sakwy tatarki były,
Które składały ten ciężar miły,
Boć z biednych portów brał swój ładunek,
Ale od śmierci był w nim ratunek —
Żonie i dziecku przywoził chleb!

Trzy dni, trzy noce raźno sterował
Otwartem morzem ten dzielny mąż;
Czwartego ranka na brzeg kierował,
We mgły osłonach wiosłując wciąż.
Wśród mglistych cieniów czerniały z brzegu
Zębate skały w groźnym szeregu,
A ponad niemi ponuro w górze
„Siodło Imnäsa“ sterczało w chmurze.
Drogę poznawał w konturach nieb.

Był prawie w domu — dopłynie do brzegu,
Nim się z ostatnich wyzuje sił;
Serce mu bije, — podwaja biegu,
Już mówiąc pacierz, szczęśliwy był.
Wtem nagle w ustach głos mu zamiera.
Czy nie złudzenie?... Oczy otwiera:
Wśród mgły zawoju, po wód głębinie,
Od Hösnesundu korweta płynie,
Niesie ją, niesie, kołysząc, prąd!

Zdradzona łódka!... Dano sygnały,
Zamknięty Terje w zatoce stał,
Słabe powiewy z południa wiały,
Zachodnią drogą umykać chciał.

W pogoń spuszczono z korwety łodzie,
Słyszy już śpiewy majtków na wodzie,
Uderzył wiosłem spienione fale,
Ostatniej siły próbując w szale —
Zakrwawia ręce, ucieka stąd!

Göslingen widać skalne szeregi,
Na wschód Homborgu ściele się sund,
Fale złośliwie biją o brzegi,
Stóp dwie pod wodą kamienny grunt.
Wre tam i kipi, szumi i pryska
W dzień jasny nawet, jakby z ogniska.
Łódź jego śpieszy w ten wir szalony
I wnet uchodzi w kamienne strony —
O które biją bałwany wód.

Terje Wigena łódka uchodzi,
Mija iglaste odłamy skał,
Za nim tuż płynie w spuszczonej łodzi
Piętnastu majtków, falując wcwał.
Z rozpaczą w sercu na wodnej drodze
Zawezwał Boga w najżywszej trwodze,
Wołając: „Panie, tam w domu żona,
„Biedna, ach, biedna jęczy zgłodzona...
„Dziecię chce chleba i cierpi głód!“

Lecz głośniej wrzeszczy piętnastu z łodzi —
Jak przy Lingörnie, tak było tam:
Szczęście sprzyjało angielskiej młodzi,
Co rabowała Norwegię nam.
Gdy łódź Terjego o ląd się wsparła,
Zaraz angielska na nią natarła;
Oficer z łodzi wiosło podnosi,
Rozbija czółno, zwycięstwo głosi
I groźnym głosem zawoła: „stój!“

Głucho się łodzi deski trzaskały,
Woda je chłonie, rozbija w puch,
W wodę się sypie ładunek mały,
Lecz nie upada w żeglarzu duch.
Jak lew się z wrogiem puszcza w zawody,
I za swym skarbem skacze do wody,
Rzuca się, płynie, znów nurka daje,
Lecz łódka za nim w pogoni staje,
Krąży wokoło i wszczyna bój...

Pojmany do niewoli, Terje Wigen przez lat wiele cierpiał i posiwiał na obczyźnie; a gdy mu wreszcie wolność wrócono, gdy wylądował w rodzinnej zatoce, dowiedział się od ludzi, że żona i dziecko umarły z nędzy i w jednej pochowane trumnie. Po niejakim czasie dowódca owego okrętu, co porwał niegdyś Wigena, płynął z żoną i dzieckiem przy brzegach Norwegii. Zaskoczony przez burzę, miał się rozbić o te same skały, wśród których ze swą tatarką ratował się Wigen od pogoni. W ręku Wigena było życie lub zguba zbłąkanych. Miał prawo do zemsty, ale po strasznej z sobą walce, dał się powodować miłosierdziu — uratował lorda i jego rodzinę, powiadając, że wspomnienie własnej jego córeczki Anny ocaliło ich. A kiedy okręt angielski zniknął z widnokręgu, stary żeglarz, dobrym czynem podniecony, zakończył modlitwą do Boga:

„Och! wieleś zabrał, lecz więcej dajesz,
Bo moich czynów stróżem się stajesz.
Boże mój, Boże! bądź Tobie cześć!“

## 3. Sygnały Północy[1]).

W Wiedniu zebrani są dyplomaci,
A po Szlezwigu mżą się sołdaci.
Lepszych żołnierzy, niż te szeregi,
Nikt nie wywiedzie nad Elby brzegi.
Dwieście tysięcy w serce trafiono,
A drugie dwieście pokaleczono.
Leżeli społem w śmiertelnej ciszy,
I przez lat osiem nikt ich nie słyszy.
I przez lat osiem nieopatrzeni,
Czekają bracia pokaleczeni!
Gdzie stały Duny przez owe lata
Pod swym sztandarem wśród walki [świata?
Nie z Dannebrogien na bojów błoni,
Lecz z ambulansem w swojej ustroni.
Nie cięły mieczem zemsty i chwały,
Bo oba skrzydła podcięte miały!
Zdala bagnety drogę zaparły,
Z wschodu na zachód wojska się zwarły.
Na duńskiem polu krzyż pobielany
Nie mógł zagoić bolesnej rany,
Znikąd pociecha niespodziewana,
Więc się nie goi otwarta rana.
Duńskie chłopaki gdy to widziały,
Braci w cierpieniu ratować chciały.
Wtem się ozwała komenda z góry.
„Nazad ambulans w północne dziury!
„Pakuj w tornister sztandaru szmaty,
Niech nań nie patrzy orzeł [skrzydlaty“.
Lew[2]) niech się łasząc doma położy,
Strażnik nam nowe sygnały tworzy.
Więc do odwrotu! do przejednania
Z pangermanizmem nas trąba [skłania!
Gdzie nowi bracia pochlebstwa prawią
I przy szklanicy w uścisku dławią!
Pochodnie płoną i w uczt zabawie
Sny nasze wszystkie rozwiane prawie!
I grzmią fanfary — toast się wznosi
I straszne widmo przyszłości głosi!
Czem grzmi muzyka? — przekleństw [wybuchem;
Czem wieje z uczty?.. trupów [zaduchem!
Głuszcie je śpiewem, rycerze moi,
Konającemu wszak śpiew przystoi?
Krzyk jego tłumi cisza mogiły...
Z północy tchnienia ją ożywiły.
Prąd się odmienił! Wznieście puhary!
Wieją na dachu wieszcza sztandary
I z chorągiewki się odezwały
Głosy koguta — w nowe sygnały!

*(Wawrzyniec Engeström).*

[1]) Z powodu dążności pangermańskich, jakie i w Norwegii odgłos znalazły.
[2]) Herb Danii.

## 4. Budowniczy Solness.

Budowniczy Solness jest marzycielem, niezadowolonym z prac swoich, rojącym ciągle nowe plany, zrozpaczonym wreszcie. Od wielu lat nie wchodził on na szczyty swych budowli z powodu zawrotów głowy. Podniecony przez Hildę — niszczycielski pierwiastek kobiecy — wstępuje on na szczyt najnowszego przez się wzniesionego gmachu, spada i zabija się. Rozmowa następna da poznać oba charaktery.

*Solness.* Mówią, że ktoś chce ze mną pomówić.

*Hilda.* Tak, to ja!

*Solness.* To pani? Myślałem i obawiałem się, czy to nie Alina i doktór.

*Hilda.* Pan wogóle jesteś pewnie bardzo bojaźliwy?

*Solness.* Tak pani sądzi?

*Hilda.* Mówią, że pan boisz się chodzić po rusztowaniach?

*Solness.* To znowu co innego.

*Hilda.* Ale bać się — pan się boisz?

*Solness.* Tak.

*Hilda.* Boisz się pan, że spadniesz i kark skręcisz?

*Solness.* Nie, tego się nie boję.

*Hilda.* Więc czego?

*Solness.* Boję się zapłaty, Hildo!

*Hilda.* Zapłaty? Nie rozumiem.

*Solness.* Siadaj. Opowiem coś.

*Hilda.* Dobrze, opawiadaj pan! Zaraz!

*Solness.* Wiesz pani, od czego zacząłem — od budowania kościołów.

*Hilda.* Wiem.

*Solness.* Bo byłem wychowany w pobożnym domu. Myślałem, że nie może być nic wyższego, jak budować kościoły.

*Hilda.* Zapewne.

*Solness.* A mogę powiedzieć, że budowałem te małe, biedne kościółki w tak uczciwem, ciepłem, tkliwem usposobieniu, że.. że..

*Hilda.* Że?...

*Solness.* Że myślalem, iż on mógł być ze mnie zadowolony.

*Hilda.* On? Co za on?

*Solness.* On, dla którego budowałem kościoły. On, na którego cześć je budowałem.

*Hilda.* Ach, tak! Ale czy pan wiesz na pewne, że on nie był z pana zadowolony?

*Solness (szyderczo).* On zadowolony ze mnie! Jak możesz tak mówić? On, który pozwolił, aby upiór we mnie robił, co mu się podoba? On, który rozkazał pomagać mi i służyć we dnie i w nocy, tym — tym. —

*Hilda.* Dyabełkom? —

*Solness.* Tak. O nie, już ja to dobrze poczułem, że on ze mnie niezadowolony. *(Tajemniczo).* To też było powodem, że kazał mi dom spalić.

*Hilda.* To było powodem?

*Solness.* Tak, nie pojmujesz pani? On chciał, abym został doskonałym mistrzem w moim zawodzie, — abym mu tem piękniejsze kościoły budował. Zrazu nie wiedziałem, czego chce. Ale później — jednej chwili — otworzyły mi się oczy.

*Hilda.* Kiedyż to się stało?

*Solness.* Wtedy, gdy budowałem wieżę kościoła w waszem miasteczku.

*Hilda.* Aha, zaraz to sobie pomyślałam.

*Solness.* Bo widzisz pani, tam, w obcem mieście mogłem bez przeszkody zatapiać się w myślach. I wtedy zrozumiałem wyraźnie, dlaczego on mi zabrał moich bliźniaków. Dlatego to zrobił, aby mnie nic innego nie wiązało. Aby mnie nie wiązała miłość i szczęście, rozumiesz pani. Miałem być tylko budowniczym. Niczem innem. I miałem całe życie strawić — na budowaniu dla niego *(śmieje się)*. Ale z tego nie było nic.

*Hilda.* Cóż pan zrobiłeś?

*Solness.* Najprzód zbadałem i doświadczyłem siebie.

*Hilda,* A potem?

*Solness.* Potem zrobiłem rzecz niemożebną. Tak samo jak on!

*Hilda.* Rzecz niemożebną?

*Solness.* Dawniej nigdy nie mogłem wyjść wysoko. Ale tego dnia mogłem to zrobić.

*Hilda (zrywając się).* Tak, tak, — zrobiłeś to!

*Solness.* A gdy stanąłem na szczycie i powiesiłem tam wieniec, rzekłem do niego: Posłuchaj mnie teraz, ty potężny! Od dzisiejszego dnia będę wolny. W moim zakresie. Tak jak ty w twoim. Nie będę już budował kościołów dla ciebie. Tylko siedziby dla ludzi.

*Hilda (z iskrzącemi oczyma).* To było owym śpiewem, który słyszałam.

*Solness.* Ale potem on wziął górę.

*Hilda.* Co pan przez to rozumiesz?

*Solness.* Budować siedziby dla ludzi, — to nie warto trzech groszy, Hildo.

*Hilda.* Tak pan sądzisz teraz?

*Solness.* Teraz to widzę. Bo ludzie nie potrzebują wcale siedziby. Przynajmniej nie na to, aby być szczęśliwymi. I ja nie potrzebowałem domu dla siebie. Rozumie się, gdybym go był miał. *(Śmieje się cicho z goryczą).* Widzisz, taki to koniec. Niczego nie zbudowałem właściwie. I nie poświęciłem niczego, aby dojść do budowania. Nic, wcale nic

*Hilda.* Więc nie chcesz pan już nic budować?

*Solness (żywo).* Owszem, właśnie teraz zacznę.

*Hilda.* Co? Cóż takiego? Mów pan zaraz!

*Solness.* Jedyną rzecz, w której może mieszkać szczęście ludzkie, tę będę budował.

*Hilda.* Panie budowniczy — teraz myślisz pan o naszych zamkach na lodzie

*Solness.* O zamkach na lodzie, tak.

*Hilda.* Ale obawiam się, czy nie dostaniesz zawrotu głowy, nim dojdziesz do połowy.

*Solness.* Nie, jeżeli pójdę z tobą ręka w rękę, Hildo.

*Hilda.* Tylko ze mną? A innych tam nie będzie?

*Solness.* O kim pani myślisz?

*Hilda.* Naprzykład ta Kaja przy pulpicie. Biedna dziewczyna! Czy jej nie weźmiemy?

*Solness.* Aha, — to o niej Alina z panią mówiła?

*Hilda.* Tak, czy nie?

*Solness.* Na to nie odpowiem nic! Powinnaś wierzyć we mnie bezwarunkowo.

*Hilda.* Dziesięć lat wierzyłam w ciebie niezłomnie.

*Solness.* Powinnaś wierzyć i nadal.

*Hilda.* Tak, gdy cię znowu ujrzę na szczycie, wysoko, swobodnie.

*Solness (posępnie).* Hildo, w życiu codziennem nie mogę być takim.

*Hilda (namiętnie).* Ale ja chcę! Ja chcę! *(prosząc).* Tylko raz jeszcze spróbuj rzeczy niemożebnej.

*Solness.* Jeżeli spróbuję, Hildo, to będę znowu mówił do niego, jak wtedy.

*Hilda.* Cóż mu powiesz?

*Solness.* Powiem mu: Słuchaj mnie, wszechpotężny panie,— sądź mnie, jak chcesz. Ale odtąd będę budował tylko rzeczy najwspanialsze na ziemi.

*Hilda (z zapałem).* Tak — tak!

*Solness.* Będę budował razem z księżniczką, którą kocham.

*Hilda.* Tak powiedz mu, powiedz mu to!

*Solness.* Powiem. A potem powiem mu: teraz idę na dół, uścisnę ją i pocałuję.

*Hilda.* Wiele razy! Powiedz to, powiedz!

*Solness.* Wiele, wiele razy.

*Hilda.* A potem...

*Solness.* A potem zejdę na dół — i zrobię, com powiedział.

*Hilda.* Teraz widzę cię znowu tak wysoko, jak wtedy, gdym słyszała śpiew.

*Solness.* Jak to się stało, że jesteś taką, jaką jesteś, Hildo?

*Hilda.* Jak to się stało, że mnie taką zrobiłeś, jaką jestem?

*Solness (z mocą).* Księżniczka dostanie zamek.

*Hilda (klaszcząc w ręce).* Ach, panie budowniczy, — mój cudowny, — cudownie piękny zamek! Nasz zamek na lodzie!

*(Ludomił German).*

Z dramatów Ibsena mamy przełożone: »Wróg ludu« (dwa tłómaczenia), »Upiory«. Ze studyów, podajemy dwa, obfitujące w liczne przytoczenia: jedno p. t. »Henryk Ibsen, poeta norwegski, szkic literacki przez Wawrzyńca hr. Engeström'a, z portretem poety« (Warszawa, 1875); drugie p. t. »Henryk Ibsen« przez Ludomiła Germana (w »Przewodniku naukowym i literackim« we Lwowie 1894 i osobno).

## D) Islandya.

## I. Thorsteinson.

### Życzenie.

*On.* O! gdybyśmy się mogli w gwiazdek zmienić dwoje
Ty i ja. Blask-by wtedy jasny bił ku ziemi
Z nieba, po którem ty, o luba, krokami srebrnemi
Obok mnie szłabyś w tłoku, gdzie gwiazd całe roje.
*Ona.* I szczęśliwabym była mieć cię obok siebie,
Lecz i to mi wystarcza, że za tobą chodzę,
Jako gwiazda za gwiazdą, po tej życia drodze,
Co się tutaj zaczyna, a kończy na niebie.

*(Wł. Trąmpczyński).*

## II. Thomsen.

### Nimfy leśnej czarowna pieśń.

Na koniu nad krawędzią skał
Biegł Henning. Nagle stanie!
Wiatr cudnej pieśni echa słał:
Nimf leśnych słyszy granie,
A wielki jest ten czar!

Gdy pierwszy się odezwał dźwięk,
Jak pieśń organów głucha,
Na łące stado schwycił lęk,
Nie pomni jeść, lecz słucha,
Bo wielki jest ten czar!

Uderza nimfa w drugi ton,
Wabiący, jakby w sidła,
Pogodny, jak kościelny dzwon,
Aż sokół zwiesił skrzydła,
Tak wielki jest ten czar!

I z trzeciej struny ton znów biegł,
Jękliwie skały muska;
Rój rybek w wodzie smutny legł,
Nie płynie już, nie pluska,
Tak wielki jest ten czar!

Z zielonych pąków strzela kwiat
W czerwonych gór ozdobie.
Przynagla konia jeźdźca bat:
Nie wolno spocząć tobie,
Bo wielki jest ten czar!

W parowy połysk bije z gór,
Jak z drogich kruszców w sali,
Że nawet elfów małych chór
Oślepły stanął w dali,
Tak wielki jest ten czar!

Ostrogę rycerz w konia wpił,
Koń wspiął się — w przepaść niesie!
Po skałach nimfy śmiech się wił,
Chochliki szydzą w lesie.
Tak! wielki był ten czar!

*(Wł. Trąmpczyński).*

# X. SŁOWIAŃSZCZYZNA.

## A) Poeci chorwaccy.

### I. Zygmunt Menczetić Vlachović.

Z „Pieśni miłosnych“.

1.

Raz oddałem moje serce w ręce tobie,
Byś z niem uczyniła, w jakim chcesz sposobie.
Gdybym ci je rozciął, znalazłabyś w głębi
Obraz twój, z którym schnę i mróz mię ziębi.

2.

Myśl mię niesie moja do tej wilły złotéj,
Której z czoła włosów dwa spływają sploty;
A kiedy ócz dwoje błyszczących roztworzy,
Bije blask jaśniejszy od świtu, od zorzy;
Różą zrumieniłaś swoją twarz wesołą,
Lilią ubieliłaś szyję swą i czoło,
Może z jego głębi perły i korale,
Co płeć i twe usta barwią doskonale;
Z ust głos płynie taki, że nikt nie zaprzeczy
Woni, krasie rajskiej, choć w twarzy człowieczéj.

*(Br. Grabowski).*

### II. Jerzy Drżić.

1.

Oby mi się serce w piersiach lodem ścięło,
Oby mi słoneczko więcej nie błysnęło,
Jeśli cię nie kocham, jak samego siebie,
Gdybym cię utracił, umarłbym bez ciebie,
Z tobą miłość moja rosła od młodości,
Z tobą też przeżyje do samej starości.

2.

Gdzież się znajdzie wila, albo też dziewoja
Piękniejsza, śliczniejsza niźli pani moja?
Jako wody z morza jak ze źródła biegą,
Na wsze strony płyną i wrócą do niego,

Tak się z niej wsze wdzięki jako z kłębka toczą
I w jej cudnej krasie znowu się jednoczą.
A to tak widoczne jako zorzy świty
I na wschodzie słońce, co gór złoci szczyty.

*(Br. Grabowski).*

## III. Sabo Miszetić Bobaljević.

### 1. Cyganka do pani.

Piękną jesteś, pani miła,
Patrząc na cię, wzrok się mruży,
Na twem licu barwa róży
Z białym śniegiem się złączyła.
Twoje oczy jako strzały,
Z nich promienie ostre biegą,
Co zamroczą zaraz tego,
Kto w nie wlepi wzrok zuchwały.
Czarodziejka cudna z ciebie,
Zdobna cnoty wszelakiemi,
Jakbyś nie na biednej ziemi,
Lecz zrodzona była w niebie.
Kto-bądź jesteś, o wspaniała!
Błogosławić tylko trzeba
Matkę, która z łaski nieba,
Światu taki skarb wydała.
Cóż ja rzeknę na te czasy
O młodzieży tego miasta,
Gdy ja sama, choć niewiasta,
Mało nie mrę od twej krasy?
Wolałabym, drogie dziecię,
Być twą sługą żywot cały,
W służbie iść na lasy, skały,
Niż panować na wszem świecie.
Głód, pragnienie i tęsknicę
Straciłabym, chodząc z tobą,
W jasny dzień, czy nocną dobą,
Patrząc na twe cudne lice.
Dając wszelkie nasycenie,
Mnie byłyby jako zdroje,
Żywej wody oczy twoje,
A pokarmem twe wspomnienie.
Lecz porzućmy te pochwały,
Choć należne, zasłużone,
Darem żadnym nie płacone,
Lecz się z prawa ci dostały.
Jednej łaski, pani miła,
Błagam, daj mi twą prawicę,
Bym ci losów tajemnicę
I wsze szczęście wywróżyła.
Jam tu dobrze znana wszędy,
Jam cyganka, ludziom wróżę,
Pozwól, niech ci dziś usłużę,
Płacą będą mi twe względy.

### 2. Zdradzony.

Serce moje ból rozrywa,
Czemu, tego nie odkryję.
Dola moja nieszczęśliwa!
Nie umieram, ani żyję.
Tylko dziw mię jakiś trzyma,
Gdzie się szczęście me obraca,
Wiosną dla mnie sroga zima,
Słońce na wspak mi się wraca.
Deszcz nie daje ochłodzenia,
Smutek niesie słońce złote,
W płacz wesele mi się zmienia,
Spokój w żałość i zgryzotę.
Ślepy chodzę, choć mam oczy,
Chłodu nawet lód nie daje,
Promień jasny wzrok mi mroczy,
Słodycz gorzką mi się staje.
Nie wyjawią moje wargi
Przyczyn ciężkiej mej żałości,
Umrę milcząc i bez skargi,
Boś niewiarą mej wierności.

*(Br. Grabowski).*

## IV. Mikołaj Naljeszkowić.

### Z „Pieśni maskaradowych".

Cóż za przestrach niesłychany!
Czyż was płoszą marne żarty?
Jedni zowią nas szatany,
Inni dyabły albo czarty:
Gorsze jednak imię mamy,
Niż naturę prawą swoją:
Nie straszymy nawet damy,
Więc niech męże się nie boją.
Czegóż znowu się śmiejecie?
Wiedzcie o tem, młodzi, starzy,
Że przy każdym na tym świecie
Z nas choć jeden jest na straży.

Niech się, proszę, nikt nie dziwi,
Patrząc na mnie tak nagiego,
Czyż są ludzie tak cnotliwi,
Że szatani ich nie strzegą?
Czyż nie skłamią usta czyje,
Mówiąc, o nas że nie stoją?
Chociaż każdy z tem się kryje,
Każdy ma pokusę swoją.
Choć nie przyzna się, niestety,
Dyabła każdy ma na ziemi;
Po sto mają ich kobiety,
Lubo się nie chełpią niemi...

*(Br. Grabowski).*

## V. Dinko Zlatarić.

### Z „Pieśni lirycznych".

Choć troskliwie ludziom taję
To, że serce moje boli,
Ale darmo, mimo woli
Sam przed światem się wydaję.
Twarz ma blada okazuje
Zranionego serca męki,
Jakie, patrząc na twe wdzięki,
W głębiach mojej piersi czuję.
Mnie całego po wsze chwile
Nęcą wdzięki twe kwitnące,
Jak nad wszystkie gwiazdy słońce,
Tak ty jesteś nad wsze wile.
Ciągłym żarem dusza tleje;
Myśląc tylko wciąż o tobie,
Zapomniałem sam o sobie,
Że w płomieniach wciąż goreję.

Żywot mój to — ciągłe żale
W niepokoju i żałobie;
Ot, com zyskał, służąc tobie
Wciąż tak wiernie i wytrwale.
Każdy wie to i mnie wini,
Choć im kryję ból miłości;
Ty go nie znasz, spokojności
Mojej sroga zabójczyni.
Ty go nie chcesz znać, ty jedna,
Choć ci jednej wszystko głoszę,
Spojrz łaskawie, o to proszę,
Niech odetchnie dusza biedna.
Niema tyle gwiazd na niebie,
Fal na morzu, kwiatów w trawie,
Ile ran, gdy niełaskawie
Spojrzysz; jednak kocham ciebie.

*(Br. Grabowski).*

## VI. Jan Gundulić.

### Z eposu „Osman".

Poemat osnuty jest na idei walki Słowiańszczyzny z Islamem... Osman to przedstawiciel zuchwalstwa potęgi, zagrażającej niedawno całemu światu, a teraz pobity, upokorzony, pada w końcu ofiarą rewolucyi pałacowej. Po wylewach lirycznych nad niestałością losu, oraz hołdzie złożonym królewiczowi Władysławowi, wprowadza nas poeta na radę dywanu, gdzie Osman, wspominając klęskę pod Chocimem, ciężko utyskuje nad

upadkiem ducha wojowniczego u Turków. Za radą Kizlar-agi wyprawia posła Ali-baszę do Polski dla zawarcia pokoju. Tu opis podróży przez kraje słowiańskie, które poeta maluje z uniesieniem. Pod Chocimem hospodar wołoski opowiada Ali-baszy przebieg niedawnej wojny. Następuje epizod wyprawy Sokolicy, kochanki Osmana, do Polski, i pobicie jej przez Krunosławę, narzeczoną Koreckiego, którego ona chce wyswobodzić z niewoli. Wspaniale opisuje poeta wjazd poselstwa tureckiego do Warszawy, posłuchanie, zawarcie pokoju. Druga część poematu ma przedstawić upadek Osmana. Rozpoczyna ją sejm piekielny, gdzie król piekła dowodzi konieczności podtrzymywania państwa tureckiego, któremu szalone plany Osmanowe grożą zgubą; potrzeba przeto podburzyć Turków przeciwko niemu. Wojsko burzy się, zwłaszcza janczarowie. Na czele buntowników staje Daut, szwagier sułtańskiego stryja Mustafy. Samego Mustafę wyzwalają z więzienia i osadzają na tronie; Osmana zaś duszą z rozkazu nowego władcy. Poemat kończy się pieśnią tryumfalną z powodu pohańbienia Islamu.

### Początek pieśni I-szej.

Czemu, marnej pychy szale,
W górę wznosisz lot swój chyży?
Im się wyżej pniesz zuchwale,
Tem-ci potem spadasz niżej.
Wiekuistej, niespożytéj
Niema rzeczy nam widomej,
A w wysokie górskie szczyty
Najpierw z niebios biją gromy.
Bez pomocy z nieba bożéj
Świata wszelki byt nietrwały;
Przyrodzony bieg rozłoży
Państwa pełne mocy, chwały.
Szczęście wciąż się kręci w kole,
Zaszczyt miesza się z ohydą;
Kto był w górze, będzie w dole,
Ci, co w dole, w górę idą.
To ulega miecz koronie,
Nad koroną miecz znów włada,
Z niewolnika król na tronie,
A monarcha z tronu spada.
Szczęście może podnieść z ziemi,
Berło ujmiesz z krwawej toni;
Choć drżą tłumy przed mocnemi,
Lecz się tłumów boją oni.
Od zasadzki i od zdrady
Władcy głowa osłonięta,
Lecz bywają też przykłady,
Jakich ludzkość nie pamięta.
O dziewice, one mieszkanki
Góry wielkiej, słynnej w świecie,
Co natchnienie, wy niebianki,
Wszystkim piewcom podajecie!
Podszepnijcie mi śpiew głośny,
Jak zgon wschodni władca z młodu
Poniósł z ręki nielitosnéj
Wpośród swego Carogrodu....
Władysławie, ty sławnego
Króla Polski sławne dziecię,
Czemu mnogie głosy biegą
Twojej chwały po wszem świecie?
Na me śpiewy zwróć łaskawie
Jasne oko majestatu,
Bo w nich dzieła twe wystawię
Dla podziwu wszemu światu.
Królewiczu słynny, mężny,
Gdy śmierć Osman poniósł łzawą,
Twoich zwycięstw głos potężny
Po wszech krajach przebiegł żwawo.
Trąba moja głosić jęła
Na świat sprawy twoje znane,
Coraz większe spełniaj dzieła,
Ja ich śpiewać nie przestanę.
We wspomnienia strasznej męce
Osman bóle czuje srogie,
Że mu zbiły polskie ręce
Niezliczone wojska mnogie.
I po ziemi że się wznosi
Z tego czynu wielka sława,
Co zwycięzcą jego głosi
Królewicza Władysława.
Czy wędrowiec lądem jedzie,
Czy też żeglarz morzem pływa,
O sułtańskiej prawiąc biedzie,
Władysława imię wzywa.
I przy uczcie druhów miłéj,
Lub pasterze, pasąc stada,
Burzyciela Turków siły
Każdy chwałę opowiada.
Skrzydłem wiatrów wieści biegą,
Głosząc wielkość jego duszy,
Jak sułtana potężnego
Włócznie łamie, miecze kruszy.

A w pogody błogą ciszę
Od zachodu aż do wschodu
W złote głoski słońce pisze
Imię sławne już za młodu.

Opowiada, jako w kraju,
Gdzie Dniestr płynie, pobił smoka
I odepchnął do Dunaju
Orłem pędząc nań z wysoka....

## Z pieśni II.

Hodża, odradzając wznowienie kroków wojennych, tak przemawia do Osmana:

Gdzie ten lud, co się obroni,
Gdy królewicz ściśnie pięście?
On zwycięstwo nosi w dłoni,
A na jasnem czole szczęście.
Jaka przemódz zdoła siła
Wojewodę Chodkiewicza,
Albo księcia Radziwiła
Z dumą sławy wśród oblicza?
Gdy Zborowski stąpa śmiały,
Gdzież nie padną mury czyje?
Gdzież tak mocne fortec wały,
Że Zamojski nie rozbije?
Na obronę twej dzierżawy
Gdzież ten oręż niezwalczony
Wobec chrobrej Krunosławy,
Koreckiego narzeczonéj?
Siadłszy na koń, nieraz ona
Biegła między strzały, groty
I zuchwała, niezlękniona
Aż pod twoje szła namioty.

Jakby ogień żywy staje
W stal zakuta i straszliwa,
Twój majestat, panie, łaje,
Na bój z sobą cię wyzywa.
Panie, chwalić nie do rzeczy
Tych nicponiów — przebacz, proszę;
Sam poznałeś pośród mieczy
Polskich, że ci prawdę głoszę.
Czyż to dziw, że tu obrony
Niema? — Tylko się zastanów,
Wojsk ich poczet jest złożony
Z wojewodów, wielkich panów.
Im nie oprą się niczyje
Hufce, mężne są ich sprawy,
Każdy z nich się za cześć bije
Dla imienia swego sławy.
Między kopie, szable kroczy,
Przez lód pędzi i przez wody
I w płonący ogień skoczy
Za swobodę dla swobody.

*(Bronisław Grabowski).*

## Z pieśni V.

Niby jodła, Krunosława
Tak wysmukłą postać miała,
Zbroja wdzięku jej dodawa,
A koń pod nią — bystra strzała.
Na nim zbroja wyzłocona
Cała lśni się w blasku słońca,
Na lbie świeci umieszczona
Srebrna gwiazda pałająca.
A na tarczy feniks biały
Patrzy w słońce okiem śmiałem,
Niżej słowa zajaśniały:
„Znów z popiołów zmartwychwstałem".
Sokolica patrzy wkoło:
Harda, dumna to niewiasta,
Hardo w górę wznosi czoło,
Wszystkich wzrostem swym przerasta.

I koń pod nią niby sokół,
Rączy, chyży, sierć ma białą,
Iskry z oczu sypie wokół
I poważnie stąpa, śmiało.
Obok młody sułtan stoi,
Na kochankę patrzy z trwogą,
Blednie w strachu, bo się boi,
Że ją losy zdradzić mogą.
Rzecze: „Wątpię, moja miła,
Czy zwyciężysz sama w boju,
Gdy cię walka rozpaliła,
Schnie me serce z niepokoju.
„Kto zwycięży, piękna, ciebie,
I mnie wtrąci do otchłani;
Ty, przy której śnię o niebie,
Ty, mojego serca pani!"

A królewicz z drugiej strony
Bohaterskiej pełny sławy,
Stoi, bada zachwycony
Wszystkie ruchy Krunosławy.
Wierzy w dzielność jej ramienia:
Miłość siły musi rodzić,
A dziewica chce z więzienia
Oblubieńca oswobodzić.
Obie mężne, obie harde,
W bój się rzucić już gotowe,
Aby skruszyć włócznie twarde,
Aby zyskać laury nowe.
W polu równem i szerokiem
Występują obie zbrojnie,
A tam w górze jasnem okiem
Słońce patrzy się spokojnie.
Jak dwa wichry, oba konie
Wnet się zwarły przeciw sobie;
Nie zawiodły dzielne dłonie:
Pękły włócznie razem obie.
Lecz natomiast szable błysły,
A dłoń wprawna niemi włada;
Każda krąg zakreśla ścisły,
Potem nagle szybko spada.
I tak silnie w stal uderza
Kierowana siłą ręki,
Że i z tarczy i z pancerza
Wydobywa iskier pęki.
Zwinne konie, zaprawione
W częstych bojach, strzały lotem
W tę, to ową biegną stronę,
Zdumiewają zręcznym zwrotem.
Przeciwniczki równej siły,
Równa dzielność ich ramienia,
Obie dzielnie cios odbiły,
Obie miłość przepłomienia.
Mężnie walczą dwie dziewice,
Żadna ciosów się nie boi;
Twarde tarcze i przyłbice;
Niema jeszcze krwi na zbroi.
Obom gniew dodaje wdzięku,
Co się skrycie w piersiach tłumi,
I jak las wśród wichrów jęku,
Tak on głucho wre i szumi.
A wtem naraz, jak z rozkazu,
Na strzemionach stają obie
I, chcąc skończyć bój odrazu,
Wznoszą szable przeciw sobie.
Padły ciosy: pod żelazem
Pękły hełmy, a wraz z niemi
Dwie przyłbice spadły razem
Z misiurkami błyszczącemi.
Piękne oczy zajaśniały,
Posągowych kształtów lice
I ujrzano pełne chwały
Bohaterki dwie, dziewice,
Jako słońce w dzień ponury,
Kiedy złoty krąg ukaże,
Wydobyty nagle z chmury,
Tak zabłysły dziewic twarze.
Kto w nie patrzy bez westchnienia,
Tego nic już nie poruszy,
Żadna skra nie rozpłomienia
Takich serc i takiej duszy.
Na ten widok niespodziany
Wojska ogniem zapałały
I na rozkaz szybko dany
Z obu stron świsnęły strzały.
I zawiązał się bój srogi.
Kiedy pierwsze padły ciosy,
Każdy śpieszy pełny trwogi,
Drżąc o dziewic obu losy.
Na bachmatach strzały lotem
Przeciw sobie wojska lecą,
Szybko pada grot za grotem,
Lasy włóczni w słońcu świecą.
Oręż szczęka, kule świszczą,
Konie rżą, a ryczą działa,
Podniesione szable błyszczą,
Ogień walki wszędzie pała.
Bój się wzmaga; krew gorąca
Strumieniami wszędzie ciecze,
Wszędzie błyszczą w blaskach słońca
Włócznie, tarcze, szable, miecze.
I rozlega się ponury
Odgłos walki naokoło;
Ale słońce już za góry
Kryje swoją twarz wesołą.
Bój przerwany; noc się ściele;
Oba wojska już w taborze;
Bohaterki na ich czele
Świecą męstwem jak dwie zorze.

*(Jan Nitowski).*

## VII. Władysław Menczetić.

### Skarga Pradmiła na wilę.

Miłość — płomień, co się w życiu
Z najlepszego ognia rodzi,
Gdy w serc ludzkich tli ukryciu,
Wsze szlachetne myśli płodzi.
Miłość wszelkie dobra dzieli,
Przez nią pokój w duszy gości,
Jako w raju się weseli,
Kto się podda cnej miłości.
Przed nią niknie zapęd złości,
A na ziemię pada pycha,
Gasną ognie zawziętości
I niezgody wrzawa zcicha.
Moc jej dziwna wszędy sięga,
Budząc słodko tych, co drzemią,
Wszystkiem włada jej potęga,
Niebem, piekłem, morzem, ziemią.
. . . . . .
Miłość w jeden okrąg spaja
Słońce, gwiazdy, niebo całe,
Dla niej ziemia się przystraja,
Wdziewa szaty swe wspaniałe.
Czy to ryba w morzu pływa,
Czy w powietrzu ptak przelata,
Do miłości wszystko wzywa,
Cobądź żyje wpośród świata.
Powój w wiotkie swe ramiona
Drogą sobie gałąź chwyta,
Do wrzącego tuli łona,
Gdzie tli miłość niespożyta.
Krasa niebios ziemię mami,
Ginie zdjęta dziwnem drżeniem,
Dla nich stroi się różami,
Tkliwem wabiąc je spojrzeniem.
Okazując, jak szalenie
Niebios nęcą ją uroki,
Z głębin czyste śle westchnienie
Pod błękitów strop wysoki.
Miłość srodze morze dręczy;
Z jego głębin dziwne głosy,
Gdy ponuro szemrze, jęczy,
Idą w górę pod niebiosy.
Niemniej niebo dla tej ziemi
Miłość w czystem nosi łonie
I płomieńmi wieczystemi
Od wiek wieków dla niej płonie.
Gwiazd tysiącem się wpatruje
W swej kochanki lica śliczne,
I swą radość okazuje
Przez uśmiechy błyskawiczne.
Gdy ogarnia je zwątpienie
Tchnieniem srogiem, a kryjomem,
Deszczem leje łez strumienie,
Wzdycha ciężko strasznym gromem.

*(Br. Grabowski).*

## VIII. Mikołaj i Piotr Zrinsky.

### Z „Oblężenia Sigetu“.

Jeżeli ty ufasz w pomoc Niemców, panie,
Co się z Zrińskim stało, i z tobą się stanie.
Wierz Niemcowi tyle, ile w zimie słońcu,
Już nie będzie ciebie, gdy się zbierze w końcu.
To najlepiej ujrzy twoje własne oko,
Żeby cię rad widział pod ziemią głęboką.
Tak jak szabla życie daje, nie zabija,
Tak z szczerego serca Niemiec tobie sprzyja.
Każdy o przyjaźni niemieckiej się dowié,
Dała się we znaki dobrze Węgrzynowi,
Chorwat zawsze wierny ma jej już po uszy,
Widzi, ile bieda jego Niemca wzruszy.

Więc Niemcowi wierzysz, ty rozumny banie?
Od niego pomocy szukasz niezachwianie?
Będziesz zakopany już w głębię mogiły,
Zanim ci na pomoc ruszą Niemców siły.

Ktoby to nie poznał tę... przyjaźń niemiecką,
Jako już postąpił z Węgrami zdradziecko,
Lekceważąc pułki Węgrów, męstwem wrzące!
Mógłbym tu przytoczyć przykładów tysiące.

*(Bronisław Grabowski).*

---

## IX. Franciszek Krzysztof Frankopan.

### Napitnica (Toast).

By rozjaśnić myśli wasze,
Nalewajcie wina czasze,
Niech się serce rozpogodzi,
Dobra wola k'nam przychodzi,
Niech owocu pilnej pracy
Używają dziś próżniacy.

Bóg daj zdrowie wam, rycerze,
Niech wam szczęście sprzyja szczerze
I przy uczcie w pańskim stanie,
Na junackim też majdanie.
Złych niech ręka boża karze.
Dobrym daje sławę w darze.

Silna ręka kopje ciska,
Dobra wola serce zyska,
Dalej, bracia, hej wesoło,
Puhar niechaj krąży wkoło.
My się obaj wam kłaniamy
I toastem pozdrawiamy.

Gdy się w oczy afekt święci
I za oczy miej w pamięci,
Za plecyma kto obmawia,
Tego niechaj czart zniesławia.

Gardła niech są w pogotowiu.
Aby starczyć wszystkich zdrowiu,
Jeden toast niech za drugim
Idą ciągle rzędem długim
I wspomnienie niech nie ginie
O chrześćjańskiej wszej krainie,
Bóg niech krzepi ją, niech strzeże,
Poganina niech czart bierze.

*(Br. Grabowski).*

---

## X. Stanko Vraz.

### Spowiedź.

Gdy duch rozkuje cielesne okowy,
Gdy rydel głucho dźwięknie nad mą trumną,
Świat nie pożegna mnie czułemi słowy,
Ani dział rykiem, ani mową szumną,
Bo gałąź lauru nie wieńczy mej głowy.

Świecie! twe dary zwodnicze, choć zdala
Powabne; piołun i jad — twe owoce,
Cierń — sławy wieniec, co skronie okala,
Nauka — ogień, co piersi przepala
I wiecznie myśli człowieka druzgoce.

Dopiero wówczas duch odpocznie błogo,
Gdy za materyi granicami stanie;
Tam ani sny czcze już męczyć nie mogą
Obliczem czartów, marą sercu drogą,
Ni ciągłe złotych nadziei konanie.

Tak! zniknie wszystko to, co tylko boli:
Troska i męka, co na świecie gości.
Ramiona krzyża na grobie okoli
Nie kwiat wykwitły na skrwawionej roli,
Ale kwiat czysty, kwiat mojej miłości.

Jedyne dobro, o miłości święta,
Dla dusz płomiennych tyś siły zasobem,
Tyś droga, prosto do raju wytknięta.
Duch mój z lat dawnych jeszcze cię pamięta,
Więc towarzyszką bądź mu i za grobem.

Błogo nam było, gdy nieraz o zmroku
W cieniu zielonej siedzieliśmy jodły,
Co wszystko zgadła z czułych słów potoku,
Co całą miłość widziała w mem oku,
Słyszała nasze westchnienia i modły.

Rozkoszne chwile! — Lecz żegnaj mi, droga,
Wiedz — sny miłości nie konają w grobie;
Nie płacz, choć dola rozłącza nas sroga.
Nim się znów złączym wyrokami Boga,
Duch mój wciąż będzie tu gościł przy tobie.

. . . . . .

I was, współbracia, żegnam, drodzy moi!
Na roli ojców pracujcie wciąż cisi;
Niechaj się w męstwo każdy z was uzbroi,
Pogardza gwałtem, nadzieją się poi,
A wieniec dla was na krzyżu już wisi.

Żegnajcie! Wkrótce duch zrzuci to brzemię,
Usnę spokojnie w cichym, chłodnym grobie.
Nie dbam, czy nad nim laur zielony drzemie,
Nie dbam, co o mnie ludzkie mówi plemię.
Kochałem — oto wieniec, com go uplótł sobie!

*(Jan Nitowski).*

## XI. Piotr Preradowić.

### 1. Umarła miłość.

Gdzie ja ciebie, o moja miłości,
Mam zachować, gdyś zgasła przedwcześnie?
Nie w mem sercu: tam spokój nie gości,
Bo bez ciebie jak dawniej już nie śnię...

Czy cię w ziemi zakopać głęboko?...
Żar jej wnętrzny czyż ciebie przepali?
Tam cię dojrzy podziemnych bóstw oko
I w dyament przeczysty skrysztali....

Czy cię rzucić na wody bezdenne?
Nie roztopią cię morza, ni rzeki;
Lecz rusałki, pięknością promienne,
W drogą perłę zamienią na wieki.....

Wtedy może łakomi kramarze
Wydobyliby ciebie z pod fali,
Wyszukali w podziemnym obszarze
I bogaczom za pieniądz sprzedali!

Wiem już! Niechaj cię moje westchnienia
Dźwigną w górę: bądź gwiazdką na niebie!
Niech mą dolę twój blask opromienia
Stamtąd ludzie nie zdejmą już ciebie!

*(L. S. K.)*

### 2. Poeta.

Znowu, znowu chciałbym śpiewać,
Ale nie wiem jaką nutą:
Czy mam śpiewać pieśń wesela,
Czyli w smutną pieśń zakutą?

Przy mem oknie usiadł zrana
Niewidzialny sokół biały;
Jam się zbudził — i widziadła
Senne moje wnet skonały.

„Powstań ze snu, mój poeto!
Po raz trzeci kur już pieje,
W mgłach jutrzenka się rozpływa,
Wkrótce słońce zajaśnieje.

„Między niebem i tą ziemią
Twoja droga tak daleka
Do błyszczącej tej świątyni,
Gdzie kochanka na cię czeka.

„Naprzód dalej, naprzód śmiało,
W górę skrzydły potężnemi!
Tyś już głośny w całym świecie,
Tyś kochaneк własnej ziemi.

„A tak piękna twoja droga:
Wszędzie widok masz odkryty,
Obok pełne kwiatów błonie,
W górze niebios lśnią błękity".

— Mój sokole, mój aniele!
Ty się patrzysz na mą drogę
Z wysokości własnej sfery.
Ja tak widzieć jej nie mogę.

Tobie ziemia się wydaje
Jasną gwiazdą pałającą;
Wszystkie ciernie jej i bóle
Wyobraźni twej nie mącą.

„A więc wznieś się ponad ziemię,
Wznieś się skrzydły potężnemi!
Ciernie muszą kłóć każdego,
Kto przepełza po tej ziemi“.

— Nie mam skrzydeł; zresztą dla mnie
Matką ziemska ta kraina,
A syn kocha i złą matkę,
Matka nawet złego syna.

„O, poeto nieszczęśliwy!
Tyś jak listek nad mogiłą,
Nim dojrzałeś w blaskach słońca,
Samo słońce cię spaliło.

„Wiatr cię wznosi w niebo; ziemia
Do swojego tuli łona.
Między niebem i tą ziemią
Twoja dusza wiecznie kona“.

*(Jan Nitowski).*

### 3. Cztery zdroje.

Na Kossowem szczerem polu
Cztery zdroje tam wytryska.
W jednym białe płynie mleko,
Drugi winem się rumieni,
Trzeci kipi krwią czerwoną,
Czwarty jasną wodę sączy.
Człek podróżny u tych zdrojów
Staje i pierwszego zdroju pyta:
— „Czemu płyniesz mlekiem białem?“
— Bym wykarmił twoją dziatwę.

A drugiego znowu pyta:
— „Czemu winem się rumienisz?“
— Abym serce twe ukrzepił.
A trzeciego pyta znowu:
— „Czemu kipisz krwią czerwoną?“
— Aby zemstą cię zapalić.
A czwartego zdroju pyta:
— „Czemu sączysz wodę jasną?“
— Aby hańbę obmyć z ciebie!

*(Lucyan Siemieński).*

---

## XII. Jan Mażuranić.

### 1. Śmierć Smail-agi Czengicza.

W poemaciku tym, pisanym w duchu i formą epiki ludowej, poeta opiewa fakt dziejowy, poruszony także w pieśniach ludowych, mianowicie pomstę Czarnogórców na srogim poturczeńcu Izmaelu Czengiczu. W pierwszej pieśni Czengicz rozkazuje wbić na pal wziętych pod Grachowem jeńców czarnogórskich, oraz starego Duraka, dworzanina swego, który doradzał mu puścić wolno Czarnogórców, wieszać każe, aby zastraszyć wszystkich tchórzów. Syn starca, Nowica, lubo »Turczyn« t. j. słowianin wiary mahometańskiej, oburzony tem okrucieństwem, ucieka do Czarnogórza. Ucieczkę tę opisuje poeta w pieśni II »Tułacz nocny« temi słowy:

Słońce zaszło i miesiąc już wschodzi.
Kto to chyłkiem w wąwozy z wą- [wozów
Wciąż się skrada w stronę Czarnej [Góry?
Nocą idzie, w dzień zaś odpoczywa,
Junak niegdyś, dziś nie junak wcale,
Ale trzcina, którą wiatry chwieją.
Gdy wypełznie wedle drogi żmija,
Albo zając z pod krzaka wyskoczy,
On, co niegdyś sroższy był od żmii,
Dziś się trwoży gorzej od zająca.
Myśli biedny, że wilk górski bieży,
Lub od wilka gorszy hajduk górski,
Drży ze strachu, że mu zguba grozi,
Nim osiągnie, czego serce pragnie.
Drogo ceni swoją jasną głowę;
Choć nie złota, ani pozłacana.
Śmierć przeczuwa, nie chce jednak [umrzeć,
Bo tu jest coś, co go w dal popycha.
Czy to hajduk, czyli szpieg turecki,

Który śledzi miękkorunne stada,
Albo woły z krętemi rogami?
To nie hajduk, ani szpieg turecki,
Lecz Nowica, kawaz[1]) u Czengicza,
Srogi Turczyn, ów wróg Czarnej [Góry,
Co go znali i starzy i młodzi;
Nawet wile-by go nie przeniosły,
Nie już własne nogi junakowe
W dziennej porze tam na Czarną Górę.
Przez ramiona strzelba przewieszona,
A jatagan srogi ma za pasem,
Obok niego są dwa pistolety.
Płaszczem zakrył owo gniazdo żmije
I opanki lekkie wziął na nogi,
A fez goły na junacką głowę,
A turbana niema ani śladu.
Bez turbana oto Turczyn idzie;
Śmierć przeczuwa, nie chce jednak [umrzeć,
Bo tu jest coś, co go w dal popycha,
Zręcznie junak przeszedł górę Cuce
I Bielice, słynne z częstych bojów,
Po skalistych drapie się Cieklicach,
Wciąż się drapie, modli się do Boga,
By pozwolił przejść i przez te góry
I by nikt go dojrzeć tam nie zdołał.
Śmierć przeczuwa, nie chce jednak [umrzeć,
Bo tu jest coś, co go w dal popycha.
Drugie kury pieją pod Cetynią,
Już Nowica na cetyńskiem polu,
Trzecie kury pieją w samem mieście,
A Nowica wchodzi do Cetyni.
Zaraz strażnik pomoc bożą wzywa:
„Pomoc boża, strażniku cetyński!“
A straż jemu piękniej odpowiada:
„Szczęście tobie, nieznany wojaku!
Skąd ty jesteś, z której idziesz strony?
Jakie ciebie tu przyniosły losy,
Że, junaku, zjawiasz się nam rano?“
Mądry Turczyn, kiedy mu potrzeba,
Mądry Turczyn mądrze odpowiada:
„Gdy mię pytasz, prawdę powiem tobie:
Jestem junak tam z Moraczy chłodnej
I z Tusiny, sioła maleńkiego,
Z pod rozgłośnej góry Durmitoru.
Noszę w sercu swojem trzy boleści:
Jedna w sercu mojem boleść taka,
Że mordował Czengicz Moraczanów;
Druga w sercu mojem boleść taka,
Że mi Czengicz ojca zamordował;
Trzecia w sercu mojem boleść taka,
Jeszcze większa to, że zbójca żyje.
Jak ci miłym wielki Bóg na niebie,
Puszczajże mnie do władyki twego,
Do mojego i twego władyki,
By uleczył moje trzy boleści“.
Mądrzej jemu straż więc odpowiada:
„Rzuć twój oręż, nieznany wojaku,
Ruszaj sobie, dokąd się podoba“.
Turczyn stuka do książęcej bramy,
A ostatnia gwiazda schodzi z nieba:
Była gwiazda to Czengicza agi.

W pieśni trzeciej poeta opiewa, jak idzie oddział czarnogórski walczyć z wrogiem »za krzyż święty i swobodę złotą«. Oddział spotyka kapłana, a starzec błogosławi go i tak do niego przemawia:

„Dzieci moje, mężni wojownicy,
Oto ziemia, co was porodziła,
Choć skalista, ale słynna wami.
Tu się wasze dziady porodziły,
Ojce wasi tu się porodzili,
Wyście także tu się porodzili,
Dla was niema piękniejszej na świecie.
Dziady wasze za nią krew swą lały
Ojce wasi za nią krew swą leli,
I wy sami za nią krew lejecie,
Dla was droższej na tym świecie nie ma.
Orzeł gniazdo wije na skał szczycie,
Bo wolności na równinie nie ma...
Gdyby inne na świecie narody
Na nizinach, skąd widoku nie ma,
Zobaczyły krzyż niezwyciężony,
Co na szczycie Lowczenu się wznosi,
I wiedziały, jak potwór turecki,

[1]) Kawaz — policyant.

Żądną paszczą połknąć go pragnący,
O te skały ząb swój wyłamuje,
Nie stałyby, ręce założywszy,
Gdy wy za krzyż męki ponosicie,
Ni was mianem barbarzyńców zwały,
Żeście marli, kiedy one spały.

Nowica przyłącza się do oddziału i z rąk kapłana chrzest odbiera. W pieśni czwartej Czengicz wpada z jezdnymi na dolinę Gacką, aby wybierać haracz. Poeta z ogromną siłą opisuje męczarnie chrześcijanom zadawane, aby z nich pieniądze wydusić. Nadaremnie rajasowie błagają o litość. Położenie ich tak maluje poeta:

„Haracz, haracz!“ Skąd go weźmie [rajas?
Skąd wziąć złoto, kiedy strzechy niema?
Strzechy, żeby pod nią skłonić głowę?
Skąd wziąć złoto, kiedy niwy niema,
Lecz turecką swoim potem zlewa?
Skąd wziąć złoto, kiedy bydła niema,
Ale cudze po skaliskach pasie?
Skąd wziąć złoto, gdy odzieży niema?
Skąd wziąć złoto, kiedy chleba niema?

Po niesłychanych okrucieństwach, Czengicz wyprawia ucztę pod namiotem i w szale swym każe głodnym rajasom rzucić kości ogryzione. Po wieczerzy znowu poturczeńcy torturują rajasów, aby z nich haracz wycisnąć, poczem idą na spoczynek, składają broń w kącie; dziwnym wypadkiem obok buławy zjawiają się gęśle.

Ale co to przy buławie leży,
Dziwne dziwo, dotąd nie widziane,
Ciche jagnię przy ponurym wilku,
Smukła wila pośród srogich smoków?
Gęśle widzisz, lecz się nie bój, bracie,
By buława gęśli nie rozbiła,
Strun nie skuła w żelazne łańcuchy...
Nie boją się te Słowianki wile,
By zginęły leżąc przy buławie,
Raczej wiedzą, że jej jeśli niema,
Tam słowiańska pieśń zabrzmieć nie [może.

W nocy zrywa się burza; przy blasku błyskawic oddział znajduje drogę do namiotu. Wszczyna się bój. Czengicz ginie od wystrzału, ale i Nowica życie w boju postradał. Na zakończenie poeta wprowadza nas do mieszkania Piotra II, władyki czarnogórskiego, gdzie złożono trofea po Czengiczu-adze.

*(Bronisław Grabowski).*

---

## XIII. August Szenoa.

### Kwiat.

Więdnij, kwiatku, już śnieg pruszy,
Zima sroga tchnęła chłodem!
Ach! mrok zapadł i w mej duszy
I me serce ścięte lodem.

Konaj, słońce! Twa korona
Zniknie wkrótce za wyżyną.
Ach! tak złoty sen mój kona,
Młode złote dni me giną.

Gaśnie święta skra zapału,
Na mem niebie bledną zorze
I sam kopię grób pomału,
A w nim własne serce złożę.

Nie żądałem marnej chwały,
Pieśni moich fałsz nie plami,
Bo jęk serca powtarzały
Struny lutni mej przed wami.

Jam w swe pieśni prawdę wlewał,
Bo mną wyższa rządzi siła,
Bo gdym tylko pieśń zaśpiewał,
Pieśń świątynią dla mnie była.

A w mej duszy zajaśniały
W złotym blasku widma rojem,
Zrodziły się burze, szały,
Co miotają sercem mojem.

I nad światem bujać chciałem
Swemi skrzydły potężnemi,
Ale w locie je złamałem
I los przykuł mię do ziemi.

I dlatego skra zapału
Gaśnie, bledną moje zorze,
Grób otwiera się pomału
A w nim własne serce złożę.

I dlatego milcz, ma pieśni!
A gdy legnę już w mogile,
Ty z grobowej wyjdziesz cieśni
W nieśmiertelnej życia sile.

*(Jan Nitowski).*

## XIV. Józef Eugeniusz Tomić.

### Raniony orzeł.

Gdzieś na górze, na samiutkim szczycie,
Prawie tonąc w niebiosów błękicie,
Siwy orzeł siedzi tam wysoko,
W dal pogląda bystre jej oko.
Pod nim w dole, pod górą zieloną,
Dolin równe rozkłada się łono,
Na nich widzi łąki, trawą kryte,
Młode gaje, bory w mrok spowite.
Widzi niwy, złoty kłos niosące,
I potoki, co biegą po łące.
Siwy orzeł kracze na gór szczycie,
Jakby cały uniesion w zachwycie,
I rozwinął skrzydeł mocne loty,
Pod szaremi szybuje chmur sploty;
Niby władca słonecznych przestrzeni,
Leci szczęsny wśród jasnych promieni.
Niema w świecie takiego dokoła.
Co go ściągnąć z tej wyżyny zdoła.
Ale biada! bo łuku potęga
Ostrą strzałą w górze go dosięga,
Na skał kraniec upada raniony —
Druhy ze wszej zlatują się strony,
By go pytać, jaką poniósł szkodę,
Siwe orły i orlęta młode:
— Czy cię boli ta strzała kłująca,
Czy żal tobie świecącego słońca?
Ranny orzeł im smutnie odpowie:
— Boli strzała, starzy wy druhowie,
Lecz ta rana pewnie się zagoi,
Gorzej boli w głębi piersi mojéj,
Kiedy widzę, że strzała obrzydła
Nosi pióro z braterskiego skrzydła.

*(Bronisław Grabowski).*

## XV. August Harambaszić.

### Moje serce.

Moje serce to kościołek biały,
W nim ofiarny cudny kamień stoi,
Na nim płonąć przez mój żywot cały
Będzie miłość dla Chorwacyi mojéj.

Na nim wszelkie możliwe ofiary
Dla narodu mego chętnie złożę,
Wsze pragnienia, nadzieje mej wiary,
Że je kiedyś spełnisz, wieki Boże!

Pod kamieniem trumna niespróchniała,
W niej żywota mojego połowa;
Moje serce to świątynka biała,
Która w sobie grób mej miłej chowa.

Nad nim mały krzyżyk jest wetknięty,
Pod nim luba śpi we śnie bezpiecznie;
W grób ją wtrącił losów cios zawzięty,
Lecz w mem sercu mieszkać będzie wiecznie.

*(Bronisław Grabowski).*

## B) Poeci czescy.

# I. Z „Rękopisu królodworskiego“.

### 1. Zabój, Sławój, Ludiek.

Nad czarnym lasem sterczy tam skała;
Zabój wystąpił na skały czoło,
Po wszech krainach spojrzał wokoło,
Cała kraina smutkiem powiała,
A on gołębim zawodzi płaczem.
Siedzi tak długo w długiej tęsknicy,
Aż się jak jeleń zerwał na nogi,
Na dół przez borów pustynne drogi
Pędził po mężach, był u każdego,
Z włości do włości, w całej ziemicy,
Każdemu w ucho rzekł coś skrytego,
Bogom się skłonił
I dalej gonił.
Minął dzień jeden, minął dzień wtóry,
Za trzecim, księżyc gdy wyjrzał z chmury,
W czarny las wszyscy poszli mężowie.

Zebranych ziomków Zabój wzywa grzmiącemi słowy do boju, przypominając wyrządzone im przez Niemców krzywdy.

W las się rozbiegli w lewo i w prawo,
Tym dzielny Zabój stanął na przedzie,
Tamtych Sławoja skinienie wiedzie,
Przez gąszcz ku szczytom darli się żwawo.
Pięć słońc na niebie błysło szerokiem,
Splotły się z sobą silne ich ręce,
Oczy ich lisim patrzyły wzrokiem
Na wojowniki książęce.
— „Zetrzemy na proch wojsko niewiary,
Od jednej rany zalegnie pola.
Ej ty, Ludieku, parobie stary
Nad parobami twojego króla.
Powiedz twojemu panu wbrew twarzy,
Że wola jego z dymem nie waży!“
Rozje się Ludiek, błyskiem pioruna
Gromadzi wojsko. Na niebie łuna
I słońce w polnym blasku odstrzela
Od zbroic nieprzyjaciela.
Wszyscy gotowi nogą do kroku,
Za broń chwycili ręką u boku.
— „Śpiesz lisim tropem, śpiesz ty, Sławoju!
Ja się wysunę czołem do boju“. —
Zabój od czoła chlusnął jak grad
A Sławój z boku jak gradem spadł.

— „Patrz, patrz, bracie, za ich sprawą,
Padły bogi, drzewa ścięte,
I krogulce rozpierzchnięte —
Bogi dają zemstę krwawą!“
Owóż Ludieka porwał gniewu szał,
Z zastępu wrogów k'Zabojowi gnał;
I Zabój skoczył, z oczu iskry kłębem
Ział na Ludieka. Jakby dąb z dębem
Wyrwał się z lasu, tak Zabój przodem
Wyrwał się jeden przed swym narodem.
Ludiek uderzył ostrem żelazem
W tarcz: trzy skóry przeciął razem.
Zabój z toporem ramię wytęża —
Puścił — Ludiek się ciosu uchował...
Topór ciął drzewo — padło na pował —
Ku ojcom poszło trzydzieści męża.
Rozjadł się Ludiek: — „Ty zwierzę!
Ej ty, potworo, gadzie!
Stań, mieczem się z tobą zmierzę“. —
Zabój ciął mieczem
I kęs z Ludieka tarczy odkroi.
Ludiek ciął mieczem,
Miecz po skórzanej zwinął się zbroi.
Palą się obaj: cios mnie, cios tobie,
Od stóp do głowy sieką po sobie,
I krew zostawia szerokie ślady.
Krwią opłynęły mężów gromady,
Rzezią zawrzały już strony obie.

Do zachodu słońca trwała zacięta walka; nareszcie Ludiek pada z ręki Zaboja. Wojsko, widząc śmierć dowódcy, ucieka z pola bitwy. Zabój i Sławój ścigają wrogów przez kilka dni; gdy ich już tylko mała pozostała garstka, wracają do kraju.

Wichry po kraju szumią;
Zwycięzcy po kraju szumią,
Długiemi rzędy w lewo i w prawo
Ciągną się męże z radosną wrzawą:
— „Bracie, czy widzisz owdzie szczyt szary?
Tam z woli bogów my zwyciężyli!
Tam dusz tysiące lata w tej chwili
Z drzewa na drzewo, między konary.
Zwierz się ich boi, boi ród ptaszy,
Jedna się sowa tylko nie straszy.
„Teraz na górę pójdziem, w mogiły
Umarłych grzebać i bogom miły
Pokarm zaniesiem; bogom zbawienia
Damy obiaty i dziękczynienia;
Dla nich pochwalny niech zagrzmi głos,
Dla nich orężów zdobyty stos!“

*(Lucyan Siemieński).*

### 2. Wianek.

Książęcą dąbrową
Wietrzyk wiać poczyna;
Po wodę zdrojową
Śpieszyła dziewczyna.
Nabrała w naczynie
I gdy do dom bieży,
Wodą ku dziewczynie
Płynie wianek świeży,
Wianek słodkiej woni,
Fijołki i róże;
Za wianeczkiem goni,
Lecz dognać nie może.
Wiatr go niósł po zdroju,
Niesie coraz daléj.
Po daremnym znoju
Tak się dziewczę żali:
„Gdybym ja wiedziała,
Kto was zerwał, kwiatki,
Temubym oddała
Pierścionek od matki.
„Gdybym ja wiedziała,
Kto was otrząsł z rosy,
Temubym oddała
Plecionkę z mej kosy.
„Gdybym ja wiedziała,
Kto puścił w te strony,
Temubym oddała
Mój wianek zielony".

*(J. B. Zaleski).*

---

## II. Jan Kollar.

### Z „Córy sławy".

1.

O, dawnych Słowian złoty wieku błogi!
Czyjeż dziś oko łzą się nie zaleje?
Któż dziś nie westchnie, czytając twe dzieje?
Chociaż narodu kreśliły je wrogi?...
Nieznane były u naszych pradziadów
Klucze, zapory, szafoty, więzienia,
Ani się pojąć mogli ze zdziwienia,
U swych niemieckich widząc je sąsiadów.
Obce im były kradzież i morderstwo,
Podstęp, obłuda, kłamstwo, przeniewierstwo;
Sędziwą starość młode plemię czciło.
Pieśni i gędźba w całym kraju brzmiały,
Gościnne wrota wszędy oścież stały...
Dzisiaj, niestety, wszystko się zmieniło.

2.

O, gdyby przy mnie berło władzy było!
Gdybym mógł ręką zawładnąć zwycięską!
Razby się przecie nazawsze skończyło
Sąsiedztwo, wieczną co nam było klęską.
Od Adryatyku aż ku bagnom fińskim,
Od Łaby po nurt Dunaju bystrego,
Nie żelaznemi słupami Chrobrego,
Granice murem opasałbym chińskim.

Tą-bym ja tarczą od zguby ostatniéj
Zasłonił ciebie, o narodzie bratni!
Któremu więcej gdy nie ma co brać —
Wydarłszy wszystko, wróg twój naostatek
Dziś się nie wzdryga z piersi twoich matek
Słowiańskie mleko twe ssać![1]).

*(Roman Zamorski).*

## III. Frańciszek Ładysław Czelakovsky.

### Z „Róży stulistnej".

1.

Wszędy mi twe liczko świta
W urzeczonych myśli grze;
Ucho słyszy, oko czyta
Wszędzie drogie imię twe.

W gęstej liści — tam — zasłonie
Oczek twych mi błyska żar,
Tu mi z krza różyczek płonie
Wdzięczny ustek twoich czar.

Czyż dziw, że, gdzie stąpię, we dnie
Imię twoje słodkie, przednie
Na niw kwietny składam strój,
W nocy — między gwiazdek rój.

2.

Żegnaj, słońce! Noc miesięczna
Na śpiewny już wabi łów,
Tajemnicza, jasna, wdzięczna,
Noc, jak wizya wieszczych snów!

Ciszę przerwie tylko czasem
Słowik tęskną pieśnią swą,
A gdy błyśnie świt za lasem,
Z pól przepiórcze głosy brzmią.

Ach! już w dymnem mieście ludzie
Budzą się i dręczą w trudzie,
By jeść troskom swoim dać.
Witaj, słońce! — idę spać.

3.

„Jakiż czar cię wiedzie, bracie,
Przez żywota ciężki tór,
Że na myśli twoich szacie
Nie znać nigdy smutku chmur?"

Wstrzemięźliwość, która wraca
To, co byłbym stracić mógł;
Potem — wolna, stała praca,
Duszy mojej druh i bóg.

Pod ich strażą, drwię bez granic
Ze służalców, mając za nic
Pałacowych blaski pych
I mydlanych baniek szych.

4.

Nie próżniacze to zapały
Stworzą przyszłość, i snadź raj:
Pracy cichej, wspólnej, stałéj
Potrzebuje, żąda kraj.

Gdyby każdy w ziemię włożyć
Jedno zdrowe ziarnko chciał,
Wkrótce-by się mógł ostożyć
Dwór, co dotąd pustką stał.

Kto wszak próżną chlubą dmie się,
Plew koszyki na targ niesie,
Z nadziejami tego wraz
Szybko zwieje wicher-czas.

*(Miriam).*

[1]) Słowianek poszukują Niemcy na mamki.

## IV. Bolesław Jablonsky (E. Tupy).

### Pieśniarz w obcej ziemi.

„Śpiewaj nam, śpiewaj!“ Tak, przyjaciele,
Wy mnie wzywajcie do pracy...
Chcecie, bym śpiewał? Och, to zbyt wiele,
Dalecy bracia rodacy!
Pierś przygnieciona — trudno z niej,
[trudno
Dźwięk mi wydobyć śpiewaczy;
Dusza, dla której ciemno, bezludno,
Zamiera w niemej rozpaczy.

Wróćcie mi, wróćcie ojczyste niwy,
Dajcie rodzinną ziemicę,
Niech jej obaczę obraz prawdziwy,
Jej się cudami zachwycę;
A serce moje wyrwie się z cieśni,
Zapory głosu rozwali;
Ja będę śpiewał, a takie pieśni,
Żeście im równych nie znali...

Dajcie mi ujrzeć ojczyste góry,
Widok pół świata z wyżyny,
Lasy — pieszczone dzieci natury,
Kwieciem zasiane doliny;
Wówczas, jak zwiędły kwiatek od rosy
Moje się serce rozrośnie,
Dusza się moja pojedna z losy,
Usta zapieją radośnie.

Niechaj oglądam te grody, sioła,
Którem pokochał zamłodu;
Niech mię otoczy ów lud dokoła,
Ów, krewny z mowy i z rodu:
Wtedy z mej piersi kamień odpadnie,
I zdrój uciechy wybryźnie,
I święte hymny wyśpiewam snadnie
Na chwałę Bogu, ojczyźnie.

Gdy mię przytulisz, ojczyzno miła,
Gdy mię przytulisz w objęcia,
Gdy odbrzmi pieśnią puszcza, mogiła
Wokoło twego dziecięcia:
O, w tej niebiańskiej, słodkiej godzinie
Wszystko się ziemskie rozproszy,
Cała się dusza w pieśni rozpłynie,
I umrę, umrę z rozkoszy!

*(Wincenty Korotyński).*

---

## V. Karol Ignacy Macha.

### Maj (poemat).

Bohaterem jest Wilhelm, jeden z tych szlachetnych zbójców, których poezya romantyczna idealizować lubiła. Wygnany »z pod dachu ojców«, przystał do rozbójników i został potem ich wodzem, »strasznym panem lasów«. Kochał on piękną dziewicę, Jarmiłę, a mszcząc się na współzalotniku i zwodzicielu, poznaje w nim własnego ojca. Za zabójstwo ponosi męczarnie łamania kołem. Wątek zasadniczy jest tylko napomknięty; poemat zaś sam składa się właściwie z żalów Jarmiły w dzień majowy, z rozmyślań smutnych Wilhelma w więzieniu, z dwu intermedyów, z których jedno w obrazie fantastycznym przedstawia chóry duchów i różne zjawiska przyrody, zapowiadające swój udział w śmierci Wilhelma, a drugie — towarzyszy Wilhelma, bolejących nad sromotnym zgonem swego wodza. W ostatnim ustępie poeta sam występuje, opowiadając, jak zwiedzał miejsce męczarni Wilhelma i jak nad losem swoim i jego rozmyślał. Przytaczamy dwa miejsca; opis chwil przedzgonnych Wilhelma i rozmyślania poety.

Po pięknym opisie dnia majowego, przystępuje autor do zobrazowania tłumu wylegającego na błonie, by się przyjrzeć katuszy skazańca.

Lecz widok jeden ten urok kala:
Gdzie wązki przesmyk w jezioro wbiega,

Gdzie gniewna wiecznie tłucze się fala,
A biała wieża sterczy u brzega,
Tam się rozlega krzyk niespokojny:
Z miasteczka zastęp wychodzi zbrojny,
I lud zdaleka napływa tłumem,
Tłoczy się, rośnie stek z każdej strony
Z coraz to większym krzykiem i szumem,
Nieszczęsny zbrodniarz ma być wiedziony.

Wtem z bram miasteczka poczet wykracza,
Gęsty mur broni więźnia otacza,
A on w pośrodku śmiały, spokojny,
Pyszny jak zawsze, jak zawsze strojny.
Ucichła ciżba — zwolna szeptają,
Aż znowu nagle w grzmot zawołają:
„To on! to on! tak! to jego pióro,
Kołpak i oko jak błysk pod chmurą,
I płaszcz to jego — to on: pan lasów!
Straszny w dzień śmierci jak lepszych czasów".
I rosną krzyki, jak szum powodzi,
Lecz ciekawością powódź szumiąca
O zbrojną tamę w tył się odtrąca.
I zastęp wolnym szlakiem przechodzi.
Jak czarny obłok mknie się powolnie;
Więzień nieskwapno, lecz równo kroczy.
W głąb duszy patrzą spuszczone oczy.
Z miasteczka dzwonów brzmienie dolata
Za pokój duszy schodzącej z świata,
I lud i dzwony modlą się wspólnie.

Nad jeziorem pagórek wznosi swoje czoło,
Na nim słup w ziemię wbity straszne dźwiga koło,
W pobliżu stromej skały podwójny wierzchołek,
A na wyższym maleńki bieli się kościołek.
Wolnym pochodem orszak u jego podwoi
Staje — cofa się w okrąg: złoczyńca sam stoi.
Raz mu jeszcze ostatni, jeden raz jedynie
Pozwolono przyrody oglądać świątynię
I w ciemne góry puścić dumające oko,
I wolnem ich powietrzem odetchnąć szeroko;
I raz jeszcze popatrzyć na niebios błękity,
Na kolebkę dzieciństwa, skał sinawych szczyty,
Przed nieba, światów panem zgiąć korne kolano,
Okupić mnogie błędy jedną łzą wylaną.
I wszelki zgiełk umilknął, lud chowa milczenie
I każde serce zdjęło jakieś tajne drżenie,
Bez ruchu każde oko w więźnia się kieruje;
Gdzie zachwycon przyrodą, ukorzon przed Bogiem,
Modli się uroczyście przed wieczności progiem.

Wzniosło się słońce i jarką łoną
Oblewa więźnia twarz wybledzoną;
Łzę na źrenicy tęsknej mu ściera,
Co w oddaloną przestrzeń spoziera.
Pod nim głęboko krasna dolina,
Ciemnych gór łańcuch wkoło ją spina
I wieniec lasów w krąg obejmuje.
Środkiem dolina się rozstępuje
I na pościeli brzegów kwiecistych
Jezioro drzemie w głębiach przejrzystych.
To modro czasem z brzegu się wspieni,
To dalej błyśnie znów zielonawo,
Zieleniej jeszcze dalej się mieni,
Aż blado-jasno ginie w dal mgławą.
A nad niem wkoło domy się bielą,
Drzewa wieszają ponad topielą,
Na wodzie ptaków kąpie się stado,
I lekkie czółna pławią gromadą;
A gdzie jezioro w bory się kłoni,
Cały tam obraz po wodzie goni:
Łódki i ptaki, domy nadbrzeżne,
Zielone drzewa i żagle śnieżne,
Wzgórki okólne, dalekie góry
I ciemnych lasów okrąg ponury:
Wszystko jak gdyby wspak zatopione
W zwierciedle wody widać zdwojone.

Tam w mgławej dali sterczącą skała,
Ponad głębiną zwiesza się śmiała;
A na niej drzewo tkwi rozłożyste,
Znany dąb stary. Już uroczyste
Nie wrócą chwile, co w jego cieniu,
Gdy noc spuszczała tajni namioty,
Głos synogarlic zwał do pieszczoty,
W słodkiem miłości mkły upojeniu.
Najbliżej wzgórek wznosi swe czoło,
Na nim słup wbity, na słupie koło;
Wonny gaj boki wzgórka ustraja,
Młode listeczki smutnym drżą stękiem.
Słońce się wznosi, wszystko lśni wdziękiem,
Skąpane rosą — ranek to maja.

Wszystko jeszcze piękniej, uroczyściej wygląda
Temu, co raz ostatni napaść się tem żąda.
I więźnia serce schwycił żal gorzki, gwałtowny,
Tajny, lecz łzą gorącą, westchnieniem wymowny;
Płacze — lecz męska duma i wola i siła,
Ostatniem wysileniem te łzy przytłumiła.
Znowu w niebios sklepienie wznosi oczy łzawe:

Na przejrzystym błękicie giną mgły białawe,
Z niemi leciuchny wietrzyk w różny kształt swawoli;
Wyżej, dalekiem niebem obłoki powoli
W odległe płyną kraje szeregi długiemi.
Więzień do nich przemawia słowami smutnemi:
„Wy, co w dalekosięgłym swej wędrówki locie,
Obejmujecie ziemię w tajnym ramion splocie,
Wy, gwiazdy rozpłynięte, modre nieba cienie,
Wy, całuny żałobne, w nagłe rozsmutnienie,
Co się w ciche łez strugi całe rozpływacie;
Wy najmilszemi posły zawsze mi bywacie.
Więc gdzie płyniecie w długim oddalonym biegu,
I tam gdzie już do swego dopłyniecie brzegu,
W bystrej pielgrzymce swojej pozdrówcie mą ziemię,
Mą kolebkę, grób, matkę. O! pozdrówcie niemie!
Ach tę ziemię tak piękną, ziemię ukochaną,
Mą ojczyznę jedyną w dziedzictwo mi daną,
Szeroką moją ziemię, mą ziemię jedyną,
Aż bieg wasz nad jeziora zobaczy głębiną
Na wzniosłym złomku skały dziewicę spłakaną".

Umilkł; — i znowu we łzach oko się spławiło.
Wtem znak ostatni dano — wojsko się ruszyło:
Orszak szeroką ścieżką wskroś młodego borku
Idzie — dalej — i dalej — już są na pagórku.
Tłum w niemem natężeniu odetchnąć się boi;
U kresu z gołym mieczem kat gotowy stoi.
Jeszcze raz, raz ostatni więzień podniósł oko
I z westchnieniem dokoła powiódł niem szeroko,
I nagle spuścił w ziemię — śmierć wobec stanęła,
Klęknął — kat w tył się cofnął — stal w górze błysnęła;
Straszna chwila... jak gdyby grom nad tłumem zwisnął,
Kat szybki krok dał naprzód, i razem miecz świsnął.

Spadła głowa — i drgnęła — i ciało się kłoni,
Ach, w tę ziemię tak piękną, ziemię ukochaną,
W swą kolebkę, grób, matkę — och w ziemię jedyną,
Szeroką tę tu ziemię w dziedzictwo mu daną,
W matkę swą, w matkę swą; krew syna ciecze po niéj,
Po członku łamano członek, aż ciało skruszone
Jak nitka między koło zostało wplecione;
W środku głowa zatknięta w postrach długich czasów.
Tak skończył dni żywota straszliwy pan lasów.
. . . . . .

I długo tak siedziałem, aż promień księżyca
I moje, i tej czaszki zbledził jeszcze lica.
Jak zasłona gazowa białość się rozlewa
Na doliny i góry, jezioro i drzewa.

W okolnych dworach słychać psów szczekanie,
Niekiedy się spóźnione odezwie wołanie;
To sowa gdzieś tam stęknie, żabki rzechotają,
Lekkie wiatry kwiat z drzewa jak śnieg rozwiewają,
Wyziew łączny jak wonne kadzidło się wznosi,
Obłok przelotny czaszkę łzą wilgotną rosi.
Mgła jak krepa się ściele, niesiona wietrzykiem;
Nocne ptastwo złowrogim odzywa się krzykiem,
Nad jeziorem przelata światło tajemnicze
I wiatr jakieś jęczenia roznosi zwodnicze;
A muszki świętojańskie, gwiazdy latające
Uganiając się, kreślą jasnych kół tysiące;
Czasami zajdzie która w czaszki głąb kościstą,
I oczami wyłażąc, tworzy łzę ognistą.

I w smutnych oczach moich dwie wrzące łzy stały,
Jak te iskry jeziora po twarzy mi grały.
Bo gdzież moje dzieciństwo? O, wiek to szczęśliwy!
Daleko już go uniósł bieg czasu skwapliwy,
Dalekie sny dzieciństwa jako cień zamierzchły
Obrazów, co po wodzie dawno się rozpierzchły.
Czem zmarłych myśl ostatnia, czem są ich imiona,
Chwała bogów przedawnych głucho zatracona,
Dawna zorza północna, wygasłe jej łony,
Starganej struny dźwięki, zbitej harfy tony,
Zeszłego wieku dzieje, blask gwiazdy spadniętej
Ślad błędnego ognika, woń róży zwiędniętej;
Czem jest grób zapomniany, minionych burz wycie,
Stary wulkan wyziębły, przeszłość zapadnięta
Śpiew martwego łabędzia, wieczność niezgadnięta,
Stracony raj ludzkości po stracie piękniejszy —
Tem jest moje dzieciństwo!...
A czas teraźniejszy
Jakże mnie przeinaczył! jak w tym poemacie
Życie jeszcze w majowej mieni mi się szacie,
Lecz cisza to majowa wśród nocnej pomroki,
Na ustach lekki uśmiech, w sercu żal głęboki.

Widziszli tam pielgrzyma? długim kijem wspiera
Pośpieszne kroki swoje, szybko się wydziera
Śledzącym go spojrzeniom; gdy tę skałę minie,
Przed waszemi oczyma już na wieki zginie
I nigdy go już, nigdy potem nie ujrzycie!
To moje przyszłe losy, to me dalsze życie.
I któż serce podobne napoi do syta?
Szczęście, miłość, trwa wiecznie! Mnie już nie zaświta.

Późny jest wieczór pierwszego maja,
Majowy wieczór, wszystko tak miło!

Głos synogarlic wabi do gaja:
„Ignacy! Wilhelm!! Jarmiło!!!

*(Bronisław Malecki).*

Cały poemat „Maj“ mamy w tłómaczeniu Br. Maleckiego (»Biblioteka Warszawska« 1855, t. IV, 511—536).

## VI. Witosław Halek.

### Z wieczornych pieśni.

1.

Nów i gwiazdy na błękicie,
Toń szafirów i jasności...
Nowe, zda się, budzą życie
I nieznany raj miłości!

Gwarzą słodko pola, łany,
Liść z listeczkiem — z kwieciem niwa,
Cały świat jak zakochany
W pocałunkach się rozpływa.

A jednakże... choć liść gwarzy,
Choć się wdzięczą gaj i błonie;
Ileż, ileż młodych twarzy
I serc młodych we łzach tonie?

2.

Ptak, to iście piosnka żywa,
Pieśń tęsknoty i miłości!
Nie dziw, nie dziw, że ten śpiéwa,
W czyjem sercu miłość gości.

A ptaszyna jakoś umie
Tak do serc przemawiać rzewnie,
Że gdy piosnkę człek rozumie,
To się łzą zaleje pewnie.

Jakże często mym udziałem,
Być ptaszęcej echem pieśni!
Śpiewam sercem rozbolałem,
Kiedy w duszy najboleśniéj.

3.

Rozkochany w swojem dziele,
Bóg człowiecze serce stworzył,
I ze skarbca uczuć — wiele
Z swej miłości w głąb ich złożył.

Gdy wzrok boży, wzrok miłości,
Na serduszku spoczął tkliwem,
Bóg rozpłakał się z radości,
Że je widział tak szczęśliwem.

Lecz w tym płaczu — jedna, cicha
Łza do serc się zabłąkała,
I jak rosa u kielicha
Polnych kwiatów, lekko drżała.

Łzy tej boskiej cenna woda
W piersiach rodzi ból niemały...
Lecz po stokroć serc tych szkoda,
Co tych cierpień nie zaznały.

Minie smutek, boleść minie,
Po łzach szczęścia przyjdzie więcej...
Wszak gdy serce łzą opłynie,
Wtedy kocha najgoręcej.

4.

Gołąbek łkał na dębie,
Wiatr igrał z falą białą;
Gdym chciał ci duszy głębię
Otworzyć — słów nie stało.

Człek w obcym dla się kraju
O szczęściu śni dalekiem:
Bo na to jest człowiekiem,
By tęsknił wciąż do raju.

5.

Widziałem cię umarłą...
Smutno huczały dzwony,
Jęczenie, co pierś darło,
Słyszałem z każdej strony.

Dziwne ci ścłali łoże:
Na pierś głaz twardy dali,
A na nim — mnie, o Boże!
Nagrobek ryć kazali.

Ludzie! — więc w żadnym razie,
Jęk serca was nie wzruszy?
To piszcie tam na głazie,
Com nie wyśpiewał z duszy!

Miłość — prostemi słowy
Śpiewałem głuchej czerni...
Może ten głaz grobowy
Przekona was — niewierni!

*(Wł. Bełza).*

## VII. Jan Neruda.

### 1. Ostatnia balada z roku dwa tysiące i jeszcze kilka.

Za ostatnią kradzież, co wogóle
Na tym świecie została spełnioną,
Raz ostatni zeszły się pachołki
I ostatnią ławę wystawiono.

I ostatni sędzia, praw ostatnich
Stróż, za chwilę wyrok swój wypowié,
By za kradzież kazać sprawić kije
Ostatniemu w świecie baronowi.

Baron, sławnych pradziadów potomek,
Drży ze strachu, gnie pokornie szyję,
Przodków nawet miecze nie trwożyły,
A potomka straszą marne kije.

— Miły bracie, stróżu praw surowych,
Patrz, jak w ciężkiej znalazłem się matni;
Kraść nie będę nigdy, więc mi przebacz.
Jam jest baron i to już ostatni.

Sędzia słucha, tylko głową kiwa
I uśmiecha się niby łaskawie:
— My barona pod ławę rzucimy,
A złodzieja położym na ławie.

### 2. Romanca.

Skocznie grano, gdy już w ziemi
Legło ciało moje,
Matka gościom wystawiła
Jadło i napoje.

Dnia drugiego się dzielili,
Zamków dziewięć było,
Że im mało zostawiłem,
To w nich złość budziło.

— A tę byłą mą kochankę
Komuż odda mama?
— Głowy sobie nie kłopoczę,
O tem myśli sama.

*(Bronisław Grabowski).*

## VIII. Świętopełk Czech.

### Fantazya morska.

I. Modlitwa dziewczyny przed nadbrzeżną kaplicą.

O gwiazdo morza, Matko litości!
W żywiołów burzy niech mir twój gości,
Wstrzymaj dzikich wichrów bój,
Spuść niebieski spokój twój,
O gwiazdo morza!
O gwiazdo morza, o łask krynicy!
Miejże ten korab' w świętej prawicy.
Modrym płaszczem nad nim wiej,
Ochroń maszty, ochroń rej,
O gwiazdo morza!
O gwiazdo morza! Trwożna tęsknota,
Jak żaglem wicher, sercem mem miota...
Tyś miłości czystej zdrój,
Spuść nam błogi spokój twój —
O gwiazdo morza!

II. Pieśń marynarzy.

Wodny staruch, ten się wodzi —
Niech go szlakowity szlak!
Jako kleszcz się trzyma łodzi —
(Powiada to stary Dżak).
Chodzi w kurtkach pręgowanych,
Marynarski nosi znak,
Siada w żaglach wichrem gnanych,
(Widział go sam stary Dżak).
Do ludzi ma serce wielkie,
Dzieci sam kolebie, — wszak
Nad wszystko lubi butelkę —
(Prawie tak, jak stary Dżak).
A gdzie miodu i kolebki,
Gdzie i piwa jemu brak,
Tam kij bierze, wdziewa trepki —
(Wypatrzył go stary Dżak).
Innej szuka wnet sadyby,
A ty z łodzią — choć na hak!
Pocieszą się w morzu ryby...
(Tu się żegna stary Dżak).

III. Śpiew chłopca okrętowego.

W koszu, wysoko,
Jak w gnieździe ptak,
Wytężam oko,
Rudlom na znak.
Ojciec mi okręt, woda mi matka,
Żagle me siosty, maszt moja chatka.
Wesołe ja chłopię
Niczem się nie stropię —
La... la... la... la!...
Z boku się wykrada
Wicher, psi syn!
Burza nas napada
Wśród świstu lin.
Trzeszczą pomosty, lecim gniewliwie
Po białej wodnych rumaków grzywie.
Już rudel rozpęka,
A tu brzmi piosenka:
La... la... la... la!...
Pod nogą maszt mi drży,
Chwieje się w bok.
Błyskawic pożar mi
Zalewa wzrok....
Niechaj maszt pryska! Tam w mokrym [grobie,
Woda, mnie matka, przytuli sobie.
W kryształów kolebce
Fala mi szepce:
La... la... la... la!...

IV. Młodzian pod masztem.

Jak ten obraz Boskiej Panny
Świeci w drzewie tém,
Tak i miłej mojej liczko
Tkwi tu, w sercu mém...
A jak tutaj pod obrazem
Drży światełko w mgły,
Tak miłości gwiazda złota
Świeci przez me łzy...
Przepłynąłem wielkie morze,
Przebyłem burze,
Ale serce me zostało
W chatce na górze...
Przepłynąłem obce wody,
Czarodziejski świat,
Wszakże dla mnie miła moja
Najwdzięczniejszy kwiat...
Nie widziałem w niebie całem
Takiej gwiazdeczki,
Jak te modre oczy we łzach
Mojej dzieweczki...
Wielkie skarby inni wzięli
Wpośród cudzych ziem,
A mój skarb pozostał, miła,
W wiernem sercu twem...
Pani niebios, drogą naszą
Pośród fal tych rządź,
A dwom wiernym sercom młodym
Miłościwa bądź!

V. W kajucie.

*Dziewczyna* (leżąc w hamaku)
Paziu! ja się ciebie boję....
Szałem płonie oko twoje.

*Murzyn* (kołysząc ją)
Śpij, ma młoda! Śpij ma pani!
Wielki Duch panem otchłani,

Śpij, ma pani, śpij...
Jam jest czarny, tyś jest biała,
Biel muślinów cię owiała,
Jako pióra mgły...
Śpij, o pani, śpij!
Śpij, ma pani! W łodzi ruchu
Perła błyska w twojem uchu,
Jako gwiazda drży...
Jam jest ciemny, a ty jasna,
W włosach twych przepaska krasna
Jak dyadem lśni....
Śpij, ma pani, śpij!
Śpij, ma młoda, śpij, ma pani!
Wielki Duch panem otchłani,
Śpij, ma pani, śpij!...
Wybielejem wnet oboje.
Da nam morze śluby swoje
Na wieczyste sny...
Śpij, o pani, śpij!

*Dziewczyna.*

Słyszysz?... Słyszysz, niewolniku!
Okręt pęka wśród fal ryku....

*Murzyn.*

Jam nie niewolnik! Jam jest król
[i wódz!
Sudan mej pięści cały nie mógł zmódz,
Złote obręcze u nóg moich lśnią,
Perły mam w grzywie, a grzywę mam
[lwią!
Śpij, ma pani! Korab' płynie
Po wzburzonych fal głębinie,
Pęta dzwonią mi...
Śpij, ma pani, śpij!
Jam nie niewolnik! Jam jest wielki lew!
Płaszcz mój tygrysi, a na płaszczu
[krew....
Śpij, ma pani! Dolar dzwoni....
Grzbiet pod biczem zgięty roni
Krople czarnej krwi...
Śpij, ma pani, śpij!
Ha! Otom znowu sławny król i pan!
Słyszysz huk bitwy i wojenny tan?
O! już zbudź się, miła moja,
Daj mi pić z złotego zdroja,
Daj mi usta swe...
Nie śpij, pani, nie!

*Dziewczyna.*

Puść mnie! Szatan w twojem oku...
Udusisz mnie!... z dołu, z boku,
Śmierć tu grozi w burzy ryku...
Na Chrystusa, niewolniku!...

## VI. Na pokładzie. — Burza.

*Kuchcik* (wyłażąc na pomost)

Pod pokładem wody — jak w sadzawce.

*Majtkowie.*

Hej! do beczek!

*Kapitan.*

Do pompy! Plugawce!

*Majtek.*

Cha!... cha!...

*Kapitan.*

Śmiechy?... Zaraz ja tam cicho
Kulką zrobię!

*1-szy Majtek.*

A to ci złe licho!

*Inni.*

Na maszt z nim! Dalej! Niechaj patrzy
[z góry
Na nasze rządy!

*Głosy.*

Dobra! Dawaj sznury!

*Młodzieniec* (pod masztem).

Pani niebios! chroń od zguby,
Sterem naszym rządź,
A dwom młodym, wiernym sercom
Miłościwa bądź!...

*Majtkowie* (wytaczając beczkę na pokład).

Pełniuteńka. Tchnąć nie może!
Wnet pomożem ci, nieboże...
Ciągnij czopa! Wyszczerz zęby!
To kapitan zatkał gęby...
Łakomy!
Cha!... cha!... cha!...
Łakomy!
Morski wilku! morska trawo!
Podyndasz ty w lewo, w prawo,

Opłuczą cię jasne brody,
Napijesz się słonej wody,
Jako my!
Cha!... cha!... cha!...
Jako my...

*Krzyk z kajuty.*

...Na Chrystusa, niewolniku!...

*Chór pijanych majtków* (tańcząc koło masztu).

Dalej! dalej! do kółeczka!
Tocz się, brachu, nie miej strachu!
Kto się boi, ten jest beczka!
Sple.. ple.. ple.. spleśniała beczka.

*Głosy kobiet.*

O Maryo! Spojrzyj na nas z góry!
Rozwiń płaszcz swój gwiazdny ponad [chmury!

*Chór majtków.*

Kto się modli, ten jest beczka!
Sple... ple... ple... spleśniała beczka.

*Głosy kobiet.*

Ty, co nad niebiańskie chóry
Rozsiewasz blaski słońca
Skroś chmury
W przepaść bez końca —
O! zmiłuj się! już pod nogami
Morze otwiera paszcze przed nami,
A wkoło śmierci groza...
O! zgroza!...

*Chór majtków.*

Cały świat jest beczka.
Sple... ple... ple... spleśniała beczka.
(Maszt wali się z trzaskiem).

*Głos z masztu.*

La... la... la... la!...

## VII. Na brzegu.

*1-szy Odzieracz trupów.*

No, cóżeś złowił?

*2-gi.*

At! złowiłem biedę...
Chłopak coś znany...

*1-szy.*

Na świętego Bedę!
A toć to z brzegu naszego junosza.
Znam go, dziewczynę miał tu. Ot ta [ścieżka
Wiedzie do chaty tej, gdzie ona mieszka.
Popłynął we świat, chciał zebrać coś [grosza,
Pierścień wziął od niej...

*2-gi* (pilnie oglądając trupa).

Toć go jeszcze trzyma,
Ale też więcej prócz niego nic niéma.

*1-szy.*

Zostawże mu go, a trupa pchnij [w morze.

*2-gi.*

Patrz, patrz! Dziewczyna wybiegła na [skałę...

*1-szy.*

Jego dziewczyna....

*2-gi.*

Patrz, skacze nieboże...
Już tylko z wody widać ręce białe —
Już po niej!...

*1-szy.*

Co też ta woda zabierze!

*2-gi.*

Cóż, bracie? może odmówim pacierze...

## VIII. Rybacy klęczą przed kaplicą nadbrzeżną.

*Chór.*

O, gwiazdo morza! Nadziei kotwico!
Wygładź wód tonie przeczystą prawicą,
A utul w wiecznym i cichym spokoju
Tych, co polegli w tej burzy i w boju,
O gwiazdo morza!

O, gwiazdo morza! O zdroju żywota! O, gwiazdo morza! Niech z twojej opieki
Choć nawałnica korab' nam zgruchota, Spokój nam błogi zabłyśnie na wieki,
Na dnie przepaści ty arkę miłości Niech z burz i wichrów i z toni rozbicia
Ze szczętów wzniesiesz, o matko litości, Wypłynie korab' miłości i życia...
O, gwiazdo morza! O, gwiazdo morza!

*(Marya Konopnicka).*

## IX. Jarosław Vrchlicky (Frida).

### 1. Ze zbioru „Duch i Świat".

#### Dzwony wieczorne.

Przez puste wzgórze szedłem w zamyśleniu;
Był cichy wieczór, jako w lecie bywa,
Gdy lasy zasną, świerszczyk w trawie śpiéwa
A wszystko wkoło leży w rozmarzeniu.
Nagle zabrzmiały dzwony w tem milczeniu.
Co chce ten jęk ich, gdy ziemię cień skrywa,
Czem jest ta gędźba ponura, jękliwa,
W ciszy przyrody i w tem jej uśpieniu?
I myśl pobiegła w te czasy bezludne,
Gdy ziemia w pierwszej czystej krasie biała
Z czary ciemności piła cisze cudne,
Gdy upajała się zmrokiem i świtem,
Gdy innych dźwięków oprócz burz nie znała,
Gdy każdy ranek był święta rozkwitem.
Co czuła ziemia w tym śnie niewinności!
Sama dla siebie własnem życiem żyła,
Przed słońcem skromnie kwiecistą twarz kryła
Gałęźmi drzew swych odwiecznej starości.
Dniem upojona, wśród nocnych ciemności
Runy swej wieszczby gromem w skałach ryła,
I tylko księżyc pod wieczór, gdy śniła,
Był cichym, niemym świadkiem jej miłości.
Wtem przyszedł człowiek, wzniósł cielca złotego,
Szedł przez pieczary, wzgórza, morskie tonie,
Wciąż nadstawiając dłoń żebractwa swego;
Niezdolny pojąć te wspaniałe dziwy,
Spoglądał zimno, jak pieścił gór skronie
Milczący księżyc w swojej krasie tkliwéj.
Lecz przyjdzie chwila, gdy ścichniecie, dzwony,
Gdy aniołowie, co w sercach wam kwilą,
Swe modre skrzydła prostej wiary schylą,
A łoskot gromów zgłuszy wasze tony.
I w gruzy padną ołtarze i trony,
Chwasty porosną gród ludny przed chwilą,

A ziemia, szatę przywdziawszy motylą,
Znów wzleci w eter, kędy gwiazd miliony!
O, chciałbym żyć w ten wieczór odrodzenia,
Gdy ziemia ludzi proch strząśnie w toń czasów
I usty dotknie spokoju strumienia;
Gdy wichrem ślady po człowieku zmiecie
I hymnem, który zabrzmi z głębi lasów,
Znów młodość swoją otworzy w wszechświecie.
O ty przeszłości, ciemne wieków morze,
O ty zasłono, kryjąca nam słońce!
Gdy światy zalśnią krwawo gorejące,
Zaszumią puszcze, jęknie fal przestworze,
Ziemia zatęskni, po człowieku może?
Lub snadź tych światów płomiennych tysiące,
W ciemności lecąc, w piersi jej tlejące
Swym ogniem zbudzą nowe życia zorze.
A więc padajcie, krwawe meteory!
Jakiś Bóg ziemię całuje waszemi
Usty — a ona rodzi nowe twory;
Toć „życie! życie!“ wciąż grzmi po wszechświecie,
Ono kwiat do ust, cedr chyli do ziemi —
O, światy! kiedyż wy się uściśniecie!

*(Miriam).*

## 2. Z cyklu „Motyle wszystkich barw“.

### Romanca.

Otulał ziemię ranny zmrok.
Ze skrzypką chłopiec szedł przez stok,
Przez ciemny las, śród czarnych skał,
I grał a grał;
I rzekł mu wiatr, kołysząc kwiat:
O, graj mi, chłopcze, graj!
On oczu nie wzniósł, szczęśliw, rad,
Grał sobie wciąż, a cały świat
Jak cudów był mu raj.

Szedł wonną niwą. Każdy kłos
Kroplami rannych świecił ros
I brylantowym deszczem drgał —
On grał a grał;
I głos strumyka w gędźbę wpadł:
O, graj mi, chłopcze, graj!
On oczu nie wzniósł, szczęśliw, rad,
Grał sobie wciąż, a cały świat
Jak cudów był mu raj.

Nad wodą olszyn ciemnych krąg
I kwiaty bzu, co wzrósł śród łąk,
Chyliły się, gdy przy nich stał
I grał a grał;
I tchnęły naraz liść i kwiat:
O, graj nam, chłopcze, graj!
On oczu nie wzniósł, szczęśliw, rad,
Grał sobie wciąż, a cały świat
Jak cudów był mu raj.

Westchnęły — krzew i mszysty głaz,
Paproci gąszcz i jodeł las,
Dąb stary dziwny przejął szał,
Gdy grał a grał;
Zadzwonił drozd, jak dzwonki stad:
O, graj mi, chłopcze, graj!
On oczu nie wzniósł, szczęsny, rad,
Grał sobie wciąż, a cały świat
Jak cudów był mu raj.

Czy w cierniach idziesz czy wśród [róż,
Pieśniarzu, pchnięty w odmęt burz,
Czemż innem-byś, niż on, być miał,
Byś grał a grał?

Nie słuchaj ludzkich żądań, rad,
Co grzmią: nam tylko graj!
Gdzie ideału jasny ślad,
Tam duchem leć, a cały świat
Zamienisz sobie w raj!

*(Miriam).*

## 3. „Amarus", legenda klasztorna.

W klasztorze żył od dziecka między mnichy,
Nie wiedząc, jaki miał ród, jakie miano.
Z grzechu był zrodzon. Amarem go zwano.
Wysoki, blady, zadumany, cichy
Wciąż wzrok w dół spuszczał, jakby nieznanego
Czegoś po ziemi szukał. Lata biegą.
Wtem raz, gdy księżyc srebrzył celi kraty,
Tak prawił Bogu: „Za mój żywot struty,
Za umartwienia męki, łzy pokuty,
Jednej od Ciebie upraszam zapłaty:
Powiedz mi, kiedy umrę". Jak myśl chyża
Nadleciał anioł, szepcząc: Nocy onej
Zakończysz żywot, kiedy do zwieszonej
Po nad ołtarzem lampy u stóp krzyża
Zapomnisz dolać oleju. — Miesiące
I lata biegły. Amarus żył smutny;
A gdy lał olej w lampy gorejące
Łono, tak prawił: „Teraz mój pokutny
Podsycam żywot". I śmiał się boleśnie.
Razu pewnego, wiosennego rana
Przyszedł lać olej. Wtem w świątyni Pana
W pomroku rannym ujrzał niby we śnie
Parę poklękłą u stóp Matki Boga.
Stanął za nimi cicho, boleść sroga
Rwała mu piersi. Gdy modły skończyli,
Wyszli, za nimi szedł Amarus w ślady.
Dziwna tęsknota drgała w twarzy bladéj;
Stał na cmentarzu długo; w owej chwili
Bzu i czeremchy upojony wonią,
Słyszał śpiew ptasząt, patrzył, jak się gonią
Wpośród jabłoni kwiatów dwa motyle.
Świat w dziwnym jaśniał blasku, na mogile
Okrytej darnią, gdzie bezwonne kwiaty
Sypał na włosy im, na lica, szaty,
Siedziała para, uściskiem złączona;
On szczęsny głowę tulił do jej łona;
Ptak w górze nucił im śpiew, na ich włosy
Motyle siadły. Amarus wspomina
Swą matkę, której ostatnia godzina

Była dla niego początkiem żywota,
Co jest goryczą jedną. — Krople rosy
Błyszczą po trawie, pachnie bez, ptak śpiewa.
Mnich wzrok zatapia w słoneczną toń złota,
Śpiew uchem chwyta; dzisiaj nie dolewa
Oleju w lampę, co płonęła stale.
Nazajutrz bracia, jako w rytuale
Kazano, przyszli i ujrzą zdumieni
Zagasłą lampę. Amara nie było.
Tam na cmentarzu, pod matki mogiłą
Leżał bez życia z twarzą ku zieleni
Zwróconą — wonny kwiat nań sypią drzewa,
Czeremchy pachną i ptak słodko śpiewa.

*(Br. Grabowski).*

## 4. Gobelin markizy.

Kto wreszcie, mimo objazdów tysiąca,
Przebył wiodące do Cyter Sahary,
Nim w próg łożnicy wstąpił (pragnień końca),
Musiał odgarnąć ten gobelin stary;
Za nim dopiero, krasą jaśniejąca,
Mogłaś, markizo, koić jego żary!
Czyż dziw, że słodkiem twem „tak“ upojony,
Nie widział treści tkanej śród zasłony:

Scena — chram Wenus w gruzach o jutrzence.
Przed ogniem stoi skrzydlaty chłopczyna,
Z kosza na plecach, zdobnego w róż wieńce,
Kędy serc ludzkich mrowi się drużyna
(Jedno drży z trwogi, drugie szlocha w męce,
To milczy, inne w rozpaczy przeklina),
Serce za sercem bierze, kawał licha,
I bez litości na rożen je wpycha!

Lecz zanim rożnem wkoło raz otoczy,
Już sercom skrzydła urosły, gwar, zwada,
I nim chłopczyna za niemi poskoczy,
Frrr... lecą w lazur wolne ptaków stada!
Czemu, markizo, kiedy zwrócisz oczy
Na ten gobelin, łza z nich gorzka spada?
Ach, wiem, smutno ci, że serdecznych skrzydeł
Nie chwycić w pyłki pudru i bielideł.

A przecież serc ci dość ten chłopiec mały
Nachwytał w miłych uśmiechów twych siecie,
Szkoda, że, gdy już iść na rożen miały,
Dostawszy skrzydeł, rozpierzchły się w świecie.

Dziś — listów zżółkłych stos ci został cały,
Garść kotylionów, wstążek... — stare dziecię! —
I uśmiech cierpkiej rezygnacyi: Jaka
Szkoda, że serca mają skrzydła ptaka!

*(Miriam).*

## X. Juliusz Zeyer.

### 1. Białemu domkowi w starym ogrodzie.

W drodze wędrowiec wstrzymał się dalekiej,
Znużony wsparł się na kiju pielgrzymim,
Wzrok jego błądził po kraju obszarach,
A z ust westchnienie i szept mu spłynęły:
„Ty, biały domku w prastarym ogrodzie,
Tam za wyniosłą ścianą gór, daleko,
Oto jaskółki wracają z południa
I dawnych będą szukały gniazdeczek
Na gzymsach twoich, a ty je powitasz.
Ja wszakże nigdy, nigdy już nie wrócę,
Drogiego twego nie przestąpię progu,
Na którym ta, co wydała mię z łona,
Stawała codzień o wieczornej chwili,
Aby ku gwiazdom przez drzew spojrzeć sploty.
Jej, zmarłej dawno, dziś gwiazdy są progiem,
Za którym leży tajemnica Boga.
Tam wzrok napełnia tych, co już odeszli,
Światłość czarowna. Lecz ich za to cienie
Tak ciężko, ciężko na serca padają
Tym, którzy na śmierć czekają tu jeszcze.
Ty, biały domku w prastarym ogrodzie,
Powiedz, czy dusza wszechrzeczy podobna
Jest duszy naszej, która się nauczyć
Nie może nigdy, nigdy zapomnienia?
Ty, biały domku w prastarym ogrodzie,
Powiedz: tęskno ci, kiedy obcych kroki
Brzmią śród twych murów? Nie czekasz, że może
Wrócę do ciebie, jak owe jaskółki,
By marzyć znowu pod twą starą strzechą,
Śnić staro piękne swe sny, chwytać uchem
Błogosławiące, tkliwe zmarłej słowa,
Które do drogich ścian twoich przywarły,
A w nocy, kiedy śpią ci obcy ludzie,
Z drzew cichym szumem mieszają się słodko?“
Tak rzekł wędrowiec; łza padła w pył biały
Tej długiej, długiej, nieskończonej drogi,
Co się ciągnęła w dal... dokąd, ach, dokąd?

*(Miriam).*

### 2. Proroctwo.

Był niegdyś rycerz, zbłąkał się w lesie
W drzemiących borów pomroku,
Już mu się zdało, że śmierć mu niesie
Wczesny grób z niebios wyroku.

Wtem patrzy — w ścianie urwistej [skały
Brama się zjawia z ubocza,
Za bramą raj był, anioły grały,
Pieśń brzmiała słodka, urocza.

Łaskawie skiną dłonie anioła,
W kraj rycerz wchodzi nieznany.
Szukajcie bramy, kto tylko zdoła,
Za nią raj cudów schowany.

Za ową bramą, czarem zaklętą,
Kraina leży szczęśliwa,
Tam codzień boże, niebiańskie święta,
Złoty liść drzewa okrywa.

Tak nam mówiła piastunka stara,
Gdy przędąc cienką nić mota,
Słowa mi brzmiały jak senna mara,
W serce się wkradła tęsknota.

Staruszka patrzy — twarz moja blada,
W oczach ślad wnętrznej katuszy,
Puszcza nić z ręku i tak powiada,
Pociechę lejąc do duszy.

— Nie smuć się, rzekł mi głos, co nie [kłamie,
Że kiedyś będziesz w tym gaju,
I lilię szczęścia dłoń twa ułamie,
Przez bramę wejdziesz do raju.

Wierzyłem, teraz na własne oczy
Widzę, piastunka ta stara
Dar rzeczywiście miała proroczy,
Prawdziwą była jej wiara.

Bramo we skale, znalazłem ciebie
Tam w pustym lesie żywota,
W duszy mej jasno, jak w bożem niebie,
Bolesna znikła tęsknota.

Poezyo, wszedłem do twego gaju,
Proroctwo już się ziściło,
Ale że żmija czyha w tym raju,
Ani się wróżce nie śniło.

*(Bronisław Grabowski).*

## XI. Eliza Krasnohorska.

### 1. Przyjście wiosny.

Skuta dziś jesteś w śnieg i lód,
O, ziemio ukochana!
Z całą krasą swą,
Owita chłodną, srebrną mgłą,
Spoczywasz pogrzebana.

Mróz ci na serce kładzie dłoń,
Tuman ci kryje oczy;
Nie kwitnie żaden róży krzak,
Nie śpiewa słodko w sadzie ptak,
Gdy noga ma tam wkroczy.

Lecz patrz! Tam w dali oto już
Świt zmartwychwstania błyska,
Na niebo wbiega słońca krąg,
Całuje zieleń swoich łąk,
Do serca cię przyciska.

I wnet lodowy łańcuch twój
Zmienia w zdrój łez radosny;
Ciesz się — i wydaj kwiatów pęk,
Należny to przyrodzie dzięk
I pocałunkom wiosny.

### 2. Samotność w puszczy.

Czy znasz samotność? — nie tę, co pierś uciska,
Jako więziennych ryglów głuchy zgrzyt,

W murach lub śród zimnego ludzi zbiegowiska,
Gdzie nie przenika jasny życia świt;
Lecz tę samotność wielką, co w dziewiczym lesie
Nagle owionie cię wolności tchem,
Że dumniej zwiędłe serce w łonie ci się wzniesie,
A dawna nędza wyda ci się snem.

Patrz, tu jej kraj! Tu pani w wiecznej puszczy swojéj,
Czcząc uroczystym szumem przyjście twe,
Tak swą potężną, żywą wonią cię upoi,
Że zbłądź, a już nie wydostaniesz się.
Pochlebne, miłe wieści na wstępie ci poda,
Któremi łatwo ująć prawy duch:
Poczujesz tutaj, co jest szczęście, co swoboda,
Nie zechcesz wracać w powszedniości ruch.

*(Miriam).*

## XII. J. S. Machar.

### Romanca o moim przyjacielu.

W wieku, gdy świeci młodości słońce,
Gdy wrzącym płynie w żyłach krew
[tokiem,
Mój druh dziew kochał wdzięki
[mamiące
I wciąż ognistym ścigał je wzrokiem.

Jak wszyscy, co im zawróci głowę
Miłość, przy zorzy zaduman cały,
Wstydliwą, czułą wiódł on rozmowę,
A przytem pisał wierszy foliały.

Pięknościom jego to było mało,
Że je wzrok ścigał w miłosnym szale;
Ich serce czegoś więcej żądało,
Lecz nie rozumiał on tego wcale.

Dziś już po wszystkiem. Przyszedł
[kres na nie,
Więc się rozmowy tkliwe rozwiały,
Wszystko w bezdenne czas zmiótł
[otchłanie,
Lecz nie zginęły wierszy foliały.

Ach te męczarnie znamy za katy,
Kiedy przyjaciel w lisiej chytrości
Nas na szklaneczkę prosi herbaty,
Przy niej wierszami zabawia gości.

Herbata dobra — z wierszami bieda,
Zwłaszcza, że przykrym basem je czyta:
Nawet się zdrzymnąć przy nich wam
[nie da,
Bo wciąż przerywa i o sąd pyta.

Lica rumieniec pali dziewczęcy.
— Dobry to chłopak, mój druh naj-
[szczerszy —
Lecz wonczas winien był kochać więcéj,
Ale mniej za to napisać wierszy.

*(Bronisław Grabowski).*

## C) Poeci słowaccy.

# I. Samuel Chalupka.

### Junak.

Górą strome skały,
Dołem zaś przepaście,
Lata po nad niemi
Sokołów dwanaście.

Gniazdo swe sokoły
Wiją na urwisku,
A junacy w dole
Siedzą przy ognisku.

Kapelusik krągły,
Zielona koszula,
Plecy kryje burka,
Kaftan pierś otula.

Biodra pas otacza,
Złotem ozdobiony,
I dwa pistolety
Patrzą na dwie strony.

A siekierki ostre
Po gałęziach wiszą,
Przy nich długie strzelby
Z wiatrem się kołyszą.

Piękne to siekierki,
Każda wyszczerbiona,
Lecz piękniejsze strzelby,
Każda okopcona.

Gaśnie ogień, gaśnie
Popiół już w połowie,
Smutni leżą wkoło
Młodzi junakowie.

Leżą jak te drzewa,
Które burza zwali,
Tęsknym okiem wodzą
Po królewskiej hali.

Wieje wietrzyk, wieje,
Ledwie mąci ciszę,
A na krzywej jodle
Sokół się kołysze.

Przepaść pod tą skałą,
Aż cię biorą dreszcze,
Woła na junaków:
Gdzie was więcej jeszcze?

Gdzie się podział junak,
Ta twarz piękna, biała,
To ogniste oko,
Jako boża strzała?[1])

Co po górach chodził
Odzian w złotą zbroję,
Szedł na waszem czele
Na te krwawe boje?

Milczą chłopcy, milczą,
Spuścił każdy głowę,
Czy nie słyszą ptaka?
Czy ból odjął mowę?

Tylko za pistolet
Chwycił każdy dłonią,
Tylko po tych skałach
Smutnem okiem gonią.

Pod skałami temi
Wokół przez przepaście
Chodził junak, chodził,
Braci z nim dwanaście.

Wśród dwunastu braci,
Dzielnych górskich dzieci,
Chodził, niby miesiąc,
Gdy wśród gwiazdek świeci.

Nie raz tam wyrastał,
Gdzie go nie posiali,
Ale dobrzy ludzie
Nic się go nie bali.

Wszakże biada złemu,
Biada jego duszy,
Kto, lud dobry dręcząc,
Prawo mu naruszy.

Huczy wicher z góry,
Drzewa gnie w dolinie,
Z wiatrem junak spada,
Ciemiężyciel ginie.

Straszny blask po lasach
Od junackich zbroi.
— Ludu mój, niech giną
Tak wrogowie twoi! —

Oj wyleciał z lasu
Sokół siwopióry,
Toczy lot swój wkoło
Pod samemi chmury.

Wzleciał sokół, wzleciał
W górę pod obłoki,
Bystrem okiem swojem
Patrzy w jar głęboki,

W ciemny jar głęboki,
Gdzie wysokie skały;
Tam niedawno jego
Drużyny hulały.

Darmo, mój sokole,
Szuka twoje oko,
Ten nasz dobry junak
Śpi już tam głęboko.

Śpi on już głęboko,
Nic go nie obudzi,
Ani ranna zorza,
Ni płacz biednych ludzi.

Stoczon bój zacięty
Na Królewskiej hali,
Na junaków mnodzy
Zbrojni czatowali.

Grzmiały strzelby, niby
Z gromem błyskawice,
Zwiędło ci tam jedno
Piękne, młode lice.

---

[1]) Piorun.

Zwiędło, jako róża,
Gdy ją mróz ozionie,
Lała się krew młoda,
W trawę padły skronie.

Młodą krew rozlaną
Czarna ziemia piła,
A ta dobra dusza
Z ciałem się dzieliła.

Na Królewskiej hali
Stoją tam trzy skały,
Wpośród skał wygląda
Jakiś kopiec mały.

Niżej w przepaść spada
Z głośnym hukiem struga,
Wyżej biegnie ścieżka,
Niby wstęga długa.

A kto tylko chodzi
Drożynkami temi,
Każdy na mogiłę
Rzuca grudkę ziemi.

Rośnie kopiec, rośnie
Aż do wysokości,
Pod nim spoczywają
Junakowe kości.

Młódź z Królewskiej hali,
Gdy owieczki pasie,
Koło kopca igra
W pięknym letnim czasie.

Kraśne dziewki kładą
Wieńce na tym grobie,
O junaku młodym
Nucą piosnki sobie.

A na surmach chłopcy
Grają w głosy wieszcze:
Były czasy, były,
Da Bóg, będą jeszcze.

*(Bronisław Grabowski).*

## II. Wilhelm Pauliny-Tôth.

### Słowacy.

Słowacy, Słowacy, narodzie gołębi!
Cały świat kochacie, a was każdy gnębi,
Każdy gnębi, dręczy, dobrze nikt nie życzy.
Kiedyż Pan Bóg w niebie krzywdy wasze zliczy?
Słowacy, Słowacy, nieszczęśliwy ludzie,
Kto wam gdzie dorówna w niedoli i trudzie?
Nikt wam nie dorówna, wy niedoli dzieci,
Lecz Bóg da, że słonko i dla was zaświeci.
Słowacy, Słowacy, ludu bogobojny,
Dręczy was, ciemięży wróg wasz niespokojny,
Wróg na szyje wasze twarde kładzie pęta,
Lecz zwycięży kiedyś sprawiedliwość święta.

*(Bronisław Grabowski).*

## III. Swietozar Hurban-Wajanski.

### Pociecha.

Miłowałem piękne dziewczę,
Siwe oczy miało,
Poszło za mąż za innego,
Za strzelca pod skałą.

Długom płakał, łez potoki
Lejąc żałościwe,
Że mię srodze okłamały
Te oczęta siwe.

Dobrze, iż mię okłamały!
Z dziewy dziś zła żona,
A pieśń rzewna płynie z głębi
Zbolałego łona.

Dziś zła żona męża swego
Dręczy wciąż i grzeszy,
A ta moja pieśń żałosna
Wasze serca cieszy.

*(Bronisław Grabowski).*

D) Poeci łużyccy.

## I. Andrzej Zejler.

### 1. Czary dziewicze.

Mądrości nowy skarb pozyskałem.
Ludzie, nie dajcie łudzić się szałem,
Niech was zabobon dawny nie mami —
Wiem dzisiaj, kto nas trapi czarami.

Dotąd sądzono, że baby staréj
Sprawką bywają wszelakie czary;
Biedaczka, ona spokój miłuje,
Na biedę tylko swą utyskuje.

Wierzcie mi, wierzcie, dziewczęta młode
Lepiej czarują przez swą urodę,
Zawrócą głowę, serce ukradną —
Jakim sposobem, zgadnąć niesnadno.

Niejeden mędrcem przez lata słynie,
Głupcem się staje w jednej godzinie;
A im kto starszy w sieci im włazi,
Tem się na większą śmieszność narazi.

### 2. Boże sedleszko[1]).

Na Zmórcu[2]) płacze boże sedleszko,
Padają łzy mu na lica,
Płacze na górze, świerkiem obrosłej,
Przy jasnym blasku księżyca.

Świerki na górze pytają ducha,
Pyta pod górą buczyna,
Czemu sedleszko boże tak płacze,
Jaka tych łez jest przyczyna.

I na gałęzi krogulec słyszy
Żałosne sedleszka płacze,
Na czarnym świerku zbudził się ze snu,
Skrzydłami machnął i kracze.

I głos sedleszka słychać żałosny,
Łkaniami wciąż przerywany:
— Obszedłem wszystkie w prawo i w lewo
Ojczystej ziemi mej łany.

Widziałem, jak się mój lud łużycki
W grobowy całun obleka,
Jak dzwony dzwonią mu pieśń pogrzebu,
Dźwięk ich słyszałem zdaleka.

Krogulce, niechaj wasze krakanie
Mojego słowa nie głuszy;
Jeżeli żal mój wam nie po sercu,
Pozwólcie płakać mi w duszy.

*(Bronisław Grabowski).*

## II. Ciszíński (Jakób Bart).

### 1. Lubin[3]).

Na szczytach góry wicher szeleści,
Kołysze ciemne świerkowe drzewa.
Dawnej przeszłości piosenkę śpiewa,
O serbskich królach śle opowieści.
Zamkowe mury i święte gaje
Prastara kryje wieków ruina.
Tylko poeta o nich wspomina
I w pieśniach swoich cześć im oddaje.

Na skamieniałe od bólu góry,
Łzami rzeźbione skały z granitu,
Zapadł cień smutku straszny, ponury,
I tylko puszczyk jękiem żałoby
Przerwie milczenie, gdy z brzaskiem [świtu
Żegna strwożony przeszłości groby.

*(Melania Parczewska).*

[1]) Boże sedleszko (albo sadleszko) jest to dobry duch, który zjawia się w postaci dziecięcia w białej koszuli i płaczem zwiastuje bliskie nieszczęście.
[2]) Zmórc góra w Łużycach na południo-wschód od Budyszyna.
[3]) Góra na Łużycach górnych.

### 2. Omnia vana.

Gdy widzę, jak godzina jedna drugą goni,
A noc czarna dzień jasny z promieni okrada;
Kiedy widzę, jak z fiołków wonny liść opada
I włos czarny i lśniący siwieje na skroni;
Gdy widzę, jak pożółkłe wiatr liście rozwiewa,
A ziarno w ziemi rośnie i nowe wytwarza;
Kiedy cierniom kwitnącym śmierć blizka zagraża
I młodości w zaraniu pieśń żałobną śpiewa;
Kiedy widzę, że wszystko przejdzie i przeminie;
Gdy to, co rankiem kwitnie, już wieczorem ginie, —
Ach! wówczas łzami smutku zachodzi powieka,
I duch, którego życia przykuwa potęga,
Od ziemi poza chmury do bram niebios sięga,
Tam, gdzie za mrokiem śmierci coś więcej go czeka.

*(Melania Parczewska).*

## III. Mato Kósyk[1]).

### Indyanka.

Kto śpiewa na tej górze zielonej
Pod słodkiem drzewem[2]) w wesołe tony?
Ach, Boże, czyż to łużycka mowa,
Którą me serce w swych głębiach chowa?
Nie, to obcego dźwięki języka,
Mojego serca śpiew nie przenika.
Śpiewaczko, czemu usty twojemi
Nie śpiewasz pieśni łużyckiej ziemi?
Twą kibić krasi strój pstry, bogaty,
Jak naszych dziewcząt wzorzyste szaty,
A z pereł twoich taki blask bije,
Jak z tych, co zdobią i u nas szyję.
Nie, to nie nasze dziewczę, o Boże,
Z tem ciemnem licem, w tym pstrym ubiorze,
W mowie indyjskiej nuci swe śpiewy,
Wódz z tego rodu ojcem tej dziewy.
Sławnego ojca urocza córa
Do strzał mu strusie przyczepia pióra;
Tak się uśmiecha śpiewaczka miła,
Żeby ci snadnie serce zraniła.

[1]) Pisze po dolnołużycku w Ameryce, gdzie przebywa jako emigrant.
[2]) Trzcina cukrowa.

Z lubością patrzę na ciemne lica,
Czarne jej oko wzrok mój zachwyca.
Wiem, że Indyanką, lecz mi się zdało,
Że to łużyckie dziewczę śpiewało.

*(Bronisław Grabowski).*

## E) Poeci rosyjscy.

## I. Gabryel Dierżawin.

### Bóg (Oda nieco skrócona).

O Ty! którego przestrzeń nieskończona,
Co żyjesz w ruchu różnych stworzeń mnóstwa,
Coś był, nim wieki wyszły z twego łona,
Próżen postaci, w trzech osobach Bóstwa:
Duchu obecny wszędzie i jedyny,
Któremu nie masz miejsca ni przyczyny,
Niedościgniony dociekaniem mnogiem;
Co wszystko w sobie samym obejmujesz,
Napełniasz sobą, tworzysz, zachowujesz,
Którego, ludzie, nazywamy Bogiem!

Zgruntować, zmierzyć ocean głęboki,
Policzyć piaski, promienie gwiazd, słońca,
Chociażby rozum potrafił wysoki:
Tobie ni miary niemasz, ani końca.
Jasnością twoją doskonałe błogą,
Twór światła, duchy, pojmować nie mogą,
Jakie gotujesz rzeczom przeznaczenie:
Ledwo się waży umysł śmiertelnika
Podnieść ku Tobie, w Twym ogromie znika,
Niby w wieczności jedno oka mgnienie.

Zamętu bytność, czasem określoną,
Z głębin bezdennej wieczności wezwałeś:
A przed wiekami wieczność urodzoną,
Jej Twórca, w sobie samym osnowałeś;
Własne jestestwo sam nadawszy sobie,
Przez się w niezgasłej jaśniejąc ozdobie,
Ty jesteś światłem, skąd zdrój światła płynie,
Wydałeś wszystko jednem tylko słowem,
A rozpostarłszy się w stworzeniu nowem,
Tyś był, jest, nigdy byt Twój nie przeminie.

Wobec Wszechmocy Bożej wszystko jest znikomością; a czemże jest człowiek?

Niczem!... Lecz zacność moją Ty pomnażasz
Dobrocią, laską, szczodrotą bez końca:
Twój wizerunek we mnie wyobrażasz,
Jak w drobnej kropli glob ognisty słońca....
Niczem!... Ależ ja i żyję i czuję,
Niesytym jakimś zapędem wzlatuję
W górne krainy, gdzie przebywasz wiecznie;
Twój byt z pociechą dusza ma przeczuwa,
Myśli, pojmuje, zasłonę usuwa;
Ja jestem i Ty musisz być koniecznie.

Jesteś! natury dzieło się odzywa,
Serce mi własne powtarza to wszędzie;
Jesteś! rozumu światło przekonywa;
Więc me jestestwo już niczem nie będzie!...
Tak!... jestem cząstką niezmiernej budowy,
Punkt mi dostojny wytknąłeś środkowy,
Kiedy stworzeniom byt ich nadawałeś:
Gdzieś skończył poczet ziemian niezliczonych,
Gdzieś zaczął utwór duchów uwielbionych,
Mojem ogniwem łańcuch ten związałeś.

Człowiek tedy zajmuje w rzędzie stworzeń stanowisko pośrednie i jest przeznaczony do pozyskania szczęśliwości wiecznej.

Twórco! ja, Twoją kształcony prawicą,
Jestem mądrości Twej dziełem wybranem;
Tyś sprawcą dobra, żywota krynicą,
Duszą mej duszy i najwyższym Panem.
Wyroków Twoich takie rozkazanie,
Żeby przebyło śmiertelne otchłanie
Jestestwo moje, Twoim duchem dzielne;
Żeby znikomą szatę przyodziało
I przez śmierć znowu powrócić zdołało,
Ojcze! na Twoje łono nieśmiertelne.

O, niepojęty! o, niedocieczony!...
Znam duszy mojej płonne wysilenia,
Obrazem Twoim cały zaprzątniony,
Nie zdołam wydać rysów Twego cienia:
Lecz jeśli winien głosić Twe pochwały,
Jakże je wyda ród śmiertelnych cały?
Z jaką czcią stanie przed Twojem Imieniem?
Ledwo mu wolno wznieść się od poziomu,
Gubić się wpośród Twojego ogromu
I łzy wdzięczności wylewać strumieniem.

*(I. Szydłowski).*

## II. Jan Kryłow.

### 1. Małpa i lustro.

Gdy małpa siebie w lustrze zobaczyła,
Niedźwiedzia skrycie łapką potrąciła:
„Patrz! mówi ona, mój dobry kumie stary,
Czyj w lustrze może być obrazek tej poczwary?
Jak się to krzywi, podskakuje!
Umarłabym z rozpaczy, czuję,
Gdybym potworną była do tej miary.
A jednak z mych kumoszek, bracie,
Pięć, sześć podobnych pewno znacie?“ —
— „Ej, kumo, wiesz, że lepiejbyś zrobiła,
Gdybyś nie innych tu, lecz siebie zobaczyła“,
Małpeczce niedźwiedź odpowiada,
Lecz na nic jego mądra rada!

Nikt, prawdę mówiąc szczérze,
Nie lubi widzieć się w satyrze.
Ja wczoraj miałem przykład tego:
Z oszustwa wszyscy Jana znają,
Kazania o tem mu czytają,
A mruga on na Protazego!

### 2. Osieł i słowik.

Osieł ujrzał słowika i mówi do niego:
„Słuchaj-no, przyjacielu!
Żeś majster w śpiewie, słyszałem od wielu,
Lecz chciałbym bardzo sam, dla sławy głosu twego,
Osądzić cię, poznawszy twe śpiewanie,
Czy rzeczywiście słuszne masz uznanie?“
Tu słowik jął swój kunszt w całości okazywać:
Szczebiotać, wygwizdywać,
W tysiączne dźwięki pieśń przeciągał swą, przeléwał,
To jak fujarki głos, z tęsknotą się odzywał,
To znów drobniutkie w gaju tony rozsypywał.
I słuchał każdy rad
Śpiewaka róży i jutrzenki.
Ucichły — wiatr i ptasząt dźwięki
I legło bydło stad,
Pastuszek słuchał go w uroczem zachwyceniu
I do pasterki swej uśmiechał się w milczeniu.
Mistrz skończył wreszcie pieśń. Tu ze schylonym łbem
„Niczego!“ osieł rzekł: i świadczyć o tem śmiem;
Że słuchać można cię bez nudów, dzisiaj wiem;
Lecz szkoda, że nie znacie
Koguta w naszej chacie!

Sławniejszym jeszcze dziś ze śpiewu byłbyś swego,
Gdybyś choć trochę się poduczył był u niego".
Słowiczek biedny, słysząc taki sąd w swym kraju,
Odleciał precz daleko z miłego sobie gaju.
Niech broni Bóg i nas od sędziów w tym rodzaju.

*(St. Baryczka).*

»Bajki« Kryłowa tłómaczyli: Fl. Jełowiecki (Wilno, 1851), A. J. Gliński (Wilno, 1860-3) i Stefan Baryczka (Warszawa, 1884).

## III. Bazyli Żukowski.

### Morze.

O ty, morze milczące, lazurowe morze!
Oczarowany, nad twą przepaścią tu stoję:
Ty żyjesz i oddychasz, łono twoje porze
I miłość i tęsknota, trwogi niepokoje.
O, lazurowe morze, o, przestrzeni cicha!
Odkryj mi tajemnice głębi twego łona:
Czem się jego powierzchnia wstrząsa niezmierzona,
Powiedz, czem wysilona twoja pierś oddycha?
Czy cię ciągnie ku sobie z tej ziemskiej niewoli
Daleki nieba błękit, jasny i uroczy?
O! ty błogiem tchniesz życiem i nic cię nie boli;
Jasnym jego lazurem twoje fale płyną
I światła gorejące rozlewasz potoki,
Pieścisz miłośnie nieba złociste obłoki,
Radujesz się, gdy w głębiach twoich gwiazdy giną.
A gdy się nagromadzą groźne, czarne chmury,
Jakby odebrać chciały jasne niebo tobie,
Ty się burzysz i ryczysz, a mgły kir ponury,
Falą bijąc, pogrążyć chcesz w przepaści grobie,
I mgły znikną i chmury tobie nie dostoją;
Lecz trwogą dawną obszar twój opanowany
Długo jeszcze ulękłe wznosi swe bałwany,
I długi czas przeminie, nim cię uspokoją
Powróconego nieba pogoda, blask błogi!
Zwodniczą jest powierzchni twej spokojność miła,
Bo głębina wód twoich pełna wtedy trwogi:
Pieszcząc niebo, drżysz jeszcze, by go nie straciła.

*(M. Budzyński)*

## IV. Aleksander Grybojedow.

### Biada temu, kto ma rozum. (Komedya).

Młody i wykształcony Czacki, którego oburzała powierzchowna tylko ogłada wyższego towarzystwa moskiewskiego, jego demoralizacya, zacofanie i służalczość, po powrocie z dłuższego pobytu za granicą, zastaje w Moskwie te same stosunki i tę samą atmosferę. Wprawdzie Zofia, córka wysokiego urzędnika Famusowa, którą znał i kochał jeszcze jako podlotka, wyrosła teraz na urodziwą pannę; ale traktuje go ona dość ozięble, a w sekrecie prowadzi hazardowny romans z Mołczalinem, ograniczonym, ale giętkim urzędnikiem z biura jej ojca. Famusow znowu radby ją wydać za pułkownika Skałozuba, odznaczonego już różnemi orderami i umiejącego je zdobywać, a więc mającego świetną przyszłość przed sobą, chociaż ograniczonego prostaka. Otoczenie, w którem znajduje się Czacki, oburza go i wywołuje w nim gorzkie słowa prawdy; ale mają one ten skutek, że wszyscy biorą go za libertyna i człowieka niebezpiecznego nawet dla spokoju państwa. Tak np., kiedy Famusow i Skałozub, zgorszeni jego sądami, ostrzegają go, żeby się liczył z opinią publiczną, woła (akt II, scena 5):

Czemże sąd owych zgrzybiałych nędzników?
Pomiędzy nami nienawiść rodowa!
Zdania wciąż oni czerpią z tych dzienników,
Wieku podboju Krymu, Oczakowa,
Zawsze gotowi cisnąć oszczerstw grotem,
Jedno i to samo kwilą,
Zapominają, nikczemniki, o tem,
Że gorsi są z każdą chwilą!
Gdzież są ci zacni ojcowie narodu,
Co wzorem dla nas wśród życia zawodu?
Ci wzbogaceni zapewne rabunkiem
Krewni lub druhy, bezprawia wspólnicy?
Gniazdem tych łotrów pałace stolicy,
Kędy wśród uciech, marnotrawstw, nierządem
Płynie ich życie, pełne sprośnych mętów....
I gdzie nie zatrą zastępy klientów
Śladów ich życia, pełnego szkarady;
Lecz komuż w Moskwie mimo tylu wstrętów
Ust nie zamknęły pląsy i obiady?
Może mi wskażesz za wzór ulubiony
Tego bojara sprośnych obyczajów,
Kędyś mnie woził dzieckiem na pokłony,
Tego Nestora wielmożnych hultajów,
Co wśród sług wiecznie w zdrojach wódki tonie?
Ci w dniach rozpusty i karczemnych gwarów
Idą w czci jego i życia obronie,
On ich zamienia na sforę ogarów!
A może tego łaskawca zaleci,
Co dla zabawy zwiózł na mnogich furach
Od ojców, matek oderwane dzieci?
Sam o zefirach marząc i amorach,

Zmusił też Moskwę podziwiać ich czary...
Lecz nie mógł mnogich opłacić dłużników,
A więc amorków po sztuce, łotr stary,
Rozsprzedał, jak niewolników!
Tacy dożyli dziś do białych włosów,
Ich czcić nam trzeba przy tym ludzi braku,
Tacy sędziowie w tym świetnym orszaku!
Niechże z nas który dzisiaj, wróg rozgłosów,
Unikający honorów i czynów
I posad wyższych, jeden z młodych ludzi,
Zapragnie zdala od zgiełku i tłumu
Wiek swój poświęcić nie dla czczych wawrzynów,
Naukom, pracom zaszczytnym rozumu;
Lub do sztuk twórczych Bóg w nim zapał wzbudzi,
Ich go serdecznym uczyni czcicielem, —
Wnet go przed ową zgrają niewolniczą
W bezwstydnym szale ogłoszą, okrzyczą
Złym, niebezpiecznym jakimś marzycielem!
Mundur, ów mundur, czczony do zachwytu,
Niegdyś ukrywał pod błyskotek mnóstwem,
Guziczków, oznak ich pustego bytu,
Nicość rozumu z ich ducha ubóstwem... i t. d.

Obok tego drażni go i zachowanie się Zofii; czuje, że go nie kocha, ale nie wie, komu nad nim oddaje pierwszeństwo: Skałozubowi czy Mołczalinowi. Napróżno stara się stan rzeczy wyjaśnić i swojemi docinkami pod adresem współzalotników rozdrażnia Zofię, zwłaszcza podczas balu, gdy zbyt ostro wyraził się o Mołczalinie. Zofia postanawia się zemścić, podając go za waryata.

*G. N.* (jeden z gości). Zwaryował biedak! jej się zdaje... zatem...
Jestto rzecz pewna... Czacki jest waryatem! (do wchodzącego G. D).
Wiesz?
*G. D.* (jeden z gości). Cóż?
*G. N.* O Czackim.
*G. D.* Nic a nic...
*G. N.* Ostatnie
Pogłoski miejskie, że zwaryował....
*G. D.* Brednie!
*G. N.* To nie mój wymysł, wszyscy chórem głoszą.
*G. D.* A ty rozsiewasz te baśnie z rozkoszą.
*G. N.* Musi ktoś wiedzieć. Zbadać to należy (wychodzi).
*G. D.* (sam). Wierz więc gadule, gdzieś głupstwo wykradnie
I wnet je wszędzie rozsiewa. (Do Zagoreckiego, jednego z gości)
Czyś o tym Czackim słyszał?
*Zagorecki.* Cóż świat śpiewa?
*G. D.* Ot, że zwaryował.
*Zagorecki.* A! wiem to dokładnie.
Tak się zdarzyło... i któż tego nie wie?

Wuj — łotr go zamknął, czy osadził w gniewie
W domu waryatów, przytem na łańcuchu...
*G. D.* On tu przed chwilą był przecie, mój druhu!
*Zagorecki.* Więc go zapewne z łańcucha spuścili!

*(H. Świeykowski).*

I oto w momencie plotka urasta do potwornych rozmiarów, bo każdy z gości, co o niej posłyszy, chce okazać, że wie o waryacyi Czackiego dokładniej od innych. Zebranie usuwa się od niego, wreszcie się rozjeżdża, a Czacki, nie rozumiejąc dobrze, co się stało, ma w końcu tę przyjemność, że niechcący podsłuchuje układy Mołczalina co do nowej schadzki z Zofią; zbolały, oburzony opuszcza Moskwę.

Komedyę tę tłómaczyli: Hipolit Świeykowski (Warszawa, 1857 i Petersburg, 1893) i Józef Lewart Lewiński (Warszawa, 1857).

## V. Aleksander Puszkin.

### 1. Szatan.

Gdy w one czasy był mi nowy
Młodości świeżej wrażeń świat,
Wejrzenia dziewic, szum dąbrowy,
Słowika głos i każdy kwiat;
Gdy uczuć szczytnych los podniosły,
Wolności, sławy dźwięczny śpiew
Wysoko serce moje niosły
I falowała w żyłach krew:
Zły jakiś gieniusz, potajemnie
Rzucając w duszę chmurny cień,
Zdradliwie zaczął mącić we mnie
Rozkoszy i upojeń dzień.
Z nim smutne były mi biesiady,
Bo jego uśmiech, oka cud,
I słów szyderczych zimne jady
Zatruty niosły w pierś mą chłód.
Potoki oszczerstw usta lały,
Nie widział opatrzności sił,
Dlań mrzonką były ideały,
Z piękności, z natchnień jasnych drwił;
Miłości nie znał ni swobody,
Z skrzywionych zaś uśmiechem lic
Nie błogosławił on przyrody,
Dobrego w niej nie widząc nic.

### 2. Prorok.

Spragniony chleba duchowego,
W pustyni wiodłem żywot zbrzydły,
Wtem na rozdrożu życia mego
Serafin stanął sześcioskrzydły.
I lekkiem palców swych ujęciem
Mych źrenic dotknął: za dotknięciem
Ocknęły się źrenice wieszcze,
Jak ptak, porwany w strachu dreszcze.
Mych uszu dotknął czarem ręki
I szum napełnił je i dźwięki;
Jam pojął sfer niebieskich drganie,
I jak wzlatują w górę duchy,
I czem są płazów morskich ruchy
I ziół powolne wyrastanie.
I usta moje wnet otwiera
I język grzeszny mi wydziera
Pełen obłudy i próżności.
Więc zbladły wargi me, jak chusta,
A on prawicą krwawą w usta
Wężowej żądło dał mądrości.
I mieczem rozciął pierś na dwoje,
Z niej wyjął serce, życiem drżące,
I precz odrzucił serce moje,
A włożył ogniem pałające.
Jam był, jak trup, co leży w trumnie,
I Boga głos zawołał ku mnie:
„Proroku, powstań z życiem nowem!
Niech duch mój, co w twej piersi płonie,
Ognistem w świat wybuchnie słowem,
Palącem serca w ludzkiem łonie!“

*(M. Korowaj-Metelicki).*

## 3. Z epigramatów.

a) Historya poety.

Najlżejszy czujnem uchem chwyta
Świst;
Tchem jednym wali, jak z kopyta,
List;
Wszystkim wokoło drze, niestety,
Słuch;
Potem drukuje i do Lety
Buch!

b) Ciekawski.

— Cóż tam słychać? — Nic nowego!
— Ej, nie wierzę, jak chcesz, ręcz;
Czyż ci nie wstyd, znajomego
Tak jak wroga zbywać wręcz.
Czy się gniewasz? O co przecie?
Zwierz się tak, jak bratu brat.
— No, żeś głupi, mówią w świecie,
Lecz to stara rzecz, jak świat!

*(Wł. Bełza).*

## 4. Eugeniusz Oniegin (poemat satyryczno-obyczajowy).

Młody Oniegin, człowiek światowy, znudzony rozkoszami życia w stolicy, osiada na wsi w majątku, odziedziczonym po stryju. W sąsiedztwie poznaje Leńskiego, poetę entuzyastę, zakochanego w Oldze Łaryn. Leński namawia Oniegina do złożenia wizyty starej Łarynowej, która oprócz Olgi ma jeszcze drugą córkę — Tatjanę, dziewczę marzycielskie, wykształcone na romansach francuskich. Oniegin zachowuje się obojętnie wobec wiejskiej panienki, ale ona odrazu się nim zajmuje, pisze nawet do niego list, w którym swą miłość wynurza. Przy sposobności Oniegin oznajmia jej otwarcie, że nikogo kochać już nie może, poczem jak odludek zamyka się w domu, bo go nudzą wszelkie parafialne stosunki towarzyskie. Z tej samotności wyrywa go Leński, zapraszając do Łarynowej na imieniny swojej narzeczonej. Oniegin przybywa na wieczorek, ale nudzi się potężnie, a widok Tani go irytuje. Zgniewany na przyjaciela, że go na to naraził, postanawia mu krwi trochę napsuć i zaczyna zalecać się Oldze. Lekkomyślna Olga chętnie przyjmuje jego nadskakiwania. Podrażniony Leński wyzywa Oniegina na pojedynek i ginie. Oniegin opuszcza wieś. Olga po niejakim czasie wychodzi za jakiegoś oficera, ale Tatjana odrzuca wszystkich konkurentów. Za radą sąsiadów Łarynowa wywozi ją do Moskwy w nadziei, że tu ktoś jej się spodoba. Jakoż Tania, ulegając namowom, wychodzi za pewnego księcia, kolegę szkolnego Oniegina. Po kilku latach zjawia się w Moskwie Oniegin i spotyka Tanię jako zamężną damę, pełną wielkoświatowej dystynkcyi i taktu. Wspomnienia obudzają w nim gorącą miłość dla Tatjany, ale ona natarczywe jego zabiegi odrzuca z godnością (chociaż go jeszcze kocha), bo nie chce złamać wiary, zaprzysiężonej innemu, i służyć mu za zabawkę.

Bohatera swojego charakteryzuje Puszkin w ten sposób (Rozdz. I).

„Stryjaszek mój, poczciwa dusza,
Jeżeli zasłabł nie na żart,
To do szacunku tem mnie zmusza
I za swój pomysł wiele wart;
Za wzór on innym służyć może:
Lecz za to nuda, o mój Boże,
Przy chorym dni i noce trawić,
Nie odstępując ni na chwilę!
Obłudy niecnej trzeba ile,
By wpółżywego starca bawić,
Przewracać, dźwigać po pościeli,
Lekarstwem poić, tonąć w smutku,
A w duszy szeptać po cichutku:
Bodaj cię prędzej dyabli wzięli!“

Tak myślał szaławiła młody,
Wewał pędząc pocztą śród kurzawy...
Jedyny — na co miał dowody —
Swych wszystkich krewnych dziedzic
Pozwólcie, mili przyjaciele, [prawy.
Co mnie słuchacie sercem szczerem,
Bym, wstępnych słów nie tracąc wiele,
Zapoznał was z mym bohaterem:
Oniegin, druh mój z dawnych lat,
Urodził się nad Newą, kędy
I z was ktoś może ujrzał świat,
Lub skarbił sobie świata względy!
I ja tam wiek spędziłem młody:
Lecz szkodzą mi północne chłody[1]).

[1]) Puszkin pisał to na wygnaniu w Besarabii.

Szlachetną służbę doskonale
Spełniając, ojciec jego żył
Kredytem, świetne dawał bale
I strwonił całe mienie w pył.
Los jednak miał w opiece Gienia:
Swawolny chłopak, ale miły,
Początków swego wykształcenia
Od madame nabył, dalej siły
Umysłu w nim rozwijał l'abbé
I uczył, tylko bawiąc, dbały,
By się nie zmogło dziecię słabe;
Surowe rzucił w kąt morały,
Łagodnie karcił złe maniery
I często wodził na spacery.

A gdy dla chłopca przyszła pora
Młodości wrzącej, tęsknych rojeń,
Nadziei, pragnień i upojeń —
L'abbé usłyszał: fora z dwora.
Oniegin mój, już wolny przecie,
U najpierwszego fryzyera
Włos trefi, modnie się ubiera
I już bryluje w wielkim świecie.
Językiem modnym z nad Sekwany
Mógł się popisać czy w rozmowie,
Czy w listach, — tańczył co się zowie
I układ miał dystyngowany —
To też przyznały mu salony,
Że miły jest i wykształcony.

Któż z nas nie uczył się po trochu...
Toż każdy zdoła z łaski nieba,
Jakkolwiek nie wymyśli prochu,
Nauką błysnąć, gdzie potrzeba;
Oniegin (jak go w trybunale
Wytrawnych znawców osądzono)
Był chłopcem wykształconym, ale
Pedantem... miał szczęśliwą onę
W rozmowie łatwość z każdej beczki
Po szczypcie brać atyckiej soli,
A mądrze w razie ważnej sprzeczki
Udawać zwykł, że milczeć woli,
Lub do uśmiechu budził damy
Dowcipnej żądłem epigramy.

Łacina wyszła z mody ninie:
Wszelako muszę tu zaznaczyć,
Iż umiał tyle po łacinie,
Że epigrafy mógł tłómaczyć;
Rozprawiał o Juwenalisie,
Kładł w listach *vale* przy podpisie,
A nawet wierszy parę z biédy
Przytoczyć umiał z Eneidy;
Zamiłowania nie miał tyle,
By grzebać się w duszącym pyle
Zbutwiałych kronik, ale siła
W pamięci jego się gnieździła
Anegdot z dziejów tego świata
Od Romula po nasze lata.

Był obcym na ten wzniosły zapał,
By nad rytmami trawić życie,
I nigdy uchem swem nie złapał,
Co jamb, co trochej... w Teokrycie,
W Homerze brednie widział czyste;
Lecz Adam Smith ekonomistę
Tak głębokiego zrobił zeń,
Iż mógł rozprawiać cały dzień,
Jak się wzbogaca kraj, czem żywi
I czemu w nim obywatele
Bez złota mogą być szczęśliwi,
Surowych płodów mając wiele.
Nie zdolen tych tajemnic dociec
Zastawiał dobra jego ociec.

Co umiał jeszcze mój Eugieniusz,
Wyliczać byłoby za długo,
Lecz w czem prawdziwy był to gieniusz,
Co nad naukę wszelką drugą
Gruntowniej zbadał, skąd od młoda
I trud i męka i osłoda
Płynęła dlań, dni całe za czem
Zwykł tęsknić w życiu swem próżnia-
To była słodka żądza ona, [czem —
Śpiewana niegdyś przez Nazona[1]),
Co za nią musiał — jak to wiecie —
Namiętny, świetny, w lat swych kwiecie
Wlec smutny żywot pokutniczy
W multańskich stepów głuchej dziczy.

Jak wcześnie zdolen był udawać,
Zwątpienie kryć, zazdrością płonąć,
Zniewalać, wmawiać lub nastawać,
W rozpaczy, w smutku czarnym tonąć,

[1]) Mowa tu o Owidyuszu Nazonie, który, według domysłów, ściągnął na siebie karę wygnania na brzegi morza Czarnego faworami, jakie zdobył u Julii, córki Augusta.

Pokornym być, to znów zuchwałym,
Nadskakującym, to niedbałym....
A jakie tkliwe pisał listy,
Jak umiał wszystko nieść w ofierze,
By posiąść to, co kochał szczerze...
Jak mu wzrok tkliwy i ognisty,
Namiętny, słodki, znów czasami
Lśnił dziwnie posłusznemi łzami.

Jak umiał wydać się inaczéj,
Niż wszyscy... rzucać na dziewczęta
Czar przez swój dowcip, komplimenta,
Lub je przerażać grą rozpaczy;
Korzystać z chwili roztkliwienia,
By lat niewinnych uprzedzenia
Rozumem, namiętnością smagać
I, wkradłszy się do serca skrycie,
Podsłuchać pierwsze jego bicie,
Wyznanie wymódz lub wybłagać
I ścigać póty, aż przystanie
Na potajemne z nim spotkanie,
Gdzie tête à tête w samotnej ciszy
Ciekawych nauk kurs posłyszy.

Lecz najlepszemi przyjacioły
Mężowie zwykle dlań bywali!...
Uprzejmie ściska go i chwali
Tak chytry z Faublasowskiej szkoły[1])
Emeryt, jak i stary dziad,
Podejrzliwością wciąż trawiony,
I pyszny rogacz, zawsze rad
Z obiadu, siebie i swej żony.

Bywało, jeszcze się z rozkoszą
Wylega, — już liściki biegą.
Co? inwitacye? Nic innego,
Trzy domy go na wieczór proszą:
Tam bal, tu balik znów dla dzieci.
I gdzież szałaput nasz poleci?
Skąd pocznie? — mniejsza — dość, że wszędzie,
Jak każe etykieta — będzie.
Tymczasem w strój poranny odzian,
W szerokoskrzydłym Boliwarze[2]),
Jak zwykle, rusza złoty młodzian
Przechadzki użyć na bulwarze,
Aż czujny breget[3]) mu obwieści
Że pora obiad zjeść na mieście.

*(A. Pług).*

Główniejsze przekłady utworów Puszkina są: »Cyganie« przez Leona Janiszewskiego (Warszawa, 1842), toż przez M. Dobrzańskiego (Warszawa, 1881); »Eugeniusz Oniegin« przez Ad. Sikorskiego (Wilno, 1847); pierwsza pieśń tegoż przez St. Budzińskiego »Z obcego Parnasu« (Warszawa, 1885); »Fontanna w Bakczysaraju« przez A. Rogalskiego (Wilno, 1826); toż przez N. F. Zabę (Warszawa, 1828); toż przez Adolfa W. (tamże 1834); »Jeniec Kaukazu« przez E. Wojniłowicza (Wilno. 1843); »Borys Godunow« częściowo przez J. Bartoszewicza (w »Życiorysach znakomitych ludzi«, Warszawa, 1850). Drobne wiersze przekładali: Mickiewicz, Odyniec, Al. Chodźko, A. Groza, Marc. Szymanowski, E. Znatowicz, K. Szlagier, J. Prusinowski i inni.

## VI. Michał Lermontow.

### 1. Żagiel.

Samotny żagiel nad morskie tonie
Między tumany miga sinemi...
Czegoż mu szukać w dalekiej stronie?
Co go wygnało z rodzinnej ziemi?

Dziko wiatr świszcze, burzą się fale
Maszt się pochyla, skrzypi i słania...
Biedny! on szczęścia nie szuka wcale,
Ani go szczęście z domu wygania...

Pod nim, jak lazur, śpi fala cicha,
Ponad nim złote słońca promienie:
A on, niebaczny, do burzy wzdycha,
Jakgdyby w burzach było wytchnienie.

*(W. Korotyński).*

[1]) „Przygody Faublasa“ romans francuski Louvet'a.
[2]) Kapelusz à la Bolivar.
[3]) Breget, zegarek kieszonkowy.

## 2. Prorok.

Odkąd jam z mocy Nieśmiertelnej
Wszechwiedzy posiadł dar proroczy,
Odtąd już były mi czytelne
Grzechami lśniące ludzkie oczy.
Głosić począłem był wyrazy
I prawdy czystej i miłości:
Ciskali bliźni na mnie głazy,
Szaleni gniewem do wściekłości.
Popiołem osypawszy włosy,
Uszedłem z miast z żebraczą laską;
W pustyni mieszkam pod niebiosy,
Jak ptaki, karmion bożą łaską.
Tam, przestrzegając Wiecznej Woli,
Słucha mię wszelki żywioł ziemi,
I gwiazdy w świetnej aureoli
Za rozkazami idą memi.
Lecz kiedy muszę grodem szumnym
Przez jego mury iść z pośpiechem,
To starcy dzieciom nierozumnym
Z zadowolenia mówią śmiechem:
„Patrzcie nań: wzorem niech wam bę-
Był dumny, z nami się nie godził; [dzie!
Głupiec! — przez jego ust narzędzie
Głos boży — twierdził — ku nam schodził.
„Patrzcie więc nań uważnie, dzieci,
Jak wasi gardzą nim rodzice;
Jak ma wychudłe, chmurne lice;
Jaką nagością, nędzą świeci!“

*(M. Koroway-Metelicki).*

## 3. Duma.

Ze smutkiem na współczesne patrzę pokolenie:
Giną w mroku lub w próżni jego przyszłe dzieje,
A teraz je przygnębia wiedza i zwątpienie,
Aż w bezczynności gnuśnej postarzeje.
Młodzi z kolebki niemal, posażni jesteśmy
W ojców błędy fatalne, w ich rozum niewczesny,
I nuży nas już życie, jak droga bez celu,
Jak gwarna uczta na obcem weselu.
Bezwstydnie obojętni wobec zła i cnoty,
Więdniem w życia zaraniu bez walki opornéj;
Tchórzliwie uchylając niebezpieczeństw groty,
Przed władzą podle pokłon bijem korny.
Tak owoc czczy, przedwczesny, nie bierze ochota
Skosztować, ni on widza uraduje oczy;
Wisi pomiędzy kwiaty, jak przybysz-sierota,
A ich piękności chwila w grób go stłoczy.

* * *

Wysuszyliśmy rozum nauką jałową,
Od przyjaciół i bliźnich chowając w skrytości
Jasnych wierzeń jutrzenkę lub szlachetne słowo
Szyderstwem zbitych, lepszych namiętności.
Ledwie się dotykając do rozkoszy czary,
Zatraciliśmy jednak sił młodości dary:
Odarliśmy z uroku obawą przesytu
Każdą uciechę w dobie jej rozkwitu.

* * *

Nas pięknych sztuk utwory, poezyi wyżyny
W niemy zachwyt nie wprawią; ujmujem go w karby,
Chciwie w piersi stróżując uczuć okruszyny —
W sknerstwie trzymane, marniejące skarby!

Czy miłość, czy nienawiść traf ślepy w nas budzi,
Żadnej w gniewie, w miłości nie niesiem ofiary
I zatajony jakiś chłód nam duszę studzi,
Gdy ogień we krwi roznieca pożary.
Nas nudzą naszych przodków zbytkowne zabawy,
Nas nudzi ich dziecinna, sumienna rozpusta
I zdążamy ku grobom bez szczęścia, bez sławy,
Wstecz patrząc, gorzko wykrzywiamy usta.

* * *

Pamięć wieków posępny tłum nasz wnet wykréśli,
Bez zgiełku i bez śladu znijdziemy do trumny.
W spuściźnie nie zostawim garści płodnej myśli,
Ani też pracy gieniuszu rozumnéj.
Potomek — obywatel z surowością sędzi
Prochom naszym wyroku wzgardy nie oszczędzi
I omamion przez ojców, co strwonili mienie,
Szyderstwem gorzkiem znieważy ich cienie.

## 4. Miłość pośmiertna.

Choć się pod ziemią nie rusza
Trup mój w swym grobie,
O druhu! zawsze ma dusza
Czuwa przy tobie.
Miłość mnie dręczy swym szałem,
Grobów mieszkańca:
Próżno w mogile szukałem
Spokoju szańca.

Bez trwogim w ciała konaniu
Z światem się rozstał,
Bom ulgi szukał w rozstaniu —
Lecz ból pozostał!
Anielskie widząc ponęty,
Doznałem męki,
Że tkwią w postaci ich świętéj
Nie twoje wdzięki.

Co z bożej przyszło mi chwały,
Co z blasków raju!
Jam ziemskie z sobą wniósł szały
Do duchów kraju:
O jedno stale się troszczę
Dalszemi ciągi;
Pożądam, płaczę, zazdroszczę.
Jako i ongi.

Skoro jagody twe warga
Obcych ust muśnie,
Ból duszę długo mi targa,
Zanim znów uśnie.
Gdy czasem w szepcie przedsennym
Wspomnisz innego,
Po mnie, jak nurtem płomiennym,
Słowa twe biegą.

Niech dla nikogo twe łono
Uczuć nie chowa!
Trupowi-ś jest poślubioną
Świętością słowa.
Twej trwodze, twoim zaklęciom
Nic nie pomoże!
Ja nie chcę żyć niepamięcią
W serca pokorze!

*(Cz. Makowski).*

## 5. Na łonie przyrody.

Gdy dojrzewająca faluje już niwa
I szumi bór chłodny, wietrzykiem zbudzony,
A w sadzie rumiany owoc się ukrywa
W cień błogi, pod listek zielony;

W wieczora szkarłaty, lub rankiem złoconym
Gdy dojrzę pod drzewem konwalię srebrzystą,
Co stoi, witając mię wdzięcznym ukłonem,
I rosą sperlona kroplistą;
Gdy w sen niepochwytny pogrąża uwagę
Szemranie strumienia, co igra w dolinie
I szepce do ucha czarowną mi sagę
O kraju uroczym, skąd płynie:
O! wtenczas ja bruzdy rozmarszczam na czole,
O! wtenczas uciecha i w duszy mej trwoga,
I szczęście na naszym pojmuję padole,
A w niebie spostrzegam znów Boga....

*(Cz. Mąkowski).*

## 6. Demon (powieść wschodnia).

Występny demon, strącony niegdyś z nieba, unosząc się samotny ponad Kaukazem, spostrzega cudownej urody Gruzinkę, Tamarę, córkę Hudala, mającą wkrótce poślubić narzeczonego.

I szatan widział.... Ideały
Życia dawnego w nim zadrgały
I wypłynęły zgasłe mary
I spadły rosą na pustynię
Serca niemego. I duch kary
Odczuł i pojął znów świątynię
Piękności, dobra i wierzenia.
I długo słodkim tym obrazem
Szatan się cieszył — i marzenia
O szczęściu dawnem wstały razem,
Jakby za jedną druga gwiazda,
Jak duchów napowietrznych jazda.
Przykuty niewidzialną siłą,
Z nową boleścią się zapoznał.
Uczucie zmarłe przemówiło,
Rodzinny język znowu poznał.
Byłaż to chwila odrodzenia?
Szatan fałszywych słów kuszenia
Nie znalazł w myślach mimo chęci:
Zapomnieć?... Nie dał niepamięci
Bóg, i on nie chciał zapomnienia.

Tymczasem oblubieniec Tamary, śpiesząc na gody, ginie w zasadzce. Tamara opłakuje zgon jego i usuwa się do klasztoru. Demon nie daje jej tu spokoju ani na jawie ani we śnie; staje nareszcie przed nią otwarcie i wyznaje swoją miłość. Na zapytanie strwożonej i wahającej się Tamary, odpowiada:

Jam ten, któregoś ty słuchała
W cichości mroków, w nocnej dobie,
Myśl moja w duszy twej szeptała;
Mój smutek przez mgłę tyś widziała,
Mój obraz blady miałaś w sobie:
Jam ten, czyj wzrok nadzieję gubi,
Ledwo nadzieja ta zaświta;
Jam ów jest, który tem się chlubi,
Że każdy go przekleństwy wita.
Podemną gwiazd mkną korowody;
Jam biczem krwawym ludzkiej ziemi,
Jam król wszechwiedzy, król swobody,
Jam niebios wrogiem, złem przyrody,
I widzisz — jam pod stopy twemi!
I jam ci przyniósł rozrzewnienie,
I łzy i modlitw ciche jęki,
I pierwsze ziemskie me cierpienie,
I pierwsze duszy mojej męki...
Chciej pojąć gorzkich słów zwierzenie!
Niebiosom może mię powrócić
Miłości twojej żywe słowo
Szatańską dumę precz odrzucić,
W anioła zmienić mię nanowo.
Niewolnik, w ciebie tylko wierzę!
Do ciebie pierwsze ślę pacierze
Do ciebie pierwszy głos błagalny!
Dla ciebie duch mój niezniszczalny
Śmiertelną szatę przyjmie szczerze!
Gdym ciebie ujrzał, mimowoli
Uczułem w sobie skrę zazdrości,

Opuścić ciebie?... nie! tej roli
Nie spełnię w żarze namiętności!
I oto przyszła dziś godzina:
W bezkrwistem sercu buchnął płomień,
Syknęła zmarła w niem gadzina,
Zapałał stosem iskry promień!

Prośby i gorące słowa miłości zaczynają miękczyć serce Tamary; gotowa mu je oddać, podzielić z miłości jego smutną dolę wygnańczą... ale czy może zaufać szczerości jego słów? Na jej żądanie demon składa przysięgę:

Klnę się na pierwszych dni stworzenie,
Klnę się na koniec świata tego,
Klnę się na wiecznych prawd promienie
I hańbę czynu zbrodniczego;
Klnę się na gorzkie grzechów męki,
Na krótkie zwycięstw mych marzenia,
Na powitalne uściśnienia
Na pożegnalne twojej ręki;
Klnę się na duchów szereg mnogi,
Na losy braci mi podwładne,
Aniołów męstwo bezprzykładne,
Gdy ku mnie błyska miecz ich srogi;
Klnę się na czeluść czarną piekła,
Świątynię ziemi i na ciebie,
Na łzę, co pierwsza ci pociekła,
Na oko twe utkwione w niebie;
Na ust niewinnych twoich tchnienie,
Na falę włosów jedwabistych;
Klnę się na szczęście, na cierpienie,
Na ognie uczuć płomienistych:
Jużem się zarzekł nienawiści,
Jużem się zarzekł zemsty, pychy,
Od fałszu duch mój się oczyści,
Rozbiję trucizn mych kielichy;
Ja pragnę z niebem się pogodzić,
Ja chcę się modlić, chcę odrodzić,
Chcę w dobro wierzyć, chcę miłować,
Złe czyny chcę odpokutować.
I zetrę ślady niebios kary,
Szpecące dumne moje czoło,
I niech bezemnie świat ten stary
Ku kresom toczy swoje koło!
Wierzaj mi! jeden ja jedynie
Ciebiem zrozumiał i ocenił,
Jam w tobie uznał swą świątynię,
W niewolę władzę mą zamienił.
Miłości pragnę twej — jak daru,
Za chwilę wieczność dam ci całą;
W miłości, gniewie, wierz, Tamaro,
Duszę mam wielką i wspaniałą!
Daj mi twój rozkaz! Rzeknij słowo —
W nadziemskie cię uniosę sfery!
Tam będziesz druhem mym, królową.
Posłuszne będą ci etery!
I bez współczucia, bez żałości
Będziesz na ziemskie patrzeć sprawy,
Gdzie nie masz istnej szczęśliwości,
Wiecznego piękna, wiecznej sławy;
Gdzie kary boskie, ludzkie zbrodnie,
Poziomych uczuć gdzie pełzanie,
Gdzie nienawidzieć, kochać godnie,
Serca lękliwe nie są w stanie.

Tamara poddaje się wreszcie potężnemu urokowi demona, ale przy pierwszym pocałunku traci życie. Straszliwy kochanek nie dostaje jej przecież: niebo przebacza Tamarze jej słabość, bo wiele cierpiała i kochała.

I przeklął szatan pokonany
Swych bezrozumnych pragnień mary,
I znów w swej dumie niezłamany,
Został w wszechświecie nieuznany —
Sam, bez miłości i bez wiary!...
*(M. Koroway-Metelicki).*

Pomniejsze utwory Lermontowa bywały tłómaczone sporadycznie przez różnych pisarzy; z większych posiadamy: »Laika klasztornego« przez Wł. Syrokomlę, »Demona« przez Wł. Sabowskiego (Warszawa, 1860 i 1880), M. Koroway-Metelickiego w jego »Poezyach« (Petersburg, 1893). »Bojara Orszę« przez G. Czernickiego (Lwów, 1854); »Chadży Abrek« przez St. Grudzińskiego (1872) i St. Budzińskiego (»Z obcego parnasu« Warszawa, 1885); »Han Akmet i Janczar« przez E. I. Machczyńskiego (Warszawa, 1857); »Maskaradę« przez A. Kolankowskiego (»Ostatnie akordy«, Suwałki, 1875). Znaczny »Wybór pism« (między innemi »Bohatera naszych czasów«, »Demona« i wiele drobniejszych) przełożył Cz. Mąkowski (Warszawa, 1890).

# VII. Mikołaj Gogol.

## Rewizor (komedya).

Rzecz dzieje się w zapadłem miasteczku prowincyonalnem. Horodniczy (burmistrz), otrzymawszy od swego przyjaciela z Petersburga list z przestrogą, żeby lada chwila oczekiwał rewizora ze stolicy, który udaje się na wizytacyę incognito, komunikuje poufnie tę wiadomość wszystkim, umyślnie w tym celu zwołanym dygnitarzom miejskim. Gdy zaniepokojeni nowiną radzą, jak zatrzeć swoje »grzeszki«, dwaj dostojni obywatele — Dobczyński i Bobczyński — oznajmiają, że w hotelu mieszka od niejakiego czasu tajemniczy podróżny, przybyły z Petersburga. Wistocie jest to Chlestakow, urzędniczyna, który w drodze do ojca przehulał pieniądze i siedzi w hotelu, nie wiedząc, co dalej począć; ale dygnitarze miasteczka domyślają się, że musi to być właśnie ów incognito rewizor. Horodniczy pośpiesza czemprędzej złożyć mu uszanowanie, traktuje jako wysokiego urzędnika, podsuwa mu zręcznie kubana, płaci za niego długi hotelowe i ofiaruje mieszkanie u siebie. Chlestakow nie bardzo pojmuje, skąd ta uprzejmość, ale chętnie bierze kubany, jakie mu dają i Lapkin-Tiapkin, sędzia miejscowy, i Szpekin, pocztmistrz, i Chłopow, inspektor szkolny, Ziemlanika, kurator szpitala, i inni, dbali o ujęcie sobie rewizora. Nawet mieszczanie i kupcy pomimo zakazu Horodniczego cisną się do niego, żeby mu złożyć podarki i poskarżyć się na zbyt dokuczliwe nadużycia urzędników. Chlestakow, nie poprzestając na tem, zaleca się do córki gospodarza, która chętnie przyjmuje jego oświadczyny. Przestrzeżony jednak od swojego sługi, wyjeżdża czemprędzej, rzekomo do stryja na dni parę najwyżej, a całą mistyfikacyę ze złośliwą charakterystyką dygnitarzy miejskich opisuje swojemu przyjacielowi. Ciekawy pocztmistrz otwiera list i wszystko się wydaje. Horodniczy, który już marzył o generalstwie przy stosunkach przyszłego zięcia, spada z nieba; inni dygnitarze widzą się także wystrychniętymi na dudków, gdy wtem śród ogólnej konsternacyi staje żandarm z oznajmieniem, że rewizor przyjechał.

**Akt I, scena I.** (po zakomunikowaniu przez Horodniczego obecnym wiadomości, że rewizor ma przyjechać).

*Horodniczy.* Do rzeczy, panowie! Zebrałem was tu umyślnie... we względzie uporządkowania naszego miasta. Ja cokolwiek już się urządziłem, radzę i wam pójść za moim przykładem. Mianowicie tobie, panie Ziemlanika. Przejeżdżający urzędnik zechce, bez wątpienia, obejrzeć przedewszystkiem zostające pod twoim zarządem szpitale. Dlatego proszę, ażeby wszystko było przyzwoicie. Szlafmyce powinny być czyste, chorzy zaś lepiej ubrani, niż codziennie, nie podobni do kowalów; zresztą potrzeba porobić nad każdem łóżkiem łacińskie napisy lub jakie inne. Tobie, panie Hibner, najwłaściwiej przystoi tem się zająć. Należy wyrazić nazwisko każdej osoby, kiedy i którego dnia chory został przyjęty i tym podobne. *(Po pauzie, pokręciwszy głową).* Ale, ale... wasi chorzy palą tak mocny tytoń, że za wejściem do nich trzeba dusić się od kaszlu. Postarajcie się także, ażeby liczba chorych, o ile można, była najmniejsza, bo inaczej przypiszą to niedbałości w dozorowaniu lub nieumiejętności lekarza.

*Ziemlanika.* O! w tym względzie jużeśmy się z panem konsyliarzem, jak potrzeba, rozporządzili. Wszystko zależy od sposobu leczenia; ja sądzę, że im bliżej natury, tem lepiej i korzystniej. I rzeczywiście, na co ekspensować i zapisywać drogie lekarstwa dla jakiegoś tam inwalida? Człowiek prosty, kiedy ma umrzeć, to umrze niezawodnie; a jeśli ma wyzdrowieć, to i bez lekarstw wyzdrowieje. Nadto panu doktorowi przytrudnoby było rozpytywać się chorych,

ponieważ nie umie po rosyjsku. Nie lepiejże uwzględniać interes skarbu i umniejszeniem wydatków powiększyć kapitał. Wtenczas rząd, widząc moją gorliwość, ani wątpić, przedstawi mię do nagrody dla zachęcenia innych. *(Zwracając się do Hibnera).* To jest, sądzę, że i pan konsyliarz otrzyma przytem jakiebądź zadowolenie. *(Hibner wydaje głos nieco podobny do litery i, a nieco do e).*

*Horodniczy.* Radziłbym także tobie, panie Lapkin, zwrócić uwagę na twoje sądownictwo. Tam w pierwszym pokoju, który jest przeznaczony dla suplikantów, stróże sprzedają gęsi z małemi gąsiętami, które ciągle snują się pod nogami. Prawda, że w gospodarstwie gęsi są nieodbicie potrzebne; że się je chowa, nie można brać tego za złe; ale w takiem miejscu — to nieprzyzwoicie.. Już to ja nieraz chciałem panu o tem nadmienić, ale zawsze zapominałem. Oprócz tego, brzydko, że w sali sądowej suszą się ladajakie gałganki, a nad szafą z papierami wisi myśliwski harapnik. Wiem to, że pan lubisz polowanie; ale zawsze lepiej zdjąć go na jakiś czas, a gdy już sobie rewizor szczęśliwie przejedzie, wówczas można będzie znowu go zawiesić. Także asesor wasz... może on być dobrym człowiekiem i znającym prawo; ale ma tak nieprzyjemny odór, jakby tylko co wyszedł z gorzelni... To bardzo niedobrze! Chciałem ja i o tem nieraz z panem pogadać, ale byłem nieco roztargniony. Są środki, którymi można tę odrażającą woń cokolwiek złagodzić. Kiedy już wistocie, jak on sam powiada, jest ona jakoby zapachem z urodzenia, powinienby jeść cebulę, czosnek lub coś podobnego. W tem najlepiej dopomoże swoją radą lub medykamentami pan doktór. *(Hibner wydaje taki sam głos).*

*Lapkin.* Nie, temu już nikt nie da rady. On powiada, że jeszcze w niemowlęctwie skaleczyła go mamka i smarowała spirytusem; otóż od tego czasu daje się czuć od niego cokolwiek odór jakoby wódczany.

*Horodniczy* A!... no, ja tylko tak nadmieniłem. Co zaś do wewnętrznego porządku i tego, co to mój przyjaciel w liście swoim nazywa malutkiemi grzeszkami, nie mam nic do powiedzenia — bo mówić o tem byłoby dziwactwem. Wszakże niema ani jednego żyjącego człowieka, któryby jakiego grzechu na sobie nie nosił — to już sam Bóg tak postanowił i napróżno jacyś tam Wolteryanie krzyczą przeciwko temu.

*Lapkin.* Cóż to, panie Antoni, uważasz za grzeszki? Grzechy grzechom nierówne. Ja chociaż mam jakie grzeszki, zupełnie niewinne! Wiadomo ci przecie, że jeżeli co biorę czyli upoluję, to tylko maleńkiemi charciątkami.

*Horodniczy.* No, charciątkami czyli czem innem, zawsze bierzesz.

*Lapkin.* E! nie, panie Antoni, to wcale co innego. Naprzykład, twoja szuba kosztuje pięćset rubli, a...

*Horodniczy.* No, i cóż z tego, że ty, panie Lapkin, bierzesz tylko maleńkiemi charciątkami? Za to w kościele nigdy nie bywasz, nie modlisz się; a ja, chwała Bogu, w wierze jestem mocny i każdej

niedzieli chodzę do kościoła. Ty zaś... o! znam cię dobrze, kiedy zaczniesz o stworzeniu świata dowodzić, to aż włosy na głowie powstają.

*Lapkin.* Ja to sam doszedłem własnym swoim rozumem.

*Horodniczy.* No, no, Bóg to wie najlepiej. Jeżeli w jednej materyi mamy zbyt wiele rozumu, to w drugiej mniej, jakby go zupełnie nie było. Zresztą, ja tak tylko nadmieniłem o sądzie powiatowym; to kącik spokojny, sam Bóg się nim opiekuje i chyba tylko przypadkiem ktoś do niego zajrzy. Ale tobie, panie Chłopow, jako inspektorowi szkoły należy się zatrudnić; a mianowicie co do twoich profesorów. Bez wątpienia, są to ludzie uczeni, pobierali nauki po różnych kolegiach, jednakże ich sposób postępowania przy wykładaniu lekcyj jest nader dziwaczny. Jeden z nich, naprzykład, ten z wydatnemi policzkami... nie pamiętam jego nazwiska, gdy stanie na swojej katedrze, nie może się obejść bez grymasów... oto tak... *(robi grymas).* A potem ręką z pod wielkiego halsztuka zaczyna gładzić swoją brodę. Wreszcie, gdy on studentowi taką twarz pokaże, to jeszcze nic, może to w końcu tak potrzeba, o tem ja sądzić nie mogę; jednakże sam powiedz, jeżeli on zrobi podobną minę przed wizytującym, to będzie bardzo źle. Pan rewizor lub ktokolwiek na jego miejscu może to wziąć za naigrawanie się i Bóg wie, co z tego wyniknie.

*Chłopow.* Ach, mój Boże, ja głowę tracę.

*Horodniczy.* Powinienem także nadmienić tu i o profesorze historyi. Jest to głowa nie dla proporcyi, człowiek pełen wiadomości; ale cóż, kiedy wykłada je z takim ogniem i entuzyazmem, że zapomina o samym sobie. Byłem raz obecny na jego lekcyi... dopóki mówił o Asyryjczykach i Babilończykach, to jakośkolwiek szło, ale jak zaczął rozprawiać o Aleksandrze Macedońskim, nie mogę wyrazić, co się z nim zrobiło. Wyskoczył z swojej katedry, chwycił za krzesło i z całej siły uderzył niem o podłogę. Prawda, że Aleksander Macedoński był to sławny bohater, ale na cóż łamać krzesła? Przez to naraża się skarb na stratę.

*Chłopow.* Tak, on ma wiele ognia, jest nieco za gorący; mówiłem mu to nieraz. Prawdziwie, nie wiem, co z nim robić?

*Horodniczy.* Już to tak idzie na świecie, że człowiek rozumny jest albo pijakiem, albo twarz tak szkaradnie wykrzywia, że każdego przestraszy.

*Chłopow.* O, to prawdziwy kłopot!

*Horodniczy.* Nic to, że kłopot, ale co gorsza, że nie wiadomo, w której stronie miasta mam czekać na niego, kiedy i w jakim czasie? To przeklęte incognito bardzo mnie niepokoi. Wpadnie, jak z procy, zajrzy: „Ha! wy tu, gołąbeczki! — powie — a który z was jest sędzią?“ — „Lapkin-Tiapkin“... „O! przywołać do mnie Lapkina! — A kto jest inspektorem szpitala?“ — „Ziemlanika“. — „A! zawołać Ziemlanikę!“ — Otóż to jest, czego ja się lękam.

Polski przekład »Rewizora« wyszedł najprzód w Wilnie w r. 1846 przez J. Chełmikowskiego, potem bezimiennie w »Bibliotece Mrówki« (tom 184, 185).

# VIII. Mikołaj Niekrasow.

## Kolej żelazna.

Poeta, jadąc w wagonie, słyszy, jak mały Jaś zapytuje ojca generała, kto zbudował kolej. »Inżenierowie« była odpowiedź. Na to poeta zabiera głos:

Dobry tato! po co dziecku
Rozpowiadać baśnie?
Pozwól, ja mu w krótkiej chwili
Całą rzecz wyjaśnię.

Te maszyny, widzisz, Jasiu,
Robił mnogi lud;
A strasznego miał on wodza,
Który zwał się: Głód.

Wódz ten sprawił, że mu życie
Stało się niemiłe,
Więc z nim walczył i to miejsce
Wybrał na mogiłę.

Hej! po relsach, po żelaznych
Pędzimy najprościéj...
A wiesz, Jasiu, co pod niemi?
Cmentarz ludzkich kości!

Słyszysz w mroku rzewne jęki?
Słyszysz wichru szum?
Za szybami coś się miga...
To upiorów tłum.

I przed nami i za nami
Lecą, pędzą wcwał
I śpiewają: „Jakże piękny
Z naszych kości wał!

„Myśmy długo się porali
Z głodem i chorobą.
Deszcz nas moczył, mróz odrętwiał,
Czart wodził za sobą;

„Knutem budził nas dziesiętnik
Zanim błysła zorza,
Bito nas i okradano —
Taka wola boża!

„Za to dzisiaj dobre słowo
Rzuć nam siostro, bracie!
Wszak wy pracy naszej krwawej
Owoc pożywacie!“...

Czemu Jasio tej piosenki
Tak bardzo się boi?
Spojrzyj, dziecię, ci nędzarze
To rodacy twoi!... — —

Ucz się, Jasiu; wszelka praca
Ród swój wiedzie z nieba,
Więc i krwawe trudy chłopa
Uszanować trzeba.

Kto wie zresztą, co Bóg chowa
Dla tych synów sioła...
Lud, co pracę umiłował,
Wszystkiemu podoła.

Może kiedyś, kraj wspierając,
Stanie w pierwszym rzędzie...
Szkoda tylko, że już wówczas
Obu nas nie będzie!

III.

Kocioł gwiznął, duchy znikły,
Jęknąwszy boleśnie;
„Ach, mój tatku! szepnął Jasio —
Com ja widział we śnie.

Krocie chłopów biegły drogą,
Każdy tu spozierał,
A on mówił: to ich praca!?“..
Rozśmiał się generał.

— Kolizeum poznać zblizka
Ciekawość mię zdjęła,
Byłem też i w Watykanie —
Czyż to ludu dzieła?

— Wybacz pan, że się uśmiecham,
Lecz gdzież tu logika?
Więc Apollo Belwederski
Wyszedł z rąk mużyka?

— Pańscy chłopi każde piękno
Z ziemią-by zrównali...
„Ja — wtrąciłem — mówię z Jasiem“...
Lecz on prawił daléj:

— Wasz Słowianin, Anglosakson
I Germanin gruby
To opoje, którzy sztuce
Nie przyniosą chluby!

— Zresztą poco dręczyć Jasia
Przykrym snem na jawie?

Dziecku trzeba wesołości...
. . . . . .

IV.

Ha! więc się poprawię!
Słuchaj, mały, już skończone
Chłopów krwawe trudy,
Martwe ciała w dół ciśnięto,
A słabe do budy.

Niemiec relsy kładzie lśniące
I słupki zatyka,
A lud tłumnie się zgromadził
Witać p o d r a d c z y k a.

W strasznej chwili obrachunku
Każdy drży, jak listek,
Bo już naprzód wybrał z kasy
Swój zarobek wszystek.

W czarną księgę to wpisano,
Której klucze strzegą,
Za lekarstwa i za wódkę...
Oj, dolo biednego!

Ale otóż i podradczyk
Tłusty, bystrych oczu,
Wśród półnagich robotników
Jedzie w nowym koczu.

Długo bada nową drogę
Z tej i z owej strony,
Wreszcie, wsparłszy się pod boki,
Rzekł: „Zadowolniony...

„Sztof gorzałki dostaniecie
(A czapki zdjąć, chamy!)
Przytem w dowód naszej łaski
Długi umarzamy“.

Ktoś z gromady krzyknął „hura!“
Pieśń dźwiękła ochoczo —
A tam z lochu trzej parobcy
Beczkę wódki toczą...

Tłum się zaprzągł i handlarza
Pociągnął w zapale...
Czyż to obraz nie wesoły,
Powiedz, generale?

*(W. Gomulicki).*

## IX. Nadson.

I.

Już czas! proroku, przyjdź! Na ból mej duszy smutnéj,
Na całą miłość mą zaklinam cię, przyjdź już!
Patrz, jaka niemoc w nas, a jaki szał okrutny,
Jaka swawola ciał obok niedoli dusz.

Ach, przyjdź, proroku, wraz! Potem zapóźno będzie,
Gdyż prawdy coraz mniej, a fałszu wzrasta kłos;
Gdyż z sumień znika wstyd, i ciemno, ciemno wszędzie,
I tylko dzwoni wciąż samej miernoty głos...

II.

O, mój cierpiący bracie, choć fałsz uderza na cię,
Stój z wiarą niezachwianą!
Nie patrz, że złości brzemię przygniata biedną ziemię,
W powodzi łez skąpaną.

Nie zważaj, że świat cały obala ideały,
Że ssie krew w dzikiej chuci —
Miej ufność, zło przeminie, ohydny Baal zginie,
Miłość na ziemię wróci.

O, nie w wieńcu cierniowym, nie z ciężarem krzyżowym,
Nie przy kajdanów brzęku;

Lecz zstąpi na świat ona, w moc, w chwałę obleczona,
Z pochodnią szczęścia w ręku.

I zniesie prawo siły i nie ujrzysz mogiły
Bez krzyża i bez kwiatów...
. . . . . .

Bracie, to przyjście jasne — to nie mrzonki me własne,
Nie ułuda przyjemna;
Patrz tylko — wszak na świecie zło już zanadto gniecie
Noc już zanadto ciemna.

Ród ludzki w krwi przesycie obrzydzi dzikie życie,
Rzuci drapieżne swary;
I wzniesie ku miłości oczy pełne ufności
I siłodajnej wiary.

*(Ad. Pog.).*

---

## F) Poeci małoruscy.

# I. Taras Szewczenko.

## 1. Najemnica.

Hanna podrzuca bezdzietnemu małżeństwu włościańskiemu dziecko swoje. Uszczęśliwieni staruszkowie dziękują Opatrzności za wyświadczoną im łaskę i ochrzciwszy Marka, hodują go z namiętnem przywiązaniem. Po roku przychodzi młoda i piękna kobieta i z pokorą prosi o służbę, zgadzając się z góry na wszystkie warunki. Porozumienie się nastąpiło z łatwością. Hanny pełno wszędzie — i w chacie i na podwórzu, i zmrokiem i o zaraniu; a nad Markiem czuwa jaknajtroskliwiej i pieści go i bawi, i wózeczki mu robi, a w święta z rąk nie wypuszcza. Dziwią się staruszkowie i Bogu dziękują, a nikt nie słyszy, jak najemnica dolę swoją przeklina; nikt oprócz Marka nie widzi, jak nieszczęśliwa umywa go łzami rzewnemi. Mijają lata. Staruszek pochował żnnę i sam ledwie nie umarł z żalu; Marek już został czumakiem. Upatrzono dziewczynę jak różę, choć dla hetmana. Zagrzmiało weselisko; wszyscy hulają, piją. A Hanna? Poszła do Kijowa, do świętych pieczarskich. Nadaremnie upraszał ją stary, a Marek aż płakał, ażeby mu była matką; Hanna pobłogosławiła go tylko sercem gorącem, zapłakała i wyszła za wrota. W Kijowie zarobiła trochę pieniędzy, kupiła dla Marka czapeczkę świętą w pieczarach, dla młodej Kachny pierścionek św. Barbary, i stęskniona wróciła do swoich. Ach, jakże ją witano, jak częstowano, jak rozpytywano o Kijów... Cztery razy rok w rok powtarzała pątnica pielgrzymkę swoją. Oto już czwarty raz wraca, ledwo się wlekąc. Marka niema w domu. Hanna ani jé, ani pije, jeno co chwila pyta o Marka i łzy co chwila spływają ze starych dogasających oczu. Już i spowiedź odbyła i przyjęła komunię św. A tymczasem puszczyki ponad komorą wróżą coś niedobrego. Ostatnią scenę przytaczamy.

Idzie Marko z czumakami,
Idąc wyśpiewuje,
Nie pośpiesza do gospody,
Wolików żałuje.
Wiezie Marko Katarzynie
Sukna cieniutkiego,
A staremu pas bogaty
Z jedwabiu kraśnego;
Najemnicy na oczepek
Wiezie złotej lamy
I czerwoną chustkę dużą
Z białemi haftami.
Dla dziateczek ma trzewiki,
Fig i winogradu,
A dla wszystkich czerwonego
Wina z Carogrodu
Wiader ze trzy w beczułeczce
I kawioru z Donu.
Wszystko wiezie, nie wie tylko,
Co się dzieje w domu.

Idzie Marko, nie dba o nic,
Przyszedł. — „Sława Bogu!“
I otwiera butnie wrota
I modli się Bogu.
Czy słyszysz ty, Katarzyno,
Biegnij na spotkanie;
Przyszedł, przyszedł!.. biegnij prędzej
Niech tu zaraz stanie!
Chwała tobie, Chryste Jezu!
Ledwiem doczekała!
I Ojcze-nasz cicho, cicho,
Jak przez sen szeptała.

Stary głaszcze woły siwe
I jarzma zdejmuje
Wyrzynane, a Katrusia
W Marka się wpatruje.
„A cóż Hanna, Katarzyno?
Gdzież to moja głowa?
Czy nie żyje?“ — Żyje jeszcze
Lecz bardzo niezdrowa.
Prędzej, Marku, chodź do chaty,
Póki się turbuje
Dziad z wołami... Ona dawno
Ciebie oczekuje.

Wchodzi Marko mój do chaty
I stanął u progu...
Aż się przeląkł. Hanna szepce:
„Chwała... chwała Bogu!
Chodź-no bliżej, nie lękaj się...
Mam ci coś powiedzieć.

Wyjdź, Katrusiu; ja Markowi
Mam coś opowiedzieć.
Wyszła z chaty Katarzyna.
Marko się nachyla
U wezgłowia najemnicy...
Chora się wysila:
„Spojrzyj na mnie! Widzisz, Marku,
Jak-em ja zmarniała?
Ja nie Hanna, najemnica.
Ja...“ — I oniemiała.

Marko płacze. Zwolna oczy
Znów się otworzyły,
Pilnie, pilnie popatrzała;
Łzy się potoczyły:
„Przebacz, Marku!... W cudzej
Cała służba moja — [chacie
To pokuta... przebacz, synu,
Ja... ja matka twoja“.
I zamilkła... — Padł mój Marko,
Aż ziemia zadrżała.
Zemdlał... Ocknął się... do matki,
Lecz matka już spała.

## 2. Pustka.

Rankiem, rano, garść rekrutów
Ze wsi wychodziła;
W ślad za nimi, ręce łamiąc,
Dziewczyna pędziła.
Powlokła się matka siwa,
Od miłego ją odrywa —
Odrywała, utulała,
Aż ją w ziemię zakopała
I z torbami w świat ruszyła.

* * *

Wioska stoi, nie urosła,
Mało się zmieniła;
Pustka tylko w końcu sioła
Na bok się schyliła.
Poprzed pustką, tam, o kuli
Żołnierz biedny dybie
I zagląda do ogródka
I przylgnął ku szybie...

Patrzy, patrzy... Ach, nie wyjdzie
Czarnobrewa z chatki,
Nie zaprosi na wieczerzę
Głos poczciwej matki!...
A on niegdyś był proszony,
Ręczniki już tkano
I jedwabiem chustkę ślubną
Pięknie wyszywano.
Roił prześnić wiek w miłości
Uczyć dziatki stąpać
A tu przyszło (biednyś ty mój!)
We łzach się wykąpać.
Siedzi żołnierz w zmrok przed [chatą
I śmierci pożąda —
A przez okno, nakształt baby
Sowa nań spogląda.

*(Leonard Sowiński).*

Przekłady z Szewczenki są dosyć liczne. Najpiękniejsze dał Leonard Sowiński, który ogłosił: »Taras Szewczenko, studyum z dołączeniem przekładu Hajdamaków« (Wilno, 1861), »Najemnica« ,Lwów, 1870, oraz w zbiorze »Poezyj« w tomie 2-gim); »Kobzarza« spolszczył Władysław Syrokomla (Wilno, 1863, oraz w zbiorze »Poezyj«). »Hamalej«, poemat, przełożył Alfred Chojecki (Kijów, 1861), »Przekłady pisarzy małorosyjskich A. J. Gorzałczyńskiego (Kijów, 1862).

## II. Platon Kostecki.

### Z poematu „LIRNIK".

#### 1. W Istambule.

W Istambule, w pustej wieży
Assauła[1]) siwobrody
Na ryżowej słomie leży;
Przy nim duma kozak młody.
— Tymofeju, co się pławi
Tam przez niebo jasne, sine?
— Assauło, klucz żórawi!
— A gdzie lecą? — W Ukrainę!
— Wojska snują się jak mrowie,
Szumią statki na Bosforze.
To jańczary i spahowie!
— A gdzie płyną? — W Czarne morze!
— Ptaki lecą w kraj nasz drogi,
A ty, chłopcze, więdniesz w jamie!
W Zaporoże płyną wrogi
A ja tutaj? Wzrok nasz kłamie!
— Wzrok nie kłamie. Próżne zhadki,[2])
Próżno zważasz na ryk fali...
Lecą ptaki, płyną statki,
A nurt wieży nie podwali.

#### 2. Żale lirnika.

. . . . Co bywało,
Już li w dumie żyje cało
I nie wskrześnie mi nanowo!
Dzisiaj pieśń — to duch bez ciała,
Marna jak bez łuku strzała,
Jak bez czynu marne słowo!
Oni wszyscy towarzysze
Weszli już do miru domów;
Dziś ja jeden czuję, słyszę,
Te ich skargi i przeklęcia,
Coby nakształt siuych gromów
Mrok rozbiły ten i ciszę.
A jam stary! Moje usta
Słabe jak u niemowlęcia;
Świat — widownia dla mnie pusta:
Ziemi dużo, niema ludzi!
Echa śpiew mój nie obudzi!
Zmarł świat stary, nastał nowy;
Po co jemu starej głowy,
Po co jemu starej pieśni,
Wydobytej z grobów pleśni!
W śpiew skowronka i słowika
Na co rzucać jęk puszczyka!
. . . . . .
Gdzież wy, gospodarstwo mili,
Mnie staremu pościelili?...

*(Przekład samego autora).*

## G) Poeci słoweńscy.

## I. Walenty Wodnik.

### Konie: niemiecki i słoweński (bajka).

— Co tak zwalniasz, bracie drogi? — Czy masz słabą głowę, nogi?
Szwabski koń naszego pyta. Czyś nie najadł się do syta?

[1]) Dowódca oddziału kozaków.
[2]) Wspomnienia.

Nie żałują mi obroku,
Mają w dobrej pieczy wszędzie;
Nogi same drżą do skoku,
Kark wyginam jak łabędzie.

Nasza szkapa na to powie:
— I ja miałbym krasę twoję,
Ale walą mnie po głowie,
Głodny ciągle w błocku stoję.

*(Bronisław Grabowski).*

## II. Franciszek Preszern.

### Rybak.

Po całych nocach przez morskie tonie
Żegluje rybak — wiosło wziął w dłonie —
A nad nim gwiazda złocista płonie.

W pomroce świeci wciąż migotliwa,
A z jej promyków miłość weń spływa
I serce plącze w złote ogniwa.

Choć wichry wyją, świszczą jak żmije,
Choć morski bałwan w słabą łódź bije
I nieraz oczom przepaść odkryje,

On patrzy w gwiazdę, zgubna toń minie
I młody rybak bezpiecznie płynie
Po niezmierzonej morza głębinie.

Raz się toń wodna pod nim rozdzieli,
Dziewice piękne wyjrzą z topieli,
Dziewice morza w przezroczej bieli.

Śmieją się, szydzą, pluszczą radośnie:
Rybaku wierny w żywota wiośnie,
Długoż tak myślisz patrzeć miłośnie?

Powiedz nam, czyli czekasz w tej toni,
Aż się ta gwiazda ku tobie skłoni,
Lub skrzydeł czekasz, by wzlecieć do niéj?

Innyby nie dbał o gwiazdę wcale,
Która nań z góry patrzy niedbale
I nie uciekał od nas przez fale,

A od złudzenia wolna powieka
Wnetby spostrzegła, jak niedaleka
Piękność, na którą twe serce czeka.

Wszystko, co mówią, to prawda szczera,
Nieznanych myśli głąb się otwiera,
Rozpacz mu wierne serce rozdziera.

Nie dba na wichry, skały dokoła
I już ku gwieździe nie wznosi czoła,
Na dół je zgięła myśl niewesoła.

I dziwny uczuł żal w sercu swojem,
Pędzi za dziewic zwodniczym rojem,
Może chce uciec przed wnętrznym bojem.

Zginie, utonie — serce drży we mnie,
Kto bez nadziei kocha daremnie,
Niech się nie puszcza za nim w te ciemnie.

*(Bronisław Grabowski).*

## III. Szymon Jenko.

### Dzieje słoweńskie.

Ostry ból mą duszą chwieje,
Kiedy wspomnę nasze dzieje,
Nikt ich nie zna, jak świat cały,
Nikt im nie da wieńca chwały.
Innych ludów sławne czyny
Marmur głosi i wawrzyny,
O nas tylko ani słowa
Pamięć wieków nie zachowa.
Kto wspomina dzisiaj sobie
Tych, co dawno legli w grobie?
Marny prawnuk przez grób kroczy,
Co niesławnych dziadów tłoczy.
Gdy godzina nam wybije,
Czarna ziemia nas pokryje;
Kto się będzie o nas pytał?
Nasze dzieje z chlubą czytał?
Ród za rodem żyją, giną,
Tak ojczyste dzieje płyną;
Nikt ich nie zna, jak świat cały,
Nikt im nie da wieńca chwały.

*(Bronisław Grabowski).*

## IV. Szymon Gregorczicz.

### Raj utracony.

Stracony został raj nasz cudny, święty!
Wygnana płacze dziatwa Adamowa,
Prosi i błaga u bramy zamkniętéj,
By litościwie otwarł ją Jehowa.
Ludzkości głupia, czemu znosisz mękę?
Do dzieła żwawo przyłóż swoją rękę!
Pierwotne czucie niechaj się ocuci,
A raj pierwotny znów do ciebie wróci.

*(Bronisław Grabowski).*

## V. A. Aszkerc.

### Trzej podróżni.

Młodzi podróżni trzej idą społem
Po równej drodze w polu wesołem.
Już wila Wiosna chodzi po świecie,
Kwiat różnobarwny błyszczy przy [kwiecie.
— Co za kraj! mówi jeden w zachwycie,
Czy drugi taki w świecie ujrzycie?
A drugi mówi: — Między wszystkiemi
Krajami tyś nam rajem na ziemi.
Lecz jeszcze droższy od ciebie, raju,
Ten naród, który mieszka w tym kraju.
A trzeci milczy — łzy z oczu płyną.
Ból czy też radość tych łez przyczyną?

*(Bronisław Grabowski).*

## H) Poeci serbscy.

## I. Branko Radiczewicz.

### Gdym był blizki śmierci.

Liście zżółkły, niebo deszczem płacze,
Zżółkły liść już opada w jesieni.
Ach, już nigdy w przyrodzie zieleni
Nie obaczę.
Głowę chylę, brak mi w ręku siły,
Bóle z oczu blaski już wypiły,
Lica barwą powlekły się ciemną
I kolana słabe drżą podemną.
Przyszedł czas mój, idę do mogiły.
Żegnaj, żegnaj, cudny śnie żywota,
Żegnaj, zorzo, dnia jasności złota,
Żegnaj, świecie, mój stracony raju,
Do innego teraz idę kraju.
Gdyby nie te uczucia gorące,
Tobym jeszcze patrzył w jasne słońce,
Słuchał gromów, słyszał burzy ryki,
Śpiewające po gajach słowiki,
Twoje szepty, świecie, twoje głosy —
Ale życie już mi biorą losy.
Pieśni moje, wy biedne sieroty,
Dzieci miłe młodzieńczej pustoty,
Tęczę zerwać moje serce chciało,
By was odziać w szatę okazałą,
By ozdobić w gwiazdy migocące,
A pozłotę-by mi dało słońce.
Gwiazdy błysły i błyszczeć przestały,
Słońce grzało, świeciło dzień cały,
Lecz i ono zaszło w świata końce.
Śmierć mi wszystko weźmie niełaskawie
Więc wam chyba łachmany zostawię.

*(Bronisław Grabowski).*

---

## II. Zmaj Jowan Jowanowicz.

### 1. Z „Róż zwiędłych".

Śmierci, śmierci, czarna śmierci,
Przyszłaś szczęście rwać człowiecze?
Nie rozrywaj, ach przez Boga,
Węzłów naszych! — A śmierć rzecze:
— Rozerwałam już nie jeden
Węzeł moją ręką srogą;
Wasze węzły są tak mocne,
Iż rozerwać się nie mogą.
Lecz im tylko — boć to można —
Inne imię dam z ochotą,
Wprzódy zwały się miłością,
Zwać się będą dziś tęsknotą.

### 2. Bildung (Satyra).

Potomkowie dwaj Duszana
Dziewiętnasty sławią wiek,
Młodzi są przy fortepianie —
Ona *nobel*, a on *keck*.
— *Zum Entzücken!* jeszcze, jeszcze!
Jeden *walzer, je vous prie!*
— Proszę słuchać, jak jest *göttlich*
Ten nowiutki *potpourri!*
Wykałaczką takt wybija
O łańcuszek, o *bijoux*,
(Łokciem-by to lepiej było,
Lecz cóż? łokcia niema tu).
I *zum Abschied* młodzian jednę
Odmiauczał *pastorelle* —
— Z pana *Künstler, Herr von X. X!*
— Dzięki, dzięki, *mademoiselle!*
Potomkowie dwaj Duszana
Dziewiętnasty sławią wiek,
Ducha czasu zrozumieli —
Ona *nobel*, a on *keck*.
By nie płakać, śmiać się muszę,
Gdy mi obraz taki wpadł,
A toż nasza jest ulica,
Toż to serbski Nowy Sad!

*(Bronisław Grabowski).*

---

## I) Poeci bulgarscy.

# I. Jan Wazow.

### Sosna.

Tam, gdzie się spiętrzyły spadziste gór stoki,
Z wąwozem trakijskim u twardych swych stóp,
Gdzie czerni się we mgle nasz Bałkan wysoki,
Wspaniały i groźny, a prosty jak słup;
Tam, gdzie się skaliste podnoszą filary,
Wśród ślicznych, zielonych, kwiecistych łąk, wzgórz,
Gdzie ciągle w powietrzu brzmią szmery i gwary
Wietrzyka, kaskady i ptaków i zbóż;
W tem ślicznem ustroniu, na łonie natury
Żółtemi ścianami z daleka się lśni
Monaster prastary, milczący, ponury,
Jak nieme wspomnienie minionych już dni.
Dokoła jest gwarno, lecz klasztor tak głuchy,
Jak gdyby ramiona objęły go snu,
I tylko niekiedy wietrzyka podmuchy
Szmer blizkiej kaskady przynoszą aż tu.
Nad tem chrześciańskiem siedliskiem spokoju,
Gdzie nizkiej cerkiewki rozpostarł się dach,
Wznosiła się sosna, chłodząca wśród znoju,
I ciemny wierzchołek nurzała we mgłach.
Jak cedry wysokie w libańskiej pustyni,
Lub orzeł, gdy śmiały rozwinie swój lot,
Tak ona nad groby i mury świątyni
Rozwiała szeroko gałęzi swych splot.
Zakonnik sędziwy z siwizną u czoła,
Tak dumną, wspaniałą pamiętał wciąż ją,
A nawet od przodków nie słyszał nikt zgoła,
Od kiedy w tem miejscu wznosiła skroń swą.
Taiła swą przeszłość, jak korzeń jej skryty
Nie mówił, gdzie w ziemi zasięgnął już dół,
Jak milczał wierzchołek, wpatrzony w błękity,
O wszystkiem, co widział, i słyszał, i czuł.
A może to drzewo stuletnie, milczące
Jest świadkiem minionej świetności tych ziem
I pomni doniosłych wypadków tysiące,
Na które wciąż w życiu patrzało tu swem...
I żyła ta sosna przez szereg lat długi
Z wichrami górskiemi bój tocząc o byt,
Ni w lecie upały, ni w zimie szarugi
Nie zdarły zieleni, zdobiącej jej szczyt.
W gałęziach jej gęstych, gościnnych i wonnych
Swe gniazda ptaszęcy zakładał wciąż rój,

Gdzie zdala od ziemskich trosk marnych i płonnych
Świegotał lub karmił skrzydlaty rój swój.
Każdego wieczora złociły jej czoło
Ostatnie promienie, niknące wśród gór,
A kiedy wschód słońca witała wesoło
Swym szmerem, to ptasi wtórował jej chór.
Lecz wówczas, gdy wszyscy na sosny wspaniałość
Patrzali z wyrazem szacunku i czci,
Jak gdyby chcąc dowieść wszech rzeczy niestałość,
Starego olbrzyma dosięgnął los zły.
Raz nagle gwałtowna zerwała się burza,
Gdy ziemię całunem okryła już noc,
I wicher od stoków bałkańskich podnóża
Wiejący, w niezwykłą uzbroił się moc.
W momencie tym, pełnym piękności i grozy,
Błyskawic snop w górze migotał jak wąż,
A echem ponurem jęczały wąwozy,
Wśród których huk gromów rozlegał się wciąż.
Gdy sosna, jak zawsze, odważnie i śmiało
Ze wściekłym orkanem toczyła dziś bój,
Z korzeniem wyrwane olbrzymie jej ciało
Runęło, druzgocąc zielony grzbiet swój.
Jak rycerz niezłomny, walczący z wrogami,
Co w sposób zdradziecki odemścić się chcą,
Znużony, wybladły, pokryty ranami,
Nad hańbę sromotną przekłada śmierć swą;
Więc walczy do końca, krwią znacząc swe ślady,
A wreszcie upada, podcięty jak kłos,
Ażeby nie przeżyć porażki lub zdrady,
Lecz śmiercią rycerską okupić swój los.
Tak sosna, uczuwszy, że koniec się zbliżał,
Nie chciała się złamać, lub ugiąć swój grzbiet,
Lecz aby zwycięstwem jej wróg nie poniżał,
Z godnością żywota przecięła nić wnet.
Już padła!... O jakże szlachetnie i smutnie
Wygląda pień stary, leżący jak trup,
Co wczoraj złym wichrom urągał okrutnie,
A dzisiaj dla siebie już znaleść miał grób.
Lecz jako zwycięzca bez dumy i złości
Na zwłoki swych wrogów, zbroczone ich krwią,
Spogląda oczyma pełnemi litości,
Zdradzając tem smutek, a nawet cześć swą;
Tak nagle huragan uciszył też gwary,
Gdy sosny istnieniu położył już kres,
I z niemym szacunkiem dla swojej ofiary
Ustąpił wnet miejsca dla westchnień i łez.

*(Tytus Sopodźko).*

## II. Slaw Kesiakow.

### Głos z grobu. (Z „Pieśni wojennych“).

Nie wstanę, matko, nie wstanę;
Żmija wpełzнęła mi w ranę,
Robactwo mózg mi wyżera,
Nie wstaje, kto raz umiera.
Ach, rano przyjdź, gdzie mogiła,
By kwiecie dłoń twa sadziła,
Wasilek sadź mi co żywo,
Grób polej winem, oliwą.
Spyta cię luba, druhowie,
Ty im odpowiedz w tem słowie:
— Jego już niema na świecie,
W młodości zginął on kwiecie.

*(Bronisław Grabowski).*

# XI. LITWA.

## I. Z pieśni ludowych (Dajnos).

### 1. Sierota.

Śród jeziora, śród zatoki
Tam, gdzie się bieli góra biała,
Gdzie nad górą stroma skała,
Zieleni się dąb wysoki.
Popłynąłem w tamte strony
I objąłem dąb ramiony.
„O, dębie! coś mię ocienił,
Gdybyś mi się w ojca zmienił!
„Oby gałęzie cieniące
Rękami dla mnie się stały!
Oby te liście szumiące
Słowa miłości wydały...
Alem próżno dębu prosił,
Łzą-m ja gorzką lica zrosił,
Bo dąb, który mię ocienił
W ojca mi się nie zamienił.
Gałęzie jego cieniące
Rękoma mi się nie stały,
Ni liście jego szumiące
Słowa miłości wydały....

### 2. Kruk.

Leciał tędy kruk czarny,
W dziobie białą niósł rękę,
A na ręku pierścionek.
A ja wołam do ptaka:
„O ty, czarny mój kruku,
Skąd to białą masz rękę,
Skąd ten złoty pierścionek?“.
— Byłem w polu wojennem,
Gdzie widziałem bój srogi,
Gdzie płot grodzą z pałaszów,
Groby kopią bagnetem,
A krew płynie strumieniem.
Wielu synów tam leży,
Wielu ojców tam płacze...
— „Biada! mój to pierścionek!
Już mój miły nie wróci!
Płyńcie teraz, łzy moje“.

### 3. Gody.

Księżyc się z słońcem ożenił;
Wtedy się pierwszy rok zazielenił.
Słońce bardzo rano wstało,
A księżyca coś wstrzymało.
Księżyc samotność polubił
I jutrzence miłość ślubił.
Za to też Perkun[1]) surowy
Na dwie go rozciął połowy.
Czemużeś słońce porzucił
I do jutrzenki się zwrócił?
Czemuś samotny się smucił?..

[1]) Perkun, bóg piorunów, najwyższy u pogańskich Litwinów.

## 4. Narzeczona.

Czemu wiatr wieje,
Czemu las szumi
Czemu lilia się chwieje?
Ani wiatr wieje,
Ani las szumi
Ani lilia się chwieje.
Siostra łzy leje
Dziewica młoda
Jej to wianeczek się chwieje.
Nie płacz, kochana.
Bo jutro z rana
Więcej jeszcze płakać będziesz.
Z wianka obrana,
W czepiec odziana,
Więcej jutro płakać będziesz:
Pośród mężatek zasiędziesz.

## 5. Pogoń.

Wiatry z wieczora łagodnie wieją,
Lilie zwolna się chwieją,
A tam od boru córkę kochaną
Wiozą przez ciemne dąbrowy.
Dalej, synowie, dalej, bratowie,
W pogoń za siostrą porwaną.
Tętnią w podkowy, siostrę dognali,
Dognali w zielonym lesie.
A pobrzęk stali, tętent podkowy
Echo wzbudzone precz niesie.
O, powróć z nami! niech się ukoi
Matka, co płacze cię w chatce.
O, bracia moi! Nie wrócę z wami,
Lecz wianek odeślę matce.
Siostro zwiedziona, o, czarnobrewa!
Gdzie twoje będzie posłanie?
Oto zielona lipa powiewa,
To nocne moje posłanie.
Listki zwiędnione, wiatrem strącone
Będą poduszką pod głowę.
Mnie się lipowe gałązki skłonią,
To matki ręce nie będą,
Jej kwiaty z wonią spadną na głowę.
To matki słowa nie będą.

## 6. Wianek.

Siałam ja rutę w ogródku,
Au kuku!
I wianeczek wiłam w smutku;
Kwitną jagódki...
Na moście powstała burza,
Au kuku!
I w wodzie wianek się nurza;
Kwitną jagódki.
Wtedy trzej bracia bieżeli,
Au kuku!
Czyście wianka nie widzieli?
Kwitną jagódki.
Jeden mówił: nie widziałem,
Au kuku!
Drugi mówił: nie zważałem.
Jagódki kwitną.
Dam jednemu pas jedwabny,
Au kuku!
Dam drugiemu wstążkę złotą,
Jagódki kwitną.
A trzeciemu to ja sama,
Au kuku!
Podam z palca pierścień złoty,
Jagódki kwitną!

*(Kaz. Brodziński).*

## 7. Wesele wilka.

Przyszedł meszka[1])
Z beczką alus[2])
Wilkowi
Niebożątce
Wyprawić wesele.
Jeż jest drużbą,
Lis tam swatem,
A zajączek
Niebożątko
Musi ciągnąć wóz.
Tchórz alus gotuje,
Wróbel miesza słód,
A kukawka
Niebożątko
Chmiel do niego znosi.

[1]) Niedźwiedź. — [2]) Piwo.

Byk drwa rąbie,
Pies myje garnki,
A maciuś
Niebożątko
Mięso w kupę zbiera.

Żóraw struny szczypał,
Niedźwiedź grał na trąbie,
A wilk
Z wesołości
Kozę w taniec prosił.

Jeżeliś dobrej woli,
Potańcuję z kumą
A będziesz się spierać,
To rozszarpię ciebie.

Będzie z twojej skóry
Kożuch dla pastuszka,
Który mnie się strzeże
Na łące,
Na polu.

*(J. I. Kraszewski).*

Prócz K. Brodzińskiego, który pierwszy u nas przekładał pieśni ludowe litewskie, mamy też ich sporo w tłómaczeniu J. I. Kraszewskiego w rozprawie p. n. »Dainos, pieśni litewskie« (Athenaeum, 1844, t. II, str. 137—201).

## II. Chrystyan Donalitius.

### Z poematu „Rok".

(Poemat składa się z 4 części, w których poeta opiewa pory roku i zatrudnienia rolnika, uciechy wiosny, lata, jesieni i zimy. Podajemy wyjątki z części I-szej. Słońce się podnosi i budzi całą przyrodę do nowego życia. Wychodzą na jaw owady, niższe zwierzęta, ptaki. Wraca bocian, słowik. Śpiew tegoż. Skromną swą szatą zawstydza niejednego człowieka. Orzeł się dopytuje, jak jego poddani zimę spędzili. Bocian odpowiada. Skromnemu życiu ptasząt przeciwstawia się hulanie wielkich panów. Jak to brzydko, kiedy się chłop nad swój stan wynosi. Dzieci na wsi. Dzieci chłopskie a pańskie. Nikt bez kłopotu na świecie być nie może. Tak już od Adama, który sam po grzechu swym wiele musiał znosić. Z wiosną zaczynają się prace. Leniwi ociągają się. Bydła, które pomaga uprawiać rolę, nie trzeba męczyć. Po zaoraniu wypada pamiętać o zasiewie, aby było coś na zapas. Kto w jesieni hula, ma głodną wiosnę. Prócz zboża trzeba siać i len, aby kobiety miały z czego wyrabiać płótno. Nie wszystkie zresztą pilne. Wiosna woła je do pracy w ogrodzie.

Już się słoneczko na nowo podniosło i świat przebudziło
I niweczy, z uśmiechem, co mroźna zima stworzyła;
Mrozów robota porówno z lodami znikać poczęła,
I pieniący się śnieg nareszcie się w niwecz obrócił,
Miłe i życiodajne wietrzyki łany muskają,
Z śmiertelnego uśpienia budzą ziółka przeróżne;
Knieje i wszystkie zarośla zbudzone znów się podnoszą,
Wzgórza i płaskie doliny zimowe składają kożuchy,
Wszystko, co w smutnej jesieni na śmierć się płacząc pokładło,
Wszystko, co się w jeziorze, pod lodem żyjąc, trzymało
Albo pod pniem swym przez zimę leżało uśpione,
Wszystko to gromadnie wychodzi, by wiosnę powitać.
Szczury zarówno z tchórzami rzucają zimowe swe nory,
Kruki a z niemi i wrony, jak niemniej sroki i sowy,
Myszki ze swemi młodemi i kret nawet ciepło wychwala.
Muchy i różne owady, komary i pcheł całe chmary,
Już nas męczą i trapią hurmami wszędzie zebrane,
Równie na panów, jak chłopów, by kąsać, chciwie wpadając.
Ale i pszczół królowa czeladkę już swoją zbudziła,
Wszystkich do pracy wysyła i o zarobku pamięta.

Ot, te gromady ze szpar przeróżnych sobie wychodzą,
A frugając dokoła i brzęcząc, wesoło igrają.
Również pająki po kątach pracują nad swoją tkaniną,
Sieć ku łowom splatają, cichutko pnąc się do góry.
Lecz i niedźwiedź i wilki ot poskakują radośnie
I, by coś sobie ułowić, cichaczem w podlesie się czają.
Ale jakże to dziwnie, wszak żadne z wielkiej czeredy,
Płacząc ni wyrzekając, do nas nie przyszło.
Nie, nie z płaczem, lecz owszem, z radością się wszyscy zebrali,
Ziemi bowiem mozoły już pokończyły się wszędzie
I po wszystkich łanach wiosna na nowo zabłysła.
Bocian porówno z innemi sąsiady nadleciał wesoło
I na dachu, niby gospodarz, zaczął klekotać.
Kiedy on tak się raduje, patrz — oto już jego gosposia,
Ze zimowej wróciwszy gospody, przy nim się znalazła
I klekocąc, czule miłego wita małżonka.
Ale stary swój dach zastają bardzo podarty,
Niemniej dom nowy, w zaprzeszłym roku zbudowan,
Ze wszech stron nad miarę poszarpanym znaleźli.
Szczyt i ściany, i bardzo wiele z żerdzi nowiutkich
Wiatry swemi skrzydłami precz z dachu były uniosły,
Drzwi i okna i progi do reszty powypadały,
Zgoła całą budowę zastali w stanie najgorszym.
Więc tedy oba, jak gospodarzom dobrym przystoi,
By sporządzić i wszystko naprawić, zabrali się żwawo.
Mąż na budowę coprędzej gałązki znosi naręczą,
A gosposia szkody starannie wszystkie naprawia.
Potem wespół oboje, po wielkiej pracy i znoju,
By sobie strawy poszukać, nad stawek szybko zlatują,
I po kilka żab i ropuszek sobie złowiwszy,
Bogu z serca całego pokorne dzięki składają.
Ty człowiecze nic warty, stąd naucz się przestać na swojem,
A nasyciwszy się smacznie, o Bogu swym nie zapomnij!
Wszystkie zarośla i krzewy brzmią pieśni różnych odgłosem,
Również pola i łąki gwar głosów ptasich napełnia.
Już kukułki i drozdy ochoczo wespół śpiewają,
Swemu Stwórcy na chwałę radosne hymny zawodząc;
Jaskółeczki lekkiemi do góry się wznoszą skrzydełki
I swawoląc, nibyto kule nad ziemią migają;
Potem proste swe strawy bez wszelkich przypraw zjadają
I nasyciwszy ciało, bajki sobie szczebiocą.
Żóraw aż pod niebo błękitne dziwnie się wznosi
I niby płacząc i jęcząc, krzykami powietrze napełnia.
. . . . . .
Kiedy tak sobie ptaszki gaworzą, dziw się wydarza;
Niby tonącego głos przeraźliwie się ozwał
I na gwałt „ratujcie, ratujcie“ dało się słyszeć.
Na ten krzyk się ptaszęta tak wszystkie wylękły,

Że nawet orzeł sam poruszyć się z miejsca nie ważył.
Jeden tylko nietoperz porówno z szarą się sową
Z obrzydliwych swych kątów pomału wyleść ośmielił.
Oba pytają skwapliwie, cóż tak strasznego się stało?
Otóż pan jakiś pysznie ubrany — aż wstyd o tem mówić —
Pomyśl tylko, jeden z najwyższych panów się objadł
I do tego winem się cudzem tęgo spoiwszy,
Teraz po posadzce się wala i klnie co nie miara.
On to djabłów i czartowską całą rodzinę,
Bluźniąc Bogu, w tak straszny sposób wołał do siebie,
Że się całe piekło od tego wrzasku przelękło
I swe bezdenności i straszne otchłanie otwarło.
Wiemy-ć my wszyscy, jak to panowie kląć tam umieją.
Aleć, niestety, i chłop niejeden się tego nauczył.
„Cóż-to się tobie stało, biedaku“ — nietoperz się pyta,
I litując się nad tym panem, odważył się spytać:
„Czyś może zapadł na kolki, zbyt wiele zjadłszy kawioru,
„Albo może pieczenie z żołądka ci chcą się wydobyć?
„Boć i twej ciotki mąż przed dwoma się laty tak objadł
„Razem z twymi współbraćmi, że wielkie stąd mieli cierpienia,
„Aż się wreszcie rozpękli i straszną śmiercią pomarli“.
Otóż nasz grubo-brzuchy gdy taką nowinę usłyszał,
Jeszcze bardziej się nadął i kląć chyba straszniej rozpoczął,
Przytem włosy garściami z czupryny sobie wydzierał,
Potem brody sobie połowę dobrą wyszarpał
I krzywemi paznogćmi twarz sobie strasznie podrapał.
Ale tego nie dosyć, on wszystkie zgarnąwszy pieniądze,
Kopiąc wkoło nogami, stół z potrawami wywrócił,
Tak że się psy ze wszystkich kątów zbiegać zaczęły
I potrawy pańskie, co tylko znalazły, pożarły.
Lecz tego jeszcze nie dosyć, ów pan, nóż wielki porwawszy,
Gardło sobie nawskroś swą własną ręką poderżnął.
Tu się nietoperza serce tak strasznie przelękło,
Że już nawet skrzydeł skórzanych podnieść nie zdołał.
Ale i sówsko ladaco aż na śmierć nieledwie się zlękło
I do swej kryjówki coprędzej napowrót czmychnęło.

. . . . . .

Wam zaś cześć, kiedy kołowrotek kręcąc pośpiesznie,
Naprzód pakuły, a potem nić ciągniecie z kądzieli.
Cześć wam, kiedy krosna do wiosny samej nie spoczną
I czółenko razem z igiełką tańcząc, chroboce.
Cześć wam, kiedy już tkaniny wasze skończone,
Na kwiecistych łąkach jak śnieg wiosenny się świecą.
Ale się nie leńcie i nadal żwawo się krzątać;
Ot, w ogrodzie już czekają was nowe roboty —
Więc na stronę te kołowrotka odłóżcie mozoły,
Także krosna na dalszą potrzebę w kącie ustawcie,
Za to teraz bierzcie do ręki łopaty i rydle.

Ot, jak krety, tu i tam porywszy wam ziemię,
Przypominają, że czas warzywo siać, śpieszyć na ogród.
Już to trzeba dać brzuchowi, co tylko on żąda;
Jemu nie dość, kiedy go tylko z wierzchu wystroisz,
On i wewnątrz chce codzień się dobrze napełnić,
Stąd to puste brzuszki wam bardzo kłaniają się nizko,
Kiedy Wasza Miłość nie śpieszy się, by je napełnić,
Lub też suknie, czy tam koszulę i spodnie im sprawić.
Więcej one waszą łaskę będą wychwalać,
Kiedy w nowym stroju do stołu z wami zasiędą
I słoninę, kiełbasy i inne tam znajdą przysmaczki.
A więc tedy siejcie ze zboża, co tylko możecie,
Siejcie pełną garścią kapustę, również i marchew,
Rzepę z pasternakiem, a niemniej ćwikłę i brukiew,
Także jarmuż, a szczególnie smaczne ziemniaki.
Siejcie, pograbiajcie i pamiętajcie doglądać!
Kiedy się tak sprawicie, wesoło wiosna wam zejdzie
I do nowych prac niedługo was lato powoła.

*(Juliusz Ossowski).*

# XII. GRECYA NOWOŻYTNA.

## I. Atanazy Christopulos.

### 1. Wyrocznia.

Wiodąc z sobą spór zajadły,
Trzy piękności mię opadły
I na honor jęły prosić,
Która piękna, by ogłosić.

I przysięgą każda ręczy,
Że całusem się wywdzięczy
Ta, co wyżej ją postawię
I urodę jej wysławię.

Rzekłem: „Wdzięczne kotki moje,
Nie w kłopocie ja tu stoję,
Pocóż swary i łajanie,
Gdyście piękne — niezrównanie!“

Więc nastała teraz zgoda,
Chętnie usta każda poda,
Bo nie było swarów, sprzeczek,
A jam miód pił z trzech usteczek.

*(O. B.).*

### 2. Tęsknota.

O gdybym był zwierciadłem,
Wzięłabyś mnie do ręki,
A jabym zawsze widział
I ciebie i twe wdzięki.

O gdybym był grzebykiem,
Łagodnie lube, gęste,
Dzieliłbym włosy twoje
I rozczesywał często.

O gdybym był wietrzykiem
I wszędzie wolnie gonił,
Siadałbym na twe łono,
Bym świeżość na nie ronił.

O gdybym snem był wreszcie,
Co wieczór-by sen złoty
Zamykał słodkie twoje
Oczęta śród ciemnoty.

*(Józef Borkowski).*

## II. Delvigniotti.

### 1. Matka i dziecię.

*Matka.* Zerwała się, z oczu sen spycha:
Słoneczko ty moje żywota...
Czy ból ją dojmuje, tęsknota?
Czy żałość? że wzdycha a wzdycha!
*Dziecko.* O! mamo! nad moją kołyską,
Trójkręgiem biegł aniol dokoła,
I płynął, i spłynął tu blizko...
Ach! mamo, nie widzisz anioła?
Nie widzisz? — On w białej prawicy
Wianuszek różany zaplata;
Od kwiatu wianuszka w świetlicy,
Od róży mu biała lśni szata;
Po mroku, jak z ziół kadzielnicy,
Nasiąkła wonnością komnata.
*Matka.* Przez Boga żywego, ty dziecię,
Ty marzysz, zorzyczko w mym świecie!
*Dziecko.* I w oczach uśmiechu światełko,
Twojemu podobne, zagrało;
I szczero-złociste skrzydełko
Światłością łysnęło się całą.
I mówił: „nie truchlej mi, córo;
Wstań z łoża, tknij mego ramienia;
My górą wzbijemy się, górą,
Na gody wiecznego zbawienia“.
*Matka.* Marzyło... o wielki mój Boże!
A czem ja to dziecię ukoję?
Nie zaśnie, nie wraca na łoże;
Prześliczne, prześliczne ty moje!
Wciąż marzy... o! mgławo a srogo,
Wciąż patrzy do gwiazd nieprzytomnie...
Tu do mnie, zorzyczko, tu do mnie;
W świetlicy nie widać nikogo.
*Dziecko.* Oj mamo! rozejrzyj się przecie,
Jak lotnie, powiewnie, na moje
Kędziorki, na skronie oboje
Z wianuszka kwiat pruszy po kwiecie.
A ciszej, mateczko! niech stanie

Otucha i pokój nad głową!...
Nie boli ni ból ni znękanie,
I raźnie dzieweczce i zdrowo.

* * *

Spokojnie przylegla dzieweczka
I patrzy się w niebo, w świt biały;
Uśmiechem lśnią jeszcze usteczka,
Jak gdyby przemówić co chciały,
A milczą... I wstrząsnął świetlicą
Krzyk matki, łzy krwawe i lkanie...
Nie, nie, ty, nieszczęsna rodzico!
Już nasza dzieweczka nie wstanie.

*(Feliks Jezierski).*

---

## III. Aleksander Rhizos Rhangawis (Rangabé).

### Wędrownica.

— Złotowłosa, z białemi ramiony,
Gdzież to śpieszysz sama przez pustynie?
Już jest północ, a o tej godzinie
Duchy w różne przebiegają strony,
Wieszczki skaczą po łące zielonéj,
A nerejdy tańczą w gór wyżynie.
— Jeśli tańczą nerejdy w tej porze,
Niechaj tańczą, nie za niemi gonię!
Wy, przechodnie, widzieliście może
Gdzie kochanka mojego w tej stronie?
— A gdybyśmy spotkali gdzie drogą,
Powiedz, po czem poznać go, niebogo?

Dziewczę opisuje powierzchowność miłego i dodaje, że przed trzema laty pożegnał ją, żeby z orężem w ręku mścić krzywd współbraci, a przy rozstaniu pocieszał ją:

„Nie płacz, dziecię, nachyl ku mnie czoła,
Jeszcze uścisk, bądź zdrowa, wesoła,
Ja ci będę aż do zgonu stałym.
Trzykroć spadnie śnieg całunem białym
I trzykrotnie roztopi go wiosna,
Wtedy głos mój usłyszysz, radosna,
Wtedy wrócę!“ — I powiódł szeregi.
Już trzy lata spadły białe śniegi
I trzykrotnie stopniały od słońca,
Przepłakałam trzy lata bez końca,
Nie powrócił... Przebiegłam dokoła
Łąki, góry, pustynie i sioła...
Podróżnicy! ze łzą mnie słuchacie,

Czyliż dla mnie nadziei nie macie?
Podróżnicy swobodni, weseli,
Opowiedzcie, gdzieście go widzieli?
Gdy na uczcie — dzielić ją pobiegnę,
Gdy w mogile — obok niego legnę!

Podróżni dają dziewczęciu wskazówki, gdzie go znaleść może.

Idzie dziewczę w ślad wskazanej drogi,
Nad przepaścią przebiega bez trwogi,
Zręcznie skały przeskakuje duże,
Aż stanęła na wyniosłej górze.
Widzi, leśne zwierzęta jak biegą,
Lecz kochanka nie widzi swojego.
Wzrok jej płonie, serce się rozpada,
Więc znużona na murawie siada,
Tęsknie śpiewa, płacząc w smutnej ciszy;
Wtem z pod ziemi takie słowa słyszy:
— „Kto śmie mieszać sen, jakim zasnąłem?
Kto śmie deptać mego grobu trawę?
Czyżem splamił palikarów[1]) sławę?
Wszak trzydziestu Turkom głowy ściąłem,
Wszak czterdziestu do niewoli wziąłem....
Szablę moją laur sławy oplata,
A jednakże nie cieszy mnie ona,
Bom nieszczęsny nie spytał Charona,
Gdym przyrzekał wrócić za trzy lata;
Nim raz trzeci zima świat uśpiła,
Kula wroga moją pierś przeszyła.
Grób mój zimny, zimne moje ciało,
Tylko serce gore, jak gorzało".
— O mój luby! twoje kroki słyszę,
Głos poznaję... Czemuś mnie porzucił?
O! przyjdź do mnie, kiedyś mi powrócił
I niech wiecznie tobie towarzyszę".
— „O, dziewczyno! chata moja czarna,
O, dziewczyno! wązkie moje łoże,
Promień słońca tutaj dojść nie może,
Nie doleci kropla rosy marna".
— Co mi z tego, że czarna twa chata?
Wązkie łoże? pójdę z tobą wszędzie...
Pójdę z tobą, choćby na kraj świata:
Głąb przepaści rajem dla mnie będzie".
Dziewczę widzi cień ukochanego,
Cień okryty potem, krwią, kurzawą,
Jak w dniu walki śmiertelnej dla niego...
Psy szczekają, ptaki kwilą łzawo,

[1]) Powstańców greckich.

Wichr pomiata cyprysy wzniosłemi,
Burza drzewa wyrywa z korzenia,
Wyciem głuszy jęki i westchnienia,
Śpiewa straszny psalm śmiertelnym ziemi:
Z chmur w ślad gromów gromy nowe lecą,
Błyskawice dla dwóch trupów świecą.

*(Wł. Sabowski).*

# XIII. WĘGRY.

## I. Aleksander (Szandor) Kisfaludy.

### Z cyklu „Pieśni Helfyego".

a) Nieszczęśliwa miłość.

Jako jeleń chyży, rączy,
Ugodzony z strzelca ręki,
Chce uciekać — rana sączy,
I nie widzi końca męki;
Tak ja przed nią uciec chciałem,
Gdy mnie ócz swych rani strzałą,
Lecz już czarów jej doznałem,
Już ból szarpał pierś mą całą.
Chęć ucieczki była szczera,
Lecz żar pali, jad się wżera.
Biadaż tobie, serce chore,
Nie uniknąć mąk ci w porę!
Barwny ptaku! Zazdrość bierze,
Jak twój cudny śpiew zachwyca.
Bezrozumny! Nucisz szczerze
I wtóruje ci samica.
W moich żyłach krew kotłuje,
Gdy Amora moc opiewam,
Lecz tych pieśni nie odczuje
Nikt, choć myśl prócz czucia wlewam!
W twym się śpiewie rozkosz mieści,
Gdy ja tylko znam boleści.
Chętnie dam ci, ptaku mały,
Za twe szczęście rozum cały!
Sarna pędzi przelękniona,
Gdy ją ruszą złe ogary,
I trwożliwie sunie ona,
Gdzie parowy i gdzie jary.
Przed Amorem skryć się silę,
Lecz on dziki, ach! i srogi,
Nie chce puścić mnie na chwilę,
Wszystkie mi zabiega drogi!
Czyż ofiary swej nie zmienia!
On jak ryś jest, bez wytchnienia
Gryzie zdobycz nieszczęśliwą,
Gdy ją puści — to nieżywą!

b) Szczęśliwa miłość.

W inne barwy świat się zmienia,
Inny pieśni moich wtór,
Inne losu są zrządzenia,
Gdyż me niebo jest bez chmur;
Inne życie dziś się snuje,
Obcy dla mnie trosk jest zgrzyt,
Siły bogów w sobie czuję,
Cenię teraz ziemski byt!
Nowy wokół świat rozsłany,
Ach! bo kocham ja kochany
I czas inne ma godziny,
Gdym już posiadł skarb jedyny.
Wszystko teraz ku niej dąży,
Co myśl moją wprawia w ruch,
I krew w żyłach żwawiej krąży,
Ku niej wznosi się mój duch.
Myślę, jak i ona myśli,
Z czem jej dobrze, dobrze mnie,

Czy los szczęście nam zakréśli,
Czy nieszczęście na nas śle.
Więc czy radość pierś rozpiera,
Czy boleści czara wzbiera,
Wśród wywczasu i wśród znoju,
Czerpię w sercu jej, jak w zdroju.
Ona nad tem, ach! się biedzi,
By wykonać, co ja chcę,
W oczy patrzy, wzrok mój śledzi,
Jak życzenia spełnić me.
Ach! kto dobrą posiadł żonę,
Tego szczęsnym będę zwał,
Wszelkie łaski mu sądzone,
W blasku słońca barwy brał.
Jakież słodkie jej spojrzenia!
Już się życie w raj zamienia,
I gdzie ból był, rozkosz wróci,
Kędy ona okiem rzuci.

*(M. D.)*.

## II. Daniel Berzsenyi.

### Melancholia.

W ciemnych lasów najdzikszych gęstwinach,
Melancholio, lubisz ty przebywać;
Lubisz śnić na pustych miast ruinach,
Smętnym wiatrom echem się odzywać.
Szczyt granitu, w mgieł ujęty chmury,
I dolina dzika są ci miłe:
Blady księżyc i gotyckie mury
Czarodziejską mają dla cię siłę.
Na mogiłach, mchem okrytych, siadasz,
Tam swą arfę podnosisz w milczeniu;
I spoglądasz w przeszłość — i upadasz,
Rozmodlona w elegijnem pieniu.
Tylko płochość, ziemią upojona,
Blade róże rwie rzeczywistości;
Lecz ty zawsze żyjesz pogrążona
W cudnych snach przeszłości i przyszłości.
Tyś mi dotąd była duszą brata,
Kierowałaś młodzieńczemi loty;
Gdym uciekał od płochości świata
Pod twe ciche, cieniste namioty.
Młodzieńcowi melodyą żałoby
Tyś natchnęła serca wszystkie tętna;
Ach, starcowi zlej na uczuć groby
Ciche światło twe, potęgo smętna! —

*(A. Lange)*.

## III. Józef Eötvös.

### 1. Sierota.

Północ bije na wieży.
Któż to chyłkiem tak bieży
W pomrok głuchy i czarny
Po murawie cmentarnéj?
To sierotka, to dziecię;
Źle samemu na świecie,
Więc podąża, co siły,
Do matczynej mogiły.

Siadł na grobie i płacze:
— „Niech cię jeszcze zobaczę,
Powstań, matko jedyna,
Wyrzecz słówko do syna!
„Odkąd wzięli cię z domu,
Ni pożalić się komu;
Kto sierotę popieści?
Kto ukoi w boleści?
„I kto powie mu słodko:
— Ja cię kocham, sierotko! —
Z wygasłego ogniska
Ni płomyczek nie błyska!
Lepiej spocząćby w grobie
Pod krzyżykiem przy tobie,
W chatce pustka i bieda,
Kęsa chleba nikt nie da!“ —
Długo sili się, długo,
Łzy pociekły mu strugą;
Ciche skargi wiatr niesie
Po rozłogach, po lesie —
Dziecku zimno, drży cały,
W szron mu łezki stężały;
Skargi coraz brzmią ciszéj, —
Wiatr je ledwo dosłyszy.
I zamilknął grobowo,
Lodem zmarzło mu słowo;
Ledwie iskra tli w duszy,
A śnieg pruszy i pruszy.
Radby powstał.... nie może,
Brak mu siły... mój Boże!
Nadaremno trze oczy,
Na grób cicho się stoczy.
Jak mu dobrze, jak słodko!
Spocznij, biedny sierotko!
Grób go tuli do łona,
Jakby matka rodzona.
Nawskroś zbiegły go dreszcze,
I uśmiechnął się jeszcze
I zamrużył powieki:
Zasnął cicho... na wieki!

*(S. Duchińska).*

## 2. Spoczynek.

Do stóp krzyża pielgrzym stary
Zwolna dowlókł krok,
Siadł, spokojnie na obszary
Zgasły rzucił wzrok.

Jak on szermierz walk świadomy,
Gdy zakończy bój,
Na wierzchołku baszty stroméj
Zatknie sztandar swój;

Tak na bladem starca czole
Jego Aniół Stróż
Za przetrwane życia bole
Zatknął sztandar już.

On w tej chacie, upowitéj
W olch cienisty mrok,
Piołunowej czary syty,
Wlókł za rokiem rok.

Oko starca patrzy śmiało
Przez tumany chmur;
Widzi przeszłość skamieniałą,
Jak warowny mur.

— „Dzięki — rzecze — Tobie, Boże,
Dziś mi w sercu lżej,
Już boleści ostre noże
Nie tkną piersi mej.

Wszyscy moi ukochani
Poszli w cichy grób,
Mego serca już nie zrani
Pocisk nowych prób!

Jak bezlistny dąb, bez trwogi
Patrzę w odmęt burz;
Zwiał mi liście wiatr złowrogi,
Cóż mi weźmie już?“ —

Patrzy w głębie własnej duszy
W przedgrobowym śnie,
Ani radość jej nie wzruszy,
Ani boleść tknie.

Milczy starzec sam na świecie,
Jak na grobie słup;
Wtem przybieży drobne dziecię
Do pielgrzyma stóp.

Pacholęcia lice hoże,
Słodko głosik brzmi:
— „Dziadku — rzecze — w Imię Boże
Pobłogosław mi!

„Krzyżyk szczęście mi przyniesie,
Nim zapadnie noc;
Niech dla matki zbiorę w lesie
Słodkich jagód moc.

„Ja, pielgrzymie, tobie za to
Tę róż wiązkę dam,
W mym ogródku ją przez lato
Podlewałem sam!“

Na bieluchnem dziecka czole
Kładzie starzec dłoń;
I odbiegło w lot pachołę
Przez kwiecistą błoń.

Siedzi pielgrzym oniemiały,
Patrzy w wiązkę róż;
W jego piersi zaszumiały
Skrzydła znikłych burz.

W myśli błysły jasne chwile,
Rozbudzone znów;
Marzeń tyle, bólów tyle,
Tyle słodkich snów!

Mimo śniegów tych nad głową,
Mimo czoła brózd,
Słyszy jakieś drżące słowo
Z koralowych ust.

Zcicha oczy wzniół ku górze,
W pomoc niebo zwie;
I upadły, drżąc, na róże
Krople rosy dwie.

*(S. Duchińska).*

---

## IV. Aleksander (Szandor) Petöfi.

### 1. Poeta i wino.

Nie chcę, by mi w podarek
Dano wieniec laurowy,
Inny dar od madjarek
Przyjąć jestem gotowy.
Gdy chcą, głowę niech moją
W liście winne przystroją...
Bo liść winny, syn pieśni —
Są w swej doli rówieśni.
Los tak samo uczynny
Wieszcza i krzew obdarza,
Wina duszą — płyn winny,
Pieśń jest duszą pieśniarza.
Gdy się dusza rozpłynie
Czy to w pieśni, czy w winie,
Krzew i pieśniarz umiera,
A świat sobie zabiera
Ich spuściznę jedyną:
Wdzięczną piosnkę i wino.

*(W. S.).*

### 2. Obdarci rycerze.

I jabym umiał wiersze moje
Przystroić blaskiem świetnych szat,
Na pańskie posłać je pokoje
W wir towarzystwa, w wielki świat.

Lecz nie skrępuję ich zapału,
O strój wytworny pragnąc dbać,
Rąk marmurowych ideału
Nie myślę w rękawiczki pchać.

Nie grzmią dziś działa, dźwięki mieczy
Ucichły, w kątach żre je rdza,
Ale trwa wieczny bój człowieczy,
Idei walka wieczna trwa.

Z orszakiem licznym, zbrojnym szykiem
I ja w ten wielki ruszam bój
I walczę pieśnią.... Zapaśnikiem —
Rycerzem jest wiersz każdy mój.

Chociaż obdarci to szermierze,
Lecz mężnie walczyć idą w świat,
Bo tylko dzielność czci rycerze,
A nie wytworność barw i szat.

Więc ślę je w bój — a myśl nie bada,
Czy po mym zgonie będą trwać,
Wróg, czy duch czasu śmierć im zada,
Snem wiecznym błogo będą spać.

*(W. S.).*

### 3. Pieśń junaka węgierskiego.

Mój duch śni wciąż o krwawych dniach,
Gdy stary świat zapadnie w zgliszcza,
A na tych gruzach nowy gmach
I nowych staną dni bożyszcza.

Niech zabrzmią już, niech zabrzmią już
Bojowych trąb rozgłośne tony:
Wojennych burz, wojennych burz
Pożąda duch mój, krwi spragniony.

Z radością skoczyłbym na grzbiet,
Na grzbiet bystrego mego konia —
W szeregu mężnych byłbym szedł,
Jak wicher przez skrwawione błonia.

Gdyby w pierś moją trafił strzał,
Znajdzie się ktoś, co ją otuli,
Znajdzie się ktoś, co będzie miał
Całunków balsam przeciw kuli.

W kajdany wraże gdybym wpadł,
Odwiedzi ktoś mej celi ciemnie,
Ponurych snów mych czarny świat
Rozproszy jego wzrok tajemnie.

A gdybym zmarł, a gdybym zmarł
Pod mieczem kata, czy śród bitwy,
Znajdzie się ktoś, co wnetby starł
Krew z bladych zwłok mych łzą modlitwy

*(A. Lange).*

## 4. Wiosna 1849.

Młoda wiosno, starej zimy dziecię,
Dziecię, świetne wróżące nadzieje,
Gdzież więc jesteś?... Dlaczego po [świecie
Płaszcz królewski twój nie promie- [nieje?
Przyjdź, o wiosno! — Twoi przyjaciele,
Już cię dawno zwiem na łany nasze,
Niech twój uśmiech promienny roz- [ściele
Na gałęziach liściaste szałasze.
Córka twoja, jutrzenka, ze łzami
Oczekując ciebie, z bólu pada...
Matko! przyjdź ją leczyć uściskami,
Spojrzyj na nią, jak wątła i blada.

Przyjdź, błogosław nasze stepy, [wiosno,
Szare nasze błogosław niebiosa,
Ulecz zorzę... niechaj łzą radosną
Zwilży ziemię naszą złotowłosa.
Wróć przestworzom wesołe ptaszęta,
Co pieśniarzom podszeptują pienia
I swym śpiewem uczą niemowlęta
Najświętszego wolności imienia.
Lecz nad wszystko, co przyniesiesz [w darze,
Przynieś kwiatów, wiosno, kwiatów [wiele,
Niech dłoń twoja szczodra po obszarze
Ziemi naszej mnóstwo ich rozściele.

*(W. S.).*

## 5. Na Dunaju.

O rzeko, jakże często twe spokojne lica
Rozdziera dno okrętu, wichrów nawałnica!
I żłobi takie długie i głębokie rany,
Jak nigdy w sercu ludzkiem losów huragany.
A przecież kiedy burza albo okręt minie,
Wnet rana się zabliźnia na wód twych głębinie.
O, czemuż, gdy twe serce zrani ból, człowieku,
Na rany zagojenie nie posiadasz leku?

*(Erazm Krzyszkowski).*

## 6. W nocy.

Przy oknie stoję, patrząc w dal,
Jak księżyc śle w przestrzenie
Czarowych swych promieni blask
I rzuca ciche cienie.

Cóż, biedny głupcze, patrzysz tu
Miłośnie tak z pod chmury?
Czy myślisz, że, by ujrzeć cię,
Spoglądam wciąż do góry?

W mej głowie ani było dziś
Bladawe twe oblicze —
A idźże z panem Bogiem precz!
Szczęśliwej drogi życzę.

Tam naprzeciwko w domku tym
Dziewczątko mieszka hoże,
Jam gotów czekać całą noc,
Aż je zobaczę może.

*(Erazm Krzyszkowski).*

## 7. Rzemiosło ojca i moje.

Pragnąłeś, dobry ojcze,
I byłeś zawsze za tem,
Bym, jak ty, był rzeźnikiem....
Syn został literatem.

Ty pałką biłeś woły,
Ja piórem gromię ludzi,
To zresztą wszystko jedno,
Bo nazwa tylko łudzi.

*(Erazm Krzyszkowski).*

## 8. Janosz Witeź.

Młody juhas Janosz kocha gorąco piękną sierotkę Iluszkę, prześladowaną od złej macochy; zajęty pocieszaniem niebogi, nie spostrzega, jak połowa stada, powierzonego jego pieczy, gdzieś się zapodziewa. Unikając gniewu gazdy, żegna się z Iluszką i rusza naoślep w świat szukać chleba i szczęścia. W pierwszej chwili uniesienia przystaje do rozbójników, którzy obiecują mu bogactwa; opamiętawszy się jednak, zabija pijanych opryszków, pogardza ich złotem, z krzywdą ludzką zdobytem, i zaciąga się do pułku huzarów węgierskich, którzy udają się w dalekie kraje w góry i morza, żeby nieść pomoc królowi Franków w walce z bisurmanami. Dzielny hufiec pośpiesza dalej.

Z Włoch snadno do Polski przybyli szerokiéj,
A z Polski w kraj Indów, nad Ganges głęboki;
Do Franków krainy kęs drogi już mały,
Lecz pochód skaliste wstrzymują zawały.

Gdzie pomkniesz tam okiem, wciąż wzgórza i wzgórza
Szeregiem się piętrzą, jak groźne przedmurza;
Im bliżej od granic, tem wyżej w obłoki
W chmur kłęby spowite sięgają opoki.

Strudzone Madjary, skwar srodze ich nuży;
Zrzucili dołmany: nie wytrwać im dłużéj.
Tuż słonko nad niemi, kto przed niem uciecze?
Godzina mu drogi, więc piecze a piecze.

Jedyną im strawą powietrze z pod nieba,
Tak ciężkie i twarde, że stanie miast chleba;
W słonecznym upale spragnieni ochłody
W garść chmurę ściskają: trysnęły z niej wody.

Do góry olbrzymiej dotarli już szczytu,
W noc tylko iść mogą od zmierzchu do świtu;
Wciąż nowe im stają zapory wśród jazdy,
Bieguny w pochodzie trącają o gwiazdy.

Wśród gwiazd tych promiennych, gdy jadą w noc ciemną,
Tak Janosz w swej myśli rozmawia tajemno:
„Gdy gwiazda od nieba oderwie się złota,
Wszak kres się zakończy ludzkiego żywota.

Bezbożna macocho! toż szczęście dla ciebie,
Że nie wiem, gdzie czyja tkwi gwiazda na niebie;

Twą gwiazdę, oj, wiedźmo, ja strąciłbym śmiało,
Byś dręczyć przestała gołąbkę mą białą".
Już snadniej im z góry zestąpić wysokiéj,
Tu trawa zielona, tu huczą potoki;
Powietrze tu lżejsze, skwar słońca mniej pali:
Wtem cudny kraj Franków zobaczą w oddali...

Pomoc okazuje się skuteczna: Turcy zostają porażeni, a Janosz kładzie trupem baszę i odbiera mu porwaną córkę króla Franków. Wdzięczny ojciec chce mu oddać tron wraz z ręką królewny; ale Janosz kocha swoją Iluszkę i nie sprzeniewierzy się jej dla korony i królewny. Obsypany hojnemi dary, podąża witeź do ukochanej. Tymczasem, gdy płynie morzem, burza zatapia łódź jego, a on sam, bez skarbów, cudem prawie unika śmierci. Przybywa wreszcie do wioski rodzinnej i dowiaduje się, że Iluszka umarła. Zrozpaczony, rusza znowu w świat szeroki i po różnych przygodach dostaje się do kraju olbrzymów.

Wysokoż tu dębów wybiegły konary,
Nie zgonić ich okiem przez kłęby mgły szaréj;
A z liścia, co głucho nad głową szeleści,
Wykroisz siermięgę i kaftan niewieści.
Ulata nad wodą komarów ćma długa,
A wielkie, jak woły, choć zaprządz do pługa!
Gdy z brzękiem szalonym Janosza obskoczą,
Wydobył miecz z pochwy i rąbie ochoczo.
Dopiero-ć żórawie! oj! z temi nie żarty:
Stał jeden o milę na pieńku oparty,
Przysiągłbyś, gdy skrzydła rozpostarł dwa duże,
Iż chmura po modrym pomknęła lazurze.
Przed okiem Janosza co chwila cud nowy,
Wtem przyćmił mu słońce gród strasznej budowy:
Dwie groźne wieżyce wzniósł śmiało nad chmury —
Tu władca olbrzymów zasiada ponury.
Nasz witeź poskoczył, już stoi przy bramie.
Okrutnaż to brama, zaprawdę, nie skłamię,
Gdy powiem... ej! ludzkież określi ją słowo?
Musiała być wielka, król nie tknął jej głową.
„O zamku — rzekł witeź — dobiegły mię wieści,
Lecz radbym zobaczyć, co wewnątrz się mieści;
Wyrzucą, gdy zechcą, o życie nie stoję".
Pochwycił za klamkę, wnet pękły podwoje.
Oj! byłoż co widzieć. U króla biesiada,
Król siedzi za stołem, z nim synów gromada;
Co jedli, któż zgadnie? pokarmem ich skały,
A głośno im w zębach kamienie chrupały!
Gdy spostrzegł to Janosz, do siebie sam powié:
„Nie bardzo zazdroszczę bankietu królowi".
Wtem mocarz nań zwróci oblicze łaskawe,
Przy sobie z opoki wskazuje mu ławę.
„Gdyś przyszedł tu — rzecze, biesiadujże z nami,
Jak skały nie połkniesz, my połkniem cię sami,

Lub na proch w moździerzu utłuczem wnet ciebie
I miałki ten proszek posypiem na chlebie".

Janosz, zrozumiawszy, że olbrzymi nie będą żartowali, chwyta odłam skały i zabija nim krola. Synowie zabitego uderzają w pokorę i oddają mu nad sobą panowanie. Przy ich usłużnej pomocy srodze karze czarownicę, macochę Iluszki, i przeprawia się wbród przez ogromne morze do cudownego kraju Tundrów na krańcu świata.

Wśród Tundrów krainy jezioro połyska,
Nasz witeź do brzegu przybieży tuż zblizka,
I odjął od piersi kwiat róży, uszczkniony
Na grobie Iluszki z murawy zielonéj.
„O skarbie nad skarby, ty kwiatku mój blady!
Utoruj mi drogę, ja pójdę w twe ślady".
I do ust kwiat zwiędły przyciska w zapale
I rzuca w jezioro; uniosły go fale.
O nieba! cud cudów! czyż mylą go oczy?
Iluszki wziął postać kwiat róży uroczy;
Wnet Janosz się rzuci w głębokie wód łono,
W objęcia porywa dziewicę ocknioną....
Cudowneż jezioro! ach, woda w niem żywa,
Rozprasza mrok śmierci, do życia przyzywa;
Kwiat zrodzon z jej prochów, gdy fale go schwycą,
Z wód łona uroczą wypłynął dziewicą.
Spłonęły jagody, uderzy serduszko:
„Tyżeś to — zawoła — perełko, Iluszko!"
I usta przycisnął, spalone z tęsknoty,
Do czoła dziewoi, gwiazdeczki swej złotéj.

*(S. Duchińska).*

Na język polski zostały z Petöfiego przełożone: »Wojak Janosz« przez W. Sabowskiego (Kraków, 1869) i toż p. t. »Janosz Witeź« przez S. Duchińską (Warszawa, 1871), oraz »Wybór poezyj« przez W. Sabowskiego (Warszawa, 1880). Niektóre pomniejsze utwory można znaleść drukowane sporadycznie w czasopismach oraz w dziełku A. Zippera: »Lutnia i miecz« (Złoczów, 1895).

## V. Jan Arany.

### Bój Hunnów („Kevehaza").

Treść tego poemaciku odnosi się do historyi Hunnów z czasów, kiedy Attyla był tylko jednym z trzech wodzów rodu Erdy, idących ręka w rękę z trzema innymi wodzami rodu Zemeina, do których należał dzielny Keve. Hunnowie stają nad Dunajem.

Dlaczego żałobnie tak kracze pstry sokół?
Dlaczego w lazurze sęp lata naokół?
Dlaczego tak krążą te nieszczęść zwiastuny
Nad brzegiem szerokich, błękitnych wód Duny?
Dlatego żałobnie tak kracze pstry sokół,
Dlatego w lazurze sęp lata naokół,

Że jutro w tem miejscu, o tejże godzinie
Tysiące rycerzy w strumieniach krwi zginie.

Od Duny szerokiej na lewo, na prawo
Niepróżno tłum ludów mknie z wróżbą tą krwawą.
Ze wschodu, z zachodu różnego narodu
Gromada nadpływa, jak wilki w dni głodu.
Napełnij się dzisiaj falami, o rzeko,
Bo jutro twym nurtem krew pójdzie daleko
I łzy szerokiemi zapełnią cię ściegi,
Bo matki zapłaczą nad wód twoich brzegi.

Lecz rzeka falami nie huczy w powodzi,
Spokojnieby można przepłynąć ją w łodzi,
A Makryn, Rzymianin, ze Sasem Dytrychem
Ucztują na drugiem wybrzeżu, na cichem.
„Podnieśmy puhary! Niech pije, kto łaknie!
Nie bójmy się Hunnów, bo czółen im braknie!“
I krążą puhary i Szazhalom dzikim
Szeroko, daleko rozbrzmiewa okrzykiem.

Ale Hunnowie pod wodzą Kevego przeprawiają się przez Dunę (Dunaj) i wszczyna się bitwa. W morderczym boju ginie Keve i inni wodzowie Hunnów. Porażeni, za radą kapłana składają bogu Mano ofiarę, żeby go przejednać, i grzebią poległych.

Na trzeci dzień Hunny nabrali znów ducha,
Jak morze, co wichrem szalonym wybucha,
I zadął w róg złoty u stopni kurhana
Bendegus, szlachetny syn Tordy, kapłana.
Wiatr wschodni podnosił do góry wspaniale
Chorągiew, co dotąd spadała niedbale,
I godło ich — orzeł, wzniesiony zuchwale,
Na zachód, na zachód, na zachód mknie stale.

W pobliżu Tarnoku gród Zezimor leży.
Tam Makryn się chował śród trzcin u wybrzeży.
I huńskich wojaków nań spada nawała,
A z góry spadali, jak spada z niej skała.
I słońce południa ściemniły obłoki,
Od zgrozy promienie zapadły się w mroki —
I słońce zrzuciło swe blaski promienne,
Spojrzawszy na krwawe te boje plemienne.

I jasną dolinę pokryły wnet mroki,
I znikli wojacy w ciemności głębokiéj,
I bój był straszliwy w ciemności tej piekle,
A każdy z rycerzy krwi żądzą wrzał wściekle.
Lecz Bóg chciał, że w groźnej rozprawie tych bojów
Zwycięstwo do huńskich przeniosło się wojów.
I rzeka z gór spływa krwią ludzką gorąca
I wrogów w czerwienie mogilne swe wtrąca.

Makryn ginie, a raniony Dytrych zawiera zgodę z Bedengusem.

Trzy dni jeszcze wojsko spoczywa — i sypie
Mogiły dla zmarłych i pije na stypie,
I bogu dań składa w dziękczynnej ofierze
Za kwiaty zwycięstwa i wojsk dwu przymierze.
I lutnie zabrzmiały. A złote ich struny
Śpiewają, jak mężnie toczyli bój Hunny,
Śpiewają, jak mężnie naddziady walczyli,
Tak jak my ich czyny śpiewamy w tej chwili.

*(A. Lange).*

Przekład »Kevehazy« tj. domu (właściwie mogiły) Kevego znajduje się w »Życiu« r. 1887. O Aranym pisała B. Jaroszewska w »Ateneum« 1892, t. II, 154—166.

## VII. Ludwik Doczy.

### Sonet.

Biada tej, która sercem nikogo nie darzy,
Lecz, jak bóstwo blask siejąc, za hołdami goni,
Nigdy hymnów nie syta, ni kadzideł woni,
Które miłość rozsiewa u stóp jej ołtarzy.
Biada tej, której serce w milczeniu się skarzy,
Której oko tajemnie łzę rozpaczy roni,
Tak jak gołąb zraniony, siedząc na ustroni,
Ginie niepostrzeżony wsród leśnych cmentarzy.
Lecz stokroć biada owej, którą dola zmusza
Tam o miłości mówić, gdzie milczy jej dusza,
A milczeć, gdzie przysięga słowa z ust jej płoszy:
Tak miłość jej z przysięgą w wiecznej jest rozterce,
Serce łamie przysięgę, a przysięga serce —
Ona grzeszy w czystości, a cierpi w rozkoszy...

*(Franciszek Konarski).*

# XIV. TURCYA.

## I. Mesihi.

### Pieśń wiosenna.

Oto słowików dzwonią piosenki,
Wiosna błysnęła w miłosne dźwięki,
Ubrała niwy wokoło,
I róż turbany świetnie rozwite,
Migdały srebrnym kwiatem okryte,
Rozpromienione gór czoło.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Gwiazdy na błoniach, blaski na wodach,
I wonne tęcze świecą w ogrodach;
Mchu dywan ozdabia groty.
Pijcie więc życie! jutro kto zgadnie,
Komu się jeszcze cieszyć wypadnie!
Dalej w godowe namioty!
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Pieszczona róża, kochanka oka,
Oblana cała blaskiem proroka,
A w jasnej świętych koronie
Lśnią hijacyntów loki dziewicze,
I tulipanów barwne oblicze
I narcyzów śnieżne skronie.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Na mieczu lilij rankiem płomienna
Chwieje się chłodna perła jutrzenna;
O, komu zaduma w głowie,
Komu rozterka duszy twarz płoni,
Ku mojej pieśni niech ucho kłoni,
Radość pociechą w mem słowie.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Czemże jest róża, gdy nie dziewicą?
Patrzajcie: kolce rosiste świécą,
Piersi brylantami błyszczą;
Ale czy róża wiecznie promieni?
Czy się jak dziewczę prędko nie zmieni,
Młodszeż jej śladów nie zniszczą?
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Uczą nas kwiaty, które we wiośnie
Ku słońcu listki wznoszą radośnie
I drżą śród wiatrów pieszczoty:
Że radość krótka, szczęście przemienne,
Że wnet nadbiegą czasy jesienne,
A z niemi chwile tęsknoty.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Słodko oddychać, natura płonie,
W cuda i w czary wzrok i słuch tonie,
Ziemia rozkwitnęła rajem;
Nic już połysku róży nie mroczy,
Pootwierane narcyzów oczy
I błoń wybujała majem.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Rzęsno przez słońce lecąc promienie,
Krople deszczowe, drogie kamienie,
Mgliste ugwieżdżają błonie,
A wietrzyk, piżmo wziąwszy na siebie,
Zapachy leje w całe podniebie,
Lecz wkrótce wszystko to wionie.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Świeże powietrze brzmi ptasząt pieniem,
Balsamem piżma, róży westchnieniem
Tak rozwoniała przyroda,
Że przez eteru srebrzyste łono
Rosa na ziemi pierś rozpaloną
Spada jak różana woda.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Burze — tyrany są już wygnane
I pana światów sądy zwołane,
A wszyscy w jego pamięci:
Napełni czary, zgasi pragnienie,
Urzeczywistni każde marzenie,
Wszelkie zaspokoi chęci.
O, niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

Mesihi, jako serca wyznanie
We wszystkich ustach pieśń twoja stanie
I będzie dziewic językiem;
Tobie na wonnych ustach się mieścić,
Tobie się z licem najmiększem pieścić,
Bowiem ty jesteś słowikiem.
O niech wam miłość rozkoszą dni słodzi,
Bo prędko, prędko doba róż przechodzi.

*(Józef Borkowski).*

## II. Mahmud Abdu-l Baki.

### Gazele.

Słońce, ukryj twoje jasne lice,
Bo nie błyszczy jako jego lice;
Nie rozwijaj, pączku, twe zawoje,
Od róż liści świeższe jego lice,
Nie byłoby w sieci serce moje,
Lecz warkocze tak lube jak lice;
Pot perłami wystąpił z pragnienia,
Chłód jaśminów nie milszy jak lice,
O! nie wyjdzie Baki z udręczenia,
Bo go niszczą i rzęsy i lice.

Lice najświeższym listkom róży równe,
Czystemu winu ust rubiny równe;
Znamię miłości u pięknego łona
Najżywszym blaskom słońca światów
[równe:
Próg twój świątyni sławnej Salomona,
Oblicze Mekki kościołowi równe;
W ciemnej nocy, loków skręty czarne,
Światłu księżyca światło lica równe;
Baki! świat złudą, wszystko czcze
[i marne
Rozkosz i boleść snom pierzchliwym
[równe.

Słowik powieści zapłakał w ogrodzie,
Teraz czas rozkosz, bawcie się
[w ogrodzie,
Niech was radości obejmie dzień złoty,
Węzłem przyjaźni hiacynt w ogrodzie,
Oskrobuj z serca skorupę zgryzoty,
Jak czyste piersi, tak czysto w ogrodzie;
Po polach kwiecia migają uploty,
Jak w planie nieba, gwiaździsto
[w ogrodzie,
Tu czekaj rozkosz i wonnej pieszczoty
I pieść się słodko, jak trzeba
[w ogrodzie.

*Józef Borkowski.*

# XV. FINLANDYA.

## Kalewala.

Jest to obszerny epos narodowy w 50 pieśniach (runach), wysnutych z prastarych kosmogonicznych i bohaterskich tradycyj fińskich. Treść jego nie jest ściśle jednolita i łączność między poszczególnemi pieśniami dość słaba; ogólnem tłem, na którem rozwijają się wydarzenia, jest nieprzejednany antagonizm pomiędzy mieszkańcami Kalewali (t. j. Finami) i mieszkańcami Pohijoli (Lapończykami). Głównymi bohaterami pieśni są trzej mężowie fińscy: Wäinämöjnen, Ilmarynen, Lemminkäjnen i wreszcie Kullerwo; ostatnia runa, czyli pieśń, opiewa w mitycznem oświetleniu Najświętszą Maryę Pannę pod imieniem Marjatty, i jej syna — Boga-przychodnia.

Epos rozpoczyna się odezwą pieśniarza (runoi) do słuchaczy:

W duszy mojej chęć się budzi,
W mózgu moim chęć powstaje,
Pragnę śpiewać, pragnę słowo
W pieśń przedzierżgnąć narodową,
Przelać słowo w pieśń domową.
Już mój język pieśnią wzbiera,
Z ust wytryska mowa szczera,
W zęby dzwoni już tajemno...
Śpiewał ojciec pieśni owe,
Kiedy strugał toporzysko,
Matka w chmurne dni zimowe,
Przędąc kądziel nad kołyską.
Byłem, pomnę, dzieckiem małem,
Ssałem matki pierś kochaną,
Na bałyku się czołgałem
Z brodą, mlekiem pomazaną.
I słów innych znam ja wiele
Te-m w mądrości czerpał zdroju,
Wszędy, wszędy je znachodzę:

Jedne kwiatem rwę przy drodze,
Te piołunem w ziemi grzązkiéj,
Tamte listkiem z brzóz gałązki,
Gdym pacholę niegdyś młode
Po wygonach ganiał trzodę,
Lub na błoniach pasał krowy.
Pieśń mi gwarzył mróz zimowy,
Deszcze pieśń mi pluskotały,
Rozhukane morza wały,
Straszne wichry, dębów szumy
Pobrzmiewały tęskne dumy:
Dzieckiem jeszcze, ptacy leśni
Wyuczyli mnie swych pieśni.
I pieśń wkoło zasłyszaną
Jam na kłębek zwijał skrycie.
Jam przywoził skarb mój drogi
Saneczkami w domu progi,
W skrzynkę kładłem je miedzianą
I chowałem w mej aicie[1]).

[1]) Aita — lamus.

Długo pieśni wątek złoty
Leży martwy, leży skrzepły;
Chcę go zbudzić z tej martwoty,
Ogrzać tchnieniem piersi ciepłéj.
Wezmę skrzynkę i pod wielką,
Pod tą starą złożę belką,
Pod tą strzechą w ojców domu,
I roztworzę skarby słowa
I rozwinę z kłębka nici,
I pieśń zbieży z ust mych nowa,
Bratnie serca w lot pochwyci.

Lecz pierś zwilżyć piwem trzeba,
Kęs żytniego spożyć chleba;
W braku piwa dla ochłody
Dajcież, bracia, kroplę wody:
Ja dam za to pieśni wiele,
Mrok wieczorny rozweselę,
Moje piosnki będą brzmiały,
Nim zaświta dzionek biały,
Śpiewać będę, aż o świcie
Błyśnie słonko na błękicie.

Najwydatniejsze miejsce wśród bohaterów Kalewali zajmuje Wäinämöjnen, syn dziewicy powietrznej i wiatru, możny czarotwórca i pieśniarz, obracający swą wiedzę na pożytek dzikiego jeszcze kraju, zasiewający lasy i zboża. Sława jego jako pieśniarza obudza zazdrość w lapońskim piewcy Joukahainenie; ten wyzywa go na bój poetycki, ale pobity i zagrożony śmiercią, wyprasza sobie życie, obiecując Wäinämöjnenowi siostrę swą Aino za żonę. Ale Aino słuchać nie chce o małżeństwie i, spotkawszy Wäinämöjnena, z pogardą się od niego odwraca, odrzuca precz wszelkie stroje i zapłakana wraca do domu.

Na kominie tli ognisko.
Struga ojciec toporzysko.
— Czego płaczesz? mów, dziewczyno,
Czemu, czemu łzy twe płyną?
— Jak nie płakać mnie niebodze
Na me losy, ciężkie losy!
Jam zgubiła sprzączkę złotą,
Upuściłam ją przy drodze
Na murawie, między wrzosy.
Brat przyrządza łuk u proga:
— Czego płaczesz, siostro droga?
— Oj, braciszku mój rodzony,
Jak nie płakać mnie dziewczynie?
Jam zgubiła pierścień złoty
Wpośród wrzosów na dolinie!
W głębi chaty siostra mała
Pas złocisty w krosnach tkała.
— Czemuż, czemuż, mów, Aino,
Twoje oczy łzami płyną?
— Jak nie płakać, siostro miła?
Jam korale pogubiła,
I wstążeczkę krasną z głowy
Jam zgubiła wśród dąbrowy.
A w komorze niedaleko
Cedzi matka w dzieży mleko
I dzieweczkę spyta młodą:
— Czego płaczesz? mów, jagodo.
— Matko moja! matko miła,
Coś mnie piersią wykarmiła,
Jak nie płakać na me losy?
Rankiem poszłam ja w dąbrowę
Po gałązki, po brzozowe,
Zcicha depczę miękkie wrzosy,
Wtem znienacka, wtem z uboczy
Kalewajnen mnie zaskoczy
I zagadnie: Ej, dzieweczko,
Dla mnie zdobić ci przystało
W koraliki szyję białą,
Dla mnie wiązać ci wstążeczką
Jasne włosów twych uploty
I pierścionek nosić złoty.
Ja też wstęgę zdzieram z włosów
I odrywam sprzączkę złotą,
Koraliki rzucam w błoto,
Rzucam pierścień wpośród wrzosów:
Niech wiatr lepiej je rozniesie
Po manowcach i po lesie.
— Ani tobie ni też komu
Moje sprzączki ni korale,
Ja o złoto nie dbam wcale;
Wolę suchar z ojca domu,
Wolę w chacie żyć ubogiej
Przy mateńce mojej drogiej.

Aino tonie podczas kąpieli w morzu; zając przynosi o tem wiadomość rodzinie.

Płacze matka, płacze długo,
Łzy z jej oczu płyną strugą,
Aż z matczynych łez trzy rzeki
W kraj rozbiegły się daleki.
A na każdej rzece białéj
Trzy się kępy wysypały,
A na każdej kępie z brzega
Złota góra het wybiega.
A na każdej złotej górze
Trzy wyrosły brzozy duże,
A na każdej brzozie białéj
Trzy kukułki zakukały.
Jedna kuka: Miłość! miłość!
Druga kuka: Oblubieniec!
Trzecia kuka: Dola! dola!
Ta, co kuka: Miłość! miłość!
Trzy miesiące wciąż się żali
Nad dziewczyną, nad Ainą,
Co śpi na dnie w zimnej fali.
Ta, co kuka: Oblubieniec!
Przez pół roku wciąż się żali
Nad żałosnym oblubieńcem,
Gdy on płacze za dziewczyną,
Za nadobną swą Ainą,
Co śpi cicho na dnie fali.
Ta, co kuka: Dola! dola!
Przekukała żywot cały
Dla mateńki rozbolałéj,
Co przepłacze w cieniu strzechy
Dni żywota bez pociechy!

*(S. Duchińska).*

Wäinämöjnen chwyta topielicę na wędkę w postaci ryby; ale ryba wymyka mu się z rąk i nie daje się złapać powtórnie. Zmarła matka czarodzieja radzi mu szukać innej żony w Pohioli. Wäinämöjnen słucha rady i po różnych przygodach przybywa do królowej Louhi. Ta zgadza się wydać za niego swą córkę, ale żąda, aby dla niej wprzód ukuł talizmanowy klejnot Sampo. Wäinämöjnen nie może tego uczynić sam i uprasza Ilmarynena, kowala czarnoksięskiego, żeby go w tem wyręczył. Ten czyni zadość wymaganiom Louhi i żąda w nagrodę ręki jej córki; ale królewna wymawia się od małżeństwa. Wówczas na zdobycie jej ręki wyprawia się śmiały, wojowniczy Lemminkäjnen. Dla pozyskania królewny musi on dokonać różnych nadludzkich czynów; gdy już prawie wszystkie spełnił warunki, ginie zdradziecko podczas wyprawy na łabędzia, płynącego po rzece umarłych Tuoni. Matka zaniepokojona jego długą nieobecnością:

Kroczy w stronę tę i owę,
Duma i zachodzi w głowę:
„Gdzieście syna mi podzieli,
Najdroższego Kaukomieli?[1])
Kiedyż to mię on porzucił!
A nie słychać, żeby wrócił“.
Ach! nic nie wie matka miła,
Co w żywocie go nosiła,
Co się chowem uznoiła,
Gdzie dziś spoczął kęs jej ciała,
Gdzie się krew jej obracała;
Czy go stopy w bór zawiodły,
Czy pod mrok nagórnej jodły?
Czy go wiatrem poddymana
Prze na grzbiecie morska piana?
Może wojny zgiełk morderczy
W bój go znęcił ludożerczy,
Może dziś mi krwią się broczy,
Po kolana krwią posoczy?
A Kilikki, śliczna żona,
Rozgląda się utęskniona
Po wszech kątach, w każdej celi,
Po dziedzińcu Kaukomieli
To o słońcu, to o cieniu,
A spogląda po grzebieniu.
Ot... i oczom nie dowierza
(A było to z odwieczerza):
Grzebień roni krwawe grono,
Grzebień lzawi się czerwono.
Aż i matka tuż nadchodzi,
Patrzy, patrzy — i zawodzi
Jękiem piersi, jękiem słowa:
„Ach! ja biedna białogłowa!
Cóż ja poczne z sercem mojem,
Co z żywotem uciśnionym?“ —

*(F. Jezierski).*

Matka wydobywa jego zwłoki grabiami, ukutemi przez Ilmarynena, i przywraca je do życia przy pomocy pszczółki, która przynosi jej od Stwórcy słodycz niebieską.

---

[1]) Przydomek Lemminkäjnena.

W dalszym ciągu Wäinämöjnen i Ilmarynen ponawiają zabiegi o królewnę, którą wreszcie pozyskuje drugi. Po jej śmierci wszyscy trzej bohaterowie urządzają nową wyprawę, ale tym razem po czarodziejski talizman Sampo; królowa Louhi, żeby się na nich zemścić, zamyka w skale słońce i księżyc, gdy te zstąpiły na ziemię, żeby słuchać pieśni Wäinämöjnena. Ukko-Jumala, bóg powietrza i grzmotów, rozdrażniony brakiem tych świateł, zapala świat. Ilmarynen zmusza królowę do uwolnienia uwięzionych. Wäinämöjnen wita wyzwolonych hymnem, a w końcu, gdy syn Marjatty zostaje namaszczony na króla Karjali (Karelii), mocą czarów buduje sobie łódź i odpływa gdzieś za morze, zostawiając na pożegnanie obietnicę powrotu.

Kilka ustępów z Kalewali podała S. Duchińska (Bibl. Warsz. 1869, tom III) i F. Jezierski w swojem studyum o tym poemacie (Bibl. Warsz. 1880; tom I). Oryginał jest pisany wierszem ośmiozgłoskowym, nierymowanym.

# XVI. JAPONIA.

## I. Anon.

### 1. Rybak Uraszyma.

Wiosna.. I znów nad Suminojem
Słoneczko lśni łaskawsze!...
A ja wciąż dumam o przeszłości,
Co znikła raz na zawsze!
Dumam, jak niegdyś Uraszyma,
Na wartkiej płynąc łodzi,
Gdzie zwykle ryby łowił zręcznie,
Kochankę tam znachodzi...
Siedm słońc już błysło i zagasło,
A on wciąż płynie daléj;
Aż oceanu boga córę
Na morskiej spotkał fali.
Przysięgli sobie miłość wieczną.
W kraj szczęścia razem płyną...
Do zamku bożka z dłonią w dłoni,
Młodzieniec wszedł z dziewczyną.
Z dziewicą mórz miał rybak wiecznie
Zamieszkać w tej krainie,
Gdzie młodość i piękności krasa
Po wiekach nie przeminie.
Lecz on szalony rzekł: — O! jutro
Powrócę tu, królowo!...
Powiedzieć muszę słówko ojcu
I matce jedno słowo:
Zgoda... więc małą tę skrzyneczkę
Weź z sobą, mój jedyny!...
Lecz jeśli w głębi serca pragniesz
Znów ujrzeć te krainy,
Skrzyneczki tej, zaklinam ciebie,
Masz nie otwierać wcale!...
— Przysięgam — rzekł i łódkę wierną
Na bystre puścił fale...
Lecz gdzież rodzinna jego wioska?...
Szlak pustych wciąż wybrzeży!..
Gdzież matki drogiej chata?... Patrzy
I oczom swym nie wierzy!...
— Trzy lata ledwie, jak tu byłem —
Zgnębiony rybak woła.
— I dziś z rodzinnej wioski mojej
Nie znajdę nic już zgoła?...
A gdybym też otworzył skrzynkę,
Którą mi luba dała?...
Może mi znów przed okiem stanie
Chatynka moja mała!...
Uchyla wieka — a z pod niego
Srebrzysta chmurka płynie;
Wznosi się szybko i podąża
Ku boga mórz krainie...
Rybak na ziemię z jękiem pada
I szarpie swe rękawy,
Jak wściekły miota się i wyje
W agonii serca krwawéj!...
Nagle mu w członki mróz się wkrada,
Włos kruczy szronem kryje,
I na młodzieńca pięknej twarzy
Głębokie brózdy ryje.
Oddycha wolniej z każdą chwilą.
Aż wreszcie... i umiera!...
Tu niegdyś chatka jego stała,
A dzisiaj pustka szczera!...

### 2. Miłość.

Co jest rzeczą jeszcze głupszą w świecie
Nad pisanie na bystrym potoku?...
Oto myśleć o takiej kobiecie,
Co nas nie ma ni w sercu, ni w oku!

. . . . . .

— Kochaj mnie, twoją miłość przekładam nad trony.
— Ani myślę — odparła z szczerością otwartą.
— Nie myślisz?.. a więc niszczę mój afekt wzgardzony,
Bez żywej wzajemności miłować... nie warto!...

*(Julian Adolf Święcicki).*

---

## II. Furubi.

### 1. Siedem klejnotów[1]).

Siedem klejnotów najdroższych
Uważam za nic, [w świecie
Droższy mi syn mój! ach! bo to dziecię
Kocham bez granic.
Ledwie, bywało, blask swój jaskrawy
Roztoczy słońce,
Już mnie to chłopię rwie do zabawy
Młodością wrzące;
Wieczorem, kiedy patrzą w łóżeczko
Oczka zaspane,
Woła: pójdź, ojcze i ty mateczko,
Sam nie zostanę.
Gdy pijanego słodkim szczebiotem
Sen mnie zwycięża,
Widzę, jak chłopię w marzeniu złotem
Wyrosło w męża.
A jako żeglarz, gdy mknie po fali,
Na szczęście liczy,
Tak ja-m we mglistej nie widział dali
Żadnych goryczy!...
Święte zwierciadło ja-m zrozpaczony
Objął rękami
I do odwiecznej świata obrony
Wołał ze łzami:
Tobie, o Boże, Stwórco łaskawy
Nieba i ziemi,
Powierzam straszne serca obawy
Usty drżącemi...
Napróżno błagał ojciec zbolały,
Syn niknął co dnia,
Słodkie pieszczoty brzmieć już przestały,
Gasła pochodnia!...
Teraz się wiję niby gadzina,
Miotan rozpaczą,
Źrenice ojca — drogiego syna
Już nie zobaczą!...

*(J. A. Święcicki).*

---

## III. Sosei.

### 1. Wiosna.

Śród listków czeremchy białéj,
Słowiczek śpiewa radośnie.
Widział, że śniegi stopniały,
I przyszedł złożyć hołd wiośnie.

---

[1]) Złoto, srebro, dyament, szmaragd, kryształ, rubin, agat.

### 2. Zapomnienie.

Gdzie kiełkuje i wzrasta zapomnienia ziarno?...
Takie duszy mej własnej zadałem pytanie.
Wciąż szepcze: zapomnienia roślinę poczwarną
Rodzi serce, co nigdy kochać nie jest w stanie.
*(J. A. Święcicki).*

## IV. Toszyjuki.

### Jesień.

Niech mi kto, proszę, wytłómaczy,
Dlaczego rosa srebrno-biała,
Gdy chmurna jesień już nastała,
Liść każdy ubarwia inaczéj?...
*(J. A. Święcicki).*

## V. Bezimienny.

### Żebra i skóra (krotochwila).

Osoby: rektor świątyni buddyjskiej, jego wikary i trzej parafianie. Wchodzi na scenę rektor i obyczajem teatru wschodniego melduje się:

*Rektor.* Jestem rektorem tej świątyni, chciałbym pomówić z wikarym. Hej! Jest tam kto?...

*Wikary.* Jestem, czy rektor mnie potrzebuje?...

*Rektor.* Tak jest. Posłuchaj, zaszedłem w lata, obowiązki są już nad moje siły i dlatego pragnę zrzec się rektorstwa na twoją korzyść.

*Wikary.* Czy ja poradzę temu? — nie jestem jeszcze dość obznajmiony...

*Rektor.* Podoba mi się twoja odpowiedź. Ja nie myślę porzucać całkiem naszej świątyni, usunę się tylko do dalszych apartamentów. Gdybyś miał kiedy co ważniejszego, przyjdź do mnie.

*Wikary.* Bardzo dobrze.

*Rektor.* Lecz pamiętaj, żebyś dogadzał parafianom i utrzymał pomyślność naszej świątyni.

*Wikary.* Bardzo dobrze.

W jakiś czas po tej rozmowie przybywa parafianin z interesem.

*Parafianin 1.* Dawno już nie widziałem rektora — czy zdrów?

*Wikary.* Zupełnie, tylko zrezygnował z rektorstwa na moją korzyść.

*Parafianin 1.* Ach, to dobrze!... ja mam właśnie malutką prośbę. Wybrałem się dosyć daleko — a tu w drodze deszcz mnie zaskoczył; czy nie mógłbym poprosić o parasol?

*Wikary.* A i owszem — oto jest.

*Parafianin 1.* Dziękuję za pamięć, do widzenia!...

Odbywszy tę czynność samodzielnie, wikary uznał za stosowne poddać ją pod uznanie rektora.

*Wikary.* Miałem gościa.

*Rektor.* Po cóż przyszedł?...

*Wikary.* Prosił o pożyczenie parasola, więc mu dałem.

*Rektor.* A który?...

*Wikary.* Ten nowiutki.

*Rektor.* Co za szaleństwo! Jakże można oddawać komu deszczochron jeszcze prawie całkiem nieużywany! Nie mogłeś wymówić się od tej pożyczki?

*Wikary.* A toż jak?

*Rektor.* Trzeba było powiedzieć w ten sposób: Prośba pana zaszczyt mi przynosi. Ale na nieszczęście parę dni temu na placu, gdzie to się schodzą cztery drogi, rektora spotkał tak silny prąd wiatru, że deszczochron rozleciał się całkiem: żebra w jednę stronę, skóra w drugą. Teraz właśnie owe żebra i skóra związane tylko przez środek, wiszą u sufitu. Bardzo mi przykro, że nie mogę uczynić zadość prośbie pana. Trzeba było powiedzieć coś w tym rodzaju

Wikary wziął tę sprawę bardzo do serca i przyrzekł sobie być na drugi raz oględniejszym. Po jakimś czasie przybywa drugi parafianin i prosi wikarego o pożyczenie konia.

*Wikary.* Prośba pana robi mi zaszczyt, ale na nieszczęście, parę dni temu na placu, gdzie się schodzą cztery drogi, rektora spotkał tak silny prąd wiatru, że koń rozleciał się całkiem: żebra w jedną stronę, skóra w drugą. Teraz właśnie owe żebra i skóra, związane tylko przez środek, wiszą u sufitu. Bardzo mi przykro, że nie mogę usłużyć panu.

*Parafianin 2.* Ależ ja proszę o konia!...

*Wikary.* No, tak, o konia!...

*Parafianin 2* To szczególne!... Do widzenia!..

*Wikary.* Dziękuję za pamięć, do widzenia.

Wikary zadowolony z siebie poszedł się pochwalić przed rektorem.

*Wikary.* Był drugi parafianin.

*Rektor.* I po co?

*Wikary.* Pożyczyć konia.

*Rektor.* I pożyczyłeś?

*Wikary.* Albo ja głupi?... Powiedziałem mu, jak rektor kazał.

*Rektor.* A cóż ja kazałem?...

*Wikary.* A no, że pod siłą wiatru koń się rozleciał: żebra w jednę stronę, skóra w drugą.

*Rektor.* Czyś oszalał?... a toż wtedy była mowa o deszczochronie — trzebaż było znaleźć inną wymówkę.

*Wikary.* Ba, jakąż?

*Rektor.* Mogłeś np. powiedzieć w ten sposób: Niedawno temu przypędzony z pastwiska, tak się rozbrykał, że nogę sobie wywichnął, i dziś, okryty słomą, leży biedak w rogu stajni... Trzeba było coś powiedzieć w tym guście.

Sprytny wikary zachował w pamięci słowa rektora. Po paru tygodniach przychodzi trzeci parafianin i opowiedziawszy o rocznicy religijnej, którą chciałby święcić dnia następnego uroczyście, kończy prośbą, żeby rektor wraz z wikarym raczyli wziąć udział w uroczystości.

*Wikary.* Co do mnie — i owszem, ale rektor nie będzie w stanie.
*Parafianin 3.* A toż dlaczego?... czy tak zajęty?...
*Wikary.* Ale gdzież tam! Niedawno temu, przypędzony z pastwiska, tak się rozbrykał, że nogę sobie wywichnął i dziś okryty słomą leży biedak w kącie stajni...
*Parafianin 3.* Ależ ja mówię o rektorze!...
*Wikary.* A no naturalnie, że o rektorze.
*Parafianin 3.* Co za nieszczęście! do widzenia.
*Wikary.* Dziękuję za pamięć; do widzenia.

Nie tracąc chwili, wikary śpieszy zdać sprawę z tej konferencyi.

*Wikary.* Miałem gościa.
*Rektor.* Czego żądał?
*Wikary.* Przyszedł prosić rektora na uroczystość.
*Rektor.* Cóżeś powiedział?...
*Wikary.* Że rektor przypędzony z pastwiska, rozbrykał się i...
*Rektor.* Co? tyś tak powiedział naprawdę... rzeczywiście...
*Wikary.* Tak jest... naprawdę... rzeczywiście...

Tu się rozegrała scena nieprzyjemna dla wikarego, który, niestety, musiał zrezygnować z nadziei zostania kiedykolwiek rektorem.

*(J. A. Święcicki).*



Koniec tomu II i ostatniego.

# Spis rzeczy tomu II-go.

## Czasy nowożytne.


I. WŁOCHY. Strona.

I. Luigi Pulci.
Olbrzym Morgant . . . . 3
II. Aryost.
Roland szalony . . . . . 7
III. Michał Anioł Buonarotti.
a) Sonet 2. . . . . 16
b) Sonet 6. . . . . 17
c) Sonet 31. . . . . 17
d) Sonet 56. . . . . 17
e) Madrygał . . . . . 18
IV. Torquato Tasso.
Jerozolima wyzwolona . . 18
V. Tomasz Campanella.
Sonet . . . . . 28
VI. Aleksander Tassoni.
Wiadro porwane . . . . 28
VII. Jan Chrzciciel Marini.
I. Adonis (L'Adone) . . 32
II. Sonety . . . . . 36
VIII. Franciszek Redi.
Pochwała wina . . . . . 38
IX. Wincenty Filicaja.
Italia, Italia! . . . . . 38
X. Fraciszek da Lemene.
Madrygał . . . . . 38
XI. Piotr Trapassi.
Temistokles . . . . . 39
XII. Józef Parini.
Dzień . . . . . 44
XIII. Wiktor Alfieri.
Wirginia . . . . . 45
XIV. Ugo Foscolo.
Groby . . . . . 50
XV. Aleksander Manzoni.
Oda na śmierć Napoleona . 52

Strona.

XVI. Jakób Leopardi.
1. Nieskończoność . . . . 53
2. Śpiew koczującego po Azyi pasterza . . . . . 53
XVII. Józef Giusti.
Toast Girelli . . . . . 56
XVIII. Giovanni Prati.
Zwierzenia dziewcząt . . . 59
XIX. Bernardino Zendrini.
Daleki pieśni zgon . . . . 59
XX. Piotr Cossa.
Neron . . . . . 60
XXI. Giosuè Carducci.
1. Panteizm . . . . . 64
2. Rozmowa z drzewami . . 64
3. Wspomnienie ze szkoły . 65
4. Naprzód! naprzód! . . . 66

II. HISZPANIA.

A) Kastylijscy.
I. Garcilaso de la Vega.
Ekloga I. . . . . 69
II. Krzysztof Castillejo.
Lida i Amor . . . . . 71
III. Lope de Rueda.
Oliwki . . . . . 71
IV. Michał Cervantes de Saavedra.
Życie i czyny sławnego hidalga Don Kichota z Manczy 73
V. Lope de Vega.
Gwiazda Sewilska . . . . 81
VI. Piotr Calderon de la Barca.
1. Czarnoksiężnik . . . . 87
2. Lekarz swojego honoru . 93

Strona.

VII. Augustyn Moreto y Cabaña.
Klin klinem . . . . . 100
VIII. Tomasz de Yriarte.
Wiewiórka i koń . . . . 106
IX. Józef de Espronceda.
Korsarz . . . . . 106
X. Józef Zorrilla.
1. Granada . . . . . 107
2. Z „Gnomów i kobiet“ . 108
XI. Don Ramon de Campoamor.
Metempsychozy . . . . 109
XII. Gaspar Nuñez de Arce.
Z „Haseł bojowych“ . . 110
XIII. Luiz Eguilas.
Grazalema . . . . . 112
B) Katalońscy.
I. Hiacynt Verdaguer.
Atlantyda . . . . . 114
II. Angel Guimerà . . . . 116
III. *Król marynarz* . . . . 117
C) Amerykańscy.
I. Andrzej Bello.
Wezwanie do poezyi . . 117
II. Jan Marya Gutierrez.
Sztandar majowy . . . 119
III. Bartłomiej Mitre
Mój koń . . . . . 119
IV. Abigail Lozano.
a) Do nocy . . . . . 120
b) Ameryka . . . . . 120

III. PORTUGALIA.

A) Portugalscy.
I. Franciszek Sa de Miranda.
Zachód słońca . . . . . 122
II. Luiz Camoes.
Luzytańczycy . . . . . 122
III. Jan Chrz. Almeida-Garrett.
Z kwiatów bez owoców . 130
IV. Aleksander Herculano de Carvalho e Araujo.
Burza . . . . . 131
V. Jan Penha.
Sonet . . . . . 132
B) Brazylijscy.
I. Kazimierz de Abreu.
Miłość i lęk . . . . . 132
II. Gonçalves Crespo.
Sjesta . . . . . 133
III. Joachim Serra.
Ślad krwi . . . . . 134
IV. Castro Alves.
Immensis orbibus anguis . 134

IV. FRANCYA.

a) Poeci francuscy.
I. Klemens Marot.
1. Do Anny . . . . . 135
2. Ja i ona . . . . . 135
3. Contre celle qui fut s'amye 136
II. Gui du Faur de Pibrac.
Quatrin . . . . . 136
III. Agrypa d'Aubigné.
Tragiques . . . . . 137
Z „Petites oeuvres mêlées“. 137
IV. Piotr Ronsard.
Pieśń . . . . . 137
V. Remy Belleau.
Z poemaciku „Avril“. . . 138
VI. Franciszek de Malherbe.
Oda do Henryka IV-go z powodu upokorzenia Marsylii. 138
VII. Piotr Corneille.
Horacyusz . . . . . 139
VIII. Jan Poquelin Molière.
Mizantrop . . . . . 146
Małżeństwo przymuszone . 155
IX. Jan Racine.
Mitrydat . . . . . 160
X. Mikołaj Boileau-Despréaux.
List VII do Racine'a . . 167
XI. Jan de La Fontaine.
Lampart i małpa . . . . 169
XII. Voltaire (Wolter).
1. Zaira . . . . . 170
2. Henryada . . . . . 176
XIII. Jan Jakób Rousseau.
1. Nowa Heloiza . . . . 180
2. Pigmalion . . . . . 186
XIV. August Beaumarchais.
Małżeństwo Figara . . . 158
XV. Jakób Delille.
1. Ogrody . . . . . 192
2. Ziemianin . . . . . 194
XVI. Andrzej Chénier.
1. Młoda Lokryjka . . . 196
2. Z Jambów . . . . . 197
XVII. Antoni Wincenty Arnault.
Liść . . . . . 197
XVIII. Franc. A. de Chateaubriand.
René . . . . . 198
XIX. Alfons de Lamartine.
A) Z „Dumań“.
1. Wielki tydzień . . . 202
2. Jezioro . . . . . 203
3. Krucyfiks . . . . . 205
B) Jocelyn . . . . . 207
XX. Jan Piotr Béranger.
1. Stary kapral . . . . . 209
2. Wspomnienie ludu . . . 210
3. Mundur dworski . . . 211
4. Gdyby ze mnie ptaszek mały . . . . . 211
XXI. Wiktor Hugo.
A) Z poezyj wchodnich.
1. Chłopiec . . . . . 212
2. Pełnia . . . . . 213

Strona.

B) Z liści jesiennych.
1. * * * . . . . 214
2. Do kobiety. . . . 214
C) Z pieśni o zmroku.
1. Nowa piosnka na starą nutę . . . . . 215
2. Inna piosnka . . . 215
D) Z „Rozmyślań“.
Przenośnie . . . . . 215
E) Z „Legendy wieków“.
Zim-Zizimi . . . . . 216
F) Z „Piosnek ulic i lasów“ 219
G) Z Liry siedmiostrunnej . 220
H) Hernani . . . . . 220
XXII. Alfred de Vigny.
1. „Eloa albo Siostra Aniołów“ . . . . . 230
2. Mojżesz . . . . . 234
XXIII. Alfred de Musset.
1. Rolla . . . . . 237
2. Lucya . . . . . 239
3. Ballada do księżyca . . 241
4. Gwiazda wieczorna . . 242
5. Pamiętaj . . . . . 242
6. Noc sierpniowa . . . 243
7. Z płonnych marzeń . . 245
8. Co to jest poezya? . . 245
XXIV. Teofil Gautier.
1. Sztuka . . . . . 246
2. Życie w śmierci . . . 247
XXV. Teodor de Banville.
1. Z „Ód linoskoczych“ . 248
2. Ze „Stalaktytów“ . . 249
XXVI. Leconte de Lisle.
1. Umarłemu poecie . . . 249
2. Sen kondora . . . . 250
3. Kain . . . . . 251
XXVII. Emil Augier.
Gabryela . . . . . 253
XXVIII. Karol Baudelaire.
1. Przedmowa . . . . . 260
2. Moesta et errabunda . . 261
3. Spleen . . . . . 262
4. Zaproszenie do podróży 262
5. Śmierć nędzarzy . . . 263
XXIX. Sully Prudhomme
1. Sen . . . . . 263
2. Ideał . . . . . 264
3. Dokąd idą? . . . . 264
4. Wazon rozbity . . . 265
XXX. Franciszek Coppée.
1. Horoskop . . . . . 265
2. Ojciec . . . . . 266
3. Klejnoty wyzwolenia . 267
XXXI. Edmund Haraucourt.
Z cyklu „Naga dusza“.
1. Stary Chrystus . . . 270
2. Nad kołyską . . . . 270

Strona.

XXXII. Józef Maria de Heredia.
1. Antoniusz i Kleopatra . 271
2. Zapomnienie . . . . . 271
3. Na posąg strzaskany . . 272
XXXIII. Stefan Mallarmé.
Kwiaty . . . . . 272
XXXIV. Paweł Verlaine.
Psalm (Z „Sagesse“) . . . 273
B) Poeci prowansalscy.
I. Jakób Jasmin.
Ślepa dziewczyna . . . . 274
II. Józef Roumanille.
Królewicz i pasterka . . . 275
III. Teodor Aubanel.
Z „La Miougrano“ (Otwarty granat“ . . . . . 276
IV. Fryderyk Mistral.
1. Hrabianka . . . . . 276
2. Na cześć Jasmina . . . 277
3. Wodociąg w Arles . . 278
4. Dobosz z pod Arcole . . 279
C) Poeci belgijscy.
I. Maurycy Maeterlinck.
1. Roślinność serca . . . 280
2. Gość nieproszony . . . 280
II. Emil van Arenbergh.
1. Zawsze . . . . . 283
2. Sonet listopadowy . . . 283
3. Rozbitek . . . . . 284

V. RUMUNIA.

I. Cezar Bolliac.
Pogrzeb żebraka . . . . 284
II. Bazyli Alecsandri.
Penesz Kurkan . . . . . 285
III. T. Szerbanescu.
1. Wykrzyk . . . . . 287
2. Pocałunek . . . . . 288
IV. Jakób Negruzzi.
Sonet . . . . . 288
V. Carmen Sylwa.
Na koncercie . . . . . 288

VI. ANGLIA i STANY ZJEDNOCZONE.

A) Poeci angielscy.
I. Tomasz Wyatt.
Łaski śmierci . . . . . 289
II. Filip Sidney.
Do księżyca . . . . . 290
III. Bezimienny.
Duch Wiliama . . . . . 290
IV. Edmund Spenser.
a) Z hymnów o piękności . 291
b) Królowa wieszczek . . 291
V. Krzysztof Marlowe.
Tragiczna historya życia i śmierci doktora Fausta . . 299

Strona.

VI. Szekspir.
1. Zapomnij . . . . . 303
2. Romeo i Julia . . . . 303
3. Hamlet . . . . . 308
4. Koryolan . . . . . 311
VII. Ben Jonson.
Pamięci mojego ukochanego mistrza, Wil. Szekspira 318
VIII. Jan Milton.
Raj utracony . . . . . 319
IX. Jan Dryden.
Potęga muzyki . . . . 327
X. Jonatan Swift.
Medytacye nad starą miotłą 330
XI. Aleksander Pope.
1. Heloiza do Abelarda . 331
2. Wiersz o człowieku . . 332
XII. Edward Young.
Noce . . . . . 333
XIII. Jakób Macpherson.
1. Ossyana pienia selmskie 335
2. Kolma . . . . . 335
XIV. Robert Burns.
1. * * * . . . . . 336
2. Zima . . . . . 337
3. Me serce jest w górach 337
4. Nic nikomu . . . . . 337
5. Moja lubka jak róża . 338
6. Gdybyś w ustroniu była samotnem . . . . . 338
7. Wbrew wszystkiemu . 338
8. Moja Basia . . . . . 339
XV. Wilhelm Wordsworth.
Jest nas siedmioro . . . 339
XVI. Walter Scott.
1. Pieśń ostatniego minstrela 340
2. Pielgrzym (ballada) . . 343
XVII. Jan Keats.
1. Hiperyon . . . . . 344
2. Konik polny i świerszcz 347
XVIII. Jerzy Byron.
1. Wędrówki rycerza Harolda . . . . . 348
2. Korsarz . . . . . 352
3. Don Juan . . . . . 356
4. Manfred . . . . . 359
5. Ciemność . . . . . 363
6. Z „Melodyj hebrajskich“
I. Idzie w piękności . 365
II. Posępny duch mój . 365
7. Prometeusz . . . . . 365
XIX. Percy Bysshe Shelley.
1. Prometeusz rozpętany . 366
2. Egipsychidion . . . . 369
3. Chmura . . . . . 370
4. Ozymandyas . . . . 372
5. Zmienność . . . . . 372
6. Tułacze świata . . . 373

Strona.

XX. Tomasz Moore.
1. Z poematu „Lalla-Rookh“ Raj i Peri . . . . . 373
2. Melodye irlandzkie . . 375
a) Zlew wód . . . . . 376
b) Poległym . . . . . 377
c) Spotkanie — rozstanie 377
XXI. Tomasz Hood.
Pieśń o koszuli . . . . . 377
XXII. Alfred Tennyson.
1. Ginewra . . . . . 379
2. Enoch Arden . . . . 389
3. Z poematu lirycznego „In memorian“ . . . . . 383
4. Uspokojony . . . . . 383
5. Chcę zostać sam . . . 384
XXIII. Karol Algernon Swinburne.
1. Zwątpienie . . . . . 384
2. Czas i pieśń . . . . . 385
3. Tryady . . . . . 386
XXIV. Robert Browning.
1. Paracelsus . . . . . 386
2. Fragment z poematu „Fifina na jarmarku“ . . . 387
XXV. Dante Gabryel Rossetti.
Śmierć w miłości . . . . 387
XXVI. Felicya Hemans.
Śpiewaj mi, matko! . . . 388
B) Poeci Stanów Zjednoczonych.
I. Shakburg.
Yankee doodle . . . . . 388
II. Wilhelm Cullen Bryant.
1. Mogiła . . . . . 389
2. Rok 1776 . . . . . 390
III. Jan Whittier.
Telegraf atlantycki . . . 390
IV. Henryk Longfellow.
1. Złota legenda . . . . 391
2. Z cyklu „Poemata niewolnictwa“.
1. Zbieg . . . . . 396
2. Sen niewolnika . . . 396
3. Chwast morski . . . 397
3. Z cyklu „Wędrowne ptastwo“.
1. Excelsior . . . . . 398
2. Wędrowne ptaki . . 398
3. Strzała i pieśń . . . 399
4. Śpiewacy . . . . . 399
5. Wiejski kowal . . . 400
V. Ryszard Henryk Stoddard.
1. Miłość . . . . . 400
2. W haremie . . . . . 400
3. Ptaszek . . . . . 401
VI. Edgar Allan Poe.
1. Kruk . . . . . 401
2. Dzwony . . . . . 403

Strona.

VII. NIEMCY.

I. Hans Sachs.
1. Różne dzieci Ewy . . 405
2. Dyabeł i stara baba . . 407
II. Fryderyk Spee.
Na cześć lata . . . . . 408
III. Marcin Opitz.
Z „Pieśni“ . . . . . 409
IV. Fryderyk Logau.
* * * . . . . . 410
V. Paweł Gerhardt.
1. Śpiew na cześć lata . . 411
2. Pieśń wieczorna . . . 411
VI. Paweł Fleming.
1. Wierne serce . . . . 412
2. Nowe postanowienie . . 412
VII. Angelus Silesius.
* * * . . . . . 412
VIII. Fryderyk Hagedorn.
Nadzieja i bojaźń. . . . 414
IX. Gottlob Wilhelm Rabener.
O zaszczytach powierzchowności. . . . . 414
X. Krystyn Gellert.
Kapelusz . . . . . 415
XI. Fryderyk Bogumił Klopstock.
Messyada. . . . . 416
XII. Salomon Gessner.
Pacierz staruszka . . . 420
XIII. Krzysztof Marcin Wieland.
Oberon . . . . . 422
XIV. Gotthold Efraim Lessing.
Emilia Galotti . . . . . 428
XV. Jan Gottfryd Herder.
1. Rodzeństwo . . . . . 433
2. Człowiek i cień . . . 434
XVI. Gottfryd August Bürger.
Lenora . . . . . 434
XVII. Jan Henryk Voss.
Mała szwaczka . . . . 437
XVIII. Jan Wolfgang Goethe.
1. Werther . . . . . 437
2. Faust . . . . . 440
3. Ifigenia w Taurydzie . 449
4. Herman i Dorota . . . 453
5. Uczeń czarnoksiężnika . 456
6. Zmienność . . . . . 457
XIX. Fryderyk Schiller.
1. Marya Stuart . . . . 458
2. Graf Habsburg . . . 466
3. Rezygnacya . . . . 468
4. Do radości . . . . . 470
5. Ideały . . . . . 471
6. Poeci starożytni . . . 472
XX. Franciszek Grillparzer.
1. Safo . . . . . 473
2. Idę sam . . . . . 475

Strona.

XXI. Teodor Körner.
Chrystus i Magdalena . 476
XXII. Albert Chamisso.
Epilog do pieśni . . . . 476
XXIII. Ludwik Uhland.
1. Klątwa pieśniarza . . . 478
2. Skon bohaterów . . . 480
XXIV. Fryderyk Rückert.
1. Anteusz . . . . . 481
2. Wiersze gnomiczne . . 481
XXV. Henryk Heine.
1. Pobojowisko pod Hastings 482
2. Z „Atta Troll“ . . . . 484
3. Księżniczka Ilza . . . . 484
4. Z „Księgi pieśni“ . . . 485
5. Z „Nowej wiosny“ . . . 487
XXVI. Emanuel Geibel.
1. Głos z za morza . . . 488
2. Przez niebios, ziem... . . 489
3. W lesie . . . . . 489
4. O świcie . . . . . 490
XXVII. August hr. Platen.
Chór majtków . . . . . 490
XXVIII. Józef Krystyn Zedlitz.
Przegląd nocny . . . . . 491
XXIX. Mikołaj Lenau.
1. Wspomnienie przechadzki 491
2. Primula Veris . . . . 492
3. Niagara . . . . . 493
4. Pieśni w sitowiu . . . 493
XXX. Justyn Kerner.
Wędrowiec przy tartaku . 494
XXXI. Jerzy Herwegh.
1. Śmierć trębacza . . . . 494
XXXII. Anastazy Grün.
Łzy mężczyzny . . . . . 495
XXXIII. Ferdynand Freiligrath.
Lew jeźdźcem . . . . . 496
XXXIV. Fryderyk Bodenstedt.
Zulejkha . . . . . 497
XXXV. Józef Wiktor Scheffel.
Historya proroka Jonasza . 498
XXXVI. Robert Hamerling.
Ahasverus. . . . . 498
XXXVII. Rudolf Baumbach.
1. Po siedmiu latach . . . 501
2. Kurz . . . . . 502
XXXVIII. Juliusz Wolff.
Trzy dziewoje . . . . . 502

VIII. HOLANDYA.

I. Jost van den Vondel.
Ustęp z poematu Nurty Renu 503
II. Wilhelm Bilderdijk Tijm.
W samotności wieczorem . 504
III. Mikołaj Beets.
Gdy dzieci podrosną . . . 505
IV. Henryk Jan Schimmel.
Swoboda . . . . . 506

Strona.

V. H. J. A. M. Schaepman.
Vondel . . . . . 507
VI. W. L. Welter.
Cichy ból . . . . . 508
VII. Soera Rana (Terburgh).
Trzy klejnoty . . . . . 508
VIII. Laurillard.
Kościołek . . . . . 508
IX. Ludwika Stratenus.
Pieśń ludowa . . . . . 509
X. Albert Verwey.
Misterya gwiazd . . . . 509
XI. G. Jonckbloet.
Przy śmierci matki . . . 510
XII. K. M. Pol. De Mont.
Dopókiż . . . . . 510
XIII. Helena Swart.
Rada . . . . . 510

IX. SKANDYNAWIA.

A) Szwecya.
I. Olof Dalin . . . . . 511
II. Izajasz Tegner.
1. Gwiazdy . . . . . 511
2. Frytjof, saga skandynaw. 512
III. Eryk Jan Stagnelius.
Niebo . . . . . 516
IV. Eryk Sjöberg (Vitalis).
Rezygnacya . . . . . 517
V. Karol Wilhelm Strandberg.
Wyjaśnienie . . . . . 518
VI. Karol XV-ty.
1. Dwoje oczu . . . . . 518
2. Głosy wieczora . . . . 519
VII. Wiktor Hugo Wickström.
Puszek śnieżny . . . . . 519
B) Dania.
I. Ludwik Holberg.
Konwisarz polityk . . . . 519
II. Jan Ewald.
Bohaterowie Danii . . . . 522
III. Adam Oehlenschlaeger.
Hagbart i Sygna . . . . 523
IV. Hans Chrystyan Andersen.
1. Dziecię umierające . . . 526
2. Fiołek marcowy . . . 526
3. Koszałki — opałki . . 527
V. Chrystyan Arentzen.
Baśń i prawda . . . . . 527
C) Norwegia.
I. Jan Nordahl-Brun.
Górą Norwegia . . . . . 528
II. Björnstjerne Björnson.
1. Piosnka . . . . . 529
2. Nils Fian . . . . . 529
3. Nowożeńcy . . . . . 530
III. Henryk Ibsen.
1. Ptak i ptasznik . . . . 533

Strona.

2. Terje Wigen . . . . . 534
3. Sygnały Północy . . . 535
4. Budowniczy Solness . . 536
D) Islandya.
I. Thorsteinson.
Życzenie . . . . . 539
II. Thomsen.
Nimfy leśnej czarowna pieśń 539

X. SŁOWIAŃSZCZYZNA.

A) Poeci chorwaccy.
I. Zygmunt Menczetić Vlachović.
Z pieśni miłosnych. . . . 540
II. Jerzy Držić . . . . . 540
III. Sabo Bobaljević.
1. Cyganka do pani . . . 541
2. Zdradzony . . . . . 541
IV. Mikołaj Naljeszković.
Z pieśni maskaradowych . 542
V. Dinko Zlatarić.
Z pieśni lirycznych . . . 542
VI. Jan Gundulić.
Z eposu „Osman“ . . . . . 542
VII. Wł. Menczetić.
Skarga Pradmiła na wilę . 546
VIII. Mikołaj i Piotr Zrinsky.
Z oblężenia Sigetu . . . 546
IX. Franc. Krzysztof Frankopan.
Napitnica (Toast) . . . . 547
X. Stanko Vraz.
Spowiedź . . . . . 547
XI. Piotr Preradović.
1. Hymn . . . . . 548
2. Umarła miłość . . . . 549
3. Poeta . . . . . 549
4. Cztery zdroje . . . . 550
XII. Jan Mažuranić.
Śmierć Smail-agi Czengicza . 550
XIII. August Szenoa.
Kwiat . . . . . 552
XIV. Franciszek Markowić.
Z poematu „Dom i świat“ . 553
XV. Józef Eugeniusz Tomić.
Raniony orzeł . . . . . 553
XVI. August Harambasić.
Moje serce . . . . . 554
B) Poeci czescy.
I. Z „Rękopisu królodworsk.“
1. Zabój, Sławój i Ludiek . 554
2. Wianek . . . . . 556
II. Jan Kollar.
Z „Córy sławy“ . . . . 556
III. Franciszek Ł. Czelakovsky.
Z róży stulistnej . . . . 557
IV. Bolesław Jablonsky.
Pieśniarz w obcej ziemi . . 558
V. Karol Ignacy Macha.
Maj (poemat) . . . . . 558

Strona.

VI. Witosław Halek.
Z wieczornych pieśni . . . 563
VII. Jan Neruda.
1. Ostatnia balada z roku dwa tysiące i kilka . . 564
2. Romanca . . . . . 564
VIII. Świętopełk Czech.
Fantazya morska . . . . 564
IX. Jarosław Vrchlicky (Frida).
1. Ze zbioru „Duch i świat“. 568
2. Z cyklu „Motyle wszystkich barw“ . . . . . 569
3. Amarus, legenda klasztor. 570
4. Gobelin markizy . . . 571
X. Juliusz Zeyer.
1. Białemu domkowi w starym ogrodzie . . . . 572
2. Proroctwo . . . . . 573
XI. Eliza Krasnohorska.
1. Przyjście wiosny . . . 573
2. Samotność w puszczy . 573
XII. J. S. Machar.
Romanca o moim przyjacielu 574

C) Poeci słowaccy.
I. Samuel Chalupka.
Junak . . . . . 575
II. Wilhelm Pauliny-Tóth.
Słowacy . . . . . 576
III. Swietozar Hurban-Wajanski.
Pociecha . . . . . 576

D) Poeci łużyccy.
I. Andrzej Zejler.
1. Czary dziewicze . . . 577
2. Boże sedleszko . . . . 577
II. Ciszíński (Jakób Bart).
1. Lubin . . . . . 577
2. Omnia vana . . . . . 578
III. Mato Kósyk.
Indyanka . . . . . 578

E) Pocci rosyjscy.
I. Gabryel Dierżawin.
Bóg (Oda nieco skrócona) . 579
II. Jan Kryłow.
1. Małpa i lustro . . . . 581
2. Osieł i słowik . . . . 581
III. Bazyli Żukowski.
Morze . . . . . 582
IV. Aleksander Grybojedow.
Biada temu, kto ma rozum (komedya). . . . . 583
V. Aleksander Puszkin.
1. Szatan . . . . . 585
2. Prorok . . . . . 585
3. Z epigramatów . . . . 586
4. Eugeniusz Oniegin (poemat satyr.-obyczajowy) . 586
VI. Michał Lermontow.
1. Żagiel . . . . . 588

Strona.

2. Prorok . . . . . 589
3. Duma . . . . . 589
4. Miłość pośmiertna . . . 590
5. Na łonie przyrody . . . 590
6. Demon (pow. wschodnia) 591
VII. Mikołaj Gogol.
Rewizor (komedya) . . . 593
VIII. Mikołaj Niekrasow.
Kolej żelazna . . . . . 596
IX. Szymon Nadson . . . . 597

F) Poeci małoruscy.
I. Taras Szewczenko.
1. Najemnica . . . . . 598
2. Pustka . . . . . 599
II. Platon Kostecki.
Z poematu „Lirnik“ . . . 600

G) Poeci słoweńscy.
I. Walenty Wodnik.
Konie niemiecki i słoweński (bajka) . . . . . 601
II. Franciszek Preszern.
Rybak . . . . . 601
III. Szymon Jenko.
Dzieje słoweńskie . . . . 602
IV. Szymon Gregorczicz.
Raj utracony . . . . . 602
V. A. Aszkerc.
Trzej podróżni . . . . . 603

H) Poeci serbscy.
I. Dositeusz Obradowicz.
Na powstanie Serbii r. 1804 603
II. Branko Radiczewicz.
Gdym był blizki śmierci . 604
III. Zmaj Jowan Jowanowicz.
1. Z „Róż zwiędłych“ . . 604
2. Bildung (Satyra) . . . 604

I) Poeci bulgarscy.
I. Jan Wazow.
1. W nadziei . . . . . 605
2. Wołow . . . . . 605
3. Do * * * . . . . . 605
II. Sław Kesiakow.
Głos z grobu. (Z „Pieśni wojennych“) . . . . . 605

XI. LITWA.

I. Z pieśni ludowych (Dajnos).
1. Sierota . . . . . 606
2. Kruk . . . . . 606
3. Gody . . . . . 606
4. Narzeczona . . . . . 607
5. Pogoń . . . . . 607
6. Wianek . . . . . 607
7. Wesele wilka . . . . 607
II. Chrystyan Donalitius.
Z poematu „Rok“ . . . . 608

Strona.

XII. GRECYA NOWOŻYTNA.

I. Konstantyn Rhigas.
Pieśń wojenna Hellenów. . 611
II. Atanazy Christopulos.
1. Wyrocznia . . . . . 612
2. Tęsknota . . . . . 612
III. Delvigniotti.
Matka i dziecię. . . . . 612
IV. Aleksander Rhizos Rhangawis (Rangabé).
Wędrownica . . . . . 613

XIII. WĘGRY.

I. Aleksander (Szandor) Kisfaludy.
Z cyklu „Pieśni Helfyego“. 614
II. Daniel Berzsenyi.
Melancholia . . . . . 615
III. Michał Vörösmarty.
Bezdomny (Wygnaniec) . . 616
IV. Józef Eötvös.
1. Sierota . . . . . 616
2. Spoczynek . . . . . 617
V. Aleksander (Szandor) Petöfi.
1. Poeta i wino . . . . 618
2. Obdarci rycerze . . . . 618
3. Pieśń junaka węgier. . . 618
4. Wiosna 1849 . . . . . 619
5. Na Dunaju . . . . . 619
6. W nocy . . . . . 619

Strona.

7. Rzemiosło ojca i moje . 620
8. Janosz Witeż . . . . 620
VI. Jan Arany.
Bój Hunnów („Kewehaza“). 622
VII. Ludwik Doczy.
Sonet . . . . . 624

XIV. TURCYA.

I. Mesihi.
Pieśń wiosenna . . . . . 624
II. Mahmund Abdu-l Baki.
Gazele . . . . . 625

XV. FINLANDYA.

Kalewala . . . . . 626

XVI. JAPONIA.

I. Anon.
1. Rybak Uraszyma . . . 629
2. Miłość . . . . . 630
II. Furubi.
Siedem klejnotów . . . . 630
III. Sosei.
1. Wiosna . . . . . 630
2. Zapomnienie . . . . . 631
IV. Toszyjuki.
Jesień . . . . . 631
V. Bezimienny.
Żebra i skóra (krotochwila). 631

# SKOROWIDZ NAZWISK AUTORÓW

i główniejszych dzieł bezimiennych.

(Liczba rzymska oznacza tom „Obrazu lit. pow.“, liczba arabska stronicę; przy nazwiskach liczby rzymskie z literą *w.* oznaczają wiek (stulecie), w którym żył autor, a liczby arabskie wskazują rok urodzenia i śmierci).


Abreu Kazimierz de. 1837—1859 . . . . . II. 132
Abu Firas w. X. . . . . I. 492
Abul Kasim Mansur Firdusi. 940—1030 . . . . . I. 494
Alceusz w. VII—VI przed Chr. I. 116
Alecsandri Bazyli ur. 1821. . II. 285
Alfieri Wiktor 1749—1803 . II. 45
Almeida-Garrett Jan Chrzciciel 1799—1854 . . . . . II. 130
Ambroży św. 340—397 . . . I. 321
Amrolkais albo Imruulkais. w. VI. . . . . I. 485
Anakreon w. VI—V przed Chr. I. 120
Andersen Hans Chrystyan. 1805—1875 . . . . . II. 526
Angelus Silesius (Anioł Szlązak) ob. Scheffler Jan.
Anon w. IX. . . . . II. 629
Antara w. VI—VII. . . . . I. 484
Arany Jan 1817—1882 . . . II. 623
Arenbergh Emil van (współcz.) II. 283
Arentzen Chrystyan ur. 1823. II. 527
Arnault Antoni Wincenty. 1766—1834 . . . . . II. 197
Arnaut de Carcasses w. XIII. I. 351
Arnold Daniel w. XII. . . . I. 341
Aryost Ludwik 1474—1533 . II. 7
Arystofanes 450—385 prz. Chr. I. 184
Aszkerc A. ur. 1856. . . . II. 603
Aubanel Teodor 1829—1886. II. 276
Aubigné Teodor Agrypa de. 1551—1630 . . . . . II. 137
Augier Emil 1820—1889 . . II. 253
Auzoniusz 310—390 . . . . I. 313
Bakchilides w. V. przed Chr. I. 124
Baki Abdu-l Mahmud † 1600. II. 625
Banville Teodor ur. 1823 . . II. 248
Bart Jakób ur. 1856. . . . II. 577
Baudelaire Karol 1821—1867. II. 260
Baumbach Rudolf ur. 1840 . II. 501
Beaumarchais Piotr Augustyn Caron de 1732—1799 . . II. 188
Beets Mikołaj ur. 1814 . . . II. 505
Belleau Remy 1528—1577 . II. 138
Bello Andrzej 1781—1865 . II. 117
Ben Jemin Ferjumendi † 1345 I. 502
Béranger Jan Piotr 1780—1857 II. 209
Bernard św. 1091—1153 . . I. 325
Bernard de Ventadorn. 1140—1195 . . . . . I. 326
Berzsenyi Daniel 1776—1836. II. 615
Bertrand de Born w. XII. . . I. 341
Bhartrihari w pierwszych wiekach po Chr. . . . . I 26
Bhawabhuti w. VII czy VIII. I. 39
Bilderdijk Tijm Wilhelm. 1756—1831 . . . . . II. 504
Bion w. III przed Chr. . . . I. 209
Björnson Björnstjerne ur. 1832 II. 529
Bobaljewić Sabo 1530—1585. II. 541
Bodenstedt Fryderyk. 1819—1892 . . . . . II. 497
Boileau Despréaux Mikołaj. 1636—1711 . . . . . II. 167
Bokacyusz (Boccaccio) Jan. 1313—1375 . . . . . I. 408
Bolliac (Boljac) Cezar. 1813—1881 . . . . . II. 284
Bonawentura św. 1221—1274. I. 327.
Browning Robert 1812—1890. II. 386
Brun Jan Nordahl 1745—1816. II. 528
Bryant William Cullen. 1794—1878 . . . . . II. 389

Buonarotti Michał Anioł. 1515—1563 . . . . . II. 16
Bürger Gottfryd August. 1748—1794 . . . . . II. 434
Burns Robert 1759—1796 . . II. 336
Byron Jerzy 1788—1824 . . II. 348
Calderon de la Barca Piotr. 1600—1681 . . . . . II. 87
Camões Ludwik 1524—1580 . II. 122
Campanella Tomasz. 1568—1639 . . . . . II. 28
Campoamor Ramon de ur. 1817 II. 109
Carducci Giosuè ur. 1836 . . II. 64
Carvalho e Araujo Aleksander Herculano 1810—1877 . . II. 131
Castillejo Krzysztof 1490-1556 II. 70
Castro Alves 1847—1871 . . II. 134
Cervantes de Saavedra Michał. 1547—1616 . . . . . II. 73
Chalupka Samuel 1792—1839 II. 575
Chamisso Adalbert 1787—1838
Chateaubriand Franciszek René de 1768—1848 . . . II. 198
Châtelain de Coucy w. XII. . I. 366
Chaucer Geoffrey † 1400 . . I. 459
Chénier Andrzej 1762—1794 . II. 196
Chrestien de Troyes w. XII . I. 362
Christopulos Atanazy. 1772—1847 . . . . . II. 612
Cisziński ob. Bart Jakób.
Coppée Franciszek ur. 1842 . II. 265
Corneille Piotr 1606—1684 . II. 139
Cossa Piotr 1830—1881 . . II. 60
Crespo Alves 1846—1883 . . II. 133
Czech Świętopełk ur. 1846 . II. 564
Czelakowsky Franciszek Ładysław 1794—1852 . . . II. 557
Dalin Olof 1708—1762. . . II. 511
Dante Alighieri 1265—1321 . I. 380
Delille Jakób 1738—1813 . . II. 192
Delvigniotti (współcz.) . . . II. 612
Dierżawin Gabryel 1743—1816 II. 579
Doczy Ludwik ur. 1842 . . II. 624
Donalitius Chryst. 1714—1780 II. 608
Dryden Jan 1631—1700 . . II. 327
Držić Jerzy 1460—1510 . . II. 540
Du-fu albo Tu-fu w. VIII. . I. 3
Dżami ob. Mewlana Dżami.
Dżelaleddin Rumi 1207—1262 I. 498
Eckehard w. X. . . . . I. 330
Eguilas Ludwik 1830—1874 . II. 112
Enniusz 239—169 przed Chr. . I. 222
Eötvös Józef 1813—1871 . . II. 617
Erynna w. VI—V. przed Chr. I. 117
Eschenbach Wolfram von. w. XII—XIII. . . . . I. 446
Eschilos 525—456 przed Chr. I. 133
Espronceda Józef de 1810-1842 II. 106
Eurypides 480—406 przed Chr. I. 173
Ewald Jan 1743—1781 . . . II. 522
Faur de Pibrac Gui du. 1529—1582 . . . . . II. 136
Fedrus w. I. po Chr. . . . . I. 305
Filicaja Wincenty 1642—1707 II. 38
Firdusi ob. Abul Kasim Mansur.
Fleming Paweł 1609—1640 . II. 412
Foscolo Hugo 1778—1827 . . II. 50
Franciszek św. z Asyżu. 1182—1226 . . . . . I. 379
Frankopan Franciszek Krzysztof † 1671 . . . . . II. 547
Freidank w. XIII . . . . . I. 458
Freiligrath Ferdynand. 1810—1876 . . . . . II. 496
Froissart Jan 1337—1410 . . I. 370
Furubi w. IX. . . . . II. 630
Gaucelm Faidit w. XII. . . I. 346
Gautier Teofil 1808—1872. II. 246
Geibel Emanuel 1815—1884. II. 488
Gellert Chrystyan 1715—1769 II. 415
Gerhardt Paweł 1606—1676 . II. 411
Gessner Salomon 1730—1787. II. 420
Giusti Józef 1809—1850 . . II. 56
Goethe Jan Wolfgang. 1749—1832 . . . . . II. 437
Gogol Mikołaj 1809—1852 . II. 593
Gregorczicz Szymon (współcz.) II. 602
Grilparzer Franc. 1791—1872.
Grün Anastazy (hr. Auersperg) 1806—1876 . . . . . II. 495
Grybojedow Aleksander. 1794—1829 . . . . . II. 583
Grzegorz Wielki papież. 540—604. . . . . I. 324
Guimerà Anioł (współcz.) . . II. 116
Guiraut de Borneil 1175—1220 I. 343
Gundulić Jan 1588—1638 . . II. 542
Gutierrez Jan Marya ur. 1809 II. 119
Hagedorn Fryderyk. 1708—1754 . . . . . II. 414
Hafis ob. Szemseddin Hafis.
Halek Witosław 1835—1874 . II. 563
Hamerling Robert 1830—1889 II. 498
Harambaszić August ur. 1861 II. 554
Haraucourt Edmund (współcz.) II. 270
Hartmann von der Aue. w. XII—XIII . . . . . I. 450
Heine Henryk 1797—1856 . . II. 482
Heliodor w. IV. . . . . I. 217
Hemans Felicya 1794—1835 . II. 388
Herder Jan Gottfryd 1744-1803 II. 433
Heredia Józef Marya de ur. 1842 II. 271
Herwegh Jerzy 1817—1875 . II. 494
Hezyod w. VIII czy VII pr. Chr. I. 105
Holberg Ludwik 1684—1754 . II. 519
Homer w. IX czy VIII prz. Chr. I. 71
Hood Tomasz 1798—1845 . . II. 377
Horacyusz Flaccus 65—8 przed Chr. . . . . I. 273
Hroswita w. X. . . . . I. 334

Hugo Wiktor 1802—1885 . . II. 212
Hurban-Wajanski Swietozar ur. 1847 . . . . . II. 576
Ibn-ul-Abbar w. XIII. . . . I. 472
Ibsen Henryk ur. 1828 . . . II. 533
Imruulkais obacz Amrolkais.
Izajasz † około 695 prz. Chr. I. 68
Jabłońsky Bolesł. 1813—1881 II. 558
Jakób z Todi 1240—1306 . . I. 327
Jasmin Jakób 1798—1864 . . II. 274
Jaufre Rudel w. XII. . . . I. 339
Jenko Szymon (współcz.) . . II. 602
Jeremiasz w. VII—VI prz. Chr. I. 68
Jonckbloet G. (współcz.) . . II. 510
Jonson Ben(jamin) 1573—1637 II. 318
Jordi w. XIII . . . . . I. 350
Jowanowicz Zmaj Jowan. ur. 1833 . . . . . II. 604
Juwenalis Junius 47—130 . . I. 308
Kalidasa w pierwszych wiekach po Chr. . . . . I. 29
Kalimach 310—235 przed Chr. I. 211
Kallinos w. VII przed Chr. . I. 112
Karol ks. Orleański 1391—1465 I. 371
Karol XV 1826—1872 . . . II. 519
Katullus 87—57 przed Chr. . I. 245
Keats Jan 1796—1821 . . . II. 344
Kerner Justyn 1786—1862 . II. 494
Kesiakow Sław (współcz.) . . II. 605
Kisfaludy Aleksander. 1772—1844 . . . . . II. 614
Klaudyan Klaudyusz w. IV. . I. 314
Klopstock Fryderyk Gottlieb. 1724—1803 . . . . . II. 416
Kollar Jan 1793—1852 . . . II. 556
Körner Karol Teodor. 1791—1813 . . . . . II. 476
Kostecki Platon (współcz.). . II. 600
Kósyk Mato (współcz.) . . . II. 578
Krasnohorska Eliza ur. 1847 . II. 573
Kryłow Jan 1768—1844 . . II. 581
Lafontaine Jan de 1621—1695 II. 169
Lamartine Alfons de. 1790—1869 . . . . . II. 202
Laurillard w. XIX. . . . . II. 508
Leconte de Lisle Karol Marya 1818—1894 . . . . . II. 249
Lemene Franciszek de. 1626—1704 . . . . . II. 38
Lenau Mikołaj 1802—1850 . II. 491
Leopardi Jakób 1798—1837 . II. 53
Lermontow Michał 1814—1841 II. 588
Lessing Gotthold Efraim. 1729—1781 . . . . . II. 428
Li-taj-bo albo Li-tai-pe w. VIII I. 3
Logau Fryderyk 1604—1655 . II. 410
Longfellow Henryk 1807—1882 II. 391
Lozano Abigail ur. 1823 . . II. 120
Lukan 39—65 . . . . . I. 298
Lukrecyusz Carus 98-55 pr. Chr. I. 239
Macha Karol Ignacy. 1810—1836 . . . . . II. 558
Machar J. S. (współcz.) . . II. 574
Macpherson Jakób 1738—1796 II. 335
Maeterlinck Maurycy (współ.). II. 280
Malherbe Franciszek de. 1555—1628 . . . . . II. 138
Mallarmé Stefan (współcz.) . II. 272
Manzoni Aleksander. 1785—1873 . . . . . II. 52
Marcabrus w. XII. . . . . I. 338
Marcyalis 42—102. . . . . I. 306
Marini Jan Chrzciciel. 1569—1625 . . . . . II. 32
Markowić Franciszek ur. 1845 II. 553
Marlowe Krzysztof † 1593 . II. 299
Marot Klemens 1495—1544 . II. 135
Mażuranić Jan 1813—1890 . . II. 550
Menczetić Zygmunt 1457—1501 II. 540
Menczetić Władysław † 1666 . II. 546
Mesihi † 1512 . . . . . II. 624
Metastasio ob. Trapassi Piotr.
Mewlana Dżami w. XV. . . I. 504
Milton Jan 1608—1674 . . . II. 319
Mimnermos w. VII. przed Chr. I. 114
Mistral Fryderyk ur. 1830 . . II. 276
Mitre Bartłomiej ur. 1821 . . II. 119
Molière Jan Poquelin. 1622—1673 . . . . . II. 146
Mont Pol. K. M. de ur. 1859 . II. 510
Moore Tomasz 1780—1852 . II. 373
Moreto Augustyn † 1669 . . II. 100
Moschos w. II. przed Chr. . . I. 210
Moslicheddin Saadi † 1291 . . I. 500
Moty Ibn Ajas w. VIII. . . I. 491
Musset Alfred de 1810—1857 II. 237
Muzeusz w. V. . . . . I. 214
Nadson Szymon 1862—1888 . II. 597
Naljeszkowić Mikołaj † 1587 . II. 542
Negruzzi Jakób ur. 1843 . . II. 288
Neruda Jan 1834—1892 . . II. 564
Niekrasow Mikołaj 1822—1876 II. 596
Nuñez de Arce Kacper ur. 1834 II. 110
Obradowicz Dositeusz. 1739—1811 . . . . . II. 603
Oehlenschlaeger Adam. 1779—1850 . . . . . II. 523
Omar Chajjam † 1123 . . . I. 497
Opitz Marcin 1597—1639 . . II. 409
Owidyusz Nazo 43 przed Chr. † 17 po Chr. . . . . I. 286
Parini Józef 1729—1799 . . II. 44
Pauliny-Tóth Wilhelm. 1826—1877 . . . . . II. 576
Paweł Dyakon w. VIII. . . I. 325
Penha Jan ur. 1839 . . . . II. 132
Persyusz 34—62 . . . . . I. 300
Petőfi Aleksander 1822—1849 II. 618
Petrarka Franc. 1304—1374 . I. 403
Petroniusz w. I. . . . . I. 301

Peyrols 1180—1225 . . . . I. 345
Pindar 522—448 przed Chr. . I. 126
Piotr Cardinal w. XII—XIII . I 349
Platen August 1796—1835 . II. 490
Plaut Maccius 254—184 pr. Chr. I. 223
Poe Edgar Allan 1809—1849 II. 401
Pope Aleksander 1688—1744 . II. 331
Prati Jan 1815—1884 . . . II. 59
Preradowić Piotr 1818—1872 . II. 548
Preszern Franc. 1809—1849 . II. 601
Propercyusz 49—15 przed Chr. I. 252
Prudencyusz 348—410 . . . I. 321
Pulci Aloizy (Luigi) 1432—1484 . . . . . II. 3
Puszkin Aleksan. 1799—1837. II. 585
Quesnes de Béthune † 1224 . I. 364
Rabener Gottlob Wilhelm. 1714—1771 . . . . . II. 414
Racine Jan 1639—1699 . . . II. 160
Radiczewicz Branko. 1824—1853 . . . . . II. 604
Rana Soera ob. Terburgh.
Redi Franciszek 1624—1694 . II. 38
Rhangawis (Rangabé) Aleksander Rhizos 1810—1892. . II. 613
Rhigas Konstantyn † 1798 . II. 611
Ronsard Piotr 1525—1585 . . II. 137
Rossetti Dante Gabryel. 1824—1882 . . . . . II. 387
Roumanille Józef 1818—1891 II. 275
Rousseau Jan Jakób. 1712—1778 . . . . . II. 180
Rückert Fryderyk 1788—1866 II. 481
Rueda Lope de † 1566 . . . II. 71
Ryszard Lwie Serce † 1199 . I. 342
Saadi ob. Moslicheddin Saadi.
Sa de Miranda Franciszek. 1495—1558 . . . . . II. 122
Sachs Hans 1494—1576 . . II. 405
Safona w. VI. przed Chr. . . I. 115
Savaric de Malleo w XIII. . I. 347
Schaepman G. J. A. M. ur. 1844 . . . . . II. 507
Scheffel Józef Wiktor. 1826—1888 . . . . . II. 498
Scheffler Jan 1624—1677 . . II. 412
Schiller Krzysztof Fryderyk. 1759—1805 . . . . . II. 458
Schimmel Henryk Jan ur. 1824 II. 506
Scott Walter 1771—1832 . . II. 340
Serra Joachim w. XIX . . . II. 134
Shakburg w. XVIII. . . . . II. 388
Shakespeare ob. Szekspir.
Shelley Percy Bysshe. 1792—1822 . . . . . II. 366
Sidney Filip 1554—1586 . . II. 290
Sjöberg Eryk 1794—1828 . . II. 518
Smil Flaszka z Pardubic † 1403 I. 472
Sofokles 496—406 przed Chr. I. 151
Sosei w. IX. . . . . II. 630
Spee Fryderyk 1591—1635 . II. 408
Spenser Edmund 1553—1599 . II. 291
Stagnelius Eryk Jan. 1793—1823 . . . . . II. 517
Stoddard Ryszard Henryk. ur. 1825 . . . . . II. 400
Strandberg Karol Wilhelm. 1818—1871 . . . . . II. 518
Stratenus Ludwika ur. 1852 . II. 509
Sully Prudhomme René Franciszek Armand ur. 1839 . II. 263
Swahn Christer ob. Wickström Wiktor Hugo.
Swart Helena ur. 1859 . . . II. 511
Swift Jonatan 1667—1745 . . II. 330
Swinburne Algernon Karol. ur. 1837 . . . . . II. 384
Sylva Carmen — Elżbieta królowa rumuńska ur. 1843 . II. 288
Symonides z Ceos 556 — 468 przed Chr. . . . . I. 122
Szanfary w. VII . . . . . I. 488
Szekspir William 1564—1616. II. 303
Szemseddin Hafis † 1389 . . I. 503
Szenoa August 1838—1881 . II. 552
Szerbanescu Teodor ur. 1839. II. 287
Szewczenko Taras 1814—1861 II. 598
Tasso Torquato 1544—1595 . II. 18
Tassoni Aleksander. 1565—1635 . . . . . II. 28
Tegner Izajasz 1782—1846 . II. 512
Tennyson Alfred 1810—1892 . II. 379
Teobald król nawarski. 1201—1253 . . . . . I. 367
Teognis w. VI. przed Chr. . I. 118
Teokryt w. III. przed Chr. . I. 202
Terburgh Soera ur. 1845 . . II. 508
Terencyusz Afer 185 — 159 przed Chr. . . . . I. 236
Thomsen w. XIX . . . . . II. 539
Thorsteinson w. XIX. . . . II. 539
Tomasz z Akwinu św. 1226—1274 . . . . . I. 326
Tomić Józef Eugeniusz ur. 1843 II. 553
Toszyjuki w. IX. . . . . II. 631
Trapassi Piotr Metastasio. 1698—1782 . . . . . II. 39
Tu-fu obacz Du-fu.
Tybullus 54—19 przed Chr. . I. 249
Tyrteusz w. VI. przed Chr. . I. 113
Uhland Ludwik 1787—1862 . II. 478
Vega Garcilaso de la. 1503—1536 . . . . . II. 69
Vega Feliks Lope de. 1562—1635 . . . . . II. 81
Verdaguer Hiacynt ur. 1845 . II. 114
Verlaine Paweł 1844—1896 . II. 273
Verwey Albert (współcz.) . . II. 509
Vigny Alfred de 1799—1863 . II. 230
Villon Franciszek 1431 ok. 1490 I. 373

Vogelweide Walter von der. w. XII—XIII. . . . . I. 453
Voltaire, właściwie Franciszek Arouet 1694—1778 . . . II. 170
Vondel Jost van den. 1587—1679 . . . . . II. 503
Vörösmarty Michał 1800—1855 II. 616
Voss Jan Henryk 1751—1826 II. 437
Vrchlicky Jarosław ur. 1853 . II. 568
Waddah w. VII—VIII. . . I. 490
Walter von der Vogelweide w. XII—XIII . . . . . I. 453
Wazow Jan ur. 1850 . . . II. 605
Welter W. L. ur. 1849 . . . II. 508
Wenancyusz Fortunat 536-600 I. 323
Wergiliusz Maro 70—19 pr. Chr. I. 254
Whyttier Jan ur. 1807 . . . II. 390
Wickström Wiktor Hugo. ur. 1850 . . . . . II. 519
Wieland Krzysztof Marcin. 1733—1813 . . . . . II. 422
Wodnik Walenty 1758—1819 II. 601
Wolfram z Eschenbachu. w. XII—XIII. . . . . I. 446
Wolff Juliusz ur. 1834 . . . II. 502
Wolter ob. Voltaire.
Wordsworth William. 1770—1850 . . . . . II. 339
Wraz Stanko 1810—1851 . . II. 547
Wyatt Tomasz 1503—1542 . II. 289
Young Edward 1681—1765 . II. 333
Yriarte Tomasz de 1750—1791 II. 106
Zedlitz Chrystyan Józef. 1790—1862 . . . . . II. 491
Zejler Andrzej 1804—1872 . II. 577
Zendrini Bernardino 1839-1879 II. 59
Zeyer Juliusz ur. 1841 . . . II. 572
Zlatarić Dinko ur. 1566 . . II. 542
Zorrilla Józef de 1817—1893 . II. 107
Zrinsky Piotr 1621—1671 . . II. 546
Żukowski Bazyli 1783—1853 . II. 583

### Ważniejsze utwory bezimienne.

Beowulf w. VII. . . . . I. 418
Duch Williama, ballada w. XVI II. 290
Edda w. XII. . . . . I. 421
Gudrun w. XIII. . . . . I. 439
Hiob w. VIII. przed Chr. . . I. 55
Kaznodzieja (Kohelet) z czasów Aleksandryjskich . . . . I. 62
Mahabharata . . . . . I. 9
Patelin w. XV. . . . . I. 375
Pieśń o Nibelungach w. XII. . I. 426
Pieśń o Rolandzie w. XI. . . I. 354
Pieśni lud. litewskie (Dajnos) II. 606
Poemat o Cydzie w. XII. . . I. 413
Ramajana. . . . . I. 21
Rękopis królodworski w. XIX. II. 554
Rigveda . . . . . I. 6
Wyprawa Igora w. XII. . . I. 476
Zend-Awesta . . . . . I. 43

# DOPEŁNIENIA.

W tomie I, str. 272 przy końcu dodać: Sielanki Wergiliusza były trzykrotnie tłómaczone na język polski, przez J. Lipińskiego (1805, nowe wyd. 1894), Jana Gorczyczewskiego (1821), Marcelego Mottego (1852).

W tomie II, str. 212 przed napisem Wiktor Hugo dodać: Piosenki Bérangera przekładali: Wł. Syrokomla i Winc. Korotyński (Wilno, 1859), Mik. Biernacki (Kraków, 1876, Lwów, 1882), Ludwik Kozłowski (Kraków, 1884).

W tomie II, str. 344 przed napisem Jan Keats dodać: Poemata Walter Scotta tłómaczyli: Karol Sienkiewicz »Pani jeziora«, (Warszawa, 1822); A. E. Odyniec: »Dziewica z jeziora« (1838), »Pieśń ostatniego minstrela« (1842); Marya Ilnicka »Pan dwóch-set wysp« (Warszawa, 1855), Karol Kruzer »Rokeby«, »Harold nieustraszony«, »Zaręczyny Triermaina«, »Widzenie don Roderyka« w I-szym i II-gim tomie jego »Przekładów i rymów własnych«, (Warszawa. 1876).

Tom II, str. 366 przed napisem: Percy Bysshe Shelley: Tłómaczeń Byrona mamy znaczną liczbę; wymienimy z nich główniejsze tylko: »Wędrówki Childe-Harolda« w całości przełożyli: Michał Budzyński (1857), Fryderyk Krauze (1872), Jan Kasprowicz (1895), A. A. Krajewski, (Kraków, 1896), »Don Juana« w całości przetłómaczył Edward Porębowicz (Warszawa, 1885); wiele pieśni z tegoż poematu Wiktor Bawo-

rowski poczynając od r. 1863; »Manfreda« przełożyli: Edm. Bojanowski (1835 r.), J. Paszkowski (1842) Fr. Morawski (1853), Michał Chodźko (1860), »Kaina« J. Paszkowski (1842 r.) i A. Pajgert (1868 r.) »Giaura« A. Mickiewicz (1835 r.), »Korsarza«, »Narzeczoną z Abydos«, »Niebo i ziemię«, »Mazepę« A. E. Odyniec (1838-43), »Larę« Julian Korsak (1833) i Karol Kruzer (1876), »Paryzynę« Ignacy Szydłowski (1834) i Fr. Morawski (1853), »Wyspę« Antoni Zawadzki (1846), Adam Pajgert (1859), »Wernera« Antoni Zawadzki (1846), »Sardanapala« Fr. Krauze (1873). »Dwie tragedye historyczne« Feliks Jezierski (1889 r.). Zbiorowe wydanie »Poematów« w tłómaczeniu różnych wyszło w Warszawie r. 1895.

# SPROSTOWANIA.

## Tom I.

| Str. | wiersz | | zamiast | powinno być |
|---|---|---|---|---|
| IV. | 9 | od dołu | zawsze | zawrze |
| 20 | 19 | „ | Tych | Twych |
| 47 | 21 | „ | mężowi | wężowi |
| 80 | 26 | od góry | zdun | zdun |
| 80 | 8 | od dołu | wstawić należy podpis: *Stanisław Mleczko.* | |
| 82 | 15 | od g. | Patroklesa | Patroklosa |
| 101 | 15 | „ | Szmaczniński | Smaczniński |
| 104 | 16 | „ | nogolenniki | nagolenniki |
| 112 | 19 | „ | mniej | umiej |
| 148 | 10 | od dołu | wyrobu | wyroku |
| 154 | 13 | od góry | w wozu | z wozu |
| 192 | 3 | „ | przewódcy | przewódcę |
| 198 | 2 | od dołu | Hermesa | Hadesa |
| 201 | 7 | od g. | pzoponuje | proponuje |
| 240 | 15 | od d. | ffianassy | Ifianassy |
| 245 | 23 | od g. | trwardą | twardą |
| 260 | 18 | od góry | mutkę | matkę |
| 271 | 4 | „ | popadły | podpadły |
| 288 | 10 | „ | ro | to |
| 322 | 7 | „ | kwi | krwi |
| 331 | 1 | „ | biegii | biegli |
| 332 | 9 | „ | zwabić | wywabić |
| 332 | 19 | „ | jako czuwała | zazwyczaj — czuwała, jako zazwyczaj, |
| 334 | 14 | od dołu | zagrody | nagrody |
| 338 | | ostatni | kochankow | kochankowie |
| 343 | 16 | od g. | Guirault de Berneil | — Guiraut de Borneil |
| 392 | 7 | od d. | francuskiej | florenckiej |
| 416 | 10 | od góry | Bular | Bukar |
| 440 | 3 | „ | wyrzerze | wyrzecze |
| 445 | 22 | „ | nie god | nie godzi |
| 490 | 4 | od d. | Waddak | Waddah |
| 510 | 10 | od dołu | Guirault de Berneil | — Guiraut de Borneil |
| 511 | 17 | „ | Waddak | Waddah |

## Tom II.

| Str. | wiersz | | zamiast | powinno być |
|---|---|---|---|---|
| 17 | 4 | od g. | światem | światy |
| 18 | 6 | od d. | działania Piotr; — Pustelnik — | działania; Piotr Pustelnik |
| 21 | 18 | od góry | tarczą | tarczę |
| 73 | 14 | od d. | Don Quixotte | Don Quixote |
| 107 | 17 | od góry | Zorilla | Zorrilla |
| 107 | 20 | „ | Ahamara | Alhamara |
| 167 | 22 | „ | Despreaux | Despréaux |
| 204 | 2 | „ | Dziś | Dni |
| 235 | 20 | „ | Śpiewano | Śpiewało |
| 242 | 14 | od dołu | paszcz | puszcz |
| 246 | 15 | od góry | dzieło | kształty |
| 280 | 13 | od dołu | kióre | które |
| 285 | 18 | od góry | Kurcak | Kurkan |
| 324 | 16 | „ | acz | ; ale rozpacz |
| 375 | 17 | od dołu | stołu | stosu |
| 387 | 13 | „ | Rosseti | Rossetti |
| 389 | 7 | „ | wrócę | wrócą |
| 395 | 18 | od g. | przyszłość | przeszłość |
| 412 | 1 | od g. | Flemming | Fleming |
| 436 | 4 | od dołu | wietrzą | wietrze |
| 450 | 19 | od góry | biją się | biję się |
| 456 | 1 | od dołu | uż | już |
| 457 | 1 | „ | 1891 | 1889 |
| 467 | 22 | od góry | obw | obuw |
| 476 | 16 | od dołu | Albert | Adalbert |
| 482 | 2 | „ | zatarły | zatarty |
| 493 | 13 | „ | wierzby | wierzchy |
| 500 | 10 | od góry | wydać | wydąć |
| 510 | 1 | od g. | Jonckbloot | Jonckbloet |
| 517 | 19 | od d. | Sjoberg | Sjöberg |
| 540 | 11 | od góry | willi | wili |
| 550 | 10 | „ | skrzykła | skrzydła |
| 554 | 14 | „ | Harambasić | Harambaszić |

Biblioteka AP W
2
28285/
12.